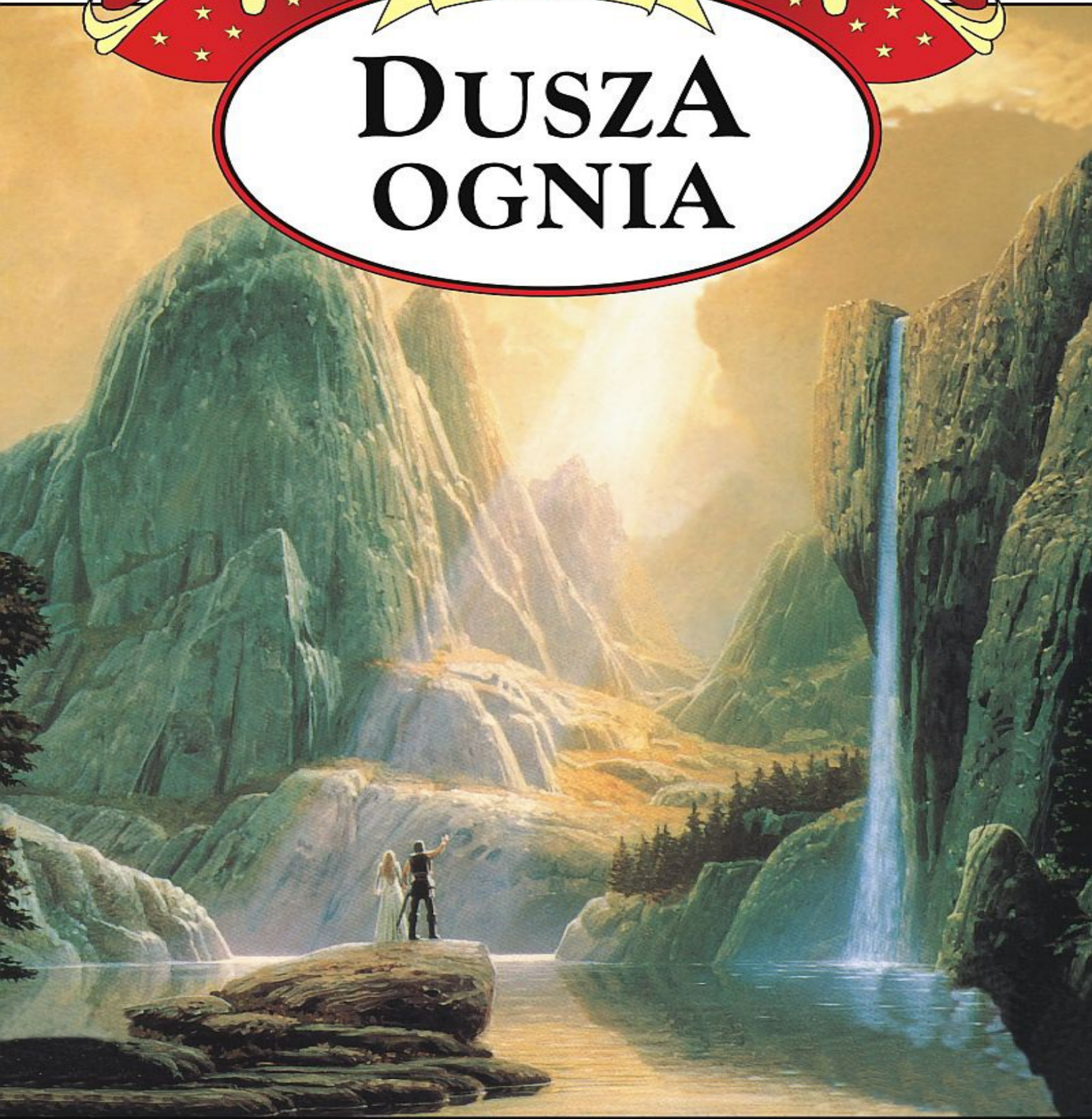


Fantasy

# DUSZA OGNIA



TERRY GOODKIND

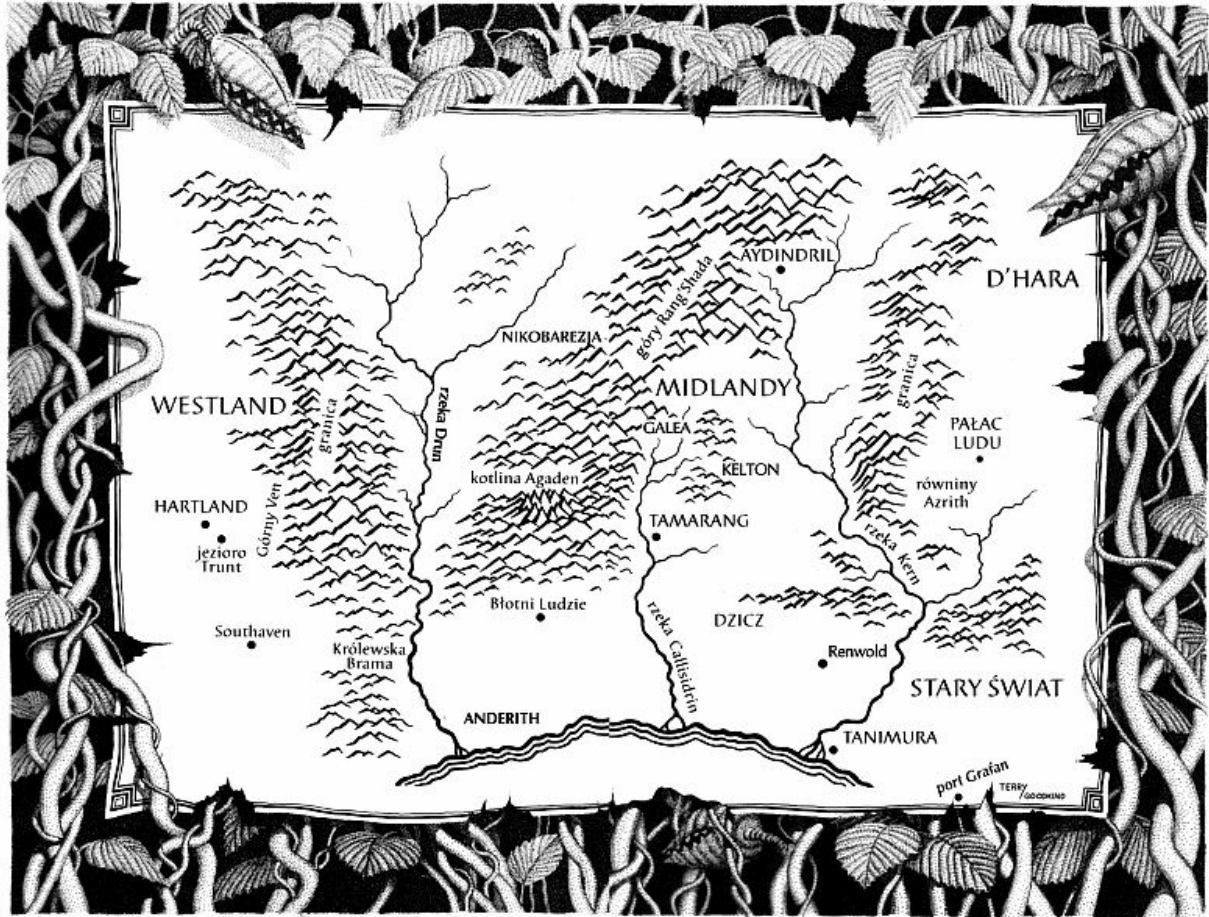
Terry Goodkind

# **Dusza ognia**

**Tom V serii**

Przełożyła Lucyna Targosz

Dom Wydawniczy REBIS



*Jamesowi Frenkelowi, człowiekowi wielkiej cierpliwości, męstwa, prawości i  
uzdolnień*



*„Strzeż się, kiedy dzień spotyka się z mrokiem. Strzeż się rozdroży, gdzie czyhają. Mogą utaić się w rozbłysku ognia i z łatwością przenosić na iskrach. Strzeż się ciemnych miejsc pośród skał, pod czymś, w zagłębieniach, pieczarach i rozpadlinach. Strzeż się turni, krawędzi i brzegu - magiczne stwory ślizgają się na granicach, gdzie to styka się z tamtym.*

*Niektóre odznaczają się porażającym, chłodnym pięknem. Inne są cudacznie ukształtowane. Często starają się przyciągnąć uwagę. Bacz, byś ich nie rozdrażnił, albowiem lubują się w straszliwych krzywdach i są nad wyraz groźne. Ci złodzieje magii to nieustrudzeni tropiciele, pozbawieni współczucia i duszy.*

*Dobrze zapamiętaj me słowa: strzeż się demonów, a w wielkiej potrzebie nakreśl trzykrotnie dla siebie, na jałowej ziemi, piaskiem, solą i krwią Fatal Grace”.*

*z pamiętnika Koloblicina*

# ROZDZIAŁ 1

- Ciekawe, co denerwuje kury - rzekł Richard. Kahlan mocniej przytuliła się do jego ramienia.

- Może twój dziadek im dokucza. - Nie odpowiedział, więc odchyliła głowę i spojrzała na niego w słabym blasku ognia. Patrzył na drzwi. - A może są złe, bo przez większość nocy nie dajemy im spać.

Richard uśmiechnął się i pocałował ją w czoło. Gdakanie za drzwiami umilkło. Prawdopodobnie dzieci z wioski, wciąż jeszcze świętujące uroczystości weselne, przepędzały je z ulubionego miejsca na niskim murku przy domu duchów. Powiedziała mu to.

W cichym schronieniu słycać było echa dalekiego śmiechu, rozmów i śpiewów. Aromat balsamicznych szczap, które zawsze płonęły w palenisku w domu duchów, mieszał się z zapachem potu pokrywającego ich po namiętych uniesieniach oraz z pikantną i słodką zarazem wonią przypieczonej papryki i cebuli. Przez chwilę Kahlan patrzyła, jak blask ognia migoce w szarych oczach Richarda, a potem wtuliła się w jego ramiona i leciutko kołysała do taktu melodii bębnów i boldasów.

Płasko zakończone „smyczki” skrobiące po falistej powierzchni boldasów, wydrążonych rur w kształcie dzwonów, wygrywały niesamowitą, natrętną melodię. Dźwięki płynęły przez trawiaste równiny, wsączając się po drodze w samotnie stojący dom duchów, i zapraszały duchy przodków do świętowania.

Richard sięgnął w bok i wziął z tacy przyniesionej przez swojego dziadka Zedda okrągły, płaski kawałek chleba tava.

- Jeszcze ciepły. Chcesz trochę?

- Tak prędko się znudziłeś nową żoną, lordzie Rahlu? Uśmiechnęła się, słysząc pełen zadowolenia śmiech Richarda.

- Naprawdę wzięliśmy ślub, czyż nie? To nie był jedynie sen, prawda?

Kahlan kochała jego śmiech. Tak wiele razy modliła się do dobrych duchów, żeby znów się mógł śmiać - żeby oboje mogli się śmiać.

- To spełniony sen - wyszeptała.

Nakłoniła chłopaka, żeby zostawił chleb tava i długo, długo ją całował. Richard objął ją mocnymi ramionami, zaczął szybciej oddychać. Kahlan

przesunęła dłonie po śliskich od potu mięśniach jego szerokich barków i wsunęła palce w gęste włosy ukochanego.

To właśnie tutaj, w domu duchów Błotnych Ludzi, owej nocy, która teraz wydawała się tak odległa, Kahlan po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jest bez pamięci zakochana w Richardzie i że musi ukrywać to zakazane uczucie. Właśnie wtedy, po bitwie, walce i ofierze, przyjęto ich do tej żyjącej na uboczu społeczności. A podczas kolejnych odwiedzin u Błotnych Ludzi właśnie w domu duchów Richard - kiedy doznał tego, co wydawało się niemożliwe, i złamał czar zakazu - poprosił Kahlan, by została jego żoną. Teraz zaś mogli wreszcie spędzić noc poślubną w domu duchów u Błotnych Ludzi.

Ich ślub, choć pobrali się wyłącznie z miłości, był jednocześnie formalnym przypieczętowaniem połączenia Midlandów i D'Hary. Gdyby odbył się w którymś z wielkich miast Midlandów, z całą pewnością towarzyszyłby mu nieopisany przepych. Kahlan dobrze znała tę wystawność. Szczerzy i prostoduszni Błotni Ludzie pojmowali natomiast szczerą ich uczuć oraz osobiste powody, dla których chcieli się pobrać. Z tego względu wołała radosne zaślubiny wśród bliskich im ludzi od zimnej, wystawnej ceremonii.

Dla Błotnych Ludzi, którzy wiedli ciężkie życie na równinach Dzikich, zaślubiny były rzadką okazją do wesołej zabawy, ucztowania, tańców i opowiadania rozmaitych historii. Kahlan nie słyszała, by wcześniej przyjęli kogokolwiek do swojej społeczności, więc taki ślub zdarzył się pierwszy raz. Podejrzewała, że stanie się częścią ich tradycji, historią przedstawianą w trakcie zebrań przez tancerzy ubranych w wymyślne stroje z trawy i skór, z twarzami pomalowanymi białym oraz czarnym błotem.

- Coś mi się wydaje, że molestujesz niewinną dziewczę swoją magią - zażartowała, niemal pozbawiona tchu. Powoli zaczynała zapominać, jak słabe i zmęczone są jej nogi.

Richard przetoczył się na plecy, łapał oddech.

- Uważasz, że powinniśmy stąd wyjść i zobaczyć, co wyprawia Zedd? - zapytał.

Kahlan klepnęła go żartobliwie grzbietem dłoni.

- Ależ, lordzie Rahlu, ty naprawdę jesteś już znudzony swoją nową żoną. Najpierw kury, potem chleb tava, a teraz twój dziadek.

- Czuję krew. - Richard znów patrzył na drzwi. Kahlan usiadła.

- To na pewno tylko jakaś świeża zdobycz myśliwych. Gdyby rzeczywiście działo się coś niepokojącego, Richardzie, wiedzielibyśmy o tym. Przecież wokół nas są strażnicy. A właściwie czuwa nad nami cała wioska. Nikt nie zdoła się prześliznąć nie zauważony przez pierścień łowców z wioski Błotnych Ludzi. Podnieśliby alarm i wszyscy dowiedzieliby się o takiej próbie.

Nie była pewna, czy usłyszał, co powiedziała. Skamieniał, całą uwagę skupił na drzwiach. Kahlan przesunęła palce w górę ręki chłopaka, leciutko położyła mu dłoń na ramieniu; w końcu mięśnie Richarda rozluźniły się i spojrzał na nią.

- Masz rację. - Uśmiechnął się przepaszająco. - Coś mi się wydaje, że sam nie pozwalał sobie na chwilę odprężenia.

Kahlan spędziła niemal całe życie pośród ludzi dzierżących władzę. Od dzieciństwa uczono ją odpowiedzialności i obowiązkowości, przypominano o nieustannie czyhających zagrożeniach. Kiedy zdecydowano, że będzie przewodziła całym Midlandom, była do tego doskonale przygotowana.

Richard dorastał w zupełnie innych warunkach: ukochał ojczyste lasy i został leśnym przewodnikiem. Zamęt, przykre wydarzenia i przeznaczenie sprawiły, że został władcą imperium D'Hary. Czujność zawsze mu się przydawała i trudno mu się było jej pozbyć.

Kahlan widziała, jak dłoń Richarda odruchowo dotyka odzienia. Szukał swojego miecza. A nie mógł go *zabrać* do wioski Błotnych Ludzi. Dziewczyna mnóstwo razy była świadkiem, jak odruchowo upewniał się, że miecz tkwi u jego boku. Oręż ów był jego towarzyszem przez całe miesiące przemian - zarówno Richarda, jak i świata. Był obrońcą chłopaka, ten zaś chronił ową szczególną broń i funkcję, której symbol stanowiła.

W pewnym sensie Miecz Prawdy był jedynie talizmanem. Moc miała ręka, która go dzierżyła. Prawdziwym orężem był Poszukiwacz Prawdy - Richard. Miecz symbolizował tylko jego funkcję, tak jak biała szata symbolizowała władzę Kahlan.

Dziewczyna pochyliła się i pocałowała Richarda. Objął ją, a ona, igrając z nim, przyciągnęła go do siebie.

- Jak to jest być mężem samej Matki Spowiedniczki? Podparł się na łokciu i spojrzał w oczy Kahlan.



- Cudownie - wyszeptał. - Cudownie i wspaniale. I wyczerpująco. - Delikatnie obrysował palcem kontur jej twarzy. - A jak to jest być żoną lorda Rahla?

Zaśmiała się gardłowo.

- Podniecająco.

Richard zachichotał i wsunął jej do ust kawałek chleba tava. Usiadł i postawił między nimi drewnianą tacę pełną wiktuałów. Chleb tava, wyrabiany z korzeni tava, był podstawą pożywienia Błotnych Ludzi. Dodawano go do niemal wszystkich potraw, jedzono sam lub zawijano weń rozmaite jadlo, służył również do nabierania owsianki i gulaszu, a w postaci sucharów towarzyszył myśliwym na długich wyprawach łowieckich.

Pod warstwą gorącego chleba tava chłopak znalazł opiekaną paprykę, cebulę, kapelusze grzybów tak duże jak dłoń Kahlan, rzepę i gotowane warzywa. A nawet kilka ciasteczek ryżowych. Ugryzł kęs rzepy, a potem zawinął w chleb tava trochę warzyw, kapelusz grzyba oraz paprykę i podał tę kanapkę dziewczynie.

- Tak bym chciał, żebyśmy tu mogli zostać na zawsze - powiedział w zadumie.

Kahlan okryła się kocem. Wiedziała, o co mu chodziło. Na zewnątrz czekał na nich świat.

- Hmm... - powiedziała, robiąc do niego słodkie oczy. - Zedd mówił co prawda, że starsi chcą odzyskać dom duchów, ale to wcale nie znaczy, że musimy go im oddać już teraz.

Richard skwitował jej swawolną propozycję uprzejmym uśmiechem.

- Zedd wykorzystał starszych jako pretekst. Chodzi mu o mnie. Kahlan odgryzła kęs zawijańca przygotowanego przez Richar-da. Patrzyła, jak chłopak machinalnie przełamuje ciasteczko ryżowe, błędząc gdzieś daleko myślami.

- Nie widział cię od miesiący. - Otarła palcem spływający po brodzie sos. - Już się nie może doczekać opowieści o tym, co przeżyłeś, i o tym, czego się nauczyłeś. - Zlizwała sos z palca, a Richard przytaknął z roztargnieniem. - On cię kocha, Richardzie. Są rzeczy, których chce cię nauczyć.

- Mój kochany dziadek uczył mnie, od kiedy przyszedłem na świat. - Uśmiechnął się leciutko. - Ja też go kocham.

Zawinął w chleb tava grzyby, warzywa, paprykę i cebulę i odgryzł wielki

kęs. Kahlan wyciągnęła ze swojego zawijańca miękkie warzywa i pogryzała je, słuchając trzaskania ognia i płynącej z dala muzyki. Chłopak skończył jeść, poszperał pod stosikiem chleba tawa i wyciągnął suszoną śliwkę.

- I przez cały ten czas nie miałem pojęcia, że jest dla mnie kimś więcej niż tylko ukochanym przyjacielem. Nawet nie podejrzewałem, że jest moim dziadkiem i czarodziejem.

Odgryzł połowę śliwki, a drugą połówkę podał Kahlan.

- Chronił cię, Richardzie. Dla ciebie najważniejsza była świadomość, że jest twoim przyjacielem. - Wzięła od niego śliwkę, wsunęła do ust i żując ją, patrzyła na przystojną twarz ukochanego. Wyciągnęła dłoń i tak odwróciła jego głowę, by na nią spojrzeć. Pojmowała jego zatroskanie. - Zedd znów jest z nami, Richardzie. Pomoże nam. Jego rady będą nam i pomocą, i otuchą.

- Masz rację. Kto doradzi nam lepiej niż ktoś taki jak Zedd? - Przyciągnął ku sobie ubranie. - Pewno nie może się już doczekać opowieści o wszystkim, co się wydarzyło.

Richard wkładał swoje czarne spodnie, a Kahlan trzymała w zębach ciasteczko ryżowe i wyciągała rzeczy z plecaka. Porzuciła jednak to zajęcie i wyjęła z ust ciasteczko.

- Nie widzieliśmy się z Zeddem wiele miesięcy, ty nawet dłużej niż ja. Zedd i Ann zechcą wszystko usłyszeć. Będziemy musieli powtarzać opowieść wiele razy, nim ich zadowolimy. Chętnie bym się najpierw wykąpała. W pobliżu są ciepłe źródła.

Richard przestał zapinać guziki swojej czarnej koszuli.

- Czym to Zedd i Ann tak się niepokoiли minionego wieczoru, przed zaślubinami?

- Minionego wieczoru? - Kahlan wyjęła z plecaka koszulę i strzepnęła ją. - Chodziło chyba o demony. Powiedziała, że wymówiłam imiona trzech demonów. Ale Zedd stwierdził, że zrobią coś w tej sprawie.

Kahlan nie miała ochoty o tym myśleć. Samo wspomnienie niedawnego lęku i paniki powodowało gęsią skórę. Zrobiło się jej niedobrze na myśl o tym, co by się stało, gdyby choć odrobinę dłużej zwlekała z wymówieniem tych trzech słów. Gdyby zwlekała, Richard już by nie żył. Odpędziła to wspomnienie.

- Więc dobrze zapamiętałem. - Richard uśmiechnął się i mrugnął. - Ty w błękitnej szacie ślubnej... miałem wówczas ważniejsze sprawy na głowie. Te

trzy demony to podobno nic szczególnie ważnego. Coś mi się zdaje, że tak właśnie powiedział. Spośród wielu ludzi właśnie Zedd nie powinien mieć z tym najmniejszego problemu.

- Cóż więc myślisz o kąpeli?

- Słucham? - Znów patrzył na drzwi.

- Kąpiel. Czy możemy pójść do źródeł i wziąć gorącą kąpiel, nim zasiądziemy z Zeddem i Ann i zaczniemy im opowiadać, co się wydarzyło?

Richard włożył czarną tunikę. Szerokie złote obramowanie zalśniło w blasku ognia. Spojrzał spod oka na Kahlan.

- Umyjesz mi plecy?

Zapinał szeroki skórzany pas ze złocistymi sakiewkami, a ona patrzyła, jak się uśmiecha. W tych sakiewkach były osobliwe i niebezpieczne rzeczy.

- Umyję, co rozkażesz, lordzie Rahlu.

Roześmiał się i włożył na nadgarstki podbite skórą srebrne obręcze. Starożytne symbole wytłoczone na przymocowanych do nich pierścieniach zalśniły czerwono w blasku ognia.

- Wygląda na to, że moja nowa żona zmieni zwyczajną kąpiel w wydarzenie.

Kahlan zarzuciła na ramiona pelerynę i wyjęła spod niej swoje długie, splątane włosy.

- Powiemy Zeddowi i ruszamy. - Żartobliwie dźgnęła go palcem w zębra.

- A potem się przekonasz.

Richard zachichotał i chwycił jej palec, żeby go już nie łaskotała.

- Jeśli chcesz się wykąpać, to lepiej nic nie mówmy Zeddowi. Zada jedno pytanie, potem jeszcze jedno i jeszcze jedno. - Zapiał złocistą, migocącą w blasku ognia pelerynę. - I dzień minie, zanim się zorientujesz, a on wciąż będzie pytał i pytał. Jak daleko są te ciepłe źródła?

- Godzinę drogi stąd. - Wskazała na południe. - Może trochę dłużej. - Włożyła do skórzanej torby trochę chleba tava, szczotkę, kawałek pachnącego ziołowego mydła i kilka innych drobiazgów. - Ale skoro Zedd, jak sam mówisz, chce się z nami spotkać, to czy się nie zirytuje, jeśli pójdziemy bez jego wiedzy?

Richard zaśmiał się cynicznie.

- Jeśli chcesz się wykąpać, to lepiej go potem przeprosić, niż mu to teraz powiedzieć. To nie jest aż tak daleko. I tak wrócimy, nim naprawdę za nami

zatęskni.

Kahlan chwyciła go za ramię. Spowaźniała.

- Wiem, Richardzie, jak bardzo chcesz się spotkać z Zeddem. Możemy się wykapać później, jeżeli tak wolisz. Nie będę miała nic przeciwko temu. Po prostu chciałam trochę dłużej pobyć z tobą sam na sam.

Otoczył ramieniem jej barki.

- Zobaczymy się z nim, gdy wrócimy za kilka godzin. Może zaczekać. I ja chcę pobyć z tobą.

Otworzył łokciem drzwi i Kahlan spostrzegła, że znów odruchowo szuka miecza, którego nie miał przy sobie. Peleryna Richarda zapłonęła w promieniach słońca, więc zmrużyła oczy, wychodząc za nim w chłodne powietrze poranka. Poczula smakowite aromaty przygotowywanych w wiosce potraw.

Chłopak pochylił się i zajrzał za niski murek.

Spojrzeniem drapieżnego ptaka omiółł niebo. Dokładnie przyjrzał się wąskim przejściom między brązowymi, przysadzistymi chatami.

Budowle w tej części wioski - jak na przykład dom duchów - służyły całej społeczności. W niektórych łowcy odprawiali obrzędy przed długimi polowaniami. Żaden mężczyzna natomiast nie przekroczył nigdy progu chat kobiet.

Tutaj przygotowywano zmarłych do ceremonii pogrzebowej. Błotni Ludzie grzebali swoich zmarłych.

Wykorzystywanie drewna do budowy stosów pogrzebowych nie miało sensu - drzewa rosły bardzo daleko, więc materiał ten był drogocenny. Ogniska, na których gotowano, podtrzymywano nie tylko drewnem, ale i wysuszonym nawozem, a najczęściej wiązkami suszonej trawy. Ogniska będące oznaką radości, jak te po ceremonii zaślubin, były wyjątkowym i wspaniałym wydarzeniem.

W stojących tutaj chatach nikt nie mieszkał, więc ta część wioski wyglądała, jakby była z innego świata. Bębny i boldasy jeszcze wzmagaly tę nierzeczywistą atmosferę. Dolatujące tu echa głosów powodowały, że puste uliczki sprawiały wrażenie nawiedzonych. Snopy promieni słonecznych czyniły cienie jeszcze mroczniejszymi.

Richard, badając wzrokiem te cienie, dał jej znak. Kahlan zajrzała za murek.

Wśród rozrzuconych, drżących w powiewach wiatru piór leżał krwawy kurzy zewłok.

## ROZDZIAŁ 2

Kahlan myliła się. To nie dzieci płoszyły kury.

- Jastrząb? - spytała.

Richard ponownie spojrział w niebo.

- Możliwe. Albo łasica lub lis. Lecz to coś zostało spłoszone, zanim zdążyło pochłonąć swą zdobycz.

- Teraz powinieneś odzyskać spokój. To tylko jakiś zwierzak polował na kure.

Natychmiast dostrzegła ich Cara, odziana w obcisły, czerwony skórzany uniform Mord-Sith, i już szła ku nim. Jej nadgarstek okalał delikatny łańcuszek, na którym wisiał Agiel: długi na stopę, czerwony jak krew, cienki skórzany bicz. Cara zawsze miała tę straszliwą broń pod ręką.

Kahlan wyczytała w jej niebieskich oczach wyraźną ulgę - żadne niewidzialne moce nie wykradły z domu duchów podopiecznych Mord-Sith. Wiedziała, że Cara najchętniej tkwiłaby tuż przy nich, lecz przez delikatność nie robiła tego, szanując ich potrzebę prywatności. Z tego samego względu Mord-Sith trzymała również innych na dystans. Kahlan była jej za to wdzięczna tym bardziej, że doskonale wiedziała, jak poważnie Cara traktuje swoje obowiązki.

Dystans.

Kahlan spojrzała na Richarda. To dlatego się zaniepokoił. Wiedział, że to nie dzieci płoszyły kury. Cara nie dopuściłaby dzieci tak blisko domu duchów, tak blisko drzwi pozbawionych zamka.

- Widziałaś, co zabiło kure? - spytał Richard, nim Cara zdążyła się odezwać.

Mord-Sith odrzuciła do tyłu długi jasny warkocz.

- Nie. Musiałam spłoszyć drapieżnika, kiedy biegłam ku murkowi obok drzwi.

Wszystkie Mord-Sith zbierały włosy w jeden warkocz stanowiący część ich umundurowania. Dzięki temu nikt nie miał wątpliwości, kim były. Mało kto - o ile w ogóle ktokolwiek - popełniał ten niebezpieczny błąd.

- Czy Zedd próbował znów do nas zajrzeć? - dopytywał się Richard.

- Nie. - Cara odgarnęła pasmo jasnych włosów. - Kiedy przyniósł wam



strawę, powiedział mi, że chce was widzieć, gdy już będziecie gotowi się z nim spotkać.

Richard skinął głową, wciąż przepatrując mroki.

- Jeszcze nie jesteśmy. Najpierw weźmiemy kąpiel w pobliskich ciepłych źródłach.

Cara uśmiechnęła się szelmowsko.

- Rozkoszny pomysł. Umyję ci plecy.

Chłopak nachylił się i przysunął twarz do jej twarzy.

- Nie, nie umyjesz mi pleców. Będziesz się przyglądać. Cara uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Mmm. To też może być przyjemne.

Oblicze Richarda dorównało barwą uniformowi Mord-Sith.

Kahlan odwróciła wzrok, powściągając uśmiech. Wiedziała, jak Careę bawi zawstydzanie chłopaka. Jeszcze nigdy nie widziała straży przybocznej, która tak otwarcie jak Cara i jej siostry Mord-Sith okazywałaby brak nadmiernej uniżoności. Ani lepszej.

Wszystkie Mord-Sith - członkinie założonej przed wiekami kasty obrońców lorda Rahla D'Hary - cechowała bezwzględna pewność siebie. Ich trwająca od wczesnej młodości tresura przekraczała wszelkie granice okrucieństwa. Była wręcz bezlitosna.

Zmieniała je w pozbawione skrupułów zabójczynie.

Kahlan dorastała, nie wiedząc wiele o leżącej na wschodzie tajemniczej D'Harze. Richard urodził się w Westlandzie, położonym daleko od D'Hary, i wiedział jeszcze mniej niż Kahlan. D'Hara zaatakowała Midlandy i los wciągnął chłopaka w te zmagania. W końcu Richard zabił Rahla Posępnego, bezwzględnego władcę owej krainy.

Richard nie miał wówczas pojęcia, że Rahl Posępny spłodził go, zgwałciwszy jego matkę. Dorastał w przekonaniu, że jest synem George'a Cyphera, szlachetnego człowieka, który go wychowywał. Zedd dochowywał sekretu, żeby chronić swą córkę, a potem również wnuka. Chłopak odkrył prawdę dopiero wtedy, kiedy zabił Rahla Posępnego.

Richard niewiele wiedział o krainie, którą odziedziczył. Przyjął władzę tylko dlatego, że zagrażała jej kolejna wojna. Imperialny Ład zamierzał podbić świat i obrócić wszystkich w niewolników - należało temu zapobiec.

Jako nowy władca D'Hary chłopak zwolnił Mord-Sith z okrutnych

obowiązków i zakazał praktykowania straszliwych obyczajów ich profesji, one zaś, wykorzystując ofiarowaną im swobodę wyboru, postanowiły zostać jego gwardią przyboczną. Richard nosił dwa Agiele, zawieszane na szyi na skórzanym rzemyku, jako znak szacunku dla dwóch Mord-Sith, które straciły życie w jego obronie.

Kobiety te czciły Richarda, lecz jednocześnie zachowywały się wobec nowego lorda Rahla w sposób, który wcześniej był nie do pomyślenia: żartowały z nim i dokuczały mu. Generalnie rzadko przepuszczały okazję, by się z nim podrażnić.

Poprzedni lord Rahl, ojciec Richarda, kazałby je zadrzeć na śmierć za takie naruszenie dyscypliny. Kahlan przypuszczała, iż ten brak uniżoności miał przypominać Richardowi, że je uwolnił i że służą mu z własnej woli. Prawdopodobnie ukradzione dzieciństwo sprawiło, że miały osobliwe poczucie humoru - i wreszcie mogły mu dawać wyraz.

Mord-Sith nieustraszenie chroniły Richarda, a na jego rozkaz również Kahlan - nawet z narażeniem życia. Twierdziły, że najbardziej boją się umrzeć w łóżu, jako stare kobiety. Richard z kolei często obiecywał, że zadba, by spotkał je taki właśnie los.

Chłopak głęboko współczuł tym tak okrutnie tresowanym kobietom, toteż rzadko karcił je za ich błazeństwa i zwykle nie reagował na docinki. A to je tylko ośmielało.

Rumieniec, który pojawił się na twarzy nowego lorda Rahla po słowach Cary, zdradził wpojone mu zasady.

Richard w końcu zapanował nad swoim rozdrażnieniem i przewrócił oczami.

- Patrzeć też nie będziesz. Zaczekasz tutaj.

Kahlan wiedziała, że tak się na pewno nie stanie. Cara zaśmiała się krótko i ruszyła za nimi. Zawsze bez skrupułów łamała rozkazy Richarda, jeśli uznała, że ich wypełnienie koliduje z zadaniem chronienia jego życia. Cara i jej siostry Mord-Sith tylko wtedy wypełniały jego polecenia, kiedy uznały, że są one bardzo ważne i że nie narażają Richarda na nadmierne ryzyko.

Nie uszli zbyt daleko, gdy przyłączyli się do nich myśliwi ukryci dotąd w cieniach i uliczkach otaczających dom duchów. Łowcy byli muskularni i proporcjonalnie zbudowani, lecz najwyższy z nich nie dorównywał

wzrostem Kahlan, a Richard był od nich o wiele rośniejszy. Nagie torsy i nogi mężczyzn dla lepszego kamuflażu były pomazane błotem. Każdy miał na ramieniu łuk, do biodra przytroczony nóż, a w dłoni dzidę. Kahlan wiedziała, że groty strzał, które mieli w kołczanach, zanurzono wcześniej w dziesięciokrokowej truciznie. To byli łowcy Chandalena, tylko oni w całej wiosce Błotnych Ludzi nosili wszędzie zatrute strzały. Nie byli zwyczajnymi myśliwymi - bronili też całej społeczności Błotnych Ludzi.

Uśmiechnęli się, gdy Kahlan delikatnie spoliczkowała każdego z nich - było to zwyczajowe powitanie Błotnych Ludzi, gest wyrażający szacunek dla ich siły. Dziewczyna podziękowała im w ich języku za trzymanie warty przy domu duchów, a potem przetłumaczyła swoje słowa Richardowi i Carze.

- Wiedziałaś, że tam są i strzegą nas? - szepnęła do Richarda, kiedy znów ruszyli w drogę.

Spojrzał na nich przez ramię.

- Widziałem tylko czterech. Przyznaję, że dwóch nie dostrzegłem.

Tych dwóch nie mógł w żaden sposób dojrzeć - nadeszli z drugiej strony domu duchów. Kahlan nie zauważyła ani jednego. Zadrzała. Wyglądało to tak, jakby łowcy mogli się stawać niewidzialni, kiedy tego zechcieli. Na trawiastych równinach maskowali się jeszcze lepiej. Dziewczyna była wdzięczna tym, którzy dyskretnie czuwali nad ich bezpieczeństwem.

Cara powiedziała im, że Zedd i Ann przebywają na południowo-wschodnim krańcu wioski, więc kierowali się na południe od zachodu. Starali się ominąć plac, na którym zebrali się mieszkańcy wioski, dlatego też trzymali się przede wszystkim przejść między pomazanymi brązową gliną chatami z błotnych cegieł. Cara i łowcy szli za nimi. Napotkani ludzie uśmiechali się do nich na powitanie, niektórzy poklepywali ich po plecach lub tradycyjnie lekko policzkowali na znak szacunku.

Pomiędzy dorosłymi biegały dzieci - goniły małe skórzane piłki, siebie albo też coś niewidocznego. Czasami tym czymś okazywały się kury. Uciekały w popłochu przed roześmianymi, podskakującymi i próbującymi je złapać młodziutkimi myśliwymi.

Kahlan, ciasno owinięta peleryną, nie mogła pojąć, jak te prawie nagie dzieci znoszą chłód poranka. Niemal wszystkie były bose, a najmłodsze - zupełnie golutkie.

Dzieci pilnowano, ale pozwalano im swobodnie biegać. Bardzo rzadko je

karcono. Dopiero później były poddawane intensywnemu, trudnemu i surowemu nauczaniu i za wszystko rozliczane. Młodsze dzieci - wciąż korzystające z pełni dzieciństwa - stanowiły wszechobecną, ciekawską widownię obserwującą wszystko, co odbiegało od codzienności. A dla dzieci Błotnych Ludzi, jak zresztą dla większości dzieci, odbiegało od niej wiele rzeczy. Nawet kury.

Kiedy mała grupka wędrowców mijała południowy skraj placu usytuowanego pośrodku wioski, dojrzał ich Chandalen, przywódca najdzielniejszych myśliwych. Odziany był w swoje najlepsze spodnie ze skóry kozła. Włosy - jak to było w zwyczaju u Błotnych Ludzi - miał obficie pomazane gęstym błotem. Narzucona na ramiona skóra kojota symbolizowała jego nową godność. Ostatnio wybrano go jednym z sześciu starszych wioski. W jego przypadku słowo „starszy” było jedynie oznaką szacunku, a nie określeniem wieku. Wymienili powitalne uderzenia, a Chandalen uśmiechnął się i klepnął Richarda w plecy.

- Jesteś wielkim przyjacielem Chandalena - oznajmił łowca. - Gdybyś nie poślubił Matki Spowiedniczki, to na pewno wybrałaby Chandalena. Zaskarbiłeś sobie moją dozgonną wdzięczność.

Zanim Kahlan wyruszyła do Westlandu, desperacko poszukując pomocy, i spotkała tam Richarda, Rahl Posępny wymordował wszystkie pozostałe Spowiedniczki. Wcześniej, nim ona i Richard znaleźli sposób uporania się z jej magią, żadna Spowiedniczka nie wyszła za mąż z miłości - dotknięcie jej mocy, bezwiednie uwolnionej, zniszczyłoby ukochanego. Toteż Spowiedniczka wybierała partnera, który przekazałby swą siłę jej córkom, a potem dotykała go mocą. Chandalen uważał, że zagrażało mu to, bo był najsilniejszy. Nie zamierzał nikogo urazić tymi słowami.

Richard roześmiał się i odparł, że jest szczęśliwy, iż mógł przyjąć obowiązki męża Kahlan. Obejrzał się przelotnie na łowców Chandalena. Spoważniał i zapytał cicho:

- Czy twoi ludzie widzieli, co zabiło kurę przy domu duchów? Tylko Kahlan mówiła językiem Błotnych Ludzi, a spośród mieszkańców wioski jedynie Chandalen znał język Matki Spowiedniczki. Łowca uważnie wysłuchał raportów. Noc była spokojna, kiedy jego ludzie zajęli pozycje. Objęli trzecią wartę.

Potem jeden z młodszych strażników, Juni, zamarkował nasadzenie

strzały, naciąganie cięciwy i celowanie to tu, to tam, lecz dodał, że nie zdołał zauważyć zwierzęcia, które zaatakowało kure. Pokazał, jak bezskutecznie wymyślał napastnikowi i ubliżał mu, żeby stwór się zawstydził i ujawnił. Chandalen to przetłumaczył, a Richard skinął głową.

Lecz przywódca strażników nie przetłumaczył wszystkiego. Pomiął przeprosiny. To hańba dla łowcy - a zwłaszcza dla jednego z ludzi Chandalena - chybić, nie zdołać wypatrzeć napastnika podczas warty. Kahlan wiedziała, że Chandalen będzie miał potem Juniemu sporo do powiedzenia.

Już mieli ruszać dalej, kiedy spojrzał ku nim Człowiek Ptak siedzący na jednym z podwyższeń ocienionych dachem z trawy. Człowiek Ptak, jako naczelny sześciu starszych, a tym samym i Błotnych Ludzi, dokonał ceremonii zaślubin. Nieuprzejmie byłoby odejść bez przywitania z nim i kilku słów podziękii. Richard musiał pomyśleć to samo, bo zmienił kierunek i ruszył ku podwyższeniu, na którym siedział Człowiek Ptak.

W pobliżu bawiły się dzieci. Minęli kilka paplających ze sobą kobiet w czerwonych, niebieskich i brązowych sukniach. Para brązowych kóz szukała na ziemi resztek pożywienia odrzuconych przez ludzi. Czasami ich poszukiwania kończyły się sukcesem - o ile kozy zdołały się oddalić od dzieci. Kilka kur coś dziobało, inne kroczyły dumnie i pogdakiwały.

Z boku placu ciągle płonęły świąteczne ogniska, choć większość z nich stanowiły już tylko żarzące się popioły. Ludzie wciąż przy nich tkwili, oczarowani blaskiem i ciepłem. Takie ogniska były rzadkością - symbolizowały radosne świętowanie lub naradę widzących przywołującą duchy przodków, które witano blaskiem i ciepłem ognia. Niektórzy mieszkańcy wioski tkwili tutaj całutką noc, obserwując tańczące płomienie. Dla dzieci ogniska były przedmiotem zachwytu i podziwu.

Na ceremonię zaślubin każdy przywdział swój najlepszy strój i wciąż go nosił, bo święto miało trwać aż do zachodu słońca. Mężczyźni paradowali w pięknych skórach i dumnie prezentowali cenną broń. Kobiety włożyły barwne suknie i metalowe bransolety i uśmiechały się od ucha do ucha.

Młodzi ludzie bywali zwykle ogromnie wstydliwi, ale ślub dodał im pewności siebie. Wieczorem dziewczyny zarzuciły Kahlan zuchwałymi pytaniami. Młodzieńcy kręcili się wokół Richarda, zadowoleni, że mogą się do niego uśmiechać i być świadkami ważnych wydarzeń.

Człowiek Ptak miał na sobie te same co zawsze spodnie i bluzę z jeleniej skóry. Długie, srebrzystosiwie włosy sięgały mu do ramion. Na jego szyi, na rzemyku wisiał, jak zwykle, kościany gwizdek do przywoływania ptaków. Mógł nim przywołać dowolny gatunek. Większość ptaków lądowała na wyciągniętym ramieniu mężczyzny i wygodnie się tam rozsiadała. Richard zawsze patrzył na to z podziwem i zazdrością.

Kahlan wiedziała, że Człowiek Ptak rozumie wieści przynoszone przez ptaki i wierzy w nie. Przypuszczała, że zwołuje ptaki, chcąc się przekonać, czy dadzą jakiś - zrozumiały wyłącznie dla niego - znak. Człowiek Ptak był również znakomitym znawcą gestów i zachowania ludzi. Niekiedy podejrzewała, że potrafi czytać w jej myślach.

Wielu Midlandczyków z dużych miast sądziło, że mieszkańcy Dzikiej, jak na przykład Błotni Ludzie, to dzikusy oddające cześć osobliwym bożkom i pozbawione wszelkiej wiedzy. Kahlan natomiast pojmowała nieskomplikowaną mądrość tych ludów i ich dar odczytywania subtelnych znaków, jakie dawały im żywe istoty z doskonale znanego otoczenia. Wiele razy była świadkiem tego, jak Błotni Ludzie z dużą dokładnością przewidywali pogodę na kilka następnych dni, obserwując tylko sposób, w jaki trawy kołysały się na wietrze.

W tyle podwyższenia siedzieli dwaj starsi, Hajanlet i Arbrin, i spod opadających powiek obserwowali ludzi na placu. Opiekuńcza dłoń Arbrina spoczywała na ramieniu śpiącego przy nim chłopaczka. Dziecko ssało bezwiednie kciuk.

Wokół stały tace z resztkami jedzenia i kubki z napitkami świątecznymi. Był wśród nich również alkohol, lecz Kahlan wiedziała, że Błotni Ludzie nie mieli zwyczaju się upijać.

- Dzień dobry, czcigodny starszy - powiedziała dziewczyna w jego języku.

Zwrócił ku nim ogorzałą twarz i uśmiechnął się szeroko.

- Witaj w nowym dniu, dziecko.

Znów spojrzał na mieszkańców wioski i coś przyciągnęło jego uwagę. Kahlan zauważyła, jak Chandalen przypatruje się pustym kubkom i sztucznie uśmiecha do swoich ludzi.

- Czcigodny starszy - odezwała się Kahlan - Richard i ja chcielibyśmy ci podziękować za wspianą ceremonię ślubną. Jeśli nie jesteśmy ci teraz



potrzebni, to pójdziemy do gorących źródeł.

Uśmiechnął się, gestem dał znak, że mogą to zrobić.

- Ale nie bawcie tam długo, bo deszcz zmyje ciepło, jakim nasycą was źródła.

Dziewczyna spojrzała na czyste niebo, a potem na Chandalena. Potwierdził skinieniem głowy.

- Mówi, że jeśli zbyt długo pobędziemy przy źródłach, to w drodze powrotnej złapie nas deszcz.

Zadziwiony Richard przyjrzał się niebu.

- Chyba lepiej będzie, jak ich posłuchamy i nie zabawimy tam zbyt długo.

- W takim razie pójdziemy już - powiedziała Kahlan do Człowieka Ptaka.

Kiwnął na nią palcem, bacznie obserwując kury grzebiące niedaleko w ziemi. Pochylona ku niemu Kahlan nasłuchiwała jego spokojnego oddechu i czekała. Pomyślała, że prawdopodobnie zapomniał, iż chciał coś powiedzieć. W końcu wskazał na plac i szepnął coś do niej. Kahlan wyprostowała się. Popatrzyła na kury.

- No i? Co powiedział? - zapytał Richard.

Początkowo nie była pewna, czy dobrze zrozumiała, lecz mars na twarzy Chandalena i jego łowców upewniły ją, że tak. Kahlan nie wiedziała, czy powinna to przetłumaczyć. Nie chciała, by Człowiek Ptak czuł się potem zażenowany, jeśli nadużył świątecznych napitków.

Richard czekał, patrząc na nią pytająco.

Dziewczyna znów spojrzała na Człowieka Ptaka: wbił piwne oczy w plac przed sobą i rytmicznie kiwał brodą w takt melodii boldasów i bębnow. W końcu odchyliła się do tyłu, aż dotknęła ramieniem Richarda.

- Powiedział, że tamta kura - wskazała - nie jest kurą.

## ROZDZIAŁ 3

Kahlan odepchnęła się stopą od pokrytego żwirem dna i wśliznęła w objęcia Richarda. Leżeli zanurzeni po szyję w wodzie, która sięgała do pasa stojącemu człowiekowi. Dziewczyna zaczynała postrzegać wodę w całkiem nowym, podniecającym świetle.

*Znaleźli najlepsze miejsce w całej płataninie strumieni płynących wśród odsłoniętych skałek otoczonych morzem traw. Strumyki wijące się za gorącymi źródłami, nieco dalej na północny zachód, schładzały prawie wrzącą wodę. Mało było miejsc równie głębokich jak to, które wybrali, a wypróbowali kilka, położonych w rozmaitej odległości od gorących źródeł, nim znaleźli takie, którego temperatura im odpowiadała.*

Wysokie źdźbła młodej trawy odgradzały ich od rozciągających się wokół równin. Leżeli w stawku, pod kopułą błękitnego nieba, choć na skraj tego błękitu zaczynały już wypęczać chmury. Chłodny wiaterek przyginał falami młodą trawę, tworzył w niej zawirowania.

Pogoda na równinach potrafiła się szybko zmieniać. Po wczorajszej ciepłej wiosnie nadchodził ziąb. Kahlan wiedziała, że chłód nie potrwa długo - zima przesyłała im pożegnalny pocałunek, choć wiosna zadomowiła się już na dobre. Powierzchnia chroniącej ich ciepłej wody marszczyła się pod tym chłodnym pożegnalnym podmuchem.

Błotniak kołował na mocnym wietrze, wypatrując zdobyczy. Kahlan poczuła ukłucie żalu, gdy uświadomiła sobie, że w tym samym czasie kiedy ona i Richard będą cieszyć się sobą i odpoczynkiem, ostre pazury rozszarpiają jakieś zwierzątko. Wiedziała, jak to jest być łakomym kąskiem, gdy poluje śmierć.

Sześciu łowców czuwało nad nimi, zajmując posterunki daleko od strumienia, gdzieś na trawiastych równinach. Cara z pewnością krążyła wokół jak jastrzębica, sprawdzając strażę. Kahlan przypuszczała, że doskonale się rozumieją, skoro ich zawód polega na chronieniu innych. Ochrona to poważny obowiązek, a Mord-Sith szanowała sumienność, z jaką łowcy go wypełniali. Kahlan połała ciepłą wodą barki Richarda.

- Co prawda mieliśmy bardzo mało czasu dla siebie, na nasze wesele, ale i tak nie potrafiłabym wymarzyć sobie wspanialszych zaślubin. Tak się cieszę,

że mogłam cię przyprowadzić i tutaj.

Richard pocałował ją w tył głowy.

- Nigdy tego nie zapomnę: ani wieczornej ceremonii, ani domu duchów, ani tego miejsca.

Pogładziła pod wodą jego uda.

- I lepiej o tym pamiętać, lordzie Rahlu.

- Zawsze marzyłem, żeby ci pokazać przepiękne okolice, w których dorastałem. Mam nadzieję, że pewnego dnia cię tam zabiorę.

Znowu umilkł. Podejrzewała, że rozmyśla o bardzo poważnych sprawach i dlatego tak się pogrążyła w zadumie. Nie mogli zapominać o swoich obowiązkach, choć czasami bardzo by tego chcieli. Wojska czekały na rozkazy. Urzędnicy i dyplomaci czekali w Aydindril na audiencję u Matki Spowiedniczki lub lorda Rahla.

Kahlan zdawała sobie sprawę, że nie wszyscy ochoczo przyłączą się do sprawy wolności. Dla niektórych tyrania miała swoje uroki.

Imperator Jagang i jego Imperialny Ład nie zechcą na nich czekać.

- Pewnego dnia, Richardzie - wyszeptała, przesuwając palcem po ciemnym kamieniu, który wisiał na złotym łańcuszku okalającym jej szyję.

Shota pojawiła się niespodziewanie na ich ślubie i wręczyła Kahlan ten łańcuszek z kamieniem. Powiedziała, że to uchroni ich przed spłodzeniem dziecka. Wiedźma potrafiła dostrzec przyszłość, choć sprawy, które widziała, często przybierały zupełnie nieoczekiwany obrót. Shota wiele razy ostrzegała Richarda i Kahlan przed straszliwymi konsekwencjami narodzin ich dziecka i obiecała, że nie dopuści, by ich męski potomek pozostał przy życiu.

W trakcie walki o odnalezienie Świątyni Wichrów Kahlan zaczęła nieco lepiej rozumieć Shotę; zawarły swoisty rozejm. Naszyjnik był pokojowym darem, alternatywą dla prób uśmiercenia przez wiedźmę ich potomka. Na razie zawarli rozejm.

- Sądzisz, że Człowiek Ptak wiedział, co mówi?

- Tak myślę. - Kahlan zerknęła na niebo. - Zaczyna się chmurzyć.

- Chodziło mi o kure.

- Kure! - Dziewczyna obróciła się w jego ramionach i spojrzała ponuro w szare oczy. - On powiedział, Richardzie, że to nie jest kura. Coś mi się zdaje, że zbyt hucznie świętował.

Ledwie mogła uwierzyć, że ze wszystkich ich trosk Richard zajął się właśnie tą sprawą. Wyglądało na to, że rozważa jej słowa, lecz milczał. Cienie sunęły po kołysanej wiatrem trawie, bo słońce chowało się za skraj kłębiących się burych chmur o zielonawoszarych refleksach. Zimny wiatr pachniał wilgocią.

Złocista peleryna Richarda, leżąca na niskich skałkach za chłopakiem, wydeła się na wietrze, przyciągając wzrok Kahlan. Ramię Richarda zacisnęło się wokół dziewczyny. To nie był gest miłosny.

W wodzie coś się poruszyło.

Krótki błysk światła.

Może odbłask rybich łusek. Niemal obecny, lecz właściwie nie - jak coś dostrzeżonego kątem oka. Spojrzy się na to wprost - i niczego nie ma.

- O co chodzi? - spytała, kiedy Richard odciągał ją do tyłu. - To tylko ryba albo coś w tym rodzaju.

Chłopak podniósł się i wyciągnął Kahlan z wody.

- Albo coś w tym rodzaju.

Ciepła woda spływała z dziewczyny. Kahlan drżała - naga i wystawiona na podmuchy lodowatego wiatru - i przyglądała się pustemu strumieniowi.

- Jak co? Co to jest? Co widziałeś? Richard bacznie przyglądał się wodzie.

- Sam nie wiem. - Posadził Kahlan na brzegu. - Może to tylko ryba.

Dziewczyna szczykała zębami.

- Ryby w tych strumykach są tak małe, że nawet nie zdołałyby ugryźć kogokolwiek w palec. Jeżeli to nie żółw, pozwolisz mi wejść do wody? Marznę.

Richard z żalem przyznał, że niczego nie widzi. Podał Kahlan dłoń i dziewczyna znów znalazła się w wodzie.

- Może to tylko cień, który przemknął po wodzie, gdy słońce chowało się za chmury.

Kahlan zanurzyła się aż po szyję i sapnęła z ulgą, kiedy otoczyła ją ciepła woda. Rozejrzała się, czując, jak znika jej gęsia skórka. Woda była przejrzysta, bez żadnych wodorostów. Widziała pokryte żwirem dno. Żółw nie miałby się gdzie schować. Richard powiedział, że niczego tu nie było, lecz sposób, w jaki przeszukiwał wzrokiem strumyk, zadawał kłam jego słowom.

- Uważasz, że to była ryba? A może próbujesz mnie wystraszyć? - Kahlan

nie wiedziała, czy istotnie dostrzegł coś, co go zaniepokoiło, czy też po prostu był nadopiekuńczy. - To nie jest relaksująca kąpiel, o którą mi chodziło. Jeżeli naprawdę coś widziałeś, to powiedz mi, co jest w tym niepokojącego. - Nagle coś przyszło jej na myśl. - To nie był wąż, prawda?

Richard głęboko odetchnął i odgarnął do tyłu mokre włosy.

- Niczego nie widziałem. Przepraszam.

- Na pewno? Powinniśmy stąd odejść? Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Chyba robię się zbyt nerwowo, kiedy pływam w takich dziwnych miejscach z nagimi kobietami.

Kahlan stuknęła go pod żebro.

- A często kąpiesz się z nagimi kobietami, lordzie Rahlu?

Niezbyt się jej spodobał ten żart. Mimo to już miała się schronić w objęciach Richarda, kiedy chłopak poderwał się na równe nogi. Kahlan gwałtownie wstała.

- Co to? Czy to wąż?

Richard wepchnął ją do strumienia. Wykaszliwała wodę, a on skoczył do ich rzeczy.

- Nie podnoś się! - Wyrwał nóż z pochwy i przykucnął, wpatrując się w trawę. - To Cara. - Wstał, żeby lepiej widzieć.

Kahlan spojrzała na równinę; przez brzozy i zielenie mknęła ku nim czerwona plama. Mord-Sith gnała co tchu, przedzierając się przez trawy i płycizny strumyków. Obserwując nadbiegającą, Richard podał Kahlan koc. Dziewczyna dostrzegła Agiel w dłoni Cary.

Agiel Mord-Sith był magicznym orężem, którym jedynie ona mogła się posługiwać; zadawał przeraźliwy ból. Jeżeli tego chciała, mogła zabić jego dotknięciem. Mord-Sith nosiła ten sam Agiel, którym torturowano ją w trakcie tresury, więc trzymając go w dłoni, czuła silny ból - czuła ból i zarazem sama go zadawała. Jednak twarz Mord-Sith nigdy nie zdradzała cierpienia.

Zasapana Cara zatrzymała się przy nich.

- Zjawił się tutaj?

Krew plamiła jasne włosy po lewej stronie głowy i spływała po twarzy. Tak mocno zaciskała Agiel w dłoni, że aż zbieleły jej kłykcie.

- Kto? - zapytał Richard. - Nikogo nie widzieliśmy. Na twarzy Cary odmalowała się wściekłość.

- Juni!

Richard złapał ją za ramię.

- Co się dzieje?

Mord-Sith grzbietem dłoni odgarnęła z oczu pasmo zakrwawionych włosów. Uważnie badała wzrokiem rozległe równiny.

- Nie wiem. - Zgrzytnęła zębami. - Ale muszę go dopaść. - Wyrwała ramię z dłoni Richarda i ruszyła biegiem, wołając przez ramię: - Ubierzcie się!

Chłopak złapał Kahlan za nadgarstek i wyciągnął ją z wody. Włożyła spodnie, złapała trochę swoich rzeczy i ruszyła za Cara. Richard, wciągając spodnie na mokre nogi, wyciągnął ramię, chwycił Kahlan za pas i zatrzymał.

- Co ty wyprawiasz? - spytał, szarpiąc się ze spodniami wolną ręką. - Zostań przy mnie.

Dziewczyna wyrwała pas spodni z jego palców.

- Nie masz swojego miecza, a ja jestem Matką Spowiedniczką. Trzymaj się za mną, lordzie Rahlu.

Jeden człowiek nie stanowił zagrożenia dla Spowiedniczki. Przed jej mocą nie było obrony. Pozbawiony oręża Richard był bardziej narażony na niebezpieczeństwo niż Kahlan.

Wyłącznie strzała lub włócznia mogła powstrzymać Spowiedniczkę przed dotknięciem mocą osoby, do której wystarczająco blisko podeszła. Owo dotknięcie spajało ją z porażonym magią, której nie można już było powstrzymać. Nie można też było cofnąć jej skutków.

To było równie ostateczne jak śmierć. I w pewnym sensie było śmiercią.

Człowiek dotknięty magią Spowiedniczki na zawsze przestawał być sobą. Należał do tej, która go poraziła.

Kahlan, w przeciwieństwie do Richarda, wiedziała, jak się posługiwać swoją mocą. W uznaniu dla jej mistrzostwa mianowano ją Matką Spowiedniczką.

Chłopak burknął coś, zdeglustowany, zapiął szeroki pas z sakiewkami i pobiegł za dziewczyną. Dogonił ją i przytrzymał jej koszulę, żeby mogła wsunąć ręce w rękawy, nie zwalniając tempa. Sam pozostał tylko w spodniach. Zatrzasnął klamrę pasa. Poza tym miał jedynie nóż.

Biegli przez płataninę płytkich strumyków, ścigając wśród traw czerwoną plamę. Kahlan potknęła się, przecinając strumyk, ale zdołała się utrzymać na nogach. Pomogła jej dłoń Richarda. Dziewczyna wiedziała, że



to niezbyt dobry pomysł gnać tak na złamanie karku i do tego boso po nieznannej okolicy, lecz wspomnienie krwi na twarzy Cary nie pozwoliło jej zwolnić.

Cara była kimś więcej niż tylko ich przyboczną strażniczką. Była ich przyjaciółką.

Przecięli kilka sięgających do kostek strumyków, przemknęli przez dzielące je trawy. Kahlan znalazła się nad sadzawką, lecz było już za późno na zmianę kierunku - skoczyła i z trudem udało się jej wylądować na drugim brzegu. Dłoń Richarda ponownie podtrzymała ją i dodała jej otuchy.

Kiedy tak biegli przez trawy i pokonywali strumienie, Kahlan dostrzegła zbliżającego się z lewej łowcę. To nie był Juni.

Zorientowała się, że nie ma za nią Richarda, i w tej samej chwili usłyszała jego gwizd. Zatrzymała się, pośliznęła na mokrej trawie i podparła dłonią. Stał w strumieniu, nieco z tyłu. Włożył dwa palce do ust i znów zagwizdał, tym razem dłużej i głośniej. Przenikliwy, ostry dźwięk zburzył ciszę równin. Kahlan zobaczyła, że Cara i łowca odwracają się ku miejscu, z którego dobiegał gwizd, i spieszą ku nim.

Dziewczyna, z trudem łapiąc powietrze, potruchtała ku Richardowi. Przyklęknął w płytkiej wodzie, wsparł ramię o zgięte kolano i pochylił się.

W strumyku, twarzą w dół, leżał Juni. Woda była tak płytka, że nawet nie zakrywała mu głowy.

Kahlan opadła na kolana obok Richarda, odgarnęła z oczu mokre włosy i starała się uspokoić oddech, a chłopak obrócił żyłastego łowcę na plecy. Dziewczyna nie dostrzegła Juniego. Błoto i trawa, którą obwiązywali się łowcy, spełniły swoje zadanie i ukryły go. Przynajmniej przed Kahlan.

Juni wydawał się mały i kruchy, kiedy Richard uniósł jego barki, żeby wyciągnąć ciało z lodowatej wody. Ruchy chłopaka były niespieszne. Ostrożnie ułożył łowcę na trawie obok strumienia. Kahlan nie dostrzegła ani ran, ani krwi. Ręce i nogi wyglądały normalnie. Podobnie szyja.

Szkliste oczy Juniego nawet po śmierci miały osobliwy, tęskny i pożądlivy zarazem wyraz.

Nadbiegła Cara i skoczyła ku łowcy, ale zatrzymała się gwałtownie, dostrzegłszy jego martwe spojrzenie.

Jeden z ludzi Chandalena przedarł się przez trawy, równie zdyszany jak Mord-Sith. Zaciskał w dłoni łuk. Strzała była już nasadzona. Kciukiem

drugiej dłoni zaciskał w jej wnętrzu nóż, a dwoma innymi palcami podtrzymywał strzałę i napinał cięciwę.

Juni nie miał broni.

- Co się stało Juniemu? - zapytał łowca, wodząc wzrokiem po równinach w poszukiwaniu zagrożenia.

Kahlan potrząsnęła głową.

- Musiał upaść i uderzyć się w głowę - odparła.

- A jej? - Łowca skinął głową ku Carze.

- Jeszcze nie wiemy - powiedziała Kahlan, patrząc, jak Richard zamyka oczy Juniemu. - Dopiero co go znaleźliśmy.

- Wygląda, jakby tu był jakiś czas - odezwała się Cara do Richarda.

Kahlan pociągnęła ją za czerwony uniform i Mord-Sith posłusznie przysiadła na piętach. Dziewczyna rozsunęła jej jasne włosy i obejrzała ranę. Nie wyglądała zbyt groźnie.

- Co się stało, Caro? Co się dzieje?

- Jesteś poważnie ranna? - spytał w tej samej chwili Richard.

Cara dała mu znak, że to drobiazg, ale nie protestowała, kiedy Kahlan nabrała wody w dłoń i poliała nią ranę przy jej skroni. Richard wyrwał pęk trawy i podał Kahlan.

- Spróbuj tym.

Twarz Cary, wcześniej zaczerwieniona z wściekłości, stała się kredowobiała.

- Nic mi nie jest.

Kahlan nie była tego taka pewna. Mord-Sith nie wyglądała zbyt dobrze. Matka Spowiedniczka przyłożyła mokry pęk trawy do czoła rannej, a dopiero potem otarła krew. Cara siedziała spokojnie.

- Cóż się stało? - zapytała Kahlan.

- Nie wiem - odparła Cara. - Miałam akurat sprawdzić jego posterunek, a tu on nadszedł strumieniem. Pochylony, jakby się czemuś przyglądał. Zawołałam go. Zapytałam, gdzie się podziała jego broń. No wiecie, gestami, jak on w wiosce. Udawałam, że napinam łuk, żeby pojął, o co mi chodzi. - Mord-Sith z niedowierzaniem potrząsnęła głową. - A on mnie zignorował. Znow zaczął się wpatrywać w wodę. Pomyślałam, że opuścił posterunek, by złapać jakąś głupią rybę, ale nie dostrzegłam niczego w wodzie. Nagle skoczył do przodu, jakby ta jego ryba chciała uciec. - Cara znow się

zaczerwieniła. - Patrzyłam w bok, sprawdzając okolicę. Uderzył mnie nagle i zwałił z nóg. Grzmotnęłam głową w skałę. Nie wiem, jak długo trwało, nim odzyskałam przytomność. Nie powinnam mu ufać.

- Wcale nie - odezwał się Richard. - Nie wiemy, co ścigał.

Zjawili się pozostali łowcy. Kahlan uniosła rękę, powstrzymując grad pytań. Kiedy umilkli, przetłumaczyła opowieść Cary. Słuchali zdumieni. To był jeden z ludzi Chandalena. A ludzie Chandalena nie schodzili z posterunku po to, żeby złapać rybę.

- Tak mi przykro, lordzie Rahlu - wyszeptała Cara. - Nie mogę uwierzyć, że zdołał mnie zaskoczyć. Przez jakąś głupią rybę!

Richard, zaniepokojony, położył dłoń na ramieniu Cary.

- Rad jestem, że nic ci się nie stało. Może się lepiej położyć. Nie wyglądasz zbyt dobrze.

- Trochę mnie mdli, i tyle. Odpocznę chwilę i wszystko będzie w porządku. Jak umarł Juni?

- Biegł, musiał się potknąć i upaść - odparła Kahlan. - Niewiele brakowało, żeby i mnie się to przydarzyło. Prawdopodobnie uderzył w coś głową, jak ty, i zemdłał. Na nieszczęście upadł twarzą w wodę i utopił się.

Kahlan właśnie zaczęła to tłumaczyć łowcom, kiedy Richard powiedział:

- Nie wydaje mi się. Dziewczyna przerwała.

- Musiało tak być - stwierdziła.

- Spójrz na jego kolana. Nie są otarte. Jego łokcie też nie. Podobnie dłonie. - Richard odwrócił głowę Juniego. - Żadnych śladów, żadnej krwi. Skoro upadł i stracił przytomność, uderzywszy w coś głową, to czemu nie ma przynajmniej guza? Błoto zostało zdrapane tylko na nosie i brodzie, bo leżał twarzą w żwirze na dnie strumyka.

- Czyli nie uważasz, że się utopił? - zapytała Kahlan.

- Tego nie powiedziałem. Ale nie widzę niczego, co by świadczyło, że upadł. - Przez chwilę przyglądał się ciału. - Istotnie, wygląda, jakby się utopił. Tak przypuszczam. Pytanie tylko dlaczego?

Kahlan przesunęła się w bok, robiąc miejsce łowcom, by przykucnęli przy ciele martwego towarzysza i mogli go dotknąć z żalem i współczuciem.

Rozległe równiny wydały się nagle bardzo samotnym miejscem.

Cara przycisnęła do skroni zwitek mokrej trawy.

- Nawet jeśli porzucił posterunek, by ścigać rybę, w co trudno uwierzyć,

to czemu pozbył się broni? I jak mógł się utopić w takiej płytkiej wodzie, jeśli nie upadł i nie uderzył w nic głową?

Łowcy cicho płakali, gładząc młodą twarz Juniego. Dłoń Richarda przyłączyła się do ich dłoni.

- Bardzo bym chciał wiedzieć, co on ścigał. Co spowodowało taki wyraz jego oczu.

## ROZDZIAŁ 4

Nad trawiastymi równinami zagrzmiało. Odgłos grzmotu odbił się echem w wąskich uliczkach akurat wtedy, gdy Richard, Cara i Kahlan wyszli z chaty, w której ciało Juniego miało być przygotowane do pochówku.

Chata ta nie różniła się niczym od pozostałych chat w wiosce: miała grube, pokryte gliną ściany z błotnych cegieł i strzechę z traw. Tylko dom duchów przykryto dachem z dachówek. Wszystkie okna były pozbawione szyb i tylko niektóre zasłaniał kawałek grubej tkaniny, chroniąc wnętrze przed niepogodą.

Wszystkie chaty miały tę samą brązową barwę, więc łatwo można było sobie wyobrazić, że to wioska pozbawionych życia ruin. Wysokie zioła, hodowane na dary dla złych duchów, rosły w trzech doniczkach stojących na niskim murku, lecz wносиły niewiele życia w uliczkę odwiedzaną głównie przez bezkształtny wiatr.

Dwie kury umknęły im z drogi. Kahlan zebrała włosy, żeby wiatr nie zwiewał ich na twarz. Pospiesznie mijali ich ludzie, niektórzy we łzach, chcący zobaczyć martwego łowcę. To, że trzeba było zostawić Juniego w chacie pachnącej kwaśnym, wilgotnym i gnijącym sianem, jeszcze bardziej pogarszało samopoczucie dziewczyny.

Zaczekali w trójkę, aż zjawi się Nissel, stara uzdrowicielka, i obejrzy ciało. Oznajmiła, że nie sądzi, by kark był skręcony, i że nie widzi żadnych ran mogących być skutkiem upadku. Orzekła, że Juni się utopił.

Richard spytał, jak to się mogło zdarzyć, a Nissel wyglądała na zdumioną tym pytaniem - dla niej najwyraźniej było to całkiem jasne.

Oznajmiła, że śmierć spowodowały złe duchy.

Błotni Ludzie wierzyli, że oprócz duchów przodków, które przywoływali w trakcie narad widzących, od czasu do czasu pojawiały się wśród nich również złe duchy, by domagać się czyjegoś życia jako zadośćuczynienia za niecny postępek. Zgon mógł nastąpić w wyniku choroby, wypadku lub w jakiś zaświatowy sposób. Dla Nissel utonięcie pozbawionego ran człowieka w wodzie o głębokości kilku cali było ewidentnym przypadkiem śmierci, która miała jakąś nadprzyrodzoną przyczynę. A Chandalen i jego łowcy wierzyli Nissel.

Stara uzdrowicielka nie miała czasu na rozmyślania, jakież to występek rozniewał złe duchy. Musiała spieszyć do miłszego zajęcia - pomagała w przyjściu na świat dziecka.

Kahlan, jako Spowiedniczką, wiele razy odwiedzała Błotnych Ludzi, tak zresztą jak i inne ludy Midlandów. Niektóre krainy zamykały co prawda swoje granice dla obcych, lecz żadna kraina Midlandów - choćby nie wiadomo jak zamknięta, odosobniona, nieufna czy potężna - nie ośmielała się zamykać granic przed Spowiedniczką. Natomiast Spowiedniczki dbały między innymi o to, by stawało się zadość sprawiedliwości - czy podobało się to władcom czy nie.

Przed Naczelną Radą były rzecznikami tych wszystkich, którzy nie mieli w niej swojego głosu. Niektórzy, jak Błotni Ludzie, nie ufali obcym i wcale nie chcieli uczestniczyć w jej obradach. Pragnęli, by zostawiono ich w spokoju. Kahlan dbała, żeby respektowano ich życzenia. A głos Matki Spowiedniczki w Naczelnej Radzie był rozstrzygający, stanowił prawo.

Oczywiście, to wszystko się zmieniło.

Tak jak w przypadku innych ludów Midlandów, Kahlan uczyła się nie tylko języka Błotnych Ludzi, lecz także ich wierzeń. W Wieży Czarodzieja w Aydindril znajdowały się księgi dotyczące języków, rządów, wierzeń, kuchni, sztuki i zwyczajów każdego ludu żyjącego w Midlandach.

Dziewczyna wiedziała, że Błotni Ludzie często stawiali dary w postaci ciasteczek ryżowych i bukietów wonnych ziół przed małymi glinianymi figurkami w pustych chatach usytuowanych na północnym skraju wioski. Chaty te pozostawiano do wyłącznego użytku złym duchom, które wyobrażały owe figurki.

Błotni Ludzie wierzyli, że kiedy złe duchy gniewają się i zabierają czyjeś życie, dusza tego człowieka idzie do zaświatów i przyłącza się do dobrych duchów, które czuwają nad plemieniem, pomagając tym samym trzymać złe duchy w szachu. Utrwalało to tylko równowagę pomiędzy światami, toteż Błotni Ludzie byli przekonani, że zło samo się ogranicza.

Było dopiero wczesne popołudnie, a mimo to idący przez wioskę Kahlan, Richard i Cara mieli wrażenie, że jest już zmierzch. Niskie, ciemne chmury kłębiły się tuż nad dachami. Błyskawica uderzyła gdzieś bliżej, oświetlając ściany chat. Niemal natychmiast zahuczał grzmot i wstrząsnął ziemią. Porywisty wiatr rzucał wielkie krople deszczu na głowę Kahlan. Nawet

cieszył ją ten deszcz. Ugasi ogniska. Świąteczne ognie nie powinny płonąć, kiedy umarł człowiek. Deszcz oszczędzi wszystkim przykrego obowiązku gaszenia radosnych ognisk.

Chcąc okazać szacunek, Richard całą powrotną drogę niósł ciało Juniego. Łowcy to pojowali - Juni zmarł, strzegąc Richarda i Kahlan.

Cara jednak szybko doszła do innego wniosku: Juni z obrońcy stał się zagrożeniem. Nie było ważne jak ani dlaczego. Liczyło się tylko to, że stał się zagrożeniem. Postanowiła, iż następnym razem będzie przygotowana na to, że jeden z Błotnych Ludzi może się nagle stać groźny. Richard posprzeczał się z nią o to. Łowcy nie zrozumieli ich słów, lecz wyczuli w nich zdenerwowanie i nie poprosili o tłumaczenie. Chłopak w końcu dał spokój. Cara na pewno miała sobie za złe, że pozwoliła się tak podejść Juniemu. Kahlan ujęła dłoń ukochanego i szli za Mord-Sith, pozwalając jej podążać przodem i wypatrywać niebezpieczeństwa w wiosce przyjaciół, ona zaś skręciła najpierw w jedną uliczkę, potem w drugą i zaczęła prowadzić ich do Zedda i Ann.

Kahlan była przekonana, że Cara się myli, a mimo to czuła niepokój. Widziała, jak Richard rzuca przez ramię badawcze spojrzenia, wiedziała więc, że i on jest niespokojny.

- Co się dzieje? - wyszeptła.

Powiódł wzrokiem po pustej uliczce. Z irytacją potrząsnął głową.

- Czuję na karku czyjeś spojrzenie, a przecież nikogo tu nie ma.

Kahlan też była zaniepokojona, lecz sama nie wiedziała, czy istotnie czuje spojrzenie wrogich oczu, czy też po prostu zasugerowała się słowami Richarda i dlatego ogląda się za siebie. Szła spiesznie mrocznymi zaułkami wśród krzywych chat i rozcierała ramiona pokrywające się gęsią skórą.

Właśnie zaczynało na dobre padać, gdy Cara doprowadziła ich na miejsce. Trzymając Agiel w pogotowiu, obrzuciła badawczym wzrokiem wąską uliczkę, a potem otworzyła drewniane drzwi i pierwsza weszła do środka.

Wiatr zdmuchnął Kahlan włosy na twarz. Zalśniła błyskawica, huknął grzmot. Jedna z kręcących się po uliczce kur, wystraszona błyskawicą i gromem, przemknęła im pod nogami i wpadła przed nimi do chaty.

Niewielki ogień płonął na małym palenisku w rogu skromnej izby. Na drewnianej półce, zamocowanej w pobliżu paleniska z okapem, stało kilka

grubych łożowych świec. Pod półką leżał zapas szczap i pęki trawy. Usiąść można było jedynie na skórze kozła położonej na polepie przed paleniskiem. Wiatr odchyłał zasłaniające okno kawałek materiału i kołysał płomykami świec. Richard zamknął ramieniem drzwi i pchnął zasuwkę, żeby wiatr ich nie otworzył. Izba pachniała świecami, słodkim aromatem trawy płonącej w palenisku i gryzącym dymem, który nie zdołał się wydostać przez wietrznik.

- Powinni być w tylnej izbie - powiedziała Cara, wskazując Agielem ciężką skórę zasłaniającą drugie drzwi.

Kura, kręcąc łebkiem i pogdakując z zadowoleniem, dreptała wokół pomieszczenia, obchodząc jakiś symbol wyrysowany palcem lub patykiem na polepie.

Kahlan od dziecka widywała czarodziejów i czarodziejki, którzy rysowali starożytny symbol reprezentujący Stwórcę, życie, śmierć, dar i zaświaty. Rysowali go w chwilach słodkiej beczynności i w czasach niepokoju. Rysowali, żeby dodać sobie otuchy, przypomnieć o związkach łączących ich ze wszystkim i wszystkimi.

I rysowali, by przywołać magię.

Dla Kahlan był to dodający otuchy talizman z czasów dzieciństwa, okresu, w którym czarodzieje grali z nią w rozmaite gry albo łaskotali ją i gonili po korytarzach Wieży Czarodzieja, a ona zanosila się radosnym śmiechem. Zdarzało się też, że opowiadali jej historie, ona zaś aż wstrzymywała oddech z zachwytem, siedząc na kolanach któregoś z nich, chroniona i bezpieczna.

Był niegdyś czas, nim poddano ją surowej dyscyplinie, kiedy pozwalano Kahlan być dzieckiem.

Wszyscy ci czarodzieje już nie żyli. Wszyscy - poza jednym - oddali życie, by pomóc jej przekroczyć granicę i znaleźć pomoc w walce z Rahlem Posępnym. Ten jeden ją zdradził. Lecz był niegdyś taki czas, kiedy wszyscy byli przyjaciółmi Kahlan, towarzyszami jej zabaw, jej wujkami, nauczycielami, osobami, które podziwiała i kochała.

- Już to wcześniej widziałam - powiedziała Cara, rzuciwszy okiem na rysunek na podłodze. - Rahl Posępny czasami to rysował.

- Nazywają to Grace - odezwała się Kahlan.

Wiatr uniósł płat płótna zasłaniający okno i blask błyskawicy oświetlił narysowany na podłodze Grace.



Richard otworzył usta, ale zmilczał i o nic nie zapytał. Patrzył na kureę dziobiącą podłogę w pobliżu skóry, która zasłaniała wejście do tylnej izby.

- Otwórz drzwi, Caro.

Posłuchała i chłopak zamachał rękami, zęby wypłoszyć ptaka. Ten trzepocąc w przerażeniu skrzydłami, miotał się to tu, to tam i starał się ominąć Richarda. Nie zamierzał przebiec przez izbę do otwartych drzwi. Poszukiwacz przestał machać rękami, wsparł się pod boki i ze zdumieniem patrzył na kureę. Czarne plamki, które przyszyły białe i brązowe pióra, nadawały jej niesamowity wygląd. Ruszył ku niej, próbując przepędzić ją przez izbę, a kura żałośnie zaskrzeczała. Zanim dotarła do rysunku na podłodze, zagdakała przeraźliwie, zatrzepotała skrzydłami w panice i skręciła w bok. Pobieгла wzdłuż ściany izby i wreszcie wypadła na zewnątrz. Zadziwiające, że ptak był tak przerażony, iż nie potrafił pofrunąć prosto do otwartych drzwi.

Cara zatrzasnęła drzwi za kura.

- Jeszcze nie widziałam zwierzęcia głupszego od kury - prychnęła Mord-Sith.

- Cóż to za zamieszanie? - rozległ się znajomy głos.

Z tylnej izby wyszedł Zedd. Był wyższy niż Kahlan, ale nie tak wysoki jak Richard - chyba wzrostu Cary. Masa siwych, sterczących na wszystkie strony włosów sprawiała, że wydawał się wyższy, niż był w istocie. Ciężkie bordowe szaty z czarnymi rękawami i wutowanymi ramionami powodowały, że koścista postać czarodzieja wyglądała masywniej. Mankiety zdobiły trzy srebrne brokatowe obszywki. Szerszy pas złotego brokatu otaczał wycięcie przy szyi i spływał w dół przodem szaty. Talię Zedda okalał czerwony atłasowy pas ze złotą klamrą.

Zedd zawsze ubierał się skromnie. Ten nowy, paradny strój był zadziwiający u czarodzieja jego rangi. Ozdobne szaty oznaczały, że osoba z darem jest zaledwie nowicjuszem. Natomiast w przypadku ludzi pozbawionych daru podobne szaty dawały do zrozumienia, że to ktoś szlachetnie urodzony lub bogaty kupiec. Z tego właśnie względu Zedd doceniał przydatność takiego przebrania, chociaż nie lubił ozdobnych strojów.

Richard i Zedd wyściskali się radośnie. Śmiali się, zadowoleni, że znów są razem. Długo się nie widzieli.

- Skąd masz takie szaty, Zeddzie? - zapytał chłopak, odsuwając dziadka na długość ramienia, jeszcze bardziej zaskoczony jego ubiorem niż Kahlan.

Czarodziej uniósł kciukiem złotą klamrę, żeby wnuk mógł się jej dobrze przyjrzeć. W orzechowych oczach tańczyły iskierki.

- To złota klamra, naprawdę. Zbytńia przesada?

Ann uniosła skórzaną zasłonę i weszła do izby. Niska i pulchna, miała na sobie pozbawioną ozdób, ciemną wełnianą suknię, która stanowiła symbol jej władzy nad Siostrami Światła - czarodziejkami ze Starego Świata. Chociaż pozwoliła Siostrze wierzyć, że została zabita, dzięki czemu mogła swobodnie zajmować się poważnymi sprawami. Wyglądała na rówieśnicę Zedda, ale Kahlan wiedziała, że jest od niego o wiele starsza.

- Przestań się pyszczyć, Zeddzie - powiedziała Ann. - Czekają na nas obowiązki.

Czarodziej łypnął na nią gniewnie. Odwzajemniła się tym samym. Widząc to, Kahlan zaczęła się zastanawiać, jak tych dwoje mogło wspólnie podróżować i ograniczać się tylko do słownych potyczek. Dziewczyna dopiero poprzedniego dnia poznała Ann, lecz Richard, mimo okoliczności, w jakich ją spotkał, bardzo szanował Ksienię.

Stary czarodziej przyjrzał się strojowi wnuka.

- Przyznam, chłopcze, że i ty wyglądasz niczego sobie. Richard był wcześniej leśnym przewodnikiem i zawsze nosił się skromnie, a Zedd jeszcze nigdy nie widział go w nowych szatach. Chłopak znalazł większość stroju swoich poprzedników w Wieży Czarodzieja. Najwyraźniej niektórzy czarodzieje, być może jako ostrzeżenie, nosili niegdyś strojniesze szaty.

Czarne wełniane spodnie były wpuszczone w cholewy czarnych butów, a te opasane rzemieniami nabijanymi srebrnymi blaszkami, na których wryto geometryczne wzory. Na czarną koszulę chłopak wdział czarną, rozciętą po bokach tunikę obramowaną złotą taśmą i pokrytą różnymi symbolami. Jego talię otaczał szeroki skórzaný pas, na którym wytłoczono srebrne znaki. Po jego bokach zwisały dwie złociste sakiewki, przytroczono też do niego mały skórzaný mieszek. Na obu nadgarstkach nosił podbite skórą srebrne obręcze z przymocowanymi do nich pierścieniami, które również ozdobiono owymi osobliwymi symbolami. Szerokie ramiona okrywała wspaniała peleryna utkana ze złotych nici. Nawet bez miecza wyglądał imponująco i złowieszczo zarazem. Był królewski i nieubłagany.

Był władcą królów. Ucieleśnieniem miana, które nadała mu przepowiednia, miana dawcy śmierci. A Kahlan wiedziała, że wciąż ma to samo szlachetne i dobre serce leśnego przewodnika. Wrodzona, naturalna szczerłość Richarda nie tylko nie umniejszała, lecz wręcz przeciwnie - uwiarygodniała sprawiane przezeń wrażenie.

Groźny wygląd chłopaka był pod wieloma względami złudny. Dla wrogów był srogi i nieustępliwy, jednak Kahlan wiedziała, że w istocie jest niezwykle prawy, wyrozumiały i uprzejmy. Nie знаła nikogo bardziej szlachetnego i pełnego współczucia. Uważała, że Richard jest najwspanialszym ze znanych jej ludzi.

Ann uśmiechnęła się szeroko do Kahlan i dotknęła jej twarzy, zupełnie jakby kochająca babcia witała się z ulubioną wnuczką. Dziewczyna odczuła szczerłość i serdeczność tego gestu. Ksieni, z roziskrzonymi oczami, przywitała się tak samo z Richardem. Potem związała siwe włosy w luźny kok na szyi i dorzuciła do ognia niewielki pęk trawy.

- Mam nadzieję, że pierwszy dzień po ślubie macie przyjemny?

Kahlan spojrzała przelotnie w oczy Richarda.

- Rankiem poszliśmy się wykąpać w gorących źródłach - powiedziała i oboje przestali się uśmiechać. - Umarł jeden z pilnujących nas łowców.

Na te słowa i Ann, i Zedd nadstawili uszu.

- Jak umarł? - spytała Ann.

- Utopił się. - Richard poprosił wszystkich gestem, by usiedli. - Strumyk jest płytki, a o ile wiemy, łowca ani się nie potknął, ani nie przewrócił. - Cała czwórka usiadła wokół Grace narysowanego na polepie pierwszej izby. Chłopak wskazał za siebie kciukiem: - Zanieśliśmy go do stojącej tam chaty.

Czarodziej spojrzał za ramię Richarda, jakby przenikał wzrokiem ściany i mógł dojrzeć ciało Juniego.

- Obejrzę go. - Zerknął na Carę opartą plecami o drzwi. - Co się twoim zdaniem wydarzyło?

Mord-Sith odparła bez wahania:

- Uważam, że Juni stał się niebezpieczny. Szukał lorda Rahla, żeby go skrzywdzić, a wtedy upadł i się utopił.

Zedd uniósł brwi. Popatrzył na Richarda.

- Niebezpieczny?! Czemuż miałby się zwrócić przeciwko tobie?!

Chłopak groźnie łypnął przez ramię na Mord-Sith.

- Cara się myli. On nie chciał nam zrobić nic złego. - Zadowolony, że Mord-Sith nie protestuje, znów zerknął na dziadka. - Kiedy go znaleźliśmy, miał dziwny wyraz oczu. Nim umarł, zobaczył coś, co pozostawiło na jego twarzy ten wyraz... bo ja wiem... tęsknoty. Uzdrowicielka Nissel obejrzała ciało. Powiedziała, że nie ma żadnych ran i że się utopił. - Richard wsparł się o kolano i pochylił. - Utopił się, Zeddzie, w sześciu calach wody. Nissel powiedziała, że zabiły go złe duchy.

Czarodziej jeszcze wyżej uniósł brwi.

- Złe duchy?

- Błotni Ludzie wierzą, że złe duchy zjawiają się czasem i odbierają życie któremuś z mieszkańców wioski - wyjaśniła Kahlan. - Dlatego zostawiają dary przed glinianymi figurkami w stojących tam chatach. - Skinieniem głowy wskazała na północ. - Najwyraźniej sądzą, że ciasteczka ryżowe potrafią je udobruchać. Jakby złe duchy jadły lub można je było łatwo przekupić.

Na zewnątrz ulewa smagała chaty. Woda ściekała po ścianie pod oknem i przesączała się przez trawiastą strzechę. Rozlegające się nieustannie grzmoty zastąpiły milczące teraz bębny.

- Ach, rozumiem - odezwała się Ann. Jej uśmiech wydał się Kahlan dziwny. - Uważasz, że ślub u Błotnych Ludzi był lichy w porównaniu z pompą, jaką miałybyś w Aydindril, hmm?

Kahlan, zdumiona, zmarszczyła brwi.

- Ależ nie. To był najwspanialszy ślub, jaki moglibyśmy sobie wymarzyć.

- Naprawdę? - Ksieni zamaszystym ruchem ręki wskazała otaczającą ich wioskę. - Ludzie w jaskrawych sukniach i zwierzęcych skórach? Z włosami umazanymi błotem? Gołe dzieciaki biegające tu i tam, śmiejące się i bawiące podczas tak poważnej ceremonii? Mężczyźni o twarzach pokrytych przerażającymi błotnymi maskami, którzy tańczą i tańcem opowiadają historie o zwierzętach, łowach i wojnach? To według ciebie jest wspaniały ślub?

- Nie... nie to miałam na myśli - wyjąkała Kahlan. - To ich serca czyniły tę uroczystość czymś wyjątkowym. Szczerze podzielali naszą radość i właśnie to było dla nas takie ważne. Poza tym, cóż to ma wspólnego z ofiarowywaniem ciasteczek ryżowych wyimaginowanym złym duchom?

Ann czubkiem palca poprawiła jedną z linii Grace - tę, która

symbolizowała zaświaty.

- Kiedy mówisz: „Dobre duchy, czuwajcie nad duszą mojej zmarłej matki”, to oczekujesz, że one raz-dwa to uczynią, bo wypowiedziałas takie życzenie?

Kahlan poczuła, że się rumieni. Często prosiła dobre duchy, żeby czuwały nad duszą jej matki. Zaczynała pojmować, dlaczego Ksieni tak irytuje Zedda. Richard pospieszył dziewczynie z pomocą.

- Modlitw nie uważa się za bezpośrednią prośbę, bo wiemy, że duchy nie działają w tak prosty sposób. Modły mają przekazać płynącą z serca miłość oraz nadzieję na spokój duszy matki w tamtym świecie. - Przesunął palcem wzdłuż tej samej linii co Ann. - Podobnie jak modlitwy za moją matkę - dodał szeptem.

Uśmiech rozciągnął policzki Ksieni.

- Otóż to, Richardzie. Nie sądzisz, że Błotni Ludzie nie są tak niemądrzy, by starać się przekupić ciasteczkami ryżowymi potężne moce, w które wierzą i których się obawiają?

- Ważny jest akt składania darów - stwierdził Richard. Jego niezmacony spokój powiedział Kahlan, że chłopak nauczył się panować nad sobą.

Poza tym dziewczyna pojęła, co miał na myśli.

- Ułagodzić nieznaną ma błaganie zanoszone do sił, których Błotni Ludzie się obawiają.

Ann uniosła palec.

- Tak. Sam dar tak naprawdę ma jedynie znaczenie symboliczne, ma wyrażać hołd i posłuszeństwo mocy, którą chcą sobie zjednać. - Opuściła palec. - Czasami uprzejme przyznanie racji wystarczy, żeby powstrzymać przeciwnika, czyż nie?

Richard i Kahlan zgodzili się z nią.

- Lepiej zabić przeciwnika i raz na zawsze mieć z nim spokój - parsknęła od drzwi Cara.

Ann zachichotała i odchyliła się do tyłu, żeby spojrzeć na Mord-Sith.

- Czasami, moja droga, twoje rozwiązanie ma swoje zalety.

- A jak zabiłabyś złe duchy? - Piskliwy głos Zedda przebił się przez szum deszczu.

Cara nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko gniewnie spojrzała na czarodzieja.

Richard nie słuchał ich. Wpatrzony w narysowany na polepie Grace, powiedział:

- I podobnie, brak szacunku może... rozgniewać złe duchy. Kahlan już miała go zapytać, dlaczego nagle tak poważnie traktuje złe duchy Błotnych Ludzi, kiedy Zedd lekko dotknął jej nogi. Spojrzeniem nakazał dziewczynie milczenie.

- Niektórzy tak właśnie sądzą, Richardzie - powiedział spokojnie.

- Dlaczego narysowałeś ten symbol, Grace? - zapytał chłopak.

- Ann i ja posłużyliśmy się nim przy ocenie kilku spraw. Niekiedy Grace może być bezcenny. Jest zarazem prosty i niezwykle złożony. Nauce o Grace można poświęcić całe życie, lecz - jak nauka chodzenia - i ona zaczyna się od pierwszego kroku. Urodziłeś się z darem, więc uznaliśmy, że to najlepszy czas, by cię w tę naukę wprowadzić.

Dar Richarda był dla niego zagadką. Teraz, kiedy znów miał przy sobie dziadka, chciał dociec tajemnic swego wrodzonego daru i przynajmniej zacząć się zapoznawać z władaniem ową mocą. Kahlan pragnęła, by mieli czas, którego Richard do tego potrzebował, lecz tak, niestety, nie było.

- Zeddzie, naprawdę powinieneś obejrzeć ciało Juniego.

- Deszcz zaraz przestanie padać i wtedy tam pójdziemy - uspokajał czarodziej.

Richard przesunął palcem po linii symbolizującej dar, symbolizującej magię.

- Skoro to pierwszy i tak ważny krok - zapytał sarkastycznie Ann - to dlaczego Siostry Światła nie starały się nauczyć mnie czegoś o Grace, kiedy zabrały mnie do Pałacu Proroków w Starym Świecie? Kiedy miały po temu okazję?

Kahlan wiedziała, jak szybko Richard staje się nieufny i ostrożny, gdy czuje, że ktoś próbuje go wziąć na smycz, choćby nie wiem jak łagodnie czy w najlepszych intencjach. Siostry Ann włożyły mu niegdyś obrożę.

Ksieni zerknęła ukradkiem na Zedda.

- Siostry Światła nigdy wcześniej nie próbowały uczyć kogoś takiego jak ty, osoby mającej wrodzony dar zarówno magii subtraktywnej, jak i addytywnej. - Starannie dobierała słowa. - Niezbędna była rozwaga i ostrożność.

Richard subtelnie zmienił ton. Teraz to on wypytywał innych.

- Ale obecnie jesteś zdania, że powinienem się uczyć o tych tam Grace?
- Niewiedza również jest niebezpieczna - oznajmiła Ann tajemniczo.

## ROZDZIAŁ 5

Zedd nabrał w dłoń suchej ziemi z polepy.

- Ann lubi dramatyzować - poskarżył się. - Już dawno zacząłbym cię uczyć o Grace, Richardzie, ale nas rozdzielono.

Słowa dziadka, a może i Ann, uśmierzyły obawy chłopaka. Odprężył się, rozluźnił napięte mięśnie barków i szyi, a czarodziej kontynuował:

- Grace może wydaje się nieskomplikowany, lecz symbolizuje jedność wszystkiego. Rysuje się go tak. - Zedd uklęknął i pochylił się do przodu. Z wielką wprawą sączył z pięści wysuszoną ziemię, obrysowując symbol widniejący już na polepie. - Zewnętrzny krąg przedstawia początek zaświatów, bezkresnego świata zmarłych. Poza tym kręgiem, w zaświatach, jest jedynie wieczność. Właśnie dlatego Grace zaczyna się w tym miejscu. Tworzenie zaczyna się tam, gdzie nic nie istnieje.

Wewnątrz koła widniał kwadrat, którego wierzchołki dotykały okręgu. W owym kwadracie zaś wyrysowano drugi, wewnętrzny okrąg stykający się z jego bokami. W wewnętrznym kręgu tkwiła ośmioramienna gwiazda. Na ostatku rysowano linie wychodzące z wierzchołków ramion gwiazdy - przecinały oba okręgi i dzieliły na połowy kąt kwadratu.

Kwadrat symbolizował zasłonę oddzielającą zewnętrzny krąg świata duchów - zaświaty, świat zmarłych - od kręgu wewnętrznego, który wyznaczał granice świata żywych. Pośrodku znajdowała się gwiazda symbolizująca Światło - Stwórcę - z promieniami jego magicznego daru wychodzącymi ze Światła i przenikającymi wszelkie granice.

- Już to wcześniej widziałem. - Richard oparł nadgarstki o kolana.

Srebrne obręcze pokrywały osobliwe symbole, lecz wewnątrz widać było małe Grace. Kahlan nigdy wcześniej ich nie zauważyła, bo wykreślono je od strony przegubów.

- Grace - powiedział Richard - przedstawia kontinuum daru symbolizowanego przez promienie. Ciągną się one od Stwórcy, poprzez życie i śmierć, przenikają przez zasłonę w wieczność dziedziny Opiekuna, zaświaty. - Przeciągnął kciukiem po znakach na jednej z obręczy. - To zarazem symbol nadziei na pozostanie w Świetle Stwórcy od narodzin, poprzez życie i w życiu pozagrobowym, w zaświatach.



Zedd aż zamrugał ze zdumienia.

- Znakomicie, Richardzie. Ale skąd ty to wszystko wiesz?!

- Nauczyłem się pojmować żargon symboli i trochę poczytałem o Grace.

- Żargon symboli...? - Kahlan wiedziała, że Zedd z trudem panuje nad sobą. - Powinieneś wiedzieć, mój chłopcze, że Grace może wywołać najrozmaitsze skutki. Jeśli się go narysuje czymś tak niebezpiecznym jak piasek czarnoksiężnika lub wykorzysta w inny sposób, może mieć poważne następstwa...

- Czyli na przykład zmienić sposób, w jaki światy na siebie oddziałują i spowodować ich kres - dokończył Richard, po czym podniósł wzrok. - Trochę o tym czytałem.

Czarodziej przysiadł na piętach.

- Powiedziałbym, że więcej niż trochę. Chcę, żebyś nam opowiedział o wszystkim, co robiłeś od czasu, gdy cię ostatnio widziałem. - Pogroził mu palcem. - Absolutnie wszystko.

- Co to jest Fatal Grace? - odpowiedział pytaniem chłopak. Zedd pochylił się do przodu, tym razem naprawdę zdumiony.

- Cooo?

- Fatal Grace - szepnął Richard, wodząc wzrokiem po rysunku na polepie.

Kahlan, podobnie jak Zedd, nie miała pojęcia, o czym Richard mówi, lecz była przyzwyczajona do takiego zachowania chłopaka. Czasami widywała go w takim stanie - zupełnie, jakby się znajdował gdzie indziej - zadającego dziwaczne pytania i roztrząsającego jakiś mglisty, tajemniczy dylemat. Tak postępował Poszukiwacz Prawdy. Był to również dla niej sygnał, że Richard uważa, iż coś jest naprawdę nie w porządku. Poczła gęsią skórę.

Dziewczyna dostrzegła, że Ann zmarszczyła czoło. Zedd walczył ze sobą, powstrzymując tysiące pytań, ale Kahlan wiedziała, że i on był przyzwyczajony do tego, iż Richard z niewytłumaczalnych powodów zatapia się w myślach i zadaje nieoczekiwane pytania. Czarodziej robił co w jego mocy, żeby powściągnąć swoją ciekawość.

Zedd rozmasował opuszkami pobrużdżone czoło i głęboko odetchnął, żeby uzbroić się w cierpliwość.

- Kurczę, Richardzie, nigdy me słyszałem o czymś takim jak Fatal Grace. Gdzieś to usłyszał?

- Po prostu gdzieś to przeczytałem - mruknął Richard. - Mógłbyś wznieść

na nowo granicę, Zeddzie? Przywołać ją tak jak przed moimi narodzinami?

Czarodziej zmarszczył z irytacją brwi.

- Czemuż miałbym...

- Żeby odgrodzić Stary Świat i zakończyć wojnę. Zaskoczony Zedd otworzył usta, a potem szeroki uśmiech rozciągnął jego policzki.

- Znakomicie, Richardzie. Będiesz wspaniałym czarodziejem, który zawsze myśli o tym, jak wykorzystać magię, by zapobiegać krzywdom i cierpieniom. - Uśmiech zniknął. - Dobry pomysł, zaiste, lecz niestety nie mogę zrobić tego raz jeszcze.

- Dlaczego?

- To był czar trójkowy. Znaczy to, że chroniła go trójka taka i trójka inna. Potężne czary są zazwyczaj dobrze chronione, a zakaz trójkowy jest zaledwie jednym z wielu sposobów nie pozwalających na zbyt łatwe uwolnienie niebezpiecznej magii. Czar granicy był jednym z takich niebezpiecznych czarów. Znalazłem go w starożytnej księdze z czasów wielkiej wojny. Widzę, że odziedzyczyłeś po dziadku zainteresowanie starymi księgami, księgami pełnymi osobliwych rzeczy. - Zmarszczył brwi. - Różnica polega na tym, że ja uczyłem się całe życie i wiedziałem, co robię. Znałem niebezpieczeństwa i sposoby pozwalające ich uniknąć lub je zminimalizować. Znałem swoje możliwości i ograniczenia. To olbrzymia różnica, chłopcze.

- Były tylko dwie granice - upierał się Richard.

- Cóż, Midlandy zostały wplątane w przerażającą wojnę z D'Hara. - Zedd usiadł ze skrzyżowanymi nogami i opowiadał. - Pierwszą z trójek wykorzystałem, żeby dowiedzieć się, jak ożywić ów czar, jak on działa i jak go rzucić. Drugą, żeby oddzielić Midlandy od D'Hary i zakończyć wojnę. Ostatnią zaś, żeby oddzielić Westland dla tych, którzy pragnęli życia pozbawionego magii, i tym samym zapobiec powstaniu przeciwko osobom z magicznym darem.

Kahlan trudno było sobie wyobrazić, jaki byłby świat bez magii. Sam ten pomysł wydawał się jej niezrozumiały i ponury, wiedziała jednak, że są ludzie, którzy niczego tak nie pragną, jak życia bez żadnego kontaktu z magią. Westland, choć niezbyt rozległy, umożliwiał im to. Przynajmniej przez jakiś czas, bo teraz już nie.

- Nie będzie już granic. - Zedd wyrzucił górę ramiona. - Otóż to.

Minął niemal rok od chwili, gdy Rahl Posępny doprowadził do

zaniknięcia granic i trzy krainy znów się połączyły. Szkoda, że pomysł Richarda był nie do zrealizowania, że nie można było odciąć Starego Świata i zapobiec wojnie w Nowym Świecie. Ocaliłoby to życie mnóstwa ludzi, którzy zginą w rozpoczynającej się właśnie walce.

- Czy ktoś z was - przerwała milczenie Ann - wie, gdzie jest Prorok? Gdzie jest Nathan?

- Ja go ostatnio widziałam - odezwała się Kahlan. - Pomógł mi uratować Richarda. Wręczył mi księgę wykradzioną ze Świątyni Wichrów i podał magiczne słowa potrzebne do jej zniszczenia i utrzymania Richarda przy życiu, dopóki nie wydobrzeje z zarazy.

Ann zrobiła minę wilka, który już-już miał dopaść smaczny kąsek.

- Gdzież może teraz być?

- Widziałam go w Starym Świecie. Była tam też Siostra Verna. Właśnie zamordowano na oczach Nathana kogoś, na kim mu bardzo zależało. Powiedział, że czasami proroctwo niweczy nasze zamiary obejścia go i że niekiedy uważamy się za sprytniejszych, niż w istocie jesteśmy, gdy sądzimy, iż unikniemy przeznaczenia, jeśli bardzo tego zapagniemy. - Kahlan wodziła palcem po polepie. - Odjechał ze swoimi ludźmi, Walshem i Bollesdunem, mówiąc, że oddaje Richardowi tytuł lorda Rahla. Powiedział Vernie, by oszczędziła sobie wysiłków tropienia go. Dorzucił, że i tak by się to jej nie udało. - Dziewczyna spojrzała w oczy Ann, nagle pełne żalu. - Myślę, że Nathan odszedł, by zapomnieć o tym, co skończyło się tej nocy. Żeby zapomnieć o osobie, która mu pomogła i oddała za to życie. Nie wydaje mi się, byś go odnalazła, dopóki sam tego nie zechce.

Zedd uderzył dłońmi o kolana, burząc milczenie.

- Chcę wiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się od chwili, kiedy cię ostatni raz widziałem, Richardzie. Od początku minionej zimy. Chcę znać calutką historię. Niczego nie pomijaj, szczegóły są bardzo ważne. Możesz tego nie pojmować, lecz szczegóły mogą mieć zasadnicze znaczenie. Muszę się wszystkiego dowiedzieć.

Richard patrzył na dziadka wystarczająco długo, by dojrzeć na jego twarzy wyraz pełnego napięcia oczekiwania.

- Przykro mi, Zeddzie, ale nie mamy na to czasu. Kahlan, Cara i ja musimy wracać do Aydindril.

Ann skubała guzik przy kołnierzyku. Kahlan pomyślała, że Ksieni kończy

się cierpliwość.

- Przecież możemy zacząć teraz i kontynuować w trakcie podróży.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo chcielibyśmy z wami zostać, ale nie ma czasu na taką podróż - oznajmił Richard. - Musimy szybko wracać. Pójdziemy do sylfy. Przykro mi, naprawdę, lecz wy nie możecie skorzystać z nami z podróży sylfą. Musicie sami jechać do Aydindril. Porozmawiamy, gdy tam dotrzecie.

- Sylfa? - Zedd zmarszczył nos. - O czym ty mówisz? Richard nie odpowiedział, chyba nawet nie usłyszał. Obserwował zasłonięte płótnem okno.

- Sylfa to... - odpowiedziała za niego Kahlan i zamilkła, bo nie wiedziała, jak to wytłumaczyć. - Ona jest jakby z żywego srebra. Może z nami rozmawiać.

- Rozmawiać - powtórzył bezbarwnym głosem Zedd. - O czym mówi?

- To nie słowa są ważne. - Matka Spowiedniczka skubała szew nogawki swoich spodni, patrząc w orzechowe oczy czarodzieja. - Sylfę stworzyli czarodzieje w czasie wielkiej wojny. Oni zmieniali ludzi w oręż. Sylfę stworzyli w podobny sposób. Kiedyś była kobietą. Posłużyli się nią, żeby stworzyć sylfę, istotę, która wykorzystuje magię do podróżowania. Korzystano z niej, by szybko przebywać wielkie odległości. Naprawdę wielkie. Na przykład stąd do Aydindril w jeden dzień. Podobnie do innych miejsc.

Zedd zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Kahlan. Wiedziała, że to musi być dla niego zaskakujące. Bo dla niej na początku było. Taka podróż, nawet konno, zabiera zwykle wiele dni. Albo i tygodni. Dziewczyna położyła dłoń na ramieniu czarodzieja.

- Przykro mi, Zeddzie, lecz ty i Ann nie możecie z nami podróżować. Magia sylfy, jak to nam wcześniej tłumaczyłeś, też ma swoje osłony. To dlatego Richard musiał zostawić swój miecz. Magia miecza jest sprzeczna z magią sylfy. Żeby podróżować sylfą, oprócz magii addytywnej trzeba mieć też choć odrobinę subtraktywnej. Wy nie macie ni iskierki magii subtraktywnej. Ty i Ann umarlibyście w sylfie. W mojej mocy Spowiedniczki jest element magii subtraktywnej, a Cara wykorzystwała możliwości Mord-Sith i przejęła dar Andolianina, w którym była część tej magii. Dlatego może podróżować w sylfie. A Richard ma, oczywiście, dar magii

subtraktywnej.

- Wykorzystywaliście magię subtraktywną?! Ale jak... po co... gdzie... - Zedd aż się zakrztusił i zapomniał, o co chciał najpierw zapytać.

- Sylfa tkwi w tych kamiennych studniach. Richard przywołał ją i teraz możemy w niej podróżować. Lecz musimy być ostrożni, bo Jagang może wysyłać przez sylfę swoich służalców. - Kahlan uderzyła jedną pięścią o drugą. - Kiedy nie podróżujemy, Richard nakazuje sylfle spać. Styka swoje obręcze symbolami Grace i sylfa spotyka się w zaświatach ze swoją duszą. Twarz Ann zszarzała.

- Ostrzegałam cię, Zeddzie. Nie możemy go zostawiać samego. Jest zbyt ważny. A jeszcze doprowadzi do tego, że go zabiją.

Zedd był bliski wybuchu.

- Wykorzystujesz Grace ze swoich obręczy na nadgarstkach?! Kurczę, Richardzie, nie masz pojęcia, co robisz! Majstrujesz przy zasłonie pomiędzy światami!

Richard, zajęty czymś zupełnie innym, pstryknął palcami i wskazał grube kawałki drewna leżące pod ławą. Ponaglająco kiwnął palcem. Zedd, marszcząc brwi, podał mu jeden z nich. Chłopak, nie spuszczając oka z oka, złamał patyk na kolanie.

Rozbłysła błyskawica i Kahlan dostrzegła sylwetkę kury tkwiącej na parapecie za płócienną zasłoną. Błysnęło raz jeszcze, zagrzmiało i kura przesunęła się w drugi kąt okna.

Richard rzucił patykiem.

Trafił ptaka prosto w pierś. Kura zatrzepotała skrzydłami, zaskrzeczała przerażona i spadła.

- Richardzie! - Kahlan chwyciła go za rękaw. - Czemuś to zrobił? Kura nikomu nie przeszkadzała. Biedactwo tylko chowało się przed deszczem.

I tego wydawał się nie słyszeć. Spojrzał na Ann.

- Mieszkałaś wraz z nim w Starym Świecie. Co wiesz o Nawiedzającym Sny?

- Hmm, chyba trochę wiem - wyjąkała zdumiona Ksieni.

- Wiesz, jak Jagang może się wdzierać do czyjegoś umysłu, wślizgiwać między myśli i tkwić tam, nawet bez wiedzy tej osoby?

- Oczywiście. - Niemal oburzyło ją tak podstawowe pytanie dotyczące wroga, z którym walczyli. - Jednak i ty, i ci, których łączy z tobą więź,

jesteście chronieni przed Jagangiem. Nawiedzający Sny nie może się wdrzeć do umysłu osoby oddanej lordowi Rahlowi. Nie znamy powodu, wiemy jedynie, że tak jest.

Richard skinął głową.

- Alric. To jego dzieło.

- Kto? - zdumiał się Zedd.

- Alric Rahl. Jeden z moich przodków. Wyczytałem, że Nawiedzający Sny byli orężem stworzonym trzy tysiące lat temu, podczas wielkiej wojny. Alric Rahl stworzył więź, czar mający chronić przed Nawiedzającymi Sny jego lud i każdego, kto przysięgnie mu wierność. Moc więzi przechodzi na każdego Rahla mającego wrodzony dar.

Zedd otworzył usta, żeby o coś zapytać, lecz Richard znów zwrócił się do Ann:

- Jagang wszedł do umysłu czarodzieja i wysiał go, żeby zabił Kahlan i mnie. Chciał z niego zrobić asasyna.

- Wszedł do umysłu czarodzieja? - Ksieni zmarszczyła brwi. - Kogo? Którego czarodzieja?

- Marlina Pickarda - odparła Kahlan.

- Marlin. - Ann westchnęła i potrząsnęła głową. - Biedny chłopak. Co się z nim stało?

- Matka Spowiedniczka go zabiła - powiedziała twardo Cara. - Jest prawdziwą Siostrą w Agielu.

Ksieni złożyła dłonie na kolanach i nachyliła się ku Kahlan.

- Jak się dowiedziałaś...

- Spodziewamy się, że znów czegoś takiego spróbuje - przerwał jej Richard. - A czy Nawiedzający Sny może wtargnąć do umysłu istoty... która nie jest człowiekiem?

Ann poświęciła temu pytaniu więcej uwagi, niż - zdaniem Kahlan - na nią zasługiwało.

- Nie. Nie sądzę.

- Nie sądzisz. - Richard przechylił w bok głowę. - Zgadujesz czy jesteś pewna? To ważne. Nie zgaduj, proszę.

Ksieni wymieniła z chłopakiem długie spojrzenie i wreszcie potrząsnęła głową.

- Nie. Nie może zrobić czegoś takiego.

- Ann ma rację - potwierdził Zedd. - Wiem wystarczająco dużo o tym, co może uczynić, by mieć również pojęcie o tym, czego nie może. Niezbędna jest dusza. Taka jak jego dusza. W przeciwnym razie to się nie uda. Nie może również wniknąć umysłem w głaz, by się przekonać, o czym ten głaz myśli.

Richard skubał dolną wargę.

- Więc to nie Jagang - mruknął do siebie. Rozdrażniony Zedd przewrócił oczami.

- Co nie jest Jagangiem?

Kahlan westchnęła. Czasami próby nadążania za rozumowaniem Richarda przypominały nabieranie wody sitem.

## ROZDZIAŁ 6

Richard nie odpowiedział na pytanie Zedda. Sprawiał wrażenie zajętego czymś zupełnie innym.

- Demony. Zająłeś się nimi? To podobno miała być prosta sprawa. Zająłeś się tym?

- Prosta sprawa?! - Na tle sterczących na wszystkie strony siwych włosów twarz Zedda wydawała się jeszcze bardziej czerwona. - Kto ci to powiedział?!

- Przeczytałem - odparł zdziwiony tym pytaniem chłopak. - Więc się tym nie zająłeś?

- Ustaliliśmy, że nie ma się czym „zajmować” - odezwała się Ann. W jej głosie pobrzmiwała nutka irytacji.

- Właśnie - burknął Zedd. - Dlaczego powiedziałaś, że to prosta sprawa?

- Kolo napisał, że najpierw byli bardzo zaniepokojeni, lecz zbadali sprawę i stwierdzili, że demony to tylko broń i że łatwo można sobie z nimi poradzić. - Richard wyrzucił ramiona w górę. - Skąd wiesz, że to żaden kłopot? Jesteś tego pewny?

- Kolo? Kurczę, Richardzie, o kim ty mówisz?! Kto to taki ten Kolo?!

Chłopak skinął dłonią, jakby prosił o cierpliwość, wstał i podszedł do okna. Uniósł zasłonę. Kury nie było. Stał na palcach, żeby wyjrzeć w deszcz, a Kahlan odpowiedziała za niego:

- Richard znalazł w wieży pamiętnik. Napisany w gornod'harańskim. Razem zjedna z Mord-Sith, Berdine, która zna trochę ten martwy język, trudzili się nad przekładem. Pamiętnik pisał jeden z czarodziejów mieszkających w wieży podczas wielkiej wojny. Nie znali jego imienia, więc nazwali go Kolo, od gornod'harańskiego słowa oznaczającego „przekonującego doradcę”. Pamiętnik Kolo okazał się nieoceniony.

Zedd odwrócił się i spojrzał podejrzliwie na Richarda. Potem popatrzył na Kahlan.

- A gdzie dokładnie znalazł ten pamiętnik? - zapytał podejrzliwie.

Richard zaczął chodzić po izbie zatopiony w myślach. Przyciskał palce do czoła. Zedd, wpatrzony w Kahlan orzechowymi oczami, cierpliwie czekał na odpowiedź.

- Był w komnacie sylfy. Na ostatnim, dolnym poziomie wielkiej wieży.



- Wielkiej wieży. - Czarodziej oskarżycielsko powtórzył jej słowa. Znow przelotnie zerknął na Richarda. - Tylko mi nie mów, że chodzi o tę zapieczętowaną komnatę.

- Właśnie o nią. Kiedy Richard zniszczył baszty zbudowane pomiędzy Nowym a Starym Światem, by móc tutaj wrócić, zerwał jednocześnie pieczęć zamykającą ową komnatę. To właśnie tam znalazł potem pamiętnik, kości Kolo i sylfę.

Chłopak zatrzymał się przy dziadku.

- Później ci o tym opowiemy, Zeddzie. Teraz chciałbym wiedzieć, dlaczego myślisz, że nie ma tutaj demonów.

- Tutaj? - Kahlan spojrzała na niego, marszcząc brwi. - Co masz na myśli, mówiąc „tutaj”?

- W naszym świecie. Skąd to wiesz, Zeddzie? Czarodziej wskazał puste miejsce w kręgu wokół Grace.

- Usiądź, Richardzie. Chodzisz tam i z powrotem jak psiak domagający się spaceru, a to mnie denerwuje.

Chłopak ponownie sprawdził okno i dopiero wtedy usiadł, Kahlan zaś spytała Zedda:

- Co to takiego te demony?

- Oooh. - Czarodziej wzruszył ramionami. - To po prostu takie dokuczliwe stwory. Ale...

- Dokuczliwe! - Ann uderzyła się w czoło. - Lepiej powiedz, że bardzo niebezpieczne!

- A ja je przywołałam? - spytała zaniepokojona Kahlan. Dziewczyna wymówiła imiona trzech demonów, żeby dopełnić czaru, który miał uratować życie Richardowi. Nie wiedziała, co znaczą te słowa, wiedziała za to, że bez nich jej ukochanemu pozostało zaledwie kilka chwil życia.

Zedd machnął ręką, odpędzając jej obawy.

- Nie, nie. Jak mówi Ann, one mogą być kłopotliwe, ale... Richard podciągnął spodnie na kolanach i skrzyżował nogi.

- Odpowiedz na pytanie, Zeddzie. Skąd wiesz, że ich tutaj nie ma?

- Bo demony są częścią potrójnej struktury. I między innymi dlatego są trzy: Reechani, Sentrosi, Vasi.

Mało brakowało, żeby Kahlan poderwała się na równe nogi.

- Podobno nie wolno głośno wymawiać ich imion!

- Tobie nie wolno. Zwykły człowiek może je wypowiedzieć bez żadnych złych następstw. Ja mogę głośno wymówić ich imiona i wcale ich nie przywołam. Ann też może, Richard również. Lecz nie tacy ludzie jak ty.

- Dlaczego ja nie mogę?

- Bo masz wystarczająco potężny magiczny dar, żeby przywołać je komuś na pomoc. A gdyby nie czar chroniący zasłonę, demony mogłyby na twojej magii „wjechać” do naszego świata. Imiona trzech demonów mają pozostać tajemnicą.

- Więc mogłam je sprowadzić do naszego świata?

- Nie, nie. Istnieje całe mnóstwo nadzwyczajnych zabezpieczeń i precyzyjnie określonych wymagań. - Zedd uniósł palec, uciszając Richarda, nim ten zdążył otworzyć usta, żeby zadać pytanie. - I tak na przykład Kahlan powinna być twoją trzecią żoną. - Czarodziej uśmiechnął się protekcyjnie do chłopaka. - Zadowolony, Panie Czytający Księgi?

Richard odetchnął.

- Znakomicie. - Znów westchnął, a jego twarz przybrała normalną barwę.

- Znakomicie. Jest tylko moją drugą żoną.

- Co takiego?! - Zedd tak gwałtownie wyrzucił w górę ramiona, że o mało co przewróciłby się na plecy. Prychnął, rozeźlony, i obciągnął rękawy. - Co to znaczy, drugą żoną?! Znam cię od twoich narodzin, Richardzie, i wiem, że zawsze kochałeś tylko Kahlan. Czemuż, na Stwórcę, poślubiłeś inną?!

Richard odchrząknął i wymienił z Kahlan pełne smutku spojrzenie.

- To długa historia. W skrócie chodzi o to, że musiałem poślubić Nadine, by móc dostać się do Świątyni Wichrów i powstrzymać zarazę. To dlatego Kahlan jest moją drugą żoną.

- Nadine. - Zedd aż rozdziawił usta i podrapał się po zapadniętym policzku. - Nadine Brighton? Tę Nadine?

- Tak. - Chłopak drapał palcami polepę. - Nadine... umarła krótko po ślubie.

Czarodziej cicho zagwizdał.

- Nadine była miłą dziewczyną, chciała zostać uzdrowicielką. Biedactwo. Jej rodzice będą zrozpaczeni.

- Taaak, biedactwo - mruknęła pod nosem Kahlan. Nadine za wszelką cenę chciała zdobyć Richarda i mało co mogło pohamować jej zapędy. Chłopak wiele razy mówił jej wyraźnie, że między nimi nic nie ma, nie było i

nigdy nie będzie. Chciał, żeby jak najszybciej odeszła. Ku rozpaczy Kahlan Nadine tylko się uśmiechała i mówiła „Jak sobie życzysz, Richardzie”, a potem robiła swoje. Matka Spowiedniczka nigdy nie życzyła tamtej niczego złego, a zwłaszcza tak straszliwej śmierci, lecz nie potrafiła udawać litości dla tej upartej dziewczki, jak Cara nazywała Nadine.

- Czemuś się tak zarumieniła?

Kahlan podniosła wzrok. Przyglądali się jej i Ann, i Zedd.

- Hmm, bo... - Dziewczyna zmieniła temat. - Chwileczkę. Kiedy wymawiałam imiona trzech demonów, nie byłam żoną Richarda. Nasz ślub odbył się dopiero tutaj, u Błotnych Ludzi. Sami więc widzicie, że wtedy jeszcze nie byłam z nim związana przysięgą.

- To i lepiej - stwierdziła Ann. - Wyrywa kolejny kamień ze ścieżki, która umożliwia przejście demonom.

Richard ujął dłoń Kahlan.

- Cóż, to niekoniecznie musi być prawda. Kiedy wymawialiśmy słowa, dzięki którym miałem się dostać do świątyni, przysięgliśmy sobie w naszych sercach. Można by więc twierdzić, że w zasadzie zostaliśmy sobie wówczas zaślubieni. Czasami magia, a przynajmniej magia świata duchów, działa według takich pokrętnych zasad.

- Istotnie. - Ksieni poruszyła się niespokojnie.

- Ale tak czy owak, Kahlan jest tylko twoją drugą żoną. - Zedd łypał na nich podejrzliwie. - Ilekroć otwieracie usta, tylekroć ta historia staje się coraz bardziej zagmatwana. Muszę wszystko usłyszeć.

- Trochę ci opowiemy, zanim opuścimy wioskę. Dopiero w Aydindril będzie czas na całą opowieść. Teraz zaś musimy natychmiast wracać sylfą.

- Co ci tak spieszo, chłopcze?

- Jagang niczego nie pragnie bardziej, niż położyć łapy na niebezpiecznej magii znajdującej się w Wieży Czarodzieja. Byłoby fatalnie, gdyby mu się to udało. Ty, Zeddzie, byłbyś najlepszym obrońcą wieży, ale czy nie uważasz, że przed twoim przybyciem to ja i Kahlan będziemy lepsi niż zupełny brak ochrony? W końcu byliśmy tam, kiedy Jagang przysłał do Aydindril Marlina i Siostrę Amelię.

- Amelia! - Ann zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do skroni. - Ona jest Siostrą Mroku. Wiecie, gdzie teraz przebywa?

- Matka Spowiedniczka zabiła i ją - rzuciła od drzwi Cara. Kahlan

spojrzała na nią gniewnie. Mord-Sith odwzajemniła się uśmiechem dumnej siostry.

Ksieni otworzyła jedno oko i spojrzała na Kahlan.

- Niezła robota. Najpierw czarodziej manipulowany przez Nawiedzającego Sny, a potem kobieta władająca mroczną mocą daną jej przez samego Opiekuna.

- To tylko akt desperacji - powiedziała Kahlan. - Nic poza tym.

Zedd zachichotał i oznajmił:

- W akcie desperacji może tkwić potężna magia.

- Takim czynem było też wymówienie imion trzech demonów - dodała dziewczyna. - Akt desperacji, który miał ocalić życie Richardowi. Co to takiego te demony? Dlaczego tak się tym przejęliście?

Zedd wiercił się, szukając wygodniejszego miejsca dla swojego kościstego siedzenia.

- Jeżeli niewłaściwa osoba wymawia ich imiona, prosząc o pomoc w powstrzymaniu kogoś, kto mógłby przekroczyć tę linię - poklepał linię Grace symbolizującą świat zmarłych - to może nieszczęśliwym zrządzeniem losu sprowadzić je do świata żywych, gdzie są w stanie zrobić to, do czego zostały stworzone: położyć kres magii.

- One wchłaniają magię tak - odezwała się Ann - jak wysuszona ziemia chłonie latem deszcz. Są to w pewnym sensie istoty, lecz nie są żywe. Nie mają duszy.

Twarz starego czarodzieja przybrała ponury wyraz. Potwierdził jej słowa skinieniem głowy.

- Demony są istotami z tamtej strony, z zaświatów. Mogłyby położyć kres magii na tym świecie.

- To znaczy, że ścigają i zabijają tych, którzy mają magiczny dar? - zapytała Kahlan. - Jak kiedyś ludzie cienie? Ich dotknięcie zabija?

- Nie. Mogą zabijać i zabijają, lecz sama ich obecność w naszym świecie wystarczyłaby, żeby po pewnym czasie magia przestała istnieć. W końcu umarliby ci wszyscy, którzy zawdzięczają swoje istnienie magii. Najpierw najsłabsi. Wreszcie także najsilniejsi - odparła Ann.

- Zrozum, że nie wiemy o nich zbyt wiele - przestrzegł Zedd. - Są orężem z czasów wielkiej wojny. Stworzyli je czarodzieje dysponujący mocą większą, niż mogą sobie wyobrazić. Dar już nie jest taki jak kiedyś.

- Gdyby te demony dostały się jakoś do naszego świata i położyły kres magii, to czy ludzie z darem nie mogliby go po prostu stracić? - zapytał Richard. - Czy na przykład Błotni Ludzie nie mogliby tylko utracić zdolności porozumiewania się z duchami przodków? Czy musiałyby się to zakończyć śmiercią wszystkich, którzy mają dar? I zostaliby tylko zwyczajni ludzie, zwierzęta i rośliny? Jak tam, gdzie dorastałem, w Westlandzie? Gdzie nie było żadnej magii?

Kahlan poczuła, jak grzmot wstrząsnął ziemią. Deszcz bębnił o strzechę. Ogień w palenisku syczał gniewnie na swojego spadającego z nieba wroga.

- Na te pytania nie umiemy odpowiedzieć, chłopcze. Nie ma żadnego precedensu, na który moglibyśmy się powołać. Złożoność świata wykracza poza nasze zrozumienie. Jedyne Stwórca pojmuję, jak to wszystko harmonijnie działa. - Blask ognia wyostrzył rysy Zedda. Czarodziej powiedział z ponurym przekonaniem: - Obawiam się jednak, że byłoby to o wiele gorsze, niż nakreślony przez ciebie obraz.

- Gorsze? O ile gorsze?

Zedd starannie wygładzał szatę, nie spieszył się z odpowiedzią.

- Na zachód stąd, w górach ponad doliną Nareef, gromadzą się wody dające początek rzece Dammar, która w końcu wpada do Drunu. Wody te wypłukują truciznę z górskich ziem. To niegościnnie pustkowia zasłane tu i ówdzie bielejącymi kośćmi zwierząt, które zbyt długo tam zabawiły i wypily zbyt dużo zatrutej wody. To wietrzna, niebezpieczna i niegościnna okolica. - Czarodziej rozpostarł ramiona, podkreślając owym gestem wielką skalę zjawiska. - Tysiące małych strumyków i strumyczków spływających z górskich stoków łączy się, tworząc rozległe, płytkie, błotniste jezioro, a potem wpada do leżącej poniżej doliny. Obficie występuje tam roślina zwana paka, zwłaszcza na południowym krańcu, gdzie wody spływają do doliny Nareef. Paka nie tylko toleruje trucizny, ale i znakomicie dzięki nim rośnie. Liśćmi paka żywią się jedynie gąsienice ciem, które wiją swoje oprzędy pośród jej mięsistych łodyg. U wlotu doliny Nareef, na skałach tuż poniżej zatrutego jeziora, gnieźdzą się ptaki zwane naskalnikami. Bardzo lubią jagody paka, więc należą do tych niewielu zwierząt, które zapuszczają się w tamte okolice. Naskalniki nie piją wody.

- Czyli jagody nie są trujące? - zapytał Richard.

- Nie. To jeden z cudów stworzenia. Paka znakomicie rosną na

zanieczyszczonych ziemiach, lecz ich jagody nie zawierają trucizny, a woda przefiltrowana przez korzenie tych roślin, jest czysta i zdrowa. W owych górskich okolicach żyje także ćma o nazwie gambit. Naskalniaki żywią się przede wszystkim nasionami i jagodami, ale polują też z lubością na latające ćmy. Poza naskalniakami gambity padają ofiarą jedynie nielicznych zwierząt. Musisz wiedzieć, że paka nie mogą się same rozsiewać. Otoczka ich nasion, prawdopodobnie ze względu na zawartą w wodzie truciznę, jest twarda jak stal i sama się nie otwiera, więc roślina nie może kiełkować. Jedynie magia może sprostać temu zadaniu. - Zedd przymrużył oczy, szeroko rozpostarł ramiona i poruszał palcami do rytmu opowieści. Kahlan przypomniała sobie, z jakim zadziwieniem słuchała tej historii po raz pierwszy, kiedy była małą dziewczuszką i siedziała w wieży na kolanach jednego z czarodziejów. - Ową magiczną moc ma pyłek ze skrzydełek ćmy. Kiedy naskalniaki zjadają gambity i jagody paka, w ich wnętrzościach magiczny pyłek ze skrzydeł ciem rozrywa otoczkę maleńkich nasionek. Naskalniaki rozsiewają w swoich odchodach nasionka paka, które mogą już kiełkować, bo magiczny pyłek dokonał swego dzieła. Gambity natomiast składają jajeczka na liściach paka. Potem ich gąsienice żywią się liśćmi, rosną, osnuwają oprzędem i na koniec przepoczwarzają w dorosłe ćmy.

- A jeśli magia się skończy, to... - odezwał się Richard - jak mówisz? Nie będą jej miały nawet takie stworzenia jak gambity? Więc wyginą rośliny paka, naskalniaki będą głodować, a gąsienice gambitów nie będą miały co jeść i ćmy też wyginą?

- Pomyśl, co jeszcze mogłoby się stać - wyszeptał stary czarodziej.

- Hmm, gdyby wyginęły stare rośliny paka, a nowe nie wyrosły, to do doliny Nareef spływałyby zatrute wody.

- Racja, mój chłopcze. Woda trułaby zwierzęta. Wyginęłyby zwierzyna płowa. Wyginęłyby szopy, jeżozwierze, polniki, sowy, ptaki śpiewające. I zwierzęta, które zjadałyby ich padlinę: wilki, kojoty oraz sępy. Wszystkie by wymarły. - Zedd pochylił się i unióś palec. - Nawet robaki.

Richard potaknął.

- Koniec końców zostałby wytruty cały inwentarz w dolinie. Większość zbiorów mogłaby zostać skażona przez wody Dammar. To byłoby nieszczęście dla ludzi i zwierząt żyjących w dolinie Nareef.

- A pomyśl, co by się stało, gdyby sprzedano mięso owych zwierząt,

zanim ktoś dowiedziałby się, że było zatrute - dorzuciła Ann.

- Albo zbiory - poddała Kahlan.

- I co jeszcze mogłoby to oznaczać - wtrącił Zedd. Richard spojrział kolejno na każde z nich.

- Dammar wpływa do Drunu. Gdyby Dammar została zatruta, to wkrótce zatruty byłby również Drun. I wszystko w dół jego biegu.

Zedd potaknął.

- A w dole Drunu leży Toscla. Nareef to przy niej okruszek. Toscla zbiera olbrzymie ilości ziarna i innych plonów, które żywią sporo ludów Midlandów. Mieszkańcy tej krainy wysyłają na północ, na handel, długie konwoje wozów wypełnionych towarami.

Zedd już od dawna nie mieszkał w Midlandach. Toscla była starą nazwą. Kraina ta leżała daleko na południowym zachodzie. Od reszty Midlandów, niczym ogromne morze, oddzielała ją Dżicz. Najważniejszy lud tej krainy nieustannie zmieniał swą nazwę, a więc i nazwę swej ziemi. Teraz nazywali siebie Anderyjczykami. Znaną Zeddowi Tosclę zmieniono na Vengren, potem na Vendice, jeszcze później na Turslan, a teraz na Anderith.

- Sprzedawano by skażone ziarno, nie wiedząc, że może ono zaszkodzić, i zatruto by w ten sposób mnóstwo niczego nie podejrzewających ludzi - mówił Zedd. - A potem mieszkańcy Toscli stwierdziliby, że ich ziarno jest złe, i już nie mogliby sprzedawać swoich plonów. Ich inwentarz wkrótce wyginąłby. Wody Drunu zatruty by przybrzeżne wody morskie i żyjące w nich ryby. Trucizna mogłaby się też dostać na pola, skazić nowe zbiory i zabić nadzieję na przyszłość. Mieszkańcy Toscli, pozbawieni inwentarza, ryb i plonów, które mogliby wymienić na jakąś żywność, wkrótce zaczęliby głodować. Ciężkie czasy nastąpiłyby też dla ludzi w innych krainach, tych, które zależą od zbiorów w Toscli. Ustałby handel, ceny podskoczyłyby i wszyscy mieszkańcy Midlandów mieliby kłopoty z wyżywieniem rodzin. Braki w zaopatrzeniu doprowadziłyby do zamieszek. Zapanowałby głód. Zaczęłaby się panika. Niepokoje zmieniłyby się w walki, bo ludzie uciekaliby do nie skażonych krain. Desperacja rozdmuchałaby te płomienie i zapanowałaby bezprawie.

- Ty tylko snujesz domysły - odezwał się Richard - a nie przepowiadasz takiej powszechnej klęski, prawda? Przecież nie musiałyby być aż tak złe, gdyby zniknęła magia?

Zedd wzruszył ramionami.

- Coś takiego nigdy się nie zdarzyło, więc trudno przewidzieć, co naprawdę by się stało. Może trucizna tak rozcieńczyłaby się w wodach Dammar i Drunu, że spowodowałaby jedynie lokalne kłopoty, a nie powszechne nieszczęście. A wody morza, do którego wpada Drun, mogłyby zupełnie unieszkodliwić truciznę, więc rybołówstwo by nie ucierpiało. I wszystko mogłoby się skończyć na niewielkich przejściowych niedogodnościach.

W przyćmionym świetle włosy Zedda przypominały Kahlan białe płomienie. Czarodziej łypnął jednym okiem na wnuka.

- Lecz gdyby zniknęła magia gambitów, mogłoby to zapoczątkować łańcuch wydarzeń, które położyłyby kres życiu, jakie znamy - wyszeptał.

Richard przetarł twarz dłonią. Dumał nad tym, jak takie nieszczęście rozprzestrzeniałoby się po Midlandach. Zedd uniósł brew.

- Zaczynasz pojmować? - Pozwolił przeciągnąć się niepokojącej ciszy, a potem dodał: - A jest to tylko jeden drobny przykład działania magii. Mogę podać mnóstwo innych.

- Demony są ze świata zmarłych. To by im na pewno odpowiadało - mruknął Richard, przeczesując włosy palcami. - Czy znaczy to, że gdyby magia miała zniknąć i najpierw mieliby umrzeć najślabsi, to na samym początku zniknęłaby magia gambitów?

- A jak silna jest magia gambitów? - Zedd rozpostarł ramiona. - Nie wiadomo. Mogłaby zniknąć pierwsza lub ostatnia.

- A co z Kahlan? Czy straciłaby swoją moc? To jej ochrona. Potrzebuje jej.

Richard był pierwszą osobą, która zaakceptowała Kahlan taką, jaka była, pokochała ją taką, jaka była, wraz z jej mocą. W istocie to właśnie uchroniło Richarda przed mocą Spowiedniczki. Bezwarunkowa miłość i oddanie pozwoliły im na cielesne dopełnienie uczucia i uchroniły Richarda przed niszczycielskim działaniem daru dziewczyny.

Zedd zmarszczył brwi.

- Kurczę, Richardzie, czyś ty nie słuchał? Jasne, że straciłaby swoją moc. Przecież to magia. A cała magia by się skończyła. Jej, moja, twoja. Lecz podczas gdy ty i Kahlan moglibyście jedynie stracić magiczną moc, cały świat wokół was mógłby umrzeć.

Richard podrapał palcem polepę.



- Nie wiem, jak się posługiwać moim darem, więc za bardzo by mnie to nie obeszło. Ale dla innych znaczyłoby to wiele. Nie możemy do tego dopuścić.

- To się, na szczęście, nie przydarzy. - Zedd teatralnie obciągnął rękawy. - To tylko takie gdybanie w deszczowy dzień.

Richard podciągnął kolana, otoczył je ramionami i znów pograżył się w swoim dalekim, milczącym świecie.

- Zedd ma rację - odezwała się Ann. - To tylko snucie domysłów. Demony nie grasują na swobodzie. Teraz ważny jest Jagang.

- Czy straciłby umiejętność nawiedzania snów, gdyby magia dobiegła kresu? - zapytała Kahlan.

- Oczywiście - odparła Ksieni. - Lecz nie ma powodu, by wierzyć...

- A gdyby demony dostały się do naszego świata - przerwał jej Richard - to jak byście je powstrzymali? To podobno miało być takie proste. Co byście zrobili?

Ann i Zedd wymienili spojrzenia.

Nim któreś z nich zdążyło odpowiedzieć, Richard odwrócił głowę ku oknu. Wstał i trzema krokami przebył izbę. Odsunął zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Wychylił się, popatrzył w jedną i w drugą stronę, a podmuchy wiatru rzuciły mu w twarz krople deszczu. Mroczne popołudnie rozświetliła błyskawica, zagrział grom.

Zedd nachylił się ku Kahlan.

- Wiesz, co się dzieje w łepetynie tego chłopaka? Dziewczyna oblizwała wargi.

- Chyba się czegoś domyślam, ale nie uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedziała.

Richard przechylił na bok głowę, nasłuchiwał. Kahlan też nasłuchiwała, starając się dosłyszeć w panującej ciszy coś odbiegającego od normy.

Dotarł do niej daleki, przeraźliwy lament dziecka.

Richard skoczył ku drzwiom.

- Zaczekajcie tu na mnie. Poderwali się i pobiegli za nim.

## ROZDZIAŁ 7

Richard pędził uliczkami wijącymi się pośród chat, a za nim biegli, rozchlapując błoto, Zedd, Ann, Cara i Kahlan. Matka Spowiedniczka musiała mrużyć oczy, żeby widzieć przez ulewę. Deszcz był tak zimny, że dziewczyna aż wstrzymywała oddech.

Ze strug deszczu wyłonili się łowcy, zawsze obecni w pobliżu biegnącej piątki, i mknęli razem z nimi. Chaty, które mijali, były zazwyczaj jednoizbowe, stykały się przynajmniej jedną ścianą, a czasami nawet trzema. Tworzyły labirynt pozbawiony jakiegoś ogólnego planu.

Ann biegła tuż za Richardem, zadziwiając Kahlan swoją szybkością. Ksieni nie wyglądała na kobietę stworzoną do biegania, a przecież z łatwością dotrzymywała im kroku. Kościste ramiona Zedda poruszały się w stałym, szybkim tempie. Długonoga Cara biegła obok Matki Spowiedniczki. Łowcy posuwali się naprzód bez wysiłku, z płynną gracją. Prowadził ich Richard, w rozwianej złocistej pelerynie. Wyglądał groźnie i onieśmielająco, górując wzrostem nad krępymi łowcami niczym wielkolud gnający wąziutkimi uliczkami.

Chłopak biegł krętym przejściem i na najbliższym rogu skoczył w prawo. Dwie brązowe kozy, jedna czarna i nieliczne dzieciaki z malutkich, obsianych rzepakiem dla kur podwórek uznały przemierzający się szybko korowód za godne uwagi zjawisko. Przyglądały się im także kobiety stojące w drzwiach obstawionych donicami z ziołami.

Na następnym rogu Richard skręcił w lewo. Młoda kobieta, stojąca pod małym daszkiem, zobaczyła biegnących ku niej ludzi i porwała w ramiona płaczące dziecko. Przytuliła do ramienia główkę zapłakanego chłopczyka i przycisnęła się do drzwi, żeby zejść z drogi zbliżającej się grupie. Malec zawodził, choć próbowała go uciszyć.

Richard gwałtownie się zatrzymał. Reszta poszła w jego ślady, starając się go przy tym nie staranować. Stojąca w drzwiach chaty kobieta patrzyła rozszerzonymi z przerażenia oczami na ludzi, którzy nagle ją otoczyli.

- O co chodzi? - zapytała. - Czego od nas chcecie? Richard chciał wiedzieć, co mówi, zanim jeszcze skończyła.

Kahlan przepchnęła się na czoło grupki. Z ran i zadrapań na ciele

chłopczyka, którego kobieta kurczowo tuliła w ramionach, sączyła się krew.

- Usłyszeliśmy krzyki twojego synka. - Kahlan delikatnie pogłaskała główkę rozkrzyczanego malca. - Pomyśleliśmy, że dzieje się coś złego. Martwiliśmy się o twojego chłopczyka. Przybiegliśmy, żeby pomóc.

Uspokojona kobieta postawiła małego na ziemi. Przykucnęła i zaczęła ocierać zadrapania zakrwawionym kawałkiem płótna. Szeptwała przy tym coś, starając się pocieszyć synka. Spojrzała na otaczający ją tłumek.

- Ungiemu nic nie jest. Dziękuję za waszą troskę, ale to przecież chłopak. A chłopcy zawsze wpadają w tarapaty.

Kahlan przetłumaczyła pozostałym słowa kobiety.

- Dlaczego jest taki podrapany? - chciał wiedzieć Richard.

- *Ka chenota* - odparła kobieta, kiedy Matka Spowiedniczka powtórzyła jej pytanie.

- Kura - powiedział, nim Kahlan zdążyła przetłumaczyć. Najwyraźniej nauczył się, że w języku Błotnych Ludzi *chenota* znaczy „kura”. - Kura zaatakowała twojego synka? *Ka chenota*?

Kobieta zamruwała, gdy Kahlan przetłumaczyła pytanie Richarda. Jej pogardliwy śmiech przebił się przez szum deszczu.

- Zaatakowany przez kurę? - Odpędziła ten pomysł machnięciem ręki, jakby przez chwilę sądziła, że mówią poważnie. - Ungi uważa się za wielkiego myśliwego. Goni kury. Tym razem zapędził w róg jedną z nich, wystraszył, a ona go podrapała, próbując uciec.

Richard kucnął przed Ungim, przyjacielsko zmierzwił mokre, długie, ciemne włosy chłopczyka.

- Polowałeś na kury? *ifa chenota*? Drażniłeś je? Było inaczej, prawda?

Kahlan nie przetłumaczyła tego pytania. Przykucnęła obok i zaniepokoiła się:

- O co chodzi, Richardzie?

Chłopak dotknął uspokajająco pleców malca, a matka otarła krew spływającą mu po piersi.

- Spójrz na ślady pazurów. Widać je głównie wokół szyi - szepnął Richard.

Kahlan westchnęła z irytacją.

- Na pewno próbował podnieść kurę i przyciskał ją do siebie, a przerażone ptaszysko starało się wyrwać.

Richard niechętnie przyznał, że tak właśnie mogło być.

- To nie jest wielkie nieszczęście - oznajmił Zedd. - Pozwólcie mi uleczyć malca, a potem będziemy mogli ukryć się przed tym paskudnym deszczem i wreszcie coś zjeść. No i mam mnóstwo pytań.

Chłopak, który wciąż kucał przed Ungim, podniósł palec, uciszając Zedda. Spojrzał Kahlan w oczy

- Zapytaj go, proszę.

- Wytlumacz mi dlaczego. Z powodu tego, co powiedział Człowiek Ptak? To naprawdę o to chodzi? Richardzie, przecież on pił - upierała się.

- Spójrz za moje ramię.

Dziewczyna popatrzyła przez strugi deszczu. Po drugiej stronie wąskiej uliczki, pod ociekającym deszczem okapem trawiastej strzechy, przy węgle chaty, jedna z kur stroszyła pióra. Była to pasiasta kura rasy Barred Rock; tej rasy była większość ptactwa Błotnych Ludzi. Kahlan była zziębnięta, przemoknięta i przygnębiona. Zaczynała tracić cierpliwość. Raz jeszcze spojrzała w oczy Richarda.

- Kura, która usiłuje schować się przed deszczem? To miałam zobaczyć?

- Wiem, że myślisz...

- Richardzie! - warknęła cicho. - Posłuchaj! - Zamilkła, bo nie chciała się z nim posprzeczać. Powiedziała sobie, że po prostu martwił się o ich bezpieczeństwo. Tyle że to była źle pojęta troska. Głęboko odetchnęła dla uspokojenia. Ujęła go za ramię i pogłaskała je. - Czujesz się nieswojo, Richardzie, bo umarł Juni. I ja się czuję nieswojo. Ale nie trzeba widzieć w tym niczego złowieszczego. Może umarł, bo go nadmiernie wyczerpał bieg. Słyszałam, że to się zdarza młodym ludziom. Musisz przyznać, że czasami ludzie umierają bez żadnej widocznej przyczyny.

Chłopak spojrzał na pozostałych. Zedd i Ann podziwiali młodzieńcze mięśnie Ungiego, starając się nie dostrzegać toczącej się u ich stóp sprzeczki zakochanych. Cara badała wzrokiem uliczki. Jeden z łowców pozwolił malcowi dotykać drzewca dzidy, odwracając tym jego uwagę od matki, która obmywała mu zadrapania. Richard też nie chciał się kłócić. Odgarnął do tyłu mokre włosy.

- Uważam, że to ta sama kura, którą przepędziłem. Ta z okna, w którą rzuciłem patykiem - wyszeptał w końcu.

Zdesperowana Kahlan głośno westchnęła.

- Większość kur Błotnych Ludzi wygląda dokładnie tak jak ta, Richardzie.  
- Znów spojrzała ku węglowi wskazanej chaty. - Poza tym już sobie poszła.

Richard obejrzał się przez ramię, żeby przekonać się o tym na własne oczy. Powiódł wzrokiem po pustej uliczce.

- Zapytaj chłopca, czy polował na tę kurę, czyją drażnił.

Pod małym daszkiem nad drzwiami matka Ungiego obmywała zadrapania synka i z niepokojem słuchała rozmowy, choć nie rozumiała ani słowa. Kahlan zlizwała z warg krople deszczu. Uznała, że skoro znaczy to tak wiele dla Richarda, to może zapytać. Dotknęła ramienia małego.

- Czy to prawda, Ungi, że ścigałeś kurę? Próbowłeś ją złapać?

Chłopiec, wciąż jeszcze przetykając łzy, potrząsnął główką. Wskazał na dach.

- Skoczyła na mnie. - Pokazał, jak drapała. - Zaatakowała mnie.

Matka pochyliła się i dała mu klapsa.

- Powiedz tym ludziom prawdę. Ty i twoi przyjaciele bez przerwy gonicie kury.

Wielkie czarne oczy patrzyły, mrugając, na Kahlan i Richarda - przykucniętych, więc równych mu, znajdujących się w jego świetle.

- Będę wielkim łowcą, jak mój ojciec. Jest odważnym myśliwym. Ma blizny po ranach zadanych przez zwierzęta, które łowi.

Kiedy Kahlan to przetłumaczyła, Richard uśmiechnął się. Ostrożnie dotknął jednego z zadrapań.

- Będziesz tu miał bliznę łowcy, jak twój ojciec. Więc goniłeś tę kurę, jak mówiła twoja mama? Tak naprawdę było?

- Byłem głodny. Wracalem do domu. To kura mnie goniła - upierał się malec. Matka ostrzegawczo wymówiła jego imię. - No... one siadają tam, na dachu. - Znów wskazał daszek nad drzwiami. - Może ją wystraszyłem, kiedy biegłem do domu, a ona pośliznęła się na mokrym dachu i spadła na mnie.

Kobieta otworzyła drzwi i zapędziła malca do domu.

- Wybaczcie mojemu synkowi. Jest mały i bez przerwy opowiada jakieś historyjki. Nieustannie goni kury. To nie pierwszy raz, kiedy go jakaś podrapała. Kiedyś kogut rozdarł mu pazurem ramię. Wyobraża sobie, że to orły. Ungi to dobry chłopak, ale to przecież chłopak i uwielbia opowieści. Gdy znajdzie pod kamieniem salamandrę, przybiega do domu i opowiada mi, że odkrył gniazdo smoków. Chce, żeby ojciec tam poszedł i je zabił, nim nas

wszystkich pożą.

Wszyscy - oprócz Richarda - zachichotali. Kobieta pochyliła głowę w ukłonie i chciała wejść do domu, lecz chłopak delikatnie przytrzymał ją za łokieć i powiedział do Kahlan:

- Powiedz jej, że mi przykro, że jej synek został podrapany. To nie była wina Ungiego. Powiedz jej to. Powiedz jej, że mi przykro.

Kahlan zmarszczyła brwi. Trochę zmieniła słowa Richarda, żeby nie zostały opacznie zrozumiane.

- Przykro nam, że twój synek został zraniony. Mamy nadzieję, że wkrótce wydobrzeje. Jeżeli nie lub jeśli jakieś z zadrapania okażą się głębokie, powiedz nam o tym, a Zedd uleczy Ungiego swoją magią.

Kobieta skinęła głową, uśmiechnęła się z wdzięcznością, życzyła im dobrego dnia i weszła do chaty. Kahlan pomyślała, że nie wyglądała, jakby miała ochotę wystawić swojego synka na działanie magii. Patrząc na zamykające się drzwi, ścisnęła dłoń Richarda.

- W porządku? Zadowolony, że to nie było to, co myślałeś? Że to nic nie było?

Przez chwilę chłopak wpatrywał się w pustą uliczkę.

- Ja tylko myślałem... - Wreszcie ustąpił, uśmiechając się ze skruchą. - Bałem się o twoje bezpieczeństwo, ot co.

- Skoro już i tak zmokliśmy, to możemy obejrzeć ciało Juniego. Na pewno nie będę sterczał na deszczu, kiedy wy zaczniecie się całować - burknął Zedd.

Czarodziej dał znak Richardowi, by prowadził, i nie taił, że ma się spieszyć. Chłopak posłusznie ruszył, a Zedd ujął ramię Kahlan i przepuścił pozostałych. Potem, kiedy już brnęli w błocie, celowo powstrzymywał dziewczynę, zachowując niewielki odstęp od reszty.

Zedd otoczył ramieniem barki Kahlan i nachylił się ku niej, choć i tak była pewna, że deszcz zagłuszyłby jego słowa.

- A teraz, kochanie, chciałbym się dowiedzieć, w co niby bym nie uwierzył.

Kątem oka dostrzegła jego zdecydowaną minę. Uznała, że lepiej go uspokoić.

- Już po wszystkim. Miał szalony pomysł, lecz sprowadziłam go na ziemię. Porzucił tę myśl.

Zedd spojrział na nią przymrużonymi oczami. Było to niepokojące,

zwłaszcza że spojrzął tak czarodziej.

- Wiem, że jesteś zbyt mądra, by tak myśleć, więc dlaczego chcesz, żebym ja w to uwierzył? Hmm? On wcale nie porzucił tej myśli. Wciąż nad tym duma.

Kahlan przyjrzała się pozostałym. Byli ładne kilka kroków w przodzie. To Richard miał prowadzić, lecz Cara, jak zawsze czujna, wysunęła się na czoło. Dziewczyna nie słyszała co prawda ani słowa, ale wyglądało na to, że Ann ucina sobie z Richardem radosną pogawędkę. Choć Ann i Zedd nieustannie irytowali się nawzajem, w razie potrzeby doskonale współdziałali.

Kościste palce Zedda zacisnęły się mocno na ramieniu Kahlan. Nie tylko Richard był uparty. Dziewczyna ciężko westchnęła i powiedziała czarodziejowi:

- Coś mi się zdaje, że Richard uważa, iż na swobodzie biega kura-potwór.

Kahlan osłoniła nos i usta przed smrodem, ale opuściła ręce, kiedy obie kobiety uniosły głowy znad swojej roboty. Uśmiechnęły się do wchodzących, którzy otrząsali się z wody i wyglądali, jakby wpadli do rzeki.

Pracowały nad ciałem Jurnego, przystrajając je czarnymi i białymi wzorami. Zdążyły już przywiązać pęki traw do jego nadgarstków i kostek oraz umocować na głowie skórzaną przepaskę przytrzymującą źdźbła trawy jak u wyruszającego na łowy myśliwego.

Juni leżał na podwyższeniu zbudowanym z błotnych cegieł; były tam jeszcze trzy takie podwyższenia. Ciemne zacieki plamiły boki każdego z nich. Polepę pokrywała warstwa cuchnącej słomy. Kiedy przynoszono tu ciało, słomę zgarniano ku podwyższeniom, żeby wchłaniała ściekające płyny. Roilo się w niej robactwo. Gdy w środku nie było ciała, zostawiano otwarte drzwi, żeby kury wydziobywały robaki.

Na prawo od drzwi znajdowało się jedyne okno. Kiedy nikt nie zajmował się zwłokami, zasłanianoję skórą, by zmarły spoczywał w spokoju. Kobiety odsunęły tę skórę i zaczęły o kołek wbity w ścianę, wpuszczając do ciasnej izby słabe światło.

Ciało nie przygotowywano w nocy, by nie zakłócać spokoju duszy przechodzącej na tamtą stronę. Błotni Ludzie okazywali szacunek odchodzącym duszom - pewnego dnia owe duchy mogą przecież zostać wezwane na pomoc żyjącym.

Obie kobiety były już starsze i wciąż się uśmiechały, jakby nie mogły

ukryć swego pogodnego usposobienia nawet w trakcie tak przygnębiającego zajęcia. Kahlan uznała, że są specjalistkami od właściwego przystrajania zmarłych przed pochówkiem.

Dostrzegła, że w miejscach, których jeszcze nie pokryto błotem, ciało błyszczy się od wonnych olejków. Lecz olejki nie zdołały stłumić dławiącego smrodu słomy i podwyższeń. Nie pojmowała, dlaczego częściej nie zmieniano wyściółki. Choć może zmieniano ją, ale po prostu nie było ucieczki od efektów procesu rozkładu.

I chyba dlatego właśnie zmarłych grzebano tak szybko - albo jeszcze w dniu śmierci, albo najpóźniej następnego. Juni też nie będzie długo czekał na pochówek. Wówczas jego duch, widząc, że wszystko odbyło się jak należy, będzie się mógł przyłączyć do pokrewnych dusz w zaświatach.

Kahlan nachyliła się ku kobietom. Szanując spokój zmarłego, powiedziała szeptem:

- Zedd i Ann - wskazała oboje - chcieliby popatrzeć na Juniego.

Kobiety skłoniły się i odsunęły, zabierając z podwyższenia naczynia z białym i czarnym błotem. Richard obserwował, jak jego dziadek i Ksieni lekko dotykają łowcy - bez wątpienia sondowali go magią. Zedd i Ann porozumiewali się cicho podczas badania, a Kahlan obróciła się ku kobietom i powiedziała im, jak wspaniale wypełniają swoje zadanie i jak bardzo żałuje, że zmarł ów młody myśliwy.

Richard przyłączył się do dziewczyny, mając już dość patrzenia na zmarłego strażnika. Otoczył ramieniem kibić żony i poprosił, by wyraziła i jego żal. Kahlan przetłumaczyła również jego słowa.

Wkrótce Zedd i Ann odciągnęli młodych na bok. Uśmiechnęli się i dali znak kobietom, że mogą podjąć swoją pracę.

- Tak jak podejrzewaliście, nie ma skręconego karku - wyszeptał czarodziej. - Nie znalazłem żadnego uszkodzenia głowy. Powiedziałbym, że się utopił.

- A jak to się według ciebie stało? - W głosie Richarda pobrzmiwał sarkazm.

Zedd ścisnął ramię wnuka.

- Kiedyś byłeś chory i zemdlałeś, pamiętasz? Nie było w tym nic złowrogiego. Rozbiłeś sobie głowę? Nie. Osunąłeś się na podłogę i tak cię znalazłem. Pamiętasz? To się mogło stać podobnie.



- Ale Juni nie wykazywał żadnych oznak...

Wszyscy się odwrócili, bo weszła stara uzdrowicielka Nissel, niosąc w ramionach małe zawiniątko. Zatrzymała się na chwilę, dostrzegłszy ich w izbie, a potem ruszyła ku drugiemu podwyższeniu dla zmarłych. Delikatnie położyła zawiniątko na zimnych ceglach. Kahlan przycisnęła dłoń do serca, patrząc, jak Nissel odwija noworodka.

- Co się stało? - spytała.

- Nie było to radosne wydarzenie, którego się spodziewałam. - Pełne smutku oczy Nissel spojrzały w zielone oczy Kahlan. - Dziecko urodziło się martwe.

- Drogie duchy. Tak mi przykro - wyszeptała dziewczyna. Richard strząsnął z ramienia Kahlan lśniącego, zielonego robaka.

- Co się stało dziecku?

Uzdrowicielka wzruszyła ramionami, gdy dziewczyna przetłumaczyła jego pytanie.

- Od miesięcy zajmowałam się matką, badałam ją. Wydawało się, że wszystko zmierza ku szczęśliwemu rozwiązaniu. Nie przewidywałam żadnych kłopotów, a mimo to dziecko urodziło się martwe.

- Jak matka? Nissel opuściła wzrok.

- Teraz rozpaczliwie łka, ale wkrótce przyjdzie do siebie. - Zmusiła się do uśmiechu. - To się zdarza. Nie wszystkie dzieci są wystarczająco silne, by żyć. Kobieta będzie miała inne.

Richard nachylił się ku dziewczynie, bo wydało mu się, że rozmowa dobiegła końca.

- Co powiedziała?

Kahlan dwukrotnie tupnęła, żeby strząsnąć krocionoga pełzającego po jej udzie.

- Dziecko po prostu miało zbyt mało sił i urodziło się martwe. Chłopak zachmurzył się i spojrzał na małe, nieruchome ciało - był to rozdzierający serce widok.

- Miało zbyt mało sił...

Kahlan obserwowała, jak wpatrywał się w małą, nieruchomą, bladą, wprost nierealną postać. Nowo narodzone dziecko to wspaniała, niezwykła istota, lecz to tutaj, pozbawione duszy, którą matka dała mu, by mogło pozostać na świecie, było nagie i szpetne.

Dziewczyna spytała, kiedy odbędzie się pogrzeb Juniego. Jedna z dwóch kobiet spojrzała na małe ciało.

- Musimy przygotować też drugie ciało. Jutro oboje zostaną złożeni na wieczny odpoczynek.

Wyszli z chaty. Richard obejrzał się i spojrzał w górę, w strugi deszczu. Siedząca na niskim okapie kura stroszyła piórka. Chłopak wpatrywał się w nią przez chwilę. Po jego minie widać było, że namysł zmienił się w postanowienie. Popatrzył w górę uliczki. Zagwizdał i skinął ręką. Ruszyli ku nim strzegący ich łowcy. Gdy zatrzymywali się przed nimi, Richard ujął wielką dłoń ramię Kahlan.

- Powiedz im, że chcę, by zebrali więcej ludzi. Mają spędzić wszystkie kury...

- Co takiego?! - Kahlan wyrwała mu się. - Nie poproszę ich o to, Richardzie. Pomyśl, że odjęło ci rozum!

- Co się dzieje? - Zedd wsunął głowę pomiędzy nich.

- Chce, żeby łowcy spędzili wszystkie kury, bo jedna z nich siedzi nad drzwiami.

- Nie było jej tam, kiedy przyszliśmy. Patrzyłem.

Zedd odwrócił się i zmrużył oczy, by chronić je przed deszczem.

- Jaka kura?

Kahlan i Richard też spojrzeli. Ptak zniknął.

- Prawdopodobnie szukała suchszej grzędy - burknęła dziewczyna. - Albo spokojniejszej.

Zedd otarł deszcz z oczu.

- Chcę wiedzieć, o co tu chodzi, Richardzie.

- Przy domu duchów została zabita kura. Juni naubliżał czemuś, co ją zabiło, i wkrótce potem zmarł. Rzuciłem patykiem w kurę siedzącą w oknie, a ona zaraz zaatakowała tego malca. Ungi ucierpiał z mojej winy. Nie chcę raz jeszcze popełnić tego samego błędu.

- Richardzie - stwierdził spokojnie, ku zdumieniu Kahlan, Zedd - łapiesz ryby przed niewodem.

- Człowiek Ptak powiedział, że jedna z kur wcale nie jest kurą.

- Naprawdę? - Zedd zachmurzył się.

- On pił - wyjaśniła Kahlan.

- Wyznaczyłeś mnie na Poszukiwacza, Zeddzie. Jeśli chcesz podać w

wątpliwość swoją decyzję, to zrób to teraz. Jeśli nie, pozwól mi czynić moją powinność. Jeżeli się mylę, potem będziesz mógł mi robić wymówki.

Richard uznał milczenie czarodzieja za przyzwolenie i ponownie, może odrobinę mniej delikatnie niż za pierwszym razem, złapał ramię Kahlan. Jego szare oczy były pełne determinacji.

Zrób, o co proszę, Kahlan. Jeśli się mylę, wyjdę na głupca, ale wolę już wyjść na głupca, niż mieć rację i nie zadziałać.

Coś, co zabiło kurę, zrobiło to tuż przed domem duchów, w którym była Kahlan. Stąd właśnie Richard wysnuł podejrzenie o zagrażającym dziewczynie niebezpieczeństwie. Matka Spowiedniczka ufała Richardowi, lecz podejrzewała, że wszystko to wynikało z nadmiernej troski o jej bezpieczeństwo.

- Co to miałam powiedzieć łowcom?

- Chcę, żeby spędziły kury. Żeby zagnali je do pustej chaty przeznaczonej dla złych duchów. Chcę, żeby znalazły się tam wszystkie, co do jednej. Wtedy poprosimy Człowieka Ptaka, żeby się im przyjrzał i powiedział nam, która nie jest kurą. Łowcy powinni zaganiać kury spokojnie i łagodnie. W żadnym wypadku nie powinni im okazać braku poszanowania.

- Brak poszanowania - powtórzyła Kahlan. - Dla kury.

- Właśnie. - Richard powiódł wzrokiem po czekających łowcach i wpatrzył się w dziewczynę. - Powiedz im, że obawiam się, iż jedna z kur jest opętana przez złego ducha, który zabił Juniego.

Kahlan nie wiedziała, czy Richard naprawdę w to wierzył, lecz nie miała wątpliwości, że Błotni Ludzie w to uwierzą. Spojrzała na Zedda, szukając rady, ale jej nie otrzymała. Twarz Ann też niczego nie podpowiadała. Cara była oddana Richardowi - choć zwykle nie słuchała poleceń, które uważała za błahe, wspięłaby się na stromą skałę, gdyby Richard tego uparcie żądał.

Chłopak nie ustąpi. Wiedziała, że jeśli nie przetłumaczy jego słów, Richard poszuka Chandalena, by ten to zrobił. A jeśli i to się nie uda, w razie potrzeby sam spędzi kury.

Jeśli nie spełni jego prośby, okaże mu brak zaufania. I to pomogło jej podjąć decyzję.

Kahlan, drżąc na lodowatym deszczu, ostatni raz spojrzała w uparte szare oczy Richarda i obróciła się ku czekającym łowcom.

## ROZDZIAŁ 8

- Znaleźliście już złego ducha?

Kahlan spojrzała przez ramię i zorientowała się, że to Chandalen idący ostrożnie przez gromadę rozgdakanych kur. Przyćmione światło ułatwiało utrzymanie ptactwa w zamknięciu, ale i tak hałas był ogromny. Było tu kilka czerwieniatek i przedstawicielek innych ras, ale większość należała do pstrokatego gatunku Barred Rock, najspokojniejszego ze wszystkich. I całe szczęście, bo inaczej rozpętałoby się tu piekło i pióra fruwałyby w powietrzu.

Dziewczyna przewróciła oczami, usłyszawszy, jak Chandalen przeprosza kury, które odsuwał stopą na bok. Zażartowałyby z tego bezsensownego zachowania, gdyby się tak niepokojąco nie uzbroił: długi nóż przytroczył po lewej stronie pasa, krótki po prawej, pełny kołczan zawiesił na jednym ramieniu, a łuk na drugim. Co więcej, do pasa przyczepił też zwiniętą *troga*. Był to drut na tyle długi, żeby można było zarzucić komuś pętlę na szyję i odciąć nią głowę. *Troga* zarzucało się od tyłu, a potem szarpało na boki drewniane uchwyty Ludzie, którzy władali nią z takim mistrzostwem jak Chandalen, mogli precyzyjnie zarzucić wrogowi pętlę na szyję i uciszyć go, nim zdążył pisnąć.

Podczas walk z wojskami Imperialnego Ładu, które zaatakowały Ebinissię i wymordowały niewinne kobiety i dzieci, Kahlan wiele razy widziała, jak Chandalen ucisza swoją *troga* czujki i żołnierzy nieprzyjaciela. Nie powinien zabierać tej broni do walki z opanowaną przez złego ducha kurą-monstrum.

Chandalen zaciskał w pięści pięć dzid. Kahlan domyślała się, że ich ostre, lepkie groty zostały dopiero co pokryte trucizną. Należało je nieść bardzo ostrożnie.

W przytroczonej do pasa skórzanej mieszku łowca miał rzeźbione pudełko z kości, a w nim ciemną papkę. Była to dziesięciokrokowa trucizna otrzymywana przez żucie, a następnie gotowanie liści *bandu*. Miał też przy sobie kilka liści *quassin doe* antidotum na dziesięciokrokową truciznę. Nazwa trucizny wskazywała, że należało się spieszyć z zażyciem tej odtrutki.

- Nie - odparła Kahlan. - Człowiek Ptak nie znalazł jeszcze kury, która nie jest kurą. Dlaczego pomalowałaś się błotem i aż tak uzbroiłeś? Co się dzieje?

Chandalen przekroczył kurę, która nie zamierzała się odsunąć.

- Moi ludzie z dalekiego patrolu mieli pewne kłopoty. Muszę się tym zająć.

- Kłopoty? - Dziewczyna opuściła ramiona. - Jakie?

- Sam dobrze nie wiem. - Chandalen wzruszył ramionami. - Ten, który do mnie przyszedł, mówił coś o ludziach z mieczami...

- Ład? Żołnierze, którzy walczyli w bitwie na północy? Może to maruderzy, którzy zdezerterowali, albo zwiadowcy. Może uda nam się przesłać wiadomość generałowi Reibischowi. Jego wojska powinny jeszcze być w pobliżu i zawrócić, jeśli zdołamy do nich dotrzeć na czas.

Chandalen podniósł dłoń, aby rozproszyć jej niepokój.

- Nie. Ty i ja walczyliśmy z żołnierzami Imperialnego Ładu. To nie są ani wojska Ładu, ani zwiadowcy. Mój człowiek nie twierdzi, że są wrogo nastawieni. Po prostu są uzbrojeni po zęby i ich opanowanie, kiedy się do nich zbliży, jest wielce wymowne. Podobnie jak oni znam twój język, więc moi ludzie potrzebują mnie do kontaktów z tymi niebezpiecznie wyglądającymi ludźmi.

Kahlan zamierzała przywołać Richarda.

- Lepiej będzie, jeśli Richard i ja pójdziemy z tobą.

- Nie. Wielu ludzi chce podróżować przez naszą krainę. Na równinach często spotykamy obcych. To mój obowiązek. Zajmę się tym i utrzymam ich z dala od wioski. Poza tym powinniście zostać i radować się pierwszym dniem małżeństwa.

Kahlan, bez słowa komentarza, spojrzała gniewnie na Richarda, który wciąż przyglądał się kurom. Chandalen pochylił się i powiedział do stojącego kilka kroków dalej Człowieka Ptaka:

- Czcigodny starszy, muszę odejść do moich ludzi. Zbliżają się obcy.

Człowiek Ptak popatrzył na tego, który w istocie był jego generałem, żołnierzem mającym obowiązek chronić Błotnych Ludzi.

- Bądź ostrożny. W pobliżu krążą złe duchy. Chandalen skinął głową. Nim odszedł, Kahlan chwyciła go za ramię.

- Nic nie wiem o złych duchach, ale wokół czyhają inne niebezpieczeństwa. Będiesz ostrożny? Richard jest zaniepokojony. Może nie pojmuję przyczyn jego niepokoju, ale ufam jego instynktowi.

- Walczyliśmy razem, Matko Spowiedniczko. - Chandalen mrugnął do

niej. - Wiesz, że jestem zbyt sprytny i zbyt silny, żeby wpaść w tarapaty.

Kahlan, patrząc, jak łowca toruje sobie drogę wśród kłębiących się kur, spytała Człowieka Ptaka:

- Widziałeś coś... podejrzanego?

- Jeszcze nie zobaczyłem kury, która nie jest kurą, ale będę szukał, dopóki jej nie znajdę - odparł.

Dziewczyna usiłowała wymyślić sposób, który pozwoliłby jej uprzejmie zapytać starszego, czy jest trzeźwy. Uznała, że lepiej spytać o coś innego:

- Skąd będziesz wiedzieć, że ta kura nie jest kurą? Ogorzała od słońca twarz Człowieka Ptaka zmarszczyła się w namyśle.

- Wyczuję to.

Kahlan zdecydowała, że jednak nie można uniknąć tamtego pytania.

- Może tylko ci się zdawało, że coś wyczułeś, bo piłeś napitki weselne?

Uśmiechnął się.

- A może te napitki tak mnie rozluźniły, że jaśniej pojmowałem?

- I wciąż jesteś... rozluźniony?

Skrzyżował ramiona, obserwując kłębiące się stado.

- Wiem, co widziałem.

- Skąd wiesz, że to nie była kura?

Pocierał palcem nos i zastanawiał się nad tym pytaniem. Kahlan czekała, patrząc, jak Richard z zapałem przeszukuje stado kur, jakby starał się odnaleźć zgubione ukochane zwierzątko.

- Podczas uroczystości takich jak wasz ślub - powiedział po jakimś czasie Człowiek Ptak - mężczyźni odgrywają historie z dziejów naszego ludu. Kobiety nie tańczą owych historii, czynią to wyłącznie mężczyźni. Jednak wiele z tych historii dotyczy również kobiet. Widziałeś te opowieści?

- Tak. Patrzałam wczoraj, jak tancerze opowiadali historię pierwszych Błotnych Ludzi, naszej matki i ojca.

Uśmiechnął się, jakby wzmianka o tej właśnie opowieści była dla niego szczególnie miła. Był to uśmiech wyrażający dumę Człowieka Ptaka z jego ludu.

- Gdybyś nadeszła podczas tego tańca i nie wiedziała nic o naszym ludzie, zorientowałabyś się, że tancerz w kostiumie matki naszego szczepu nie jest kobietą?

Kahlan zastanowiła się nad tym. Błotni Ludzie przygotowywali do owych

tańców bardzo wyszukane kostiumy. Używano ich jedynie w tym celu. Widok tancerzy w specjalnych strojach wzbudzał w Błotnych Ludziach pełen lęku podziw. Mężczyźni poprzebierani za kobiety bardzo starali się do nich upodobnić.

- Bo ja wiem... Chyba rozpoznałabym, że to nie kobiety.

- Jak? Po czym byś to poznała? Jesteś pewna?

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Coś byłoby nie tak. Sądzę, że patrząc na nich, wiedziałabym, że to nie kobiety.

Po raz pierwszy spojrzął na nią baczными, piwnymi oczami.

- A ja wiem, że to nie kura. Kahlan splotła palce.

- Może gdy się porządnie wyśpisz i rano popatrzysz na kurę, to zobaczysz tylko kurę?

Jej podejrzenia tylko go rozbawiły.

- Powinnaś coś zjeść. Zabierz swojego nowego męża. Wyślę kogoś po was, gdy tylko znajdę kurę, która nie jest kurą.

Kahlan uznała, że to niezły pomysł. Zobaczyła, że Richard zmierza w ich stronę. Ucisnęła ramię Człowieka Ptaka, wyrażając mu bez słów uznanie i podziękowanie.

Spędzanie kur zajęło całe popołudnie. Wypełniły obie chaty przeznaczone dla złych duchów i jeszcze trzecią, która stała pusta. Prawie cała wioska brała udział w zaganianiu ptaków. To było pracochłonne zajęcie.

Dzieci okazały się niezastąpione. Podekscytowane rolą, jaka przypadła im w tak ważnej sprawie, pokazały wszystkie miejsca, w których kury zwykły się kryć. Łowcy ostrożnie spędzali wszystkie ptaki, chociaż Człowiek Ptak mówił tylko o zwierzętach rasy Barred Rock, bo właśnie taką, pstrokatą kurę Richard przepędził, kiedy przyszli do Zedda, i taką samą widział nad drzwiami, gdy wyszli z chaty, w której tężało ciało Juniego.

Przeszukano wszelkie zakamarki. Byli pewni, że wszystkie kury są w owych trzech chatach.

Richard, zmierzając ku nim przez stado kur, uśmiechnął się przelotnie do Człowieka Ptaka, lecz jego wzrok pozostał poważny. Spojrzął Kahlan w oczy i dziewczyna przesunęła palcami po jego ramieniu, zdesperowana, lecz rada, że może go dotknąć.

- Człowiek Ptak mówi, że jeszcze nie znalazł kury, na której ci zależy, ale będzie nadal szukał. Przecież są jeszcze w dwóch chatach. Zaproponował,

żebyśmy poszli coś zjeść, a on przyśle po nas, gdy znajdzie twoją kurę.

Richard ruszył ku drzwiom.

- Tu jej nie znajdzie.

- Jak to? Skąd wiesz?

- Muszę sprawdzić tamte chaty.

Kahlan była tylko zirytowana, ale Richard był wściekły, że nie może odnaleźć tego, czego szuka. Dziewczyna sądziła, że zdaniem chłopaka, chodzi tu o jego słowo. Zedd i Ann czekali w pobliżu drzwi, pozwalając Richardowi szukać i robić to, co uważał za konieczne. Poszukiwacz przystanął i przeczesał palcami gęste włosy.

- Czy któreś z was zna księgę *Bliźniaczy szczyt*?

Zedd złapał się za brodę, wpatrzył w spód trawiastej strzechy i intensywnie usiłował sobie przypomnieć.

- Nie znam tego, mój chłopcze. Ann również szukała w pamięci.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

Richard rzucił ostatnie spojrzenie na zakurzoną izbę pełną kur i zaklął pod nosem. Czarodziej podrapał się w ucho.

- O czym jest ta księga, mój chłopcze?

Jeżeli nawet Richard usłyszał to pytanie poprzez jazgot ptaków, to i tak puścił je mimo uszu i nie odpowiedział.

- Muszę obejrzeć resztę kur.

- Jeśli to ważne, to mogłabym zapytać Verne i Warrena. - Ann wyjęła z kieszonki małą czarną książeczkę, która przyciągnęła wzrok Richarda. - Warren mógłby coś wiedzieć.

Chłopak opowiadał Kahlan, że książeczka, którą Ann nosiła przy sobie i teraz pokazała, zwana była książką podrózną i stanowiła wytwór starożytnej magii. Książki podrózne były bliźniacze - każda wiadomość zapisana w jednej z nich natychmiast pojawiała się w drugiej. Siostry Światła porozumiewały się za ich pomocą, kiedy wyruszały na długie wyprawy, na przykład wtedy, gdy udały się do Nowego Świata, żeby sprowadzić Richarda do Pałacu Proroków.

Chłopak rozpromienił się, usłyszawszy propozycję Ksieni.

- O tak, proszę cię o to. To ważne. - Znów ruszył ku drzwiom. - Muszę iść.

- Richardzie - krzyknęła Kahlan - nie chcesz jeść?!

Dał jej znak, żeby za nim poszła, lecz zniknął, nim skończyła mówić.



Zedd wyszedł za wnukiem, sygnalizując obu kobietom wzruszeniem ramion swoje zdumienie. Kahlan mruknęła coś i też poszła za Richardem.

- Dla ciebie, Spowiedniczki, małżeństwo z miłości musi być jak spełnienie dziecinnej bajki - powiedziała Ann, nie ruszając się z miejsca, w którym tkwiła przez ostatnią godzinę.

Kahlan spojrzała na nią.

- o, tak.

Ksieni uśmiechnęła się do niej serdecznie.

- Tak się cieszę, dziecko, że poślubiłaś kogoś, kto kocha cię z całego serca. To wielkie szczęście.

Dziewczyna trzymała palce na klamce zamkniętych drzwi.

- Wciąż jeszcze nie bardzo mogę w to uwierzyć.

- Musi ci być przykro, że twój dopiero co poślubiony mąż woli się zajmować innymi sprawami, niż towarzyszyć młodej żonie. Że nie zwraca na ciebie uwagi. - Ann zacisnęła usta. - A zwłaszcza pierwszego dnia małżeństwa.

- Aaaa. - Kahlan puściła klamkę i splotła dłonie za plecami. - To dlatego Zedd wyszedł. Chciał, byśmy mogły pogawędzić jak kobieta z kobietą?

Ksieni zachichotała.

- Uwielbiam, gdy mężczyźni, których szanuję, zenią się z bystrymi kobietami. Nic lepiej nie świadczy o charakterze mężczyzny niż pociąg do inteligencji.

Kahlan westchnęła i oparła się ramieniem o ścianę.

- Znam Richarda i wiem, że nie nadużywa mojej cierpliwości bez powodu... lecz to nasz pierwszy dzień po ślubie. Spodziewałam się, że będzie inny... Inny niż to ściganie wyimaginowych potworów w postaci kury. Myślę, że tak troszczy się o moje bezpieczeństwo, że aż wymyśla zagrożenia.

- Richard bardzo cię kocha - powiedziała współczująco Ann. - Wiem, że się martwi, chociaż nie pojmuję jego rozumowania. Na tym chłopaku spoczywa ogromna odpowiedzialność. - Z głosu Ksieni zniknęło współczucie. - Jeśli chodzi o Richarda, wszyscy musimy być gotowi do poświęceń.

I Ann udała, że przygląda się kurom.

- Tu, w tej wiosce, zanim spadł śnieg - odezwała się Kahlan spokojnym, wyważonym tonem - oddałam Richarda twoim Siostrom Światła w nadziei,

że ocalicie mu życie, choć wiedziałam, iż może to być kres naszej przyszłości, mojej i jego. Żeby poszedł z Siostrami, musiałam sprawić, by uwierzył, że go zdradziłam. Czy ty w ogóle rozumiesz...

Dziewczyna zmusiła się do zamilknięcia. Nie chciała niepotrzebnie przywoływać bolesnych wspomnień. Wszystko dobrze się skończyło. Ona i Richard wreszcie byli razem. I tylko to miało znaczenie.

- Wiem - szepnęła Ann. - Nie musisz się przede mną tłumaczyć. To ja muszę się tłumaczyć przed tobą, bo to ja nakazałam sprowadzenie Richarda do nas.

Ksieni wreszcie pojęła aluzję, lecz Kahlan nie wykorzystwała przewagi i grzecznie spytała:

- Do czego zmierzasz?

- Starożytni czarodzieje stworzyli Pałac Proroków. Mieszkałam w nim, pod osłoną jedyne w swoim rodzaju czaru, ponad dziewięćset lat. To właśnie tam, pięćset lat przed tym wydarzeniem, Prorok Nathan przepowiedział narodziny czarodzieja wojny. To tam, w pałacowych kryptach, ja i Nathan ślęczeliśmy nad księgami przepowiedni, usiłując pojąć znaczenie tego kamyka, który miał być wrzucony do stawu, i starając się przewidzieć, jakie to wywoła skutki. Kahlan skrzyżowała ramiona.

- Wiem z doświadczenia, że proroctwo może sprawę bardziej zaciemnić, niż wyjaśnić.

Ann zaśmiała się.

- Znam Siostry starsze od ciebie o setki lat, które jeszcze tej prawdy nie pojęły. - I kontynuowała zadumana: - Udałam się w podróż, żeby zobaczyć Richarda, gdy był nowo narodzoną istotą, nowo narodzoną duszą, która dopiero co przybyła na ten świat. Jego matka była zdumiona i wdzięczna za to, że tak cudowny dar zrównoważył brutalny czyn Rahla Posępnego. Była wspaniałą kobietą, która nie przeniosła na dziecko żalu i urazy żywionej do jego ojca. Była bardzo dumna z syna, wiązała z nim duże nadzieje. Kiedy Richard był maleństwem ssącym jeszcze pierś matki, Nathan i ja zabraliśmy jego ojczyzna po Księgę Opisania Mroków, żeby malec, gdy dorośnie, wiedział, jak się uratować przed bestią, która zgwałciła jego matkę i dała mu życie. - Ann uśmiechnęła się krzywo. - Proroctwo, sama rozumiesz.

- Richard opowiedział mi o tym. - Kahlan spojrzała na Człowieka Ptaka obserwującego kury dziobiące polepę.

- Richard jest tym, który się w końcu pojawił: czarodziejem wojny. Proroctwa nie mówią, czy mu się powiedzie, lecz jest zrodzony do walki, walki o utrzymanie Grace w nie zmienionym stanie. Jednak wiara ta wymaga niekiedy ogromnego wysiłku duchowego.

- Dlaczego, skoro jest tym, na którego czekaliście, którego pragnęliście? Ksieni odkaszlnęła, zbierała myśli. Kahlan wydało się, że widzi w jej oczach łzy.

- Zniszczył Pałac Proroków. Przez niego uciekł Nathan, a Nathan jest niebezpieczny. W końcu to właśnie on zdradził ci imiona demonów. A ten ryzykowny, nie przemyślany czyn może nas wszystkich zniszczyć.

- Ale uratował Richardowi życie. Gdyby Prorok nie podał mi imion demonów, to Richard już by nie żył. A wtedy ten twój kamyk leżałby na dnie stawu, poza twoim zasięgiem, nieprzydatny komukolwiek - oznajmiła Matka Spowiedniczka.

- To prawda - przyznała Ann, a Kahlan pomyślała, że zrobiła to niechętnie.

Dziewczyna skubała guzik i starała się na to wszystko spojrzeć oczami Ksieni.

- Przykro ci było patrzeć, jak Richard niszczy pałac. Niszczy twój dom.

- Wraz z pałacem zniszczył również jego czar, więc Siostry Światła będą się teraz starzeć jak wszyscy inni. W pałacu żyłabym prawdopodobnie jeszcze sto lat. A inne Siostry setki lat dłużej. Teraz zaś jestem starą kobietą, której życie dobiega kresu. Richard odebrał mi te setki lat. Odebrał je Siostróm.

Kahlan milczała, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Pewnego dnia może od niego zależeć przyszłość wszystkich - powiedziała na koniec Ksieni. - Pamięć o tym musi przeważać nad naszymi interesami. To dlatego pomogłam mu zniszczyć pałac. To dlatego stoję po stronie człowieka, który pozornie zniszczył dzieło mojego życia. Robię to, bo prawdziwym dziełem mojego życia jest jego walka, a nie moje prywatne interesy.

Dziewczyna odgarnęła za ucho pasmo mokrych włosów.

- Mówisz o Richardzie tak, jakby był wykutym specjalnie dla ciebie narzędziem. A on jest człowiekiem, który chce zrobić to, co konieczne, lecz ma też swoje potrzeby i pragnienia. To jest jego życie i ani ty, ani nikt inny

nie powinien mu go układać według tego, co wyczyta w starych, zakurzonych księgach.

- Nie rozumiesz. To właśnie jego instynkt, jego ciekawość, jego serce sprawiają, że jest taki cenny. - Ann dotknęła skroni. - Jego umysł. Naszym celem nie jest kierowanie nim, ale podążanie jego śladem, choć to niekiedy bolesne.

Kahlan dobrze o tym wiedziała. Richard zniszczył sojusz, który przez tysiące lat spajał krainy Midlandów. Jako Matka Spowiedniczką przewodniczyła Naczelnej Radzie, a więc także Midlandom. I to w czasie, kiedy ona, Kahlan, była Matką Spowiedniczką, Midlandy przypadły Richardowi, który został lordem Rahlem D'Hary. A przynajmniej dotyczyło to krain, które mu się poddały. Wiedziała, że to konieczne i że Richard kieruje się dobrem ogółu, lecz na pewno ciężko było się jej z tym pogodzić.

Jednak zuchwałe działania Richarda były jedynym sposobem pozwalającym połączyć krainy w jedną siłę, która mogłaby się przeciwstawić Imperialnemu Ładowi. Teraz podążali ręką w rękę, złączeni wspólnym celem.

Kahlan znów skrzyżowała ramiona, oparła się o ścianę i obserwowała głupie kury.

- Jeśli chciałaś wzbudzić we mnie poczucie winy za to, że samolubnie pragnęłam, by pierwszy dzień z moim mężem wyglądał zupełnie inaczej, to ci się udało. Ale nic na to nie poradzę, że tego pragnęłam.

Ann delikatnie ujęła ramię dziewczyny.

- Nie, dziecko, wcale tego nie chciałam. Dobrze wiem, jak zachowanie Richarda może czasami irytować. Prosiłam tylko, żebyś była cierpliwa i pozwoliła mu robić to, co uważa za konieczne. On robi to, bo musi, a nie dlatego, żeby cię urazić. Jednak miłość do ciebie może go odciągnąć od obowiązków. Nie możesz prosić, by porzucił swe zadanie, z którego inaczej by nie zrezygnował.

- Wiem - westchnęła Kahlan. - Ale kury...

- Coś niedobrego dzieje się z magią.

- To znaczy? - Kahlan chmurnie spojrzała na starą czarodziejkę.

Ksieni wzruszyła ramionami.

- Sama dobrze nie wiem. Zedd i ja uważamy, że w naszej magicznej mocy zaszła zmiana. Jest bardzo nikła, trudna do wykrycia. A ty zauważyłaś

jakaś zmianę w twojej?

Kahlan, ogarnięta paniką, skierowała myśli w głąb siebie. Trudno było sobie wyobrazić ledwo uchwytną zmianę w jej mocy Spowiedniczki - ta moc po prostu była. Jądro wewnętrznej mocy i panowanie Kahlan nad nią wydawały się pokrzepiająco niezmiennie. Chociaż...

Dziewczyna zrezygnowała z posępnych domysłów.

Magia i tak była dość nieuchwytna. Pewien czarodziej skłonił kiedyś Kahlan podstępem, by uwierzyła, że jej moc zniknęła, mimo iż w rzeczywistości pozostała nie zmieniona. Dziewczyna omal nie straciła przez to życia. Przeżyła tylko dlatego, że w ostatniej chwili zdała sobie sprawę, iż wciąż ma moc i może ją wykorzystać, by się uratować.

- Nie. Jest taka sama - powiedziała. - Na własnej skórze doświadczyłam, jak łatwo można dać się zwieść i uwierzyć, że magia znika. To prawdopodobnie tylko skutek troski i przemęczenia.

- Prawdopodobnie tak, lecz Zedd uważa, że lepiej pozwolić Richardowi robić to, co uważa za konieczne. Nasze podejrzenia potwierdza to, że Richard sądzi, i to nie odwołując się do naszej magicznej wiedzy, iż dzieje się coś niedobrego. Jeżeli to prawda, znaczy to, że on tkwi w tym o wiele głębiej niż my. My możemy tylko podążać jego śladem. - Ksieni znów położyła zdeformowaną dłoń na ramieniu Kahlan. - Proszę cię, żebyś nie zadrezczała go zrozumiałym skądinąd pragnieniem, by ci nadskakiwał. Żebyś pozwoliła mu zrobić to, co zrobić musi.

Nadskakiwać, a jakże. Kahlan chciała tylko trzymać go za rękę, tulić, całować, uśmiechać się do niego i patrzeć, jak odwzajemnia ten uśmiech.

Jutro muszą wracać do Aydindril. Ważniejsze sprawy przesłonią tajemniczą śmierć Juniego. Czekają ich zmartwienia związane z imperatorem Jagangiem i z wojną. Kahlan chciała po prostu, żeby mieli dla siebie jeden dzień.

- Rozumiem. - Dziewczyna wpatrywała się w stadko kłębiących się i gdaczących głupich kur. - Postaram się nie przeszkadzać.

Ann pozbawionym radości skinieniem głowy potwierdziła, że uzyskała to, czego chciała.

Na zewnątrz, w zapadającym mroku, chodziła Cara. Po jej zirytowanej minie Kahlan poznała, że Richard kazał Mord-Sith zostać i pilnować nowo poślubionej żony. Tego rozkazu Cara nie mogła nie wykonać - nawet Kahlan

nie nakłoniłaby jej do tego.

- Chodź - powiedziała dziewczyna, mijając Carę. - Zobaczymy, jak Richardowi idą poszukiwania.

Matka Spowiedniczka stwierdziła z niezadowoleniem, że ciągle pada. Deszcz nie był tak intensywny jak przedtem, ale równie zimny. Wkrótce znów ją przemoczył.

- Tędy nie poszedł! - zawołała za nią Mord-Sith. Kahlan i Ann odwróciły się. Cara nie ruszyła się z miejsca.

- Sądziłam, że chciał zobaczyć resztę kur. - Dziewczyna wskazała przez ramię drugą chatę przeznaczoną dla złych duchów.

- Ruszył w stronę tamtych dwóch chat, ale zmienił zdanie - oznajmiła Cara. - Poszedł tam.

- Dlaczego?

- Nie powiedział - Kazał mi zostać i czekać na was. - Mord-Sith ruszyła w deszcz. - Chodźcie. Zaprowadzę was do niego.

- Wiesz, gdzie go znaleźć? - Kahlan zdała sobie sprawę, że to głupie pytanie, zanim jeszcze skończyła mówić.

- Jasne. Przecież łączy mnie z lordem Rahlem więź. Zawsze wiem, gdzie jest.

Dziewczynę niepokoiło to, że Mord-Sith zawsze wyczuwała bliskość Richarda, zupełnie jak kokoszka, która czuje bliskość kurczęcia. Była również o to zazdrosna. Położyła dłoń na plecach Ann, ponagłając Ksienię, by dotrzymywała jej kroku, inaczej bowiem zostałyby same w mrokach.

- Od kiedy ty i Zedd podejrzewacie, że coś jest nie tak? - spytała szeptem pulchną czarodziejkę, dając do zrozumienia, że chodzi jej o podejrzenia dotyczące magii.

Ann patrzyła pod nogi, uważając, gdzie stawia stopy. Panowały już prawie całkowite ciemności.

- Pierwszy raz zauważyliśmy to ubiegłej nocy. Wykonaliśmy kilka prób, choć trudno to zmierzyć i udowodnić. Jednak nie udało się nam w pełni potwierdzić, że mamy rację. To trochę tak, jakbyś usiłowała określić, czy dzisiaj widzisz równie dobrze jak wczoraj.

- Opowiadasz jej o naszych podejrzeniach, że nasza magiczna moc słabnie?

Dziewczyna drgnęła, usłyszawszy dobiegający z tyłu znajomy głos.

- Tak - rzuciła przez ramię Ann, kiedy skręcali za Cara za róg. Wcale nie wydawała się zdziwiona tym, że Zedd nagle znalazł się z tyłu. - A jak kobieta?

- Przygnębiona - westchnął czarodziej. - Staralem się ją pocieszyć i uspokoić, ale nie poszło mi tak dobrze, jak się spodziewałem.

- Zeddzie - przerwała mu Kahlan - jesteś zupełnie pewny, że mamy kłopoty? To poważne stwierdzenie.

- Hmm, niczego nie twierdzę...

Wszyscy troje wpadli na Care, która niespodziewanie zatrzymała się w ciemnościach. Mord-Sith stała bez ruchu, wpatrzona w deszcz. W końcu mruknęła coś do siebie i zaczęła ich zawracać.

- Nie tędy - gderła. - Z powrotem.

Poprowadziła ich na powrót ku narożnikowi, a potem inną drogą. Ledwo widzieli, którędy idą. Kahlan odgarniała z twarzy mokre włosy. Cara szła przodem, prowadząc ich w szemrzącym deszczu. Z tyłu Zedd i Ann rozmawiali cicho, a Kahlan szła smutna, samotna i opuszczona.

Mord-Sith musiała kilka razy zawracać; prawdopodobnie deszcz i mrok utrudniały jej zlokalizowanie Richarda za pomocą magicznej więzi.

- Daleko jeszcze? - spytała Kahlan.

- Nie za bardzo - brzmiała odpowiedź Cary.

Błoto dostało się do butów dziewczyny brnącej przez labirynt uliczek zmienionych w trzęsawisko. Krzywiła się, czując, jak przy każdym kroku zimna maź przesuwana się pod palcami. Tęskniła za tym, żeby zdjąć buty. Była zmarznięta, przemoczona, zmęczona i ubłocona - a wszystko dlatego, że Richard bał się, że po okolicy biega jakiś głupi zły duch w postaci kury-monstrum. Tęsknie wspominała ciepłą poranną kąpiel i pragnęła ponownie znaleźć się przy gorących źródłach. Przypomniła sobie śmierć Juniego i przemyślała to na nowo. Były poważniejsze sprawy niż jej samolubne pragnienie ciepła. Jeżeli Zedd i Alin mieli rację co do magii...

Dotarli do placu pośrodku wioski. Żywy cień, którym była Cara, zatrzymał się. Deszcz bębnił o strzechy i spływał z okapów, rozchlapując błoto i tworząc kałuże w odciskach stóp. Mord-Sith uniosła ramię i wskazała:

- Tam.

Kahlan zmrużyła oczy, próbując dojrzeć coś w strugach deszczu. Czowała, jak Zedd staje tuż przy niej, po prawej ręce, a Ann po lewej. Cara, która stała nieco z boku, znalazła Richarda dzięki łączącej ją z nim więzi, oni zaś

wpatrywali się w ciemności, usiłując dojrzeć to, co Mord-Sith widziała wyraźnie.

Nagle Kahlan zauważyła przygasające ognisko. Małe, ospałe płomyki wysuwały się w wilgotne powietrze. Zdziwiająco, że ognisko jeszcze nie zgasło. Wyglądało na pozostałość ich radosnego weselnego ogniska. Mimo trwającej cały dzień ulewy przetrwała cząstka ich uświęconych zaślubin - a przecież wydawało się, że to niemożliwe.

Richard stał przed ogniskiem i wpatrywał się w nie. Dziewczyna dostrzegła ledwie zarysy jego wielkiej postaci. Unoszona wiatrem złocista peleryna połyskiwała w błyskach nadprzyrodzonego ognia. Kahlan widziała, jak krople deszczu uderzają w czubek buta, którym Richard grzebał w dogasającym ognisku. Gdy poruszył to, co wciąż jeszcze płonęło mimo ulewy, płomienie sięgnęły mu do kolan. Wiatr dokazywał z ogniem w lodowatym, ciemnym deszczu - czerwone i złote jęzory chwiały się i kołysały, trzepotały i podskakiwały, falowały w hipnotyzującym tańcu gorącego blasku.

Richard zgasił ogień.

Kahlan niemal mu złorzeczyła.

- Sentrosi - mruknął chłopak, dusząc butem żar.

Zimny wiatr uniósł iskrę. Richard próbował ją zamknąć w pięści, lecz niesiona wiatrem cząsteczka żaru umknęła mu i uleciała w mroczną noc.

- Kurczę, ten chłopak znajduje bryłkę żywicy, która wciąż jeszcze żarzy się w starej kłodzie, i natychmiast gotów jest uwierzyć w niemożliwe - mruknął zgryźliwie Zedd.

- Mamy poważniejsze zajęcia niż zajmowanie się niedorzecznymi domysłami niedouka - burknęła nieuprzejmie Ann.

Podzielając zdanie Ksieni, poirytowany Zedd otarł dłonią twarz.

- Może być tysiąc i jedna rzecz, a on czepia się tej jednej, bo nigdy nie słyszał o tysiącu innych.

- Ciemnota tego chłopca jest... - Ann groziła czarodziejowi palcem.

- To jeden z demonów - wtrąciła się Kahlan, przerywając Ksieni. - Co to znaczy?

Zedd i Ann odwrócili się i wpatrzyli w dziewczynę, jakby zapomnieli, że wciąż jest przy nich.

- To nieważne - upierała się Ksieni. - Chodzi o to, że powinniśmy



poświęcić uwagę poważnym sprawom, a chłopak marnuje czas, trapiąc się demonami.

- Co znaczy słowo...

Zedd odchrząknął, ostrzegając w ten sposób Kahlan, żeby nie wymawiała głośno imienia drugiego demona.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i pochyliła się ku staremu czarodziejowi.

- Co to znaczy?

- Ogień - odparł w końcu.

## ROZDZIAŁ 9

Huknął grzmot. Kahlan usiadła i przetarła oczy. Najwyraźniej burza rozszalała się na nowo. Dziewczyna zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć w nikłym świetle. Richarda nie było przy niej. Nie wiedziała, która to godzina, ale poszli spać późno. Wyczuła, że jest połowa nocy, daleko do świtu. Uznała, że Richard musiał wyjść za potrzebą.

Ulewa tak biła w dach, że Kahlan wydawało się, iż znajduje się pod wodospadem. W czasie ich pierwszej wizyty w wiosce Richard wykorzystał dom duchów, żeby nauczyć Błotnych Ludzi robienia dachów z dachówek. Taki dach nie przepuszcza wody jak ich strzechy z traw, więc teraz dom duchów był zapewne najbardziej suchą budowlą w wiosce.

Ludzie byli oczarowani wizją dachów, które nie przeciekają. Kahlan wyobrażała sobie, że za kilka lat cała wioska zamieni trawiaste strzechy na dachówki. Ona sama była niezmiernie zadowolona z suchej izby.

Dziewczyna miała nadzieję, że Richard zacznie się powoli uspokajać, skoro dowiedzieli się już, że w zgonie Juniego nie było nic złowieszczonego. I chłopak, i Człowiek Ptak obejrzel wszystkie kury, lecz nie znaleźli takiej, która nie byłaby kurą, tylko jakimś upierzonym potworem. Sprawę wyjaśniono. Rankiem ptaki zostaną wypuszczone.

Zedd i Ann wcale nie byli zadowoleni z Richarda. Jeśli naprawdę wierzył, że płonąca bryłka żywicy była demonem - istotą z zaświatów - to co, na Stwórcę, zamierzał z nim zrobić, gdyby zdołał go złapać w dłoń? Richard nie zastanawiał się nad tym albo zachował ten zamiar dla siebie z obawy, że dostarczy Pierwszemu Czarodziejowi kolejny dowód na to, iż jego wnuk stracił resztki rozsądku.

Zedd nie pastwił się nad Richardem, wygłaszając długie tyrady dotyczące mnóstwa prawdopodobnych przyczyn ostatnich wydarzeń. Była to przede wszystkim nauka, a nie karcenie, choć nie mógł sobie odmówić odrobiny tego ostatniego.

Richard Rahl - władca imperium D'Hary, człowiek, któremu kłaniali się królowie oraz królowe i któremu poddawały się narody - milczał, a jego dziadek chodził tam i z powrotem, strofując go, pouczając i wygłaszając nauki. Niekiedy przemawiał jako Pierwszy Czarodziej, czasem jako dziadek

Richarda, innym razem jako przyjaciel.

Kahlan wiedziała, że chłopak za bardzo szanował Zedda, by mu przerywać. Jeśli Zedd był rozczarowany, należało pozwolić mu się wygadać.

Zanim poszli spać, dowiedzieli się od Ann, że w jej książce podróźnej pojawiła się odpowiedź. Verna i Warren znali *Bliźniaczy szczyt*, księgę, o którą pytał Richard. Verna napisała, że to przede wszystkim tom przepowiedni i że miał go imperator Jagang. Ona i Warren, zgodnie z zaleceniami Nathana, zniszczyli ją oraz inne dzieła, których tytuły Prorok im podał. Nie udało im się tylko zniszczyć *Księgi odwrócenia i podwojenia*, której nie było w siedzibie Jaganga.

Kiedy się wreszcie położyli, wyglądało na to, że Richard jest w złym humorze albo zaprzątnięty myślami. Nie był w nastroju, żeby kochać się z Kahlan. Prawdę mówiąc, po wszystkim, co przeżyli tego dnia, nie miała doń o to pretensji.

Dziewczyna westchnęła. To dopiero ich druga wspólna noc, a oboje nie mają nastroju na bliskość. Ileż to razy marzyła, żeby być z Richardem?

Opadła na plecy i przycisnęła dłoń do zmęczonych oczu. Oby tylko Richard się pospieszył i wrócił na posłanie, nim ona znów zaśnie. Pragnęła go choć pocałować i powiedzieć, że wie, iż on tylko robi to, co uważa za konieczne i słuszne, i że ona, Kahlan, wcale nie ma go z tego powodu za głupca. I że wcale się nie rozzłościła - chciała tylko być z nim, a nie biegać cały dzień w deszczu i zaganiać kury.

Chciała mu powiedzieć, że go kocha.

Położyła się na boku, twarzą ku pustemu miejscu, i czekała. Oczy zamykały się jej, zmuszała się, żeby podnosić powieki. Położyła dłoń na należącej do Richarda części koca i wtedy uświadomiła sobie, że przykrył ją nią. Dlaczego miałby to robić, gdyby zamierzał szybko wrócić?

Kahlan usiadła. Ponownie przetarła oczy. W słabym blasku ognia dostrzegła, że zniknęło ubranie chłopaka.

To był długi dzień. Poprzedniej nocy mało spali. Dlaczego wyszedł w deszcz w środku nocy? Potrzebowali snu. Rankiem mieli wyruszyć. Musieli wrócić do Aydindril.

Rankiem. Mieli wyruszyć rankiem. Więc miał czas aż do rana.

Kahlan, pomrukując, rzuciła się na ich rzeczy. Poszedł szukać jakiegoś dowodu. Była tego pewna. Czegoś, co przekonałoby ich, że nie był głupi.

Szperała w plecaku, aż natrafiła na małą oprawkę na świecę. Stożkowaty daszek osłoni świecę przed deszczem, więc płomień nie zgaśnie. Dziewczyna znalazła koło paleniska długą drzazgę, podpaliła ją i od niej zapaliła świecę. Zamknęła szklane drzwiczki latarenki, żeby wiatr nie zdmuchnął płomienia. Latarenka nie dawała wiele światła, ale Kahlan musiało to wystarczyć w smoliście czarnej, deszczowej nocy.

Dziewczyna zerwała swoją przemoczoną koszulę z tyczki, którą Richard ustawił przy ogniu. Gdy wsunęła ręce w rękawy, dotknięcie mokrej, zimnej tkaniny sprawiło, że zadrżała. Już ona powie swojemu mężowi, co o tym myśli. Nakłoni go, żeby wrócił i tulił ją, dopóki znów nie będzie jej ciepło. To jego wina, że ponownie trzęsie się z zimna. Krzywiąc się, wciągnęła na gołe nogi lodowate, przemoczone spodnie.

Jakiegoż to dowodu poszedł szukać? Kury?

Nim się położyli, Kahlan, susząc włosy przy ogniu, spytała Richarda, dlaczego uważa, że kilka razy widział tę samą kurę. Odparł, że martwa kura, którą widział rankiem przed domem duchów, miała ciemny znak po prawej stronie dzioba, tuż pod grzebieniem. I że kura, którą wskazał Człowiek Ptak, miała taki sam. Chłopak powiązał to dopiero później. Twierdził, że ptak czekający nad drzwiami chaty, w której leżało ciało Juniego, miał również ów znak. Powiedział, że żadna z kur zamkniętych w trzech chatach nie miała takiego znamienia. Dziewczyna odparła, że kury cały czas dziobią w ziemi i że to prawdopodobnie grudka błota, skoro cały dzień lało. Co więcej, na pewno niejeden ptak miał brudny dziób. Deszcz pewnie umył im dzioby, gdy spędzano je do chat.

Błotni Ludzie byli pewni, że spędzili wszystkie kury, więc ta, której szukał, musiała być w jednej z trzech chat. Richard nie znalazł na to odpowiedzi.

Kahlan spytała, dlaczego jakieś przywrócone do życia stworzenie miałyby całutki dzień chodzić ich śladem. Po co? I na to pytanie Richard nie znalazł odpowiedzi.

Dziewczyna zorientowała się, że nie bardzo dodawała mu otuchy. Wiedziała, że Richard nie był skory do fantazjowania. Jego zawziętość nie była zwyczajnym uporem, nie wynikała też z chęci zirytowania jej. Powinna go wysłuchać uważniej i z większym przekonaniem. W końcu była jego żoną. Na kogóż mógł liczyć, jeśli nie na nią? Nic dziwnego, że nie miał ochoty się z

nią kochać. Ale ta kura...

Kahlan otworzyła drzwi i podmuch wiatru cisnął w nią deszczem. Cara poszła spać. Łowcy strzegący domu duchów dostrzegli dziewczynę i przybiegli. Wpatrywali się w jej twarz oświetloną blaskiem świecy i jakby unoszącą się w zalewanym deszczem mroku. Błyskawice rozświetlające raz za razem niebo wydobywały z ciemności ich lśniące od wody ciała.

- W którą stronę poszedł Richard? - zapytała. Zamrugali ze zdumienia.

- Richard. Nie ma go w środku. Wyszedł jakiś czas temu. W którą stronę poszedł? - powtórzyła.

Jeden z łowców popatrzył po towarzyszach, zanim się odezwał. Każdy z nich potrząsnął głową.

- Nikogo nie widzieliśmy. Jest ciemno, ale i tak byśmy go zobaczyli, gdyby wyszedł.

- Może nie. Richard był leśnym przewodnikiem. Noc to jego żywioł. Potrafi zniknąć w ciemnościach tak, jak wy potraficie zniknąć w trawach - westchnęła Kahlan.

Pokiwali głowami. Słowa Matki Spowiedniczki przekonały ich.

- No to jest gdzieś tutaj, ale nie wiemy gdzie. Richard Popędliwy umie czasami być jak duch. Jeszcze nigdy kogoś takiego nie spotkaliśmy.

Kahlan uśmiechnęła się do siebie. Richard był szczególną osobą - to cecha czarodzieja.

Pewnego razu łowcy zabrali go na strzelanie z łuku, a on zaskoczył ich, niszcząc wszystkie wypuszczone przez siebie strzały. Wpakował je jedną po drugiej w środek tarczy w taki sposób, że każda następna rozszczepiała poprzednią. To dar Richarda prowadził jego strzały, choć chłopak w to nie wierzył. Uważał, że to po prostu efekt praktyki i koncentracji. Nazywał to „przywoływaniem celu”. Mówił, że przywołuje cel, pozwalając, by wszystko inne zniknęło, a kiedy czuje, że strzała znalazła ów szczególny punkt, wypuszczają. Potrafił tego dokonać w mgnieniu oka. Kahlan musiała przyznać, że kiedy uczył ją strzelać, niekiedy czuła to, o czym mówił. A to, czego ją nauczył, pewnego razu ocaliło jej życie. Ale i tak była przekonana, że wchodziła tu w grę magia.

Łowcy mieli dla Richarda wielki respekt. I tylko po części wynikał on z jego umiejętności łuczniczych. Trudno było nie szanować chłopaka. Skoro więc Kahlan powiedziała, że potrafi się stać niewidzialny, nie mieli powodu

w to wątpić.

A mało brakowało, by się to fatalnie zaczęło. Podczas pierwszego spotkania na równinach, kiedy Kahlan przyprowadziła go do Błotnych Ludzi, Richard źle zrozumiał powitalny policzek i solidnie przyłożył Savidlinowi, jednemu z przywódców. Swoim czynem mimowolnie oddał szacunek ich mocy, zdobył cennego przyjaciela i zasłużył na przydomek „Richard Popędliwy”.

Kahlan otarła twarz z deszczu.

- W porządku. Chcę go odszukać. - Wskazała mroki. - Niech każdy z was pójdzie w inną stronę. Jeżeli go odnajdziecie, powiedzcie mu, że czekam. Jeżeli go nie znajdziecie, wróćcie tutaj i znów będziemy szukać, już w innych miejscach i do skutku.

Łowcy zaczęli protestować, ale powiedziała im, że jest zmęczona, chce się położyć i że pragnie mieć przy sobie męża. Prosiła, by jej pomogli, bo inaczej sama zacznie go szukać.

Do Kahlan dotarło, że Richard właśnie to robił: szukał sam, bo nikt nie chciał mu uwierzyć.

Łowcy zgodzili się niechętnie i rozeszli w różnych kierunkach, znikając w ciemnościach. W przeciwieństwie do Kahlan nie mieli butów, więc łatwiej im było chodzić po błocie. Dziewczyna zzuła niewygodne obuwie i wrzuciła je do domu duchów. Uśmiechnęła się do siebie na myśl, że choć o tyle udało się jej przechytryć błocko.

W Aydindril było mnóstwo kobiet - szlachetnie urodzonych, żon oficjeli czy też kobiet pełniących ważne funkcje - które zemdlałyby, gdyby zobaczyły bosą Matkę Spowiedniczkę brnącą po kostki w błocie i przemokniętą do suchej nitki.

Kahlan brnęła w błocku i zastanawiała się, czy Richard przyjął w swoich poszukiwaniach jakąś metodę. Rzadko robił coś bez powodu. Jak zamierzał samodzielnie przeszukać wioskę w tych ciemnościach? Ponownie rozważyła swoją pierwszą myśl, że chłopak szuka kury. Może uznał, że ona, Zedd i Ann mieli rację. Może wcale nie szukał kury. Ale co w takim razie robił na zewnątrz w środku nocy?

Deszcz bębnił na głowie dziewczyny, spływał jej po szyi i plecach, sprawiał, że trzęsa się z zimna. Długie włosy, które tak pracowicie wysuszyła i wyszczotkowała, znów nasiąkły wodą. Koszula lepiała się do ciała

jak druga skóra. I to przeraźliwie zimna druga skóra.

Dokąd mógł pójść?

Kahlan zatrzymała się i uniosła świecę.

Juni.

Może poszedł zobaczyć Juniego. Poczowała ukłucie w sercu - może poszedł spojrzeć na martwe dziecko. Może chciał boleć nad obojgiem.

Richard mógł zrobić coś takiego. Mógł zapragnąć pomodlić się do dobrych duchów za dwie dusze, które właśnie odeszły do ich świata. Richard by to zrobił.

Kahlan przeszła pod niewidocznym, spływającym z dachu lodowatym strumyczkiem, który na moment pozbawił ją tchu i oblał jej piersi. W marszu odgarnęła do tyłu kosmyki mokrych włosów, wypłuła je też z ust. Palce sztywniały jej od unoszenia latarenki w lodowatym deszczu. Rozglądała się bacznie w ciemnościach, usiłując dokładnie określić, gdzie jest, i w ten sposób upewnić się, że idzie we właściwym kierunku. Znalazła znajomy niski murek z trzema donicami pełnymi ziół. W pobliżu nikt nie mieszkał - to były zioła przeznaczone dla złych duchów, które miały niedaleko swoje chaty. Stąd już знаła drogę.

Nieco dalej skręciła za róg i odnalazła drzwi chaty dla zmarłych. Zdrętwiałymi palcami szukała klamki. Nasiąknięte wodą drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Weszła do środka i zamknęła je za sobą.

- Richard? Jesteś tu, Richardzie?

Żadnej odpowiedzi. Uniosła świecę. Drugą dłonią zatkała nos, by nie czuć fetoru. Na języku poczuła niemiły smak.

Blask latarenki padł na podwyższenie z małym ciałem. Kahlan podeszła bliżej, krzywiąc się, kiedy bosą stopą rozdeptała jakiegoś twardego robaka, lecz widok ciała dziecka sprawił, że tamto przestało mieć znaczenie.

Dziewczyna znieruchomiała. Drobne ramionka zastygły w powietrzu. Nóżki były sztywne, małe pięty nie dotykały podłoża. Maleńkie dłonie były otwarte. I te drobnutki, wiotkie paluszki...

Kahlan poczuła, jak zaciska się jej gardło. Zakryła usta, tłumiąc płacz nad tym, które nie zdążyło zaistnieć. Biedactwo. Biedna matka.

Z tyłu dobiegał jakiś osobliwy, powtarzający się dźwięk. Dziewczyna patrzyła na martwe maleństwo i odruchowo starała się rozpoznać to jednostajne stukanie. Zamilkło. Znów zabrzmiało. Ponownie zamilkło.

Uznała, że to kapiąca woda.

Nie mogła się powstrzymać. Ostrożnie dotknęła palcem wnętrza malutkiej dłoni. Więcej rączka by nie objęła. Podświadomie oczekiwała, że paluszki zacisną się na jej palcu. Tak się jednak nie stało. Stłumiła łkanie, po jej policzku spłynęła łza. Tak bardzo współczuła matce. Kahlan widziała tak wiele śmierci, tak wiele ciał, więc nie pojmowała, dlaczego to właśnie tak nią wstrząsnęło. Osunęła się na ziemię i płakała nad pozbawionym imienia maleństwem. W samotnej chacie dla zmarłych rozpaczała nad tym, któremu nie dane było żyć, nad formą, która przyszła na ten świat pozbawiona ducha.

Dobiegający z tyłu dźwięk tak ją w końcu zirytował, że odwróciła się, by sprawdzić, co też jej przeszkadza w modłach do dobrych duchów.

Stłumiła szloch i krzyk.

Na piersi Juniego stała kura.

Wydziobywała łowcy oczy.



## ROZDZIAŁ 10

Kahlan chciała spędzić kurę ze zwłok, lecz nie potrafiła się do tego zmusić. Ptak dziobał i przyglądał się dziewczynie. Dziob, dziob, dziob. Dziob. Dziob. To ten dźwięk słyszała.

- Siooo! - Machnęła ręką ku ptaszysku. - Siooo!

Na pewno przyszło tutaj na robaki. To dlatego się tu znalazło. Z powodu robaków.

Ale dziewczyna jakoś nie mogła w to uwierzyć.

- Siooo! Zostaw go w spokoju!

Kura zasyczała, nastroszyła pióra na szyi i podniosła łeppek.

Kahlan się cofnęła.

Ptak zatopił pazury w zeszywniałym ciele i powoli odwrócił się ku dziewczynie. Przekrzywił łeppek - grzebień opadł, zakotłosały się korale.

- Siooo. - Matka Spowiedniczka usłyszała swój szept. Było dość ciemno i bok dzioba pokrywała zakrzepła krew, więc Kahlan nie widziała, czy kura ma na nim ciemny znak czy nie.

Jednak wcale nie musiała tego widzieć.

- Pomóżcie mi, dobre duchy - poprosiła szeptem.

Ptak powoli zagdakał. Brzmiało to jak gdakanie kury, ale w głębi serca Kahlan wiedziała, że nim nie było. W owej chwili dziewczyna pojęła, czym jest kura, która nie jest kurą. To ptaszysko wyglądało jak kura, jak większość kur Błotnych Ludzi. Lecz kurą nie było.

To było wcielenie zła.

Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. To było coś tak ohydneho jak uśmiech śmierci.

Kahlan zacisnęła dłońią koszulę przy szyi. Tak mocno wciskała plecy w podwyższenie z ciałem dziecka, że zaczęła się zastanawiać, czy go nie przewróci. Instynkt podpowiadał jej, że powinna przyskoczyć i dotknąć wcielenie zła mocą Spowiedniczki. Jej magia na zawsze niszczyła jaźń określonej osoby, tworząc w powstałej w ten sposób pustce całkowite, bezwarunkowe oddanie Spowiedniczce. Dzięki temu skazani na śmierć przyznawali się do obrzydliwych zbrodni lub udowadniali swoją niewinność. To było ostateczne potwierdzenie sprawiedliwości.

Przed dotknięciem mocy Spowiedniczki nie było obrony. Było ostateczne i nieodwołalne. Nawet najokrutniejszy morderca miał duszę, toteż był na nie podatny.

Magiczna moc Spowiedniczki stanowiła również jej ochronę, lecz działała wyłącznie na ludzi. Nie podziałałaby na kurę. A tym bardziej na wcielone zło.

Kahlan sprawdziła odległość od drzwi. Kura podskoczyła ku niej. Przytrzymała się pazurami przedramienia Juniego i wychyliła w jej stronę. Mięśnie ptasich nóg napięły się tak mocno, że aż drżały.

Kura cofnęła się o krok, natężyła i narobiła na twarz łowcy.

Potem wydała dźwięk, który przypominał śmiech.

Dziewczyna z całego serca pragnęłaby uznać, że jest niemądra, że sobie to wmawia. Wiedziała jednak, że tak nie jest.

Czuła nie tylko, że jej moc nie zniszczyłaby tego stwora, ale i to, że jej siła i przewyższające owo coś rozmiary nie miały w tym przypadku znaczenia. Najlepiej byłoby stąd uciec, pomyślała.

I tego właśnie najbardziej pragnęła: wyjść z chaty. Tłusty ciemny robak pełził w górę po jej ręce. Wydała stłumiony okrzyk i strąciła go. Zrobiła krok ku drzwiom.

Kura zeskoczyła z Juniego i wylądowała przed drzwiami.

Dziewczyna rozpaczliwie starała się coś wymyślić, a ptak nieustannie dziobał. Złapał robaka, którego Matka Spowiedniczka strąciła z ramienia. Połknął go i łypał na Kahlan, przekrzywiając łeppek to w jedną, to w drugą stronę i kołyszac koralami.

Dziewczyna patrzyła na drzwi. Usiłowała znaleźć sposób, by wydostać się z chaty. Odsunąć kurę z drogi kopniakiem? Odstraszyć ją od drzwi? Nie zwracać na nią uwagi i przejść obok? Przypomniała sobie słowa Richarda: „Juni naubliżał czemuś, co ją zabiło, i wkrótce potem zmarł. Rzuciłem patykiem w kurę siedzącą w oknie, a ona zaraz zaatakowała tego malca. Ungi ucierpiał z mojej winy. Nie chcę raz jeszcze popełnić tego samego błędu”.

Ona też nie chciała popełnić tego błędu. Stwór mógł jej skoczyć do twarzy. Wydrapać oczy. Rozszarpać pazurami tętnicę szyjną. Wykrwawić ją na śmierć. Któż wie, jaki jest silny i co mógłby zrobić.

Richard twardo żądał, by wszyscy byli uprzejmi dla kur. Nagle okazało

się, że życie Kahlan zależy od słów chłopaka. A jeszcze tak niedawno uważała, że są niemądre. Teraz zaś oceniała swoje szansę i decydowała, biorąc pod uwagę te właśnie słowa.

- Wybacz mi, Richardzie - wyszeptała błagalnie.

Coś dotknęło palców stóp Kahlan. Zerknęła - zdawało się jej, że mimo zbyt nikłego światła widzi robaka pełzającego przez jej stopy. Inny insekt wpęził po kostce i dostał się w nogawkę spodni. Tupnęła, lecz robak trzymał się krzepko. Pochyliła się, żeby uderzyć stworą pełzającego pod nogawką. Chciała się go pozbyć. Uderzyła zbyt mocno i rozgniotła go na skórze. Gwałtownie się wyprostowała, by strzepnąć robaki chodzące jej we włosach. Krzyknęła, bo jakiś krocionóg uszczypnął ją w rękę. Strząsnęła go. Spadł na podłogę, a tu kura dopadła go i połknęła.

Nagle kura machnęła skrzydłami i wskoczyła na ciało Juniego. Orząc je pazurami, odwróciła się powoli i spojrzała na dziewczynę. W czarnym oku malowało się chłodne zainteresowanie.

- Matka - gładknęła chrapliwie. Kahlan cofnęła się z krzykiem.

Starła się uspokoić oddech. Serce jej waliło, wydawało się jej, że się udusi. Tak mocno uchwyciła się podwyższenia, że aż zdarła skórę na palcach.

Ptak musiał wydać dźwięk przypominający słowo „matka”. Dziewczyna była Matką Spowiedniczką, więc nieustannie słyszała to słowo. Teraz zaś, przerażona, po prostu wyobraziła sobie, że je słyszy.

Znów krzyknęła, bo coś ukuło ją w kostkę. Chciała strząsnąć robaka chodzącego jej w rękawie i przypadkowo strąciła świecę, która stała za nią na podwyższeniu. Latarenka z brzękiem upadła na polepę.

W mgnieniu oka izbę zalała smolista ciemność.

Kahlan okręciła się, drapiąc szaleńczo coś, co sunęło w górę pomiędzy jej łopatkami, pod włosami. Ciężar i pisk świadczyły, że musiała to być mysz. Na szczęście spadła, kiedy dziewczyna otrząsnęła się i obróciła dokoła.

Kahlan znieruchomiała. Starła się dosłyszeć, czy kura się poruszyła, czy zeskoczyła na podłogę. W izbie panowała cisza, dziewczyna słyszała jedynie bicie swojego serca.

Zaczęła posuwać się ku drzwiom. Brnęła w cuchnącej słomie, ogromnie żałując, że nie ma butów. Odór zatykał. Pewnie już nigdy nie będę się czuła czysta, pomyślała. Niech tam, byle tylko ujść stąd z życiem.

W ciemnościach rozległ się gdaczący rechot kury.

I wcale nie dochodził z tej strony, z której Kahlan się spodziewała. Stwór był za nią.

- Nie zamierzam wyrzucić ci krzywdy! - zawołała w mrok. - Nie chcę cię obrazić. Jeśli pozwolisz, zostawię cię twoim sprawom.

Zrobiła kolejny krok w stronę drzwi. Poruszała się ostrożnie, powoli, na wypadek gdyby kuropodobny stwór stał na jej drodze. Nie chciała nań wpaść i rozgniewać go tym. Nie może go nie doceniać.

Kahlan wiele razy rzucała się szaleńczo na pozornie niepokonanych przeciwników. Dobrze znała korzyści wynikające z nagłego, zdecydowanego ataku. Teraz jednak nie miała najmniejszych wątpliwości, że przeciwnik, gdyby tylko zechciał, zabiłby ją równie łatwo, jak ona skrzyłaby szyję prawdziwej kurze. To ona przegra, jeśli sprowokuje go do walki.

Dotknęła ramieniem ściany. Przesunęła dłoń po błotnych ceglach, starając się wymacać drzwi. Nie było ich. Przesunęła dłoń w inną stronę. I tu nie było drzwi.

To szaleństwo. Przecież weszła tutaj przez drzwi. Drzwi muszą tu być. Coś, co podszywało się pod kurę, zagdakało szepcząco.

Kahlan, przetykając łzy strachu, odwróciła się i przycisnęła plecy do ściany. Prawdopodobnie pomieszały się jej kierunki, gdy obracała się, strząsając mysz z pleców. Obróciła się o jeden raz za dużo. Drzwi były na swoim miejscu. To ona odwróciła się w przeciwną stronę.

Gdzież więc było wejście?

Otworzyła oczy najszerzej jak mogła, usiłując dojrzeć coś w ciemnościach. Przez głowę przemknęła jej nowa, przerażająca myśl: a jeżeli kura wydziobała jej oczy? Jeżeli stwór właśnie to lubił? Jeżeli lubił wydziobywać oczy?

Usłyszała swój przerażony szloch. Deszcz przeciekał przez strzechę z trawy. Drgnęła, kiedy krople spadły jej na głowę. Znow zajaśniała błyskawica. Kahlan zobaczyła ją przez ścianę po lewej. Nie, to nie ściana, lecz drzwi. Błysk przenikał przez szparę między drzwiami a polepą. Huknął grzmot.

Przerażona dziewczyna skoczyła ku wejściu. W ciemności uderzyła biodrem o skraj podwyższenia i trafiła stopą w ceglany narożnik. Odruchowo chwyciła bolące miejsce. Skacząc na jednej nodze, trafiła stopą

na coś twardego. Piekący ból. Starła się czegoś uchwycić i trafiła dłonią na sztywne małe ciało. Cofnęła się. Upadła. Klnąc pod nosem, uświadomiła sobie, że nastąpiła na rozgrzaną latarenkę. Rozmasowała stopę. Właściwie wcale się nie poparzyła - to strach podsunął jej wizję rozpalonego metalu, który parzy ją w stopę. Za to druga stopa krwawiła po uderzeniu w cegły.

Kahlan głęboko zaczerpnęła powietrza. Nie wolno ci się bać, skarciła się, bo sobie nie poradzisz. A nikt cię stąd nie wyciągnie. Powinna zebrać myśli i zapanować nad sobą na tyle, by zdołać uciec z chaty dla zmarłych.

Kolejny oddech. Musi tylko dotrzeć do drzwi i będzie mogła stąd wyjść. Będzie bezpieczna.

Macała przed sobą polepę, czołgając się ku drzwiom. Słoma była wilgotna, a Kahlan nie wiedziała, czy od deszczu, czy też od tego, co ściekało z podwyższeń. Mówiła sobie, że Błotni Ludzie szanują zmarłych. Nie zostawiliby tutaj brudnej słomy. Musi być czysta. Dlaczego więc tak cuchnie?

Zmuszała się, żeby nie zwracać uwagi na pełzające po niej robaki. Jęczała cicho, kiedy zapominała, że ma milczeć. Niemal dotykając twarzą polepy, dostrzegła w szparze pod drzwiami blask kolejnej błyskawicy. Drzwi były już blisko.

Nie miała pojęcia, gdzie się podziała kura. Modliła się, żeby stwór wrócił do wydziobywania oczu Juniego.

Zajaśniała następna błyskawica i dziewczyna dostrzegła między sobą a drzwiami kurze łapki. Stwór był ledwie o stopę od jej twarzy.

Kahlan wolno przesunęła drżącą dłoń i osłoniła oczy. Wiedziała, że przypominające kurę monstrum może lada chwila wydziobać jej oczy, tak jak wydziobało je Juniemu. Dyszała z przerażenia, wyobrażając sobie, że ma wydziobane oczy. Że krew płynie z jej pustych oczodołów. Byłaby ślepa. Bezbronna. Już nigdy nie zobaczyłaby uśmiechających się do niej szarych oczu Richarda.

W jej włosach wiercił się robak, próbując uwolnić się z ich płątaniny. Kahlan przesunęła po nich ręką. Chciała się go pozbyć.

Nagle coś uderzyło ją w głowę. Krzyknęła. Robak zniknął. Kura zdziobała go z głowy dziewczyny. Skóra bolała od mocnego dziobnięcia.

- Dziękuję. - Zmusiła się, żeby wykrztusić to do kury. - Bardzo dziękuję. Jestem wdzięczna. - Wrzasnęła, bo dziób uderzył ją w ramię. To był robak. Kura nie celowała w rękę, lecz w robaka. - Przepraszam, że wrzasnęłam. Po

prostu mnie wystraszyłaś. Jeszcze raz dziękuję - powiedziała drżącym głosem.

Dziób mocno uderzył w czubek głowy. Tym razem nie było tam robaka. Kahlan nie wiedziała, czy stwór sądził, że robak tam jest, czy też chciał ją dziobnąć w głowę. Bardzo zabolalo. Dziewczyna znów zasłoniła oczy.

- Nie rób tego, proszę. To boli. Nie dziob mnie, proszę. Dziób pochwycił żyłkę na grzbiecie dłoni, która osłaniała oczy.

Kura ciągnęła, jakby chciała wywlec z ziemi robaka.

To był rozkaz. Kahlan miała cofnąć dłoń sprzed oczu.

Dziób mocno szarpnął skórę. Nie było wątpliwości, co oznacza to uporczywe szarpanie. Odsuń dłoń, ale już, bo pożałujesz.

Jeśli Kahlan rozgniewa stwora, nie wiadomo, co ten jej zrobi. Juni leżał martwy na podwyższeniu, przypominając o możliwościach czegoś, co podszywało się pod kurę.

Dziewczyna powiedziała sobie, że jeśli kura uderzy w oczy, to ją złapie i spróbuje skrócić jej kark. Jeśli będzie dostatecznie szybka, potwór zdoła dziobnąć tylko raz. I zostanie jej jedno oko. Będzie walczyć. Ale tylko wtedy, kiedy stwór zaatakuje oczy.

Instynkt ostrzegał Kahlan, że to najbardziej niemądra i niebezpieczna rzecz, jaką może zrobić. I Człowiek Ptak, i Richard twierdzili, że to nie kura. Teraz już im wierzyła. Ale nie miała wyboru.

Jeżeli zacznie, będzie to walka na śmierć i życie. Nie miała złudzeń co do swoich szans. Być może jednak zostanie zmuszona do walki. W razie potrzeby będzie walczyć do ostatniego tchu, tak jak nauczył ją ojciec.

Ptak złapał w dziób spory kawałek skóry wraz z żyłą i szarpnął. Ostatnie ostrzeżenie.

Dziewczyna ostrożnie cofnęła drżącą dłoń. Kura zagdakała cicho, z zadowoleniem.

Błysnęła kolejna błyskawica, lecz Kahlan jej nie potrzebowała. Stwór był tuż-tuż. Czula jego oddech.

- Nie krzywdź mnie, proszę.

Huknął grom tak głośny, że aż zabolalo. Kura gdaknęła i odwróciła się.

Kahlan uświadomiła sobie, że to nie grzmot, a odgłos gwałtownie otwartych drzwi.

- Kahlan! - To był głos Richarda. - Gdzie jesteś?! Poderwała się na równe

nogi.

- Richardzie! Uważaj! To ta kura! Ta kura!

Chłopak sięgnął po stwora. Ptak przemknął między jego nogami i wypadł za drzwi.

Kahlan chciała go objąć, ale on zerwał łuk z ramienia jednego ze stojących na zewnątrz łowców. Nim mężczyzna zdążył zareagować, Richard porwał strzałę z jego kołczanu. Chwila i strzała była już nasadzona, a cięciwa napięta.

Kura umykała szaleńczo błotnistą uliczką. Błyskawice jakby unieruchamiały ptaka - każda ukazywała go w oślepiającym błysku, za każdym razem coraz dalej.

Brzęknęła cięciwa, strzała pomknęła w noc. Kahlan usłyszała, że stalowy grot w coś uderzył. W blasku błyskawicy ujrzała, jak kura odwraca się i patrzy na nich. Strzała trafiła ptaszysko w tył łepka. Ostrze sterczało z rozdziawionego dzioba. Krew spływała po brzechwie i kapała z grotu, plamiąc pióra na szyi kury i barwiąc kałuże.

Łowca gwizdnął z podziwu nad tak celnym strzałem. Noc znów stała się czarna, zahuczał grom. W blasku kolejnej błyskawicy ujrzeni, jak kura znika za rogiem.

Richard skoczył za uciekającym ptakiem, a Kahlan pobiegła za nim. Łowca w pędzie podał chłopakowi drugą strzałę. Richard nasadził ją, napiął cięciwę i już skręcali za róg.

Wszyscy troje zwolnili i zatrzymali się. W błocie, pośrodku uliczki, leżała okrwawiona strzała. Kury nigdzie nie było widać.

- Teraz ci wierzę, Richardzie - wysapała Kahlan.

- Spodziewam się - odparł.

Z tyłu dobiegł ich głośny syk i szum. Wyjrzeni zza węgła - płomienie pochłaniały strzechę chaty, w której przygotowywano zmarłych do pochówku. Przez otwarte drzwi widać było, jak płonie słoma na polepie.

- Miałam świecę. Upadła w słomę. Ale płomyk zgasł. Na pewno zgasł - powiedziała Kahlan.

- Może to od błyskawicy - odparł Richard, patrząc, jak płomienie buchają w niebo.

Ostry blask sprawiał, że stojące w pobliżu chaty zdawały się kołysać i tańczyć w jednym rytmie z płomieniami. Kahlan, mimo odległości, czuła na

twarży gniewny żar. Wiatr niósł w noc iskry i palącą się trawę.

Otoczyli ich łowcy pełniący funkcję strażników, którzy nagle wynurzyli się z deszczu. Właściciel strzały pokazał ją towarzyszom, szepcząc, że Richard Popędliwy ustrzelił złego ducha, przepędził go.

Z mroku panującego za węglem wyszło jeszcze dwoje ludzi. Przyjrzeni się szalejącym płomieniom i dołączyli do grupki. Zedd, którego niesforne siwe włosy wyglądały w blasku ognia na czerwono-pomarańczowe, wyciągnął rękę. Jeden z łowców położył na jego dłoni okrwawioną strzałę. Pierwszy Czarodziej obejrzał ją pobieżnie i podał Ann. Ksieni obróciła brzechwę w palcach i westchnęła, jakby strzała opowiedziała jej swoją historię i potwierdziła obawy.

- To demony - stwierdził Richard. - Są tutaj. Teraz mi wierzycie?

- Widziałam go, Zeddzie - odezwała się Kahlan. - Richard ma rację. To nie była kura. To coś wydziobywało Juniemu oczy. I mówiło. Nazwało mnie Matką Spowiedniczką.

W poważnych oczach czarodzieja tańczyły refleksy płomieni. W końcu skinął głową.

- W pewnym sensie masz rację, mój chłopcze. To istotnie poważne tarapaty, lecz nie demony.

- Zeddzie - upierała się Kahlan, wskazując płonąca chatę - mówię ci, że to był...

Umilkła, bo starzec wyciągnął rękę i wyjął z jej włosów pstrokate piórko. Uniósł je i obrócił wolno między kciukiem a palcem wskazującym. Zmieniło się w dym i rozwiało w nocnym powietrzu.

- To był Lurk - mruknął czarodziej.

- Lurk? - Richard zmarszczył brwi. - Co to takiego? I skąd to wiesz?

- Wraz z Ann rzucaliśmy czary weryfikujące - odparł stary czarodziej. - Dostarczyłeś nam dowód, którego potrzebowaliśmy. Siad magii na tej strzale potwierdza nasze podejrzenia. Mamy poważne kłopoty.

- To coś zostało przywołane przez zaprzędanych Opiekunowi. Przez osoby, które mogą się posługiwać magią subtraktywną. Przez Siostry Mroku - odezwała się Ann.

- Jagang - wyszeptał Richard. - On ma Siostry Mroku. Ksieni skinęła głową.

- Ostatnio Jagang nasłał czarodzieja asasyna, ale ocalałeś. Tym razem



przysłał coś o wiele niebezpieczniejszego.

Zedd położył dłoń na ramieniu Richarda.

- Słusznie się upierałeś, lecz wyciągnąłeś błędne wnioski. Ann i ja jesteśmy przekonani, że uda się nam odczynić czar, który go tu sprowadził. Postaraj się tym nie zamartwiać. Popracujemy nad tym i znajdziemy rozwiązanie.

- Wciąż jeszcze nie powiedziałaś, czym jest ten Lurk. Jaki ma cel? Po co go tu przysłano?

Ann spojrzała na Zedda i rzekła:

- Przywołano go z zaświatów. Magią subtraktywną. Ma zniszczyć magię na tym świecie.

- Jak demony - wyszeptała z przerażeniem Kahlan.

- To poważna sprawa - potwierdził Zedd - ale nie tak poważna jak demony. Ann i ja mamy doświadczenie i swoje sposoby. Dzięki Richardowi Lurk na razie zniknął. Zdemaskowano go, więc zbyt szybko nie wróci. Prześpijcie się. Na szczęście Jagang zadziałał niezdarnie i jego Lurk zdradził się, nim zdążył wyrządzić poważniejsze szkody.

Richard obejrzał się przez ramię na płonącą chatę, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Lecz jak imperator mógłby...

- Ann i ja potrzebujemy trochę wypoczynku, żeby móc potem dokładnie określić, co Jagang zrobił i jak temu przeciwdziałać. To skomplikowane. Pozwolisz nam zrobić to, co musimy?

Richard w końcu otoczył ramieniem kibić Kahlan i przyciągnął ją do siebie. Skinął dziadkowi głową. Przelotnie uścisnął ramię Zedda i odszedł z żoną ku domowi duchów.

## ROZDZIAŁ 11

Richard drgnął i Kahlan się obudziła. Leżała przytulona do niego plecami, odgarniała włosy z oczu i pospiesznie starała się oprzytomnieć. Chłopak usiadł i jego ciepłą obecność zastąpiła zimna pustka. Ktoś uporczywie stukał do drzwi.

- Lordzie Rahlu - dobiegł przytłumiony głos. - Lordzie Rahlu.

To nie był sen - Cara łomotała w drzwi. Richard, idąc ku wejściu, wciągnął spodnie. Otworzył drzwi i do izby wtargnęło światło dnia.

- O co chodzi, Caro?

- Uzdrowicielka przysłała mnie po ciebie. Zedd i Ann zachorowali. Nie zrozumiałam, co powiedziała, ale wiedziałam, że chce, bym po ciebie poszła.

Chłopak porwał buty.

- Są ciężko chorzy?

- Zachowanie uzdrowicielki nie wskazywało na poważną chorobę, ale ja się na tym nie znam. Uznałam, że wolałbyś się sam przekonać.

- Tak, oczywiście. Już idziemy.

Kahlan też się ubierała. Jej odzież wciąż jeszcze była wilgotna, ale przynajmniej nie ociekała już wodą.

- Jak myślisz, co im się mogło stać?

Richard naciągnął czarny, pozbawiony rękawów podkoszulek.

- Nie mam pojęcia.

Zrezygnował z reszty stroju, zapiał szeroki pas ze zdobionymi złotem sakiewkami i ruszył ku drzwiom. Nigdy nie zostawiał bez opieki tego, co kryły owe sakiewki. Ich zawartość była zbyt niebezpieczna. Obejrzał się, by sprawdzić, czy Kahlan idzie za nim.

Dziewczyna wciągała sztywne, wilgotne buty, podskakując dla utrzymania równowagi.

- Sądzisz, że to może być magia? Że coś jest nie w porządku z magią? Przez tego Lurka?

- Nie dawajmy forów naszym obawom. Wkrótce się dowiemy.

Wypadli z domu duchów. Cara przyłączyła się do nich i dotrzymywała im kroku. Ranek był wietrzny i wilgotny, padała gęsta mżawka. Ciężkie chmury zapowiadały paskudną pogodę. Przynajmniej jednak nie było ulewy.

Długi, jasny warkocz Mord-Sith wyglądał, jakby go nie rozplotła na noc. Ciężki i wilgotny, o nieco rozluźnionych splotach i tak prezentował się lepiej niż zmierzwione loki Kahlan, a dziewczyna dobrze o tym wiedziała.

Za to czerwony skórzany strój Cary sprawiał wrażenie dopiero co oczyszczonego. Był dumą Mord-Sith. Niczym czerwona flaga oznajmiał wszystkim jej obecność i mało które słowa równie znakomicie sygnalizowałyby groźbę. Woda skraplała się i spływała po czerwonej skórze, co dowodziło, że uniform został natarty oliwą lub tłuszczem z owczej wełny. Był tak obcisły, że Kahlan zawsze uważała, iż Mord-Sith nie tyle się rozbierają, ile odzierają się z tej drugiej skóry.

Szli pospiesznie uliczką, a Cara spojrzała na nich oskarżycielsko.

- Tej nocy przytrafiła się wam jakaś przygoda.

Mina Mord-Sith wyraźnie świadczyła, iż Cara nie była zachwycona, że pozwolono jej spać, gdy jej podopieczni błakali się jak bezbronne kocięta i nierozsądnie narażali na niebezpieczeństwo.

- Znalazłam kurę, która wcale nie była kurą - powiedziała Kahlan.

Kiedy wracali nocą do domu duchów, brnąc w deszczu przez błoto, byli wyczerpani i niemal o tym nie rozmawiali. Na pytanie dziewczyny Richard odparł, że gdy szukał stwora, usłyszał jej głos dobiegający z chaty, w której leżało ciało Juniego. Spodziewała się, że usłyszy coś o braku zaufania, ale przemilczał to. Powiedziała mu, iż jest jej bardzo przykro, że zgotowała mu taki nieprzyjemny dzień i że mu nie wierzyła. Odparł na to tylko tyle, iż dziękuje dobrym duchom, że nad nią czuwały. Przytulił Kahlan i cmoknął w czubek głowy. Z jakiegoś powodu pomyślała, że lepiej byłoby, gdyby ją zganił.

Przeraźliwie zmęczeni, wsunęli się pod koce. Kahlan, wyczerpana, obawiała się, że nie zaśnie przez resztę nocy, dręczona wspomnieniami o złu emanującym z podszywającego się pod kurę potwora, lecz dotknięcie ciepłej i pocieszającej dłoni Richarda sprawiło, że natychmiast zasnęła.

- Jeszcze nikt mi nie wytłumaczył, skąd wiecie, że ta kura wcale nie jest kurą - pożałowała się Cara, kiedy skręcali za węgiew.

- Nie umiem tego wytłumaczyć. Było w niej coś takiego... To wycucie. Kiedy była w pobliżu, jeżyły mi się włosy na karku - odparł Richard.

- Gdybyś tam była, zrozumiałabyś. Gdy na mnie spojrzała, zobaczyłam w jej oczach zło - dorzuciła Kahlan.

- Może musiała znieść jajko - mruknęła sceptycznie Cara.
- Użyła mojego oficjalnego tytułu.
- Aaaa. To i mną by wstrząsnęło. - Głos Cary stał się poważniejszy, nawet niespokojny. - Naprawdę nazwała cię Matką Spowiedniczką?

Kahlan skinęła głową, patrząc na coraz bardziej zaniepokojoną twarz Mord-Sith.

- Właściwie to zaczęła, ale powiedziała tylko „matka”. Nie czekałam grzecznie, aż powie resztę.

Weszli kolejno do środka i Nissel wstała z koźlej skóry leżącej obok małego paleniska. Podgrzewała nad ogniem kociołek z aromatycznymi ziołami. W pobliżu paleniska, na półce, leżał stosik chleba tava. Uzdrowicielka położyła go tam, żeby nie ostygł. Nissel obdarzyła ich swoim tajemniczym uśmiechem.

- Witaj, Matko Spowiedniczko. Dobrze spałaś?
- Dziękuję, tak. Co z Zeddem i Ann, Nissel? Uzdrowicielka przestała się uśmiechać i spojrzała na skórę zasłaniającą wejście do tylnej izby.

- Sama dobrze nie wiem.

- To co im w końcu dolega? - spytał Richard, kiedy Kahlan przetłumaczyła jej słowa. - Co im jest? Gorączka? Żołądek? Głowa? Co? - Wyrzucił w górę ramiona. - Głowy pospadały im z ramion?

Kahlan tłumaczyła, a Nissel patrzyła w oczy chłopaka. Znow się osobliwie uśmiechała.

- Ten twój nowy mąż jest niecierpliwy

- Martwi się o dziadka. Bardzo go kocha. Wiesz, co im dolega?

Nissel odwróciła się, zamieszała płyn w kociołku. Stara uzdrowicielka zachowywała się dziwnie: mruzczała coś do siebie przy pracy, kładła ludziom kamienie na brzuchu i kazała im uważać, żeby nie pospadały, a sama w tym czasie zszywała ranę, lecz Kahlan wiedziała, że ma bystry umysł i jest niezrównana w swojej pracy. Stara, przygarbiona kobieta miała olbrzymie doświadczenie i rozległą wiedzę.

Uzdrowicielka mocniej otuliła się chustą i przykucnęła przed Grace, który wciąż jeszcze widniał na polepie. Wyciągnęła rękę i wolno powiodła zniekształconym palcem po jednej z wychodzących ze środka linii - po linii symbolizującej magię.

- Myślę, że o to chodzi.

Kahlan i Richard spojrzeli na siebie z niepokojem.

- Szybciej byście się dowiedzieli, gdybyście tam weszli i przyjrzyli się im - odezwała się Cara.

Richard spojrział na nią gniewnie.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, że najpierw chcemy się dowiedzieć, czego możemy się spodziewać.

Kahlan trochę się uspokoiła. Mord-Sith nigdy nie pozwoliłaby sobie na takie uwagi w ważnej dla nich sprawie, gdyby naprawdę wierzyła, że za skórzaną zasłoną toczy się walka o życie. Choć Mord-Sith wiedziała o magii tylko jedno - że jej nie lubi.

Cara, podobnie jak srodzy d'haranscy żołnierze, bała się magii. Wojownicy wciąż powtarzali, że są stalą przeciwko stali, lord Rahl zaś ma być magią przeciwko magii. To był element więzi łączącej D'Harańczyków z ich lordem Rahlem: oni chronili jego, a on chronił ich. Wyglądało na to, iż wierzą, że ich obowiązkiem jest bronić jego ciała, by w zamian on mógł bronić ich dusz.

Paradoksalnie, to właśnie więź łącząca Mord-Sith z lordem Rahlem dawała moc ich Agielom - straszliwemu narzędziu tortur, które każda z nich nosiła na łańcuszku okalającym nadgarstek - i, co ważniejsze, pozwalała przywłaszczać sobie czyjś magiczny dar. Dopóki Richard ich nie uwolnił, Mord-Sith miały nie tylko chronić lorda Rahl, ale też torturować aż po zgon jego posiadających magiczny dar wrogów, wydobywając z nich przy tym wszystko, co wiedzieli.

Mord-Sith nie mogły sobie przywłaszczyć jedynie mocy Spowiedniczek. Podobnie jak Mord-Sith bały się magii, tak ci, którzy mieli dar, jeszcze bardziej obawiali się Mord-Sith. Jednak ludzie zawsze powtarzali Kahlan, że wężę bardziej boją się jej niż ona ich.

Cara splotła dłonie za plecami i stanęła na warcie. Richard odsunął skórzaną zasłonę i Kahlan weszła do tylnej izby.

Świece rozjaśniały pozbawione okien pomieszczenie. Na polepie widniały magiczne symbole. Kahlan wiedziała, że nie wyrysowano ich dla wprawy, jak Grace w tamtej izbie. Nakreślono je krwią. Chwyła Richarda za łokieć.

- Uważaj. Nie nastąp na nic. - Wskazała symbole na polepie. - Mają przywabić i usidlić nieostrożnego.

Chłopak skinął głową i ostrożnie stąpał pośród magicznych rysunków. Zedd i Ann leżeli na wypchanych trawą siennikach ułożonych pod przeciwległą ścianą. Przykryto ich szorstkimi wełnianymi kocami.

- Zeddzie, nie śpisz? - szepnął Richard, osuwając się na kolana.

Kahlan uklękła obok chłopaka i wzięła go za rękę. Oboje przysiedli na piętach. Ann zamrugła i otworzyła oczy, a Matka Spowiedniczka ujęła też jej dłoń. Zedd zmarszczył brwi, jakby raziło go nawet nikłe światło świecy.

- A, jesteś, Richardzie. To dobrze. Musimy porozmawiać.

- O co chodzi? Jesteś chory? Jak możemy pomóc?

Faliste siwe włosy Zedda wyglądały na jeszcze bardziej rozwichrzone niż zwykle. W przyćmionym świetle zmarszczki na twarzy czarodzieja nie były zbyt widoczne, ale i tak wyglądał w tej chwili bardzo staro.

- Ann i ja... jesteśmy wyczerpani, to wszystko. Myśmy... - Wyciągnął spod koca rękę i wskazał rysunki pokrywające polepę. Skórzany uniform ciasniej opinał Carę niż skóra kości czarodzieja.

- Powiedz mu albo ja to zrobię - przerwała ciszę Ann.

- Co ma mi powiedzieć? Co się dzieje?

Zedd położył kościstą dłoń na muskularnym udzie Richarda i kilka razy ciężko odetchnął.

- Pamiętasz naszą rozmowę? To nasze „a co by było, gdyby”... Naszą rozmowę o zanikaniu magii?

- Oczywiście.

- Zaczęło się.

Richard szeroko otworzył oczy.

- A więc to demony.

- Nie - powiedziała Ann. - To Siostry Mroku. - Otarła pot zalewający jej oczy. - Rzucając czar, żeby przywołać tę... tę istotę podszywającą się pod kure...

- Lurka - pomógł jej Zedd. - Przywołując Lurka, przy okazji, celowo lub przypadkiem, zapoczątkowały zanikanie magii.

- To na pewno nie stało się przypadkowo. One by tego chciały. A przynajmniej chciałby tego Jagang, a Siostry Mroku wykonują jego wolę - stwierdził Richard.

Zedd skinął głową i zamknął oczy.

- Na pewno masz rację, mój chłopcze.

- Czyli nie potrafiliście tego powstrzymać? - spytała Kahlan. - A twierdziliście, że potraficie temu przeciwdziałać.

- Rzucenie czarów weryfikujących wiele nas kosztowało. - Na miejscu Ann dziewczyna powiedziała by to z równą goryczą. - Wyczerpało nasze siły.

Zedd uniósł rękę, po czym znów położył ją na udzie Richarda.

- A ponieważ jesteśmy tym, kim jesteśmy, i mamy więcej mocy i umiejętności niż inni, zanikanie magii rozpoczęło się od nas.

- Mówiłeś, że zacznie się od najłabszych. - Kahlan zmarszczyła brwi.

Ann tylko obróciła głowę w jedną i w drugą stronę.

- Dlaczego to nie dotyka również nas? - zapytał Richard. - Kahlan ma mnóstwo magicznej mocy, mocy Spowiedniczki. Ja też mam dar.

Zedd uniósł dłoń i z wysiłkiem nią machnął.

- Nie, nie. To nie tak działa. Zaczyna się od nas. I bardziej dotyka mnie niż Ann.

- Nie zwódź ich - odezwała się Ksieni. - To zbyt ważne - powiedziała i podjęła odrobinę silniejszym głosem: - Moc Kahlan wkrótce zaniknie, Richardzie. Twoja też, choć dla ciebie nie będzie to aż tak dokuczliwe, bo nie przywiązujesz do niej aż takiej wagi.

- Kahlan utraci moc Spowiedniczki - potwierdził Zedd - tak jak wszyscy inni utracą swój dar. Rzeczy też stracą swoją magię. Kahlan będzie bezbronna i trzeba będzie ją ochraniać.

- Wcale nie jestem taka bezbronna - zaproponowała dziewczyna.

- Przecież musicie znaleźć jakiś sposób, żeby temu przeciwdziałać. Tej nocy mówiłeś, że macie swoje sposoby - Richard zacisnął dłonie w pięści. - Powiedziałeś, że potrafisz temu zaradzić. Musisz coś zrobić!

Ann uniosła rękę i lekko stuknęła Zedda w czubek głowy.

- Powiesz mu wreszcie, stary? Zanim dostanie apopleksji i nie będzie mógł nam pomóc?

- Mogę pomóc? - Richard nachylił się ku nim. - Co mogę zrobić? Powiedzcie, a zrobię to.

Czarodziej zdołał się słabo uśmiechnąć.

- Zawsze mogłem na ciebie liczyć, Richardzie. Zawsze.

- Co możemy zrobić? - spytała Kahlan. - Możesz liczyć na nas oboje.

- Wiemy, co należy uczynić, lecz sami nie damy sobie rady.

- To wam pomożemy - nalegał Richard. - Co trzeba zrobić? Zedd walczył

o oddech.

- W wieży.

W Kahlan obudziła się nadzieja. Sylfa zaoszczędzi im całych tygodni podróży. Ona i Richard dostaną się sylfą do wieży w jeden dzień.

Zedd, prawie nieprzytomny, oddychał chrapliwie. Zaniepokojony Richard ścisnął sobie skronie kciukiem i palcem wskazującym jednej dłoni. Głęboko zaczerpnął powietrza. Położył rękę na ramieniu dziadka i łagodnie ścisnął.

- Zeddzie? Co mamy zrobić, by wam pomóc? Co w Wieży Czarodzieja? Co jest w wieży?

Stary czarodziej ospale przełknął ślinę.

- W wieży. Tak.

Richard znów zaczerpnął powietrza. Starał się, żeby jego głos brzmiał pewnie i przekonująco.

- W porządku. W wieży. Tyle rozumiem. Co chcesz mi powiedzieć o wieży, Zeddzie?

Pierwszy Czarodziej poruszał językiem, usiłując zwilżyć wnętrze ust.

- Wody.

Kahlan położyła dłoń na ramieniu Richarda, jakby chciała go powstrzymać, żeby nie podskoczył i nie przebił głową powały.

- Ja przyniosę.

W drzwiach spotkała się z Nisselę lecz uzdrowicielka zamiast wody, o którą Kahlan prosiła, podała jej gorący kubek.

- Daj mu to. Akurat to przygotowałam. Jest lepsze niż woda. Doda mu sił.

- Dziękuję, Nissel.

Dziewczyna przytknęła kubek do warg Zedda. Przełknął kilka łyków. Kahlan podała kubek Ann, a ta dopiła zawartość. Nissel pochyliła się nad ramieniem dziewczyny i podała jej kawałek chleba tava posmarowanego czymś, co wyglądało jak miód i leciutko pachniało miętą, jakby zmieszano to z jakimś lekiem. Uzdrowicielka szepnęła Kahlan, żeby skłoniła chorych do zjedzenia tego.

- Proszę, Zeddzie, zjedz trochę tava z miodem - powiedziała dziewczyna.

Zedd wyciągnął rękę i odsunął od ust chleb tava.

- Może później.

Kahlan i Richard spojrzeli na siebie kątem oka. To niesłychane, żeby



Zedd odmówił zjedzenia czegoś. Prawdopodobnie to spokój Nissel sprawił, iż Cara uznała, że to nic poważnego. Stara uzdrowicielka nie wyglądała na przejętą stanem zdrowia Ann i Zedda, za to Richard i Kahlan byli coraz bardziej zatroskani.

- Zeddzie, co z tą wieżą? - dopytywał się chłopak, gdy czarodziej już się napił.

Zedd otworzył oczy i Kahlan uznała, że są żywsze. Ich orzechowa barwa była bardziej przejrzysta - nie były już takie mętne. Powolnym ruchem złapał nadgarstek Richarda.

- Herbata dobrze mi zrobiła. Jeszcze. Kahlan obróciła się ku Nissel.

- Mówi, że herbata wraca mu siły. Chciałby się jej jeszcze napić.

Uzdrowicielka odchyliła do tyłu głowę, skrzywiła się.

- Pewnie, że pomaga. A niby po co, według niego, ją przyrządziłam?

Potrząsnęła głową, komentując taki brak rozsądku, i poczłapała do pierwszej izby po kolejną porcję. Kahlan stwierdziła, że Zedd naprawdę jest odrobinę zwawszy, że to nie jej złudzenie.

- Słuchaj uważnie, mój chłopcze. - Czarodziej uniósł palec, podkreślając wagę swoich słów. - W wieży znajduje się potężny czar. Rodzaj antidotum na skażenie rozprzestrzeniające się w świecie istot żywych.

- I ten czar jest ci potrzebny? - domyślił się Richard. Wyglądało na to, że herbata pomogła również Ann.

- Próbowaliśmy rzucić kontrczary, lecz nasza moc już za bardzo osłabła. Zbyt późno odkryliśmy, co się dzieje - powiedziała Ksieni.

- Lecz zamknięty w buteleczce czar podziała na to skażenie tak jak ono na nas - powiedział z trudem Zedd.

- I w ten sposób zrównoważy moc, żebyś mógł rzucić kontrczar i wyeliminować zagrożenie - niecierpliwie dokończył Richard.

- Tak - potwierdzili chórem Zedd i Ann.

- No to nie ma problemu - uśmiechnęła się Kahlan. - Zdobędziemy dla ciebie tę buteleczkę.

Richard też się uśmiechnął, pełen zapału.

- Dostaniemy się do wieży dzięki sylfie. Raz-dwa odnajdziemy tę twoją buteleczkę i wrócimy.

Ann zasłoniła oczy dłonią i mruknęła jakieś przekleństwo.

- Czyś ty niczego nie nauczył tego chłopaka, Zeddzie?

- A co? - Richard przestał się uśmiechać. - Co złego powiedziałem?

Zjawiała się Nissel, niosąc dwa gliniane kubki herbaty. Jeden podała Kahlan, drugi - Richardowi.

- Niech wszystko wypiją.

- Nissel mówi, że powinniście wszystko wypić - przekazała im dziewczyna.

Przytknęła kubek do ust Ann i Ksieni posłusznie piła. Zedd zmarszczył nos, ale zaczął łykać, bo Richard wlał mu herbatę do gardła. Czarodziej krztusił się i kaszlał, lecz musiał wszystko wypić.

- No to o co chodzi z wydostaniem tego czaru z Wieży Czarodzieja? - spytał Richard, kiedy jego dziadek łapał oddech.

- Po pierwsze - wykrztusił Zedd - nie musicie go tu przynosić. Powinniście tylko rozbić buteleczkę. Wtedy czar zostanie uwolniony. Jest już gotowy, nie wymaga żadnych działań.

Richard kiwał głową.

- Mogę stłuc buteleczkę. Zrobię to.

- Słuchaj. Czar jest zamknięty w buteleczce mającej chronić magię. Zostanie uwolniony tylko wtedy, kiedy osłona zostanie prawidłowo rozbita. Trzeba to zrobić przedmiotem posiadającym właściwą magię. W innym wypadku czar po prostu się ulotni i nie zadziała.

- Jakim przedmiotem? Jak mani prawidłowo stłuc buteleczkę?

- Mieczem Prawdy. Klinga posiada właściwą magię, dzięki czemu po stłuczeniu buteleczki uwolni nie uszkodzony czar - wyjaśnił Zedd.

- To nie problem. Zostawiłem miecz w twojej Wieży Pierwszego Czarodzieja. Ale czyż nie zniknie również magia miecza?

- Nie. Miecz Prawdy stworzyli czarodzieje mający wiedzę pozwalającą chronić jego moc przed zakusami tych, którzy dybią na jego magię.

- Więc uważasz, że Miecz Prawdy powstrzyma Lurka? Zedd potwierdził skinieniem głowy.

- Nie wiem o tym zbyt wiele, ale mocno wierzę, że Miecz Prawdy może być twoją jedyną ochroną. - Zacisnął palce na koszuli wnuka i przyciągnął go ku sobie. - Musisz odzyskać miecz.

Richard z zapalem potaknął i oczy czarodzieja pojaśniały. Zedd usiłował się podeprzeć na łokciu, lecz chłopak oparł wielką dłoń o pierś dziadka i zmusił go do leżenia.

- Wypoczywaj. Wstaniesz dopiero wtedy, gdy odpoczniesz. Teraz powiedz, gdzie jest buteleczka z tym czarem.

Zedd nachmurzył się i wskazał za Richarda i Kahlan. Odwrócili się. Zobaczyli tylko Carę stojącą przy drzwiach i znów spojrzeli na czarodzieja. Podpierał się na łokciu. Uśmiechnął się, rad ze swego podstępu. Richard łypnął nań gniewnie.

- Słuchaj uważnie, mój chłopcze. Mówiłeś, że wszedłeś do Wieży Pierwszego Czarodzieja. - Chłopak potaknął. - I pamiętasz, jak tam jest? - Richard raz jeszcze skinął głową. - To dobrze. Wejście. Długie przejście między różnymi przedmiotami.

- Tak, pamiętam. Hol wejściowy wyłożony czerwonym dywanem. Po obu stronach stoją białe marmurowe postumenty, niemal tak wysokie jak ja. Na szczycie każdego z nich znajduje się jakiś przedmiot. Na końcu...

- Tak. - Zedd uniósł dłoń, jakby chciał go uciszyć.

- Białe marmurowe postumenty. Pamiętasz je? Pamiętasz przedmioty na nich?

- Niektóre. Nie wszystkie. Klejnoty w broszach, złote łańcuchy, srebrny kielich, ozdobne noże, czary z filigranu, szkatuły. - Richard umilkł i zmarszczył czoło. Próbował sobie coś przypomnieć, w końcu pstryknął palcami. - Na piątym postumencie po lewej stała buteleczka. Pamiętam ją, bo pomyślałem, że jest śliczna. Czarna jak noc buteleczka ze złotym korkiem z filigranu.

Zedd uśmiechnął się szelmowsko.

- Wspaniale, mój chłopcze. To właśnie ta.

- Co mam zrobić? Po prostu stłuc ją Mieczem Prawdy?

- Po prostu stłuc.

- Żadnych innych sztuczek? Żadnych inkantacji? Żadnego ustawiania w określonym miejscu w określony sposób? Czekania na właściwą kwadrę księżyca? Na odpowiednią porę dnia lub nocy? Okręcania? Żadnych takich sztuczek?

- Żadnych sztuczek. Zwyczajnie stłucz ją mieczem. Gdybym ja miał to zrobić, ustawiłbym ją ostrożnie na podłodze, żeby nie rozbiła się o marmurową posadzkę, gdybym źle wymierzył i strącił ją. Ale to ja bym tak zrobił.

- Zatem na posadzce. Postawię ją na posadzce i uderzę mieczem. -

Richard zaczął się podnosić. - Stanie się przed jutrzejszym świtem.

Zedd złapał dłoń wnuka i zmusił go, żeby nie wstawał.

- Nie, Richardzie, nie możesz. - Opadł na siennik, ciężko wzdychając.

- Czego nie mogę? - spytał Richard, ponownie nachylając się ku niemu.

Czarodziej odetchnął kilka razy.

- Nie możesz podróżować w tej twojej sylfie.

- Ale przecież musimy - upierał się Richard. - Nie potrzebuje nawet dnia, żeby donieść nas do Aydindril. Inaczej zajmie to... boja wiem... tygodnie.

Stary czarodziej wyciągnął palec ku twarzy wnuka.

- Sylfa wykorzystuje magię. Jeżeli wejdziecie do niej, umrzecie, nim zdążycie dotrzeć do Aydindril. Będziecie w mrocznych schronieniach tej srebrzystej istoty, będziecie oddychać jej magią, a wówczas ta magia zaniknie. Utopicie się. Nikt nigdy nie odnajdzie waszych ciał.

Richard oblizwał wargi. Przeczesał włosy palcami.

- Jesteś pewien? Może zdołamy tam dotrzeć, nim magia zaniknie. To ważne, Zeddzie. Jeżeli istnieje jakaś szansa, musimy podjąć ryzyko. Pójdę sam. Zostawię Kahlan i Carę.

Kahlan przeraziła myśl, że Richard może się znajdować w sylfie akurat wtedy, kiedy jej magia zaniknie. Ze na zawsze już w niej zostanie. Złapała go za ramię i chciała zaprotestować, lecz Zedd przemówił wcześniej:

- Wysłuchaj mnie, Richardzie. Jestem Pierwszym Czarodziejem. Ostrzegam cię: magia słabnie. Umrzesz, jeżeli wejdiesz do sylfy. Nie „być może umrzesz”. Na pewno. Cała magia zanika. Musisz odbyć podróż, nie uciekając się do pomocy magii.

Chłopak mocno zacisnął wargi i skinął głową.

- No dobrze. Jak mus, to mus. Ale to zabierze więcej czasu. Jak długo ty i Ann...?

Zedd się uśmiechnął.

- Jesteśmy zbyt słabi na podróż, Richardzie, inaczej bowiem od razu wyruszylibyśmy z wami. Ale wydobrzejemy. Teraz tylko bez potrzeby byśmy was opóźniali. Możesz sam zrobić to, co musi być zrobione. Gdy tylko zbijesz buteleczkę i uwolnisz czar, te rysunki - wskazał uroki wyrysowane na polepie - powiadomią nas o tym. A wtedy natychmiast rzucę kontrczary. Jednak dopóki to się nie stanie, Wieża Czarodzieja nie będzie zabezpieczona przed atakiem. Kiedy opadną magiczne osłony, z wieży mogą zostać

skradzione nadzwyczaj potężne i niebezpieczne przedmioty. Gdy przywrócę już moc magii, każdy z ukradzionych przedmiotów będzie mógł zostać wykorzystany przeciwko nam.

- Czy wiesz, jak bardzo może osłabnąć magia wieży? Zedd bezradnie pokręcił głową.

- To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie umiem przewidzieć, w jakiej kolejności to się stanie, ale jestem przekonany, że zaniknie cała magia. Uważamy, że powinieneś zostać w Wieży Czarodzieja i bronić jej, jak to planowałeś. Gdy ta sprawa się zakończy, Ann i ja dołączymy do ciebie. Liczymy na ciebie. Zrobisz to dla mnie, mój chłopcze?

Richard potaknął, oczy mu błyszczały Ujął dłoń dziadka.

- Oczywiście. Możesz na mnie polegać.

- Obiecuj, Richardzie. Obiecuj, że udasz się do wieży.

- Obiecuję.

- Jeżeli tego nie zrobisz, nadzieje Zedda na wyzdrowienie mogą się okazać... płonne - ostrzegła cicho Ann.

- Ann, to brzmi tak, jakbyś... - Zedd zmarszczył brwi.

- Jeżeli nie mówię prawdy, to nazwij mnie kłamczuchą. Czarodziej zakrył oczy dłonią i zamilkł. Ann odchyliła głowę do tyłu i spojrzała Richardowi w oczy.

- Czy jasno się wyraziłam? Chłopak przełknął ślinę.

- Tak, Ksieni.

Zedd dotknął dłoni wnuka, szukając otuchy.

- To ważne, Richardzie, ale nie pędź na złamanie karku, dobrze?

- Rozumiem. - Chłopak się uśmiechnął. - Szybka podróż prędzej niż wariacki pośpiech doprowadzi cię do celu.

Zedd cicho zachichotał.

- Jednak słuchałeś, gdy byłeś młodszy.

- Zawsze.

- No to posłuchaj i teraz. - Chudy palec ponownie uniósł się w powietrze. - Jeżeli ci się to uda, nie powinieneś korzystać z ognia. Lurk znajdzie cię dzięki ogniowi.

- Jak to możliwe?

- Uważamy, że urok może odnajdywać ofiary za pomocą blasku ognia. Został nasłany na was, więc będzie was szukał przez ogień. Trzymajcie się z

dalej od ognia. I od wody. Jeżeli trzeba będzie przebyć rzekę, skorzystajcie z mostu, choćbyście musieli nadłożyć wiele dni drogi. Przebywajcie strumieniem po kłodzie, prześlizgnijcie się nad nimi na linie albo, jeśli zdołacie, skaczcie.

- Chcesz powiedzieć, że możemy skończyć jak Juni, jeżeli znajdziemy się w pobliżu wody?

Zedd potaknął.

- Przepraszam, że wam to utrudniam, ale to niebezpieczna sprawa. Lurk stara się was dopaść. Będziecie bezpieczni tylko wtedy, każdy z nas będzie bezpieczny tylko wtedy, gdy zdołacie dostać się do Wieży Czarodzieja i słuchową buteleczkę, zanim Lurk was odnajdzie.

Richard uśmiechnął się, wcale nie przestraszony.

- Nie będziemy się ani kąpać, ani zbierać drewna na opał. To nam tylko zaoszczędzi czasu.

Zedd znów słabo zachichotał.

- Bezpiecznej podróży, Richardzie. I tobie, Caro, też tego życzę. Czuwaj nad moim wnukiem. - Patykowate palce chwyciły dłoń Kahlan. - I tobie również, moja nowa wnuczko. Bardzo cię kocham. Troszcz się o siebie. Spotkamy się, kiedy razem z Ann dotrzemy do Aydindril, i znów będziemy się radować, że jesteśmy razem. Czekajcie na nas w Wieży Czarodzieja.

Kahlan ujęła rękę Zedda w swoje dłonie i przełknęła łzy.

- Dobrze. Zaczekamy tam na was. Kiedy tam dotrzesz, znów będziemy rodziną.

- Życzę wam wszystkim bezpiecznej podróży. Oby dobre duchy zawsze czuwały nad wami. Będą wam towarzyszyć nasze modły i wiara - odezwała się Ann.

Richard podziękował i chciał wstać, lecz zrezygnował. Coś przez chwilę rozważał. Potem powiedział cicho:

- Kiedy dorastałem, Zeddzie, nie miałem pojęcia, że jesteś moim dziadkiem. Wiem, że zataiłeś to, by mnie chronić, ale... nie miałem o tym pojęcia. - Skubał wystające z siennika źdźbło trawy, - Nigdy nie słyszałem nic o matce mojej mamy. Prawie o niej nie mówiła, tylko słówko od czasu do czasu. Nigdy nie dowiedziałem się niczego o babce. O twojej żonie.

Zedd odwrócił twarz, łza stoczyła mu się po policzku. Odkaslnął.

- Erilyn była... cudowną kobietą. Kiedyś i ja miałem taką wspaniałą żonę

jak ty teraz. Erilyn została pojmana przez wroga, przez bojówkę, którą nasłał twój drugi dziadek, Panis Rahl. Twoja mama była wtedy malutka. Wszystko widziała... widziała, co zrobili jej matce. Erilyn żyła na tyle długo, bym znalazł ją jeszcze przy życiu. To, czego twoja mama była świadkiem jako dziecko, sprawiało, że ciężko było jej mówić o Erilyn. - Po długiej, przykrych chwili Zedd odwrócił się ku nim i uśmiechnął do prawdziwie radosnych wspomnień. - Była przepiękna. Miała szare oczy, jak twoja mama. Jak ty. Była równie bystra jak ty i lubiła się śmiać. Powinieneś to wiedzieć. Lubiła się śmiać. Richard uśmiechnął się. Odchrząknął, by odzyskać głos.

- No to na pewno wyszła za właściwego mężczyznę. Zedd potaknął.

- A tak. Teraz zbierzcie swoje rzeczy i ruszajcie w drogę do Aydindril, żebyśmy mogli przywrócić moc magii. Kiedy się tam wreszcie spotkamy, opowiem ci o Erilyn, o twojej babci, to wszystko, co musiałem przemilczeć. - Uśmiechnął się prawdziwym uśmiechem dziadka. - Porozmawiamy o rodzinie.

## ROZDZIAŁ 12

- Fetch! Do mnie, chłopcze! Fetch!

Mężczyźni śmiali się. Kobiety chichotały. Fitch wolałby, żeby jego policzki nie były równie czerwone jak włosy, kiedy mistrz Drummond tak z niego kpił. Zostawił drapadło w zaskorupiałym kotle i pospieszył sprawdzić, czego też kuchmistrz od niego chce.

Fitch skręcił wokół jednego z długich stołów i trącił łokciem karafkę, którą ktoś postawił zbyt blisko krawędzi blatu. Udało mu się złapać ciężkie, kobaltowo-niebieskie naczynie, zanim upadło na podłogę. Odetchnął z ulgą i postawił je obok bułek. Znów przywoływano go wrzaskliwie.

Zatrzymał się przed mistrzem Drummondem i wbił wzrok w podłogę - nie zamierzał oberwać po głowie, gdyby sprawiał wrażenie, że nie chce być obiektem żartów.

- Co, mistrzu Drummond?

Korpulentny kuchmistrz wytarł dłonie w biały ręcznik, który zawsze miał zatknięty za pas.

- Jeszcze nie widziałem takiego niezdarnego pomywacza jak ty, Fitch.

- Tak, panie.

Mistrz Drummond stanął na palcach i wyjrzał przez tylne okno. Gdzieś za plecami Fitcha ktoś zaklął, bo poparzył się o gorący rondel, i metalowe utensylia poleciały z brzękiem na ceglana podłogę przy piecu do pieczenia. Nie było żadnych gniewnych okrzyków, więc Fitch wiedział, że to nie robota jednego z pozostałych hakeńskich pomywaczy

- Przynies trochę drewna. - Mistrz Drummond wskazał ku bocznym drzwiom rozległej kuchni. - Potrzeba nam dębiny i trochę drewna jabłoni, żeby dać aromat żeberkom.

- Dębina i jabłoń. Dobrze, panie.

- Ale najpierw zawieś ten duży kocioł. I pospiesz się z dębina.

- Dobrze, panie - odparł ponuro Fitch.

Bierwiona dębiny, dokładane do ognia, na którym przyrządzano pieczenie, były wielkie i ciężkie i zawsze miał potem mnóstwo drzazg. Drzazgi dębowe były najgorsze - cierpiał przez nie wiele dni. Na szczęście drewno jabłoni nie było takie złe. Zapowiadała się wielka uczta. Musi sporo



przynieść.

- I wypatruj wózka od rzeźnika. Powinien tu lada chwila być. Skręcę Ingerowi kark, jak go za późno przyśle.

Fitch się ożywił.

- Wózek od rzeźnika? - Nie ośmielił się spytać o to, o co chciał. - To mam go rozładować, panie?

Mistrz Drummond oparł pięści na swoich szerokich biodrach.

- Tylko mi nie wmawiaj, Fitch, żeś zaczął być przewidujący. - Kilka kobiet, które przyrządzały w pobliżu sosy, prychnęło śmiechem. - Jasne, że masz go rozładować! A jeśli coś upuścisz, jak ostatnio, to zamiast tego zrobię pieczeń z twojego kościstego tyłka!

- Tak, mistrzu Drummond.

Fitch skłonił się aż dwa razy. Odchodząc, odsunął się i przepuścił mleczarke, która przyniosła kuchmistrzowi próbki serów. Wtedy złapała go za rękaw jedna z kobiet przygotowujących sosy.

- Gdzie te cedzidła, com o nie prosiła?

- Już, Gillie, jak tylko... Chwyciła go za ucho.

- Nie traktuj mnie tak z góry - burknęła i wykręciła małżowinę. - Zawsze w końcu tak robicie.

- Wcale nie, Gillie. Ja tego na pewno nie robiłem. Anderyjczyków szanuję. Codziennie pracuję nad moją nikczemną naturą, żeby w moim sercu i rozumie nie było miejsca na złość i nienawiść, i modłę się, żeby Stwórcza dał mi siły do oczyszczenia mej grzesznej duszy lub żeby palił mnie wiecznym ogniem, jak mi się to nie uda - wyklepał jednym tchem z pamięci. - Już leczę po te cedzidła, Gillie, tylko mnie puść.

- No to leć, byle szybko. - Trzepnęła go w głowę.

Fitch, rozcierając obolałe ucho, pognął do stojaka, na którym powiesił cedzidła, żeby obeschły. Złapał je i zaniósł Gillie z całym szacunkiem, jaki zdołał z siebie wykrzesać, pamiętając, że mistrz Drummond obserwuje go kątem oka i ani chybi chętnie by go zrugął za to, że wcześniej nie zaniósł kobiecie tego, o co prosiła, i marnuje na to czas, zamiast wieszać kocioł i nosić drwa.

Chłopak skłonił się i podał Gillie cedzidła.

- Mam nadzieję, że w tym tygodniu weźmiesz udział w dodatkowym zgromadzeniu pokutnym. - Kobieta złapała cedzidła. - Ileż upokorzeń my,

Anderyjczycy, musimy znosić od twoich ziomków - mruknęła, potrząsając ze smutkiem głową.

- Pewnie, Gillie. Bardzo mi się przyda dodatkowa pokuta. Dziękuję, że mi o tym przypomniałaś.

Parsknęła lekceważąco i wróciła do swojego zajęcia, a Fitch - zawstydzony, że bezmyślnie pozwolił, by jego wstrętny charakter wziął górę i upokorzył któregoś z Anderyjczyków - ruszył po jednego z pomywaczy, żeby ten pomógł mu zawiesić ciężki kocioł. Znalazł Morleya. Chłopak miał ręce aż po łokcie zanurzone w gorącej wodzie, więc ucieszył się, że może je z niej wyciągnąć, choćby tylko po to, by pomóc przy podwieszaniu ciężkiego kotła. Poza tym robota nie była dla niego taka ciężka jak dla Fitcha - w przeciwieństwie do niego był muskularny. Pomagając podnieść żelazny kocioł, rzucił okiem przez ramię. Uśmiechnął się konspiracyjnie.

- Wieczorem szykuje się wielka uczta. Wiesz, co to znaczy. Fitch odwzajemnił uśmiech na znak, że wie. Przy tylu gościach będzie mnóstwo śmiechu, okrzyków, śpiewów, jedzenia i picia. Ludzie będą biegać tam i z powrotem, piwo i wino popłyną strumieniami i nikt nie zwróci uwagi na to, czy flasze oraz szklance są napełnione po brzegi, czy tylko do połowy.

- To jeden z przywilejów pracy dla Ministra Spraw Duchowych - odparł Fitch.

Mięśnie karku Morleya napięły się z wysiłku jak powrozy. Pochylił się niżej nad kotłem, który wlekli po podłodze.

- To lepiej okazuj Anderyjczykom więcej szacunku, bo go stracisz. I dach nad głową oraz jadło, którym napychasz sobie brzuch.

Fitch skinął głową. W żadnym razie nie chciał okazać braku szacunku - przecież wszystko zawdzięczał Anderyjczykom. Ale czasem wydawało mu się, że Anderyjczycy zbyt łatwo czują się urażeni. Wiedział też jednak, że to jego ignorancja i gruboskórność są przyczyną takich nieporozumień i że powinien potępiać za to wyłącznie siebie.

Powiesili kocioł i Fitch natychmiast przewrócił oczami i wystawił język z kącika ust, dając Morleyowi do zrozumienia, że tego wieczoru upiją się w sztok. Morley z kolei odgarnął z twarzy rude hakeńskie włosy i w milczeniu zamarkował pijacką czkawkę, po czym znów zanurzył ręce w gorących mydlinach.

Uśmiechnięty Fitch potruchtał przez tylne drzwi po drewno. Niedawne

deszcze przesunęły się na wschód, pozostał po nich świeży zapach wilgotnej ziemi. Zapowiadał się ciepły, wiosenny dzień. W dali lśniły w słońcu bujne łąny młodej, zielonej pszenicy. W niektóre dni, gdy wiatr wiał z południa, nad polami unosiła się woń morza, lecz nie dzisiaj, choć na niebie widać było krążące mewy.

Fitch rzucał okiem na drogę, ile razy wyszedł po nowe naręcze drewna, ale ciągle *nie* widział wózka rzeźnika. Zanim skończył nosić dębinę, bluzę miał już mokrą od potu. Wbił sobie w kciuk tylko jedną drzazgę, za to długą. Właśnie wyciągał ze sterty polana jabłoni, kiedy dosłyszał rytmiczny turkot zbliżającego się pojazdu. Ssąc obolały kciuk i bezskutecznie usiłując chwycić zębami czubek drzazgi, zerknął ukradkiem w cień wielkich dębów, które rosły po obu stronach drogi wiodącej do posiadłości, i zobaczył ciężko stąpającego Browniego. Osoba dostarczająca towar szła po drugiej stronie wózka i trudno było powiedzieć kto to.

Do rozległej posiadłości zdążał nie tylko wózek rzeźnika, ale i wielu ludzi: od uczonych odwiedzających Bibliotekę Anderithu, przez służących, którzy roznosili wieści i raporty, po posłańców dowożących rozmaite zaopatrzenie. Nadchodziło też sporo dobrze ubranych gości.

Kiedy Fitch zjawił się tu pierwszy raz, by podjąć pracę w kuchni, uznał, że zarówno kuchnia, jak i cała posiadłość są olbrzymie i zadziwiające. Onieśmiewało go wszystko i wszyscy. Wiedział, że ma to być jego nowy dom i że musi się wciągnąć do tej roboty, jeśli chce mieć gdzie spać i co jeść. Matka powiedziała mu, żeby ciężko pracował, to przy odrobinie szczęścia będzie miał i jedno, i drugie. Napominała go, by poważał lepszych od siebie, robił, co mu każą, i przestrzegał praw, choćby mu się wydawały surowe. Radziła, żeby-jeżeli nawet rozkazy będą uciążliwe - spełniał je bez szemrania i, zwłaszcza, bez słowa skargi.

Fitch nie miał ojca, a przynajmniej go nie znał, lecz niekiedy łudził się, że ten czy inny mężczyzna poślubi jego matkę. Miała pokój zagwarantowany przez pracodawcę, kupca o nazwisku Ibson. W mieście, obok domu pana Ibsona, w budynku, w którym mieszkali pozostali jego pracownicy. Matka Fitcha pracowała w kuchni, gotowała potrawy. Potrafiła ugotować wszystko. Ciężko tyrała, żeby wykarmić syna, i nie miała czasu się nim zajmować. Jeśli nie był na zgromadzeniu pokutnym, często zabierała go ze sobą do pracy, gdzie mogła mieć chłopaka na oku. Fitch obracał różny, prznosił to czy

tamto, zmywał mniejsze naczynia, grasował po dziedzińcu i często musiał czyścić stajnie, w których trzymano niektóre z koni pociągowych pana Ibsona.

Matka była dla niego dobra, przynajmniej ilekroć go widziała. Wiedział, że troszczy się o niego i o to, co się z nim stanie. Nie tak, jak ci mężczyźni, którzy od czasu do czasu się jej trafiali. Dla nich Fitch był tylko utrapieniem. Niektórzy, jeśli chcieli zostać sam na sam z jego matką, otwierali drzwi jej pokoju i wystawiali chłopaka na zewnątrz na całą noc. Matka załamywała ręce, ale była zbyt nieśmiała, żeby ich powstrzymać. Sypiał wtedy na progu, pod schodami albo u sąsiadów - o ile go zabrali.

Czasem, gdy padało, nocny stajenny mieszkający obok matki pozwalał mu spać w stajniach. Fitch lubił przebywać wśród koni, ale nie znosił much.

Jednak towarzystwo much było o wiele lepsze niż przyłapanie nocą przez anderyjskich chłopaków.

Wczesnym rankiem matka szła do pracy, najczęściej ze swoim kochankiem, który też był służącym, a Fitch wracał do pokoju. Kiedy zjawiała się w domu po nocach, które spędzał na zewnątrz, często przynosiła mu coś dobrego, co podkraśla w kuchni.

Matka chciała, żeby nauczył się handlu, lecz nie знаła nikogo, kto by go przyjął na pomocnika, a tym bardziej na ucznia. Dlatego też przed mniej więcej czterema laty, gdy Fitch był już na tyle duży, żeby zapracować na siebie, pan Ibson pomógł jej umieścić syna w kuchni posiadłości Ministra Spraw Duchowych leżącej niedaleko stołecznego Fairfield.

Kiedy Fitch się tam zjawił, jeden z nadzorców wyjaśnił mu i innym nowym obowiązujące tu reguły: gdzie będzie spał z pozostałymi pomywaczami, jakie będą jego obowiązki i inne takie. Poważnym tonem wytłumaczył im, w jak dostojnym miejscu będą pracować - z tej oto posiadłości minister kierował sprawami swojego wysokiego urzędu, doglądał niemal każdego aspektu życia w Andericie. Posiadłość była również jego domem. Ważniejszy od Ministra Spraw Duchowych był jedynie sam Suweren.

Fitch sądził, że wysłano go do pracy w kuchni jakiegoś innego kupca. Nie miał pojęcia, że matka zdołała go umieścić na służbie w tak wielkopańskiej posiadłości. Był ogromnie dumny. Potem przekonał się, że była to ciężka praca - jak każda inna, i to w każdym innym miejscu. Nie było w tym nic

wspaniałego. Ale i tak był dumny, że on, Haken, pracował w posiadłości ministra.

Co prawda Fitcha pouczono, że minister ustanawia prawa i takie tam, by kultura Anderithu świeciła innym przykładem i by wszyscy byli równi, ale chłopak i tak nie potrafił pojąć, co też takiego robi minister, że są mu potrzebni ci wszyscy kręcący się tu ludzie. Nie rozumiał też, dlaczego wciąż muszą powstawać nowe prawa. W końcu dobro to dobro, a zło to zło. Kiedyś spytał o to jakiegoś Anderyjczyka, a ten odparł, że nieustannie odkrywa się nowe przestępstwa i trzeba sobie z nimi radzić. Fitch i tego nie pojął, ale trzymał język za zębami i się do tego nie przyznał. Już pierwsze pytanie spowodowało gniewną minę Anderyjczyka.

Chłopak nie mógł wyciągnąć dębowej drzazgi, więc schylił się po szczapę drewna jabłoni, nie spuszczać z oka drogi i wózka rzeźnika. Jeden ze zbliżających się obcych, muskularny mężczyzna w nieznanym wojskowym odzieniu, otoczył ramiona dziwaczną peleryną, jakby tu i tam porośniętą włosom. Ów człowiek na każdym palcu miał pierścień, a od każdego pierścienia do nabijanego ćwiekami ochraniacza na przegubie i przedramieniu biegł skórzany rzemyk. Srebrne ćwieki opasywały również buty obcego. Fitch osłupiał, dostrzegłszy błysk metalowych gwoździ w uchu i nosie mężczyzny. Takiego oręza zaś nie widywał nawet w sennych koszmarach. Po prawej stronie pasa przybysza wisiał topór, a rogi jego ostrza wygięto tak bardzo, że niemal się stykały. Do drewnianego styliska, pociemniałego od wieloletniego używania, przymocowano na łańcuchu najeżoną kolcami kulę. Długi kolec, niczym pojedynczy pazur, osłaniał drugi koniec trzonka. Bujne, ciemne, gęste włosy nadawały żołnierzowi wygląd Anderyjczyka, lecz niskie czoło zdradzało, że nim nie był. Ciemne włosy wisiały wokół byczej szyi, która obwodem dorównywała niemal stanowi Fitcha. Widok przybysza - nawet z tej odległości - sprawił, że chłopaka zemdliło.

Mężczyzna mijał powolny wózek rzeźnika. Dobrze przyjrzał się osobie idącej obok Browniego. W końcu poszedł dalej, bacznie obserwując okna domostwa.

## ROZDZIAŁ 13

Fitch nie czekał, aż wózek rzeźnika przebędzie resztę drogi i znajdzie się na kuchennym podwórku. Szybko zebrał naręcze drewna i wniósł je do środka. Tak się spieszył, by znów wyjść, że nonszalancko wrzucił je do skrzyni, lecz we wrzawie nikt nie usłyszał ogromnego łomotu. Zewsząd dobiegały strzępy rozmów i nawoływania ludzi, skwierczenie mnóstwa rozmaitych potraw, trzaskanie ognia i odgłosy łyżek szorujących wnętrza misek, tarcia tłuczków w moździerzach, skrobanie drapaków, dźwięki towarzyszące wszelkim wykonywanym pracom. Trochę drewna upadło obok skrzyni i już miał je tak zostawić, kiedy dostrzegł w pobliżu mistrza Drummonda. Padł na kolana i piorunem wrzucił szczapy do pojemnika.

Wreszcie wybiegł na zewnątrz. Gdy zobaczył, kto przywiódł wózek rzeźnika, jego serce zaczęło mocno walić i zabrakło mu tchu.

To była ona.

Fitch mocno zaciskał dłonie i patrzył, jak dziewczyna podprowadza Browniego. Przy okazji poruszył wbitą w kciuk drzazgę i skrzywił się z bólu. Zaklął pod nosem i natychmiast mocno zacisnął wargi, łudząc się, że może tego nie dosłyszała. Podbiegł do wózka, potrząsając obolałą dłonią.

- Dzień dobry, Beato.

- Fitch. - Ledwo na niego spojrziała.

Strasznie chciał coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Stał, milcząc, a ona mlasnęła, nakazując Browniemu, żeby się cofnął. Jedną dłonią trzymała postronek, drugą zaś gładziła pierś konia, kierując nim i uspokajając, kiedy się cofał. Fitch oddałby wszystko, byle tylko ta dłoń dotykała tak pieszczotliwie jego.

Ciepły wiosenny wiaterek rozwiewał krótkie, rude włosy dziewczyny. Były takie miękkie, takie lśniące i tak wdzięcznie i pieszczotliwie muskały jej kark.

Fitch czekał obok wózka. Bał się, że palnie jakieś głupstwo i Beata uzna go za skończonego durnia. Często o niej myślał, lecz podejrzewał, że nie zaprzęta jej uwagi. To już trudno, ale nie zniósłby, gdyby pomyślała, że jest głupi. Tak chciałby znać jakieś interesujące wieści albo w ogóle cokolwiek, co sprawiłoby, że pomyślałaby o nim czule.

Beata, z twarzą nie zdradzającą żadnych uczuć, podeszła do wózka, przy którym czekał, i wskazała jego dłoń.

- Co ci się stało w rękę?

Jej bliskość sparaliżowała go. Góra ciemnoniebieskiej sukni wykwiłała z kloszowej, długiej spódnicy, otulając jej tors i uwydatniając piersi w taki sposób, że Fitch musiał przełknąć ślinę, aby odzyskać oddech. Przędz sukienki przecinał rząd podniszczonych drewnianych guzików. Zwykła szpilka ze spiralnym łepkiem spinała pod szyją kołnierzyk.

To była stara sukienka. W końcu Beata, podobnie jak Fitch, należała do Hakenów i nie zasługiwała na nic lepszego. Niebieski materiał strzępił się tu i ówdzie na brzegach, trochę też wyblakł na ramionach, lecz na Beacie strój wyglądał po królewsku.

Dziewczyna westchnęła niecierpliwie i złapała dłoń Fitcha, żeby ją obejrzeć.

- To nic takiego... To tylko drzazga - wyjąkał.

Obróciła jego dłoń, ułożyła na swojej wnętrzem ku górze i chwyciła skórę w palce, żeby ocenić, jak głęboko wbiła się drzazga. Oszołomiło go to nieoczekiwane serdeczne dotknięcie jej dłoni. Przeraził się, zobaczywszy, że jego ręce, zanurzone w gorących mydlinach przy zmywaniu garnków i kociołków, były czystsze niż jej. Bał się, że Beata uzna, iż on nic nie robi.

- Myłem garnki. Potem musiałem nanieść dębiny. Mnóstwo ciężkich bierwion. To dlatego jestem taki spocony - wyjaśnił.

Dziewczyna bez słowa wyjęła szpilkę spinającą kołnierzyk jej sukni. Szata rozchyliła się odrobinę, ukazując zagłębienie u podstawy szyi. Aż osłabł, dostrzegłszy tak wiele tego, co zwykle zakrywała. Nie zasługiwał na jej pomoc, a tym bardziej na oglądanie tej części szyi, którą zazwyczaj zasłaniała. Zmusił się, by odwrócić wzrok.

Jęknął, poczuwszy ukłucie ostrej szpilki. Beata, dostając się ze skupioną miną do drzazgi, wymruczała przeprosiny. Wbił palce stóp w ziemię, starając się nie krzywić z bólu. Poczul bolesne szarpnięcie. Dziewczyna przyjrzała się długiej, przypominającej igłę dębowej drzazdze, którą wyciągnęła, i wyrzuciła ją. Zamknęła kołnierzyk dłonią i znów spięła go szpilką.

- No to gotowe - powiedziała, odwracając się do wózka.

- Dziękuję, Beato. - Skinęła głową. - To bardzo miłe z twojej strony. -

Szedł za nią. - Ja... mam ci pomóc przy rozładunku.

Przyciągnął na skraj wózka wielką zadnią część wołu i zanurkował, chcąc wsunąć ją pod ramię. Ledwo ustał pod takim ciężarem. Kiedy odpowiednio ułożył ów kawał wołowej tuszy, zobaczył, że Beata maszeruje już dróżką, niosąc w ręce okazałą siatkę kurcząt, a na ramieniu partię baranich żeberek. Niestety, nie widziała, jak się wysilił.

Judith, która zajmowała się spiżarnią, kazała Fitchowi zrobić listę tego, co przysłał rzeźnik. Pokłonił się i obiecał, że wykona polecenie, ale w środku aż skulił się ze strachu.

Wrócili do wózka i Beata opisała Fitchowi cały ładunek, podając po kolei każdą pozycję. Wiedziała, że nie potrafi czytać i że musi zapamiętać całą listę. Zadbła o to, żeby dokładnie wszystko nazwać. Była tam wieprzowina, baranina, wołowina, bobrzyna, cielęcina, trzy garnki szpiku, trzy duże bukłaki świeżej krwi, pół baryłki świńskich żołądków do nadziewania, dwa tuziny gęsi, kosz gołębi i trzy okazałe siatki kurcząt, w tym również ta, którą zaniósł już do spiżarni.

- Wiem, że wkładałam... - Przesunęła siatkę z kurczętami, szukając czegoś. - O, jest. A przez chwilę bałam się, że ich nie wzięłam. - Wyciągnęła to na wierzch. - I jeszcze worek wróbli. Minister Spraw Duchowych zawsze życzy sobie wróble na swoje uczty.

Fitch poczuł, że się czerwieni. Wszyscy wiedzieli, że wróble lub ich jajeczka jedzono, by pobudzić zmysły, chociaż nie mógł zrozumieć dlaczego. Według niego zmysłów raczej nie trzeba było dodatkowo pobudzać. Kiedy Beata spojrzała mu w oczy, chcąc się przekonać, czy dodał wróble do pamięciowej listy, Fitch poczuł przemożną chęć, żeby coś - cokolwiek - powiedzieć i zmienić temat.

- Jak myślisz, Beato, czy kiedykolwiek oczyścimy się ze zbrodni naszych przodków i będziemy mieć równie czyste serca jak Anderyjczycy?

Zmarszczyła czoło.

- Jesteśmy Hakenami. Nigdy nie staniemy się równie dobrzy jak Anderyjczycy. Nasze dusze są zepsute i nie potrafią być czyste, a ich dusze są czyste i nigdy nie będą pełne zepsucia. Nigdy nie będziemy całkowicie oczyszczeni. Możemy tylko mieć nadzieję, że zdołamy zapanować nad naszą nikczemną naturą.

Fitch znał odpowiedź równie dobrze jak ona. Po jego pytaniu na pewno



uznała, że jest beznadziejną ciemnotą. Nigdy nie potrafił tak wyrazić swoich myśli, żeby było wiadomo, o co mu chodzi. Chciał spłacić swój dług, uzyskać przebaczenie i zasłużyć na szlachectwo. Niewielu Hakenów zasłużyło kiedykolwiek na taki przywilej. Dopóki tego nie osiągnie, nie spełni swych marzeń. Zwiesił głowę, zastanawiając się, jak naprawić tę niezręczność.

- Ale... czy po tak długim czasie nie poznaliśmy błędów naszych przodków? Nie chciałabyś mieć więcej do powiedzenia o swoim życiu?

- Należę do Hakenów. Nie zasłużyłam na to, by decydować o swoim losie. Powinieneś wiedzieć, że ta droga wiedzie do niegodziwości.

Skubał miejsce, z którego wyciągnęła drzazgę.

- No, ale niektórzy Hakeni służą w sposób prowadzący do przebaczenia. Kiedyś powiedziałaś, że mogłabyś się zaciągnąć do armii. Ja też chciałbym się zaciągnąć.

- Jesteś Hakenem i mężczyzną. Nie wolno ci dotykać broni. To też powinieneś wiedzieć, Fitch.

- Nie chciałem powiedzieć... Wiem, że nie mogę. Po prostu chciałem... sam już nie wiem co. - Wsunął rękę do kieszeni. - No, chciałem powiedzieć, że zaciągnąłbym się, gdyby to było możliwe, by móc czynić dobro, by móc się sprawdzić. Pomagać tym, co przez nas cierpią.

- Rozumiem. - Wskazała okna wyższych pięter. - To sam Minister Spraw Duchowych ustanowił prawo pozwalające Hakenkom służyć w wojsku razem z Anderyjkami. To prawo mówi też, że wszyscy muszą takim Hakenkom okazywać szacunek. Minister współczuje wszystkim ludziom. Hakenki mają wobec niego wielki dług.

Fitch pojął, że znów odbiega od tego, o co mu naprawdę chodziło.

- Ale czy nie chcesz wyjść za mąż i...

- Minister wydał też prawo, które stanowi, że Hakenkom należy dawać pracę, tak by mogły się same wyżywić, nie musiały wychodzić za mąż i stawać się niewolnicami Hakenów. Oni już z natury lubią zmieniać ludzi w niewolników, więc gdyby małżeństwo dało im po temu okazję, to nawet z własnych żon zrobiliby niewolnice. Minister Chanboor jest bohaterem dla wszystkich Hakenek. A powinien być bohaterem także dla Hakenów, bo przynosi wam kulturę duchową, żebyście mogli porzucić swoje wojownicze upodobania i włączyć się do społeczności pokojowych ludzi. Może postanowię się zaciągnąć, bo służba w wojsku to sposób, żeby Hakenki

zasłużyły na szacunek. Takie jest prawo. Prawo ministra Chanboora.

Fitch czuł się tak, jakby był na pokucie.

- Szanuję cię, Beato, chociaż nie jesteś w wojsku. Wiem, że będziesz czynić dobro, czy zaciągniesz się do armii czy nie. Jesteś uczciwą osobą.

Dziewczyna trochę ochłonęła. Lekko wzruszyła ramieniem. Głos jej złagodniał.

- Najważniejszy powód, dla którego ewentualnie się zaciągnę, to ten, co go wymieniłeś: żeby pomagać ludziom i czynić dobro. Ja też chcę czynić dobro.

Fitch jej zazdrościł. W wojsku będzie mogła pomagać ludziom, którzy zmagają się z różnymi trudnościami, od powodzi do głodu. Armia pomagała będącym w potrzebie. Szanowano tych, którzy służyli w wojsku.

No i nie było już tak jak w przeszłości, kiedy służba wojskowa była niebezpieczna. Nie z Dominie Dirtch. Gdyby kiedykolwiek posłużono się Dominie Dirtch, każdy przeciwnik raz-dwa zostałby przywołany do porządku i wojsko nawet nie musiałoby walczyć. Na szczęście teraz Anderyjczycy mieli pod opieką Dominie Dirtch, a oni użyliby tej broni tylko po to, żeby utrzymać pokój, a nie po to, żeby z premedytacją zaszkodzić innym.

Dominie Dirtch to jedyna rzecz Hakenów, którą ewentualnie posłużyliby się Anderyjczycy. Oni sami nigdy by czegoś takiego nie wymyślili - nawet nie potrafili skłonić się do równie nikczemnych myśli, jakie były potrzebne, żeby wykonać taką broń. Tylko Hakeni mogli stworzyć tak straszliwie niegodziwy oręż.

- Albo mogę się spodziewać, że przyślą mnie tu do pracy, jak ciebie przysłali - dorzuciła Beata.

Fitch spojrzał na nią. Wpatrywała się w okna na trzecim piętrze. Już miał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Nie odrywając wzroku od okien, podjęła:

- Raz przyszedł do Ingera i widziałam go. Bertrand, to znaczy minister Chanboor, jest o wiele miłszy dla oka niż rzeźnik Inger.

Fitch nie miał pojęcia, jak takie cechy oceniać u mężczyzny i dlaczego kobiety tak ekscytowały się mężczyznami, którzy według niego, Fitcha, byli nieładni. Minister Chanboor był wysoki i kiedyś pewnie przystojny, ale w jego ciemnych włosach Anderyjczyka widać już było białe pasma. Kobiety w kuchni chichotały, rozmawiając na jego temat. A kiedy wchodził, niektóre

czerwieniły się, musiały się wachlować i wzdychały. Fitchowi minister wydawał się odrażająco stary.

- Wszyscy mówią, że minister to uroczy mężczyzna. Widziałeś go kiedyś? Rozmawiałeś z nim? Słyszałam, że rozmawia nawet z Hakenami. Każdy się o nim dobrze wyraża. I słyszałam, jak Anderyjczycy mówili, że pewno zostanie Suwerenem.

Fitch oparł się o wózek.

- Widziałem go parę razy. - Nie zamierzał powiedzieć Beacie, że kiedyś minister Chanboor go szturchnął, bo upuścił nóż do masła tuż obok ministerskiej stopy. Zasłużył sobie na to szturchnięcie. Znów spojrzął na dziewczynę. Wciąż wpatrywała się w okna. Fitch opuścił wzrok na koleiny. - Wszyscy lubią i szanują Ministra Spraw Duchowych. Cieszę się, że mogę pracować dla takiego wspaniałego człowieka, choć nie jestem tego wart. To cecha jego szlachetnego serca: daje Hakenom pracę, żebyśmy nie głodowali.

Beata nagle rozejrzała się dokoła i otarła dłonie o spódnicę. A Fitch jeszcze raz spróbował zapoznać ją ze swoimi świetlanymi intencjami.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia będę czynić dobro. Że wspomogę społeczność, pomogę ludziom.

Dziewczyna z aprobatą skinęła głową. To go ośmieliło. Dumnie zadarł brodę.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia spłacę dług i zdobędę nazwisko, a wtedy pojedę do Aydindril, do Wieży Czarodzieja. Poproszę czarodziejów, żeby mianowali mnie Poszukiwaczem Prawdy i dali mi Miecz Prawdy, bym mógł wrócić, bronić Anderyjczyków i czynić dobro.

Beata spojrziała na niego z niedowierzaniem. A potem zaczęła się śmiać.

- Nawet nie wiesz, gdzie i jak daleko jest Aydindril. - Potrząsnęła głową między jednym wybuchem śmiechu a drugim. Powinien wiedzieć, gdzie leży Aydindril.

- Na północy i wschodzie - wymamrotał.

- Mówią, że Miecz Prawdy to magiczny przedmiot. A magia jest ohydna, wstrętna i zła. Co o niej wiesz?

- Noo... nic...

- Nie masz pojęcia o magii. Ani o mieczach. Pewno byś sobie odciął stopę. - Pochyliła się nad wózkiem, podniosła kosz gołębi i drugą siatkę kurcząt, po czym, zaśmiewając się, poszła do kuchni.

Fitch zapragnął umrzeć. Zdradził jej swoje najskrytsze marzenie, a ona się śmiała. Nisko pochylił głowę. Miała rację. Był Hakenem. Nigdy nie uda mu się udowodnić, ile jest wart. Nie podnosił wzroku i milczał, kiedy rozładowywali wózek. Czuł się jak głupiec. Bez przerwy strofował się w duchu. Żałował, że nie zataił swego sekretnego marzenia. Że nie może cofnąć raz wypowiedzianych słów.

Nim skończyli rozładowywać pojazd, Beata złapała go za ramię i odkaszlnęła, jakby chciała jeszcze coś dodać. Chłopak znów spuścił wzrok, żeby z rezygnacją wysłuchać tego, co dorzuci o jego głupocie.

- Przepraszam, Fitch. To moja zepsuta dusza Hakenki wzięła górę i byłam dla ciebie taka okrutna. Źle postąpiłam, mówiąc takie niemiłe rzeczy.

Potrząsnął głową.

- Słusznie się śmiałaś.

- Wiesz, Fitch... wszyscy mamy szalone marzenia. To jeden z przejawów naszej zepsutej natury. Musimy się starać być lepsi niż nasze niegodziwe pragnienia.

Odgarnął włosy z czoła i popatrzył w jej szarozielone oczy.

- Ty też masz marzenia, Beato? Prawdziwe marzenia? Pragniesz czegoś?

- Chodzi ci o coś takiego Jak twoje wariackie marzenie, żeby zostać Poszukiwaczem Prawdy?

Przytaknął. W końcu odwróciła wzrok.

- To sprawiedliwe, żebyś teraz ty się ze mnie ponaśmiewał.

- Nie będę się śmiać - wyszeptał, ale ona patrzyła na małe, białe obłoczki płynące po olśniewająco błękitnym niebie i wydawało się, że w ogóle go nie słyszy.

- Chciałabym się nauczyć czytać. - Zerknęła na niego ukradkiem, żeby sprawdzić, czy się nie roześmieje, lecz Fitch się nie śmiał.

- Ja też o tym marzę.

Rozejrzał się, patrząc, czy ktoś ich nie obserwuje. W pobliżu nikogo nie było. Pochylił się nad wnętrzem wózka i w zalegającym tam brudzie nakreślił palcem jakieś znaki. U Beaty ciekawość wzięła górę nad dezaprobatą.

- Czy to pismo?

- To słowo. Nauczyłem się go. To jedyne słowo, jakie znam, ale to słowo i potrafię je przeczytać. Słyszałem, jak w czasie uczyty jeden z mężczyzn mówił, że ono jest na rękojeści Miecza Prawdy. - Fitch narysował linię pod

owym słowem. - Ten mężczyzna wyciął je w maśle, żeby pokazać je jednej z kobiet. To jest słowo „prawda”. Opowiadał jej, że niegdyś osoba mianowana Poszukiwaczem cieszyła się dobrą sławą i miała czynić dobro, ale że teraz Poszukiwacze to w najlepszym wypadku zwykli przestępcy, a w najgorszym - mordercy. Jak nasi przodkowie.

- Jak wszyscy Hakeni. Jak my - poprawiła go. Nie sprzeczał się, bo wiedział, że miała rację.

- To jeszcze jeden powód, dla którego chcę zostać Poszukiwaczem. Chcę przywrócić dobrą sławę funkcji Poszukiwacza, żeby było jak kiedyś, żeby ludzie znów mogli wierzyć w prawdę. Chciałbym pokazać ludziom, że Haken może godnie służyć. To by było czynienie dobra, prawda? I chyba zrównoważyłoby nasze zbrodnie?

Beata energicznie roztarła ramiona, po czym rozejrzała się dokoła.

- Marzenie o tym, by zostać Poszukiwaczem, jest głupie i dziecinne. - Zniżyła głos. - A nauka czytania byłaby przestępstwem. Już się lepiej niczego nie ucz czytać.

Fitch westchnął.

- Wiem, ale czy ty nigdy...

- A magia jest ohydna. Dotknięcie magicznego przedmiotu też byłoby przestępstwem. - Pospiesznie rzuciła okiem przez ramię na ceglana fasadę. Jednym ruchem starła słowo z dna wózka. Fitch otworzył usta, żeby zaprotestować, ale ubiegła go i powiedziała: - Lepiej skończmy robotę.

Błyskiem oczu wskazała górne okna. Fitch spojrzął i poczuł lodowaty dreszcz przerażenia. Obserwował ich sam Minister Spraw Duchowych.

Chłopak złapał kawał baraniny i ruszył ku spiżarni. Beata poszła za nim z workiem wróbli w jednej ręce i związanymi w pęk gęsiami w drugiej. Dokończyli w milczeniu. Fitch żałował, że powiedział za dużo i że ona nie powiedziała więcej.

Kiedy skończyli, chciał z nią wrócić do wózka, żeby sprawdzić, czy wszystko wyładowali, lecz mistrz Drummond zapytał o to i Beata odparła, że wszystko jest już w spiżarni. Kuchmistrz dźgnął Fitcha palcem w pierś i kazał mu wrócić do szorowania. Chłopak masował bolący ślad po pchnięciu i powłócząc nogami po gładkiej, drewnianej podłodze, odszedł do swoich cebrzyków z mydlinami. Obejrzał się przez ramię, żeby popatrzeć, jak Beata odchodzi. Miał nadzieję, że i ona spojrzy na niego i będzie się mógł do niej

uśmiechnąć na pożegnanie.

W kuchni był Dalton Campbell, adiutant ministra Chanboora.

Fitch jeszcze nigdy nie spotkał Daltona Campbella - nie miał po temu okazji - ale myślał o nim życzliwie, bo ten człowiek nikomu nie przysparzał kłopotów, przynajmniej o ile chłopakowi było wiadomo.

Dalton Campbell, od niedawna adiutant ministra, był dość sympatycznie wyglądającym Anderyjczykiem. Miał typowy anderyjski prosty nos, ciemne oczy i włosy oraz mocno zarysowaną szczękę. Kobietom, a zwłaszcza Hakenkom, bardzo się to podobało. Wyglądał imponująco w ciemnoniebieskiej, pikowanej kurcie zarzuconej na obcisły kubrak w takim samym kolorze. Obie szaty zapinało się na cynowe guziki. U pasa wisiała misternej roboty srebrna pochwa. Czerwono-brązowa skóra pokrywała rękojeść wspaniałego miecza. Fitch ogromnie chciałby nosić taki piękny miecz. Był przekonany, że dziewczyny garnęły się do mężczyzn noszących miecze.

Nim Beata zdążyła się obejrzeć na Fitcha lub wyjść, Dalton Campbell szybko podszedł do niej i chwycił ją za ramię. Dziewczyna pobladła. Fitch poczuł, jak żołądek kurczy mu się z nagłego przerażenia. Instynktownie wiedział, że to mogą być poważne tarapaty. Obawiał się, że zna ich przyczynę. Jeżeli patrzący przez okno minister dostrzegł, że Fitch napisał tamto słowo...

Dalton Campbell uśmiechnął się i powiedział coś uspokajającego. Mięśnie ramion Beaty wolniutko się rozluźniły i Fitcha też opuścił strach. Nie słyszał większości słów, lecz dotarło do niego, że Dalton Campbell mówił coś o ministrze Chanboorze i skinieniem głowy wskazywał schody w głębi kuchni. Beata szeroko rozwarła oczy. Policzki się jej zaróżowiły.

Rozpromieniła się.

Dalton Campbell uśmiechał się do niej zapraszająco i prowadził za ramię ku schodom, choć wcale nie potrzebowała tej zachęty - wydawało się, że płynie w powietrzu. Nawet się nie obejrzała, przechodząc przez drzwi i znikając na schodach.

Mistrz Drummond znienacka trzepnął Fitcha w tył głowy.

- Co tak sterczysz jak kloc drewna? Marsz do patelni!

## ROZDZIAŁ 14

Zamknęły się drzwi w drugiej izbie i Zedd się obudził. Otworzył jedno oko i spojrzał na wejście - właśnie ktoś odsuwał skórzaną zasłonę. Trochę się uspokoił, dostrzegłszy, że to Nissel. Przygarbiona uzdrowicielka wolno przyczlapała przez izbę.

- Odeszli - poinformowała.

- Co ona powiedziała? - wyszeptała Ann, podnosząc jedną powiekę.

- Jesteś pewna? - szepnął Zedd do Nissel.

- Spakowali wszystko, co przynieśli. Zabrali żywność na podróż. Niektóre kobiety im pomogły, zbierając to, co może im się przydać. Ja dałam im zioła pomocne na lekkie choroby. Nasi łowcy dali im bukłaki z wodą i broń. Pożegnali się z przyjaciółmi, z tymi, których pokochali. Kazali mi obiecać, że zrobię co w mojej mocy, by zapewnić wam zdrowie. - Nissel podrapała się po brodzie. - Powiedziałabym, że to żadna obietnica.

- I widziałaś, jak odchodzili? Jesteś pewna, że odeszli? - dopytywał się Zedd.

Nissel odwróciła się nieco i wskazała dłonią na północny wschód.

- Wyruszyli. Cała trójka. Patrzyłam, jak odchodzą, tak jak mnie prosiłeś. Poszłam ze wszystkimi na skraj wioski, ale większość naszych chciała ich odprowadzić daleko na równiny, żeby dłużej z nimi pobyc i popatrzeć, jak wyruszają w podróż nasi nowi Błotni Ludzie. Ci ludzie nakłaniali mnie, żebym z nimi poszła, więc i ja ruszyłam na równiny, choć moje nogi nie są już takie szybkie jak kiedyś. Uznałam jednak, że wystarczą na krótki spacer. Jak już odeszliśmy spory kawałek, Richard zaczął nas nakłaniać, byśmy zawrócili i nie towarzyszyli im dalej w deszczu. Zależało mu zwłaszcza na tym, żebym wróciła i zajęła się wami. Wydaje mi się, że chcieli przejść spory kawałek, a my ich tylko spowalnialiśmy, lecz byli zbyt delikatni, by nam to powiedzieć. Richard i Kahlan uściskali mnie i życzyli mi wiele dobrego. Kobieta w czerwonej skórze nie uścisnęła mnie, ale skłoniła głowę na znak szacunku i Kahlan przełożyła mi jej słowa. Chciała mnie zapewnić, że będzie chronić Richarda i Kahlan. To dobra kobieta, ta obca w czerwonej skórze, choć nie należy do Błotnych Ludzi. Ja też życzyłam im wiele dobrego. Potem staliśmy w deszczu i machaliśmy im, a oni szli na północny wschód i

wreszcie zniknęli w oddali. Wtedy Człowiek Ptak powiedział nam, żebyśmy skłonili głowy. I wszyscy powtarzaliśmy za nim słowa, błagając duchy naszych przodków, żeby czuwały nad naszymi nowymi ludźmi i zapewniły im bezpieczną podróż. Potem Człowiek Ptak przywołał jastrzębia i pokazał mu, by im trochę potowarzyszył na znak, że nasze serca są z nimi. Czekaliśmy, aż zniknął nam z oczu nawet jastrząb krążący nad odchodzącą trójką, i wróciliśmy do wioski. - Nissel przechyliła głowę ku czarodziejowi i znacząco uniosła brew. - Czy to zadowoliło cię bardziej niż zwyczajna wieść, że odeszli?

Zedd odchrząknął, myśląc, że uzdrowicielka na pewno ćwiczy się w sarkazmie, gdy nie ma akurat kogo leczyć.

- Co ona mówi? - spytała ponownie Ann.

- Że odeszli.

- Jest tego pewna? Zedd zrzucił z siebie koc.

- A skąd niby mam wiedzieć? Ta kobieta strasznie dużo gada. Myślę jednak, że wyruszyli w drogę.

Ann też odrzuciła wełniany koc.

- A już się bałam, że się na śmierć zapocę pod tą drapiącą płachtą.

Cały czas leżeli cicho i spokojnie pod kocami, obawiając się, że Richard może wrócić z jakimś nowym pytaniem czy pomysłem. Chłopak często tak postępował. Zedd nie ośmielił się zdradzić przed czasem, nie ośmielił się dopuścić, by jakiś nieostrożny postępek popsuł im plany.

Kiedy tak czekali, Ann denerwowała się i pociła. Natomiast Zedd się zdrzemnął.

Nissel, zadowolona, że czarodziej poprosił ją o pomoc, obiecała wszystko obserwować i powiadomić ich, gdy tamtych troje odejdzie. Powiedziała, że wiekowi powinni się trzymać razem i że spryt jest jedyną obroną przed młodymi. Zedd nie mógł się z nią nie zgodzić. Miała w oku ów błysk, który sprawiał, że Ann chmurzyła się, zakłopotana i poirytowana zarazem.

Zedd otrzepał dłonie ze słomy, wygładził szaty. Bolały go plecy. Objął uzdrowicielkę.

- Dziękuję za pomoc, Nissel. Niezmiernie ją sobie cenię. Zaśmiała się cicho, przytulona do jego ramienia.

- Dla ciebie wszystko - powiedziała i uszczypnęła go w pośladek.

- A może trochę tawa z miodem, kochana? - Zedd mrugnął do niej.



Nissel zarumieniła się. Ann patrzyła to na jedno, to na drugie.

- Co jej mówisz?

- Och, tylko podziękowałem jej za pomoc i spytałem, czy nie moglibyśmy dostać czegoś do jedzenia.

- Nigdy nie widziałam takich drapiących koców - burknęła Ann, energicznie drapiąc się po rękach. - Powiedz Nissel, że i ja jej dziękuję, ale, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym uniknąć uszczypnięcia w pośladek.

- Ann dołącza szczerze podziękowania do moich. I jest o wiele starsza ode mnie - dodał.

Wśród Błotnych Ludzi wiek zwiększał wagę słów. Twarz Nissel zmarszczyła się w uśmiechu, uzdrowicielka czule uszczypnęła Zedda w policzek.

- Przyniosę wam herbatę i tava.

- Wygląda na to, że cię polubiła. - Ann przyglądała włosy, patrząc, jak uzdrowicielka znika za skórą osłaniającą wejście.

- A czemu nie?

Ksieni przewróciła oczami i strzepnęła słomę ze swojej ciemnej sukni.

- Kiedy się nauczyłeś języka Błotnych Ludzi? Nigdy nie wspomniałeś ani Richardowi, ani Kahlan, że znasz ich język.

- Och, nauczyłem się go dawno temu. Umiem mnóstwo rzeczy, ale nie ujawniam wszystkiego, co potrafię. Poza tym zawsze uważam, że na wszelki wypadek należy sobie zostawić niewielkie pole manewru. I tak naprawdę nigdy nie kłamałem.

Ustała, wydając głuchy pomruk.

- Może to nie kłamstwo, ale na pewno wprowadzenie w błąd.

- Skoro już jesteśmy przy wprowadzaniu w błąd - uśmiechnął się do niej - uważam, że doskonale to zagrałaś. Bardzo przekonująco.

Ann na moment zabrakło słów.

- Hmm... ja... dziękuję, Zeddzie. Sądzę, że byłam całkiem wiarygodna.

- O tak, byłaś. - Poklepał ją po ramieniu. Uśmiech Ksieni zmienił się w podejrzliwą minę.

- Nie próbuj mnie ugłaskać słodkimi słówkami, stary. Jestem od ciebie o wiele starsza i swoje widziałam. - Pogroziła mu palcem. - Dobrze wiesz, że się na ciebie gniewam!

- Gniewasz się? - Zedd dotknął czubkami palców swojej piersi. - Na mnie? A cóż ja zrobiłem?

- Co zrobiłeś?! Mam ci przypomnieć słowo „Lurk”?! - Chodziła w kółko. Uniosła ramiona, pochylała dłonie w przegubach, zakrzywiła palce jak pazury i udawała złego. - Och, jakie to przerażające. Nadchodzi Lurk. Och, jakie to straszne. Okropnie groźne. - Zatrzymała się przed Zeddem. - Co też ci chodzi po tej tępej głowie?! Co cię napadło, żeś chlapnął tak idiotyczne słowo jak „Lurk”?! Zwariowałeś?!

- A co ci się nie podoba w słowie Lurk? - parsknął z oburzeniem czarodziej.

Ann wsparła się pod boki.

- Co mi się nie podoba?! A cóż to za nazwa dla urojonego monstrum?!

- Całkiem dobra, moim zdaniem.

- Dobra! O mało mi serce nie stanęło, jak ją pierwszy raz wypowiedziałeś. Byłam pewna, że Richard zorientuje się, iż coś wymyślamy, i wybuchnie śmiechem. Sama ledwo się powstrzymałam!

- Śmiać się? A czemuż miałby się śmiać ze słowa „Lurk”? To znakomite słowo. Ma wszystkie elementy przerażającego stwora.

- Rozum ci odebrało? Dziesięcioletni chłopcy, których przyłapywałam na psotach, opowiadali historyjki o gnębiących ich potworach. Jak już któregoś złapałam za ucho, potrafili wymyślić dla nich o wiele lepsze imiona niż Lurk. A wiesz, odkąd starałam się utrzymać poważną minę? Gdyby nie powaga naszej sprawy, nigdy by mi się to nie udało. Kiedy dzisiaj znów powtórzyłeś to słowo, bałam się, że odkryją nasz podstęp.

Zedd skrzyżował ramiona.

- Nie zauważyłem, żeby się śmiali. Wszyscy troje uznali, że to przerażające. Wydaje mi się, że gdy pierwszy raz zdradziłem owo imię, pod Richardem ugięły się kolana.

Ann, pomrukując coś, stuknęła się w czoło.

- Na szczęście nasz fortel się nie wydał. A mogłeś wszystko popsuć takimi głupotami. - Potrząsnęła głową. - Lurk. Lurk!

Zedd podejrzewał, że w ten sposób ujawniała się frustracja i lęk Ann, więc nie przerywał jej tyrady, którą wygłaszała, chodząc tam i z powrotem. W końcu przystanęła i spojrzała na niego z jadowitym gniewem.

- Skąd, na Stwórcę, wzięłeś takie idiotyczne imię dla potwora?! Lurk, też

coś! - mruknęła.

Zedd podrapał się w szyję i odchrząknął.

- Hmm, kiedy ożeniłem się w młodości, przyniosłem mojej żonie kotka. Bardzo kochała zwierzaka i zaśmiewała się z jego błazeństw. Uwielbiałem patrzeć, jak Erilyn śmieje się do łez z wyczynów małej futrzanej kulki. Zapytałem, jak chce nazwać kotka, a ona odparła, że nazwie go Lurk, bo ogromnie lubi obserwować, jak się czai i znienacka wyskakuje. Stąd to imię. Dlatego zawsze je lubiłem.

Ann przewróciła oczami. Westchnęła, rozmyślając o tym, co usłyszała. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Westchnęła raz jeszcze i pocieszająco poklepała go po ramieniu.

- Cóż, nic złego się nie stało - przyznała. - Nic złego się nie stało. - Schyliła się, uniosła koc na palcu, wyprostowała się i zaczęła go składać. Po chwili zapytała: - A co z buteleczką? Z tą, która, jak powiedziałeś Richardowi, jest w Wieży Pierwszego Czarodzieja? Jakie kłopoty może spowodować, gdy ją stłucze?

- O, to po prostu buteleczka, którą kupiłem na targu podczas którejś z podróży. Zobaczyłem ją i natychmiast oczarowało mnie mistrzostwo, z jakim wykonano ów śliczny i zgrabny przedmiot. Długo się targowałem z handlarzem, ale wreszcie przekonałem go i kupiłem buteleczkę po zadziwiająco niskiej cenie. Tak mi się spodobała, że po powrocie ustawiłem ją na owym postumencie. Przypominała mi również, że dzięki umiejętności dobijania targu kupiłem ją szczególnie tanio. Uznałem, że doskonale się prezentuje i jest powodem do dumy.

- Ale bystrzak - docięła mu Ann.

- To prawda. Krótco potem znalazłem taką samą buteleczkę. Była o połowę tańsza, i to bez targowania. Postawiłem ją na tym samym postumencie, by przypominała mi, żebym się za bardzo nie wbijał w pychę tylko dlatego, że jestem Pierwszym Czarodziejem. To zwyczajna stara buteleczka trzymana tam dla przypomnienia. Nie stanie się nic złego, jeśli Richard ją stłucze.

Ksieni zachichotała i potrząsnęła głową.

- Aż strach pomyśleć, co by z ciebie było, gdybyś nie miał daru.

- Ja tam się boję tego, czego już zaczęliśmy doświadczać. W miarę jak zanikał jego dar, Zedda bolały kości i słabły mu mięśnie. A wiedział, że

będzie jeszcze gorzej.

Ponura prawdziwość tych słów sprawiła, że Ann przestała się uśmiechać.

- Nie rozumiem tego. Powiedziałaś Richardowi prawdę. Żeby przywołać demony, Kahlan musiałaby być jego trzecią żoną. Wiemy, że demony są w naszym świecie, choć to przecież niemożliwe. Można ją uznać co najwyżej za drugą żonę, nawet jeśli weźmie się pod uwagę pokrętne sposoby, w jakie magia może interpretować przypadki, by uzyskać dopełnienie warunków i okoliczności niezbędnych do zapoczątkowania biegu zdarzeń. Była tamta, ta Nadine, i Kahlan. Jeden dodać jeden równa się dwa. Kahlan może być tylko drugą żoną.

Zedd wzruszył ramionami.

- Wiemy, że demony zostały wypuszczone na świat. I to właśnie tą sprawą musimy się zająć, a nie tym, jak do tego doszło.

Ann niechętnie skinęła głową na zgodę.

- Myślisz, że twój wnuk zrobi, jak powiedział, i uda się prosto do wieży?

- Obiecał, że tak zrobi.

Ksieni popatrzyła na czarodzieja.

- Mówimy przecież o Richardzie. Zedd bezradnie rozłożył ręce.

- Nie mam pojęcia, co jeszcze moglibyśmy zrobić, by mieć pewność, że pójdzie wprost do Wieży Pierwszego Czarodzieja. Daliśmy mu i szlachetną, i samolubną motywację, żeby tam pospieszył. Nie ma żadnego pola manewru. Przerażliwie jasno wyjaśniliśmy mu, co się stanie, jeżeli nie zrobi tego, co musi.

- Taaak - powiedziała Ann, wygładzając przewieszony przez ramię koc - zrobiliśmy wszystko prócz jednego. Nie powiedzieliśmy mu prawdy.

- Ale powiedzieliśmy mu prawdę o tym, co się może zdarzyć, jeśli nie pójdzie do wieży. To nie było kłamstwo, a prawda jest jeszcze bardziej ponura, niż mu to ujawniliśmy. Znam Richarda. Kahlan uwolniła demony, żeby uratować mu życie, więc będzie się czuł zobowiązany do naprawienia tego, do pomocy. Tylko by wszystko pogorszył. Nie możemy dopuścić, by igrał z tym ogniem. Daliśmy mu to, czego najbardziej potrzebuje: sposób, w jaki może pomóc. Jedynie w wieży będzie bezpieczny. Demony nie dopadną go w miejscu, w którym zostały przywołane, Miecz Prawdy zaś to prawdopodobnie jedyna magia, która nie zaniknie. Postaramy się o to. A kto wie, może jeżeli demony go nie dopadną, to groźba sama się rozwieje.

- Bardzo nikła to nadzieja. Ale chyba masz rację - powiedziała Ann. - Richard jest równie stanowczy jak jego dziadek. - Położyła koc na sienniku i podjęła: - Trzeba go chronić za wszelką cenę. Przewodzi D'Harze i łączy pod jej sztandarem krainy, żeby przeciwstawić się dopustowi, jakim jest Imperialny Ład. W Aydindril nie tylko będzie bezpieczny, ale i będzie mógł dalej wykuwać jedność. Już udowodnił, że ma zdolności przywódcze. Proroctwa ostrzegają, że on jeden ma szansę doprowadzić nas w tej walce do zwycięstwa. Bez niego na pewno przegramy.

Weszła Nissel z tacą chleba tava posmarowanego miodem wymieszanym z miętą. Uśmiechnęła się do Zedda i pozwoliła Ann zabrać trzy parujące kubki herbaty, które również przyniosła. Uzdrowicielka postawiła tacę z chlebem tava na podłodze przed siennikami i usiadła tam, gdzie przedtem leżał Zedd.

Ksieni podała jej jeden z kubków i usiadła na złożonym kocu leżącym w głowach drugiego siennika.

- Usiądź tutaj - Nissel poklepała miejsce obok siebie - zjedz tava i napij się herbaty, zanim wyruszysz w tę swoją podróż.

Zedd usiadł przy niej i lekko się do niej uśmiechnął, rozmyślając o poważnych sprawach. Uzdrowicielka wyczuła jego przygnębienie i w milczeniu podsunęła mu tacę z chlebem tava. Czarodziej, widząc, że kobieta rozumie jego troski, choć może nie ich przyczyny, z wdzięcznością otoczył ramieniem jej barki. Drugą ręką wziął lepki kawałek tava. Zlizął miód z chrupkiego brzegu.

- Żałuję, że nie wiemy nic o tej księdze, o której wspomniał Richard, o *Bliźniaczym szczycie*. Ciekaw jestem, czy on coś o niej wie.

- Nie wygląda na to. Verna odpisała mi wtedy, że *Bliźniaczy szczyt* został zniszczony.

Ann już o tym wiedziała, kiedy Richard spytał. zaproponowała, że zapyta o to Warrena za pomocą swojej książki podróżnej. Choć magia książki już zniknęła, zrobiła to, żeby ukryć przed chłopakiem coraz większe rozmiary klęski.

- Żałuję, że nie zobaczyłem tej księgi, zanim została zniszczona.

Ksieni zjadła kilka kęsów swojego kawałka tava, a potem spytała:

- A co będzie, Zeddzie, jeżeli nie zdołamy ich powstrzymać? Nasz magiczny dar już zaczął słabnąć. Wkrótce całkiem zaniknie. Jak

powstrzymamy demony bez magicznego daru?

Czarodziej zlizął miód z warg.

- Wciąż mam nadzieję, że znajdę odpowiedzi tam, gdzie zostały pogrzebane, gdzieś w Toscli. Czy jak ją tam teraz nazywają. Być może odkryję tam księgi mówiące o historii i kulturze tej krainy. Może uzyskam wskazówki, których potrzebuję.

Zedd słabł coraz bardziej. Zanikająca moc podkopywała jego siły. Podróż czarodzieja będzie powolna i trudna. Ann miała te same kłopoty.

Nissel przytuliła się do Zedda, zadowolona, że może być przy kimś, kto lubił ją jako kobietę i nie chciał, żeby go leczyła. Jej talent uzdrowicielki nie pomógłby mu. Zedd po prostu szczerze ją lubił. A także współczuł - kobiecie, której większość ludzi nie rozumiała. Ciężko być inną od tych, którzy cię otaczają.

- Masz jakieś pomysły, jak przegnać demony z tego świata? - spytała Ann między kęsami tava.

Zedd rozerwał na pół swój kawałek chleba.

- Tylko te, które omawialiśmy. Być może jeśli Richard zostanie w wieży, demony zostaną odciągnięte do zaświatów nawet bez naszej pomocy. Wiem, że to nikła nadzieja, ale może znajdę jakiś sposób, by w razie potrzeby przegnać je do zaświatów. A ty? Masz jakieś pomysły?

- Żadnych.

- I nadal zamierzasz spróbować wyrwać Jagangowi swoje Siostry Światła?

Ann odpędziła komara.

- Magia Jaganga zaniknie tak samo jak każda inna. Nawiedzający Sny straci władzę nad moimi Siostrami. Także w niebezpieczeństwie istnieje dobra okazja. Należy ją wykorzystać, dopóki jest to możliwe.

- Jagang wciąż ma potężną armię. Jak na kogoś, kto często krytykował moje plany, okazałaś się równie pomysłowa jak ja.

- Warto zaryzykować. - Ann opuściła dłoń, w której trzymała chleb tava. - Nie powinnam tego mówić... ale powiem, skoro mamy się rozdzielić. Jesteś inteligentny, Zeddicusie Zu'1 Zoranderze. Będzie mi brakowało twojego irytującego towarzystwa. Twoje sztuczki więcej niż raz uratowały nam skórę. Podziwiam twoją wytrwałość i widzę, po kim Richard ją ma.

- Naprawdę? Cóż, i tak mi się nie podoba twój plan. Pochlebstwo tego nie

zmieni.

Ksieni tylko uśmiechnęła się do siebie.

Jej plan był bardzo prosty, ale Zedd to rozumiał. Odzyskanie Sióstr Światła było ogromnie ważne, i to nie tylko dlatego, że brutalnie się z nimi obchodzono. Jeżeli demony zostaną przepędzone, Jagang znów będzie mógł kontrolować czarodziejki i ich moc.

- Strach może być potężnym władcą, Ann. Jeśli jakieś Siostry nie uwierzą twoim zapewnieniom, że mogą uciec, nie będziesz mogła pozwolić, by znów, choćby wbrew swojej woli, stanowiły zagrożenie dla naszej sprawy.

- Rozumiem. - Ann spojrzała na niego z ukosa. Chciał, żeby je uwolniła albo zabiła.

- Zeddzie - powiedziała ze współczuciem - nie lubię o tym mówić, lecz jeśli to, co uczyniła Kahlan...

- Wiem.

Przywołując demony, Kahlan poprosiła je o pomoc w ocaleniu życia Richarda. To była cena.

W zamian za zatrzymanie Richarda w świecie istot żywych, dopóki nie wyzdrowieje, Kahlan nieświadomie obiecała demonom jedyną rzecz, której potrzebowały, żeby również w nim pozostać.

Obiecała im duszę. Duszę Richarda.

Jednak w wieży chłopak powinien być bezpieczny. Miejsce, w którym demony zostały przywołane, stanowiło bezpieczną przystań dla ofiarowanego.

Zedd przysunął połowę swojej porcji tava do ust Nissel. Uśmiechnęła się i odgryzła wielki kęs. Nakarmiła go własnym kawałkiem, najpierw dotykając chlebem czubka nosa czarodzieja. Rozbawiło go to, że ta stara uzdrowicielka umazała mu nos miodem jak psotna dziewczuszka.

- A co się stało z tym twoim kotkiem, z Lurkiem? - zapytała w końcu Ann.

Zedd zmarszczył brwi; starał się sobie przypomnieć.

- Prawdę mówiąc, nie pamiętam. Tyle się wtedy działo. Akurat zaczynała się wojna z D'Hara, którą rządził drugi dziadek Richarda, Panis Rahl. Zagrożone było życie tysięcy ludzi. Dopiero miałem zostać Pierwszym Czarodziejem. Erilyn była w ciąży z naszą córką. Chyba w tym wirze zdarzeń zgubiliśmy trop owego kotka. W wieży jest mnóstwo miejsc, w których kryją się myszy. Pewno uznał, że czajenie się na myszy jest zabawniejsze od

dwojga zaaferowanych ludzi. - Czarodziej stłumił bolesne wspomnienia. - Kiedy przeniosłem się do Westlandu i urodził się Richard, zawsze trzymałem jakiegoś kota, żeby mi przypominał o Erilyn i o domu.

Ann uśmiechnęła się do niego ze szczerą sympatią i współczuciem.

- Mam nadzieję, że nigdy żadnego nie nazwałeś Lurk, bo Richard mógłby to sobie zniecka przypomnieć.

- Nie - wyszeptał Zedd. - Nigdy tego nie zrobiłem.



## ROZDZIAŁ 15

- Fetch! - zawołał mistrz Drummond.

Fitch mocno zacisnął wargi i choć wiedział, że bezskutecznie, bardzo starał się nie zaczerwienić. Z uprzejmym uśmiechem minął chichoczące złośliwie kobiety.

- Słucham, panie?

- Przynieś jeszcze trochę drewna jabłoni. - Mistrz Drummond machnął ręką ku tyłowi kuchni.

Fitch z ukłonem potwierdził przyjęcie zlecenia i ruszył po drewno. W kuchni unosiły się wspaniałe aromaty skwierczącego masła, cebuli, korzeni, smażących się mięs, a jednak chłopak z radością powitał możliwość zostawienia zaskorupiałych kociołków. Palce bolały go od ciągłego skrobania i szorowania. Ucieszył się też, że mistrz Drummond nie zażądał więcej dębiny. Z ulgą pomyślał, że dobrze zrobił, przynosząc od razu więcej dębowych bierwion.

Truchtał przez snopy ciepłego słonecznego światła i zastanawiał się, dlaczego minister Chanboor chciał widzieć Beatę. Ona na pewno była z tego rada. Kobietom zwykle aż kręciło się w głowie z zachwytu, kiedy miały okazję spotkać się z ministrem. Fitch nie mógł pojąć, co też w nim widziały. Przecież zaczynał już siwieć, był stary. Chłopak nie potrafił sobie wyobrazić, że i on kiedyś zestarzeje się na tyle, iż zacznie siwieć. Na samą myśl o tym z niesmakiem marszczył nos.

Kiedy dotarł do sterty drewna, coś zwróciło jego uwagę. Osłonił dłonią oczy przed słonecznym blaskiem i spojrzął ku ocienionemu podjazdowi. Sądził, że to kolejna dostawa, ale Brownie wciąż jeszcze tam stał. Fitch był zajęty w kuchni i myślał, że Beata już dawno poszła. Było wiele drzwi, więc nie wiedział, kiedy i którymi wyszła. Po prostu założył, że tak się stało. Minęła już chyba godzina, odkąd ruszyła na górę. Minister Chanboor prawdopodobnie chciał jej dać jakąś wiadomość dla rzeźnika, jakieś specjalne zamówienie dla gości. Rozmowa już dawno powinna się zakończyć.

Dlaczego jednak wózek ciągle jeszcze tu stał?

Fitch pochylił się i szarpnął jabłoniowy patyk. Z irytacją potrząsnął

głową. Prawdopodobnie minister Chanboor opowiada jej jakieś bajeczki. Wziął kolejną szczapę ze sterty drewna. Kobiety z jakiegoś powodu uwielbiały słuchać opowiadań ministra, a on lubił je im opowiadać. Bez przerwy rozmawiał z kobietami, coś im opowiadał. Czasem, podczas obiadów i uczt, otaczały go rozchichotanym kręgiem. A może tylko były dla niego miłe - w końcu był kimś ważnym.

Za to żadna dziewczyna nie starała się być miła dla Fitcha, i jego historyjek też nie lubiły. Zebrał naręcze drewna jabłoni i ruszył do kuchni. Pomyślał, że jego opowiadki o upijaniu się są całkiem zabawne, ale dziewczyny nie bardzo się nimi interesowały. Za to Morley lubił jego historyjki. Morley i inni, którzy mieli swoje sienniki w pomieszczeniu, w którym spał Fitch. Uwielbiali opowiadać sobie rozmaite historie i upijać się. Nie mieli nic innego do roboty w nielicznych chwilach wolnych od pracy w kuchni i od zgromadzeń pokutnych.

Po zgromadzeniach pokutnych mogli przynajmniej pogadać z dziewczynami, o ile wcześniej wywiązali się ze swoich obowiązków i nie musieli wracać, żeby coś dokończyć. Ale tak Fitch, jak i pozostali uważali zgromadzenia za ponure imprezy: trzeba było wysłuchiwać tych okropności. I dlatego czasem po powrocie się upijali, o ile udało się im zwędzić trochę wina lub piwa.

Kiedy Fitch przyniósł z tuzin naręczy drewna jabłoni, mistrz Drummond złapał go za rękaw i wcisnął mu w dłoń kartkę papieru.

- Zanieś to piwowarowi.

Chłopak skłonił się i ruszył wypełnić polecenie. Nie potrafił przeczytać informacji, lecz skoro miała być ucztą i nosił takie papiery również przedtem, uznał, że linie pisma to zamówienie tego, co miało być dostarczone do kuchni. Cieszył się z tego zlecenia, bo właściwie nie była to praca, lecz okazja do uwolnienia się na jakiś czas od gorąca i hałasów kuchni. Lubiał snujące się w kuchni wonie i czasem udawało mu się zwędzić jakiś smaczny kąsek, ale te wszystkie kuszące potrawy były dla gości, a nie dla posługaczy. Poza tym czasami chciał uciec od hałasu i zamieszania.

Stary piwowar, którego ciemne włosy Anderyjczyka w większości już wypadły, a pozostałe posiwiały, mruknął coś, czytając pismo. Nie odesłał chłopaka, lecz kazał mu wnieść kilka ciężkich worów szyszek chmielowych. To była zwykła rzecz - Fitch był zaledwie pomywaczem, więc każdy miał

prawo wymagać, żeby wykonał dla niego jakąś robotę. Chłopak westchnął, uznawszy, że to cena za powolny spacer w jedną i drugą stronę.

Kiedy podszedł do bocznych drzwi, pod które dostarczano większość zamówień, spostrzegł, że Brownie wciąż stoi po przeciwnej stronie drogi. Przekonał się z ulgą, że na wniesienie czekało ledwie dziesięć worków. Zaniósł je do browaru i odesłano go.

Zasapany z wysiłku, wracał bocznymi korytarzami do kuchni. Napotkał niewiele osób, przeważnie hakeńskich służących. Tylko jedna osoba nie była Hakenem i tylko ten jeden raz musiał się zatrzymać i ukłonić. Echo kroków towarzyszyło mu, kiedy wspinał się po schodach na wysoki parter i do kuchni. Zatrzymał się, nim tam wszedł. Popatrzył na stopnie prowadzące aż na trzecie piętro. Nikogo na schodach. Nikogo w korytarzach. Mistrz Drummond uwierzy, kiedy powie, że piwowar kazał mu wnieść worki. Kuchmistrz miał mnóstwo pracy przy przygotowaniach do wieczornej uczy, więc nie będzie tracił czasu na dopytywanie się o liczbę worków, a jeśli nawet, to i tak nie zmarnuje czasu na sprawdzanie tego.

Fitch wbiegał po dwa schodki naraz, zanim uświadomił sobie, że postanowił tylko rzucić okiem. Choć nie bardzo wiedział na co lub po co.

Na drugim piętrze był zaledwie kilka razy, na trzecim zaś tylko raz - tydzień wcześniej, żeby zanieść wieczorny posiłek nowemu adiutantowi ministra, Daltonowi Campbellowi. Anderyjski służący polecił Fitchowi zostawić tacę z plastrami mięsa na stole w pustym gabinecie. Na górnych piętrach zachodniego skrzydła, w którym mieściła się również kuchnia, znajdowały się gabinety oficjeli.

Gabinety ministra znajdowały się podobno na trzecim piętrze. Fitch słyszał, że minister ma mnóstwo gabinetów. Chłopak nie wiedział, po co mu ich aż tyle, dlaczego nie zadowolili się jednym. Nikt mu nigdy tego nie wyjaśnił.

Na pierwszym i drugim piętrze zachodniego skrzydła mieściła się Biblioteka Anderithu, tak przynajmniej Fitch słyszał. Była zbiorem bogatej i stanowiącej przykład dla wszystkich duchowej kultury krainy. Przyciągała do posiadłości uczonych i innych ważnych ludzi. Fitcha uczono, że kultura Anderithu była powodem do dumy dla jej mieszkańców i obiektem zazdrości dla innych.

Trzecie piętro wschodniego skrzydła mieściło apartamenty rodziny

ministra. Córka Chanboora, młodsza od Fitcha o jakieś dwa, może trzy lata i - jak słyszał - okropnie brzydka, wyjechała do jakiejś szkoły. Widział ją tylko raz, z daleka, i uznał, że określenie odpowiadało rzeczywistości. Starsi służący szeptali czasem o jakimś anderyjskim gwardziście, którego zakuto w łańcuchy, bo córka ministra - Marcy czy też Marcia, imię zależało od tego, kto opowiadał - o coś go oskarżyła. Fitch słyszał rozmaite wersje tej opowiastki: że ów gwardzista tylko spokojnie stał na posterunku w holu, że ją podsłuchiwał, że ją zgwałcił.

Rozległy się jakieś głosy. Chłopak zamarł ze stopą na kolejnym stopniu, nasłuchiwał. Okazało się, że to tylko ktoś przemierza hol pierwszego piętra. Nikt nie wchodził na górę.

Na szczęście żona ministra, lady Hildemara Chanboor, rzadko bywała w zachodnim skrzydle, w którym Fitch pracował. Lady Chanboor była Anderyjką, przed którą drżeli inni Anderyjczycy. Miała wstrętny charakter, nikt i nic nigdy się jej nie podobało. Potrafiła wyrzucać ludzi ze służby za to tylko, że spojrzeli na nią, gdy mijali ją w holu. Ci, którzy ją znali, nauczyli Fitcha, że lady Chanboor ma twarz dorównującą charakterowi - paskudną. Nieszczęśliwcy, którzy podnieśli oczy na żonę ministra, kiedy mijali ją w holu, natychmiast wylatywali ze służby. I, jak się chłopak dowiedział, zostawali żebrakami. Słyszał też, jak kobiety gadały w kuchni, że lady Chanboor nie pokazywała się całymi tygodniami, bo minister podbił jej oko, nie mogąc już dłużej ścierpieć tego czy tamtego. Inni mówili, że się wtedy upijała. Pewna stara pokojówka szeptała, że od czasu do czasu Hildemara zniknęła z kochankiem.

Fitch dotarł do ostatniego stopnia. W holu na trzecim piętrze było pusto. Blask słońca wpadał przez okna przesłonięte koronkowymi firanami i kładł się na drewnianej podłodze. Chłopak przystanął na podeście. Za plecami miał schody, przed sobą i po bokach drzwi. Spojrzał w puste, biegnące w prawą i lewą stronę korytarze. Nie wiedział, czy ośmieli się w nie zapuścić. Wielu ludzi - od posłańców po gwardzistów - miało go prawo zatrzymać i wypytać, co tutaj robi. Co by wtedy odpowiedział? A wcale nie miał ochoty zostać żebrakiem.

Niezbyt lubił pracować, lecz za to lubił jeść. Zawsze był głodny. Strawa nie była tak smaczna jak ta, którą podawał gościom czy ważnym mieszkańcom posiadłości, ale była przyzwoita i miał jej pod dostatkiem. A

kiedy nikt nie patrzył, pił z kolegami wino i piwo. O nie, nie chciałby zostać wyrzucony i skazany na żebranie.

Ostrożnie ruszył ku środkowi podestu. Mało brakowało, by krzyknął i upadł, bo nastąpił na coś ostrego. Miał pod bosą stopą szpilkę ze spiralnym łąpkim. Szpilkę, którą Beata spinała kołnierzyk sukni. Podniósł ją, nie wiedząc, co by to miało znaczyć. Może potem oddają dziewczynie, a ona ucieszy się, że odzyskała zgubę. A może nie. Może powinien ją zostawić tam, gdzie była, żeby się nikomu - a już zwłaszcza Beacie - nie tłumaczyć, skąd ją ma. Może Beata chciałaby wiedzieć, po co wszedł na górę. To ona była zaproszona, a nie Fitch. Pewno pomyślałaby, że ją szpiegował.

Właśnie pochylał się, by odłożyć szpilkę, kiedy w świetle wydobywającym się spod jednych z wysokich drzwi przed nim dostrzegł jakieś ruchy, cienie. Przekrzywił głowę. Wydawało mu się, że słyszy głos Beaty, lecz nie był pewny. Ale z pewnością usłyszał stłumiony śmiech.

Fitch znów łypnął w lewo i w prawo. Nikogo nie było. Przecież nie pójdzie korytarzem. Po prostu przejdzie przez podest u szczytu schodów. Gdyby ktoś pytał, powie, że chciał tylko obejrzeć przepiękny widok z okna na trzecim piętrze, że zamierzał popatrzeć na łany pszenicy otaczające stołeczne Fairfield, dumę Anderithu.

Uznał, że to niezłe wytłumaczenie. Może i powrzeszczą, ale na pewno go nie wyrzucą. Nie za patrzenie przez okno. Na pewno nie.

Serce mu waliło. Kolana drżały. Nim zdążył się zastanowić, czy to aby nie zbyt wielkie ryzyko, już podszedł na palcach ku masywnym drzwiom. Usłyszał coś, co brzmiało jak płaczące kobiece piski. Dosłyszał też czyjś rechot i dyszenie mężczyzny.

W szklanej gałce drzwi uwieczono na zawsze setki bąbelków. W ozdobnej miedzianej płytce wokół szklanej gałki nie było dziurki od klucza. Fitch ostrożnie położył się na podłodze. Im bliżej był drzwi, a więc i szpary pod nimi, tym lepiej słyszał. Brzmiało to tak, jakby ów mężczyzna bardzo się wyteęzał. Chrapliwy chichot wydawał od czasu do czasu jego towarzysza. Usłyszał też zduszony, żalony szloch kobiety. Brzmiał tak, jakby nie mogła złapać tchu. Beata, pomyślał.

Fitch przytknął prawy policzek do chłodnej, lakierowanej dębowej podłogi. Przysunął twarz do szpary pod drzwiami i trochę w lewo zobaczył nogi fotela, a przed nimi czarny but nabijany srebrnymi ćwiekami. But

odrobinę się poruszył. Był tylko jeden, więc druga stopa mężczyzny musiała spoczywać na udzie. Fitchowi wydawało się, że włosy stają mu dęba. Znakomicie pamiętał właściciela tego buta. Był to ten mężczyzna w dziwacznej pelerynie, z pierścieniami, obwieszony bronią. Mężczyzna, który dobrze przyjrzał się Beacie, mijając jej wózek.

Fitch nie widział źródła pozostałych dźwięków. Cicho przeturlał się na drugi bok i tak obrócił twarz, żeby spojrzeć lewym okiem w prawo. Przysunął się tak, że nosem dotykał drzwi.

Zamrugnął z niedowierzaniem, a potem z przerażeniem.

Beata leżała na plecach na podłodze. Ciemnoniebieską suknię miała zadartą aż do pasa. Pomiedzy jej nagimi, rozchylonymi udami tkwił goły zadek mężczyzny. Poruszał się rytmicznie i coraz szybciej.

Chłopak poderwał się na nogi, wstrząśnięty tym, co zobaczył. Cofnął się kilka kroków. Ciężko oddychał, oczy miał szeroko otwarte, za to żołądek ściśnięty. Był zaszokowany widokiem nagich, rozchylonych ud Beaty. I ministrem między nimi. Odwrócił się, żeby zbiec ze schodów. Oczy paliły mu łzy, szeroko otwartymi ustami chwycił powietrze jak ryba wyciągnięta z wody.

Dobiegł go odgłos kroków. Ktoś wchodził na górę. Fitch zamarł dziesięć kroków od drzwi i dziesięć kroków od schodów. Nie miał pojęcia, co robić. Słyszał szuranie coraz bliższych kroków. Słyszał dwa głosy. Popatrzył w rozchodzące się w obie strony korytarze, sprawdzając, czy aby któryś nie da mu szansy ucieczki, czy któryś nie kończy się ślepo i nie wyda go na łup nadchodzących, czy nie ma tam gwardzistów, którzy zakuliby go w łańcuchy.

Dwie osoby zatrzymały się na znajdującym się niżej podeście. To były kobiety. Anderyjki. Paplały o wieczornej uczcie. O tym, kto na niej będzie. Kogo nie zaproszono. Kogo zaproszono. Mówiły szeptem, lecz spanikowany Fitch słyszał je bardzo wyraźnie. Szumiało mu w uszach i ciężko oddychał z przerażenia. Modlił się, żeby kobiety nie weszły na trzecie piętro. One zaś zaczęły się zastanawiać, co włożyć, żeby przyciągnąć uwagę ministra Chanboora. Fitch nie mógł uwierzyć, że słyszy dyskusję o tym, na jak głęboki dekolt się ośmiela. Wizje, jakie owa rozmowa wywołała w umyśle chłopaka, byłyby urocze i podniecające, gdyby nie wpadł w pułapkę tam, gdzie w ogóle nie powinien się znajdować, i gdyby nie zobaczył czegoś, co w ogóle nie było

przeznaczone dla jego oczu. I gdyby nie zagrażało mu wyrzucenie za drzwi, albo nawet coś gorszego. O wiele gorszego.

Jedna z kobiet wydawała się śmielsza. Druga powiedziała, że też chciałyby zostać zauważona przez ministra, ale że to by jej w zupełności wystarczyło. Usłyszawszy to, pierwsza zachichotała i oznajmiła, że ona pragnie więcej i że tamta nie powinna się martwić, bo ich mężowie byliby zachwyceni, gdyby zdołały zwrócić na siebie uwagę Chanboora.

Fitch obrócił się, by mieć na oku drzwi ministra. Ktoś już przyciągnął jego uwagę. Beata.

Chłopak ostrożnie zrobił krok w lewo. Podłoga zatrzeszczała. Znieruchomiał, czujny. Wydawało mu się, że jego uszy robią się wielkie, tak bacznie nasłuchiwał. Te dwie piętro niżej dowcipkowały o swoich mężach. Fitch cofnął stopę. Pot spływał mu po karku. Obie kobiety ruszyły, nie przerywając rozmowy. Wstrzymał oddech. Usłyszał, jak otwierają się drzwi. Fitch chciał wrzasnąć przez ramię na kobiety, żeby się pospieszyły i poszły plotkować gdzie indziej. Jedna z nich wymieniła imię męża drugiej - Dalton.

Drzwi zamknęły się za Anderyjkami. Fitch odetchnął. Przed nim gwałtownie otworzyły się drzwi ministra. Wysoki obcy trzymał Beatę za ramię. Wypchnął ją z pokoju; stała plecami do Fitcha. Mężczyzna pchnął ją tak, jakby była lekka niczym piórko. Z plaśnięciem wylądowała na siedzeniu. Nie miała pojęcia, że Fitch stoi tuż za nią.

Obojętne oczy żołnierza spojrzały w szeroko otwarte oczy chłopaka. Gęste, splątane, ciemne włosy tamtego sięgały ramion. Strój miał z ciemnego materiału, pokryty skórzanymi naszywkami, rzemieniami i pasami. Większość oręża leżała na podłodze pokoju. Wyglądał na człowieka, który wcale nie potrzebuje broni, który swoimi wielkimi, twardymi łapami mógłby prawie każdemu skrócić kark. Kiedy wojownik obrócił się ku pokojowi, Fitch z przerażeniem uświadomił sobie, że dziwaczna peleryna tamtego była zrobiona ze skalpów. To dlatego wyglądała tak, jakby pokrywały ją kępki włosów. Bo była pokryta włosami, ludzkimi włosami. W każdym odcieniu, od jasnych do ciemnych.

- Stein - zawołał z pokoju minister i rzucił mu jakąś białą kulkę.

Stein złapał zwitek materiału, dwoma mięsistymi paluchami rozpostarł majteczki Beaty i przyjrzał się im. Cisnął je na podolek siedzącej na podłodze dziewczyny, która z trudem oddychała i ze wszystkich sił tłumiała płacz.

Potem Stein, całkowicie obojętny, spojrzał Fitchowi prosto w oczy i uśmiechnął się. Uśmiech rozciągnął jego nie ogolone policzki.

Figlarnie mrugnął do chłopaka.

Ten był zaskoczony jego kompletną obojętnością wobec faktu, że ktoś tu był, że ktoś widział, co się działo. Z pokoju wyrzwał minister, który zapinał właśnie spodnie. I on się uśmiechnął. A potem wyszedł do holu i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Obejrzymy teraz bibliotekę?

- Prowadź, ministrze. - Stein wykonał zapraszający gest. Beata siedziała ze zwieszoną głową, a obaj mężczyźni, przyjaźnie rozmawiając, ruszyli biegnącym w lewo korytarzem.

Wydawała się zdruzgotana tym, co zaszło, zbyt przybita, żeby wstać, odejść i jakby się nic nie stało, wrócić do dawnego życia.

Fitch stał nieruchomo i czekał, łudząc się, że wydarzy się coś niemożliwego: że dziewczyna się nie odwróci, że odejdzie drugim korytarzem i nie spostrzeże go, stojącego tuż za nią i wstrzymującego oddech.

Beata, powstrzymując szloch, podniosła się chwiejnie. Odwróciła się, zobaczyła Fitcha i znieruchomiła, zachłystując się powietrzem. On zaś tkwił jak sparalizowany, z całego serca żalując, że wszedł aż tutaj, by coś zobaczyć. I zobaczył o wiele, wiele więcej, niżby sobie życzył.

- Beato...

Chciał spytać, czy ją skrzywdzono, ale to było oczywiste. Chciał ją pocieszyć, lecz nie wiedział jak, nie miał pojęcia, jakich użyć słów. Chciał ją utulić w ramionach, żeby poczuła się bezpieczna, ale bał się, że źle zrozumie jego zamiary.

Z twarzy Beaty zniknęło cierpienie, zastąpiła je ślepa furia. Zamachnęła się znienacka i uderzyła go z taką siłą, że aż zadzwoniło mu w głowie. Krzepko wymierzony policzek szarpnął głowę chłopaka. Fitchowi aż zaćmiło się w oczach. Zdawało mu się, że dostrzegł kogoś w głębi korytarza, ale nie był tego pewny. Chciał przyjść do siebie. Cofnął się chwiejnie, szukając poręczy, lecz jego dłoń natrafiła na podłogę. Jedno z kolan dołączyło do dłoni. Koło niego śmignęła niebieska suknia i Beata pomknęła w dół po schodach. Jej szybkie kroki zadudniły rytmicznie.

Fitch poczuł ostry, palący ból tuż koło ucha. Bolały go oczy. Był



zdumiony, że aż tak mocno go uderzyła. Zdjęły go mdłości. Mrugał powiekami, chcąc odzyskać ostrość widzenia.

Przeraził się, bo czyjaś dłoń ujęła go pod ramię. Pomogła mu wstać. Tuż przed sobą zobaczył twarz Daltona Campbella.

Dalton, w przeciwieństwie do tamtych mężczyzn, wcale się nie uśmiechał, lecz bacznie wpatrywał się w oczy Fitcha. Robił to w taki sam sposób, w jaki mistrz Drummond przyglądał się przed wypatroszeniem halibutowi przyniesionemu przez właściciela sklepu rybnego.

- Jak się nazywasz?

- Fitch, panie. Pracuję w kuchni, panie. - Chłopak, przerażony i obolały, stał na miękkich nogach.

- Dość daleko zbłądziłeś od kuchni, nieprawdaż? - Dalton Campbell spojrzał ku schodom.

- Zanosilem jakiś papier piwowarowi. - Fitch przerwał i głęboko wciągnął powietrze, starając się, żeby głos mu nie drżał. - Właśnie wracałem do kuchni, panie.

Dłoń mocniej zacisnęła się na ramieniu chłopaka, przyciągnęła go.

- Skoro pospieszyłeś do piwowara, na dole, a potem prosto do kuchni, na wysokim parterze, to musisz być robotnym młodym człowiekiem. Nie chciałbym mieć powodu, by sobie przypomnieć, że widziałem cię na trzecim piętrze. - Puścił ramię Fitcha. - Zakładam, że widziałem cię na dole, jak pospiesznie wracałeś od piwowara do kuchni? Nigdzie się po drodze nie zapędzałeś, prawda?

Troska Fitcha o Beatę zmieniła się w nadzieję, że zdoła uniknąć wyrzucenia z posiadłości, albo i czegoś gorszego.

- Tak, panie. Wracałem prosto do kuchni. Dalton Campbell położył dłoń na rękojeści miecza.

- Pracowałeś i niczego nie widziałeś, prawda? Fitch siłą opanował przerażenie.

- Prawda, panie. Niczego. Przysięgam. Tyle tylko widziałem, że minister Chanboor się do mnie uśmiechnął. To wielki człowiek. Jestem wdzięczny za to, że taki wspaniały człowiek jak on daje pracę takiemu nic nie wartemu Hakenowi jak ja.

Kąciaki ust Daltona Campbella uniosły się akurat o tyle, by Fitch pomyślał, że adiutant jest zadowolony z tego, co usłyszał. Campbell zabębnił palcami

po mosiężnym jelcu swojego miecza. Fitch wpatrywał się w wielkopański oręż. Poczłł nieodpartą potrzebę, by powiedzieć:

- Chciałbym być oddanym i cenionym członkiem służby domowej. Ciężko pracować. Zasłużyć na swoje utrzymanie.

Uśmiech Daltona rozszerzył się.

- Miło to słyszeć. Wyglądasz na bystrego młodzieńca. Być może mógłbym na ciebie liczyć, skoro płoniesz takim zapalem.

- Tak, panie - odparł bez wahania Fitch, choć nie bardzo wiedział, w jakich to sprawach Dalton chciał na niego liczyć.

- Ponieważ przysięgasz, że w drodze powrotnej do kuchni niczego nie widziałeś, wydajesz mi się zuchem o sporych możliwościach. Niewykluczone, że i takim, któremu można byłoby powierzyć bardziej odpowiedzialne zadania.

- Bardziej odpowiedzialne zadania, panie?

Ciemne oczy Daltona Campbella płonęły przerażającą, niepojętą inteligencją, a Fitch wyobrażał sobie, że coś takiego muszą dostrzegać myszy w oczach domowych kotów.

- Niekiedy potrzebni są nam ludzie, którzy chcą się wspiąć na wyższe stanowisko. Zobaczymy. Bacz na kłamstwa ludzi, którzy chcą okryć hańbą ministra, a zobaczymy.

- Dobrze, panie. Nie usłyszę pewnie niczego przeciwko ministrowi. To dobry i wielki człowiek. Mam nadzieję, że pogłoski, jakie słyszałem, okażą się prawdziwe i że pewnego, błogosławionego przez Stwórcę dnia minister Chanboor zostanie Suwerenem.

Teraz uśmiech już na dobre zagościł na twarzy Daltona Campbella.

- O tak, wierzę, że masz spore możliwości. Gdybyś usłyszał jakieś... kłamstwa o ministrze, to byłbym wdzięczny za informację o tym. - Wykonał gest w kierunku schodów. - A teraz lepiej już wracaj do kuchni.

- Dobrze, panie, jeżeli coś takiego usłyszę, to ci o tym powiem. - Fitch ruszył ku schodom. - Nie chcę, żeby ktoś rozpowiadał kłamstwa o ministrze. To byłby zły uczynek.

- Młodzieńcze... nazywasz się Fitch, tak? Chłopak zawrócił od najwyższego stopnia.

- Tak, panie. Fitch.

Dalton Campbell skrzyżował ramiona, odwrócił głowę i łypnął na Fitcha

pytająco jednym okiem.

- Czego nauczono cię na pokucie o chronieniu Suwerena?

- Suwerena? - Fitch wytarł dłonie o spodnie. - Nooo... hmm... że w obronie Suwerena nie można postąpić niewłaściwie.

- Znakomicie. - Dalton pochylił się ku niemu, ramiona wciąż miał skrzyżowane. - A ponieważ słyszałeś, że minister Chanboor prawdopodobnie zostanie Suwerenem, to...?

Najwyraźniej czekał na odpowiedź. Fitch szaleńczo poszukiwał właściwej. Na koniec odchrząknął.

- Noo... wydaje mi się, że jak ma zostać Suwerenem, to pewno tak samo powinien być chroniony?

Ze sposobu, w jaki Dalton Campbell wyprostował się i uśmiechnął, Fitch odgadł, że udzielił właściwej odpowiedzi.

- Naprawdę masz zadatki, młodzieńcze, żeby się piąć w górę.

- Dziękuję, panie. Zrobię wszystko, żeby chronić ministra, skoro pewnego dnia ma zostać Suwerenem. To mój obowiązek. Muszę chronić go w każdy dostępny sposób.

- Taaak... - przeciągnął osobiście Dalton Campbell. Przechylił głowę i obserwował Fitcha. - Jeżeli okażesz się przydatny w... tym, co niezbędne dla ochrony ministra, wejdiesz na drogę wiodącą do zmazania twojego długu.

- Mojego długu, panie? - Fitch nadstawił uszu.

- Jak powiedziałem Morleyowi, jeżeli okaże się użyteczny dla ministra, to być może zasłuży sobie nawet na szlachectwo i certyfikat podpisany przez Suwerena. Wyglądasz na bystrego młodziana. I względem ciebie miałbym więc takie nadzieje na przyszłość.

Fitch aż rozdziawił usta. Szlachectwo było jednym z jego marzeń. Certyfikat podpisany przez Suwerena zaświadczał wszystkim, że Haken spłacił swój dług i ma prawo do nazwiska i szacunku. Chłopak wrócił myślami do tego, co usłyszał przed chwilą.

- Morley? Pomywacz Morley?

- Tak. Nie powiedział ci, że z nim rozmawiałem?

Fitch podrapał się za uchem, starając się pojąć, dlaczego Morley ukrył przed nim tak zdumiewające wieści.

- Nnnie, panie. On nigdy nic nie powiedział. Chyba jest moim najlepszym przyjacielem. Pamiętałbym, gdyby mi coś takiego zdradził.

Przykro mi, ale tego nie zrobił.

Dalton Campbell przesunął palcem po srebrnej pochwie wiszącej u biodra. Bacznie obserwował oczy Fitcha.

- Mówiłem mu, żeby nikomu o tym nie wspominał. - Uniósł brew. - Taka lojalność się opłaca. Tego samego oczekuję od ciebie. Rozumiesz, Fitch?

Chłopak z całą pewnością zrozumiał.

- Nikomu ani słówka. Tak jak Morley. Pojąłem, panie Campbell.

Dalton Campbell skinął głową i uśmiechnął się do siebie.

- Znakomicie. - Znów oparł dłoń na rękojeści wspaniałego miecza. - A wiesz, Fitch, że jeśli Haken spłaci dług i zasłuży na szlachectwo to podpisany przez Suwerena certyfikat upoważnia go do noszenia miecza?

- Naprawdę? - Fitch szeroko otworzył oczy. - Nie wiedziałem.

Wysoki Anderyjczyk uśmiechnął się na pożegnanie, godnie odwrócił i ruszył korytarzem.

- No to do roboty, Fitch. Cieszę się, że cię spotkałem. Być może pewnego dnia znów porozmawiamy.

Chłopak pognał schodami w dół, zanim jeszcze ktoś zdołał go przydybać na trzecim piętrze. Przez głowę przelatywały mu sprzeczne myśli. Znów myślał o Beacie i o tym, co się stało. Chciał, żeby ten dzień wreszcie się skończył i żeby się mógł upić. Strasznie mu było żal Beaty, ale to był minister - minister, którego podziwiała i który pewnego dnia mógł zostać Suwerenem - i tego to ministra widział na dziewczynie. Poza tym przecież go uderzyła, a to bardzo zły uczynek, nawet jeśli Haken uderzy innego Hakena, choć nie był pewien, czy zakaz dotyczył również kobiet. Jeśli nawet nie dotyczył, to i tak policzek sprawił, że Fitch był okropnie nieszczęśliwy.

Z jakiegoś niewiadomego powodu Beata go teraz nienawidziła.

Strasznie chciał się upić.

## ROZDZIAŁ 16

- Fetch! A chodźże tu! Fetch!

Kiedy mistrz Drummond tak go nazywał, Fitch wiedział, że czerwieni się z upokorzenia. Tym razem jednak był tak udręczony tym, co zobaczył na górze, że mało co się przejął. To, że mistrz Drummond przemawiał do niego, jakby chłopak był pyłkiem u jego stóp, nie mogło się w ogóle równać z faktem, że Beata uderzyła go i znienawidziła.

Tamto wydarzyło się przed kilkoma godzinami, ale twarz wciąż bolała go w miejscu, w którym otrzymał policzek, Fitch był więc pewny przynajmniej jednego: nienawidziła go. To go trapiło i wprawiało w zakłopotanie, lecz był przekonany, że Beata go nienawidziła. A wydawałoby się, że powinna się rozgniewać na kogoś zupełnie innego.

Może powinna być zła na siebie za to, że poszła na górę. Chłopak domyślał się jednak, że nie bardzo mogła się sprzeciwić, jeśli zawołał ją minister. Rzeźnik Inger na pewno by ją wyrzucił, gdyby Chanboor powiedział mu, że jego Hakenka nie chciała wejść na górę po specjalne zamówienie. O nie, nie mogła się sprzeciwić.

Poza tym chciała zobaczyć ministra. Sama powiedziała to Fitchowi, on zaś wiedział, że Beacie nigdy nie przyszło na myśl, iż minister tak z nią postąpi. A może to wcale nie minister tak ją rozżalił. Chłopak przypomniał sobie, że tamten drugi, ten Stein, do niego mrugnął. A ona była tam długo.

Ale i tak nie był to powód, żeby znienawidziła Fitcha. Żeby go uderzyła.

Zatrzymał się. Palce bolały go od ciągłego trzymania ich w gorącej wodzie, od skrobania i szorowania. Czuł się chory i - poza twarzą oczywiście - odrętwiały.

- Słucham, panie?

Mistrz Drummond otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale je zamknął i nachylił się. Zmarszczył brwi.

- Co się stało z twoją twarzą?

- Kiedy zbierałem naręczce, wysliznęła mi się szczapa jabłoni i uderzyła mnie, panie.

Kuchmistrz potrząsnął głową i otarł dłonie o swój biały ręcznik.

- Głupek - mruknął. - Tylko głupek - powiedział na tyle głośno, żeby inni

go usłyszeli - uderzył się w twarz patykiem z naręczą, które zbiera.

- Oczywiście, panie.

Mistrz Drummond miał już coś dodać, kiedy obok Fitcha pojawił się Dalton Campbell wpatrzony w zniszczoną kartkę papieru pokrytą nieporządnym pismem. Adiutant ministra miał cały stosik wymiętych kartek o pozawijanych i pourywanym brzegach. Przesuwał palcem po liniach pisma, układając karty w zgięciu drugiego ramienia.

- Przyszedłem, Drummond, żeby się upewnić co do kilku rzeczy - rzekł, nie podnosząc wzroku znad karty papieru.

Mistrz Drummond pospiesznie dokończył wycierać ręce i wyprostował szerokie plecy.

- Oczywiście, panie Campbell. Czym mogę służyć? Adiutant uniósł kartkę i zerknął na tę pod spodem.

- Zadbaleś, żeby wyjęli najlepsze półmiski i dzbany?

- Tak, panie Campbell.

Dalton mruknął do siebie, że to musiało się stać już po tym, jak sprawdzał. Przejrzał kartkę i przeszedł do trzeciej.

- Musisz przygotować dwa dodatkowe miejsca przy najwyższym stole - rzucił i znów przeniósł wzrok na drugą kartkę.

- Dwa dodatkowe miejsca. - Zaaferowany mistrz Drummond wykrzywił usta. - Oczywiście, panie Campbell. Ale czy w przyszłości raczyłby pan zawiadamić mnie o tym odrobinę wcześniej?

Dalton Campbell niedbale ruszył palcem, lecz nie oderwał wzroku od kartki.

- Tak, tak. Jak najbardziej. Jeżeli minister wcześniej mnie o tym poinformuje, rzecz jasna. - Postukał w kartkę i podniósł wzrok. - Lady Chanboor nie życzy sobie, żeby muzykom burczało w brzuchach, kiedy grają. Zadbaj, proszę, żeby tym razem nakarmiono ich odpowiednio wcześniej. Zwłaszcza harfistkę. Będzie najbliżej lady Chanboor.

- Oczywiście, panie Campbell. Dopilnuję tego. - Mistrz Drummond kornie pochylił głowę.

Fitch cofnął się powolutku o dwa kroki, nie podnosząc głowy. Starał się nie sprawiać wrażenia, że słucha, jak adiutant ministra wydaje polecenia kuchmistrzowi. Wolałby odejść, obawiając się, iż zostanie uznany za wścibskiego, ale wiedział, że dostanie burę, jeśli odejdzie bez pozwolenia,

więc zdecydował, że lepiej być w pobliżu, lecz nie zwracać na siebie uwagi.

- I tym razem powinien być większy wybór wina korzennego. Niektórzy twierdzą, że poprzednio asortyment był zbyt skromny. Tak grzane, jak i chłodzone, prosiłbym.

Mistrz Drummond zacisnął wargi.

- Krótki termin, panie Campbell. Gdyby łaskawie w przyszłości...

- Tak, tak. Jeżeli ja będę wiedział, to i wy, Drummond, też. - Dalton przerzucił kolejną kartkę. - Specjały. Powinny być podane wyłącznie na główny stół, aż wszyscy się nimi nasycą. Ostatnim razem minister z zakłopotaniem stwierdził, że zniknęły, choć niektórzy goście przy jego stole wciąż mieli na nie ochotę. Jeżeli z jakiegoś powodu nie mogłeś zgromadzić odpowiedniego zapasu, to niech biesiadnicy przy pozostałych stołach obejdą się smakiem.

Fitch również pamiętał ten incydent i wiedział, że tym razem mistrz Drummond zarządził, by usmażono więcej jąder jeleni. Kiedyś zwędził taki przysmak, gdy zabierał patelnię do mycia. Musiał to zjeść bez słodko-kwaśnego sosu, ale i tak było pyszne.

Dalton Campbell przeglądał swoje papiery, pytał o rozmaite sole, masła, chleby i dał mistrzowi Drummondowi jeszcze kilka wskazówek co do uczy. Fitch wciąż czekał, więc nie chcąc gapić się na obu mężczyzn, przyglądał się kobiecie, która na pobliskim stole robiła z nadziewanych mielonym mięsem, serami, jajkami i korzeniami świńskich żołądków jeże, wkłuwając w nie „kolce” z migdałów. Na następnym stole kobiety wkłuyały w upieczone pawie pióra barwione szafranem i żółtym słonecznikiem. Dzioby i pazury pawi też były pokolorowane i dzięki temu ptaki wyglądały jak złote rzeźby.

W końcu Campbell wyczerpał listę pytań i poleceń i opuścił ramiona, trzymając w dłoni papiery,

- Czy chciałbyś mnie o czymś powiadomić, Drummond? Kuchmistrz oblizwał wargi. Zdawało się, że nie wie, o czym mówi adiutant.

- Nie, panie Campbell.

- To znaczy, że jesteś zadowolony z pracy ludzi zatrudnionych w twojej kuchni?- spytał Dalton z doskonale obojętną miną.

Fitch dostrzegł, jak wszyscy ostrożnie ku nim zerkają.

Niemal niedostrzegalnie spadło tempo pracy. Wszystkie uszy jakby się powiększyły i nastawiły w ich stronę.

Fitchowi wydawało się, że Dalton Campbell szuka pretekstu, by oskarżyć mistrza Drummonda o to, że ten źle organizuje pracę w kuchni, pozwala, aby leniwi nie wykonywali swoich obowiązków, a potem ich za to nie karze. Wyglądało na to, że kuchmistrz powziął takie same podejrzenia.

- O tak, panie, jestem zadowolony z ich pracy. Krótco ich trzymam, panie Campbell. Nie pozwoliłbym, żeby próżniacy dezorganizowali zajęcia w kuchni. Nie mogę do tego dopuścić. To zbyt ważna służba, żeby jakiś leń coś tu zniszczył. Nie pozwolę na to, panie. Nie pozwolę.

Campbell skinieniem głowy potwierdził swoje poparcie dla tych słów.

- Znakomicie, Drummond. I ja nie chciałbym próżniaków w gronie służby. - Powiódł wzrokiem po milczących, ciężko pracujących ludziach. - Bardzo dobrze. Dziękuję, Drummond. Sprawdzę wszystko raz jeszcze tuż przed rozpoczęciem uczyty.

Mistrz Drummond pochylił głowę.

- Dziękuję, panie Campbell.

Adiutant ministra odwrócił się i chciał odejść, ale wtedy dostrzegł stojącego w pobliżu Fitcha. Zmarszczył brwi, więc chłopak jeszcze bardziej schował głowę w ramiona i zapragnął ukryć się w którejś ze szpar drewnianej podłogi. Dalton Campbell obejrzał się przez ramię na kuchmistrza.

- Jak się nazywa ten pomywacz?

- Fitch, panie Campbell.

- Fitch. Aaa, teraz rozumiem. Jak długo jest na służbie?

- Jakieś cztery lata, panie Campbell.

- Cztery lata. Tak długo - odwrócił się i stanął twarzą w twarz z kuchmistrzem - i jest próżniakiem, który rujnuje pracę w twojej wspaniałej kuchni? Kimś, kogo już dawno należało wyrzucić, lecz nie uczyniono tego z jakiegoś tajemniczego powodu? Czyżbyś nie dopełnił obowiązków, pozwalając, by pod dachem ministra tkwił leń? Naprawdę masz na sumieniu takie zaniedbanie?

Fitch skamieniał z przerażenia i zastanawiał się, czy najpierw go zbiją, a potem wyrzucą, czy też po prostu wskażą mu drzwi i każą odejść, nie dając ani odrobiny strawy. Mistrz Drummond popatrywał to na Fitcha, to na adiutanta.

- Nnnnoo...nnnie, panie. Nie, panie Campbell. Dbam, żeby Fitch



wykonywał swoją część obowiązków. Nie pozwoliłbym mu próżnować pod dachem ministra. Co to, to nie, panie.

Dalton Campbell z dziwnym wyrazem twarzy znów spojrział na Fitcha. I ponownie na kuchmistrza.

- Cóż, skoro robi, co mu każesz, i wykonuje porządnie swoją robotę, to chyba nie ma powodu, żeby przezywać go Fetch, nieprawdaż? Nie sądzisz, Drummond, że to źle świadczy o tobie jako o kuchmistrzu?

- - Hmm, ja...

- No to świetnie. Rad jestem, że się ze mną zgadzasz. To się już więcej nie powtórzy.

Niemal wszyscy obecni w kuchni - ukradkiem lub całkiem jawnie - śledzili tę wymianę zdań. Kuchmistrz zdawał sobie z tego sprawę.

- Chwileczkę, o ile pan pozwoli. Tu nie chodzi o obrażanie kogoś i chłopak nie ma nic przeciwko temu, nieprawdaż, Fitch...

Zmiana w wyglądzie Daltona Campbella sprawiła, że słowa uwięzły mistrzowi Drummondowi w gardle. Ciemne oczy Anderyjczyka błysnęły groźnie. Nagle jakby urósł, miał szersze ramiona i wydatniejsze mięśnie pod ciemnoniebieskim kubrakiem i pikowaną kurtą. Zniknął niedbały, bezceremonialny, roztargniony, a czasami poirytowany ton głosu. Dalton wyglądał teraz równie groźnie jak miecz u jego boku.

- Pozwól więc, Drummond, że wyrażę to inaczej. Nie życzymy sobie czegoś takiego pod naszym dachem. Oczekuję, że zastosujesz się do moich życzeń. Jeśli kiedykolwiek usłyszę, że nadajesz komuś ze swoich podwładnych imiona mające ich upokorzyć, to wylecisz za drzwi i nastanie nowy kuchmistrz. Jasne?

- Tak, panie. Zupełnie jasne. Dziękuję, panie. Campbell uszedł kilka kroków, lecz zawrócił. Był ucieleśnieniem groźby.

- Jeszcze jedna sprawa. Minister Chanboor wydaje mi polecenia, a ja wykonuję je bez ociągania. To moja praca. Ja wydaję polecenia tobie, a ty je wykonujesz niezawodnie. To twoja powinność. Oczekuję, że chłopak albo będzie wykonywał swoją robotę, albo zostanie wyrzucony. Jeśli jednak go wyrzucisz, wiedz, że będziesz musiał udowodnić słuszność swojej decyzji. Co więcej, jeśli usłyszę, że go dręczysz z powodu moich poleceń, to nie wyrzucę cię, lecz wypatroszę i każę upiec na tamtym rożnie. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno, mistrzu Drummond?

Fitch nie spodziewał się, że mistrz Drummond potrafi aż tak szeroko otworzyć oczy. Na czole kuchmistrza perlił się pot. Przełknął ślinę i dopiero potem powiedział:

- Tak, panie, dostatecznie jasno. Będzie, jak kazałeś. Masz na to moje słowo.

Kuchmistrz wrócił do swoich zwykłych, wcale nie tak małych rozmiarów. Znow się uprzejmie uśmiechał, a jego twarz ponownie przybrała sympatyczny wyraz.

- Dziękuję, Drummond. No to do roboty.

Dalton Campbell w ogóle nie spojrział na Fitcha, ani w trakcie tej wymiany zdań, ani gdy wychodził z kuchni. Zniknął i chłopak, wraz z mistrzem Drummondem i połową obecnych, dopiero teraz odetchnął.

Fitch jeszcze raz pomyślał o tym, co się właśnie zdarzyło, i pierwszy raz naprawdę dotarło do niego, że mistrz Drummond już nigdy nie nazwie go „Fetch”. Ogarnęło go zdumienie i radość. Nagle nabrał bardzo dobrego mniemania o Daltonie Campbellu.

Mistrz Drummond wyciągnął z za pasa biały ręcznik i otarł czoło. Spostrzegł, że ludzie mu się przyglądają.

- Wracajcie do roboty. - Wsunął ręcznik na dawne miejsce. - Fitch! - zawołał takim samym głosem, jakby wołał jakiegoś innego pracownika kuchni.

Chłopak podszedł pospiesznie.

- Słucham, panie?

- Potrzeba nam więcej dębiny. Ale nie tak dużo jak ostatnio. Z połowę tego. Załatw to szybko.

- Dobrze, panie.

Fitch pobiegł ku drzwiom, płonąć chęcią noszenia drewna i nawet nie dbając o ewentualne drzazgi. Już nigdy nie usłyszy tego upokarzającego przezwiska. Ludzie nie będą się z niego śmiać. A wszystko dzięki Daltonowi Campbellowi.

W tej chwili z promiennym uśmiechem nosiłby gołymi rękami rozżarzone węgle, gdyby tylko Dalton Campbell tego zażądał.

## ROZDZIAŁ 17

Dalton Campbell rozpiął górny guzik kubraka i pchnął łokciem drugiej ręki wysokie mahoniowe drzwi ich apartamentu. Zamknęły się. Natychmiast poczuł kojące działanie panującego tu spokoju. To był długi dzień, a wcale się nie skończył - musieli jeszcze wziąć udział w uczcie.

- To ja, Tereso! - zawołał przez salon ku położonej w głębi sypialni.

Wolałby, żeby tu zostali. Żeby zostali i kochali się. Potrzebował tego. Może później. O ile interesy nie przeszkodzą.

Odpiął kolejny guzik, rozchylił kołnierz i ziewnął. Poczł zapach bzu. Zasunięto już ciężkie niebieskie zasłony z mory, które przesłoniły ciemniejące niebo. W komnacie płonęły wonne lampy i świece zapachowe, w kominku zaś migotał niewielki ogienek zapalony nie tyle dla ciepła, które dawał, ile dla radości Jaką sprawiał. Ciemnofioletowy dywan i jego pszenicznej barwy bordiura wyglądały na świeżo wyczyszczone. Połączone krzesła ustawiono tak, by wyeksponować brązowe skórzane siedzenia i oparcia. Krzesła otaczały eleganckie stoliki ozdobione bukietami świeżych kwiatów. Poduszki na sofach, niby to niedbale rzucone, łączyły przepych z wygodą.

Dalton oczekiwał, iż żona dopilnuje służby i upewni się, że apartamenty będą znakomitym miejscem zarówno do załatwiania interesów, jak i towarzyskich przyjęć - w zasadzie było to to samo. Teresa powinna się spodziewać, że on - skoro wieczorem będzie ucza - najprawdopodobniej zaprosi tu dzisiaj kogoś ważnego. Jakiegoś dygnitarza lub nie zwracającą na siebie uwagi parę oczu i uszu.

Wszyscy oni byli ważni, każdy na swój sposób, i wpleceni w pajęczynę, którą utkał, nasłuchując, wypatrując, czekając na najlżejsze szarpnięcie. Tłumne uczyty to picie i rozmowy, zamieszanie i emocje. Często dostarczają okazji do zawiązywania sojuszy, do umacniania lojalności lub wymuszania posłuszeństwa - do snucia pajęczyny.

Teresa wsunęła głowę przez uchylone drzwi. Uśmiechnęła się radośnie do Daltona.

- Zjawił się mój ukochany.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, choć na chwilę odcinając się od

codziennych trosk, ogarnęło go znużenie, lecz nie mógł nie uśmiechnąć się do jej ciemnych, roziskrzonych oczu.

- TesSj najdroższa. Masz wspaniałą fryzurę.

Złoty grzebień zdobił jej przód. Bogactwo ciemnych loków związane wieloma złocistymi, naszywanymi cekinami wstążkami, które wydłużały włosy i niemal tworzyły kołnierz. Kiedy Teresa się nachyliła, migocące wstążki rozsunęły się, kokieteryjnie odsłaniając jej wdzięczną szyję.

Miała około dwudziestu pięciu lat i była prawie dziesięć lat młodsza od męża. Dalton uważał, że jest czarującą, nie mającą sobie równych istotą, co jeszcze dodawało uroku jej umiejętności bezwzględnego dążenia do celu. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że przed sześcioma miesiącami - nareszcie! - została jego żoną. Starali się o nią i inni - niektórzy mieli wyższą pozycję - lecz żaden nie dorównywał mu ambicjami.

Dalton Campbell nie był człowiekiem, któremu można nastąpić na odcisk. Dla każdego, kto go zlekceważył, nadchodził dzień zapłaty i osoby takie albo uczyły się, że nie wolno go nie doceniać, albo gorzko żałowały popełnionego niegdyś błędu.

Kiedy blisko rok temu poprosił Teresę, by została jego żoną, wykpiła go. Zapytała w ten swój przymilny, łaszący się, lecz często skrywający ostre żądło sposób, czy aby na pewno jest człowiekiem, który zamierza dojść tu albo tam, bo ona z całą pewnością chce się cieszyć w życiu powodzeniem. W owym czasie Dalton pracował jako asystent sędziego w Fairfield. Była to dość ważna posada, ale w jego przypadku stanowiła tylko dogodną przystań umożliwiającą nawiązywanie znajomości i gromadzenie zasobów na przyszłość. Campbell nie podchwycił jej żartobliwego tonu, za to zapewnił ją z całą powagą, że pnie się po szczeblach kariery i że żaden ze znanych jej mężczyzn - mimo jego obecnej pozycji - nie ma najmniejszej szansy, by dorównać jego przyszłemu znaczeniu. Owa solenna deklaracja całkowicie zaskoczyła Teresę. Sprawiała, że przestała się uśmiechać. I właśnie wtedy, zauroczona jego pewnością siebie i stanowczością w dążeniu do celu, zgodziła się go poślubić.

Z zadowoleniem stwierdziła, że przepowiednie Daltona się sprawdzają. W trakcie przygotowań do ślubu dostał lepszą posadę. W pierwszych miesiącach po ślubie, gdy zajmował coraz wyższą pozycję, przeprowadzali się trzy razy, i to zawsze do lepszych apartamentów.

Ci, którzy słyszeli o Campbellu - czy to z powodu jego reputacji, czy to z powodu swoich interesów z rządem Anderithu - wysoko cenili jego znakomite opanowanie anderyjskiego prawa. Dalton Campbell był szeroko znany ze swojej kapitalnej orientacji w zawłościach prawa: jego podstaw, skomplikowanej struktury sentencji i precedensów oraz możliwości zapobiegawczych.

Ludzie, dla których pracował, cenili jego wszechstronne rozumienie prawa, przede wszystkim jednak doceniali znajomość wszelkich kruczków i luk oraz umiejętność wymykania się z pułapek prawnych. Cenili również sprawność, z jaką szybko porzucał prawo, kiedy wymagała tego sytuacja, kiedy potrzebne było rozwiązanie, którego prawo nie mogło zapewnić. W takich przypadkach był równie pomysłowy i równie skuteczny.

Teresa w mgnieniu oka dostosowywała się do coraz lepszych warunków życia. Służbą kierowała z pewnością siebie osoby, która robiła to przez całe życie.

Zaledwie przed kilkoma tygodniami Dalton uzyskał najwyższe stanowisko w posiadłości ministra. Teresa nie posiadała się ze szczęścia, kiedy dowiedziała się, że zajmą luksusowe apartamenty w tak szacownym miejscu. Teraz i ona należała do wysoko postawionych kobiet.

Kiedy Campbell przekazał żonie tę wiadomość, szalała z radości i niemal zdarła zeń ubranie, chcąc się natychmiast z nim kochać, lecz - prawdę mówiąc - oczekiwała tego.

Jeśli ktoś podzielał jego niepoahamowane ambicje, to tym kimś była z pewnością Teresa.

- Powiesz mi, Daltonie, jacy dygnitarze będą na ucztach? Już nie mogę znieść niepewności.

Znów ziewnął i przeciągnął się. Wiedział, że Teresa snuje własne pajęczyny.

- Nudni dygnitarze.

- Ale będzie tam również minister.

- Tak.

- On wcale nie jest nudny, głuptasie. No i poznałam kilka kobiet stąd, żon. To wszystko wytworne damy. Zadne, jak tylko mogłam marzyć. A ich mężowie są strasznie ważni. - Figlarnie i uwodzicielsko dotknęła czubkiem języka górnej wargi. - Lecz żaden z nich nie jest taki ważny jak mój mąż.

- Tess, kochanie, dla ciebie nawet nieboszczyk postarałby się zostać jakąś ważną osobą - odparł z uśmiechem.

Mrugnęła do niego i zniknęła.

- Pod drzwi wsunięto kilka wieści dla ciebie. Są w biurku - zawołała z drugiej komnaty.

Stojące w rogu eleganckie biurko lśniło jak ciemny klejnot. Wykonano je z wypolerowanego wiązu; każdą płytę forniru okalały romby z klonu, na przemian jasne i ciemne. W każdym ciemnym rombie tkwił złoty punkt. Nogi biurka, w przeciwieństwie do nóg pozostałych mebli w salonie, nie były złocone, lecz tak polakierowane, że lśniły. W skrytce za górną szufladą znajdowało się kilka zapieczętowanych wiadomości. Dalton łamał pieczęcie i przeglądał je kolejno, oceniając ich ważność. Było parę ciekawych, lecz żadnej naglącej. Chodziło głównie o przekazanie informacji - małe drgnienia z każdego punktu jego pajęczyny.

W jednym z pism znalazł wiadomość o najwyraźniej przypadkowym utonięciu w fontannie. Wydarzyło się to wczesnym popołudniem, kiedy tłumy przechodzą obok fontanny na Placu Męczenników. Był jasny dzień i do utonięcia doszło na oczach wszystkich, a jednak nikt niczego w porę nie zauważył. Ostatnio Dalton otrzymał kilka wiadomości o nie wyjaśnionych przypadkach śmierci, zrozumiał więc, że ukrytym celem tej wieści było ostrzeżenie, że może tu chodzić o jakąś zemstę z wykorzystaniem magii, zemstę, która miała jednak wyglądać na nieszczęśliwy wypadek.

Kolejne pismo wspominało o nie mogącej odnaleźć spokoju „wzburzonej lady”, która napisała do dyrektora, prosząc go o krótkie prywatne posłuchanie w trakcie uczyty i błagając, by zachował jej list w tajemnicy. Dalton znał kobietę, o której mówiło to pismo, więc od razu domyślił się, że musiała pisać do dyrektora Linscotta. Osoba, od której otrzymał tę informację, doskonale wiedziała, że nie należy wymieniać nazwisk. Pojmował też przyczynę owego wzburzenia. Zaniepokoiła go za to prośba o prywatną audiencję. Informator powiadał, że list kobiety gdzieś zaginął i nie dotarł do adresata.

Postanowiwszy, że później się nimi zajmie, Dalton wsunął wieści do skrytki i włożył szufladę na miejsce. Musi coś zrobić w sprawie tej kobiety. Ale sam jeszcze nie wiedział co.

Zbyt gwałtowne działanie mogło sprowadzić równie wiele kłopotów jak

całkowity brak reakcji. Może wystarczyłoby, gdyby wysłuchał tej kobiety i pozwolił jej dać upust rozgoryczeniu, co prawdopodobnie zamierzała uczynić w trakcie rozmowy z dyrektorem Linscottom. Równie dobrze właśnie Dalton mógł wysłuchać jej skargi. Od kogoś wplątanego w skomplikowaną pajęczynę kontaktów mógłby uzyskać informację potrzebną do podjęcia właściwej decyzji. A nawet jeśli nie, to rozmowa z kobietą mogłaby na tyle załagodzić sprawę, by zorientował się, co robić.

Dalton pełnił nową funkcję od niedawna, ale nie zmarnował ani chwili i wyrobił sobie znaczącą pozycję wśród ważnych mieszkańców posiadłości. Dla wielu stał się użytecznym kolegą, dla niektórych powiernikiem, dla nielicznych zaś - obrońcą. W każdym z tych przypadków wszakże zaskarbił sobie lojalność drugiej strony. Znał także ludzi mających magiczny dar. Wszystko to sprawiało, że jego nieustannie rozrastająca się pajęczyna powiązań wibrowała jak struny harfy.

Jednakże Campbell, i to od pierwszego dnia, chciał przede wszystkim zostać kimś niezbędnym ministrowi. W drugim tygodniu pracy adiutanta jeden z dyrektorów Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni wysłał „badacza” do bibliotek posiadłości. Minister Chanboor wcale nie był tym zachwycony. Prawdę powiedziawszy, wpadł we wściekłość, co było najczęstszą reakcją Bertranda Chanboora na przykre lub złowieszcze nowiny. Dwa dni po przybyciu badacza Dalton Campbell poinformował swego przełożonego, że człowiek ów został znaleziony w Fairfield pijany, w łóżku ładacznicy, i aresztowany. Nie były to, rzecz jasna, poważne występki, choć niektórzy z dyrektorów mogli na to spojrzeć złym okiem, ale w kieszeni badacza znajdowała się niezmiernie rzadka i cenna księga. Niezmiernie rzadka i cenna księga napisana przez samego Josepha Andera. Z biblioteki w posiadłości Ministra Spraw Duchowych doniesiono o zaginięciu tego starożytnego i bezcennego tekstu zaraz po tym, jak badacz udał się na pijaństwo.

Z polecenia Daltona o zaginięciu księgi powiadomiono natychmiast Urząd Dyrektorów - na całe godziny przed aresztowaniem winowajcy. Wraz z raportem Campbell wysłał dyrektorom osobiste zapewnienie, że nie spocznie, póki nie odnajdzie złoczyńcy, i że zamierza natychmiast wszcząć śledztwo, by wykryć, czy ta zbrodnia na kulturze nie jest aby zaczątkiem jakiegoś zdradzieckiego spisku. Osłupiałe milczenie Urzędu Dyrektorów

wręcz ogłuszało.

Sędzia w Fairfield, u którego Dalton wcześniej pracował, był wielbicielem Ministra Spraw Duchowych, spełniał jego życzenia i, ma się rozumieć, nie potraktował lekko kradzieży z Biblioteki Anderithu. Badacz złapany z księgą w kieszeni został błyskawicznie skazany na śmierć za kulturowe i duchowe zbrodnie przeciwko ludowi Anderithu. To wcale nie wyciszyło skandalu, przeciwnie - wywołało plotki o spowiedzi przyjętej przed wykonaniem wyroku. Mówiono, że spowiedź wplątywała w to innych. Dyrektor, który wysłał badacza, nie chciał być łączony z takim kulturowym i duchowym przestępstwem i złożył dymisję, by uratować honor i położyć kres domysłom oraz insynuacjom. Dalton - jako oficjalny przedstawiciel ministra oddelegowany do zajmowania się tą aferą - z bólem serca przyjął rezygnację dyrektora, a potem wydał oświadczenie dyskredytujące pogłoski o spowiedzi i oficjalnie zamknął sprawę.

Stary przyjaciel Campbella miał szczęście i dostał awans na to tak nagle wakujące stanowisko, o co zabiegał niemal przez całe życie. Adiutant pierwszy uścisnął mu dłoń, dłoń nowego dyrektora. Nigdy przedtem nie widział tak szczęśliwego i tak rozradowanego człowieka. Daltona to ucieszyło, bo lubił, gdy szczęściło się ludziom, którzy na to zasługiwali, ludziom, których kochał.

Bertrand Chanboor uznał po tym incydencie, że sytuacja wymaga bliskiej współpracy z nowym adiutantem, i mianował go dodatkowo szefem personelu posiadłości, co dało Daltonowi władzę nad całą służbą. Dalton Campbell podlegał teraz tylko ministrowi. Stanowisko to zapewniło im również nowy apartament - najwspanialszy w całej posiadłości, oczywiście po komnatach samego ministra.

Dalton uważał, że - o ile to w ogóle było możliwe - Teresa jest z tego bardziej zadowolona niż on sam. Uwielbiała ich nowy apartament, symbol odpowiedniego stanowiska. Ujęli ją szlachetnie urodzeni, wśród których teraz przebywała. Upajały ją spotkania z ważnymi, mającymi władzę osobami, które odwiedzały posiadłość. Goście ci, podobnie jak mieszkańcy posiadłości, okazywali Teresie względy należne komuś o wysokiej pozycji, chociaż większość z nich była szlachetnie urodzona, Teresa i Dalton zaś tylko dobrze, nie szlachetnie urodzeni. Campbell zawsze uważał, że sprawy pochodzenia są drugorzędne i mają mniejsze znaczenie, niż się niektórym



wydaje. Według niego, w życiu o wiele większą rolę odgrywały umiejętnie zawarte sojusze.

Teresa odkaszlnęła. Adiutant odwrócił się od biurka, a ona dumnie uniosła głowę i z gracją weszła do salonu, demonstrując nową suknię. Mężczyzna szeroko otworzył oczy. Żona wystawiała na pokaz siebie, a nie suknię.

Materiał zjawiskowo lśnił w blasku lamp, świec i ognia płonącego w kominku. Na ciemnym tle wiły się złociste liściaste desenie. Złota lamówka ozdabiała szwy i obrzeża, przyciągając uwagę do wąskiej talii i zmysłowych kształtów Teresy. Jedwabna spódnica - jak łany młodej pszenicy otulające każdy załomek łagodnie pofałdowanego terenu - zdradzała kształt smukłych nóg, które miała osłaniać. Ale to dekolt odebrał Daltonowi mowę: był skandalicznie głęboki. Widok obnażonych wspaniałych piersi żony wywarł na nim głębokie wrażenie, zarazem podniecił go i zaniepokoił.

Teresa obróciła się dokoła, ukazując suknię, głębokie wycięcie na plecach i to, jak materiał lśni w świetle. Campbell długimi krokami przebył komnatę i porwał żonę w objęcia, kiedy kończyła drugi obrót. Zaśmiała się, uwięziona w jego ramionach. Nachylił się, żeby ją pocałować, lecz odsunęła jego twarz.

- Ostrożnie. Wiele godzin się malowałam. Nie zniszcz tego, Daltonie.

I tak ją pocałował. Teresa wydawała się zadowolona z efektu swoich wysiłków. Dalton zaś był zadowolony z wrażenia, jakie na nim wywarła.

Cofnęła się. Uniosła rękę i pociągnęła złotą wstążkę przywiązaną do pasma włosów.

- Czy wydają się już choć troszkę dłuższe, najmilszy? - zapytała błagalnie.  
- Strasznie czeka się, aż urosną.

Nowe stanowisko i apartamenty świadczyły o tym, że Dalton pnie się w górę, staje się człowiekiem władzy. Łączyły się z tym pewne przywileje - jego żona mogła teraz nosić dłuższe włosy, co miało odzwierciedlać jej nowy status.

Żony innych urzędników mieszkających w posiadłości nosiły włosy niemal do ramion. Jego żona nie będzie się od nich różnić... no, może jej włosy będą odrobinę dłuższe niż włosy większości tych kobiet. Jeszcze dłuższe nosiło zaledwie kilka kobiet w posiadłości czy w całym Andericie, a prawdę mówiąc, i w całych Midlandach. Teresa była żoną ważnego człowieka.

Dalton poczuł dreszcz podniecenia, jak zawsze, kiedy uświadomił sobie, jak wysoko zaszedł i co osiągnął.

A Dalton Campbell zakładał, że to ledwie początek. Zamierzał zajść jeszcze wyżej. Miał plany. I dostęp do człowieka, który łaknął planów. No, nie tylko planów. Nieważne, poradzi sobie z tym. Minister po prostu korzysta z możliwości, jakie daje mu stanowisko.

- Twoje włosy rosną wspaniale, Tess. Kochanie, jeśli jakaś kobieta popatrzy na ciebie z góry, bo jeszcze nie są takie długie, jak powinny, to tylko zapamiętaj jej nazwisko, bo będą dłuższe niż każdej z nich. A kiedy urosną, złożysz jej wizytę.

Teresa podskoczyła radośnie i zarzuciła mężowi ramiona na szyję. Pisnęła z zachwytem. Splotła palce na karku Daltona i spojrzała nań zalotnie.

- Podoba ci się moja suknia?

Przytuliła się do niego i obserwowała, jak jego wzrok zagłębia się coraz niżej. W odpowiedzi Dalton pochylił się, jednym szybkim ruchem włożył jej rękę pod spódnicę i przesunął po wewnętrznej stronie uda, powyżej pończochy. Jego dłoń sięgnęła jej intymnego miejsca i Teresa westchnęła z udawanym zdziwieniem.

Dalton znów pocałował żonę, mocniej przyciskając dłoń ukrytą pod suknią. Już nie myślał o zabraniu Tess na ucztę. Chciał wziąć Tess do łóżka. Popchnął ją w stronę sypialni, ale wymknęła się z jego pożądliwych objęć.

- Daltonie! Nie zniszcz mojej toalety, kochanie. Wszyscy zobaczą zagniecenia na mojej sukni.

- Nie sądzę, by ktokolwiek patrzył na zagniecenia sukni. Będą patrzeć na to, co ona odsłania. Chcę, Tereso, żebyś wkładała taki strój tylko po to, by powitać u drzwi wracającego do domu męża.

- Przestań, Daltonie. - Swawolnie uderzyła go w ramię.

- Mówię całkiem poważnie. - Znów spojrzał na jej piersi. - Ta suknia, Tereso... ta suknia zbyt wiele odsłania.

Odwróciła się.

- Przestań, Daltonie. Ależ z ciebie głuptas. Teraz wszystkie kobiety noszą takie. - Okręciła się ku niemu, znowu była zalotna. - Chyba nie jesteś zazdrosny? O to, że inni mężczyźni będą podziwiał twoją żonę?

Była tym, czego pragnął jeszcze bardziej niż władzy. Kiedy chodziło o Teresę, Dalton - w przeciwieństwie do innych spraw w swoim życiu - wcale

nie zamierzał być wyrozumiały. Duchy wiedziały, że w posiadłości było wielu mężczyzn, których podziwiano i którym zazdrozczono, bo zdobyli wpływy dzięki temu, że ich żony oddały się ministrowi Chanboorowi. Dalton Campbell się do nich nie zaliczał. Obecną pozycję osiągnął dzięki swoim talentom i rozumowi, a nie dzięki ciału żony. To także dawało mu nad nimi przewagę.

Cierpliwość Daltona szybko się wyczerpywała, ton głosu przestawał być pobłażliwy.

- A skąd będą wiedzieć, że to moja żona? Ich oczy nigdy nie spoczną na twojej twarzy.

- Przestań, Daltonie. Jesteś okropnie nudny. Wszystkie kobiety będą w podobnych sukniach. Taka moda. Jesteś taki zajęty swoimi nowymi obowiązkami, że nie masz pojęcia o panujących obecnie zwyczajach. Za to ja mam. Możesz wierzyć lub nie, lecz wiedz, że moja suknia jest skromna w porównaniu z tymi, które włożą pozostałe kobiety. Nie przywdziałabym stroju tak odślanającego jak ich suknie, bo wiem, jak byś na to zareagował, ale też nie chciałam za bardzo się od nich różnić. Nikt sobie niczego zdźznego nie pomyśli, co najwyżej uznają, że żona człowieka będącego prawą ręką ministra jest pruderyjną gąską.

O, na pewno nikt nie pomyśli, że jest pruderyjna. Uznają, że jej strój to zachęta.

- Możesz włożyć inną, Tereso. Tę czerwoną z dekoltem w szpic.

Nadal będzie widać sporo... sporo twoich piersi. Ta czerwona na pewno nie jest pruderyjna.

Odwróciła się do niego plecami, gniewnie skrzyżowała ramiona.

- Wiem, że najchętniej kazałbyś mi włożyć domową suknię, by inne szeptały za moimi plecami, iż ubieram się jak żona niższego pomocnika sędziego. Tę czerwoną nosiłam wtedy, kiedy byłeś nikiem. Sądziłam, że ucieszysz się, widząc mnie w nowej sukni i mając świadomość, że twoja żona może się równać z tutejszymi ważnymi kobietami. Ale teraz już nie będę tu pasować. Będę nudną żoną adiutanta ministra. Nikt nawet nie zechce ze mną porozmawiać. Nigdy się z nikiem nie zaprzyjaźnię.

Dalton wciągnął głęboko powietrze, a potem powolutku je wypuścił. Patrzył, jak Teresa pociera piąstką nos.

- Tess, czy inne kobiety naprawdę będą tak ubrane podczas uczy?

Obróciła się ku niemu i uśmiechnęła promiennie. Campbell pomyślał, że podobnie rozpromieniła się ta Hakenka w kuchni, kiedy zaprosił ją do ministra.

- Oczywiście. Tyle że ja nie jestem równie śmiała jak one, więc moja suknia mniej odsłania. Przekonasz się, Daltonie. Będziesz ze mnie dumny. Chcę być właściwą żoną dla adiutanta ministra. Chcę, żebyś był ze mnie dumny. Boja jestem dumna z ciebie. Tylko z ciebie, Daltonie. Żona ma duże znaczenie dla kogoś tak ważnego jak ty. Bronię twojej pozycji, kiedy cię tu nie ma. Nie wiesz, jakie małostkowe, zazdrosne, ambitne, zdradzieckie i perfidne potrafią być kobiety. Jedno celne złośliwe słówko do męża i wkrótce wszyscy to powtarzają. Czuwam, żeby takie złośliwe słówko, o ile się zdarzy, szybko się ulatniało, żeby nikt nie ośmielił się tego powtarzać.

Dalton skinął głową. Doskonale wiedział, że żony przekazują swoim mężom informacje i plotki.

- Tak sędzę.

- Zawsze twierdziłeś, że jesteśmy partnerami. Wiesz, że cię chronię. Wiesz, jak bardzo staram się, żebyś pasował do ludzi, wśród których przychodzi nam żyć. Że przenigdy nie zmarnowałam tego, co z takim wysiłkiem dla nas zdobyłeś. Zawsze obiecywałeś, że zabierzesz mnie na szczyty, że będę równa tym wszystkim kobietom. Dotrzymałeś słowa, mężu. Zawsze wiedziałam, że tak się stanie. Dlatego zgodziłam się za ciebie wyjść. Chociaż cię kochałam, nie wyszłam za ciebie, gdybym nie wierzyła w twoją przyszłość. Mamy tylko siebie, Daltonie. Czy kiedykolwiek postąpiłam niewłaściwie, kiedy przenosiliśmy się w nowe miejsce?

- Nie, Tess, nigdy.

- A myślisz, że teraz zrobiłabym bezmyślnie coś takiego, w tak ważnej sytuacji? Kiedy jesteś o krok od zdobycia prawdziwej władzy?

Teresa była jedyną osobą, której zwierzał się ze swoich najśmielszych aspiracji, najzuchwalszych planów. Wiedziała, co zamierzał, i nigdy zeń nie drwiła. Wierzyła w niego.

- Nie, Tess, na pewno byś tego nie zmarnowała. Wiem, że nie. - Przesunął dłonią po twarzy i westchnął. - Idź w tej sukni, skoro uważasz, że jest odpowiednia. Zdam się na twoją ocenę.

Sprawa została załatwiona. Teresa zagoniła męża do ubieralni.

- Przebierz się teraz. Przygotuj. Będziesz najprzystojniejszy, wiem to. A

jeśli ktoś będzie miał powód do zazdrości, to ja. Bo wszystkie żony zzielenieją z zazdrości, że taki skarb należy do mnie, i to tobie będą szeptać niecne propozycje.

Odwrócił ją ku sobie, złapał za ramiona i odczekał, aż spojrzy mu w oczy.

- Tylko trzymaj się z dala od typa nazwiskiem Stein, gościa honorowego Bertranda. Nie podsuwaj mu pod oczy... swojej sukni. Zrozumiałaś?

Skinęła głową.

- A jak go rozpoznam?

Dalton puścił żonę i wyprostował się.

- To nie będzie trudne. Ma pelerynę z ludzkich skalpów. Teresa aż wstrzymała oddech.

- No nie. - Nachyliła się ku mężowi. - To ten, o którym mi opowiadałeś? Ten, który przybył z Dżicy na południu? Ze Starego Świata? Żeby omówić nasz przyszły sojusz?

- Tak Trzymaj się z dala od niego. Zmrużyła oczy. Cóż za zaskakujące wieści.

- Ależ to ekscytujące. Chyba jeszcze nikt tutaj nie widział tak intrygującego cudzoziemca. Musi być ogromnie ważny.

- Istotnie. To ważny człowiek, z którym będziemy omawiać doniosłe sprawy, więc nie chciałbym go posiekać na kawałki za to, że zawlókł cię do łóża. Stracilibyśmy cenny czas, czekając, aż imperator przyśle ze Starego Świata nowego parlamentariusza.

Wiedziała, że to nie czcza pogrożka. Władania mieczem uczył się równie pilnie jak prawa. Dalton potrafiłby ściąć głowę pchle siedzącej na brzaskwini i nie musnąć przy tyra meszku owocu.

Uśmiechnęła się z wyższością.

- Nawet nie musi na mnie spojrzeć, a i tak nie będzie sam spać. Kobiety będą się bić o przywilej bycia z takim okrutnikiem. Ludzkie skalpy... - Potrząśnięciem głowy podkreśliła niezwykłość tego faktu. - Kobieta, która wygra, całymi miesiącami będzie zapraszana wszędzie w pierwszej kolejności.

- Może powinny zaprosić hakeńską dziewczynę, żeby opowiedziała im, jakie to podniecające i wspaniałe! - warknął Dalton.

- Hakeńską dziewczynę? - parsknęła lekceważąco Teresa. - Nie sądzę. Hakeńskie dziewczyny nic dla tych kobiet nie znaczą. - Ponownie nawiązała

do najważniejszej części jego wiadomości. - Więc nie podjęto jeszcze żadnej decyzji? Wciąż nie wiemy, czy Anderith pozostanie wierny Midlandom, czy też się wyłamiemy i połączymy z imperatorem Jagangiem ze Starego Świata?

- Wciąż nie wiemy, jak będzie. Dyrektorzy są co do tego podzieleni. Stein dopiero co się zjawił, żeby odegrać swoją rolę.

Teresa stanęła na palcach i pocałowała męża.

- Będę się trzymać z dala od niego. Ty pomożesz zdecydować o losie Anderithu, a ja, jak zawsze, będę chronić tyły i uważnie wszystkiego słuchać.

- Postąpiła krok ku sypialni, lecz znów obróciła się ku Daltonowi. - Jeśli Stein przybył, by przedstawić swoje zdanie... - Nagle w jej ciemnych oczach pojawiło się zrozumienie. - Suweren będzie tu wieczorem, prawda, Daltonie? Suweren we własnej osobie zjawi się na uczcie.

Dalton dotknął palcami bródki Tess,

- Bystra żona to najlepszy sprzymierzeniec, jaki może się trafić mężczyźnie.

Z uśmiechem pozwolił, żeby złapała go za palce i zaciągnęła do ubieralni.

- Widziałam go tylko z daleka. Och, Daltonie, jesteś cudowny. Dzięki tobie znalazłam się tutaj i będę mogła przełamać się chlebem z samym Suwerenem.

- Ale pamiętaj, co mówiłem, i trzymaj się z dala od Steina, chyba że będę przy tobie. To samo odnosi się do Bertranda, choć wątpię, żeby ośmielił się wejść mi w drogę. Jeśli będziesz grzeczna, to przedstawię cię Suwerenowi.

Na chwilę odebrało jej mowę.

- Kiedy już znajdziemy się w łozu, przekonasz się, jaka potrafię być grzeczna. I dobra. I niech duchy sprawią - dodała szeptem - żebym nie czekała na to zbyt długo. Suweren. Jesteś skarbem, Daltonie.

Teresa siedziała przed lustrem, sprawdzając, czy pocałunki męża bardzo rozmazały jej makijaż. Dalton otworzył wysoką szafę.

- No to jakie plotki słyszałaś, Tess?

Zajrzał do szafy i przebierał w koszulach, szukając tej z kołnierzem, którą najbardziej lubił. Ponieważ w sukni żony dominowało złoto, postanowił włożyć czerwony surdut. Tak czy owak będzie najlepszy, gdyż należy zademonstrować pewność siebie. Teresa nachyliła się ku lustru i muskała policzki malutką gąbką, którą zanurzała w srebrnym pojemniczku z różowym pudrem. Jednocześnie powtarzała mężowi plotki krążące po

posiadłości. Żadna z nich nie wydała się Daltonowi ważna. Zaczął rozmyślać o sprawach, którymi musiał się zająć, o dyrektorach, których musiał jeszcze przekonać, i o tym, jak manipulować Bertrendem Chanboorem.

Minister był przebiegłym człowiekiem i Dalton go rozumiał. Podzielał aspiracje swego adiutanta, choć w szerszym zakresie. Bertrand Chanboor był człowiekiem, który chciał mieć wszystko: od hakeńskiej dziewczyny, która wpadła mu w oko, po tron Suwerena. Gdyby Campbell miał coś do powiedzenia, a miał, to Bertrand Chanboor dostałby to, czego pragnął.

Dalton Campbell zaś miałby władzę, na której mu zależało. Nie musiał zostawać Suwerenem. W zupełności wystarczyłoby mu stanowisko Ministra Spraw Duchowych.

W Andericie prawdziwą władzę miał właśnie Minister Spraw Duchowych, który ustanawiał większość praw i mianował sędziów mających pilnować ich przestrzegania. Wpływom i władzy ministra podlegały wszelkie sprawy i wszyscy mieszkańcy krainy. Wywierał wpływ na handel, sztukę, zwyczaje i wierzenia. Nadzorował armię i wszelkie państwowe zamierzenia. No i był uosobieniem religii. Suweren natomiast to etykieta i pompa, klejnoty i wspaniałe szaty, przyjęcia i imprezy.

Noo, Dalton „zadowoliliby się” stanowiskiem Ministra Spraw Duchowych. Z Suwerenem, który tańczyłby, jak by mu zagrał.

- Kazałam wyszkląć twoje najlepsze buty - oznajmiła Teresa, wskazując tę parę. Dalton schylił się po nie.

- Jakie wieści z Aydindril, Daltonie? Mówiłeś, że Stein ma zachwalać pokój Starego Świata i Imperialny Ład. A co z Aydindril? Co na to Midlandy?

Jeżeli coś mogło zaszkodzić aspiracjom i planom Daltona, to właśnie wydarzenia w Aydindril.

- Posłowie wracający z Aydindril donieśli, że Matka Spowiedniczka nie tylko złączyła los swój i Midlandów z lordem Rahiem, nowym władcą imperium D'Hary, ale i zamierza za niego wyjść. Prawdopodobnie już wzięli ślub.

- Zameżna! Matka Spowiedniczka zameżna! - Teresa znów patrzyła w lustro. - To musiała być wspaniała uroczystość. Uważam, że taki ślub przyćmiłby wszystko w Andericie. - Zamilkła na chwilę. - Lecz moc Spowiedniczki poraża mężczyznę, którego ona poślubia. Ten lord Rahl będzie zaledwie marionetką Matki Spowiedniczki. Dalton potrząsnął głową.

- Podobno ma magiczny dar i moc Spowiedniczki nie wyrządzi mu krzywdy. Jest przebiegłą kobietą, skoro poślubia mającego dar lorda Rahla D'Hary. To świadczy o jej zręczności, zdecydowaniu i umiejętności planowania. Połączenie Midlandów i D'Hary stworzyło imperium, którego należy się obawiać, z którym trzeba się liczyć. To będzie trudna decyzja.

Posłowie donieśli również, że lord Rahl to człowiek prawy, bardzo zdecydowany, szczerze oddany sprawie pokoju i wolności tych, którzy się do niego przyłączają. A także człowiek, który żądał, by mu się bezwarunkowo poddać i przyłączyć do rozrastającego się imperium D'Hary.

Tacy ludzie są zwykle nierozsądni. Taki człowiek to źródło nieustających kłopotów.

Dalton wyjął koszulę i pokazał ją Teresie, która skinieniem głowy pochwaliła jego wybór. Rozebrał się do pasa i wsunął ręce w świeże, czyste rękawy, rozkoszując się zapachem materiału.

- Stein przynosi propozycje od Jaganga dotyczące miejsca, jakie mamy zająć w nowym porządku świata. Przekonamy się, co ma do powiedzenia.

Jeżeli Stein miał być jakąś wskazówką, to wyglądało na to, że Imperialny Ład pojmuje niuanse władzy. W przeciwieństwie do tych z Aydindril, byli gotowi negocjować w wielu sprawach ważnych dla Daltona i ministra.

- A dyrektorzy? Co oni mówią o naszej przyszłości? Dalton Campbell mruknął z niezadowoleniem.

- Stale maleje liczba dyrektorów przywiązanych do starych metod, do tak zwanej wolności ludów Midlandów. Tych, którzy nalegają, byśmy zostali z resztą Midlandów i przyłączyli się do lorda Rahla. Ludzie mają dosyć wysłuchiwanie ich przestarzałych poglądów i nudnych morałów.

Teresa odłożyła szczotkę. Z troską zmarszczyła czoło.

- Będziemy mieć wojnę, Daltonie? Do kogo się przyłączymy? Zostaniemy wciągnięci w wojnę?

Dalton uspokajająco położył dłoń na ramieniu żony

- Wojna byłaby długa i krwawa. Nie mam ochoty dać się w nią wciągnąć ani pozwolić, żeby wciągnięto w nią nasz lud. Zrobię, co trzeba, żeby chronić Anderith.

Wiele zależało od tego, która strona zdobędzie przewagę. Nie było powodu, żeby przyłączać się do przegrywającego.

- W razie potrzeby możemy użyć Dominie Dirtch. Takiej broni nie oprze



się żadna armia, żaden lord Rahl czy imperator Jagang. Ale wcześniej dobrze byłoby się przyłączyć do tych, którzy oferują najlepsze warunki i perspektywy. Teresa ujęła dłoń męża.

- Ale ten lord Rahl jest czarodziejem. Sam powiedziałaś, że ma magiczny dar. Nie wiadomo, co może zrobić czarodziej.

- To mogłoby przemawiać za przyłączeniem się do niego. Jednak Imperialny Ład ślubował, że wyeliminuje całą magię. Może mają sposoby, żeby zniweczyć jego zdolności.

- Ale jeśli lord Rahl jest czarodziejem, to byłaby straszliwa magia, jak Dominie Dirtch. Gdybyśmy się do niego nie przyłączyli, mógłby nas porazić swoją mocą.

Dalton poklepał dłoń żony i wrócił do ubierania się.

- Nie martw się, Tess. Nie pozwolę, żeby obrócono Anderith w perzynę. Poza tym, jak mówiłem, Imperialny Ład głosi, że położy kres magii. Jeżeli to prawda, nie zagroziłby nam żaden czarodziej. Musimy się po prostu przekonać, co Stein ma do powiedzenia.

Campbell nie wiedział, jak Imperialny Ład mógłby skończyć z magią. Ostatecznie magia istniała równie długo jak świat. Może Ład chciał wyeliminować tych, którzy mieli magiczny dar. Nie byłby to wcale nowatorski pomysł, choć według Daltona, miał szansę powodzenia.

Byli już tacy, którzy chcieli spalić wszystkich dysponujących magicznym darem. Anderith trzymał w okowach kilku najradykalniejszych przywódców, w tym również Serina Rajaka. Serin Rajak - charyzmatyczny, fanatyczny i zacięty - był nieposkromiony i niebezpieczny. O ile jeszcze żył, bo od miesięcy trzymali go w łańcuchach.

Rajak wierzył, że „wiedźmy”, jak nazywał tych z magicznym darem, to uosobienie zła. Miał sporo popleczników, których - dopóki go nie aresztowano - podburzał, zmieniając ich w rozszałą i niszczyielską tłuszcę.

Tacy ludzie byli niebezpieczni. Mimo to Campbell był przeciwny egzekucji Rajaka. Bo ludzie jego pokroju mogli również być użyteczni.

- O, pewnie byś w to nie uwierzył - mówiła Teresa, znów powtarzając zasłyszane plotki, gdy Dalton dumiał o Sennie Rajaku i ledwo słuchał. - Ta kobieta, o której wspominałam, ta, która ma o sobie takie wysokie mniemanie, Claudine Winthrop, powiedziała nam, że minister wziął ją siłą.

Campbell wciąż ledwo słuchał. Wiedział, że to prawda. Claudine Winthrop była ową „wzburzoną lady” z notatki leżącej w skrytce w jego biurku, osobą, dla której musiał znaleźć jakąś rekompensatę. I to właśnie Claudine wysłała ów list do dyrektora Linscotta. List, który nigdy nie dotarł do adresata. Claudine Winthrop wciąż kręciła się wokół ministra, flirtowała z nim, uśmiechała się do niego, trzepotała rzęsami. I do czegoż to, według niej, miało to doprowadzić? Dostała to, czego się mogła spodziewać. A teraz się skarży?

- I jest tak rozgniewana postępkami ministra, że zamierza powiedzieć po uczcie lady Chanboor i wszystkim gościom, iż minister brutalnie ją zgwałcił.

Dalton nadstawił ucha.

o - Nazwała to gwałtem i zamierza powiadomić żonę ministra gwałcie. - Teresa obróciła się w stronę męża i machnęła ku niemu małą szczotką z wiewiórczej sierści o barwie jej oczu. -

I dyrektorom Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni, jeżeli któryś z nich tu będzie. A jeśli i Suwren będzie na uczcie, Daltonie, to może wyniknąć paskudna awantura. Suwren może nakazać wszystkim ciszę i oddać głos Claudine.

Teraz Campbell słuchał bardzo uważnie. Na uczcie miało być dwunastu dyrektorów. Nareszcie wiedział, co zamierzała Claudine Winthrop.

- Ona tak powiedziała? Sama to słyszałaś? Teresa wsparła dłoń o biodro.

- Tak. Co za pomysł, nieprawdaż? Powinna wiedzieć, jaki jest minister. Powinna wiedzieć, że sypia z połową kobiet z posiadłości. A teraz chce narobić kłopotów? Powiedziałabym, że to może być niezła sensacja. Mówię ci, Daltonie, ona coś knuje.

Zaczęła paplać o innych sprawach, lecz adiutant przerwał jej pytaniem:

- Co mówią o niej pozostałe kobiety? Co mówią o zamiarach Claudine?

Teresa odłożyła szczotkę z wiewiórczej sierści.

- Wszystkie uważamy, że to okropne. Chodzi mi o to, że Minister Spraw Duchowych jest ważnym człowiekiem. Pewnego dnia może zostać Suwrenem, w końcu nasz obecny Suwren nie jest już młodzieniaszkiem. I minister w każdej chwili może zostać osadzony na tronie Suwrena. To ogromna odpowiedzialność. - Znów spojrzała w lustro, ostrożnie manewrowała grzebykiem. Obróciła się do męża, machnęła ku niemu grzebykiem. - Minister jest okropnie przepracowany i od czasu do czasu ma

prawo do niewinnej rozrywki. Kobiety nie mają nic przeciwko temu. To nie powinno nikogo obchodzić. To ich prywatne życie i nie ma wpływu na sprawy państwowe. A w ogóle, to ta mała dziwka sama się o to prosiła.

Z tym Dalton już nie mógł dyskutować. On sam nie potrafił pojąć, jak kobiety - obojętnie, czy szlachetnie urodzone, czy Hakenki - mogły trzepotać rzęsami do bałamuta, a potem dziwić się, że chwycił przynętę. Inna sprawa, że ta hakeńska dziewczyna, Beata, była jeszcze zbyt młoda i zbyt niedoświadczona, żeby w pełni docenić takie dorosłe zabawy. Podejrzewał też, że nie przyszło jej nawet do głowy, iż również Stein weźmie w tym udział. Dalton trochę żałował dziewczyny, chociaż była Hakenką. Nie, ona nie dostrzegła czającego się Steina, kiedy z lęklwym podziwem uśmiechała się do ministra. Lecz pozostałe kobiety - i te z posiadłości, i te, które przychodziły z miasta na uczyty i bale - doskonale wiedziały, o co chodzi ministrowi, więc nie miały prawa wnosić potem pretensji. Campbell zdawał sobie sprawę, że niektóre narzekały dopiero wtedy, gdy nie dostały jakiejś bliżej nie określonej, lecz znacznej rekompensaty. Gdy nie uzyskały jakiejś korzyści. Wtedy sprawa dostawała się Daltonowi. Wynajdywał im tę „korzyść” i robił co w jego mocy, by przekonać je, że będą z tego zadowolone. Większość rozsądnie to akceptowała, a wielu o to właśnie chodziło.

Dalton nie wątpił, iż kobiety z posiadłości były zaniepokojone, że Claudine zamierza narobić zamieszania. Wiele z nich było z ministrem, bo oczarowała je otaczająca go aura władzy. A Campbell miał powody przypuszczać, że mnóstwo z tych, które jeszcze z nim nie spały, marzyło o tym, by znaleźć się w jego łożu. Bertrand po prostu albo jeszcze się nimi nie zainteresował, albo ich nie chciał. Najprawdopodobniej to pierwsze, ponieważ miał zwyczaj zatrudniać mężczyzn dopiero wtedy, kiedy zobaczył ich żony. Dalton musiał dopiero co odrzucić kandydaturę kogoś, kto byłby znakomitym członkiem rady zarządzającej, bo minister uznał, że biedak ma za brzydką żonę.

Nie brakło kobiet, które marzyły, by paść ministrowi w ramiona, a on był na nie ogromnie łasy. Miał jednak pewne kryteria. Jak wielu starzejących się mężczyzn, delectował się młodością. W przeciwieństwie do innych przekraczających pięćdziesiątkę mężczyzn, mógł zaspokoić swoje pragnienie zmysłowych młodych kobiet bez potrzeby korzystania z usług miejskich prostytutek. Prawdę mówiąc, Bertrand Chanboor unikał takich

kobiet jak zarazy ze strachu przed ich chorobami. Inni mężczyźni w jego wieku tylko w ten sposób mieli dostęp do młodych kobiet: nie potrafili się oprzeć pragnieniu, no i nie mieli okazji bardziej się zestarzeć. Te młode kobiety zresztą także. Choroba szybko robiła swoje. Bertrand Chanboor miał stały dopływ młodych kobiet o ograniczonym doświadczeniu i skromnych wymaganiach. Z własnej woli garnęły się do niego, wabione czarem wysokiego stanowiska i niemal nieograniczonej władzy.

Dalton delikatnie przesunął palcem po policzku Teresy. Był szczęściarzem. Miał żonę, która podzielała jego aspiracje, lecz - w przeciwieństwie do wielu innych - wiedziała, jak zabiegać o ich realizację.

- Kocham cię, Tess.

Zdumiona nagłym czułym gestem męża, ujęła jego dłoń w obie ręce i obsypała pocałunkami.

Campbell nie miał pojęcia, czym sobie na nią zasłużył. Nic w jego życiu nie zapowiadało, że kiedykolwiek dostanie tak wspaniałą kobietę jak Teresa. Jej jednej nie zdobył siłą woli, pokonując wszelkich przeciwników, eliminując wszelkie przeszkody stojące na drodze do celu. On się w niej po prostu zwyczajnie i beznadziejnie zakochał. Nie przestawał zgadywać, czemuż to dobre duchy zignorowały resztę jego życia i nagrodziły go taką wspaniałością, ale przyjął ją i już nie wypuścił.

Patrzył w pełne uwielbienia oczy żony, lecz nie cierpiące zwłoki sprawy zakłóciły jego miłosne rozmyślenia.

Należy się zająć Claudine. Trzeba ją uciszyć, nim narobi kłopotów. Dalton przeglądał w myślach korzyści, jakie mógł jej zaoferować w zamian za milczenie. Nikt, nawet lady Chanboor, nie poświęcał zbyt wiele uwagi miłośnikom ministra, ale oskarżenie o gwałt wniesione przez szlachetnie urodzoną mogło narobić kłopotów.

Niektórym dyrektorom bliskie były ideały wysokiego poziomu moralnego. Dyrektorzy Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni decydowali o tym, kto będzie Suwerenem. Niektórzy chcieli, żeby następny Suweren był prawym i obyczajnym człowiekiem. Mogliby odmówić tronu komuś zamieszanemu w taką aferę.

Kiedy już Bertrand Chanboor zostanie Suwerenem, nie będzie miało znaczenia, co sobie myślą, lecz na razie bardzo się to liczyło.

Claudine zdecydowanie należy uciszyć.

- Dokąd idziesz, Daltonie? Odwrócił się ku niej od drzwi.
- Muszę napisać i wysłać pewną wiadomość. To nie potrwa długo.

## ROZDZIAŁ 18

Nora poruszyła się i jęknęła, myśląc, że z pewnością jest już jasno. Jej myśli błądziły ospale w tym stanie pomiędzy jawą a snem. Tak chętnie by jeszcze pospała. Słoma w sienniku akurat ułożyła się tak, jak trzeba. Zawsze układała się w wygodne górki i dołki właśnie wtedy, gdy trzeba już było wstawać.

Kobieta spodziewała się, że mąż lada chwila klepnie ją w siedzenie. Julian zawsze budził się tuż przed brzaskiem. Codzienna robota musi zostać wykonana. Może, jeśli Nora poleży bez ruchu, zostawi ją w spokoju odrobinę dłużej, pozwoli jej pospać jeszcze kilka minut. Nienawidziła go za to, że zawsze budził się przed pierwszym promykiem światła, klepał ją w siedzenie i mówił, że czas wstawać i zabierać się do roboty. No i na dodatek pogwizdywał od rana, kiedy jej kręciło się jeszcze w głowie od snu, kiedy wciąż nie mogła się ocknąć.

Obróciła się na plecy i uniosła brwi, zmuszając się do otwarcia oczu. Juliana nie było obok. Ogarnął ją nagły niepokój i natychmiast się obudziła. Usiadła na łóżku. Nieobecność męża z jakiegoś powodu napawała ją mdlącym lękiem.

Czy to już ranek? Tuż przed świtem? A może jeszcze noc? Nora usiłowała zebrać myśli.

Nachyliła się, by zobaczyć, czy żarzą się jeszcze węgle, których wieczorem, zanim się położyła, dosypała do paleniska. Te na samym czubku jeszcze się tliły. W ich słabiutkim blasku spostrzegła, że Bruce zerka na nią ze swojego siennika.

- Co się dzieje, mamó? - spytała jego starsza siostra, Bethany.

- Czemu się już obudziliście?

- Przecież dopiero żeśmy się położyli, mamó - poskarżył się płaczliwie Bruce.

Uświadomiła sobie, że to prawda. Była tak zmęczona, tak straszliwie zmęczona usuwaniem kamieni z pola, że zasnęła, nim jeszcze na dobre zamknęła oczy. Wrócili do domu, kiedy było już za ciemno na robotę, zjedli kaszę i położyli się. Nora wciąż czuła posmak wiewiórczego mięsa z kaszy i wciąż odbijało się jej świeżą rzodkwią. Bruce miał rację - dopiero co się

położyli. Zadrżała.

- Gdzie wasz tata?

- Chyba poszedł do wygodki - odparła Bethany. - Co się dzieje, mamó?

- Mamó? - pisał Bruce.

- Ciii, nic takiego. Kładźcie się, oboje.

Dzieciaki patrzyły na nią szeroko otwartymi oczami. Nora nie mogła opanować niepokoju. Wiedziała, że dzieci widzą to na jej twarzy, lecz choć bardzo się starała, nie potrafiła opanować i ukryć obawy.

Nie miała pojęcia, co jest nie w porządku, jakie kłopoty się szykują, lecz czuła przez skórę, że dzieje się coś niedobrego.

Zło.

W powietrzu unosiło się zło i jak dym z palącego się drewna drażniło powonienie Nory, odbierało jej oddech. Zło. W nocy czaiło się zło.

Znów spojrzała na puste miejsce w łóżku. Poszedł do wygodki. Julian był w wygodce. Musiał tam być.

Nora przypomniała sobie, że poszedł do wygodki natychmiast po posiłku, jeszcze zanim się położyli. To nie znaczy, że znów tam nie poszedł. Ale nie powiedział, że coś mu dolega.

Ogarnęło ją przerażenie, niczym strach przed samym Opiekunem.

- Chroń nas, drogi Stwórco. Miej w opiece nas i ten dom skromnych ludzi. Odpędź zło. Błagam was, dobre duchy, czuwajcie nad nami i brońcie nas - pomodliła się szeptem.

Skończyła modlitwę i otworzyła oczy. Dzieci wciąż na nią patrzyły. Bethany też musiała to wyczuć. Zawsze o wszystko pytała. Nora żartobliwie nazywała ją „aczemużką”. Bruce się trząsł.

Kobieta odrzuciła wełniany koc. Wystraszyła tym kury siedzące w kącie izby. Zatrzepotały skrzydłami i gdaknęły ze zdumieniem.

- Śpijcie, dzieciaki.

Położyły się, lecz patrzyły, jak narzuca suknię na nocną koszulę. Nora klęknęła przy palenisku i położyła brzożowe szczapy na żarzące się węgle. Drżała, choć nie wiedziała dlaczego. Nie było aż tak zimno, przecież zostawiła na noc tłące się węgle, lecz nagle zapragnęła kojącego blasku ognia. Wzięła stojącą obok paleniska ich jedyną lampę naftową. Kawałkiem płonącej brzożowej kory zapaliła knot i nałożyła klosz. Dzieci nie przestawały jej obserwować.

Pochyliła się i cmoknęła małego Bruce'a w policzek. Odgarnęła do tyłu włosy Bethany i pocałowała córeczkę w czoło. Miało smak ziemi, w której dziewczynka grzebała cały dzień, próbując pomagać w usuwaniu kamieni z pola, które trzeba było zaorać i obsiać. Mogła nosić tylko te mniejsze, ale i tak była to spora pomoc.

- Śpijcie, moje dzieciuki - powiedziała Nora uspokajającym tonem. - Tata poszedł tylko do wygodki. Zaniosę mu lampę, żeby nie wracał po ciemku. Wiecie, że tata obija sobie nocą palce u stóp, a potem się o to na nas złości. Śpijcie już, oboje. Wszystko w porządku. Po prostu niosę tacie lampę.

Wsunęła bose stopy w zimne, wilgotne, ubłocone buty, które zostawiła przy drzwiach. Nie chciała sobie poobijać palców i potem pracować z obolałymi stopami. Narzuciła na ramiona szal, ułożyła go jak trzeba i zawiązała. Bała się otworzyć drzwi. Tak nie chciała otworzyć drzwi w noc, że była bliska płaczu.

Na zewnątrz było zło. Wiedziała to. Czuła.

- Usmażę cię, Julianie - mruknęła pod nosem. - Usmażę cię na chrupko za to, że musiałam przez ciebie wyjść tej nocy.

Zastanawiała się, czy Julian, gdy znajdzie go siedzącego w wygodce, będzie przeklinać jej głupie babskie pomysły. Czasem to robił. Mówił, że na próżno i bez powodu byle czym się zamartwia. Ze nigdy nic z tego jej zamartwiania się nie wynikło, więc czemu nie da sobie z tym spokoju? Na pewno nie po to się martwiła, żeby na nią za to krzyczał, ot co.

Nora uniosła skobel i powiedziała sobie, że ogromnie chce, żeby mąż był w wygodce i nakrzyczał na nią, a potem otoczył ramieniem jej barki i powiedział, by przestała beczeć i wróciła z nim do łóżka. Uciszyła kury protestujące gdakaniem przeciw otwarciu drzwi.

Nie było księżycy. Zaciągnięte chmurami niebo było równie czarne jak cień Opiekuna. Nora pospiesznie człapała ubitą ścieżką do wygodki. Drżącą dłonią zaskrobała w drzwi.

- Julian? Jesteś tam, Julianie? Odezwij się, proszę, jeżeli tam jesteś. Błagam cię, nie oszukuj mnie, nie teraz.

Cisza szumiała jej w uszach. Nie było słycać żadnych owadów. Żadnych świerszczy. Żadnych żab. Żadnych ptaków. Martwa cisza. Norze wydawało się, że istnieje tylko ziemia w kręgu światła rzucanego przez lampę, że dalej nie ma nic i że jeśli odstawi lampę i wejdzie w ciemność, to zacznie spadać w



tę czerń i będzie tak lecieć, aż się zestarzeje i jeszcze trochę. Wiedziała, że to głupie, a mimo to myśl ta wydała się jej zupełnie prawdopodobna i jeszcze bardziej ją wystraszyła.

Drzwi wygodki otwarły się ze skrzypieniem. Otworzyła je, choć wiedziała, że Juliana tam nie ma. Wiedziała, że nie ma go w wygodce, zanim jeszcze wyszła z łóżka. Nie miała pojęcia, skąd to wie, lecz wiedziała.

I miała rację.

Czasem takie przeczucia się sprawdzały. Julian mówił, że chyba jest stuknięta, skoro uważa, iż ma dar przeczuwania różnych rzeczy jak ta stara, która żyła wśród wzgórz i zjawiała się, kiedy się jej zdawało, że coś przeczula i powinna o tym powiedzieć ludziom.

Ale Nora czasami wiedziała różne rzeczy. A teraz wiedziała, że Juliana nie było w wygodce.

Co gorsza, wiedziała, gdzie jest.

Nie miała pojęcia, skąd to wie, podobnie jak nie miała pojęcia, skąd wiedziała, że nie ma go w wygodce. Jednak wiedziała i wiedza ta sprawiała, że jeszcze bardziej drżała. Zajrzała do wygodki tylko dlatego, że miała nadzieję, iż się myli, i nie chciała iść tam, gdzie - jak wiedziała - był.

Lecz teraz musiała tam pójść.

Uniosła lampę i starała się dojrzeć ścieżkę. Nie widziała na zbyt dużą odległość. Odwróciła się i spojrzała na dom. Dostrzegła okno, bo ogień łacinie się palił. Zajęły się brzozowe szczapy i płomienie rzucały jasny blask.

Czuła, że z ciemności zalegających między nią a domem szczyrzy do niej w uśmiechu zęby straszliwe zło. Otuliła się ciasno szalem i znów uniosła lampę, oświetlając ścieżkę. Nie miała ochoty opuszczać dzieci. Nie wtedy, kiedy miała przeczucia.

Lecz coś ciągnęło ją dalej, w dół ścieżki.

- Sprawcie, drogie duchy, żebym się okazała głupią babą z głupimi babskimi pomysłami. Brońcie Juliana, drogie duchy. Sprawcie, żeby nic mu się nie stało. Jest nam potrzebny. Potrzebujemy go, drogie duchy.

Płakała, schodząc ze wzgórza. Płakała, bo tak się bała tego, co znajdzie. Dłoń trzymająca lampę dygotała, płomień się chwia.

W końcu usłyszała szum rzeczki i ucieszyło ją to, bo noc nie była już tak przeraźliwie cicha i pusta. Plusk wody sprawił, że poczuła się lepiej - było to coś znajomego. Zaczęła się czuć głupio z powodu myśli, że poza blaskiem

lampy nie ma światła, zupełnie jakby stała na skraju zaświatów. Pewnie tak samo myślała się co do reszty. Julian po swoim przewróci oczami, gdy mu powie, że bała się, bo myślała, iż poza blaskiem lampy już nic nie ma.

Próbowała zagwizdać, jak gwizdał jej mąż. Chciała sobie dodać animuszu, ale wargi miała zupełnie wysuszone. Bardzo chciała zagwizdać, żeby Julian mógł ją usłyszeć, lecz nie potrafiła wydać żadnego dźwięku, który przypominałby gwizd. Mogła go po prostu zawołać, ale bała się to zrobić. Bała się, że nie usłyszy odpowiedzi. Lepiej pójdzie tam, znajdzie go i wysłucha wyrzutów za głupie beczenie bez powodu.

Łagodny wiaterek chlupotał falami o brzeg jeziora, więc usłyszała wodę, zanim jeszcze ją zobaczyła. Miała nadzieję, że dostrzeże Juliana siedzącego na pniaku i zarzucającego wędkę, żeby złowić im karpia. Że Julian spojrzy na nią i nakrzyczy, że płoszy rybę. Na pniaku nikt nie siedział. Linka wędki zwisała luźno. Nora uniosła lampę trzęsącą się ręką, żeby zobaczyć to, co - jak wiedziała - zobaczy. Oczy miała pełne łez, mrugała, żeby lepiej widzieć. Pociągała nosem, dławiąc się od płaczu, by złapać oddech. Uniosła lampę jeszcze wyżej i weszła do wody, aż ta zakryła noski jej butów. Jeszcze krok i woda zmoczyła obrębek nocnej koszuli i sukienki i kołysała nimi do rytmu jej kroków i fal. Dostrzegła go, kiedy zanurzyła się po kolana. Pływał z twarzą w dół, ramiona unosiły się bezwładnie, nogi miał nieco rozchylone. Niewielkie, wzbudzone przez wiatr fale obmywały tył jego głowy i kołysały włosami, jakby to były wodorosty. Kołysał się leciutko niczym pływająca na powierzchni martwa ryba.

Nora bała się, że znajdzie go tu w takim stanie. To tego właśnie przez cały czas się bała, więc nawet nie była bardzo wstrząśnięta, gdy to wreszcie ujrzała. Stała po kolana w wodzie, a dwadzieścia stóp od niej Julian pływał niczym martwy, wzdęty karp. Woda była zbyt głęboka, żeby brnąć dalej i go dosięgnąć. Tam, gdzie pływał, sięgałaby Norze ponad głowę.

Nie wiedziała, co robić. Julian zawsze wykonywał pracę, której ona nie mogła podjąć. Jak ma wyciągnąć męża na brzeg? Jak ma teraz żyć? Jak bez Juliana wyżywi siebie i dzieci? Julian wykonywał ciężką robotę. Wiedział to, o czym Nora nie miała pojęcia. Zapewniał im byt.

Czuła się otępiała, odrętwiała, oszołomiona, jakby się dopiero co obudziła. To wydawało się niemożliwe.

Julian nie mógłby umrzeć. On był Julianem. Nie mógłby umrzeć. Nie

Julian.

Jakiś dźwięk sprawił, że się odwróciła. Głuchy wstrząs powietrza. Wycie, jak wycie wiatru podczas nocnej zamieci. Lament i syk unoszące się w noc.

Nora dostrzegła, jak z komina ich stojącego na wzgórzu domu strzelają iskry. Strzelają kłęby iskier i unoszą się wysoko w mrok. Przerazona, stała jak trafiona piorunem.

Spokojną noc rozdarł krzyk. Straszliwy dźwięk wznosił się niczym iskry, wzbijał w powietrze nocy nasycony przerażeniem, jakiego Nora jeszcze nigdy nie słyszała. Tak straszliwy krzyk, pomyślała, nie mógł się wyrwać z ludzkiego gardła.

Lecz wiedziała, że się wyrwał. Wiedziała, że to krzyczał Bruce.

Nagle i ona krzyknęła w ogromnym strachu, rzuciła lampę do wody i pobiegła w stronę domu. Jej wrzaski odpowiadały na wrzaski synka, jak one rozdzierały ciszę.

Jej dzieci były w domu.

Zło było w domu.

A ona zostawiła je na jego pastwę.

Lamentowała w potwornym lęku nad tym, co zrobiła, nad tym, że zostawiła dzieci same. Krzyczała do dobrych duchów, żeby jej pomogły. Wrzeszczała do swoich dzieci. Dławiła się płaczem, przerażona, i przedzierała się przez zarośla.

Krzaki czarnych jagód chwyciły i darły jej odzież. Gałęzie biły ją po ramionach, kiedy tak biegła na oślep. Dziura w ziemi pochwyciła i wykręciła jej stopę, ale Nora utrzymała się na nogach i dalej biegła ku domowi, ku swoim dzieciom.

Przeraźliwe wrzaski Bruce'a nie milkły, a Norze aż jeżyły się włosy na karku. Nie słyszała głosu Bethany. Tylko Bruce, mały Bruce krzyczał ile tchu, jakby mu wykluwano oczy.

Potknęła się. Upadła i uderzyła twarzą w ziemię. Poniosła się chwiejnie. Krew płynęła jej z nosa. Ogłuszył ją przeraźliwy ból. Zachłusnęła się krwią i ziemią, z trudem łapała powietrze. Płakała, krzyczała, modliła się, dusiła i krztusiła - wszystko jednocześnie. Z desperackim wysiłkiem pędziła ku domowi, ku wrzaskom.

Wpadła przez drzwi. Ominęły ją uciekające kury. Bruce przyciskał drobne plecy do ściany przy drzwiach. Owładnięty straszliwym strachem,

oszałały, wrzeszczał tak, jakby Opiekun złapał go za palce stóp.

Spostrzegł matkę i chciał ją objąć, ale znów przywarł do ściany, zobaczywszy jej okrwawioną twarz. Złapała go za ramię.

- To mama! Tylko upadłam i rozbiłam sobie nos!

Rzucił się do niej, przywarł kurczowo i wczepił paluszki w jej ubranie. Nora obróciła się, ale nawet w jaskrawym blasku ognia nie mogła dojrzeć córeczki.

- Bruce! Gdzie Bethany?!

Unióś wątle ramię, które tak się trzęsło, że przeraziła się, iż odpadnie. Obróciła się, by spojrzeć tam, gdzie wskazywał.

Wrzasnęła. Uniosła ręce, żeby zakryć twarz, ale nie mogła dokończyć tego gestu. Trzymała przy ustach trzęsące się palce i krzyczała razem z Bruce'em.

Bethany stała w palenisku, zatopiona w płomieniach.

Ogień ryczał wokół niej, kłębiące się płomienie trawiły ciało dziewczynki. Mała unosiła ramiona w szalejącym białym żarze, tak jak unosi ręce w ciepłe wiosenne popołudnie po pływaniu.

Do rozbitego nosa Nory dotarł swąd pękającego, palącego się ciała. Dławił ją, aż się krztusiła, i nie mogła złapać powietrza. Nie mogła odwrócić wzroku od Bethany, od palącej się żywcem córeczki. To się nie mogło naprawdę dziać. Nie potrafiła tego pojąć.

Zrobiła krok w stronę płomieni, żeby wyrwać im córeczkę. Coś głęboko w niej, ostatnia iskra rozsądku, powiedziało jej, że jest już za późno. Powiedziało jej, żeby uciekała z Bruce'em, zanim ogień dopadnie i ich.

Zniknęły czubki palców Bethany. Jej twarz stanowiła kłębowisko żółto-pomarańczowych płomieni. Ogień płonął z dziką, zapalczywą, bezwzględną furją. Żar zapierał Norze dech.

Nagle dziewczynka wydała przenikliwy krzyk, jakby w końcu ogień ogarnął również jej duszę. Ból przeszył Norę aż do szpiku kości.

Bethany osunęła się na polepę. Płomienie strzeliły wokół leżącej postaci, wyciągnęły się w górę, liznęły obmurowanie. Iskry poleciały na izbę, podskakiwały i toczyły się po podłodze. Niektóre z sykiem zgasły na wilgotnym rąbku sukni Nory.

Kobieta porwała Bruce'a, z całej siły zacisnęła w dłoni swoją nocną koszulę i w panice umknęła z synkiem z domu, a zło trawiło to, co zostało z

jej córki.

## ROZDZIAŁ 19

Fetch usiadł na trawie i skrzyżował nogi. Przyjemnie było oprzeć spocone plecy o zimne cegły. Głęboko wciągnął pachnące słodko nocne powietrze, płynące z otwartych okien aromaty smażących się mięs i świeży zapach sterty drewna jabłoni. Dano im chwilę odpoczynku, bo mieli zostać długo po uczcie, żeby wszystko posprzątać.

Morley podał Fitchowi butelkę. Jeszcze sporo czasu upłynie, zanim będą mogli się upić, ale na odrobinę mogli sobie pozwolić. Fitch pociągnął wielki łyk. Natychmiast gwałtownie zakaszłał, rozpryskując większość trunku.

- Ostrzegalem, że to mocne - zaśmiał się Morley. Fitch otarł brodę rękawem.

- No i racja. Skądżeś to wziął? To dobry towar.

Chłopak jeszcze nigdy nie pił czegoś tak mocnego, tak palącego przy połykaniu. Słyszał, że jeśli coś tak pali, to jest to dobry towar. Powiedziano mu, że jeśli kiedyś mu się coś takiego trafi, to odrzucając równie dobry towar, zachowa się jak głupiec. Ponownie zakaszłał. Strasznie go piekło i w gardle, i w nosie. Morley nachylił się ku niemu.

- Ktoś ważny kazał to odesłać. Orzekł, że to pomyje. Starają się puszyć przed wszystkimi. Pete, podczaszy, przybiegł z tym i odstawił. Jak pognał z czym innym, to porwałem butelkę i schowałem pod bluzę, zanim ktoś coś zauważył.

Fitch był przyzwyczajony do popijania wina, które udało im się zwędzić. Osuszał prawie puste beczułki i butle, zbierał resztki. Ale jeszcze nigdy nie wpadł mu w ręce tak rzadki trunek.

Morley popchnął dno butelki, pochylając ją ku wargom kolegi. Fitch łyknął - tym razem ostrożnie - i przełknął, nie marnując ani kropli. Wydawało mu się, że jego żołądek zmienił się w bulgocący kociołek. Morley z aprobatą skinął głową. Fitch uśmiechnął się dumnie.

Przez otwarte okna dolatywały do nich rozmowy i śmiechy ludzi czekających na rozpoczęcie uczty. Fitch już odczuwał działanie trunku. Potem, kiedy posprzątają, porządnie się upiją. Roztarł pokryte gęsią skórą ramiona. Płynące z okien dźwięki muzyki wprawiały go w specyficzny nastrój. Muzyka zawsze tak na niego działała - zdawało mu się, że się

poderwie i coś zrobi. Nie wiedział co, ale na pewno coś. Coś wspaniałego.

Morley wyciągnął rękę i chłopak oddał mu butelkę. Patrzył, jak grdyka kolegi porusza się w górę i w dół przy każdym łyku. Muzyka eskcytująco przyspieszała, wzbierała emocjami. Jej dźwięki i wypity trunek wywoływały w chłopaku przejmujące dreszcze.

Fitch dostrzegł, że za plecami Morleya zbliża się ku nim ścieżką wysoka postać. Osoba ta szła w określonym celu, a nie ot tak, żeby się przespacerować. W padającym z okien żółtawym blasku lamp zaślniła srebrna pochwa. Chłopak dostrzegł szlachetne rysy i postawę.

To był Dalton Campbell. I szedł wprost ku nim.

Fitch szturchnął kolegę łokciem i wstał. Złapał równowagę, wygładził bluzę. Jej przód był zmoczony trunkiem, który wykaszłał, gdy się zakrztusił. Pospiesznie odgarnął do tyłu włosy. Trącił Morleya stopą i kciukiem dał mu znak, żeby i on się podniósł.

Dalton Campbell ominął stertę drewna i skierował się prosto ku nim. Wysoki Anderyjczyk sprawiał wrażenie, że dobrze wie, dokąd idzie. Fitch i Morley nigdy nikomu nie mówili, dokąd się wybierają, gdy chcieli się we dwójkę wykraść i coś łyknąć.

- Fitch, Morley! - zawołał Dalton Campbell, gdy się zbliżał.

- Dobry wieczór, panie Campbell - odezwał się Fitch, czyniąc powitalny gest.

Chłopak zgadywał, że w padającym z okien świetle dość wyraźnie było wszystko widać. Sam dość dobrze widział Morleya, widział, jak ten kryje za plecami butelkę. Pewnie adiutant ministra zobaczył z okna, jak szli za stertę drewna.

- Dobry wieczór, panie Campbell - powiedział Morley.

Dalton Campbell przyjrzał się im, jakby kontrolował żołnierzy. Wyciągnął rękę.

- Mogę i ja?

Morley drgnął, wyciągnął butelkę zza pleców i podał ją Campbellowi.

- My... to jest...

Dalton Campbell pociągnął porządny łyk.

- Ależ macie szczęście - powiedział, oddając butelkę Morleyowi - że trafiła się warn pełna butla takiego dobrego trunku. - Splótł dłonie za plecami. - Mam nadzieję, że w niczym warn nie przeszkodziłem.

Młodzieńcy - zaskoczeni, że Campbell pociągnął łyk z ich butelki, a jeszcze bardziej, że ją oddał - energicznie potrząsnęli głowami.

- Nie, panie Campbell - odparł Morley.

- No to świetnie - rzekł adiutant. - Szukałem was. Mam mały kłopot.

Fitch nachylił się ku niemu i zniżył głos.

- Kłopot, panie Campbell? Czy możemy jakoś pomóc? Campbell spojrział w oczy najpierw jemu, a potem Morleyowi.

- Hmm, prawdę mówiąc, właśnie dlatego was szukałem. Pomyślałem, rozumiecie, że pewnie chcielibyście dostać szansę, by się wykazać, udowodnić mi, że macie możliwości, jakich się po was spodziewam. Mógłbym się tym zająć, lecz uznałem, że pewnie chcielibyście mieć okazję zrobić coś wartościowego.

Fitchowi zdawało się, że to same dobre duchy właśnie spytały go, czy chce zrobić coś dobrego.

Morley odstawił butelkę i wyprostował ramiona jak żołnierz stojący na baczność.

- Tak, panie Campbell. Pewnie, że chciałbym mieć taką okazję. Fitch też się wyprostował.

- I ja też, panie Campbell. Proszę tylko powiedzieć, co to ma być, a my już wykorzystamy okazję, by udowodnić, że jesteśmy gotowi przyjąć odpowiedzialność.

- Znakomicie... znakomicie - rzucił Dalton, przyglądając się obu. Pozwolił, żeby przez chwilę panowała cisza, a potem podjął: - To ważne. Bardzo ważne. Zastanawiałem się, czy nie powierzyć tego komuś innemu, bardziej doświadczonemu, uznałem jednak, że powinienem dać wam szansę udowodnienia mi, iż mogę wam ufać.

- Wszystko zrobimy, panie Campbell - powiedział Fitch i mówił prawdę. - Tylko powiedz, panie, co trzeba.

Chłopak drżał z podniecenia na myśl, że może się wykazać przed Daltonem Campbellem. Muzyka napawała go przemożną chęcią dokonania czegoś ważnego.

- Suweren źle się czuje - powiedział Dalton Campbell.

- To straszne - stwierdził Morley.

- Bardzo nam przykro - dorzucił Fitch.

- Tak, to wielka przykrość, ale on jest już stary. Za to minister Chanboor



jest jeszcze metody i krzepki. Bez wątpienia zostanie mianowany Suwerenem, i to pewno już wkrótce. Zjawiała się tu większość dyrektorów, żeby porozmawiać z nami o interesach, o sprawie wyboru Suwerena. Zbierają informacje, póki jeszcze mają na to czas. Chcą ustalić pewne fakty dotyczące ministra. Ocenić jego charakter, dowiedzieć się, jakim jest człowiekiem. Upewnić się, czy mogą go poprzeć, kiedy nadejdzie czas. Fitch zerknął na kolegę: Morley wpatrywał się wielkimi oczami w Daltona Campbella. Chłopak ledwo mógł uwierzyć, że słyszy tak doniosłe wieści z ust tak ważnego człowieka - w końcu on i Morley byli zaledwie Hakenami. A oto sam adiutant ministra, Anderyjczyk, rozmawiał z nimi o sprawach wagi państwowej.

- Dzięki ci, Stwórco. Nasz minister dostąpi nareszcie uznania, na które zasługuje - wyszeptał Fitch.

- Taaak - odparł osobliwym tonem Campbell. - Cała rzecz w tym, że są ludzie, którzy chętnie nie dopuściliby do mianowania ministra Suwerenem. Ci ludzie chcą wyrzucić krzywdę ministrowi.

- Chcą go skrzywdzić? - spytał najwyraźniej zdumiony Morley.

- Tak. Obaj przypominacie sobie pewnie nauki, że Suwerena należy chronić, że zacny jest każdy postępek w jego obronie?

- Tak, panie - odparł Morley.

- Tak, panie - powtórzył jak echo Fitch. - A skoro minister ma być Suwerenem, to i jego trzeba tak samo chronić.

- Znakomicie, Fitch.

Chłopak rozpromienił się z dumy. Żałował, że po tym napitku tak mętnie widzi.

- Chcielibyśmy pomóc, panie Campbell - wtrącił się Morley. - Chcielibyśmy się przed panem wykazać. Jesteśmy gotowi.

- O tak, na pewno - potwierdził Fitch.

- No to dam warn do tego okazji. Jeśli zrobicie co trzeba i zamilczycie o tym bez względu na wszystko, czyli aż do grobowej deski, z radością uznam, że słusznie warn zaufałem.

- Aż do grobowej deski - powtórzył Fitch. - Tak, panie, zrobimy to.

Chłopak usłyszał jakiś dziwny metaliczny brzęk. Uświadomił sobie z przerażeniem, że pod jego brodą tkwi czubek miecza.

- Lecz jeśli któryś z was zawiedzie moje zaufanie, będę ogromnie

zawiedziony, bo to narazi ministra na niebezpieczeństwo. Rozumiecie? Nie lubię, gdy zawodzą mnie ludzie, którym zaufałem. Gdy zawodzą przyszłego Suwerena. Czy to rozumiecie?

- Tak, panie! - prawie krzyknął Fitch.

Czubek miecza przeniósł się na gardło Morleya, dotknął jego wydatnej grdyki.

- Tak, panie! - zawtórował tamten.

- Czy któryś z was powiedział komuś, dokąd idziecie się napić?

- Nie, panie - odparli chórem.

- A przecież wiedziałem, gdzie was znajdę. - Wysoki Anderyjczyk znacząco uniósł brew. - Zapamiętajcie to sobie na wypadek, gdyby wam kiedyś przyszło do głowy, że możecie się przede mną ukryć. Jeśli kiedykolwiek sprawicie mi kłopoty, odnajdę was, choćbyście nie wiem gdzie się skryli.

- Panie Campbell - odezwał się Fitch, gdy już opanował lęk - proszę nam tylko powiedzieć, jak mamy pomóc, a zrobimy to. Można nam ufać. Nie zawiedzimy pana, przysięgam.

- To prawda - potwierdził Morley. - Fitch ma rację. Adiutant wsunął miecz do pochwy i uśmiechnął się.

- Już jestem z was dumny. Wysoko zajdziecie. Wiedziałem, że okażecie się godni mojego zaufania.

- Tak, panie. Możesz na nas liczyć - powiedział Fitch. Dalton Campbell położył jedną dłoń na ramieniu Fitcha, drugą - na ramieniu Morleya.

- No to świetnie. Słuchajcie uważnie.

- Oto i ona - szepnął Morley Fitchowi na ucho. Chłopak spojrzał tam, gdzie wskazywał przyjaciel, i przytaknął. Morley przysunął się ku ciemnemu otworowi drzwi dla służby, a Fitch przycupnął za baryłkami ustawionymi z boku rampy wyładowniczej. Fitch przypomniał sobie, że wcześniej widział po drugiej stronie drogi Browniego z wózkiem rzeźnika. Otarł dłonie o spodnie. To był dzień pełen ważnych wydarzeń. Rozmawiali o tym i Morley był tego samego zdania. Choć na samą myśl o tym serce Fitcha tłukło się dziko, nie było mowy, żeby chłopak zawiódł zaufanie Daltona Campbella. Morley też tak uważał.

Muzyka płynąca ku Fitchowi z otwartych okien przez gazon - smyczki, rogi i harfa - uderzała mu do głowy i przepełniała go dumą, że został

wybrany przez Daltona Campbella. Należy chronić ministra, przyszłego Suwerena.

Kobieta cicho, lekko wspięła się po czterech stopniach na rampę. Rozejrzała się w mglistym świetle, spojrzała w mroczne cienie i wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. Fitch był zaskoczony, że jest taka ładna. Starsza, lecz miła dla oka. Jeszcze nigdy nie gapił się tak na anderyjską damę jak teraz na nią.

- Claudine Winthrop? - Morley odezwał się grubszym głosem, żeby wyglądać na starszego.

Obróciła się wyczekująco ku przyjacielowi Fitcha, który stał w ciemnych drzwiach.

- Tak, jestem Claudine Winthrop - szepnęła. - Więc dostałeś moją wiadomość?

- Tak - odparł Morley.

- Dzięki niech będą Stwórcy. To ważne, dyrektorze Linscott, bym pomówiła z tobą o ministrze Chanboorze. Utrzymuje, że stoi na straży kultury Anderithu, a tymczasem jest najgorszym człowiekiem i na tym, i na każdym innym stanowisku. Powinieneś posłuchać o jego zepsuciu, nim zaczniesz rozważać jego kandydaturę na Suwerena. Ten łotr wziął mnie siłą, zgwałcił mnie. Ale to jeszcze nic. Dzieje się coraz gorzej. Musisz mnie wysłuchać przez wzgląd na dobro naszego ludu.

Fitch patrzył na jej ładną buzię oświetloną padającym z okien żółtym blaskiem. Dalton Campbell nie uprzedził, że będzie taka ładna. Była starsza, a on zwykle nie myślał o takich, że są ładne. Zdziwiło go, że uznał, iż tak stara lady - miała przynajmniej trzydziestkę - jest atrakcyjna. Głęboko zaczerpnął powietrza, starając się utwierdzić w powziętej przedtem decyzji. Ale nie mógł przestać patrzeć na jej suknię, a właściwie na to, co odsłaniała. Przypomniał sobie owe dwie kobiety na schodach, które rozmawiały o takich strojach jak szata Claudine Winthrop. Jeszcze nigdy nie widział tak obnażonych kobiecych piersi. Aż wytrzeszczył oczy, kiedy poruszyły się, gdy załamała dłonie.

- Nie podszedłbyś bliżej? - szepnęła prosząco ku czekającemu w mroku Morleyowi. - Boję się.

Fitch uświadomił sobie nagle, że teraz kolej na niego. Wyśliznął się zza baryłek i podkraść ku niej cicho, żeby go nie usłyszała. Żołądek zacisnął mu

się w supeł. Otarł zlane potem oczy, bo nic nie widział. Starał się oddychać spokojnie, ale serce wcale go nie słuchało. Musiał to zrobić. Jednak - o drogie duchy - jak przeokropnie się bał.

- Dyrektorze Linscott? - szepnęła ku Morleyowi.

Fitch złapał ją za łokcie i wykręcił do tyłu ręce. Zachłysnęła się oddechem. Zdumiało go, że bez trudu unieruchamia jej ręce, choć szarpała się ze wszystkich sił. Była oszołomiona i przerażona. Morley wyskoczył z ciemności, gdy tylko zobaczył, że Fitch ją trzyma.

Nim zdążyła krzyknąć, Morley z całej siły uderzył Claudine w brzuch. Potężny cios niemal zbił z nóg i ją, i Fitcha.

Claudine Winthrop zgięła się w pół, wymiociny obryzgały rampę. Fitch puścił kobietę. Objęła brzuch ramionami i osunęła się na kolana, gwałtownie wymiotując. Młodzieńcy odsunęli się na wyciągnięcie ręki, a wymiociny brudziły jej suknię i rampę.

Po kilku długich spazmach Claudine rozprostowała się, jakby już jej przeszło, i starała się wstać, z trudem łapiąc oddech. Morley podniósł ją i okręcił. Krzepkimi łapami unieruchomił wykręcone do tyłu ramiona.

Fitch pojął, że teraz on ma okazję, by się wykazać. Teraz on miał sposobność bronić ministra. Żeby Dalton Campbell mógł być z niego dumny.

Uderzył ją w brzuch z taką siłą, na jaką się ośmielił. Nigdy przedtem nikogo nie uderzył, chyba że swoich kolegów, a i to tylko w żartach. Nigdy jednak w ten sposób, z rozmysłem, żeby sprawić komuś ból. Jej brzuch był mały i miękki. Widział, ile bólu jej sprawił. Zemdliło go. Czuł, że i on zaraz zwymiotuje. Tak postępowali jego hakeńscy przodkowie. To właśnie było w nich takie okropne. I w nim też.

Oczy Claudine były szeroko rozwarte z przerażenia, bezskutecznie próbowała zaczerpnąć powietrza, wlepiając w Fitcha oczy jak prosię w rzeźnika. Jak jej anderyjscy przodkowie w jego przodków.

- Mamy ci przekazać wiadomość - odezwał się Fitch. Wcześniej uzgodnili, że to właśnie on będzie mówił. Morley niezbyt dobrze zapamiętał, co mieli powiedzieć Claudine Winthrop. Fitch miał zawsze lepszą pamięć od niego.

Kobieta w końcu odzyskała oddech. Fitch nachylił się i zadał jej trzy ciosy. Szybkie. Mocne. Gniewne.

- Słuchasz?! - warknął.

- Ty mały hakeński draniu...

W odpowiedzi wykorzystał całą swoją siłę. Aż go pięść rozbolała od tego uderzenia. A Morley musiał się cofnąć o krok. Claudine zwisała w uchwycie Morleya i znów zaczęła wymiotować. Fitch pragnął uderzyć ją w twarz, rozkwasić jej usta, lecz Dalton Campbell wyraźnie kazał bić tylko tam, gdzie nie będzie widać śladów.

- Na twoim miejscu drugi raz bym tego nie powtarzał. - Morley złapał kobietę za włosy i szarpnięciem uniósł jej głowę.

Była teraz tak bardzo wygięta do tyłu, że piersi wyskoczyły jej z dekoltu sukni. Fitch zamarł. Zastanawiał się, czy powinien jej poprawić suknię. Gapił się na nią z szeroko otwartymi ustami. Morley pochylił głowę ponad ramieniem Claudine, żeby też sobie popatrzeć. Wyszczrzył się do Fitcha.

Claudine opuściła wzrok i zobaczyła swoje obnażone piersi. Na ten widok odchyliła do tyłu głowę i z rezygnacją zamknęła oczy.

- Nie sprawiaj mi już bólu, proszę - powiedziała, chwytając powietrze uniesionymi ku niebu ustami.

- Teraz już będziesz słuchać? Kiwnęła głową i dodała:

- Tak, panie.

To zdumiało Fitcha nawet bardziej niż jej nagie piersi. Nikt jeszcze, przez całe jego życie, nie powiedział do niego „panie”. Te dwa potulne słowa zabrzmiały w jego uszach tak dziwacznie, że stal i wpatrywał się w nią. Przez chwilę myślał, że z niego drwi. Ale spojrzała mu w oczy i po jej minie poznał, że tak nie jest.

Muzyka budziła w chłopaku nowe, nieznane uczucia. Nigdy wcześniej nie czuł się taki ważny, nigdy wcześniej nikt nie zwrócił się do niego „panie”. Jeszcze tego ranka przezywano go „Fetch”, teraz zaś Anderyjka tytułowała go „panie”. A wszystko dzięki Daltonowi Campbellowi.

Fitch znów uderzył ją w brzuch. Bo tak mu się spodobało.

- Błagam cię, panie! - krzyknęła. - Już nie! Powiedz, czego chcesz. Zrobię to. Jeżeli mnie chcesz, to ci się oddam, ale już mnie nie bij. Dobrze, panie?

Chociaż Fitcha wciąż mdliło z powodu tego, co robił, jednocześnie czuł się ważniejszy niż kiedykolwiek. Z powodu Anderyjki ukazującej mu swoje piersi i mówiącej do niego „panie”.

- A teraz posłuchaj, ty brudna, mała suko.

Jego słowa zaskoczyły zarówno Fitcha, jak i kobietę. Nie planował, że je

wypowie. Same popłynęły. Ale mu się spodobały.

- Tak, panie - załkała. - Dobrze. Posłucham. Wszystkiego, co powiesz.

Wyglądała tak bezradnie, tak załośnie. Gdyby przed niecałą godziną jakaś Anderyjka, nawet ta Claudine Winthrop, kazała mu paść na kolana i wylizać do czysta podłogę, zrobiłby to, trzęsąc się przy tym przeraźliwie. Nawet sobie nie wyobrażał, że to pójdzie tak łatwo. Kilka ciosów i już obiecywała, że zrobi, co jej każe. Nawet nie podejrzewał, że tak łatwo jest być kimś ważnym i rozkazywać ludziom, co mają robić.

Fitch przypomniał sobie, co kazał mu powiedzieć Dalton Campbell.

- Wdzięczyłaś się do ministra, no nie. Prowokowałaś go. - Postarał się to tak wypowiedzieć, by nie brzmiało jak pytanie.

- Tak, panie.

- Pożałujesz, jeśli jeszcze raz spróbujesz komuś powiedzieć, że minister cię zgwałcił. Powtarzanie takich kłamstw to zdrada. Załapałaś? Zdrada. A śmierć jest karą za zdradę. Jak odnajdą twoje ciało, to nikt cię nie pozna. Rozumiesz, suko?! Znajdą twój ozór przybity do drzewa. To łgarstwo, że minister cię zgwałcił. Ohydne, zdradzieckie łgarstwo. Powtórz to jeszcze raz, a nacierpisz się, zanim umrzesz.

- Tak, panie - zaszlochała. - Już nigdy nie skłamię. Przepraszam. Wybacz mi, błagam. Przysięgam, że już nigdy nie skłamię.

- Prowokowałaś ministra, wdzięczyłaś się do niego. Ale minister jest zbyt porządny, żeby mieć romans z tobą albo z jakąś inną. Odepchnął cię. Odmówił ci.

- Tak, panie.

- Nie stało się nic zdrożnego. Jasne? Minister nigdy nie zrobił niczego zdrożnego ani z tobą, ani z żadną inną.

- Tak, panie - zatkała przeciągle ze zwieszoną głową.

Fitch wyciągnął z jej rękawa chusteczkę. Otarł jej oczy. Nawet w mglistym świetle wyraźnie widział, jak łkania i wymioty zniszczyły jej makijaż.

- Przestań beczeć. Całkiem zmarnowałaś sobie te malunki. Lepiej wracaj do siebie i doprowadź się do porządku, zanim pójdziesz na ucztę.

Pociągnęła nosem, starając się pohamować łzy.

- Nie mogę tak pójść na ucztę. Zniszczyłam sobie suknię. Nie mogę iść.

- Możesz i pójdziesz. Doprowadź twarz do porządku i zmień suknię.

Musisz wrócić. Ktoś będzie obserwował, czy się pojawisz, czy dostałaś wiadomość. Jeżeli znów zrobisz błąd, to łkniesz jego miecz.

- Kto... - zaczęła z oczami rozszerzonymi paniką.

- To nie ma znaczenia. To cię nie powinno obchodzić. Ważne jest tylko to, że dostałaś wiadomość i rozumiałaś, co się stanie, jak choć raz powtórzysz swoje ohydne łgarstwa.

- Rozumiem. - Skinęła głową.

- Panie - powiedział Fitch, a ona ściągnęła brwi. - Zrozumiałam, panie!

Przycisnęła się plecami do Morleya.

- Zrozumiałam, panie. Tak, panie. Naprawdę rozumiem.

- To dobrze - stwierdził Fitch.

Spojrzała na siebie. Wargi jej drżały. Płakała.

- Mogę poprawić sukienkę, panie?

- Jak powiem wszystko.

- Tak, panie.

- Byłaś na spacerze. Z nikim nie rozmawiałaś. Rozumiesz? Z nikim. Od teraz masz zamknąć gębę na temat ministra, bo jak ją jeszcze raz otworzysz, to miecz podetnie ci gardło. Pojęłaś?

- Tak, panie.

- To dobrze. - Fitch dał jej znak gestem. - Popraw tę suknię.

Morley zaglądał jej przez ramię, kiedy upychała piersi w dekolt. Fitch wcale nie uważał, że tak głęboko wycięta suknia dobrze je zakryje, ale na pewno sprawiało mu przyjemność patrzeć na to, jak Claudine poprawia strój. Nie sądził, że kiedykolwiek coś takiego zobaczy. A zwłaszcza w wykonaniu Anderyjki. Po sposobie, w jaki się wyprostowała i zachłysnęła, Fitch zorientował się, że Morley zrobił jej coś od tyłu, pod sukienką. On sam też chętnie zrobiłby coś takiego, ale przypomniał sobie Daltona Campbella. Złapał Claudine Winthrop za ramię i odciągnął o kilka kroków.

- A teraz zmykaj.

Pospieszenie zerknęła na Morleya, a potem na Fitcha.

- Tak, panie. Dziękuję. - Dygnęła pospiesznie. - Dziękuję, panie.

I już bez dalszych słów uniosła lekko dłonią spódnicę, zbiegła ze stopni i pobiegła przez gazon w noc.

- Czemuś ją odesłał? - spytał Morley. Wsparł się dłonią pod bok. - Mogliśmy się z nią zabawić. Musiałaby zrobić, co byśmy jej kazali. A nie

byłem od tego daleki, jakem się napatrzył na to, co ma.

Fitch nachylił się ku swemu niezadowolonemu przyjacielowi.

- Bo pan Campbell wcale nie powiedział, że możemy coś takiego zrobić. Oto dlaczego. Pomagaliśmy panu Campbellowi, to wszystko. Nic więcej.

Morley skrzywił się.

- Pewnie. - Obejrzał się na stertę drewna. - Zostało nam jeszcze sporo do wypicia.

Fitch pomyślał o strachu widocznym na twarzy Claudine Winthrop. Ojej płaczu i szlochu. Wiedział, rzecz jasna, że Hakenki płaczą, ale nawet nie wyobrażał sobie, że Andeiijki też mogą płakać. Nie wiedział, dlaczego nigdy o tym nie pomyślał, lecz naprawdę nie przyszło mu to wcześniej do głowy.

Minister był Anderyjczykiem, więc Fitch sądził, że właściwie nie mógł zrobić niczego złego. Sama musiała się o to prosić, z tą swoją wydekoltowaną suknią i wdzięczeniem. Przecież widział, jak mnóstwo kobiet wdzięczyło się do ministra. Jakby się radowały, gdyby je wziął.

Przypomniał sobie Beatę siedzącą na podłodze i płaczącą. Pomyślał o cierpieniu rysującym się na jej twarzy tam, na górze, po tym jak minister wyrzucił ją, kiedy już z nią skończył.

O tym, jak go z całej siły uderzyła.

To już było za dużo do przemyślenia. Chciał się tylko upić do nieprzytomności.

- Słusznie. Napijmy się. Mamy co świętować. Tego wieczoru staliśmy się ważnymi ludźmi.

Objęli się za ramiona i ruszyli ku butelce.



## ROZDZIAŁ 20

- Noo, coś takiego - szepnęła Teresa.

Dalton spojrział w tę samą stronę: Claudine Winthrop przeciskała się przez tłum gości. Ubrana była w suknię, którą widział już wcześniej, gdy pracował w mieście - w starą suknię o skromniejszym kroju. Nie tę, którą miała na sobie na początku tego wieczoru. Podejrzewał, że pod warstwą różowego pudru jej twarz była zupełnie szara, a pozorny spokój skrywał przerażenie i podejrzliwość.

Mieszkańcy Fairfield z podziwem rozglądali się dokoła. Próbowali wszystko dokładnie zapamiętać, żeby móc potem opowiedzieć przyjaciółom o wspaniałym przyjęciu w posiadłości Ministra Spraw Duchowych. Zaproszenie do posiadłości było wielkim zaszczytem, więc starali się nie przeoczyć żadnego szczegółu. Szczegóły odgrywały ważną rolę w przechwałkach.

Pomiędzy cennymi kobiercami o nasyconych barwach widać było skomplikowane wzory posadzki. Pod stopami czuło się puszystą miękkość. Dalton zgadywał, że na draperie okalające wysokie okna z barwnych szybek, które umieszczono po obu stronach komnaty, zużyto tysiące jardów najwspanialszej tkaniny. Niektóre kobiety nie mogły się powstrzymać i sprawdzały palcami jej fakturę. Brzegi błękitnych i pszenicznych zasłon zdobiły różnokolorowe frędzle wielkości pięści Campbella. Ludzie patrzyli z podziwem na smukłe kolumny podtrzymujące kroksztyn sklepienia komnaty. Łukowato wygięty strop pokrywały mahoniowe płyciny i także kratownica - wyglądały jak starannie oszlifowane zakończenia kłińców sklepienia.

Dalton przytknął do ust cynowy kielich i pociągnął łyk najlepszego wina z doliny Nareef. Blask lamp i świec sprawiał, że wszystko jaśniało. Kiedy pierwszy raz się tu zjawił, musiał użyć całej siły woli, żeby nie gapić się tak jak ci mieszkańcy miasta. Obserwował, jak Claudine Winthrop przesuwa się wśród odświętnie ubranych gości, to ściskając czyjąś dłoń, to dotykając czyjś łokcia, witając się, uśmiechając z przymusem i odpowiadając na pytania, których Dalton nie słyszał. Wiedział, że musi być ogromnie wstrząśnięta, a przecież potrafiła nad sobą zapanować i właściwie się

zachowywać. Wszak nie była kimś mało ważnym, lecz żoną bogatego przedsiębiorcy, którego hurtownicy i kupcy zbożowi wybrali na swojego przedstawiciela. Kiedy ludzie orientowali się, że mąż Claudine mógłby być jej dziadkiem, sądzili zazwyczaj, że była jego zabawką. Mylili się jednak.

Mąż Claudine, Edwin Winthrop, zasłynął jako plantator sorga rozpowszechnionego w południowym Andericie. Mądrze i z korzyścią inwestował każdy grosz zarobiony na sprzedaży produkowanej przez siebie melasy. Sam skąpił zaś sobie wszystkiego, od lepszych ubrań i wygód życiowych począwszy, na żonie i rodzinie skończywszy. Za zaoszczędzone pieniądze kupował inwentarz, który karmił wytłoczynami sorgo. Sprzedaż utuczonych w ten sposób zwierząt dawała dochód, za który kupował kolejne partie inwentarza i wyposażenie destylarni, dzięki czemu mógł sam produkować rum, zamiast jedynie sprzedawać melasę. Handlując swoim rumem, zarobił tyle, że zdołał wydzierżawić więcej ziemi, dokupić bydła oraz nabyć budynki i wyposażenie do produkcji jeszcze większej ilości rumu, a z czasem również magazyny i wozy do transportu swoich produktów. Rum destylowany na farmach Winthropa sprzedawano od Renwoldu po Nikobareję, od Fairfield po Aydindril. Robił wszystko sam, a właściwie miał własnych najemnych robotników: uprawiał sorgo, następnie wytłaczał je, destylował i rozprowadzał rum. Hodował bydło i dostarczał mięso jatkom. Dzięki temu miał niskie koszty własne i zgromadził fortunę. Edwin Winthrop był człowiekiem oszczędnym, uczciwym i lubianym. Ożenił się dopiero wtedy, kiedy się wzbogacił. Claudine, wykształcona córka kupca zbożowego, nie miała jeszcze dwudziestu lat, kiedy przed ponad dziesięcioma laty wyszła za Edwina. Prowadziła jego rachunki i księgi i dbała o każdy grosz równie troskliwie jak jej mąż. Była jego niezastąpioną prawą ręką - podobnie jak Dalton był prawą ręką ministra. Z pomocą żony prywatne imperium Edwina rozrosło się w dwójnasób. Winthrop nawet w małżeństwie wybrał mądrze i roztropnie. Człowiek, który - jak się wydawało - nigdy nie szukał osobistych przyjemności, właśnie sobie na nie pozwolił. Claudine była równie pociągająca jak pracowita.

Kiedy kupcy wybrali Edwina na swojego przedstawiciela we władzach, Claudine stała się dla niego użyteczna także w sprawach jurystycznych, pomagając za kulisami redagować przepisy handlowe, które proponował. Dalton podejrzewał, że to właśnie ona podsuwała je najpierw mężowi. A

kiedy go nie było, dyskretnie proponowała te przepisy w jego imieniu. Nikt z tych, którzy ją znali, nie uważał jej za zabawkę.

Może z wyjątkiem Bertranda Chanboora. Ale on traktował tak wszystkie kobiety. A przynajmniej te atrakcyjne.

Dalton Campbell widywał wcześniej, jak Claudine się rumieni, trzepoce rękami i nieśmiało uśmiecha się do ministra. Ten uważał przesadną kobiecą skromność za kokieterię. Może tylko niewinnie flirtowała z ważnym człowiekiem lub pragnęła względów, których mąż nie mógł jej zapewnić - w końcu nie miała dzieci. A może przebiegle chciała uzyskać od ministra jakieś przywileje, lecz później przekonała się, że nic z tego nie będzie.

Claudine Winthrop nie była głupia. Wprost przeciwnie, była inteligentna i pomysłowa. Dalton nie wiedział, jak to się zaczęło - Bertrand Chanboor zaprzeczał, że jej dotknął, zresztą zawsze wszystkiemu zaprzeczał - lecz w tej chwili nie miało to już znaczenia. Jako że chciała spotkać się potajemnie z dyrektorem Linscottom, nie było już mowy o uprzejmych negocjacjach. Teraz pozostawało jedynie zastosowanie brutalnej przemocy.

- Chyba się myliłaś, Tereso. - Dalton skinął kielichem ku Claudine. - Nie każda kobieta nosi taką wydekoltowaną suknię. A może Claudine jest skromna.

- Nie, to na pewno coś innego. - Żona adiutanta była naprawdę zdumiona. - Wcześniej była w innej sukni, kochanie. Ale dlaczego się przebrała? I to jeszcze w starą suknię?

Campbell wzruszył ramionami.

- Może to sprawdzimy? Tyją wypytasz. Moja ciekawość w tych sprawach byłaby nie na miejscu.

Teresa spojrzała na niego pytająco. Znała męża na tyle, by poznać, że coś się dzieje. Poza tym była wystarczająco dobrze poinformowana, żeby zagrać rolę, którą jej wyznaczył. Uśmiechnęła się i ujęła go pod ramię. Żona Winthropa nie była jedyną inteligentną i pomysłową kobietą wśród obecnych w posiadłości.

Claudine drgnęła, kiedy Teresa dotknęła jej ramienia. Spojrzała na nich przelotnie i skrzywiła się w uśmiechu.

- Dobry wieczór, Tereso - powiedziała i dygnęła przed Daltonem. - Panie Campbell.

Teresa pochyliła się ku niej zatroskana.

- Co się stało, Claudine? Źle wyglądasz. No a twoja sukienka... pamiętam, że przyszedłaś w innej.

- Nic mi nie jest. - Kobieta wsunęła za ucho pukiel włosów. - Po prostu... jestem trochę zdenerwowana. No i ci wszyscy goście. Czasami tłumy źle na mnie działają. Wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza. W ciemnościach trafiłam stopą w jakąś dziurę i przewróciłam się.

- O drogie duchy. Może chciałabyś usiąść? - odezwał się Dalton, ujmując jej łokieć, jakby chciał ją podtrzymać. - Pozwól, że usadwię cię w fotelu.

- Nie. - Zaparła się w miejscu. - Nic mi nie jest. Lecz dziękuję za troskę. Zabrudziłam suknię i musiałam się przebrać. Dlatego jestem w innym stroju. Nic mi się jednak nie stało.

Campbell cofnął się, a ona zerknęła na jego miecz. Widział, jak przyglądała się wielu mieczom, kiedy wróciła do komnaty...

- Wyglądasz, jakby coś...

- Nie. Uderzyłam się w głowę, dlatego mam taką minę. Nic mi nie jest. To mną trochę wstrząsnęło - upierała się.

- Rozumiem - powiedział ze współczuciem adiutant ministra. - W takich przypadkach uświadamiamy sobie, jakie krótkie może być życie. Że możemy - pstryknął palcami - w każdej chwili odejść.

Claudine zadrżały wargi. Przełknęła ślinę i dopiero wtedy powiedziała:

- Tak. Pojmuję, co masz na myśli. Ale czuję się już lepiej. Wróciłam do równowagi.

- Naprawdę? Nie jestem o tym przekonany. Teresa trąciła męża.

- Ależ, Daltonie, nie widzisz, jak biedaczka jest wstrząśnięta? - Trąciła go ponownie. - Zajmij się swoimi sprawami, a ja zatroszczę się o biedną Claudine.

Dalton skłonił się i odszedł, dając Teresie okazję, by dowiedziała się jeszcze czegoś. Był zadowolony z obu młodych Hakenów. Wyglądało na to, że wystraszyli ją jak sam Opiekun. Chwiejny krok Claudine dowodził, że przekazali wiadomość w sposób, jaki im zalecił. Brutalność zawsze ułatwiała ludziom zrozumienie pouczeń. Campbella ucieszyła świadomość, że właściwie ocenił Fitcha. Poznał to po wyrazie oczu chłopaka, który patrzył na miecz. Claudine spoglądała na miecz Campbella z przerażeniem, Fitch natomiast - pożądliwie. Chłopak miał aspiracje. Morley też był użyteczny, ale przede wszystkim ze względu na siłę mięśni. W głowie zresztą też miał

głównie mięśnie. Fitch lepiej pojmował polecenia, a przy swojej gorliwości będzie o wiele użyteczniejszy niż tamten. Poza tym byli na tyle młodzi, że nawet nie zdawali sobie sprawy ze swojej niewiedzy.

Dalton uściskał dłoń człowieka, który wylewnie gratulował mu nowego stanowiska. Zrobił uprzejmą minę, lecz ani nie zapamiętał nazwiska rozmówcy, ani w gruncie rzeczy nie słyszał wygłaszanych przez niego pochwał. Całą jego uwagę pochłaniało coś innego.

Dyrektor Linscott kończył właśnie rozmowę z krępy męczyzną. Dyskutowali o podatkach za pszenicę składowaną w magazynach tamtego. Naprawdę poważna sprawa, jeśli wziąć pod uwagę wielkie składy ziarna w Andericie. Campbell uprzejmie uwolnił się od nieznanego i zbliżył do dyrektora. Kiedy Linscott odwrócił się, adiutant uśmiechnął się doń serdecznie i uściskał jego dłoń, zanim tamten zdążył ją cofnąć. A Dalton miał krzepki chwyt - jego dłonie były wciąż jeszcze zgrubiałe od wykonywanej niegdyś ciężkiej pracy.

- Ogromnie jestem rad, dyrektorze Linscott, że mógł się pan pojawić na uczcie. Mam nadzieję, że miło spędza pan czas. Minister pragnąłby omówić wiele spraw.

Dyrektor Linscott - wysoki, żylasty mężczyzna o twarzy ogorzałej od słońca, który wyglądał tak, jakby go nieustannie bolały zęby - nie odwzajemnił uśmiechu. Czterej najstarsi dyrektorzy byli mistrzami gildii. Jeden był z gildii tkaczy, drugi z gildii wytwórców papieru, trzeci był zbrojmistrzem, a Linscott - mistrzem gildii kamieniarzy. Większość pozostałych dyrektorów stanowili szanowani bankierzy i hurtownicy, był też wśród nich doradca prawny i adwokaci.

Surdut dyrektora miał niemodny fason, lecz był znakomicie utrzymany, a ciepła brązowa barwa dobrze pasowała do siwych włosów Linscotta. Miecz też był stary, ale mosiężne okucia na skórzanej pochwie lśniły. A srebrny emblemat kamieniarzy - cyrkiel - wspaniale błyszczał na tle ciemnej skóry. Klinga z pewnością była w równie znakomitym stanie.

Linscott nie onieśmiał rozmyślnie ludzi - to działo się zupełnie bezwiednie, instynktownie. Przypominał pod tym względem niedźwiedzicę z młodymi, która instynktownie staje się nerwowa i niebezpieczna. A on uważał mieszkańców Anderithu - uprawiających ziemię, zarzucających sieci czy parających się handlem - za swoje młode.

- Tak, słyszałem pogłoski o wielkich planach ministra. Słyszałem, że zamierza zlekceważyć zalecenia Matki Spowiedniczki i zerwać z Midlandami - rzekł.

Campbell rozłożył ręce.

- Nie wiem, czy nie zdradzę tajemnicy, jeśli powiem, że minister Chanboor zamierza uzyskać dla naszego ludu jak najlepsze warunki. Nie mniej i nie więcej. Weźmy na przykład ciebie. Co byłoby, gdybyśmy istotnie poddali się nowemu lordowi Rahlowi i przyłączyli do imperium D'Hary? Ów lord Rahl zarządził, że wszystkie krainy, w przeciwieństwie do naszego sojuszu z Midlandami, muszą zrezygnować ze swojej suwerenności. Przypuszczam, że oznacza to, iż nie potrzebowalibyśmy już dyrektorów Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni.

Spalona słońcem twarz Linscotta poczerwieniała z gniewu.

- Tu nie chodzi o mnie, Campbell. Tu chodzi o wolność ludów Midlandów. O ich przyszłość. O to, żebyśmy nie zostali wchłonięci i obrócenii w niewolników przez rozszalały Imperialny Ład, który pragnie podbić całe Midlandy. Ambasador Anderithu przekazał słowa lorda Rahla, że co prawda wszystkie krainy muszą mu się poddać i złączyć pod jedną władzę i jednym prawem, lecz każda z nich, o ile nie złamie wspólnego dla wszystkich prawa, będzie mogła zachować własną kulturę. Lord Rahl obiecał również, że jeśli w wyznaczonym terminie przychylimy się do jego prośby, będziemy uczestniczyć w ustalaniu tego wspólnego prawa. Matka Spowiedniczka poparła lorda Rahla.

Dalton z szacunkiem skłonił głowę przed dyrektorem.

- Obawiam się, że mylnie pojąłeś stanowisko ministra, panie. Zaproponuje Suwerenowi, byśmy postąpili zgodnie z radą Matki Spowiedniczki, o ile będzie szczerze przekonany, że to najlepsze dla naszego ludu. W końcu chodzi tu o naszą kulturę. Minister nie zamierza przedwcześnie opowiadać się po żadnej ze stron. Imperialny Ład może zaoferować lepsze nadzieje na pokój. Bertrand Chanboor pragnie wyłącznie pokoju.

Od gniewnej twarzy dyrektora wiało chłodem.

- Niewolnicy mają pokój.

Campbell przybrał niewinną, bezradną minę.

- Nie dorównuję ci w celnych ripostach, dyrektorze.

- Wygląda na to, Campbell, żeś gotów sprzedać własną kulturę za czcze obietnice hordy najeźdźców, którzy mają tylko jeden cel: podbój. Zapytaj sam siebie, z jakiego to innego powodu zjawili się tutaj nie zapraszani? Jak możesz tak spokojnie głosić, że rozważasz wbicie noża w serce Midlandów? Co z ciebie za człowiek, Campbell, że po tym, co oni dla nas zrobili, odtrącasz radę i namowy naszej Matki Spowiedniczki?!

- Sądzę, dyrektorze... Linscott potrząsnął pięścią.

- Nasi przodkowie, którzy daremnie walczyli z hordami Hakenów, bez wątpienia przewracają się teraz w grobach, słysząc, jak beztrosko rozważasz przehandlowanie ich poświęcenia i naszego dziedzictwa.

Dalton pozwolił, żeby Linscott usłyszał swoje słowa dźwięczące w ciszy, która zapadła między nimi. Właśnie na to czekał.

- Wiem, dyrektorze, że szczerze kochasz nasz lud i niezłomnie pragniesz go chronić. Żałuję, że moje, tożsame z twoimi zamiary uważasz za nieszczerze. - Skłonił się uprzejmie. - Życzę udanej reszty wieczoru.

Spokojne przyjęcie takiej zniewagi stanowiło szczyt kurtuazji.

Co więcej, dowodziło, że ten, kto potrafił tak znieważyć, znalazł się poza starożytnym kodeksem honorowym Anderyjczyków.

Twierdzono, że wyłącznie Hakeni tak okrutnie poniżają Anderyjczyków.

Campbell - z najwyższym szacunkiem dla tego, który go znieważył - odwrócił się, jakby go poproszono o odejście, jakby go odprawiono. Jakby go upokorzył hakeński suzeren.

Dyrektor zawołał go. Adiutant zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

Dyrektor Linscott poruszał wargami, ćwiczył rzadko wypowiedane kurtuazyjne słowa.

- Pamiętam cię, Daltonie, z czasów, kiedy pracowałeś u sędziego w Fairfield. Zawsze uważałem cię za człowieka mającego zasady moralne. I teraz też jestem tego zdania.

Campbell odwrócił się ku niemu powoli, sprawiając wrażenie, że gotów jest przyjąć kolejną obelgę, gdyby tamten znów zechciał wypowiedzieć raniące słowa.

- Dziękuję, dyrektorze Linscott. Te słowa wiele znaczą, jeśli wypowiada je ktoś tak godny szacunku jak ty.

Linscott niedbale machnął ręką. Wyglądało na to, że dalej szuka uprzejmych słów po ciemnych, zasnutych pajęczynami zakamarkach

pamięci.

- No i dlatego jakoś nie potrafię pojąć, jak człowiek z takimi zasadami mógł pozwolić, by jego żona tak wystawiała na pokaz swoje cycuszki.

Dalton uśmiechnął się. Jeśli nie same słowa, to ich ton z pewnością był pojednawczy. Podszedł do dyrektora. Po drodze niedbałym ruchem wziął z tacy kielich wina i podał go rozmówcy. Linscott przyjął kielich i skinął głową. Campbell porzucił oficjalny ton i odezwał się tak, jakby byli kolegami z młodości.

- Prawdę mówiąc, zupełnie się z tobą zgadzam. Sprzeczailiśmy się o to z żoną, zanim tu przyszliśmy. Upierała się, że teraz taka moda. Trwałem przy swoim i jako mąż, surowo zakazałem jej noszenia takiej sukni.

- Więc dlaczego w niej przyszła? Dalton westchnął ze znużeniem.

- Bo jej nie zdradzam. Linscott przekrzywił głowę.

- Rad słyszę, że nie praktykujesz nowych obyczajów, które dopuszczają folgowanie sobie, ale nie rozumiem, co jedno ma wspólnego z drugim.

Campbell pociągnął łyk wina. Linscott poszedł za jego przykładem.

- Hmm, skoro jej nie zdradzam, to jestem pozbawiony igraszek w łóżu, jeśli zwyciężę w każdej sprzeczce.

Na twarzy dyrektora pierwszy raz pojawił się uśmieszek.

- Rozumiem, co masz na myśli.

- Tutejsze młode kobiety ubierają się nader wyzywająco. Byłem tym zaszokowany, kiedy zacząłem pracować dla ministra. Żona jest młoda, nie chce się od nich różnić, chce znaleźć przyjaciółki. Obawia się, że mieszkanki posiadłości będą jej unikać. Rozmawiałem na ten temat z ministrem, a on zgodził się, że damy nie powinny się tak wystawiać na pokaz, lecz nasze obyczaje dają kobietom prawo decydowania o własnych strojach. Minister i ja zamierzamy znaleźć sposób na to, żeby moda stała się skromniejsza.

Linscott z aprobatą skinął głową.

- I ja mam żonę, i również jej nie zdradzam. Cieszę się, słysząc, że jesteś jednym z niewielu, którzy hołdują dawnym poglądom. Poglądom mówiącym, że przysięga jest nienaruszalna, a wierność małżonkowi to rzecz święta. Prawy z ciebie człowiek.

W kulturze duchowej Anderithu przywiązywano wielką wagę do honoru, do uroczystej przysięgi, do dotrzymywania danego słowa. Jednak Anderith się zmieniał. Przedmiotem ogólnej troski stawał się fakt, że w ciągu



ostatnich kilku dziesięcioleci tak wielu lekceważyło więzy moralne. W eleganckim świecie rozwiązłość nie tylko akceptowano, ale wręcz jej oczekiwano.

Dalton spojrział na Teresę, potem na dyrektora i znów na Teresę. Wykonał zapraszający gest.

- Czy mógłbym cię przedstawić mojej uroczej żonie, dyrektorze? Poczytałbym to sobie za osobistą przysługę, gdybyś zechciał wykorzystać swój dar przekonywania na rzecz obyczajności. Jesteś bardzo szanowanym człowiekiem i twoje słowa miałyby moralną powagę, której brak moim. Żona uważa, że przemawiam jak zazdrosny mąż.

- Oczywiście, jeśli sprawi ci to przyjemność - odparł po krótkim namyśle Linscott.

Teresa zachęcała Claudine, żeby napiła się nieco wina, i pocieszała ją. Dalton podprowadził dyrektora ku obu kobietom.

- Tereso, Claudine, chciałbym wam przedstawić dyrektora Linscotta.

Teresa uśmiechnęła się do mężczyzny, kiedy musnął ustami jej dłoń, Claudine zaś wbiła wzrok w podłogę, gdy przywitał ją w ten sam sposób. Sprawiała wrażenie, jakby niczego nie pragnęła bardziej, niż rzucić mu się w ramiona i błagać o ochronę lub też uciec najszybciej, jak by zdołała. Dłoń Daltona, wsparta uspokajająco na jej ramieniu, zapobiegła obu tym możliwościom.

- Tereso, kochanie, właśnie omawialiśmy z dyrektorem sprawę kobiecych sukien i mody w kontekście dobrych obyczajów.

Żona Campbella nachyliła się ku dyrektorowi, jakby chciała mu się zwierzyć.

- Jeśli chodzi o moje stroje, mąż jest taki staromodny. A co pan o tym sądzi, dyrektorze Linscott? Aprobuje pan moją suk-mę?

Uśmiechnęła się z dumą. - Podoba się panu? Linscott jedynie przelotnie oderwał wzrok od oczu Teresy.

- Całkiem ładna, moja droga. Całkiem ładna.

- Widzisz, Daltonie? Mówiłam ci. Moja suknia jest o wiele skromniejsza niż stroje innych. Cieszę się, że zaaprobował ją ktoś tak szanowany jak pan, dyrektorze Linscott.

Zwróciła się ku przechodzącemu obok podczaszemu po pełny kielich, a Dalton spytał wzrokiem Linscotta, dlaczego ten mu nie pomógł. Dyrektor

wzruszył ramionami i pochylił się do ucha Campbella.

- Twoja żona jest uroczą, pełną wdzięku kobietą. Nie mogłem jej poniżyć i rozczarować - szepnął.

Adiutant teatralnie westchnął.

- Dokładnie tak samo jak ja. Linscott wyprostował się uśmiechnięty.

- Dyrektorze - odezwał się już poważniej Campbell - obecna tu Claudine miała wcześniej straszny wypadek. Potknęła się podczas spaceru i mocno potłukła.

- Drogie duchy. - Linscott ujął jej dłoń. - Bardzo się pokaleczyłaś, moja droga?

- To nic takiego - wymamrotała w odpowiedzi lady Winthrop.

- Znam Edwina od wielu, wielu lat. Jestem przekonany, że twój mąż nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli odprowadzę cię do twoich komnat. Oprzyj się na moim ramieniu, a bezpiecznie zaprowadzę cię do łóżka.

Dalton Campbell przyglądał się Claudine sponad kielicha, z którego popijał wino. Omiotła wzrokiem komnatę. Czytał w jej oczach, jak bardzo pragnęła przyjąć tę propozycję. Byłaby bezpieczna. Linscott był potężny i wzięłby ją pod swoją opiekę. Ta próba powie adiutantowi to, co chciał wiedzieć. I w gruncie rzeczy wcale nie niosła ze sobą dużego ryzyka. W końcu ludzie znikali bez śladu. Jednak pewne ryzyko istniało. Czekał, aż Claudine powie mu, jaki obrót to przybierze. I w końcu powiedziała.

- Dziękuję za troskę, dyrektorze Linscott, ale nic mi nie jest. Tak się cieszyłam na tę ucztę, na spotkanie z gośćmi. Nie mogłabym odżałować, że to straciłam i nie słyszałam, jak przemawia nasz Minister Spraw Duchowych.

Linscott upił wina.

- Od kiedy Edwin został wybrany do władz, nie szczędziłaś wysiłku, pracując z nim nad nowymi prawami. Pracowałaś razem z ministrem. Co o nim sądzisz? - Podkreślił swoje pytanie gestem. - Chcę usłyszeć twoją prawdziwą opinię o tym człowieku.

Claudine łyknęła wina. Musiała uspokoić oddech. Zapatrzyła się przed siebie i powiedziała:

- Minister Chanboor jest człowiekiem honoru. Jego działalność była korzystna dla Anderithu. Był przychylny prawom, które zaproponował Edwin. - Znów łyknęła wina. - Mamy szczęście, że Bertrand Chanboor jest

naszym Ministrem Spraw Duchowych. Nie potrafię sobie wyobrazić, by ktoś inny mógł dokonać tego wszystkiego co on.

Linscott uniósł brew.

- To znacząca pochwała, zwłaszcza że padła z ust kobiety, która cieszy się tak dobrą sławą jak ty. Wszyscy wiemy, że ty, Claudine, odegrałaś w uchwaleniu owych praw równie doniosłą rolę jak Edwin.

- To zbytnia uprzejmość - wymamrotała, wpatrując się w kielich. - Jestem jedynie żoną ważnego człowieka. Gdybym dziś skrzyła kark, szybko by o mnie zapomniano i niedługo za mną tęskniono. Edwin natomiast będzie długo poważany.

Linscott patrzył zdumiony na czubek jej głowy.

- Claudine się nie docenia - powiedział Dalton, który dostrzegł seneszała. Mężczyzna, odziany w czerwony frak przepasany wielobarwną szarfą, otwierał dwuskrzydłowe drzwi. Za drzwiami czekały na gości misy, a w nich płatki róż, żeby mogli obmyć ręce. Spytał dyrektora: - Wiesz, jak sądzę, kto będzie tego wieczoru honorowym gościem?

- Honorowym gościem? - Linscott zmarszczył brwi.

- Wysłannik Imperialnego Ładu. Pełniący wysoką funkcję człowiek nazwiskiem Stein. Przybył, żeby przekazać nam słowa imperatora Jaganga. - Dalton ponownie upił wina. - Suweren też się pojawił, żeby wysłuchać jego słów.

Linscott westchnieniem skwitował te doniosłe wieści. Teraz już wiedział, dlaczego i jego, i pozostałych dyrektorów zaproszono na ucztę, którą uważali za całkiem zwyczajną. Suweren, dla własnego bezpieczeństwa, rzadko kiedy obwieszczał wcześniej swoje przybycie. Zjawiał się z własną gwardią i służbą.

Rozpromieniona Teresa uśmiechnęła się do Daltona, nie mogąc się już doczekać tak ważnych wydarzeń. Claudine patrzyła w podłogę.

- Damy i panowie - oznajmił seneszał - podano do stołu.

## ROZDZIAŁ 21

Rozłożyła szeroko skrzydła i głębokim głosem zaśpiewała ponure strofy opowieści daleko starszej niż mity:

Z krainy śmierci przybyły istoty, przybyły lodowe piękności.

Przybyły po łup swój, na służbę ponurą złodziejki magicznych zdolności.

Trzykrotny dźwięk dzwonów przywołał śmierć.

Powabnych kształtów, choć z rzadka widziane, na iskrze wiatr niesie je w skok.

To nową królową żywią gałązkami, to zaś nawiedzają mrok.

Trzykrotny dźwięk dzwonów przywołał śmierć.

Jednych całują, innych przywołują, płynąc na rzece, na wzburzonej fali wód.

Uparcie głoszą, że dotkniętym przez nie grób przypada, ciemny grób.

Trzykrotny dźwięk dzwonów przywołał śmierć.

Grasują, polując, i tańczą gromadnie, by spełnić swe mroczne pragnienie, zły czar rzucają, w cudny trans wprawiają, a potem sycą nowe królowej płomienie.

Trzykrotny dźwięk dzwonów przywołał śmierć.

Aż wodospad osuszył i trzykrotnie zabrzmiały dzwony, aż wezwanie wygłosił i domagał się ceny.

Trzykrotny dźwięk dzwonów i śmierć starła się z Górą.

Czarowały i wabiły, i omotać próbowały, lecz w Grace przyzwał je i duszę dostały.

Dzwony umilkły i Góra je zabił.

I Góra pogrzebał je.

Młoda kobieta zakończyła swą uroczną pieśń niezwykle długą nutą. Słuchacze nagrodzili ją oklaskami.

Był to archaiczny poemat Josepha Andera, i tylko z tego powodu go ceniono. Dalton Campbell przejrzał kiedyś stare teksty, próbując dowiedzieć się czegoś o znaczeniu pieśni, lecz jego poszukiwania nie dały rezultatów. Poza tym istniało wiele wersji owej pieśni. Był to jeden z tych utworów, których właściwie nikt nie pojmował, lecz wszyscy je cenili, bo najwyraźniej opowiadały o jakimś triumfie jednego z czcigodnych założycieli ich

ukochanej krainy. Z szacunku dla tradycji śpiewano tę niesamowitą pieśń przy szczególnych okazjach.

Z jakiegoś powodu Daltonowi wydało się, że słowa poematu znaczą teraz dla niego więcej niż kiedykolwiek przedtem. Niemal pojął ich sens. Lecz jego umysł zajął się innymi sprawami i to uczucie zniknęło.

Pieśniarka szeroko rozłożyła ramiona i skłoniła się Suwerenowi, a długie rękawy jej szaty musnęły podłogę. Potem skłoniła się też oklaskującym ją gościom, którzy siedzieli przy głównym stole, obok stołu Suwerena. Oba stoły ustawiono pod ułożonym w fałdy baldachimem ze złocistego brokatu. Narożniki baldachimu podtrzymywały nadnaturalnej wielkości anderyjskie lance. Chodziło o wywołanie wrażenia, że oba główne stoły znajdują się na scenie, i Dalton uważał, że pod wieloma względami tak właśnie było.

Śpiewaczka skłoniła się teraz biesiadnikom usadowionym za stołami biegnącymi wzdłuż ścian komnaty. Jej rękawy były pokryte piórami sowy śnieżnej, więc kiedy rozkładała ramiona podczas śpiewu, wyglądała jak uskrzydłona kobieta, jak istota ze starożytnych pieśni, które wykonywała.

Stein, siedzący po lewej ręce ministra i jego żony, klaskał apatycznie, bez wątpienia wyobrażając sobie młodą kobietę bez owych piórek. Teresa, która zajmowała miejsce po prawej ręce Daltona, klaskały i wydawała entuzjastyczne okrzyki. Campbell stłumił ziewanie i także bił brawo.

W końcu pieśniarka odeszła, unosząc ramiona i powiewając rękawami niczym skrzydłami, odprowadzana pełnymi aprobaty gwizdami. Zniknęła, a z przeciwległej strony komnaty zjawilo się czterech giermków niosących marcepanowy okręt, który unosił się na marcepanowym morzu. Wydęte żagle były z lukru. W ten sposób zapowiadano, że podawane będą dania z ryb. Wcześniej wypieczony z ciasta jeleń, umykający przed takimiż psami i przeskakujący żywopłot z ostrokrzewu, w którym krył się zrobiony z auszpiku dzik, uprzedzał o pojawieniu się dziczyzny, wypchany orzeł ze skrzydłami rozpostartymi ponad makietą Fairfield zdradzał zaś wniesienie potraw z dzikiego ptactwa. Fanfary i bębny też anonsowały pojawienie się nowych dań.

Podano już pięć rodzajów potraw i za każdym razem był to przynajmniej tuzin odrębnych dań. Znaczyło to, że będzie jeszcze siedem zmian potraw. Między poszczególnymi rodzajami dań gości bawili zonglerzy, akrobaci i trubadurzy, przygrywała im muzyka fletów, piszczałek i bębnów, wokół

stołów obwożono zaś drzewo z kandyzowanymi owocami. Ku zachwytowi wszystkich pokazano mechaniczne konie, które rytmicznie poruszały kopytami.

Wśród dań mięsnych były tak ukochane przez Teresę młode króliczki w okresie karmienia - zjadła trzy - sarnina, wieprzowina, wołowina oraz stojący na tylnych łapach niedźwiedź. Niedźwiedzia obwożono wokół stołów, przy każdym odchylano skórę założoną na upieczonego zwierza i krajczy odcinali dla gości porcje mięsiwa. Z ptactwa natomiast podano wróble, cenione przez ministra za to, że pobudzały zmysły, gołębie, pudding z łabędzich szyjek, orły i pieczone czaple, które na powrót pokryto piórami i tak upozowano, że imitowały lecące stadko.

Wcale nie oczekiwano, że każdy z gości zje takie mnóstwo dań - owa różnorodność miała zapewnić bogaty wybór i nie tylko pochlebić czcigodnym gościom, ale też zadziwić ich obfitością. Zaproszenie do posiadłości ministra było długo pamiętanym wydarzeniem i opowiadano o nim przez wiele lat.

Biesiadnicy spróbowali podawanych potraw, lecz większość popatrywała na główny stół, za którym siedział minister z dwoma bogatymi stronnikami oraz obiekt powszechnego zainteresowania - wysłannik Imperialnego Ładu. Stein zjawiał się wcześniej, wzbudzając szeptane zachwyty swym strojem wojownika i peleryną z ludzkich skalpów. Budził sensację i przyciągał zachęcające spojrzenia kobiet, które marzyły o zaciągnięciu go do łóża.

Ubiór Bertranda Chanboora żywo kontrastował z przyodziewkiem wojownika ze Starego Świata. Na krótki, prosty kaftan z rękawami minister nałożył dopasowaną purpurową, watowaną kamizelę ozdobioną wymyślnym haftem oraz złotymi i srebrnymi galonami. Dzięki temu jego krągła postać sprawiała wrażenie bardziej muskularnej. Niską stójkę kamizeli zdobiła biała koronkowa obszywka widoczna również przy mankietach i w stanie. Stroju ministra dopełniał wspaniały ciemnopurpurowy kubrak, obsyty futrem i o mocno watowanych, bufiastych ramionach. Luźne rękawy miały spiralne rozcięcia podbite czerwonym jedwabiem. Brzegi rozcięć zdobiły rzędy pereł przedzielone naszywką.

Badawcze spojrzenie i uprzejmy uśmiech zawsze, jak się zdawało, skierowane tylko do tej osoby, na którą akurat patrzył, a także bujne siwiejące włosy sprawiały, że Bertrand Chanboor robił imponujące wrażenie.

To oraz władza, którą miał jako Minister Spraw Duchowych, budziło w mężczyznach pełen lęku podziw, a w wielu kobietach ukryte tęsknoty.

Biesiadnicy obserwowali nie tylko stół ministra. Zerkali też ukradkiem na sąsiedni, za którym siedział Suweren z żoną, trzema dorosłymi synami i dwiema dorosłymi córkami. Nikt nie chciał patrzeć wprost na Suwereana. W końcu był reprezentantem Stwórcy w świecie istot żywych - świętym przywódcą religijnym i władcą ich krainy. Wielu mieszkańców Anderithu, zarówno Anderyjczyków, jak i Hakenów, tak bałwochwalczo czciło Suwereana, że kiedy mijał ich jego powóz, padali na twarz, lamentując przy tym i wyznając swoje grzechy.

Suweren, ożywiony i bystry mimo pogarszającego się zdrowia, odziany był w pozłocisty strój. Czerwona kamizela uwydatniała bufiaste rękawy. Z ramion spływała długa, haftowana, ułożona w fałdy jedwabna pelerynka. Jaskrawożółte pończochy łączyły się w połowie ud z bufiastymi nogawkami spodni ozdobionych barwnymi rozszyciami. Na wszystkich palcach mężczyzny lśniły pierścienie. Głowa starca tkwiła nisko między ramionami, jakby zawieszony na szyi złoty medalion z wysadzaną diamentami górą tak mu ciążył, że aż zmuszał do garbienia się. Dłonie Suwereana były obsypane dużymi wątrobowymi plamami.

Suweren przeżył cztery żony. Obecna, piąta, czule ocierała mu podbródek z resztek pokarmu. Dalton Campbell podejrzewał, że ostatnia żona Suwereana nie przekroczyła jeszcze dwudziestu lat.

Choć synowie i córki władcy przybyli ze współmałżonkami, na szczęście zostawili w domu dzieci, wnuki dostojnego starca były bowiem przeraźliwie nieznośnymi bachorami. Nikt nie ośmielał się zwrócić uwagi grasującym maleństwom. A niektóre były znacznie starsze od swojej obecnej macochy.

Po drugiej względem Daltona stronie ministra siedziała lady Hildemara Chanboor. Przywdziała elegancką srebrzystą, plisowaną suknię z dekoltem równie głębokim jak u innych biesiadniczek. Uniosła palec, uciszając harfistkę, którą umieszczono poniżej podwyższenia z głównymi stołami. Żona ministra dyrygowała przebiegiem uczyty.

Prawdę mówiąc, uczyta wcale tego nie wymagała, lecz lady Chanboor uparcie starała się sprawić, by uważano ją za gospodynię owego wspaniałego i okazałego wydarzenia. Dlatego też od czasu do czasu włączała się w tok wydarzeń, uciszając harfistkę, żeby wszyscy poznali i szanowali wysoki

status żony Ministra Spraw Duchowych. Goście byli oczarowani - wierzyli, że lady Chanboor skinieniem palca dyryguje całą ucztą.

Harfistka z pewnością dobrze wiedziała, kiedy muzyka powinna zamilknąć, a mimo to czekała na drgnienie palca szlachetnej damy, nim ośmieliła się pozwolić odpocząć swoim. Wpatrywała się w lady Chanboor, by nie przegapić owego gestu, a pot perlił się na jej czole.

Hildemara, powszechnie wychwalana jako promienna i piękna, była w istocie rzeczy przycięzka i miała grube rysy. Przypominała Daltonowi rzeźbę kobiety wykonaną przez kogoś, kto odznacza się większym zapałem niż talentem. Nie było to dzieło sztuki, w które ktokolwiek chciałby się długo wpatrywać.

Harfistka skorzystała z chwili przerwy i sięgnęła po kielich stojący obok złocistej harfy. Pochyliła się, a minister zagłębił wzrok w jej dekolt, trącając przy tym łokciem Daltona, żeby i ten nie przegapił takiej okazji.

Lady Chanboor zauważyła, gdzie zbłądził wzrok męża, lecz nie zareagowała. Uwielbiała władzę i chętnie płaciła za nią wymaganą cenę.

Za to kiedy byli sami, Hildemara rzucała czasami w Bertranda tym, co akurat miała pod ręką. Prawdopodobnie chodziło jej raczej o wyrządzany przez niego afront niż o zdradę małżeńską. Właściwie nie miała podstaw, by wypominać mu romanse, gdyż sama również nie była wierna i dyskretnie brała sobie kochanków. Campbell miał w pamięci listę ich nazwisk. Podejrzewał, iż - tak jak w przypadku wielu zdobywczy ministra - partnerów Hildemary wabiła jej władza i nadzieja, że uzyskają jakiś przywilej. Większość ludzi nie miała pojęcia, co naprawdę dzieje się w posiadłości, i widziała w lady Chanboor wierną, kochającą żonę, ona zaś troskliwie pielęgnowała ten wizerunek. Mieszkańcy Anderithu kochali ją tak, jak mieszkańcy innych krajów kochali swoją królową.

Lady Chanboor istotnie sprawowała władzę w cieniu męża - była zręczna, mądra i skupiona na konkretnym celu. Bertrand działał jawnie, ona natomiast decydowała za zamkniętymi drzwiami. Minister polegał na opinii żony, często zdawał się na nią w sprawach codziennych i nie obchodziło go ani to, że otacza opieką niegodziwców, ani to, jakie spustoszenie duchowe powoduje wokół siebie. Hildemara, bez względu na to, co myślała o mężu, z oddaniem czuwała, by zachował swoją pozycję. Gdyby upadł, poleciałaby w dół razem z nim. W przeciwieństwie do Bertranda, rzadko nadużywała



trunków, a swoje miłosne spotkania odbywała późną nocą.

Dalton był zbyt inteligentny, żeby nie doceniać lady Chanboor. Ona zastawiała własne sieci.

Biesiadnicy aż wstrzymali oddech z zachwytem, kiedy zza marcepanowego okrętu wyskoczył żeglarz i zaczął wygrywać na piszczałce wesołą melodię, akompaniując sobie na przyczepionym do paska bębenku. Teresa, jak wielu innych, śmiała się i klaskała.

- Och, Daltonie - powiedziała, ściskając pod stołem nogę męża - czy kiedykolwiek spodziewałaś się, że będziemy mieszkać w tak wspaniałej posiadłości, wśród tak wspaniałych ludzi i patrzeć na takie cudowności?

- Ależ oczywiście.

Kobieta znów się zaśmiała i delikatnie trąciła ramieniem rękę męża. On zaś patrzył, jak klaszcze siedząca po prawej Claudine. Stein, zajmujący miejsce po jego lewej ręce, nabił na nóż kawałek mięsiva i z bezwstydnym brakiem manier ściągnął je z niego zębami. Żuł z otwartymi ustami i patrzył na widowisko. Wyglądało na to, że preferował zupełnie inne rozrywki.

Służba wносиła już duże srebrne półmiski z potrawami z ryb, które przyprawiała przed podaniem. Suweren miał swoich służących, którzy przy kredensie kosztowali i przyprawiali dla niego potrawy. Własnymi nożami odcinali dla Suwerena i jego rodziny najsmaczniejsze części bułek i chlebów. Specjalnymi nożami przygotowywali deszczułki, na których umieszczano dania dla władcy i zmieniali je po każdym rodzaju potraw. Jeden nóż służył do odcinania, drugi do obrabiania, a trzeci - do wygładzania deszczulek.

Minister nachylił się ku swemu adiutantowi, trzymając w palcach kawałek wieprzowiny, który wcześniej zanurzył w musztardzie.

- Słyszałem pogłoskę, że jest tutaj kobieta, której może przyjść ochota na rozprowadanie nieprzyjemnych kłamstw. Może powinieneś zająć się tą sprawą.

Campbell wziął z drewnianego talerza, który dzielił z Teresą, cząstkę gruszki w mleczku migdałowym.

- Już się tym zająłem, ministrze. Ona nie okaże braku szacunku - odparł i wsunął gruszkę do ust.

- No to wspaniale - powiedział ze znaczącą miną minister. Potem uśmiechnął się i mrugnął do żony Daltona. Teresa skłoniła głowę w podziękowanie za to powitanie.

- Czy mówiłem ci już, droga Tereso, że tego wieczoru wyglądasz szczególnie pięknie? A twoje włosy są wręcz cudowne. Wydaje mi się, że to dobry duch zaszczycił mój stół. Gdybyś nie była żoną tego, który jest moją prawą ręką, zaprosiłbym cię później do tańca.

Minister rzadko tańczył z kimś innym poza swoją żoną oraz - czego wymagała etykieta - żonami goszczących u niego dygnitarzy.

- I ja, i mąż bylibyśmy tym zaszczytzeni - odparła, zacinając się lekko. - Nie mogłabym znaleźć się w lepszych rękach, czy to na parkiecie, czy gdzie indziej.

Teresa znakomicie potrafiła utrzymać się na równej stopie ze wszystkimi, tym razem jednak zarumieniła się, usłyszawszy to zaszczytne prawie-że-zaproszenie-do-tańca. Muskała palcami przywiązane do włosów lśniące wstążki, świadoma, że jej rozmowę z Ministrem Spraw Duchowych obserwują zazdrosne oczy.

Gniewny dąs na twarzy osoby siedzącej za ministrem uświadomił Daltonowi, że nie ma co się łudzić, iż taki taniec może dojść do skutku. Żeby minister mógł się publicznie przytulać do na wpół obnażonych piersi Teresy, też coś! Lady Chanboor z pewnością nie pozwoli, by Bertrand okazał jej taki brak oddania.

Campbell wrócił do interesów, kierując rozmowę ku swoim zamierzeniom.

- Jeden z miejskich oficjeli jest bardzo zainteresowany sprawą, o której rozmawialiśmy.

- Co mówił? - Bertrand wiedział, o którym dyrektorze mowa. Rozsądnie nie wymienił nazwiska, lecz oczy błysnęły mu gniewnie.

- To nic takiego - uspokoił go adiutant. - Lecz jest uparty. Może się dopytywać, domagać wyjaśnień. Są tacy, którzy zmawiają się przeciwko nam, i chętnie podchwyciliby pogłoski o zdrożnościach. Gdyby zmuszono nas do oczyszczenia się z bezpodstawnych zarzutów o złe prowadzenie, skutkiem byłoby kłopotliwe marnowanie czasu, które odciągnęłoby nas od wypełnienia obowiązku wobec mieszkańców Anderithu.

- Cały ten pomysł jest zupełnie absurdalny - powiedział minister, podtrzymując zaszyfrowaną rozmowę. - Naprawdę sądzisz, że są ludzie, którzy spiskują przeciwko naszym dobrym zamiarom?

Zabrzmiało to jak słowa wyrecytowane z pamięci. Ostrożność wymagała,

żeby wszelkie publiczne rozmowy prowadzić bardzo oględnie. Wśród gości mogły się znajdować osoby z magicznym darem, które zamierzały wykorzystać go do podchwycenia czegoś, co nie powinno być usłyszane.

Campbell też korzystał z usług kobiety mającej takie umiejętności.

- Poświęcamy życie na działanie dla dobra mieszkańców Anderithu, a przecież istnieje grupka chciwców, którzy chętnie zablokowaliby nasze postępy w pracy na rzecz krainy - odparł Campbell.

Bertrand wziął z drewnianego talerza pieczone skrzydełko łabędzia i zanurzył je w czarce z pszeniczno-mlecznym sosem.

- Więc jesteś zdania, że owi podżegacze zamierzają sprawić nam jakieś kłopoty?

Lady Chanboor, która przysłuchiwała się ich rozmowie, pochyliła się ku mężowi.

- Agitatorzy chętnie wykorzystają okazję, by zniszczyć dobrą robotę Bertranda. Z radością pomogą każdemu intrygantowi. - Popatrzyła znacząco na Suwerena, którego karmiła młodziutka żona. - Mamy przed sobą ważne zadanie i nie potrzebujemy takich, którzy przeszkadzają nam w naszych wysiłkach.

Bertrand Chanboor był najpoważniejszym pretendentem do tytułu Suwerena, lecz niektórzy sprzeciwiali się jego kandydaturze. Nominacja na Suwerena była ostateczna i nieodwołalna, a teraz każda nieostrożność mogła pozbawić ministra wszelkich szans na nią. Pewni ludzie pragnęli, żeby popełnił taką nieostrożność, i będą jej wypatrywać z zapalem.

Kiedy Bertrand Chanboor zostanie Suwerenem, skończą się ich zmartwienia, na razie jednak nic nie było ustalone.

- Właściwie ocenia pani sytuację, lady Chanboor. - Dalton z uznaniem skłonił głowę.

Bertrand chrząknął i powiedział:

- Założę się, że masz jakieś sugestie.

- Owszem. - Campbell jeszcze bardziej ściszył głos. Publiczne szeptanie do kogoś nie było uprzejme, lecz nie dało się tego uniknąć. Adiutant musiał działać, a szeptu nikt nie usłyszy. - Uważam, że najlepiej będzie, jeśli naruszymy istniejącą równowagę. To, o czym myślę, nie tylko usunie już rosnące chwasty, ale zapobiegnie wschodzeniu nowych.

I Dalton wyjaśnił, o co mu chodzi, cały czas mając na oku stół Suwerena.

Lady Chanboor uśmiechnęła się przebiegle i usiadła prosto. Rada Campbella bardzo jej odpowiadała. Bertrand przystał na to obojętnie, patrząc, jak Claudine dziobie potrawy.

- A może bym im po prostu poderżnął gardła - odezwał się Stein, przeciągając nożem po stole, jakby chciał pociąć delikatny lniany obrus.

Minister rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś mógł usłyszeć ofertę Steina, twarz Hildemary poczerwieniała z gniewu, Teresa zaś pobladła na te słowa, zwłaszcza że padły z ust człowieka noszącego pelerynę z ludzkich skalpów.

Stein został wcześniej ostrzeżony. Gdyby usłyszano jego słowa i doniesiono, komu trzeba, zaczęłyby się dochodzenia, które ściągnęłyby do Fairfield samą Matkę Spowiedniczkę. A ona nie spoczęłaby, dopóki nie dotarłaby do sedna sprawy. Wówczas mogłaby się uciec do swojej magicznej mocy i usunąć ministra ze stanowiska. I to na dobre.

Campbell obrzucił Steina morderczym spojrzeniem. Wysłannik Imperialnego Ładu wyszczerzył w uśmiechu żółte zęby.

- To tylko taki przyjacielski żarcik.

- Nic mnie nie obchodzi liczebność wojsk Imperialnego Ładu! - warknął minister na użytek tych, którzy mogli usłyszeć słowa Steina. - Jeżeli ich tu nie zaprosimy, a to nie zostało jeszcze postanowione, Dominie Dirtch zniszczy wszystkich. Imperator doskonale o tym wie, inaczej bowiem nie ofiarowałby nam tak znakomitych warunków pokoju. Jestem przekonany, że nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, iż jeden z jego ludzi znieważa naszą kulturę duchową i prawa, według których żyjemy. Przybyłeś tu jako przedstawiciel imperatora Jaganga, żeby wyjaśnić naszemu ludowi jego stanowisko oraz jego szczodre propozycje, nic więcej. W razie potrzeby tymi wyjaśnieniami zajmie się ktoś inny.

Stein skwitował całe zamieszanie kpiącym uśmiechem.

- Przecież tylko żartowałem. Taka gadanina leży w zwyczajach mojego ludu. Tam, skąd pochodzę, podobne słowa są częste i nieszkodliwe. Zapewniam was, że chciałem tylko zażartować.

- Mam nadzieję, że będziesz lepiej dobierał słowa, przemawiając do naszych ludzi - stwierdził minister. - Przybyłeś tutaj, żeby omówić poważne sprawy. Dyrektorzy na pewno nie będą zachwyceni takimi zaczepnymi żarcikami.

Stein zaśmiał się ochryple.

- Pan Campbell wyjaśnił mi wasz brak tolerancji dla takich prostackich dowcipów, lecz mój brak ogłady sprawił, że jego mądre porady wyleciały mi z pamięci. Wybaczcie, proszę, ów brutalny żart. Nie chciałem nikogo urazić.

- No to znakomicie. - Bertrand odchylił się na krześle, przesunął wzrokiem po biesiadnikach. - Wszyscy mieszkańcy Anderithu z niechęcią podchodzą do przemocy i nie są przyzwyczajeni cło takich słów, a tym bardziej czynów.

Żołnierz pochylił głowę.

- Muszę się zaznajomić ze zwyczajami płynącymi z waszej wspaniałej kultury duchowej. Z radością oczekuję możliwości poznania waszych budujących obyczajów.

Te całkowicie zmazujące niewczesny żarcik słowa sprawiły, że Campbell wyżej ocenił Steina. Rozczochrane włosy wojownika wprowadzały w błąd - to, co się pod nimi kryło, wcale nie było takie rozwichrzone.

Lady Chanboor nie okazała, czy pojęła zjadliwą krytykę zawartą w replice Steina. Jej twarz przybrała zwykłą słodko-kwaśną minę.

- Rozumiemy i podziwiamy twoje wysiłki przyswojenia sobie czegoś, co musi ci się wydawać... osobliwe. - Przysunęła Steinowi jego kielich. - Pokosztuj naszego wina z doliny Nareef. Wszyscy za nim przepadamy.

Choć może lady Chanboor nie pochwyciła subtelного sarkazmu zawartego w słowach Steina, nie umknął on Teresie. W przeciwieństwie do Hildemary, większość dorosłego życia spędziła na linii frontu kobiecych warstw społecznych, gdzie słowa stanowiły śmiertcionośną broń. Im wyższy był poziom socjalny, tym subtelniejsze i dotkliwsze ukłucie. Musisz wiedzieć, że zostałaś zraniona i krwawisz, albo - jeśli jej nie dostrzeżesz - rana będzie tym wyraźniejsza dla tych, którzy ją widzą. Hildemara nie potrzebowała ciętego języka; chroniła ją władza. Generałowie Anderithu rzadko dobywają mieczy.

Teresa, obserwując to wszystko z fachową fascynacją, upiła wina. Stein uniósł kielich i pociągnął długi łyk.

- Dobrze. Powiedziałbym, że najlepsze, jakie piłem w życiu.

- Z radością słyszymy tę pochwałę z ust człowieka, który tak wiele podróżował - oznajmił minister.

Stein ze stukiem odstawił kielich.

- Już się najadłem. Kiedy mam przemówić?

- Jak goście skończą jeść - odparł ze znaczącą miną minister.

Stein znów się uśmiechnął, nadział na nóż kawałek mięsiwa i zaczął je pogryzać z ostrza. Bezczelnie łowił przy tym gorące spojrzenia rzucane mu przez niektóre kobiety.

## ROZDZIAŁ 22

Muzycy na galerii grali żeglarską melodię, a chłopcy rozwinęli przez balustradę długie płyty błękitnej materii. Powiewali nimi do rytmu muzyki, co sprawiało, że namalowane na materiale łódki rybackie kołysały się jak na morskich falach.

Służący Suwerena obsługiwali jego i jego rodzinę, natomiast giermkowie w liberii posiadłości kręcili się wokół stołu ministra, obnosząc srebrne tace z barwnie przybranymi daniami rybnymi. Bertrand Chanboor wybrał odnóza krabów, płat łososia, smażone piskorze, leszcza i węgorze w sosie szafranowym. Giermek umieszczał każdą potrawę pomiędzy ministrem a jego żoną, by mogli nałożyć wybrane porcje na wspólny drewniany talerz.

Minister Chanboor zręcznie owinął wokół palca długi kawałek węgorza w sosie szafranowym i podał go żonie. Hildemara uśmiechnęła się tkliwie i czubkami długich paznokci zsunęła rybę z palca męża, lecz nie podniosła jej do ust, tylko odłożyła na talerz i, zdjęta nagłą ciekawością, zaczęła wypytywać Steina o potrawy jego rodzinnego kraju. Campbell był krótko w posiadłości, ale zdążył się już dowiedzieć, że lady Chanboor wprost nie cierpiała węgorzy.

Jeden z giermków podsunął im tacę z langustami i Teresa poruszeniem brwi dała znak mężowi, że chętnie by jedną zjadła. Sługa zręcznie rozszczepił pancierz, usunął żyłę, spulchnił mięso i - zgodnie z życzeniem Daltona - nałożył pod nie masła oraz biskwitów. Inny giermek, pochylając nisko głowę, trzymał w wyciągniętych rękach tacę z morświnem. Campbell odciął kawałek. Chłopak ugiął kolano, jak to czynił każdy z nich, i tanecznym krokiem ruszył dalej.

Zmarszczony nosek Teresy powiedział adiutantowi, że nie życzy sobie węgorza. Jednak wziął kawałek dla siebie, bo minister uśmiechem i kiwnięciem głowy dał mu znak, że powinien to zrobić. Gdy Campbell skorzystał już z rady, Chanboor pochylił się ku niemu i szepnął:

- Węgorz jest dobry dla węgorza, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Dalton uśmiechnął się na znak, że docenia poradę. Jego myśli koncentrowały się na czekającym go zadaniu, a poza tym nie musiał się martwić o swojego „węgorza”.

Teresa pokosztowała karpia w imbirze, Dalton zaś machinalnie spróbował pieczonego śledzia z cukrem i patrzył, jak hakeńscy giermkowie, niczym armia najeźdźców, ruszają ku stolom zaproszonych biesiadników. Nieśli tace ze smażonymi szczupakami, okoniopstrągami i pstrągami, pieczonymi minogami, śledziami, łupaczami i dorszami. Podsuwali gościom pieczone okonie, łososie, foki i jesiotry, kraby, krewetki i trąbiki w galarecie, a także wazy z korzenną zupą z małży oraz z potrawką rybną z migdałami. No i oczywiście najrozmaitsze sosy. Poza tym podawano rozmaite wymyślne potrawy: od morświna z groszkiem w sosie cebulowo-winnym, przez ikrę jesiotra i najdelikatniejsze filety z kurka, po wielką płastugę i paszteciki z młodego wątlusza w zielonym sosie.

Tak liczne i wyszukane dania miały nie tylko pokazać bogactwo i potęgę Ministra Spraw Duchowych, lecz również - by uchronić Bertranda Chanboora od oskarżeń o ostentacyjną wystawność - zawierać głębokie konotacje religijne. Bogactwo było w końcu odzwierciedleniem splendoru Stwórcy, a rzucająca się w oczy obfitość - zaledwie drobnym przykładem jego niezmierzonej szczodrości.

Biesiady nie wydano, by wymusić zgromadzenie się ludzi, ale zgromadzenie zwołano po to, by ludzie wzięli udział w uczcie - była to subtelna, a jednak znamienita różnica. Fakt, że przyczyną uroczystości nie było jakieś wydarzenie społeczne - na przykład ślub czy rocznica zwycięstwa - dodatkowo podkreślał jej religijny sens. A obecność Suwerena, reprezentanta Stwórcy w świecie istot żywych, tylko potwierdzała religijne aspekty biesiady.

Jeżeli bogactwo, potęga oraz szlachectwo ministra i jego żony wywierały potężne wrażenie na gościach, był to skutek uboczny, choć nieunikniony. Nawiasem mówiąc, Dalton Campbell dostrzegł mnóstwo biesiadników porażonych tą demonstracją.

W komnacie rozbrzmiewał gwar rozmów i śmiechy. Goście popijali wino, jedli najrozmaitsze potrawy i próbowali najróżniejszych sosów, zanurzając w nich coraz to inny palec. Harfistka znów przygrywała biesiadnikom. Minister jadł węgorza i rozmawiał z żoną, Steinem oraz dwoma majątnymi stronnikami, którzy siedzieli u końca stołu.

Campbell otarł usta. Postanowił wykorzystać okazję, jaką dawał swobodniejszy nastrój. Jeszcze tylko upił wina i pochył się ku żonie.



- Czy dowiedziałaś się czegoś w trakcie rozmowy? Teresa oddzieliła nożem fragment smażonego szczupaka, a potem ujęła go w palce i zanurzyła w czerwonym sosie.

Wiedziała, że mężowi chodziło o Claudine.

- Niczego konkretnego. Podejrzewam jednak, że jagniątko nie jest zamknięte w zagrodzie.

Nie miała pojęcia, o co tak naprawdę chodziło ani że Dalton polecił dwóm hakeńskim chłopakom przekazać Claudine ostrzeżenie, lecz orientowała się na tyle, by domyślać się, że żona Winthropa prawdopodobnie sieje zamieszanie, rozgłaszając plotki o swoich schadzkach z ministrem. Nigdy nie rozmawiali o szczegółach, ale Tess doskonale wiedziała, że siedzi przy głównym stole nie dlatego, iż Dalton zna na wylot prawo.

- Kiedy z nią rozmawiałam - dodała, zniżając głos - poświęcała wiele uwagi dyrektorowi Linscottowi. Obserwowała go, udając, że nie patrzy, i sprawdzając, czy ktoś to dostrzega.

Jej słowa zawsze były godne wiary. Nigdy nie podawała swoich domysłów za prawdę, lecz podkreślała, że to jedynie jej przypuszczenia.

- Jak sądzisz, dlaczego wcześniej tak beczelnie wmawiała innym kobietom, że minister wziął ją siłą?

- Uważani, że powiedziała o tym dla własnej ochrony. Uznała, że gdy ludzie będą już o tym wiedzieć, nikt jej nie uciszy, zanim to dojdzie do właściwych uszu. Nagle jednak z jakiegoś powodu nabrała wody w usta. Mimo to, jak już mówiłam, bez przerwy obserwowała dyrektora, udając, że wcale tego nie robi.

Teresa umilkła, pozwalając, by sam wyciągnął wnioski. Dalton wstał, nachylając się ku żonie.

- Dziękuję, kochanie. Wybacz, że cię na chwilę opuszczę, ale muszę załatwić pewną sprawę.

Chwyciła go za rękę.

- Nie zapomnij, że obiecałeś przedstawić mnie Suverenowi.

Campbell cmoknął ją w policzek i pochwycił spojrzenie ministra. Słowa Teresy jedynie utwierdziły go w przekonaniu o roztropności jego zamiarów. Stawka była duża. Dyrektor Linscott mógłby się okazać zbyt dociekliwy. Campbell był niemal całkiem pewny, że wiadomość przekazana przez obu

chłopaków uciszyła Claudine. Jeśli jednak tak nie było, tym razem straci ona możliwość siania zamętu. Leciutko skinął głową Bertrandowi.

Adiutant okrążył komnatę, przystając przy wielu stołach. Witał się z ludźmi, których znał, tu wysłuchał jakiegoś żartu, tam jakiejś plotki, ówdzie - oferty czy dwu. Obiecał spotkać się z niektórymi. Wszyscy sądzili, że jest wysłannikiem ministra, który miał obejść pozostałe stoły i zatroszczyć się o rozrywkę biesiadników.

W końcu Campbell dotarł do swego prawdziwego celu i uśmiechnął się serdecznie.

- Mam nadzieję, Claudine, że czujesz się o wiele lepiej. Teresa nakazała, bym w zastępstwie Edwina, który nie mógł się tu zjawić, sprawdził, czy czegoś nie potrzebujesz.

Kobieta odwzajemniła się całkiem dobrą imitacją szczerego uśmiechu.

- Twoja żona to skarb, panie Campbell. Dziękuję za troskę, ale nic mi nie jest. Strawa i miłe towarzystwo przywróciły mi równowagę. Przekaż jej, proszę, że czuję się o wiele lepiej.

- Rad to słyszę. - Dalton pochylił się do jej ucha. - Zamierzałem złożyć Edwinowi i tobie pewną propozycję, lecz nie kwapię się z tym, bo twego męża nie ma w mieście. Przede wszystkim wszakże powstrzymuje mnie twój nieszczęśliwy wypadek. Nie chciałbym narzucać ci pracy, skoro nie masz do tego siły, proszę więc, byś się ze mną zobaczyła, gdy już całkiem wrócisz do zdrowia.

Claudine spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

- Dziękuję za troskę, ale naprawdę nic mi nie jest. Jeżeli masz jakąś sprawę, która dotyczy Edwina, mąż życzyłby sobie, bym tego wysłuchała. Działamy wspólnie i w interesach nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. Dobrze o tym wiesz, panie Campbell.

Dalton nie tylko o tym wiedział, ale i na to liczył. Przykucnął, Claudine zaś odsunęła się z krzesłem od stołu, chcąc znaleźć się poza zasięgiem ogólnej rozmowy.

- Wybacz, proszę, moje natręctwo - zaczął Campbell. - Jak wiesz, minister głęboko współczuje ludziom, którzy mogą nakarmić swoje rodziny tylko wtedy, gdy wyżebrzą pożywienie. A nawet jeśli wyżebrzą pokarm, ich rodzinom i tak brakuje wciąż odzieży, odpowiedniego schronienia i wielu innych potrzebnych rzeczy. Mimo szczodrości dobrych mieszkańców

Anderithu wiele dzieci idzie spać z burczącymi z głodu brzuskami. Taki los spotyka zarówno Hakenów, jak i Anderyjczyków, a minister współczuje i jednemu, i drugiemu, bo jest odpowiedzialny za nich wszystkich. Bertrand Chanboor pracował z zapałem i w końcu wykoncypował ostateczne szczegóły nowego prawa, dzięki któremu zdobędzie pracę pewna liczba ludzi nie mających na to żadnej szansy.

- To godne pochwały - wykrztusiła Claudine. - Bertrand Chanboor jest z całym człowiekiem. Jakie to szczęście, że jest naszym Ministrem Spraw Duchowych.

Campbell przesunął dłoń po ustach, Claudine natomiast przez chwilę nie patrzyła mu w oczy.

- Rzecz w tym, że ponieważ minister często mówi o swoim szacunku dla Edwina i jego wyjątkowej pracy, zasugerowałem mu, iż dobrze byłoby jakoś ten szacunek wyrazić. Żarliwie się ze mną zgodził i natychmiast wpadł na pomysł, by ogłosić, że to nowe prawo powstało na wniosek rajcy Edwina Winthropa. Bertrand Chanboor chce nawet, żeby nazwano je Prawem Winthropa o Sprawiedliwym Zatrudnieniu. Na cześć twojego męża i twoją oczywiście też, za twój wkład pracy. Wszyscy dobrze wiedzą o twoim udziale w przygotowywaniu projektów praw przedstawianych przez Edwina.

Claudine znów patrzyła Campbellowi w oczy. Położyła dłoń na piersi.

- Cóż, panie Campbell, to bardzo wielkoduszne ze strony ministra i twojej. Jestem prawdziwie zaskoczona. Edwin na pewno podzieli moje odczucie. Najszybciej jak to możliwe zapoznamy się z owym prawem, żeby mogło zostać bez zwłoki wprowadzone.

- Hmm - skrzywił się Dalton. - Chodzi o to, że minister właśnie poinformował mnie, iż zamierza je ogłosić już dzisiaj. Chciałem przynieść ci szkic tego prawa, żebyście ty i Edwin mogli się z nim zapoznać, zanim zostanie ogłoszone, lecz minister uznał, że musi zadziałać, skoro są tutaj wszyscy dyrektorzy. Stwierdził, że nie ścierpi, by biedacy choć jeden dzień dłużej pozostawali bez pracy. Muszą przecież wyżywić swoje rodziny.

- No tak, rozumiem. - Claudine zwilżyła językiem wargi. - Tak sądzę... ale naprawdę...

- Znakomicie. To wspaniale. To bardzo uprzejme z twojej strony.

- Naprawdę powinnam na to rzucić okiem. Muszę to zobaczyć. Edwin chciałby...

- Ależ oczywiście. Doskonale to rozumiem i zapewniam cię, że natychmiast otrzymasz kopię, już jutro rano.

- Uważam, że zanim...

- Ponieważ wszyscy są tutaj, minister nieodwołalnie postanowił je ogłosić dziś wieczorem. Nie chce najmniejszej zwłoki we wprowadzeniu go w życie, nie odstąpi też od swojego zamiaru, by tak ważny przepis prawny miał w nazwie nazwisko twojego męża, Edwina Winthropa. Poza tym Bertrandowi Chanboorowi zależy na tym, by obecny tu dziś Suveren, a wszyscy dobrze wiemy, jak rzadkie są jego odwiedziny, usłyszał o Prawie Winthropa o Sprawiedliwym Zatrudnieniu, które ma pomóc ludziom pozbawionym nadziei. Suveren zna Edwina i na pewno będzie zadowolony.

Kobieta zerknęła na Suverena. Znów oblizwała wargi.

- Ale...

- Chcesz, żebym poprosił ministra, by odroczył ogłoszenie tego prawa? Suveren nie byłby zadowolony, a minister jeszcze bardziej, bo straciłby taką sposobność i zawiódł głodujące dzieci, choć powinien poprawić ich dołą. Chyba pojmujesz, że naprawdę chodzi tu o dobro dzieci?

- Tak, lecz przez wzgląd na...

- Claudine - powiedział Campbell, ujmując jej dłoń w obie ręce - nie masz dzieci, więc rozumiem, jak trudno ci wczuć się w położenie rodziców rozpaczliwie próbujących wyżywić swoje potomstwo, rozpaczliwie i bez efektu starających się znaleźć pracę. Postaraj się jednak zrozumieć, jak jest im ciężko, jacy muszą być przerażeni.

Otworzyła usta, ale nie wydała żadnego dźwięku. Adiutant mówił, nie pozwalając jej dojść do słowa.

- Spróbuj sobie wyobrazić, co czują ojciec i matka, którzy czekają dzień po dniu na promyk nadziei, na znalezienie pracy, dzięki której mogliby wykarmić dzieci. Nie chciałabyś im pomóc? Czy zechcesz zrozumieć, co musi czuć taka młoda matka?

Twarz Claudine zszarzała.

- Oczywiście - wyszeptała w końcu. - Rozumiem. Naprawdę rozumiem. Chcę pomóc. Jestem pewna, że Edwin będzie zadowolony, kiedy dowie się, iż jego nazwiskiem określa się prawo...

Dalton wstał, nim zdołała powiedzieć coś jeszcze.

- Dziękuję, Claudine. - Uniósł jej dłoń i złożył na niej pocałunek. -

Minister z radością usłyszy o twoim poparciu, ci ludzie, którzy teraz znajdują pracę, również. Wykonałaś dobrą robotę na rzecz dzieci. Dobre duchy muszą się teraz do ciebie uśmiechać.

Kiedy Campbell wrócił do głównego stołu, giermkowie ponownie okrążali komnatę, pospiesznie umieszczając na środku każdego stołu pasztet żółwiowy. Biesiadnicy ze zdziwieniem popatrywali na te pasztety: ich skórka była nacięta, lecz nie do końca. Pochylona Teresa, marszcząc brwi, wpatrywała się w pasztet stojący przed ministrem i jego żoną.

- Daltonie, ten pasztet się rusza - wyszeptała.

- Na pewno ci się wydaje, Tess - odparł, powstrzymując uśmiech. - Pasztet nie może się ruszać.

- Ale przecież...

W tym momencie skórka pękła i uniosła się. Żółw wystawił łepkę i tylną na ministra. Złapał pazurkami brzeg pasztetu i wydostał się na stół. Za nim inne. Zaskoczeni biesiadnicy śmiali się, klaskali i szeptali ze zdumieniem, patrząc na stworzenia wydostające się z potrawy.

Żółwi, rzecz jasna, nie zapiekano żywcem w pasztetach. Te pieczono z nadzieniem z suchej fasoli, następnie wycinano otwór w spodzie, usuwano fasolę i wkładano do wnętrza żółwie. Wierzchnią skórę częściowo nacinano, żeby łatwo pękła i umożliwiała zwierzakom ucieczkę.

Pasztety żółwiowe, jedna z rozrywek biesiady, odniosły wielki sukces. Wszyscy byli zachwyceni widowiskiem.

Czasem przygotowywano pasztety z żółwiami, innym razem z ptakami, które hodowano specjalnie po to, by w trakcie uczty - ku zachwytowi i zdumieniu gości - wydobywały się z potrawy.

Giermkowie z drewnianymi ceberkami zaczęli okrążać komnatę i zbierać żółwie ze stołów, lady Chanboor natomiast przywołała szambelana i poprosiła go, by odwołał występ zaplanowany przed podaniem kolejnego dania. Potem powstała i w komnacie zapadła cisza.

- Posłuchajcie mnie, proszę, zacni obywatele. - Hildemara powiodła wzrokiem po gościach, upewniając się, że wszyscy na nią patrzą. Jej plisowana szata lśniła chłodną srebrzystą poświatą. - Najwyższą powinnością i obowiązkiem jest pomoc będącym w potrzebie obywatelom. Tego wieczoru mamy nadzieję zapoczątkować wspomaganie dzieci Anderithu. To śmiałe, wymagające odwagi przedsięwzięcie. Na szczęście

mamy przywódcę, którego cechuje niezbędną tu odwaga. Mam zaszczyt przedstawić wam najwspanialszego człowieka, jakiego dane mi było poznać, człowieka prawego, niestrudzenie pracującego na rzecz obywateli, zawsze pamiętającego o potrzebach najbiedniejszych, mającego na względzie przede wszystkim naszą lepszą przyszłość: mojego męża, Ministra Spraw Duchowych, Bertranda Chanboora.

Hildemara ozdobiła twarz uśmiechem, zaczęła klaskać i obróciła się w stronę swojego męża. Buchnęły oklaski i okrzyki pochwalne. Rozpromieniony Bertrand wstał i otoczył ramieniem talię żony. Uniosła głowę, patrząc mu z uwielbieniem w oczy, on zaś patrzył z miłością w jej. Ludzie oklaskiwali ich z jeszcze większym zapałem, zadowoleni, że tak szlachetna para dumnie przewodzi Anderithowi.

Dalton Campbell wstał i zaczął klaskać uniesionymi ponad głowę rękami, a pozostali poszli za jego przykładem. Przybrał najszerszy uśmiech, żeby mogli go dostrzec najdalej siedzący goście, i energicznie klaszcząc, obrócił się ku ministrowi i jego żonie.

Campbell pracował dla wielu ludzi. Niektórym nie powierzyłby nawet zapowiedzenia kolejki trunków. Inni byli na tyle bystrzy, by nadażać za planem, który im szkicował, lecz pojmowali w czym rzecz dopiero wtedy, gdy wszystko im dokładnie wyjaśnił. Żaden z nich nie dorównywał Bertrandowi Chanboorowi.

Minister pojął zamysł i cel, gdy tylko Dalton pobieżnie mu je naszkicował. Na pewno potrafi to upiększyć i przetworzyć po swojemu - Campbell nigdy wcześniej nie spotkał kogoś tak pojętnego jak Bertrand Chanboor.

Minister uśmiechał się. W końcu uniosł rękę, dziękując tym gestem za owację i uciszając wreszcie zebranych.

- Zacni mieszkańcy Anderithu - zaczął głębokim, szczerze brzmiącym głosem, który było dobrze słychać w najdalszych kątach komnaty - proszę was, byście tego wieczoru zastanowili się nad przyszłością. Najwyższy czas, byśmy mieli odwagę pozostawić nasz dawny system protekcyjny tam, gdzie jego miejsce: w przeszłości. Teraz powinniśmy myśleć o naszej przyszłości, o przyszłości naszych dzieci i wnuków.

Znów zabrzmiały gromkie owacje. Minister musiał zamilknąć, ukłonić się i uśmiechnąć. Ponownie uciszył zebranych i podjął:

- Nasza przyszłość będzie zagrożona, jeśli poddamy się sposobowi myślenia skostniałych tradycjonalistów, zamiast pozwolić rozwinąć się pomysłowości ofiarowanej nam przez Stwórcę.

I znów Bertrand musiał odczekać, aż umilkną głośne oklaski. Dalton Campbell był pełen podziwu, że jego zwierzchnik tak wspaniale potrafił przyprawić ów trudny do przełknięcia dla niektórych kąsek.

- My, zgromadzeni w tej komnacie, wzięliśmy na siebie odpowiedzialność za wszystkich mieszkańców Anderithu, a nie tylko za szczęśliwców. Czas, by nasza kultura duchowa objęła wszystkich mieszkańców krainy, a nie tylko szczęśliwców. Czas, by nasze prawa służyły całemu ludowi Anderithu, nie zaś tylko nielicznym.

Dalton skoczył na równe nogi, klaszcząc i gwizdząc. Inni natychmiast poszli za jego przykładem. Także Hildemara - wciąż promiennie uśmiechnięta, jak to kochająca, dumna i oddana żona - powstała, by oklaskiwać męża.

- Kiedy byłem młody - podjął cichym głosem Bertrand, gdy tylko tłum się uspokoił - dobrze znałem uczucie głodu. To był ciężki czas dla Anderithu. Mój ojciec nie miał pracy. Patrzyłem, jak moja siostra co wieczór kołysze się płaczem do snu, czując bolesne kurcze głodowe. Patrzyłem, jak mój ojciec cicho szlocha, zawstydzony tym, że nie ma pracy i żadnych kwalifikacji. - Przerwał, żeby odchrząknąć. - Był dumnym mężczyzną, a to niemal go załamało.

Adiutant leniwie rozmyślał, czy Bertrand w ogóle miał jakąś siostrę.

- Dziś również mamy dumnych mężczyzn, którzy chcą pracować, oraz mnóstwo pracy, którą należy wykonać. Kilka państwowych gmachów jest w budowie, inne są zaplanowane. Budujemy drogi, żeby ułatwić rozkwit handlu. Trzeba przerzucić mosty nad przełęczami. Należy wznieść filary podtrzymujące mosty ponad rzekami, mosty wiodące do owych dróg i przełęczy. Jednak przy żadnej z tych prac, ani przy innych, nie można zatrudnić tych dumnych mężczyzn, którzy potrzebują pracy i którzy chcą pracować. Nie można ich zatrudnić, bo nie mają kwalifikacji. Jak mój ojciec. - Bertrand Chanboor spojrział na ludzi czekających w napięciu na jego propozycję. - Możemy zapewnić pracę tym dumnym mężczyznom. Jako Minister Spraw Duchowych mam obowiązek zadbać, żeby ludzie ci dostali pracę i mogli się troszczyć o swoje dzieci, które są naszą przyszłością.

Poprosiłem nasze najtęższe umysły, by znalazły jakieś rozwiązanie, i owi mądrzy ludzie nie zawiedli ani rennie, ani mieszkańców Anderithu. Chciałbym przypisać sobie zasługę przedstawienia owego genialnego prawa, lecz nie mogę. Te znakomite propozycje przedstawili mi ludzie, którzy sprawiają, że dumny jestem, iż pełnię moją funkcję i mogę im pomóc. W przeszłości znaleźliby się i tacy, którzy wykorzystaliby swoje wpływy by pogrzebać te wspaniałe projekty w ciemnych zakamarkach. Nie pozwolę, by takie samolubne dbanie o własne interesy zabiło nadzieję na przyszłość naszych dzieci. - Bertrand przybrał gniewną, mroczną minę, którą potrafił sprawić, że ludzie bledli i drżeli ze strachu. - W przeszłości istnieli i tacy, którzy zatrzymywali najlepsze dla siebie i nie dopuściliby, żeby inni mogli udowodnić swoją przydatność.

Nie było żadnych wątpliwości, do kogo jest to aluzja. Czas nie uleczył ran zadanych przez hakeńskich suzerenów - te rany zawsze będą otwarte, zawsze będą broczyć krwią. I tak powinno być.

Na twarzy Bertranda znów zagościł miły uśmiech, uśmiech tym miłszy, że kontrastujący z uprzednim gniewem.

- Tę nową nadzieję daje Prawo Winthrop'a o Sprawiedliwym Zatrudnieniu. - Wskazał na Claudine. - Czy zechciałabyś wstać, lady Winthrop?

Zarumieniła się i rozejrzała, a ludzie uśmiechali się do niej. Zaczęły się owacje i zmusiły ją, by podniosła się z krzesła. Wyglądała jak sarna przyłapaną świtem przy żywopłocie. Wstała bardzo niechętnie.

- Zacni obywatele, to mąż lady Winthrop, Edwin, jest projektodawcą nowego prawa, a jak wielu z was wie, lady Winthrop pomaga mu dzielnie w obowiązkach rajcy. Nie wątpię, że lady Winthrop odegrała ważną rolę w pracy nad tym projektem. Edwin wyjechał w interesach, lecz ja chciałbym pochwalić jej znakomity wkład i mam nadzieję, że przekaże nasze pochwały mężowi, kiedy ten wróci.

Biesiadnicy, idąc za przykładem ministra, oklaskiwali Claudine i jej nieobecnego męża. Lady Winthrop, mocno zarumieniona, dziękowała im uśmiechem. Dalton zauważył, że dyrektorzy, nie wiedząc, czego dotyczy to prawo, byli powściągliwi w pochwałach. Ludzie podchodzili do Claudine, dotykali jej dłoni, by zwrócić na siebie uwagę, i wypowiadali słowa uznania oraz pochwały. Sporo czasu upłynęło, zanim wrócili na miejsca i ucichli,



żeby dowiedzieć się, co stanowi nowe prawo.

- Prawo Winthropo o Sprawiedliwym Zatrudnieniu dotyczy tego, co ma w nazwie - wyjaśnił wreszcie Bertrand - czyli sprawiedliwego i powszechnego, a nie uprzywilejowanego i utrudnionego zatrudnienia. Przy realizacji państwowych projektów czeka mnóstwo pracy i powinna ona zaspokoić potrzeby ludzi. - Minister powiódł stanowczym wzrokiem po zgromadzonych. - Lecz jedna z gildii obstaje przy staromodnych prerogatywach i opóźnia postęp. Nie zrozumcie mnie źle, ci ludzie mają wzniosłe ideały i ciężko pracują, lecz nadszedł czas, by szeroko otworzyć wrota tego archaicznego bractwa, które ustanowiono, żeby chronić nielicznych uprzywilejowanych. Od tej pory, pod działaniem nowego prawa, należy zatrudnić każdego, kto chce się zabrać do pracy, a nie tylko członków zamkniętej Gildii Kamieniarzy!

Zebrani wstrzymali oddech. Bertrand nie pozwolił im odetchnąć.

- Co gorsza, przez tę zamkniętą gildię, gdzie nieliczni spełniają tajemne i bez potrzeby tak ścisłe wymogi, ponoszony przez mieszkańców Anderithu koszt realizacji zamierzeń publicznych jest o wiele wyższy, niż gdyby pozwolono pracować wszystkim chętnym. - Minister potrząsnął pięścią. - Wszyscy płacimy bezczelnie wygórowane koszty!

Dyrektor Linscott był niemal purpurowy z powściąganej furii. Bertrand odgiął palec zaciśniętej dłoni i wycelował go w tłum.

- Rozległa wiedza kamieniarzy powinna być wykorzystywana, nie ma co do tego wątpliwości, lecz dzięki nowemu prawu będzie się zatrudniało również zwykłych ludzi, którzy zaczną pracować pod nadzorem członków tej gildii. Dzięki temu dzieci wreszcie nie będą głodne, bo ich ojcowie znajdą źródło zarobku. - Minister uderzał pięścią we wnętrze otwartej dłoni, podkreślając tym każde swoje słowo. - Wzywam dyrektorów Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni, żeby uniesieniem ręki zasygnalizowali nam poparcie dla dania pracy głodującym ludziom, poparcie dla rządu mogącego wreszcie realizować swoje projekty za uczciwą cenę dzięki zatrudnianiu wszystkich chętnych, a nie tylko członków tajemnego bractwa kamieniarzy, którzy narzucają horrendalne ceny. Ceny, które wszyscy musimy płacić! By wyrazili swoje poparcie dla dzieci! Poparcie dla Prawa Winthropo o Sprawiedliwym Zatrudnieniu!

Dyrektor Linscott poderwał się z krzesła.

- Jestem przeciwny takiemu głosowaniu! Nie mieliśmy czasu, żeby...

Umilkł, kiedy zobaczył, że Suweren podnosi rękę.

- Jeżeli pozostali dyrektorzy chcą wyrazić swoje poparcie - rozległ się w ciszy dźwięczny głos Suwereana - to zebrani tu ludzie powinni się o tym dowiedzieć, żeby nikt nie mógł wątpić w prawdziwość ich oświadczeń. Nie będzie nic niewłaściwego w ocenie zapatrywań dyrektorów, skoro wszyscy są tutaj. Uniesienie rąk nie jest ostateczną decyzją i nie zamknie drogi do dalszej dyskusji, nim nowe prawo zacznie obowiązywać.

Niecierpliwość Suwereana całkiem przypadkowo ocaliła ministra od konieczności narzucenia głosowania. To prawda, że uniesienie ręki w tej komnacie nie uprawomocniało projektu, lecz będący jego skutkiem rozłam między gildiami i profesjami mógł to zagwarantować.

Dalton Campbell nie musiał czekać, aż pozostali dyrektorzy podniosą ręce. Nie miał żadnych wątpliwości, że to zrobią. Prawo, które ogłosił minister, oznaczało dla gildii wyrok śmierci, a minister właśnie błysnął im w oczy ostrzem katowskiego topora. Dyrektorzy co prawda nie wiedzieli dlaczego, lecz pojęli, że jeden z nich został kozłem ofiarnym. Co prawda tylko czterej byli mistrzami gildii, lecz także pozostałych można było równie łatwo zniszczyć. Bankierom można było obniżyć należne im odsetki lub nawet zabronić ich naliczania, kupcom zmienić trasy i rodzaj towaru, doradcom prawnym i adwokatom zaś - ustalić takie opłaty, że nawet żebracy mogliby korzystać z ich usług. Żadna profesja nie uchroniłaby się przed nowym prawem, gdyby jej wykonawcy narazili się ministrowi.

Gdyby pozostali dyrektorzy nie poparli Bertranda Chanboora, ostrze mogłoby się zwrócić przeciwko ich gildii czy profesji. Skoro minister zaapelował o publiczne podniesienie rąk, a nie o głosowanie za zamkniętymi drzwiami, mogli założyć, że nic im nie grozi, jeśli się z nim zgodzą.

Claudine osunęła się na krzesło. I ona wiedziała, co to oznacza. Wcześniej kamieniarską robotę mogli wykonywać jedynie członkowie Gildii Kamieniarzy. Gildia szkoliła, ustalała normy i opłaty, rozstrzygała spory, wyznaczała robotników do poszczególnych prac, dbała o chorych i poranionych, pomagała wdowom po tych, którzy zginęli przy pracy. Jeżeli dopuści się do wykonywania prac kamieniarskich ludzi bez kwalifikacji, członkowie Gildii Kamieniarzy utracą zarobki. Może to zniszczyć Gildię Kamieniarzy.

Dla Linscotta mogło to oznaczać kres kariery. Jeśli za jego dyrektorowania gildia utraci ochronę prawną, kamieniarze bez wątplenia natychmiast wykluczą go ze swego grona. Pozbawieni kwalifikacji będą mieli pracę, Linscott zaś zostanie wyrzutkiem.

Ceny, rzecz jasna, w rezultacie wzrosną. Ludzie bez kwalifikacji byli w końcu istotnie bez kwalifikacji. Fachowiec co prawda brał więcej, lecz znał swoją robotę, więc w ostatecznym rozrachunku wypadała ona taniej i była porządnie wykonana.

Jeden z dyrektorów podniósł rękę na znak nieformalnego, choć w praktyce ostatecznego poparcia dla nowego prawa. Reszta obserwowała wznoszącą się rękę, jakby patrzyli na strzałę, która leci, by wbić się w czyjeś serce. W serce Linscotta. Nikt nie chciał podzielić jego losu. Pozostali dyrektorzy jeden po drugim podnosili ręce i ostatecznie w powietrzu tkwiło jedenaście rąk.

Linscott rzucił Claudine mordercze spojrzenie i chwiejnym krokiem opuścił biesiadę. Claudine Winthrop, z poszarzałą twarzą, spuściła głowę.

Dalton Campbell zaczął oklaskiwać dyrektorów. Odwróciło to uwagę zgromadzonych od posępnego dramatu i ludzie zaczęli się przyłączać do adiutanta. Ci, którzy stali w pobliżu Claudine, zaczęli jej gratulować, mówić, jak wspaniałą rzecz uczynili z mężem dla dzieci Anderithu. Niektórzy z oburzeniem pomstowali na egoizm kamieniarzy. Wkrótce utworzyła się kolejka ludzi pragnących jej podziękować i dodać swoje nazwiska do tych, którzy opowiedzieli się po stronie Ministra Spraw Duchowych i jego odważnej bezstronności.

Claudine ścisnęła im dłonie, lecz nie zdobyła się na nic więcej poza słabiutkim uśmiechem.

Dyrektor Linscott już nigdy nie zechce wysłuchać czegokolwiek, co miałyby do powiedzenia Claudine Winthrop.

Stein popatrzył na Daltona i obdarzył go przebiegłym uśmiechem. Hildemara też uśmiechnęła się do niego z zadowoleniem, a jej mąż klepnął Campbella w plecy.

Kiedy wszyscy wrócili na miejsca, harfistka wyciągnęła ręce, gotowa rozpocząć nową melodię, lecz Suweren znów uniósł dłoń. Skierowały się nań wszystkie oczy, a on rzekł:

- Uważam, że powinniśmy wykorzystać tę okazję i przed kolejnym

obnoszeniem potraw wysłuchać tego, co ma nam do powiedzenia przybysz z daleka.

Bez wątpienia Suveren miał kłopoty, by nie zasnąć, i dlatego chciał, żeby Stein już przemówił. Minister podniósł się i znów przemówił do zebranych.

- Jak wiecie, zacni obywatele, wojna zatacza coraz szersze kręgi. Każda ze stron wysuwa argumenty, które mają nas skłonić, byśmy przyłączyli się właśnie do niej. Anderith pragnie wyłącznie pokoju. Nie życzymy sobie, by nasi mężczyźni i kobiety wykrwawiali się w walce o cudzą sprawę. Naszą krainę chroni Dominie Dirtch, więc nie musimy się obawiać napaści, lecz są i inne okoliczności, na które należy mieć wzgląd, w tym handel ze światem. Zamierzamy wysłuchać *tego*, co mają nam do powiedzenia lord Rahl D'Hary i Matka Spowiedniczka. Mają się pobrać, jak bez wątpienia słyszeliście od dyplomatów powracających z Aydindril. Dzięki temu D'Hara i Midlandy połączą się, tworząc ogromną potęgę. Czekamy z respektem na ich przesłanie. Jednak tego wieczoru wysłuchamy słów przekazanych przez Imperialny Ład. Imperator Jagang przysłał do nas swojego wysłannika ze Starego Świata, spoza Doliny Zaginionych, którą można teraz przebyć po raz pierwszy od tysięcy lat. - Minister wyciągnął rękę ku żołnierzowi. - Oto rzecznik imperatora, pan Stein.

Zebrani zaczęli uprzejmie klaskać, lecz oklaski umilkły, gdy tylko Stein powstał. Był okazałym, budzącym grozę i przykuwającym uwagę człowiekiem. Zatknał kciuki za pas, przy którym nie było teraz broni.

- Podjęliśmy walkę o naszą przyszłość, przyszłość podobną do tej, której właśnie byliście świadkami, tylko na większą skalę. - Stein wziął mały bochenek twardego chleba. Wielkie dłonie ścisnęły chleb, dopóki się nie rozłamał. - My, rasa ludzka, a dotyczy to również zacnych mieszkańców Anderithu, jesteśmy powoli druzgotani. Powstrzymuje się nasz rozwój. Tłamsi się nas. Odbiera się nam nasze przeznaczenie, naszą przyszłość, odmawia prawa do *żyda*. U was są ludzie pozbawieni pracy, bo dbająca o własne interesy gildia wywiera wpływ na ich życie, odmawia im pracy, a przez to skazuje ich dzieci na głód. Magia jednak włada życiem nas wszystkich.

Komnata rozszumiała się szeptami. Ludzie byli skonfundowani i odrobinę zaniepokojeni. Niektórzy nienawidzili magii, lecz wielu darzyło ją szacunkiem.

- Magia decyduje za was o waszym losie - ciągnął Stein. - Władają wami ci, którzy mają magiczny dar, chociaż nie poddaliście się ich władzy z własnej woli. Oni mają moc i trzymają was w garści. Rzucają uroki, by zaszkodzić tym, którym zazdroszczą. Szkodzą niewinnym ludziom, których się boją, do których czują niechęć, którym zazdroszczą. Szkodzą też tylko po to, żeby trzymać innych w szachu. Ci z magicznym darem władają wami, czy sobie tego życzyście czy nie. Gdyby nie magia, umysł ludzki mógłby rozkwitnąć. Nadszedł czas, żeby zwykli ludzie decydowali o tym, co ma być, i to bez magii rzucającej cień na ich decyzje i przyszłość. - Stein uniósł połę peleryny. - To skalpy tych, którzy mieli magiczny dar. Każdego zabiłem własnymi rękami. Każdą z tych wiedźm pozbawiłem możliwości zniekształcania życia zwykłych ludzi. Ludzie powinni się bać jedynie Stwórcy, a nie jakiejś czarodziejki, czarodzieja czy wiedźmy. Powinniśmy czcić Stwórcę i nikogo poza nim.

Tu i ówdzie dały się słyszeć pomruki wyrażające poparcie dla mówcy.

- Imperialny Ład wypłeni magię z tego świata, tak jak zniszczyliśmy magię, która przez tysiące lat rozdzielała ludzi Starego i Nowego Świata. Ład zatriumfuje. Człowiek będzie sam decydować o swoim losie. Ci z magicznym darem i tak, nawet bez naszej interwencji, rodzą się coraz rzadziej, jakby nawet nieskończenie cierpliwy Stwórca rniął dość ich zepsucia. Stara wiara w magię umiera. Sam Stwórca daje nam w ten sposób znak, że nadszedł czas, by człowiek odrzucił magię.

Rozlegały się coraz liczniejsze głosy poparcia.

- Nie chcemy walczyć z mieszkańcami Anderithu. Nie chcemy również zmuszać was, byście wbrew swojej woli chwycili za broń i przyłączyli się do nas. Zamierzamy jednak zniszczyć siły magii dowodzone przez nieprawego dziedzica D'Hary. Ci, którzy się doń przyłączą, zginą od naszego miecza tak, jak ci z magicznym darem - znów uniósł połę peleryny - padli od mojego. - Trzymał uniesioną połę peleryny, a palec drugiej dłoni z wolna przesunął przed tłumem. - Tak jak zabiłem te władające magią wiedźmy, na które się natknąłem, tak Ład zabije wszystkich, którzy wystąpią przeciwko nam. Nie walczymy tylko mieczem. Mamy też inne sposoby, żeby skończyć z magią. Zniszczymy całą magię tak, jak zniszczyliśmy tę, która nas rozdzielała. Nadeszła era człowieka.

Minister obojętnie podniósł rękę.

- Czegóż więc, jeżeli nie mieczy naszej potężnej armii, chce od nas Ład?
- Imperator Jagang daje słowo, że was nie zaatakujemy, jeśli nie dołączycie do wojsk walczących po stronie tych, którzy mają magiczny dar. Chcemy jedynie z wami handlować, tak jak handlujemy z innymi.
- Hmm - odezwał się minister, odgrywając na użytek tłumu niedowiarka.
- Mamy już umowy zapewniające, że spora część naszych towarów trafi do Midlandów.

Stein uśmiechnął się.

- A my oferujemy dwukrotność najwyższej ceny, którą zaoferowali inni. Suwren uniósł rękę i umilkły nawet szepty.

- A kupnem jakiej części naszych produktów jesteście zainteresowani?

Stein spojrział na tłum.

- Kupnem całości. Mamy wielką armię. Nie będziecie musieli uczestniczyć w wojnie, walką my się zajmiemy. Jeżeli sprzedacie nam swoje towary, będziecie bezpieczni i Anderith wzbogaci się ponad wasze sny i marzenia.

Suwren wstał i powiódł wzrokiem po komnacie.

- Dziękuję za słowa imperatora, panie Stein. Chętnie usłyszemy więcej. Na razie twoje słowa dały nam sporo do myślenia. - Skinął dłonią. - Niech uczta rozpocznie się na nowo.

## ROZDZIAŁ 23

Fitcha straszliwie bolała głowa. Światło poranka raziło go w oczy. Ssał kawałek imbiru, a mimo to nie mógł się pozbyć z ust ohydny posmaku. Uznał, że ból głowy i ten ohydny smak są skutkami nadmiaru wina i rumu, którymi on i Morley się uraczyli. Pomimo to był w dobrym nastroju i uśmiechał się, szorując brudne gary.

Mistrz Drummond nie wrzeszczał na niego, choć był bardzo powolny, starając się, żeby jeszcze bardziej nie kręciło mu się w głowie. Kuchmistrz wydawał się zadowolony, że uczta się wreszcie skończyła i że będą mogli wrócić do codziennych kuchennych zajęć. Wysłał go już po wiele rzeczy i ani razu nie nazwał go „Fetch”.

Fitch usłyszał, że ktoś zbliża się ku niemu. Podniósł głowę i przekonał się, że to mistrz Drummond.

- Osusz ręce, Fitch.

Chłopak wyciągnął ręce z mydlin i otrząsnął je.

- Dobrze, panie.

Złapał wiszący w pobliżu ręcznik i z przyjemnością przypomniał sobie, że także do niego mówiono tej nocy „panie”.

Mistrz Drummond otarł czoło własnym białym ręcznikiem. Z tego, jak się pocił, można było wywnioskować, że i on tej nocy wypił zbyt wiele i teraz nie czuje się najlepiej. Przygotowania do uczty wymagały kolosalnej pracy toteż Fitch niechętnie pomyślał, że również mistrz Drummond miał prawo się upić. Teraz trzeba do niego stale mówić „panie”.

- Idź do gabinetu pana Campbella.

- Panie?

Mistrz Drummond zatknął za pas swój biały ręcznik.

Obserwowały ich pracujące w pobliżu kobiety. Gillie miała gniewną minę, pewnie czekała na okazję, żeby wykręcić Fitchowi ucho i wypomnieć mu jego niegodziwe hakeńskie zachowanie.

- Dalton Campbell właśnie dał znać, że chce cię widzieć. Coś mi się zdaje, że to ma być natychmiast, więc biegnij i dowiedz się, czego sobie życzy.

- Tak, panie, już biegnę. - Fitch skłonił się.

Ominął z daleka Gillie, zanim miała czas się nim zająć, i zniknął

najszybciej jak zdołał. To było jedyne zadanie, które go cieszyło, i nie chciał, żeby przeszkodziła mu wiecznie skrzywiona wytwórczym sosów.

Pędził w górę, przeskakując po dwa stopnie naraz, i głowa jakoś mu w tym nie przeszkadzała. Kiedy dotarł na trzecie piętro, czuł się już zupełnie dobrze. Minął miejsce, w którym dostał w twarz od Beaty, i pobiegł korytarzem w prawo, tam gdzie ledwie przed tygodniem zaniósł późnym wieczorem tacę z plastrami mięsiwa do gabinetu Daltona Campbella.

Drzwi do zewnętrznego gabinetu były otwarte. Fitch wstrzymał oddech i wszedł do środka, pochylając nisko, z szacunkiem głowę. Wcześniej był tu tylko raz i nie bardzo wiedział, jakiego zachowania oczekiwano od niego w gabinecie adiutanta ministra.

W pomieszczeniu były dwa stoły. Na jednym beładnie leżały sterty papierów, wosk do pieczętowania i torby kurierskie. Na drugim, ciemnym i lśniącym, spoczywało tylko kilka książek i stała zgaszona lampa. Wpadający przez wysokie okna blask porannego słońca wystarczał do oświetlenia komnaty.

Pod ścianą naprzeciwko okien stała długa wyściełana ława. Siedzieli na niej czterej młodzi mężczyźni i rozmawiali. Mówili o jeździe do dalekich miast i miasteczek. Byli posłańcami. Wykonywali bardzo pożądaną przez wszystkich zajęcie, więc Fitch wcale się nie zdziwił, że omawiają różne sprawy, choć zawsze uważał, iż posłańcy dyskutują głównie o wspaniałych rzeczach, jakie widzieli w trakcie podróży.

Wszyscy czterej byli ubrani w liberie podwładnych adiutanta ministra: ciężkie czarne buty, ciemnobrązowe spodnie, białą koszulę z marszczonym kołnierzem i kaftan pikowany we wzór z łączących się ze sobą rogów obfitości. Brzegi każdego kaftana obszyto lamówką z przeplecionych taśm, brązowej i czarnej. Fitch był zdania, że w owych strojach posłańcy wyglądali prawie jak szlachetnie urodzeni, zwłaszcza że byli to posłańcy adiutanta ministra.

Wśród personelu posiadłości było wielu różnych posłańców. Pracowali dla konkretnej osoby lub biura i w zależności od tego nosili odmienne liberie. Fitch znał posłańców pracujących dla ministra, lady Chanboor, biura szambelana, biura marszałka. Majordomus miał kilku posłańców, a jeszcze liczna ich armia pracowała poza posiadłością. Niektórzy przynosili tu wieści, chociaż mieszkali gdzie indziej. Nawet kuchnia miała swojego posłańca. Od



czasu do czasu Fitch widywał i innych, których nie rozpoznawał.

Młody Haken nie potrafił zrozumieć, do czego było potrzebnych aż tylu posłańców. Nie miał pojęcia, ile wieści mógłby przekazać jeden kurier.

Najliczniejszą armią posłańców, dorównującą niemalże liczebnością wojsku, dysponował gabinet adiutanta ministra, Daltona Campbella.

Czterej mężczyźni siedzący na wyściełanej ławie spoglądali na Fitcha z dość przyjaznymi uśmiechami. Dwaj skinęli mu głową, jak czynili i przedtem, kiedy ich spotykał. Chłopak zawsze się temu dziwił, bo choć i oni byli Hakenami, wyobrażał sobie, że są kimś lepszym od niego - zupełnie jakby, nie będąc Anderyjczykami, stali jednak odrobinę ponad zwyczajnym Hakenem. Grzecznie odwzajemnił skinienie głowy. Jeden z nich, może ze dwa lata starszy od Fitcha, wskazał kciukiem drugą komnatę.

- Pan Campbell czeka na ciebie, Fitch. Masz tam wejść. Pomywacz zdumiał się, że tamten wiedział, jak ma na imię.

- Dziękuję.

Powłócząc nogami, ruszył ku wysokim drzwiom wiodącym do wewnętrznej komnaty. Zatrzymał się na progu. W zewnętrznej komnacie był już wcześniej, lecz wewnętrzne drzwi były zawsze zamknięte. Spodziewał się, że gabinet pana Campbella będzie prawie taki sam, ale był większy i bardziej okazały. Trzy okna okalały kosztowne błękitne i złote draperie, całą ścianę zajmowały dębowe półki wypełnione barwnymi grubymi księgami, a w rogu stały wspaniałe anderyjskie chorągwie bojowe. Na żółtym tle drugiej z nich widniały czerwone plamki z odrobiną błękitu. Te chorągwie ustawiono razem z groźnie wyglądającą bronią drzewcową.

Dalton Campbell siedział za ciężkim biurkiem ze lśniącego mahoniu o wygiętych nogach i ozdobnie wykończonych krawędziach. W blat wpuszczono trzy skórzane prostokąty - dwa mniejsze po bokach i największy pośrodku. Każdy prostokąt okalał falisty złoty wzór.

- A, jesteś, Fitch. Znakomicie. Wejdz i zamknij drzwi. Chłopak zrobił, co mu kazano, i podszedł do biurka.

- Tak, panie? Potrzebujesz czegoś?

Campbell odchylił się do tyłu w brązowym skórzanym fotelu. Wspaniały miecz z pochwą stał obok wyściełanej ławy w specjalnym stojaku z kowanego srebra, który przypominał pergaminowy zwój. Na zwoju wygrawerowano linie jakiegoś tekstu, ale Fitch nie potrafił czytać, więc nie wiedział, czy to

prawdziwe słowa.

Adiutant ministra odchylił fotel na dwóch tylnych nogach, ssał czubek szklanej obsadki i obserwował twarz Fitcha.

- Z Claudine Winthrop wykonałeś dobrą robotę.

- Dziękuję, panie. Starąłem się pamiętać o wszystkim, co mi kazałeś powiedzieć i zrobić.

- I dobrze się spisałeś. Niektórzy mogli się okazać zbyt czułościwymi i nie wykonać moich poleceń. Lubię korzystać z usług tych, którzy wypełniają rozkazy i pamiętają, co kazałem im zrobić. Prawdę mówiąc, chcę ci zaoferować nową posadę, w moim biurze. Byłbyś posłańcem.

Fitch patrzył na niego oniemiały. Słyszał słowa, ale ich nie pojmował. Dalton Campbell miał mnóstwo posłańców - całą ich armię.

- Panie?

- Dobrze się spisałeś. Chciałbym, żebyś został jednym z moich posłańców.

- Ja, panie?

- Praca jest łatwiejsza niż w kuchni, a poza tym oprócz pożywienia i mieszkania dostawałbyś też zapłatę. Dzięki temu mógłbyś zacząć odkładać pieniądze na przyszłość. Może pewnego dnia zasłużysz na szlachectwo, a wtedy będziesz mógł sobie coś kupić. Może nawet miecz.

Fitch tkwił nieruchomo, wciąż od nowa powtarzając w myślach słowa Daltona Campbella. Nigdy nawet nie marzył, że mógłby zostać posłańcem. Nie brał pod uwagę pracy, która dałaby mu nie tylko kwatery i wikt, ale i okazję do napicia się dobrego trunku i ewentualnie od czasu do czasu jakiś grosz. Rzecz jasna, śnił o posiadaniu miecza, o umiejętności czytania i o innych rzeczach, lecz to były tylko głupie marzenia, doskonale o tym wiedział - wyłącznie głupie marzenia. Sny najawie. Nigdy nie ośmielił się marzyć o czymś rzeczywistym, na przykład o zostaniu posłańcem.

- I co ty na to, Fitch? Chciałbyś być jednym z moich posłańców? Oczywiście, nie mógłbyś wtedy nosić tych... tego ubrania. Musiałbyś chodzić w liberii posłańca. - Dalton Campbell pochylił się do przodu i spojrzał w dół przez biurko. - Dotyczy to również butów. Jako posłaniec, musiałbyś chodzić w butach. I przeprowadziłbyś się do nowej kwatery. Posłańcy mieszkają razem. Mają łóżka, nie sienniki. Na łóżkach są prześcieradła. Sam, oczywiście, słałbyś swoje łóżko i utrzymywał porządek w swoim kufrze, lecz

służba pierze posłańcom odzież i pościel. Co ty na to, Fitch? Chciałbyś się przyłączyć do moich posłańców?

Fitch przełknął ślinę.

- A co z Morleyem, panie Campbell? I on zrobił to, co kazałeś. Czy on także zostanie posłańcem?

Skóra zaskrzypiała, bo Dalton Campbell znów odchylił fotel na tylnych nogach. Przez jakiś czas ssał czubek szklanej obsadki w błękitne i przejrzyste spirale i obserwował oczy Fitcha. Ostatecznie wyjął obsadkę z ust.

- W tej chwili potrzebuję tylko jednego posłańca. Czas, Fitch, żebyś zaczął myśleć o sobie, o swojej przyszłości. Chcesz przez resztę życia być kuchennym? Nadszedł czas, żebyś zrobił to, co jest korzystne dla ciebie, Fitch, jeśli zamierzasz cokolwiek osiągnąć w życiu. To twoja szansa, żeby wydostać się z kuchni. I może to być jedyna szansa, jaka ci się trafi. Posadę posłańca proponuję tobie, a nie Morleyowi. Przyjmij ją albo odrzuć. I co zdecydowałeś?

Fitch oblizał wargi.

- Cóż, panie, lubię Morleya, jest moim przyjacielem. Ale nie wiem, czy jest na świecie coś, czego bym bardziej pragnął, niż być twoim posłańcem, panie Campbell. Biorę tę robotę, jeżeli mnie przyjmiesz.

- Znakomicie. No to witaj wśród mego personelu, Fitch. - Dalton uśmiechnął się do niego przyjaźnie. - Twoja lojalność wobec przyjaciela jest godna podziwu. Mam nadzieję, że taką samą okażesz mi. Na razie będę miał dla Morleya... dorywcze zajęcia. Sądzę, że w przyszłości może się zwolnić jakieś miejsce, a wówczas i on będzie mógł zostać moim posłańcem.

Fitchowi ulżyło. Nie chciałby stracić przyjaciela, jednak zrobiłby wszystko, żeby wydostać się z kuchni mistrza Drummonda i zostać posłańcem.

- To strasznie uprzejme z twojej strony, panie. Wiem, że i Morley dobrze by się u ciebie spisywał. Przysięgam, że tego pewny.

Dalton Campbell raz jeszcze pochylił się do przodu, przednie nogi fotela stuknęły o podłogę.

- No to w porządku. - Przesunął po blacie biurka złożoną kartkę papieru. - Zanieś to mistrzowi Drummondowi. To wieść dla niego, że cię zaangażowałem jako posłańca i że już nie jesteś jego podwładnym. Coś mi się zdaje, że chętnie sam byś to zaniósł jako swoją pierwszą służbową

wiadomość.

Fitch chciał skakać i krzyczeć z radości, lecz pozostał chłodny, jak - według niego - przystało na posłańca.

- Tak, panie, chciałbym to sam zanieść. - Uświadomi! sobie, że bardziej się wyprostował.

- A zaraz potem jeden z moich posłańców, Rowley, zaprowadzi cię do magazynów posiadłości. Dadzą ci liberię, która będzie na ciebie najbardziej pasowała, szwaczka zaś pomierzy cię, żeby twoje nowe stroje leżały jak trzeba. Wymagam, by wszyscy moi posłańcy nosili liberię szytą na miarę. Wymagam, by dobrze świadczyli o moim biurze. A to *oznacza*, że masz być czysty, ty i twoja odzież. Buty wyczyszczone do połysku. Włosy uczesane. Przez cały czas masz się właściwie zachowywać. Rowley wyjaśni ci wszystkie szczegóły. Podołasz temu, Fitch?

Pod chłopakiem drżały kolana.

- Tak, panie. Na pewno, panie.

Pomyślał o nowych strojach, jakie będzie nosił, i nagle bardzo się zawstydził swojego paskudnego wyglądu. Jeszcze przed godziną uważał, że wygląda zupełnie nieźle, ale teraz już tak nie sądził. Nie mógł się doczekać, żeby pozbyć się łachów pomywacza. Zastanawiał się, co by pomyślała Beata, gdyby zobaczyła go we wspaniałej liberii posłańca.

Dalton Campbell przesunął po blacie biurka skórzaną torbę. Zamknięcie było zapieczętowane sporym plastrem bursztynowego wosku, w którym odcisnięto pieczęć z wyrytym w niej snopkiem pszenicy.

- Kiedy już będziesz czysty i przebierzesz się w nowy strój, dostarczysz tę torbę do Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni w Fairfield. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak, panie Campbell. Dorastałem w Fairfield i dobrze wiem, gdzie co jest.

- Tak też mi powiedziano. Mamy posłańców z całego Anderithu i przede wszystkim pracują w miejscach, które znają, w których dorastali. Skoro znasz Fairfield, to zostaniesz przypisany głównie tam. - Adiutant odchylił się do tyłu i wyłowił coś z kieszeni. - A to dla ciebie. - Rzucił coś chłopakowi. Fitch złapał to i w osłupieniu wpatrywał się w trzymanego w dłoni srebrnego suwerena. Nie spodziewał się, że nawet najbogatsi ludzie noszą przy sobie tak duże sumy.

- Ależ, panie, jeszcze nie przepracowałem miesiąca.

- To nie jest twoja pensja posłańca. Tamtą zapłatę dostaniesz przy końcu każdego miesiąca. - Dalton Campbell uniósł brew. - To wyraz mojego uznania za robotę z wczorajszego wieczoru.

Claudine Winthrop. To miał na myśli - wystraszenie Claudine Winthrop, żeby milczała.

Powiedziała do Fitcha „panie”.

Chłopak odłożył srebrną monetę na biurko. Przesunął ją palcem kilka cali w kierunku adiutanta.

- Nic mi za to nie jesteś winien, panie. Nigdy nic mi za to nie obiecywałeś. Zrobiłem to, bo chciałem ci pomóc, a także chronić przyszłego Suwerena, nie zaś dla zapłaty. Nie mogę wziąć pieniędzy, które mi się nie należą.

Campbell uśmiechnął się do siebie.

- Weź monetę, Fitch. To rozkaz. Dziś mam dla ciebie tylko jedno zadanie, dostarczenie tej torby w Fairfield, i chcę, żebyś potem wydał na siebie część tej tu sumy albo i całą, jeżeli tak zechcesz. Zabaw się. Kup sobie łakoci. Albo trunku. To twoje pieniądze, wydaj je, na co zechcesz.

Fitch powściągnął podekscytowanie.

- Tak, panie, Dziękuję, panie. No to zrobię, jak mówisz.

- Znakomicie. A, jeszcze jedno. - Campbell wsparł łokieć o biurko i pochylił się w stronę chłopaka. - Nie wydawaj tych pieniędzy na miejskie prostytutki. Tej wiosny wśród dziwek w Fairfield szaleją paskudne choroby. Niemiły rodzaj śmierci. Jeśli trafisz na nieodpowiednią prostytutkę, nie pożyczysz wystarczająco długo, żeby zostać dobrym posłańcem.

Choć pomysł pójścia z kobietą był aż boleśnie kuszący, Fitch nie wyobrażał sobie, że mógłby się na to zdobyć i rozebrać do naga przed którąś z nich. Lubił patrzeć na kobiety, tak jak na Claudine Winthrop czy Beatę, lubił je sobie wyobrażać nagie, lecz nigdy nie wyobrażał sobie, że i one widzą go nagiego i jeszcze w dodatku podnieconego. Nawet gdy był ubrany, miał kłopoty z ukryciem przed kobietami podniecenia. Bardzo pragnął być z kobietą, ale uważał, że cała ta kłopotliwa sytuacja zniszczyłaby pożądanie - no bo jak mogłoby być inaczej?

Może gdyby to była dziewczyna, którą znałby i lubił... Gdyby ją całował,

tulił, zalecał się do niej jakiś czas i dobrze ją poznał - może wtedy mógłby dojść do punktu kulminacyjnego. Ale nie potrafił sobie wyobrazić, że ktoś ma tyle odwagi, by iść do zupełnie obcej kobiety i zwyczajnie rozebrać się przed nią do naga.

Może gdyby było ciemno. A może tak właśnie było. Może w izbach prostytutek było ciemno, żeby dwoje ludzi się nawzajem nie widziało. Ale Fitch i tak...

- Fitch?

Fitch odchrząknął.

- Nie, panie. Przysięgam, że nie pójde w Fairfield do żadnej prostytutki. Na pewno nie pójde, panie.

## ROZDZIAŁ 24

Chłopak wyszedł i Dalton ziewnął. Wstał długo przed świtem. Zwoływał personel, rozmawiał z zaufanymi pomocnikami, wysłuchiwał ich raportów o każdej istotnej rozmowie prowadzonej podczas uczty i czuwał nad przygotowaniem wszystkich pism. Personel trudniący się między innymi przepisywaniem i przygotowywaniem pism zajmował kolejne sześć pomieszczeń w tym korytarzu, ale żeby uporać się z zadaniem w tak krótkim czasie, jego pracownicy korzystali również z zewnętrznych biur Daltona.

Równy ze świtem Campbell wyprawił już swoich posłańców do obwoływaczy w każdym zakątku Anderithu. Potem, kiedy minister skończy zabawy z towarzyszką łoża i wstanie, adiutant pokaże mu oświadczenie, żeby Bertranda Chanboora nie zdumiał tekst, który nosi jego sygnaturę.

Obwoływacze odczytają obwieszczenie w miejscach zgromadzeń, w siedzibach gildii, w pomieszczeniach, w których spotykają się hurtownicy i handlowcy, w ratuszach miast i miasteczek, w tawernach, gospodach, we wszystkich wojskowych placówkach, na każdym uniwersytecie, w każdym miejscu kultu, na każdym zgromadzeniu pokutnym, w każdej foluszami, papierni i młynie zbożowym, na każdym placu targowym: wszędzie tam, gdzie gromadzą się ludzie. W każdym zakątku Anderithu. Za kilka dni wieść - taka, jak ją zredagował Dalton Campbell - dotrze do wszystkich.

Obwoływacze, którzy nie odczytaliby właściwego tekstu, szybko zostaliby zastąpieni przez ludzi bardziej niż oni zainteresowanych otrzymaniem źródła dodatkowych dochodów. Wysyłając pisma do obwoływaczy, adiutant ministra posłał jednocześnie identyczne dokumenty osobom, które dorabiały sobie, słuchając i donosząc, czy obwoływacze nie zmienili ani słowa. Również w ten sposób zarzucał swoje sieci.

Niewielu ludzi rozumiało równie dobrze jak Dalton Campbell znaczenie precyzyjnie zredagowanej, przekonująco brzmiącej, dokładnie takiej wieści docierającej do każdej pary uszu. Niewielu pojmowało, jaką władzę dysponuje ten, kto kontroluje słowa docierające do innych. Ludzie wierzą w to, co odpowiednio się im poda, bez względu na to, czego dotyczą słowa. Niewielu ludzi zdawało sobie sprawę, jak potężną bronią jest zręcznie dokonane zniekształcenie informacji.

Kraina miała teraz nowe prawo. Prawo zabraniające stronnicych praktyk w zatrudnianiu kamieniarzy i nakazujące przyjmowanie chętnych, którzy zgłoszą się do tej pracy. Jeszcze dzień wcześniej taka akcja przeciwko potężnej gildii wydawałaby się nie do pomyślenia. Obwieszczenie Daltona Campbella pouczało ludzi, żeby kierowali się najwspanialszymi ideami anderyjskiej kultury duchowej i nie podejmowali wrogich, co zrozumiałe, działań przeciwko kamieniarzom w związku z ich przeszłymi nikczemnymi praktykami, które miały wpływ na głodowanie dzieci. Kładło natomiast nacisk na to, żeby teraz mieszkańcy Anderithu stosowali się do nowych, wyższych norm Prawa Winthropo o Sprawiedliwym Zatrudnieniu. Wystraszeni kamieniarze, miast występować przeciwko nowemu prawu, będą energicznie próbowali udowodnić, że nie zamierzali głodzić dzieci sąsiadów. Niewiele czasu upłynie, a kamieniarze w całej krainie nie tylko ugną się przed nowym prawem, ale i zostaną jego gorącymi orędownikami, jakby sami od dawna nalegali na jego wprowadzenie. Nie mieli innego wyjścia: pozostawała im ta droga lub ukamienowanie przez rozwścieczoną tłuszcę.

Dalton lubił brać pod uwagę każdą ewentualność i zawczasu mieć wszystko gotowe. Rowley przypilnuje Fitcha, żeby ten się umył i przebrał w liberię posłańca. Zanim chłopak wyruszy z kryjącą wieści torbą, i tak będzie już za późno, żeby któryś z jedenastu dyrektorów Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni z jakiegoś powodu zmienił zdanie i zdążył zadziałać. Obwoływacze zaczną już odczytywać nowe prawo w całym Fairfield i wkrótce będzie ono szeroko znane. Żaden z jedenastu dyrektorów nie będzie mógł cofnąć swojego poparcia, które wyraził podniesieniem ręki podczas wieczornej biesiady.

Fitch będzie doskonale pasował do pozostałych posłańców. Dalton zebrał ich wszystkich przez ostatnie dziesięć lat - byli to młodzi ludzie wyciągnięci z różnych zakamarków, gdzie skazani byli na ciężką harówkę i upodlenie. Mieli niewiele możliwości i jeszcze mniej nadziei. Stali najniżej w hierarchii anderyjskiej kultury duchowej. A teraz, roznosząc pisma obwoływaczom, pomagali kształtować i kontrolować tę kulturę.

Posłańcy nie tylko roznosili pisma. Stanowili coś w rodzaju opłacanej przez państwo prywatnej armii, i to między innymi dzięki nim Dalton Campbell osiągnął obecne stanowisko. Wszyscy posłańcy byli wobec niego



niewzruszenie lojalni. Jedynie wobec niego. Większość chętnie oddałaby życie, gdyby tego zażądał. Zdarzało się, że żądał.

Adiutant uśmiechnął się, bo jego myśli zaczęły krążyć wokół przyjemniejszych spraw - wokół Teresy. Nie posiadała się z zachwytu, że została przedstawiona Suwerenowi. Kiedy po uczcie wrócili do swoich komnat i znaleźli się w łóżu, szczerze go wynagrodziła, demonstrując, jaka potrafi być dobra. A Teresa potrafiła być fantastycznie dobra. Spotkanie z Suwerenem tak ją wzruszyło, że spędziła rano na modlitwie. Campbell wątpił, czy spotkanie z samym Stwórcą wywarłoby na niej większe wrażenie. Cieszył się, że mógł zapewnić żonie tak wspaniałe przeżycie. Przynajmniej nie zemdlą, jak to się zdarzyło kilku kobietom i jednemu mężczyźnie, których przedstawiono Suwerenowi. Byłoby to dla nich zawstydzające, gdyby nie fakt, że przydarzyło się aż tylu osobom jednocześnie. A tak każdy zrozumiał i zaakceptował ich reakcję. Na swój sposób był to znak wyróżniający, symbol wiary, który świadczył o bezgranicznym oddaniu takiej osoby Stwórcy. Wszyscy uznali, że oto w całej okazałości objawiła się ich szczerza wiara.

Dalton wszakże widział w Suwerenie człowieka, jakim ten był - człowieka zajmującego najwyższe stanowisko, a mimo to tylko człowieka. Za to dla niektórych ludzi Suweren był ponad takimi przyziemnymi ocenami. Kiedy Bertrand Chanboor, już teraz powszechnie szanowany i podziwiany jako najznakomitszy ze wszystkich dotychczasowych Ministrów Spraw Duchowych, zostanie Suwerenem i on stanie się obiektem takiego nierozumnego uwielbienia.

Campbell podejrzewał jednak, że ogromna większość tych omdlewających kobiet będzie próbowała paść Chanboorowi w ramiona, a nie zemdleć przed nim. Dla wielu z nich byłoby to religijne przeżycie przewyższające zwyczajne spółkowanie z takim człowiekiem władzy, jakim jest Minister Spraw Duchowych. A gdyby żony pobożnie przystały na podobne spotkanie z Suwerenem, część łaski spłynęłaby również na mężów.

Ktoś zapukał do drzwi i Dalton podniósł wzrok. Zaczął mówić „wejść”, lecz kobieta już wchodziła. Była to Franca Gowenlock. Adiutant wstał.

- Miło cię widzieć, Franco. Dobrze się bawiłaś na uczcie?

Z jakiegoś powodu Franca miała ponurą minę. W połączeniu z ciemnymi oczami i włosami i ogólnym wrażeniem, że zawsze stoi w cieniu, choćby tak

nie było, nadawało jej to teraz naprawdę mroczny wygląd. Nawet powietrze wokół kobiety stawało się nieruchome i chłodne.

Złapała oparcie krzesła, obok którego przechodziła, i przywłokła je do biurka Daltona. Postawiła je przed biurkiem, usiadła i skrzyżowała ramiona. Zaskoczony adiutant opadł na swój fotel.

Od kącików przymrużonych oczu Franki rozbiegały się delikatne zmarszczki.

- Nie podoba mi się ten z Imperialnego Ładu. Stein. Nie podoba mi się ani trochę.

Dalton odchylił się na oparcie fotela. Czarne, sięgające niemal ramion włosy kobiety były rozpuszczone, a mimo to odchyłały się od jej twarzy, jakby zmroził je lodowaty wiatr. Skronie miała nieco posiwiałe, lecz to nie tyle dodawało jej lat, ile powagi. Skromna, czerwono-brunatna suknia była zapięta po samą szyję, którą okalała opaska z czarnego aksamitu. Zwykle był to czarny aksamit, ale nie zawsze. Za to opaska zawsze była szeroka na dwa palce.

Franca nigdy jej nie zdejmowała i Dalton Campbell bez przerwy zastanawiał się, dlaczego to robiła i co zakrywał materiał. O ile coś zakrywał. Nigdy jednak o to nie zapytał, bo Franca była Francą.

Znał France Gowenlock od blisko piętnastu lat i przez ponad połowę tego okresu korzystał z jej uzdolnień. Czasami myślał, że pewnie kiedyś odciął jej głowę i sama ją sobie przyszyła.

- Przykro mi, Franco. Zrobił ci coś? Obrzął cię? Targnął się na ciebie? Jeśli tak, to powiedz, a dam słowo, że odpowie mi za to.

Franca wiedziała, że dotrzyma danego jej słowa. Splotła długie, zgrabne palce.

- Ma mnóstwo chętnych i palących się doń kobiet. Nie jestem mu do tego potrzebna.

Dalton, nie wiedząc, co począć, lecz zaintrygowany, rozłożył ręce.

- Więc o co chodzi?

Kobieta oparła się o biurko, pochyliła głowę ku Campbellowi i zniżyła głos.

- Zrobił coś z moim magicznym darem. Jakoś go zakłócił. Adiutant zamrugał, teraz już naprawdę zatroskany.

- Czyżbyś sądziła, że ma jakąś magiczną moc? Że rzucił urok albo coś w

tym rodzaju?

- Nie wiem - burknęła Franca. - Ale coś zrobił.

- Skąd wiesz?

- Podczas uczy, jak zawsze, próbowałam przysłuchiwać się rozmowom. Mówię ci, Daltonie, gdybym nie wiedziała, że mam dar, byłabym przekonana, że go mam. Nic. Nie usłyszałam nic. Ani słówka.

Teraz Dalton miał równie ponurą minę jak ona.

- Czyli twój dar nie pozwolił ci niczego podsłuchać?

- Czy ty w ogóle nie słuchasz? Przecież to właśnie powiedziałam.

Dalton zabębnił palcami o blat biurka. Odwrócił się i wyjrzał przez okno. Wstał i podsunął w górę skrzydło okna, wpuszczając do środka ciepły wiaterek. Skinął na France. Wstała i okrążyła biurko. Wskazał jej dwóch mężczyzn rozmawiających pod drzewem, które rosło po drugiej stronie trawnika.

- Tamci dwaj. Powiedz, o czym rozmawiają.

Franca oparła dłonie na parapecie i odrobinę się wychyliła, wpatrując się we wskazanych. Słońce oświetliło jej twarz i ujawniło, jak czas zaczyna marszczyć, rozciągać i rozluźniać to, co według Daltona czyniło ją jedną z najpiękniejszych i najosobliwszych spośród wszystkich znanych mu kobiet. Ale jej uroda, mimo upływu czasu, wciąż była porywająca.

Campbell patrzył, jak mężczyźni gestykują przy rozmowie, lecz nie słyszał ani jednego słowa. Franca, dzięki swojemu darowi, powinna z łatwością wszystko usłyszeć.

Twarz Franki stężała. Kobieta stała tak nieruchomo, że wyglądała niczym jedna z woskowych figur z obwoźnej wystawy, która odwiedzała Fairfield dwa razy w roku. Daltonowi wydawało się nawet, że nie oddycha. W końcu westchnęła z irytacją.

- Nie słyszę ani słówka. Są za daleko, żebym widziała ich wargi, co by mi trochę pomogło, ale i tak nic nie słyszę, choć powinnam.

Campbell spojrział trzy piętra w dół, bliżej budynku.

- A ci dwaj?

Franca wychyliła się, żeby spojrzeć. Adiutant niemal słyszał chichot i okrzyk, ale nic więcej. Kobieta znów znieruchomiła. Tym razem jej westchnienie było bliskie wściekłości.

- Nic, a prawie ich słyszę i bez daru.

Dalton zamknął okno. Gniew momentalnie zniknął z jej twarzy i mężczyzna zobaczył coś, czego nigdy przedtem nie widział: strach.

- Musisz się pozbyć tego człowieka, Daltonie. To pewnie ja! Jdź czarodziej albo ktoś w tym rodzaju. On mnie strasznie denerwuje i przeszkadza mi.

- Skąd wiesz, że to jego robota? Franca zamrugła powiekami.

- A czyj aż by? Przechwała się, że potrafi wyeliminować magię. Jest tutaj od kilku dni, a ja od kilku dni mam te kłopoty.

- A co z innymi sprawami? Z innymi przejawami twojego daru? Odwróciła się i załamała rękę.

- Kilka dni temu rzuciłam niewielki urok dla kobiety, która do mnie przysłała. Mały czar, żeby jej wrócił miesięczny czas, żeby nie była ciężarna. Tego ranka wróciła i powiedziała, że nie podziałało.

- Cóż, to musi być złożone zaklinanie. Pewnie w grę wchodzi wiele rzeczy. Wydaje mi się, że to nie zawsze działa.

Franca potrząsnęła głową.

- Wcześniej zawsze działało.

- Może jesteś chora. Czująś się ostatnio jakoś dziwnie?

- Czuję się dokładnie tak samo jak przedtem. Jakby moja moc była równie potężna jak zawsze. I powinna taka być, lecz nie jest. Inne uroki też zawiodły. Nie zostawiłam tego przecież bez żadnej próby, nieprawdaż?

Zaniepokojony Dalton nachylił się ku niej.

- Mało o tym wiem, Franco, ale może chodzi tylko o wiarę w siebie. Może po prostu powinnaś wierzyć, że potrafisz to zrobić, a zadziała.

Zerknęła nań gniewnie przez ramię.

- Skąd wzięłeś takie głupie wyobrażenie o darze?

- Bo ja wiem? - Adiutant wzruszył ramionami. - Przyznaję, że mało wiem o magii, ale naprawdę nie wierzę, że Stein ma dar czy w ogóle jakąś magiczną moc. On nie jest z tych. Poza tym dzisiaj go tu nie ma. Nie może zakłócać twojej zdolności podsłuchiwania. Wyjechał za miasto i nie będzie go wiele godzin.

Odwróciła się powoli ku niemu. Wyglądała zarazem groźnie i na wystraszoną. Dalton zawsze dostawał wtedy gęsiej skórki.

- Więc boję się - wyszeptała - że po prostu straciłam moją moc. Jestem bezradna.

- Jestem pewny, Franco... Oblizwała wargi.

- Masz w łańcuchach Serina Rajaka, prawda? Wolę nie myśleć ani o nim, ani o jego szalonych zwolennikach...

- Już ci mówiłem, że zakuliśmy go w łańcuchy. Nawet nie wiem, czy jeszcze żyje. Wątpię, żeby jeszcze żył po tym czasie, jaki upłynął od jego uwięzienia. Tak czy owak, nie ma się co bać Serina Rajaka.

Skinęła głową, zapatrzona przed siebie. Dalton dotknął jej ramienia.

- Jestem przekonany, Franco, że twoja moc powróci. Postaraj się tym zbytnio nie zamartwiać.

- Tak się boję, Daltonie. - Jej oczy wypełniły się łzami. Delikatnie objął płaczącą kobietę. W końcu była nie tylko niebezpieczną osobą z magicznym darem, ale i przyjaciółką.

Przypomniały mu się słowa ze śpiewanej podczas uczyty pieśni: „Przybyły po łup swój, na służbę ponurą złodziejki magicznych zdolności”.

## ROZDZIAŁ 25

Roberta wyciągnęła szyję i wysoko zadarła podbródek, by ostrożnie wysunąć głowę za krawędź urwiska i popatrzeć na widoczne poniżej żyzne pola jej ukochanej doliny Nareef. Świeżo zaorane ciemnobrązowe pola leżały między wspaniałymi jasnozielonymi łanami nowych zasiewów i pokrytymi ciemniejszą zielenią pastwiskami, na których bydło, wyglądające stąd jak powolne mrówki, żuło młodą trawę. Pośród tego wszystkiego wiła się lśniąca w porannym słońcu Dammar, obrzeżona ciemnozielonymi drzewami, które jakby przyglądały się jej spokojnemu nurtowi.

Ilekcóż przychodziła do lasów rosnących blisko Lęgowego Urwiska, tylekroć patrzyła na leżącą poniżej uroczą dolinę. A kiedy już pozwoliła sobie na tę chwilę przyjemności, opuszczała wzrok na cieniste podłoże lasu, na podściółkę z liści, na porośnięte mchem i cętkowane słonecznym blaskiem połacie bardziej sprężystej i wygodniejszej dla stóp ziemi.

Roberta poprawiła worek zawieszony na ramieniu i ruszyła dalej. Przemierzała puste miejsca wśród krzaków czarnych jagód i głógów, szła po kamieniach tkwiących jak wysepki między ciemnymi szczelinami i jamami, schylała się pod niskimi konarami sosen i olch, odsuwała kosturem to jakąś paproć, to rozrośniętą balsaminę i cały czas wypatrywała.

Dostrzegła żółty kielichowaty kapelusz i nachyliła się, by mu się przyjrzeć. Z zadowoleniem stwierdziła, że to pieprznik jadalny zwany też kurką, a nie trujący pieprznik pomarańczowy. Mnóstwo ludzi ceniło żółciutką, gładką kurkę za jej specyficzny smak. Roberta zagięła palec wokół trzonka i wyrwała grzyb. Nim wrzuciła łup do worka, przesunęła palcem po podobnych do piórek blaszkach, ot tak, żeby wyczuć ich miłą w dotyku miękkość.

Góra, na której Roberta szukała grzybów, była niewielka w porównaniu z innymi, wznoszącymi się dokoła, i - z wyjątkiem Lęgowego Urwiska - bezpiecznie zaokrąglona. Ścieżynki, przede wszystkim wydeptane przez zwierzęta, krzyżowały się na łagodnych lesistych stokach. Takie właśnie lasy odpowiadały starzejącym się mięśniom i coraz bardziej obolałym kościom Roberta y.

Powiadano, że z wielu wyższych gór można dostrzec leżący daleko na

południu ocean. Często słyszała, że to zachwycający i dodający ducha widok. Niektórzy ludzie wdrapywali się na góry raz w roku lub co dwa lata, żeby podziwiać wspaniałość Stwórcy ujawniającą się w jego dziele.

Część ścieżek wiodła skrajem urwisk i osypisk. Byli i tacy, którzy pędzili stada kóz na takie strome, skalne zbocza. Roberta jednak nie zapuszczała się tam od czasu podróży w dzieciństwie, kiedy to tatko, niech jego dusza spoczywa w spokoju, zabrał ich - nie pamiętała już po co - do Fairfield. Teraz wołała pozostawać w pobliżu rzeki. W przeciwieństwie do innych ludzi, nigdy nie wspinała się na wyższe góry. Bała się wysokości.

A jeszcze wyżej, wśród jałowych skał, są o wiele gorsze okolice, jak na przykład pustkowie, gdzie gnieźdzą się naskalniaki. Nie rosło tam nawet źdźbło trawy, nawet najmniejszy krzaczek, a jedynie paka, które zanurzało korzenie w zatrutej błotnistej wodzie. Mówiono, że to rozległa połać ciemnego, skalistego i piaszczystego gruntu z bielejącymi tu i ówdzie nielicznymi kośćmi. Ci, którzy widzieli owo pustkowie, twierdzili, że wygląda jak inny świat. Nie rozlegały się tam żadne inne dźwięki poza szumem wiatru, który usypywał z ciemnego piachu pagórki. Te ciągle się przesuwają, jakby czegoś szukały i nigdy nie mogły odnaleźć.

Niskie góry - jak te, na których Roberta szukała grzybów - były piękne, porośnięte bujną roślinnością. Miały przeważnie łagodne stoki, wyjąwszy, rzecz jasna, Łęgowe Urwisko. Lubiła, jak było dużo drzew, innych roślin i najrozmaitszych zwierząt. Wybierała szlaki jeleni. Jelenie trzymały się z dala od urwisk, których nie cierpiały, i nigdy nie podchodziły zbyt blisko do Łęgowego Urwiska zwanego tak dlatego, że lubiły się tu gnieździć skalne sokoły. Roberta wołała zapuszczać się głęboko w lasy, gdzie rosły jej grzyby.

Zbierała grzyby, by sprzedawać je na targu - niektóre świeże, inne suszone, jeszcze inne marynowane czy przyrządzone na różne sposoby. Większość ludzi znała ją jako „grzybiarkę”. Sprzedawane na targu grzyby dawały pieniądze, za które rodzina Roberty mogła kupować przedmioty ułatwiające życie: igły i nici, trochę gotowych ubrań, klamerki i guziki, lampę, oliwę, sól, cukier, cynamon, orzechy - wszystko to, co czyniło życie prostszym i wygodniejszym. Życie jej rodziny, a zwłaszcza czterech wnucząt. Grzyby Roberty dawały to wszystko i uzupełniały to, co sami posiali i wyhodowali.

Rzecz jasna, były też bardzo smaczne. Najbardziej lubiła grzyby rosnące

w lasach na górze. Wolą ją od tych z doliny. Znakomicie rosły w wilgoci, którą zapewniały często zalegające tu chmury. Zawsze uważała, że najlepsze były te zebrane na górze, i wielu ludzi szukało jej dla nich właśnie. Roberta miała swoje sekretne miejsca, gdzie każdego roku znajdowała te najlepsze. Napychała nimi worek i głębokie kieszenie fartucha.

Rok był jeszcze młody, więc znajdowała głównie gęste kępkę boczniaków. Ich brązowawe, mięsiste, miękkie kapelusze najbardziej smakowały zamoczone w jajku i usmażone, dlatego też Roberta sprzedawała je świeże. Za to na szczęście znalazła tyle kurek, że mogła je i ususzyć, i od razu sprzedać. Zebrała też sporo rydzów - najwyższą cenę uzyskała za marynowane.

W większości znanych Roberta miejsc nie było jeszcze wełnianek, choć zaroi się tu od nich późnym latem. Poszła jednak w kilka specjalnych zakątków i wśród sosnowych pniaków znalazła trochę tych brunatnożółtych grzybów, z których wyrabiano farbę. Natrafiła nawet na gnijącą brzozę porośniętą hubami o barwie przydymionego brązu. Kucharze używali tych nerkowatych grzybów do podtrzymywania silnego ognia, a mężczyźni ostrzyli na nich brzytwy.

Roberta wsparła się mocno na kosturze i pochyliła nad nieszkodliwie wyglądającymi brązowawymi grzybami. Na trzonku zauważyła pierścien resztek osłonki. Żółtawe blaszki zaczęły już przybierać rdzawą barwę. Pora roku była odpowiednia dla nich. Kobieta mruknęła z niezadowoleniem i zostawiła w spokoju trującą chełmówkę.

Pod rozłożystymi konarami dębu o pniu tak grubym jak kłęby obu jej zaprzęgniętych w jarzmo wołów Roberta znalazła trzy spore pieprzniki z gatunku aromatycznych. Ta odmiana rosła niemal wyłącznie pod dębami. Ich żółta barwa przeszła już w pomarańczową, więc będą pyszne.

Kobieta wiedziała, gdzie jest, lecz zboczyła ze swojej zwykłej ścieżki i dlatego natrafiła na ten potężny dąb. Uznała, że cień rzucany przez rozłożystą koronę zapewnia grzybom doskonałe warunki. I nie zawiodła się. U podstawy pnia, tam gdzie wylaniał się z ziemi, zobaczyła kępkę żyłkowców. Nazywano je tak dlatego, że czasem bywały jaskrawoczerwone i przypominały pęczek związanych razem i obciętych na jednej wysokości żył. Te jednak były różowawe, tylko tu i ówdzie poznaczone czerwienią. Roberta nigdy za nimi nie przepadała. Niektórzy kupowali je dla ich cierpkiego



smaku, a ponieważ niełatwo je było znaleźć, to i cenę miały wysoką.

W głębokim cieniu pod dębem rósł krąg twardzioszków czosnaczków zwanych przez wieśniaków dzwoneczkami duchów, bo kapelusiki tych grzybów miały kształt dzwoneczków. Nie należały do trujących, ale były gorzkie i łykowate, więc nikt ich nie lubił. Poza tym ludzie wierzyli, że każdy, kto wejdzie w ich krąg, zostanie zaczarowany, zatem wszyscy starali się unikać ślicznych dzwoneczków duchów. Roberta od najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy to matka zabierała ją na grzybobrania, chodziła po takich kręgach. Nie wierzyła w przesady dotyczące jej kochanych grzybków, przeszła więc i przez ten krąg. Zbierała małe grzybki, wyobrażając sobie, że słyszy delikatny dźwięk dzwoneczków.

Jeden z konarów dębu wygiął się w dół, tworząc siedzisko. Był wystarczająco gruby i suchy, żeby dość wygodnie na nim usiąść.

Roberta zsunęła worek na ziemię. Westchnęła z ulgą, usiadła i złożyła utrudzone kości na drugim konarze, zgiętym pod takim kątem, że mogła o niego wesprzeć ramiona i głowę. Wydawało się jej, że drzewo kotysze ją i ochrania w swej dłoni.

Śniła na jawie, więc pomyślała, że szept, brzmiały jak jej imię, to część snów. Był to miły, niski, ciepły dźwięk, który bardziej przypominał przyjemne i urocze doznania niż słowa.

Za drugim razem była już pewna, iż to nie sen, ale że ktoś cicho i czule wymówił jej imię.

Sposób, w jaki to zrobił, poruszył serce Roberty. Brzmiało to jak muzyka duchów. Było serdeczne, współczujące i pełne miłości. Sprawilo, że westchnęła, że poczuła się szczęśliwa. Ogrzało ją niczym ciepły promień słońca w zimny dzień.

Gdy usłyszała to raz jeszcze, wyprostowała się, żeby popatrzeć, bo bardzo chciała dostrzec źródło tego wzruszającego głosu. Zdawało się jej, że tkwi w jednym ze swoich snów, przepełnionych spokojem i zadowoleniem. Las lśnił i jaśniał w porannym słońcu.

Roberta aż wstrzymała oddech, kiedy ujrzała go w pobliżu.

Nigdy przedtem go nie widziała, lecz wydawało się jej, że zna go od zawsze. Uświadomiła sobie, że był bliskim przyjacielem, pociechą, towarzyszem jej myśli - od młodości, choć wcześniej zbyt często o nim nie myślała. Ale zawsze, zawsze był przy niej. To jego zawsze widziała, kiedy

śniła na jawie. Twarz widzianą jakby przez mgłę, a przecież znajomą.

A teraz był tu naprawdę, jak wtedy, kiedy całowała go w marzeniach, co czyniła od czasu, gdy była już na tyle duża, by wiedzieć, że pocałunek to coś więcej niż całus matki przed snem. Całował ją, kiedy się już położyła. Gorąco i namiętnie.

Nigdy przedtem nie sądziła, że on naprawdę istnieje, ale teraz uznała, że zawsze wiedziała, iż jest realny. Przecież stał tutaj i patrzył jej w oczy, więc jak mógł być tylko marzeniem? Gęsta, rozwichrzona czupryna odgarnięta była do tyłu, odsłaniała jego piękną twarz i ciepły uśmiech. Robertę trochę dziwiło, że nie umiałaby opisać tej twarzy. A przecież znała ją równie dobrze jak swoją.

I znała każdą jego myśl, tak jak on znał wszystkie jej myśli i pragnienia. Był połową jej duszy.

Znała jego myśli, więc nie musiała znać imienia. To, że nie znała jego imienia, stanowiło jej zdaniem dowód, iż byli złączeni na płaszczyźnie duchowej, gdzie słowa nie były potrzebne.

A teraz wynurzył się z owego mglistego świata ducha, bo pragnął być z nią, tak jak ona pragnęła być z nim.

Wyciągnął do niej swą kształtną dłoń. Jego uśmiech był pełen miłości, zrozumienia, życzliwości. On ją rozumiał. Rozumiał to, czego nikt inny nie potrafiłby nigdy pojąć. Aż się rozplakała z zachwyty, że tak dobrze ją rozumie, że tak rozumie jej duszę.

Wyciągał ku niej otwartą dłoń, przywoływał ją, pragnął. Roberta sięgnęła ku tej dłoni - jej serce wykrzyczało przepelniające ją pragnienie.

Miała uczucie, że unosi się nad ziemią. Jej stopy muskały ziemię tak lekko, jakby były puchem dmuchawca unoszonym przez wiatr. Jej ciało płynęło w powietrzu niczym wodorosty w wodzie, kiedy podążała ku niemu, ku jego objęciom.

Im bliżej była, tym większe ciepło ją ogarniało. Lecz nie było to ciepło ogrzewających jej twarz słonecznych promieni, a ciepło dziecinnych ramionek obejmujących ją za szyję. Ciepło matczynych ramion, uśmiechu kochanka, słodkiego pocałunku ukochanego.

To było pragnienie jej życia - znaleźć się w jego ramionach, w czułych objęciach, wyznać szeptem swoje pragnienie i tęsknotę, bo wiedziała, że on rozumie. I poczuć jego oddech, kiedy szepnie jej na ucho, że rozumie.

Płoneła z chęci wyznania mu swojej miłości, pragnęła usłyszeć jego wyznanie.

Niczego w życiu tak nie pragnęła, jak znaleźć się w ramionach, które tak dobrze znała.

Jej mięśnie już nie były zmęczone, kości już nie bolały. Już nie była stara. Lata spłynęły z niej jak odzienie z kochanków, którzy odrzucają wszelkie przeszkody, by ukazać sobie swe człowieczeństwo.

Dzięki niemu, tylko dzięki niemu stała się znów uroczą młodą dziewczyną i wszystko było możliwe.

Wyciągał ku niej ramiona, pragnął jej równie gorąco jak ona jego. Sięgnęła ku jego dłoni, lecz owa dłoń była trochę dalej. Im bardziej ku niej sięgała, tym bardziej jego dłoń się oddalała.

Ogarnęła ją panika. Przeraziła się, że odejdzie, nim wreszcie zdoła go dotknąć. Wydawało się jej, że unosi się w miodzie i nie może posunąć naprzód. Całe życie marzyła, żeby go dotknąć. Całe życie pragnęła mu powiedzieć. Całe życie tęskniła, by złączyć duszę z jego duszą.

A teraz *od* niej odpływał.

Roberta, z nogami ciężkimi jak z ołowiu, skoczyła poprzez blask wiosennego słońca, poprzez słodkie wiosenne powietrze. Pomknęła w objęcia ukochanego.

Lecz on był coraz dalej.

Wyciągnął ku niej ramiona. Czowała jego rozpacz. Tak pragnęła go pocieszyć. Uchronić przed cierpieniem. Ukoić rozterkę.

Wyczuł jej pragnienia i wykrzyknął jej imię, by wesprzeć w wysiłkach dotarcia do niego. Jej imię spłynęło z jego warg, a serce Roberty zaśpiewało z radości i aż do bólu zapragnęło odwzajemnić namiętność, jaką przepoił to słowo.

Straszliwie żałowała, że nie zna jego imienia, by mogła w nim zawrzeć swą dozgonną miłość.

Wyteżęła wszystkie siły, żeby do niego dotrzeć. Parła ku niemu na oślep, nie dbając o nic, wiedziona szaleńczym pragnieniem.

Roberta wykrzyczała swą bezimienną miłość, swoją tęsknotę. Już sięgała jego palców. Rozpostarł ramiona, by pochwycić ją w miłosny uścisk. Rzuciła się w nie, a słońce lśniło wokół. Wiatr rozwiał jej włosy i załopotał suknią.

Zawołał jej imię tak cudownie, że poczuła bolesny zachwyty. Otworzyła

szeroko ramiona, żeby go wreszcie objąć. Wydawało się jej, że bez końca płynie ku niemu w powietrzu, ze słońcem na twarzy i wiatrem we włosach, lecz to nic - nareszcie była tam, gdzie zawsze pragnęła być: z nim.

To była najpiękniejsza chwila w całym jej życiu. Najwspanialsze uczucie. Najcudowniejsza miłość na świecie.

Słyszała przeczystą, cudowną muzykę wspaniałych uczuć.

Gwałtownie padła mu w objęcia i serce omal nie pękło jej z zachwyty. Wykrzyczała całą swoją miłość, tęsknotę, spełnienie - teraz pragnęła już tylko poznać jego imię, by móc mu ofiarować całą siebie.

Jego promienny uśmiech był dla niej i tylko dla niej. Jego wargi były dla niej, dla niej jednej. Przebyła ostatni kawałek dzielącej ich przestrzeni, pragnąc nareszcie ucałować swoją jedyną miłość, tego, który był częścią jej duszy, jedynym prawdziwym ukochanym jej życia.

Jego usta były wreszcie tuż-tuż, padła w wyciągnięte ku niej ramiona, w jego objęcia. Jego cudowny pocałunek...

I w tym najwspanialszym momencie, kiedy ich usta już miały się zetknąć, zobaczyła poprzez niego, tuż za nim, mknące ku niej twarde, nieustępliwe dno doliny. Nareszcie poznała jego imię: śmierć.

## ROZDZIAŁ 26

- Tam - powiedział Richard, nachylając się ku Kahlan i wskazując coś na horyzoncie. - Widzisz ten naprawdę ciemny punkt przed jaśniejszymi obłokami? - Począł, aż kiwnie głową. - Pod tym i odrobinę w prawo.

Kahlan, stojąc w bezkresnym morzu traw, które sięgały im niemal do pasa, osłoniła dłonią oczy przed porannym słońcem.

- Nie widzę go - westchnęła z irytacją. - Ale nigdy nie widziałam odległych rzeczy równie dobrze jak ty.

- Ja też go nie widzę - odezwała się Cara.

Richard znów zerknął przez ramię i rozejrzał się po pustej trawiastej równinie, sprawdzając, czy nikt się nie podkrada, korzystając z tego, że obserwują zbliżanie się tamtego człowieka. Nikogo nie dostrzegł.

- Już wkrótce go zobaczycie.

Chciał sprawdzić, czy miecz luźno tkwi w pochwie, lecz przekonał się, że nie ma go u biodra. Zdjął łuk z ramienia i nasadził strzałę na cięciwę.

Mnóstwo razy pragnął pozbyć się Miecza Prawdy i jego magii, gdyż rozbudzały w nim uczucia wywołujące jego odrazę. Magia oręża łączyła się z tymi uczuciami w śmiertcionośną furję. Zedd, dając Richardowi Miecz Prawdy, powiedział, że to jedynie narzędzie. Chłopak z czasem zrozumiał słowa czarodzieja.

Ale i tak było to straszliwe narzędzie, którym należało się posługiwać.

Od tego, kto dzierżył miecz, zależało, czy będzie panował nie tylko nad klingą, ale i nad samym sobą. Zrozumienie tego oraz innych spraw było niezbędne do korzystania z Miecza Prawdy zgodnie z jego przeznaczeniem. A został on wykuty jedynie dla autentycznego Poszukiwacza Prawdy.

Richard aż zadrżał na myśl, że ten magiczny przedmiot mógłby wpaść w niewłaściwe ręce. Podziękował dobrem duchom za to, że miecz był bezpieczny, choć on nie mógł go ze sobą zabrać.

Na niebie kłębiły się chmury połyskujące w porannym blasku. Ich barwy przechodziły od ciemnej żółci do groźnego fioletu, który zdradzał gwałtowność odchodzącej burzy. Tamten człowiek nieustannie się zbliżał. Błyskawice - grzmotów z tej odległości nie było słyhać - błyskały w olbrzymich chmurzyskach, oświetlając ukryte kaniony, ściany dolin i

szczyty.

Niebo i chmury ponad płaskimi trawiastymi równinami wydawały się Richardowi, w porównaniu z innymi okolicami, które widział, przeogromne i imponujące. Uznał, że to dlatego, iż od jednego końca horyzontu po drugi nie było tutaj nic: ani gór, ani drzew, zupełnie nic, co przesłaniałoby spektakl rozgrywający się na bezkresnym sklepieniu - scenie - nad ich głowami.

Burzowe chmury odsunęły się na wschód dopiero przed świtem, zabierając ze sobą deszcz, który tak dał się im we znaki u Błotnych Ludzi, a potem pierwszego dnia podróży i pierwszej przykrej, zimnej nocy bez ognia. Podróż w deszczu była bardzo niemiła. Wszyscy troje stali się nerwowi.

Kahlan, podobnie jak Richard, niepokoiła się o Zedda i Ann, martwiła się, co też Lurk jeszcze zrobi. Denerwujące było również to, że skoro było to takie ważne i wymagało takiego pośpiechu, musieli wyruszyć w tę długą podróż, zamiast wrócić do Aydindril sylfą.

Richard niemal był gotów podjąć takie ryzyko. Niemal.

Wyglądało na to, że Carę niepokoi coś jeszcze. Była równie rozdrażniona jak trzymany w worku kot. Chłopak nie zamierzał sięgać do tego worka tylko po to, żeby zamknięty w nim kot go podrapał. Uznał, że Mord-Sith powie im, o co chodzi, jeśli jest to coś naprawdę ważnego.

Samego Richarda dodatkowo irytował fakt, że nie ma miecza, gdy tymczasem zagrażają im kłopoty. Bał się, że Lurk zechce skrzywdzić Kahlan, a on nie będzie mógł jej obronić. Nawet bez Sióstr Mroku na Spowiedniczkę czyhało wiele niebezpieczeństw, mnóstwo ludzi chciałoby się odegrać na bezbronnej za to, co uważali za niesprawiedliwość. Działał czar niszczący magię, więc moc Kahlan wkrótce zniknie i dziewczyna nie będzie się mogła bronić. Wtedy obowiązek obrony spocznie na nim, a Richard bał się, że bez miecza może mu nie podołać.

Ile razy chłopak sięgał po miecz i go nie znajdował, tyle razy odczuwał pustkę, której nie umiał wyrazić słowami. Jakby brakowało mu części siebie.

Poza tym z jakiegoś powodu nie podobała mu się ta podróż do Aydindril. Coś tu nie grało. Tłumaczył sobie, że to troska o Zedda, który został u Błotnych Ludzi chory i bezbronny. Ale to przecież sam Zedd upierał się, że nie ma innej możliwości.

Dopóki Richard nie dostrzegł zbliżającego się obcego, drugi dzień podróży zapowiadał się przyjemnie. Był słoneczny i suchy. Chłopak lekko

napiął cięciwę. Stawka była wysoka, więc po zetknięciu z podszywającym się pod kurę Lurkiem nie zamierzał pozwolić, by podszedł do nich zbyt blisko ktoś, kto mógł nie być ich przyjacielem. Marszcząc brwi, spojrzał na Kahlan i powiedział:

- A wiesz, coś mi się zdaje, że mama opowiadała mi kiedyś o kocie zwanym Lurk.

Matka Spowiedniczka przytrzymała włosy ręką, żeby wiatr nie zwiewał jej ich na twarz. Ona również zmarszczyła brwi.

- Dziwne. Jesteś tego pewny?

- Nie. Umarła, gdy byłem mały. Trudno powiedzieć, czy naprawdę to pamiętam, czy tylko wmawiam sobie, że pamiętam.

- A co pamiętasz?

Richard na próbę napiął cięciwę, po czym odrobinę ją poluźnił.

- Upadłem i otarłem kolano, a ona próbowała mnie rozbawić, żebym zapomniał o skaleczeniu. Ten jeden raz opowiedziała mi, że kiedy była mała, mama przekazała jej historyjkę o kocie zwanym Lurk, który czaił się i skakał na wszystko, co się ruszało. Przysięgłbym, że pamiętam, jak się śmiała i pytała, czy nie uważam, że to zabawne imię dla kotka.

- Tak, bardzo zabawne - powiedziała Cara głosem świadczącym, że wcale tak nie sądzi.

Uniosła palcem strzałę i skierowała ją oraz łuk ku niebezpieczeństwu, o którym Richard jej zdaniem zapomniał.

- Dlaczego akurat teraz o tym pomyślałeś? - spytała Kahlan. Chłopak wskazał brodą zbliżającego się człowieka.

- Przyglądałem się temu tam mężczyźnie i zastanawiałem, jakież to jeszcze niebezpieczeństwa mogą się tu czaić.

- A kiedy myślałeś o tych czających się niebezpieczeństwach, postanowiłeś tak stać i pozwolić, żeby na ciebie spadły, kiedy zechcą? - zainteresowała się Cara.

Poszukiwacz puścił mimo uszu jej słowa i skinął głową w kierunku nadchodzącego mężczyzny.

- Teraz już powinnaś go widzieć.

- Nie, wciąż nie wiem, co ty... chwileczkę... - Kahlan osłoniła oczy dłonią i stanęła na palcach, jakby dzięki temu lepiej widziała. - O, jest. Teraz go widzę.

- Powinniśmy schować się w trawie, a potem na niego skoczyć - poddała pomysł Cara.

- Zobaczył nas w tej samej chwili, co ja jego. Wie, że tutaj jesteśmy. Nie zaskoczylibyśmy go - powiedział Richard.

- Na szczęście jest sam - ziewnęła Cara. - Nie będziemy mieć kłopotów.

Mord-Sith, która trzymała wartę przed Richardem, nie obudziła go wtedy, kiedy powinna. Pozwoliła mu przespać co najmniej godzinę więcej. Drugi wartownik zwykle sypiał krócej.

Chłopak znów obejrzał się przez ramię.

- Może widzisz tylko jednego, ale jest ich więcej. Co najmniej dwunastu.

Kahlan znów osłoniła dłonią oczy.

- Ja też widzę tylko jednego. - Rozejrzała się dokoła. - Nie widzę nikogo więcej. Na pewno ich widzisz?

- Tak. Kiedy zobaczyłem go pierwszy raz, a on mnie, zostawił tamtych i sam ruszył ku nam. Tamci czekają.

Cara porwała plecak. Trąciła w ramię Kahlan, a potem Richarda.

- Chodźmy. Odejdziemy na taką odległość, żeby nas nie widzieli, i schowamy się. Kiedy ruszą za nami, zaskoczemy ich i szybko pozbędziemy się pościgu.

Richard również trącił ją w ramię.

- Może byś się wreszcie uspokoiła? Idzie sam, żeby nikt nie posłał w niego strzały. Gdyby to był atak, zabrałby ze sobą wszystkich swoich ludzi. Zaczekamy.

Rozgniewana Cara zacisnęła usta i skrzyżowała ramiona. Wyglądało na to, że straciła swoje opiekuńcze odruchy. Będą musieli z nią porozmawiać i dowiedzieć się w czym rzecz, bez względu na to, czy jest gotowa to wyznać czy nie. Może Kahlan to z niej wydobędzie.

Nadchodzący człowiek podniósł ręce i przyjacielsko do nich machał.

Richard nagle go rozpoznał, puścił cięciwę i odwzajemnił pozdrowienie.

- To Chandalen. Kahlan też zaczęła machać.

- Racja, to Chandalen. Chłopak włożył strzałę do kołczana.

- Ciekaw jestem, co on tu robi.

- Kiedy przyglądałeś się kurom spędzonym do chat, Chandalen z paroma swoimi ludźmi wyruszył na daleki patrol. Mówił, że inni jego ludzie napotkali silnie uzbrojonych obcych. Nie podobało się im zachowanie tych



wojowników - powiedziała Kahlan.

- Byli wrogo nastawieni?

- Nie. - Dziewczyna odrzuciła za ramię mokre włosy. - Ale ludzie Chandalena mówili, że tamci zachowywali się zadziwiająco spokojnie. I to go zaniepokoiło.

Richard skinął głową. Obserwował zbliżającego się Chandalena, który poza nożem u pasa nie miał innej broni. Zgodnie ze zwyczajem Błotnych Ludzi łowca szedł ku nim, nie uśmiechając się. Błotni Ludzie zazwyczaj się nie uśmiechali, dopóki nie zostały wymienione zwyczajowe pozdrowienia, i to nawet wtedy, kiedy spotykali na równinach przyjaciół.

Chandałen z ponurą miną pospiesznie uderzył Richarda, Kahlan i Carę. Biegł prawie całą drogę, a mimo to, kiedy się z nimi witał, wcale nie sprawiał wrażenia zmęczonego.

- Moc Matce Spowiednicze. Moc Richardowi Popędliwemu. Do powitania Cary dodał skinienie głowy - podobnie jak on była protektorką. Cała trójka odwzajemniła policzek i pozdrowienie.

- Gdzie się wybieracie? - spytał Chandałen.

- Nowe kłopoty - odparł Richard, podając mu swój bukłak. - Musimy wracać do Aydindrila.

Łowca wziął bukłak i pomrukiem wyraził zaniepokojenie.

- Kura, która nie jest kurą?

- W pewnym sensie. Okazało się, że to magiczny stwór, którego przywołały więzione przez Jaganga Siostry Mroku - odezwała się Kahlan.

- Lord Rahl zniszczył swoją magią kurę, która nie była kurą - poinformowała go Cara.

Chandałen, któremu ta wieść najwyraźniej sprawiła ulgę, napił się wody z bukłaka.

- To czemu musicie wracać do Aydindrila?

Richard oparł o ziemię jeden koniec swojego łuku i zacisnął dłoń na drugim.

- Czar rzucony przez Siostry zagraża wszystkiemu i wszystkim mającym w sobie magię. Zedd i Ann słabną. Czekają w twojej wiosce. Mamy nadzieję, że w Aydindrila uda się nam uwolnić magię, która zneutralizuje czar Sióstr Mroku, i że wtedy Zedd na tyle odzyska siły, by znów przywrócić porządek. To czar Sióstr Mroku przywołał stwora, który zabił Juniego. Nikt nie jest

bezpieczny, dopóki nie dostaniemy się do Aydindril.

Chandalen wysłuchał tego w skupieniu, zamknął bukłak i oddał go Richardowi.

- Więc musicie szybko ruszyć w drogę i zrobić co w waszej mocy. - Obejrzał się przez ramię. Dał się rozpoznać i teraz nadchodzili jego ludzie. - Jednak moi łowcy napotkali obcych, z którymi musicie się najpierw zobaczyć.

Richard znów zawiesił łuk na ramieniu i wpatrzył się w dal. Nie mógł rozpoznać tych ludzi.

- Kim oni są?

Chandalen spojrzał ukradkiem na Kahlan, a potem odpowiedział:

- Mamy takie stare przysłowie. Lepiej przy kucharce trzymać język za zębami, bo można skończyć w rondlu razem z kurą, która zjadła warzywa przeznaczone na obiad.

Chłopak pomyślał, że Chandalen robi co może, żeby nie patrzeć na zdumioną minę Kahlan. Zrozumiał też dziwaczne przysłowie, choć nie miał pojęcia, dlaczego łowca posłużył się tym przykładem. Uznał, że prawdopodobnie było to nie najlepsze tłumaczenie z języka Błotnych Ludzi.

Nadchodząca grupka była już całkiem blisko. Lurk zabił jednego z zaufanych ludzi Chandalena, więc łowca z pewnością chciał, żeby zrobili wszystko co w ich mocy, by powstrzymać wroga. Nie należałoby na odwlekanie podróży, gdyby nie miał po temu ważnego powodu.

- Zatem chodźmy, skoro to takie ważne, żebyśmy się z nimi spotkali.

- Oni chcieli się spotkać tylko z tobą. - Chandalen złapał Richarda za ramię. - Może poszedłbyś sam? A potem wyruszycie do Aydindril.

- A czemuż to Richard miałby iść sam? - spytała Kahlan głosem, w którym wyraźnie słyhać było podejrzliwość, a potem dodała w języku Błotnych Ludzi coś, czego chłopak nie zrozumiał.

Chandalen podniósł ręce, ukazując puste dłonie, jakby mówił, że nie ma broni i nie chce walki. Z jakiegoś powodu nie chciał się mieszać do tego, co się działo.

- Może powinienem...- Richard pospiesznie zamknął usta, bo Kahlan przeniosła na niego podejrzliwe i gniewne spojrzenie. Odchrząknął. - Zamierzałem powiedzieć, że nie mamy przed sobą żadnych tajemnic - poprawił się. - Kahlan zawsze może pójść ze mną. Nie mamy czasu do

stracenia. Idziemy.

Chandalen skinął głową i odwrócił się, by poprowadzić ich na spotkanie z losem. Chłopakowi zdawało się, że przewrócił oczami, jakby chciał mu powiedzieć: tylko-potem-nie-mów-że-cię-nie-ostrzegałem.

Dziesięciu łowców Chandalena szło za siedmioma obcymi. Po bokach podążało po trzech łowców, okrążając przybyszów, lecz nie stanowiąc dla nich jawnego zagrożenia. Łowcy Błotnych Ludzi sprawiali wrażenie, jakby towarzyszyli przybyszom i wskazywali im drogę, lecz Richard dobrze wiedział, że gotowi byli na nich uderzyć przy najdrobniejszej oznace wrogości. Uzbrojeni obcy byli na ziemiach Błotnych Ludzi jak wysuszona trawa na równinach, nim zajmie się ogniem od błyskawicy.

Richard miał nadzieję, że i ta burza odejdzie, zostawiając za sobą słoneczne niebo. Wraz z Kahlan i Cara spieszył za Chandalenem przez wilgotne młode trawy.

Ludzie Chandalena stanowili pierwszą linię obrony Błotnych Ludzi. Fakt, że niemal wszyscy omijali z daleka ich ziemie, świadczył o waleczności i srogości łowców.

Teraz jednak wytrawni i groźni łowcy Chandalena, przeobrażeni w eskortę, traktowani byli przez sześciu mężczyzn w luźnych lnianych strojach z niedbałą obojętnością. Obojętność ta obudziła w Richardzie jakieś mgliste wspomnienia.

Nadchodząca grupa znalazła się wreszcie na tyle blisko, że chłopak nagle ich rozpoznał i zmylił krok. Wpatrywał się w nich bacznie przez kilka chwil, zanim uwierzył w to, co widział. Nareszcie zrozumiał, dlaczego obcy nie bali się ludzi Chandalena. Nie mógł jednak pojąć, co porabiają tak daleko od rodzinnych stron.

Wszyscy byli jednakowo ubrani i mieli taką samą broń. Richard pamiętał imię tylko jednego z nich, ale znał ich wszystkich. Byli to ludzie powolni nakazom ustanowionym przed tysiącami lat przez ich prawodawców - owych czarodziejów z okresu wielkiej wojny, którzy odebrali im ich ojczyste ziemie i stworzyli Dolinę Zaginionych oddzielającą Stary i Nowy Świat. Miecze o czarnych rękojeściach i wygiętych, rozszerzających się ku ściętemu czubkowi klingach tkwiły w pochwach. Od pierścienia na gałce rękojeści każdego z nich biegł sznur okalający szyję szermierza i chroniący przed zgubieniem broni w walce. Wszyscy mężczyźni mieli też włócznię i małą,

okrągłą, pozbawioną ozdób tarczę. Richard widział również kobiety, tak samo ubrane, uzbrojone i oddane tej samej sprawie, lecz tym razem byli to tylko mężczyźni.

Dla tych ludzi ćwiczenia fechtunku stanowiły rodzaj sztuki. Wprawiali się w niej, ile pragnęli, także przy blasku księżyca, jeśli za dnia nie mieli na to wystarczająco dużo czasu. Posługiwanie się mieczem było dla nich czymś w rodzaju modlitwy i oddawali się mu z nabożnym skupieniem. Byli mistrzami miecza. Siódma osoba, kobieta, miała inne szaty i nie niosła broni - przynajmniej w zwykłym tego słowa znaczeniu.

Richard nie był biegły w ocenianiu tych spraw na oko, ale szybko obliczył, że musiała być przynajmniej w szóstym miesiącu ciąży.

Gęste, długie, czarne włosy okalały ładną buzię, a sposób bycia kobiety nadawał jej rysom, szczególnie zaś ciemnym oczom, pewną surowość. Ubrana była w sięgającą kolan suknię z cienko tkanego lnu o barwie soczystego brązu, którą ścisnęła w talii skórzanym paskiem. Końce paska zdobiły z grubsza oszlifowane drogie kamienie. Przez ramiona oraz po zewnętrznej stronie rękawów biegł rząd krótkich różnokolorowych taśm. Każda z nich była przeciągnięta przez malutki otworek pod wykonaną ze sznurka opaską. Richard wiedział, że wszystkie zostały przywiązane przez osoby składające prośby.

To była szata modlitewna. Każda z krótkich kolorowych taśm, kołysząc się na wietrze, słała modlitwę ku dobrym duchom. Tę szatę nosiła wyłącznie ich duchowa przewodniczka.

Richard rozważał mnóstwo powodów, dla których ci ludzie odbyli tak daleką podróż ze swoich ojczystych ziem. Nie mógł wymyślić niczego dobrego, za to przychodziło mu na myśl wiele niemiłych możliwości.

Zatrzymał się. Kahlan stała przy jego lewym boku, Cara przy prawym, a Chandalen po prawej ręce Mord-Sith.

Mężczyźni w luźnych szatach, nie zwracając uwagi na nikogo innego, położyli na ziemi włócznie i padli na kolana przed Richardem. Pokłonili się, dotykając czołem ziemi, i tak pozostali.

Kobieta stała bez słowa i patrzyła na chłopaka. Jej ciemne oczy miały ów ponadczasowy wyraz, który Richard często widywał w innych oczach, między innymi w oczach Siostry Verny, więdźmy Shoty, Ann i Kahlan. To ponadczasowe spojrzenie było znakiem magicznego daru.

Kobieta patrzyła w oczy Richarda z wyrazem zdradzającym wiedzę, jakiej chłopak nigdy nie pojmie, i na jej ustach pojawił się cień uśmiechu. Bez słowa klękła przed sześcioma towarzyszącymi jej mężczyznami. Dotknęła czołem ziemi, a potem ucałowała czubek buta Richarda.

- *Caharin* - szepnęła ze złością.

Richard pociągnął ją za ramię, skłaniając, żeby wstała.

- Moje serce raduje się, Du Chaillu, kiedy widzę cię w dobrym zdrowiu, ale co ty tutaj robisz?

Podniosła się. Uroczy, promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz. Nachyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek.

- Przybyłam, rzecz jasna, żeby się z tobą zobaczyć, Richardzie, Poszukiwaczu, *Caharin*, mężu.

## ROZDZIAŁ 27

- Mężu? - zainteresowała się Kahlan.

Richard nagle przypomniał sobie, co Du Chaillu mówiła o starym prawie swojego ludu. Zdumienie i szok odebrały mu oddech i niemal zbiły z nóg. Z przerażeniem pojął, co to oznacza.

W swoim czasie odrzucił jej uparte stwierdzenia, uznając je za bezpodstawne przeświadczenie lub nieporozumienie. Teraz zaś dawne widmo powróciło nieoczekiwanie, żeby go prześladować.

- Mężu? - powtórzyła Kahlan trochę głośniej i z nieco większym naciskiem.

Ciemne oczy kobiety spojrzały na Kahlan, jakby zirytowane, że musiała je odwrócić od Richarda.

- Tak. Mężu. Jestem Du Chaillu, żona *Caharin*, Richarda, Poszukiwacza. - Przesunęła dłonią po wypukłym brzuchu. Irytacja minęła, teraz promieniała dumą. - Noszę jego dziecko.

- Zostaw to mnie, Matko Spowiedniczko - odezwała się Cara. W jej głosie brzmiała otwarta groźba. - Tym razem ja się wszystkim zajmę.

Wyszarpnęła nóż z za pasa Chandalena i skoczyła na Du Chaillu.

Richard był szybszy. Okręcił się ku Mord-Sith i uderzył ją czubkami wyprostowanych palców w górną część mostka. To nie tylko ją zatrzymało, ale wręcz odepchnęło trzy kroki do tyłu. Miał i tak wystarczająco dużo kłopotów, nie musiała mu ich dodawać. Znów ją uderzył i odepchnął o trzy kroki, a potem o kolejne trzy kroki, byle dalej od całej grupy. Wyrwał jej nóż z ręki.

- Posłuchaj mnie. Niczego o tej kobiecie nie wiesz.

- Wiem...

- Nic nie wiesz! Słuchaj, co mówię! To byłaby twoja ostatnia walka! To nie Nadine. To absolutnie nie jest Nadine!

Eksplodowała cicha furia chłopaka. Z okrzykiem wściekłości Richard cisnął nóż w ziemię. Siła uderzenia wbiła broń pod warstwę trawy, aż całkiem zniknęła w ziemi równin.

Kahlan położyła dłoń na ramieniu męża.

- Uspokój się, Richardzie. Co się dzieje? O co tu chodzi? Chłopak

przeczesał włosy palcami. Zaciśnął zęby i obejrzał się -  
mężczyźni wciąż klęczeli.

- Jiaan i wy wszyscy, podnieście się z klęczek! Wstańcie!

Mężczyźni natychmiast się podnieśli. Du Chaillu czekała spokojnie, obojętnie. Chandalen i jego łowcy cofnęli się. Błotni Ludzie nazwali go przecież Richardem Popędliwym. Jego zachowanie nie zdziwiło łowców, lecz uznali, że lepiej się trochę odsunąć.

Chandalen i jego ludzie nie mieli pojęcia, że gniew Richarda był skierowany przeciwko temu, co zabiło jednego z nich, co najprawdopodobniej zabiło dwóch z nich, jak uświadomił sobie chłopak, i bez wątpienia zabije następnych.

Kahlan patrzyła na niego z troską.

- Uspokój się, Richardzie, i zapanuj nad sobą. Kim są ci ludzie? Nie mógł wyrównać oddechu. Ani spowolnić bicia serca. Ani rozewrzeć zaciśniętych pięści. Ani powstrzymać kłębiących się myśli. Wszystko wymykało mu się spod kontroli. Wyzwoliły się z pęt lęki, nad którymi zapanował, i znów starały się go usidlić. Powinien to dostrzec wcześniej. Przeklinał siebie za to, że tego nie dostrzegł.

Ale przecież musi być jakiś sposób, żeby to powstrzymać. Musi tylko pomyśleć. Musi przestać się bać tego, co się jeszcze nie wydarzyło, i wymyślić sposób, by to się nigdy nie stało.

Uświadomił sobie, że to już się stało. Teraz musi pomyśleć o rozwiązaniu tego problemu.

Kahlan uniosła mu głowę, spojrzała w oczy.

- Odpowiedz mi, Richardzie. Kim są ci ludzie? Przycisnął dłoń do czoła w bezsilnej furii.

- To Baka Ban Mana, co znaczy „ci, którzy nie znają panów”.

- Teraz już mamy *Caharin* i nie jesteśmy Baka Ban Mana. Teraz jesteśmy Baka Tau Mana - odezwała się Du Chaillu.

Kahlan, nie całkiem pojmując wyjaśnienie Du Chaillu, znów popatrzyła na Richarda. Tym razem w jej głosie pojawiła się nutka ostra jak brzytwa.

- Dlaczego ona twierdzi, że jesteś jej mężem?

Myśli chłopaka tak daleko odbiegły już zupełnie inną drogą, że musiał się skupić, by zrozumieć, o co pyta go Kahlan. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co to oznaczało. Dla Richarda zaś jej pytanie dotyczyło odległej przeszłości,

zupełnie pozbawionej znaczenia w obliczu tego, co czaiło się w przyszłości. Niecierpliwie usiłował ją uspokoić.

- To wcale nie to, o czym myślisz, Kahlan. Oblizła wargi i zaczerpnęła powietrza.

- Wspaniale. - Wbiła w niego zielone oczy. - To może byś mi to wszystko łaskawie wyjaśnił, dobrze?

To nie było pytanie. Richard, miast wyjaśniać, zapytał:

- Nie rozumiesz? - Zniecierpliwiony i zirytowany wskazał Du Chaillu. - To stare prawo! Zgodnie z tym starym prawem ona jest moją żoną. A przynajmniej uważa, że jest. - Chłopak ucisnął skronie czubkami palców. W głowie mu pulsowało. - Ależ mamy kłopoty - mruknął.

- Ty na pewno - parsknęła Cara.

- Caro - powiedziała Kahlan przez zaciśnięte zęby - wystarczy. - Znow zwróciła się do chłopaka: - O czym tym mówisz, Richardzie? Co się dzieje?

A jemu przemknęły przez głowę fragmenty pamiętnika Kolo. Richard nie mógł na tyle skupić myśli, żeby ubrać w słowa wszystkie pogmatwane elementy. Świat się rozpadał, a ona pytała o dawno przebrzmiałe sprawy. Richard tak wyraźnie widział, co im zagraża, że nie mógł pojąć, dlaczego również Kahlan nie rozumie tego niebezpieczeństwa.

- Nie rozumiesz?

Umysł chłopaka szaleńczo wybierał spomiędzy mglistych możliwości, Richard usiłował zdecydować, co zrobić. Czas umykał. A on nawet nie wiedział, ile go im jeszcze zostało.

- Rozumiem, że to ty dałeś jej dziecko - odparła Cara. Obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- Tak źle o mnie myślisz, Caro, po tym wszystkim, co razem przeszliśmy? Mord-Sith, urażona, skrzyżowała ramiona i nic nie odpowiedziała.

- Policz sobie. Kiedy ta kobieta zaszła w ciążę, Richard był pewnie jeszcze więźniem Mord-Sith w Pałacu Ludu w D'Harze - pouczyła ją Kahlan.

Richard nosił Agiel na znak szacunku dla dwóch kobiet, które zmarły, broniąc ich, Kahlan zaś nosiła Agiel Denny, Mord-Sith, która na rozkaz Rahla Posepnego pojmała Richarda i niemal zadreńczyła go na śmierć. Denna wzięła sobie chłopaka na partnera, ale nigdy nie dawała do zrozumienia, że to małżeństwo. Dla niej był to po prostu kolejny sposób torturowania i dręczenia Richarda. Chłopak w końcu wybaczył Dennie to, co mu uczyniła. A



Mord-Sith, wiedząc, że zamierzają zabić, bo tylko tak mógł uciec, dała mu swój Agiel i poprosiła, by pamiętał, że była kimś więcej niż tylko Mord-Sith. Poprosiła go również, by przyjął jej ostatni oddech. To dzięki Dennie Richard zrozumiał te kobiety i zaczął im współczuć - i dzięki temu był jedyną osobą, która zdołała uciec Mord-Sith.

Chłopak był zaskoczony, że Kahlan już „sobie policzyła”. Nie spodziewał się, że w niego zwątpi. Mylił się. Wyczytała te myśli w jego oczach.

- To się robi zupełnie odruchowo - wyszeptała. - Już dobrze? Powiedz mi, Richardzie, co się dzieje?

- Jesteś Spowiedniczką. Wiesz, że u różnych ludów o małżeństwie decydują najrozmaitsze zwyczaje. Spowiedniczki, z wyjątkiem ciebie, zawsze wybierały sobie partnerów według własnych reguł i nie miało to nic wspólnego z miłością. Następnie porażały ich swoją mocą i dopiero wtedy brały z nimi ślub. Mężczyzna nie miał nic do powiedzenia.

Spowiedniczką wybierała sobie męża, kierując się jednym tylko kryterium: czy nadaje się na ojca. Ponieważ jej moc i tak miała zniszczyć osobowość wybranka, to - choćby sobie tego z całego serca życzyła - miłość nigdy nie była brana pod uwagę. Spowiedniczką wybierała mężczyznę ze względu na cechy, które mógłby przekazać ich córce.

- Tam, skąd pochodzę - podjął Richard - rodzice często wybierają małżonka swoim dzieciom. Ojciec mówi pewnego dnia dziecku „to będzie twój mąż” lub „to będzie twoja żona”. Rozmaite ludy mają różne obyczaje i różne prawa.

Kahlan zerknęła ukradkiem na Du Chaillu. Zatrzymała wzrok na twarzy tamtej, a potem na jej brzuchu. Kiedy znów popatrzyła na Richarda, oczy miała lodowate.

- No to opowiedz rni ojej prawach.

Richard pomyślał, że Kahlan nawet nie wie, iż gładzi ciemny kamień wiszący na złotym łańcuszku - podarek od Shoty. Wiedźma pojawiła się nieoczekiwanie na ich ślubie i chłopak dobrze zapamiętał, co im wtedy powiedziała; „To mój dar dla was. Robię to z miłości do was i do innych ludzi. Dopóki będziesz to nosić, dopóty nie będziesz miała dzieci. Radujcie się waszym związkiem i waszą miłością. Teraz należycie do siebie, jak zawsze tego pragnęliście. Zapamiętaj moje słowa i nigdy tego nie zdejmuj, kiedy będziecie razem. Nie pozwolę żyć waszemu męskiemu potomkowi.

Nie rzucam groźby. Zapowiadam. Jeśli zlekceważysz moją prośbę, doświadczysz skutków mego ostrzeżenia. - Spojrzała Richardowi w oczy i dodała: - Lepiej walczyć z samym Opiekunem niż ze mną”.

Ozdobny tron Shoty był obity skórą doświadczonego czarodzieja, który się jej sprzeciwił. Richard mało wiedział o swoim wrodzonym magicznym darze. Nie bardzo wierzył w zapowiedzi wiedźmy, że syn jego i Kahlan będzie bestią wypuszczoną na ten świat, mimo to jednak postanowili wziąć pod uwagę ostrzeżenie Shoty. Nie mieli wyboru.

Palce Kahlan na policzku Richarda sprawiły, że spojrzał jej w oczy, i przypomniały, że czeka na odpowiedź. Postarał się mówić spokojnie.

- Du Chaillu jest ze Starego Świata, z tamtej strony Doliny Zaginionych. Pomogłem jej, kiedy Siostra Verna przeprowadziła mnie przez dolinę do Starego Świata. Majendie pojмали Du Chaillu i chcieli ją złożyć w ofierze. Więzili ją całymi miesiącami. Żołnierze uczynili z niej swoją zabawkę. Majendie oczekiwali, że mając dar, pomogę im złożyć Du Chaillu w ofierze w zamian za możliwość przejścia przez ich krainę. Magiczny człowiek, który pomaga w ofierze, stanowił część ich wierzeń. Ja jednak uwolniłem Du Chaillu, mając nadzieję, że przeprowadzi nas przez swoje bagniste bezdroża, bo nie mogliśmy już przejść przez ziemię Majendie.

- Dałam ludzi, żeby bezpiecznie przeprowadzili Richarda i czarownicę przez bagna do wielkiego kamiennego domu czarownic - powiedziała Du Chaillu, jak gdyby to miało wszystko wyjaśnić.

- Czarownice? Dom czarownic? - Kahlan zaskoczyło to wyjaśnienie.

- Ona ma na myśli Siostrę Verne i Pałac Proroków - sprostował. - Zaprowadzili tam mnie i Siostrę Verne nie dlatego, że uwolniłem Du Chaillu, ale dlatego, że wypełniłem starożytne proroctwo.

Du Chaillu stanęła przy boku Richarda, jakby miała do tego prawo.

- Zgodnie ze starym prawem Richard zjawił się u nas i tańczył z duchami. Udowodnił, że jest *Caharin* i moim mężem.

Chłopak niemal widział, jak Kahlan jeżą się włoski na karku.

- Co to oznacza?

Richard otworzył usta i szukał właściwych słów. Ubiegła go Du Chaillu.

- Jestem duchową przewodniczką Baka Tau Mana. A także strażniczką naszych praw. Zapowiedziano, że *Caharin* oznajmi swoje przybycie, tańcząc z duchami i przelewając krew trzydziściorga Baka Ban Mana. To czyn,

którego mógłby dokonać jedynie wybrany, a i to tylko z pomocą duchów. Powiedziano, że kiedy to się stanie, nie będziemy już wolnym ludem, lecz będziemy musieli wypełniać jego wolę. Będzie nami władał. To dlatego naaj mistrzowie miecza ćwiczyli przez całe życie. Mieli zaszczyt uczyć *Caharin*, żeby mógł pokonać Ducha Mroków. Owym czynem Richard dowiódł, że *Caharin* przyszedł, by oddać nam naszą krainę, jak przepowiedzieli starożytni.

Lekki wiaterek rozwiewał gęste włosy Du Chaillu. Jej ciemne oczy nie zdradzały żadnych uczuć, lecz zdradziło je leciutkie załamanie głosu.

- Zabił trzydzieścioro, jak nakazywało stare prawo. Tych trzydzieścioro weszło do legend naszego ludu.

- Nie miałem wyboru - ledwo zdołał wyszeptać Richard. - Inaczej oni zabiliby mnie. Błagałem ich, żeby przestali. Błagałem Du Chaillu, żeby ich powstrzymała. Nie po to ocalałem jej życie, żeby zabijać tych ludzi. W końcu musiałem się bronić.

Kahlan obrzuciła tamtą długim, twardym spojrzeniem i przeniosła wzrok na chłopaka.

- Więżono ją, a ty ocaliłeś jej życie i zaprowadziłeś do jej ludu. - Richard potwierdził skinieniem. - A potem ona rozkazała swoim ludziom, by spróbowali cię zabić? To była jej wdzięczność?

- W tym chodziło o coś więcej. - Czuł się nieswojo, broniąc postępowania tamtych ludzi, postępowania, które doprowadziło do takiego przelewu krwi. Wciąż jeszcze czuł ten dławiący odór.

Kahlan znów obrzuciła Du Chaillu lodowatym spojrzeniem.

- Ale ocaliłeś jej życie?

- Tak.

- No to powiedz mi, o co jeszcze w tym chodziło. Richard przywołał bolesne wspomnienia i starał się tak to wyjaśnić, żeby Kahlan zrozumiała.

- To była swego rodzaju próba. Na śmierć i życie. Zmusili mnie, bym nauczył się posługiwać magią miecza w sposób, o którego istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia. Żeby ocalić życie, musiałem przywołać doświadczenie tych, którzy przede mną władali Mieczem Prawdy.

- Co masz na myśli? Jak mogłeś przywołać ich doświadczenie?

- Magia Miecza Prawdy wchłania najistotniejszą część umiejętności bojowych wszystkich, którzy wcześniej władali tym orężem, zarówno tych

porządnych, jaki niegodziwych. Pojąłem, jak przywołać tę wiedzę, pozwalając, żeby duchy miecza szeptały w moich myślach. Jednak w ogniu walki nie zawsze miałem czas, by zrozumieć ich słowa, więc czasami niezbędne informacje pojawiały się w obrazach, w symbolach. To było decydujące dla zrozumienia, dlaczego w proroctwie nazwano mnie *fuer grissa ost drauka*: ten, który jest dawcą śmierci. - Richard dotknął amuletu na swojej piersi. Rubin symbolizował kroplę krwi. Linie wokół niego symbolizowały taniec. Miało to swoje znaczenie dla czarodzieja wojny. - To - wyszeptał chłopak - jest taniec ze śmiercią. Pierwszy raz zrozumiałem to właśnie wtedy, z Du Chaillu i jej trzydziestoma ludźmi. Proroctwo zapowiedziało, że pewnego dnia się u nich zjawię. Proroctwo i ich stare prawa nakazywały, żeby mnie tego nauczyli. Żeby nauczyli mnie tańczyć z duchami tych, którzy wcześniej władali mieczem. Wątpię, by w pełni rozumieli, jak ta próba to sprawi. Wiedzieli tylko, że muszą dopełnić obowiązku, a ja przeżyję, jeśli będę tym właściwym. Potrzebowałem owej wiedzy, by stanąć przeciwko Rahlowi Poępnemu i odesłać go do zaświatów. Pamiętasz, jak go przywołałem na naradzie widzących u Błotnych Ludzi, jak się wydostał na nasz świat i jak potem zabrały mnie Siostry?

- Oczywiście - odparła Kahlan. - Więc zmusili cię do walki na śmierć i życie z tak licznym przeciwnikiem, żebyś przywołał swoją wewnętrzną moc, swój dar. I w efekcie zabiłeś trzydzieścioro jej mistrzów miecza?

- Tak, właśnie tak. Wypełniali proroctwo. - Wymienił ze swoją jedyną i prawdziwą żoną długie spojrzenie, przynajmniej w swoim sercu. - Wiesz przecież, jak straszliwe potrafią być proroctwa.

Matka Spowiedniczka odwróciła w końcu wzrok i przytaknęła, zagłębiona we własnych bolesnych wspomnieniach. Proroctwa naraziły ich na wiele trudów i poddały wielu próbom. Druga żona Richarda, Nadine, narzucona mu przez proroctwo, była właśnie jedną z takich prób.

Du Chaillu dumnie uniosła brodę.

- Pięciu z tych, których zabił *Caharin*, było moimi mężami i ojcami moich dzieci.

- Jej pięciu mężów... O drogie duchy. Richard zerknął na Du Chaillu.

- Wcale mi nie pomagasz.

- Chodzi ci o to, że według jej prawa zabicie jej mężów zmusza cię, byś teraz ty został jej mężem?

- Nie. Nie dlatego, że zabiłem jej mężów, lecz dlatego, że pokonawszy tych trzydziścioro, okazałem się *Caharin* Baka Ban Mana. Du Chaillu jest ich duchową przewodniczką. Ich stare prawa głoszą, że duchowa przewodniczka ma być żoną *Caharin*. Powinienem o tym wcześniej pomyśleć.

- Bez wątpienia - prychnęła Kahlan.

- Słuchaj, wiem, jak to musi brzmieć... Wiem, że to wygląda zupełnie bezsensownie...

- Nie, wszystko w porządku. Rozumiem. - Chłód Kahlan zmienił się w z trudem powściąganą urazę. - Więc postąpiłeś szlachetnie i ożeniłeś się z nią. Oczywiście. Doskonale to rozumiem. - Nachyliła się ku Richardowi. - A w całym tym zamieszaniu i pośpiechu zapomniałeś o tym powiedzieć, zanim ożeniłeś się ze mną. Oczywiście. Rozumiem. Któż by nie zrozumiał? Nie można oczekiwać, że mężczyzna będzie pamiętał o wszystkich swoich żonach, które porzucił tu i tam. - Skrzyżowała ramiona i odwróciła się. - Jak mogłeś, Richardzie...

- Nie! To nie było tak. Nigdy się na to nie zgodziłem. Nigdy. Nie było żadnego obrzędu. Nikt nie wypowiedział żadnej formuły. Nigdy nie przysięgałem. Nie rozumiesz? Nie wzięliśmy ślubu. To się nigdy nie wydarzyło! Tak wiele się działo. Przepraszam, że zapomniałem ci powiedzieć, ale nigdy mi się to nie przypomniało, bo wówczas odrzuciłem to jako irracjonalne wierzenia żyjącego na uboczu ludu. Nigdy nie przywiązywałem do tego wagi. Ona po prostu wierzy, że skoro zabiłem tamtych ludzi w samoobronie, to stałem się jej mężem.

- I stałeś się - potwierdziła Du Chaillu.

Kahlan spojrzała na nią przelotnie i zimno rozważała wyjaśnienia Richarda.

- Więc nigdy, w żadnym sensie, nie wyraziłeś zgody na to, by ją poślubić? Richard wyrzucił w górę ramiona.

- Przecież właśnie to staram się powiedzieć. To wyłącznie wierzenia Baka Ban Mana.

- Baka Tau Mana - poprawiła go Du Chaillu. Richard zignorował ją i nachylił się ku Kahlan.

- Może porozmawiamy o tym później? Możemy mieć poważny problem. - Znacząco uniosła brew i zmienił to na: - Kolejny poważny problem.

Nastroszyła się. Richard odwrócił się, wyrwał źdźbło trawy i zastanawiał się, czy może być coś gorszego od gniewu Kahlan.

- Wiesz mnóstwo o magii. Chodzi mi o to, że dorastałaś w Aydindril, wśród czarodziejów, którzy cię uczyli, i czytywałaś księgi w Wieży Czarodzieja. Jesteś Matką Spowiedniczką.

- Ale nie mam daru w zwykłym rozumieniu tego słowa - odparła Kahlan.  
- Moja moc jest inna niż moc czarodzieja czy czarodziejki. Lecz tak, wiem sporo o magii. Jestem Spowiedniczką, więc musiałam się uczyć o najrozmaitszych formach magii.

- No to mi coś wyjaśnij. Skoro istnieją specjalne obwarowania dotyczące magii, to czy do ich spełnienia wystarczy jakieś niejasne prawo bez odprawienia wymaganych obrzędów?

- Tak, oczywiście. To się nazywa „efekt odbicia”.

- Efekt odbicia. A na czym to polega?

Kahlan owinęła na palcu długie pasmo wilgotnych włosów i zastanowiła się nad pytaniem.

- Powiedzmy, że masz pokój z jednym oknem i słońce nigdy nie dociera do kąta. Możesz sprawić, żeby blask słońca dotarł tam, gdzie nigdy nie dociera?

- Ponieważ nazywa się to efektem odbicia, zgaduję, że trzeba się posłużyć lustrem i odbić blask słońca w ów kąt.

- Właśnie. - Kahlan puściła pasmo włosów i uniosła palec. - Nawet jeśli słońce samo nigdy nie oświetli tego kąta, to za pomocą lustra możesz skierować jego blask tam, gdzie nigdy nie dociera. Magia może czasem działać w taki właśnie sposób. Rzecz jasna, magia jest o wiele bardziej złożona, ale tak to mogę najłatwiej wytłumaczyć. Nawet jeśli tylko jedno starożytne prawo spełnia dawno zapomniany warunek, to czar może „odbić” ów warunek, by spełnić tajemne wymagania określonej magii. Jak woda stara się wyrównać swoją powierzchnię, tak czar, w obrębie przypisanych mu praw, często poszukuje swojego rozwiązania.

- Tego się właśnie obawiałem - wyszeptał Richard. Zmiażdżył zębami czubek źdźbła trawy, zapatrzony w błyskawicę połyskującą złowieszczo w odległych chmurach. - Ta magia pochodzi z czasów starożytnego prawa o *Caharin*. I w tym cały problem - powiedział w końcu.

Kahlan chwyciła go za ramię i odwróciła ku sobie.

- Ale Zedd powiedział..

- Okłamał nas. A ja mu uwierzyłem. - Zdesperowany Richard odrzucił żdźbło. - Zedd posłużył się pierwszym prawem magii: ludzie uwierzą w kłamstwo albo dlatego, że chcą, by było prawdą, albo dlatego, że boją się, iż to prawda. Chciałem mu wierzyć - mruknął chłopak. - Oszukał mnie.

- O czym ty mówisz? - spytała Cara.

Richard westchnął, przygnębiony. Pod wieloma względami okazał się nieostrożny.

- O Zeddzie. Wymyślił to wszystko o Lurku.

- Czemuż miałby to zrobić? - skrzywiła się Mord-Sith.

- Bo z jakiegoś powodu nie chciał, byśmy wiedzieli, że te demony wy dostały się na nasz świat.

Że też był tak głupi i zapomniał o Du Chaillu. Kahlan słusznie się rozgniewała. A jego przeprosiny były zupełnie beznadziejne. I to on miał być lordem Rahlem? Ludzie mieli mu wierzyć i iść za nim?

Kahlan potarła palcami zmarszczone czoło.

- Przemyślmy to, Richardzie. To niemożliwe...

- Zedd mówił, że musiałabyś być moją trzecią żoną, by przywołać demony.

- Między innymi. Powiedział, że między innymi - upierała się. Chłopak ze znużeniem odgiął palec.

- Du Chaillu. - Odgiął drugi. - Nadine. - Odgiął trzeci. - Ty. Jesteś moją trzecią żoną. W zasadzie. Ja mogę tak nie uważać, lecz czarodzieje, którzy rzucili ów czar, nie dbaliby o to, jak ja na to patrzę. Rzucili czar, który zadziała po spełnieniu określonych warunków.

Kahlan westchnęła pobłaźliwie.

- Zapominasz o jednym ważnym elemencie. Gdy wymawiałam na głos imiona trzech demonów, nie byliśmy jeszcze małżeństwem. Nie byłam jeszcze twoją drugą żoną, a tym bardziej trzecią.

- Kiedy zmuszono mnie, bym poślubił Nadine i za tę cenę dostał się do Świątyni Wichrów, a ciebie, byś poślubiła Drefana, przysięgaliśmy sobie w naszych sercach. Ze względu na tę przysięgę byliśmy już wtedy zaślubieni, przynajmniej w rozumieniu duchów. Sama Ann przyznała, że tak było. A jak dopiero co tłumaczyłaś, magia działa czasami według takich dwuznacznych zasad. Bez względu na to, co my o tym sądzimy, dopełnione zostały formalne

warunki wymagane do zadziałania starożytnego czaru, który rzucili czarodzieje podczas wielkiej wojny, kiedy to wypowiedziano proroctwo o *Caharin* i ustanowiono stare prawo.

- Ale...

Richard wykonał pełen emfazy gest.

- Przykro mi, Kahlan, że tak idiotycznie o tym zapomniałem. Teraz jednak musimy spojrzeć prawdzie w oczy: demony są w naszym świecie.



## ROZDZIAŁ 28

Richard uważał, że jego rozumowanie jest bez zarzutu, a mimo to widział, iż wcale nie przekonał Kahlan. Nie przemówił jej do rozsądku. Była wyraźnie zła.

- Powiedziałaś Zeddowi o... niej? - Wskazała gniewnie na Du Chaillu. - Powiedziałaś? Przecież musiałaś mu coś powiedzieć.

Chłopak rozumiał jej uczucia. I on nie byłby zachwycony odkryciem, że Kahlan ma drugiego męża, o którym zapomniała mu napomknąć - choćby w ogóle nie miała niczego na sumieniu, choćby to było równie nieistotne jak jego więź z Du Chaillu. A przecież chodziło tu o coś znacznie ważniejszego niż jakieś pokrętne uwarunkowanie, które uczyniło Du Chaillu jego pierwszą żoną. Wchodziło tu w grę coś w najwyższym stopniu niebezpiecznego. Kahlan powinna to zrozumieć. Musiała pojąć, że znaleźli się w poważnych opałach.

Już i tak stracili cenny czas. Richard modlił się do dobrych duchów, by pozwoliły mu ukazać Kahlan prawdziwość jego słów bez konieczności ujawniania wszystkiego, co wiedział.

- Już ci mówiłem, Kahlan, że całkiem o tym zapomniałem i przypomniałem sobie dopiero teraz. Wtedy nie brałem tego poważnie, więc nie zdawałem sobie sprawy, że może to mieć jakiś wpływ na to, co się potem wydarzyło. A poza tym, niby kiedy miałem powiedzieć o niej Zeddowi? Juni zginął, nim mieliśmy okazję naprawdę porozmawiać z dziadkiem, a potem on wymyślił tę historyjkę o Lurku i wysłał nas w tę głupią podróż.

- To skąd wiedział? Przecież musiał o tym wiedzieć, żeby nas potem tak nabrać. Skąd Zedd wiedział, że tak naprawdę jestem twoją trzecią żoną, nawet jeśli to tylko... - zacisnęła pięści - tylko przez jakieś głupie stare prawo, o którym przebiegle zapomniałaś?

Richard wyrzucił w górę ramiona.

- Jeżeli w nocy pada, to nie musisz widzieć w ciemności chmur, by wiedzieć, że deszcz może padać tylko z nieba. Jeśli Zedd zna jakiś fakt i wie, że to tarapaty, to nie będzie się martwił jego przyczyną, tylko zastanowi się, jak załatać dziurę w dachu.

Dziewczyna ścisnęła palcami grzbiet nosa i głęboko odetchnęła.

- Może on naprawdę wierzy w to, co opowiedział nam o Lurku, Richardzie. - Obrzuciła zimnym spojrzeniem jego pierwszą żonę. - Może wierzy w to dlatego, że to prawda.

Richard potrząsnął głową.

- Musimy to przyjąć do wiadomości, Kahlan. Tylko wszystko pogorszymy, jeśli odrzucimy prawdę i pozwolimy się omamić kłamstwu. Ludzie już umierają.

- Zgon Jurnego wcale nie dowodzi, że demony naprawdę tu są.

- To nie tylko Juni. Obecność demonów w naszym świecie spowodowała, że tamto dziecko urodziło się martwe.

- Co takiego?! - Zdenerwowana Kahlan przeczesała włosy palcami. Richard doskonale rozumiał jej pragnienie, żeby to był Lurk, a nie demony, bo w przeciwieństwie do demonów, wiedzieli, jak sobie z nim poradzić. Lecz pragnienia nie zmieniają faktów. - Najpierw zapominasz, że masz już żonę, a teraz stanowczo obstajesz przy jakimś swoim wymyśle. Jak do tego doszedłeś, Richardzie?

- Bo obecność demonów w naszym świecie w jakiś sposób niszczy magię. Błotni Ludzie też mają magiczny dar.

Choć Błotni Ludzie byli ludem wiodącym skromne życie na uboczu, różnili się od innych - tylko oni potrafili przywoływać podczas narady widzących duchy przodków i rozmawiać z umarłymi. Wcale nie uważali, że mają magiczny dar, ale jedynie oni potrafili przywołać swojego przodka zza zewnętrznego kręgu Grace, choćby jedynie na krótką chwilę, ściągnąć go poprzez graniczną zasłonę do wewnętrznego kręgu życia.

Gdyby Imperialny Ład wygrał wojnę, wszyscy Błotni Ludzie mogliby zostać wymordowani wraz z innymi za posiadanie magicznego daru. Jeżeli demony istotnie są tutaj, lud ten może nie dożyć losu, jaki zgotowałby mu Ład.

Richard dostrzegł w pobliżu bacznie przysłuchującego się im Chandalena.

- Błotni Ludzie mają wyjątkową zdolność zwoływania narad widzących. Każdy z nich rodzi się z tą zdolnością, z tą magią. To wydaje ich na łup demonów. Zedd powiedział nam, a wyczytałem to również w pamiętniku Kolo, że słabi ucierpią pierwsi. - W głosie chłopaka zabrzmiał żal. - Cóż może być słabszego od nie narodzonego dziecka?

Kahlan dotknęła kamienia zawieszzonego na szyi i odwróciła wzrok od oczu chłopaka. Potem opuściła rękę i najwyraźniej próbowała okiełznać swój gniew cierpliwością i rozsądkiem.

- Wciąż czuję swoją moc, tak samo jak zawsze. A jak powiedziałeś, gdyby demony tu były, powodowałyby słabnięcie magii. Nie mamy żadnego dowodu na to, że tak się dzieje. Nie sądzisz, że wyczułabym coś, gdyby to była prawda? Czyżbyś uważał, że nie potrafię ocenić mojej mocy? Nie możemy pochopnie wyciągać wniosków, Richardzie. Noworodki umierają, to się nieustannie zdarza. To nie dowodzi, że magia zanika.

Richard popatrzył na Carę. Stała w pobliżu, przysłuchiwała się rozmowie i obserwowała trawiaste równiny, łowców Błotnych Ludzi oraz - ze szczególną uwagą - Baka Tau Mana.

- Od kiedy twój Agiel jest bezużyteczny, Caro? Mord-Sith wystraszyła się. Nie byłaby bardziej przerażona, gdyby Richard znienacka ją uderzył. Otworzyła usta, lecz nie wydała żadnego dźwięku. Zadarła brodę. Nie miała ochoty się do tego przyznać.

- Lordzie Rahlu, dlaczego uważasz, że...

- Zabrałaś Chandalenowi nóż. Nigdy przedtem nie widziałem, byś zrezygnowała z Agiela na rzecz innego oręża. Żadna Mord-Sith by tego nie zrobiła. Od kiedy, Caro?

Oblizwała wargi. Zamknęła oczy, pokonana, i odwróciła się.

- Od kilku dni mam kłopoty z wyczuwaniem ciebie. Nie zauważyłam żadnej różnicy poza tym, że mam coraz większe problemy z wycuciem, gdzie jesteś. Najpierw sądziłam, że to chwilowe, ale więź najwyraźniej słabnie z dnia na dzień. Nasza więź z lordem Rahlem daje moc Agielom.

O ile Mord-Sith znajdowała się w odpowiedniej odległości, zawsze dokładnie wiedziała, gdzie jest Richard. Wiedziała to właśnie dzięki owej więzi. Chłopak pomyślał, że nagła utrata tej zdolności musi Carę ogromnie zbijać z tropu.

Mord-Sith, zapatrzona na odległe burzowe chmury, odkaszlęła. W jej niebieskich oczach błyszczały łzy.

- Agiel jest martwy w mojej dłoni.

Jedynie Mord-Sith mogła rozpaczać nad zanikiem magii zadającej jej ból za każdym razem, gdy dotknęła Agiela. Taka była natura tych kobiet i ich bezwzględne oddanie obowiązkowi.

Cara ponownie spojrzała na Richarda, znów miała swoją buńczuczną minę.

- Ale wciąż jestem z tobą związana i zrobię co w mojej mocy, żeby cię chronić. To, co się stało, nie zmienia niczego dla Mord-Sith.

- A d'haranskie wojska? - wyszeptał Richard, zastanawiając się nad ich coraz większymi kłopotami. D'Haranczyści też kierowali się tą więzią. Jagang nadciąga. A bez armii...

Więź była starożytną magią, którą odziedziczył, ponieważ był Rahlem mającym magiczny dar. Więź stworzono, żeby chroniła przed Nawiedzającymi Sny. Bez niej...

Kahlan wierzyła co prawda, że to Lurk, a nie demony, lecz Zedd ostrzegł ich, że i to doprowadzi do zaniku magii. Richard wiedział, że historyjka czarodzieja musiała najbardziej jak to było możliwe odpowiadać rzeczywistości, by wprowadzić ich w błąd. Tak czy owak, Kahlan pojmie wreszcie, że drzewo magii rodzi zgniłe owoce. Dziewczyna pokrzepiającym gestem dotknęła jego ramienia.

- Armia może nie czuć więzi równie wyraźnie jak przedtem, Richardzie, ale żołnierze są związani z tobą także na inne sposoby. Większość Midlandczyków jest po stronie Matki Spowiedniczki, a nie wiąże ich z nią żadna magia. Podobnie żołnierze idą za tobą, bo ci ufają. Udowodniłeś im, ile jesteś wart, a oni wykazali to tobie.

- Matka Spowiedniczka ma rację - wtrąciła się Cara. - Armia pozostanie lojalna, bo jesteś jej wodzem. Jej prawdziwym wodzem. Żołnierze wierzą w ciebie tak samo jak ja.

Richard głęboko odetchnął.

- Doceniam to, Caro, naprawdę, ale...

- Jesteś lordem Rahlem. Magią przeciwko magii. My jesteśmy stalą przeciwko stali. I tak pozostanie.

- Otóż to. Nie mogę być magią przeciwko magii. Nawet gdyby to był Lurk, a nie demony, to magia zniknie.

Cara wzruszyła ramionami.

- Więc wymyślisz sposób, żeby znów zadziałała. Jesteś lordem Rahlem i to twoje zadanie.

- Richardzie - odezwała się Kahlan - Zedd powiedział nam, że Siostry Mroku przywołały Lurka i że to on sprawia, iż magia zanika. Nie masz

żadnego dowodu, że to naprawdę demony. Musimy zrobić to, o co nas prosił Zedd, a wtedy on zdoła zniszczyć czar Sióstr. Kiedy tylko dotrzemy do Aydindril, wszystko wróci do normy.

Chłopak wciąż nie potrafił się zmusić, żeby jej powiedzieć.

- Bardzo bym chciał, Kahlan, żeby było, jak mówisz, lecz niestety tak nie jest. - Tylko na tyle się zdobył.

Jej cierpliwość zaczęła dobiegać kresu.

- Dlaczego upierasz się, że to demony, skoro Zedd powiedział nam, że to Lurk?

Nachylił się ku niej.

- Przemyśl to sobie. Moja babka, żona Zedda, najwyraźniej opowiedziała swojej córeczce, a mojej matce, historyjkę o kocie zwanym Lurk. A mama ten jeden jedyny raz opowiedziała ją mi, lecz Zedd o tym nie wie. Mama powiedziała mi to, gdy byłem maty, podobnie jak inne historyjki, które miały mnie rozbawić i pocieszyć. Nigdy nie wspomniałem o tym Zeddowi. Zedd zaś z jakiegoś powodu chciał ukryć prawdę. Lurk przyszedł mu na myśl sam z siebie, prawdopodobnie dlatego, że kiedyś miał kotka o takim imieniu. Przyznaj sama, czy Lurk nie wydaje ci się trochę... cudaczny, kiedy się już nad tym zastanowisz?

Kahlan skrzyżowała ramiona na piersiach. Skrzywiła się z niechęcią.

- Sądziłam, że tylko ja tak myślę. - Zebrała się w sobie. - Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Może to tylko zbieg okoliczności.

Richard wiedział, że to demony. Podobnie jak wcześniej wyczuł, że owa kura to w istocie nie kura. Pragnął, by Kahlan mu uwierzyła, z całego serca pragnął, by uwierzyła mu na słowo.

- A co to takiego te demony? - spytała Cara.

Chłopak odwrócił się od nich i zapatrzył na horyzont. Niezbyt wiele wiedział o tych stworach, ale to, co wiedział, wystarczało, żeby włoski jeżyły mu się na karku.

- Mieszkańcy Starego Świata chcieli położyć kres magii, podobnie jak teraz Jagang. I chyba z tego samego powodu: żeby łatwiej mogli władać za pomocą miecza. Ci w Nowym Świecie chcieli natomiast, żeby magia trwała. Czarodzieje obu stron stworzyli niewyobrażalnie straszliwy oręż w desperackiej nadziei, że położą kres wojnie. Wiele rodzajów tej broni, jak na przykład mriswithy, utworzono z ludzi, usuwając za pomocą magii

subtraktywnej pewne cechy ludzkie i dodając za pomocą magii addytywnej pożądaną zdolność lub cechę. Niektórym tylko dodawano pożądaną umiejętność. Uważam, że Nawiedzający Sny byli takimi właśnie ludźmi, którym dodano umiejętność i których czarodzieje najwyraźniej zamysłali wykorzystać jako broń. Jagang jest potomkiem Nawiedzających Sny z czasów wielkiej wojny Teraz oręż prowadzi wojnę. W przeciwieństwie do Jaganga, który chce zniszczyć naszą magię po to tylko, żeby posłużyć się swoją przeciwko nam, ludzie ze Starego Świata w czasie wielkiej wojny naprawdę starali się położyć kres magii. Całej magii. Demony właśnie tego miały dokonać: potajemnie wykraść magię ze świata istot żywych. Przywołano je z zaświatów, ze świata zmarłych Opiekuna. Jak to wyjaśniał Zedd, taki przywołany z zaświatów stwór może nie tylko zniszczyć magię, ale i przy okazji położyć kres samemu życiu.

- Zedd mówił też, że on i Ann się tym zajmą - wtrąciła Kahlan. Richard obejrzał się na nią przez ramię.

- Dlaczego więc nas okłamał? Dlaczego nam nie zaufał? Jeśli naprawdę potrafi temu przeciwdziałać, to dlaczego po prostu nie powiedział nam prawdy? - Potrząsnął głową. - Dzieje się jeszcze coś.

Du Chaillu, cały czas milcząca, niecierpliwie splotła ramiona.

- Nasi mistrzowie miecza z łatwością mogliby rozsiekać na kawałki te ohydne...

- Cicho! - Richard położył palec na jej ustach. - Ani słowa więcej, Du Chaillu. Nie rozumiesz tego. Nie masz pojęcia, jakie kłopoty mogłabyś osiągnąć.

Kiedy chłopak upewnił się, że Du Chaillu się nie odezwie, ponownie odwrócił się od nich i zapatrzył na niebo rozjaśniające się na północnym wschodzie. Popatrzył ku Aydindril. Był zmęczony sporami. Wiedział, że demony naprawdę tu są. Musiał się zastanowić, jak temu zaradzić. Musiał się dowiedzieć pewnych rzeczy. Przypomniał sobie, że kiedy wertował pamiętnik Kolo w poszukiwaniu innych informacji, natrafił na fragmenty, w których czarodziej pisał o demonach i o mnóstwie innych rzeczy. Czarodzieje bez przerwy przesyłali do Wieży Czarodzieja w Aydindril raporty i wieści, nie tylko przekazując informacje o demonach, ale też o wielu innych przerażających i mogących doprowadzić do katastrofy wydarzeniach. Kolo pisał o tych relacjach, a przynajmniej o tych spośród

nich, które uznał za interesujące, znaczące lub ciekawe, lecz nie opisywał tego szczegółowo. Nie miał powodu, żeby je kopiować w prywatnym pamiętniku. Richard wątpił, czy Kolo zamierzał dać komukolwiek ten pamiętnik do przeczytania. Czarodziej ów miał zwyczaj krótko wzmiankować o jakiejś konkretnej informacji, a potem komentować bieżące sprawy, więc to, co Richard znajdował na temat takich raportów, było denerwująco pobieżne i subiektywne.

Kolo zapisywał obszerniej informacje tylko wtedy, kiedy był przestraszony - jakby pamiętnik służył mu wówczas do przemyślenia określonej sprawy i znalezienia rozwiązania. W pewnym okresie był naprawdę przerażony tym, co raporty mówiły na temat demonów. W kilku miejscach zapisał to, co wyczytał w raportach, zupełnie jakby chciał usprawiedliwić swoje przerażenie i uwypuklić przyczyny swojej troski.

Richard przypomniał sobie, że Kolo wspominał o czarodzieju, którego wysłano, żeby uporał się z demonami. Ander. Chłopak nie zapamiętał jego imienia.

Czarodziej Ander nosił dumny przydomek „Góra”. Musiał być wielki. Kolo go jednak nie lubił i w swoim prywatnym pamiętniku często nazywał ironicznie „Krecim Kopczykiem”. Z zapisków Koloblicina Richard domyślił się, że ów Ander miał o sobie bardzo wysokie mniemanie.

Chłopak dobrze pamiętał, że w którymś miejscu pamiętnika czarodziej oburzał się, iż ludzie nie potrafili prawidłowo zastosować piątego prawa magii: Zważaj na to, co ludzie czynią, a nie tylko na ich słowa, bo czyny zdradzają kłamstwo.

Czarodziej wydawał się rozwścieczony, kiedy pisał, że nie biorąc pod uwagę całości jego czynów, ludzie nie potrafią prawidłowo zastosować piątego prawa do czarodzieja Andera. Żalił się, że gdyby to zrobili, łatwo przekonali by się, iż ów czarodziej tak naprawdę dba wyłącznie o własne sprawy, a nie o dobro swojego ludu.

- Jeszcze nie powiedziałaś, czym są te demony - odezwała się Cara.

Richard poczuł, jak wiatr natarczywie szarpie jego włosy i złocistą pelerynę, jakby ponaglając, by ruszył dalej. Nie wiedział tylko dokąd. Owady unosiły się z wilgotnej wiosennej trawy i zataczały pętle w powietrzu. Daleko na wschodzie, na tle kłębiących się, ozłoconych słońcem burzowych chmur, widać było ciemne sylwetki gęsi lecących kluczem na północ.

Chłopak nie zastanowił się jeszcze poważnie nad demonami, od kiedy ta sprawa wypłynęła podczas wesela. Zedd rozwiązał ich zatroskanie, a poza tym umysł chłopaka zaprzątnięty był czym innym. Później jednak, kiedy coś zabiło kurę przed domem duchów, kiedy zamordowano Juniego, kiedy ów podobny do kury stwór - ilekroć był w pobliżu - wywoływał u Richarda gęsią skórkę i kiedy Zedd podał trochę szczegółów, narastający niepokój chłopaka sprawił, że starał się sobie przypomnieć wszystko, co wiedział o demonach. Przeglądając pamiętnik Kolo w poszukiwaniu rozwiązania innych problemów, nie zwracał szczególnej uwagi na wiadomości o demonach, lecz ciągle koncentracja i zdarzające się niekiedy stany zbliżone do transu, spowodowały, że sporo sobie przypominał.

- Demony to starożytne stwory zrodzone w zaświatach. Żeby mogły się dostać do świata istot żywych, musi zostać naruszony, przerwany Grace. Jako że pochodzą z zaświatów, wyczarowano je tylko magią subtraktywną i dlatego w naszym świecie zakłócają istniejącą równowagę. A magia wymaga równowagi. Ponieważ demony są wyłącznie subtraktywne, sama ich obecność tutaj wymaga magii addytywnej. To dzięki niej mogą istnieć w tej postaci, gdyż istnienie jest odmianą magii addytywnej. Dlatego też dopóki demony są tutaj, będą wysysać magię z naszego świata.

Cara, która nigdy nie przepadała za magią, była tylko jeszcze bardziej zdezorientowana tą odpowiedzią. Richard dobrze ją rozumiał. On sam niewiele wiedział o magii i ledwo pojmował to, co powiedział Mord-Sith. Nawet nie był pewny, czy prawidłowo to powtórzył.

- Ale jak one to robią? - spytała Cara.

- Wyobraź sobie świat istot żywych jako beczułkę z wodą. Demony to dziura w tej beczułce, dziura, którą właśnie odkorkowano i przez którą wycieka woda. Kiedy cała woda wycieknie, drewno wyschnie, klepki się wypaczą i beczułka nie będzie już taka jak przedtem. Będzie martwą skorupą przypominającą jedynie pojemnik, którym kiedyś była. Sama obecność demonów sprawia, że magia wycieka ze świata istot żywych jak woda z tej beczułki. A poza tym, żeby sprowadzić je do naszego świata, wyczarowano je jako istoty. Mają własne usposobienie. Mogą zabijać. Jako stwory magiczne mogą - jeżeli tego zapragną - przyjmować postać istoty, którą zabiły, na przykład kury, zachowując przy tym całą swoją moc. Kiedy trafiłem strzałą kurę, demon uciekł jako kura. Tymczasem prawdziwa kura



cały czas leżała martwa za murkiem. Demon wykorzystał jej postać jako przebranie, żeby się z nas naigrawać.

Cara wyglądała na zaniepokojoną, co było u niej niezwykle.

- Czyżbyś usiłował mi powiedzieć, że każdy z tu obecnych może być demonem? - Rozejrzała się po stojących wokół ludziach.

- Z tego, co zrozumiałem, wynika, że są to wyczarowane istoty i nie mają duszy, więc nie mogą przybierać kształtu osoby, a jedynie zwierzęcia. Według Zedda prawdziwa jest również odwrotna sytuacja: Jagang ma duszę, zatem może wnikać jedynie do umysłu osoby, bo w tym przypadku niezbędna jest dusza. Kiedy czarodzieje tworzyli z ludzi oręż, te twory dalej miały duszę. Dzięki temu można je było kontrolować, przynajmniej do pewnego stopnia. Za to nad demonami w naszym świecie nie można zapanować. Między innymi dlatego są tak niebezpieczne. To przypomina próbę rozmowy z błyskawicą.

- W porządku. - Cara wyprostowała palec, jakby notowała sobie coś w myślach. - Więc to nie może być osoba. To znakomicie. - Wskazała na niebo. - A czy któryś z tych świergotków mógłby być demonem?

Richard popatrzył na przelatującego ptaszka z żółtymi piórkami na piersi.

- Chyba tak. Jeżeli ten stwór mógł być kurą, to na pewno może zabić dowolne zwierzę i przybrać jego postać. Ale wcale nie musiałby tego robić. - Wskazał na mokrą ziemię. - Równie dobrze mógłby się przyczaić w kałuży u twoich stóp. Niektóre z nich najwyraźniej lubią wodę.

Mord-Sith spojrzała na kałużę i cofnęła się o krok.

- Uważasz, że ten demon, który zabił Juniego, ukrywał się w wodzie? Podkradał się za nim?

Chłopak spojrzał przelotnie na Chandalena, a potem krótkim skinieniem głowy potwierdził domysł Cary.

- Demony chowają się lub czekają w mrocznych miejscach - podjął. - Poruszają się po krawędziach, na przykład w pęknięciach skał lub na skraju wody. Przynajmniej tak przypuszczam. Kolo napisał, że ślizgają się na granicach, gdzie to styka się z tamtym. Niektóre kryją się w ogniu i mogą podróżować na iskrach. - Richard przypomniał sobie, jak zapłonął dom zmarłych, w którym spoczywało ciało Juniego, i spojrzał z ukosa na Kahlan. - Kiedy sieje zirytuje lub rozgniewa, potrafią coś spalić, po prostu na złość.

Napisano, że niektóre są tak piękne, iż ich widok odbiera dech Już na zawsze. Są ledwie widoczne, chyba że przyciągniesz ich uwagę. Z pamiętnika Kolo wywnioskowałem, że gdy ofiara je ujrzy, jej pragnienia nadają im kształt. Są wtedy wcieleniem nieodpartyh pragnień. Prawdopodobnie w ten sposób uwodzą ludzi aż w śmierć. Może właśnie to przydarzyło się Juniemu. Może zobaczył coś tak pięknego, że odrzucił oręż i zdrowy rozsądek i poszedł za tym w wodę, gdzie utonął. Inne z kolei same starają się przyciągnąć uwagę i lubią, by oddawać im cześć. Sądzę, że dzieje się tak dlatego, iż pochodzą z zaświatów i są równie jak Opiekun spragnione czci i uwielbienia. Mówi się, że część nawet ochrania tych, którzy ślepo oddają im cześć. Lecz jest to ogromnie niebezpieczne. Kolo napisał, że to je uspokaja, ale jeśli przestaniesz składać im hołd, zwrócą się przeciwko tobie. Najbardziej lubią łowy, to ich nigdy nie nuży. Polują na ludzi. Nie znają litości. Szczególnie lubią zabijać ogniem. Ich nazwa w gornod'haranskim oznacza w przybliżeniu „kuranty losu” lub „kuranty śmierci”.

Du Chaillu milczała, rozgniewana. Mistrzowie miecza Baka Tau Mana wciąż wyglądali na obojętnych, powściągliwych i rozluźnionych, lecz uwadze Richarda nie umknął ich nowy rys - niepokój.

- Chyba zdołamy zrozumieć, o co tu chodzi - westchnęła Cara. Chandalen dotąd słuchał uważnie, teraz w końcu się odezwał.

- Ale ty w to nie wierzysz, Matko Spowiedniczko? Ty wierzysz Zeddowi, że to nie kuranty śmierci?

Kahlan spojrzała w oczy Richardowi i dopiero potem odpowiedziała łowcy. Jej głos nie był szorstki.

- Tłumaczenie Zedda było bardzo podobne, dlatego może równie dobrze odpowiadać temu, co się stało. Jednak cała sprawa nie stałaby się przez to mniej groźna. Zasadnicza różnica polega na tym, że zdaniem Zedda, możemy zapobiec kłopotom, jeśli dotrzemy do Aydindril. Mimo wszystko uważam, że to Zedd ma rację. Nie wierzę, że to są demony.

- Naprawdę chciałbym, żeby było, jak mówisz. Naprawdę, bo wtedy po dotarciu do Aydindril moglibyśmy temu przeciwdziałać - odezwał się Richard. - Ale to demony. Powiedziałbym, że Zedd zwyczajnie chciał nas uchronić przed niebezpieczeństwem i samodzielnie spróbować odesłać demony do zaświatów.

- Lord Rahl jest magią przeciw magii - stwierdziła Cara, zwracając się do

Kahlan. - On się najlepiej na tym zna. Skoro uważa, że to demony, to na pewno są to demony.

Matka Spowiedniczka westchnęła ze znużeniem i odrzuciła za ramię długie włosy.

- Wmawiasz sobie, że to demony, Richardzie. Mówiąc tak, jakby to była prawda, zacząłeś do tego przekonywać Czarę, podobnie jak wcześniej przekonałeś sam siebie. Boisz się, że to prawda, więc dajesz temu wiarę.

Najwyraźniej przypominała mu o pierwszym prawie magii, sugerując, że wierzy w kłamstwo.

Richard ocenił zapalczywą determinację widoczną w zielonych oczach. Potrzebował pomocy Kahlan. Sam nie mógł stawić temu czoła. W końcu uznał, że nie ma wyboru. Poprosił wszystkich, by poczekali, otoczył ramieniem barki Kahlan i odszedł z nią wystarczająco daleko, aby tamci nic nie usłyszeli. Chciał, żeby mu uwierzyła. Już nie miał wyboru. Musiał jej powiedzieć.

## ROZDZIAŁ 29

Kahlan poszła z nim chętnie przez mokrą trawę. Wolała się sprzeczać na osobności niż przy wszystkich. Richard zaś nie chciał jej przy wszystkich mówić tego, co miał do powiedzenia.

Chłopak obejrzał się przez ramię: łowcy Chandalena niedbale wspierali się na swoich dzidach, dzidach z grotami zanurzonymi w truciźnie. Sprawiali wrażenie, że leniwie czekają, aż Richard i Kahlan zakończą rozmowę i wrócą. Dobrze wiedział, że nie było w tym krzty lenistwa. Doskonale widział, że ustawili się tak, by mieć Baka Tau Mana pod strażą. W końcu to były ich ziemie i choć znali Richarda, Baka Tau Mana byli obcy.

Baka Tau Mana, rzecz jasna, zdawali się zupełnie *nie* zwracać uwagi na Błotnych Ludzi. Mistrzowie miecza wymienili kilka nonszalanckich słów, spojrzeli na wiszące na horyzoncie burzowe chmury, przeciągnęli się i ziewnęli.

Richard walczył z mistrzami miecza Baka Ban Mana. Dobrze wiedział, że nie są obojętni. Byli gotowi zabijać. Prowadzili ciężkie życie, otoczeni przez wrogów, którzy chcieli ich zniszczyć, toteż w każdej chwili musieli być gotowi do walki, do zabijania. Kiedy chłopak podróżował z Siostrą Verną i pierwszy raz napotkali mistrzów miecza, zapytał ją, czy są bardzo niebezpieczni. Siostra Verna opowiedziała mu, że kiedy była młoda, widziała, jak mistrz miecza Baka Ban Mana, który przedostał się do garnizonu w Tanimurze, zabił niemal pięćdziesięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy, nim go powalono. Mówiła, że walczą jak niewyciężone duchy i że niektórzy ludzie uważają ich za nie.

Richard wcale nie chciał, by niewłaściwa ocena sytuacji lub czyjaś niezręczność doprowadziły do walki Błotnych Ludzi z Baka Tau Mana. Jedni i drudzy byli zbyt dobrymi wojownikami.

Cara na pewno nie wyglądała na opanowaną i obojętną - wodziła po nich wszystkich gniewnym wzrokiem.

Błotni Ludzie, Baka Tau Mana i Cara - jak trzy boki trójkąta - stali w toczących się zmaganiach po tej samej stronie. Wszyscy byli sprzymierzeni z Kahlan i Richardem, popierali ich racje, chociaż inaczej patrzyli na świat. Wszyscy cenili w życiu to samo: rodzinę, przyjaciół, wytężoną pracę,

uczciwość, obowiązek, lojalność i wolność.

Kahlan łagodnie, choć zdecydowanie położyła dłoń na piersi Richarda.

- Wiem, Richardzie, że twoje serce jest prawe, lecz zwyczajnie nie byłeś rozsądny. Jesteś Poszukiwaczem Prawdy, musisz przestać upierać się przy swoim i dostrzec rzeczywistość. Możemy powstrzymać magiczne działania Sióstr i ich Lurka. Zedd i Ann zneutralizują ich czar. Dlaczego jesteś taki zawzięty?

- Kahlan - powiedział cicho - ta kura była demonem. Dziewczyna odruchowo dotknęła ciemnego kamienia zawieszzonego na jej szyi na delikatnym złotym łańcuszku.

- Wiesz, Richardzie, że cię kocham i że ci ufam, ale w tym przypadku mało brakuje, by...

- Kahlan - przerwał jej. Wiedział, co myślała i co chciała powiedzieć, lecz pragnął, żeby go wysłuchała. Zaczekał, aż jej oczy mu powiedziały, że to uczyni. - Ty przywołałaś demony na nasz świat. Nie zrobiłaś tego umyślnie lub żeby szkodzić, wszyscy to wiemy. Uczyniłaś to, by mnie ocalić. Byłem bliski śmierci i potrzebowałem twojej pomocy, więc i ja mam w tym swój udział. Gdyby nie ja, nie musiałybyś tego robić.

- Nie zapominaj o naszych przodkach. Gdyby nie splodzili dzieci, nie narodzilibyśmy się i nie popełnilibyśmy złych uczynków. Chyba i ich chciałbyś w to wmieszać, prawda?

Richard zwilżył wargi, po czym delikatnie zacisnął dłonie na ramionach dziewczyny.

- Mówię po prostu, że to wszystko zaczęło się od udzielania pomocy. Jednak w żadnym wypadku nie czyni cię to winną złych intencji. Powinnaś to zrozumieć. Skoro jednak wymówiłaś słowa dopełniające czaru, mimo woli stałaś się za to odpowiedzialna. Sprowadziłaś demony do naszego świata. Zedd z jakiegoś powodu nie chciał, żebyśmy o tym wiedzieli. Szkoda, że nie powiedział nam prawdy. Jestem pewny, że miał swoje powody, które były dla niego tak ważne, iż zdecydował się nas okłamać. I może istotnie były aż tak ważne.

Kahlan ucisnęła czoło palcami, zamknęła oczy i westchnęła.

- Przyznaję, Richardzie, że opowiadka Zedda jest dość zaskakująca i pewne sprawy wciąż czekają na wyjaśnienie, ale nie znaczy to, że musimy pochopnie przyjmować inną wersję, byle tylko mieć jakieś rozwiązanie. Zedd

jest Pierwszym Czarodziejem, musimy mu wierzyć i zrobić to, o co prosił.

Richard dotknął jej policzka. Tak chciałby być z nią sam, naprawdę sam, i przeprosić za swoje idiotyczne zapomnienie. Z całego serca nie chciał jej mówić tego, co musiał.

- Posłuchaj, proszę, Kahlan, co mam do powiedzenia, a potem zadecydujesz, dobrze? Chciałbym się mylić, naprawdę. Ty zadecyduj. Kiedy Błotni Ludzie strzegli nas w domu duchów, demony były na zewnątrz. Jeden z nich zabił kurę, bo lubią zabijać. Kiedy Juni, podobnie jak ja, usłyszał hałas, sprawdził, co się dzieje, ale niczego nie zobaczył. Wtedy naurągał duchowi zabójcy, żeby go wywabić z ukrycia. Sprawca wyszedł z ukrycia i zabił za obelgi.

- I ja naurągałam podobnemu do kury stworowi. Dlaczego mnie nie zabił? - Kahlan ze znużeniem przetarła oczy. - Odpowiedz, Richardzie. Dlaczego mnie nie zabił?

Patrzył w jej piękne zielone oczy i zbierał się na odwagę.

- Demon, powiedział ci dlaczego, Kahlan.

- Co takiego?! - Aż zmrużyła oczy. - O czym ty mówisz?!

- Ta kura nie była Lurkiem. To był demon i nie nazwał cię Matką Spowiedniczką. To był demon. I powiedział, co myślał. Nazwał cię matką.

Kahlan spojrzała na niego oczami wielkimi z przerażenia.

- Szanują cię - podjął Richard - przynajmniej do pewnego stopnia, bo sprowadziłaś je do świata istot żywych. Dałaś im życie. Uważają cię za swoją rodzicielkę, za swoją matkę. Tobie się tylko wydawało, że ten przypominający kurę stwór chciał dodać „Spowiedniczką” po słowie „matka”, bo jesteś przyzwyczajona, że ludzie cię tak nazywają. Lecz demon nie użył twojego tytułu, Kahlan. Nazwał cię matką.

Chłopak widział, jak prawda powoli do niej dociera, burzy jej starannie skonstruowaną logiczną obronę. Niektóre prawdy uderzają w samo serce i w takiej chwili wszystko się wali.

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami. Schroniła się w ramionach Richarda, szukając pociechy i zrozumienia. Załkała krótko na jego piersi, a potem gniewnie otarła łzę z policzka.

- Uważam, że tylko to cię ocaliło - powiedział czule, tuląc ją. - Ale drugi raz nie zawierzyłbym twojemu życiu ich życzliwości.

- Musimy je powstrzymać. - Stłumiła szloch. - O drogie duchy, musimy je

powstrzymać.

- Wiem.

- A wiesz jak? Masz jakiś pomysł, jak odesłać je do świata zmarłych?

- Jeszcze nie. Żeby znaleźć rozwiązanie, trzeba najpierw rozpoznać problem. To już chyba mamy za sobą, prawda?

Kahlan potaknęła, otarła oczy. Zrozumienie doprowadziło ją do łez, które osuszyło podjęcie decyzji.

- Dlaczego demony były koło domu duchów?

Kiedy oni po ceremonii zaślubin upajali się miłością, to coś przed drzwiami domu duchów upajało się śmiercią. Na myśl o tym Richard poczuł mdłości.

- Nie wiem. Może chciały być blisko ciebie.

Kahlan skinęła głową. Zrozumiała. Blisko swojej matki. Richard przypomniał sobie wyraz twarzy dziewczyny, kiedy Nissel przyniosła do domu zmarłych nieżywego noworodka. I to sprawiły demony. A to był dopiero początek.

- Co to jest Fatal Grace? Wspomniałeś o tym symbolu wczoraj, kiedy odwiedziliśmy Zedda i Ann.

- Większość tego, co sobie przypomniałem o demonach, pochodzi z wcześniejszego raportu. Kolo był przerażony, więc opisał go obszerniej niż inne. Ten raport kończył się słowami: „Dobrze zapamiętaj me słowa: strzeż się demonów, a w wielkiej potrzebie nakreśl trzykrotnie dla siebie, na jałowej ziemi, piaskiem, solą i krwią Fatal Grace”.

- A co to znaczy?

- Nie wiem. Miałem nadzieję, że Zedd będzie wiedział. Lub Ann. On wie wszystko o Grace. Łudziłem się, że i o tym symbolu będzie coś wiedzieć.

- I uważasz, że ten Fatal Grace powstrzyma demony?

- Tego nie wiem, Kahlan. Może to tylko podyktowane rozpaczą doradzanie samobójstwa.

Dziewczyna z roztargnieniem skinęła głową, zastanawiając się nad słowami z pamiętnika Kolo.

- Potrafiłabym zrozumieć, gdyby to była rada zalecająca popełnienie samobójstwa - powiedziała, zapatrzona w swoje wizje. - Kiedy byłam w chacie, w której Błotni Ludzie szykują zmarłych do pochówku, i była tam ze mną ta kura, demon, wyczuwałam w niej zło. Drogie duchy, jakie to było

okropne. Wydziobywała Juniemu oczy. Przecież już nie żył, a stwór nadal chciał mu wydziobać oczy.

- Wiem. - Ponownie ją objął. Odsunęła się, znów pełna nadziei.

- Powiedziałeś nam wczoraj u Zedda i Ann, że Kolo napisał, iż najpierw byli zatrwożeni, ale potem wykryli, że demony były jedynie orężem i łatwo je było okiełznać.

- Owszem, lecz Kolo opisał tylko ulgę, jaką odczuli w Wieży Czarodzieja, gdy odkryli, że przeciwdziałanie nie jest tak trudne, jak sądzili. Nie podał rozwiązania problemu. Wysłali czarodzieja zwanego Górą, żeby się tym zajął. I najwidoczniej to zrobił.

- Jak myślisz, czy jest jakiś oręż, który byłby skuteczny w walce z nimi? Juni był dobrze uzbrojony i nic mu to nie dało, ale może są inne rodzaje broni?

- Kolo nie podał żadnej wskazówki. Strzały nie zabiły tej kury, a ogień na pewno nie wyrządzi demonom krzywdy. Hmm, Zedd bardzo nalegał, żebym odzyskał Miecz Prawdy. Kłamstwo o Lurku miało nas odsunąć w bezpieczne miejsce. Nie sądzę, by skłamał co do miecza. Chciał, żebym znów miał miecz, i twierdził, że to może być jedyna magia, jaka pozostanie i nas ochroni. W tej sprawie całkowicie mu wierzę.

- Jak myślisz, dlaczego ten podszywający się pod kurę stwór uciekał przed tobą? Jeśli uważają mnie za swoją matkę, to rozumiem, że mogą darzyć mnie swego rodzaju... szacunkiem i unikać krzywdzenia mnie. Dlaczego jednak uciekają przed tobą, skoro są tak potężne? Posłałeś im strzałę. Mówiłeś, że strzała nie może ich zranić. Dlaczego więc przed tobą uciekają?

Richard odgarnął do tyłu włosy.

- Sam się nad tym zastanawiałem. Jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło mi do głowy, to to, że są stworami z magii subtraktywnej, a ja jestem jedyną od tysięcy lat osobą, która ma wrodzony dar również tej magii. Może się boją, że moja magia subtraktywna wyrządzi im krzywdę. Niewykluczone, że tak by się mogło stać. Przynajmniej daje nam to jakąś szansę.

- A ogień? Ta wciąż płonąca resztką naszego weselnego ogniska, którą zdusiłeś? To był jeden z nich, prawda?

Richarda ogromnie gniewało, że demony usadowiły się w ognisku weselnym. To było zbezczeszczenie.



- Tak. Sentrosi, drugi demon. To znaczy „ogień”. Imię pierwszego z nich, Reechani, znaczy „woda”. Trzeciego, Vasi, „powietrze”.

- Lecz ty stłumiłeś ogień. Demon nie zrobił nic, żeby ci w tym przeszkodzić. Skoro zabiły Juniego za obraźliwe słowa, to można przypuszczać, że powinien je rozgniewać także twój czyn. Coś podszywającego się pod kurę też przed tobą uciekało.

- Nie wiem, Kahlan. Nie umiem powiedzieć. Patrzyła mu w oczy i wahała się przez chwilę.

- Może nie chcą cię skrzywdzić z tego samego powodu co mnie.

- Myślą, że i ja jestem ich matką?

- Ojcem - odparła, gładząc bezwiednie ciemny kamień zawieszony na szyi. - Wykorzystałam ten czar, żeby cię utrzymać przy życiu, byś nie odszedł do świata zmarłych. Czar przywołał demony, bo są z tamtej strony i mogły tego dokonać. Ponieważ oboje jesteśmy w to wmieszani, to może uważają nas za matkę i ojca, za rodziców.

Richard głęboko odetchnął.

- To możliwe, nie mówię, że nie. Lecz kiedy wyczuwam je w pobliżu, czuję jeszcze coś. Coś, co sprawia, że włosy mi się jeżą.

- Coś jeszcze? Co?

- Kiedy są w pobliżu, wyczuwam ich nieprzeparte pożądanie i jednocześnie ogromne obrzydzenie.

Kahlan rozmasowała ramiona, zdeprymowana taką plugawą nikczemnością. Po jej ustach przemknął smutny uśmiech, zarazem gorzki i ironiczny.

- Shota zawsze twierdziła, że nasz potomek będzie potworem. Richard dotknął dłonią jej policzka.

- Pewnego dnia, Kahlan. Pewnego dnia.

Bliska płaczu odwróciła się od jego ręki, od jego oczu i zapatrzyła w widnokrąg. Odkaszlnęła i zapanowała nad głosem.

- Skoro magia zanika, to przynajmniej Jagang nie będzie się mógł nią wspierać. Kontroluje mających magiczny dar, żeby pomagali jego wojskom. Taka z tego korzyść, że na nic już mu się nie przydadzą. Wykorzystał jednego z tych czarodziejów do próby zabicia nas. Potrafił wykorzystać jedną z Sióstr Światła, by sprowadzić zarazę ze Świątyni Wichrów. Skoro magia zanika za sprawą demonów, to zanika i dla Jaganga.

Richard przygryzł dolną wargę.

- Zastanawiałem się nad tym. Skoro kura się mnie bała, bo mam dar magii subtraktywnej, to Jagang straci może kontrolę nad mającymi dar, ale...

- Drogie duchy - wyszeptała, odwracając się ku niemu. - Siostry Mroku. One co prawda nie urodziły się z tym darem, ale wiedzą, jak posługiwać się magią subtraktywną.

Chłopak niechętnie przytaknął.

- Obawiam się, że Jagangowi może pozostać kontrola nad Siostrami Mroku. Ich magia nie zaniknie.

- No to jedyna nadzieja w Zeddzie i w Ann. Oby się okazało, że potrafią powstrzymać demony.

Richard nawet dla niej nie potrafił się zmusić do uśmiechu.

- W jaki sposób? Żadne z nich nie może się posługiwać magią subtraktywną. Będą równie bezbronni jak to nie narodzone dziecko, które umarło. Jestem przekonany, że dokądś odeszli, ale dokąd?

Obrzuciła go spojrzeniem Matki Spowiedniczki.

- Gdybyś w porę przypomniał sobie o swojej pierwszej żonie, Richardzie, to powiedzielibyśmy o niej Zeddowi. Może byłaby to jakaś różnica. Ta okazja jest już dla nas stracona. Zły czas wybrałeś sobie na bycie zapominalskim.

Chciał się z nią spierać, powiedzieć, że to nie zrobiłoby żadnej różnicy, że się myli - lecz nie mógł. Nie myliła się. Zedd wyruszył samotnie do boju z demonami. Richard zastanawiał się, czy nie mogliby wrócić i ruszyć śladem dziadka.

W końcu Kahlan ujęła jego rękę w swe dłonie i poprowadziła Richarda ku czekającej na nich grupie. Głowę miała dumnie uniesioną. Przybrała władczą, pozbawioną emocji „twarz Spowiedniczki”.

- Jeszcze nie wiemy, jak sobie z nimi poradzić. Lecz nie mam najmniejszych wątpliwości: demony grasują w naszym świecie - oznajmiła Kahlan czekającym.

## ROZDZIAŁ 30

Kahlan powtórzyła to oświadczenie w języku Błotnych Ludzi, żeby zrozumieli je łowcy. Richard żałował, że to nie ona miała rację i że to *nie* był Lurk. Z Lurkiem by sobie poradzili.

Wszyscy byli, co rozumiało, zaniepokojeni, słuchając, jak Kahlan - dopiero co tak pewna, że to był Lurk - mówi im, że nie ma już najmniejszych wątpliwości co do tego, iż zagrażają im demony.

Dla Richarda było jasne, że gdy dziewczyna powiedziała, iż w pełni się z nim zgadza, nikt już nie miał żadnych wątpliwości. Jej słowa wszystko zmieniły.

Zapanowała pełna niepokoju cisza.

Richard powinien zacząć planować następne posunięcia, ale nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Nawet nie wiedział, od czego rozpocząć. Dopiero teraz uświadomił sobie, co należało zrobić, kiedy miał po temu okazję. Był tak przejęty niebezpieczeństwem, że nie zwracał uwagi na nic innego. Odszedł daleko od lasów, które znał. Tak chciałby tam wrócić. Kiedy był leśnym przewodnikiem, nigdy nie zapominał, jaką ścieżką szedł, i nikt nie spadł przez niego w przepaść.

- Du Chaillu, po co przebyłaś tę długą drogę? - zapytał ciemnowłosą duchową przewodniczkę Baka Tau Mana. - Co tutaj robisz?

- Aaaach. - Du Chaillu niespiesznie splotła dłonie. - Teraz *Caharin* chce, żebym mówiła?

Kipiał w niej gniew. Richard nie miał pojęcia dlaczego i tak naprawdę nie dbał o to.

- Tak. Dlaczego przybyłaś?

- Podróżowaliśmy wiele dni. Cierpieliśmy niewygody. Pochowaliśmy kilku, którzy z nami wyruszyli. Musieliśmy się przebijać przez wrogie okolice. By dotrzeć do ciebie, przelaliśmy krew wielu ludzi. Porzuciliśmy nasze rodziny i bliskich, żeby przynieść naszemu *Caharin* ostrzeżenie. Wyruszyliśmy bez żywności, bez snu, narażaliśmy się na niebezpieczeństwa. Niektóre noce przepłakaliśmy ze strachu i tęsknoty za rodzinnymi stronami. Podróżowałam z dzieckiem, które zgodziłam się donosić na prośbę *Caharin*, choć chciałam iść do zielarki i spędzić płód, a wraz z nim okropne

wspomnienia. A *Caharin* wcale nie docenia tego, że postanowiłam zadośćuczynić jego życzeniu i przyjąć odpowiedzialność za narzuconego mi siłą potomka. Nic go nie obchodzi, że dziecko, które noszę na jego prośbę, każdego dnia przypomina mi o czasie, jaki spędziłam przykuta do ściany, naga, w cuchnącym więzieniu Majendie. Że przypomina mi o miejscu, w którym stałam się brzemienna. Przypomina mi, jak tamci wykorzystywali mnie, by zaspokoić swe żądze, i jak się potem ze mnie naśmiewali. Że przypomina, jak się codziennie bałam, iż to właśnie ten dzień, w którym złożą mnie w ofierze. Przypomina, jak wypłakiwałam oczy z tęsknoty za moimi dziećmi, które mogły zostać bez matki, i szlochałam z rozpacz, że mogę już nigdy nie ujrzeć ich uśmiechów i że nie będę widzieć, jak dorastają. Lecz uszanowałam słowa *Caharin* i noszę to dziecię psów, ponieważ *Caharin* mnie o to prosił. A *Caharin* ledwo zauważa swoich ludzi, którzy odbyli tę długą podróż, poświęca im tyle uwagi co pchłom, które go tną. Nie pyta, jak nam się powodzi w odzyskanych rodzinnych stronach. Nie zaprasza, byśmy wreszcie usiedli z nim i radowali się bliskością. Nie pyta, czy czujemy się bezpieczni. Nie ciekawi go, czy aby nie jesteśmy głodni i spragnieni. Tylko krzyczy i upiera się, że nie jesteśmy jego ludem, bo nie zna świętych praw, według których żyliśmy niezliczone wieki, i odrzuca je wyłącznie dlatego, iż nie zapoznano go z ich treścią, jakby to wystarczyło, by owym prawom odebrać znaczenie. Wielu zmarło, poddając się tym prawom, żeby kiedyś on mógł żyć i nauczyć się czegoś. Nie poświęca swemu ludowi więcej uwagi niż mierzwie pod butami. Wyrzuca z pamięci żonę daną mu przez nasze prawo. Traktuje swą prawowitą żonę jak utrapienie. Uważa, że może ją odsunąć na bok, dopóki mu nie będzie potrzebna. Stare prawa obiecywały nam *Caharin*. Przyznaję, że nie obiecywały kogoś, kto uszanuje swój lud oraz jego obyczaje i prawa, które złączyły nas we wspólnej sprawie, chociaż sądziłam, że każdy człowiek będzie szanował tych, którzy tak wiele dla niego wycierpieli. Przeżyłam śmierć mężów z twojej ręki i opłakiwałam ich tak, byś tego nie widział i nie cierpiał z tego powodu. Moje dzieci dzielnie zniosły utratę ojców, których zgładziłeś. Przed snem płaczą za mężczyzną, który całował je w czoło na dobranoc i życzył im słodkich snów o ojczyściej krainie. Ty zaś nawet nie zamierzasz spytać, jak sobie radzę bez mężów, których i ja, i dzieci bardzo kochaliśmy. Nie pytasz też, jak moje dzieci znoszą to nieszczęście. Nie pytasz, jak sobie radzę bez nowego męża,

którego dało mi nasze prawo i który odszedł, żeby znajdować sobie inne żony. Tak niewiele cię obchodzi, że nawet nie raczysz wspomnieć o moim istnieniu swojej nowej żonie. - Du Chaillu okazała swoje oburzenie. - A teraz pozwolono mi mówić? Teraz wreszcie chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia po tej długiej i uciążliwej podróży? Teraz wreszcie chcesz się przekonać, czy mam do powiedzenia coś godnego twoich wielkopańskich uszu? - Splunęła mu pod stopy. - Okryłeś mnie wstydem.

Skrzyżowała ramiona i odwróciła się do niego plecami. Richard patrzył na tył jej głowy. Mistrzowie miecza wpatrywali się w niebo, jakby byli głusi i chcieli dostrzec jakiegoś przelatującego ptaka.

- Du Chaillu - odezwał się chłopak, czując jak narasta w nim gniew - nie obarczaj mnie winą za śmierć tych ludzi. Próbowałem wszystkiego, by uniknąć walki z nimi, zranienia ich. Wiesz, że tak było. Błagałem cię, żebyś to powstrzymała. Mogłaś to uczynić, lecz nie uczyniłaś. Z ciężkim sercem zrobiłem to, co zrobiłem. Wiesz, że nie miałem wyboru.

Obrzuciła go przez ramię gniewnym spojrzeniem.

- Miałaś wybór. Mogłaś wybrać śmierć, a nie zabijanie. W podzięce za to, że uratowałaś mnie przed Majendie, którzy chcieli mnie złożyć w ofierze, obiecałam, że jeśli nie będziesz stawiał oporu, umrzesz prędko. Tylko ty straciłbyś życie, a nie trzydzieścioro ludzi. Jeśli jesteś taki szlachetny i tak zatroskany o ochronę życia, powinieneś na to przystać.

Richard zgrzytnął zębami i pogroził jej palcem.

- Kazałaś swoim ludziom mnie zaatakować i oczekiwałaś, że nie będę się bronić, że pozwolę się zamordować?! Po tym, jak cię ocaliłem? Gdybym to ja zginął, a nie oni, zabijanie dopiero na dobre by się zaczęło! Wiesz, że doprowadziłem do pokoju, który ocalił życie wielu ludziom. A z całej reszty w ogóle nic nie pojmujesz.

Du Chaillu parsknęła, rozeźlona.

- Mylisz się, mój mężu. - Znów odwróciła się do niego plecami. - Rozumiem więcej, niżbyś sobie życzył.

Cara przewróciła oczami.

- Naprawdę musisz się nauczyć okazywać więcej szacunku swoim żonom, lordzie Rahlu, bo inaczej nie będziesz miał w domu ani chwili spokoju - powiedziała cicho, mijając go. - Pozwól mi z nią porozmawiać jak kobieta z kobietą. Zobaczymy, czy uda mi się ją ułagodzić.

Mord-Sith ujęła Du Chaillu pod ramię, żeby odprowadzić ją na bok na osobistą rozmowę. Sześć mieczy wynurzyło się z pochew. W mgnieniu oka stal zaśniała w porannym słońcu. Mistrzowie miecza szli ku nim, przerzucając wykonujące młynki klingi z lewej ręki do prawej i odwrotnie.

Błotni Ludzie ruszyli, żeby przeciąć im drogę. W ułamku sekundy skończył się pozorny spokój i pojawiło się widmo krwawej bitwy.

- Zatrzymajcie się! - krzyknął Richard, unosząc ramiona. Stanął przed Cara i Du Chaillu, zagrządzając tamtym drogę.

- Puść ją, Caro. Jest ich duchową przewodniczką. Nie wolno ci jej dotknąć. Majendie przez tysiąclecia przesładowali Baka Ban Mana i składali ich w ofierze. To zrozumiałe, że bardzo nie lubią, gdy ktoś znienacka łapie ich za rękę.

Mord-Sith puściła Du Chaillu, lecz żadna grupka wojowników nie chciała pierwsza schować broni. Błotni Ludzie mieli nagle przed sobą uzbrojonych obcych. Baka Tau Mana wreszcie mieli kogo zaatakować w obronie swojej duchowej przewodniczki. Wszyscy pałali żądzą walki i lada chwila ktoś mógł zaatakować jako pierwszy, zostawiając na później troskę o policzenie zabitych.

Richard uniósł rękę.

- Słuchajcie! Wszyscy! - Drugą ręką złapał rzemyk okalający szyję Du Chaillu, mając nadzieję, że wisi na nim i skrywa się za dekoltem to, co powinno. Wyciągnął gwizdek Człowieka Ptaka i oczy łowców rozszerzyło zdziwienie. - To gwizdek, który dostałem od Człowieka Ptaka. - Spojrzał kątem oka na Kahlan i szepnął jej, żeby tłumaczyła. Zaczęła mówić do łowców w języku Błotnych Ludzi, a chłopak kontynuował: - Pamiętacie, że Człowiek Ptak dał mi ten gwizdek na znak pokoju. Ta kobieta, Du Chaillu, jest protektorką swego ludu. W imieniu Człowieka Ptaka, szanując jego pragnienie pokoju, dałem jej ten gwizdek, żeby mogła przywołać ptaki, by wydziobały zasiewy jej wrogów. Kiedy jej wrogowie przerazili się, że nie będą mieli zbiorów i że czeka ich głód, przystali wreszcie na zawarcie pokoju. Pierwszy raz te dwa ludy zawarły pokój i zawdzięczają to mocy gwizdka Człowieka Ptaka. Baka Tau Mana mają ogromny dług wobec Błotnych Ludzi. Błotni Ludzie również mają dług wobec Baka Tau Mana za to, że ci wykorzystali dar zgodnie z życzeniem Człowieka Ptaka: do czynienia pokoju, a nie do wyrządzania szkody. Błotni Ludzie powinni być

dumni, że Baka Tau Mana zaufali, iż dar Błotnych Ludzi zapewni bezpieczeństwo ich rodzinom. Oba ludy zawarły przyjaźń.

Nikt się nie poruszył - rozważali słowa Richarda. W końcu Jiaan przełożył miecz przez ramię i zawiesił go na plecach na sznurze okalającym szyję. Rozchylił szatę, ukazując Chandalenowi nagą pierś.

- Dziękujemy tobie i twojemu ludowi za pokój i bezpieczeństwo, jakie przyniósł Baka Ban Mana wasz dar o potężnej magii. Nie będziemy z wami walczyć. Jeśli chcecie odebrać pokój, który nam daliście, możecie uderzyć w nasze serca. Nie będziemy się bronić przed takimi dawcami pokoju jak Błotni Ludzie.

Chandalen wbił koniec drzewca dzidy w ojczystą ziemię.

- Prawdziwe są słowa Richarda Popędliwego. Jesteśmy radzi, że wasz lud wykorzystał nasz dar zgodnie z jego przeznaczeniem: do zawarcia pokoju. Będziecie mile widziani i bezpieczni na naszych ziemiach.

Chandalen, żywo gestykulując, wydał rozkazy swoim łowcom. Wojownicy zaczęli się uspokajać, odkładać broń, a Richard mógł wreszcie odetchnąć z ulgą i podziękować dobrym duchom za pomoc.

- Zamierzam z tobą porozmawiać, Du Chaillu - oznajmiła stanowczo Kahlan, ujmując tamtą pod ramię.

Baka Tau Mana najwyraźniej się to nie spodobało, lecz nie bardzo wiedzieli, jak zareagować. Richard też nie był zachwycony tym pomysłem. To mógł być początek nowej wojny. Uznał jednak niechętnie, że lepiej pozwolić Kahlan załatwić sprawę po jej myśli. Niech porozmawia z Du Chaillu. Poza tym po minie dziewczyny poznał, że nie ma tu nic do gadania. Spojrzał na mistrzów miecza.

- Kahlan, moja żona, jest Matką Spowiedniczką i przywódczynią wszystkich ludów Nowego Świata. Należy ją szanować tak samo jak waszą duchową przewodniczkę Du Chaillu. Jako *Caharin* daję warn stówu, że Matka Spowiedniczką nie wyrządzi Du Chaillu krzywdy. Gdyby moje słowo okazało się kłamstwem, możecie mi odebrać życie.

Skinieniem głowy wyrazili zgodę. Richard nie wiedział, kto według nich stał wyżej w hierarchii - on czy Du Chaillu - lecz jego spokojny, pewny ton pomógł rozwiązać ich obawy. Wiedział, że ci ludzie szanują go nie tylko dlatego, iż zabił trzydzieścioro z nich, ale również dlatego, że uczynił coś o wiele trudniejszego - zwrócił im ich dawno utracone ojczyste ziemie.

Richard stał obok Cary i patrzył, jak Kahlan prowadzi Du Chaillu przez wysoką trawę. Trawa wciąż lśniła kroplami nocnego deszczu, a tu i ówdzie zostały jeszcze kałuże.

- Uważasz, że to mądre, lordzie Rahlu? - spytała cicho Mord-Sith.

- Wierzę w rozsądek Kahlan. Wpadliśmy w prawdziwe tarapaty. Nie mamy czasu do stracenia.

Cara obracała w palcach Agiel i długo, w milczeniu rozważała słowa Richarda.

- Skoro magia zanika, lordzie Rahlu, to czy i twoja już osłabła?

- Miejmy nadzieję, że nie.

Ruszył ku mistrzom miecza, a Mord-Sith szła przy jego boku. Rozpoznał kilku z nich, lecz znał imię tylko jednego.

- Du Chaillu powiedziała, Jiaanie, że kilku z was zmarło podczas podróży.

Mężczyzna wsunął miecz do pochwy.

- Trzech.

- W walce?

Jiaan z niespokojną miną odgarnął z czoła ciemne włosy.

- Jeden. Tamci dwaj... mieli wypadki.

- Z wodą i ogniem?

Baka Tau Mana ciężko westchnął.

- Z wodą nie. Ale jeden podczas warty wpadł do ognia. Spalił się, zanim zorientowaliśmy się, co się dzieje. Uznaliśmy, że upadł i uderzył się w głowę. Ale sądząc z twoich słów, mogło być zupełnie inaczej. Może to te demony go zabiły?

Richard potaknął. Zasmucony, wyszeptał imię jednego z kurantów śmierci - Sentrosi, demona ognia.

- A trzeci?

Jiaan przestąpił z nogi na nogę.

- Szedł górskim szlakiem i nagle uznał, że umie latać.

- Latać?

Mistrz miecza potaknął.

- Ale latał równie lekko jak głąz.

- Może się potknął i spadł.

- Widziałem jego twarz na chwilę przed tym, nim spróbował latać.



Uśmiechał się jak wtedy, gdy pierwszy raz zobaczył nasze ziemie ojczyste.

Zasmucony Richard wyszeptał imię trzeciego demona. Trzy demony: Reechani, Sentrosi, Vasi - woda, ogień, powietrze - zabrały kolejne istnienia.

- Demony zabiły też Błotnych Ludzi. Miałem nadzieję, że są tylko tam, gdzie Kahlan i ja, widać jednak, że grasują również gdzie indziej.

Chłopak dostrzegł ponad głowami mistrzów miecza, że Błotni Ludzie udeptali pewien obszar trawy i szykują się do rozpalenia ognia, żeby spożyć posiłek z nowymi przyjaciółmi.

- Chandalenie! - Łowca spojrział na niego. - Nie rozpalajcie ognia.

Richard potruchtał do łowców.

- O co chodzi? - spytał Chandalen. - Dlaczego nie chcesz, żebyśmy rozpalili ogień? Skoro mamy tu jakiś czas zostać, chcemy ugotować strawę i posilić się wspólnie z wami.

Chłopak podrapał się w czoło.

- Zły duch, który zabił Juniego, potrafi znajdować ludzi dzięki wodzie i ogniewi. Przykro mi, lecz na razie twój lud nie będzie mógł korzystać z ognia. Jeżeli rozpalicie ogniska, złe duchy mogą zabić kolejnych Błotnych Ludzi.

- Jesteś tego pewny?

Richard położył dłoń na ramieniu Jiaana.

- Oni są równie silni jak Błotni Ludzie. Podczas podróży jeden z nich został zabity przez złego ducha z ognia.

Chandalen zobaczył, jak Jiaan potakuje.

- Spalił się żywcem, zanim zorientowaliśmy się, co się dzieje. Był krzepkim i dzielnym mężczyzną. Nie był kimś, kogo wróg mógłby łatwo zaskoczyć, a nie usłyszeliśmy żadnego dźwięku, kiedy umierał - powiedział Jiaan.

Chandalen - zaniepokojony i zdenerwowany - patrzył przez chwilę na równiny, a potem znów spojrział na Richarda.

- Co mamy jeść, skoro nie możemy palić ognisk? Musimy piec chleb tava i gotować strawę. Nie możemy jeść surowego ciasta ani surowego mięsa. Kobiety korzystają z ognia przy wyrobie naczyń z gliny, a mężczyźni przy wytwarzaniu oręża. Jak mamy żyć?

Richard westchnął.

- Nie wiem, Chandalenie. Wiem jedynie, że ogień znów może przywabić

złe duchy, demony. Radzę to, co według mojej wiedzy, może ochronić twój lud. Rozumiem, że będziecie musieli korzystać z ognia, ale pamiętajcie o niebezpieczeństwie, jakim to grozi. Jeżeli każdy będzie wiedział o tej groźbie, może uda się wam bezpiecznie korzystać z ognia w razie potrzeby.

- I nie wolno nam pić, bo bliskość wody też jest groźna?

- Chciałbym znać odpowiedzi, Chandalenie. - Richard ze znużeniem otarł twarz dłonią. - Wiem tylko, że woda, ogień i wysoko położone miejsca są niebezpieczne. Demony potrafią je wykorzystać na szkodę ludzi. Im dalej będziemy się od nich trzymać, tym będziemy bezpieczniejsi.

- Ale jeśli nawet postąpimy w ten sposób, to z tego, co mówiłeś, widać, że demony i tak będą zabijać.

- Prawie nic nie wiem, Chandalenie. Staram się przekazać ci wszystko, co mi przyjdzie na myśl, żebyś mógł zapewnić swoim bezpieczeństwo. Może jednak istnieć mnóstwo innych zagrożeń, o których nie mam pojęcia.

Chandalen wsparł się pod boki i zapatrzył na trawiaste równiny swojego ludu. Zastanawiał się nad sprawami, których Richard mógł się tylko domyślać. Chłopak czekał bez słowa, aż łowca przemówi.

- Czy to prawda, że, jak mówiłeś, rodzące się w wiosce dziecko zmarło przez te kuranty śmierci, które grasują w naszym świecie?

- Przykro mi to mówić, Chandalenie, ale uważam, że to prawda. Uważne ciemne oczy napotkały spojrzenie Richarda.

- Jak te złe duchy dostały się do naszego świata? Chłopak zwilżył językiem kącik ust.

- Uważam, że Kahlan, nie zdając sobie z tego sprawy i nie mając takiego zamiaru, przywołała je magią, by uratować mi życie. Wykorzystała je, by uratować moje życie, więc to moja wina, że są tutaj.

Łowca rozważył słowa Poszukiwacza i rzekł:

- Matka Spowiedniczka nie wyrządziłaby świadomie szkody. Ty również. A mimo to kuranty śmierci są tutaj przez was?

Jego głos zmienił się z zakłopotanego i zaniepokojonego we władczy. W końcu był teraz starszym. I w większym stopniu niż tylko jako łowca odpowiadał za bezpieczeństwo swojego ludu.

Podobnie jak przed chwilą Błotni Ludzie i Baka Tau Mana o mało się nie starli, choć wyznawali te same wartości, kiedyś Chandalen i Richard ciągle na siebie warczeli. Na szczęście teraz zrozumieli, że więcej ich łączy, niż

dzieli.

Chłopak popatrzył na odległe chmury, na strugi deszczu smagające daleki, mroczny horyzont.

- Obawiam się, że to prawda. W dodatku zapomniałem przekazać Zeddowi ważną wiadomość, kiedy miałem po temu okazję. Teraz już pewnie wyruszył na poszukiwanie demonów.

Starszy ponownie najpierw rozważył słowa chłopaka, a potem powiedział:

- Oboje jesteście Błotnymi Ludźmi i walczyliście w naszej obronie. Wiemy, że nie chcieliście sprowadzić demonów i wyrządzić nam krzywdy. - Wyprostował się - nie sięgał Richardowi do ramienia - i oznajmił: - Wiemy, że wraz z Matką Spowiedniczką zrobicie wszystko, by przywrócić porządek.

Chłopak aż nazbyt dobrze rozumiał kodeks odpowiedzialności, zobowiązań i powinności, zgodnie z którym żył ów człowiek. On i Chandalen wywodzili się z bardzo odmiennych ludów, bardzo odmiennych kultur, a przecież Richarda wychowywano według tych samych zasad co łowcę. Może naprawdę aż tak bardzo się nie różnimy, pomyślał chłopak. Ubierali się inaczej, lecz mieli te same serca, tęsknoty i pragnienia. I wiele tych samych lęków.

Nie tylko ojczym Richarda, ale i Zedd wpolili mu wiele tych samych zasad, których Błotni Ludzie nauczyli Chandalena.

Jeśli wyrządzisz szkodę, obojętne z jakiego powodu, masz to naprawić najlepiej, jak zdołasz. To zrozumiałe, że się boisz. Nikt nie oczekuje, że w ogóle nie będziesz się bać, ale najgorszym, co mógłbyś zrobić, byłaby ucieczka od kłopotów, które sprowadziłeś. Nie wolno się wypierać, choćby to było nie wiem jak przypadkowe. Nie uciekaj. Zrób, co trzeba, żeby to naprawić.

Gdyby nie zagrożenie życia Richarda, demony nie zostałyby wypuszczone na ten świat. Starania Kahlan, która chciała ocalić mu życie, już spowodowały śmierć innych ludzi. Ona również nie powinna ani na chwilę odstąpić od obowiązku uczynienia wszystkiego co niezbędne, żeby powstrzymać demony. To w ogóle nie podlegało dyskusji.

- Masz moje uroczyste słowo, starszy Chandaleni. Nie spocznę, dopóki Błotni Ludzie i wszyscy inni nie będą bezpieczni od demonów. Nie spocznę, dopóki demony nie znajdą się z powrotem w zaświatach, gdzie ich miejsce.

Lub zginę, próbując tego dokonać.

Chandalen uśmiechnął się serdecznie, z dumą.

- Wiedziałem, że nie będę musiał przypominać ci o twojej obietnicy, iż zawsze będziesz bronić naszego ludu, ale dobrze jest usłyszeć z twoich ust, że nie zapomniałeś o złożonej przysiędze. - Zaskoczył Richarda silnym policzkiem. - Moc Richardowi Popędliwemu. Oby jego gniew, gorący i porywczy, poraził naszych wrogów.

Chłopak rozmasował bolącą szczękę i miał akurat odejść od Chandalena, kiedy zauważył wracające Kahlan i Du Chaillu.

- Jak na leśnego przewodnika - stwierdziła Cara - zdołałeś się wpędzić w mnóstwo kłopotów. Myślisz, że po tej ich rozmowie zostały ci jeszcze jakieś żony?

Wiedział, że Mord-Sith tylko się z nim drażni, by w ten osobliwy sposób podtrzymać go na duchu.

- Mam nadzieję, że tylko jedna.

- Cóż, jeśli nie, to zawsze możemy mieć siebie nawzajem - zakpiła.

Richard ruszył ku powracającym kobietom.

- Posada żony już zajęta, ale dziękuję - rzucił na odchodnym. Kahlan i Du Chaillu szły ramię przy ramieniu przez trawę, ich twarze nie zdradzały uczuć. Ale przynajmniej chłopak nie dojrzał ani kropli krwi.

- Twoja druga żona przekonała mnie, żebym z tobą porozmawiała - powiedziała Du Chaillu, kiedy do nich dołączył. - Jesteś szczęściarzem, mając nas obie - dodała.

Richard nie był tak głupi, by otworzyć usta i pozwolić się wymknąć bezczelnej ripocie, którą miał na języku.

## ROZDZIAŁ 31

Du Chaillu podeszła do swoich mistrzów miecza, najpewniej po to, żeby im powiedzieć, by usiedli i wypoczęli, kiedy będzie rozmawiać z *Caharin*. Kahlan pchnięciami palcem w żebra zapędziła Richarda do ich bagaży.

- Weź koc, żeby Du Chaillu miała na czym usiąść - szepnęła.

- Po co jej nasz? Mają własne. Poza tym wcale nie musi siadać na kocu, żeby mi powiedzieć, po co tu jest.

Kahlan znów stuknęła go w żebro.

- Weź koc - szepnęła, żeby inni nie słyszeli. - Chyba zauważyłeś, że jest ciężarna i chętnie pozwoliłaby odpocząć stopom.

- Ale to nie...

- Richardzie! - parsknęła Kahlan, uciszając go. - Kiedy nalegasz, żeby ktoś podporządkował się twojej woli, uzyskasz to o wiele łatwiej, pozwalając takiej osobie na małe zwycięstwo, by spełniając twoją wolę, mogła zachować godność. Jeżeli chcesz, to zaniosę ten koc.

- No dobrze - przystał chłopak. - Ale...

- Widzisz? Sam potwierdziłeś słuszność moich słów. Ty poniesiesz koc.

- Czyli Du Chaillu będzie miała swoje małe zwycięstwo, a ja nie?

- Jesteś dużym chłopcem. Ceną Du Chaillu jest właśnie ten koc, na którym usiądzie, żeby ci powiedzieć, dlaczego jest tutaj. To znikomy koszt. Nie przedłużaj wygranej już przez nas wojny po to tylko, by do końca upokorzyć i zmiażdżyć przeciwnika.

- Ale ona...

- Wiem. Du Chaillu postąpiła niewłaściwie. Wiesz to ty, ja i ona również. Ale zraniono jej uczucia, a to ją trochę tłumaczy. Wszyscy popełniamy błędy. Nie pojmuje rozmiarów niebezpieczeństwa, które, jak się właśnie przekonaliśmy, nam zagraża. Przystąpiła na pokój za cenę koca, na którym usiądzie. Ona chce tylko, byś okazał jej szacunek. Ukojenie jej zranionych, delikatnych uczuć nie przyniesie ci ujmy.

Dotarli do swoich bagaży. Richard obejrzał się przez ramię. Du Chaillu rozmawiała z mistrzami miecza.

- Groziłaś jej? - zapytał szeptem, wyciągając koc z plecaka.

- O, tak - szepnęła. Położyła dłoń na ramieniu chłopaka. - Bądź miły. Po

naszej rozmowie może mieć trochę obolałe uszy.

Richard pomaszerował ku Du Chaillu i z teatralną przesadą przystąpił do przygotowań: spłaszczył trawę, rozłożył koc i wygładził dłonią załamki. Na środku położył bukłak. Potem uczynił zapraszający gest.

- Du Chaillu - nie potrafił się zmusić, by nazwać ją żoną, lecz nie sądził, żeby to miało jakieś znaczenie - czy mogłabyś usiąść i porozmawiać ze mną? Twoje słowa są ważne, a czas jest cenny.

Sprawdziła, jak przypłaszczył trawę, jak wygląda koc. Zadowolona z wyniku oględzin, usiadła na brzegu koca i skrzyżowała nogi. Wyprostowana, z dumnie uniesioną głową i splecionymi na podołku rękami, wyglądała na osobę szlachetnego rodu. Richard uważał, że naprawdę nią była.

Chłopak odrzucił do tyłu złocistą pelerynę i usiadł naprzeciw niej ze skrzyżowanymi nogami. Koc nie był zbyt duży, więc ich kolana niemal się stykały. Uprzejmie się uśmiechnął i podał Du Chaillu bukłak.

Z gracją wzięła go od niego, a on przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Miała na szyi obrozę i była przykuta łańcuchem do ściany. Naga i brudna, cuchnęła, jakby się od miesiący nie myła, lecz jej sposób bycia sprawiał, że wydała mu się szlachetnie urodzona - zupełnie jak teraz, czysta i ubrana w modlitewną szatę duchowej przewodniczki. Pamiętał też, jak - gdy chciał ją uwolnić - wystraszyła się, że ją zabije, i ugryzła go. Niemal poczuł raz jeszcze ostrość jej zębów.

Przyszło mu na myśl, że ta kobieta ma przecież dar. Nie znał mocy Du Chaillu, lecz widział ją w jej oczach. Talent Richarda pozwalał mu dostrzec ów ponadczasowy wyraz w oczach tych, którzy mieli choć odrobinę magicznego daru. W trakcie podróży Siostra Verna powiedziała chłopakowi, że poddała Du Chaillu pewnym próbom. I że uroki, które rzuciła ku tamtej, zniknęły jak kamyki wrzucone do studni, ale nie przeszły nie zauważone. Du Chaillu nie tylko wiedziała o tych próbach, twierdziła Verna, lecz potrafiła je też zneutralizować. Richard przekonał się z kolei, że dar duchowej przewodniczki obejmował pewien rodzaj prorokowania. Ponieważ całe miesiące tkwiła w łańcuchach, wątpił, czy potrafi oddziaływać swoim darem na otoczenie. Uważał, że ludzie, którzy potrafią działać na innych swoim darem, nie muszą ani gryźć, ani tkwić w więzieniu, czekając, aż się ich złoży w ofierze. Potrafiła jednak nie dopuścić, by inni używali swojego daru przeciwko niej, a Richard wiedział, że to rzadko spotykana forma mistycznej

obrony przed magią. Lecz teraz, kiedy demony znalazły się w świecie istot żywych, magiczny dar Du Chaillu na pewno zaniknie - o ile już nie zanikł. Chłopak zaczekał, aż kobieta napije się wody i poda mu bukłak, a potem zaczął:

- Chciałbym, Du Chaillu...

- Spytaj, jak się wiedzie naszemu ludowi.

Richard spojrział na Kahlan. Przewróciła oczami i kiwnęła głową.

Odłożył bukłak i odkaslnął.

- Raduję się, widząc cię w dobrym zdrowiu, Du Chaillu. Dziękuję, że posłuchałaś mojej prośby i zdecydowałaś się urodzić dziecko. Wiem, że wychowanie dziecka to wielka odpowiedzialność. Jestem przekonany, że całe życie będziesz się radować z tej decyzji, a twoje nauki dobrze przysłużą się dziecku. Wiem również, że to nie moje słowa zdecydowały, lecz twoje serce. - Richard nie udawał szczerości, naprawdę tak myślał. - Przykro mi, że musiałaś zostawić pozostałe dzieci i wyruszyć w tę długą i uciążliwą podróż, by przynieść mi swoje mądre słowa. Wiem, że nie podejmowałabyś takiej długiej i pełnej trudów wyprawy, gdyby to nie było niezwykle ważne.

Czekała, wyraźnie jeszcze nie całkiem zadowolona. Richard, cierpliwie usiłując postępować po jej myśli, westchnął i podjął:

- Powiedz mi, proszę, Du Chaillu, jak się wiedzie naszemu ludowi, Baka Tau Mana, na ziemiach przodków?

Du Chaillu nareszcie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Nasz lud jest szczęśliwy na ojczystych ziemiach, na które mógł powrócić dzięki tobie, *Caharin*, ale o tym porozmawiamy później. Teraz muszę ci powiedzieć, po co przybyłam.

Richard z wysiłkiem powstrzymał gniew.

- Niecierpliwie czekam na twoje słowa.

Już miała coś powiedzieć, lecz wtem się zachmurzyła.

- Gdzie twój miecz?

- Nie mam go przy sobie.

- Dlaczego?

- Musiałem go zostawić w Aydindril. To długa historia i nie...

- To jak możesz być Poszukiwaczem, skoro nie masz przy boku swojego miecza?

Richard głęboko zaczerpnął powietrza.

- Poszukiwacz Prawdy to osoba. Miecz Prawdy jest narzędziem, którym posługuje się Poszukiwacz, podobnie jak ty posłużyłaś się gwizdkiem, żeby zaprowadzić pokój. Równie dobrze mogę być Poszukiwaczem bez miecza, jak ty duchową przewodniczką bez magii gwizdka.

- To nie bardzo w porządku. - Wydawało się, że jest skonsternowana. - Podobał mi się twój miecz. Rozciął na mojej szyi żelazną obrożę, a głowę zostawił na karku. Zaświadczył nam, że jesteś *Caharin*. Powinieneś mieć swój miecz.

Richard uznał, że już wystarczająco długo postępował według jej reguł. Miał przecież na głowie ogromnie ważne sprawy. Pochylił się ku Du Chaillu i spojrzał na nią groźnie.

- Odzyskam miecz, gdy tylko wrócę do Aydindril. Podążaliśmy tam, kiedy nas spotkałaś. Im mniej czasu stracę, siedząc sobie w trakcie doskonałego do podróży dnia, tym prędzej dotrę do Aydindril i odzyskam swój oręż. Przepraszam, Du Chaillu, za szorstkość i pośpiech. Nie chciałem cię urazić. Po prostu boję się o życie niewinnych ludzi, o życie tych, których kocham. Mój pośpiech wynika też z troski o bezpieczeństwo Baka Tau Mana. Będę wdzięczny, jeśli powiesz mi, co tu robisz. Ludzie umierają. Także twoi ludzie stracili życie. Muszę sprawdzić, czy w jakiś sposób zdołam powstrzymać demony. Miecz Prawdy może mi w tym pomóc. Muszę wrócić po niego do Aydindril. Może wreszcie przejdiesz do rzeczy?!

Du Chaillu uśmiechnęła się do siebie - okazał jej należny szacunek, a teraz zachował się po swojemu. Jednak uśmiech powoli zniknął z jej twarzy, a wraz z nim jej odwaga. Po raz pierwszy wydała się drobna, przerażona i niepewna.

- Miałam niepokojącą wizję na twój temat, mój mężu. Czasami miewam takie wizje jako duchowa przewodniczka.

- Rozumiem to, lecz nie chcę o tym słyszeć. Spojrzała na niego.

- Co takiego?!

- Powiedziałaś, że to była wizja.

- Tak.

- Nie chcę słuchać o żadnych wizjach.

- Ale... ale... musisz. To była wizja.

- Wizje są rodzajem prorokowania. Proroctwo jeszcze mi nie pomogło, za to niemal zawsze pogrąża mnie w smutku. *Nie* chcę o tym słyszeć.



- Ale wizje pomagają.  
- Wcale nie.  
- Objawiają prawdę.  
- Nie są bardziej prawdziwe niż sny.  
- Sny też mogą być prawdziwe.  
- Nie, nie są prawdą. Są tylko snami. Wizje też nie są prawdą. Są wyłącznie wizjami.  
- Ale widziałam ciebie w tej wizji.  
- Nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę o tym słyszeć.  
- Płonąłeś.  
Richard ciężko westchnął.  
- A ja miewam sny, że potrafię latać. I to się wcale nie sprawdza. Du Chaillu nachyliła się ku niemu.  
- Śnisz, że potrafisz latać? Naprawdę? Jak ptak? - Wyprostowała się. - Nigdy o czymś takim nie słyszałam.  
- To tylko sen, Du Chaillu. Jak twoja wizja.  
- Ale mnie się to ukazało w wizji. Znaczy to, że to prawda.  
- W snach mogę latać, ale to się nie staje prawdą. Nie skaczę z wysoka, machając ramionami. To jedynie sen, jak twoja wizja. Nie potrafię latać, Du Chaillu.  
- Ale możesz spłonąć.  
Richard wsparł dłonie o kolana i odchylił się nieco do tyłu. Głęboko zaczerpnął powietrza, by się uspokoić.  
- No dobrze, w porządku. Co jeszcze było w tej wizji?  
- Nic. To wszystko.  
- Nic? Tylko tyle? Ja w ogniu? Krótki sen o tym, że płonę?  
- Nie sen. - Uniosła palec dla podkreślenia wagi swojego stwierdzenia. - Wizja.  
- I przebyłaś tę długą trasę, żeby mi to powiedzieć? Bardzo dziękuję, że pokonałaś taką odległość, by mi to powiedzieć, teraz jednak już naprawdę musimy ruszać w drogę. Powiedz swojemu ludowi, że *Caharin* dobrze mu życzy. Bezpiecznej podróży do domu. - Richard udał, że chce wstać. - Chyba że chcesz mi powiedzieć coś jeszcze? - dorzucił.  
Odprawa sprawiła, że Du Chaillu trochę spuściła z tonu.  
- Przeraziłam się, zobaczywszy płonącego męża.

- Też bym się bał, gdybym płonął.  
- Nie chciałabym, żeby *Caharin* się palił.  
- *Caharin* też nie chciałby płonąć. Czy twoja wizja zdradziła, jak mogę uniknąć spalenia?

Opuściła wzrok, skubnęła palcami koc.

- Nie.

- Widzisz? No i jaki z niej pożytek?

- Dobrze jest wiedzieć takie rzeczy - odparła, tocząc po kocu kłębuszek wyskubanego zeń puszku. - To się może przydać.

Richard podrapał się w czoło. Zbierała się na odwagę, żeby powiedzieć mu coś ważniejszego, coś bardziej przykrego. Wizja to tylko pretekst, pomyślał. Złagodził ton, mając nadzieję, że to z niej wyciągnie.

- Dziękuję za ostrzeżenie, Du Chaillu. Zapamiętam to, skoro może mi być pomocne.

Spojrzała mu w oczy i potaknęła.

- Jak mnie znalazłaś?

- Jesteś *Caharin*. - Znów wyglądała dostojnie. - Jestem duchową przewodniczką Baka Tau Mana, strażniczką starych praw. Twoją żoną.

Richard zrozumiał. Łączyła ją z nim więź - jak D'Harancyków, jak Carę. I jak Cara, Du Chaillu wyczuwała, gdzie on się znajduje.

- Byłem dzień drogi stąd na południe. Mało brakowało, żebyś się ze mną nie spotkała. Zaczęłaś mieć kłopoty z wyczuciem, gdzie jestem?

Odwróciła oczy i przytaknęła.

- Zawsze mogłam stanąć, zapatrzona w horyzont, z wiatrem rozwiewającym mi włosy, z blaskiem słońca lub gwiazd padającym na moją twarz, i wskazać: „*Caharin* jest tam”. - Zamilkła i dopiero po chwili mogła mówić dalej. - Coraz trudniej było mi wskazać, gdzie jesteś.

- Jeszcze przed kilkoma dniami byliśmy w Aydindril - odezwał się Richard. - Musiałaś wyruszyć w tę podróż na długo przed tym, nim się tu zjawiłem.

- Tak. Nie tutaj byłeś, kiedy zrozumiałam, że muszę iść do ciebie. - Wskazała przez ramię. - Byłeś dużo, dużo dalej na północny wschód.

- To dlaczego szukałaś mnie tu, skoro wyczułaś, że jestem na północnym wschodzie, w Aydindril?

- Kiedy zaczęłam cię wyczuwać z coraz większym trudem, zrozumiałam,

że dzieje się coś niedobrego. Wizje powiedziały mi, że muszę do ciebie dotrzeć, zanim będziesz dla mnie stracony. Gdybym udała się tam, gdzie byłeś, kiedy wyruszyłam, to by cię tam nie było po moim przybyciu. Odwołałam się do wizji, skoro je jeszcze miałam, i poszłam w miejsce, które mi wskazały. Pod koniec podróży zdołałam wyczuć, że istotnie tu jesteś. Ale wkrótce potem już cię nie wyczuwałam. Wciąż byliśmy dość daleko i pozostawało nam jedynie podążać w tym kierunku. Dobre duchy wysłuchały moich modłów i pozwoliły, by nasze drogi się przecięły.

- Cieszę się, że dobre duchy ci pomogły, Du Chaillu. Jesteś zacną kobietą i zasługujesz na ich pomoc.

Znów zaczęła skubać koc.

- Ale mój mąż nie wierzy w moje wizje. Richard oblizwał wargi.

- Ojciec zwykł mi mówić, żebym nie jadł znalezionych w lesie grzybów. Że mógłbym zjeść trujące, zachorować i umrzeć. Nie mówił tak dlatego, że wiedział, iż to się zdarzy, lecz dlatego, że się o mnie bał. Ostrzegał mnie, mówiąc, co by się mogło zdarzyć, gdybym zjadł grzyb, którego nigdy przedtem nie widziałem.

- Rozumiem - powiedziała z bladym uśmiechem.

- Czy to była prawdziwa wizja? Może to była wizja czegoś, co jest tylko możliwe, wizja niebezpieczeństwa, a nie pewnik? Część wizji dotyczy wydarzeń, które są możliwe, ale jeszcze nie umiejscowione w przyszłości. Całkiem możliwe, że twoja wizja należała do takich właśnie. - Richard ujął dłoń Du Chaillu w obie ręce. - Powiedz, proszę, dlaczego do mnie przyszłaś? - spytał łagodnie.

Z uszanowaniem wygładziła małe kolorowe taśmy biegnące w dół jej ramienia, jak gdyby chciała sobie przypomnieć modły, które jej lud z nią wysłał. Ciężącą na niej odpowiedzialność przyjmowała z odwagą i godnością.

- Baka Tau Mana radują się, że mogą być w swojej ojczyźnie po tych wszystkich pokoleniach wypędzonych z miejsca drogiego naszym sercom. Nasza ojczyzna jest dokładnie taka Jak to nam przekazały dawne opisy. Ziemia jest urodzajna. Klimat korzystny. To dobre miejsce do wychowywania dzieci. Miejsce, w którym możemy być wolni. Nasze serca śpiewają z radości, że możemy tam być. Każdy lud powinien mieć to, co nam ofiarowałeś, *Caharin*. Każdy lud powinien móc żyć zgodnie z własną wolą. -

Na jej twarzy odmalował się przeraźliwy smutek. - Ale wy tego nie możecie. Nie jesteście bezpieczni, ty i twoi ludzie z tej krainy Nowego Świata, o której mi opowiadałeś. Nadciąga wielka armia.

- Jagang - szepnął Richard. - Miałaś taką wizję?

- Nie, mój mężu. Widzieliśmy ich na własne oczy. Wstydziłam się powiedzieć ci o tym. Wstydziłam się, bo bardzo nas wystraszyli, a nie chciałam się przyznać do naszego strachu. Kiedy byłam przykuta do ściany i wiedziałam, że lada dzień Majendie mogą mnie złożyć w ofierze, nie bałam się aż tak, bo chodziło jedynie o mnie, a nie o mój lud. Mój lud był silny i znalazłby sobie nową duchową przewodniczkę. Pobiliby Majendie, gdyby ci zjawili się na bagniskach. Umarłabym, wiedząc, że Baka Ban Mana przeżyją. Każdego dnia ćwiczymy, by nikt nie mógł nas zniszczyć. Zgodnie ze starym prawem jesteśmy ciągle gotowi, żeby stoczyć walkę o życie z każdym, kto na nas napadnie. Jedynie *Caharin* może stawić czoło naszym mistrzom miecza. Chociaż nasi mistrzowie miecza są wspaniali, nie pokonają takiej armii. Nie zdołamy pokonać tego nieprzyjaciela, gdy w końcu spocznie na nas jego oko.

- Rozumiem, Du Chaillu. Powiedz, co widziałaś.

- Nie potrafię ci powiedzieć, co widziałam. Nie umiem wytłumaczyć tak, byś zrozumiał, ilu żołnierzy widzieliśmy. Ile koni. Ile wozów. Ile oręża. Ta armia mijала nas całymi dniami i sięgała od horyzontu do horyzontu. Nie można ich zliczyć. Podobnie nie umiem powiedzieć, ile źdźbeł trawy jest na tych równinach. Nie znam słowa, które określałoby tak ogromną liczbę.

- Chyba właśnie mi to wyjaśniłaś - wyszeptał Richard. - I nie zaatakowali twojego ludu?

- Nie. Nie przeszli przez nasz kraj. Nasz strach o życie dotyczy przyszłości, kiedy to postanowią nas wchłonać. Oni nie zostawią nas w spokoju. Tacy jak oni biorą wszystko: nigdy nie mają dość. Wszyscy nasi mężczyźni zginą. Nasze dzieci zostaną wymordowane. Nasze kobiety uprowadzone. Tego nieprzyjaciela nie pokonamy. Jesteś *Caharin*, więc musiałam ci to powiedzieć. Tak mówi stare prawo. Wstydzę się, jako duchowa przewodniczka Baka Tau Mana, że musiałam ci okazać mój strach i wyznać, iż nasz lud jest przerażony, że wszyscy zginiemy w paszczy tej bestii. Chciałabym móc ci powiedzieć, że bez obawy czekamy na nasz los, lecz nie byłaby to prawda. Czekamy z drzeniem serc. Ty jesteś *Caharin*, więc tego nie zrozumiesz. Ty nie wiesz, co to strach.

- Ależ Du Chaillu - zaśmiał się zaskoczony Richard - ja się często boję.

- Ty? Nigdy. - Opuściła oczy na koc. - Mówisz tak tylko po to, żebym się nie wstydziła. Bez strachu stawiałeś czoło trzydziściorgu i pokonałeś ich. Jedynie *Caharin* mógł czegoś takiego dokonać. *Caharin* nie zna strachu.

Richard uniósł jej głowę.

- Walczyłem z trzydziściorgiem, lecz nie bez strachu. Byłem przerażony, jak teraz demonami i czekającą nas wojną. Przyznanie się do strachu nie jest oznaką słabości, Du Chaillu.

Uśmiechnęła się na tę uprzejmość.

- Dziękuję, *Caharin*.

- Więc Imperialny Ład nie zaatakował was?

- Na razie jesteśmy bezpieczni. Przybyłam, żeby cię ostrzec, bo wkraczają do Nowego Świata. Nas ominęli. Najpierw ruszą na ciebie.

Richard potaknął. Kierowali się na północ, ku Midlandom.

Wojska generała Reibischa, w sumie blisko sto tysięcy żołnierzy, maszerowały na wschód, żeby bronić południowych granic Midlandów. Generał prosił Richarda, by nie musiał wracać do Aydindril, chciał bowiem strzec południowych przejść do Midlandów, zwłaszcza bocznych dróg wiodących do D'Hary. Richardowi wydało się to sensowne.

Przypadek postawił generała i jego d'haranskie wojska na drodze Jaganga.

Armia Reibischa nie była na tyle liczna, by podjąć walkę z Imperialnym Ładem, lecz D'Haranczyki są zaciekli w boju i będą na dobrej pozycji, żeby strzec przejść na północ. Gdy będzie już wiadomo, dokąd maszeruje armia Jaganga, Reibisch dostanie posiłki.

W wojskach Jaganga byli mający dar czarodzieje i Siostry. Generał Reibisch też miał przy sobie sporo Sióstr Światła. Siostra Verna - teraz Ksieni Verna - dała Richardowi słowo, że Siostry staną przeciwko Imperialnemu Ładowi i magii, z której tamci korzystają. Magia zanikała, lecz dotyczyło to również magii tych, którzy wspomagali Jaganga, z wyjątkiem, być może, Sióstr Mroku i towarzyszących im czarodziejów, którzy wiedzieli, jak korzystać z magii subtraktywnej.

Generał Reibisch - podobnie jak Richard i pozostali generałowie w Aydindril i w D'Harze - liczył na to, że Siostry wykorzystają swoje uzdolnienia, by śledzić marszrutę armii imperatora podążającej w głąb

Nowego Świata i dzięki temu pomogą dliarańskim wojskom zająć dogodnie pozycje. Teraz magia zanikała, odbierając im tę możliwość.

Na szczęście Du Chaillu i Baka Tau Mana nie dopuścili, żeby Ład ich zaskoczył.

- To ogromnie pomocne, Du Chaillu. - Richard uśmiechnął się do niej. - Przyniosłaś ważne wieści. Teraz wiemy, co robi Jagang. Nie próbowali przejść przez wasz kraj? Ominęli was?

- Musieliby zboczyć z trasy, żeby nas teraz zaatakować. Ich liczebność sprawiła, że w pobliżu znalazł się sam skraj armii, lecz nasi mistrzowie miecza zadbali, by było to dla nich równie przykre jak pogłaskanie jeżozwierzka. Złapaliśmy kilku dowódców tych dwunogich psów. Powiedzieli nam, że na razie ich armia nie jest zainteresowana nami i naszym krajem i dlatego nas ominęła. Polują na grubszą zwierzynę. Ale pewnego dnia powrócą i zetrą Baka Tau Mana z powierzchni ziemi.

- Opowiedzieli wam o swoich planach?

- Każdy powie, jak go odpowiednio zapytać. - Uśmiechnęła się. - Nie tylko demony korzystają z ognia. My...

Richard powstrzymał ją ruchem dłoni.

- Załapałem.

- Powiedzieli nam, że ich armia maszeruje do ziem, które dostarczą im żywności.

Chłopak odruchowo skubał dolną wargę i rozważał te ważne wieści.

- To jasne. Jakiś czas gromadzili wojska w Starym Świecie. Taka wielka armia nie może wiecznie tkwić w miejscu. Musi mieć prowiant. Tak wielkie wojsko musi się przemieszczać i potrzebuje zaopatrzenia. Nowy Świat to dla nich łakomy kąsek do podboju i okazja, by się obłowić. - Spojrzał na Kahlan stojącą za jego lewym ramieniem. - Gdzie mogliby się zaopatrzyć w potrzebne rzeczy?

- Jest wiele możliwości - powiedziała dziewczyna. - Mogą grabić każdą okolicę, którą zagarną, i zdobywać to, co im potrzebne, posuwając się w głąb Midlandów. Dopóki wybierają drogę, mając to właśnie na względzie, mogą żywić armię jak nietoperz łowiący owady w locie. Mogą również uderzyć na krainę, która ma większe zapasy. Lifania mogłaby im dostarczyć sporo ziarna, Sanderia ma liczne stada owiec i dałaby im mięso. Gdyby wybrali cele zapewniające żywność dla wojska na długi czas, potem mogliby wybierać

cele, kierując się wyłącznie względami strategicznymi. Wtedy nastąpiłyby dla nas ciężkie czasy Tak zrobiłabym na ich miejscu. Gdyby mieli pod dostatkiem żywności, znaleźlibyśmy się na ich łasce i trudno by się nam było im przeciwstawić.

- Moglibyśmy wykorzystać generała Reibischa - rozmyślał głośno Richard. - Może zdołaliby zablokować Imperialny Ład albo przynajmniej spowolnić jego marsz, a my w tym czasie ewakuowalibyśmy ludzi i wywieźli zapasy, nim dostałyby się w łapy Jaganga.

- To byłoby ogromne zadanie. - Kahlan też rozmyślała na głos. - Jeżeli Reibisch zaskoczy oddziały Jaganga i spowolni ich marsz, my zaś zdołamy rzucić na nich z boków inne wojska...

Du Chaillu potrząsała głową.

- Kiedy nasi prawodawcy przegnali nas z ziem ojczystych, musieliśmy mieszkać na mokradłach. Gdy na północy wiele dni padało, napływały wielkie wody. Rzeka występowała z brzegów i rozlewała się szeroko. Jej nurty, niosące muł i olbrzymie, wyrwane z korzeniami drzewa, zmiatały wszystko, co znajdowało się na ich drodze. Nie mogliśmy przeciwstawić się naporowi i furii takiej ilości wody. Nikt by nie mógł. Wydaje ci się, że potrafisz, dopóki nie ujrzysz, że nadpływa. Wtedy albo znajdziesz wzniesienie, albo umrzesz. Ta armia jest jak wezbrane wody rzeki. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jaka jest wielka.

Strach w jej oczach i powaga głosu sprawiły, że Richard dostał gęsiej skórki. Nie miało znaczenia, że Du Chaillu nie umie określić liczebności armii. Rozumiał, o co jej chodzi, zupełnie jakby przesyłała swoje wrażenia i to, co widziała, bezpośrednio do jego umysłu.

- Dziękuję, że przyniosłaś nam te wieści, Du Chaillu. Prawdopodobnie ocaliłaś życie wielu ludziom. Teraz przynajmniej nas nie zaskoczą, a przedtem mogłoby się tak zdarzyć. Dziękuję.

- Generał Reibisch właśnie kieruje się na wschód, więc mamy choć tyle szczęścia. Musimy mu przesłać te wiadomości - powiedziała Kahlan.

Richard przytaknął.

- Możemy iść do Aydindril okrężną drogą, spotkać się z nim i ustalić, co robić dalej. Przy okazji dałby nam konie. Dzięki temu zaoszczędzilibyśmy sporo czasu. Żeby tylko nie był zbyt daleko. Czas ma ogromne znaczenie.

Po bitwie, w której armia d'haranska rozgromiła spory korpus

ekspedycyjny Jaganga, Reibisch zawrócił swoje wojska i podążał teraz spiesznie na wschód. D'Haranczycy wracali, żeby strzec dróg prowadzących na północ ze Starego Świata, w którym Jagang zgromadził swoje siły, by ruszyć na Midlandy, a może i na D'Hare.

- Jeżeli zdołamy dotrzeć do generała i ostrzec go, że nadciąga armia imperatora, to jego posłańcy będą mogli wyruszyć do D'Hary po posiłki - dorzuciła Cara.

- A także do Kełtonu, Jary, Grennidonu i do innych - dodała Kahlan. - Po naszej stronie jest już wiele krain, które mają zawodowe wojsko.

Richard zgodził się z nimi.

- Dobry pomysł. Przynajmniej będziemy wiedzieć, gdzie się te wojska przydadzą. Obyśmy się tylko jak najszybciej dostali do Aydindril.

- A czy teraz ma to jakieś znaczenie? - spytała Kahlan. - Pamiętaj, że to demony, a nie Lurk.

- To, o co prosił Zedd, może wcale nie pomóc, ale nie wiemy tego na pewno, nieprawdaż? Mógł nam powiedzieć prawdę o pilności tego, co musimy zrobić, i tylko posłużyć się słowem „Lurk” zamiast „demony” - odparł Richard.

- Możemy przegrać z Jagangiem, zanim demony nas dopadną. Śmierć to śmierć. - Kahlan westchnęła z irytacją. - Nie mam pojęcia, w co się bawił Zedd, ale prawda lepiej by się nam przysłużyła.

- Musimy dotrzeć do Aydindril - powiedział stanowczo Richard. - Z całą pewnością.

W Aydindril był jego miecz.

Cara wyczuwała Richarda dzięki łączącej ich więzi, Du Chaillu wiedziała, gdzie on jest, Richard zaś został wyznaczony na Poszukiwacza Prawdy i związany z Mieczem Prawdy. Łączyła go z tym orężem specyficzna więź. Bez miecza u boku czuł się, jakby brakowało mu części siebie.

- Kiedy ta wielka armia minęła was w drodze na północ... - zaczął Richard.

- Nigdy nie powiedziałam, że szli na północ. Chłopak aż zamrugał.

- Ależ... właśnie tam musieli iść. Kierują się na Midlandy albo ku D'Harze. Tak czy owak powinni zdążyć na północ.

Du Chaillu energicznie potrząsnęła głową.

- Nie. Nie idą na północ. Minęli nasze ziemie od południa, trzymając się



blisko wybrzeża. Potem skręcili wraz z nim i teraz podążają na zachód.

- Na zachód?! - zdumiał się Richard. Kahlan osunęła się na kolana obok niego.

- Jesteś pewna, Du Chaillu?

- Tak. Śledziliśmy ich. Wysłaliśmy na wszystkie strony zwiadowców, bo moje wizje ostrzegły mnie, że ci żołnierze stanowią wielkie zagrożenie dla *Caharin*. Niektórzy z dowódców, których pojaliśmy, znali imię i nazwisko „Richard Rahl”. To dlatego przybyłam cię ostrzec. Ta armia wie, jak się nazywasz. Zadałeś im mnóstwo ciosów i pokrzyżowałeś ich plany. Strasznie cię nienawidzą. Ci ludzie nam to powiedzieli.

- Czy twoje wizje o mnie i o ogniu mogły tak naprawdę dotyczyć ognia nienawiści płonącego w sercach żołnierzy Ładu?

Du Chaillu zadumała się, rozważając to pytanie.

- Rozumiesz wizje, mój mężu. Mogło być tak, jak mówisz. Wizje nie zawsze należy brać dosłownie. Czasem wizja ukazuje to, co jest możliwe, i niebezpieczeństwo, którego się trzeba strzec, innym zaś razem jest, jak mówisz: wizja to obraz myśli, a nie zdarzeń.

Kahlan złapała Du Chaillu za rękaw.

- Ale dokąd oni maszerują? Gdzieś muszą skręcić na północ, ku Midlandom. W grę wchodzi życie wielu ludzi. Dowiedzieliście się, gdzie wykonają zwrot? Musimy wiedzieć, w którym miejscu ruszą na północ.

- Nie - odparła Du Chaillu, otumaniona ich zdumieniem. - Zamierzają iść brzegiem wielkiej wody.

- Oceanu? - zapytała Kahlan.

- Tak to nazywali. Zamierzają iść brzegiem wielkiej wody, a potem na zachód. Nie wiedzieli, jak się nazywa kraj, do którego zmierzają, a jedynie, że mają iść dalej na zachód, do krainy bogatej w żywność, jak wy tu mówiliście.

Kahlan puściła jej rękaw.

- Drogie duchy, wpadliśmy w tarapaty - wyszeptała.

- Też tak sędzę - potwierdził Richard, zaciskając pięści. - Generał Reibisch jest daleko na wschodzie i podąża w złym kierunku.

- Jeszcze gorzej - powiedziała dziewczyna, patrząc na południowy zachód, jakby mogła zobaczyć, dokąd maszeruje Imperialny Ład.

- Jasne - sapnął Richard. - To kraina, o której mówił Zedd. Leży w pobliżu

doliny Nareef. Odległa kraina na południowym zachodzie, w której rośnie wiele zboża. Tak?

- Tak - odparła Kahlan, zapatrzona w horyzont. - Jagang maszeruje ku spichlerzowi Midlandów.

- Toscla. - Richard przypomniał sobie nazwę, którą wymienił Zedd.

Kahlan spojrzała na niego i z rezygnacją potaknęła.

- Na to wygląda. Nigdy nie sądziłam, że Jagang tak bardzo zboczy z drogi. Spodziewałam się, że szybko uderzy na Nowy Świat, żebyśmy nie mieli czasu zgromadzić wojsk.

- I ja się tego spodziewałem. Generał Reibisch też tak myślał. Teraz spieszy bronić wejścia, z którego Jagang nie skorzysta. - Richard stuknął palcem w kolano i rozważał różne możliwości. - Może przynajmniej da nam to trochę czasu. No i wiemy, dokąd zmierza Imperialny Ład: do Toscli.

Kahlan potrząsnęła głową. I ona zastanawiała się nad ewentualnymi możliwościami.

- Zedd znał starą nazwę tej krainy. A zmieniała się ona wiele razy. Krainę nazywano Vengren, Vendice, Turslan i jeszcze inaczej. Od dawna już nie nazywa się Toscla.

- Ooo - powiedział Richard, ledwo słuchając, bo układał w myślach listę spraw, nad którymi powinni się zastanowić. - To jak się teraz nazywa?

- Anderith - odparła Kahlan.

Chłopak uniósł głowę. Przeszył go zimny dreszcz.

- Anderith? Dlaczego? Dlaczego nazywa się Anderith? Widząc jego minę, Kahlan ściągnęła brwi.

- Od jednego z ich starożytnych założycieli. Nosił nazwisko Ander.

Richarda zamurowało.

- Ander - powtórzył. - Joseph Ander?

- Skąd wiesz?

- Czarodziej zwany Górą? Ten, o którym Kolo napisał, że został wysłany, by rozprawił się z demonami? - Kahlan przytaknęła. - „Góra” to jego przydomek, tak go wszyscy określali. Naprawdę zaś nazywał się Joseph Ander.

## ROZDZIAŁ 32

Richardowi zdawało się, że w jego umyśle toczy się wojna. W tym samym czasie, gdy usilnie starał się znaleźć sposób pokonania upiornego zagrożenia, dręczyły go wyobrażenia niezliczonych żołnierzy wroga wkraczających ze Starego Świata.

- No dobrze - powiedział, unosząc rękę, żeby ich uciszyć, bo mówili wszyscy naraz. - W porządku. Uspokójcie się. Porozmawiajmy o tym.

- Demony mogą uśmiercić wszystkie żywe istoty na świecie, zanim Jagang podbije Midlandy - stwierdziła Kahlan. - Przede wszystkim musimy się zająć demonami, ty sam mnie o tym przekonałeś. Nie tylko świat istot żywych może potrzebować magii do przetrwania. My również jej potrzebujemy, by przeciwstawić się Jagangowi. Nic by mu tak nie odpowiadało jak to, że walczylibyśmy z nim zwyczajnym orężem. Musimy się dostać do Aydindril. Sam mówiłeś, że Zedd mógł nam powiedzieć prawdę o tym, co powinniśmy zrobić w Wieży Czarodzieja, o tej buteleczce. Jeśli nie wykonamy jego polecenia, to niewykluczone, że pomożemy w ten sposób demonom zniszczyć świat istot żywych. Jeżeli się nie pospieszymy, potem może się okazać, że jest już za późno.

- Chcę, żeby mój Agiel znów był taki jak przedtem - odezwała się z irytacją Cara. - Bo nie mogę was chronić tak, jak powinnam. Uważam, że powinniśmy pójść do Aydindril i powstrzymać demony.

Richard spojrział na obie kobiety.

- Znakomicie. Ale jak mamy powstrzymać demony, skoro Zedd wymyślił tę podróż tylko po to, by usunąć nas sobie z drogi? A jeżeli z troski o nas chciał nas usunąć na bok i teraz sam próbuje się uporać z całą sprawą? Może postąpił jak ojciec, który widzi, że zbliża się jakiś podejrzany obcy, i dlatego każe dzieciom pobiec do domu i policzyć drwa w skrzyni koło pieca. - Widział na obu twarzach zaniepokojenie i niepewność. - Uważam, iż ważna jest wiadomość, że to Joseph Ander był tym, kogo wysłano, by pokonał demony, i że jest tą samą osobą, która współdziałała w ustanowieniu Anderithu. To może mieć duże znaczenie, Zedd zaś nie musiał o tym wiedzieć. Nie twierdzę, że powinniśmy się udać do Anderithu. Duchy wiedzą, że i ja pragnę dotrzeć do Aydindril. Nie chciałbym jedynie przeoczyć

czegoś ważnego. - Richard ucisnął skronie palcami. - Nie wiem, co robić.

- Więc powinniśmy iść do Aydindril. Tam przynajmniej będziemy mieć jakąś szansę - odezwała się Kahlan.

Chłopak głośno rozważył tę propozycję:

- To mogłoby być najlepsze. W końcu Góra, Joseph Ander, mógł pokonać demony w zupełnie innym miejscu, na drugim krańcu Midlandów, a później, na przykład po wojnie, zjawiał się, by pomóc w utworzeniu krainy zwanej teraz Anderithem, tak?

- Otóż to - wtrąciła się Kahlan. - Toteż powinniśmy jak najszybciej dotrzeć do Aydindril. Z nadzieją, że to pomoże pokonać demony.

- Zgoda - odparł Richard, prosząc gestem o cierpliwość - ale jak sobie poradzimy z demonami, jeśli ta podróż okaże się daremna? Jeśli to tylko część sztuczki Zedda? Wtedy okaże się, że nie uczyniliśmy nic, by zapobiec zagrożeniu. Taką możliwość też musimy brać pod uwagę.

- Lordzie Rahlu - odezwała się Cara - podróż do Aydindril i tak byłaby korzystna. Nie tylko odzyskasz miecz i wypełnisz polecenie Zedda, ale też będziesz miał pamiętnik Kolo. Jest tam Berdine. Może pomóc w tłumaczeniu. Na pewno pracowała nad tym podczas naszej nieobecności. Może przetłumaczyła już fragmenty o demonach. Może ma już informacje, których potrzebujesz. Jeżeli nie, to będziesz miał pamiętnik, a już wiesz, czego w nim szukać.

- To prawda - powiedział chłopak. - Poza tym w wieży są też inne księgi. Kolo napisał, że demony okazały się o wiele łatwiejsze do opanowania, niż myśleli.

- Ale oni wszyscy mieli dar magii subtraktywnej - przypomniała Kahlan.

Richard też miał taki dar, lecz nie bardzo wiedział, jak z niego korzystać. Tak naprawdę pojmował tylko magię miecza.

- Może w jednej z ksiąg leżących w Wieży Czarodzieja napisano, jak pokonać demony, i może to jest zupełnie łatwe. I wcale nie potrzeba do tego magii subtraktywnej - odezwała się Cara. Mord-Sith skrzyżowała ramiona. Widać było, że sama myśl o magii budzi w niej niechęć. Dorzuciła: - Może wystarczy, że kiwniesz palcem i nakazesz im odejść.

- Tak, jesteś przecież magicznym człowiekiem - wtrąciła się Du Chaillu, która nie zorientowała się, że Cara błysnęła właśnie sarkastycznym dowcipem. - Mógłbyś to zrobić.

- Masz do mnie większe zaufanie, niż na to zasługuję - powiedział Richard do duchowej przewodniczki.

- Wszystko i tak przemawia za tym, żebyśmy poszli do Aydindril - zawyrokowała Kahlan.

Chłopak, nie całkiem przekonany, potrząsnął głową. Wolałby, żeby łatwiej było postanowić, co właściwie należy zrobić. Nie mógł się zdecydować - raz skłaniał się ku jednej decyzji, innym razem ku drugiej. Potrzebna mu była informacja, która przeważałaby szalę.

Niekiedy czuł się jak oszust odgrywający rolę lorda Rahla, miał ochotę wszystko rzucić i wrócić do domu, do Westlandu. Teraz też była taka chwila.

Richard wolałby, żeby Zedd go nie okłamał. Nieznajomość prawdy sprawiła, że zagrożone było życie ludzi. Zagrożone było również przez to, że chłopak nie skorzystał z wiedzy Zedda, kiedy miał po temu okazję. Szkoda, że okazał się taki bezmyślny i że zapomniał o Du Chaillu.

- Dlaczego jesteś przeciwny podróży do Aydindril? - zapytała Kahlan.

- Sam nie wiem - odparł. - Za to wiemy, dokąd podąża Jagang. Musimy na to jakoś zareagować. Jeżeli podbije Midlandy, zginiemy i nie zrobimy nic w sprawie demonów. - Zaczął chodzić tam i z powrotem. - A jeżeli demony wcale nie są tak wielkim zagrożeniem, jak się tego obawiamy? To znaczy, na dłuższą metę oczywiście są. Ale jeśli miną całe lata, nim zanikanie magii wywoła jakąś poważną szkodę? Nieodwracalne zmiany na gorsze? Może potrwa to nawet całe wieki.

- Co się z tobą dzieje, Richardzie? Demony już zabijają ludzi. - Kahlan wykonała gest w kierunku leżącej gdzieś na równinach wioski Błotnych Ludzi. - Zabiły Juniego. Zabiły kilku Baka Tau Mana. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby je powstrzymać. Sam mnie o tym przekonywałeś.

- Zgadza się z Matką Spowiedniczką, lordzie Rahlu. Musimy iść do Aydindril - odezwała się Cara.

Du Chaillu wstała z koca.

- Mogę coś powiedzieć, *Cahańn*?

- Tak, oczywiście - odparł wyrwany z zadumy Richard. Już miała się odezwać, lecz zamarła z otwartymi ustami.

Miała zaintrygowaną minę.

- Ten, który ich prowadzi, Jagang, jest magicznym człowiekiem?

- Tak. Pod pewnym względem. Potrafi wnikać do umysłów ludzi i w ten sposób ich kontrolować. Nazywają go Nawiedzającym Sny. Nie ma innego magicznego daru.

Du Chaillu rozważała przez chwilę słowa Richarda.

- Armia nie wytrwa długo bez wsparcia ludzi ze swojej krainy. Czy on w ten sposób kontroluje wszystkich mieszkańców swojej krainy, każdego, kto jest po jego stronie?

- Nie. Nie mógłby w ten sposób kontrolować wszystkich jednocześnie. Musi wybrać tego, do czyjego umysłu chce wnikać. Podobnie jak mistrz miecza w walce wybrałby najpierw najważniejsze cele. Jagang wybiera najpierw tych z magicznym darem, kontroluje ich i wykorzystuje ich dar do swoich celów.

- Czyli wiedźmy są zmuszane do czynienia zła. I za pomocą magii trzymają jego ludzi za gardło?

- Nie - odezwała się stojąca za Richardem Kahlan. - Ludzie podporządkowują się mu z własnej woli.

Du Chaillu nie bardzo w to uwierzyła.

- Uważasz, że ludzie pozwoliliby takiemu człowiekowi być wodzem?

- Tyrani władają wyłącznie za przyzwoleniem swoich poddanych.

- Czyli i oni są źli, nie tylko on jeden?

- Są takimi ludźmi jak wszyscy - odparła Matka Spowiedniczka. - Jak psy podczas uczty, również ludzie gromadzą się u stołu tyranii, czekając w swoim łakomstwie na spadające na podłogę tłuste kęski. Nie każdy będzie się wdzięczny do tyrana, lecz większość uczyni to, jeśli najpierw obudzi on w nich nienawiść do innych i pozwoli dać upust ukrytym pragnieniom, sugerując, że to się im należy. Wielu z tego skorzysta. Tyrani pozwalają zawistnikom zaspokajać pragnienia.

- Szakale - orzekła Du Chaillu.

- Szakale - potwierdziła Kahlan.

Duchowa przewodniczka spuściła oczy, wstrząśnięta tym, co usłyszała.

- I dlatego to wszystko jest jeszcze okropniejsze. Wolałabym raczej myśleć, że tych ludzi opętała magia Jaganga albo i sam Opiekun, niż wiedzieć, że z własnej woli idą za taką bestią.

- Miałaś coś powiedzieć - przypomniał jej Richard. - Mówiłaś, że chcesz nam o czymś powiedzieć. Chciałbym to usłyszeć.

Du Chaillu splotła przed sobą dłonie. Jej twarz nie wyrażała już konsternacji, lecz przerażenie.

- Podczas naszej podróży jakiś czas śledziliśmy tę armię, żeby sprawdzić, dokąd zdąży. Złapaliśmy także kilku żołnierzy, by się co do tego upewnić. Ta armia posuwa się bardzo wolno. Każdej nocy stawiają namioty dla swojego wodza i jego kobiet. Te namioty są tak duże, że mogą pomieścić wielu ludzi, i mają liczne udogodnienia dla jego wygody. Stawiają też namioty dla innych ważnych osób. Każdej nocy jest uczta. Ich wódz, Jagang, jest jak podróżujący król, potężny i bogaty król. Mają wozy pełne kobiet: niektóre są tam z własnej woli, inne nie. Nocą wszystkie przechodzą przez łapy żołnierzy. Tą armią kieruje *nie* tylko chęć podboju, ale i upodobanie do orgii. W drodze do kolejnych podbojów dbają o zaspokajanie swoich popędów. Mają mnóstwo ekwipunku. Wiele dodatkowych koni. Całe stada mięsa, żywego mięsa. Długie sznury wozów wiozą żywność i inne zapasy. Przewożą wozami wszystko, od młynów po kuźnie. Transportują stoły i krzesła, dywany, półmiski i szklane wyroby otulone wiórami w drewnianych skrzyniach. Każdej nocy rozpakowują to wszystko i upodabniają namioty Jaganga do pałacu otoczonego domami ważnych ludzi. Przez te namioty i wszelkie wygody, które wiozą ze sobą, przypominają wędrujące miasto. - Du Chaillu przesunęła otwartą dłoń równoległe do ziemi. - Ta armia płynie jak powolna rzeka. Zabiera jej to dużo czasu, lecz nic jej nie powstrzyma. Prze naprzód. Każdego dnia trochę dalej. Miasto w podróży. Jest ich wielu i są powolni, ale nadchodzą. Wiedziałam, że muszę ostrzec *Caharin*, więc już dłużej ich nie śledziliśmy. - Odwróciła w powietrzu dłoń, jakby kurz zawirował na wietrze. - Podjęliśmy szybką podróż. Baka Tau Mana potrafią poruszać się pieszo równie szybko jak inni konno.

Richard już z nią podróżował. Była to przesadna przechwałka, ale częściowo prawdziwa. Kiedyś kazał jej dosiąść konia. Uważała, że to piekielna bestia.

- Gdy pospiesznie zdążaliśmy na północny zachód przez rozległy, płaski kraj, nieoczekiwanie natrafiliśmy na wielkie miasto otoczone wysokimi murami.

- Pewnie Renwold - odezwała się Kahlan. - To jedyne duże miasto w Dzikim, które leży w pobliżu wiodącego ku nam szlaku. Ma mury, o których mówisz.

Du Chaillu przytaknęła.

- Renwold. Nie znaleźliśmy tej nazwy. - Przeniosła z Kahlan na Richarda poważne i smutne spojrzenie królowej, która przynosi doniosłe wieści. - Odwiedziła je armia tego Jaganga. - Zapatrzyła się przed siebie, znów to widziała. - Nigdy nie sądziłam, że ludzie mogą być tacy okrutni dla innych. Majendie, których tak bardzo nienawidziliśmy, nigdy nie zrobiliby nam czegoś takiego, jak ci żołnierze mieszkańcom Renwoldu. - W oczach kobiety wezbrały łzy. Nie zdołała ich powstrzymać, spłynęły po policzkach. - Wszystkich wymordowali. Starych, młodych, dzieci. Ale najpierw przez wiele dni...

Załkała. Kahlan pocieszająco dotknęła jej ramienia. Du Chaillu przypominała teraz tulące się do Matki Spowiedniczki dziecko. Dziecko, które zbyt wiele widziało.

- Wiem - uciszała ją Kahlan, sama bliska łez. - Wiem. I ja byłam w wielkim, otoczonym murami mieście, które odwiedzili żołnierze Jaganga. Wiem, co widziałaś. W Ebinissii chodziłam między umarłymi. Widziałam rzeź, jakiej dokonał Imperialny Ład. Widziałam, co te bestie wyrządziły żywym.

Du Chaillu - kobieta, która mądrze i energicznie przewodziła swojemu ludowi; która mężnie zniosła miesiące uwięzienia i świadomość zagrażającej jej śmierci; która patrzyła, jak umierają jej mężowie, by dopełniły się stare prawa; która chętnie naraziła życie, by pomóc Richardowi w zniszczeniu Baszt Zatracenia, mając nadzieję, że dzięki temu jej lud odzyska utraconą ojczyznę - ukryła twarz w ramieniu Kahlan i łkała jak dziecko na wspomnienie tego, co widziała w Renwoldzie.

Mistrzowie miecza odwrócili oczy, by nie patrzeć na rozpacz i łzy swojej duchowej przewodniczki. To samo uczynili czekający w pobliżu Chandalen i jego łowcy.

Richard nie spodziewał się, iż coś może sprawić, że Du Chaillu publicznie zapłacze.

- Był tam pewien człowiek. On jeden jeszcze żył - wyszłochąła Du Chaillu.

- Jak ocalał? - Chłopakowi wydawało się to mało prawdopodobne. - Powiedział coś?

- Był szalony. Lamentował do dobrych duchów za swoją rodziną. Nieustannie rozpaczał z powodu swojej głupoty i błagał dobre duchy, by mu



wybaczyły i wróciły życie jego bliskim. Nosił gnijącą głowę dziecka. Mówił do niej, jakby należała do żywej istoty, i błagał o wybaczenie.

Kahlan jeszcze bardziej posmutniała. Z wyraźnym oporem spytała:

- Czy miał długie, siwe włosy? Czerwony surdut ze złotymi epoletami?

- Znasz go? - odpowiedziała pytaniem Du Chaillu.

- To ambasador Seldon. Nie było go tam, kiedy Ład zaatakował Renwold. Był w Aydindril. - Kahlan spojrzała na Richarda. - Prosiłam go, żeby się do nas przyłączyli. Odmówił, tłumacząc, że podobnie jak Zgromadzenie Siedmiu, jest zdania, iż Mardovia nie powinna się przyłączać do żadnej ze stron, bo wtedy będzie narażona na atak. Odmówił, twierdząc, że neutralność zapewni im bezpieczeństwo.

- Co mu powiedziałaś? - spytał chłopak.

- Powtórzyłam twoje słowa, że w tej wojnie nikt nie może stać z boku. I że jako Matka Spowiedniczka ogłosiłam, iż dla Imperialnego Ładu nie będzie litości. Oznajmiłam ambasadorowi Seldonowi, że w tej sprawie ty i ja jesteśmy tego samego zdania, że jego kraina musi się albo opowiedzieć po naszej stronie, albo przeciwko nam i że Imperialny Ład uważa tak samo. Próbowałam mu wytłumaczyć, co się może stać. Nie chciał słuchać. Błagałam, żeby nie ryzykował życia swojej rodziny. Odparł, że są bezpieczni za murami Renwoldu.

- Nikomu nie życzyłbym takiej nauczki - wyszeptał Richard. Du Chaillu znów załkała.

- Modlę się, by to nie była głowa jego dziecka. I żebym nie widywała jej w snach.

- Rozumiemy. - Chłopak delikatnie dotknął jej ramienia. - Przemoc Imperialnego Ładu jest zamierzona: chodzi o zastraszenie ewentualnych ofiar, o zmuszenie ich do poddania się. To dlatego walczymy z tymi żołądami.

Duchowa przewodniczka spojrzała na niego, otarła policzek dłonią i przełknęła łzy.

- Więc proszę, żebyś poszedł tam, dokąd kieruje się Ład. Albo przynajmniej wysłał kogoś z ostrzeżeniem. Niech ludzie uciekną przed torturami i rzezią, przed tym, co widzieliśmy w Renwoldzie. Trzeba ostrzec tych Anderyjczyków. Muszą uciekać. - Znów się rozplakała, wstrząsał nią szloch.

Richard patrzył, jak odchodzi w trawiaste równiny, by wypłakać się w samotności. Poczł na ramieniu dłoi Kahlan i spojrzł na dziewczynę.

- Anderith jeszcze się nam nie poddał. Ich posłowie byli w Aydindril, żeby wysłuchać naszego zdania, prawda? Wiedzą, co postanowiliśmy?

- Tak - odparła Kahlan. - Ich posłowie, podobnie jak przedstawiciele innych krain, zostali ostrzeżeni. Poinformowaliśmy ich o zagrożeniu i o tym, że jesteśmy zdecydowani mu się przeciwstawić. Anderith wie, że sojusz Midlandów należy do przeszłości i że oczekujemy poddania się oraz rezygnacji z suwerenności na rzecz imperium D'Hary.

- Imperium D'Hary - powtórzył Richard. Słowa te zdawały się tak twarde i zimne. Oto on, leśny przewodnik, czuje się jak ktoś, kto podstępem znalazł się na tronie, o którym nie wiadomo nawet, czy istnieje, czy też to jedynie tytuł, i ponosił odpowiedzialność za imperium. - Nie tak dawno temu D'Hara mnie przerażała. Bałem się, że wchłonie wszystkie krainy. A teraz w tym właśnie cała nasza nadzieja.

Ironia losu wywołała smutny uśmiech na ustach Kahlan.

- Tylko nazwa została ta sama, Richardzie. D'Hara. Większość ludzi wie, że walczysz o ich wolność, a nie po to, żeby zamienić ich w niewolników. Zwolennikiem tyranii jest teraz Imperialny Ład. Anderith zna warunki. Są takie same jak dla wszystkich innych krain: jeśli przyłączą się do nas z własnej woli będą z nami na równych prawach i będą podlegać tym samym normom co my wszyscy. Wiedzą, że nie ma żadnych wyjątków. I wiedzą o konsekwencjach i sankcjach, jakie czekają tych, którzy do nas nie przystaną.

- Renwold usłyszał to samo - przypomniał jej Richard. - A przecież nam nie uwierzyli.

- Nie wszyscy chcą spojrzeć prawdzie w oczy. Nie możemy na to liczyć. Musimy się zajmować tymi, którzy dzielają nasze przekonanie, że należy walczyć o wolność. Nie możesz poświęcać zacnych ludzi, Richardzie, i ryzykować niepowodzenia słusznej sprawy dla tych, którzy wolą być ślepi. Taki postępek byłby zdradą wobec tych ludzi o dzielnych sercach, którzy przyłączyli się do nas i za których jesteś odpowiedzialny.

- Masz rację. - Richard odetchnął. Myślał tak samo, ale jakąż ulgą było usłyszeć to od niej. - Czy Anderith ma dużą armię?

- Hrnni... tak - powiedziała Kahlan. - Ale to nie wojsko tak naprawdę broni Anderithu, lecz oręż zwany Dominie Dirtch.

Richard pomyślał, że to brzmi jak gornod'haranski, ale jego myśli zaprzętało tyle spraw, że nie przetłumaczył nazwy.

- Czy to coś, co możemy wykorzystać, żeby powstrzymać Imperialny Ład?

Kahlan, zapatrzona przed siebie i zatopiona w myślach, zastanawiała się nad pytaniem Richarda, obrywając czubki traw.

- To starożytna magiczna broń. Dzięki Dominie Dirtch Anderith był zawsze bezpieczny. Należą do Midlandów, bo potrzebują nas jako partnerów handlowych, potrzebują rynku, który wchłonie duże ilości żywności, jaką produkują. Ale dzięki Dominie Dirtch są prawie niezawisli, pozostają niemal poza konfederacją Midlandów. To zawsze był luźny związek. Jak inne Matki Spowiedniczki przede mną, zmusiłam ich, żeby uznali moją władzę i poddawali się zaleceniom Naczelnej Rady, jeśli chcą sprzedawać swoje towary. Anderyjczycy to dumni ludzie. Zawsze uważali się i wciąż uważają za odrębną, lepszą od innych nację.

- Oni mogą tak myśleć, aleja tak nie uważam, a i Jagang tak nie pomyśli. A co z tą bronią? Myślisz, że powstrzymałaby Imperialny Ład?

- Hmm, od wieków nie używano jej na wielką skalę. - Kahlan musnęła swój policzek źdźbłem trawy i zadumała się. - Ale czemu nie. Jej działanie każdego odwodzi od prób przypuszczenia ataku. Przynajmniej w zwykłych czasach. Od ostatniego dużego starcia wykorzystywano tę broń jedynie w pomniejszych konfliktach.

- Co to za ochrona? Jak to działa?- zapytała Cara.

- Dominie Dirtch to linia obrony usytuowana tuż przy ich granicy z Dziczą. To szereg wielkich dzwonów ustawionych tak, że pozostają w zasięgu wzroku. Bronią całej granicy Anderithu.

- Dzwony - odezwał się Richard. - Jak te dzwony ich bronią? Ostrzegają ludzi? Zwołują wojsko?

Kahlan machnęła źdźbłem trawy, jak nauczyciel mógłby machnąć różgą, żeby wybić uczniowi z głowy niewłaściwe pomysły. Zedd groził palcem w podobny sposób, dodając szelmowski uśmiech, żeby Richard nie czuł się szorstko skarcony. Kahlan jednak nie karciała, lecz nauczała, a w sprawach dotyczących Midlandów Richard wciąż był uczniem.

Słowo „nauczanie” zapadło chłopakowi w pamięć, gdy tylko je sobie przypomniał.

- To nie ten rodzaj dzwonów - powiedziała dziewczyna. - Poza tym przypominają dzwony tylko kształtem. Wyrzeźbiono je z kamienia, teraz inkrustowanego porostami, które przez wieki rozwijały się na jego powierzchni. Wyglądają jak starożytne monumenty. Straszliwe monumenty. Sterczą z równiny, tworząc ciągnącą się ku horyzontowi linię, przez co sprawiają wrażenie kręgosłupa jakiegoś olbrzymiego, przeraźliwie długiego monstrum.

Richard, bardzo zadziwiony, podrapał się po policzku.

- Duże są?

- Ustawiono je na wystających ponad trawę i pszenicę kamiennych podstawach szerokich na jakieś osiem, dziesięć stóp. - Przesunęła dłonią ponad głową. - Są mniej więcej takie wysokie jak my. W każdej podstawie wycięto stopnie prowadzące do dzwonu. Same dzwony mają osiem, dziewięć stóp wysokości. W tylnej części każdego z nich wyrzeźbiono okrągłą... tarczę. Coś przypominającego lustro lampy ściennej. Przy dzwonie stoi zawsze anderyjski żołnierz. Kiedy nadciąga nieprzyjaciel, żołnierz - po otrzymaniu rozkazu - staje za ową tarczą i uderza w dzwon długim drewnianym młotem. Dominie Dirtch wydają bardzo niski dźwięk. Tak przynajmniej mówią ci, którzy stoją za dzwonem. Nie zdarzyło się jeszcze, by przeżył jakiś napastnik i opowiedział, jak brzmi to z drugiej strony, w strefie śmierci.

Richard był szczerze zdumiony.

- Co te dzwony robią wrogom? Co robi ów dźwięk? Kahlan zgniotła w palcach wierzchołki żdźbeł.

- Sprawiają, że ciało odpada od kości.

Chłopak nawet nie potrafił sobie wyobrazić czegoś tak straszliwego.

- To tylko legenda czy prawda? Wiesz to na pewno?

- Kiedyś widziałam, jak to działa. Jakiś lud z Dzikich chciał zaatakować Anderith w odwecie za krzywdę wyrządzoną jednej z ich kobiet przez anderyjskiego żołnierza. - Potrząsnęła głową, przygnębiona. - To był ponury widok, Richardzie. Sterta okrwawionych kości pośród... stosu krwawych szczątków. Widać w tym było włosy... resztki skalpu. I odzież. Zobaczyłam jakieś paznokcie i opuszki palców, niczego innego nie dało się rozpoznać. Gdyby nie te resztki i kości, nie można byłoby się domyślić, że to ludzkie szczątki.

- To nie pozostawia żadnych wątpliwości: dzwony wykorzystują magię - stwierdził Richard. - Na jaką odległość zabijają? I jak szybko?

- Z tego, co wiem, Dominie Dirtch zabijają każdego, kto znajdzie się przed nimi w zasięgu wzroku. Po uderzeniu w dzwony napastnik robi jeszcze tylko krok lub dwa, a potem zaczyna mu pękać skóra. Mięśnie i ciało oddzielają się od kości. Wypływają jelita, serce i płuca wypadają spod żeber. Nie rna przed tym żadnej obrony. Umiera każdy, kto znajdzie się przed Dominie Dirtch.

- Czy napastnik może się zakraść nocą? - zapytał Richard. Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Teren jest tak płaski, że obrońcy widzą na wiele mil. Nocą można zapalić pochodnie. Ponadto przed linią dzwonów znajduje się pas gołej ziemi, żeby nikt nie mógł się podczołgać w trawie czy pszenicy. Dopóki linia Dominie Dirtch jest obsadzona żołnierzami, nikt się przez nią nie przedostanie. A przynajmniej nikt się nie przedostał od tysiący lat.

- Czy liczba napastników ma jakieś znaczenie?

- Z tego, co wiem, Dominie Dirtch zabiją wszystkich napastników idących na Anderith, o ile żołnierze nie przestaną uderzać w kamienne dzwony.

- Na przykład armię... - wyszeptał do siebie chłopak.

- Wiem, o czym myślisz, Richardzie, ale przecież magia zanika, bo demony są w naszym świecie. Szaleństwem byłoby liczyć na to, że Dominie Dirtch wystarczą, by zatrzymać wojska Jaganga.

Richard patrzył na siedzącą w trawie Du Chaillu - ukryła twarz w dłoniach i płakała.

- Przecież mówiłaś, że Anderith ma też dużą armię. Kahlan westchnęła, zniecierpliwiona.

- Obiecałeś Zeddowi, że pójdziemy do Aydindril, Richardzie.

- Owszem. Ale nie powiedziałem kiedy.

- Lecz dałeś to do zrozumienia. Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Nie złamię słowa, jeśli najpierw pójde gdzie indziej.

- Richardzie...

- Może Jagang chce wykorzystać zanikanie magii i napaść na Anderith, żeby zagrabić składy żywności.

- To byłoby przykre, lecz Midlandy mają również inne źródła

zaopatrzenia.

- A jeśli żywność nie jest jedynym powodem, dla którego imperator podąża na Anderith? - Znacząco uniósł brew. - Ma ludzi z magicznym darem. Pewnie i oni jak Zeddi Ann, wiedzą, że magia zanika. A jeżeli oni również się domyślili, że to przez demony? Jeżeli Jagang dostrzegł w tym okazję do zajęcia niezwyciężonej dotychczas krainy? I potem, gdy wszystko się zmieni, gdy przegna się demony...?

- Nie ma podstaw, by domyślać się, że to demony, a gdyby nawet, to skąd wiedziałby, jak je przegnać?

- Ma przy sobie ludzi z magicznym darem. Z Pałacu Proroków. Ci mężczyźni i kobiety studiowali księgi z tamtejszych podziemi. I to przez setki lat. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak wielką wiedzę zdobyli. A ty? Kahlan się zaniepokoiła.

- Podejrzewasz, że mogą znać sposób na przepędzenie demonów?

- Nie mam pojęcia. Ale jeśli go znają lub wejdą do Anderithu i dopiero tam się tego dowiedzą... pomyśl tylko, co by to oznaczało. Cała armia Jaganga znalazłaby się w Midlandach, pod osłoną Dominie Dirtch, i nic by jej stamtąd nie wykurzyło. Mogliby bez problemów napadać na Midlandy. Anderith to rozległa kraina. Gdyby imperator przejął kontrolę nad Dominie Dirtch, nie moglibyśmy tam wysłać zwiadowców i nie mielibyśmy pojęcia, gdzie stacjonują jego wojska. Prawdopodobnie *nie* zdołalibyśmy strzec całej granicy, więc jego szpiedzy zakradaliby się na nasze tereny, sprawdzali, gdzie stacjonuje nasze wojsko, i wracali do Jaganga. On zaś mógłby wykorzystywać luki w naszej obronie i robić wypadki w głąb Midlandów. W razie potrzeby krótki wypad, a potem wycofanie za Dominie Dirtch. Przy odrobinie cierpliwości i przewidywania zaczeka, aż natrafi na słaby punkt, kiedy nasze oddziały będą zbyt daleko, żeby w porę zareagować, a wówczas cała jego armia wedrze się przez luki w naszych liniach w głąb Midlandów. Kiedy wyminą już nasze siły, będą mogli grasować właściwie bez przeszkód, nam zaś pozostanie jedynie ściganie ich i, że się tak wyrażę, kąsanie w pięty. Gdy Jagang schroni się za kamienną zasłoną Dominie Dirtch, czas będzie grał na jego korzyść. Będzie mógł czekać tydzień, miesiąc lub rok. Albo i dziesięć lat, aż nas otumani i osłabi nieustanną czujność. A wtedy uderzy z nienacką.

- Drogie duchy - wyszeptała Kahlan i spojrzała przenikliwie na Richarda.

- To tylko domysły. A jeżeli *nie* znają sposobu na przepędzenie demonów?

- Nie wiem, Kahlan. Ja po prostu zgaduję. Musimy postanowić, co dalej. Jeśli podejmiemy złą decyzję, stracimy wszystko.

- Co do tego masz rację - westchnęła dziewczyna. Richard odwrócił się i spojrzał na Du Chaillu. Klęczała, ręce miała splecione, głowę pochyloną - wyglądała na pogrążoną w żarliwej modlitwie.

- Czy Anderith ma księgi, biblioteki?

- O tak. Mają wielką Bibliotekę Kultury, jak ją nazywają - odparła Kahlan. Chłopak zrobił znaczącą minę.

- Jeżeli istnieje odpowiedź na nasze pytania, to czemuż miałyby się znajdować w Aydindril? W pamiętniku Kolo? A może znajduje się w ich bibliotece, o ile w ogóle istnieje?

- O ile można ją odnaleźć w jakiejś księdze. - Kahlan, znużona, zacisnęła dłoń na paśmie spływających jej przez ramię długich włosów. - Zgadzam się, Richardzie, że to wszystko jest bardzo dokuczliwe, ale przez wzgląd na innych musimy postępować odpowiedzialnie. Stawką jest życie całych narodów. Jeśli byłoby trzeba poświęcić jedną krainę, żeby uratować pozostałe, to niechętnie i z ogromnym żalem zgodziłabym się pozostawić tę krainę jej losowi, by dopełnić obowiązku wobec przeważającej większości. Zedd powiedział, że musimy dotrzeć do Aydindril, by rozwiązać ten problem. Mógł to nazwać inaczej, ale to nie zmieniło przecież istoty problemu. Jeśli wypełnienie polecenia Zedda pognębi demony, to musimy to zrobić. Mamy obowiązek działać dla dobra wszystkich, po jak najwnikliwszej ocenie sytuacji.

- Wiem. - Ciężar odpowiedzialności był denerwujący; powinni pójść i tu, i tam. - W całej tej sprawie jest coś, co nie daje mi spokoju, a nie potrafię określić, co to jest. Co gorsza, obawiam się, ilu straci życie, jeżeli dokonamy złego wyboru.

- Wiem, Richardzie. - Zacisnęła palce na jego ramieniu. Wyrzucił w górę ramiona i odwrócił się.

- Naprawdę muszę rzucić okiem na tę książkę, na ten *Bliźniaczy szczyt*.

- Czyż Ann nie mówiła, że pisała o tym do Verny w swojej książce podróży, a Siostra odpisała, że tę księgę zniszczono?

- A tak, więc nic z tego. - Richard nagle obrócił się ku Kahlan. - Książka podróżna. - Zaczęło mu coś świtać. - Siostry porozumiewają się za pomocą

książek podróżnych, kiedy jedna wyrusza w długą podróż.

- Wiem o tym.

- Te książki podróżne wykonali dla Sióstr dawni czarodzieje, jeszcze w czasie wielkiej wojny.

- No i? - Kahlan w zdumieniu zmarszczyła brwi. Chłopak zamrugał.

- Książki tworzą pary. Możesz się porozumiewać wyłącznie za pomocą bliźniaczego tomu twojej książki.

- Richardzie, nie rozumiem...

- A jeżeli czarodzieje postępowali tak samo? Wieża Czarodzieja w Aydindril nieustannie powierzała czarodziejom jakieś misje. A jeśli to w ten sposób dowiadywali się, co się dzieje w rozmaitych miejscach? W ten sposób wszystko koordynowali? Jeżeli posługiwali się książkami podróżnymi tak, jak to czynią Siostry Światła? W końcu to czarodzieje z tamtych czasów otoczyli czarem Pałac Proroków i stworzyli dla Sióstr książki podróżne.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem... Chłopak chwycił Kahlan za ramiona.

- A jeżeli ta zniszczona księga, ten *Bliźniaczy szczyt*, była książką podróżną? Parą do książki podróżnej Josepha Andera?



## ROZDZIAŁ 33

Kahlan zaniemówiła. Richard zacisnął dłonie na jej ramionach.

- A jeżeli wciąż istnieje druga część pary, książka Josepha Andera?

Oblizwała wargi.

- Całkiem możliwe, że mają coś takiego w Andericie.

- Powinni. Czczą go. W końcu nazwali swoją krainę jego nazwiskiem. Na pewno troskliwie przechowują tę książkę, o ile jeszcze istnieje.

- To prawdopodobne. Ale wcale tak nie musi być, Richardzie.

- To znaczy?

- Niekiedy określona osoba nie jest doceniana w swoich czasach. Niekiedy ktoś zyskuje na ważności dużo później, a i to, bywa, tylko dlatego, by rządzący mogli usprawiedliwić swoje działania. W takich wypadkach dowody rzeczywistych poglądów owej osoby stają się niewygodne i bywają niszczone. Jeżeli w tym przypadku tak nie jest i szanują jego słowa, to kraina zmieniła nazwę już po tym, jak opuścił Midlandy. Niekiedy darzy się kogoś czcią, bo z jego filozofii zachowało się zbyt mało, żeby można było znaleźć w tym coś niepożądanego. Wówczas taka osoba nabiera znaczenia jako symbol. Po Josephie Anderze najprawdopodobniej nic się nie zachowało.

Richard, zaskoczony jej logicznym wywodem, milczał i pocierał brodę dłonią.

- Poza tym - odezwał się w końcu - słowa zapisane w książce podróźnej można wymazać, żeby zdobyć miejsce na nowe wiadomości. Nawet jeśli dobrze się domyśliłem, że napisał do wieży, jak się pozbyć demonów, a książka wciąż istnieje i naprawdę jest w Bibliotece Kultury, to i tak możemy z niej nie mieć żadnego pożytku, bo ów tekst mógł zostać wymazany, żeby mieli miejsce na kolejne wieści. - Zamilkł na chwilę. - Ale to i tak jedyna godna uwagi możliwość - dodał.

- Wcale nie - upierała się Kahlan. - Jest jeszcze jedna, i to bardziej zasługująca na uwagę. Możemy iść do Wieży Czarodzieja i wypełnić zalecenie Zedda.

Richard czuł, jak nieubłaganie przyciąga go spuścizna po Josephie Anderze. Gdyby miał jakikolwiek dowód na to, że przyciąganie to nie jest wytworem jego wyobraźni...

- Wiem, Kahlan... - Umilkł. Poczł, jak jeżł mu się włosy na karku, jak kłujł niczym lodowate igły. Złocista peleryna uniosła się leniwie na nikłym wietrze. Wydymajłca jł powolna fala dosięgła brzegu i materiał trzasnął jak bicz. Ramiona chłopaka pokryła gęsia skłrka. Richard poczuł przelotne muśnięcie zł.

- Co się stało? - spytała wystraszona Matka Spowiedniczka.

Nie odpowiedział, zdjęty nagłym lękiem. Odwrócił się i rozejrzał po trawiastych równinach. Pustka. Przed nim toczyły się zielonawe fale poznaczone cętkami słonecznego blasku. Na horyzoncie kłębiły się ciemne chmury rozświelane błyskawicami. Nie słyszał grzmotów, lecz co chwile czui, jak ziemia drży mu pod stopami.

- Gdzie jest Du Chaillu?

Odezwała się stojłca w pobliżu Cara, która miała na oku siedzłcych beczynnie męzczyzn:

- O, tam jł widziałam kilka minut temu.

Richard spojrzeł we wskazanym kierunku - nie było tam nikogo.

- Co robiła?

- Płakała. Potem wydawało mi się, że chce usiąść wygodnie i wypocząć albo się pomodlić.

To i Richard widział.

Zaczął nawoływać Du Chaillu. Ciszę trawiastych równin zakłócała jedynie dobiegajłca z oddali dźwięczna pieśń świergotka. Chłopak przyłożył dłonie do ust i znów zawołał. Ponownie nie było odpowiedzi. Mistrzowie miecza poderwali się, rozproszyli wachlarzem i zaczęli przeszukiwać okolicę.

Richard ruszył w kierunku wskazanym przez Carę, w kierunku, który i on zapamiętał. Kahlan i Mord-Sith deptały mu po piętach, kiedy zaczął biec przez wysokł trawę, rozchlapujłc przy tym kałuże. Mistrzowie miecza również biegli, nawołujłc Du Chaillu. Odpowiedzi nie było, więc szukali z coraz większym zapamiętaniem.

Trawa droczyła się z nirni - falowała, jakby miała świadomość i drwiła z nich - chylłc się ku ziemi to tu, to tam, przyciągajłc ich wzrok i nie zdradzajłc, gdzie skryła Du Chaillu.

Richard dostrzegł kątem oka ciemny kształt kontrastujłcy ze świeżł zieleńł młodej trawy falujłcej ponad brązowawymi resztkami starej. Skręcił

w prawo i brnął przez gąbczasty obszar, a splątana trawa, jakby pływająca na morzu błota, ugięła się mu pod stopami. Wreszcie ziemia stwardniała. Chłopak zobaczył ten ciemny kształt i zmienił nieco kierunek, rozchlapując stojącą wodę.

Nagle znalazł się przy niej. Du Chaillu leżała w trawie, jakby spała. Suknię miała wygładzoną, widoczne spod niej nogi - zupełnie białe.

Leżała twarzą w kałuży głębokiej zaledwie na kilka cali.

Richard rzucił się przez wilgotną trawę i pochylił, żeby nie upaść na leżącą. Złapał ją za suknię na ramionach, szarpnął do tyłu i przetoczył na plecy. Zamoczony przód szaty przyłgął do wydatnego brzucha. Kosmyki mokrych włosów przykleiły się do bladej twarzy.

Du Chaillu patrzyła w niebo ciemnymi, martwymi oczami.

Jej oczy miały taki sam pożądlivy wyraz jak oczy Juniego, kiedy Richard znalazł go w płytkim strumieniu.

Chłopak potrząsał zimnym, bezwładnym ciałem.

- Nie! Du Chaillu! Nie! Ledwo przed minutą widziałem cię żywą! Nie umieraj! Du Chaillu!

Usta się jej rozchyliły, ramiona kołysały niezgrabnie. Nie odpowiedziała. Nie mogła odpowiedzieć. Odeszła.

Kahlan położyła pocieszająco dłoń na ramieniu Richarda, a on padł na trawę z krzykiem rozpacz.

- Dopiero co żyła - odezwała się Cara. - Przed kilkoma chwilami widziałam ją żywą.

Chłopak ukrył twarz w dłoniach.

- Wiem. Drogie duchy, wiem. Gdybym tylko uświadomił sobie, co się dzieje.

Mord-Sith odciągnęła mu dłonie od twarzy.

- Jej duch mógł jeszcze nie opuścić ciała, lordzie Rahlu. Mistrzowie miecza i łowcy Błotnych Ludzi padali na kolana.

Richard potrząsnął głową.

- Przykro mi, Caro, ona już odeszła - odparł. Nawiedziły go ostre, wyraźne wspomnienia o zmarłej.

- Lordzie Rahlu...

- Nie oddycha, Caro. - Wyciągnął rękę, żeby zamknąć oczy Du Chaillu. - Nie żyje.

Mord-Sith energicznie szarpnęła go za nadgarstek.

- Denna cię nie nauczyła? Mord-Sith powinna nauczyć swojego brańca dzielenia się oddechem życia!

Richard skrzywił się, odwrócił wzrok od niebieskich oczu Cary. Ten sposób dzielenia bólu był straszliwym rytuałem. Wróciły makabryczne wspomnienia, budząc równie przeraźliwą grozę jak śmierć Du Chaillu.

Mord-Sith dzieliła się oddechem ze swoją ofiarą, kiedy ta była już na krawędzi śmierci. Uświęconym obyczajem Mord-Sith było współodczuwanie bólu, dzielenie się oddechem życia z tym, kto zsuwał się na skraj śmierci, jakby gorąco pragnęły ujrzeć zakazany widok, dostrzec to, co leży poza granicą, w zaświatach. Współodczuwać - kiedy przyjdzie czas zabić ofiarę - samą śmierć dzięki przyjęciu ostatniego oddechu życia.

Nim Richard zabił swoją panią, gdyż tylko tak mógł uciec, Denna poprosiła go, by wziął ostatni oddech jej życia. Chłopak spełnił jej życzenie i przyjął ostatni oddech umierającej Mord-Sith.

- Nie wiem, Caro, co to ma wspólnego z...

- Zwróć jej to!

- Co? - zdumiał się Richard.

Cara prychnęła i odepchnęła go. Osunęła się na ziemię obok ciała i przycisnęła usta do warg Du Chaillu. Richard był tym przerażony. A łudził się, że udało mu się nauczyć Mord-Sith szacunku dla życia. Widok ten sprawił, że powróciło ohydne wspomnienie: znów widział, jak jej żądza kała intymność. Zdumiało go, że Cara zachowała ze swojej przeszłości tak obrzydliwe pragnienia. Rozgniewało go, że nie potrafiła wyzwolić się spod wpływu brutalnej tresury i wpojonych przez nią zasad życia - a miał nadzieję, że jej się to uda. Mord-Sith zacisnęła nos Du Chaillu i posłała swój oddech w martwe ciało. Richard wyciągnął ręce ku szerokim ramionom Cary, chciał ją oderwać od zmarłej. Widok Mord-Sith czyniącej coś takiego dopiero co zmarłej osobie doprowadzał go do wściekłości.

Znieruchomiał, jego ręce zawisły nad Cara.

Coś w jej zachowaniu, w jej pośpiechu podpowiedziało mu, że to wcale nie to, na co w pierwszej chwili wyglądało. Cara - podsuwając jedną dłoń pod kark Du Chaillu, palcami drugiej zaś wciąż zaciskając jej nos - ponownie przekazała Du Chaillu swój oddech. Piersć duchowej przewodniczki uniosła się, a potem powoli opadła, kiedy Cara zaczerpnęła powietrza dla siebie.

Mistrz miecza, z poczerwieniałą z wściekłości twarzą, wyciągnął rękę ku Mord-Sith, bo Richard najwyraźniej zmienił zdanie. Chłopak złapał go jednak za nadgarstek. Spojrzał w pytające oczy Jiaana i potrząsnął głową. Mężczyzna niechętnie się cofnął.

- Co się dzieje, Richardzie? - wyszeptała Kahlan. - Dlaczego ona robi coś tak dziwnego? To jakiś d'haranski rytuał dla zmarłych?

- Nie wiem. Ale to nie to, co podejrzewałem - szepnął.

- A cóż takiego myślałeś? - spytała jeszcze bardziej zdumiona Matka Spowiedniczka.

Richard, nie mając ochoty wypowiedzieć czegoś takiego, mógł tylko patrzeć w jej zielone oczy. Słyszał, jak Cara posyła kolejną porcję powietrza w martwe ciało Du Chaillu. Odwrócił się, nie mogąc na to patrzeć. Nie pojmował, co Mord-Sith chce przez to osiągnąć. Nie mógł tu siedzieć, skoro inni patrzyli. Usiłował przekonać siebie, że być może to jakiś d'haranski rytuał na pożegnanie ulatującego ducha, jak to zasugerowała Kahlan. Podniósł się chwiejnie. Dziewczyna chwyciła go za rękę.

Usłyszał wilgotny, dławiący kaszel.

Obrócił się i zobaczył, jak Cara przewraca Du Chaillu na bok. Tamta dławiała się kaszlem. Mord-Sith klepnęła ją w plecy, jak klepie się dziecko, żeby mu się odbiło, tyle że zrobiła to o wiele mocniej.

Du Chaillu kaszlała, spazmatycznie chwytając powietrze, dyszała. Potem zwymiotowała. Richard opadł na kolana i odgarnął jej z twarzy gęstwę ciemnych włosów.

- Co zrobiłaś, Caro? - Ośłupiał, widząc przywróconą do życia martwą kobietę. - Jak to zrobiłaś?

Zapytana uderzyła Du Chaillu w plecy i tamta wykaszlała jeszcze więcej wody.

- Czy Denna nie nauczyła cię dzielenia się oddechem życia? - spytała z irytacją.

- Owszem, ale... ale to nie było...

Du Chaillu mocno chwyciła rękę Richarda; dyszała i wypluwała wodę. Chłopak gładził jej włosy i plecy, by wiedziała, że wszyscy są przy niej. Mocniejszy uścisk jej dłoni powiedział mu, że ona o tym wie.

- Co zrobiłaś, Caro? - spytała Kahlan. - Jak wyrwałaś ją śmierci? Czy to była magia?

- Magia! - burknęła Cara. - Nie, to nie była żadna magia. Ani nic do niej zbliżonego. Po prostu jej duch *nie* opuścił jeszcze ciała, i tyle. Czasami, gdy duch nie zdąży jeszcze opuścić ciała, można to zrobić. Ale trzeba to zrobić natychmiast. Niekiedy udaje się przywrócić w ten sposób oddech życia.

Łowcy i mistrzowie miecza rozmawiali z podnieceniem, zamaszycie gestykulując. Dopiero co byli świadkami cudu, który z pewnością da początek nowej legendzie. Duchowa przewodniczka udała się do świata zmarłych - i powróciła.

Richard patrzył się na Carę z otwartymi ustami. Wreszcie spytał:

- Potrafisz? Potrafisz przywracać martwym ludziom oddech życia?

Kahlan odgarniała z twarzy Du Chaillu mokre kosmyki włosów i szeptała słowa pociechy. Musiała przytrzymać jej gęste włosy, bo duchowa przewodniczka znów zwymiotowała. Biedaczka wyglądała marnie, ale oddychała o wiele spokojniej. Dziewczyna wzięła koc, który podali jej mistrzowie miecza, i otuliła drżące ramiona uratowanej.

Cara nachyliła się ku Richardowi, żeby nikt inny tego nie usłyszał.

- Jak myślisz, w jaki sposób Denna tak długo utrzymywała cię przy życiu, kiedy cię torturowała? Denna była w tym najlepsza. Jestem Mord-Sith. Wiem, co ci uczyniono, i znałam Denne. Wiele razy musiała to robić, żebyś nie umarł, kiedy jeszcze z tobą nie skończyła. Ale wtedy odkrztuszałeś krew, nie wodę.

Richard też to pamiętał: wykaszliwał pienistą krew, jakby się w niej topił. Denna była najlepsza i dlatego była ulubienicą Rahla Posępnego. Mówiono, że dłużej niż inne Mord-Sith potrafi utrzymywać swoje ofiary na granicy życia i śmierci. A to jej w tym pomagało.

- Ale nigdy nie sądziłem...

- Że co? - Cara zmarszczyła brwi.

- Że taka rzecz jest możliwa. - Richard potrząsnął głową. - Nie po czyjejś śmierci. - Zrobiła właśnie coś szlachetnego, więc nie miał serca przyznać się jej, iż podejrzewał, że zaspokaja jakieś przerażające, nabyte w przeszłości pragnienie. - Caro, dokonałaś czegoś cudownego. Jestem z ciebie dumny.

Mord-Sith zerknęła nań gniewnie.

- Lordzie Rahlu, przestań się na mnie gapić, jakbym była wielkim duchem, który przybył do naszego świata. Jestem Mord-Sith. Każda Mord-Sith by to zrobiła. Wszystkie wiemy jak. - Złapała go za kołnierz i

przyciągnęła ku sobie. - Ty też to potrafisz. Denna cię nauczyła, wiem, że tak. Mogłeś to zrobić równie łatwo jak ja.

- Boja wiem, Caro. Ja tylko przyjmowałem oddech życia. Nigdy go nie dawałem.

- To to samo. - Puściła kołnierz Richarda. - Tylko w przeciwnym kierunku.

Du Chaillu ułożyła się na kolanach chłopaka. Delikatnie gładził jej włosy. Z całej siły zaciskała dłonie na jego skórzanym pasie, na jego koszuli, obejmowała go, a on starał się ją uspokoić.

- Mój mężu - powiedziała z trudem, kaszląc i krztusząc się - uratowałeś mnie... przed pocałunkiem śmierci.

Kahlan trzymała jedną dłoń Du Chaillu, Richard ujął drugą i położył na skórzanej nogawicy.

- To Cara cię ocaliła, Du Chaillu. Cara dała ci oddech życia. Palce duchowej przewodniczki wędrowały po skórzanej nogawicy, aż natrafiły na dłoń Mord-Sith.

- I dziecię *Caharin*... Ocaliłeś nas oboje... Dziękuję, Caro. - Z trudem zaczerpnęła powietrza. - Dzięki tobie będzie żyło dziecię Richarda. Dziękuję.

Richard uznał, że to nie czas ani miejsce, by poruszać zagadnienie ojcostwa.

- Drobiazg. Lord Rahl sam by to zrobił, ale byłem bliżej i uprzedziłam go.

Cara krótko uściśnęła dłoń Du Chaillu i wstała, żeby uradowani i wdzięczni mistrzowie miecza mogli się znaleźć bliżej swojej duchowej przewodniczki.

- Dziękuję, Caro - powtórzyła Du Chaillu.

Mord-Sith skrzywiła się, zdegustowana tym, że ludzie dziękują jej za czyn wywołany współczuciem.

- Wszyscy się cieszymy, Du Chaillu, że duch cię nie opuścił i że możesz zostać pośród nas. I dziecię lorda Rahla również.

## ROZDZIAŁ 34

Mistrzowie miecza i większość łowców zajmowali się Du Chaillu. Duchowa przewodniczka Baka Tau Mana powróciła ze świata duchów - lub z jego pobliza - i Richard widział, że w tej podróży straciła całe ciepło. Koce nie wystarczały, więc chłopak powiedział wojownikom, że mogą rozpałcić ogień, by ją rozgrzać. Dodał jednak, że muszą przy tym trzymać się razem, by zapobiec kolejnym niemiłym niespodziankom.

Dwaj Błotni Ludzie wyrwali trawę i wykopali płytkie zagłębienie, natomiast pozostali łowcy przygotowali ciasno powiązane wiązki trawy. Cztery z nich pokryli żywiczną mazią, którą zawsze ze sobą zabierali, i ustawili je w piramidę. Kiedy już płonęły, ułożyli wokół niewielkiego ogniska resztę wiązek trawy, żeby je wysuszyć. Wkrótce mieli suchą trawę na rozpałkę i porządne ognisko.

Du Chaillu wyglądała jak odrobinę rozgrzany umarłak. Wciąż bardzo źle się czuła, ale przynajmniej żyła. Oddech miała spokojniejszy i bardziej miarowy, choć w dalszym ciągu przerywany kaszlem. Mistrzowie miecza pilnowali, żeby piła gorącą herbatę, a łowcy na ten krótki czas przemienieni w niańki ugotowali jej kleiku tava. Zanosilo się na to, że kobieta odzyska siły i zostanie w świecie istot żywych.

Richard uważał, że to cud, iż ktoś ożył po śmierci. Wątpił, czy uwierzyłby w to, gdyby ktoś mu o tym opowiedział, teraz zaś widział to na własne oczy. To zmieniło jego przekonania, tok myślenia.

Teraz wiedział już, co muszą zrobić.

Cara skrzyżowała ramiona i przyglądała się zajmującym się Du Chaillu wojownikom. Kahlan też patrzyła, równie zafascynowana jak wszyscy. Jedynie Mord-Sith nie widziała nic dziwnego w tym, że martwa osoba znów oddycha. Lecz to, co dla Mord-Sith było rzeczą zwyczajną, ogromnie różniło się od tego, co inni uważali za zwyczajne.

Richard delikatnie ujął ramię Kahlan i przyciągnął ją ku sobie.

- Powiedziałaś wcześniej, że przez całe wieki nikt nie przedostał się za linię Dominie Dirtch. Czy to się kiedyś komuś udało?

Dziewczyna spojrzała na niego.

- To niejasne i dyskusyjne, przynajmniej poza Anderithem. Gdy tylko Du



Chailki wspomniała o Andericie, Richard od razu wyczuł, że nie jest to ulubiona kraina Matki Spowiedniczki.

- Jak to?

- To historia, która wymaga pewnych wyjaśnień. Chłopak wyjął z plecaka trzy placki chleba tava i podał po jednym Carze i Kahlan. Potem spojrział wyczekująco na dziewczynę.

- No to słucham.

Kahlan odłamała kawałeczek swojego chleba tava. Zastanawiała się, od czego zacząć.

- Krainę znaną teraz jako Anderith napadł kiedyś lud nazywający siebie Hakenami. Mieszkańcy Anderithu uczą swe dzieci, że Hakeni użyli Dominie Dirtch przeciw tym, którzy tam wówczas mieszkali, przeciw ludowi zwanemu się obecnie Anderyjczykami. Kiedy byłam mała i przebywałam w wieży, czarodzieje uczyli mnie czegoś zupełnie innego. W każdym razie działo się to wiele wieków temu, ci zaś, którzy kontrolują nauczanie historii, potrafią ją zmieniać, zaciemniać. Mogę się założyć, że Imperialny Ład będzie całkiem inaczej przedstawiał sprawę Renwoldu niż my.

- Chciałbym poznać dzieje Anderithu - powiedział Richard, gdy Kahlan jadła odłamany kawałeczek tava. - Tę historię, której uczyli cię czarodzieje.

Dziewczyna przełknęła chleb i zaczęła:

- Przed wiekami, może i dwa, trzy tysiące lat temu, Hakeni nadeszli z Diczcy i wtargnęli do Anderithu. Uważa się, że byli żyjącym na uboczu ludem, którego terytorium najprawdopodobniej z jakichś przyczyn przestało się nadawać do życia. Takie rzeczy zdarzały się również w innych okolicach: na przykład trzęsienie ziemi lub powódź zmienia bieg rzeki, żyzne dotąd obszary stają się zbyt jałowe, *by można* było uprawiać ziemię i hodować zwierzęta, innym razem z kolei nadchodzi nieurodzaj i ludzie migrują. Zgodnie z tym, czego mnie uczono, Hakeni zdołali jakoś przedostać się przez linię Dominie Dirtch. Nikt nie wie jak. Wielu przy tym zginęło, lecz w końcu przeszli i podbili krainę znaną teraz jako Anderith. Ówcześni Anderyjczycy byli w większości ludem koczowniczym składającym się z plemion, które zawzięcie ze sobą walczyły. Nie potrafili ani pisać, ani czytać. Nie znali obróbki metali, budownictwa i prawie w ogóle nie mieli jakiegokolwiek ogólnej organizacji społecznej. Nie znaczy to, że byli mało inteligentni, po prostu Hakeni stali na wyższym szczeblu rozwoju. Hakeni mieli również

lepszy oręż i wojsko. Dysponowali na przykład jazdą i lepiej koordynowali działania wojenne na większą skalę. Mieli wyraźną hierarchię wojskową, Anderyjczycy zaś bez końca się kłócili, kto będzie dowodził ich siłami. To jedna z przyczyn, dla których Hakeni, kiedy już przekroczyli linię Dominie Dirtch, łatwo podporządkowali sobie Anderyjczyków. Richard podał Kahlan bukłak.

- Rozumiem, Hakeni byli ludem wojowników i zdobywców. Żyli z łupów? Kahlan otarła ściekającą po brodzie wodę.

- Nie, nie walczyli wyłącznie dla łupów i niewolników. Nie toczyli wojny po to tylko, żeby grabić. Przynieśli całą swoją wiedzę, od umiejętności robienia skórzanych butów po obróbkę żelaza. Potrafili czytać i pisać. Znali wyższą matematykę i potrafili to wykorzystać na przykład w architekturze. Do ich podstawowych umiejętności należała gospodarka rolna na dużą skalę. Mieli pługi ciągnięte przez woły lub konie, natomiast Anderyjczycy uprawiali motykami ogródki, żeby uzupełnić zbiory dziko rosnących roślin i mięsivo z upolowanej zwierzyny Hakeni stworzyli system nawadniania i wprowadzili uprawę ryżu. Potrafili wyhodować i wyselekcjonować lepsze rodzaje zbóż, na przykład pszenicę, żeby pełniej wykorzystać rodzaj ziemi i klimat. Byli mistrzami hodowli koni. Wiedzieli, jak udoskonalić rasy inwentarza i zgromadzić liczne stada. - Kahlan oddała bukłak i odgryzła kęs chleba tava. Machnęła dłonią z resztą placka. - Co do podboju, Hakeni władali tak, jak to często czynią zwycięzcy Ich obyczaje zastąpiły obyczaje Anderyjczyków. W krainie zapanował pokój, aczkolwiek był to pokój narzucony przez hakeńskich suzerenów. Byli surowi, lecz nie brutalni. Nie zabijali Anderyjczyków, jak to mieli w zwyczaju inni napastnicy, ale włączali ich do swojej społeczności, choć początkowo tylko jako tanią siłę roboczą.

- Więc Anderyjczycy na tym skorzystali? - zapytał z pełnymi ustami Richard.

- Tak. Pod władzą hakeńskich suzerenów było w bród żywności. Dobrze się wiodło tak Hakenom, jak i Anderyjczykom. Anderyjczycy byli nielicznym ludem, nieustannie groziło im wyginięcie. Teraz, kiedy było mnóstwo żywności, ich liczebność ogromnie się zwiększyła.

Du Chaillu zaczęła kaszleć i odwrócili się ku niej. Richard grzebał w swoim plecaku, dopóki nie znalazł płóciennego zawiniątka od Nissel. Rozwinął je - w środku były liście, które kiedyś zielarka dała mu na ukojenie

bólu. Kahlan wskazała mu sproszkowane zioła pomagające przy podrażnieniu żołądka. Chłopak odsypał trochę na kawałek płótna, zawinął to i podał pakuneczek Carze.

- Powiedz im, by zanurzyli to w herbacie i zostawili, aż trochę naciągnie. To jej dobrze zrobi na żołądek. Powiedz Chandalenowi, że to zioła od Nissel, on to wytłumaczy ludziom Du Chaillu, żeby się nie martwili.

Mord-Sith skinęła głową. Chłopak włożył jej w dłoń liście.

- Powiedz jej, że jak się napije herbaty, to powinna żuć jeden z tych liści. To stłumi ból. Jeśli potem znów dokuczy jej żołądek albo jakieś inne bóle, to może żuć kolejny.

Cara pospieszyła wypełnić polecenie.

Sama pewnie by się do tego nie przyznała, ale Richard wiedział, że wspomnienie kogoś w potrzebie sprawi jej przyjemność. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, o ile większą satysfakcję musiało sprawiać przywrócenie kogoś do życia.

- No i co się potem działo z Hakenami i Anderyjczykami? Wszystko poszło dobrze? Anderyjczycy nauczyli się wszystkiego od Hakenów? - Ugryzł kęs chleba tava. - Nastąpiło braterstwo i pokój?

- Przeważnie. Tam, gdzie Anderyjczycy się kłócili, co często prowadziło do krwawych konfliktów, Hakeni zaprowadzili prawo i porządek. W gruncie rzeczy najeźdźcy zabili o wiele mniej Anderyjczyków, niż zginęło ich w bratobójczych walkach. Tak przynajmniej mówili czarodzieje, którzy mnie uczyli. Hakeni mieli swój system prawny, i choć nie twierdzą, że był w pełni sprawiedliwy i rzetelny, i tak było to o wiele więcej niż anderyjskie normy gawiedzi czy prawo silniejszego. Kiedy już podbili Anderyjczyków i przekazali im swoje obyczaje, nauczyli ich czytać. Anderyjczycy byli ludem *zacofanym*. Może nie mieli wykształcenia, lecz byli bardzo inteligentni. Sami niczego nie wymyślili, za to szybko uczyli się nowych rzeczy i uznawali je za swoje.

Richard machnął zwiniętym plackiem tava.

- Więc dlaczego ta kraina nie nazywa się Hakenland albo jakoś podobnie? Powiedziałaś, że większość mieszkańców Anderithu to Hakeni.

- Za chwilę. Właśnie do tego zmierzam. - Kahlan odłamała następny kawałeczek placka tava. - Czarodzieje tłumaczyli mi, że Hakeni mieli system prawny, który stawał się coraz doskonalszy od czasu, jak osiedlili się w

Andericie i zaczęli prosperować.

- Sprawiedliwość przejęta od najeźdźców?

- Cywilizacja nie pojawia się nagle, w pełni rozwinięta, Richardzie. To powolny postęp. Częścią tego procesu jest mieszanie się ludów. Do owego mieszania często dochodzi na drodze podbojów, lecz podbój może też przynieść nowe i lepsze obyczaje. Nie powinienes impulsywnie osądzać sytuacji, opierając się na tak prostych kryteriach jak najazd i podbój.

- Ale kiedy zjawia się jeden lud i zmusza drugi...

- Spójrz na D'Hare. Zdobyłeś tę krainę i zaczyna się stawać miejscem, w którym panuje sprawiedliwość, w którym tortury i morderstwa nie są już metodami rządzenia.

Chłopak nie miał ochoty sprzeczać się na ten temat.

- Założmy. Ale i tak szkoda, że jedna kultura zostaje zniszczona przez drugą. To niesprawiedliwe.

Kahlan spojrzała na niego podobnie, jak czasami patrzył Zedd: rzuciła mu spojrzenie mówiące, że ma nadzieję, iż dojrzy prawdę i nie będzie powtarzał powszechnych, a mimo to błędnych zapatrywań. Toteż Richard uważnie słuchał, kiedy podjęła:

- Żadna kultura nie ma monopolu na istnienie. Sam fakt istnienia nie stanowi o wartości określonej kultury. A bez niektórych z nich świat jest o wiele lepszy. - Znacząco uniosła brew. - Poddaję ci pod rozagę Imperialny Ład.

Richard przeciągle westchnął.

- Rozumiem, co masz na myśli.

Łyknął wody, a dziewczyna zjadła trochę chleba tava. Chłopak wciąż uważał, że to nie całkiem w porządku, iż znika jakaś kultura ze swoją historią i tradycjami. Przynajmniej jednak rozumiał do pewnego stopnia, o co chodziło Kahlan.

- Czyli anderyjskie obyczaje zamknęły. Mówiłaś coś o systemie prawnym Hakenów?

- Bez względu na to, co sądzimy o metodach, dzięki którym Hakeni się tu znaleźli, byli ludem ceniącym sprawiedliwość. Dlatego też kolejne ich pokolenia dawały podbitym Anderyjczykom coraz większą wolność i w końcu zdobywcy traktowali pokonanych jak równych sobie. Te kolejne pokolenia coraz bardziej ceniły wartości podobne do naszych i zaczęły się

wstydzić tego, co ich przodkowie zrobili Anderyjczykom. - Kahlan zapatrzyła się na równiny. - Rzecz jasna, łatwiej odczuwać wstyd, jeśli winowajcy od stuleci już nie żyją, zwłaszcza gdy takie zaoczne potępienie nadaje wyższy moralny standard bez konieczności poddawania się próbie w panujących aktualnie warunkach. W każdym razie to właśnie ich pojmowanie sprawiedliwości zapoczątkowało upadek Hakenów. Anderyjczycy zawsze nienawidzili swoich najeźdźców i nie przestali pałać chęcią odwetu.

Jeden z łowców, którzy gotowali kleik, przyniósł w dłoniach po ciepłym placku chleba tava z nałożoną na niego porcją gęstego, dymiącego kleiku. Kahlan i Richard z wdzięcznością przyjęli gorącą strawę, a dziewczyna podziękowała łowcy w jego języku.

- Jak to się stało, że hakeński system prawny - odezwał się Richard, kiedy podjedli kleiku wymieszanego z suszonymi słodkimi jagodami - doprowadził do tego, iż z powodu poczucia sprawiedliwości Anderyjczyków ich byli najeźdźcy są teraz właściwie niewolnikami? To się wydaje zupełnie niemożliwe.

Spostrzegł, że Du Chaillu, owinięta w koce i usadowiona przy ognisku, nie ma ochoty na kleik. Cara zaparzyła wraz z herbatą sproszkowane zioła. Przykucnęła przy duchowej przewodniczce i pilnowała, by ta choć trochę upiła z niewielkiego drewnianego kubka.

- System sprawiedliwości nie był przyczyną upadku Hakenów, Richardzie, a zaledwie małym elementem tego procesu, jednym z kroków na tej drodze. Opowiadam ci tylko o głównych punktach. Rezultatach. Takie zmiany w kulturze i społeczeństwie zachodzą bardzo długo. Ponieważ istniały sprawiedliwe prawa, Anderyjczycy mogli poczynić postępy, dzięki którym w końcu przejęli władzę. Anderyjczycy, tak samo jak inni, pałają żądzą władzy.

- Przecież to Hakeni mieli władzę. Jak doszło do tego, że spadli na sam dół drabiny społecznej? - Richard potrząsnął głową. Trudno mu było uwierzyć, że wszystko przebiegało tak, jak to przedstawiali czarodzieje.

- Jest jeszcze coś. - Kahlan oblizwała palec z kleiku. - Kiedy Anderyjczycy wzięli w swoje ręce stosowanie praw, wykorzystali je jako narzędzie zemsty. Gdy tylko zostali włączeni do społeczności, wykorzystali uzyskaną wolność do zdobywania coraz wyższego statusu. Najpierw był to udział w interesach. Tworzyli zespoły fachowców, które przekształciły się w gildie, później byli

członkami małych lokalnych rad i tak dalej. Krok po kroku. Musisz wiedzieć, że i Anderyjczycy ciężko pracowali. Prawa były sprawiedliwe dla wszystkich, więc dzięki wyteżonej pracy mogli zyskiwać to samo co Hakeni. Zdobywali pomyślność i poważanie. A co najważniejsze, zostali bankierami. Okazało się, że mieli talent do interesów. Z czasem należeli już nie tylko do warstwy pracującej, ale i do warstwy kupców. Kupiectwo pozwalało zaś rodzinom gromadzić fortuny. Niektórzy zostawali bankierami i zdobywali władzę finansową. Kilka dużych i szeroko rozgałęzionych andeijjskich rodzin kontrolowało większość finansów i stanowiło niewidzialną siłę ukrytą za władztwem Hakenów. Hakenów ogarniało samozadowolenie, Anderyjczykom zaś wciąż przyświecał konkretny cel. Zostawali także nauczycielami. Hakeni niemal od początku uważali nauczanie za coś, do czego można dopuścić podbitych, zostawiając sobie donioślejsze zadania w rządzeniu. Anderyjczycy przejęli wszystkie sprawy związane z nauczaniem i stopniowo zdobywali kontrolę nad szkoleniem nauczycieli, a tym samym nad programem nauki. Richard przełknął kleik.

- Jak rozumiem, był to ze strony Hakenów duży błąd? Kahlan podkreśliła wagę swoich słów gestem dłoni, w której trzymała nie dojezdzonego chleba tava z kleikiem.

- Dzieci, oprócz czytania i liczenia, uczono także historii i sztuki, żeby dorastając, pojęły swoje miejsce w społeczeństwie i kulturze krainy. Hakeni chcieli, by wszystkie dzieci nauczyły się lepszego sposobu życia niż wojna i podbój. Sądziły, że nauczanie przez Anderyjczyków o brutalnym hakeńskim podboju szlachetnego anderyjjskiego ludu sprawi, iż ich dzieci wyrosną na cywilizowanych ludzi, którzy będą potrafili szanować innych. Stało się jednak inaczej: wpojone młodym umysłom poczucie winy przyczyniło się do rozpadu społeczeństwa Hakenów i powolnej utraty szacunku dla ich władzy. A potem nastąpiła katastrofa: dziesięcioletnia susza. To właśnie wtedy Anderyjczycy pozbawili Hakenów władzy. Cała gospodarka opierała się na produkcji zboża, przede wszystkim pszenicy. Farmy upadały i farmerzy nie mogli dostarczyć ziarna, za które hurtownicy już im zapłacili. Każdy starał się jakoś przeżyć w tych ciężkich czasach, więc zażądano spłaty długów. Ci, którzy nie mieli dużych rezerw finansowych, utracili swoje gospodarstwa. Rządowa kontrola systemu ekonomicznego mogła uspokoić panikę, ale będący u władzy Hakeni obawiali się narazić bankierom, którzy ich

popierali. Później pojawiły się jeszcze gorsze problemy. Ludzie zaczęli umierać. Wybuchły zamieszki spowodowane głodem. Doszczętnie spalono Fairfield. Hakeni i Anderyjczycy wywoływali gwałtowne rozruchy. W kraju zapanował chaos. Wielu mieszkańców przeniosło się do innych krain w poszukiwaniu lepszego życia, bo nie chcieli umierać z głodu. Anderyjczycy przeznaczali swoje pieniądze na kupno żywności poza granicami krainy. Na sprowadzanie żywności z daleka mogli sobie pozwolić tylko bogaci Anderyjczycy i dostawy te były dla większości ludzi jedyną nadzieją na przeżycie. W Anderyjczykach zaczęto więc widzieć wybawicieli i dobroczyńców. Ci korzystali z tego, że niektórzy desperacko potrzebowali gotówki, i odkupywali od nich farmy oraz warsztaty. Ich pieniądze, choć niewielkie, i ich dostawy żywności ratowały większość rodzin przed śmiercią z głodu. To właśnie wtedy Anderyjczycy zaczęli wymuszać to, o co im naprawdę chodziło, i mścić się. Gawiedź na ulicach zrzucała winę za klęskę głodu na hakeński rząd. Anderyjczycy, wykorzystując swoje powiązania kupieckie, podburzali lud i doprowadzali do rozszerzania się buntu. W krainie zapanowała anarchia, hakeńskich władców publicznie zabijano, a ich ciała rzucano przed wiwatujące tłumy. Wykształceni Hakeni ściągali na siebie krwawy gniew przerażonego ludu, który uważał, że przyczynili się do klęski głodu. Nawet większość Hakenów, przede wszystkim farmerów i robotników, miała ich za wrogów społeczeństwa. Wykształconym Hakenom urządzono krwawą jatkę. W okresie zamieszek i bezprawia systematycznie wymordowano całą warstwę rządzącą byłych najeźdźców. Ci wszyscy, którzy cokolwiek znaczyli i potrafili, stawali się podejrzani i skazywano ich na śmierć. Anderyjczycy, posiłkując się swoimi pieniędzmi lub podburzając gawiedź, prędko doprowadzili do ruiny te hakeńskie przedsiębiorstwa, które się jeszcze ostały. Następnie, korzystając z powstałej próżni, Anderyjczycy przejęli władzę i zaprowadzili porządek, dostarczając żywności głodującemu ludowi, zarówno swoim pobratymcom, jak i Hakenom. Kiedy wszystko się uspokoiło, rdzenni mieszkańcy Anderithu kontrolowali już całą krainę. Zasoby finansowe pozwoliły im na utrzymanie armii najemników, więc wkrótce trzymali wszystko twardą ręką.

Richard przestał jeść. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Patrzył w osłupieniu na Kahlan, która gestem podkreślała swoją opowieść o upadku rozumu.

- Anderyjczycy zmienili wszystko: białe stało się czarne, a czarne białe. Stwierdzili, że żaden Haken nie potrafi sprawiedliwie osądzić Anderyjczyka ze względu na ich tradycyjną, starodawną niesprawiedliwość wobec rdzennej ludności tych ziem. Dowodzili natomiast, że oni, Anderyjczycy, byli tak długo ciemnieni przez niegodziwych hakeńskich suzerenów, iż doskonale pojmują istotę niesprawiedliwości i z tego powodu wyłącznie oni mogą decydować o systemie prawnym. Przygnębiające opowieści o okrucieństwie Hakenów były powszechnie akceptowane. Przerażeni Hakeni, chcąc udowodnić nieprawdziwość tych straszliwych oskarżeń i uniknąć ingerencji dobrze uzbrojonych oddziałów, chętnie zginali kark przed władzą Anderyjczyków i ich bezlitosnych najemników. Anderyjczycy, tak długo pozbawieni władzy, z całą bezwzględnością narzucali swoją przewagę. Hakenom zakazano obejmowania jakichkolwiek stanowisk. W końcu pozbawiono ich nawet prawa noszenia nazwiska, chyba że udowodnią, iż są godni jego posiadania i otrzymają na to specjalne pozwolenie. Uczyniono tak prawdopodobnie dlatego, że hakeńscy suzereni żądali od Anderyjczyków, by zwracali się do swoich panów, dodając nazwisko do tytułu.

- Czy oni się nie wymieszali? Czy po upływie takiego czasu Hakeni i Anderyjczycy nie zawierali małżeństw? Nie stopili się w jeden lud? - zapytał Richard.

Kahlan potrząsnęła głową.

- Anderyjczycy, wysocy i ciemnowłosi, od samego początku uważali śluby z rudowłosymi Hakenami za grzech przeciwko Stwórcy. Wierzą, że Stwórca w swojej mądrości uczynił ludy odmiennymi i odrębnymi. Według nich, ludzie nie powinni się krzyżować, jak to czynili Hakeni z inwentarzem, by uzyskać jakąś nową cechę. Nie twierdzę, że to się czasami nie zdarzało, ale do dziś jest niezmiernie rzadkie.

Richard zwinął resztę placka tava z kleikiem.

- Więc jak jest tam teraz? - spytał i wsunął ten ostatni kawałek tava do ust.

- Skoro jedynie sponiewierani, czyli Anderyjczycy, mogą być prawi, ponieważ byli ciemnieni, to jedynie oni mają mandat, by rządzić. Nauczają, że hakeński ucisk trwa do dziś. Nawet spojrzenie Hakena może zostać uznane za wyraz nienawiści. Za to Hakeni nie mogą być w poniewierce,



gdyż są z natury źli i zepsuci. Hakenom zabroniono nauki czytania. Zrobiono to ze strachu, że mogliby ponownie przejąć władzę, pastwić się nad Anderyjczykami i ich zabijać. A używając słów Anderyjczyków, taka kolej rzeczy byłaby równie pewna jak to, że noc zawsze gasi dzień. Hakeni muszą uczestniczyć w tak zwanych zgromadzeniach pokutnych, które utrzymują ich w karności. Władza Anderyjczyków nad Hakenami została skodyfikowana. Pamiętaj, Richardzie, że opowiedziałam ci to, czego nauczyli mnie czarodzieje. Anderyjczycy przedstawiają swoją historię całkiem inaczej. Uczą, że byli ciemnym ludem, który dzięki swojej szlachetnej naturze zdołał po wiekach obcej dominacji ponownie zrobić użytek z własnej duchowej i kulturowej wyższości. I ich wersja mogłaby nawet być prawdziwa.

Richard stał, wspierając się pod boki, i patrzył z niedowierzaniem.

- Naczelna Rada w Aydindril dopuściła do tego? Pozwoliła, żeby Anderyjczycy aż do tego stopnia ujarzmili Hakenów?

- Hakeni potulnie się temu podporządkowują. Wierzą w to, co wpoili im anderyjscy nauczyciele. Wierzą, że tak jest lepiej.

- Jak Naczelna Rada mogła pozwolić na takie wypaczenie sprawiedliwości?

- Zapominasz, Richardzie, że Midlandy były konfederacją suwerennych krain. Spowiedniczki pomagały pilnować, by prawo w Midlandach było choć do pewnego stopnia sprawiedliwe. Nie tolerowaliśmy mordowania oponentów politycznych i innych spraw w tym rodzaju, lecz jeśli ludy, tak jak Hakeni, z własnej woli dostosowywały się do metod sprawowania władzy w ich krainie, to rada miała niewiele do powiedzenia. Przeciwwstawiano się brutalnemu prawu, nie zaś dziwacznemu. Richard wyrzucił w górę ręce.

- Przecież Hakeni godzą się na to tylko dlatego, że uczy się ich owych bzdur. Nie mają pojęcia, jakie to absurdalne. Przecież to równoznaczne z maltretowaniem nieświadomych ludzi.

- Może dla ciebie, Richardzie. Oni patrzą na to inaczej. Widzą w tym gwarancję pokoju w swojej krainie. Mają do tego prawo.

- To, że z rozmysłem uczono ich tak, by pozostali nieświadomi, jest wystarczającym dowodem, iż Anderyjczycy nadużywają swojej władzy.

Kahlan skłoniła ku niemu głowę.

- Czy to nie ty sam dopiero co powiedziałeś mi, że Hakeni nie mieli

prawa niszczyć kultury Anderyjczyków? A teraz twierdzisz, że rada powinna zrobić coś podobnego?

Na twarzy chłopaka odmalowały się irytacja i poczucie zawodu.

- Mówiłaś o Naczelnej Radzie Midlandów? Kahlan napiła się wody i oddała mu bukłak.

- To wszystko wydarzyło się przed wiekami. Żadna z krain nie była na tyle silna, by narzucić prawo reszcie Midlandów. Wspólnie, za pośrednictwem Naczelnej Rady, staraliśmy się działać ręką w rękę. Spowiedniczki interweniowały, kiedy władcy przekraczali pewne granice. Gdybyśmy usiłowali narzucić suwerennym krainom zasady władania nimi, sojusz rozpadłby się i wojna zastąpiłaby rozsądek i współpracę. Wcale nie twierdzę, Richardzie, że to było idealne rozwiązanie, ale pozwalało większości ludów żyć w pokoju.

- Chyba tak - westchnął. - Nie znam się na rządzeniu. To dobrze służyło ludziom z Midlandów przez tysiące lat.

Kahlan skubnęła swojego chleba tava.

- To, co wydarzyło się w Andericie, było jednym z powodów, dzięki którym zrozumiałam i uwierzyłam w to, co starasz się zrobić, Richardzie. Zanim zjawileś się, mając za sobą D'Hare, żadna kraina nie była na tyle silna, żeby ustanowić sprawiedliwe prawa dla wszystkich ludów. Sojusz Midlandów nie miałby żadnych szans w walce z takim nieprzyjacielem jak Jagang.

Richard nie potrafił do końca pojąć, czym musiała być dla niej, Matki Spowiedniczki, świadomość, że rozpadło się to, na rzecz czego pracowała całe swoje życie. Ojciec Richarda, Rahl Posępny, zapoczątkował ciąg zdarzeń, które odmieniły świat. Kahlan przynajmniej dostrzegła w tym chaosie dogodną sposobność.

Chłopak tarł czoło i zastanawiał się, co teraz zrobić.

- No dobrze, teraz trochę znam dzieje Anderithu. Gdybym poznał historię D'Hary, z pewnością okazałaby się o wiele paskudniejsza. Mimo to D'Haraiiczycy stanęli po mojej stronie w walce o sprawiedliwość, choć zdaję sobie sprawę, jakie to osobliwe. Duchy wiedzą, że pewni ludzie obarczyli mój kark Rahla zbrodniami z przeszłości D'Hary. Z tego, co mi opowiedziałaś o historii Anderithu, wnioskuję, że ten lud nigdy nie poddałby się władzy Imperialnego Ładu. Uważasz, że zdołamy skłonić Anderith, żeby się do nas

przyłączył?

Kahlan głęboko zaczerpnęła powietrza i zadumała się nad odpowiedzią. Richard miał nadzieję, że bez zbyt długiego namysłu odpowie „tak”.

- Władą nimi Suweren, który jest jednocześnie przywódcą religijnym. Bierze się to z wierzeń Anderyjczyków. O tym, kto dożywotnio zostanie mianowany Suwerenem decydują dyrektorzy Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni, Dyrektorzy mają gwarantować obyczajność wybranego Suwerena, podobnie jak Pierwszy Czarodziej wybiera odpowiednią osobę na Poszukiwacza. Mieszkańcy Anderithu wierzą, że namaszczone przez dyrektorów i mianowany Suwerenem człowiek wznosi się ponad przyziemne sprawy i nawiązuje kontakt z samym Stwórcą. Niektórzy żarliwie wierzą, że głosi na tym świecie wolę Stwórcy, więc okazują mu szacunek należny Stwórcy.

- Czyli to Suwerena należy przekonać, żeby się do nas przyłączył?

- Także. Jednak Suweren tak naprawdę nie rządzi w potocznym rozumieniu tego słowa. Jest figurantem kochanym przez lud za to, co reprezentuje. Anderyjczycy stanowią dzisiaj najwyżej piętnaście do dwudziestu procent populacji, ale Hakeni tak samo jak oni wielbią Suwerena. Ma on prawo decydować o trybie działania rządu, lecz najczęściej tylko aprobuje jego postanowienia. Anderithem rządzi przede wszystkim Minister Spraw Duchowych. To właśnie minister ustala cele i sposoby. Urząd ten sprawuje teraz Bertrand Chanboor. To w mieszczącym się tuż pod Fairfield urzędzie Ministra Spraw Duchowych, prawdziwym ośrodku władzy, zapadnie ostateczna decyzja. Posłowie, którzy wysłuchali mnie w Aydindril, przekażą nasze słowa ministrowi Chanboorowi. Historia historią, lecz dzisiejszy Anderith jest potęgą, z którą należy się liczyć. Dawni Anderyjczycy byli może prymitywnym ludem, ale już nim nie są. To bogaci kupcy kontrolujący rozwinięty handel i liczne dobra. Rządzą z równym talentem: mocno trzymają w garści i władzę, i krainę.

Richard rozglądał się po pustych trawiastych równinach. Od kiedy zjawił się demon, żeby zabić Du Chaillu, a chłopak poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku, czekał czujnie, czy to uczucie się powtórzy. Miał nadzieję, że jeśli tak, to wcześniej rozpozna i zdoła wszystkich ostrzec. Obejrzał się - Cara karmiła Du Chaillu kłębkiem. Duchowa przewodniczka powinna wrócić do swojego ludu, a nie uganiać się po świecie z nie narodzonym dzieckiem.

- Anderyjczycy nie są tłustymi, rozlazłymi, leniwymi kupcami - dodała Kahlan. - Tylko oni, pomijając armię, w której istnieje namiastka równości, mogą nosić broń i potrafią się nią biegle posługiwać. Nie są głupcami, bez względu na to, co o nich myślisz, i wcale nie dadzą się łatwo pokonać.

Richard znów rozglądał się po równinach. Układał w myślach plany.

- W Ebinissii i w Renwoldzie Jagang pokazał, co czeka ludzi, którzy nie chcieli się do niego przyłączyć. Jeśli Anderith nie przystanie do nas, to ponownie zazna obcej inwazji. Tym razem jednak najeźdźcy będą pozbawieni poczucia sprawiedliwości - powiedział.

## ROZDZIAŁ 35

Richard patrzył w stronę Aydindril i zastanawiał się nad tym wszystkim, co usłyszał od Kahlan oraz nad tym, co powiedziały mu w swój brutalny sposób demony. Historia Anderithu tylko utwierdziła go w już podjętej decyzji.

- Wiedziałem, że podążamy w złym kierunku - powiedział w końcu.

Kahlan zachmurzyła się i spojrzała ponad pustymi równinami ku północnemu wschodowi, w tę samą stronę co on.

- Co masz na myśli?

- Zedd zawsze mi powtarzał, że jeśli drogą jest łatwa, to najprawdopodobniej idzie się w złym kierunku.

- Już to omówiliśmy, Richardzie - powiedziała ze znużeniem dziewczyna, odgarniając włosy z twarzy. - Musimy pójść do Aydindril. Teraz bardziej niż kiedykolwiek powinienes to rozumieć.

- Matka Spowiedniczka ma rację - wtrąciła się Cara, która wracała od wypoczywającej Du Chaillu. Chłopak zauważył, że Mord-Sithtak zacisnęła w dłoni Agiel, że aż zbiełały jej kostki palców. - Trzeba przepędzić te demony. Powinniśmy pomóc Zeddowi przywrócić siły magii.

- Ooo, naprawdę? Nawet nie wiesz, Caro, jak się cieszę, że jesteś teraz taką gorącą zwolenniczką magii. - Richard rozejrzał się, wypatrując ich bagaży. - Muszę iść do Anderithu.

- Możemy zostawić w Aydindril czar, który przepędziłby demony, Richardzie.

- Jestem Poszukiwaczem, pamiętasz? - Był wdzięczny Kahlan za rady i wysoko je sobie cenił, lecz kiedy już jej wysłuchał, przeanalizował jej słowa i podjął decyzję, jego cierpliwość dobiegała kresu. Nadszedł czas działania. - Pozwól mi wykonać moje zadanie.

- Richardzie, to jest...

- Kiedyś złożyłaś przed Zeddem przysięgę: przyrzekłaś oddać życie w obronie Poszukiwacza. Uważałaś, że to aż tak ważna sprawa. Nie proszę o twoje życie, a jedynie o to, byś zrozumiała, że robię to, co muszę.

Kahlan głęboko odetchnęła. Starła się być wyrozumiała i spokojna, kiedy ledwie jej słuchał.

- Zedd nalegał, żebyśmy to dla niego zrobili i tym samym umożliwili mu przeciwdziałanie zanikowi magii. - Pociągnęła męża za rękaw, by przyciągnąć jego uwagę. - Nie możemy wszyscy pognać do Anderithu.

- Masz rację.

- To doskonale. - Zachmurzyła się podejrzliwie.

- Nie wszyscy pójdziemy do Anderithu. - Richard znalazł koc i podniósł go. - Jak sama powiedziałaś, Aydindril też jest ważny.

Kahlan złapała go za koszulę i obróciła ku sobie.

- O, co to, to nie. - Pogroziła mu palcem. - O, co to, to nie, Richardzie. Jesteśmy małżeństwem. Zbyt wiele wycierpieliśmy. Teraz się już nie rozdzielimy. Nie teraz. I na pewno nie dlatego, że jestem na ciebie zła, bo zapomniałeś powiedzieć Zeddowi o swojej pierwszej żonie. Nie dopuszczę do tego, Richardzie, słyszysz?

- Kahlan, to nie ma nic wspólnego z... Zielone oczy płonęły, potrząsnęła chłopakiem.

- Nie zgodzę się na to! Nie po tym, co przeszliśmy, żeby być razem!

Richard obejrzał się na stojącą w pobliżu Carę.

- Do Aydindril może iść tylko jedno z nas. - Zdjął jej rękę ze swojej koszuli i uspokajająco uścisnął, nim zdążyła coś powiedzieć. - Ty i ja pójdziemy do Anderithu.

Kahlan zmarszczyła czoło.

- Ale jeśli oboje... - Nagle obejrzała się na Carę. Mord-Sith zaniepokoiła się.

- Dlaczego mi się tak przyglądacie?

Richard otoczył ramieniem barki Cary. Wcale jej się to nie spodobało, więc cofnął ramię.

- Musisz pójść do Aydindril, Caro.

- Wszyscy tam idziemy.

- Nie. Kahlan i ja musimy ruszyć do Anderithu. Mają Dominie Dirtch. I armię. Trzeba ich przekonać, żeby się do nas przyłączyli, a potem przygotować na nadejście Imperialnego Ładu. Muszę się przekonać, czy aby nie ma tam czegoś, co pomogłoby przegnać demony. Teraz mamy o wiele bliżej do Anderithu, niż miałbym z Aydindril. Nie mogę zrezygnować z tej podróży. Może dzięki niej zdołamy sobie poradzić z demonami, Anderith się nam podda i będziemy mogli wykorzystać Dominie Dirtch, żeby

powstrzymać lub nawet zniszczyć armię Jaganga. Stawka jest zbyt wysoka, żeby zrezygnować z takiej okazji. To zbyt ważne, Caro. Na pewno sama rozumiesz, że nie mam wyboru.

- O nie. Masz wybór. Wszyscy możemy iść do Aydindril. Jesteś lordem Rahlem. Ja jestem Mord-Sith. Muszę być przy tobie i chronić cię.

- Wolałabyś, żebym wysłał Kahlan?

Cara mocno zacisnęła wargi, ale nie odpowiedziała. Kahlan ujęła go za ramię.

- Jak już powiedziałeś, Richardzie, jesteś Poszukiwaczem. Potrzebny ci miecz. Bez niego jesteś wystawiony na ciosy. Miecz jest w Aydindril. Podobnie jak buteleczka z czarem, pamiętnik Kolo i biblioteki z księgami, które mogą zawierać rozwiązanie naszego problemu. Musimy pójść do Aydindril. Gdybyś powiedział Zeddowi, mogliśmy się nie znaleźć w takiej sytuacji, lecz jest, jak jest, i powinniśmy zrobić to, o co prosił.

Chłopak wyprostował się i spojrzał jej w oczy. Dziewczyna skrzyżowała ramiona.

- Jestem Poszukiwaczem, Kahlan. A jako Poszukiwacz mam obowiązek czynić to, co uznam za słuszne. Przyznaję, że popełniłem błąd, i przepraszam za to, ale nie mogę dopuścić, by ten błąd odciągnął mnie od wypełnienia obowiązku. Jako Poszukiwacz udaję się do Anderithu. Ty zaś, jako Matka Spowiedniczka, powinnaś zrobić to, co dyktuje ci serce i obowiązek. Rozumiem to. Chcę, żebyś była przy mnie, ale będę cię kochał tak samo, jeżeli będziesz musiała wybrać inną drogę. - Pochylił się ku niej. - Wybieraj.

Patrzyła na niego bez słowa, ramiona dalej miała skrzyżowane. W końcu jej gniew stopniał i skinęła głową. Spojrzała przelotnie na Carę. Powiedziała cicho, jakby uważała, że jest o jedną osobę za dużo, by wydać nieuniknione rozkazy:

- Pójdę sprawdzić, jak się czuje Du Chaillu.

Kiedy Kahlan była już poza zasięgiem głosu, Mord-Sith zaczęła:

- Moim obowiązkiem jest pilnować i strzec lorda Rahla i nie...

Richard podniósł rękę, uciszając ją.

- Wysłuchaj mnie, Caro, proszę. Dużo razem przeszliśmy. Wspólnie znaleźliśmy się na granicy śmierci, Każde z nas jest wdzięczne pozostałym za to, że do dziś żyje. Jesteś dla nas kimś więcej niż strażniczką, i dobrze o

tym wiesz. Kahlan jest twoją siostrą w Agielu. Jesteś moją przyjaciółką. Wiem, że znaczę dla ciebie więcej, niż gdybym był tylko twoim lordem Rahlem, bo nie zostałabyś przy mnie po zaniknięciu więzi. Wiąże nas przyjaźń.

- I dlatego nie mogę cię zostawić. Nie opuszczę cię, lordzie Rahlu. Będę cię strzec bez względu na to, czy mi pozwolisz czy nie.

- A jak się czujesz bez swojego Agiela?

Cara nie odpowiedziała. Wyglądało na to, że nie dowierza swojemu głosowi.

- Czy zdziwiłabyś się, Caro, gdybyś się dowiedziała, że ja czuję się tak samo bez Miecza Prawdy? A nie mam go przy sobie dłużej niż ty swojego Agiela. To okropne ssanie w dołku. Stałe poczucie pustki, jakbym niczego tak nie pragnął, jak znów trzymać w dłoni to straszliwe narzędzie. Tak samo jest z tobą?

Potaknęła.

- Nienawidzę tego miecza, Caro, podobnie jak ty, gdzieś w głębi, musisz nienawidzić Agiela. Pewnego razu chciałaś mi go oddać, pamiętasz? Ty, Berdine i Raina. Prosiłem, byście mi wybaczyły, że na razie muszę wymagać, abyście zatrzymały swój oręż i pomogły nam w naszych zmaganiach.

- Pamiętam.

- Niczego nie pragnąłbym bardziej, jak już nie potrzebować miecza. Chciałbym, żeby na świecie panował pokój i żebym mógł zostawić miecz w wieży. Ale potrzebuję go, Caro. Tak jak ty potrzebujesz Agiela. Podobnie jak ty czuję bez niego pustkę, czuję się wystawiony na ataki, bezbronny i przestraszony, i wstydzę się do tego przyznać. Tak samo jak ty. Tak jak ty potrzebujesz Agiela, żeby nas bronić, tak ja potrzebuję miecza, żeby strzec Kahlan. Jeżeli coś jej się stanie, bo nie mam broni... Cenię cię, Caro, i dlatego ważne jest, byś zrozumiała. Nie jesteś już wyłącznie Mord-Sith, wyłącznie naszą strażniczką. Jesteś kimś więcej. To ważne, byś myślała, a nie tylko reagowała. Musisz być kimś więcej niż Mord-Sith, jeśli masz nam naprawdę pomóc jako strażniczka. Od ciebie zależy, czy nadal będę znaczącą osobą w tej walce, osobą, która może wpłynąć na bieg zdarzeń. Musisz iść do Aydindril zamiast mnie.

- Nie posłucham tego rozkazu.

- Nie rozkazuję ci, Caro. Proszę cię o to.



- To nieuczciwe.

- To nie zabawa, Caro. Proszę cię o pomoc. Tylko do ciebie mogę się z tym zwrócić.

Patrzyła gniewnie na burzowe chmury wiszące nad horyzontem, przerzuciła do przodu swój długi, jasny warkocz. Zacisnęła go w pięści, tak jak to czyniła w gniewie z Agielem. Wiatr rozwiewał kosmyki jasnych włosów.

- Pójdę, lordzie Rahlu, skoro sobie tego życzysz.

Richard znów położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu. Tym razem jej nie strząsnęła, lecz przyjęła ów gest z wdzięcznością.

- Co mam tam zrobić?

- Chcę, żeby podróż do Aydindril i z powrotem trwała jak najkrócej. Potrzebny mi miecz.

- Rozumiem.

Kahlan spojrzała ku nim i Mord-Sith dała jej znak. Dziewczyna przybiegła do nich. Cara wyprostowała się dumnie i powiedziała:

- Lord Rahl rozkazał, żebym wróciła do Aydindril.

- Rozkazał? - spytała Kahlan.

Cara tylko uśmiechnęła się z wyższością. Wycelowała Agiel w pierś Matki Spowiedniczki.

- Jak na leśnego przewodnika ma prawdziwy talent do wpędzania się w poważne kłopoty. Poprosiłabym cię, jako siostrę w Agielu, żebyś go strzegła zamiast mnie, lecz wiem, że słowa są tu zbyteczne.

- Nie spuszczę go z oka.

- Najpierw powinnaś dotrzeć do wojsk generała Reibischa - powiedział Richard. - Dostaniesz od niego konie i szybciej trafisz do Aydindril. Zależy mi również na tym, by wiedział, co porabiamy. Opowiedz mu o wszystkim. Verniei Siostron również. Powinny to wiedzieć, mogą mieć użyteczne informacje. - Richard zapatrzył się na południowy zachód. - Skoro mamy się udać do Anderithu i zażądać, żeby się nam poddali, to potrzebna mi eskorta.

- Nie martw się, lordzie Rahlu. Zamierzam rozkazać Reibischowi, żeby wysłał żołnierzy, by cię strzegli. Nie będzie to to samo co obecność Mord-Sith, ale zawsze zapewnię ci jakąś ochronę.

- Potrzebna mi imponująca eskorta. Kiedy zjawimy się w Andericie, powinno to robić poważne wrażenie. Nie chcę, byśmy byli tylko ja, Kahlan i

kilku żołnierzy. Zwłaszcza że moc Kahlan może lada chwila zaniknąć. Chcę wyrzucić na tamtejszych mieszkańcach odpowiednie wrażenie.

- Nareszcie zacząłeś mówić do rzeczy - orzekła Cara.

- Tysiąc żołnierzy będzie odpowiednią asystą - odezwała się Kahlan. - Najlepsi lansjerzy, łucznicy i ciężkozbrojni, no i oczywiście zapasowe konie. Potrzebni nam też posłańcy. Należy rozesłać wieści o demonach i Jagangu. Musimy koordynować ruchy naszych oddziałów i dbać, żeby wszyscy byli poinformowani. Mamy w różnych krainach wojska, które może trzeba będzie jednocześnie ściągnąć na południe.

Cara skinęła głową.

- Osobiście wybiorę żołnierzy do waszej eskorty. Reibisch przyśle doborowe oddziały.

- Doskonale, ale nie chciałbym, żebyś osłabiła wartość bojową jego armii, odbierając mu najlepszych wojowników - rzekł Richard. - Powiedz generałowi, że chcę, by na wszelki wypadek wysłał oddziały do pilnowania dróg wiodących ze Starego Świata na północ, które zresztą i tak zamierzał patrolować. I najważniejsze: chciałbym, aby jego główne siły pospieszyły tutaj.

- Czy wolno mu będzie atakować według własnej woli?

- Nie. Nie chcę, żeby narażał swoje wojska w bitwie z Ładem na tych równinach. To spowodowałoby zbyt wielkie straty. Jego ludzie są doskonali, ale nie sprostałiby armii tak licznej jak Ład. Musimy tu ściągnąć jeszcze inne nasze oddziały. Co ważniejsze, nie chcę, by atakował, bo najcenniejsze jest to, iż Jagang nie wie, że Reibisch jest tutaj. Chcę, żeby generał poszedł na wschód, śledząc imperatora, ale z bezpiecznej odległości i trzymając się bardziej na północ niż on. Powiedz Reibischowi, by wysyłał jak najmniej zwiadowców, tylko tyłu, żeby nie zgubić tropu Imperialnego Ładu. Jagang nie może się dowiedzieć, że nasze wojska są tutaj. Gdyby imperator nagle ruszył na północ, D'Haranczyce Reibischa będą jedyną siłą stojącą pomiędzy Ładem a Midlandami. Dopóki posłańcy nie ściągną innych oddziałów, zaskoczenie będzie jedynym sprzymierzeńcem generała. Nie chcę narażać jego ludzi, chyba że w razie absolutnej konieczności. Oczekuję jednak, że generał Reibisch wypełni swoje zadanie, gdyby sprawy wzięły zły obrót. Jeżeli Anderith się podda, połączymy nasze i ich wojska. Gdyby udało się nam przepędzić demony, przejąć dowództwo nad armią Anderithu i

ściągnąć tu na czas więcej naszych oddziałów, to może udałoby się nam również wpędzić w pułapkę wojska Jaganga, które mają za plecami ocean. Może nasze wojska zdołałyby je wtedy wpędzić na Dominie Dirtch. Ta broń by ich wybiła, a nasi żołnierze ocaliliby życie.

- A w Aydindril? - spytała Cara.

- Słyszałaś, jak Zedd mówił, co trzeba zrobić?

- Tak. Na piątej kolumnie po lewej w Wieży Pierwszego Czarodzieja stoi czarna butelecarka z zatyczką ze złotego filigranu. Należy ją rozbić Mieczem Prawdy. Berdine i ja byliśmy z tobą w Wieży Pierwszego Czarodzieja. Dobrze pamiętam jej wnętrze.

- Cieszę się. Możesz równie dobrze jakja posłużyć się mieczem i rozbić buteleczkę. - Mord-Sith przytaknęła. - Postaw buteleczkę na podłodze, jak mówił Zedd, zamachnij się mieczem i rozbij ją.

- Zrobię to - powiedziała Cara.

Richard doskonale wiedział, jak bardzo Cara nie lubiła mieć do czynienia z magią. Pamiętał również, jak to ona i Berdine nie chciały pójść do Wieży Pierwszego Czarodzieja. W grę wchodziły też magiczne osłony wieży.

- Jeśli magia wieży naprawdę już osłabła, to nie będziesz miała problemu z przedostaniem się przez osłony, bo i one zanikną.

- Pamiętam, co wtedy czułam. Poznam, czy wciąż działa ich magia, czy też mogę przejść.

- Przekaż Berdine wszystko, co wiesz o demonach. Może już znalazła w pamiętniku Kolo jakieś ważne informacje. Jeżeli nie, to twoja relacja powie jej, czego ma szukać. - Richard uniósł palec, żeby podkreślić wagę swoich słów, a drugą dłoń zacisnął na ramieniu Mord-Sith.

- Ale najpierw miecz i butelecarka. Berdine potem. Nie zostawiaj jednego i drugiego bez dozoru dłużej, niż to konieczne. Demony mogą próbować cię zatrzymać. Bądź tego świadoma. Bądź czujna. Trzymaj się z dala od wody i ognia. Nie przyjmuj niczego za rzecz oczywistą. Mogą wiedzieć, że zamknięty w buteleczce czar jest dla nich szkodliwy. Zanim wyruszysz, porozmawiamy z Du Chaillu i przekonamy się, czy zdoła nam wyjaśnić Jak rzucają na kogoś urok powodujący śmierć. Jeżeli to pamięta, będziemy wiedzieć, jak się strzec demonów.

Cara potaknęła. Nawet jeśli się bała, nie okazała tego.

- Kiedy już dotrę do generała Reibischa, to pomknę niczym wiatr.

Najpierw pójde do wieży, wezmę twój miecz i rozbiję buteleczkę, a potem przywiozę ci broń, Berdine i tę księgę. Gdzie cię znajde?

- W Fairfield - wtręcała się Kahlan. - Najprawdopodobniej z naszymi oddziałami, tuż pod miastem, w pobliżu posiadłości Ministra Spraw Duchowych. Gdybyśmy musieli stamtąd odejść, zostawimy ci wiadomość lub kilku żołnierzy. Jeśli będzie to niemożliwe, postaramy się zawiadomić generała Reibischa.

- Caro... - odezwał się z wahaniem Richard - będziesz musiała wyjąć miecz z pochwy, żeby stłuc buteleczkę.

- Oczywiście.

- Bądź ostrożna. To magiczny oręż, a Zedd uważa, że ta magia nie zaniknie.

Mord-Sith westchnęła, osaczona przez niemiłe myśli.

- A co miecz zrobi, jak go dobęde?

- Boja wiem? - odparł chłopak pytaniem. - Może odmiennie reagować na różnych ludzi, zależnie od tego, czym dopełnia się jego magia. Wciąż jestem Poszukiwaczem, ale miecz może być posłuszny każdemu, kto go dobędzie. Nie mam pojęcia, jak jego magia podziała na ciebie. To oręż wykorzystujący gniew. Uważaj i wiedz, że może zechcieć wydobyć coś z ciebie, tak jak ty dobyłaś go z pochwy. Roznieci twoje emocje, zwłaszcza gniew.

- Nie przyjdzie mu to z trudem - odparła Cara. Jej niebieskie oczy zalsniły.

Richard uśmiechnął się.

- Bądź ostrożna. Kiedy już rozbijesz buteleczkę, pod żadnym pozorem nie dobywaj miecza ponownie, chyba że w obronie życia. Jeśli nim zabijesz...

Umilkł. Mord-Sith zmarszczyła czoło.

- Co się stanie, jeśli nim zabiję?

Richard musiał jej powiedzieć, żeby nie zrobiła czegoś niebezpiecznego.

- Powoduje ból.

- Jak Agiel? Przytaknął niechętnie.

- Może gorszy. - Przycichł, wróciły wspomnienia. - Gniew ma odeprzeć ból. Przepelniający cię słuszny gniew będzie cię chronił, ale, o dobre duchy, i tak zaznasz bólu.

- Jestem Mord-Sith. Z radością przyjmę ból. Richard uderzył się w pierś.

- To boli tutaj, Caro. Takiego bólu byś sobie nie życzyła. Już lepszy twój

Agiel.

Uśmiechnęła się do niego smutno, ze zrozumieniem.

- Potrzebny ci miecz. Przywiozę ci go.

- Dziękuję, Caro.

- Ale nie wybaczę ci, że skłoniłeś mnie, bym cię zostawiła bez ochrony.

- Nie zostanie bez ochrony.

Odwrócili się. To była Du Chaillu. Błada, z potarganymi włosami, owinięta kocem - ale już nie dygotała. Jej twarz wyrażała nieugiętą determinację.

Richard potrząsnął głową.

- Powinnaś wrócić do swojego ludu.

- Pójdziemy z moim mężem. Będziemy chronić *Caharin*. Chłopak postanowił nie sprzeczać się co do owego „męża”.

- Zanim dotrzemy do Anderithu, przyłączą się do nas żołnierze.

- Oni nie są mistrzami miecza. Zajmiemy miejsce Cary i będziemy cię chronić.

Mord-Sith skłoniła głowę przed Du Chaillu.

- To znakomicie. Będę spokojniejsza, wiedząc, że chronisz go ty i twoi mistrzowie miecza.

Richard zerknął z irytacją na Mord-Sith i przeniósł uwagę na duchową przewodniczkę Baka Tau Mana.

- Jesteś już bezpieczna, Du Chaillu, nie chcę, żebyś bez potrzeby ryzykowała życie swoje i dziecka. Dopiero co otarłaś się o śmierć. Musisz wracać do swojego ludu. Jesteś tam potrzebna.

- Jesteśmy żywymi trupami. Tamto nie ma znaczenia.

- O czym ty mówisz?

Du Chaillu splotła dłonie. Mistrzowie miecza, jej królewska eskorta, tkwili za nią. Za nimi z kolei stali i przyglądali się wszystkim łowcy Błotnych Ludzi. Du Chaillu, wciąż bardzo chora, znów wyglądała dostojnie i godnie.

- Zanim wyruszyliśmy, powiedzieliśmy naszemu ludowi, że jesteśmy martwi - wyjaśniła. - Powiedzieliśmy, że jesteśmy straceni dla świata żywych i że nie wrócimy do nich, dopóki nie dotrzemy do *Caharin*, nie ostrzeżemy go i nie będziemy pewni, iż jest bezpieczny. Nasz lud opłakał nas, nim odeszliśmy, bo dla nich jesteśmy martwi. Powrócić będziemy mogli dopiero wtedy, kiedy zrobimy to, co zapowiedzieliśmy. Nie tak dawno usłyszałam

kuranty śmierci. Cara, strażniczka *Caharin*, ściągnęła mnie ze świata duchów. Duchy w swojej mądrości pozwoliły mi powrócić, żebym mogła spełnić swój obowiązek. Odzyskamy życie i będziemy mogli wrócić do domu dopiero wtedy, kiedy Cara powróci z twoim mieczem i będziesz bezpieczny. Dopóki to się nie stanie, pozostaniemy żywymi trupami. Nie pytam, czy pozwolisz nam sobie towarzyszyć. Powiadamiam cię, że pójdziemy z tobą. Jestem duchową przewodniczką Baka Tau Mana. Powiedziałam.

Richard zacisnął zęby i uniósł dłoń, żeby jej gniewnie pogrozić. Kobieta złapała go za nadgarstek.

- Du Chaillu - odezwała się Kahlan - ja też złożyłam taką przysięgę. Kiedy znalazłam się w otoczonej murami Ebinissii i zobaczyłam mieszkańców wymordowanych przez Imperialny Ład, przysięgłam zemstę. Chandalen i ja natrafiliśmy na niewielkie oddziały rekrutów, którzy również widzieli zmarłych w swoim rodzinnym mieście. Byli zdecydowani ukarać winowajców. Złożyłam przysięgę, że jestem martwa i powrócę do życia dopiero wtedy, kiedy winni tych zbrodni zostaną ukarani. Towarzyszący mi żołnierze przysięgli to samo. Tylko jeden na pięciu wrócił do życia ze mną i Chandalenem. Ale wcześniej zginęli wszyscy, którzy wymordowali mieszkańców Ebinissii. Rozumiem twoją przysięgę, Du Chaillu. To święta sprawa i nie wolno jej lekceważyć. Możecie iść z nami, ty i twoi mistrzowie miecza.

Du Chaillu skłoniła się Kahlan.

- Dziękuję, że uszanowałaś obyczaje mojego ludu. Jesteś mądrą kobietą, godną tego, by również być żoną mojego męża.

Richard przewrócił oczami.

- Kahlan...

- Chandalen i jego łowcy są potrzebni Błotnym Ludziom. Cara wypełnia twoją prośbę i udaje się najpierw do generała Reibischa, a potem do Aydindril. Dopóki generał nie przyśle nam żołnierzy, będziemy sami, wystawieni na ciosy. Du Chaillu i jej ludzie będą cenną i mile widzianą eskortą. Stawka jest zbyt wysoka, Richardzie, żeby unosić się dumą. Idą z nami.

Richard popatrzył w oczy Cary - lodowate, zdecydowane. Chciała, by tak się stało. Ciemne oczy Du Chaillu były twarde jak stal. Podjęła decyzję. Zielone oczy Kahlan... wolał się nie zastanawiać, co było w tych zielonych

oczach.

- W porządku - oznajmił. - Możesz nam towarzyszyć, dopóki nie dołączą do nas żołnierze.

Du Chailu spojrzała ze zdumieniem na Kahlan.

- Czy on i tobie zawsze mówi to, o czym już wiesz???

## ROZDZIAŁ 36

Fetch siedział z pochyloną głową. Widział nogi i stopy nauczyciela Spinka, który kroczył wśród ław, tupiąc butami o podłogę z desek. Kilka osób, przeważnie starsze kobiety, pociągało nosami, chlipiąc cichutko. Fitch nie mógł mieć im tego za złe. I on czasami łkał na zgromadzeniu pokutnym. Dobrze rozumiał, że nauki były niezbędne, jeśli chcieli pokonać swoje nikczemne hakeńskie nawyki, lecz owa świadomość wcale nie ułatwiała wysłuchiwanie tego wszystkiego.

Kiedy nauczyciel Spink wykladał, Fitch wolał patrzeć w podłogę, byle tylko przypadkiem nie spojrzeć mu w oczy. Zawstydzalo go spojrzenie Anderyjczyka opowiadającego o okropieństwach, jakie przodkowie Fitcha wyrządzili jego przodkom.

- I zdarzyło się - ciągnął nauczyciel Spink - że horda Hakenów natrafiła przypadkiem na biedną rolniczą osadę. Mężczyźni, zatroskani o los swoich rodzin, połączyli się z Anderyjczykami z farm i okolicznych wiosek. Wspólnie modlili się do Stwórcy, by udało się im odeprzeć krwiożerczych najeźdźców. W desperacji ofiarowali już Hakenom niemal całe zapasy żywności i inwentarz. Wysłali posłańców, którzy mieli wręczyć ten pokojowy dar i wyjaśnić, że nie pragną wojny, lecz żaden z tych dzielnych ludzi nie powrócił. Było oczywiste, że mężczyźni powinni stanąć na szczycie wzgórza i potrząsać orężem nad głowami: nie po to, rzecz jasna, żeby prowokować do walki, lecz by pokazać swą siłę i w ten sposób nakłonić Hakenów do ominięcia ich osad. Owi mężczyźni byli rolnikami, nie wojownikami, a orężem były narzędzia z farm. Nie chcieli walki, pragnęli pokoju. Stali więc tam wszyscy, o których was uczyłem: Shelby, Willan, Camden, Edgar, Newton, Kenwey i pozostali. Ci wszyscy zacni i uczciwi ludzie, o których słuchaliście przez ostatnie kilka tygodni, kiedy opowiadałem wam o ich życiu, o ich miłości i nadziejach, o ich prostych i skromnych marzeniach. Stali tam, na wzgórzu, mając nadzieję, że nakłonią hakeńskich brutalni, by ominęli ich wioski.

Stali tam, wymachując gospodarskimi narzędziami: toporami, motykami, sierpami, widłami i cepami. Machali nimi w nadziei, że uchronią przed krzywdą żony i dzieci, o których też wam opowiadałem.



Tup, tup, tup - załomotały buty i nauczyciel Spink zbliżył się do Fitcha.

- Hakeńskie wojska nie ominęły tych prostych ludzi. Hakeni, śmiejąc się i wrzeszcząc, skierowali swoje Dominie Dirtch na łagodnych Anderyjczyków.

Niektóre z dziewcząt zachłysnęły się oddechem. Inne głośno załkały. Fitch poczuł, jak żołądek ściska mu się ze strachu i jak dławi go w gardle. I on pociągnął nosem, wyobrażając sobie straszliwą śmierć tych ludzi. Przecież poznał mężczyzn ze wzgórza. Ich żony i dzieci, nazwiska ich żon i rodziców.

- I kiedy te krwiożercze hakeńskie sukinsyny w ślicznych mundurach - Fitch, który siedział na skraju ławy przy środkowym przejściu, widział tuż obok siebie buty Spinka - śmiały się i wrzeszczały radośnie, Dominie Dirtch gwałtownie zadźwięczały i ciało rolników odpadło od kości.

Fitch czuł na karku gniewne spojrzenie nauczyciela Spinka. Kobiety i wielu mężczyzn szlochali w głos.

- W anderyjskie niebo uderzyły żalosne zawodzenia biednych rolników. To był ich ostatni krzyk, bo ciała mężczyzn zostały rozerwane na strzępy przez straszliwą broń dobrze ubranej, roześmianej i rozwrzeszczanej hakeńskiej hordy: przez Dominie Dirtch.

Jedna ze starszych kobiet krzyknęła głośno, przerażona opowieścią. Nauczyciel Spink wciąż stał nad Fitchem. A chłopak nie był już wcale taki dumny ze swojego uniformu posłańca jak trochę wcześniej, kiedy pozostali szeptali między sobą ze zdumieniem na jego widok.

- Widzę, Fitch, że sprawiłeś sobie elegancki, nowy uniform - powiedział nauczyciel Spink tonem, który sprawił, że chłopak zmartwił.

Pojął, że powinien coś odpowiedzieć.

- Tak, panie. Pan Campbell był tak dobry, że dał mi pracę posłańca, choć byłem tylko hakeńskim pomywaczem. Chce, bym nosił ten uniform i by przez to wszyscy Hakeni zobaczyli, że z anderyjską pomocą możemy zajść wyżej. Pragnie także, byśmy jako posłańcy godnie reprezentowali jego biuro, bo pomagamy mu roznosić wieści o tym, jak Minister Spraw Duchowych pracuje dla dobra nas wszystkich.

Nauczyciel Spink trzepnął Fitcha w ucho z taką siłą, że biedak spadł z ławy.

- Nie odpowiadaj mi tak impertynencko. Nie ciekawią mnie twoje hakeńskie wykręty!

- Przepraszam, panie. - Fitch nie był taki głupi, żeby się podnieść z podłogi.

- Hakeni zawsze potrafią wytłumaczyć swoje płynące z nienawiści występki. Nosisz elegancki uniform, zupełnie tak samo, jak lubili je nosić owi krwiożerczy hakeńscy suzereni, i cieszy cię to tak samo jak ich, a starasz się udawać, że tak nie jest. Anderyjczycy aż do dzisiaj cierpią pod nieustannymi razami hakeńskiej nienawiści. Każde spojrzenie Hakena jest jak smagnięcie. Nigdy się od tego nie uwolnimy. Zawsze są jacyś Hakeni w uniformach, które noszą z upodobaniem, żeby przypominać nam o tamtych hakeńskich suzerenach. Próbując bronić tego, czego się nie da obronić, udowodniłeś swoją ohydną hakeńską naturę: samolubną arogancję, butę i pychę płynącą z noszenia uniformu. Wszyscy pragniecie być hakeńskimi suzerenami. I co dnia my, Anderyjczycy, musimy znosić takie hakeńskie obelgi.

- Wybaczcie mi, nauczycielu Spink. Myliłem się. Noszę ten uniform z pychy. Źle zrobiłem, pozwalając, żeby pokierował mną mój grzeszny hakeński charakter.

Nauczyciel Spink mruknął z pogardą, ale podjął przerwany wykład. Fitch wiedział, że zasłużył na więcej, był więc wdzięczny, iż na tym się skończyło. Westchnął.

- Mężczyzn wymordowano, kobiety i dzieci w osadzie pozostały zatem bez obrońców.

Znów rozległ się tupot butów, bo nauczyciel podjął wędrówkę pośród siedzących na ławach Hakenów. Dopiero wtedy, gdy już się dostatecznie oddalił, Fitch ośmielił się podnieść i usiąść na ławie. W uchu mu okropnie dzwoniło, zupełnie jak wtedy, gdy oberwał od Beaty. Przez głucho dzwonięcie w umysł wwierały mu się słowa nauczyciela Spinka.

- Byli Hakenami, więc, rzecz jasna, postanowili wejść do osady i zabawić się na swój plugawy sposób.

- Nie! - krzyknęła któraś z siedzących z tyłu kobiet. Rozszlochała się.

Nauczyciel Spink spacerował po izbie z rękami splecionymi na plecach. Zignorował to wtrącenie. Bo też często mu tak przerywano.

- Hakeni, spragnieni uczyty, weszli do wioski. Mieli ochotę na piecyste.

Słuchacze padli na kolana, zatrwożeni o los ludzi, których poznali. Ławy zaszurały o podłogę, gdyż prawie wszyscy uklękli. Fitch przyłączył się do

nich.

- Lecz, jak wiecie, była to mała osada. Hakeni wybili inwentarz i zorientowali się, że mięsa jest za mało. Jak to Hakeni, nie namyślali się długo. Wyłapano dzieci.

Fitch niczego nie pragnął bardziej niż tego, by nauki się wreszcie skończyły. Nie wiedział, czy zdoła znieść resztę opowieści. Niektóre kobiety najwyraźniej myślały tak samo. Osunęły się, twarzami do podłogi, spłotyły dłonie, łkały i modliły się do dobrych duchów, by te czuwały nad biednymi, niewinnymi, wymordowanymi Anderyjczykami.

- Wszyscy znacie imiona tych dzieci. Każdy, kogo wskażę, poda mi imię, żebyśmy nie zapomnieli o bolesnej śmierci tych młodych istot. Wskazany poda mi imię jednego z dzieci z tej wioski, chłopców i dziewczynek usmażonych żywcem na oczach ich matek.

Nauczyciel Spink zaczął od ostatniego rzędu ław. Każda ze wskazanych osób wymieniała imię jednego z dzieci. Większość błagała, by dobre duchy czuwały nad nimi. Nauczyciel Spink, nim pozwolił im odejść, opisał grozę smażenia żywcem: wrzaski, ból Jak długo trwało, zanim dzieci umarły. Ile czasu zajęło smażenie ich ciał.

Było to tak przerażające i ponure, że przez krótką chwilę Fitch po raz pierwszy w życiu zastanowił się, czy ta opowieść aby na pewno jest prawdziwa. Z trudem przychodziło mu uwierzyć, że ktoś - nawet ci krwiożerczy hakenscy suzereni - mógłby popełnić tak przerażający czyn.

Lecz nauczyciel Spink był Anderyjczykiem. Nie kłamałby. Nie w sprawie tak ważnej jak historia krainy.

- Ponieważ robi się późno - oznajmił nauczyciel Spink, kiedy wszyscy wymienili już imię dziecka - zostawimy na następne zgromadzenie opowieść o tym, co hakenscy najeźdźcy uczynili kobietom. Może dzieci miały szczęście, że nie musiały patrzeć, do jakich perwersji Hakeni wykorzystali ich matki.

Mogli wreszcie odejść i Fitch, a za nim reszta, wypadł z izby zadowolony, że może uciec przed naukami pokutnymi. Jeszcze nigdy nie uradowało go tak chłodne nocne powietrze. W pamięci wciąż przesuwwały mu się straszliwe sceny męczeństwa dzieci, czuł mdłości i fale gorąca. Zimne powietrze mile chłodziło mu twarz. Chciwie wciągał je do płuc.

Fitch opierał się o smukły klon rosnący przy ścieżce wiodącej do drogi i

czekał, aż przestaną się pod nim uginać nogi, kiedy w drzwiach ukazała się Beata. Wyprostował się. Z otwartych drzwi i okien padało wystarczająco dużo światła, żeby bez trudu dostrzegła go w jego nowym uniformie posłańca. Miał nadzieję, że Beacie uniform spodoba się bardziej niż nauczycielowi Spinkowi.

- Dobry wieczór, Beato.

Zatrzymała się i przyjrzała mu od stóp do głów, oglądając nowy strój.

- Fitch.

- Pięknie wyglądasz dziś wieczorem, Beato.

- Wyglądam tak samo jak zawsze. - Wsparła się pod boki. - Widzę, że zakochałeś się w sobie. Jak zacząłeś nosić ten luksusowy uniform.

Fitch nagle stracił zdolność mówienia i myślenia. Zawsze podobały mu się uniformy posłańców, więc sądził że i on jej się w tym stroju spodoba. Spodziewał się, że się do niego uśmiechnie albo co, a tymczasem patrzyła nań gniewnie. Żałował, że nie poszedł prosto do domu.

- Pan Campbell dał mi stanowisko...

- Przypuszczam, że cieszysz się na następne zgromadzenie pokutne, bo będziesz mógł posłuchać, co te hakeńskie bestie w ślicznych mundurach uczyniły bezbronnym kobietom. - Nachyliła się ku niemu. - Spodoba ci się to. Będziesz miał prawie taką samą uciechę, jak byś tam był i patrzył.

Fitch stał z rozdziawionymi ustami, a Beata parsknęła z irytacją i energicznie odmaszerowała w noc.

Idący ulicą słyszeli ostrą reprimendę, jakiej mu udzieliła. Jakiej udzieliła temu plugawemu Hakenowi. Uśmiechali się z satysfakcją lub naśmiewali z Fitcha. Chłopak wepchnął ręce do kieszeni, odwrócił się plecami do drogi i wsparł ramieniem o drzewo. Rozmyślał i czekał, aż ludzie odejdą do swoich spraw.

Droga powrotna do posiadłości zajmie godzinę. Fitch chciał się upewnić, że poszli już wszyscy, którzy tam wracali, i że będzie mógł iść sam i nie będzie musiał z nikim rozmawiać. Zastanawiał się, czy nie wstąpić gdzieś i się nie napić. Zostało mu jeszcze trochę pieniędzy. A może wróci, poszuka Morleya i napiją się we dwóch. Tak czy owak, chciał się upić. Wiatr stał się nagle chłodniejszy. Fitchem wstrząsnął dreszcz. Niemal wyskoczył z butów, kiedy czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu. Obrócił się i zobaczył, że to jakaś starsza Anderyjka. Jej odgarnięte do tyłu, sięgające niemal ramion

włosy powiedziały mu, że to ktoś ważny. Siwe pasemka na skroniach dowodziły, że jest stara. Było za ciemno, żeby dostrzec zmarszczki, ale Fitch i tak był przekonany, że znaczą jej twarz.

Chłopak uklonił się Anderyjce. Bał się, że kobieta zechce zacząć tam, gdzie Beata skończyła, i każe mu to czy tamto zrobić.

- Zależy ci na niej? - spytała kobieta. Zaskoczyła Fitcha tym osobliwym pytaniem.

- Nnnnie wiem - wydukał.

- Ostro się z tobą obeszła.

- Zasłużyłem na to, pani.

- Dlaczego?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami.

Nie mógł pojąć, czego chciała. Czuł gęsią skórkę, kiedy przyglądała mu się ciemnymi oczami tak, jakby wybierała kurczaka na obiad.

Ubrana była w skromną suknię, która w tym przyćmionym świetle wyglądała na ciemnobrązową. I to w suknię zapiętą pod sarną szyję, w przeciwieństwie do wydekoltowanych strojów większości Anderyjek. Sama szata nie zdradzała, że jest szlachetnie urodzona, ale długość włosów świadczyła, iż jest kimś ważnym. Wydawała się inna niż pozostałe Anderyjki. Poza tym, ku zdumieniu Fitcha, nosiła na szyi szeroką czarną opaskę.

- Dziewczyny czasem mówią niemiłe rzeczy, kiedy boją się przyznać, że lubią jakiegoś chłopca, i obawiają się, iż on nie zwraca na nie uwagi.

- A czasem mówią niemiłe rzeczy, bo chcą je powiedzieć.

- To prawda. - Uśmiechnęła się. - Mieszka w posiadłości czy tutaj, w Fairfield?

- W Fairfield. Pracuje u rzeźnika Ingera. Kobieta chyba uznała, że to trochę zabawne.

- Może woli kości bardziej obleczone mięsem. Może kiedy przybędzie ci trochę lat i nabierzesz więcej ciała, uzna, że jesteś pociągający.

- Może. - Fitch znów wepchnął ręce do kieszeni.

Nie wierzył w to. Poza tym nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek nabierze więcej ciała, jak to określiła kobieta. Uważał, że jest już na tyle stary, iż się zbytnio nie zmieni.

Kobieta znów przyglądała się jego twarzy.

- Chcesz, żeby cię lubiła? - spytała na koniec. Fitch odchrząknął.

- Pewnie tak. A przynajmniej chciałbym, żeby mnie nie nienawdziła.

Obca uśmiechnęła się tak, jakby coś sprawiło jej przyjemność, ale Fitch wątpił, czy kiedyś w ogóle zrozumie, o co w tym chodzi.

- To się da załatwić.

- Pani?

- Jeśli ją lubisz i chciałbyś, żeby i ona ciebie lubiła, to można to sprawić.

- Jak? - Chłopak aż zamrugał ze zdumienia.

I nagle zrozumiał. Ta kobieta znała magię. W końcu pojął, dlaczego wydawała się taka dziwna. Słyszał, że ludzie mający dar są dziwni.

- To znaczy, że mogłabyś coś sporządzić? Jakiś urok lub coś w tym rodzaju?

- Coś w tym rodzaju. - Jej uśmiech rozszerzył się.

- Dopiero co zacząłem pracować dla pana Campbella. Przykro mi, pani, ale mnie na to nie stać.

- A, rozumiem. - Uśmiech zniknął. - A gdyby cię było stać? - Nim Fitch zdążył odpowiedzieć, spojrzała zmrużonymi oczami w niebo, zamyślona. - A może to będzie gotowe dopiero później, gdy ci zapłacą? - Jej głos zniżył się do najcichszego szeptu, jakby mówiła do siebie. - Będę się mogła przekonać, czy rozwiążę tę sprawę i sprawię, żeby to znów działało. - Spojrzała mu w oczy. - No i co ty na to?

Fitch niepewnie przełknął ślinę. Pod żadnym pozorem nie zamierzał urazić żadnej Anderyjki, a już na pewno takiej z darem. Wahał się.

- No bo, pani, jeśli dziewczyna ma mnie kiedy polubić, to niech mnie lubi sama z siebie. Bez urazy, pani. Uprzejme z twojej strony, żeś mi to zaproponowała, ale by mi się nie podobało, gdyby dziewczyna polubiła mnie tylko dzięki magicznemu czarowi. Głupio bym się czuł, wiedząc, że mnie polubiła tylko przez magię.

Kobieta roześmiała się i poklepała go po plecach. To był dźwięczny, miękki śmiech zadowolenia, a nie wyśmiewanie się z Fitcha. Chłopak jeszcze nigdy nie słyszał, żeby się tak śmiał któryś z rozmawiających z nim Anderyjczyków.

- Brawo! - Wykonała gest pełen emfazy. - To samo powiedział mi pewien czarodziej, dawno temu.

- Czarodziej! To musiało być przerażające. To znaczy, zobaczyć

czarodzieja.

- Wcale nie. - Wzruszyła ramionami. - Był sympatyczny. A ja byłam wtedy małą dziewczynką. Urodziłam się z darem, wiesz. Poradził mi, bym zawsze pamiętała, że żadne czary nie zastąpią uczuć ludzi, którym na tobie zależy, bo jesteś właśnie taka, a nie inna.

- Nie miałem pojęcia, że byli tu czarodzieje.

- Nie tutaj - odparła. Skinęła dłonią w mrok. - W Aydindril.

- Aydindril? - Fitch nadstawił ucha. - Na północnym wschodzie?

- Ależ jesteś rozgarnięty. Tak. Na północnym wschodzie. W Wieży Czarodzieja. - Wyciągnęła doń rękę. - Jestem Franca. A ty?

Fitch delikatnie ujął jej dłoń i ugiął kolano w głębokim pokłonie.

- A ja Fitch, pani.

- Franca.

- Pani?

- Franca. To moje imię. Podałam ci moje imię, Fitch, żebyś mnie nim nazywał.

- Przepraszam, pani... to znaczy, Franco. Znów zaśmiała się po swojemu.

- Miło było cię poznać, Fitch. Muszę wracać do posiadłości. Podejrzewam, że się upijesz. Chłopcy w twoim wieku chyba to lubią.

Fitch musiał przyznać, że ten pomysł był wręcz znakomity. Ale kusila też szansa, by dowiedzieć się czegoś o Wieży Czarodzieja.

- Chyba lepiej będzie, jeśli i ja wrócę do posiadłości. Gdyby nie przeszkadzał ci spacer w towarzystwie Hakena, to chętnie bym z tobą poszedł, Franco - dodał po chwili.

Znowu przyjrzała się jego twarzy w ten denerwujący sposób.

- Mam dar, Fitch. To znaczy, że jestem inna od większości ludzi i że większość ludzi, zarówno Anderyjczyków, jak i Hakenów, myśli o mnie tak jak większość Anderyjczyków o tobie, bo jesteś Hakenem.

- Naprawdę? Ale przecież jesteś Anderyjką.

- To nie wystarczy, żeby zatrzeć zamię magicznego daru. Wiem, co się czuje, kiedy ludzie cię nie lubią, choć właściwie nic o tobie nie wiedzą. Chętnie się z tobą przespaceruję, Fitch.

Chłopak uśmiechnął się, z jednej strony zszokowany świadomością, że rozmawia z Anderyjką, a z drugiej wstrząśnięty tym, że pozostali Anderyjczycy mogą czuć do niej niechęć, bo ma dar.

- I nie szanują cię przez wzgląd na dar?

- Boją się mnie. Strach może być korzystny albo i nie. Korzystny, bo ludzie traktują cię dobrze, choć czują do ciebie niechęć. Niekorzystny, bo często próbują uderzyć w to, czego się obawiają.

- Nigdy wcześniej tak na to nie patrzyłem. - Przypomniał sobie, jaki był zadowolony, kiedy Claudine Winthrop zwróciła się do niego „panie”. Wiedział, że powiedziała tak wyłącznie ze strachu, ale i tak sprawiło mu to przyjemność. Za to nie pojmował tego, co Franca powiedziała później. - Jesteś bardzo mądra. Czy to przez magię? Magia daje ludziom mądrość?

Znowu się zaśmiała, jakby był dla niej równie zabawny jak mająca nogi ryba.

- Gdyby tak było, nazwaliby ją Wieżą Mądrych Ludzi, a nie Wieżą Czarodzieja. Niektórzy byliby rnoże nawet mądrzejsi, gdyby urodzili się bez magicznego daru.

Fitch nigdy wcześniej nie spotkał kogoś, kto był w Aydindril, a tym bardziej w Wieży Czarodzieja. Z trudem mógł uwierzyć, że rozmawia z nim osoba mająca dar. Był nawet trochę zaniepokojony, bo nie wiedział nic o magii i wyobrażał sobie, że Franca mogłaby go jakoś skrzywdzić, gdyby ją rozgniewał.

Mimo to, choć była stara, uważał, że jest fascynująca.

W milczeniu ruszyli drogą ku posiadłości. Cisza czasami denerwowała Fitcha. Zastanawiał się, czy Franca zna dzięki magii jego myśli. Przyjrzał się jej. Nie wyglądało na to, że choć odrobinę ciekawia ją jego myśli. Wskazał na szyję kobiety.

- Mogę spytać, Franco, co to takiego? Ta opaska, którą nosisz na szyi? Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś nosił coś takiego. Czy to ma coś wspólnego z magią?

Roześmiała się głośno.

- A wiesz, Fitch, że ty pierwszy od wielu lat zapytałeś mnie o to? Choć może tylko dlatego, że zbyt mało wiesz, żeby się bać zadać czarodziejce tak osobiste pytanie.

- Przepraszam, Franco. Nie chciałem cię obrazić. - Zaczął się martwić, że z głupoty powiedział coś, co ją rozgniewało. Na pewno nie chciał, żeby rozgniewała się na niego jakakolwiek Anderyjka, a zwłaszcza taka, która ma dar. Jakiś czas szli w milczeniu. Fitch wepchnął w kieszenie spocone ręce. W



końcu Franca znów się odezwała.

- To nie tak, Fitch. Mam na myśli obrazę. To po prostu obudziło złe wspomnienia.

- Przepraszam, Franco. Nie trzeba mi było tego mówić. Czasem gadam takie głupoty. Przepraszam.

Żałował, że jednak nie poszedł się upić.

Przeszli kilka kroków. Franca przystanęła i obróciła się ku niemu.

- Nie, Fitch, to nie była głupota. Patrz. - Zsunęła opaskę, żeby mógł zobaczyć. Choć było ciemno, księżyc dawał tyle blasku, że Fitch dostrzegł grubą, nierówną pręgę. Była biała, połyskiwała i okalała szyję Franki. Paskudna blizna, pomyślał.

- Pewni ludzie próbowali mnie kiedyś zabić. Bo mam magiczny dar. - Blask księżycy zaśnił w jej wilgotnych oczach. - Serin Rajak i jego popiecznicy. - Podciągnęła opaskę i zasłoniła bliznę. - Serin Rajak nienawidzi magii. Ma zwolenników, którzy myślą tak samo jak on. Nastawiają ludzi przeciwko tym, którzy mają dar. Budzą w ludziach dziką nienawiść i żądzę krwi. Nie ma nic gorszego od tłumu, który chce komuś wyrządzić krzywdę. Żaden z nich sam nie miałby odwagi tak postąpić, ale w gromadzie łatwo dochodzą do wniosku, że to dobry czyn, i popełniają go. Tłum kieruje się własnym rozumem, ma własne życie. Jest jak sfora psów ścigających samotne zwierzę. Rajak pochwycił mnie i zarzucił mi sznur na szyję. Związali mi ręce na plecach. Znaleźli drzewo, zarzucili drugi koniec sznura na gałąź i unieśli mnie.

Fitch był przerażony.

- O drogie duchy, przecież to musiało straszliwie boleć. Patrzyła przed siebie i chyba go nie usłyszała.

- Zaczęli pode mną układać stos. Chcieli mieć wielkie ognisko. Ale udało mi się uciec, zanim je rozpalili.

Fitch masował szyję palcami i próbował sobie wyobrazić, jak to jest, tak wisieć na linie.

- A ten Serin Rajak. Jest Hakenem? Potrząsnęła głową, kiedy znów ruszyli ku posiadłości.

- Nie tylko Haken może być zły, Fitch.

Jakiś czas szli w milczeniu. Chłopakowi wydawało się, że ona wciąż tkwi we wspomnieniach o tym, jak wisiała na linie zarzuconej na szyję.

Zastanawiał się, dlaczego się wtedy nie udusiła. Może lina nie była aż tak mocno zaciśnięta, pomyślał. Pewno tak zawiązali węzeł, żeby pętla się nie zacisnęła. Ciekaw był, jak się wydostała. Wiedział jednak, że już i tak za wiele o to pytał, i nie ośmielił się zadać kolejnego pytania.

Słuchał, jak kamienne okruchy skrzypią pod ich butami. Od czasu do czasu zerkał na nią ostrożnie. Już nie wyglądała na zadowoloną, jak na samym początku. Żałował, że zadał te pytania.

W końcu pomyślał, że mógłby zapytać o coś, co przywróciłoby jej tamten uśmiech. Przecież właśnie dlatego zdecydował się na ten spacer - żeby o to zapytać.

- Jaka jest Wieża Czarodzieja, Franco? Miał rację: uśmiechnęła się.

- Olbrzymia. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka olbrzymia, a ja nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Wznosi się na zboczu góry ponad Aydindril, za kamiennym mostem przerzuconym ponad głęboką na tysiące stóp rozpadliną. Część wieży jest wycięta w zboczu góry. Zwieńczone blankami mury wznoszą się jak pionowe skalne ściany Szerokie wały obronne, szersze niż ta droga, wiodą do rozmaitych budowli. Tu i ówdzie nad wieżą górują baszty Jest wspaniała.

- Widziałaś kiedy Poszukiwacza Prawdy? I Miecz Prawdy? Jak tam byłaś? Spojrzała na niego, marszcząc czoło.

- A wiesz, że tak. Moja matka była czarodziejką. Poszła do Aydindril, żeby zapytać o coś Pierwszego Czarodzieja, choć pojęcia nie mam o co. Szliśmy jednym z tych wałów obronnych do Wieży Pierwszego Czarodzieja. Miał swoje pomieszczenia, w których trzymał najrozmaitsze dziwy. Pamiętam ten lśniący, połyskujący miecz.

Wyglądało na to, że raduje ją opowiadanie o tym, więc zapytał:

- Jakie to było? Wieża Pierwszego Czarodzieja? I Miecz Prawdy?

- No cóż...- Dotknęła palcem podbródka, zastanowiła się i zaczęła opowiadać.

## ROZDZIAŁ 37

Dalton Campbell pochylił się, żeby zanurzyć pióro w kałamarzu, i ujrzał wkraczające do jego biura kobiece nogi. Jeszcze zanim podniósł wzrok, poznał po grubych kostkach, że to Hildemara Chanboor. W całym swoim życiu nie spotkał kobiety o nogach mniej ponętnych niż nogi żony ministra, ale może kiedyś taką pozna. Odłożył pióro, uśmiechnął się i wstał.

- Proszę wejść, lady Chanboor.

W pierwszym pomieszczeniu stał w blasku porannego słońca Rowley, gotowy przywołać posłańców, gdyby adiutant miał dla nich jakieś polecenia. Polecień na razie nie było, lecz pewnie będą, skoro Hildemara Chanboor składa mu wizytę.

Kobieta zamknęła drzwi, a Dalton Campbell obszedł biurko i przysunął jej wygodny fotel. Żona ministra ubrana była w wełnianą słomkowożółtą suknię. Kolor ten nadawał jej cerze niezdrowy wygląd. Spódnica sięgała do połowy łydek pękatych, słupowatych nóg.

Hildemara Chanboor spojrzała przelotnie na fotel, lecz nie usiadła.

- Miło cię widzieć, lady Chanboor. Przywołała uśmiech na wargi.

- Czy zawsze musisz być taki sztywny, Daltonie? Znamy się już tak długo, że możesz do mnie mówić Hildemaro. - Otworzył usta, żeby jej podziękować, ale dodała: - Kiedy jesteście sami.

- Oczywiście, Hildemaro.

Hildemara Chanboor nigdy nie składała wizyt, by zadawać pytania w przyziemnych, służbowych sprawach. Pojawiała się niczym zimny wiatr przed burzą. Dalton uznał, że lepiej pozwolić, by niepogoda rozwijała się według własnych zasad i bez jego pomocy. Postanowił również utrzymać spotkanie na bardziej oficjalnej płaszczyźnie, pomimo zachęty Hildemary, żeby mówił jej po imieniu.

Lady Chanboor zmarszczyła czoło, jakby coś rozproszyło jej uwagę. Sięgnęła po jakąś nitkę leżącą na ramieniu Daltona. Wpadający przez okna słoneczny blask zalśnił w klejnotach zdobiących jej palce i w krwistoczerwonym rubinowym naszyjniku na głębokim dekolcie. Suknia nie była aż tak głęboko wycięta jak stroje kobiet na ostatniej uczcie, ale Dalton i tak uważał, że odsłania zbyt wiele.

Hildemara kobiecym gestem zdjęła nitkę i wygładziła materiał na jego ramieniu. Campbell zerknął, ale nic nie zobaczył. Jej dłoń delikatnie przycisnęła tkaninę surduta do ramienia mężczyzny.

- No, no, Daltonie, ależ wspaniałe masz ramiona. Umięśnione i jędrne. - Spojrzała mu w oczy. - Szczęściara z twojej żony, że ma tak hojnie obdarzonego przez naturę męża.

- Dziękuję, Hildemaro. - Ostrożność sprawiła, że powstrzymał się przed wypowiedzeniem innego słowa.

Jej dłoń przesunęła się z ramienia na policzek, a ozdobione pierścieniami palce pogładziły twarz Daltona.

- Taaak, szczęściara z niej.

- To twój mąż jest szczęściarzem. Zarechotała i cofnęła rękę.

- Tak, często ma szczęście. Ale, jak mówią, to, co powszechnie uważa się za szczęście, jest przeważnie ledwie efektem ustawicznego treningu.

- Mądre słowa, Hildemaro.

Cyniczny śmiech umilkł, a ręka zajęła się kołnierzem adiutanta, jakby wymagał poprawienia. Potem dłoń zbłądziła na kark, palec zaś musnął brzeg ucha Daltona.

- Słyszałam, że żona dochowuje ci wierności.

- Jestem szczęściarzem, moja pani.

- I że ty też jesteś jej wierny.

- Szczerze ją kocham i szanuję złożone przysięgi.

- Jakież to niezwykle. - Uśmiechnęła się szerzej i uszczypnęła go w policzek. Pomyślał, że to bardziej karcący niż swawolny gest. - Liczę na to, że kiedyś przekonam cię, byś nie był taki... nazwijmy to: zacofany.

- Jeśli w ogóle jakaś kobieta mogłaby mnie przekonać do większej swobody, to z pewnością byłabyś nią ty, Hildemaro.

Poklepała go po policzku i znów zaśmiała się cynicznie.

- Ależ z ciebie wyjątkowy mężczyzna, Daltonie.

- Dziękuję, Hildemaro. W twoich ustach brzmi to jak prawdziwy komplement.

Głęboko zaczerpnęła powietrza, najwyraźniej chciała zmienić nastrój.

- I wykonałeś znakomitą robotę z Claudine Winthrop i dyrektorem Linscottem. Nie przypuszczałam, że ktoś potrafi za jednym zamachem tak zręcznie przeciąć dwa wrzody.

- Zrobiłem, co mogłem, dla ministra i jego uroczej żony. Spojrzała na niego z zimnym wyrachowaniem.

- Długi język tej kobiety upokorzył żonę ministra.

- Nie sądzę, by ona jeszcze kiedyś...

- Chcę, żeby wreszcie był z nią koniec. Dalton przekrzywił głowę.

- Słucham???

Twarz Hildemary Chanboor przybrała twardy wyraz.

- Zabij ją.

Campbell wyprostował się sztywno i splótł ręce za plecami.

- Mogę zapytać, z jakiego powodu tego żądasz?

- Postępki mojego męża to jego sprawa. Stwórca wie, że jest on, jaki jest, i że nic oprócz kastracji go nie zmieni. Ale nie zniosę, by jakieś kobiety upokarzały mnie przed domownikami, robiąc ze mnie głupią. Dyskretne folgowanie sobie to jedno, głośne opowieści czyniące ze mnie obiekt szeptów i żarcików to zupełnie co innego.

- Nie sądzę, Hildemaro, żeby paplanina Claudine postawiła cię w niekorzystnym położeniu. Nie to przecież miała na celu: chciała tylko ujawnić niewłaściwy postępек Bertranda. Zapewniam cię, że Claudine została uciszona i straciła zaufanie ludzi mających władzę.

- Ależ jesteś szarmancki, Daltonie.

- Wcale nie, Hildemaro. Chciałbym ci tylko wykazać... Znów zacisnęła dłoń na jego kołnierzu, tym razem jednak już mało delikatnie.

- Stała się przedmiotem czci tych głupków, którzy uwierzyli w stek bzdur o głodujących dzieciakach i pracy dla potrzebujących, którą zapewni to jej prawo. Tłoczą się pod jej drzwiami, proszą o względy. Takie uwielbienie przez lud jest groźne, Daltonie. To daje jej władzę. Gorsze wszelako były jej oskarżenia. Opowiadała ludziom, że Bertrand ją zniewolił. A to się równa gwałtowi.

Campbell wiedział, do czego zmierza, lecz wolał, aby sama ubrała to w słowa, jasno wyłuszczyła powody swoich żądań. Dzięki temu będzie miał potem w kołczanie więcej strzał, niż trzeba, a ona nie będzie mogła tak łatwo zaprzeczyć i zostawić go na pastwę losu, gdyby to odpowiadało jej celom lub, co gorsza, kaprysowi.

- Oskarżenie o gwałt skłoni tylko ludzi do ziewnięcia, nic poza tym - powiedział Dalton. - Łatwo mogę ich przekonać, że to po prostu jeden z

przywilejów człowieka, na którym spoczywa olbrzymia odpowiedzialność i który musiał w nieszkodliwy sposób rozładować napięcie. Nikt nie będzie mu wyrzucał czynu, który w gruncie rzeczy nikomu nie wyrządził szkody. Mógłbym łatwo dowieść, że minister stoi ponad zwyczajowym prawem. Hildemara mocniej zacisnęła dłoń na jego kołnierzu.

- Ale Claudine można sprowadzić do Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni i zachęcić, żeby złożyła zeznania. Dyrektorzy lękają się potęgi Bertranda i jego umiejętności. Mnie także zazdroszczą. Mogłoby im przyjść do głowy, żeby potraktować sprawę tej kobiety jako występki przeciwko Stwórcy, choćby nawet nie podlegała powszechnemu prawu. A taki domniemany występki wobec Stwórcy mógłby zdyskwalifikować Bertranda jako kandydata na Suwerena. Dyrektorzy mogliby zjednoczyć siły i stawić opór, a my nagle stracilibyśmy oparcie i byłibyśmy zdani na ich łaskę. I zanim byśmy się obejrżeli, musielibyśmy sobie szukać nowych kwater.

- Uważam, Hildemaro... Przysunęła jego twarz do swojej.

- Chcę, żeby ją zabito.

Dalton Campbell zawsze uważał, że wielkoduszność i życzliwość nieładnej kobiety mogą ją uczynić nadzwyczaj ponętną. Przeciwnie było z Hildemara: jej egoistyczny despotyzm i bezgraniczna nienawiść do każdego, kto stał na drodze jej ambicji, zamieniały nieliczne zalety żony ministra w straszliwą brzydotę.

- Oczywiście, Hildemaro. Tak się stanie, skoro takie jest twoje życzenie. - Dalton ostrożnie odczepił jej dłoń od swego kołnierza. - Masz jakieś specjalne życzenia co do sposobu załatwienia tej sprawy?

- Tak - wyszczała. - Żaden nieszczęśliwy wypadek. To jest morderstwo i na to powinno wyglądać. Nauczka nie będzie miała żadnej wartości, jeśli nie pojmą jej inne łóżkowe partnerki mojego męża. Chcę, żeby to było brutalne. Coś, co otworzyłoby tym kobietom oczy. Żadne tam „zmarła spokojnie we śnie”.

- Rozumiem.

- Musimy mieć w tej sprawie zupełnie czyste ręce. Na biura ministra nie mogą paść żadne podejrzenia, lecz życzę sobie, by była to pokazowa lekcja dla tych, którym mogłoby przyjść do głowy, żeby mleć językiem.

Dalton już rozważał w myślach pewien plan. To spełniłoby wymagania. Nikt nie wzięłby tego za wypadek, na pewno byłoby brutalne, a poza tym

Dalton doskonale wiedział, kogo wskazałoby, gdyby trzeba było kogoś wskazać. Musiał przyznać, że Hildemara ma mocne argumenty. Dyrektorzy ujrzeni błysk topora ministra. Mogliby uznać, że w ich dobrze pojętym interesie leży, by odpowiedzieli tym samym. Claudine istotnie mogłaby sprowadzić kłopoty. Nie wolno dopuścić, by taka potencjalnie groźna osoba pozostawała na wolności. Campbell żałował, że należało tak postąpić, lecz pojmował, iż to konieczne.

- Jak sobie życzysz, Hildemaro. Uśmiech wrócił na jej wargi.

- Jesteś tu krótko, Daltonie, ale zdążyłam nabrać podziwu dla twojej zręczności. I jeśli w ogóle mogę w czymkolwiek ufać Bertrandowi, to wyłącznie w tym, że potrafi wynajdować ludzi, którzy dobrze wykonują powierzone im zadania. Musi być dobry w wyszukiwaniu takich ludzi, rozumiesz, bo inaczej sam musiałby się wszystkim zajmować, a to zmusiłoby go do opuszczenia, delikatnie mówiąc, ramion kolejnej kokiety. Coś mi się wydaje, Daltonie, że to chyba nie przesadne przywiązanie do uczciwości zaprowadziło cię na to stanowisko?

Campbell był pewny, że dyskretnie zebrała o nim wiadomości. Już wiedziała, że podoła temu zadaniu. Co więcej, nie ryzykowałaby takiej prośby, gdyby nie była przekonana, że on ją spełni. Byli i inni, do których mogła się udać. Delikatnie dołączył nową nić do swojej pajęczyny.

- Poprosiłaś mnie o przysługę, Hildemaro. Zadośćuczynienie twojej prośbie leży w moich możliwościach.

To nie była żadna przysługa i oboje o tym wiedzieli - to był rozkaz. Jednak chciał ją bardziej związać z czynem, choćby tylko w jej pamięci. Takie ziarno mogło wydać owoce.

Zlecenie morderstwa było o wiele gorsze niż oskarżenie o jakiś tam gwałt. Pewnego dnia Dalton może potrzebować czegoś, co należy do jej sfery wpływów.

Hildemara uśmiechnęła się z zadowoleniem i przytknęła dłoń do jego policzka.

- Wiedziałem, że jesteś właściwym człowiekiem do tej roboty. Dziękuję, Daltonie.

Skłonił głowę.

Zachmurzyła się jak słońce chowające się za chmury. Jej dłoń przesunęła się po twarzy Campbella, wreszcie palec uniósł mu podbródek.

- I pamiętaj, że choć nie mogę wykastrować Bertranda, to ciebie już tak, Daltonie. Kiedy tylko zechcę.

Dalton uśmiechnął się.

- Więc postaram się nie dawać ci do tego powodu, moja pani.



## ROZDZIAŁ 38

Fitch podrapał się w ramię przez sztywne od brudu odzienie pomywacza. Dopóki nie wdział na chwilę uniformu posłańca, nawet nie uświadamiał sobie, jakie łachy nosił. Cieszył go szacunek, jaki okazywano mu jako posłańcowi. Nie chodziło o to, że stał się kimś ważnym, albo coś w tym rodzaju, ale większość ludzi szanowała posłańców, bo wykonywali odpowiedzialne zadania. Pomywaczy zaś nikt nie szanował.

Nie cierpiał wkładać starego ubioru. To było tak, jakby wracał do starego życia, a on wcale tego nie chciał. Ale uwielbiał pracować dla Daltona Campbella i zrobiłby wszystko, byle tylko utrzymać tę robotę.

A do tego były niezbędne jego dawne łachy.

Z odległej gospody doleciała słodka muzyka lutni. Pewno z gospody Pod Wesółkiem, przy ulicy Wavern, domyślił się Fitch. Często śpiewał tam minstrel.

Przenikliwe tony trzcinowej piszczałki zakłócały ciszę nocy. Od czasu do czasu piszczałka milkła, a wtedy minstrel śpiewał ballady, których słów i tak nie można było rozróżnić ze względu na odległość. Za to melodia była rytmiczna i miła dla ucha. Sprawiała, że serce Fitcha szybciej biło.

Chłopak obejrzał się za siebie i w księżycowej poświacie dostrzegł ponure oblicza reszty posłańców. I oni przywdziali stroje z poprzedniego okresu swojego życia. Fitch zamierzał pozostać przy nowej roli. Nie sprawi im zawodu. Choćby nie wiem co, nie sprawi im zawodu.

Wyglądali na bandę oberwańców. W tych strojach nikt by ich nie rozpoznał. Nikt nie odróżniłby ich od innych młodych, rudych Hakenów w łachmanach. W Fairfield zawsze kręciło się sporo młodych Hakenów, którzy mieli nadzieję, że ktoś choć na krótko wynajmie ich do jakiejś pracy. Często przepędzano ich z ulic, na których się zbierali. Jedni wędrowali na wieś, żeby pomagać na farmach, inni znajdowali pracę w Fairfield, choćby i na jeden dzień, jeszcze inni szli na tyły budynkowi pili lub czekali na noc, żeby rabować ludzi. Ci ostatni nie żyli zbyt długo, jeśli złapała ich straż miejska - a zwykle łapała.

Zaskrzypiały buty Morleya, który przykucnął obok Fitcha. Pewno przerzucił ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Fitch, tak jak pozostali, włożył

buty, chociaż stanowiły część jego nowego uniformu. Ludzie po butach nikogo nie wskażą.

Morley nie był jeszcze posłańcem, ale pan Campbell poprosił go, żeby dołączył do Fitcha i pozostałych, którzy nie wyruszyli akurat z wieściami do odległych miejscowości. Chłopak był rozczarowany, że nie został posłańcem w tym czasie co Fitch. Ten powtórzył mu słowa adiutanta, że Morley będzie pomocny w rozmaitych innych zadaniach i że kiedyś pewnie zostanie posłańcem. Jak na razie, były to dla Morleya dobre widoki.

Nowi przyjaciele Fitcha byli całkiem sympatyczni, ale chłopak był zadowolony, że Morley też tu jest. Długo byli razem pomywaczami. To coś znaczyło. Jak się z kimś przez całe lata upijałeś, to jest między wami mocna więź - tak przynajmniej pojmował to Fitch. Wyglądało na to, że Morley uważa tak samo i że jest zadowolony, iż dostał to zadanie i będzie się mógł wykazać.

Fitch bał się, ale mimo to i on nie zamierzał zawieść Daltona Campbella. Co więcej, on i Morley mieli powody, żeby dobrze wykonać to zadanie. Dla obu - w przeciwieństwie do pozostałych mężczyzn - była to sprawa osobista. Ale i tak Fitchowi pociły się dłonie i musiał je co chwilę wycierać o kolana.

Morley szturchnął chłopaka. Ten wyjrzał ostrożnie na słabo oświetloną ulicę biegnącą wzdłuż rzędu dwu - i trzypiętrowych kamiennych domów. Zobaczył, jak Claudine Winthrop wychodzi na podest przy jednym z nich. Był przy niej mężczyzna, dokładnie tak, jak powiedział pan Campbell: elegancko ubrany Anderyjczyk z mieczem u boku. Wąska pochwa świadczyła, że był to lekki miecz. Szybki i śmiercionośny, pomyślał Fitch, wymieniając z nim w wyobraźni kilka sztychów.

Wysoki Anderyjczyk zszedł z podestu, a wtedy podszedł do niego Rowley w uniformie posłańca i podał mu zwinięte pismo. Rowley i mężczyzna rozmawiali, kiedy ten ostatni łamał pieczęć i rozwijał kartkę papieru, ale Fitch był za daleko, żeby usłyszeć słowa.

Z odległej gospody znów dobiegła ich muzyka. Pod Wesółkiem minstrel śpiewał i grał na lutni oraz na piszczałce. Przechodzący ulicą ludzie, przeważnie odziani w lekkie surduty lub szale, rozmawiali i śmiali się. Zgromadzeni w jakimś pomieszczeniu mężczyźni co chwilę śmiali się chórem. Elegancko odziani ludzie przejeżdżali w powozach z opuszczonymi budami. Przejeżdżały konie i wozy, szczęk i tętent wzmagały hałas panujący

na rogatkach Fairfield.

Anderyjczyk wepchnął pismo do kieszeni ciemnej kurty i gestykulując, powiedział coś do Claudine Winthrop. Ta spojrzała na ulicę wiodącą ku Fairfield i potrząsnęła głową. Wskazała ku posiadłości, ku drodze, przy której czekali Fitch i inni posłańcy w swoich starych łachach. Uśmiechała się, najwyraźniej była w dobrym nastroju. Mężczyzna uścisnął jej dłoń, jakby życzył jej dobrej nocy. Pomachała mu na pożegnanie, kiedy pospieszył ulicą w stronę miasta.

Dalton Campbell przysłał wiadomość przez Rowleya. Ten doręczył pismo i zniknął. Wcześniej pouczył ich, jak to ma się odbyć. Zawsze przekazywał im instrukcje. Jeśli w pobliżu nie było pana Campbella, to właśnie Rowley zawsze wiedział, co trzeba zrobić.

Fitch lubił Rowleya. Jak na Hakena, młodzian był bardzo pewny siebie. Dalton Campbell odnosił się z szacunkiem do wszystkich, ale tego posłańca darzył może odrobinę większym niż innych. Gdyby Fitch był ślepy, mógłby uznać Rowleya za Anderyjczyka. Wyjąwszy to, że traktował Fitcha uprzejmie, chociaż oficjalnie.

Claudine Winthrop ruszyła samotnie ku posiadłości. Dwaj strażnicy miejscy, potężni, uzbrojeni w pałki Anderyjczycy, szli w górę ulicy i patrzyli, jak kobieta odchodzi. Posiadłość nie była daleko. O jakąś godzinę drogi.

Noc była przyjemna - na tyle ciepła, żeby było miło iść, lecz nie na tyle gorąca, by się przy tym spocić. Świecił księżyc. Wspaniała noc na krótki spacer ku posiadłości. Claudine otuliła ramiona kremowym szalem, choć nie była tak głęboko wydekoltowana jak ostatnio. Mogła usiąść na ławce i poczekać na jeden z powozów krążących regularnie między miastem a posiadłością, lecz nie zrobiła tego. Właściwie nie było to konieczne. Jeśli zmęczy się spacerem, zawsze będzie mogła wsiąść do powozu, który się z nią zrówna.

Rowley miał zadbać, żeby powóz z jakiegoś powodu się spóźnił.

Fitch czekał razem z innymi tam, gdzie kazał im Rowley, i patrzył, jak Claudine Winthrop zwawo maszeruje drogą. Muzyka dźwięczała mu w głowie. Jej rytm łączył się z rytmem jego serca. Patrzył na zbliżającą się kobietę i wybijał palcem na kolanie rytm skocznej śpiewki zwanej *Gonili się dokola*. Opowiadała o chłopaku goniącym swoją ukochaną, która nie zwracała na niego uwagi. W końcu miał tego dość i ścigał ją, dopóki jej nie pochwycił.

Wtedy mocno ją przycisnęła i poprosił, żeby za niego wyszła. Zgodziła się. Ale potem chłopak stracił ochotę i to dziewczyna goniła jego.

Claudine zbliżała się, coraz mniej zadowolona, że postanowiła iść samotnie. Spojrzała na pola pszenicy po prawej i na pola sorga po lewej. Światła miasta niknęły w oddali, więc przyspieszyła kroku. Jedynie poświata księżycyca towarzyszyła jej na tej drodze wijącej się wśród pól.

Fitch, kucając na piętach, czuł, jak się kołysze. Serce mu łomotało. Żałował, że jest tutaj i musi zrobić to, co musi zrobić. Potem już nic nie będzie takie samo. Zastanawiał się również, czy potrafi zrobić to, co mu nakazano. Czy będzie miał odwagę. W końcu tamtych było aż nadto. Nie musiałby nic robić. Oni zrobiliby wszystko. Ale Dalton Campbell chciał, żeby on to zrobił. Żeby się nauczył, co należy zrobić, kiedy ludzie nie dotrzymują obietnic. Chciał, by Fitch należał do zespołu posłańców. I dlatego chłopak musi to zrobić. Żeby naprawdę zostać jednym z posłańców. Oni nie baliby się tak jak on. Nie wolno mu okazać strachu.

Chłopak zdrętwiał i wielkimi oczami patrzył na nadchodzącą Claudine, której buty chrzęściły na żwirze. Na samą myśl o tym, co się zaraz stanie, ogarniała go coraz większa panika. Kobieta była jeszcze dość daleko. A takie się to wszystko wydawało proste, kiedy kiwając głową, słuchał instrukcji Daltona Campbella. To się wydawało takie proste, kiedy stał w biurze adiutanta, a ten wszystko tłumaczył. Za dnia. To było proste za dnia. Przecież Fitch ją ostrzegł. To nie jego wina, że sprzeciwiła się nakazom.

Ale w mroku, pośród pól, kiedy chłopak patrzył, jak ona jest coraz bliżej, zupełnie sama, wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Zacisnął zęby. Nie zawiedzie tamtych. Będą z niego dumni, gdy okaże się równie twardy jak oni. Pokaże im, że może być jednym z nich.

To było jego nowe życie. Nie chciał wracać do kuchni. Do Gillie, która wykręcała mu ucho i łajała za jego wstrętne hakeńskie obyczaje. Do bycia „Fetchem”, jak przedtem, zanim Dalton Campbell dał mu szansę.

Fitch o mało nie wrzasnął z przerażenia, kiedy Morley poderwał się i rzucił ku nadchodzącej kobiecie. Chłopak skoczył za przyjacielem, nim zdążył pomyśleć, co robi.

Claudine zachłysnęła się oddechem. Chciała krzyknąć, ale Morley zatkał jej usta mięsistą łapą, kiedy złapali ją z Fitchem. Upadli i Fitch boleśnie uderzył łokciem o ziemię. Morley całym ciężarem padł na Claudine, aż

stęknęła. Wymachiwała ramionami. Kopała. Próbowwała krzyczeć, lecz niezbyt się jej udawało. Poza tym i tak niewiele by jej to dało, bo byli wystarczająco daleko od miasta.

Rzucała się i walczyła z całych sił. Wreszcie Fitch złapał jedno jej ramię i wykręcił do tyłu. Morley chwycił ją krzepko za drugie i postawił szarpnięciem na nogi. Fitch związał przeguby Claudine za plecami, a Morley wepchnął jej knebel do ust i zawiązał szmatę z tyłu głowy.

Obaj chwycili ją pod pachy i powlekli drogą. Wbijają w ziemię obcasy, rzucała się i wrywała. Wyłonili się pozostali. Dwóch złapało Claudine za nogi i unieśli ją. Trzeci chwycił kobietę za włosy.

Potem piątka trzymająca porwaną i pozostali, którzy otaczali ich ciasnym kręgiem, pobiegli jeszcze około pół mili drogą, byle znaleźć się dalej od miasta. Przerazona Claudine Winthrop wrzeszczała, lecz knebel tłumił dźwięki. Cały czas gwałtownie się szarpała.

Po tym, co zrobiła, miała powody do takiego przerażenia.

Wreszcie miasto zniknęło. Odeszli jeszcze kawałek i skręcili w prawo, w pole pszenicy. Chcieli być z dala od drogi, na wypadek gdyby ktoś nadszedł. Nie mieli ochoty zniecka ujrzeć nadjeżdżającego powozu. Nie mogli jej rzucić i uciec. Daltonowi Campbellowi nie spodobałoby się, że spaprali robotę.

Zeszli z łagodnego wzniesienia i uznali, że tu nareszcie będą poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku i słuchu. Cisnęli Claudine na ziemię. Knebel tłumiał jej krzyki. Fitch widział w blasku księżyca jej szeroko otwarte oczy - była niczym prosię czekające na zaszlachtowanie.

Chłopak dyszał, nie tyle jednak ze zmęczenia, ile z przerażenia tym, co robili. Krew szumiała mu w uszach, serce tłukło się o żebra. Czuł, jak drżą mu kolana.

Morley postawił Claudine Winthrop i podtrzymał ją.

- Ostrzegałem cię - powiedział Fitch. - Zgłupiałaś? Przecież cię ostrzegałem, żebyś skończyła z tymi podłymi oskarżeniami pod adresem Ministra Spraw Duchowych. To kłamstwo, że minister cię zgwałcił, i obiecałaś, że przestaniesz je rozpowiadać, a teraz złamałaś słowo.

Kobieta energicznie potrząsała głową. To, że próbowała wszystkiemu zaprzeczać, tylko wzmogło determinację Fitcha.

o - Mówiłem ci, żebyś nie opowiadała tych podłych kłamstw o Ministrze

Spraw Duchowych! Obiecałaś, że nie będziesz! Powiedziałaś mi, że nie będziesz. A teraz znów mielesz jęzorem rozpoviadasz te same nienawistne kłamstwa.

- Mówiłeś jej, Fitch - odezwał się jeden z tamtych.

- To prawda. Fitch ma rację - dorzucił drugi.

- Dałeś jej szansę - dodał kolejny.

Kilku z nich klepnęło Fitcha w plecy. Uradowało go, że są z niego dumni. Poczul się ważny.

Potrząsnęła głową. Tak mocno ściągnęła brwi, że nad nosem zrobił się jej wałek ze skóry.

- Słusznie mówią - stwierdził Morley, potrząsając Claudine. - Byłem tam. Słyszałem, jak cię ostrzegał. Powinnaś była zrobić, co ci kazano. Fitch dał ci szansę, z całą pewnością.

Gwałtownie starała się coś powiedzieć. Fitch wyszarpnął jej knebel, który teraz zwisał kobiecie z brody.

- Nie! Potem już nic nie mówiłam! Przysięgam, panie! Już nic nie powiedziałam po tym, jak mi zabroniłeś! Przysięgam! Błagam! Musisz mi uwierzyć! Kiedy kazałeś mi milczeć, to milczałam! Nikomu nie pisnęłam ani słowa! Naprawdę!

- Gadałaś! - Fitch mocno zacisnął dłonie. - Pan Campbell powiedział nam, że gadałaś. Teraz jeszcze nazywasz pana Campbella kłamcą?

Potrząsnęła głową.

- Nie! Błagam cię, panie, uwierz mi! - Zaczęła szlochać. - Zrobiłam, co kazałeś, panie.

Fitcha rozwścieczyły jej zaprzeczenia. Przecież ją ostrzegł. Dał jej szansę. Pan Campbell dał jej szansę, a ona dalej rozsiewała te zdradzieckie kłamstwa. Nawet to jej „panie” już go nie zachwycało. Za to obecność pozostałych zagrzewała do czynu. Chłopak nie chciał już słuchać jej kłamstw.

- Mówiłem ci, żebyś zamknęła buzię na kłódkę! Nie posłuchałaś!

- Posłuchałam - wychlipała, wisząc w ramionach Morleya. - Posłuchałam. Nic nikomu nie powiedziałam. Nigdy nie powiedziałam...

Fitch z całej siły uderzył ją pięścią w twarz. W środek twarzy. Z całej siły. Poczul, jak pęka kość. Zabolęła go pięść, ale ledwie to czul. Obficie popłynęła krew.

- Dobry cios, Fitch! - zawołał Morley, którego aż odrzuciło do tyłu. Inni

go poparli. - Przyłóż jej jeszcze raz!

Chłopak, dumny z pochwały, dał się ponieść wściekłości. Zamierzył się. Próbowała zaszkodzić Daltonowi Campbellowi i ministrowi, przyszłemu Suwerenowi. Wyładował swój gniew na tej Anderyjce.

Siła drugiego ciosu w twarz wyrwała Claudine z rąk Morleya. Upadła na ziemię, na bok. Fitch zobaczył, że żuchwa wyskoczyła jej ze stawów. Nie poznawał już twarzy kobiety - miała rozplaszczony nos, obficie krwawiła.

Zszokowanemu chłopakowi wydawało się, że obserwuje kogoś innego przy mokrej robocie.

Teraz, jak sfera psów, rzucili się na nią pozostali. Morley był najsilniejszy i zawzięty. Podnieśli ją. Bili wszyscy naraz. Ciosy kołysały jej głowę to w jedną, to w drugą stronę. Zginała się wpool od razów w brzuch. Wtedy uderzali ją w nerki. Spadał na nią grad ciosów, który w końcu wyrwał Claudine z podtrzymujących ją rąk i powalił na ziemię. Wtedy zaczęli ją kopać. Morley kopnął leżącą w potylicę, inny wskoczył na jej przekręconą w bok głowę. Reszta kopała z taką siłą, że ciało kobiety unosiło się z ziemi lub toczyło to tu, to tam. Odgłosy razów - głuche i straszne - niemal zagłuszały wywołane wysiłkiem stęknięcia bijących.

Fitch kopnął ją w zębra. Wydawało mu się, że jest w jakimś spokojnym miejscu i stamtąd przygląda się wszystkiemu. Wydarzenia budziły w nim obrzydzenie, ale jednocześnie podniecały go. Razem z innymi porządnymi chłopakami był częścią czegoś ważnego: wykonywali doniosłe zadanie dla Daltona Campbella i dla Ministra Spraw Duchowych - przyszłego Suwerena.

Lecz jakaś część Fitcha cierpiała z powodu tego, co się działo. Ta część chciała, żeby uciekł stąd z krzykiem. Żeby nigdy nie zobaczyli, jak Claudine wychodzi z tamtego domu.

Za to inna część Fitcha była tym wszystkim ogromnie podekscytowana. Podniecała go myśl, że bierze udział w takim zadaniu, że jest jednym z mężczyzn, którzy wykonują misję.

Nie miał pojęcia, jak długo to trwało. Zdawało mu się, że całą wieczność.

Słodka wy, duszący odór krwi wypełnił nozdrza Fitcha i nawet kleił mu się do języka. Krew oblepiła ich odzienie. Przyłgnęła do pięści. Ochlapała twarze.

To mocne przeżycie nappełniło Fitcha poczuciem koleżeństwa. Śmiali się, rozradowani swoim braterstwem.

Zamarli, usłyszawszy turkot zbliżającego się powozu. Stali zadyszani, z błędnymi oczami i nasłuchiwali.

Powóz zatrzymał się.

Uciekli, zanim przekonali się, dlaczego stanął i czy ktoś nadchodzi. Pognali do odległego stawu, żeby zmyć krew.



## ROZDZIAŁ 39

Dalton usłyszał pukanie i podniósł wzrok znad raportu.

- Tak?

Drzwi otwarły się i do gabinetu wsunęła się ruda głowa Rowley a.

- Jest tu ktoś, kto chciałby się z panem zobaczyć, panie Campbell. Mówi, że nazywa się Inger i że jest rzeźnikiem.

Adiutant był zajęty i nie miał ochoty roztrząsać kuchennych problemów. I tak miał na głowie wystarczająco dużo spraw, którymi musiał się zająć. Cała gama kłopotów - od drobnostek, do naprawdę poważnych - wymagała jego uwagi.

Morderstwo Claudine Winthrop wywołało wielkie poruszenie. Była osobą bardzo znaną i lubianą. Była kimś ważnym. W mieście wrzało. Jeśli jednak ktoś wie, jak radzić sobie z podobnymi sprawami, zamieszanie daje mu dogodną okazję. Dalton Campbell był w swoim żywiole.

Postarał się, żeby Stein przemawiał do dyrektorów Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni dokładnie w tym czasie, kiedy popełniono morderstwo. Dzięki temu nikt nie mógł go o nic podejrzewać, a człowiek w pelerynie z ludzkich skalpów, nawet jeżeli były to łupy wojenne, na pewno wzbudzał podejrzenia.

Strażnicy miejscy zaświadczyli, że widzieli, jak Claudine Winthrop opuszcza Fairfield i wyrusza pieszo do posiadłości: takie spacerunki były normalne, nawet nocą. Droga wiodąca do posiadłości była bardzo uczęszczana i dotąd uważano ją za całkowicie bezpieczną. Strażnik doniósł też, że młodzi Hakeni zebrali się w nocy, której popełniono morderstwo, i pili. Ludzie, rzecz jasna, uznali, że to oni napadli na Claudine i okrzyknęli cały incydent kolejnym dowodem hakeńskiej nienawiści do Anderyjczyków.

Strażnicy eskortowali teraz ludzi idących pieszo nocą.

Gremialnie żądano, by minister zrobił coś w tej sprawie. Edwin Winthrop, wstrząśnięty zamordowaniem żony, był złożony chorobą i z łża boleści słał pisma, domagając się sprawiedliwości.

Aresztowano kilku młodych mężczyzn, ale wypuszczono ich, gdyż zostało dowiedzione, że w noc morderstwa pracowali na farmie. Następnego wieczoru mężczyźni, którym rum dodał odwagi, wyruszyli z gospody na

poszukiwanie „hakeńskich morderców”. Znaleźli kilku młodych Hakenów, uznali, że są winni, i pobili ich na śmierć, zagrzewani radosnymi wrzaskami gapiów.

Dalton napisał dla ministra kilka przemówień i wydał w jego imieniu rozkazy dotyczące środków bezpieczeństwa. Morderstwo dało ministrowi pretekst, by w płomiennych mowach napomknąć o tych, którzy sprzeciwiali się jego wyborowi na Suwerena, bo jakoby zachęca do lekceważenia prawa, a tym samym do przemocy. Chanboor domagał się ustanowienia surowszego prawa przeciwko „złośliwym językom”. Jego pisma do Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni, o ile nie nowe prawa, zastraszyły dyrektorów, którzy patrzyli podejrzliwie na ministra.

Przemawiając do tłumów, które gromadziły się, żeby go słuchać, Bertrcind Chanboor apelował o nowe środki do walki z przemocą. Nigdy nie mówił, o jakie właściwie środki chodzi i jedynie z rzadka podejmowano konkretne działania. Płomienna przemowa wystarczała, by przekonać lud, że minister był stanowczy i skuteczny. Liczyło się wyłącznie to, jak postrzegano Ministra Spraw Duchowych. Wyidealizowany obraz można było uzyskać łatwo i bez wysiłku, nigdy też nie był on weryfikowany. Trzeba będzie, rzecz jasna, podnieść podatki, by uzyskać dodatkowe fundusze na nowe środki zaradcze. To był znakomity sposób: opozycję ukazywano jako sprzyjającą przemocy i równie brutalną jak hakeńscy suzereni oraz mordercy Minister i Dalton Campbell zdobywali kontrolę nad jeszcze większą częścią gospodarki. A taka kontrola to władza.

Bertranda zachwycało przebywanie w centrum wydarzeń, wydawanie rozkazów, demaskowanie zła, zwoływanie zatroskanych obywateli, uspokajanie ludu. Cała sprawa prawdopodobnie niebawem ucichnie, bo ludzie zajmą się czym innym i zapomną o morderstwie.

Hildemara była szczęśliwa, a na tym najbardziej zależało adiutantowi.

Rowley nie cofnął głowy, czekał.

- Powiedz Ingerowi, żeby zwrócił się do mistrza Drummonda - powiedział Campbell, biorąc kolejne pismo. - Drummond jest kuchmistrem i to on odpowiada za ucztę. Dałem mu listę instrukcji. Powinien wiedzieć, jak zamawiać mięso.

- Dobrze, panie.

Drzwi się zamknęły i ciszę gabinetu zakłócał jedynie łagodny szum

wiosennego deszczu. Taki deszcz jest dobry dla plonów.

Urodzaj uciszy skargi na brzemię nowych podatków. Dalton odchylił się na oparcie krzesła i zaczął czytać otrzymane pisma.

Osoba, która przysłała tę wiadomość, widziała uzdrowicieli zdążających do rezydencji Suwerena. Człowiek ten nie zdołał porozmawiać z uzdrowicielami, lecz napisał, że spędzili w rezydencji władcy całą noc.

Ale ich pomocy mógł potrzebować ktoś inny, nie tylko Suweren. W końcu władca miał liczną służbę - niemal tak liczną jak ta w posiadłości ministra, tyle że pracującą wyłącznie dla niego. Wszelkie sprawy, o ile przypadły Suwerenowi, załatwiano w oddzielnym budynku. Tam też Suweren udzielał audiencji.

Nie było nic niezwykłego w tym, że uzdrowiciel czy dwóch uzdrowicieli spędzało noc przy chorym w posiadłości Ministra Spraw Duchowych. Nie świadczyło to też wcale o tym, że sam minister potrzebował ich usług. Największe niebezpieczeństwo zagrażało ministrowi ze strony jakiegoś zazdrosnego męża i było wysoce nieprawdopodobne. Mężowie raczej starali się ciągnąć korzyści ze schadzek żon z wysokimi urzędnikami. Robienie trudności nie było bezpieczne.

Gdy Bertrand zostanie w końcu Suwerenem, zniknie problem urażonych uczuć. Noc z Suwerenem to wielki zaszczyt dla kobiety - to niemal święte doznanie. Powszechnie wierzono, że takie święte związki cieszą się błogosławieństwem samego Stwórcy. Każdy mąż wepchnie żonę do łóża Suwerena, o ile ten wyrazi takie życzenie. Ten przywilej i świętość dawały poboczne efekty, których głównym beneficjentem był zawsze mąż. Jeśli święty obiekt pożądania Suwerena był dość młody, błogosławieństwo spływało na rodziców.

Dalton ponownie przeczytał poprzednią wiadomość. Od wielu dni nie widywano żony Suwerena. Nie przybyła na oficjalną wizytę do sierocińca. Może to ona była chora.

Albo siedziała przy łóżu męża.

Oczekiwanie na śmierć starego Suwerena przypominało chodzenie po linie. Pot występował na czoło, tętno było szybsze. Czekanie było zachwycające, zwłaszcza że nawet adiutant nie miał w tym wypadku nic do powiedzenia. Suwerena strzeżono zbyt dobrze, by ryzykować pomoc w przeniesieniu go do zaświatów - tym bardziej że i tak jego życie wisiało na

włosku.

Dalton mógł jedynie czekać. A w tym czasie należało wszystko starannie przygotować. Muszą być gotowi, kiedy nadejdzie czas.

Campbell zajął się kolejnym pismem, ale dotyczyło skargi jakiegoś mężczyzny, który utrzymywał, że pewna kobieta rzuciła na niego urok, by dostał podagry. Mężczyzna ten starał się uzyskać pomoc Hildemary Chanboor, powszechnie znanej ze swojej czystości i dobrych, uczynków. Był zdania, że stosunek z nią odczyniłby zły urok. Campbell zachichotał, wyobrażając sobie to spółkowanie. Człowiek ów był najwyraźniej obłąkany i nie gustował w kobietach. Adiutant zapisał jego nazwisko, żeby podać je strażom, i westchnął nad bzdurami zabierającymi mu czas.

Ponownie rozległo się pukanie.

- Tak?

W drzwiach znów ukazała się głowa Rowleya.

- Powiedziałem temu rzeźnikowi, Ingerowi, co pan kazał, panie Campbell. Ale on twierdzi, że tu nie chodzi o sprawy kuchenne. - Posłaniec zniżył głos do szeptu. - On mówi, że w posiadłości źle się dzieje i że chce o tym z panem porozmawiać, a jak go pan nie przyjmie, to pójdzie z tym do dyrektorów.

Dalton Campbell wysunął szufladę i schował do niej tajne wiadomości. Odwrócił kilka leżących na biurku raportów i wstał.

- Przyślij go.

Wszedł Inger, muskularny Anderyjczyk jakieś dziesięć lat starszy od Daltona. Pochylił w ukłonie głowę.

- Dziękuję, panie Campbell, że zechciał mnie pan przyjąć.

- Nie ma za co. Proszę wejść.

Tamten zatarł dłonie i znów kiwnął głową. Był zadziwiająco czysty, czego Dalton po rzeźniku raczej się nie spodziewał. Wyglądał na kupca. Campbell uświadomił sobie, że zaopatrywanie posiadłości to dobry interes i dlatego Inger bardziej przypomina kupca-hurtownika niż robotnika.

- Usiądźcie, proszę, mistrzu Inger. - Adiutant wskazał mu krzesło.

Rzeźnik rozejrzał się po gabinecie. Cicho gwizdnał. Drobnym kupiec, poprawił się Dalton.

- Dziękuję, panie Campbell. - Tęgi mężczyzna chwycił mięsistą dłonią oparcie krzesła i przyciągnął je bliżej biurka. - Wystarczy samo Inger. Takem

się przyzwyczał. - Skrzywił wargi w uśmiechu. - Tylko mój stary, nauczyciel nazywał mnie mistrzem Ingerem, i to zanim przyłożył mi po palcach. Zwykle, jak się nie nauczyłem czytać. Ale za rachunki nigdy nie dostawałem po paluchach. Lubiłem rachunki. I dobrze, jak się okazało. Pomagają mi teraz w interesie.

- Tak, dobrze to rozumiem - wtrącił Campbell. Inger spojrział na chorągwie bojowe i lance i podjął:

- Teraz mam dobry interes. Największym klientem jest posiadłość ministra. W takim interesie konieczne są rachunki. Muszę znać rachunki. Mam dużo pracowników. Kazałem się im nauczyć liczyć, żeby mnie nikt nie oszukał, jak dostarczają zamówienia.

- Mogę cię zapewnić, że posiadłość jest zadowolona z twoich usług. Uczty nie byłyby takie wspaniałe bez twojej cennej pomocy. Twoją chlubą są wspaniałe mięsiwa i ptactwo.

Inger uśmiechnął się, jakby go pocałowała ładna dziewczyna przy straganie na jarmarku.

- Dziękuję, panie Campbell. To bardzo uprzejme z pana strony. Racja, jestem dumny ze swojej roboty. Większość ludzi nie jest taka uprzejma jak ty i tego nie zauważa. Jesteś takim porządnym gościem, jak opowiadają.

- Robię co w mojej mocy, żeby pomagać ludziom. Jestem ich skromnym sługą. - Dalton uśmiechnął się mile. - W czym mogę pomóc, Inger? Coś poprawić w posiadłości, żeby twoja praca była lżejsza?

Rzeźnik przysunął się z krzesłem. Oparł łokieć na biurku i nachylił się. Jego ramię miało obwód równy obwodowi beczułki rumu. Zmarszczył grube brwi. Zniknęła jego nieśmiałość.

- Rzecz w tym, panie Campbell, że nie słucham plotek ludzi, co dla mnie pracują. Uczę ich moich metod dzielenia i przysposabiania mięsa, uczę ich rachować i tak dalej. Nie koleguję się z takimi, co nie wykonują porządnie swojej roboty i nie czerpią z tego dumy. Zawsze mówię, że zadowolony klient to podstawa naszego interesu. Ci, co mi nie są posłuszni, zapoznają się z moją ręką albo widzą drzwi. Niektórzy gadają, że surowy, ale taki już jestem. W tym wieku już się nie zmienię.

- Uważam, że to uczciwe stawianie sprawy.

- Ale znowu z drugiej strony - ciągnął Inger - to szanuję tych, co dla mnie pracują. Oni postępują porządnie wobec mnie, a ja wobec nich. Wiem, jak

niektórzy traktują swoich robotników, zwłaszcza Hakenów, ale ja tam nie jestem za takimi metodami. Ludzie traktują mnie jak trzeba, ja ich też. Tylko tak jest uczciwie. A skoro tak, to się zaprzyjaźniasz z tymi, co u ciebie mieszkają i dla ciebie pracują. Rozumiesz, o co mi idzie? Przez te lata stali się prawie jak rodzina. Troszczysz się o nich. To zupełnie normalne, o ile masz jakieś uczucia.

- Rozumiem...

- Niektórzy z nich to dzieciaki ludzi, co pracowali u mnie przedtem i pomogli mi zostać szanowanym rzeźnikiem. - Inger pochylił się jeszcze bliżej. - Mam dwóch synów i to niezłe chłopaki, ale czasem mi się wydaje, że bardziej się troszczę o tych, co u mnie mieszkają i pracują niż o tych dwóch chłopaków. Jedną z tych, co dla mnie pracują, jest miła dziewczuszka, Hakenka. Ma na imię Beata.

W umyśle Daltona Campbella zabrzmiały ostrzegawcze dzwonki. Przypomniał sobie hakeńską dziewczynę, którą dla swojej uciechy zaprosili na górę Bertrand i Stein.

- Beata. Nie powiem, Inger, żeby to imię mi się z kimś kojarzyło.

- Bo i jak. Ona zajmuje się kuchnią. Rozwozi też zamówienia. Ufam jej, jakby była moją córką. Jest bystra w rachunkach. Pamięta, co jej mówię. To ważne, bo Hakeni nie czytają, więc nie mogę im dawać spisu. Ważne, żeby pamiętali. Nigdy sam nie muszę dla niej przygotowywać ładunku. Mówię jej, co ma być, a ona wszystkim zajmuje się sama. Nie muszę się martwić, że coś zrobi nie tak, że ją oszukają.

- Rozumiem...

- I nagle ona nie chce dostarczać zamówień do posiadłości. Dalton patrzył, jak Inger zaciska pięść.

- Mamy tu dziś dostarczyć towar. Ważne zamówienie na ucztę. Powiedziałem jej, żeby zaprzęgała Browniego do wózka, bo zawiezie zamówienie do posiadłości. A ona powiedziała „nie”. - Inger grzmotnął pięścią w biurko. - Nie! - Rzeźnik trochę się opamiętał i poprawił świecę, która się przekrzywiła. - Nie lubię, jak mi się sprzeciwiają ci, co dla mnie pracują. Ale Beata jest jak córka. To zamiast jej przyłożyć, postanowiłem z nią pogadać. Pomyślałem, że może idzie o jakiegoś chłopaka, którego już nie lubi i nie chce więcej widzieć, albo coś w tym rodzaju. Nie zawsze pojmuję, czym sobie taka dziewczyna tak potrafi nabić głowę, że chodzi potem jak

struta. Kazałem jej usiąść i spytałem, dlaczego nie chce zawieźć zamówienia do posiadłości. Powiedziała, że nie chce, bo nie chce. A ja na to, że to nie powód. Ona, że zawiezie dwa razy tyle w inne miejsca. Że za karę będzie całą noc skubać ptactwo, ale nie pójdzie do posiadłości. Dopytywałem się, czemu nie chce iść, czy ktoś jej coś złego zrobił. Nie chciała mi powiedzieć. Odmówiła. Mówiła tylko, że już nigdy tu nie przywiezie żadnego zamówienia, i tyle. A ja jej na to, że albo mi wytłumaczy dlaczego, albo zawiezie ładunek do posiadłości, czy tego chce czy nie. Zaczęła beczeć. - Inger ponownie zwinął dłoń w pięść. - Znam Beatę od dziecka. Przez ostatnie dwanaście lat tylko raz widziałem, jak beczy. Niejeden raz głęboko skaleczyła się przy szlachtowaniu i nigdy nie beczała, nawet jak zszywałem ranę. Krzywiła się z bólu, ale nie beczała. Płakała, jak umarła jej matka. Ten jeden raz. I dopiero dziś, jakem jej kazał iść do posiadłości. To i sam przywiozłem towar. Nie wiem, panie Campbell, co to się stało, ale co by to było, skłoniło Beatę do płaczu i stąd wiem, że to nie było nic dobrego. Zawsze lubiła tu przychodzić. Szanowała ministra za to, co zrobił dla Anderithu. Była dumna z tego, że dostarcza tu zamówienia. Ale już nie jest. Znam Beatę i dlatego podejrzewam, że nie chce tu przychodzić, bo ktoś się tu z nią zabawił. Znam ją i wiem, że to było wbrew jej woli. Na pewno wbrew jej woli. Już mówiłem, że ta dziewczyna jest dla mnie prawie jak córka. Dalton nie spuszczał Ingera z oka.

- Jest Hakenką.

- A jest. - Inger też nie odrywał oczu od Campbella. - I chcę tego chłopaka, co skrzywdził Beatę, panie Campbell. Zamierzam go powiesić na rzeźnickim haku. Coś mi się wydaje, bo okropnie zawodziła, że to nie był jeden chłopak, a więcej. Może cała banda ją skrzywdziła. Wiem, że masz mnóstwo roboty, zwłaszcza że zabili tę kobietę Winthropa, niech jej duch zażywa spokoju, ale byłbym wdzięczny, gdybyś to dla mnie sprawdził. Nie puszczę tego płazem.

Dalton nachylił się i splótł dłonie leżące na biurku.

- Zapewniam cię, Inger, że nie będę tolerował takich rzeczy w posiadłości. Uważam, że to bardzo poważna sprawa. Gabinet Ministra Spraw Duchowych ma służyć ludowi Anderithu. Fatalnie byłoby, gdyby jedna lub więcej osób stąd skrzywdziły tę młodą kobietę.

- Żadne tam „gdyby” - przerwał mu Inger. - Zrobili to.

- Jasne. Zapewniam cię, że osobiście dopilnuję dochodzenia w tej

sprawie. Nie pozwolę, by ktokolwiek, Anderyjczyk czy Haken, czuł się zagrożony w posiadłości. Wszyscy powinni być tutaj całkowicie bezpieczni. Nie dopuszczę, by ktokolwiek, Anderyjczyk czy Haken, uszedł sprawiedliwości. Musisz jednak zrozumieć, że przede wszystkim powinienem się zająć sprawą morderstwa owej znamienitej kobiety i związanym z tym zagrożeniem życia innych ludzi, także Hakenek. Miasto wrze z tego powodu. Ludzie oczekują, że sprawcy owego godnego ubolewania czynu zostaną ukarani.

Inger skłonił głowę.

- Rozumiem. Przyjmuję twoje osobiste zapewnienie, że poznam imię chłopaka lub chłopaków, co skrzywdzili Beatę. - Krzesło skrzypnęło, rzeźnik wstał. - A może już nie tak młodego mężczyzny.

Dalton również wstał.

- Dołożymy starań, żeby pochwycić winnego, czy młody, czy stary. Masz na to moje słowo.

Inger uściśnął dłoń adiutantowi. Miał miążdzący chwyt.

- Rad jestem, że przyszedł do właściwego człowieka, panie Campbell.

- Istotnie, dobrze trafiłeś.

- Tak? - zawołał Dalton Campbell, bo znowu ktoś zapukał. Domyślał się, kto to, i nie przerwał pisania instrukcji dla nowych strażników, których zamierzał rozstawić w posiadłości. Strażnicy w posiadłości nie mieli nic wspólnego z armią. Byli Anderyjczykami. Tym z armii nie powierzony obowiązek pilnowania posiadłości.

- Panie Campbell? Podniósł wzrok.

- Wejdz, Fitch.

Chłopak podszedł i stanął wyprężony przy biurku. Jakby urósł, od kiedy nosił uniform, a zwłaszcza od tej sprawy z Claudine. Dalton był zadowolony ze sposobu, w jaki Fitch i jego muskularny przyjaciel wykonali instrukcje. Kilku z pozostałych napastników złożyło Daltonowi poufny raport.

Campbell odłożył szklaną obsadkę.

- Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę, Fitch? Pytanie nieco wstrząsnęło chłopakiem.

- Tak... o, tak, panie - wydukał. - Pamiętam.

- W holu na górze. W pobliżu podestu.

- Tak, panie Campbell. Naprawdę byłem wdzięczny, że nie... *to* znaczy, że



mnie tak uprzejmie potraktowałeś.

- Że nie doniosłem, iż spotkałem cię tam, gdzieś nie powinien być.

- Tak, panie. - Fitch oblizał wargi. - To było bardzo przyzwoite z twojej strony.

Adiutant potarł skroń palcem.

- Przypominani sobie, że powiedziałeś mi owego dnia, jakim to zacnym człowiekiem jest minister, i że nie chciałbyś, by ktoś rozpowiadał o nim złe rzeczy.

- Tak, panie, to prawda.

- Udowodniłeś, że jesteś równie dobry jak twoje słowa. Pokazałeś, że zrobisz co trzeba, by go bronić. - Dalton leciutko się uśmiechnął. - Pamiętasz, co jeszcze ci powiedziałem owego dnia, tam, na podeście?

Chłopak odchrząknął.

- Że któregoś dnia zdobędę prawo do nazwiska?

- Właśnie. Jak dotąd spisujesz się tak, jak tego oczekiwałem. A przypominasz sobie, co jeszcze wydarzyło się tamtego dnia?

Dalton Campbell nie miał wątpliwości, że chłopak pamięta. Tak szybko by tego nie zapomniał. Fitch denerwował się, obmyślając, jak to powiedzieć, nic przy tym wyraźnie nie mówiąc.

- Hmm, panie... ja... tam była...

- Przypominasz sobie, Fitch, jak cię uderzyła ta młoda dama?

Chłopak znów odchrząknął.

- Tak, panie, pamiętam to.

- Znasz ją?

- Ma na imię Beata. Pracuje dla rzeźnika Ingera. Jest w tym samym zgromadzeniu pokutnym co ja.

- Pewnie widziałeś, co robiła tam, na górze? Minister cię zauważył. Stein też. Musiałeś ich widzieć z nią?

- To nie była wina ministra, panie. Dostała to, o co się prosiła. Zawsze piała z zachwytu nad nim, opowiadała, jaki to jest przystojny i wspaniały. Głośno wzdychała, ile razy wymawiała jego imię. Sama dopraszała się o to, co dostała, panie.

Dalton uśmiechnął się do siebie.

- Lubieś ją, prawda, Fitch?

- Boja wiem, panie. Trudno lubić kogoś, kto cię nienawidzi. W końcu

masz tego dość.

Campbell nie miał wątpliwości, jakie uczucia żywi posłaniec do dziewczyny. Wyraźnie malowały się na twarzy chłopaka, chociaż się ich wypierał.

- Rzecz w tym, Fitch, że dziewczyna może nagle nabrać ochoty, by sprawić kłopoty. Czasem dziewczyny potem tak robią. Przekonasz się o tym pewnego dnia. Bądź ostrożny w spełnianiu ich życzeń, bo później mogą zechcieć udawać, że wcale o to nie prosiły.

Fitch był wyraźnie zdezorientowany.

- Pojęcia o tym nie miałem, panie. Dziękuję za radę.

- Jak sam powiedziałaś, dostała tylko to, o co prosiła. Nikt jej nie zmuszał. Ale teraz, po namyśle, może chcieć rozpowiadać o gwałcie. Jak Claudine Winthrop. Kobiety, które są z ważnymi mężczyznami, czasem tak później postępują, żeby coś wyłudzić. Stają się zachłanne.

- Jestem pewny, panie Campbell, że ona by nie...

- Przed chwilą złożył mi wizytę Inger. Posłaniec odrobinę pobladł.

- Powiedziała rzeźnikowi?

- Nie. Powiedziała mu tylko, że odmawia dostarczania zamówień do posiadłości. A on wyobraża sobie, że zna powód. Chce tego, co uważa za sprawiedliwość. Jeśli zmusi tę dziewczynę, Beatę, żeby kogoś oskarżyła, to minister może się stać celem bezpodstawnych zarzutów. - Dalton Campbell wstał. - Znasz tę dziewczynę. Może się okazać, że będziesz musiał postąpić z nią tak jak z Claudine Winthrop. Ona też cię zna. Pozwoliłaby ci zbliżyć się do siebie.

Chłopak zbladł na dobre.

- Panie Campbell... panie... ja...

- Ty co, Fitch? Już cię nie obchodzi zdobycie nazwiska? Już cię nie interesuje praca posłańca? Przestał ci się podobać nowy uniform?

- Nie, panie, to nie tak,

- Więc o co chodzi, Fitch?

- O nic, panie. Chyba... jak mówiłem, stało się tylko to, o co się sama prosiła. Rozumiem, że niesłusznie oskarżałaby ministra o nieczyny, skoro niczego złego nie zrobił.

- Podobnie jak Claudine nie miała racji, czyniąc to samo. Fitch przełknął ślinę.

- Tak, panie. Też bez racji, jak wtedy. Adiutant usiadł.

- Rad jestem, że się rozumiemy. Przywołam cię, gdy zaczniesz sprawiać kłopoty. Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne. Kto wie, może zmądrzeje i zaniecha takich nienawistnych oskarżeń. Może ktoś wleje jej do łepetyny trochę zdrowego rozsądku, zanim trzeba będzie bronić ministra przed kłamliwymi oskarżeniami. A może dojdzie do wniosku, że rzeźnictwo to praca nie dla niej i przeniesie się na farmę albo gdzie indziej.

Dalton Campbell machinalnie ssął koniec obsadki i patrzył, jak Fitch zamyka za sobą drzwi. Pomyślał, że chciałby zobaczyć, jak chłopak to załatwia. Jeżeli nie zrobiłby tego, wyręczyłby go Rowley. Jeśli wszakże Fitch załatwi tę sprawę, układanka sama się ułoży.

## ROZDZIAŁ 40

Buty nauczyciela Spinka stukały o drewnianą podłogę, kiedy krążył pomiędzy ławami. Dłonie splótł na plecach. Wszyscy płakali nad dołą Anderyjek. Nad tym, co uczyniła biednym kobietom hakeńska armia. Fitch sądził, że wie, jaka to będzie lekcja, ale się mylił. Było to o wiele okropniejsze, niż sobie wyobrażał. Czuł, że twarz ma równie czerwoną jak włosy. Nauczyciel Spink hojnie uzupełnił braki w wiedzy Fitcha o akcie seksualnym. A nauka ta wcale nie była tak przyjemna, jak się chłopak spodziewał. To, czego pragnął, stało się teraz odpychające, a sprawiły to opowieści o tamtych Anderyjkach. Całą sprawę pogarszał jeszcze fakt, że po obu stronach Fitcha siedziały kobiety.

Wszyscy wiedzieli, czego będą dotyczyły nauki, więc kobiety chciały usiąść razem po jednej stronie izby, mężczyźni zaś - po drugiej. Jednak nauczyciel Spink kazał im usiąść na wskazanych przez siebie miejscach. Znał wszystkich członków zgromadzenia pokutnego, wiedział, gdzie mieszkają i pracują. Usadził każdego obok mało znanych osób. Zrobił tak, żeby byli jeszcze bardziej zakłopotani, słuchając historii każdej Anderyjki i tego, co jej uczyniono. Opisywał czyny Hakenów, nie szczędząc najdrobniejszych szczegółów. Mało kto płakał w trakcie tych opowieści. Ludzie byli zbyt wstrząśnięci tym, co słyszeli, żeby płakać. No i za bardzo zakłopotani, żeby jeszcze dodatkowo zwracać na siebie uwagę.

Fitch nigdy nie słyszał takich rzeczy o mężczyźnie i kobiecie, a przecież sporo dowiedział się od innych pomywaczy i posłańców. Oczywiście ci żołnierze byli Hakenami i wcale nie postępowali łagodnie i delikatnie. Chcieli skrzywdzić tamte Anderyjki. Upokorzyć je. Tacy nienawistni byli Hakeni.

- Bez wątpienia myślicie wszyscy - ciągnął nauczyciel Spink - że to działo się dawno temu. Przed wiekami. Że to byli hakeńscy suzereni. Myślicie, że jesteście lepsi. - Buty nauczyciela Spinka zatrzymały się przed chłopakiem. - Czy tak właśnie myślisz, Fitch? Czy tak sobie myślisz, odziany w ten piękny uniform? Myślisz, że jesteś lepszy od hakeńskich suzerenów? Że Hakeni stali się lepsi?

- Nie, panie - odparł Fitch. - Nie jesteśmy lepsi. Nauczyciel Spink burknął

coś i podjął swój spacer.

- Czy ktoś z was uważa, że współcześni Hakeni pozbyli się swoich niecnych cech? Uważacie, że jesteście lepsi niż w przeszłości?

Fitch rzucił okiem w obie strony. Niemal połowa ludzi niepewnie podniosła rękę.

Nauczyciel Spink wybuchnął gniewem.

- A więc to tak! Myślicie, że Hakeni są teraz lepsi?! Wy, bezczelni ludzie, uważacie się za lepszych?!

Wszystkie uniesione ręce prędko opadły.

- Nie jesteście lepsi! Wasze złe nawyki przetrwały do dzisiaj. - Znów kroczył, tupiąc, wśród milczących ludzi. - Nie jesteście lepsi - powtórzył, ale tym razem spokojnie. - Jesteście tacy sami.

Fitch nie przypominał sobie, żeby nauczyciel miał kiedyś taki smutny głos. Jakby był bliski płaczu.

- Claudine Winthrop była powszechnie szanowaną i znaną kobietą. Całe życie działała dla dobra zarówno Anderyjczyków, jak i Hakenów. Jednym z jej ostatnich czynów była pomoc w zmianie przestarzałych praw, tak by głodujący, w większości Hakeni, mogli znaleźć pracę. Nim umarła, przekonała się, że wcale nie jesteście lepsi od tamtych hakeńskich suzerenów, że jesteście tacy sami. - Buty Spinka tupały po izbie. - Claudine Winthrop ma coś wspólnego z kobietami z przeszłości, o których wam dzisiaj opowiadałem. Spotkał ją ten sam los.

Fitch zdziwił się w duchu. Wiedział, że Claudine nie spotkał ten sam los. Umarła szybko.

- Claudine Winthrop, jak tamte kobiety, została zgwałcona przez bandę Hakenów.

Chłopak podniósł wzrok, coraz bardziej zachmurzony. Kiedy tylko zdał sobie z tego sprawę, natychmiast zmienił wyraz twarzy. Na szczęście nauczyciel Spink był po drugiej stronie izby, patrzył w oczy siedzących tam hakeńskich chłopaków i nie zauważył zdumienia posłańca.

- Możemy się jedynie domyślać, przez ile godzin biedna Claudine Winthrop musiała znosić tych śmiejących się, sztychających z niej i urągających jej mężczyzn, którzy ją gwałcili. Możemy się jedynie domyślać, ilu okrutnych, pozbawionych serca Hakenów zgotowało jej ten los. Władze, opierając się na tym, jak stratowano pszenicę, twierdzą, że musiało ich być

trzydziestu albo nawet czterdziestu.

Zgromadzonym aż zaparło dech z przerażenia. Fitch też zadławił się oddechem. Nie było ich przecież nawet piętnastu. Miał ochotę wstać i powiedzieć, że to nieprawda, że wcale nie robili Claudine tych obrzydliwych rzeczy, że ona zasłużyła na śmierć, bo zamierzała wyrządzić krzywdę ministrowi, czyli przyszłemu Suwerenowi, i że oni tylko spełnili swój obowiązek. Chciał powiedzieć, że zrobili dobrą rzecz dla ministra i dla Anderithu, lecz zamiast tego nisko zwiesił głowę.

- Ale to nie było trzydziestu, czterdziestu mężczyzn - oznajmił nauczyciel Spink. Wyciągniętym palcem powiódł powoli od jednej strony izby ku drugiej. - To byliście wy wszyscy. To wy, wszyscy Hakeni, zgwałciliście ją i zamordowaliście. Z nienawiści, którą wciąż skrywacie w sercach, wszyscy macie swój udział w tym gwałcie i morderstwie. - Odwrócił się plecami do izby. - Wyoście się. Dość mam na dzisiaj waszych pałających nienawiścią hakeńskich oczu, dłużej tego nie zniosę. Nie ścierpię dłużej waszych zbrodni. Odejdźcie. Zniknijcie aż do następnego zgromadzenia i zastanawiajcie się nad tym, jak zostać lepszymi ludźmi.

Fitch skoczył ku drzwiom. Nie chciał, żeby zdążyła dojść do ulicy. Stacił ją z oczu w prącym do wyjścia tłumie, ale udało mu się dopchać niemal na sam przód.

Wreszcie znaleźli się za progiem, wyszli w zimną noc i Fitch przesunął się w bok. Przyjrzał się tym, którzy wyszli przed nim, wypadł na ulicę, lecz jej nie zobaczył. Czekał w mroku i obserwował wychodzących.

Kiedy ją dostrzegł, wymówił głośnym szeptem jej imię.

Beata zatrzymała się i rozejrzała. Wpatrzyła się w mrok, usiłując dojrzeć, kto ją woła. Ludzie idący dróżką popychali dziewczynę, więc zeszła z niej i znalazła się bliżej Fitcha. Już nie nosiła ciemnoniebieskiej sukni, która tak mu się podobała i którą miała na sobie owego dnia, kiedy poszła do ministra. Teraz była ubrana w suknię o ciemnobrązowej górze i pszenicznej spódnicy.

- Muszę z tobą pogadać, Beato.

- Fitch? - Wsparła się pod boki. - To ty, Fitch?

- Tak - szepnął.

Odwróciła się, by odejść. Złapał ją za przegub i wciągnął w mrok. Ludzie przechodzili spieszenie obok, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w domu, i nie obchodziła ich para młodych spotykająca się po zgromadzeniu

pokutnym. Beata starała się wyrwać rękę, ale Fitch trzymał ją mocno i ciągnął dalej, w mrok drzew i krzewów rosnących obok sali zgromadzeń.

- Puszczaj! Puść, Fitch, albo będę krzyczeć.

- Muszę z tobą pogadać - nalegał. - Chodź.

Szarpała się, lecz ciągnął ją za sobą, aż znalazł miejsce głębiej w zaroślach, gdzie nie było ich widać. Jeżeli będą cicho, to nikt ich też nie usłyszy. Przez luki w krzewach i drzewach padała na nich poświata księżyca.

- Fitch! Zabieraj ode mnie swoje brudne hakeńskie łapy! Puścił ją i obrócił się ku niej. Natychmiast chciała go uderzyć drugą ręką, spodziewał się tego jednak i złapał ją za nadgarstek. Przyłożyła mu więc wolną dłoń. Oddał cios. Nie uderzył jej zbyt mocno, ale osłupiała, że się na to powazył. Haken popełniał przestępstwo, uderzając kogoś. Ale Fitch wcale nie uderzył jej mocno. Nie chciał zrobić Beacie krzywdy, tylko zaskoczyć ją i przyciągnąć jej uwagę.

- Musisz mnie wysłuchać! - warknął. - Wpadłaś w tarapaty. - Widział w świetle księżyca groźne spojrzenie dziewczyny.

- To ty jesteś w taratach. Powiem Ingerowi, że zaciągnąłeś mnie w krzaki, uderzyłeś, a potem...

- Już i tak za dużo mu powiedziałaś! Umilkła na chwilę.

- Nie wiem, o czym mówisz. Idę sobie. Nie zostanę tu, żebyś mnie znowu uderzył, bo pokazałeś już swoje ohydne hakeńskie maniery względem kobiet.

- Wysłuchasz mnie, choćbym miał cię rzucić na ziemię i usiąść na tobie.

- Tylko spróbuj, ty chudy, mały węgorzyku.

Fitch mocno zacisnął wargi i starał się nie zwracać uwagi na obelgę.

- Proszę cię, Beato. Wysłuchasz mnie? Muszę ci powiedzieć o czymś ważnym.

- Ważnym? Może dla ciebie, ale nie dla mnie! Nie chcę usłyszeć niczego, co masz do powiedzenia! Wiem, jaki jesteś. Wiem, jak cię raduje...

- Chcesz zobaczyć, jak krzywdzą Ingera? Chcesz, żeby mu się stało coś złego? To nie ma nic wspólnego ze mną. Nie mam pojęcia, czemu tak źle o mnie myślisz, ale nie będę cię do siebie przekonywał. Tu chodzi tylko o ciebie.

Beata gniewnie skrzyżowała ramiona. Przez chwilę się zastanawiała. Chłopak zerknął w bok i wyglądając przez lukę w gąszczu, upewnił się, że

nikt nie obserwuje ich z ulicy. Dziewczyna odgarnęła włosy za ucho.

- Gadaj, byle nie o tym, jaki to z ciebie przystojniak w tym ślicznym uniformie, zupełnie podobny do tamtych suzerenów. Ale się pośpiesz. Inger ma dla mnie robotę.

Fitch oblizwał wargi.

- Inger był dziś z towarem. Przyszedł sam, bo powiedziałaś, że więcej nie zjawisz się w posiadłości...

- Skąd o tym wiesz?

- Słyszę to i owo.

- Ajak...

- Słuchasz wreszcie? Wpadłaś w tarapaty i grozi ci niebezpieczeństwo.

Wsparła się pod boki, ale milczała, więc podjął:

- Inger myśli, że wykorzystali cię w posiadłości. Zjawił się i zażądał, by zrobić coś w tej sprawie. Chce poznać imiona tych, którzy cię skrzywdzili.

Dziewczyna przyglądała mu się w blasku księżyca.

- Skąd to wiesz?

- Mówiłem ci, że słyszę to i owo.

- Nic Ingerowi nie powiedziałam.

- To nie ma znaczenia. Sam się domyślił. Rzecz w tym, że się o ciebie martwi i domaga się sprawiedliwości. Nie puści tego płazem. Zamierza dopiąć swego.

Westchnęła ze złością.

- Nie trzeba mi było odmawiać chodzenia do posiadłości. Powinnam się zgodzić, bez względu na to, co by mnie tu znów mogło spotkać.

- Nie mam do ciebie pretensji, Beato. Na twoim miejscu pewnie zrobiłbym to samo.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Chcę wiedzieć, kto ci to wszystko powiedział.

- Teraz jestem posłańcem i kręcę się przy ważnych ludziach. A oni rozmawiają o tym, co się dzieje w posiadłości. Słyszę, co mówią, to usłyszałem i o tym. Rzecz w tym, że gdybyś zaczęła mówić, co się stało, ludzie mogliby uznać, że chcesz zaszkodzić ministrowi.

- Daj spokój, Fitch, jestem tylko hakeńską dziewczyną. Jak mogłabym zaszkodzić ministrowi?

- Sama mówiłaś, że ludzie gadają, że on zostanie Suwerenem. A słyszałaś



kiedy, żeby ktoś gadał przeciwko Suwerenowi? Minister lada chwila zostanie Suwerenem. Co według ciebie pomyślą ludzie, gdy usłyszą twoją gadkę o tym, co się stało? Uważasz, że jeśli temu zaprzeczy, uwierzą, że jesteś dobrą, prawdziwą dziewczyną, a minister kłamcą? Przecież uczono nas, że Anderyjczycy nie kłamią. Jak powiesz coś przeciwko ministrowi, to uznają cię za kłamczuchę. Gorzej: za kłamczuchę, co chce zaszkodzić Ministrowi Spraw Duchowych.

Zastanawiała się nad słowami Fitcha, jakby to była zagadka nie do rozwiązania.

- Hmm... nie zamierzam niczego mówić, ale gdybym to zrobiła, minister musiałby przyznać, że to prawda, bo to przecież jest prawda. Anderyjczycy nie kłamią. Tylko Hakeni są z natury zepsuci. Jeśli on coś o tym powie, wyzna prawdę.

Fitch westchnął ze zniecierpliwieniem. Wiedział, że Anderyjczycy są od nich lepsi i że Hakeni są splamieni złem, ale zaczynał pojmować, że Anderyjczycy wcale nie są tak wspaniali i bez skazy.

- Wiem, czego nas uczono, Beato, ale to nie zawsze jest tak całkiem prawdziwe. Czasem uczą nas bzdur. To nie zawsze jest prawda.

- To wszystko prawda - powiedziała bezbarwnym głosem.

- Możesz sobie tak myśleć, ale wcale tak nie jest.

- Czyżby? A ja myślę, że nie chcesz się pogodzić z tym, jacy obrzydliwi są hakeńscy mężczyźni. Nie chcesz mieć takiej niecnej duszy. Pragniesz, żeby się okazało kłamstwem to, co hakeńscy mężczyźni zrobili tamtym kobietom w przeszłości i teraz Claudine Winthrop.

Fitch odgarnął włosy z czoła.

- Zastanów się, Beato. Skąd nauczyciel Spink wie, co uczyniono każdej z tych kobiet?

- Z ksiąg, tępaku. Może zapomniałeś, że Anderyjczycy potrafią czytać. W posiadłości jest pełno ksiąg...

- I wyobrażasz sobie, że ci gwałciciele przestali na chwilę, by porobić notatki? Że pytali każdą kobietę o nazwisko i dzieje, a potem spisali to na gorąco, żeby mogły powstać księgi opisujące wszystko, co zrobili?

- Tak. Tak właśnie zrobili. Jak wszystkich hakeńskich mężczyzn, radoowało ich to, co uczynili tym kobietom. Opisali to. To powszechnie wiadome. Można to znaleźć w księgach.

- A co z Claudine Winthrop? Gdzie są księgi o tym, jak to gwałcili ją mężczyźni, którzy ją później zabili?

- Przecież tak się stało. To oczywiste. Zrobili to Hakeni, bo tak właśnie postępują hakeńscy mężczyźni. Powinieneś wiedzieć, jacy są hakeńscy mężczyźni, ty mały...

- Claudine Winthrop oskarżyła ministra. Zawsze do niego wzdychała i kręciła się koło niego. A potem, kiedy już wpadła mu w oko i oddała mu się z własnej woli, zmieniła zdanie. Zaczęła rozpowiadać, że przymusił ją do tego. Akurat tak, jak przydarzyło się tobie. Więc gdy zaczęła opowiadać ludziom podle kłamstwa, że ją zgwałcił, zabili ją.

Beata milczała. Fitch wiedział, że Claudine chciała tylko narobić kłopotów ministrowi - Dalton Campbell mu to powiedział. Z drugiej strony, to, co spotkało Beatę, wydarzyło się wbrew jej woli, ale dziewczyna nie próbowała nikogo wpędzać w kłopoty.

Świerszcze grały, a ona stała i wpatrywała się w Fitcha. Chłopak znów się rozejrzał, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu. Widział przez krzewy, że ludzie idą ulicą, ale nikt nie zwracał uwagi na ciemny gąszcz, w którym stali. W końcu przemówiła, lecz w jej głosie nie było już gniewu.

- Inger o niczym nie wie i nie zamierzam mu o tym powiedzieć.

- Jest już za późno. Zjawił się w posiadłości i wzburzył ludzi, gadając, że cię tu zgwałcono. Wzburzył ważnych ludzi. Stawiał żądania. Domaga się sprawiedliwości. On wymusi na tobie, żebyś mu powiedziała, kto cię skrzywdził.

- Nie uda mu się.

- Jest Anderyjczykiem, a ty Hakenką. Może to zrobić. Nawet gdyby się rozmyślił i zrezygnował, zrozumiałwszy, że potrząsnął gniazdem szerszeni, to i tak ludzie z posiadłości mogliby cię postawić przed sędzią i skłonić go, żeby nakazał ci wskazanie tej osoby.

- Zaprzeczyłabym wszystkiemu - oznajmiła z wahaniem. - Niczego bym nie powiedziała.

- Nie? No to uznaliby cię za przestępcę. Uważają, że zrobili to Hakenij i chcą znać ich imiona. Inger jest Anderyjczykiem i twierdzi, że to się stało. Gdybyś im nie powiedziała tego, o co by cię pytali, pewnie zakuliby cię w łańcuchy, żebyś zmieniła zdanie. A gdyby nawet tego nie zrobili, i tak straciłabyś robotę. Stałabyś się wyrzutkiem. Mówiłaś, że pewnego dnia

chciałabyś wstąpić do armii, że to twoje marzenie. Przestępców nie przyjmują do armii. To marzenie by się rozwiało. Zostałabyś zebraczką.

- Znalazłabym robotę. Umiem ciężko tyrać.

- Jesteś Hakenką. Za odmowę współpracy z sędzią zostałaś ogłoszona przestępcą. Nikt by ci nie dał pracy. Skończyłabyś jako prostytutka.

- Na pewno nie!

- A właśnie, że tak. Zrobiłabyś to, gdybyś porządnie zmarła i zgłodniała. Musiałabyś się sprzedawać mężczyznom. Starym mężczyznom. Pan Campbell powiedział mi, że prostytutki łapią okropne choroby i umierają. Umarłabyś, chodząc ze starcami, co...

- Na pewno nie! Fitch, nie zrobiłabym tego. Nie zrobiłabym.

- No to jak zamierzasz żyć? Z czego będziesz żyć, jak uznają cię za przestępcę, gdy nie zechcesz odpowiadać na pytania sędziego? A nawet gdy mu powiesz, to kto ci uwierzy? Nazwą cię kłamczuchą i też będziesz przestępcą, bo kłamałaś o anderyjskim oficjelu. Wiesz przecież, że rzucanie fałszywych oskarżeń na anderyjskich oficjeli to zbrodnia.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy.

- Przecież to nie jest kłamstwo. Mógłbyś zaręczyć, że to prawda. Mówiłaś, że chcesz być Poszukiwaczem Prawdy. Pamiętasz? To twoje marzenie. Ja marzę o wstąpieniu do armii, a ty o tym, by zostać Poszukiwaczem Prawdy. Skoro chcesz zostać Poszukiwaczem, powinieneś wstać i zaświadczyć, że to prawda.

- Widzisz? Twierdziłaś, że nikomu nie powiesz, a już o tym gadasz.

- Ale mógłbyś stanąć przy mnie i zaświadczyć, że to prawda.

- Jestem Hakenem. Myślisz, że słowo dwojga Hakenów przeważałoby nad słowem Ministra Spraw Duchowych? Zwariowałaś? Nikt nie uwierzył Claudine Winthrop, Beato, a ona była Anderyjką, i to ważną Anderyjką. Rzuciła oskarżenia, żeby zaszkodzić ministrowi, a teraz nie żyje.

- Ale skoro to prawda...

- A co jest prawdą, Beato? Że mówiłaś mi, jakim wspaniałym człowiekiem jest minister? Jaki jest według ciebie przystojny? Że patrzyłaś w jego okno, wdychałaś i mówiłaś o nim „Bertrand”? Że rozbłysły ci oczy, kiedy zaproszono cię do ministra? Że Dalton Campbell musiał cię trzymać za łokieć, żebyś nie pofrunęła pod sufit z zachwytu, gdy poproszono cię do ministra, by sam mógł ci powiedzieć, jak mu smakują mięsiwa Ingera? Ja

tylko wiem, że ty i on... Może potem zrobiłaś się wymagająca. Słyszałem, że czasami kobiety się potem takie stają. Najpierw idą z własnej woli, a później oskarżają, żeby coś dla siebie uzyskać. Tak powiadają ludzie. A może byłaś tak zachwycona spotkaniem z nim, że sama zadarłaś spódnicę, by mu pokazać, jakaś chętna, i zapytałaś, czy bycie chciał. Nigdy o niczym mi nie opowiedziałaś. Dałaś mi tylko po twarzy: może za to, że widziałem, jak się zabawiasz z ministrem, zamiast pracować. O ile wiem, to nawet mogłaby być prawda.

Beacie drżała broda i mrugała powiekami, żeby pozbyć się łez z oczu. Osunęła się na ziemię, przysiadła na piętach, ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Fitch stał przez chwilę, zastanawiając się tępo, co ma zrobić. Ostatecznie klęknął przed nią. Widok płaczącej Beaty ogromnie go strapił. Znał ją od dawna i nigdy nie słyszał, żeby beczała jak inne dziewczyny. A teraz łkała niczym małe dziecko. Chciał jej położyć dłoń na ramieniu, na pociechę. Odtrąciła jego rękę.

Skoro nie życzyła sobie, żeby ją pocieszał, to i on przysiadł na piętach. Milczał. Przez chwilę chciał odejść i zostawić ją, żeby sobie płakała, ale uznał, że może lepiej będzie, jeśli zostanie, na wypadek gdyby czegoś chciała.

- Fitch - wychlipała z twarzą zalaną łzami - co mam zrobić? Tak mi wstyd. Tak namieszałam. To wszystko moja wina. Moja rozwiązła i nikczemna hakeńska natura sprawiła, że skusiłam zacnego Anderyjczyka. Nie chciałam tego, nie sądziłam, że go kuszę, ale to właśnie zrobiłam. To moja wina, że postąpił, jak postąpił. Ale nie mogę kłamać i mówić, że byłam chętna, skoro nie byłam, ani trochę. Chciałam się im wyrwać, ale byli zbyt silni. Tak się wstydę. Co mam robić?

Fitch przełknął tkwiącą mu w gardle kulę. Nie chciał tego mówić, ale dla jej dobra musiał. Jeżeli tego nie zrobi, Beata może skończyć jak Claudine Winthrop, a on może być tym, któremu każą ją zabić. Wtedy wszystko legnie w gruzach, bo wiedział, że nie potrafiłby się na to zdobyć. Znów znalazłby się w kuchni i skrobałby gary - i to w najlepszym wypadku. Musiał to powiedzieć, zanim każą mu skrzywdzić Beatę.

Chłopak ujął jej dłoń i łagodnie rozchylił zaciśnięte palce. Sięgnął do kieszeni kaftana. Położył Beacie na dłoni szpilkę ze spiralną główką. Szpilkę, którą dziewczyna spinała kołnierzyk sukni. Szpilkę, którą tamtego dnia

zgubiła na trzecim piętrze.

- Coś mi się zdaje, Beato, że wpadłeś w porządne tarapaty. I widzę tylko jeden sposób, żebyś się z tego wyplątała.

## ROZDZIAŁ 41

- Tak, proszę. - Teresa uśmiechnęła się.

Dalton wziął z podsuwanego im przez giermka półmiska dwa jądra cielęce w koprze i położył je na drewnianym talerzu, który dzielił z żoną. Hakeński chłopak ugiął kolano, odwrócił się i odszedł tanecznym krokiem. Tess jadła swoje ulubione młodziutki króliczki.

Ciągnąca się uczta nudziła Campbella. Czekwały nań przecież ważne sprawy. Musiał przede wszystkim dbać o interesy ministra, a temu lepiej służyło załatwianie spraw za zasłoną władzy niż publiczne przytakiwanie i śmianie się z dowcipów Chanboora.

Bertrand machał kielbaską i opowiadał jakiś żart kilku bogatym hurtownikom siedzącym na końcu głównego stołu. Ochryply rechot mężczyzn i sposób, w jaki minister poruszał kielbaską, zdradziły adiutantowi, co to był za żart. Sprośna opowiadka nadzwyczaj podobała się Steinowi.

Śmiech wreszcie ucichł, a Bertrand z wdziękiem przeprosił żonę i błagał ją o wybaczenie. Hildemara zachichotała i zbyła sprawę machnięciem dłoni, dodając, że jest niepoprawny. Hurtownicy zaśmiali się, zachwyceni jej wielkoduszną wyrozumiałością.

Teresa delikatnie trąciła ręką łokciem i spytała:

- Jaki żart opowiedział minister? Nie dosłyszałam.

- Powinnaś dziękować Stwórcy, że nie obdarzył cię lepszym słuchem. To był jeden z tych żartów Bertranda, o ile rozumiesz, co mam na myśli.

- A opowiesz mi go, gdy wrócimy do apartamentów? - spytała z uśmiechem.

Dalton też się uśmiechnął.

- Gdy wrócimy do apartamentów, Tess, to ci go zademonstruję. Teresa zaśmiała się gardłowo. Adiutant wziął jedno z jąder cielęcych i zanurzył je w winno-imbrowym sosie. Pozwolił żonie odgryźć kęs i zlizać trochę sosu ze swojego palca, a potem wsunął resztę do ust. Żuł potrawę i przyglądał się trzem dyrektorom, którzy siedzieli po przeciwnej stronie komnaty pogrążeni w poważnej rozmowie. Nachyleni ku sobie, gestykulowali energicznie, marszczyli brwi, potrząsali głowami i uniesieniami palców

podkreślali swoje racje. Campbell wiedział, o czym dyskutowali. Prawie wszystkie rozmowy w komnacie dotyczyły tego samego: zamordowania Claudine Winthrop.

Minister - w dopasowanej kamizeli w purpurowe i rdzawe pasy włożonej na ozdobiony wzorem ze złocistych pszenicznych kłosów kaftan z obcisłymi rękawami - otoczył ramieniem barki Daltona i pochylił się ku niemu. Białe koronkowe mankiety miał poplamione czerwonym winem, co wyglądało tak, jakby krwawił pod obcisłymi rękawami.

- Wszyscy są podenerwowani śmiercią Claudine - odezwał się.

- I słusznie. - Dalton Campbell zanurzył baranią kostkę w miętowej galaretkę. - To straszliwa tragedia.

- Tak, to uświadomiło nam, jak słabo zakorzenione są ideały cywilizowanego sposobu bycia, które tak cenimy. Pokazało nam, ile jeszcze pracy wymaga przemienienie Hakenów i Anderyjczyków w pokojowo nastawione społeczeństwo.

- Na pewno dokonamy tego pod twoim przewodnictwem - powiedziała z naiwnym entuzjazmem Teresa, podczas gdy jej rnąż jadł kostkę baraniny.

- Dziękuję za poparcie, moja droga. - Bertrand jeszcze bardziej nachylił się ku swemu adiutantowi i jeszcze bardziej zniżył głos. - Słyszałem, że Suwren choruje.

- Naprawdę? - Dalton zlizął z palców miętową galaretkę. - Czy to coś poważnego?

Minister z udanym smutkiem potrząsnął głową.

- Nie wiadomo.

- Będziemy się za niego modlić - wtrąciła się Teresa, wybierając cieńszy plaster pikantnej wołowiny. -I za biednego Edwina Winthropa.

Bertrand uśmiechnął się.

- Ależ z ciebie troskliwa i życzliwa kobieta, Tereso. - Wpatrywał się w jej dekolt, jakby chciał zobaczyć to dobre serce bijące za szczydrze odsłoniętymi piersiami. - Gdybym kiedyś zachorował, chciałbym, żebyś, o szlachetna pani, modliła się w mojej intencji do Stwórcy. Twoje czułe, błagalne słowa zmiękczyłyby i jego serce.

Teresa rozpromieniła się. Hildemara, gryząc kawałek gruszki, zapytała o coś męża, więc znów się do niej odwrócił. Stein nachylił się ku nim i rozmawiali o czymś. Wszyscy troje odchyliłi się, kiedy giermek przyniósł

półmisek z kruchą wołowiną. Stein nabrał sporo mięsiwa, a Campbell ponownie spojrzął na dyrektorów, którzy wciąż żywo rozmawiali. Omiótł spojrzeniem stół naprzeciwko i napotkał oczy Franki Gowenlock. Po jej minie poznał, że nie potrafiła usłyszeć ani jednego słowa z dysputy oficjeli. Nie miał pojęcia, co się działo z jej darem, ale zaczynało to stanowić poważne utrudnienie.

Giermek podsunął ministrowi srebrny półmisek. Bertrand nałożył sobie kilka plastrów wieprzowiny. Podszedł kolejny giermek, z jagnięciną w soczewicy, ulubionym daniem Hildemary.

Podczaszy dołał wina przy głównym stole i odszedł do gości. Minister otoczył ramieniem barki żony i coś do niej szeptał.

Wszedł służący z dużymi koszem pełnym drobnych bochenków ciemnego chleba. Zaniósł kosz do bocznego stołu, gdzie przełożono pieczywo na srebrne tace. Z tej odległości Campbell nie widział, czy bochenki są takie, jak trzeba. Dużą ilość chleba uznano za nieodpowiednią na ucztę i przeznaczono dla biednych. Biednym rozdawano także żywność, która pozostała po uczcie, zwykle w sporych ilościach. Wcześniej mistrz Drummond miał jakieś problemy przy pieczeniu chleba. Twierdził, że piece chlebowe „oszalały”. Jakaś kobieta została poważnie poparzona, nim zdołano ugasić na niej płonąca odzież. Dalton miał na głowie ważniejsze sprawy niż wypiek chleba, więc dalej już tej sprawy nie badał.

- Czy udało ci się już czegoś dowiedzieć, Daltonie, w sprawie zabójstwa tej biednej Claudine Winthrop? - zapytał minister.

Siedząca po drugiej stronie męża Hildemara sprawiała wrażenie zainteresowanej odpowiedzią.

- Sprawdziłem kilka obiecujących hipotez - odparł Campbell, nie wdając się w szczegóły. - Mam nadzieję, że wkrótce pomyślnie zakończę śledztwo.

Jak zawsze podczas uczy, mówili ogólnikami, nie chcąc, by ich słowa dotarły do nasłuchujących uszu. Mogli tu przecież być również inni ludzie z magicznym darem, nie tylko Franca, a ich dar mógł działać bez zarzutu. Dalton, nie mówiąc już o Bertrandzie i jego żonie, nie wątpił, że dyrektorzy też korzystają czasem z usług takich osób.

- Chodzi o to - powiedział minister - że, jak twierdzi Hildemara, niektórzy ludzie zaczynają się niepokoić, iż nie traktujemy tej sprawy wystarczająco poważnie.



Dalton zaczął dowodzić, że jest wręcz przeciwnie, lecz minister podniósł dłoń, uciszył go i podjął:

- Oczywiście, że to nie jest prawda. Wiem, jak ciężko pracujesz nad tym, żeby ująć zbrodniarzy.

- Dzień i noc - wtrąciła Teresa. - Zapewniani cię, ministrze Chanboor, że Dalton mało co sypia, tak ciężko pracuje od czasu, gdy zamordowano tę biedną Claudine Winthrop.

- Dobrze o tym wiem - powiedziała Hildemara, przechylając się za mężem, by poklepać Campbella po ramieniu. Był to pokaz dla Teresy i innych obserwujących ich oczu. - Wiem, jak ciężko pracuje twój mąż. Wszyscy doceniają jego wysiłki. Wiemy, jak wielu ludzi wezwał na przesłuchanie. Po prostu niektórzy zaczynają pytać, czy ten wysiłek doprowadzi do wykrycia i ujęcia winnych. Ludzie boją się, że mordercy są wciąż pośród nich, i dlatego niecierpliwie wypatrują końca całej sprawy.

- To prawda - potwierdził Bertrand. - A my, bardziej niż inni, chcemy rozwiązać sprawę morderstwa, by ze spokojem ducha wiedzieć, że naszemu ludowi już nic nie grozi.

- Tak - dorzuciła Hildemara z zimnym błyskiem w oku. - Tę sprawę należy pomyślnie rozwiązać.

Nie było wątpliwości co do lodowatego, rozkazującego tonu jej głosu. Campbell nie wiedział, czy Hildemara zdradziła Bertrandowi, że poinstruowała go, co ma spotkać Claudine, lecz w gruncie rzeczy nie miało to dla niego znaczenia. Skończył z tą kobietą i zajął się innymi sprawami. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby uprzątnęła po nim brudy i wyciszyła ewentualne kłopoty.

Spodziewał się, że minister i jego żona mogą się znużyć narzekaniami ludzi, zanim tym znudzi się gadanie o morderstwie ważnej damy z posiadłości. Na wszelki wypadek ułożył kilka planów - wyglądało na to, że musi je wprowadzić w życie. On sam wolałby poczekać, wiedział bowiem, że gadanie szybko się skończy i sprawa zostanie zapomniana, ludzie zaś najwyżej od czasu do czasu wspomną o tym z przelotnym żalem, a może i z podnieceniem. Jednak Bertrand lubił uchodzić za kompetentnego. Cena, jaką za to płacili inni, miała dla niego małe znaczenie. Hildemary zaś w ogóle nie obchodziła. Jednakowoż ich niecierpliwność była groźna.

- I ja, tak jak wszyscy, chcę, żeby złapano morderców - powiedział

adiutant. - Jednakże jako człowiek prawa jestem związany przysięgą i muszę być pewny, że ujęto prawdziwych zabójców. Nie mogę rzucać fałszywych oskarżeń po to tylko, by kogokolwiek ukarano. Pamiętam, jak sam mi to w przeszłości nakazałeś - skłamał gładko na potrzeby podsłuchujących. Kiedy Hildemara chciała już protestować przeciwko dalszej zwłoce, Dalton dodał ciszej i ze zniecierpliwieniem:

- Nie powinniśmy ze zbytniego pośpiechu fałszywie oskarżać niewinnych ludzi, bo byłby to duży błąd. Gdybyśmy to uczynili, a Matka Spowiedniczka zechciałaby przyjąć ich spowiedź i odkryłaby, że skazaliśmy niewinnych, nasz brak kompetencji zostałby ujawniony nie tylko przez nią, ale i przez Suwerena i dyrektorów. - Chciał mieć pewność, że dobrze pojęli ryzyko. - Co gorsza, gdybyśmy skazali kogoś na śmierć i wykonali wyrok, nim Matka Spowiedniczka zapoznałaby się ze sprawą, mogłaby nie tylko interweniować w sposób, który doprowadziłby do upadku rządu, ale i ukarać najwyższych urzędników dotknięciem swojej mocy.

Po tej spokojnej, lecz przywołującej do porządku reprimendzie Bertrand i Hildemara umilkli i szeroko otworzyli oczy.

- Oczywiście, Daltonie. Oczywiście, masz rację. - Palce Bertranda poruszyły się w powietrzu jak płetwy płynącej do tyłu ryby. - Nie chciałbym sprawiać wrażenia, że sugeruję coś takiego, w żadnym wypadku. Jako minister nie mogę dopuścić, by ktoś został fałszywie oskarżony. Nie chciałbym, żeby coś takiego się wydarzyło. Nie tylko byłaby to okropna niesprawiedliwość wobec fałszywie oskarżonych, lecz pozwoliłoby to uciec prawdziwym mordercom. Uciec i ponownie zabić.

- Ale to chyba znaczy - w głosie Hildemary znów brzmiała groźba - że jesteś bliski wykrycia zabójców? Słyszałam takie pochwały na temat twoich talentów, że podejrzewam, iż zakończyłeś już tę sprawę. Pierwszy adiutant ministra na pewno zadba, by sprawiedliwości wkrótce stało się zadość, prawda? Ludzie chcą być pewni, że Minister Spraw Duchowych jest fachowcem. W tej sprawie musi udowodnić swoją skuteczność.

- To prawda - odezwał się Bertrand, zerkając na siadającą wygodniej żonę. - Chcemy dobrych wyników.

- A na dodatek - wtrąciła się Hildemara - chodzą pogłoski o zgwałconej niedawno Hakence. Plotki o gwałcie prędko się szerzą. Ludzie uważają, że te dwie sprawy się łączą.

- I ja słyszałam te pogłoski. To przerażające - powiedziała Teresa.

Dalton Campbell domyślał się, że Hildemara i o tym się dowiedziała i chciała, by załatwić również tę sprawę. Był przygotowany także na taką ewentualność, miał jednak nadzieję, że zdoła uniknąć tego tematu.

- Hakenka? A któż wie, czy ona mówi prawdę? Może usiłuje usprawiedliwić panięską ciążę i krzyczy o gwałcie, żeby wzbudzić współczucie, wykorzystując do tego wzburzone emocje.

Bertrand zanurzył kawałek wieprzowiny w czarce z musztardą.

- Nikt jeszcze nie wymienił jej imienia, ale słyszałem, że ludzie w to wierzą. Starają się poznać jej imię, żeby można ją było doprowadzić do sędziego. - Minister postarał się, by jego adiutant pojął, że mówili o dziewczynie od rzeźnika. - Ludzie nie tylko uważają, że to prawda, ale wierzą, iż to sprawka tych samych łotrów, którzy zaatakowali Claudine. Boją się, że ci sami zbrodniarze uderzyli już dwa razy i mogą uderzyć raz jeszcze.

Bertrand odchylił do tyłu głowę i włożył wieprzowinę do ust. Stein, który siedział obok Hildemary, jadł kruchą wołowinę i z coraz większą pogardą śledził rozmowę. On, rzecz jasna, w mgnieniu oka rozwiązałby całą sprawę za pomocą noża.

- I właśnie dlatego - powiedziała Hildemara, ponownie nachylając się ku nim - zbrodniarzy trzeba wykryć i ukarać. Ludzie powinni wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny - rzuciła władczo i wyprostowała się na krześle.

Chanboor ścisnął ramię Campbella.

- Znam cię, Daltonie. Wiem, że nie zdradzisz nic, dopóki nie będziesz miał wszystkiego w garści, bo jesteś zbyt skromny, wiem też jednak, że rozwiązałeś już tę sprawę i wkrótce wskażesz zabójców. I to zanim jeszcze ludzie zawloką tę biedną hakeńską dziewczynę przed sędziego. Po tym, co już wycierpiała, byłoby to dla niej kolejne upokorzenie.

Nie mieli pojęcia, że Dalton rozmawiał już z Fitchem, by ten, mówiąc obrazowo, zepchnął głaz ze wzgórza. Teraz wszakże Campbell pojął, że sam musi popchnąć ów głaz, i to w nowym kierunku.

Stein z obrzydzeniem rzucił chleb na stół.

- Ten chleb jest spalony!

Adiutant westchnął. Tego człowieka bawiły podobne niemądre wybuchy. Niebezpiecznie było nie zwracać na niego uwagi, bo - jak dziecko - natychmiast robił coś, by ją do siebie przyciągnąć. A oni wyłączyli go z

rozmowy.

- Mieliliśmy kłopoty z paleniskami w kuchni - wyjaśnił Campbell. - Jeżeli nie lubisz ciemnego chleba, to odetnij spaloną skórkę.

- Macie kłopoty z wiedźmami! - ryknął Stein. - A ty mówisz o odcinaniu skórki?! To twoje rozwiązanie sprawy?!

- Mamy kłopoty z paleniskami - powiedział Dalton przez zaciśnięte zęby. Rozejrzał się po komnacie, sprawdzając, czy Stein przyciągnął czyjaś uwagę. Jakież kobiety, które siedziały zbyt daleko, żeby słyszeć, co mówi, trzepotały do niego rzęsami. - Prawdopodobnie zatkany przewód kominowy. Jutro to naprawimy.

- Wiedźmy! - powtórzył Stein. - Wiedźmy rzuciły uroki, żeby spalić tu chleb. Każdy wie, że jak w okolicy jest wiedźma, to nie może się oprzeć i rzuca uroki, żeby palił się chleb.

- On się zna na magii, Daltonie. Może wie coś, czego my nie wiemy - wyszeptała Teresa.

- Jest zabobonnym typem i tyle. - Dalton uśmiechnął się do niej. - Znając Steina, podejrzewam, że robi nam kawał.

- Pomogę wam je znaleźć. - Żołnierz odchylił krzesło i zaczął czyścić nożem paznokcie. - Znam się na wiedźmach. To pewno wiedźmy zabiły tę kobietę i zgwałciły drugą. Znajdę je dla was, skoro sami nie potraficie. Zdobędę kolejny skalp na moją pelerynę.

Dalton położył serwetkę na stole i przeprosił Teresę. Wstał, obszedł ministra i jego żonę, po czym nachylił się do ucha Steina. Żołdak cuchnął.

- Mam szczególne powody, by wykonać wszystko tak, jak to sobie zaplanowałem - wyszeptał. - Jeśli zrobimy to po mojemu, to koń zaorze nam pole, pociągnie nasz wóz i przywiezie wodę. Gdybym chciał wyłącznie koniny, to bym cię nie potrzebował. Sam bym go zarznął. Już cię raz ostrzegałem, żebyś zważał na słowa, lecz ty, jak widać, nie pojąłeś ostrzeżenia. Tym razem więc powiem to tak, żebyś zrozumiał.

Stein wyszczerzył w uśmiechu żółtkę zębów. Dalton pochylił się jeszcze bardziej.

- Te kłopoty są również twoim dziełem, bo nie potrafisz wdzięcznie korzystać z tego, co ci ofiarują z dobrej woli. Uważasz, że lepiej zmusić dziewczynę, co ani ci się nie pchała w łapy, ani nie była chętna. Nie mogę zmienić tego, co się stało, lecz jeśli jeszcze kiedyś odezwiesz się tak, by

wywołać sensację, to osobiście poderżnę ci gardło i odeślę cię w koszu imperatorowi. Poproszę go, żeby przysłał do nas kogoś, kto ma więcej rozumu niż parzący się wieprz. - Dalton przycisnął czubek ukrytego w dłoni noża do podbródka Steina. - Jesteś w towarzystwie osób wyżej postawionych od ciebie. Wyjaśnij zacnym ludziom siedzącym przy tym stole, że tylko mało subtelnie sobie żartowałeś. I niech to lepiej będzie przekonujące, Stein, bo przysięgam, że w przeciwnym razie nie przeżyjesz tej nocy.

Żołnierz zachichotał radośnie.

- Podobasz mi się, Campbell. Jesteśmy do siebie podobni. Wiem, że będzie się nam dobrze razem pracowało. I tobie, i ministrowi spodoba się Imperialny Ład. Jesteśmy tacy sami, choć ty tak ładnie tańczysz.

Adiutant obrócił się ku Hildemarze i Bertrandowi.

- Stein ma coś do powiedzenia. Jak tylko skończy, muszę odejść, żeby zająć się nowymi informacjami. Wydaje mi się, że poznałem imiona zabójców.

## ROZDZIAŁ 42

Fitch szedł pospiesznie słabo oświetlonym korytarzem. Rowley powiedział mu, że to ważne. Bose stopy Morleya plaskały o drewnianą podłogę. Dźwięk ten wydawał się teraz chłopakowi dziwny. Wcześniej nie nosił butów, więc sporo trwało, nim przyzwyczyił się do ich odgłosu. A teraz dziwiło go plaskanie bosych stóp. Poza tym to plaskanie przypominało mu czasy, kiedy był chodzącym boso pomywaczem, a nie lubił wspominać tej części swojego życia.

Praca posłańca przypominała spełnione marzenie. Przez otwarte okna docierały dźwięki muzyki z uczty. Harfistka grała i śpiewała. Fitch uwielbiał czyste tony jej głosu, kiedy śpiewała, akompaniując sobie na harfie.

- Wiesz, w czym rzecz?

- Nie. Ale nie spodziewałem się, że o tej porze będzie jakaś wiadomość do zanieśienia. Zwłaszcza że jest uczta - odparł Fitch.

- Byle tylko to długo nie potrwało.

Fitch wiedział, o co chodziło Morleyowi. Dopiero co usiedli, żeby sobie popić. Morley znalazł prawie pełną butelkę rumu i zamierzali się upić do nieprzytomności. W dodatku Morley miał znajomą pomywaczkę, która powiedziała, że chciałyby się upić z nimi. I Morley pouczył Fitcha, że powinni pozwolić najpierw upić się jej. Chłopak aż szybciej oddychał na myśl o tym, co to oznaczało. Przede wszystkim jednak - oprócz tego, że chciał się upić - pragnął zapomnieć rozmowę z Beatą.

Zewnętrzny gabinet był pusty, panowała w nim głucha cisza. Byli tylko we dwójkę, bo Rowley z nimi nie wrócił. Zobaczył ich Dalton Campbell, który spacerował po swoim gabinecie. Rozłączył splecione za plecami dłonie i dał im znak, żeby weszli.

- A, jesteście. Znakomicie.

- Co możemy dla pana zrobić, panie Campbell? - spytał Fitch.

Lampy oświetlały wewnętrzny gabinet ciepłym blaskiem. Okno było otwarte, leciutki wiaterek kołysał firanką i szeleścił chorągiewkami bojowymi.

Dalton Campbell westchnął.

- Mamy kłopoty. W związku z morderstwem Claudine Winthrop.

- Jakie kłopoty? - dopytywał się Fitch. - Jak możemy im zaradzić?

Adiutant ministra potarł dłonią podbródek.

- Widziano was.

Fitch poczuł lodowaty dreszcz przerażenia.

- Widziano? Jak to?

- Przypominasz sobie, jak mi mówiłeś, że usłyszeliście zatrzymujący się powóz i wtedy wszyscy pobiegliście nad staw, by się obmyć?

Chłopak zachłysnął się powietrzem.

- Tak, panie.

Adiutant ponownie westchnął. Stukał palcem w blat biurka i najwyraźniej zastanawiał się, jak to powiedzieć.

- Woźnica tego powozu znalazł ciało. Wrócił do miasta po strażników.

- Już nam to mówiłeś, panie Campbell - wtrącił Morley.

- Cóż, właśnie się dowiedziałem, że zanim odjechał, kazał tam zostać swojemu pomocnikowi. A ten poszedł waszym tropem przez pszenicę. Szedł za wami aż do stawu.

- Drogie duchy - wyszeptał Fitch. - Chcesz powiedzieć, że on nas widział, jak pływamy i myjemy się do czysta?

- Widział was. Właśnie podał wasze imiona. Fitch i Morley, powiedział. Z kuchni w posiadłości.

Serce Fitcha tłukło się jak szalone. Starał się myśleć, lecz nie mógł zapanować nad ogarniającą go paniką. I tak skazą go na śmierć.

- Ale czemu nie powiedział nic wcześniej, skoro nas widział?

- Słucham? Ach, wydaje mi się, że był wstrząśnięty widokiem ciała, więc...

- Dalton Campbell machnął ręką. - Słuchajcie, nie ma czasu, by rozwodzić się nad tym, co się już wydarzyło. Teraz już nic na to nie poradzimy. - Wysoki Anderyjczyk wysunął szufladę. - Ogromnie mnie to przygnębiło. Wiem, że obaj wykonaliście dla mnie dobrą robotę. Że wykonaliście ją dla Anderithu. Ale fakt pozostaje faktem: widziano was. - Wyjął z szuflady ciężki skórzany worek i położył go na biurku.

- Co się z nami stanie? - zapytał Morley.

Oczy Morleya miały wielkość złotych suwerenów. Fitch wiedział, co przeżywa jego przyjaciel. I pod nim drżały kolana, kiedy usiłował sobie wyobrazić swoją egzekucję. Ogarnęła go nowa fala paniki, omal nie wrzasnął. Przypomniał sobie opowieść Franki, jak to tłum zarzucił jej pętlę na szyję, podciągnął ją na gałęzi i układał pod nią stos, a ona dusiła się i

kopała powietrze. Tyle że Fitch nie miał daru, który by go ocalił. Dotknął szyi - poczuł szorstki sznur.

Dalton Campbell przesunął ku nim mieszek po blacie biurka.

- Chcę, żebyście to wzięli.

Fitch musiał się skupić, żeby pojąć, co Campbell mówił.

- Co to takiego?

- Przeważnie srebro. I trochę złota. Jak już mówiłem, ogromnie mnie to przygnębiło. Okazaliście się bardzo pomocni i udowodniliście, że mogę na was polegać. A teraz, ponieważ ktoś was widział i potrafi zidentyfikować jako sprawców... zostaniecie skazani na śmierć za zabicie Claudine Winthrop.

- Ale mógłby pan im powiedzieć...

- Nie mogę im nic powiedzieć. Muszę dbać przede wszystkim o dobro Bertranda Chanboora i o przyszłość Anderithu. Suwren jest chory. Lada dzień Bertrand Chanboor może zostać Suwrenem. Nie wolno mi wtrącać całej krainy w chaos z powodu Claudine Winthrop. Wy jesteście jak żołnierze na wojnie. A podczas wojny giną zaci ludzie. Poza tym i tak nikt by mnie nie posłuchał, bo wzburzenie jest zbyt wielkie. Mógłby was dopaść gniewny tłum i...

Fitchowi wydawało się, że *zaraz* zemdleje. Oddychał tak szybko, że niemal się dławił.

- Skażą nas na śmierć i zabiją?!

Dalton Campbell spojrzał na niego, wyrwany z zadumy.

- Słucham? Nie. - Znów popchnął ku nim mieszek. - Mówiłem, że tu jest sporo pieniędzy. Weźcie to. Uciekajcie. Nie rozumiecie? Uciekajcie, bo inaczej nie dożyjecie następnego zachodu słońca.

- Ale gdzie mamy pójść? - zapytał Morley. Adiutant wskazał okno.

- Byle dalej stąd. Bardzo daleko. Na tyle daleko, żeby was nigdy nie znaleźli.

- Ale jak by to można jakoś wyjaśnić, żeby ludzie wiedzieli, że my tylko zrobili, co było trzeba...

- A gwałt na Beacie? Nie musieliście gwałcić Beaty.

- Co takiego?! - wysapał Fitch. - Nigdy bym, przysięgam, nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Nigdy, panie Campbell.

- Nie ma znaczenia, co byś zrobił, a czego nie. Dopóki ludzie tak uważają,



jesteś winowajcą. Nie będą słuchać moich wyjaśnień. Nie zechcą. Uważają, że Beatę zgwałcili ci sami, którzy zgwałcili i zabili Claudine Winthrop. Nie ma znaczenia, czy zgwałciłeś Beatę czy nie. To Anderyjczyk was widział. Ścigają was.

- Ścigają nas? - Morley przesunął drżącą ręką po poblądłej twarzy. - Już nas ścigają?

Dalton Campbell potaknął.

- Jeżeli tu zostaniecie, poniesiecie śmierć za obie zbrodnie. Jedyna wasza szansa w ucieczce, i to szybkiej. Obaj byliście dla mnie tacy użyteczni i tak dobrze przysłużyliście się Anderithowi, więc chciałem was ostrzec, żebyście mieli szansę ratować się ucieczką. Oddaję wam moje oszczędności, by wam w tej ucieczce pomóc.

- Oszczędności? - Fitch potrząsnął głową. - O nie, panie Campbell, nie weźmiemy twoich oszczędności. Masz żonę...

- Nalegam. Jeśli będzie trzeba, to rozkażę. Zasnę dopiero wtedy, gdy będę miał świadomość, że choć w ten skromny sposób wam pomogłem. Zawsze dbam o moich ludzi. A dla was, dzielni chłopcy, mogę zrobić ledwie tyle. - Dalton wskazał skórzany miasek. - Weźcie to. Podzielcie między siebie. Wykorzystajcie to na ucieczkę. Zaczniście nowe życie.

- Nowe życie?

- A tak - odparł Campbell. - Moglibyście sobie nawet kupić miecze.

- Miecze? - Morley aż zamrugnął ze zdumienia.

- Oczywiście. Tego, co jest w mieszkach, wystarczy i na dwanaście mieczy dla każdego z was. Jeżeli dostaniecie się do innej krainy, nie będziecie uważani za Hakenów, jak tutaj. Będziecie wolnymi ludźmi, będziecie sobie mogli kupić miecze. Zaczniście nowe życie. Znajdźcie nową pracę, rozpocznijcie wszystko od nowa. Przy takich pieniądzach możecie nawet poznać jakieś miłe damy i starać się o nie.

- Ale my nigdy nie byliśmy za Fairfield - powiedział bliski łez Morley.

Dalton Campbell wsparł dłonie na biurku i pochylił się ku chłopakom.

- Jeśli tu zostaniecie, to jest po was. Strażnicy mają wasze imiona i bez wątplenia już was szukają, kiedy my tu sobie rozmawiamy. Pewnie już wam deptają po piętach. Modlę się do Stwórcy, żeby was nie widzieli, kiedy tu szliście. Jeśli chcecie ocalić życie, to bierzcie pieniądze i uciekajcie. Zaczniście wszystko od nowa.

Fitch zerknął pospiesznie przez ramię. Nikogo nie usłyszał ani nie zobaczył, lecz przecież lada chwila mogli ich dopaść. Nie miał pojęcia, co robić, wiedział jednak, że powinni zrobić, jak radził Dalton Campbell: uciekać. Zabrał z biurka skórzany miasek.

- Nie spotkałem lepszego człowieka od pana, panie Campbell. Żałuję, że nie mogę dla pana pracować przez resztę życia. Dziękuję, że nas pan ostrzegł o pościgu i dał środki na nowe życie.

Adiutant wyciągnął do mego rękę. Chłopak nigdy przedtem nie wymienił uścisku dłoni z Anderyjczykiem - było to miłe uczucie. Campbell uścisnął również dłoń Morleya.

- Życzę wam szczęścia. Doradzałbym, byście wzięli konie. Kupcie je, nie kradnijcie, bo to naprowadziłoby tamtych na wasz ślad. Wiem, że to będzie dla was trudne, ale starajcie się postępować zwyczajnie, bo inaczej wzbudzą podejrzenia. Szanujcie pieniądze, nie trwońcie ich na prostytutki i rum, bo się wam skończą, nim się obejrzyjecie. A wtedy was złapią i nie pożyjecie na tyle długo, by umrzeć z powodu chorób, którymi się zarazicie od dziwek. Jeżeli będziecie wydawać pieniądze z głową, oszczędnie, wystarczą wam na kilka lat, pozwolą rozpocząć nowe życie tam, gdzie zechcecie.

Fitch znów uścisnął dłoń Campbellowi.

- Dziękuję za radę, panie Campbell. Zrobimy, jak mówisz. Kupimy konie i wyjedziemy. Nie martw się o nas. Obaj z Morleyem żyliśmy już na ulicy. Wiemy, jak się nie dać złapać Anderyjczykom, którzy chcą nas skrzywdzić.

Dalton Campbell uśmiechnął się.

- Nie wątpię, że wiecie. Oby Stwórca czuwał nad wami.

Kiedy Dalton wrócił na ucztę, Teresa siedziała na jego krześle i rozmawiała z ministrem. Jej wesoły śmiech wznosił się ponad gwar uczy, a basowy chichot Bertranda pobrzmiwał poniżej tej tonacji. Hildemara, Stein i hurtownicy zatopili się w pogawędce przy drugim krańcu stołu.

- O, jesteś, kochanie. - Uśmiechnięta Teresa ujęła dłoń męża. - Zostaniesz teraz ze mną? Bertrandzie powiedz Daltonowi, że za ciężko pracuje. Powinien coś zjeść.

- O tak, Daltonie, pracujesz najciężej ze znanych mi osób. Twoja żona jest okropnie samotna. Starłem się ją zabawiać, ale nie ciekawią jej moje opowiadki. Słucha ich uprzejmie, tak naprawdę jednak pragnie mi tylko

powtarzać, jaki to z ciebie zacny chłop. A to już dobrze wiem.

Teresa wróciła na swoje krzesło. Oboje z ministrem zachęcali Daltona, by usiadł na swoim. Campbell poprosił żonę gestem o jeszcze chwilę cierpliwości. Stanął z drugiej strony ministra, położył jedną dłoń na jego ramieniu, a drugą na ramieniu Hildemary, i nachylił się. Chanboor i jego żona zbliżyli ku niemu głowy.

- Właśnie otrzymałem nową informację, która potwierdza moje podejrzenia. Okazuje się, że pierwsze doniesienia o zbrodni były zbyt udramatyzowane. W rzeczywistości Claudine Winthrop została zamordowana przez dwóch ludzi. - Podał ministrowi złożoną i zapieczętowaną woskiem kartkę papieru. - Tutaj są ich imiona.

Bertrand wziął dokument, a na twarzy jego małżonki wykwitł uśmiech.

- Posłuchajcie mnie teraz uważnie, proszę - dodał adiutant. - Już się na nich szykowałem, ale nim zdołałem ich aresztować, ukradli dużą sumę z funduszu kuchni i uciekli. Intensywne poszukiwania są w toku. - Dalton Campbell uniósł znacząco brew i spojrzał na ich twarze, by upewnić się, czy pojęli, że sfabrykował prawdopodobną historyjkę. Po minach ministra i jego żony poznał, że natychmiast zrozumieli, co mówił między wierszami. - Jutro, o wybranej przez siebie porze, ogłoś imiona zapisane na tej karcie. Pracowali w kuchni. Zgwałcili i zabili Claudine Winthrop. Zgwałcili tę hakenką dziewczynę, która pracuje u rzeźnika Ingera. A teraz ukradli fundusze kuchni i uciekli.

- Czy ta Hakenka nie będzie miała nic do powiedzenia w całej sprawie? - zapytał Bertrand, zaniepokojony, iż dziewczyna zaprzeczy, że to tamci, i wskaże na niego, jeśli zmuszają do mówienia.

- To przeżycie było dla niej tak okropne, że uciekła. Nie wiemy, gdzie się podziała, lecz na pewno nie wróci. Prawdopodobnie zamieszkała z dalszą rodziną. Strażnicy miejscy znają jej imię, więc gdyby kiedykolwiek wróciła, pierwszy dowiem się o tym i osobiście zajmę się przesłuchaniem.

- Czyli nie ma jej tutaj i nie może zaprzeczyć obwinieniu tych morderców. - Gniewny mars powrócił na twarz Hildemary. - Dlaczego mielibyśmy im dać całą noc na ucieczkę? To nierozsądne. Ludzie chcą egzekucji. Publicznej egzekucji. Moglibyśmy im urządzić widowisko. Nic tak nie satysfakcjonuje ludu jak porządna publiczna egzekucja.

Dalton odetchnął dla uspokojenia.

- Ludzie chcą wiedzieć, kto to zrobił. Bertrand poda im te imiona. To przekona każdego, że biuro ministra wykryło zabójców. A ich winy dowodzi fakt, że uciekli, zanim jeszcze ujawniono ich imiona. - Campbell też się zachmurzył. - Dalsze działania mogłyby sprowadzić na nas kłopoty w postaci Matki Spowiedniczki. A jej już nie moglibyśmy kontrolować. Egzekucja niczemu by nie służyła, a tylko spowodowałaby poważne zagrożenie. Ludzie będą zadowoleni, że rozwiązaliśmy tę sprawę i że już nie ma wśród nich zabójców. Jeśli zrobimy coś więcej, zaryzykujemy wszystko, jako że stoimy już w progu rezydencji Suwerena.

Hildemara zaczęła oponować.

- On ma rację - powiedział władczo minister Chanboor.

- Chyba tak - ustąpiła w końcu.

- Jutro wydam oświadczenie. Edwin Winthrop będzie u mego boku, jeśli czuje się dostatecznie dobrze - oznajmił Bertrand. - Znakomicie, Daltonie. Naprawdę doskonale. Zasłużyłeś sobie na nagrodę.

Ostatecznie Dalton Campbell uśmiechnął się.

- Och, ja to wszystko zaplanowałem, ministrze. Bertrand zachichotał szelmowsko.

- Nie wątpię, Daltonie. Nie wątpię. - I minister roześmiał się tak szczerze, że Hildemara poszła w jego ślady.

Fitch musiał ocierać łzy, kiedy wraz z Morleyem spieszyli korytarzami posiadłości. Szli tak szybko, jak się dało, lecz nie biegli, pamiętając, co im powiedział Dalton Campbell: że mają się zachowywać normalnie. Kiedy widzieli strażników, zmieniali trasę, żeby nie podchodzić do nich zbyt blisko. Z daleka Fitch był tylko posłańcem, a Morley kimś, kto pracował w posiadłości.

Ale gdy widzieli strażników i ci chcieli ich zatrzymać, musieli uciekać. Na szczęście gwar uczyty zagłuszał tupot ich stóp o drewnianą podłogę.

Fitch wpadł na pomysł, który mógł im pomóc w ucieczce. Nie tracąc czasu na wyjaśnienia, złapał Morleya za rękaw i pociągnął za sobą. Skręcili na schody. Pokonując dwa stopnie naraz, zbiegli na niższe piętro. Tu Fitch skręcił dwa razy i wkrótce znalazł pomieszczenie, o które mu chodziło. Było puste. Weszli do środka, niosąc lampę, i chłopak zamknął drzwi.

- Czyś ty oszalał, Fitch, że nas tu zamykasz? Już byśmy byli w pół drogi do Fairfield.

Fitch oblizał wargi.

- Kogo szukają, Morley?

- Nas!

- Nie, chodzi mi o to, po czym nas poznają. Szukają posłańca i kuchennego pomywacza, tak?

Morley podrapał się w głowę. Stale zerkał na drzwi.

- Tak i mi się wydaje.

- To jest magazyn, trzymają tu również odzież. Zanim szwaczka uszyła mi uniform na miarę, dostałem do noszenia coś stąd.

- No to jak już masz ten swój uniform, to co robimy...

- Zdejmuj ubranie.

- Po co?

Fitch mruknął zirytowany.

- Szukają posłańca i pomywacza, Morley. Jak włożysz uniform posłańca, to obaj będziemy posłańcami.

- Oooo. - Morley uniósł ze zdumieniem brwi. - Pyszny pomysł.

Chłopak prędko zrzucił brudne łachy pomywacza. Fitch uniósł wyżej lampę i szukał na półkach stroju posłańców adiutanta ministra. Podał koledze ciemnobrązowe spodnie. Morley je wciągnął.

- Pasują?

- Całkiem nieźle.

Fitch zdjął z półki białą koszulę z marszczonym kołnierzem.

- A to?

Patrzył, jak Morley próbuje zapiąć guziki. Była za mała na jego szerokie barki.

- Złóż ją - polecił Fitch i zaczął szukać następnej.

- Po co się męczyć? - Morley odrzucił koszulę na bok.

- Podnieś ją i porządnie złóż. Chcesz, żeby nas złapali? Nie chcę, żeby się wydało, że tu byliśmy. Lepiej się nam powiedzie, jak nie będą wiedzieli, że ktoś wziął ubranie.

- Ooo - powiedział Morley. Podniósł koszulę i zaczął ją składać swoimi wielkimi dłońmi.

Fitch podał mu drugą. Była tylko odrobinę za duża. Potem już szybko znalazł kaftan pikowany we wzór z łączących się ze sobą rogów obfitości. Brzegi kaftana były obszyte lamówką z przeplecionych taśm, brązowej i

czarnej, jak to u posłańców Daltona Campbella. Chłopak wsunął ręce w rękawy - kaftan był akurat.

- Jak wyglądam?

Fitch uniósł lampę. Cicho gwizdnął. Jego przyjaciel był o wiele lepiej zbudowany niż on. W uniformie posłańca wyglądał bardzo godnie, niemal po pańsku. Fitch nigdy nie uważał, że Morley jest przystojny, ale teraz się o tym przekonał.

- Wyglądasz lepiej od samego Rowleya, Morley. Chłopak się uśmiechnął.

- Naprawdę? - Jego uśmiech znikł. - Chodźmy stąd.

- Buty. - Fitch wskazał na stopy tamtego. - Bez butów głupio byś wyglądał. Masz, włóż skarpety, bo ci się bąble porobią.

Morley wsunął skarpety i usiadł na podłodze. Przykładał podeszwy butów do stopy, aż znalazł takie, które pasowały. Fitch kazał mu zabrać stary strój, żeby nikt się nie domyślił, że tu byli i zabrali uniform.

Usłyszeli dobiegający z holu tupot butów i Fitch zdmuchnął lampę. Razem z Morleyem stali zupełnie nieruchomo w ciemnościach. Kroki zbliżyły się. Fitch chciał uciekać, ale wtedy musieliby wybiec na zewnątrz, a tani przecież byli ci ludzie. Ludzie. Uświadomił sobie, że słyszał kroki dwóch ludzi. Strażnicy. Strażnicy robiący obchód.

Chłopaka znów ogarnęła panika na myśl, że zostałby uśmiercony przed wrzeszczącym radośnie tłumem. Pot spływał mu po plecach.

Drzwi się otwarły.

Fitch widział sylwetkę strażnika stojącego z dłonią na klamce podświetloną przez nikły blask docierający z korytarza. Widział miecz u jego biodra.

Obaj uciekinierzy byli w głębi pomieszczenia, w przejściu między półkami. Snop światła wpadający przez drzwi sięgał prawie do butów Fitcha. Chłopak wstrzymał oddech. Nie śmiał nawet drgnąć. Może, pomyślał, strażnik nie zobaczy ich w tych mrokach, bo ma oczy przyzwyczajone do światła.

Strażnik zamknął drzwi i odszedł z kolegą, który otwierał inne drzwi w holu. Odgłos ich kroków ucichł w oddali.

- Fitch - wyszeptał drżącym głosem Morley - koniecznie muszę sobie ulżyć, ale to koniecznie. Możemy już stąd wyjść? Możemy?

Zapytany z trudem dobył głos z gardła.

- Jasne.

Ruszył w ciemnościach tam, gdzie powinny być drzwi. Z radością ujrzeni oświetlony, pusty hol. Poszli spiesznie ku najbliższemu wyjściu, ku drzwiom dla służby w pobliżu pomieszczenia piwowara. Po drodze wrzucili stare ubranie Morleya do skrzyni na szmaty stojącej przy rampie wyładowczej.

Usłyszeli, jak stary piwowar śpiewa pijacką piosenkę. Morley chciał się zatrzymać i coś łyknąć. Fitch oblizał wargi, zastanawiając się nad propozycją kolegi. I jego to kusilo. Sam też chętnie by się teraz czegoś napił.

- Nie - szepnął w końcu. - Nie chciałbym umrzeć przez napitek. Mamy mnóstwo pieniędzy. Potem kupimy sobie coś do picia. Nie zamierzam być tu ani chwili dłużej, niż to konieczne.

Morley niechętnie przytaknął. Przez drzwi dla służby wydostali się na rampę. Fitch prowadził. Zbiegli po stopniach - to po tych stopniach weszła Claudine Winthrop, kiedy on i Morley pierwszy raz z nią rozmawiali. Gdybyż tylko ich posłuchała i zrobiła tak, jak jej Fitch przykazał.

- Nie zabierzemy nic z naszych rzeczy? - spytał Morley. Fitch zatrzymał się i spojrzał na przyjaciela stojącego w blasku padającym z okien posiadłości.

- A masz coś, za co warto umrzeć? Chłopak podrapał się w ucho.

- Nie. Chyba nie. Tylko ładny rzeźbiony patyk do gry który dostałem od taty. Mam jeszcze trochę odzienia, ale to właściwie łachy. Ten strój jest o wiele lepszy nawet od mojego ubrania na zgromadzenie pokutne.

Zgromadzenie pokutne. Fitch uświadomił sobie z radością, że już nigdy nie będą musieli chodzić na zgromadzenie pokutne.

- Ja też nie mam nic, co warto byłoby zabrać. Mam w skrzyni kilka miedziaków, ale cóż to jest w porównaniu z sumą w mieszk. Chodźmy do Fairfield i kupmy sobie konie.

Morley skrzywił się.

- A umiesz jeździć konno?

Fitch rozejrzał się, upewniając, że w pobliżu nie ma strażników. Lekko szturchnął kolegę, by ten wreszcie się ruszył.

- Nie, ale założę się, że szybko się nauczymy

- Też tak myślę - przyznał Morley. - Ale kupmy łagodne. Kiedy szli drogą, po raz ostatni spojrzeli przez ramię na posiadłość.

- Cieszę się, że stąd odchodzę - stwierdził Morley. - Zwłaszcza po tym, co

się dzisiaj działo. Jeszcze bardziej się cieszę, że nie muszę już wracać do kuchni.

Fitch spojrzał na przyjaciela i zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz?

- Nic nie słyszałeś?

- O czym? Zanośłem pisma do Fairfield.

Morley złapał Fitcha za ramię i zmusił do zatrzymania.

- O ogniu. Nie słyszałeś o ogniu?

- Ogień? - zdumiał się Fitch. - O czym ty mówisz?

- W kuchni. Za dnia. Coś się porobiło z piecami chlebowymi i z paleniskami.

- Co się porobiło?

Morley uniósł ramiona i wydał odgłos imitujący huk. Rozłożył ramiona, najwyraźniej demonstrując, jak buchają płomienie.

- Ogień buchnął, że coś strasznego. Spalił chleb. Kocioł pękł od zaru.

- No, no. - Fitch był jeszcze bardziej zdumiony. - Komuś coś się stało?

Twarz Morleya skrzywiła się w okrutnym uśmieszku.

- Gillie paskudnie poparzyło. - Szturchnął Fitcha łokciem w zebro. - Akurat robiła sos, jak ogień zwariował. Poparzyło jej tę wstrętą pomarszczoną gębę. Włosy jej się zajęły i cała reszta. - Morley zaśmiał się z zadowoleniem kogoś, kto całe lata czekał na rewanz. - Mówią, że chyba nie wyżyje. Ale przynajmniej będzie okropnie cierpieć, zanim umrze.

Fitch miał mieszane uczucia. Nie darzył Gillie sympatią, ale mimo wszystko...

- Nie powinieneś się cieszyć, Morley, że któryś z Anderyjczyków doznał krzywdy. To tylko potwierdza nasze obrzydliwe hakeńskie obyczaje.

Ruszyli i Morley skrzywił się pogardliwie. Biegli całą drogę, trzy razy chowali się w polach, bo drogą nadjeżdżał powóz. Kryli się w pszenicy albo w sorgu, w zależności od tego, co dawało lepszą osłonę. Leżeli, wstrzymując oddech, dopóki powóz ich nie minął.

Fitch traktował to bardziej jako wyzwolenie niż paniczną ucieczkę. Poza posiadłością mniej się bał, że ich złapią. Przynajmniej nocą.

- Uważam, że za dnia powinniśmy się chować - powiedział. - Przynajmniej na początku. Chować się na dzień w jakimś bezpiecznym miejscu, z którego byśmy widzieli, czy ktoś się zbliża. Podróżować możemy



nocą, żeby nas ludzie nie zobaczyli, a nawet gdyby, to nie mogliby nas rozpoznać.

- A jak ktoś nas znajdzie za dnia, gdy będziemy spać?

- Będziemy trzymać wartę. Jak żołnierze. Jeden będzie spać, a drugi czuwać.

Morleyowi ogromnie się to spodobało.

- Nigdy bym na to nie wpadł.

Zbliżali się do Fairfield, więc zwolnili i szli spokojnie. W mieście potrafili zniknąć równie skutecznie jak w polach, kiedy nadjeżdżał powóz.

- Możemy kupić konie - oznajmił Fitch - i jeszcze tej nocy ujechać spory kawałek.

Morley dumiał przez chwilę.

- Jak się wydostaniemy z Anderithu? Pan Campbell mówił, że są takie okolice, gdzie nie ma znaczenia, że jesteśmy Hakenami. Ale jak się przedostaniemy przez posterunki wojskowe i granicę z Dominie Dirtch?

Fitch skubnął kaftan na ramieniu Morleya.

- Jesteśmy posłańcami. Chyba o tym pamiętasz?

- No i?

- No i powiemy, że mamy urzędowe sprawy.

- Posłańcy mają urzędowe sprawy poza Anderithem? Fitch chwilę się nad tym zastanawiał.

- A kto nam zaprzeczy? Jeśli powiemy, że to pilna sprawa, to nie będą nas mogli trzymać, aż dostaną potwierdzenie. To by zbyt długo trwało.

- Mogą chcieć zobaczyć pismo.

- Przecież nie wolno nam pokazywać tajnego pisma, prawda? Powiemy im po prostu, że to tajna misja do krainy, której nazwy *nie* wolno nam wymieniać, i że mamy tajne pismo, a oni nie są upoważnieni do oglądania go. Morley się uśmiechnął.

- To się powinno udać. Myślę, że się wydostaniemy.

- A pewnie.

Morley znów zatrzymał przyjaciela.

- Ale gdzie pójdziemy, Fitch? Masz jakiś pomysł? Tym razem to Fitch się uśmiechnął.

## ROZDZIAŁ 43

Beata postawiła torbę i zmrużyła oczy, chroniąc je przed jaskrawym słońcem. Odgarnęła rozwichrzone przez wiatr włosy. Nie potrafiła czytać, więc nie wiedziała, jakie słowo widnieje nad wielką bramą, ale przed nim była liczba - dwadzieścia trzy. Liczby znała, dlatego była pewna, że znalazła właściwe miejsce.

Wpatrywała się w słowo nad liczbą i starała się zapamiętać, by potem móc rozpoznać, lecz nie potrafiła zrozumieć, co ono oznacza. Dla niej były to niezrozumiałe nacięcia na kawałku drewna. Nacięcia równie pozbawione sensu jak ślady po kurzych pazurkach. Takich śladów nie zdałaby zapamiętać. Nie mogła pojąć, jak ludzie zapamiętują te dziwaczne znaki i składają je w słowa, ale zapamiętywali.

Znów podniosła płócienną torbę mieszczącą cały jej dobytek. Niewygodnie było taszczyć ten obijający się o udo ciężar, choć nie był nie do udźwignięcia. Poza tym przekładała go z jednej dłoni do drugiej, gdy zmęczyło się jej ramię. W rzecz żywi stos ci nie miała aż tak dużo rzeczy: trochę odzieży, parę zrobionych przez szewca butów, które należały do jej matki i które Beata wkładała tylko na specjalne okazje, żeby się nie zniszczyły, grzebień wycięty z rogu, mydło, pamiątki od kilku przyjaciół, trochę wody i przybory do szycia.

Inger dał jej mnóstwo jedzenia. Miała najrozmaitsze kiełbasy wykonane z różnego rodzaju mięs. Niektóre były tak grube jak jej ramię, inne długie i cienkie, jeszcze inne - zwinięte w pęta. To one najbardziej obciążały torbę. Choć dała kilka napotkanym głodnym ludziom, a jedną farmerowi i jego żonie, których wozem jechała przez dwa dni, i tak zostało ich jeszcze chyba na rok.

Inger dał również Beacie list. Napisany na pięknej welinowej karcie, którą potem dwukrotnie złożył. Dziewczyna nie umiała czytać, ale rzeźnik przeczytał jej to, co napisał, żeby wiedziała, co list zawiera. Za każdym razem, gdy zatrzymywała się na odpoczynek, wyjmowała list, bardzo ostrożnie rozprostowywała i udawała, że czyta. Starła się zapamiętać, jak Inger wymawiał te słowa, żeby wiedzieć, które jest które. Ale nie potrafiła. Pismo wyglądało dla niej jak skrobnięcia kurzych pazurów.

Pewnego razu Fitch narysował jakieś znaczki na ziemi i powiedział, że to znaczy „Prawda”. Fitch. Potrząsnęła głową.

Inger nie chciał, żeby odchodziła. Powiedział, że jej potrzebuje. Odparła, że jest mnóstwo ludzi, których może wynająć. Może zatrudnić mężczyznę o wiele silniejszego od niej. Nie jest mu potrzebna. On na to, że jest dobra w robocie, którą dla niego wykonuje. Że uważa Beatę niemal za córkę. Opowiedział dziewczynie, jak jej rodzice zjawili się z nią, wtedy jeszcze małą dziewczuszką. Miał czerwone oczy, kiedy prosił, żeby została. Beata omal się wtedy ponownie nie rozbeczała, lecz zdołała się opanować. Powiedziała, że kocha go jak wujka i właśnie dlatego musi odejść: gdyby została, wpędziłaby go w tarapaty. On na to, że dałby sobie z tym radę. Beata odparła, że się boi, bo gdyby została, mogłaby zostać pobita, a może i zamordowana. Na to już nie znalazł odpowiedzi.

Inger zawsze kazał jej ciężko pracować, ale był uczciwy. Dbał, żeby nie była głodna. Nigdy jej nie bił. Czasem przyłożył chłopakom, którzy mu się stawiali, ale dziewczynom nigdy. Zresztą, dziewczyny nie odpowiadały mu niegrzecznie. Raz czy dwa się na nią rozzłościł, ale nigdy jej nie uderzył. Jeżeli zrobiła jakieś głupstwo, które go rozgniewało, kazał jej do późna w nocy patroszyć kurczaki i usuwać z nich kości. I tak jednak nie musiała tego robić za często. Zawsze starała się postępować jak trzeba i nie sprawiać kłopotów.

Bo Beata za najważniejsze uważała właśnie wykonywanie tego, co jej polecono, i niesprawianie kłopotów. Wiedziała, że przyszła na świat z niegodziwą hakenką naturą, jak wszyscy Hakeni zresztą, i starała się postępować lepiej, walczyć z tymi złymi cechami.

Od czasu do czasu Inger mrugał do niej i mówił, że wykonała dobrą robotę. Zrobiłaby wszystko, żeby zasłużyć na takie mrugnięcie i pochwałę.

Zanim odeszła, rzeźnik długo tulił ją do siebie, a potem kazał jej usiąść i napisał ten list. Kiedy jej go czytał, widziała, że ma oczy pełne łez. Sama z wielkim trudem powstrzymywała się od płaczu.

Rodzice nauczyli Beatę, że nie powinna płakać przy ludziach, bo uznają ją za słabą albo głupią. Płakała więc tylko nocami, kiedy nikt nie mógł jej usłyszeć. Zawsze powstrzymywała łzy, dopóki nie znalazła się sama, w mroku nocy.

Inger był zacnym człowiekiem i na pewno będzie jej go brakowało, choć

kazał jej bardzo ciężko pracować. Ale ona przecież nie bała się pracy.

Beata wytarła nos i odsunęła się, żeby przepuścić wóz zbliżający się do bramy. Wyglądało to na rozległy ogrodzony teren. Zarazem było to też bardzo samotne miejsce, tkwiące na niskim wzgórzu pośrodku omiatanego wiatrem pustkowiecia. Można się tam było dostać jedynie przez bramę w wale ziemnym, chyba że ktoś wspiąłby się po stromej ścianie umocnienia ziemnego. Wóz wjechał przez bramę, a Beata weszła za nim za umocnienia. Krzątało się tam mnóstwo ludzi. Przypominało to miasto. Zdziwiła się, gdy dostrzegła tyle budynków stojących przy ulicach i bocznych uliczkach.

Strażnik skończył rozmowę z woźnicą i dał mu znak, że może jechać dalej. Teraz zainteresował się Beatą. Przesunął po niej wzrokiem od stóp do głów, nie zdradzając swoich myśli.

- Dzień dobry.

Mówił tym samym tonem, jakim wcześniej zwracał się do woźnicy - uprzejmym, lecz urzędowym. Nadjeżdżały kolejne wozy i był zajęty. Odwzajemniła pozdrowienie.

Ciemne włosy na karku Anderyjczyka były mokre od potu. Pewnie było mu gorąco w tym ciężkim mundurze. Uniósł rękę i wskazał Beacie drogę.

- Tam. Drugi budynek po prawej. - Mrugnął do niej. - Powodzenia.

Skinęła głową w podzięcie i pospieszyła między końmi, zanim zatarasowały drogę, żeby nie musieć ich okrążyć. O mało nie wdepnęła bosymi stopami w świeży koński nawóz. Tłumy ludzi zdążyły w rozmaitych kierunkach. Konie i wozy posuwały się ulicami. Pachniało potem, końmi, skórą, kurzem, nawozem i rosnącą wszędzie dokoła młodą pszenicą.

Wcześniej Beata nie widziała nic poza Fairfield. Była onieśmielona, ale i podekscytowana.

Dość łatwo znalazła drugi budynek po prawej. W środku jakaś Anderyjka siedziała za biurkiem i pisała coś na pogniecionej kartce papieru. Z jednej strony biurka miała całą stertę papierów - niektóre były podniszczone, inne nie. Kobieta podniosła wzrok i Beata dygnęła.

- Dzień dobry, moja droga. - Obejrzała Beatę od stóp do głów, tak jak strażnik. - Długą miałaś drogę?

- Z Fairfield, pani. Kobieta odłożyła obsadkę.

- Fairfield! To daleko. Nic dziwnego, żeś taka zakurzona. Beata potaknęła.

- Sześć dni, pani.

Tamta zmarszczyła brwi. Wyglądała na taką, która często to robi.

- To czemu przyszłaś tutaj, skoro jesteś z Fairfield? Jest sporo bliższych baz.

Beata o tym wiedziała. Ale nie chciała bliższej placówki. Chciała być daleko od miasta. Daleko od kłopotów. Inger poradził jej, żeby przyszła tutaj, do dwudziestej trzeciej.

- Pracowałam dla człowieka o nazwisku Inger. Jest rzeźnikiem. Kiedy mu powiedziałam, co zamierzam, odparł, że był tutaj, więc wie, że są tu porządni ludzie. To za jego radą tu przyszłam, pani.

Kobieta uśmiechnęła się kącikiem ust.

- Nie przypominam sobie rzeźnika o nazwisku Inger, ale musiał tu być, ponieważ ma rację co do tutejszych ludzi.

Beata postawiła torbę i wyciągnęła list.

- Jak powiedziałam, poradził mi, żebym tu przyszła, pani. - Doradził jej, by odeszła jak najdalej od Fairfield, a to miejsce było daleko. Bała się zbliżyć do biurka, więc nachyliła się i wyciągnęła do kobiety rękę z drogocennym listem. - Przysłała ten list polecający.

Kobieta rozwinęła pismo i odchyliła się do tyłu, żeby je przeczytać. Dziewczyna obserwowała jej oczy przesuwające się po liniijkach pisma i próbowała przypomnieć sobie słowa Ingera. Było jej przykro, że powoli je zapomina. Już wkrótce będzie pamiętać tylko ogólne znaczenie listu.

Kobieta odłożyła rekomendacje.

- Mistrz Inger jest o tobie bardzo dobrego zdania, młoda damo. Czemuś zdecydowała się rzucić robotę, z którą sobie tak świetnie radziłaś?

Beata nie spodziewała się, że ktoś ją zapyta, dlaczego chce to zrobić. Zastanowiła się i szybko uznała, że najlepsza będzie szczerść, ale nie przesadna.

- Zawsze o tym marzyłam, pani. Myślę, że czasem każdy powinien choć spróbować zrealizować swoje marzenie. Nie ma sensu tylko żyć i nigdy nie usiłować spełnić swojego marzenia.

- A czemu o tym marzysz?

- Bo chcę być użyteczna. I dlatego, że mi... minister nakazał, by kobiety były tu szanowane. Żeby były równe innym.

- Minister jest wybitnym człowiekiem.

Beata głęboko ukryła swoją dumę. Duma nie przynosiła żadnego pożytku, a tylko wpędzała w tarapaty.

- Tak, pani. Jest. Wszyscy szanują ministra. Ustanowił prawo pozwalające Hakenkom służyć razem z Anderyjczykami i Anderyjkami. Prawo nakazujące każdemu okazywać szacunek Hakenkom, które służą naszej krainie. Hakenki mają wobec niego wielki dług. Minister Chanboor jest bohaterem wszystkich Hakenek.

Kobieta patrzyła na nią obojętnie.

- A ty miałaś nieprzyjemne przejścia z jakimś mężczyzną. Mam rację? Jakiś mężczyzna nie potrafił trzymać rąk przy sobie, ty zaś miałaś wreszcie tego dość i nabrałaś odwagi, żeby stamtąd odejść.

Beata odkaszlnęła,

- Tak, pani. To prawda. Ale nie kłamałam, mówiąc, że to zawsze było moje marzenie. Ten mężczyzna tylko przyspieszył podjęcie decyzji. To wciąż jest moje marzenie, o ile mnie przyjmiesz.

Siedząca za stołem uśmiechnęła się.

- Znakomicie. Jak masz na imię?

- Beata, pani.

- Znakomicie, Beato. Staramy się iść za przykładem ministra Chanboora i postępować właściwie.

- To dlatego tu przyszedłam, pani. Żebym mogła być użyteczna.

- Jestem porucznik Yarrow. Mów do mnie „poruczniku”.

- Dobrze, pa... poruczniku. To... mogę wstąpić do armii?

- Podnieś tamten worek. - Porucznik Yarrow wskazała piórem.

Beata podniosła konopny worek. Wydało się jej, że są w nim szczapy drewna. Podłożyła pod niego przegub i wsparła worek na biodrze.

- Poruczniku? Co mam z tym zrobić?

- Połóż sobie na ramieniu.

Dziewczyna uniosła worek i otoczyła go ręką, żeby zawartość nie ugniatała jej kości. Czekala.

- W porządku - powiedziała porucznik Yarrow. - Możesz to położyć na podłodze.

Beata odłożyła worek tam, skąd go wzięła.

- Przeszłaś próbę - oznajmiła porucznik. - Gratuluję. Twoje marzenie się spełniło. Jesteś w armii Anderithu. Hakeni nigdy nie pozbędą się całkowicie

swojej natury, lecz tutaj będziesz doceniana i będziesz mogła czynić dobro.

Dziewczyna poczuła przyływ dumy. Nic na to nie mogła poradzić.

- Dziękuję, poruczniku.

Kobieta machnęła piórem, wskazując za swoje ramię.

- Tam, w bocznej uliczce, tuż przy wale obronnym, znajdziesz stos odpadków. Rzuć tam swoją torbę.

Beacie odebrało mowę. Były w niej buty jej matki. Dużo kosztowały. Matka i ojciec oszczędzali całe lata, żeby je kupić. Schowała w torbie upominki od przyjaciół. Powstrzymała łzy.

- Mam wyrzucić również żywność od Ingera, poruczniku?

- Żywność także.

Beata wiedziała, że skoro nakazała jej to Anderyjka, to jest to słuszne i musi wykonać polecenie.

- Tak jest, poruczniku. Czy mogę wyjść i zająć się tym? Kobieta przyglądała się jej przez chwilę. Jej głos odrobinę złagodniał.

- To dla twojego dobra, Beato. To są rzeczy z twojego starego życia. Takie wspomnienia nie przyniosłyby ci nic dobrego. Im szybciej zapomnisz o wszystkim, także o żywności, tym lepiej.

- Tak jest, poruczniku. Rozumiem. - Dziewczyna poważyła się na zuchwalstwo. - A list, poruczniku? Mogę zatrzymać list, który przyniosłam od Ingera?

Porucznik Yarrow spojrziała na leżący na biurku list. W końcu złożyła go i podała dziewczynie.

- Możesz go zatrzymać, skoro to list polecający, a nie przypomnienie starego życia. Zasłużyłaś na niego latami pracy dla tego człowieka.

Dziewczyna dotknęła szpilki spinającej kołnierzyk - tej ze spiralnym łepkiem, którą oddał jej Fitch. Dostała ją od ojca, kiedy była mała, zanim jeszcze umarł na gorączkę. Zgubiła ją, kiedy minister i ta bestia, Stein, wyjęli i wyrzucili szpilkę do holu, by móc rozchylić sukienkę i przyjrzeć się jej ciału.

- A szpilka, poruczniku Yarrow? Czy i ją powinnam wyrzucić? Kiedy przyglądała się, jak ojciec robi tę szpilkę, powiedział jej, iż to symbol tego, że wszystko się ze sobą łączy, choć może na pierwszy rzut oka tego nie widać, i że gdyby mogła wszystko do końca prześledzić, to ostatecznie zbiegłoby się w jednym punkcie. Powiedział, by nie rezygnowała z marzeń, i dodał, że jeśli będzie czynić dobro, to marzenia wrócą do niej, choćby dopiero w

zaświatach, gdzie dobre duchy je spełnią. Wiedziała, że to bajeczka dla dzieci, ale lubiła tę opowieść. Porucznik przyglądała się szpilce zmrużonymi oczami.

- Tak. Od teraz lud Anderithu dostarczy ci wszystkiego, czego potrzebujesz.

- Tak jest, poruczniku. Zamierzam dobrze służyć ludziom, żeby odplacić się za to, co tylko oni mogą mi zapewnić.

Uśmiech złagodził twarz kobiety.

- Jesteś bystrzejsza niż większość tych, którzy się tu zjawiają, Beato. Tak od mężczyzn, jak i od kobiet. Szybko pojmujesz i akceptujesz to, czego się od ciebie oczekuje. To dobra cecha. - Porucznik stanęła za biurkiem. - Myślę, że po przeszkoleniu będziesz dobrym dowódcą, może nawet sierżantem. To trudniejsze niż szkolenie prostego żołnierza, ale jeśli podołasz, za tydzień lub dwa będziesz dowodzić własnym oddziałem.

- Własny oddział? I to po tygodniu lub dwóch?

Porucznik Yarrow wzruszyła ramionami.

- W armii to nic trudnego. Jestem pewna, że to o wiele łatwiejsze niż nauka szlachtownia.

- Nie uczymy się walczyć?

- Owszem, ale choć to ważne, walka jest błahym i przestarzałym zajęciem armii. Wojsko było niegdyś azylem dla ekstremistów. Fanatyzm wojowników przytłacza społeczeństwo, którego mają bronić. - Znów się uśmiechnęła. - Najważniejszym wymogiem jest tęga głowa, a kobiety są tutaj więcej niż równe innym. Przy Dominie Dirth krzepa nie jest konieczna. Ta broń znakomicie zastępuje krzepę i jest niepokonana. Kobiety cechuje wrodzona umiejętność współczucia, która jest niezbędną, żeby być dowódcą. Ja, na przykład, wytłumaczyłam ci, dlaczego musisz wyrzucić stare rzeczy. Mężczyźni nie kłopotczą się wyjaśnianiem swoim oddziałom, czemu coś jest konieczne. Dowodzenie to wychowywanie podkomendnych. Kobiety wnoszą zdrowe zasady moralne do czegoś, co było tylko brutalnym partnerstwem w niszczeniu. Kobietom, które bronią Anderithu, okazuje się uznanie, do którego mają prawo, uznanie, na które zasługują. Staramy się, by armia wspierała naszą kulturę duchową, a nie tylko jej zagrażała, jak było poprzednio.

Beata spojrzała na miecz u biodra porucznik Yarrow.



- A będzie mi wolno nosić miecz i wszystko?

- I wszystko, Beato. Miecze są po to, żeby ranić i odstraszać w ten sposób przeciwnika. Nauczymy cię, jak to robić. Będziesz wartościowym członkiem Dwudziestego Trzeciego Regimentu. Wszyscy jesteśmy dumni, że służymy pod Bertrandem Chanboorem, Ministrem Spraw Duchowych.

Dwudziesty Trzeci Regiment. To tu właśnie powinna się zaciągnąć według rady Ingera: do Dwudziestego Trzeciego Regimentu. To mówił znak nad bramą.

Dwudziesty Trzeci Regiment pilnuje Dominie Dirtch. Inger powiedział, że żołnierze, którzy pilnują Dominie Dirtch, mają najlepszą robotę w armii i są najbardziej poważani. Nazwał ich „elitą”.

Beata wróciła myślami do rzeźnika. To już wyglądało na inne życie.

Kiedy opuszczała jego dom, Inger delikatnie ujął ją za ramię i odwrócił ku sobie. Powiedział, że jego zdaniem została skrzywdzona przez jakiegoś mężczyznę w posiadłości i spytał, czy istotnie tak było.

Potaknęła.

Poprosił, żeby mu powiedziała, kto to był.

Beata powiedziała mu prawdę.

Inger odchrząknął i oznajmił, że teraz wreszcie rozumie, dlaczego dziewczyna musi stąd odejść. Był prawdopodobnie jedynym Anderyjczykiem, który gotów był jej uwierzyć. I którego to obchodziło.

Życzył jej szczęścia w nowym życiu.

- Jeszcze raz - rozkazał kapitan.

Beata, pierwsza w szeregu, uniosła miecz i pobiegła. Pchnęła słomianą kukłę zawieszoną na linie. Tym razem trafiła w nogę.

- Znakomicie, Beato! - pochwalił ją kapitan Tolbert. Zawsze ich chwalił, kiedy dobrze oceniał wykonane zadanie.

Beata - jako Hakenka - uważała te pochwały za coś osobliwego.

Dziewczyna miała ochotę wyciągnąć miecz z nogi słomianej kukły. Przynajmniej udało się jej wykonać polecenie, choć może bez wielkiej gracji. Pozostałym czasami się nie udawało. Na szczęście miała wieloletnie doświadczenie w posługiwaniu się ostrzami. Były co prawda mniejsze od miecza, ale wiedziała, jak je chwycić i wbić tam, gdzie się zaplanowało.

Jako Hakenka właściwie nie miała prawa posługiwać się nożami, gdyż był to w końcu oręż, ale pracowała dla rzeźnika, więc przymykano na to oczy.

Ostatecznie rzeźnicy byli Anderyjczykami i krótko trzymali swoich hakeńskich pracowników. Tylko dziewczynom i kobietom pozwalali ciąć mięso razem z Anderyjczykami, hakeńscy chłopcy i mężczyźni natomiast głównie dźwigali i ładowali towar, czyli wykonywali prace nie wymagające użycia noży.

Trzy spośród reszty dziewczyn - Carine, Emmeline i Annette - też były Hakenkami i nigdy wcześniej nie miały w dłoni innego ostrza niż tępawy nóż do chleba. Czterej młodzi Anderyjczycy - Turner, Norris, Karl i Bryce - pochodzili z ubogich rodzin i w dzieciństwie nie mieli mieczy, ale, jak to chłopcy, w zabawie używali zamiast nich patyków.

Beata wiedziała, że Anderyjczycy są pod każdym względem lepsi od Hakenów, toteż z trudem powstrzymywała się, żeby grzesznie nie wytykać chłopcom błędów. Najlepiej wychodziły im głupawe uśmieszki. Tak przynajmniej uważała. Przeważnie puszyli się i przechwalali jeden przed drugim.

Dwie Anderyjki, Estelle Ruffin i Marie Fauvel, również nie miały doświadczenia we władaniu mieczem, ale machały nowymi mieczami jak wszyscy. I były w tym lepsze od czterech Anderyjczyków. Prawdę mówiąc, także hakeńskie dziewczyny - Carine, Emmeline i Annette - były od nich lepsze w żołnierskim rzemiośle.

Chłopcy mocniej uderzali, lecz dziewczyny lepiej trafiały w cel. Kapitan Tolbert podkreślał to, by chłopcy pojęli, że nie są lepsi od dziewczyn. Mówił młodzieńcom, że nie ma znaczenia, jak mocno zdołają się zamachnąć i uderzyć, jeśli w nic nie trafiają.

Pierwszego dnia Karl rozciął sobie nogę i trzeba było szyć ranę. Kuśtykał potem, uśmiechnięty niczym żołnierz, który zarobił bliznę na wojacze.

Biegnąca Emmeline chciała trafić w nogę słomianej kukły. Chybiła i zahaczyła czubkiem klingi o linę otaczającą słomianą talię. Upadła na twarz. Czterej młodzi Anderyjczycy wybuchnęli śmiechem. Dziewczyny - zarówno Hakenki, jak i Anderyjki - nie. Chłopcy szepnęli do siebie, że Emmeline to niezgrabna krowa i dodali jeszcze kilka równie „miłych” słów. Kapitan Tolbert warknął gniewnie i złapał za kołnierz stojącego najbliżej Bryce'a.

- Już warn mówiłem, że mogliście się naśmiewać z innych w starym życiu, ale nie tutaj! Nie wolno się warn śmiać z kolegów, choćby byli Hakenami. Tutaj wszyscy jesteście równi! - Odepchnął Bryce'a. - Za takie

pogwałcenie szacunku należnego kolegom z oddziału należy się kara. Chcę, żeby każde z was powiedziało mi, co uważa za sprawiedliwą karę.

Kapitan Tolbert wskazał Annette i kazał jej powiedzieć, co według niej byłoby sprawiedliwą karą. Zastanawiała się przez chwilę, a potem odparła, że jej zdaniem chłopcy powinni przeprosić. Carine i Emmeline i dwie pozostałe Hakenki, przyznały jej rację. Zapytał Estelle. Odgarnęła do tyłu ciemne włosy Anderyjki i powiedziała, że chłopców należy wykopać z armii. Marie Fauvel zgodziła się z nią, lecz dodała, że powinno się im pozwolić wrócić do wojska w przyszłym roku. Czterej chłopcy, zapytani o to, co uważaliby za uczciwą karę, odparli, że pouczenie.

- Chcesz być sierżantem - zwrócił się kapitan Tolbert do Beaty. - Co byś uznała za odpowiednią karę, gdybyś była sierżantem?

Beata miała już gotową odpowiedź.

- Skoro jesteśmy równi, to wszyscy powinniśmy być jednakowo traktowani. Ponieważ cztery osoby to bawi, cały oddział powinien kopać nową latrynę, zamiast iść na obiad. - Skrzyżowała ramiona na piersiach. - Jeżeli któreś z nas zgłodnieje przy kopaniu, będzie za to mogło podziękować tym czterem chłopakom.

Kapitan Tolbert uśmiechnął się z satysfakcją.

- Beata wyznaczyła uczciwą karę. Niech więc tak będzie. Jeśli ktoś jest przeciwny, niech wraca do domu trzymać się matczynej spódnicy, bo nie ma odwagi niezbędnej do tego, żeby być żołnierzem i stawać w obronie kolegów.

Estelle i Marie, Anderyjki, obrzuciły chłopaków ponurymi spojrzeniami. Chłopcy zwiesili głowy i wbili wzrok w ziemię. Hakenkom też się ten pomysł nie spodobał, ale chłopców bardziej obchodziły gniewne spojrzenia Anderyjek.

- No to skończmy musztrę, żebyście mogli się zabrać do kopania, kiedy zabrzmi dzwon na obiad - orzekł kapitan Tolbert.

Nikt nie jęknął. Nauczyli się już, że lepiej się nie skarżyć.

Maszerowali dwójkami wąską drogą, Beacie pot spływał po szyi. Właściwie była to ścieżka - zaledwie dwie koleiny wyżłobione przez wozy dostawcze. Prowadził ich kapitan Tolbert.

Beata szła na czele pięciu żołnierzy lewą koleiną, a Marie Fauvel po jej prawej na czele pozostałej piątki.

Dziewczyna z dumą maszerowała na czele swojego oddziału. Ciężko

pracowała przez dwa tygodnie szkolenia i została mianowana sierżantem, jak jej to przepowiedziała porucznik Yarrow. Miała naszywki świadczące o jej randze. Anderyjka Marie została kapralem, zastępcą dowódcy oddziału. Reszta rekrutów, ósemka, pozostała szeregowcami. Beata uważała, że po prostu znaczyło to, iż nie zostali wyrzuceni przed ukończeniem szkolenia - bo wtedy nie byłiby nawet szeregowymi żołnierzami. Nikt z ich grupy nie został wyrzucony przed końcem szkolenia.

Popołudnie było gorące i mundur stał się niewygodny, chociaż zaczynała się do niego przyzwyczajać. Wszyscy mieli zielone spodnie. Poza tym nosili długie, wutowane i pikowane bluzy ściągnięte w tali lekkim paskiem. Na bluzy wkładali kolczugi.

Kolczugi były ciężkie, więc kobiety nie miały rękawów. Za to te dla mężczyzn były dłuższe i miały rękawy oraz kaptury osłaniające głowę i szyję. Chłopcy w marszu nie naciągali kapturów. Kiedy musieli to robić, wkładali jeszcze na nie skórzane hełmy. Wszyscy mieli skórzane hełmy.

Beata była wdzięczna, że kobiety nie muszą nosić takiego samego munduru jak mężczyźni. Jako sierżant podnosiła czasami męskie kolczugi, żeby je obejrzeć. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można cały dzień maszerować w czymś tak ciężkim. To, co sama musiała dźwigać, wystarczało jej aż nadto. Przestało bawić maszerowanie z ciężkim mieczem - teraz był to tylko przykry obowiązek.

Wszyscy mieli długie peleryny, lecz w takim upale przypięli je do prawego ramienia i teraz wisiały luźno z boku. Na kolczugach mieli pasy z przytroczonymi do nich mieczami. Poza tym nieśli plecaki i, rzecz jasna, po dwie piki oraz nóż przypięty do pasa przy drugim boku.

Beata uważała, że wyglądają na szykowny oddział. Pikinierzy, których widywała w Dwudziestym Trzecim Regimentcie, byli najprzystojniejszymi żołnierzami. Było na czym oko zawiesić. Mężczyźni wspaniale wyglądali w tych mundurach. Miewała o nich przyjemne sny. Za to kobiety wyglądały o wiele gorzej w takich uniformach.

Dziewczyna zobaczyła w przodzie coś ciemnego, sterczącego z morza traw. Zbliżyli się do tego i pomyślała, że to jakiś bardzo stary kamień. Bliżej stało kilka niskich kamiennych budynków. Ich dachy były chyba pokryte łupkiem.

Na widok tego wielkiego, milczącego, straszliwego „czegoś” Beata

poczuła dreszcz strachu.

Był to jeden z Dominie Dirtch.

Dominie Dirtch były jedynym dziedzictwem Hakenów wykorzystywanym przez Anderyjczyków. Dziewczyna przypomniała sobie nauki, na których dowiedziała się, jak Hakeni wymordowali za pomocą tego oręża niezliczone rzesze Anderyjczyków. Była to straszliwa broń. Ten tu wyglądał na taki stary, jaki w istocie był. Wszelkie krawędzie zaokrągliły się od deszczu, wiatru i dotyku dłoni, które go dogłądały.

Przynajmniej teraz, kiedy władali nimi Anderyjczycy, Dominie Dirtch były orężem pokoju.

Kapitan Tolbert zatrzymał ich między budynkami. Na kamiennej podstawie ogromnego, podobnego do dzwonu Dominie Dirtch Beata dostrzegła żołnierzy. W budynkach też byli żołnierze. Ich oddział stacjonował tu od miesięcy, podkomendni dziewczyny mieli go zluzować.

- To są budynki koszarowe - oznajmił kapitan Tolbert. - Jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet. Bacz, żeby tak pozostało, sierżancie Beato. Pozostałe budynki przeznaczono na kuchnie i jadalnie, miejsce spotkań, warsztaty i tak dalej. - Wskazał najdalszy. - A tam jest magazyn.

Kazał im iść za sobą. Nie łamiąc równiutkiego szyku, minęli Dominie Dirtch. Przytłoczył ich, olbrzymi, mroczny i groźny. Na kamiennej podstawie stały trzy kobiety i jeden mężczyzna. Przyglądali się przechodzącym.

Kapitan Tolbert zatrzymał się w pewnej odległości przed Dominie Dirtch, wydał komendę „spocznij” i kazał się im rozproszyć. Ustawili się w szeregu, ramię przy ramieniu.

- To jest granica. Granica Anderithu. - Kapitan wskazał na bezkresny trawiasty obszar. - A tam jest Dzicz. Dalej znajdują się ziemie innych ludów. Pilnujemy, żeby nas nie napadły i nie odebrały nam naszej krainy.

Beata poczuła przyływ dumy. Broniła granicy Anderithu. Służyła dobrej sprawie.

- Ja i żołnierze tego garnizonu przez dwa dni nauczymy was wszystkiego, co musicie wiedzieć o strzeżeniu granicy i o Dominie Dirtch. - Kapitan przeszedł wzdłuż szeregu i zatrzymał się przed Beatą. Uśmiechnął się z dumą. - Potem będziecie pod fachowym dowództwem sierżant Beaty. Powinniście bez zwłoki wykonywać jej rozkazy, a jeśli będzie nieosiągalna,

rozkazy kapral Marie Fauvel. - Wskazał za ich plecy. - Przyjmę raport od oddziału, który poprowadzę z powrotem do Dwudziestego Trzeciego Regimentu, i będę bardzo surowy dla każdego żołnierza, który choć raz nie wykonał rozkazu swojego sierżanta. - Powiódł gniewnym, groźnym wzrokiem wzdłuż całego szeregu. - Miejcie to ciągle w pamięci. Pamiętajcie również, że sierżant ma obowiązek postępować stosownie do swojej rangi. Jeśli tego zaniedba, oczeltuję, że zaraportujecie mi o tym, kiedy wrócę, by was zluzować. Wozy z prowiantem przyjadą raz na dwa tygodnie. Utrzymujcie zapasy we właściwym porządku i pamiętajcie, na jak długo mają wystarczyć. Waszym najważniejszym obowiązkiem jest dogłądanie Dominie Dirtch. Jesteście obrońcami naszego ukochanego Anderithu. Z punktu obserwacyjnego przy Dominie Dirtch zobaczycie po obu stronach kolejne Dominie Dirtch. Stoją wzdłuż całej granicy i strzegą jej. Oddziałów nie luzuje się w tym samym czasie, więc z obu stron są zawsze doświadczeni żołnierze. Sierżancie Beato, po przeszkoleniu i naszym odejściu do twoich obowiązków będzie należało dbanie, żeby twoi żołnierze stali na posterunku przy tym Dominie Dirtch, oraz spotykanie się z oddziałami stacjonującymi po obu stronach i koordynowanie z nimi spraw obronności.

- Tak jest, kapitanie. - Beata zaszalutowała, przykładając dłoń do czoła.

Tolbert uśmiechnął się.

- Jestem dumny z was wszystkich. Jesteście dobrymi anderyjskimi żołnierzami i wiem, że wypełnicie swój obowiązek.

Za Beatą wznosiło się olbrzymie, straszliwe hakeńskie narzędzie mord. Teraz ona będzie je miała pod swoją komendą i zadba, żeby służyło dobrym celom.

Dziewczyna poczuła ucisk w gardle. Po raz pierwszy w życiu wiedziała, że służy dobrej sprawie. Spełniało się jej marzenie i to było wspaniałe.

## ROZDZIAŁ 44

Krzepki żołnierz kopnął ją w siedzenie. Próbowała usunąć mu się z drogi, kiedy tylko uniósł nogę, ale nie zdążyła. Zabolało, aż zacisnęła wargi. Już by mu się odwdzięczyła, gdyby wciąż działał magiczny dar. Zastanowiła się, czy nie użyć laski, ale - mając na uwadze swoje sprawy - uznała, że lepiej nie wymierzać od razu sprawiedliwości, choćby była nie wiadomo jak potrzebna.

Annalina Aldurren - była Ksieni Sióstr Światła i przez ponad trzy czwarte tysiąclecia najpotężniejsza kobieta w Starym Świecie - potrząsnęła trzema miedziakami wrzuconymi do cynowego kubka, po czym ruszyła zebrać wśród żołnierzy zebranych wokół następnego ogniska.

Ci nowi, jak większość żołnierzy w obozie, przez który szła, zainteresowali się nią, kiedy się ku nim zbliżała, sądząc, że jest może dziwką. Jednak ich pragnienie kobiecego towarzystwa szybko się rozwiało, gdy Ann weszła w krąg światła i obdarzyła ich uśmiechem ukazującym szczerbate zęby, w czym dopomogła jej sadza pokrywająca szkliwo. Uśmiech ten był zupełnie przekonujący, zwłaszcza w połączeniu z łachmanami, którymi okryła swoją suknię, z upapraną łajnem chustą na głowie - na wypadek, gdyby ktoś uznał, że może zlekceważyć szczerbaty uśmiech - oraz z laską. Laska była najgorsza - Ann aż rozboleły plecy od udawania, że ma słabe krzyże.

Żołnierze dwukrotnie stwierdzili, że wobec niedostatku kobiet mogą zlekceważyć wady Ann. Choć na swój dziki sposób byli przystojni, usiłowała uprzejmie odrzucić ich namowy. Odmowa wywołała krótkie zamieszanie. Na szczęście w całej obozowej krzątaninie nikt nie zauważył, że jednemu z wojaków nagle podcięto gardło. Zresztą nikt nie zainteresowałby się przyczyną takiej śmierci jednego z żołnierzy Imperialnego Ładu.

Ann bardzo niechętnie odbierała komuś życie, jednak ze względu na zamiary żołdaków i to, do czego wykorzystaliby ją przed uśmierceniem, pokonywała ową niechęć.

Także ci, podobnie jak żołnierze zgromadzeni wokół kolejnego ogniska Jedli, opowiadali sobie różne historyjki i nie zastanawiali się, dlaczego tak wśród nich wędruje. Większość taksowała ją wzrokiem i natychmiast

wracała do swojego gulaszu i ościstego obozowego chleba okraszanego piwem oraz sprośnymi opowiastkami. Żebracy wywoływali jedynie warknięcia, które miały ich trzymać z dala.

Tak wielka armia miała całą świętę. Rzemieślnicy jechali własnymi wozami lub wspólnie z innymi. Oferowali mnóstwo usług, których nie zapewniał Imperialny Ład. Ann widziała nawet malarza sporządzającego portrety dumnych oficerów biorących udział w historycznej kampanii. Jak każdy artysta, który pragnął mieć stałe zajęcie i wszystkie palce, pochlebiał swoim modelom, oddając ich w triumfalnych pozach, malując im mądre oczy i, w zależności od życzenia, piękne uśmiechy lub groźne spojrzenie zdobywców. Kramarze sprzedawali wszystko: od mięs i jarzyn, po rzadko spotykane owoce z rodzinnych stron. Ann też poczuła głód, patrząc na te soczyste wspomnienia o Starym Świecie. Dobrze szły amulety mające przynosić szczęście. Jeśli żołnierzowi nie smakowała żywność dostarczana przez Imperialny Ład, a miał pieniądze, ludzie byli gotowi przyrzadzić mu niemal wszystko, czego sobie zażyczył. Wokół olbrzymiej armii, niczym chmara komarów, kręcili się gracze, paskarze, nierządnicze i żebracy.

Ann mogła w przebraniu żebraczki krążyć swobodnie po obozie Ładu i szukać, czego chciała. Od czasu do czasu dostawała tylko kopniaka w siedzenie. Jednak poszukiwania wśród tak licznej armii były uciążliwym przedsięwzięciem. Strawiła już na nie blisko tydzień. Była coraz bardziej zmęczona i zniecierpliwiona. Przez ten tydzień żyła całkiem nieźle z tego, co zdobywała pod płaszczykiem żebraniny, dopóki oczywiście nie przeszkadzało jej gnijące, pełne robaków mięso i psujące się warzywa. Z wdzięcznością przyjmowała takie dary i wyrzucała je, gdy tylko zesła ofiarodawcom z oczu. To był okrutny żart żołnierzy: dawali jej odpadki, które zamierzali wyrzucić. Choć wśród żebraków byli i tacy, którzy posoliliby to, popieprzyli i zjedli.

Każdego dnia, kiedy robiło się już zbyt późno na poszukiwania, Ann wracała do obozowiska ludzi ciągnących za armią i za swoje pieniądze kupowała trochę skromnego, ale w miarę świeżego pożywienia. Każdy myślał, że tę sumkę uzebrała. Prawdę mówiąc, nie była zbyt dobra w tym interesie, gdyż żebractwo było interesem. Kilku żebraków, w których jej brak umiejętności wzbudził litość, usiłowało nauczyć ją, jak poprawić metody pracy. Ann cierpliwie to znosiła, by nikt się nie domyślił, że jest kimś innym,



niż udaje. Niektórzy żebracy całkiem dobrze żyli ze swego zawodu. Fakt, że potrafili wydusić monetę z takich ludzi jak ci tutaj, dowodził ich prawdziwego talentu. Ann wiedziała, że okrutny los zmusza niekiedy wbrew woli do żebrania. Po setkach lat prób udzielenia pomocy, wiedziała też jednak, że większość żebraków z uporem trzyma się takiego życia.

Ann nie ufała nikomu w obozie, a już zwłaszcza żebrakom. Byli groźniejsi od żołnierzy. Żołnierze byli, kim byli, i niczego nie udawali. Jeśli nie chcieli, żeby ktoś kręcił się w pobliżu, kazali odejść albo przepędzali kopniakiem. Niektórzy błyskali ostrzegawczo mieczem. Gdy zamierzali kogoś skrzywdzić lub zamordować, jasno okazywali swoje zamiary.

Żebracy za to wiedli życie pełne kłamstw. Kłamali od momentu, gdy rankiem otwierali oczy, do chwili, gdy oszukiwali Stwórcę w swoich modlitwach przed zaśnięciem.

Ze wszystkich marnych dzieł Stwórcy Ann najbardziej nie lubiła żebraków i tych, którzy wciąż od nowa składali swoje życie i bezpieczeństwo w ręce takich kłamców. Kłamcy to szakale stworzenia. Wprowadzenie w błąd w szlachetnym celu, choć godne pożałowania, bywało niekiedy konieczne dla osiągnięcia większego dobra. Opowiadanie kłamstw z egoistycznych pobudek stanowiło żyzne podłoże dla braku moralności, z którego wyrastały macki zła. Ufanie ludziom wykazującym skłonność do kłamstwa dowodzi, że jesteś głupcem, a tacy głupcy są dla kłamcy pyłem pod stopami, który należy podeptać.

Ann wiedziała, że kłamcy, tak jak ona, są dziećmi Stwórcy i że jej obowiązkiem jest okazywać im cierpliwość i wybaczać, lecz nie mogła się na to zdobyć. Po prostu nie znosiła kłamców, i tyle. Pogodziła się z myślą, że będzie musiała za to odpokutować w zaświatach.

Zebranie zabierało zbyt wiele czasu, więc Ksieni starała się go unikać, żeby przeszukać jak największy obszar. Każdej nocy obóz bywał wywracany do góry nogami, tak że trudno się było zorientować, co już przeszukała, a co nie, toteż postanowiła z każdych poszukiwań wyciągać, ile zdoła. Na szczęście, ponieważ armia była tak liczna, oddziały utrzymywały się mniej więcej w takiej samej kolejności - niczym sznur wozów z towarem zatrzymujących się na noc na drodze. Kiedy rankiem awangarda rozpoczynała marsz, upływała godzina, zanim ruszyły ostatnie szeregi. A wieczorem przednia straż gotowała kolację na długo przedtem, nim koniec

się zatrzymał. Nie przebywali zbyt wielkich odległości, lecz nieubłaganie parli do przodu.

Ann niepokoił też kierunek marszu wojsk. Przez jakiś czas Imperialny Ład gromadził się w pobliżu portu Grafan w Starym Świecie. Kiedy wreszcie ruszyli, włączyła się rzeka do Nowego Świata, lecz wciąż trzymali się wybrzeża i szli wzdłuż niego na zachód, gdzie Ann nieoczekiwanie się z nimi spotkała. Nie była taktykiem wojskowym, ale natychmiast stwierdziła, że to osobliwe postępowanie. Dotychczas zakładała, że zaatakują północ Nowego Świata. Uznała jednak, że skoro podążają w tak pozornie niewłaściwym kierunku, to muszą mieć po temu dobry powód - Jagang niczego nie robił bez powodu. Był bezlitosny, zadufany w sobie i bezczelny, ale nie był nierozważny.

Jagang był mistrzem cierpliwości.

Mieszkańcy Starego Świata na pewno nie tworzyli jednolitej społeczności. Ksieni obserwowała ich w końcu przez ponad dziewięćset lat. Uważała, że najdelikatniej można o nich powiedzieć, iż są zmienni, kłótniwi i krnąbrni. Nie było dwóch takich rejonów w Starym Świecie, które zgodziłyby się, że białe to białe, a czarne to czarne. W ciągu niemal dwudziestu lat, kiedy to obserwowała poczynania Jaganga, imperator metodycznie zmienił krnąbrne grupki w spójną społeczność. Co prawda brutalną, skorumpowaną i niesprawiedliwą, ale to już inna sprawa. Zjednoczył ich i tym sarnym stworzył niespotykaną potęgę. Dzieci były zupełnie inne niż rodzice - niezależni i lojalni tylko wobec swojego małego skrawka świata. Kiedy Imperialny Ład przejął władzę, sporo jego obecnych żołnierzy i dowódców było niemowlętami lub małymi dziećmi. Dorastali pod władzą Jaganga i, jak to dzieci, wierzyli w to, co wpoili im nauczyciele. Przejęli ich obyczaje i wartości.

Siostry Światła służyły jednak wyższemu celowi niż sprawy władzy. Ann widziała, jak nastają i odchodzą obieralne rządy, królowie i inni władcy. A Pałac Proroków trwał, chroniony starożytnym czarem, który ogromnie spowalniał starzenie się Sióstr. Ann i jej Siostry pomagały co prawda w ujawnianiu najlepszych cech natury ludzkiej, lecz zajmowały się głównie tym, co dotyczyło magicznego daru, nie zaś władzy. Mimo to Ksieni miała na oku panujących, by nie ingerowali w magiczny dar Stwórcy. Jagang, angażując się w wyeliminowanie magii, przekroczył granice władzy. Jego

panowanie znalazło się w strefie zainteresowań Annaliny. A teraz wkraczał do Nowego Świata z zamiarem wyniszczenia magii.

Ksieni zauważyła, że ilekroć imperator podporządkowywał sobie nową krainę lub królestwo, usadawiał się w niej i zaczynał infiltrować kolejne. Znajdował chętnych słuchaczy i kuszącymi obietnicami soczystych kąsków nakłaniał ich do zaniechania obrony w imię pokoju. W niektórych krainach karność i obronność już tak podupadły, że władze nie śmiały przeciwstawić się Jagangowi i wołały rozścielić dla niego powitalny dywan. Podwaliny innych, wcześniej potężnych krain tak podgryzały „termity” służące niskim celom, tak osłabiało je dekadentkie kołtuństwo i tak niszczyła chwiejność ugodowców, że nawet jeśli rządy dostrzegły w czas zbliżanie się wroga i usiłowały stawić opór, to Imperialny Ład bez trudu je obalał.

Ponieważ armia Jaganga nieoczekiwanie skierowała się na zachód, Ann zaczęła się obawiać, że imperator robił coś, czego nikt się nie spodziewał; wysyłał emisariuszy z tajnymi misjami. Ci opływali wielką barierę, i to na całe lata przed tym, jak Richard zniszczył Baszty Zatracenia. Takie wyprawy musiały być niesłychanie ryzykowne. Ann doskonale to wiedziała, bo i ona tak popłynęła.

Możliwe, że Nawiedzający Sny miał księgi prorocत्व lub czarodziejów z darem prorokowania i dzięki temu oczekiwał, iż bariera zniknie. W końcu Nathan powiedział Ann to samo. Jeśli tak było, Jagang nie szedł tylko po to, żeby odkrywać, wyzyskiwać i podbijać. Ann obserwowała, jak zdobywał władzę nad całym Starym Światem, wiedziała więc, iż rzadko kiedy poruszał się szlakiem, którego wcześniej nie przetarł.

Ksieni zatrzymała się w ciemnościach pomiędzy grupkami żołnierzy. Rozejrzała się dokoła, patrząc zmrużonymi oczami. Trudno jej było w to uwierzyć, ale jeszcze nie napotkała namiotów Jaganga. Chciała je odszukać, mając nadzieję, że uzyska tam cenne wskazówki, jak odnaleźć Siostry Światła. Pewnie trzymał je w pobliżu. Westchnęła, poirytowana - znowu kolejne ogniska i żołnierze. Wiedziała jednak, że w mroku i obozowym chaosie mogła być całkiem blisko namiotów Jaganga, a mimo to ich nie zauważyć.

Najgorsze było to, że nie mogła pomóc sobie darem. Dzięki darowi słuchałaby z łatwością odległych rozmów, rzucała drobne czary i uzyskiwałyby dyskretną pomoc. Poszukiwania bez pomocy daru były męczące, irytujące i

bezowocne. Nie potrafiła uwierzyć, że mogła być blisko Sióstr Światła, a mimo to ich nie odnaleźć. Dzięki darowi wyczułaby ich obecność, gdyby znalazła się w pobliżu.

A chodziło o coś więcej, nie tylko o pomoc w poszukiwaniach.

Ann, pozbawionej możliwości władania darem, wydawało się, że odebrano jej miłość Stwórcy. Życie poświęcone czynieniu dzieła Stwórcy w połączeniu z cudowną możliwością dotknięcia wewnętrznej magii - Han, siły życia - zawsze było dla Ksieni niezmiernie satysfakcjonujące. Zdarzały się, oczywiście, lęki, zawody i niepowodzenia, lecz zawsze mogła dotknąć Han, co pozwalało przeżyć każdą próbę. Han towarzyszyła jej przez ponad dziewięćset lat. Teraz, nie mogąc jej dotknąć i korzystać z daru, niejedną raz była bliska płaczu.

Dopóki o tym nie myślała, nie czuła wielkiej różnicy. Kiedy jednak bezskutecznie próbowała dotknąć tego wewnętrznego światła, miała wrażenie, że jej myśli wpadają w próżnię. Dopóki nie starała się skorzystać z daru, wydawało się jej, że on nadal tam jest i czeka jak widziany kątem oka dodający otuchy przyjaciel. Lecz gdy sięgała po niego, chciała dotknąć myślami, czuła, że ziemia się rozstępuje, a ona spada w straszliwą czarną czeluść.

Bez daru i osłony czaru chroniącego niegdyś Pałac Proroków Ann nie różniła się od innych ludzi. Tak naprawdę, była kimś niewiele lepszym od żebraczki. Była zwyczajną starą kobietą, która starzała się jak wszyscy inni. Kobieta równie słabą jak inne stare kobiety. Ewentualną przewagę dawały jej tylko intuicja, wiedza i - miała nadzieję - mądrość nabyta w tak długim życiu.

Dopóki Zedd nie przepędzi demonów, Ksieni będzie właściwie bezradna. Dopóki Zedd nie przepędzi demonów. Jeśli Zedd przepędzi demony...

Ann wybrała niewłaściwy kierunek. Szła pomiędzy stojącymi blisko siebie wozami i wpadła na kogoś podążającego w przeciwną stronę. Przepraszyła i zaczęła się cofać, żeby ustąpić z drogi.

Żebracy są potulni, choć tylko na pozór.

- Ksieni?

Ann zdrętwiała.

- Ksieni, czy to ty?

Annalina podniosła oczy i ujrzała wystraszoną minę Siostry Georgii

Cifaro. Znały się od ponad pięciuset lat. Usta tamtej poruszały się, jakby próbowała coś powiedzieć i brakło jej słów. Ann poklepała dłoń trzymającą wiadro dymiącej owsianki. Siostra Georgia drgnęła.

- Dzięki niech będą Stwórcy, Siostrze Georgio, że cię nareszcie znalazłam.

Ta ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła twarzy Ann. Najwyraźniej sprawdzała, czy to nie złudzenie.

- Przecież nie żyjesz - powiedziała. - Byłam na twojej ceremonii pogrzebowej. Widziałam... ciebie i Nathana... Wasze ciała złożono na stosie pogrzebowym i odesłano w Światło. Widziałam to. Całą noc modliłyśmy się i patrzyłyśmy, jak płoniecie.

- Naprawdę? Jak to miło z twojej strony. Zawsze byłaś taką miłosierną osobą, Siostrze Georgio. To bardzo podobne do ciebie czuwać w nocy i modlić się za mnie. Ogromnie jestem ci za to wdzięczna. Ale to nie byłam ja.

Siostra Georgia znów się wzdrygnęła.

- Ale... ale Verna została Ksienią.

- Tak, wiem. Pamiętam, że spisałam nakazy. - Tamta potaknęła i Ann dodała: - Miałam po temu powód. Lecz przecież wciąż żyję, jak sama widzisz.

Siostra Georgia odstawiła wreszcie wiadro i objęła ją.

- Och, Ksieni! Och, Ksieni!

Tylko tyle zdołała powiedzieć, nim zaczęła zawodzić jak dziecko. Ann udało się wkrótce uspokoić ją kilkoma słowami. To nie było miejsce ani pora na takie zachowanie. W grę wchodziło ich życie i Ksieni nie chciała, by straciły je tylko dlatego, że tamta niepowstrzymanie beczy.

- Co ci się przytrafiło, Ksieni? Cuchniesz łajnem i okropnie wyglądasz!

Ann zachichotała.

- Nie mogłam przecież pozwolić, żeby ci wszyscy mężczyźni ujrzeli moją urodę, bo nie zdołałabym się opędzić od propozycji małżeństwa.

Siostra Georgia roześmiała się, lecz śmiech znów zmienił się w łzy.

- To bestie. Wszyscy. Ann pocieszała ją.

- Wiem, Siostrze Georgio, wiem. - Uniosła podbródek tamtej. - Jesteś Siostrą Światła. Weź się w garść. Nie ma znaczenia, co robią twemu ciału. Nas obchodzą nasze nieśmiertelne dusze. W tym życiu bestie mogą zrobić z twoim ciałem, co zechcą, lecz nie mogą dotknąć twojej nieskalanej duszy. A teraz zachowuj się, jak przystało Siostrze Światła.

Siostra Georgia uśmiechnęła się przez łzy.

- Dziękuję, Ksieni. Twoja gniewna reprimenda pomogła mi przypomnieć sobie o moim powołaniu. Czasami zbyt łatwo można o nim zapomnieć.

Ann wróciła do swoich spraw.

- Gdzie pozostałe?

- Tam. - Siostra Georgia wskazała w prawo, za Ksienię.

- Jesteście razem?

- Nie, Ksieni. Niektóre z nas przysięgły Bezimiennemu. - Siostra przygryzła wargi i załamała dłonie. - W naszym zakonie są Siostry Mroku.

- Wiem o tym.

- Wiesz? Jagang trzyma je gdzie indziej. Siostry Światła są razem, lecz ani nie wiem, gdzie są Siostry Mroku, ani mnie to nie obchodzi.

- Dzięki ci, Stwórco - westchnęła Ann. - Taką właśnie miałam nadzieję. Miałam nadzieję, że wśród was nie będzie żadnej z nich.

Siostra Georgia obejrzała się przez ramię.

- Musisz stąd odejść, Ksieni, bo inaczej zabiją cię albo pojną. - Zaczęła popychać Ann, chcąc obrócić ją we właściwą stronę i skłonić do odejścia.

Ksieni chwyciła Siostrę Georgię za rękaw, żeby zmusić ją do wysłuchania swoich słów.

- Przyszłam tu, żeby uwolnić Siostry. Wydarzyło się coś, dzięki czemu macie okazję uciec.

- Nie ma sposobu...

- Milcz - nakazała groźnym szeptem Ann. - Wysłuchaj mnie. Demony są na swobodzie.

Siostra Georgia wstrzymała oddech.

- To niemożliwe.

- Czyżby? Mówię ci, że tak jest. Skoro mi nie wierzysz, to powiedz, dlaczego, twoim zdaniem, zniknęła twoja moc?

Siostra Georgia stała bez słowa, a Ann nasłuchiwała chrapliwego śmiechu grających w pobliżu żołnierzy. Georgia spoglądała bacznie w przestrzeń za wozami, bojąc się, że je złapią.

- I co? - spytała Ann. - Z jakiego powodu, według ciebie, zniknęła twoja moc?

Siostra Georgia wysunęła czubek języka, żeby zwilżyć wargi.

- Nie wolno nam dotykać naszej Han. Jagang pozwala nam na to tylko wtedy, kiedy czegoś chce. W innych wypadkach nie wolno nam tego robić. Jest w naszych umysłach, jest Nawiedzającym Sny, Ksieni. Dowie się zaraz, jeśli dotkniemy bez pozwolenia naszej Han. A na to drugi raz już się nie odważysz. Potrafi to kontrolować. Sprawia, że ciężko żałujesz postępu, który mu się nie spodobał. - Kobieta znów płakała. - Och, Ksieni...

Ann przytuliła głowę Georgii do swojego ramienia.

- No, no, już dobrze. Uspokój się. Już w porządku, Georgio. Nie płacz. Jestem tutaj, żeby wydostać was z tego obłądu.

Siostra Georgia cofnęła się.

- Wydostać? Nie możesz. Nawiedzający Sny jest w naszych umysłach. Może właśnie w tej chwili nas obserwuje. A może to robić.

Ksieni potrząsnęła głową.

- Nie, nie może. Pamiętasz o demonach? Twoja magia zniknęła i jego też. Już go nie ma w twoim umyśle. Jesteś wolna.

Siostra Georgia zaczęła oponować. Ann złapała ją za ramię, skłoniła do ruszenia z miejsca.

- Zaprowadź mnie do innych Sióstr. I żadnych sporów, słyszysz? Musimy się stąd wydostać, póki mamy po temu okazję.

- Ależ, Ksieni, my nie możemy...

Annalina chwyciła kółko w wardze Siostry Georgii.

- Zamierzasz dalej być niewolnicą tego bydlaka? Chcesz, żeby cię dalej wykorzystywali i on, i jego żołnierze? - Szarpnęła kółkiem. - Chcesz tego?

- Nie, Ksieni. - W oczach tamtej wezbrały łzy.

- No to prowadź do namiotu, w którym są inne Siostry Światła. Jeszcze tej nocy zamierzam was wyprowadzić.

- Ale, Ksieni...

- Rusz się! Zanim nas tu złapią!

Siostra Georgia chwyciła wiadro z owsianką i czmychnęła. Ann podążała za nią, a tamta co kilka kroków oglądała się przez ramię. Biegła szybko, omijając szerokim łukiem ogniska i siedzących wokół nich żołnierzy. Uważała przy tym, żeby nie zbliżyć się zbyt blisko do drugiej linii ognisk. Jednak żołnierze i tak niekiedy ją zauważali i próbowali złapać za spódnicę. Większość śmiała się, gdy Georgia wyrывała się z piskiem i biegła dalej.

Kiedy jeden z nich złapał Georgię za nadgarstek, Ann wepchnęła się

między nich. Uśmiechnęła się do żołnierza. Był taki zdumiony, że puścił Siostrę Georgię. Obie prędko uciekły.

- Przez ciebie nas zabiją - wyszeptała Siostra Georgia, biegnąc pośród wozów.

- Wydawało mi się, że nie miałaś ochoty na to, czego chciał ten zuch.

- Musimy, jeśli żołnierz nalega. Jeśli nie ustąpimy... Jagang daje nam nauczkę, jeśli nie...

Ksieni dała jej znak, żeby się nie zatrzymywała.

- Wiem. Ale zamierzam was stąd wydostać. Pospiesz się. Musimy zabrać Siostry i uciekać, dopóki mamy po temu okazję. Rankiem już nas tu nie będzie i Jagang nie dowie się, gdzie was szukać.

Georgia otworzyła usta, żeby zaoponować, lecz Ann popędziła ją gestem.

- Stwórca mi świadkiem, Siostró Georgio, że przez pięćset lat nie widziałam cię tak niezdecydowanej i zmartwionej, jak przez ostatnie dziesięć minut. Prowadź do innych Sióstr, bo pożałujesz, żeś w moich rękach, a nie Jaganga.



## ROZDZIAŁ 45

Ann rozejrzała się pospiesznie dokoła, a Siostra Georgia rozchyliła wejście do namiotu. Ksieni, zadowolona, że nikt nie zwraca na nie uwagi, weszła do środka.

W słabo oświetlonym namiocie znajdował się tłumek kobiet - jedne leżały, inne siedziały na ziemi, obejmując kolana ramionami, jeszcze inne tuliły się do siebie jak przerażone dzieci. Mało która spojrzała na przybyłe. Ann pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała tak zastraszonej gromady.

- Precz - powiedziała siedząca w pobliżu wejścia Siostra Rochelle, nawet nie patrząc na Ann. - Wynoś się, żebraczko.

- Brawo, dziecko! - odezwała się Ann. - Brawo, Siostrze Rochelle. Wypędzasz żebraków ze swego skromnego domu.

Na dźwięk głosu Ksieni połowa kobiet podniosła wzrok. W bladym blasku świec patrzyły na nią szeroko otwarte oczy. Niektóre Siostry tręcały inne, bo te nie zwróciły uwagi na Ann. Uderzały je w ramię lub ciągnęły za rękaw.

Część kobiet była tak ubrana, że Ann ledwo wierzyła własnym oczom. Strój okrywał jej od szyi aż po kostki, lecz był tak przejrzysty, że były, praktycznie rzecz biorąc, nagie. Inne miały swoje suknie, ale w takim stanie, że nadawały się jedynie do wyrzucenia. Kilka było w łachmanach.

Ksieni uśmiechnęła się.

- Doskonale wyglądasz, Fionolo, biorąc pod uwagę twoje ciężkie przeżycia. Siostrze Kereno, Siostrze Aubrey. Wygląda na to, że zaczynasz siwieć, Siostrze Cherny. To dotyczy nas wszystkich, ale tobie z tym do twarzy.

Kobiety mrugały z niedowierzaniem.

- To naprawdę ona. Naprawdę żyje. Nie umarła, jak myślałyśmy. Ksieni Annalina Aldurren żyje - powiedziała Siostra Georgia.

- Cóż, teraz Verna jest Ksienią, ale... - odezwała się Ann. Kobiety spieszenie podnosiły się z ziemi. Przypominały Ann owce patrzące na schodzącego ze wzgórza wilka. Wszystkie sprawiały wrażenie, jakby chciały uciec.

Siostry Światła były kobietami silnymi, odznaczającymi się hartem ducha i bystrym umysłem. Ksieni bała się nawet pomyśleć, co musiało je

spotkać, zęby zmieniły się w tak żalosne istoty. Łagodnie pogładziła głowę stojącej obok kobiety.

- Siostra Lucy. Jakaż to radość cię widzieć. - Uśmiechnęła się radośnie. - Was wszystkie. - Poczowała, jak łza spływa jej po policzku. - Moje drogie, drogie Siostry, jesteście błogosławieństwem dla moich oczu. Dziękuję Stwórcy, że mnie do was doprowadził.

Wszystkie padły na kolana, żeby się jej pokłonić, pomodlić szeptem do Stwórcy o jej bezpieczeństwo, szlochać w niedowierzaniu.

- Darujcie to sobie - powiedziała Ann, ocierając palcami łzy z policzka Siostry Lucy. - Darujcie to sobie. Musimy załatwić ważne sprawy i nie mamy czasu, by się porządnie wypłakać, choć wcale nie twierdzę, że nie macie do tego prawa. Ale na to przyjdzie czas później.

Siostry całowały skraj jej sukni. Te z tyłu zbliżały się na kolanach, żeby uczynić to samo. Zagubione i nareszcie odnalezione. Annalinie niemal pękało serce. Uśmiechała się swoim najlepszym uśmiechem Ksieni i udzielała im odpustu. Dotykała każdej głowy, wymieniała imię każdej i głośno dziękowała Stwórcy, że ocalił ich życie i strzegł ich dusz. Była to nieformalna uroczysta audyencja Ksieni Sióstr Światła. Ann uznała, że to nie czas, by przypomnieć im, że nie jest już Ksienią, że przekazała urząd Vernie. W tym radosnym momencie nie miało to znaczenia. Pozwoliła, by trwało to kilka minut, a potem szybko to zakończyła.

- A teraz zamilknijcie i posłuchajcie mnie. Później będziemy miały czas, by się radować, że znów jesteśmy razem. Teraz muszę wam powiedzieć, po co przybyłam. Wydarzyło się coś strasznego. Jak same najlepiej wiecie, we wszystkim musi istnieć równowaga. W tym przypadku, z woli Stwórcy, równowaga zostanie zachowana dzięki temu, że to straszliwe wydarzenie pozwoli wam uciec.

- Ksieni twierdzi, że demony są na swobodzie - wtrąciła się Siostra Georgia. Wszystkie wstrzymały oddech. - Ona w to wierzy.

Z wypowiedzi siostry Georgii wynikało jasno, że ona w to nie wierzy. Że jej zdaniem to niemożliwe i że trzeba być głupcem, by w to uwierzyć.

- Posłuchajcie wszystkie. - Ann przybrała minę, którą każda z tych kobiet dobrze znała i która kiedyś sprawiała, że występowały na nie poty. - Pamiętajcie Richarda? - Potaknęły. - To długa historia, ale w skrócie chodzi o to, że Jagang wywołał zarazę, która zabiła tysiące ludzi. Mnóstwo ludzi

zmarło straszliwą śmiercią. Umarło mnóstwo dzieci. Bardzo wiele zostało sierotami. Siostra Amelia...

- Przysięgała Opiekunowi! - jęknęło kilka Sióstr w tyle.

- Wiem - powiedziała Ann. - To ona udała się do zaświatów. Sprowadziła zarazę dla Jaganga. Zamordowała tylu niewinnych ludzi... Richard wykorzystał swoją moc, żeby powstrzymać chorobę.

Pełne zdziwienia spojrzenia i szepty. Ksieni pomyślała, że chyba mówi im zbyt wiele naraz, lecz musiała wszystko dobrze wytłumaczyć, żeby pojęły, w czym rzecz.

- Richard też zachorował, więc chcąc ocalić mu życie, Matka Spowiedniczka posłużyła się magią. - Ann uniosła palec, uciszając je. - Nathan uciekł. - W namiocie znów rozległy się zdumione westchnienia. Ksieni uciszyła je, nim zaczęły łkać. - Prorok podał Matce Spowiednicze imiona demonów, aby mogła ocalić życie Richardowi. To był straszliwy czyn, lecz wierzcie mi, że Nathan popełnił go tylko po to, by ocalić Poszukiwacza Prawdy. Żeby dopełnić czaru i uratować Richarda, Matka Spowiedniczka głośno wymówiła te imiona. Demony są tutaj. Przywołała je do naszego świata. Osobiście się o tym przekonałam. Widziałam je i widziałam, jak zabijały.

Tym razem żadna nie oponowała. Nawet Siostra Georgia wydawała się przekonana. Ann uznała, że postąpiła słusznie, mówiąc im aż tyle.

- Jak wicie, grasujące na swobodzie demony mogą spowodować niespotykany kataklizm. To się już zaczęło. Magia zanika. Cała nasza magia osłabła do tego stopnia, że już nie działa. Magia Jaganga też jest bezużyteczna. I dlatego możemy stąd wszystkie odejść.

- A co mają do tego demony? - zapytała któraś. Ann głęboko odetchnęła dla uspokojenia.

- Obecność demonów powoduje, że magia zanika. A to oznacza, że dar Jaganga, który umożliwia mu nawiedzanie snów, zanikł tak samo jak nasz. W waszych umysłach nie ma już Nawiedzającego Sny.

Siostra Georgia wpatrywała się w nią przez chwilę z niedowierzaniem.

- A jeżeli demony wrócą do zaświatów? To się przecież może stać w każdej chwili. Jagang znów znajdzie się w naszych umysłach. Nie wiesz, czy go tam nie ma, Ksieni. Nie wiesz. Demony mogły już uciec do świata zmarłych. Mogło się im nie powieść pozyskanie duszy. Mogły uciec pod

opiekę Bezimiennego. Nawiedzający Sny może już z powrotem być w moim umyśle i obserwować mnie, kiedy tak rozmawiamy.

Ksieni złapała ją za ramię.

- Nie, nie ma go w twoim umyśle. Wysłuchaj mnie. Mój magiczny dar zanikł. Twój, wasz, także. Wszystkie jesteśmy teraz bez daru. Będę wiedzieć, kiedy powróci. Każda z nas będzie to wiedzieć. Na razie i my nie mamy daru, i Nawiedzający Sny też.

- Nie wolno nam bez pozwolenia korzystać z naszego daru. Nie będziemy wiedzieć, kiedy wróci nasza moc, co by oznaczało, że demony uciekły z tego świata - odezwała się jedna z Sióstr po prawej.

- Ja będę wiedzieć natychmiast. Jagang nie powstrzyma mnie przed dotknięciem mojej Han, gdy to tylko będzie możliwe - odparła Ann.

Siostra Kerena wysunęła się przed inne.

- Lecz jeżeli demony odejdą, to Jego Ekscelencja wróci do...

- Nie. Posłuchajcie. Jest sposób na to, żeby Nawiedzający Sny już nigdy nie mógł wdrzeć się do waszych umysłów.

- To niemożliwe. - Oczy Siostry Cherny spoglądały to tu, to tam, jakby Jagang krył się w mrokach i obserwował je. - Musisz stąd uciekać, Ksieni. Pojmają cię. Ktoś mógł cię zobaczyć. Może my tu rozmawiamy, a oni donoszą Jagangowi.

- Odejdź, proszę - powiedziała Siostra Fionola. - Jesteśmy stracone. Zapomnij o nas i uciekaj. Twoja obecność tutaj źle się skończy.

- Wysłuchajcie mnie! - burknęła znowu Ksieni. - Można sprawić, żeby Nawiedzający Sny już nigdy nie wniknął do waszych umysłów. Wszystkie możemy się wyrwać z jego złowrogich szponów.

- Nie pojmuję, jak... - Siostrę Georgię znów ogarnęło niedowierzenie.

- A niby dlaczego nie wnika do mojego umysłu? Myślicie, że nie chciałby tego? Umysłu samej Ksieni? Że nie dopadłby mnie, gdyby tylko mógł?

Zastanawiały się nad tym w milczeniu.

- Cóż, myślę, że wniknąłby. - Siostra Aubrey zmarszczyła brwi. - Jak to możliwe, że nie może nad tobą zapanować?

- Nie może, bo jestem przed nim chroniona. I to właśnie usiłuję warn powiedzieć. Richard jest czarodziejem wojny. Wszystkie wiecie, co to oznacza: ma dar obu magii.

Siostry zamrugały, zdumione, a potem zaczęły szeptać między sobą.

- Co więcej - podjęła Ann, uciszając przebywające w namiocie kobiety - on jest Rahlem.

- A co to zmienia? - spytała Siostra Fionola.

- Nawiedzający Sny pochodzą z czasów wielkiej wojny. Czarodziej z tamtego okresu, czarodziej wojny Rahl, przodek Richarda, wyczarował więź chroniącą przed nimi jego lud. Obdarzeni magią potomkowie rodu Rahlów rodzą się z ową łączącą ich z ludem więzią, która chroni przed Nawiedzającymi Sny. Mieszkańcy krainy Richarda są z nim połączeni więzią jako ze swoim lordem Rahlem. I właśnie dlatego, ze względu na tę dziedziczną magiczną więź, Nawiedzający Sny nie ma do nich dostępu. Jagang nie może wnikać do ich umysłów. Nawiedzający Sny nie może wnikać do umysłu osoby związanej więzią z lordem Rahlem.

- Przecież my nie jesteśmy z jego ludu - mówiły jedna przez drugą Siostry.

Ann uniosła rękę, uciszając je.

- To nie ma znaczenia. Musicie tylko przysiąc Richardowi lojalność, przysiąc szczerze w waszych sercach, a będziecie bezpieczne. To ochroni was przed Nawiedzającym Sny. - Przesunęła palcem przed ich oczami. - Już dawno przysięgam Richardowi. Dowodzi nami w walce z tą poczwarą, Jagangiem, który chce zniszczyć magię w naszym świecie. Moja wiara w Richarda, łącząca mnie z nim więź i złożona mu przysięga chronią mnie przed imperatorem. Nawiedzający Sny nie może wnikać do mojego umysłu.

- Ale jeśli demony są naprawdę w naszym świecie, jak twierdzisz, to zaniknie również magia więzi i nie będziemy miały ochrony - jęknęła jedna z Sióstr w tyle.

Ksieni westchnęła. Starła się nie tracić cierpliwości do tych zastraszonych i przerażonych kobiet. Upomniała się, iż nie wolno jej zapomnieć, że przez długi czas były w brutalnych łapach wroga.

- Czyż nie pojmujecie, że to się wzajemnie znosi? - Ann obróciła dłonie wnętrzem ku górze i poruszała nimi jak szalami wagi, w górę i w dół. - Dopóki demony są tutaj, magia Jaganga zanika i nie może on wnikać do waszych umysłów. - Zmieniła położenie dłoni. - Kiedy demony zostaną przepędzone, a wy zdążycie złożyć przysięgę Richardowi, więź z nim nie pozwoli imperatorowi wnikać do waszych umysłów. I w jednym, i w

drugim przypadku jesteście chronione. Pojęłyście wszystkie? Musicie tylko złożyć przysięgę Richardowi, który dowodzi nami w walce przeciwko Jagangowi, w walce o naszą sprawę, sprawę Światła. A wtedy już nigdy nie będziecie się musiały obawiać, że Nawiedzający Sny wnuknie do waszych umysłów. Możemy się stąd wydostać, Siostry. Tej nocy. Natychmiast. Pojęłyście nareszcie? Możecie być wolne.

Patrzyły na nią w milczącym osłupieniu. W końcu odezwała się Siostra Rochelle:

- Nie wszystkie tu jesteśmy. Ann rozejrzała się dokoła.

- Gdzie reszta? Zabierzemy je i odejdziemy. Gdzie są? Kobiety ponownie zapadły w pełne przerażenia milczenie.

Ksieni dała pstryknięciem palcami znak Siostrze Rochelle, żeby odpowiedziała. Ta usłuchała po chwili.

- W namiotach.

Wszystkie spuściły oczy. Złote kółka w dolnych wargach zaśniły w blasku świateł.

- Co to znaczy „w namiotach”?

Siostra Rochelle odkaszlnęła. Ze wszystkich sił starała się powstrzymać łzy.

- Kiedy któraś z nas narazi się Jagangowi albo on się na nas rozgniewa, albo chce nas ukarać, albo dać nam nauczkę, albo zwyczajnie chce być okrutny, to wysyła nas do namiotów. Żołnierze się nami zabawiają. Jeden po drugim.

Siostra Cherna padła z płaczem na ziemię.

- Musimy być nierządnicami dla jego żołnierzy.

- Wysłuchajcie mnie - rzekła stanowczo Ann. - Z tym już koniec. Teraz jesteście wolne. Znów jesteście Siostrami Światła. Słyszycie? Już nie jesteście jego niewolnicami!

- A co z innymi? - spytała Siostra Rochelle.

- Możesz je sprowadzić?

Siostra Georgia wyprostowała się sztywno.

- Zaczekaj tutaj, Ksieni. Pójdą ze mną Siostry Rochelle, Aubrey, Kerena i zobaczymy, co się da zrobić. - Obrzuciła tamte trzyspojrzeniem. - Nieprawdaż? Wiemy, co musimy zrobić.

Wszystkie trzy potaknęły. Siostra Kerena ujęła Ann pod ramię.

- Zaczekaj tutaj. Dobrze? Poczekał do naszego powrotu.

- Zgoda - odparła Ksieni. - Ale się pospieszcie. Powinnyśmy stąd odejść, zanim noc stanie się zbyt głęboka, bo inaczej wzbudzimy podejrzenia, włączając się po obozie, podczas gdy inni już śpią. Nie możemy czekać na...

- Ty tylko zaczekaj - powiedziała spokojnym głosem Siostra Rochelle. - My się wszystkim zajmiemy. Wszystko będzie w porządku.

Siostra Georgia spojrzała na Siostry zgromadzone w namiocie.

- Zadbajcie, żeby poczekała, dobrze? Musi tutaj czekać. Kobiety przytaknęły. Ann wsparła się pod boki.

- Jeśli będziecie zbyt długo zwlekać, to odejdziemy bez was. Rozumiecie? Nie możemy...

Siostra Rochelle położyła dłoń na ramieniu Ksieni.

- Wrócimy na czas. Czekaj tu.

- Niech Stwórca was prowadzi - westchnęła Ann.

Ksieni siedziała wśród Sióstr, które znów zamknęły się w klatkach swoich myśli. Zniknęła radość, którą początkowo okazały na jej widok. Ponownie stały się dalekie i obojętne. Patrzyły przed siebie, nie słuchając, kiedy Ann usiłowała im opowiedzieć o swoich co zabawniejszych przygodach. Chichotała, opowiadając o kłopotliwych chwilach. Łudziła się, że może któraś się tym zainteresuje i w końcu uśmiechnie. Ale nic z tego. Żadna o nic nie zapytała, nawet nie wyglądało na to, że słuchają. Już nie patrzyły jej w oczy. Jak schwytane w pułapkę zwierzęta, chciały jedynie umknąć przed przerażeniem.

Ann z każdą chwilą czuła się coraz bardziej nieswojo. Siedziała wśród tak dobrze znanych sobie kobiet i w pewnym momencie poczuła, jak jeżą się jej włosy na karku, bo pomyślała, że może wcale nie zna ich tak dobrze, jak jej się wydaje.

Schwytane zwierzęta nie potrafią czasem uciec przez otwartą bramę.

Rozchyliło się wejście do namiotu i wszystkie się od niej odsunęły. Ksieni wstała.

Do środka weszło czterech wielkich żołnierzy. Mieli skórzane ochraniacze, pasy, rzemienie i skóry narzucone na ramiona, a u ich pasów wisiał oręż. Za nimi wsunęły się Siostry Georgia, Rochelle, Aubrey i Kerena. Rozglądając się, żołnierze zakołysali tłustymi, lepкими włosami. Po ich sposobie bycia Ann poznała, że nie są to prości żołdacy.

- To ona. - Wskazała Siostra Rochelle. - Ksieni Sióstr Świątła.

- Co to ma znaczyć, Rochelle?! - warknęła Ann. - Co ty chcesz...

Żołnierz wyglądający na dowódcę złapał Ann za podbródek, obrócił jej głowę najpierw w lewo, potem w prawo i przyjrzał się jej.

- Na pewno? - Gniewne spojrzenie spoczęło na Siostrze Rochelle. - Dla mnie nie różni się od innych żebraczek.

Siostra Georgia wskazała na Ann.

- Mówię ci, że to ona. - Teraz spojrział na nią. - Przebrała się tak, żeby tu dotrzeć.

Skinął na żołnierzy. Przynieśli kajdany i łańcuchy. Ksieni próbowała się im wyrwać, lecz żołnierz, który ją trzymał, bez trudu złapał ją za nadgarstki i podsunął jej ręce innemu, żeby założył kajdany. Dwaj zmusili ją, by ukłękła, a trzeci ustawił kowadło. Wbili bolce w otwory, a potem rozklepali końce trzpieni, na stałe mocując kajdany. Zbyt ciasne obręcze wpijały się w ciało Ann, lecz żołnierze w ogóle nie zwrócili uwagi na jej mimowolny okrzyk bólu.

Ksieni wiedziała, że nie warto się niepotrzebnie szarpać, więc znieruchomiała. Bez swojej Han była wobec tych żołnierzy równie bezbronna jak dziecko. Siostry odsunęły się najdalej, jak zdołały. Żadna nie patrzyła na tę scenę.

Wojownicy przymocowali łańcuchy. Ann stęknęła, rzucona twarzą na ziemię. Teraz założono jej kajdany na kostki. I przymocowano kolejne łańcuchy. Podniosły ją wielkie łapy. Łańcuch otaczający talię spiął wszystkie pozostałe.

Nawet nie będzie mogła sama jeść.

Jeden z żołnierzy podrapał się w gęstą brodę.

- I była sama?

Siostry Georgia i Rochelle skinęły głowami.

- Jak udało się jej zostać Ksienią, skoro jest taka głupia? - zachichotał.

- Nie wiemy, panie. - Siostra Georgia dygnęła, unikając jego wzroku. - Ale nią jest.

Wzruszył ramionami i już miał odejść, lecz zatrzymał się i powiódł wzrokiem po trzęsących się, przypadłych do ziemi kobietach. Wskazał grubym paluchem jedną z Sióstr odzianych w te dziwne, przejrzyste stroje.

- Ty.



Siostra Theola drgnęła. Zamknęła oczy. Ann widziała, jak porusza ustami w cichej modlitwie do Stwórcy.

- Pójdiesz z nami - rozkazał.

Kobieta wstała. Cała się trzęsła. Trzej pozostali żołnierze wyszczerzyli się w uśmiechu, pochwalając wybór dowódcy, i pognali biedaczkę przed sobą.

- Obiecywałeś, że tego nie zrobisz - zaprotestowała słabo Siostra Georgia.

- Czyżby? - spytał dowódca i uśmiechnął się złośliwie. - Ale zmieniłem zdanie.

- Pozwól mi iść zamiast niej - zawołała za nim Georgia, kiedy już odchodził.

Odwrócił się ku niej.

- No, no, no. Ależ szlachetna istota. - Złapał Siostrę Georgię za nadgarstek i pociągnął za sobą. - Skoroś taka chętna, to pójdziesz razem z nią.

Żołnierze odeszli z dwiema kobietami, a w namiocie zapadła przeraźliwa cisza. Żadna z Sióstr nie patrzyła na siedzącą w łańcuchach Ann.

- Dlaczego? - spytała Ksieni.

Mówiła cicho, lecz jej głos zadzwonił w namiocie niczym wielki dzwon w Pałacu Proroków. Kilka Sióstr wzdrygnęło się z lękiem. Inne zaszlochały.

- Nie jesteśmy takie głupie, żeby uciekać - odezwała się w końcu Siostra Rochelle. - Na początku wszystkie próbowałyśmy. Naprawdę, Ksieni. Niektóre przy tym umarły. To trwało długo i było straszliwe. Jego Ekscelencja wykazał nam daremność tych usiłowań. Pomaganie komuś w próbie ucieczki to ogromne przewinienie. Żadna z nas nie chce po raz kolejny dostać tej nauczki.

- Przecież mogłyście być wolne!

- Już my lepiej wiemy. Nie możemy być wolne. Należymy do Jego Ekscelencji - odparła Siostra Rochelle.

- Początkowo jako jego ofiary - powiedziała Ann - lecz teraz z wyboru. Z własnej woli ryzykowałam życie, żeby was uwolnić. Miałyście wybór i wołałyście zostać niewolnicami, niż odzyskać wolność. Co gorsza, okłamalyście mnie, i to wszystkie. Kłamałyście w złej sprawie. - Obrzuciła je miażdżącym, gniewnym spojrzeniem. Kobiety zakryły twarze. - Każda z was dobrze wie co myślę o kłamcach, co Stwórca myśli o tych, którzy kłamią, sprzeciwiając się jego dziełu.

- Ale, Ksieni... - zajęczała Siostra Cherna.

- Milcz! Za nic mam wasze słowa. Nie możecie już dłużej oczekiwać ode mnie, że was wysłucham. Jeżeli kiedykolwiek uwolnię się z tych łańcuchów, to stanie się to dzięki pomocy tych, którzy szczerze służą Światłu. Nie jesteście lepsze od Sióstr Mroku. One przynajmniej uczciwie przyznają się do swego nikczemnego władcy.

Ann zamilkła, bo do namiotu wszedł mężczyzna. Był średniego wzrostu, doskonale zbudowany, z masywnymi ramionami i potężną klatką piersiową. Rozpięta futrzana kamizelka ukazywała kilka tuzinów złotych, zdobionych klejnotami łańcuchów zawieszonych na grubym, byczym karku. Na każdym grubym palcu tkwił godny króla pierścień. W wygolonej, lśniącej czaszce odbijały się płomyki świec. Od osadzonego w lewym nozdrzu złotego pierścienia biegł cienki złoty łańcuszek, który łączył się ze złotym kółkiem tkwiącym w lewej małżowinie. Długie, zaplecione w warkoczyki wąsy zwieszały się poniżej zarysu żuchwy, podobnie jak warkoczyk pod środkiem dolnej wargi. Oczy mężczyzny stanowiły okna do koszmarnego snu. W ogóle nie miały białek. Były ciemne, zmacone przez przesuwające się w polu atramentowej czerni ponure, mroczne kształty. Mimo to Ann nie miała wątpliwości, że patrzy prosto na nią. Nie podejrzewała, by spojrzenie Opiekuna mogło być gorsze od spojrzenia tego człowieka.

- O, gość. - Głos miał równie krzepki jak mięśnie.

- O, mówiąca świnia - powiedziała Ann. - Jakież to fascynujące. Jagang roześmiał się. Nie był to przyjemny dźwięk.

- Ależ jesteś zuchwałą, kochaneczko. Georgia gada, żeś sama Ksieni. To prawda?

Ann zauważyła kątem oka, że wszystkie kobiety w namiocie ukłękły i pochyliły twarze aż do ziemi w niskim pokłonie. Rozumiała, że nie mają ochoty napotkać niepokojącego spojrzenia tego człowieka. Uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

- Annalina Aldurren, była Ksieni Sióstr Światła, do usług.

Złożył dłonie w modlitewnym geście, a zagłębienie między potężnymi mięśniami jego piersi jeszcze bardziej się zapadło. Skłonił się z drwiącym szacunkiem dla jej rangi.

- Imperator Jagang, do usług. Ann westchnęła z irytacją.

- I co teraz nastąpi, Jagangu? Tortury? Gwałt? Powieszenie, ścięcie,

spalenie?

Znów uśmiechnął się przerażająco.

- No, no, no, kochaneczko, ależ ty potrafisz kusić mężczyznę. - Chwycił Siostrę Chernę za włosy i podniósł ją. - Rzecz w tym, widzisz, że mam mnóstwo prawdziwych Sióstr i całe mnóstwo tych drugich, które przysięgły Opiekunowi. Przyznam się, że bardziej mi się podobają. - Uniósł brew nad odpychającym okiem. - Wciąż mogą korzystać z części swojej magii. - Złapał Siostrę Chernę za gardło, aż wytrzeszczyła z bólu oczy. - Ale mam tylko jedną Ksienię.

Stopy Siostry Cherny znajdowały się kilka cali nad ziemią. Nie mogła oddychać, lecz wcale nie usiłowała się wyrwać. Przerażające, potężne mięśnie Jaganga napinały się i lśniły w blasku świec. Napiął je jeszcze mocniej. Mocniej ścisnął gardło Cherny, a jej oczy rozszerzyły się, usta zaś otwarły w niemym przerażeniu.

- No i co? - powiedział do pozostałych. - Potwierdziła to wszystko o demonach? Wszystko wam o nich powiedziała?

- Tak! - odparło natychmiast kilka z nich, najwyraźniej mając nadzieję, że imperator puści Siostrę Chernę.

Nie wszystko, pomyślała Ksieni. Jeżeli Zeddowi w ogóle miało się w czymkolwiek powieść, to miała nadzieję, że będzie to sprawa z demonami.

- Znakomicie. - Jagang puścił biedaczkę.

Siostra Cherna padła na ziemię i zaczęła szarpać rękami gardło, starając się złapać oddech. Nie mogła oddychać. Jagang zmiażdżył jej tchawicę. Palce Cherny drapały powietrze. Leżała u stóp Nawiedzającego Sny i zaczynała sinieć. Z desperackim wysiłkiem przyczołgała się do Ann. Ksieni, przepelniona bezsilnym współczuciem, pogładziła głowę nieszczęsnicy Szepnęła jej o swojej miłości i o przebaczeniu, a potem w milczeniu pomodliła się do Stwórcy i dobrych duchów. Ramiona Siostry Cherny, drżące w straszliwej męce, z wdzięcznością objęły talię Ann. Ksieni mogła jedynie modlić się do Stwórcy, żeby przebaczył swemu dziecku, które umierało w jej objęciach. W końcu litościwa śmierć położyła kres udęce kobiety.

Jagang kopniakiem odsunął na bok ciało Siostry. Złapał łańcuch okalający szyję Ann i jedną ręką z łatwością postawił ją na nogi. Mgliste kształty w jego atramentowoczarnych oczach zawirowały tak, że Ksieni

ścisnął się żołądek.

- Myślę, że może być z ciebie pożytek. Może odejmę ci ramiona i wyślę Richardowi Rahlowi, żeby miał koszmarne sny. A może wymienię cię na coś cennego. Nie martw się, Ksieni, na pewno coś wymyślę. Jesteś teraz moją własnością.

- Możesz decydować o moim życiu na tym świecie, lecz nie tkniesz mojej duszy. Ten dar Stwórcy należy do mnie i wyłącznie do mnie - powiedziała zdecydowanie Ann.

Roześmiał się.

- Piękna mówka. - Szarpnięciem przysunął ku sobie jej twarz. - Już to przedtem słyszałem. - Zrobił zachwyconą minę. - Coś mi się zdaje, że każda z tych tu kobiet powiedziała mi to samo. Ale wiesz co, Ksieni? Dziś zadają temu kłam, czyż nie? Wydały cię, chociaż mogły uciec. A przynajmniej mogły ocalić ci życie bez szkody dla siebie. Jednak wołały pozostać niewolnicami, mimo że ofiarowałaś im wolność. Powiedziałbym, Ksieni, że mam również ich dusze.

- Umierając, Siostra Cherna zwróciła się do mnie, a nie do ciebie, Jagangu. Szukała dobroci i miłości, chociaż mnie zdradziła. To zaś, imperatorze, świadczy o prawdziwych intencjach duszy

- No i mamy rozbieżność opinii. - Jagang wzruszył ramionami. - A może zabijemy pozostałe, jedną po drugiej, przekonamy się, ku czemu się przychyłają, a na końcu zliczymy głosy? Żeby było sprawiedliwie, będziemy zabijać na zmianę. Ja swoją już zabiłem. Teraz twoja kolej.

Ksieni mogła tylko obrzucić tę bestię gniewnym spojrzeniem. Roześmiał się chrapliwie.

- Widzisz? Wcale nie jesteś taka pewna, że wygrasz w tym pojedynku na dusze twoich Sióstr. - Obrócił się ku klęczącym wciąż Siostrom. - Macie dziś szczęście, kochaneczki. Ksieni odstąpiła mi wasze dusze. - Mroczne spojrzenie znów spoczęło na Ann. - Ach, chyba masz nadzieję, że demony zostaną przepędzone. I ja na to liczę. Korzystam z magii, ale gdybym musiał, zwyciężyłbym i bez niej. Przepędzenie demonów nic ci nie da. Te kajdany i łańcuchy przesycą czar rzucony przez moje drugie Siostry. Wiesz które. Siostry Mroku. Zdajesz sobie sprawę, że mogą się posługiwać magią subtraktywną, a ta, droga Ksieni, wciąż działa. Nie chciałbym, byś żywiła próżną nadzieję.

- Jak to ładnie z twojej strony.

- Ale się nie trap. Już ja coś wymyślę. - Uniósł rękę. Nagie bary wybrzuszyły się pod futrzaną kamizelką. Bicepsy miał grubsze niż talia wielu kobiet w tym namiocie. - Teraz, na przykład, chciałbym, żebyś była nieprzytomna.

Próbowała przywołać swoją moc. Jej dar nie zareagował. Ann patrzyła na zbliżającą się pięść i nie mogła jej powstrzymać.

## ROZDZIAŁ 46

Zedd podrapał się w podbródek i rozejrzał. Nikogo nie dostrzegł. To była osobliwa uliczka, wąska i ciemna. Zerknął na niewielki dom u jej końca. Ciemny budynek sprawiał wrażenie opuszczonego.

To był dobry znak.

- Czekaj tu. - Czarodziej pogładził chrapy klaczy. - Zrozumiałaś? Czekaj tu na mnie.

Klacz potrząsnęła łbem i cicho zarżała. Zedd z uśmiechem podrapał ją po uchu, ona zaś przycisnęła czoło do jego piersi i trzymała tak, by wiedział, że nie miałyby nic przeciwko temu, aby drapał ją po uchu przez resztę popołudnia. Spider - nazwana tak od czarnej, długonogiej plamki na białym zadzie - pomimo wysokiej ceny okazała się znakomitym nabytkiem. Młoda, silna, pełna zapału, uwielbiała kłusować i galopować. Przywiozła Zedda do Toscli w rekordowo krótkim czasie.

Natychmiast po przybyciu czarodziej dowiedział się, że Toscla to teraz Anderith. Mało brakowało, by jakiś człowiek ściągnął go z konia, oskarżając o obelżywe posłużenie się starą nazwą. Na szczęście Spider nie miała pojęcia o osobliwej ludzkiej wrażliwości na jakieś tam słowa i z wielką radością ruszyła galopem.

Zedd - pozbawiony swego magicznego daru, a co za tym idzie wystawiony na atak oraz odczuwający brzemię lat - był przygotowany na długą, ciężką, pieszą wędrówkę poprzez Dicz. Na swoje szczęście trzeciego dnia po opuszczeniu wioski Błotnych Ludzi natrafił na człowieka, który okazał się pośrednikiem handlowym. Mężczyzna ten często podróżował od jednego swojego klienta do drugiego, prowadząc kilka koni. Przed dotarciem do celu mógł się obejść bez jednego z luzaków, zwłaszcza za cenę oferowaną przez Zedda. Dlatego sprzedał Spider. Ciężka podróż, której spodziewał się czarodziej, okazała się krótka i całkiem przyjemna - przynajmniej dopóki nie roztrząsał powodów wyprawy do Anderithu.

Punkt kontrolny na granicy czarodziej minął wraz z wozami, kupcami i najrozmaitszymi handlowcami. Wytwornie odziany we wspaniałe bordowe i czarne szaty ze srebrnymi brokatowymi mankietami, złotą brokatową obszywką wokół szyi, takąż naszywką zdobiącą przód szaty i złotą klamrą

przy czerwonym atlasowym pasie mógł łatwo uchodzić za bogatego kupca. Powiedział oficerom, że ma na północy sady owocowe i jedzie do Fairfield, by negocjować umowy.

Wygląd żołnierzy na posterunku świadczył, że mieszkańcy Anderithu zbyt ufali Dominie Dirtch. Wiele czasu upłynęło od ostatniej wizyty Zedda w Toscli, jak się wówczas nazywała ta kraina, lecz wtedy granicy strzegło groźne i doskonale wyszkolone wojsko. Teraz armia podupadła i obecność żołnierzy była tylko pustym ozdobnikiem, świadectwem częściej pewności siebie.

Zedd spostrzegł, że Spider nadstawia uszu ku wyglądającemu na pusty budynkowi u końca uliczki. Klacz napięła mięśnie, stałą w pogotowiu. Pierwszy Czarodziej pomyślał, że może koń jest w niektórych przypadkach równie dobry jak niegdyś pewne magiczne zdolności. To była przykra myśl. Pragnął, by jego magiczne zdolności wróciły.

Poklepał uspokajająco Spider, ponownie kazał jej zaczekać i ruszył wąską uliczką. Wysokie, oszalowane ściany po obu stronach zabierały większość światła. Ale i tak obok wąskiego chodnika rosły najrozmaitsze zioła. Wiele z nich w ogóle nie lubiło światła. Niektóre były nadzwyczaj rzadkie: zwykle nie przepadały za słońcem, ale teraz marnie wyglądały.

Zedd zadbał, by stanąć na każdym z trzech wiodących do drzwi stopni. Nie ominął żadnego. Takie niedbalstwo mogło się okazać błędem, o ile - jak miał nadzieję - trafił we właściwe miejsce. Spojrzał w szparę pomiędzy zasłonami i przekonał się, że w środku jest ciemno. Nie spostrzegł żadnych przyglądających mu się oczu, lecz choć nie wspierała go w tym magia, ale zdrowy rozsądek, podejrzewał, że takie były. Obejrzał się przez ramię - Spider stała, czujna, z nastawionymi ku niemu uszami. Klacz uniosła łeb i zarżała. Zedd zastukał do drzwi.

Otworzyły się ze skrzypieniem. Nikogo za nimi nie było.

- Wejź i powiedz, z czym przyszedłeś - odezwał się ktoś z zalegającego domu mroku.

Zedd wszedł w ciemność wypełniającą wąskie pomieszczenie. Przez szparę między grubymi zasłonami przedostawało się trochę światła, to zaś, które wpadało przez drzwi, gasło, zanim ośmieliło się dotrzeć zbyt daleko. Czarodziej nie widział żadnych mebli, a jedynie podłogę biegnącą w mrok, w którym pozostawała. Odwrócił się i spojrzał na szczyt drzwi. Wskazał na nie

kościwym palcem.

- Dobry pomysł, otwierać liną drzwi, samej pozostając w ukryciu. Bardzo efektowne.

- Kimże jesteś, by kusić mój gniew?

- Kusić twój gniew? Ależ skąd, moja droga. Źle to zrozumiałaś. Szukam czarodziejki.

- Zważaj, cudzoziemcze, na swe życzenia. Bo życzenia mają ten niemiły zwyczaj, że niekiedy się spełniają. Wymień swe imię.

Zedd skłonił się zamasyście.

- Zeddicus Zu'1 Zorander. - Przechylił na bok głowę i spojrzał jednym okiem na ukrytą w mroku kobietę. - Może być jedynie Zeddicus Zu'1 Zorander lub Pierwszy Czarodziej Zeddicus Zu'1 Zorander.

Kobieta weszła w słabo oświetloną część pomieszczenia. Miała zdumioną minę.

- Pierwszy Czarodziej...

Zedd uśmiechnął się rozbrajająco.

- Franca Gowenlock, jak sądzę?

Oczy miała wielkie ze zdumienia, usta otwarte. Mogła tylko skinąć głową.

- No, no, aleś wyrosła. - Zedd zatrzymał dłoń trochę poniżej swojego pasa. - Ot, taka byłaś, gdy cię ostatnio widziałem. - Uśmiechnął się ze szczerym podziwem. - Wyrosłaś na bardzo piękną kobietę.

Zarumieniła się, dotknęła włosów.

- Trochę już posiwiałam.

- Do twarzy ci z tym. Naprawdę.

Czarodziej mówił to szczerze. Naprawdę była atrakcyjną kobietą. Włosy, niemal sięgające ramion, odgarnięte do tyłu, korzystnie uwydatniały jej dumne rysy. Odrobina siwizny na skroniach jedynie podkreślała dojrzałą urodę.

- A ty...

- Tak - westchnął Zedd - wiem. Nie mam pojęcia, jak to się stało ani kiedy, ale się postarzałam.

Uśmiechnęła się. Podeszła i dygnęła, unosząc nieco spódnice swojej skromnej brązowej sukni.

- To zaszczyt, Pierwszy Czarodzieju, gościć cię w moim skromnym



domu.

- Daruj to sobie. - Zedd machnął ręką. - Znamy się od dawna. Mów do mnie Zedd.

- Dobrze, Zeddzie. Ledwo mogę uwierzyć, że Stwórca wysłuchał moich modlitw. Żałuję, że mama już nie żyje i że nie może cię znów zobaczyć.

- Ona także była piękną kobietą. Oby dobre duchy strzegły jej życzliwej duszy.

Rozpromieniona Franca ujęła jego twarz w obie dłonie.

- A ty jesteś równie przystojny, jak to zapamiętałam.

- Naprawdę? - Pierwszy Czarodziej dumnie rozprostował ramiona. - Dziękuję, Franco. Staram się dbać o siebie. Myję się regularnie i w ogóle, a czasem dodaję do wody trochę ziół i specjalnych olejków. Pewnie dlatego mam wciąż taką miękką skórę.

- Och, Zeddzie, nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa, że cię widzę. Dzięki ci, Stwórco. - Nie wypuszczała z dłoni twarzy czarodzieja. Oczy miała pełne łez. - Potrzebuję pomocy. Och, Pierwszy Czarodzieju, tak rozpaczliwie potrzebuję twojej pomocy.

- Dziwne, że o tym wspomniałaś. - Ujął w dłonie jej rękę.

- Kiedyś pomogłeś mojej matce, Zeddzie. Teraz musisz pomóc mnie. Błagam. Zniknęła moja moc. Próbowałam wszystkiego, co tylko zdołałam wymyślić. Zaglądałam do ksiąg zaklęć, uroków i czarów. W żadnej nie znalazłam nic pomocnego. Musiałam przywiązać linę do drzwi, żeby oszukać ludzi i podtrzymać ich nieufność. Tak się martwiłam. Mało co spałam. Próbowałam...

- Demony są na swobodzie.

Zatrzepotała rzęsami, patrzyła na niego w osłupieniu. Milczący dom wstrzymywał oddech razem z nią, razem z nią nadstawiał ucha ku Zeddowi.

- Co powiedziałaś?

- Demony są na swobodzie.

- Nie - powiedziała wstrząśnięta. - Nie sędzę, żeby to był powód. Myślę, że to gorączka mojej krwi. Prawdopodobnie wywołana złym urokiem rzuconym na mnie przez kobiety o mniejszym talencie, lecz większych ambicjach. Uważam, że to zawiść w połączeniu ze mściwością. Staram się nie następować ludziom na odciski, ale kiedyś...

Zedd chwycił ją za ramiona.

- Zjawiłem się tutaj, Franco, w nadziei, że mi pomożesz. Matka... żona mojego wnuka bezwiednie uwolniła demony, kiedy w nagłej potrzebie uciekła się do potężnej magii, bo inaczej nie można było ocalić mu życia. Potrzebna mi twoja pomoc. Dlatego się tu zjawiłem. Mój dar też stracił moc. Zanika cała magia. Świat istot żywych znalazł się w strasliwym niebezpieczeństwie. Kobiecie z takim darem jak twój nie muszę wyjaśniać następstw tego faktu. Musimy się przekonać, czy można znaleźć jakiś sposób na wypędzenie demonów. Przybyłem, by jako Pierwszy Czarodziej prosić cię o pomoc.

- Twój wnuk? Czy on... przeżył tę ciężką próbę? Wrócił do zdrowia?

- Tak. Przeżył, na szczęście, dzięki pomocy kobiety, która miała zostać i została jego żoną. Teraz ma się dobrze.

Przez chwilę gryzła paznokcie, wodząc wokół ciemnymi oczami i zastanawiając się nad słowami Zedda.

- To bardzo dobrze, że przeżył. Ale to by oznaczało, że w zamian za pomoc demony mogły przekroczyć zasłonę... - Zmarszczyła brwi. - Twój wnuk, mówisz. Czy on ma dar?

Przez umysł Zedda przeniknęło tysiące myśli. Ale odparł krótko:

- Tak.

Franca rzuciła mu przelotny, uprzejmy uśmiech, żeby pokazać, jak cieszy ją to ze względu na Zedda, i zabrała się do dzieła. Zaciągnęła zasłony, ujęła czarodzieja za ramię i poprowadziła go ku stojącemu w głębi stolikowi. Uchyliła zasłonę nad małym tylnym oknem, żeby światło padało na mebel. Na ciemnym mahoniowym blacie widniał inkrustowany srebrem symbol - Grace. Kobieta pełnym gracji gestem poprosiła Pierwszego Czarodzieja, żeby usiadł. Posłuchał. Wzięła dwa kubki i nalała do nich herbaty z dzbana wiszącego nad węglami żarzącymi się w palenisku. Postawiła kubek przed starcem i usiadła naprzeciwko. Zadrżała i powiedziała:

- Podejrzewam, że w tym musi się kryć coś jeszcze.

- O tak, mnóstwo rzeczy, lecz czas ucieka - westchnął Zedd.

- Czy mógłbyś mi wymienić główne wydarzenia?

- No cóż, dobrze. - Zedd upił herbaty. - Pamiętasz D'Hare? Ręka z kubkiem znieruchomiła w drodze ku ustom Franki.

- A czy ktoś mógłby D'Hare zapomnieć?

- Rzecz w tym, że moja córka była matką Richarda. Richard to mój wnuk.

Poczęto go okrutnym gwałtem.

- Tak mi przykro - wyszeptała ze szczerym współczuciem. - Ale co to ma wspólnego z D'Hara?

- Gwałtcielem był Rahl Posępny z D'Hary.

Ręce Franki wyraźnie się trzęsły. Nie zdołała podnieść kubka do ust. Ostrożnie go odstawiła z obawy, że rozleje herbatę, zanim jej skosztuje.

- Czyżbyś próbował mi powiedzieć, że twój wnuk jest potomkiem dwóch linii czarodziejów i tym samym lordem Rahlem, który żąda, by poddały mu się wszystkie krainy Midlandów?

- Cóż, hmm, tak. To właśnie on.

- I że twój wnuk, lord Rahl we własnej osobie, ma poślubić Matkę Spowiedniczkę?

- To była wspaniała ceremonia. Naprawdę wspaniała. Stylowa, choć ekskluzywna - powiedział Zedd.

Franca przycisnęła dłoń do czoła.

- Drogie duchy, cóż to za trudne do pojęcia wieści.

- O tak. Jest również czarodziejem wojny. Zapomniałem o tym, przepraszam. Urodził się z darem obu magii.

- Co takiego?! - Czarodziejka uniosła głowę.

- No wiesz, obie magie. Subtraktywna i addytywna. Obie.

- Och! - Franca przełknęła ślinę. - Chwileczkę. Demony... twoim zdaniem to Matka Spowiedniczka je przywołała?

- Hmm, ona...

Kobieta podniosła się pospiesznie, jej krzesło zaskrzypiało.

- To lord Rahl... Drogie duchy, Matka Spowiedniczka sama przyrzekła demonom duszę lorda Rahla... czarodzieja wojny z darem obu magii?

- To nie jest tak groźne, jak się wydaje. Nie miała pojęcia o tym czarze. Nie zrobiła tego celowo. To zacna osoba i nigdy rozmyślnie by czegoś takiego nie uczyniła.

- Rozmyślnie czy nie, jeżeli demony go dostaną...

- Wysłałem ich w bezpieczne miejsce, tam gdzie demony nie będą miały do niego dostępu. Tym już nie musimy się martwić.

Franca westchnęła z ulgą.

- Dzięki ci za to, Stwórco. Zedd znów łyknął herbaty.

- Wciąż jednak nie mamy mocy, świat jest pozbawiony magii i

prawdopodobnie stoi na skraju zagłady. Jak już mówiłem, potrzebuję pomocy.

Czarodziejka w końcu opadła na krzesło, kiedy je wskazał. Zedd uśmiechnął się, po czym powiedział, że herbata była znakomita i że ona też powinna jej spróbować.

- Myślę, Zeddzie, że tylko Stwórca mógłby ci pomóc. Cóż, według ciebie, mogę zrobić? Jestem ledwie nieznaną, przeciętną czarodziejką z dalekiej krainy. Dlaczego do mnie przyszedłeś?

Starzec zmrużył oczy. Wskazał palcem i spytał:

- Co kryjesz za tą opaską na szyi?

- Bliznę. - Dotknęła palcami gardła. - Pamiętasz Bractwo Czystej Krwi? - Czarodziej potwierdził. - W większości ziem są ludzie tacy jak tamci, ludzie, którzy nienawidzą magii, którzy myślą, że ci z darem są odpowiedzialni za każdą biedę, jaka spotyka ich w życiu.

- O tak, wszędzie są miejscowi zelanci.

- Tutaj przewodzi im Serin Rajak. Jest podobny do innych: mściwy i zięjący nienawiścią. Ma prawdziwy talent do takiego przedstawiania swoich ułud, że rozbudza emocje innych i przekonuje ich do swoich nikczemnych pomysłów.

- Uznał, że zabijając cię, oczyści świat ze zła?

- Mnie i mnie podobnych. - Zsunęła na chwilę opaskę i pokazała gościowi bliznę. - Powiesił mnie, a sam ze swoimi poplecznikami układał pode mną stos. Uwielbia palić. Uważa, że to oczyszcza świat z osób mających dar, bo ich ciała nie trwają zbyt długo po śmierci.

- To się nigdy nie kończy - westchnął Zedd. - Ale zdołałaś go przekonać, żeby cię zostawił w spokoju?

Franca uśmiechnęła się.

- Za to, co mi zrobił, zapłacił jednym okiem.

- Nie powiem, żeby cię za to ganił.

- To się wydarzyło dawno temu.

- Zakładam, że słyszałaś o wojnie ze Starym Światem - czarodziej zmienił temat.

- Oczywiście. Mamy tu wysłańców Imperialnego Ładu, którzy mają omówić pewne sprawy z naszymi ludźmi.

- Co takiego?! - Zedd aż się wyprostował na krześle. - Ład ma tutaj swoich

ludzi?

- Właśnie ci o tym mówię. Pewni ludzie we władzach uważnie słuchają tego, co Imperialny Ład ma do powiedzenia. Obawiam się, że Ład składa jakieś obietnice wyższym urzędnikom. I to od pewnego już czasu. - Popatrzyła na swego gościa znad brzegu kubka, upiła herbaty. Najwyraźniej postanowiła jeszcze coś powiedzieć. - Niektórzy rozważali wysłanie potajemnych wieści do Matki Spowiedniczki. Prośby, żeby się tu zjawiła i zbadała tę sprawę.

- Skoro demony są na swobodzie, to i ona, tak jak ty i ja, straciła moc. Dopóki nie przegna się demonów, Matka Spowiedniczka w niczym nie pomoże.

- Taaak, wiem, co masz na myśli - westchnęła Franca. - Najlepiej byłoby, gdybyśmy zdołali przegnać demony.

- A w tym czasie niektórzy mieszkańcy Anderithu mogliby się zająć tą sprawą.

Odstawiła kubek.

- Kto ma indagować gabinet Ministra Spraw Duchowych?

- Dyrektorzy - zasugerował Zedd. Kilkakrotnie obróciła kubek stojący na blacie.

- Może i tak. - To była jedyna odpowiedź. Zedd milczał, więc dodała: - W Andericie robisz wszystko, co trzeba, żeby być takim jak inni.

- Zawsze znajdują się tacy, którzy zechcą. - Czarodziej ciężko osunął się na krzesło. - Ale w końcu to i tak nie będzie miało znaczenia. Anderith będzie się musiał poddać Richardowi i nowemu imperium D'Hary, które on tworzy, by przeciwstawić się inwazji Imperialnego Ładu. - Znów upił herbaty. - Czy mówiłem ci, że on jest również Poszukiwaczem Prawdy?

Franca spojrzała na niego.

- Nie, zapomniałeś o tym wspomnieć.

- Richard nie pozwoli, żeby sprawy w Andericie dalej się tak miały, żeby przekupni urzędnicy zmawiali się z Imperialnym Ładem. Wraz z Matką Spowiedniczką położą kres podobnym niebezpiecznym, potajemnym knowaniom. To jedna z przyczyn, dla których musiał przejąć władzę. Chce ustanowić sprawiedliwe, równe dla wszystkich prawo.

- Sprawiedliwe prawo. - Zadumała się, jakby to było dziecinne pragnienie. - Jesteśmy kwitnącą krainą, Anderyjczykom dobrze się żyje,

Zeddzie. Zrozumiałabym, gdyby to Hakeni słuchali podszeptów Imperialnego Ładu. Można by uznać, że mają po temu powody. Jednak to Anderyjczycy słuchają Ładu, a oni już mają władzę.

Zedd wpatrywał się w swoją herbatę.

- Nic tak nie drażni pewnych ludzi jak wolność innych. Serin Rajak nienawidzi tych, którzy mają dar, a rządząca elita lub ci, którzy chcą przejąć władzę, pogardza wolnością. Znajdują radość w utrzymywaniu innych w niedoli. - Uznał, że dobrze byłoby poprawić nastrój. - I jak, Franco, masz męża czy też przystojni światowcy wciąż mają okazję zabiegać o ciebie?

Uśmiechnęła się do siebie i odparła:

- Moje serce należy do kogoś.

- To wspaniale. - Zedd poklepał ją po ręce. Franca potrząsnęła głową, uśmiech zniknął.

- Nie. Jest żonaty. Nie mogę ujawnić moich uczuć. Znienawidziłabym się na zawsze, gdyby przeze mnie postanowił rzucić swoją piękną żonę i wziąć taką starzejącą się pannę jak ja. Nie mogę pozwolić, by choć podejrzewał, co do niego czuję.

- Tak mi przykro, Franco - powiedział współczująco czarodziej. - Życie, a właściwie miłość, jest czasem takie niesprawiedliwe. Tak przynajmniej może się wydawać teraz, lecz pewnego dnia...

Kobieta gestem odpędziła ten temat. Bardziej ze względu na siebie niż na mnie, pomyślał Zedd. Znów spojrzała czarodziejowi w oczy.

- Pochlebia mi, Zeddzie, że do mnie przyszedłeś, że zapamiętałeś moje imię, lecz jak, według ciebie, mogę pomóc? Masz większą moc ode mnie. A przynajmniej miałaś.

- Szczerze mówiąc, nie takiej pomocy od ciebie oczekuję. Zjawiłem się, bo jeszcze jako młody czarodziej dowiedziałem się, że właśnie tutaj, w Toscli, czyli dzisiejszym Andericie, są pogrzebane demony.

- Naprawdę? Nie miałam o tym pojęcia. A w którym rejonie? Zedd rozłożył ręce.

- Miałem nadzieję, że może ty to wiesz. Tylko ciebie tu znam, więc cię odszukałem. Potrzebuję pomocy.

- Przykro mi, Zeddzie, ale nie wiedziałam, że demony są uwięzione właśnie tutaj. - Podniosła kubek i w zadumie popijała herbatę. - Jeżeli, jak mówiłeś, demony nie zdołają pochwycić duszy twojego wnuka, to mogły

zostać odwołane do świata zmarłych. A my nie musimy się już martwić ich przepędzeniem. Może ta sprawa sama się już rozwiązała.

- Tak, istnieje na to nadzieja, lecz powinnaś pamiętać o istocie zaświatów.

- To znaczy?

Pierwszy Czarodziej postukał w zewnętrzny krąg Grace inkrustowanego w blacie stolika.

- Tu zaczynają się zaświaty, a kończy życie. - Przesunął dłoń poza skraj blatu. - Dalej jest wieczność. Ponieważ zaświaty są wieczne, czas nie ma tam znaczenia. Nasze wkroczenie tam można potraktować jako początek, ale końca nie ma, więc czas przestaje istnieć. Tylko tutaj, w świecie istot żywych, gdzie początek i koniec w pewien sposób go definiują, czas ma jakiegokolwiek znaczenie. Jako że demony przywołano z wieczności i stamtąd czerpią swoją moc, czas nie ma dla nich znaczenia. Może to prawda, że znikną w zaświatach, jeśli nie dostaną duszy, na pomoc której je wezwano. Jednak tym wiecznym istotom pobyt tutaj - kiedy czekają, patrząc, czy im się powiedzie, i swawolą przy tym, radując się sianiem śmierci i zniszczenia - może się wydawać jedną chwilką, choć na świecie upłynie wówczas nawet tysiąc lat. Nawet dziesięć tysięcy lat może być dla nich jednym mgnieniem, zwłaszcza że nie mają duszy i nie mogą prawdziwie doświadczyć życia.

Franca chłonęła każde słowo starca, spragniona rozmowy o sprawach zrozumiałych właściwie tylko dla osób mających dar.

- Tak, rozumiem. - Uniosła palec. - Ale równie dobrze mogłyby odejść, zniknąć, jak my to nazywamy, nawet dzisiaj, ogarnięte nieustannym poczuciem zawodu, gdyby przekonały się, że muszą działać w obcych sobie granicach czasu i harmonogramu. W końcu dusza, na którą dybią, ma na tym świecie wyznaczony czas. A one muszą dopaść i pojmać jego duszę, póki twój wnuk żyje.

- Dobrze powiedziane i cenna to uwaga, lecz jak długo mamy czekać? Zwłaszcza że od pewnego momentu magiczne istoty i rzeczy nie będą już mogły wrócić do dawnego stanu. Niektóre już pewnie cierpią z powodu zaniku magii. Ile jeszcze czasu upłynie, nim zanikną na zawsze? Widziałem, jak gwiazdzistki marnieją przy dróżce do twojego domu. - Zedd uniósł brew. - Co gorsza, czyż wiemy, ile jeszcze przetrwa na przykład magia ćmy gambit? I co się stanie, jeśli rosnące zboża zostaną wkrótce skażone?

Odwróciła zatroskaną twarz.

Zedd nie znał dobrze Franki, więc nie dodał, że bez magii Jagang i Imperialny Ład staną się jeszcze potężniejsze. Bez pomocy magii w walce z nimi polegnie o wiele więcej ludzi i może to być krew przelana na darmo.

- Franco, jako strażnicy zasłony, obrońcy bezbronnych magicznych istnień i legaci magicznej obietnicy złożonej ludzkości, powinniśmy działać z niezbędnym pośpiechem. Nie wiemy, kiedy będzie za późno na jakąkolwiek pomoc.

- Tak - potwierdziła w zadumie. - Tak, masz, rzecz jasna, rację. Dlaczego chcesz wiedzieć, gdzie uwięziono demony? Co przez to zyskasz?

- Mogło się zdarzyć, że to przegnanie demonów w przeszłości doprowadziło do ponownego rozdarcia zasłony. Tylko tak dało się zneutralizować czar, który je tu sprowadził. Taki kontrczar mógł wymagać zrównoważenia pomocniczym czarem umożliwiającym ich powrót do świata istot żywych. Ten czar powrotu mógłby mieć niezmiernie ścisłe uwarunkowania, na przykład inwokację trójkową i tak dalej, ale to i tak by się nie liczyło. Czar wygnania mógłby dla zrównoważenia wymagać wyłącznie istnienia czaru powrotu. - Zedd powoli powiódł palcem po obrzeżu kubka. - Z tego, co wiem o całej sprawie, wynika, że istota egzystencji demonów wymaga, by mogły powrócić do świata istot żywych przez bramę ich wygnania, gdy tylko dopełnią się owe ścisłe uwarunkowania mechanizmu równoważącego. I właśnie dlatego musiałem się tutaj zjawić.

Franca patrzyła w przestrzeń, zamyślona.

- Tak, to brzmi sensownie. Brama, gdziekolwiek jest, może zostać otwarta.

- Nie wiesz, gdzie demony są uwięzione, ale może mogłabyś zostać moją przewodniczką.

Znów spojrzała na czarodzieja.

- Gdzie byśmy szukali? Od jakiej okolicy chciałbyś zacząć? Zedd upił jeszcze łyk herbaty i odstawił kubek.

- Pomyślałem sobie, że może zdołałabyś mnie wprowadzić do biblioteki.

- Do Biblioteki Kultury? W posiadłości Ministra Spraw Duchowych?

- Właśnie. Mają tam starożytne teksty. Przynajmniej kiedyś mieli. Skoro demony wygnano tutaj, w Andericie, to w bibliotece mogą być zapisy lub jakieś inne informacje, które pozwoliłyby mi odgadnąć, gdzie to się



wydarzyło, i tym samym odnaleźć bramę. A może mają również inne użyteczne informacje.

- Jak brzmią tytuły ksiąg, których szukasz? Może je znam.

- Nie wiem, jakie księgi mogłyby się okazać pomocne, czy w ogóle istnieją, a jeżeli tak, to czy są tutaj. Musiałbym zacząć przeglądać wszystkie tomy przechowywane w bibliotece i przekonać się, co w nich znajdę.

Franca nachyliła się ku niemu.

- Tam są tysiące ksiąg, Zeddzie.

- Wiem. Już je wcześniej widziałem.

- A jeśli znajdziesz księgę, która wymieni to miejsce, to co wówczas?

Czarodziej wzruszył ramionami z rozmyślną nonszalancją.

- Najpierw pierwszy krok.

Wiedział, co będzie musiał zrobić, jeżeli nie uda mu się znaleźć informacji o mechanizmie wygnania demonów. Warunkiem było odszukanie miejsca ich uwięzienia. Nawet jednak gdyby znalazł tę informację, bez udziału swojej magicznej mocy może nie zdołać odwrócić biegu wydarzeń. Może zostać zmuszony do podjęcia desperackich działań.

- Więc co z Biblioteką Kultury? Mogę się tam dostać?

- Myślę, że choć w tej drobnej sprawie zdołam ci pomóc. Jako Anderyjka i osoba znana w posiadłości ministra, mam prawo wstępu do biblioteki. A nie każdy je ma. Rządzący w takim stopniu zmieniają historię, że ludzie, którzy przeżyli trochę lat, mają kłopoty z rozpoznaniem swojej przeszłości i dlatego nie ufają temu, czego nas uczą. - Ocknęła się z osobistych rozważań i wyprostowała na krześle, dzielnie się uśmiechając. - Kiedy chciałbyś tam pójść?

- Im szybciej, tym lepiej.

- Sądzisz, że zdołasz udawać pogrążonego w studiach uczonego?

- Na pewno uda mi się sprawić wrażenie, że mam kłopoty z przypomnieniem sobie własnego nazwiska.

## ROZDZIAŁ 47

- O, jak to miło! - wykrzyknął Zedd z kpiącym zachwytem, kiedy niewiasta położyła potężne tomisko w blasku rzucanym przez wysoką lampę. - Teraz już jestem pewny. Nie mam wątpliwości. Pani Firkin, pani może być wyłącznie dobrym duchem, który przybył, żeby mi pomóc.

Kobieta nagle stała się nieśmiała jak nastolatka. Zarumieniała się i uśmiechnęła.

- Ależ to moja praca, panie Rybnik.

Nachylił się ku niej i zniżył głos do filuternego szeptu.

- Wolę, żeby piękne kobiety mówiły do mnie „Ruben”. - Kiedy okoliczności wymagały, by używać przybranego nazwiska, Zedd zmieniał się w Rubena Rybnika. Uważał, że to pełne fantazji. Skromne życie budziło chęć krótkotrwałej, barwnej odmiany. Czarodziej był zdania, że niefrasobliwa rozrywka jest niezbędna dla zachowania równowagi. A taka drobnostka, jak zmienianie się w Rubena Rybnika, zaspokajała tę potrzebę.

Niewiasta zmrużyła oczy i nie podjęła flirtu. Dziwne, pomyślał Zedd, przecież jest całkiem ładna i przez całe życie powinna mieć gorliwych konkurentów. Musiał się wyrazić jaśniej.

- I dlatego, pani Firkin, wolę, żeby mówiła pani do mnie Ruben.

Patrzyła na niego wzrokiem bez wyrazu, potem zaś w jej ciemnych piwnych oczach pojawiło się zrozumienie. Nagle głośno zachichotała, a śmiech rozległ się echem w długiej sali bibliotecznej. Kilka osób, siedzących przy innych stolikach, podniosło wzrok. Zedd zobaczył, że spojrzął ku nim jeden ze strażników. Pani Firkin zasłoniła dłonią uśmiechnięte usta, policzki jej poczerwieniały.

- Ruben. - Znów zachichotała, mile podekscytowana swawolnym mówieniem mu po imieniu. Rozejrzała się, po czym nachyliła się ku niemu i powiedziała: - Vedetta.

- Aaaach - zaczął słodko czarodziej. - Vedetta. Jakie śliczne imię.

Odeszła pospiesznie, chichocząc. Jej szurające kroki niosły się cichym echem w rozległej sali leżącej na niższym z dwóch pięter eleganckiej Biblioteki Anderithu. Ze swego miejsca Zedd już dawno obserwował przez okna zachód słońca. Dębowa stolarka w sali, o barwie miodu, lśniła ciepło w

blasku lamp dostarczających światła tym, którzy woleli pochłaniać słowa niż kolację.

Pierwszy Czarodziej przyciągnął ku sobie ciężkie tomisko, które wyszukała Vedetta Firkin. Pobieźny rzut oka upewnił go, że księga nie ma dla niego żadnej wartości. Otworzył ją jednak, by sprawiać wrażenie, że czyta z żywym zainteresowaniem. Choć wcale tego nie robił. Tak naprawdę czytał księgę leżącą po prawej ręce i w górę od tomiska. Nawet z opuszczoną głową potrafił unieść oczy w prawo i czytać dzieło, wprowadzając w błąd każdą wścibską kręcącą się w pobliżu osobę. A było tu kilka takich osób.

Czarodziej wzbudził sensację swoim wejściem. Stał u początku biblioteki i z emfazą objaśniał, że ma hipotezy co do prawa dotyczącego odpowiedzialności pośrednich dostawców dóbr wobec sygnatariuszy umów handlowych unieważnionych przez klauzule wiążące się z aktami stworzenia, co prawda nie wyszczególnionymi dokładnie w tekście, lecz implikowanymi przez prawo zwyczajowe, które obejmuje starodawne normy handlowania. Głosił, iż jest przekonany, że zdoła tego dowieść na podstawie wspaniałych przykładów praktycznego prawa przytoczonych w próbkach odkrytych w historii prawa Anderithu.

Nikt nie był na tyle zuchwały, by zaprzeczać jego twierdzeniom. Wszyscy przebywający w bibliotece z największą radością pozostawili go jego poszukiwaniom. Obecność Franki przydała się, bo znano ją tutaj.

Było już późno i pracownicy Biblioteki Kultury chcieli iść do domu, lecz bali się ściągnąć na siebie gniew kogoś, kto tak znakomicie zna prawo. Ponieważ Zedd ociągał się z wyjściem, za jego przykładem poszło kilka osób. Czarodziej nie wiedział, czy chodziło tu o chęć wykorzystania przedłużonego czasu otwarcia instytucji, czy o obserwowanie go.

Franca siedziała po drugiej stronie stołu, trochę z boku, żeby zostawić miejsce na liczne księgi rozłożone przed nimi. Szperała w tomach i od czasu do czasu kierowała uwagę Zedda na fragmenty, które, jej zdaniem, mogły się okazać interesujące. Była bystra i znajdowała informacje, na które mało kto zwróciłby uwagę, a które ewentualnie mogły się okazać znaczące. Jak dotąd jednak czarodziej nie znalazł niczego, co nadawałoby się do zastosowania. Co prawda nie wiedział dokładnie, czego szuka, ale był pewny, że jeszcze tego nie znalazł.

Zedd, pogrążony w myślach, drgnął, kiedy czyjaś dłoń dotknęła jego

ramienia.

- Przepraszam - szepnęła Vedetta. Uśmiechnął się do nieśmiałej damy.

- Nic się nie stało, moja droga Vedetto. - Zrobił pytającą minę.

- Och. - Sięgnęła do kieszeni fartucha i znów poczerwieniała, szukając czegoś dłonią. Jej ręka znieruchomiała. - Znalazłam.

- Co znalazłaś? - szepnął Zedd.

Pochyliła się ku niemu, jeszcze bardziej zniżyła głos.

- Nie wolno nam tego nikomu pokazywać. To bardzo cenna i rzadka rzecz. - Ponownie się zaczerwieniła. - Ale ty, Rubenie, jesteś wyjątkowym człowiekiem, takim mądrym i w ogóle, że przyniosłam to z podziemi, byś choć rzucił na to okiem.

- Naprawdę, Vedetto? To nadzwyczaj uprzejme z twojej strony. Cóż to takiego?

- Właściwie to dobrze nie wiem. Ale to należało do samego Josepha Andera.

- Naaaprawdę? - spytał przeciągle Zedd. Potwierdziła z zapalem.

- Do Góry.

- Co takiego?!

- Góra. Tak nazywali go niektórzy jego współcześni. Jak nie mam nic do roboty, to czasami czytam starożytne teksty z tamtych czasów, żeby dowiedzieć się więcej o naszym czcigodnym przodku, Josephie Anderze. Wyczytałam, że wtedy niektórzy nazywali go Górą.

Zedd w napięciu patrzył, jak Vedetta wyjmuje dłoń z kieszeni fartucha. Trzymała coś małego. Stracił nadzieję, bo pomyślał, że to za małe na książkę. Ale potem serce na chwilę mu zamarło, gdyż zobaczył, że to jednak mała, czarna książka.

Książka podróżna.

Nawet miała rysik na grzbiecie.

Pierwszy Czarodziej zwilżył wargi, patrząc na książkę, którą Vedetta trzymała przed nim w obu dłoniach. Dotknął palcem dolnej wargi. Kobieta nie miała ochoty wypuszczać z rąk takiej cennej rzeczy, nawet dla tak wspaniałego uczonego jak on. W pobliżu drzwi prowadzących do podziemi dwóch uzbrojonych strażników przyglądało się obecnym, lecz nie zwracali szczególnej uwagi na czarodzieja.

- Mógłbym zajrzeć do środka, Vedetto? - spytał nieco ochryłym szeptem

Zedd.

- Hmm... hmm... chyba to nikomu nie zaszkodzi.

Pani Firkin ostrożnie odchyliła okładkę. Książka podróżna była w doskonałym stanie, no ale ta, którą miała przy sobie Ann, była równie stara i równie dobrze zachowana. Książki podróżne były magicznymi przedmiotami i pewnie dlatego wciąż wyglądały jak nowe mimo tysięcy lat używania. Prawdopodobnie przyczyniała się też do tego troskliwość, z jaką Siostry obchodziły się z tymi tomami. Tutejsi ludzie zachowywali nie mniejszą ostrożność.

Zedd zamarł.

Góra.

Zrozumiał. *Bliźniaczy szczyt* był „bliźniakiem”, tworzył parę z tą książką podróżną. Wszystko ułożyło mu się w myślach. *Bliźniaczy szczyt* został zniszczony, a wraz z nim prawdopodobnie informacje dotyczące tego, jak poradzić sobie z demonami.

Patrzył jak zakłęty, a Vedetta Firkin odwróciła pierwszą, czystą kartę. Miał do niego przemówić czarodziej martwy od trzech tysięcy lat.

Zedd wpatrywał się w słowa na następnej stronie. Wpatrywał się bacznie, uważnie. Nie miały sensu. Czar, przeraził się, który nie pozwala, żeby je ktoś przeczytał.

Nie, to nie to. Poza tym magia zanikła, więc czar i tak by nie działał. Przypatrywał się tekstowi i pojął, że nie rozumiał języka, w którym został napisany.

Wreszcie do niego dotarło. To było w gornod'haranskim.

Zeddowi zrobiło się słabo. W zasadzie już nikt nie znał gornod'haranskiego. Richard mówił mu, że nauczył się tego języka. Czarodziej w to nie wątpił, lecz chłopak był w drodze do Aydindril. Zedd nie odnalazłby go ani tym bardziej nie dogonił.

Poza tym pracownicy biblioteki na pewno nie daliby tej książki czarodziejowi, a zanik magii nie pozwalał temu zaradzić.

- Jakaż to wspaniałość - wyszeptał, obserwując, jak pani Firkin powoli przewraca strony.

- Prawda? - powiedziała z głęboką czcią. - Czasami schodzę do podziemi, siedzę tam, patrzę na książkę napisaną przez Josepha Andera i wyobrażam sobie, że to jego palce odwracają stronicę. Aż mnie dreszcz przechodzi -

zwierzyła się.

- I mnie także - potwierdził Zedd. Wydawało się, że jest zadowolona z tej uwagi.

- Szkoda, że nikt nigdy nie mógł tego przetłumaczyć. Nawet nie wiemy, w jakim to może być języku. Niektórzy z naszych uczonych przypuszczają, że może to być starodawny szyfr stosowany przez czarodziejów. Bo Joseph Ander był czarodziejem - dodała w zaufaniu przyciszonym głosem. - Nie każdy o tym wie, ale na pewno był. Był wielkim człowiekiem.

Zedda ciekawiło, na jakiej podstawie tak sądzą, skoro nie mieli pojęcia, co napisał. I wtedy uświadomił sobie, że właśnie dlatego tak uważają.

- Czarodziej - powtórzył. - Można by sądzić, że czarodziej chciałby, aby jego słowa były znane.

Vedetta zachichotała.

- Och, Rubenie, pojęcia nie masz o czarodziejach. Oni już tacy są. Skryci, tajemniczy i w ogóle.

- To chyba prawda - powiedział z roztargnieniem, usiłując wyłowić jakieś znane sobie słowo z powodzi tych, które migają mu przed oczami. Żadnego nie zrozumiał.

- Tylko te tutaj - powiedziała cicho Vedetta, rzucając wokół szybkie spojrzenia. Postukała palcem w stronę tuż u jej końca. - Te słowa zupełnie przypadkiem udało mi się odcyfrować. Tylko te dwa.

- Udało ci się? - Zedd przyjrzał się im zmrużonymi oczami. - *Fuer Owbens*. - Spojrzał w podekscytowane oczy kobiety. - Naprawdę wiesz, co to oznacza, czy tylko się domyślasz?

Zrobiła bardzo poważną minę.

- Naprawdę wiem. Zupełnie przypadkiem natrafiłam w książce zatytułowanej *Królestwo żaru* na fragment, w którym występują te same słowa i jest podane ich tłumaczenie. To książka o...

- A więc rozszyfrowałaś te słowa. I cóż one znaczą?

- Palenisko - odparła, przysuwając usta tuż do jego ucha. Zedd odwrócił głowę i spojrzał w ciemne oczy pani Firkin.

- Palenisko?

- Palenisko - przytaknęła. Zachmurzył się.

- Domyślasz się, o co tu chodzi?

Vedetta energicznie zamknęła niewielką książkę podróżną.

- Przykro mi, ale nie. - Wyprostowała się. - Robi się późno, Rubenie. Strażnicy powiedzieli, że kiedy już pokażę ci tę książkę, to chcą zamknąć bibliotekę.

Zedd nie próbował ukryć rozczarowania.

- Oczywiście. Każdy chce wrócić do domu, zjeść kolację i położyć się spać.

- Przecież możesz wrócić tu jutro, Rubenie. Jutro też chętnie ci pomogę.

Czarodziej skubał wargę, a jego umysł rozważał każdy strzępek informacji, usiłując ocenić, czy to się na coś przyda. Nie wyglądało na to.

- Słucham? - Spojrzał na panią Firkin. - Co mówiłaś?

- Że mam nadzieję, iż jutro tu wrócisz. Chętnie znów ci pomogę. - Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. - Jesteś bardziej wymagający niż większość tych, którzy tutaj przychodzą. Niewielu chce się przeglądać tak starożytne księgi, jakimi ty się interesujesz. Uważam, że to wstyd. Dzisiejsi ludzie nie szanują dawnej wiedzy.

- Istotnie, nie szanują - potwierdził z powagą. - Chętnie jutro wrócę, Vedetto.

Znów się zarumieniła.

- A może... może zechciałbyś pójść ze mną do moich pokoi? Przyrządziłabym ci coś do jedzenia.

Zedd uśmiechnął się.

- Chętnie, Vedetto, bo jesteś naprawdę przemiłą damą, lecz teraz to, niestety, niemożliwe. Jestem tutaj z Francą. Jest moją gospodynią. Musimy wrócić do Fairfield i omówić wyniki naszych poszukiwań. Pamiętaj o moim projekcie. O tym prawie.

- Rozumiem. - Posmutniała. - Cóż, mam nadzieję, że cię jutro zobaczę.

Chciała odejść, lecz Zedd złapał ją za rękaw.

- A czy jutro będę mógł skorzystać z twojego zaproszenia, Vedetto? O ile będzie jeszcze wtedy aktualne.

Powrócił promienny uśmiech.

- Właściwie jutro będzie lepiej. Będę mogła... jutro, doskonale. Jutro wieczorem nie będzie mojej córki i zjemy uroczą kolację we dwoje. Mój mąż zmarł sześć lat temu - dodała, skubiąc kołnierzyk. - Zaczynał być z niego człowiek.

- Nie wątpię w to. - Zedd wstał i nisko pokłonił się Vedettce. - A więc do jutra. - Uniósł palec. - I dziękuję za pokazanie mi tej cennej książki z

podziemi. Czuję się zaszczycony.

- Dobranoc, Rubenie. - Odwróciła się i odeszła promiennie uśmiechnięta.

Zedd poruszył palcami w geście pożegnania i szeroko uśmiechnął się do odchodzącej. Kiedy tylko Vedetta zniknęła w drzwiach wiodących do podziemi, skinął na France:

- Idziemy.

Czarodziejka zamknęła swoje księgi i okrążyła stół. Zedd podał jej ramię, gdy szli po schodach paradnych. Dębowa poręcz, szeroka niemal na stopę i pięknie rzeźbiona, lśniła w blasku lamp.

- I jak? - szepnęła Franca, kiedy odeszli wystarczająco daleko, by pozostali nie mogli ich usłyszeć.

Zedd obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy nie zbliża się do nich żadna z tych osób, które przedtem się nimi interesowały. Co najmniej trzy wzbudziły jego podejrzenia, ale były za daleko. Składały papiery i odkładały księgi, więc nie mogły niczego usłyszeć - chyba że miały dar.

- Nic - odparł z rezygnacją czarodziej. - Nie znalazłem niczego, co mogłoby się przydać.

- Jaką to książeczkę przyniosła z podziemi? Myślę o tej, której nie dała ci do rąk.

- Nic przydatnego. - Zedd machnął ręką. - To było w górnod'haranskim. - Zerknął na nią kątem oka. - Chyba że znasz ten język.

- Nie. Takie teksty widziałam ledwie kilka razy w życiu. Czarodziej westchnął.

- Ta kobieta знаła jedynie znaczenie dwóch słów. Znaczą „Palenisko”.

Franca przystanąła na schodach. Byli już blisko ich szczytu.

- Palenisko?

Zedd zmarszczył brwi.

- Wiesz, o co tu chodzi? Kobieta potwierdziła.

- To pewne miejsce. Wiedzą o nim tylko ci, którzy mają dar. Matka raz mnie tam zaprowadziła.

- Jak tam jest?

Franca zmrużyła oczy, przypominała sobie.

- Cóż... jest tam nienormalnie gorąco. To pieczara. W tej gorącej pieczarze niczego nie ma, lecz wyczuwa się tam moc, magię.

- Nie rozumiem.



- Ja też nie. - Czarodziejka wzruszyła ramionami. - Nic tam nie ma, lecz to bardzo osobliwe miejsce, które potrafią docenić jedynie ci z darem. Wydaje ci się, że... sama nie wiem. Kiedy jesteś w Palenisku, czujesz przenikający cię dreszcz mocy. Lecz ci, którzy nie mają daru, niczego nie odczuwają. - Sprawdziła, czy nikt ich nie słucha, i dodała: - Nikomu nie opowiadamy o tym miejscu. To tajemne miejsce, tylko dla ludzi z darem. Trzymamy je w tajemnicy, bo nie wiemy, co się tam kryje.

- Muszę je zobaczyć. Możemy tam teraz pójść?

- To wysoko w górach, kilka dni drogi stąd. Jeżeli chcesz, możemy wyruszyć rankiem.

Zedd zastanowił się nad tym.

- Nie, wolałbym iść sam.

Franca wydawała się urażona, lecz jeśli to było to, czego Zedd się spodziewał, to nie chciał, by znalazła się tam z nim. Przecież właściwie nie znał tej kobiety i nie wiedział, czy może jej ufać.

- To może się okazać niebezpieczne, Franco, a nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało. Już i tak poświęciłaś mi tyle czasu i uwagi. Tyle dla mnie ryzykowałaś.

Te słowa trocheja ułagodziły.

- Uważam, że ktoś powinien powiedzieć Vedetcie, że nie zdołasz przyjść jutro na kolację. Będzie rozczarowana. - Kobieta uśmiechnęła się. - Ja bym była na jej miejscu.

## ROZDZIAŁ 48

Zedd zdjął siodło z grzbietu Spider i aż stęknął pod jego ciężarem. Uznał, że staje się za stary na takie wyczyny. Uśmiechnął się, uświadomiwszy sobie tę ironię losu. Położył siodło na kłodzie, żeby nie dotykało ziemi. Spider radośnie pozwoliła zdjąć sobie resztę uprzęży, którą czarodziej złożył na siodle. Okrył to wszystko derką. Kłoda leżała tuż przy pniu starego świerku, więc do pewnego stopnia była chroniona przed kapryсами pogody. Czarodziej przykrył jeszcze to wszystko gałązkami sosny i poprzepłatał je jak mógł, opierając dodatkowo o pień świerku, żeby uprzęż nie zamokła. Nie wątpił, że mżawka szybko zmieni się w deszcz.

Spider, zwolniona z obowiązków, szczypała w pobliżu trawę, ale nastawiała uszu ku Zeddowi i łypała nań okiem. To była ciężka, trzydniowa podróż - na drugi brzeg Drunu, a potem wysoko w góry. Cięższa dla czarodzieja niż dla kłaczy - ona nie była stara. Zedd, widząc, że Spider radośnie się pożywia, wrócił do swoich spraw.

Grupka kilku świerków zasłaniała miejsce, do którego dążył. Ruszył szybko brzegiem i ominął drzewa. Zaraz potem stanął na sterczącym kawałku skały, który wyglądał jak podium.

Wsparł się pod boki i spojrzał na jezioro.

To było urocze miejsce. Z tyłu gęsty las zatrzymywał się w pewnej odległości od wody, jakby bał się zbyt blisko do niej przybliżyć. Brzeg był pusty i łatwo dostępny, rosło tu zaledwie kilka odważnych świerków. Półwysep tu i ówdzie porastały krzaki, ale głównie pokrywały go zbite kępki trawy. W trawie natomiast błyskały małe niebieskie i różowe kwiatuszki. Pozostałą część jeziora okalały strome ściany skalne. Jeśli nawet to samotne, głębokie jezioro miało jakąś nazwę, to Zedd jej nie znał. Dotrzeć do niego można było wyłącznie od tej strony.

Za jeziorem, po lewej, zębate góry, które okalały wznoszący się teren, piętrzyły się w oddali jeszcze wyżej i tylko nieliczne liche drzewka zdołały tam zapuścić korzenie. Po prawej widok zasłaniały ciemne skalne urwiska, lecz Zedd wiedział, że za nimi były następne szczyty.

Po drugiej stronie jeziora z krawędzi wyniosłej skały spadał wodospad. Spokojne wody odbijały jak lustro całą tę scenę.

Lodowate, wpadające do jeziora wody spływały z wysokich partii gór, z rozległego jeziora położonego na spalonym słońcem pustkowiu, gdzie żyły tylko naskalniaki. Była to część górnych dopływów Dammar, która z kolei wpadała do Drunu. Owa zimna woda, docierająca tu z wymarłych okolic, spłynie do doliny Nareef i zrodzi życie.

Za wodospadem było Palenisko.

W ścianie za spadającą wodą, w bramie do zaświatów, przed trzema tysiącami lat uwięziono demony.

A teraz były na swobodzie.

I czekały na obiecaną im duszę.

Na samą myśl o tym Zedd poczuł gęsią skórkę, jakby po nogach biegał mu tysiąc pajaków.

Znów, jak mnóstwo razy wcześniej, spróbował przywołać swoją magię. Starał się przekonać sam siebie, że tym razem się uda. Rozpostarł ramiona, uniósł je otwartymi dłońmi ku górze, ku niebu, i z całych sił przyzywał magię.

Spokojne jezioro nie zobaczyło magii Zedda. Góry czekały i skwitowały milczeniem jego porażkę.

Czarodziej, czując się ogromnie samotnie i staro, westchnął z głębi piersi. Wyobrażał to sobie na tysiące rozmaitych sposobów.

Przenigdy jednak nie pomyślał, że tak właśnie umrze.

To dlatego nie mógł pozwolić, by Richard dowiedział się, że demony naprawdę są na swobodzie. Chłopak nigdy nie zgodziłby się na to co Zedd zamierzał zrobić, co Zedd - jak wiedział - musiał zrobić.

Czarodziej wyrwał się z przytłaczającej melancholii i uważnie popatrzył na jezioro. Musiał skupić się na tym, co robi, inaczej bowiem mogłoby mu się nie udać i całe jego poświęcenie nie zdałoby się na nic. Jeżeli już zamierza to zrobić, zrobi to jak trzeba. Z dobrze wykonanej roboty, nawet takiej jak ta, zawsze płynęła satysfakcja.

Kiedy tak obserwował wszystko doświadczonymi oczami, dostrzegł sporo w na pozór spokojnych wodach. W wodzie roiły się niewidzialne stwory, czaiły się, pełne mrocznych zamiarów.

Jezioro roiło się od kurantów śmierci.

Zedd znów spojrzął na wodospad. Tuż za nim dostrzegł czarny wlot pieczary. Musiał się tam dostać przez wodę, przez kipiącą od demonów

wodę.

- Sentrosi! - Rozpostarł ramiona. - Przyszedłem, by z własnej woli ofiarować ci duszę, której szukasz! Moją duszę! Oddaję ci to, co należy do mnie!

Z miejsca zwanego Paleniskiem buchnęły płomienie. Rycząc i kłębiąc się, pochłonęły kolumnę spadającej wody. Powierzchnia jeziora stała się pomarańczowa. Wodospad na moment przemienił się w słup pary. Z białą parą zmieszał się atramentowoczarny dym. Powstała ponura kolumna znakująca wlot do pieczary.

Rozbrzmiał czysty dźwięk i odbił się echem wśród gór.

To odpowiedziała Sentrosi.

I odpowiedź brzmiała „tak”.

- Reechani! - zawołał Zedd do leżących przed nim wód. - Vasi! - zawołał do otaczającego go powietrza. - Pozwólcie mi przejść, albowiem przybyłem, by oddać wam wszystkim moją duszę.

Woda zawirowała, jakby przy brzegu, przed czarodziejem, zebrała się ławica ryb. Sama woda również wydawała się żywa, niecierpliwa, głodna. I pewnie taka jest, pomyślał czarodziej.

Powietrze wokół Zedda zgęstniało, napierało na niego, poganiało do przodu.

Woda uniosła się i skręciła, wskazując Palenisko. Powietrze brzęczało od demonów, niezliczonych odrębnych dzwoneczków zlewających się w jeden krystaliczny dźwięk. Miało woń spalenizny.

I tak już padało, więc Zedd uznał, iż właściwie nie ma znaczenia, że zamoczy się jeszcze bardziej. Wszedł do jeziora.

Oczekiwał, że będzie musiał płynąć, lecz powierzchnia podtrzymywała go niczym lodowa tafla, tyle że się poruszała. Przy każdym kroku czarodzieja rozbiegały się drobne zmarszczki, jakby brnął przez zwyczajną kałużę. Przy każdym kroku trafiał na stabilną powierzchnię.

Zawdzięczał to demonom Reechani, które wiodły go ku przeznaczeniu, ku swojej królowej. Otaczały go, jak śmiertelny całun, demony powietrza, Vasi.

Zedd czuł muśnięcia zaświatów. U stóp wyczuwał przyczajoną wilgotną śmierć. Wiedział, że każdy krok może być ostatnim.

Przypomniał sobie Juniego, łowcę Błotnych Ludzi, który utonął. Ciekaw

był, czy Juni odnalazł spokój, jakiego pragnął, jaki ofiarowano mu, nim utonął.

Czarodziej, znając naturę demonów, żywił uzasadnione podejrzenia, że po skuszeniu obezwładniającym spokojem, a przed pozbawieniem życia, porażają ofiarę przerażeniem.

Nim Zedd dotarł do wodospadu, coś przeniknęło przez słup wody. Niewidzialne ręce rozdzieliły wodną zasłonę, tak by czarodziej mógł przejść do leżącej dalej pieczary. Sentrosi, ogień, najwyraźniej woli, żebym był w miarę suchy, uznał Zedd.

Czarodziej stanął w skalnym otworze, ale zanim wszedł do pieczary, usłyszał karcące parsknięcie Spider. Obejrzał się. Klacz stała na brzegu, nogi miała szeroko rozstawione, mięśnie napięte. Położyła po sobie uszy, jej oczy pały gniewem. Machała ogonem, uderzając się w boki.

- Wszystko w porządku, Spider - zawołał Zedd do zaniepokojonego zwierzęcia. - Zwracam ci wolność. - Uśmiechnął się. - Jeżeli nie wrócę... ciesz się życiem, przyjaciółko. Raduj się życiem.

Spider gniewnie zarżała. Czarodziej pomachał jej ręką i zawodzące rżenie zmieniło się w basowy wrzask.

Zedd odwrócił się i poszedł za wodną zasłonę, w ciemność. Kurtyna wód zamknęła się za nim.

Nie zawahał się. Zamierzał dać demonom to, czego pragnęły: duszę. Jeśli uda mu się zrobić to w taki sposób, by mimo wszystko ocalić życie, dokona tego. Małą miał jednak na to nadzieję, skoro nie mógł się uciec do pomocy magii.

Jako Pierwszy Czarodziej wiedział trochę na ten temat. Żeby pozostać w świecie istot żywych, demony potrzebowały duszy - i tą obietnicą je tu przywołano. Co więcej, potrzebowały konkretnej duszy - tej obiecanej. Jako istoty z zaświatów, które nigdy nie miały swojej duszy, nie rozumiały w pełni, jak to byłoby mieć duszę ani jaka jest natura tej, którą im obiecano. Istniały, rzecz jasna, pewne nieodłączne zasady mające tu zastosowanie, lecz demony były w obcym dla siebie świecie. Jediną nadzieją czarodzieja była właśnie ta niewiedza demonów.

Zedd był bliskim krewnym Richarda i poprzez córkę pośredniczył w przekazaniu mu życia, więc ich dusze łączyły niewidoczne więzi i powinowactwa. Ich dusze, tak jak ciała, były pokrewne. Tak jak ciała miały

pewne wspólne cechy, na przykład wykrój ust, tak miały je również dusze.

Ale i tak każda z nich była jedyna w swoim rodzaju, unikatowa, i w tym właśnie kryło się niebezpieczeństwo.

Czarodziej miał nadzieję, że demony pomylą jego duszę z tą, na którą dybały, zabiorą ją jako tę właściwą i zadławią się nią, jako że nie będzie tą, co trzeba. Nazwijmy to „zadławią się”, pomyślał Zedd. W tym jego jedyna nadzieja. Nie znał innego sposobu na powstrzymanie demonów.

Każdego dnia zwiększało się zagrożenie dla świata istot żywych. Każdego dnia umierali ludzie. Każdego dnia słabła magia.

Zedd ogromnie pragnął żyć, lecz nie widział innego sposobu na powstrzymanie demonów niż poświęcenie własnego życia, nim będzie za późno.

Kiedy otworzą się na obiecaną im duszę i przez to staną się podatne na atak, jego dusza - taką miał nadzieję - zniszczy czar, który sprowadził je do tego świata.

Nie była to zupełnie bezpodstawna nadzieja, w końcu Zedd był czarodziejem. Istotnie, można to było uznać za racjonalne podejście do zagadnienia. Problemатyczne, lecz racjonalne.

Pierwszy Czarodziej wiedział, że to, co zaplanował, przynajmniej w pewnym stopniu naruszy czar - jak strzała, która co prawda nie zabije zwierzęcia, lecz przynajmniej je zrani.

Nie wiedział natomiast, jakie to będzie miało następstwa dla niego. Jednak nie miał złudzeń. Zdawał sobie sprawę, że jego czyn - o ile nie wydrze mu duszy i nie zabije przy tym - rozgniewa demony, które zaczną się mścić.

Uśmiechnął się. Przeciwwagę dla tego wszystkiego stanowił fakt, że nareszcie zobaczyłby swoją umiłowaną Erilyn - tam, w zaświatach, gdzie jej dusza na pewno czeka na niego.

W pieczarze buchał przeraźliwy żar.

Ściany z płynnego ognia chwiały się w zwolnionym tempie, kołysały i falowały.

Był we wnętrzu bestii.

Pośrodku pulsującej pieczary tkwiła Sentrosi, królowa ognia. Zwróciła na Zedda swe śmiertelne spojrzenie. Języki płomieni posmakowały otaczające go powietrze. Uśmiechnęła się - zawirowały złociste płomienie.

Zedd ostatni raz, bezskutecznie, usiłował przyzwać swoją magię.

Sentrosi runęła ku niemu ze straszliwą prędkością, gnana przerażającym głodem.

Pałący ból przeszył każdy nerw Zedda, niewypowiedziana męka targała jego duszą.

Świat zapłonął. Krzyk czarodzieja zabrzmiał jak ogłuszający dzwon.

Richard krzyknął. Wydawało mu się, że szarpiący dźwięk rozbija jego czaszkę. Spadł z konia, ledwo świadomy tego, co się wokół niego dzieje. Ból wywołany uderzeniem o ziemię był miłą odmianą po potężnej wibracji, która złamała jego samokontrolę i sprawiła, że krzyczał. Trzymał się za głowę, zwinął w kłębek i krzyczał z bólu.

Świat był gorejącą męczarnią.

Dokoła ludzie zeskakiwali z koni, wykrzykiwali rozkazy. Dla Richarda byli tylko mglistymi, miotającymi się wszędzie wokół kształtami. Nie pojmował, co mówią. Nikogo nie poznawał.

Czuł przeraźliwy ból.

Walczył ze straszliwą męką i mógł jedynie podtrzymywać wątłą nić łączącą go ze świadomością, z życiem.

Żył wyłącznie dlatego, że przetrwał próbę bólu, jak wszyscy ci, którzy mieli zostać czarodziejami. Bez tego, czego nauczył się w jej trakcie, już byłby martwy.

Był sam w piekle.

Nie wiedział, jak długo zdoła czepiać się życia.

Znienacka wszystko oszalało. Beata biegła ile sił po porośniętym trawą gruncie. Wpadła w panikę.

Wrzask Turnera umilkł. Trwał zaledwie sekundy, lecz był przerażający.

- Przestańcie! Przestańcie! Powariowaliście?! Przestańcie! - wołała ile tchu w płucach.

Powietrze wciąż drżało od dźwięku Dominie Dirtch. Niski brzęk wzbił w powietrze kurz i miało się wrażenie, że cała ziemia wokół dymi. W wibrującym powietrzu kurz zbijał się w kuleczki. Runęło drzewko, które oddział ostatnio zasadził.

Cały świat wibrował tym straszliwym, buczącym tonem.

Beata - z twarzą zalaną łzami - pędziła ku nim, krzycząc, żeby przestali uderzać w dzwon.

Turner był z przodu, sprawdzał, czy pas ziemi przed Dominie Dirtch jest

czysty. Jego wrzask umilkł kilka sekund po uderzeniu w Dominie Dirtch, lecz wciąż brzmiał w głowie dziewczyny, przepiętny bólem i przerażeniem. Wiedziała, że nie zapomni go do końca życia.

- Przestańcie! - ryknęła, łapiąc poręcz i skacząc na stopnie. - Przestańcie!  
- krzyknęła, biegnąc w górę.

Unosząc pięści, wpadła na podest gotowa pobić głupca, który uderzył w Dominie Dirtch. I zatrzymała się, przeraźliwie zadyszana. Rozejrzała się dokoła. Wstrząśnięta Emmeline stała nieruchomo. Bryce też wyglądał na nieprzytomnego. Wytrzeszczał na Beatę oczy, skamieniały z przerażenia.

Długi młot, służący do uderzania w Dominie Dirtch, wciąż tkwił w uchwytach. Zresztą żadne z tej dwójki nie stało obok niego. Żadne nie uderzyło drewnianym młotem w śmiercionośny dzwon.

- Co wyście zrobili?! - wrzasnęła. - Po co żeście zadzwonili?! Rozum warn odjęło?! - Obejrzała się na stos kości i krwawych szczątków, które jeszcze przed chwilą były Turnerem. Wskazała je energicznym gestem. - Zabiliście go! Czemu żeście to zrobili?! Co z wami?!

Emmeline z wolna potrząsnęła głową.

- Ani na krok nie ruszyłam się z tego miejsca. Bryce zaczynał się trząść.

- Ja też. Wcale w niego nie uderzyliśmy, sierżancie. Przysięgam. Nawet nie byliśmy blisko niego. Żadne z nas nie było w pobliżu. Nie zrobiliśmy tego.

Beata przyglądała się im bez słowa i uświadomiła sobie, że słyszy odległe krzyki. Spojrzała ku następnemu Dominie Dirtch. Ludzie miotali się wokół niego, jakby świat oszalał. Obróciła się i spojrzała w przeciwnym kierunku. To samo: wrzeszczący i biegający dokoła ludzie. Ośloniła oczy przed słońcem i spojrzała uważnie. Przed tamtym Dominie Dirtch leżały szczątki dwóch żołnierzy.

Estelle Ruffin i kapral Marie Fauvel dotarli do szczątków Turnera. Estelle złapała się za włosy i zaczęła krzyczeć.

Marie odwróciła się i wymiotowała.

Tak uczono Beatę. Tak zawsze było. Mówili, że tak było od tysięcy lat.

Każdy oddział, przy każdym Dominie Dirtch, w tym samym czasie wysyłał patrol na zwiady. Gdyby ktoś lub coś czało się z przodu, nie mogłoby uniknąć spotkania z jednym żołnierzem i schować się.

To nie tylko Dominie Dirtch Beaty. Każdy Dominie Dirtch na granicy



rozbrzmiał sam z siebie.

Kahlan wczepiła się w koszulę Richarda. Wciąż był nieprzytomny z bólu. Zwinięty w kłębek. Nie mogła go rozprostować. Nie miała pojęcia, co się właściwie dzieje, lecz jedno ze strachem pojęła.

Najwyraźniej zagrażało mu jakieś śmiertelne niebezpieczeństwo.

Słyszała, jak krzyczał. Widziała, jak stacza się z konia i uderza o ziemię, lecz nie wiedziała dlaczego.

Najpierw pomyślała, że dosięgła go strzała. Przeraziła się, że to strzała asasyna i że zabiła Richarda. Nie widziała jednak krwi. Opanowała emocje, szukała krwi - ale nie znalazła.

Spojrzała na otaczający ich tysiąc d'haranskich żołnierzy. Zadziałali, nie czekając na jej rozkaz, gdy tylko Richard krzyknął i spadł z konia. W mgnieniu oka dobyli mieczy.

Bojowe topory znalazły się w dłoniach. Nastawiono piki. Żołnierze zeskoczyli z koni, dzierżąc w dłoniach broń, gotowi do walki. Inni zwarli szeregi, tworząc następny pierścień obronny. Obrócili konie na zewnątrz, gotowi runąć do ataku. A ci z samego obrzeża rozbiegli się w poszukiwaniu napastników, by oczyścić okolicę z wrogów.

Kahlan całe życie miała do czynienia z wojskiem, sporo wiedziała o wyszkoleniu. Po sposobie, w jaki zareagowali ci żołnierze, poznała, że są równie dobrzy, jak o nich mówiono. Nie musiała wydawać żadnych rozkazów - wykonali każdy manewr obronny, o którym sama by pomyślała, i to znacznie szybciej, niż zdołałaby wykrzyczeć rozkazy.

Mistrzowie miecza Baka Tau Mana tworzyli wokół Richarda i Kahlan ciasny krąg obronny, trzymając broń w pogotowiu. Czy to była strzała, strzałka czy cokolwiek innego, strzegący ich ludzie nie dopuszczą do kolejnego ataku na swojego lorda Rahla. Zresztą ciasne kręgi żołnierzy stanowiły dostateczną ochronę przed strzałą.

Kahlan, otumaniona nagłym zamieszaniem, pomyślała z lękiem, iż Cara rozgniewa się, że pozwolili, by Richarda spotkało coś złego. W końcu obiecała Mord-Sith, jakby taka obietnica była potrzebna, że nie dopuści, by coś mu się stało.

Du Chaillu przepchnęła się przez krąg swoich mistrzów miecza i kucnęła przy drugim boku Richarda. Przyniosła bukłak i płótno, żeby opatrzyć ranę.

- Znalazaś zranienie?

- Nie - odparła Kahlan, badając męża.

Przycisnęła dłoń do policzka Richarda. Przypomniała sobie, jak chorował na mór, był nieprzytomny z gorączki i nie wiedział, gdzie jest. Teraz, kiedy krzyknął i spadł z konia, na pewno nie poraził go atak choroby. Mimo to czuła, że płonie od gorączki.

Du Chaillu ocierała twarz chłopaka wilgotnym płótnem. Kahlan widziała, jak jest zatroskana.

Dziewczyna wciąż oglądała Richarda, sprawdzając, czy nie został trafiony strzałką z dmuchawki lub bełtem kuszy. Trząśnięcie, to były niemal konwulsje. Szukała zapamiętałe, przewróciła go na bok, żeby sprawdzić plecy. Starła się odnaleźć to, co sprawiało mu taki ból. Koncentrowała się na tym, starała się nie myśleć o swoich uczuciach, bo i ona mogłaby stracić przytomność, wstrząśnięta i przerażona.

Ułożyła chłopaka na plecach. Du Chaillu gładziła go po twarzy, nie szukała rany. Duchowa przewodniczka Baka Tau Mana nachyliła się ku leżącemu, szepcząc słowa, których Kahlan nie rozumiała.

- Niczego nie znalazłam - powiedziała zrozpaczona dziewczyna.

- Bo nie mogłaś - odparła chłodno Du Chaillu.

- A to niby czemu?

Duchowa przewodniczka Baka Tau Mana szeptała Richardowi czułe słowa. Kahlan nie rozumiała ich znaczenia, lecz pojmowała towarzyszące im uczucia.

- To nie rana z tego świata - powiedziała Du Chaillu. Kahlan spojrzała na otaczających ich żołnierzy. Obronnym gestem położyła dłonie na piersi Richarda.

- Co to znaczy?

Du Chaillu delikatnie odepchnęła dłonie Kahlan.

- To rana ducha. Duszy. Pozwól mi się nim zająć. Matka Spowiedniczka czule dotknęła twarzy Richarda.

- Skąd to wiesz? Nie wiesz. Skąd mogłabyś wiedzieć?

- Jestem duchową przewodniczką. Rozpoznaję takie sprawy.

- Tylko dlatego, że...

- Znalazłaś ranę?

Dziewczyna milczała przez chwilę, rozpamiętując swoje uczucia.

- Wiesz, jak możemy mu pomóc?

- To coś, czemu ty nie potrafisz zaradzić. - Du Chaillu pochyliła ciemną głowę i przycisnęła dłonie do piersi Richarda. - Zostaw to mnie, bo inaczej nasz mąż umrze - szepnęła.

Kahlan przysiadła na piętach i patrzyła, jak duchowa przewodniczka Baka Tau Mana, z pochyloną głową i dłońmi wspartymi o pierś Poszukiwacza, zamyka oczy, jakby pogrążała się w jakimś transie. Szeptala jakieś słowa, raczej do siebie niż do innych. Trzęsa się. Jej ramiona dygotały.

Twarz Du Chaillu wykrzywiła się w bólu.

Nagle padła do tyłu, przerywając kontakt.

Kahlan złapała ją za ramię, żeby nie uderzyła o ziemię.

- Nic ci nie jest?

Duchowa przewodniczka dała znak, że nie.

- Moja moc. Zadziałała. Wróciła.

Kahlan spojrzała na Richarda. Wydawał się spokojniejszy.

- Co zrobiłaś? Co się stało?

- Coś próbowało odebrać mu ducha. Posłużyłam się moją mocą, żeby zneutralizować tamtą i wyrwać go z rąk śmierci.

- Twoja moc wróciła? - spytała z powątpiewaniem Kahlan. - Jak to możliwe?

- Nie wiem. - Du Chaillu potrząsnęła głową. - Wróciła, kiedy Caharin krzyknął i spadł z konia. Wiedziałam to, bo znów poczułam łączącą mnie z nim więź.

- Może demony uciekły do zaświatów. Du Chaillu raz jeszcze potrząsnęła głową.

- Jakikolwiek był tego powód, to już mija. Moja moc znów zanika. - Przez chwilę patrzyła przed siebie. - Zniknęła. Wróciła tylko na tyle, bym mogła mu pomóc.

Poleciła swoim ludziom, żeby schowali miecze, bo jest już po wszystkim.

Kahlan nie była o tym przekonana. Spojrzała na Richarda. Wyglądało na to, że się uspokaja. Oddychał coraz spokojniej.

Nagle otworzył oczy. Zamrugał w świetle.

Du Chaillu pochyliła się nad nim, przycisnęła mu do czoła wilgotne płótno i otarła pot.

- Już nic ci nie grozi, mój mężu - powiedziała.

- Du Chaillu, ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem twoim mężem.

Błędnie interpretujesz stare prawa - mruknął.

- Widzisz? - Przywódczyni Baka Tau Mana uśmiechnęła się do Kahlan. - Już mu lepiej.

- Dzięki niech będą dobrym duchom, że tu byłaś, Du Chaillu - wyszeptała Matka Spowiedniczka.

- Powiedz mu, że jak znów będzie narzekał, to go zostawię.

Kahlan nie mogła powstrzymać uśmiechu rozbawienia na widok irytacji Richarda i uśmiechu ulgi, że już naprawdę mu lepiej. O mało się nie rozpląkała, lecz zdołała powstrzymać łzy.

- Nic ci nie jest, Richardzie? Co się stało? Dlaczego spadłeś z konia?

Próbował usiąść, ale Kahlan i Du Chaillu popchnęły go do tyłu.

- Obie twoje żony uważają, że musisz trochę odpocząć - oznajmiła Du Chaillu.

Chłopak nie próbował już się podnieść. Szare oczy spojrzały na Kahlan. Zaciśnęła dłoń na jego ramieniu i w myślach dziękowała dobrym duchom.

- Sam dobrze nie wiem, co się stało - powiedział w końcu. - Wydawało mi się, że ten dźwięk, ten ogłuszający dzwon, eksploduje w mojej głowie. Ból był jak... - Twarz mu nieco pobraźniała. - Nie umiem tego wytłumaczyć. Nigdy przedtem czegoś takiego nie doświadczyłem. - Usiadł, odtrącając powstrzymujące go dłonie. - Już nic mi nie jest. Cokolwiek to było, zniknęło. Odeszło.

- Nie jestem taka pewna - powiedziała Kahlan.

- Ale ja jestem - odparł. Wyglądał na udręczonego. - Wydawało mi się, że coś wrywa mi duszę.

- Ale jej nie dostało - odezwała się Du Chaillu. - Próbowało, ale nie dostało.

Była ogromnie poważna. Kahlan jej uwierzyła.

Koń stał nieruchomo, skóra mu drgała, kopyta wbijały się w trawiasty grunt. Instynkt podpowiadał klaczy, żeby uciekała. Przebiegały po niej fale dreszczy przerażenia, lecz tkwiła w miejscu.

Człowiek był za spadającą wodą, w ciemnej dziurze.

Nie lubiła dziur. Żaden koń ich nie lubi.

Krzyknął. Ziemia się zatrzęsała. To się stało już dawno. Od tamtej pory klacz się nie poruszyła. Teraz panował spokój. Lecz koń wiedział, że przyjaciel żyje. Klacz wydała długi, przeciągły krzyk. Wciąż żył, ale nie

wyszedł stamtąd. Była sama. A dla konia nie ma nic gorszego niż samotność.

## ROZDZIAŁ 49

Ann otworzyła oczy. Ze zdumieniem rozpoznała w słabym świetle twarz, której nie widziała od miesięcy, od czasu gdy była Ksienią w Pałacu Proroków w Tanimurze, w Starym Świecie. Przyglądała się jej Siostra w średnim wieku. W średnim wieku, poprawiła się Ann, jeżeli uważać za taki pięćset kilka lat.

- Siostra Alessandra.

Głośne wymawianie słów bolało. Warga źle się goiła. Żuchwa wciąż poruszała się nie tak, jak trzeba. Może była złamana. Jeśli tak, to trudno. Wszystko musi się samo wygoić - nie było magii, która by w tym pomogła.

- Ksieni - powitała ją tamta z rezerwą.

Nosiła długi warkocz, przypomniała sobie Ann. Długi warkocz, zwinięty i przypięty nad karkiem. Teraz jej siwiejące, kasztanowe włosy obcięto i nie sięgały nawet ramion. Ksieni pomyślała, że to nawet bardziej pasuje do wydatnego nosa Siostry Alessandry.

- Przyniosłam ci coś do jedzenia, Ksieni, jeżeli znajdziesz na to siły.

- Dlaczego? Dlaczego przyniosłaś mi coś do jedzenia?

- Jego Ekscelencja życzy sobie, żeby cię karmiono.

- Ale dlaczego ty?

Kobieta uśmiechnęła się nieznacznie.

- Bo mnie nie lubisz, Ksieni.

Ann zrobiła co w jej mocy, żeby groźnie spojrzeć. Twarz miała opuchniętą i nie wiedziała, jak jej to wyszło,

- W gruncie rzeczy, Siostrze Alessandro, kocham cię tak samo jak wszystkie dzieci Stwórcy. Ja tylko czuję odrazę do twoich postępów, do tego, że zaprzysięgłaś duszę Bezimiennemu.

- Opiekunowi zaświatów. - Uśmiech Siostry Alessandry stał się nieco szerszy. - Więc wciąż martwisz się o kobietę, która została Siostrą Mroku?

Ksieni odwróciła twarz, choć dymiąca miseczka pachniała apetycznie. Nie chciała rozmawiać z upadłą Siostrą.

Zakuta w łańcuchy Ann nie mogła sama jeść. Stanowczo nie chciała przyjmować pożywienia od Sióstr, które wołały ją okłamać i zdradzić, niż odzyskać wolność. Do tego czasu karmili ją żołnierze. Nie lubili tego

obowiązku. Ich niechęć do karmienia starej kobiety spowodowała zapewne pojawienie się Siostry Alessandry.

Siostra Mroku przysunęła łyżkę do ust Ann.

- Zjedz trochę. Sama to przygotowałam.

- Dlaczego?

- Bo pomyślałam, że może ci zasmakuje.

- Znudziło ci się, Siostrze, wyrywanie nóżek mrówkom?

- Ależ masz pamięć, Ksieni. Nie robiłam tego, od kiedy jako dziecko zjawiłam się w Pałacu Proroków. O ile sobie przypominam, to ty przekonałaś mnie, bym tego zaprzestała, domyślając się, że jestem nieszczęśliwa, bo musiałam opuścić dom. No, Ksieni, spróbujesz odrobinę? Proszę cię.

Ann szczerze się zdumiała, usłyszawszy, jak tamta mówi „proszę”. Otworzyła usta. Jedzenie sprawiało ból, lecz brak pokarmu osłabiał. Mogła odmawiać jedzenia lub w inny sposób doprowadzić do tego, żeby ją zabili, ale miała do spełnienia misję i tym samym powód do życia.

- Niezłe, Siostrze Alessandro. Całkiem niezłe. Siostra Alessandra uśmiechnęła się z dumą.

- Mówiłam ci. Zjedz jeszcze trochę.

Ann jadła powoli, ostrożnie gryząc miękkie warzywa, by nie urazić obolałej żuchwy. Kawalki mięsa po prostu połykała, bojąc się, że próbami pogryzienia zniszczy wysiłki kości, które chciały się zrosnąć.

- Będziesz miała bliznę na wardze.

- Moi kochankowie z niechęcią powitają taki uszczerbek mojej urody.

Siostra Alessandra roześmiała się. Nie był to śmiech ochryply lub cyniczny, lecz wesołość prawdziwego rozbawienia.

- Zawsze wiedziałas, jak mnie rozśmieszyć, Ksieni.

- Tak - powiedziała jadowicie Ann - i dlatego właśnie tak długo nie uświadamiałam sobie, że przeszłaś na stronę zła. Sądziłam, że moja mała Alessandra, moja szczęśliwa, mała Alessandra nie zostanie wciągnięta w żadną niegodziwość. I dlatego wierzyłam, że kochasz Światło.

Siostra Mroku przestała się uśmiechać.

- Bo kochałam, Ksieni.

- O nie, ty kochałaś jedynie siebie - odparła drwiąco Ann. Kobieta przez chwilę mieszała zupę, a potem podała Annali-nie kolejną łyżkę.

- Może i masz rację, Ksieni. Bo zwykle miewasz.

Ann ostrożnie zula kluski z zupy i rozglądała się po ponurym, małym namiocie. Tak się awanturowała, że trzymają ją z Siostrami Światła, że Jagang w końcu kazał ją umieścić w oddzielnym małym namiocie. Każdego wieczoru wbijano w ziemię długi stalowy pręt i mocowano do niego łańcuchy kobiety. Namiot wznoszono wokół niej. Za dnia, kiedy szykowali się do wymarszu, wrzucano ją do skrzyni z nie obrobionych desek. Nie bardzo wiedziała jak ją zamykano, bo zawsze była w środku, kiedy opuszczali i podnosili wieko. Skrzynię z Ksienią ładowano potem do zamkniętego wozu, pozbawionego i okien, i wentylacji. Wiedziała o tym, bo wyjrzała przez szparę w miejscu, gdzie wieko nie przylegało dokładnie. Gdy zatrzymywali się na noc, wreszcie ją stamtąd wyciągali i zanim przykuto ją do stalowego pała i obudowano go namiotem, jedna z Sióstr szła z nią do latryny. Kiedy Ann czuła potrzebę w trakcie podróży, miała niewielki wybór - albo czekać do wieczoru, albo nie. Od czasu do czasu nie rozbijali namiotu, tylko zostawiali ją uwiązaną do słupa, jak psa.

Polubiła swój mały namiot i cieszyła się, kiedy go wokół niej stawiano. To było jej prywatne schronienie, w którym mogła rozprostować zdrętwiałe nogi i ramiona, położyć się i modlić.

Ann przełknęła zupę.

- Czy Jagang nakazał ci coś więcej niż karmienie mnie? Może masz mnie maltretować dla jego lub swojej zabawy?

- Nie - westchnęła Siostra Alessandra. - Mam cię tylko karmić. Z tego, co wiem, nie postanowił jeszcze, co z tobą zrobić. Chce jednak, żebyś pozostała przy życiu i pewnego dnia przydała mu się na coś.

Ksieni patrzyła, jak Alessandra miesza zupę w misce.

- Nie może wejść do twojego umysłu. Teraz nie może. Siostra Mroku podniosła na nią wzrok.

- Dlaczego tak myślisz?

- Demony są na swobodzie. Łyżka znieruchomiła.

- Też tak słyszałam. - Łyżka znów mieszała zupę. - To pogłoski. Nic poza tym.

Ann poruszyła się, chcąc wygodniej usiąść na gołej ziemi. Czasem myślała sobie, że jej pulchność powinna ją lepiej chronić przed pełnym grud podłożem.

- Chciałabym, żeby to były jedynie pogłoski. A niby dlaczego, według



ciebie, magia nie działa?

- Ależ działa.

- Mam na myśli twój dar magii addytywnej. Alessandra spuściła piwne oczy.

- Bo tak naprawdę nie próbowałam się nią posłużyć. Nie wątpię, że gdybym spróbowała, to okazałoby się, że działa.

- No to spróbuj. Przekonasz się, że mam rację. Siostra Mroku potrząsnęła głową.

- Jego Ekscelencja na to nie pozwala, chyba że sam sobie tego zażyczy. Nie jest... rozsądnie sprzeciwiać się zakazom Jego Ekscelencji.

Ann nachyliła się ku niej.

- Demony są na swobodzie, Alessandro. Magia zanikła. Czemuż, na Stwórcę, w przeciwnym razie trwałabym w tych opałach? Nie sądzisz, że gdybym mogła posłużyć się magią, spowodowałabym choć małe kłopoty, kiedy mnie schwytano? Rusz głową, Alessandro. Nie udawaj, że jesteś głupia, bo nie jesteś.

Alessandra na pewno nie była głupia. Ksieni nie mogła pojąć, jak doszło do tego, że tak bystra kobieta dała się złapać na lep obiecanek Opiekuna. Uznała, że kłamstwa najwidoczniej mogą ogłupić również bystrych ludzi.

Ann unikała tytułu „Siostra” nie tylko dlatego, że był oznaką szacunku, lecz także dlatego, że oznaczał bardziej bezpośrednie, serdeczniejsze zwracanie się do kobiety, którą znała i lubiła przez pół tysiąclecia. „Siostra” tylko przywodziła na myśl związki tamtej z Siostrami Mroku.

- Jagang nie może wnikać do twojej głowy, Alessandro. Jego moc Nawiedzającego Sny zniknęła tak samo jak moja.

Siostra Alessandra patrzyła na nią obojętnie.

- A może jego moc działa w połączeniu z naszą lub nawet poprzez naszą moc i on wciąż potrafi wnikać do umysłów Sióstr Mroku?

- Teraz rozumiesz jak niewolnica. Odejdź, jeśli zamierzasz dalej rozumować niczym niewolnica, podobnie jak Siostry Światła, co ze wstydem przyznaję.

Tamta wyraźnie ani nie miała ochoty odchodzić, ani zakończyć tej dyskusji.

- Nie wierzę ci. Jagang jest wszechmocny. Na pewno obserwuje nas teraz, przez moje oczy, a ja nie mam nawet o tym pojęcia.

Ann musiała wziąć do ust zawartość łyżki, która zniemacka dotknęła jej warg. Gryzła powoli i obserwowała twarz tamtej.

- Mogłabyś powrócić do Światła, Alessandro.

- Co takiego?! - Błysk gniewu w oczach Siostry Mroku zmienił się w rozbawienie. - Zbikowałaś, Ksieni.

- Czyżby?

Siostra Alessandra wcisnęła do ust uwięzionej kolejną łyżkę zupy.

- Owszem. Jestem związana przysięgą z moim panem zaświatów. Służę Opiekunowi. A teraz jedz.

I pojawiła się kolejna łyżka, nim Ann zdołała przełknąć zawartość poprzedniej. Musiała przełknąć ze sześć, zanim znów mogła coś powiedzieć.

- Stwórca by ci wybaczył, Alessandro. Stwórca to miłość i przebaczenie. Przyjąłby cię z powrotem. Mogłabyś wrócić do Światła. Czyżbyś nie chciała wrócić w kochające objęcia Stwórcy?

Nieoczekiwanie Siostra Alessandra spoliczkowała ją. Ann upadła na bok. Tamta stała nad nią i patrzyła groźnie.

- Opiekun jest moim władcą! Nie będziesz bluźnić! Na tym świecie moim panem jest Jego Ekscelencja, na tamtym jestem związana przysięgą z Opiekunem. Nie będę słuchać, jak profanujesz przysięgę, którą złożyłam mojemu panu. Słyszałaś?

Ksieni bała się, że całe zrastanie się żuchwy poszło na marne. Strasznie bolało. Oczy jej łzawiły. Siostra Alessandra złapała w końcu brudną suknię na ramieniu Ann i posadziła Ksienię.

- Nie pozwolę, żebyś mówiła takie rzeczy. Słyszałaś? Annalina milczała, bojąc się następnego wybuchu gniewu.

Temat był najwyraźniej równie bolesny jak jej żuchwa. Siostra Alessandra podniosła miskę z zupą.

- Niewiele zostało, ale powinnaś to zjeść. - Patrzyła w naczynie, jakby obserwowała łyżkę mieszającą resztki stawy. Odkaszlęła.

- Przepraszam, że cię uderzyłam. Ann skinęła głową.

- Wybaczam ci, Alessandro. - Tamta podniosła na nią oczy, z których zniknął już gniew. - Naprawdę, Alessandro - wyszeptała szczerze Ann, rozmyślając nad burzą uczuć szalejącą w jej byłej uczennicy.

Siostra Mroku znów spuściła oczy.

- Nie ma co wybaczać. Jestem, kim jestem, i nic tego nie zmieni. Nie

masz pojęcia, co zrobiłam, żeby zostać Siostrą Mroku. - Spojrzała osobiwie na Ann. - Nie masz pojęcia o mocy, jaką w zamian dostałam. Nie potrafisz sobie tego wyobrazić, Ksieni.

Ann omal nie spytała, jaką miała z tego korzyść, ale ugryzła się w język i w milczeniu skończyła zupę. Przy każdym łyku krzywiła się z bólu. Alessandra wrzuciła łyżkę do pustej miski.

- To było bardzo smaczne, Alessandro. Najlepszy posiłek od... od kiedy tu jestem. Pewnie od tygodni.

Siostra Mroku skinęła głową i wstała.

- Jeśli będę miała czas, to i jutro przyniosę ci trochę.

- Alessandro, - Tamta odwróciła się, a Ann spojrzała jej w oczy. - Mogłabyś ze mną trochę posiedzieć?

- Dlaczego?

Ksieni zaśmiała się z goryczą.

- Każdego dnia ładują mnie do skrzyni. Każdego wieczoru przykuwają do stalowego słupa. Miło by mi było, gdyby ktoś znajomy chwilę przy mnie posiedział.

- Jestem Siostrą Mroku. Ann wzruszyła ramionami.

- A ja Siostrą Światła. I mimo to przynosisz mi zupę.

- Bo mi to nakazano.

- Z przykrością muszę przyznać, że Siostry Światła nie były wobec mnie tak szczerze. - Czarodziejka odsunęła pętlę łańcucha, położyła się na boku, odwracając od Alessandry. - Przykro mi, że ci przerwano i kazano się mną zająć. Jagang chce pewnie, żebyś wróciła do dogadzania jego żołdakom.

W namiocie zapadła cisza. Na zewnątrz żołnierze śmiali się, pili, grali. Napływały wonie smażącego się mięsiwa. Ann przynajmniej nie burczało w brzuchu z głodu. Zupa była smaczna. Z daleka doleciał kobiecy krzyk. Krzyk zmienił się w dźwięczny śmiech. Na pewno to jedna z tych, które ciągną za wojskiem, pomyślała Ann. Czasem w krzykach brzmiało prawdziwe przerażenie. A czasem Ann oblewał pot, kiedy je słyszała i myślała, co też przytrafia się tym biednym kobietom.

W końcu Siostra Alessandra osunęła się na ziemię.

- Mogę trochę przy tobie posiedzieć. Ksieni obróciła się ku niej.

- Ciesz się mną, Alessandro. Naprawdę.

Siostra Mroku pomogła jej usiąść, a potem siedziały w milczeniu i

nasłuchiwały obozowych odgłosów.

- Namiot Jaganga - odezwała się wreszcie Ann. - Słyszałam, że jest wspaniały. Przepyszny.

- O, tak. Jak pałac, stawiany na nowo każdego wieczoru. Ale nie powiem, żebym lubiła tam chodzić.

- Po moim spotkaniu z tym człowiekiem sędzę, że istotnie tego nie lubisz. Wiesz, dokąd się kierujemy?

Alessandra potrząsnęła głową.

- Tu czy tam, co *to* za różnica. Jesteśmy niewolnikami Jego Ekscelencji.

Była w tym taka rozpacz, że Ann postanowiła łagodnie dodać kobiecie otuchy.

- A wiesz, on nie może się dostać do mojego umysłu. Siostra Alessandra spojrzała na nią, marszcząc brwi, więc Ksieni opowiedziała jej, że więź z lordem Rahlem chroni każdego, kto złoży mu przysięgę. Ann tak dobierała słowa, żeby nie zabrzmiało to jak propozycja. Zwyczajnie opowiadała o tym, ile to znaczy dla niej i dla innych, którzy przysięgali Richardowi. Tamta słuchała bez sprzeciwu.

- Teraz magia więzi z Richardem, z lordem Rahlem, oczywiście zanikła - dodała na koniec Ksieni - ale i magia Jaganga zniknęła, więc wciąż nic mi nie grozi ze strony Nawiedzającego Sny. - Zachichotała. - Chyba że wejdzie do namiotu.

Siostra Alessandra śmiała się razem z nią. Ann poprawiła złożone na kolanach, zakute w kajdany ręce, podciągnęła łańcuchy, by móc skrzyżować nogi.

- A gdy demony wrócą ostatecznie do twojego władcy w zaświatach, więź z Richardem odzyska moc i znów będę chroniona przed magią Jaganga, kiedy i jego moc powróci. W tych wszystkich opałach jedno mnie pociesza: świadomość, że Jagang nie może wniknąć do mojego umysłu.

Siostra Alessandra milczała.

- Jakaż to musi być dla ciebie ulga, choć na trochę pozbyć się Jaganga z umysłu - dodała Ann.

- Nie wiesz, że tam jest. Nie czujesz różnicy Chyba... że chce, byś wiedziała.

Ksieni nie odzywała się, a Siostra Mroku wygładziła suknię.

- Uważam, że nie wiesz, o czym mówisz, Ksieni. Nawiedzający Sny jest

teraz w moim umyśle i obserwuje nas.

Spojrzała na Ann, oczekując sprzeciwu. Ann jednak powiedziała tylko:

- Przemyśl to, Alessandro. Zastanów się nad tym.

- Lepiej już pójdę. - Siostra podniosła miskę.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Alessandro. Dziękuję za zupę. I za to, że przy mnie posiedziałaś. Miło było znów z tobą pobyc.

Siostra Alessandra skinęła głową i wyszła z namiotu.

## ROZDZIAŁ 50

Choć było to ledwo zauważalne, trawiasty grunt rozciągający się aż po horyzont przed Dominie Dirtch Beaty leżał nieco wyżej niż ziemia po obu stronach olbrzymiego kamiennego oręza. Dzięki temu łatwiej się po nim szło, zwłaszcza koniom. Po niedawnych ulewach łagodne obniżenie z prawej było błotniste. Z lewej również. Ze względu na rzeźbę terenu ludzie, szczególnie po deszczu, częściej zjawiali się przy posterunku Beaty, przy jej Dominie Dirtch, niż przy innych.

Podróżników nie było wielu, ale ci, którzy chcieli wejść na terytorium Anderithu od strony trawiastych równin Dzikcy, przeważnie zjawiali się przy jej posterunku. Beata rada była z takiej odmiany, z tego, że może ocenić tych ludzi i zawyrokować, czy mogą wjechać do Anderithu czy nie. Jeżeli uznała, że wyglądają na takich, których nie należy wpuszczać, odsyłała ich do punktu granicznego, gdzie mogli się układać ze strażnikami.

Przyjemnie było kontrolować ważne sprawy, zamiast być bezradną istotą. Teraz ona decydowała.

Poza tym było to ekscytujące i niecodzienne, dawało okazję do porozmawiania z ludźmi z daleka, do przyjrzenia się ich dziwacznym strojom. Rzadko zjawiało więcej niż dwóch, trzech podróżnych jednocześnie. Poważali Beatę - ona tu dowodziła.

Jednak tego jasnego, słonecznego ranka serce Beaty biło przyspieszonym rytmem. Tym razem ci, którzy się zbliżali, byli zupełnie inni. Tym razem było ich całkiem sporo. Tym razem wyglądali jak prawdziwe zagrożenie.

- Stań w gotowości przy młocie, Carine - rozkazała Beata. Hakenka spojrzała na nią z ukosa.

- Na pewno, sierżancie?

Carine miała strasznie słaby wzrok. Ledwie widziała na trzydzieści kroków, a tamci byli jeszcze bardzo daleko.

Beata nigdy wcześniej nie rozkazywała, żeby przygotować młot do uderzenia. A przynajmniej nie wtedy, kiedy ktoś się zbliżał. Ma się rozumieć, ćwiczyli wyjmowanie go z uchwytów, ale nigdy czegoś takiego nie rozkazała. W razie jej nieobecności pełniący wartę mieli to zrobić, gdyby uznali, że nadciąga niebezpieczeństwo. Za to gdy była obecna, do niej należało

wydanie takiego rozkazu. Była dowódcą. Decyzja należała do niej.

Po straszliwym wypadku założyli dodatkową żelazną sztabę mocującą młot, choć wiedzieli, że to nie młot uderzył w ów śmiercionośny oręż. Nikt nie kazał im tego zrobić - po prostu Beata czuła się pewniej, kiedy młot miał dodatkowe mocowanie. Poza tym praca poprawiła im samopoczucie, choć tak naprawdę zdawali sobie sprawę, że to nic nie da. Nikt nie wiedział, dlaczego Dominie Dirtch zabrzmiały.

Beata otarła spocone dłonie o biodra.

- Na pewno. Wykonaj.

W innych wypadkach dość łatwo było poznać, czy nadchodzący są nieszkodliwi. Handlarze z furmanką, jacyś koczownicy z Dżicy, którzy chcieli pohandlować z żołnierzami strzegącymi granicy - tym Beata nigdy nie pozwalała wejść - kupcy podróżujący z takiego czy innego powodu, a nawet anderyjskie oddziały specjalne wracające z patrolu. Te jednostki strażników nie należały do regularnej armii. Były wyjątkowe. Składały się wyłącznie z mężczyzn i Beacie wydawało się, że są wykorzystywane do rozprawiania się z takimi lub innymi kłopotami. Na takich jak ona żołnierzy w ogóle nie zwracali uwagi. Kiedyś kazała się im zatrzymać, gdy nadchodzili. Wiedziała, kim byli, bo kapitan Tolbert pouczył ją i jej oddział o tych anderyjskich wojskach specjalnych i powiedział, żeby je przepuszczali, kiedy nadejdą. Beata chciała ich jedynie zapytać - jak żołnierz żołnierzy - czy czegoś nie potrzebują. Nie zatrzymali się, gdy to nakazała. Ich dowódca tylko uśmiechnął się drwiąco, mijając ich na czele kolumny swoich rosnących wojowników.

Lecz ci, którzy się teraz zbliżali, nie należeli do wojsk specjalnych. Dziewczyna nie wiedziała, co z nimi począć - wyglądali jej na prawdziwe zagrożenie. Widziała setki żołnierzy w ciemnych mundurach, konno. Zatrzymali się, rozluźnili szeregi. Nawet z tej odległości wyglądali groźnie. Sierżant spojrzęła w bok - Carine odciągała młot. Annette złapała uchwyt, by pomóc uderzyć w Dominie Dirtch. Beata skoczyła ku nim i chwyciła uchwyt, nim zdążyły się zamachnąć.

- Nie było rozkazu! Co z wami!?! Cofnąć się!

- Ale to żołnierze, sierżancie Beato - zaprotestowała Annette. - Mnóstwo żołnierzy i nie są nasi. Tyle to i ja widzę.

Beata odpędziła ją.

- Dają znak. Nie widzisz?

- Ale to nie nasi ludzie, sierżancie Beato - jęknęła Annette. - Nie mają powodu...

- Jeszcze nawet nie wiesz, z czym tu przyszli! - Beata była przerażona i rozgniewana, że Carine i Annette omal nie uderzyły samowolnie w Dominie Dirtch. - Powariowaliście?! Nawet nie wiecie, kim są. Mogłyście zabić niewinnych ludzi! Tej nocy i przez następny tydzień dodatkowa warta za niewypełnienie rozkazu. Zrozumiano?

Annette zwiesiła głowę. Carine zaszalutowała, nie wiedząc, jak ma na to zareagować. Dziewczyna mogła się na nie gniewać za to, że chciały bez powodu uderzyć w Dominie Dirtch, lecz w głębi duszy była zadowolona, iż to dwie Hakenki, a niejedna z Anderyjek.

W oddali ktoś siedzący na koniu machał białą flagą przymocowaną do tyczki lub piki. Beata nie miała pojęcia, na jaką odległość zabija Dominie Dirtch. Może nie wyrządziłby krzywdy ludziom stojącym w takiej odległości, gdyby Annette i Carine w niego uderzyły, ale po wypadku Turnera sierżant miała nadzieję, że już nigdy nie ujrzy wydającego dźwięk dzwonu, przed którym są ludzie. Chyba że nie miałyby wątpliwości, iż atakują.

Beata patrzyła, jak dziwne wojska czekają tam, gdzie się zatrzymały, a zbliża się tylko kilku ludzi. Takie były zasady, tego nauczono i Beatę, i jej oddział. Tamci mieli powiewać białą flagą, a jeśli było ich wielu, to wolno się było zbliżyć tylko kilku, żeby przedstawić sprawę i poprosić o pozwolenie przejścia.

Kilku nadchodzących ludzi nie stanowiło zagrożenia. Dominie Dirtch zabiłby wrogów, nawet gdyby dzielił ich od niego zaledwie jeden krok, byle tylko stali przed nim. I tak by umarli. Ani bliskość, ani liczba osób nie miały znaczenia.

Zbliżało się czworo ludzi - dwóch pieszych, dwóch jeźdźców. Resztę zostawili daleko. Kiedy podeszli bliżej, Beata przekonała się, że to dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Kobieta i mężczyzna jechali konno, druga para szła pieszo. A ta kobieta na koniu...

Kiedy dziewczyna uświadomiła sobie, kim jest tamta, serce podeszło jej do gardła.

- Widzicie? - powiedziała do Carine i Annette. - Wyobrażacie sobie, co by było, gdybyście uderzyły w Dominie Dirtch? Macie pojęcie?



Tamte, z rozdziawionymi ustami, wpatrywały się w zbliżających się nieznanym. Na myśl o tym, co się omal nie stało, pod Beatą ugięły się kolana. Odwróciła się i pogroziła pięścią dwóm Hakenkom.

- Odłóżcie to. I nie ważcie się więcej zbliżyć do Dominie Dirtch! Zrozumiano?!

Obie zaskłamały. Sierżant odwróciła się i zbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Nigdy sobie nawet nie wyobrażała, że coś takiego się jej przydarzy.

Nigdy nie spodziewała się, że spotka Matkę Spowiedniczkę.

Gapiła się z resztą swojego oddziału, bo wszyscy wylegli, żeby to zobaczyć, jak podjeżdża ku nim kobieta w długiej białej sukni. Po jej prawej stronie jechał jakiś mężczyzna. Drugi mężczyzna i kobieta byli pieszo. Kobieta była w ciąży. Mężczyzna, który szedł przy lewym boku Matki Spowiedniczki, odziany w jakieś luźne szaty, miał miecz, ale go nie dobył. Jeździec podążający obok Matki Spowiedniczki był inny od wszystkich. Beata jeszcze nigdy nie widziała kogoś takiego - odzianego w czerń, z powiewającą z tyłu złocistą peleryną. Aż wstrzymała oddech. Zastanawiała się, czy to nie ten, który miał poślubić Matkę Spowiedniczkę: lord Rahl. Z całą pewnością wyglądał na władcę. Jeszcze nigdy nie widziała kogoś tak wspaniałego i imponującego.

- Chodźcie tutaj! - zawołała do dwóch Hakenek stojących na podeście. Kobiety skoczyły w dół schodów i dziewczyna ustawiła je w szeregu z resztą oddziału. Kapral Marie Fauvel, Estelle Ruffin i Emrneline stały przy prawym boku Beaty. Carine i Annette przyłączyły się do stojących po lewej trzech Anderyjczyków: Norrisa, Karla i Bryce'a. Tworzyli równiutki szereg i patrzyli, jak tamci zbliżają się ku nim.

Matka Spowiedniczka zsiadła z konia, a Beata i jej oddział padli na kolana i pochylili głowy. Sierżant zdążyła jeszcze zobaczyć piękną białą suknię i długie, wspaniałe, kasztanowe włosy. Jeszcze nigdy nie widziała takich wspaniałych włosów. Była przyzwyczajona do ciemnych włosów Anderyjczyków i rudych włosów Hakenów, toteż włosy, które lśniły w słońcu miodowym brązem, były czymś niezwykłym i sprawiały, że ich właścicielka wydawała się kimś ważniejszym niż zwykli ludzie.

Beata rada skłoniła głowę, gdyż bała się, że napotka wzrok Matki Spowiedniczki. Tylko strach powstrzymał dziewczynę od gapienia się na nią

z lęklwym podziwem. Całe życie słuchała opowieści o mocy tej kobiety, o czarach, jakie czyniła, o tym, jak spojrzeniem zamieniała w kamień ludzi, którzy się jej nie spodobali, i jeszcze okropniej szych historii.

Beata spazmatycznie chwytiała powietrze, bliska paniki. Była tylko Hakenką i znienacka poczuła się tu zupełnie nie na miejscu. Wcale nie spodziewała się, że znajdzie się przed Matką Spowiedniczką.

- Powstańcie, moje dzieci - powiedział głos.

I ten głos - taki łagodny, dźwięczny i miły - znacznie ukoił strach Beaty. Nie spodziewała się, że głos Matki Spowiedniczki jest taki... kobiecy. Oczekiwała raczej, że będzie to głos ducha skrzeczącego ze świata zmarłych.

Dziewczyna i jej oddział podnieśli się z klęczek, Beata nie uniosła jednak głowy, gdyż wciąż bała się spojrzeć w oczy Matki Spowiedniczki. Nigdy nie uczono jej, jak ma się zachować w obecności tej kobiety, ponieważ nikt nie spodziewał się, że coś takiego przydarzy się hakeńskiej dziewczynie. A właśnie się działo.

- Kto tu dowodzi? - spytała Matka Spowiedniczka. Głos miała ciągle miły, lecz z wyraźną władcą nutą. Przynajmniej nie wyglądało na to, że zamierza porazić kogoś błyskawicą.

Beata zrobiła krok do przodu, oczy miała wbite w ziemię.

- Ja, Matko Spowiedniczko.

- To znaczy?

Serce dziewczyny biło jak szalone. Trzęsła się. Nie mogła się uspokoić.

- Twoja pokorna służka, Matko Spowiedniczko. Sierżant Beata. Omal nie wyskoczyła ze skóry, kiedy palce kobiety uniosły jej podbródek. Patrzyła prosto w zielone oczy Matki Spowiedniczki. Jakby spoglądała na wysokiego, pięknego, uśmiechniętego, dobrego ducha.

Dobry duch czy nie, Beata znów zdrętwiała ze strachu.

- Miło mi cię poznać, sierżancie Beato. - Matka Spowiedniczka wskazała w lewo. - To Du Chaillu, przyjaciółka, i Jiaan, również przyjaciel. - Położyła dłoń na ramieniu stojącego obok niej wielkiego mężczyzny. - A to lord Rahl - powiedziała i uśmiechnęła się czulej - mój mąż.

Beata odważyła się spojrzeć na lorda Rahla. I on uprzejmie uśmiechał się do niej. Jeszcze nigdy tacy ważni ludzie tak się do niej nie uśmiechali. A teraz owszem - bo wstąpiła do armii Anderithu i wreszcie została czyniącym dobro złym Hakenem.

- Pozwolisz mi spojrzeć z bliska na Dominie Dirtch, sierżancie Beato? - spytał lord Rahl.

Dziewczyna odchrząknęła.

- Hmm... hmm... tak, panie. Tak, panie. Z radością pokażę ci Dominie Dirtch. To znaczy, to dla mnie zaszczyt. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że mogę ci pokazać Dominie Dirtch.

- Sierżancie - spytała Matka Spowiedniczka, przerywając litościwie jąkanie się dziewczyny - czy nasi ludzie mogą tutaj podejść?

- Wybacz mi. - Beata skłoniła się. - Przepraszam. Oczywiście, że mogą, Matko Spowiedniczko. Oczywiście. Jeśli pozwolisz, to się wszystkim zajmę.

Matka Spowiedniczka skinęła głową i dziewczyna pobiegła po schodach przed lordem Rahlem, czując się okropnie głupio, że od razu nie powiedziała jego żonie, iż jest mile widziana w Andericie. Porwała róg i dała sygnał oddziałom stacjonującym przy Dominie Dirtch po obu stronach, że wszystko jest w porządku. Potem zwróciła się ku czekającym w oddali żołnierzom i długo wytrzymaną nutą poinformowała ich, że mogą się bezpiecznie zbliżyć do linii obronnej.

o Lord Rahl wchodził po schodach. Beata odsunęła róg od warg i oparła się o balustradę. W tym człowieku było coś takiego, że sama jego obecność odbierała jej oddech. Nawet Minister Spraw Duchowych, zanim zrobił to, co zrobił, nie budził w dziewczynie takiego podziwu i respektu jak lord Rahl. I nie chodziło tu tylko jego wzrost, szerokie barki, przenikliwe szare oczy czy czarny złocisty strój z szerokim pasem ze złotymi sakiewkami i dziwnymi symbolami. Chodziło raczej o jego osobowość. Nie wyglądał na wymuskanego eleganta, jak anderyjscy oficjele, jak Dalton Campbell czy Minister Spraw Duchowych. Sprawiał wrażenie szlachetnego, zdecydowanego i wytrwałego, a jednocześnie... niebezpiecznego.

Nieubłaganego.

Był sympatyczny i przystojny, lecz Beata wiedziała, że gdyby kiedykolwiek spojrział na nią gniewnymi szarymi oczami, to natychmiast padłaby martwa od intensywności tego spojrzenia. Jeśli jakikolwiek mężczyzna nadawał się idealnie na męża Matki Spowiedniczki, to był nim właśnie on.

Ciężarna kobieta wspięła się po schodach, uważnie patrząc na wszystko. I ta ciemnowłosa kobieta odznaczała się szlachetnością. Ona i jej towarzysz

o ciemnych włosach, wyglądali niemal na Anderyjczyków. Beata jeszcze nigdy nie widziała takiego dziwnego stroju jak suknia owej kobiety - jej ramiona i barki ozdabiała różnokolorowe strzępki materiału.

- To jest Dominie Dirtch, lordzie Rahlu - powiedziała sierżant, wskazując kamienny dzwon. Chciała również wymienić imię tej kobiety, lecz uleciało jej z pamięci.

Lord Rahl wodził wzrokiem po potężnym kamiennym orężu w kształcie dzwonu.

- Tysiące lat temu Hakeni wzniesli to jako śmiercionośną broń przeciwko Anderyjczykom, lecz teraz służy utrzymaniu pokoju - powiedziała Beata.

Lord Rahl złączył dłonie za plecami i patrzył na wiele, wiele ton skały, które tworzyły Dominie Dirtch. Badał wzrokiem każdy szczegół; jeszcze nikt tak nie patrzył na kamienny dzwon, pomyślała Beata. Niemal spodziewała się, że lord Rahl do niego przemówi, a Dominie Dirtch odpowie.

- A jak to było możliwe? - spytał, nie patrząc na nią.

- Panie?

Kiedy wreszcie się ku niej odwrócił, spojrzenie jego szarych oczu zaparło jej dech.

- Hakeni najechali Anderith, tak?

Beata, porażona jego baczym spojrzeniem, nie mogła wydobyć głosu z gardła.

- Tak, panie - pisnęła wreszcie cichutko. Wskazał kciukiem kamienny dzwon.

- I sądzisz, że najeźdźcy wjechali tu z Dominie Dirtch zarzuconymi na plecy, sierżancie?

Dziewczynie zaczęły drzeć kolana. Chciała, żeby przestał jej zadawać pytania. Niech ich zostawi w spokoju, jedzie sobie do Fairfield i rozmawia z ważnymi ludźmi, którzy potrafią odpowiadać na takie pytania.

- Panie?

Lord Rahl odwrócił się i wskazał na wznoszący się przed nim głaz.

- Przecież to jasne, sierżancie, że tego oręża tu nie przywieziono. Dzwony są zbyt wielkie. Jest ich zbyt wiele. Musiały zostać wzniesione tu, gdzie stoją, bez wątpienia za pomocą magii.

- Ale hakeńscy mordercy, kiedy napadli...

- Są skierowane na zewnątrz, sierżancie, ku każdemu ewentualnemu

najeżdźcy, a nie do środka, ku mieszkańcom Anderithu. To oczywiste, że wzniesiono je jako broń obronną.

Beata przełknęła ślinę.

- Ale nas uczono...

- Uczono was kłamstw. - Był zmartwiony tym, co widzi. - To najwyraźniej oręż obronny. - Spojrzał ku widocznym po obu stronach Dominie Dirtch. - Działają wspólnie. Umieszczono je tutaj jako linię obronną, nie były orężem napastników.

Sposób, w jaki to powiedział, niemal z żalem, uświadomił Beacie, że lord Rahl nie zamierzał jej urazić. Po prostu powiedział to, co sam sobie właśnie uświadomił.

- Ale Hakeni... - szepnęła ledwo dosłyszalnie Beata.

Lord Rahl uprzejmie czekał, aż dokończy zdanie. A w jej umyśle kłębiły się sprzeczne myśli.

- Nie jestem wykształcona, lordzie Rahlu. Jestem zaledwie Hakenką, złą z natury. Wybacz, że nie mam wystarczającej wiedzy, by odpowiadać na twoje pytania.

Ciężko westchnął.

- Nie trzeba wykształcenia, sierzancie Beato, żeby widzieć to, co się ma przed oczami. Rusz głową.

Dziewczyna stała bez słowa, niezdolna do dalszej rozmowy.

o To był bardzo ważny człowiek. Wiele słyszała o lordzie Rahlu, o jego potędze, o tym, że jest czarodziejem potrafiącym przemienić dzień w noc i górę w dół. Nie władał jedną krainą, jak Minister Spraw Duchowych i Suweren, lecz panował nad tajemniczym imperium D'Hary, a teraz zamierzał złączyć pod swoją władzą całe Midlandy. Był również mężem Matki Spowiedniczki. Beata widziała wyraz oczu Matki Spowiedniczki, kiedy ta spojrzała na lorda Rahla. Od razu zrozumiała, że ona kocha go szanuje. To było jasne jak słońce.

- Powinnaś słuchać tego, co on mówi - odezwała się ciężarna kobieta. - Lord Rahl jest również Poszukiwaczem Prawdy.

Beata rozdziawiła usta. Odezwała się, zanim strach odebrał jej mowę:

- I masz u boku Miecz Prawdy, panie?

A wydawał się jej zwyczajny, prawie taki sam jak jej miecz. Miał czarną skórzaną pochwę i obszytą skórą rękojeść.

Lord Rahl spojrział na miecz, wysunął go z pochwy, a potem na powrót schował. Twarz mu się zmieniła.

- To? Nie... to nie jest Miecz Prawdy. Nie mam go przy sobie... akurat w tej chwili.

Beata nie miała odwagi spytać dlaczego. Bardzo chciałaby zobaczyć prawdziwy miecz. Był magiczny. To by dopiero było coś - zobaczyć Miecz Prawdy, o którym marzył Fitch. To ona widziałaby miecz, a nie Fitch. Robiła więcej, niż ten cały Fitch kiedykolwiek zrobi: była w wojsku, czuwała nad Dominie Dirtch.

Lord Rahl znów patrzył na olbrzymi dzwon. Całą uwagę skupił na pokrytym porostami głazie. Zdawało się, iż zapomniał, że nie jest tu sam. Stał równie nieruchomo jak kamienny dzwon.

Jakby stanowił z nim jedność.

Wyciągnął dłoń, żeby dotknąć Dominie Dirtch. Ciemnowłosa kobieta złapała go za nadgarstek, powstrzymała jego dłoń.

- Nie, mój mężu. Nie dotykaj tego. To... Lord Rahl spojrział jej w oczy i dokończył:

- Zło.

- A więc czujesz to? Potaknął.

Pewnie, że to jest złe, chciała powiedzieć Beata. Przecież zrobili to Hakeni. Zmarszczyła ze zdumieniem czoło. Ta kobieta nazwała go mężem, a przecież Matka Spowiedniczka powiedziała, że lord Rahl jest jej mężem.

Lord Rahl spostrzegł, że nadchodzą jego oddziały, i zaczął zbiegać ze schodów, pokonując po dwa stopnie naraz. Kobieta po raz ostatni popatrzyła na Dominie Dirtch i ruszyła za nim.

- Mąż? - Beata nie mogła się powstrzymać, żeby jej o to nie zapytać.

Ciężarna dumnie uniosła głowę i spojrzała na dziewczynę.

- Tak. Jestem żoną lorda Rahla, Poszukiwacza, *Caharin*, Richarda.

- Ale... ale Matka Spowiedniczka powiedziała... Tamta wzruszyła ramionami.

- Obie jesteśmy jego żonami.

- Obie? Dwie...?

Kobieta zaczęła schodzić po schodach.

- Jest ważnym człowiekiem. Może mieć więcej niż jedną żonę. - Zatrzymała się i obejrzała. - Kiedyś miałam pięciu mężów.

Beata wielkimi oczami patrzyła za znikającą na schodach kobietą. Ranek rozbrzmiewał tętentem kopyt - to nadjeżdżało wojsko lorda Rahla. Dziewczyna jeszcze nigdy nie widziała tak srogo wyglądających żołnierzy. Była zadowolona, że przeszła szkolenie. Kapitan Tolbert powiedział, że dzięki szkoleniu będzie mogła bronić Anderithu przed każdym napastnikiem, nawet przed takimi żołnierzami jak ci.

- Sierzancie Beato - zawołał do niej lord Rahl.

Podeszła do balustrady przed dzwonem. Lord Rahl zatrzymał się, podchodząc do konia, i odwrócił. Matka Spowiedniczka ujmowała wodze. Włożyła stopę w strzemień.

- Słucham, panie?

- Chyba nie uderzyłaś w to coś jakiś tydzień temu?

- Nie, panie, nie uczyniliśmy tego.

- Dziękuję, sierzancie. - Odwrócił się ku swojemu wierzchowcowi.

- Ale wtedy zabrzmiał sam z siebie.

Lord Rahl znieruchomiał. Ciężarna kobieta obróciła się ku Beacie, a Matka Spowiedniczka, już niemal na koniu, opadła na ziemię.

Beata zbiegała szybko ze schodów, żeby nie musieć wykrzyczeć tych okropnych wieści. Reszta jej oddziału odsunęła się od Dominie Dirtch, żeby nie zastawiać drogi takim ważnym ludziom. Bali się, jak podejrzewała Beata, że Matka Spowiedniczka spopieli ich spojrzeniem. Dziewczyna wciąż się jej bała, ale nie tak jak na początku.

Lord Rahl zagwizdał do żołnierzy i machał ręką, dając im znak, żeby się pospieszyli i znaleźli, bezpieczni, za Dominie Dirtch, nim dzwon znów sam zabrzmi. Setki konnych przegalopowały z obu stron kamiennego dzwonu, a lord Rahl pospiesznie prowadził Matkę Spowiedniczkę, ciężarną kobietę i ciemnowłosego mężczyznę na tył kamiennej podstawy Dominie Dirtch. Gdy obie kobiety były już bezpieczne, złapał Beatę za ramię i ją też zaciągnął w bezpieczne miejsce, na tył dzwonu. Sierżant - przede wszystkim z przerażenia - stanęła przed nim na baczność. Miał taką minę, że znów zaczęły się pod nią trząść kolana.

- Co się stało? - spytał spokojnym głosem, który na pewno mógłby sprawić, że Dominie Dirtch znów sam zabrzmi.

Matka Spowiedniczka stanęła obok niego, ciężarna kobieta zaś przy jego drugim boku.

- Nie wiemy, panie. - Beata oblizwała wargi. - Jeden z moich ludzi... Turner. - Wskazała za lorda Rahla. - Był tam na patrolu, kiedy dzwon zabrzmiał. To był okropny dźwięk. Straszliwy. A Turner...

Dziewczyna poczuła, że po policzku spływa jej łza. Nie mogła jej powstrzymać, choć nie chciała, żeby ten człowiek i Matka Spowiedniczka byli świadkami chwili słabości.

- Późnym popołudniem? - spytał lord Rahl. Potaknęła.

- Skąd wiesz? Zignorował jej pytanie.

- Wszystkie zabrzmiały? Nie tylko ten, ale wszystkie?

- Tak, panie. Nikt nie wie dlaczego. Oficerowie je sprawdzili, lecz niczego nie znaleźli.

- Dużo ludzi zginęło? Beata odwróciła wzrok.

- Tak, panie. Jeden z moich ludzi i wielu innych, jak mi powiedziano. Wozy z kupcami na granicy, ludzie, którzy wracali i mieli przejść granicę... Każdy, kto był przed Dominie Dirtch, kiedy zabrzmiały... To było okropne. Zginąć w taki sposób...

- Rozumiemy - powiedziała współczująco Matka Spowiedniczka. - Bolejemy z wami nad tą stratą.

- I nikt nie wie, dlaczego zabrzmiały? - uporczywie dopytywał się lord Rahl.

- Nie, panie. A przynajmniej nikt nam tego nie powiedział. Rozmawiałam z oddziałami po każdej stronie i tam było to samo. Ich Dominie Dirtch zabrzmiały same z siebie i też me wiedzą dlaczego. Oficerowie, którzy się tu zjawili, też pewnie nie znali przyczyny, bo pytali nas, co się stało.

Lord Rahl skinął głową, pogrążony w zadumie. Wiatr uniósł jego złocistą pelerynę. Matka Spowiedniczka odgarnęła włosy z twarzy, ciężarna żona lorda Rahla także.

- A ci ludzie - wskazał na resztę jej oddziału - to wszyscy, jakich tu masz do strzeżenia granicy? Zaledwie ty i kilku... żołnierzy?

Beata spojrzała na górujący nad nimi kamienny oręż.

- Do uderzenia w Dominie Dirtch wystarczy jedna osoba, panie.

Znów popatrzył na jej oddział.

- Chyba tak. Dziękuję za pomoc, sierżancie. - Lord Rahl i Matka Spowiedniczka pospiesznie dosiedli koni. Matka Spowiedniczka, ciężarna



kobieta i ciemnowłosa mężczyzna oddalili się z żołnierzami. Lord Rahl raz jeszcze spojrzął na Beatę:

- Powiedz mi, sierżancie Beato, czyja i Matka Spowiedniczka jesteśmy gorsi od Anderyjczyków? Uważasz, że i my jesteśmy z natury źli?

- O nie, panie. Tylko Hakeni rodzą się z nikczemnymi duszami. Nigdy nie staniemy się tak dobrzy jak Anderyjczycy. Nasze dusze są zepsute, niezdolne do osiągnięcia czystości. Ich dusze są czyste, nie można ich skazić. My nigdy nie zdołamy się całkowicie oczyścić, możemy jedynie mieć nadzieję, że zapanujemy nad naszą nikczemną naturą.

Uśmiechnął się do niej ze smutkiem. Głos mu złągodniał.

- Stwórca nie stwarza zła, Beato. Nie stworzyłby nikczemnych dusz i nie obdarowałby was nimi. W tobie, jak we wszystkich innych, drzemie dobro, a w Anderyjczykach, tak jak w innych, zło.

- Nie tak nas uczono, panie.

Jego klacz potrząsnęła łbem i zatańczyła w miejscu, chcąc ruszyć za tamtymi. Poklepał lśniąca kasztanową szyję, uspokoił zwierzę łagodnym dotykiem.

- Jak już powiedziałem, źle was uczono. Jesteś równie zagna, Beato, jak inni, w tym Hakeni i Anderyjczycy. To cel naszej walki: sprawić, żeby wszyscy ludzie mieli jednakową szansę. Obchodź się ostrożnie z tym Dominie Dirtch, sierżancie Beato.

Dziewczyna zasalutowała, przykładając dłoń do czoła.

- Tak jest, panie. Na pewno tak zrobię.

Popatrzył jej w oczy i uderzył pięścią w serce, odwzajemniając salut. Potem jego klacz ruszyła galopem, żeby dogonić tamtych.

Beata patrzyła za odjeżdżającym mężczyzną i uświadomiła sobie, że było to chyba najbardziej ekscytujące wydarzenie w całym jej życiu: rozmowa z Matką Spowiedniczką i z lordem Rahlem.

## ROZDZIAŁ 51

Bertrand Chanboor podniósł wzrok, bo do komnaty wszedł Dalton Campbell. Była tu również żona ministra; stała przed jego ozdobnym biurkiem. Adiutant przelotnie napotkał jej wzrok. Był nieco zdumiony, że ją tutaj widzi, lecz uznał, iż sprawa ta jest dla niej na tyle ważna, że zdobyła się na spotkanie z mężem.

- I cóż? - zapytał Bertrand.

- Potwierdzili to, co nam powiedziano. Widzieli to na własne oczy - odparł Dalton.

- I mają żołnierzy? - spytała Hildemara. - To również prawda?

- Tak. Przepuszczalnie blisko tysiąc.

Stukała palcem w biurko Bertranda, kłęła pod nosem i rozważała to.

- A ci głupcy na granicy beztrosko ich przepuścili.

- Specjalnie utrzymujemy taką armię - przypomniał jej mąż, wstając. - W końcu przepuszczają też nasze „anderyjskie oddziały specjalne”.

- Nie można winić ludzi na granicy - wtrącił się Dalton. - Nie mogli nie wpuścić Matki Spowiedniczki. A ten mężczyzna może być jedynie samym lordem Rahiem.

Rozwścieczony minister cisnął szklaną obsadką. Poleciała po podłodze i rozbiła się o przeciwległą ścianę. Podeszedł do okna, oparł się o parapet i patrzył na zewnątrz.

- Przez miłość Stwórcy, Bertrandzie, weź się w garść! - warknęła lady Chanboor.

Odwrócił się, purpurowy z gniewu, i pogroził żonie palcem.

- To może wszystko zniszczyć! Lata całe nad tym pracowaliśmy, pieczołowicie podtrzymywaliśmy kontakty, sialiśmy ziarna, wrywaliśmy chwasty, a kiedy już mamy zebrać plon, ona się zjawia z tym... tym... tym d'haranskim bękartem lordem Rahiem!

Hildemara skrzyżowała ramiona.

- Złość i obelgi istotnie rozwiązują problem. Przysięgam, Bertrandzie, że czasami masz mniej rozumu niż pijany rybak.

- Którego do pijaństwa skłania nadęta zonusia! - Zgrzytnął zębami i odsunął na bok krzesło, najwyraźniej zamierzając wygłosić dłuższą

przemowę. Dalton niemal widział, jak Hildemara wygina plecy w łuk, stroszy sierść i wysuwa pazury.

Kiedy zaczynali się kłócić, zwykle ignorowali adiutanta niczym jeden z mebli. Tym razem jednak nie zamierzał dopuścić, by marnowali cenny czas na awantury. Musiał wydać rozkazy, które zależały od tego, co się tu postanowi. Musiał rozesłać ludzi w odpowiednie miejsca. Pomyślał o France i zastanawiał się, czy mogłaby odzyskać moc. Rzadko ją ostatnio widywał, a jeśli już, to była taka roztargniona. Wiele czasu spędzała w bibliotece. W takim czasie jak ten jej pomoc byłaby bardzo cenna. Jej prawdziwa pomoc.

- Matka Spowiedniczka i lord Rahl jadą co koń wyskoczy, moi ludzie ledwo ich wyprzedzili - powiedział Dalton, nim Bertrand zdążył przyłożyć żonie albo ona zdołała czymś w niego rzucić. - Będą tu za jakąś godzinę, najdalej dwie. Powinniśmy się przygotować.

Minister przez chwilę spoglądał groźnie, potem przysunął sobie krzesło i usiadł. Położył dłonie na biurku i splótł je.

- Racja, Daltonie. Całkowita racja. Przede wszystkim należy usunąć z widoku Steina i jego ludzi. Nie należy...

- Pozwoliłem już sobie załatwić tę sprawę, ministrze. Kilku wysłałem na inspekcję warunków składowania zboża, inni zaś chcieli rzucić okiem na strategiczne drogi wiodące do Anderithu.

Chanboor podniósł na niego wzrok.

- Znakomicie.

- Zbyt długo nad tym pracowaliśmy, żeby wszystko przepadło właśnie teraz, kiedy jesteśmy blisko celu - odezwała się Hildemara. - Jeśli uda się nam zachować zimną krew, nie widzę powodu, żebyśmy rezygnowali z naszych planów.

Jej mąż przytaknął. Już znacznie ochłonął, jak zwykle wtedy, kiedy zabierał się do poważnych spraw. Potrafił gotować się z wściekłości, a już po chwili uśmiechać.

- Zapewne tak. - Popatrzył na adiutanta. - Jak blisko jest Ład?

- Wciąż dość daleko, ministrze. „Anderyjskie oddziały specjalne” Steina, które zjawily się tu przedwczoraj, twierdzą, że podróż zajmie Jagangowi jeszcze co najmniej cztery tygodnie. A może trochę więcej.

Bertrand wzruszył ramionami, uniósł brew i uśmiechnął się przebiegle.

- Więc musimy wyprowadzić w pole Matkę Spowiedniczkę i lorda Rahla.

Hildemara wsparła pięści o biurko i pochyliła się ku mężowi.

- Lord Rahl i Matka Spowiedniczka czekają na naszą odpowiedź. Już dawno wyjaśnili naszym wysłannikom w Aydindril, jaki mamy wybór, i odesłali ich z propozycją przyłączenia się do imperium D'Hary lub narażenia się na ewentualne przyłączenie siłą i wynikającą z tego utratę pozycji w naszej krainie.

Dalton się z nią zgodził.

- Jeśli nie przystaniemy na warunki kapitulacji, mogą skierować przeciw nam swoje wojska. Gdybyśmy byli małą, słabą krainą, bez wątplenia zignorowaliby nas, lecz w naszym wypadku, jeśli odmówimy przyłączenia się do nich, staniemy się natychmiast celem ataku.

- A słyszałam, że mają wojska gdzieś na południu - wtrąciła się Hildemara. - Lord Rahl nie jest kimś, komu można łatwo odmówić lub wystrychnąć na dudka. Niektóre krainy, jak Jara, Galea, Herjborgue, Grennidon czy Kelton, już przyłączyły się do niego z własnej woli. Lord Rahl i tak ma już liczne oddziały z własnej D'Hary, ale z siłami tych krain jego armia jest ogromna.

- Jednak nie wszystkie oddziały są tutaj - odezwał się Bertrand, nagle zupełnie spokojny. - Imperialny Ład zdoła ich zmiażdżyć. Dominie Dirtch powstrzyma każdą armię z imperium D'Hary.

Dalton pomyślał, że to przesadna pewność siebie.

- Wiem z moich źródeł, że lord RaU jest czarodziejem o potężnej mocy. Jest również Poszukiwaczem Prawdy. Obawiam się, że ktoś taki może znać sposoby, które pozwolą mu poradzić sobie z Dominie Dirtch.

Hildemara nachmurzyła się.

- Poza tym Matka Spowiedniczka, lord Rahl i co najmniej tysiąc żołnierzy są już poza linią Dominie Dirtch. Zażądają naszego poddania się. Jeżeli do tego dojdzie, stracimy władzę. Ład dotrze tu dopiero za kilka tygodni, czyli zbyt późno. - Pogroziła palcem mężowi. - Zbyt wiele lat nad tym pracowaliśmy, żeby teraz wszystko stracić.

Bertrand postukał kciukiem o kciuk i uśmiechnął się.

- Więc tym bardziej, moja droga, musimy ich wywieść w pole, jak już mówiłem, prawda?

Kahlan i Richard jechali na czele d'haranskich żołnierzy ku posiadłości Ministra Spraw Duchowych. Wojsko widniało na drodze jak ciemna wstęga.

Jak ciemna, połyskująca stała wstęga. Nareszcie tu dotarli, na jakąś godzinę przed zachodem słońca, które chowało się za rozproszone na niebie chmury.

Richard odkleił od piersi wilgotną od potu d'harańską koszulę i przyglądał się krążącemu nad nimi dziwacznemu krukowi. Ptak chrypliwymi wrzaskami oznajmiał swoją dostojną obecność, jak to kruki mają w zwyczaju.

Był gorący, parny dzień. Richard i Kahlan przebrali się w zapasowe odzienie żołnierzy, żeby ich stroje pozostały czyste i gotowe na spotkanie, które wkrótce nastąpi.

Richard zerknął przez ramię i napotkał mordercze spojrzenie Du Chaillu. Kazał jej dosiąść konia, żeby podróż zakończyła się dzisiaj. I tak zbyt długo podróżowali.

Baka Tau Mana nie jeździli konno. Wcześniej Du Chaillu nie wykonałaby tego polecenia, tym razem jednak wiedziała, że zostawiają w tyle, jeśli nie posłucha Richarda.

Zanim Cara odnalazła wojska generała Reibischa, upłynął jakiś czas. Nim przybyły jego oddziały, Richard, Kahlan i Baka Tau Mana szli pieszo, brnąc przez późnowiosenne rozlewiska. Do pojawienia się konnych oddziałów D'Haranczyków nie pokonali zbyt dużej odległości.

Du Chaillu też spowolniała ich marsz, choć nie robiła tego celowo. Wciąż upierała się, że jazda konna zaszkodzi jej nie narodzonemu dziecku - dziecku, które nosiła na prośbę Richarda. I ze względu na dziecko chłopak nie zmuszał jej do konnej jazdy. Przede wszystkim wszakże nie chciał, by dalej im towarzyszyła. Kiedy zjawili się D'Haranczyki z końmi i zaopatrzeniem, Du Chaillu odmówiła powrotu do domu, co obiecała zrobić. Trzeba jednak przyznać, że nigdy nie uskarżała się na trudności. Mimo to wpadła w okropny nastrój, gdy Richard kazał jej dosiąść konia.

Kahlan, początkowo niezadowolona z obecności duchowej przewodniczki Baka Tau Mana, zmieniła zdanie - zwłaszcza od dnia, kiedy Richard spadł z konia. Uważała, że Du Chaillu uratowała mu życie. Ze swej strony chłopak doceniał pomoc Du Chaillu, lecz nie wierzył, że to ona ocaliła mu życie.

Prawdę powiedziawszy, nie bardzo wiedział, co się wtedy stało. Od kiedy zobaczył Dominie Dirtch i dowiedział się, że rozbrzmiały samoczynnie w tym samym czasie, gdy poczuł rozdzierający ból, zrozumiał, że to musi być

jakoś powiązane, i nie wierzył, by Du Chaillu mogła tu zbyt wiele zdziałać. To było coś o wiele bardziej skomplikowanego, niż sobie uświadamiała, i bardziej zawikłanego, niż Richard potrafił zrozumieć.

Od chwili gdy chłopak zobaczył Dominie Dirtch, nic, nawet ciąża Du Chaillu, nie mogły skłonić go do ociągania się w podróży. Ponieważ i ona była w pobliżu kamiennych dzwonów i wyczuła część tego co on, rozumiała jego pośpiech i nie sprzeciwiała się.

Richard dostrzegł wzbijającego kurz jeźdźca i uniósł rękę. Słyszał zatrzymujące całą kolumnę rozkazy przekazywane w odpowiedzi na jego sygnał od szeregu do szeregu. Dopiero kiedy żołnierze stanęli i zapadła cisza, chłopak uświadomił sobie, jaki hałas wywoływali, maszerując.

- To pewnie na nasze powitanie - powiedziała Kahlan.

- Jak daleko stąd do posiadłości ministra? - spytał Richard.

- Już blisko. Przebyliśmy ponad połowę drogi od Fairfield. Może jeszcze z milę.

Richard i Kahlan zsiadli z koni, by udać się na spotkanie z nadjeżdżającym jeźdźcem. Żołnierz wziął wodze konia Kahlan, a Richard podał mu wodze swojego wierzchowca. Razem z Matką Spowiedniczką wyszli przed innych. Richard musiał gestem dłoni powstrzymać żołnierzy przed otoczeniem ich obronnym kręgiem.

Młody człowiek zeskoczył z konia, nim ten zdążył się zatrzymać. Trzymając cugle w dłoni, przyklęknął na kolano. Kahlan powitała go jak przystało na Matkę Spowiedniczkę i wstał. Ubrany był w czarne buty, ciemne spodnie, białą koszulę z zabawnym kołnierzem i mankietami oraz brązową kurtę z czarnymi i ciemnobrązowymi obszywkami.

Młodzian pochylił przed Richardem rudą głowę.

- Lord Rahl?

- Tak, to ja.

Tamten wyprostował się.

- Jestem Rowley. Minister Spraw Duchowych wysłał mnie, żebym was powitał i przekazał jego radość z tego, że wraz z Matką Spowiedniczką łaskawie nawiedziliście lud Anderithu.

- No myślę - powiedział Richard. Kahlan szturchnęła go łokciem w żebro.

- Dziękuję, Rowley. Potrzebne nam miejsce, w którym nasi ludzie mogliby rozbić obóz.

- Tak, Matko Spowiedniczko. Minister polecił mi przekazać, że możesz łaskawie wybrać dowolny obszar naszej krainy. Jeśli wyrazisz na to zgodę, może przeznaczyć na to ziemie posiadłości.

Richardowi wcale się to nie spodobało. Nie chciał, by jego ludzie tkwili w takiej ciasnocie. Chciał, żeby byli w pobliżu, lecz mogli zająć dogodną pozycję obronną. Bez względu na to, co sobie myśleli inni, on musiał to traktować jako obecność na potencjalnie wrogim terytorium.

- A może tam? - Wskazał pole pszenicy. - Rzecz jasna zapłacimy właścicielowi za zniszczone plony.

- Skoro tak sobie życzysz, lordzie Rahlu. - Rowley skłonił się. - Minister pragnie, byście sami dokonali wyboru. Ziemia jest w Andericie wspólną własnością, a zboża mamy w nadmiarze, więc nie ma co się nim przejmować. Kiedy już zadbacie odpowiednio o waszą eskortę, minister pragnie zaprosić was na kolację. Prosił, bym przekazał, jak bardzo pragnie się z tobą spotkać i ponownie zobaczyć Matkę Spowiedniczkę.

- My nie...

Kahlan znów trąciła go łokciem.

- Z przyjemnością przyjmujemy zaproszenie ministra Chanboora na kolację. Poproś go jednak w naszym imieniu, by zrozumiał, że mieliśmy długą i ciężką podróż i jesteśmy zmęczeni. Będziemy wdzięczni, jeśli to będzie skromna kolacja, nie więcej niż trzy obnoszenia potraw.

Rowley najwyraźniej nie był przygotowany na takie żądanie, lecz obiecał, że natychmiast je przekaże.

Kiedy odjeżdżał, podeszła ku nim Du Chaillu.

- Potrzebna ci kąpiel - powiedziała do Richarda. - Jiaan mówi, że tuż za tamtym wzgórzem jest staw. Chodź, wykąpiemy się.

Kahlan zmarszczyła brwi. Du Chaillu uśmiechnęła się słodko.

- Zazwyczaj muszę go do tego namawiać - powiedziała duchowa przewodniczka. - Okropnie jest wstydlivy, jak się razem kąpiemy. Rumieni się. - Wskazała na niego. - O, tak jak teraz, kiedy się rozbieramy do kąpieli. Zawsze się czerwieni, jak mi każe zdejmować odzież.

- Ach tak. - Kahlan skrzyżowała ramiona. Du Chaillu potaknęła.

- I ty lubisz się z nim kąpać? Bo on ogromnie lubi się kąpać z kobietami.

Teraz Richard wiedział już, jak bardzo Du Chaillu była niezadowolona z konnej jazdy i jak zamierzała wyrównać rachunki. Spojrzały na niego zielone

oczy Kahlan.

- Co jest z tą wodą, kobietami i tobą?

Richard wzruszył ramionami. Nie miał ochoty wplątywać się w wyjaśnienia.

- Może się do nas przyłączysz? To może być zabawne. - Mrugnął do niej i złapał Du Chaillu za ramię. - No to chodźmy, żono. Pójdziemy przodem, może potem Kahlan się do nas przyłączy.

Du Chaillu wyszarpnęła ramię. Żart zaszedł zbyt daleko.

- Nie. Nie będę się zbliżać do wody, nie mam takiego zamiaru. Jej oczy zdradziły, jak się przeraziła. Nie zamierzała dawać demonom drugiej szansy.



## ROZDZIAŁ 52

Richard westchnął ze zniecierpliwieniem, przyglądając się ludziom spędzającym mile czas przy kolacji. Bertrand Chanboor nazwał to prywatną kolacyjką. Kahlan szepnęła do chłopaka, że w Andericie uważano za takową wieczerzę dla pięćdziesięciu, sześćdziesięciu osób.

Kiedy Richard patrzył na ludzi, wielu z nich, zwłaszcza mężczyzn, odwracało wzrok. Natomiast sporo kobiet - nie. Tak trzepotały do niego rzęsami, że całe szczęście, iż Kahlan nie była zazdrosna. O Du Chaillu też właściwie nie była. Wiedziała, że duchowa przewodniczka po prostu stara się go zirytować. Chłopak zdawał sobie jednak sprawę, że będzie musiał wyjaśniać, jak niewinna była tamta wspólna kąpiel.

Trudno było cokolwiek tłumaczyć Kahlan, skoro wokół wciąż było tylu ludzi. Nawet gdy spali, tuż przy nich stali, strzegąc ich, najpierw mistrzowie miecza, a teraz żołnierze. Ani nie było to intymne, ani romantyczne. Tak rzadko byli sami, że Richard zaczynał zapominać, iż wzięli ślub. Wszystko to traciło jednak znaczenie wobec celu, jaki sobie postawili. Umierający przez demony ludzie też nie zachęcali do intymności.

Richard siedział blisko żony, jadł z tego samego drewnianego talerza, widział jej lśniące w blasku lamp zielone oczy i wspaniałe włosy, patrzył, jak gęste pukle układają się w wygięciu szyi - i zaczynał wspominać chwile spędzone przed wieloma tygodniami w domu duchów, kiedy ostatni raz się z nią kochał... Wspominał jej ponętne nagie ciało. Nigdy tego nie zapomni.

Kahlan odkaszlnęła.

- Pytał cię o coś, Richardzie - szepnęła.
- Słucham? - Zamrugał powiekami, wyrwany z zadumy.
- Minister Chanboor zadał ci pytanie. Richard obrócił się ku ministrowi.
- Przepraszani, zamyśliłem się. Myślałem o ważnych sprawach.
- Ach tak, to zrozumiałe. - Minister Chanboor uśmiechnął się. - Byłem po prostu ciekaw, gdzie dorastałeś.

Z pamięci Richarda wypłynęło dawno zapomniane wspomnienie o tym, jak siłował się ze starszym przyrodnim bratem, Michaeliem. Tak bardzo radowały go te żartobliwe zapasy. To były wesołe, pełne śmiechu czasy.

- Oooo, tam, gdzie była porządna walka.

- Dddo... domyślam się, że miałeś dobrego nauczyciela - zająknął się minister.

Później, kiedy dorośli, przyrodni brat wydał Richarda Rahlowi Posepnemu. Michael zdradził wielu ludzi. Wielu niewinnych ludzi umarło przez niego.

- Tak - odparł Richard. Wywołany z pamięci obraz tkwił między nim a pełną wyczekiwania twarzą ministra. - Miałem dobrego nauczyciela. Tej zimy kazałem go ściąć, Chanboor zbladł.

Chłopak odwrócił się od niego ku Kahlan. Ukryła uśmiech.

- Dobra odpowiedź - szepnęła spoza serwetki, żeby nikt nie usłyszał jej poprzez muzykę harfy ustawionej przed ich stołem.

Siedząca obok Kahlan lady Chanboor nawet jeśli się przeraziła, nie okazała tego. Dalton Campbell, zajmujący miejsce z drugiej strony ministra, uniósł brew. Jego żona, Teresa - ładniutka kobieta, pomyślał o niej Richard - nie dosłyszała jego słów. Adiutant powtórzył jej odpowiedź i oczy Teresy otwały się szeroko, bardziej jednak z rozbawienia niż ze strachu.

Kahlan ostrzegła Richarda, że ci ludzie cenią siłę, i podpowiedziała, by - jeśli mają pozyskać Anderith - raczej ich postraszyć, niż starać się ugłaskać.

Minister, trzymając w palcach kawałek wołowiny ociekającej czerwonym sosem, postanowił zmienić temat na mniej krwawy.

- Nie masz ochoty na mięso, lordzie Rahlu?

Richardowi wydawało się, że mięsne potrawy obnoszą już dobrą godzinę. Uznał, że powie ministrowi prawdę, niczego nie tając

- Jestem czarodziejem wojny, ministrze Chanboor. Podobnie jak mój ojciec, Rahl Posepny, nie jadam mięsa. - Umilkł na chwilę, by mieć pewność, że wszyscy przy stole go słuchają. - Czarodzieje muszą dbać, żeby wszystko w ich życiu było zrównoważone. Powstrzymywanie się od jedzenia mięsa równoważy wszystkie śmierci, jakie zadaję.

Harfistka zgubiła nutę. Pozostali wstrzymali oddech. Dalsze słowa Richarda przerwały przeciągającą się ciszę.

- Jestem przekonany, że słyszałeś już, iż zaproponowałem wszystkim krainom Midlandów, by się do nas przyłączyły. Warunki są uczciwe i równe dla wszystkich. Twój wysłannicy z pewnością już ci je przedstawili. Jeżeli przyłączycie się do nas z własnej woli, zostaniecie miło powitani. Lecz jeśli się sprzeciwiacie... jeśli się sprzeciwiacie, będziemy musieli podbić waszą

krainę i warunki będą surowe.

- Tak mi mówiono - odparł minister.

- A czy poinformowano cię, że popieram lorda Rahla? Że radzę wszystkim krainom, żeby się do nas przyłączyły? - wtrąciła Kahlan.

Bertrand Chanboor lekko skłonił głowę.

- Tak, Matko Spowiedniczko. Bądź pewna, proszę, że wysoko cenimy sobie twoją mądrą radę.

- Czyli zamierzasz się do nas przyłączyć, ministrze? Zamierzasz przyłączyć się do naszej walki o wolność?

- Cóż... to nie jest takie proste, Matko Spowiedniczko.

- Znakomicie. - Richard zaczął się podnosić. - No to spotkam się z Suwerenem.

- Nie możesz - odezwał się Dalton Campbell. Richard opadł na krzesło, coraz bardziej nastroszony.

- A to niby dlaczego? Minister oblizwał wargi.

- Suweren, oby Stwórca miał w opiece jego błogosławioną duszę, jest ciężko chory. Nie opuszcza łóża. Nawet ja nie mogłem się z nim zobaczyć. Jego żona i uzdrowiciele poinformowali mnie, że nie może mówić. Rzadko odzyskuje przytomność, więc rozmowa z nim i tak by się nie udała.

- Tak mi przykro. Nie wiedzieliśmy o tym - odezwała się Kahlan.

- Chętnie byśmy was do niego zaprowadzili, Matko Spowiedniczko i lordzie Rahlu - w głosie Daltona Campbella zabrzmiała szczerłość - lecz jest tak chory, że nie zdoła niczego doradzić.

Harfistka rozpoczęła głośniejszą, bardziej złożoną i dramatyczną melodię, wykorzystując do tego, jak się zdawało, wszystkie struny swojego instrumentu.

- Wobec tego musicie podjąć decyzję bez jego rady - stwierdził Richard. - Imperialny Ład już atakuje Nowy Świat. Potrzebujemy wsparcia wszystkich, których uda się nam pozyskać, bo inaczej zapadną nad nami mroki ich tyranii.

- Cóż... - odparł minister, pracowicie zbierając z obrusa jakieś niewidoczne okruchy. - Chcę, by Anderith przyłączył się do was, wsparł waszą szlachetną sprawę. Naprawdę. Jak większość Anderyjczyków, z pewnością...

- Wspaniale. Więc wszystko ustalone.

- Niestety, nie. - Minister Chanboor podniósł wzrok. - Choć pragnę tego podobnie jak moja żona i choć Dalton zdecydowanie namawiał mnie, byśmy tak uczynili, w tak poważnej sprawie nie możemy sami decydować.

- Dyrektorzy? - zapytała Kahlan. - Natychmiast się z nimi rozmówimy.

- Częściowo tak, lecz nie tylko oni. Są również inni, którzy muszą mieć wpływ na tak doniosłą decyzję - odparł minister.

- A któż jeszcze? - zdumiał się Richard.

Minister odchylił się na oparcie krzesła, jakiś czas wodził wzrokiem po komnacie i dopiero potem zwrócił ciemne oczy na Richarda.

- Mieszkańcy Anderithu.

- Jesteś Ministrem Spraw Duchowych - powiedziała gniewnie Kahlan, nachylając się ku niemu. - Przemawiasz w ich imieniu. Musisz jedynie powiedzieć „niech tak będzie”, a tak się stanie.

Bertrand Chanboor rozłożył ręce.

- Matko Spowiedniczko, lordzie Rahlu, wymagacie od nas, byśmy się zrzekli naszej suwerenności. Nie mogę sam o tym decydować.

- Właśnie dlatego to się nazywa „poddanie” - burknął Richard.

- Wymagacie od naszych mieszkańców, żeby przestali być tacy, jacy są, i zjednoczyli się z tobą oraz z twoim ludem. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza. Wymagasz, byśmy się zrzekli nie tylko naszej suwerenności, ale i naszej, odrębnej przecież, kultury. Nie pojmujesz tego? Przestalibyśmy być tymi, którymi jesteśmy. Nasza kultura ma tysiące lat. A teraz zjawiasz się, sam, i chcesz, żeby nasz lud odrzucił całą swoją historię? Jak możesz sądzić, że to taka prosta sprawa? Że możemy łatwo zapomnieć o naszym dziedzictwie, o naszych przodkach, o naszej kulturze?

Richard bębnił palcami po stole. Patrzył na ludzi, którzy spędzali miło czas przy kolacji i nie mieli pojęcia, jak doniosłe słowa padały przy głównym stole.

- Niewłaściwie to ująłeś, ministrze Chanboor. Nie pragniemy zniszczyć waszej kultury - Richard pochylił się ku niemu - choć z tego, co słyszałem, wynika, że ma ona wiele niesprawiedliwych aspektów i na to nie będzie zgody. Pod naszym prawem każdy jest traktowany jednakowo. Dopóki będziecie przestrzegać wspólnych praw, dopóty możecie zachować swoją kulturę.

- Tak, ale...

- Chodzi przede wszystkim o wolność setek tysięcy ludzi w Nowym Świecie. Nie będziemy tolerować narażania tak wielu istnień. Jeśli się do nas nie przyłączycie, to was podbijemy. A wtedy straciecie wpływ na ustalanie wspólnych dla wszystkich praw i będziecie musieli zapłacić grzywny, które na wiele pokoleń zubożą waszą krainę. - Gniew w oczach Richarda sprawił, że minister cofnął się trochę, chłopak zaś dodał: - Będzie gorzej, jeśli najpierw dotrze do was Imperialny Ład. Oni nie zadowolą się grzywnami, lecz was zmiążdżą. Wymordują was lub zmienią w niewolników.

- Imperialny Ład zażądał poddania się Ebinissii - powiedziała bezbarwnym głosem Kahlan. - Byłam tam. Widziałam, co żołnierze Ładu uczynili z ludźmi, którzy nie chcieli się poddać i zmienić w niewolników. Torturowali, a potem zamordowali każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, wszystkich mieszkańców miasta. Co do jednego. Nikt nie ocalał.

- Wszyscy żołnierze, którzy chcieliby...

- W mordowaniu niewinnych mieszkańców Ebinissii uczestniczyło ponad pięćdziesiąt tysięcy żołdaków Ładu - powiedziała Kahlan zimnym, władczym głosem. - Prowadziłam oddziały, które ich ścigały. Wybiliśmy do nogi tych, którzy zabijali ebinissiańczyków. - Kahlan nachyliła się ku ministrowi. - Wielu z płaczem błagało o litość. Jako Matka Spowiedniczka, ogłosiłam, że dla Ładu nie będzie litości. Dotyczy to również tych wszystkich, którzy staną po jego stronie. Wybiliśmy tamtych żołdaków do nogi, ministrze Chanboor. Do ostatniego.

Przeraźliwy chłód w jej głosie sprawił, że wszyscy przy stole umilkli. Żona Daltona Campbella sprawiała wrażenie, jakby chciała uciec.

- Wasz jedyny ratunek - odezwał się w końcu Richard - to przyłączenie się do nas. Wspólnie utworzymy potężną siłę zdolną odeprzeć atak Imperialnego Ładu i ocalić wolność oraz pokój w Nowym Świecie.

- Jak już powiedziałem - rzekł po jakimś czasie minister Chanboor - gdyby to zależało ode mnie, wyraziłbym zgodę na przyłączenie się do was. Moja żona i Dalton Campbell też by mnie poparli. Rzecz w tym, że imperator Jagang poczynił naszemu ludowi hojne obietnice, zagwarantował pokój i...

- Co takiego?! - Kahlan skoczyła na równe nogi. - Rozmawialiście z tymi mordercami?!

Niektórzy goście przerwali rozmowy i spojrzeli na siedzących przy głównym stole. A część z nich, jak zauważył Richard, w ogóle nie spuszczała

ministra i jego najbliższych gości z oka.

Bertrand Chanboor po raz pierwszy nie okazał lęku.

- Kiedy twojemu krajowi zagrażają dwie przeciwstawne potęgi, z których żadna nie ma prawa żądać od ciebie poddania się, obowiązkiem przywódców i doradców jest wysłuchanie, co każda z nich ma do powiedzenia. Nie pragniemy wojny, wojna została nam narzucona. Naszym obowiązkiem jest zorientować się, co mamy do wyboru. Nie możecie obwiniać nas za to, że chcieliśmy wiedzieć, jakie mamy możliwości.

- Wolność lub niewolę - odezwał się Richard, stając u boku żony.

Minister Chanboor również wstał.

- Tu, w Andericie, wysłuchanie tego, co ludzie mają do powiedzenia, nie jest uważane za obrazę. Nie atakujemy ludzi, dopóki nam nie zagrożą. Imperialny Ład usilnie prosił, byśmy nie słuchali tego, co macie nam do powiedzenia, a przecież jesteście tutaj. Pozwalamy ludziom się wypowiedzieć.

Richard zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Spodziewał się wyczuć wypukłe litery ze złotego drutu, które tworzyły słowo PRAWDA. Zdumiał go ich brak.

- A jakie kłamstwa usłyszałeś od Ładu, ministrze? Minister Chanboor wzruszył ramionami.

- Jak już powiedziałem, wasze propozycje bardziej się nam podobają.

Gestem zachęcił ich, żeby usiedli. Richard i Kahlan niechętnie skorzystali z zaproszenia.

- Muszę ci od razu jasno i wyraźnie powiedzieć, ministrze - oznajmił Richard - że nie dostaniesz tego, czego byś chciał. Nawet nie trudź się przedstawianiem nam listy swoich warunków. Jak już wyjaśnialiśmy twoim wysłannikom w Aydindril, taką samą propozycję przedstawiliśmy wszystkim krainom. Wszyscy muszą być traktowani jednakowo, więc nie może być żadnych wyjątków czy specjalnych udogodnień dla niektórych.

- O nic nie prosimy - odparł minister Chanboor.

Kahlan dotknęła pleców Richarda i chłopak zrozumiał, że to znak, by odetchnął i powściągnął swój temperament. Zacerpnął głęboko powietrza i przypomniał sobie ich wspólny cel. Miała rację. Powinien myśleć, a nie tylko działać.

- No dobrze, ministrze, co cię powstrzymuje od przyjęcia naszych

warunków?

- Jak już powiedziałem, gdyby to zależało ode mnie i...

- W czym problem? - Głos Richarda był groźny, choć chłopak naprawdę starał się uspokoić.

Richard myślał już o swoich żołnierzach, którzy stacjonowali niecałą milę dalej. Strażnicy posiadłości nie stanowiliby problemu dla takiej d'haranskiej elity. Nie chciałby się do tego uciekać, lecz może zostać zmuszony. Nie mogą dopuścić, by minister, mimowolnie lub celowo, przeszkadzał w stawieniu skutecznego oporu Jagangowi.

Bertrand Chanboor odchrząknął. Wszyscy pozostali siedzieli nieruchomo, niemal bali się poruszyć jakby czytali w oczach Richarda jego myśli.

- To dotyczy wszystkich mieszkańców naszej krainy. Podobnie jak Imperialny Ład, żądasz, byśmy się wyparli naszej kultury, choć w twoim przypadku zmiana byłaby mniejsza i moglibyśmy zachować niektóre nasze zwyczaje. Nie mogę czegoś takiego narzucać całemu ludowi. Mieszkańcy sami muszą zdecydować.

- Co takiego?! - Richard poruszył brwiami. - Co masz na myśli?

- Nie mogę narzucać czegoś takiego naszemu ludowi. Ludzie muszą sami zdecydować, co należy zrobić.

Richard uniósł rękę. Pozwolił, żeby opadła na stół.

- Jakim sposobem to uczynią? Minister zwilżył wargi.

- Zdecydują głosowaniem, jaki będzie los ich wszystkich.

- Czym? - spytała Kahlan.

- Głosowaniem. Każdy odda głos. Każdy musi mieć szansę wyrażenia swojego zdania w tej sprawie.

- Nie - powiedziała bezbarwnym głosem Kahlan. Chanboor rozłożył ręce.

- Przecież twierdzisz. Matko Spowiedniczko, że tu chodzi o wolność naszego ludu. Jak możesz nalegać, bym mu coś takiego narzucił, pozbawiając możliwości wyrażenia zdania?

- Nie - powtórzyła Kahlan.

Pozostali wydawali się wstrząśnięci. Oczy lady Chanboor wyglądały tak, jakby miały wyskoczyć z głowy na najmniejszy znak jej męża. Dalton Campbell siedział sztywno z lekko otwartymi ustami. Teresa, zszokowana, wysoko uniosła brwi. Najwyraźniej żadne nie znało zamiarów ministra

Chanboora ani nie uważało ich za rozsądne, lecz trwali w milczeniu.

- Nie - powtórzyła kolejny raz Kahlan.

- Jak możesz oczekiwać, że nasi mieszkańcy uwierzą w twoją szczerą w sprawie wolności, jeśli odmówisz im możliwości zdecydowania o ich losie? Jeśli proponujesz im prawdziwą wolność, to dlaczego obawiasz się, że ludzie skorzystają z tej wolności, wybierając ją? Jeśli twoja oferta jest tak dobra i sprawiedliwa, a Imperialnego Ładu tak podstępna i nieuczciwa, dlaczego miałabyś nie pozwolić, by nasz lud dobrowolnie wybrał przyłączenie się do was? Czy kryje się w tym coś tak niegodziwego, że nie chcesz pozwolić, by ujrzeni swój los i z własnej woli go wybrali?

Richard obejrzał się na Kahlan.

- On ma rację...

- Nie - ucięła krótko.

Nikt się nie poruszył, tak byli pochłonięci ważącą się właśnie przyszłością ich krainy.

Chłopak ujął ramię żony. Spojrzał na ministra.

- Pozwól, że się na chwilę oddalimy. Musimy omówić pewne sprawy.

Odciągnął Kahlan od stołu, ku kotarom za podręcznym stolikiem. Wyrzwał przez okno, by upewnić się, że w pobliżu nie ma nikogo, że nikt nie podsłuchuje. Ci przy głównym stole nie patrzyli w ich stronę. Siedzieli bez słowa i przyglądali się zaproszonym gościom, którzy jedli, pili, rozmawiali, śmiali się i nie mieli pojęcia, jaki dramat rozgrywa się przy głównym stole.

- Kahlan, nie rozumiem, dlaczego...

- Nie. Nie, Richardzie, nie. Czego w tym „nie” nie rozumiesz?

- Przyczyny twojego uporu. Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Po prostu nie uważam, że to dobry pomysł, Richardzie. To nie jest słuszne. To okropny pomysł.

- W porządku, Kahlan, wiesz, że polegam na twoim zdaniu w takich sprawach jak ta...

- Więc je zaakceptuj. Nie.

Richard, zniecierpliwiony i zirytowany, przeczesał włosy. Znów się rozejrzał. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Zanim mi przerwałaś, chciałem powiedzieć, że pragnę poznać powody. Ten człowiek ma rację. Jeśli dajemy ludziom szansę przyłączenia się do nas, do naszej walki o wolność wszystkich krain, to dlaczego mielibyśmy im



odmawiać okazji do dobrowolnego opowiedzenia się po naszej stronie? Wolności nie można narzucać tym, którzy jej nie pragną.

Kahlan ścisnęła jego ramię.

- Nie potrafię podać żadnego powodu, Richardzie. Tak, to brzmi słusznie. Tak, rozumiem podane przez niego wyjaśnienia. Tak, to byłoby sprawiedliwe. - Mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu. - Lecz mój instynkt krzyczy „nie”. W tej sprawie muszę zawierzyć mojemu instynktowi, i ty również, Richardzie. Jest silny i niezłomny. Nie rób tego.

Chłopak przetarł twarz dłonią. Usiłował wymyślić argumenty, które mogliby przeciwstawić rozumowaniu Anderyjczyków. Do głowy jednak przychodziły mu wyłącznie powody, które uzasadniały ich zdanie oraz opinię, że nie chodzi tu tylko o przyłączenie się Anderithu do walki z Ładem.

- Wierzę ci, Kahlan, naprawdę. Jesteś Matką Spowiedniczką, całe życie albo uczyłaś się, jak władać ludźmi, albo to czyniłaś. Ja jestem tylko prostym leśnym przewodnikiem. Lecz chciałbym mieć trochę więcej argumentów niż tylko ten, że „nasz instynkt mówi nam «nie»„.

- Nie mogę ci podać żadnych innych powodów. Znam tych ludzi. Wiem, że są aroganccy i przebiegli. Nie wierzę, że Bertrand Chanboor choć odrobinę troszczy się o to, czego chce jego lud. On i jego żona dbają tylko o siebie, tak wynika z tego, co o nich słyszałam. Za tym jego pomysłem coś się kryje, jest w tym coś śliskiego.

Richard musnął palcem jej skroń.

- Kocham cię, Kahlan. Ufam ci. Ale tu chodzi o życie tych ludzi. Decyzja nie będzie zależała wyłącznie od Bertranda Chanboora, w tym cała rzecz. Jeśli ofiarujemy im słuszny wybór, to dlaczego mieszkańcy Anderithu nie mieliby dobrowolnie na to przystać? Nie sądzisz, że wówczas zaangażowaliby się w tę sprawę bardziej, niż gdyby zdecydowali za nich ich przywódcy? Uważasz, iż to słuszne, że żądamy od nich, by tak odmienili swoją kulturę, i mówimy im, że tak należy zrobić, a odmawiamy im prawa swobodnego wyboru? Wyboru dobrowolnego przyłączenia się do nas? Dlaczego tylko przywódca ma decydować za swój lud? A gdyby minister chciał się przyłączyć do Jaganga? Nie chciałabyś, żeby w takim wypadku ludzie mogli odrzucić jego wybór i opowiedzieć się za wolnością?

Kahlan przesunęła palcami po włosach. Najwyraźniej nie potrafiła ubrać w słowa swoich zastrzeżeń i niepokojów.

- Richardzie, kiedy ty to mówisz, to... brzmi to prawdziwie i słusznie, aleja po prostu... boja wiem... czuję, że to błąd. A jeżeli nas oszukują? Jeśli zastraszą ludzi, zagrożą im? Jak byśmy się o tym dowiedzieli? Kto ma obserwować, czy ludzie szczerze mówią, czego chcą? Kto ma nadzorować uczciwe zliczanie głosów?

Chłopak przesunął kciukiem po jedwabnym rękawie jej białej szaty Matki Spowiedniczki.

- A jeśli postawimy swoje warunki? Warunki, które zapewnią kontrolę nam, a nie im?

- To znaczy?

- Mamy tutaj tysiąc żołnierzy. Możemy ich wysłać do miast i miasteczek Anderithu, żeby nadzorowali głosowanie. Każdy zrobiłby znak na kawałku papieru... O, na przykład kółko, że się do nas przyłącza, lub krzyżyk, że jest temu przeciwny. Nasi ludzie mogliby strzec tych kart i obserwować ich liczenie. Dopilnowaliby, żeby to było uczciwe.

- A skąd mieszkańcy mieliby wiedzieć, o co właściwie chodzi?

- Powiedzielibyśmy im. Anderith nie jest aż taki duży. Moglibyśmy odwiedzić każdą miejscowość i wyjaśnić ludziom, dlaczego powinni się do nas przyłączyć, dlaczego to dla nich takie ważne i jak by cierpieli, gdyby się dostali pod władzę Imperialnego Ładu. Jeśli prawda istotnie jest po naszej stronie, to nie powinniśmy rnieć kłopotów z przekonaniem do niej większości. Kahlan gryzła wargi i namyślała się.

- Ale kiedy odbyłyby się wybory? Zwiadowcy meldują, że Ład znajdzie się tu za niecałe sześć tygodni.

- No to powiemy, że za cztery tygodnie. Cztery tygodnie i głosowanie. To da nam więcej czasu, niż naprawdę trzeba na to, by objechać Anderith i przekonać ludzi, jakie to jest ważne. A potem, gdy przegłosują przyłączenie się do nas, będziemy mieć mnóstwo czasu na ściągnięcie wojsk i wykorzystanie Dominie Dirtch do zatrzymania Jaganga.

- Nie podoba mi się to, Richardzie. - Kahlan przycisnęła dłoń do brzucha.

- No dobrze. - Wzruszył ramionami. - Wojska generała Reibischa są w drodze. Będą tutaj, zanim Jagang dotrze do Anderithu. Przekażemy Reibischowi, żeby trzymał się na północy, poza zasięgiem wzroku, ale możemy wziąć naszych żołnierzy, opanować Dominie Dirtch i obalić tutejszy rząd. To nie powinno być trudne, sądząc po tym, jakie wojska tu

widzieliśmy.

- Wiem - powiedziała Kahlan, chmurząc się w zadumie. - Nie rozumiem tego. Byłam już tutaj. Mieli potężną armię. A ci, których widzieliśmy, to... jeszcze prawie dzieci.

Richard wyrzwał przez okno. Padające z licznych okien światło ukazywało piękno otoczenia posiadłości. Przyjemnie musiało się tutaj mieszkać.

- Słabo wyszkolone dzieciaki - potwierdził. - I ja tego nie rozumiem. Chyba że, jak powiedziała sierżant Beata, uznali, iż do uderzenia w Dominie Dirtch wystarczy jedna osoba. Może nie muszą wydawać pieniędzy na utrzymanie dużej armii, skoro potrzebują na granicy tylko niewielkich oddziałów czuwających przy Dominie Dirtch. W końcu sama dobrze wiesz, ile trzeba wydawać na utrzymanie odpowiednio licznej armii. Żołnierze muszą codziennie jeść. To dlatego Jagang tu zmierza. Może istotnie nie muszą uszczuplać swoich środków.

Kahlan przytaknęła.

- Może i tak. Wiem, że Minister Spraw Duchowych już tradycyjnie ma prywatnych stronników: bankierów, kupców i tak dalej, którzy pomagają w realizacji konkretnych zamierzeń. Utrzymywanie armii jest nad wyraz kosztowne, to ciężar nawet dla bogatej krainy. Ale wydaje mi się, że musi istnieć jeszcze jakiś powód, iż armia aż tak podupadła.

- No to jak uważasz? Głosowanie czy podbój? Spojrzała Richardowi w oczy.

- Wciąż jestem przeciwna głosowaniu.

- Wiesz, że ludzie ucierpią. Zginą. Nie obyłoby się bez krwi. Będziemy musieli zabijać ich żołnierzy, takich jak ta sierżant Beata przy Dominie Dirtch. Może niedawno byli jeszcze dziećmi, ale będą stawiać opór i ginąć. Nie możemy pozwolić, by utrzymali kontrolę nad Dominie Dirtch. Musimy przejąć ten kamienny oręż, jeśli chcemy wprowadzić tu nasze wojska. Nie możemy ryzykować, że te dzwony zmasakrują naszych żołnierzy.

- Przecież magia zanika.

- Zabrzmiały nieco ponad tydzień temu. Zabiły ludzi, którzy akurat byli przed nimi. Wciąż mają moc. Nie możemy liczyć na to, że i one przestaną działać. Trzeba albo zaatakować, albo przystać na propozycję ministra i pozwolić, by ludzie sami zdecydowali o swoim losie. Gdyby coś poszło nie tak, możemy się przecież zawsze uciec do naszych żołnierzy. Stawka jest tak

wielka, że nie zawaham się zaatakować ich w razie potrzeby. Zagrożone jest życie zbyt wielu istot.

- To prawda. Zawsze możemy z tego skorzystać.

- Jest jeszcze coś, nad czym powinniśmy się zastanowić. I to chyba najważniejsza sprawa.

- O czym mówisz?

- Demony. To dlatego się tutaj zjawiliśmy, pamiętasz? Zgoda na głosowanie, na to, by ludzie sami decydowali, może zadziałać na naszą korzyść w sprawie demonów.

- A niby jak? - Kahlan wcale nie była o tym przekonana.

- Powinniśmy przeszukać bibliotekę. Jeśli znajdziemy informacje niezbędne do uporania się z demonami, tak jak znalazł je niegdyś Joseph Ander, przepędzimy demony, zanim będzie za późno na ratowanie magii. Pamiętasz przecież o ómach gambit i całej reszcie?

- Oczywiście, że tak.

- I o twojej mocy Spowiedniczki, mocy Du Chaillu, więzi i w ogóle. Jagang może z łatwością zwyciężyć bez pomocy magii, przewaga Imperialnego Ładu tylko by się zwiększyła. Bez magii, która pomagała nam i chroniła nas, jesteśmy zwyczajnymi ludźmi. Nie ma miejsca bardziej niebezpiecznego niż świat pozbawiony magii. Jeśli przeciągniemy przygotowania przez cztery tygodnie, to może uda się nam odszukać niezbędne informacje o demonach. Podróże i namawianie ludzi do przyłączenia się do nas to znakomita przykrywka. Nikt nie będzie podejrzewał, co naprawdę robimy. Wydaje mi się, że ryzykownie byłoby mówić tym ludziom, iż magia zanikła. Lepiej trzymać ich w niepewności. - Pochylił się ku Kahlan. - Demony mogą być w tym wszystkim najważniejsze. Dzięki głosowaniu będziemy mieć czas na poszukiwania. Uważam, że powinniśmy się zgodzić, pozwolić, żeby mieszkańcy Anderithu głosowali.

- Dalej mówię „nie”, ale jeśli chcesz wypróbować ten sposób - ścisnęła w palcach grzbiet nosa - to choć nie mogę uwierzyć, że się na to godzę, zaufani twojej decyzji, Richardzie. W końcu jesteś lordem Rahlem.

- Ale ja ufam twoim radom i polegam na nich.

- Jesteś także Poszukiwaczem Prawdy.

- Ale nie mam mojego miecza. - Uśmiechnął się. Kahlan odwzajemniła uśmiech.

- Doprowadziłeś nas aż tutaj. Skoro mówisz, że powinniśmy to wypróbować, przystaję na to, choć ten pomysł mi się nie podoba. Jednak co do demonów masz rację. Właśnie z tym przede wszystkim powinniśmy się uporać. A głosowanie pomoże nam w poszukiwaniach rozwiązania problemu demonów.

Richard poczuł ulgę, że się wreszcie zgodziła, lecz martwiły go przyczyny jej oporu. Kahlan wsparła się na jego ramieniu i wrócili do stołu. Minister, jego żona i Dalton Campbell wstali.

- Są pewne warunki - oznajmił Richard.

- To znaczy? - spytał minister.

- Nasi ludzie będą wszystko nadzorować, żebyśmy mieli pewność, iż nikt nie oszukuje. Wszyscy będą głosować w tym samym czasie, by ludzie nie zdążyli dotrzeć gdzie indziej i głosować więcej niż raz. Powinni się zebrać w miastach i miasteczkach i każdy z nich powinien narysować na karcie papieru kółko, jeżeli chce się do nas przyłączyć, lub krzyżyk, jeżeli woli pozostawić swój los w okrutnych trybach przeznaczenia. Nasi ludzie będą nadzorować zliczanie głosów i składać nam raporty, byśmy wiedzieli, że wszystko przebiega uczciwie.

- Cenne sugestie. - Minister uśmiechnął się. - Zgadza się ze wszystkim.

- I jeszcze jedno - dorzucił Richard, nachylając się ku tamtemu.

- To znaczy?

- Głosować będą wszyscy. Nie tylko Anderyjczycy, ale i Hakeni. Są mieszkańcami krainy tak jak Anderyjczycy. Również ich los ulegnie zmianie. Jeśli ma się odbyć głosowanie, to głosować powinni wszyscy mieszkańcy Anderithu.

Lady Chanboor wymieniła spojrzenie z Daltonem Campbellem. Minister rozpostarł ręce i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Ależ oczywiście. Wszyscy będą głosować. Tak więc wszystko zostało uzgodnione.

## ROZDZIAŁ 53

Hildemara była wściekła.

- Bertrandzie, żołnierze Jaganga obedną cię żywcem ze skóry, a ja będę się temu z zachwytem przyglądać. Mój zachwyt zakłóci tylko to, że i mnie skazałeś na podobny los!

Chanboor zbył tę uwagę machnięciem dłoni.

- Bzdura, moja droga. Raczej udało mi się zyskać na czasie, zajmując czymś Matkę Spowiedniczkę i lorda Rahla. Przez te tygodnie Jagang wystarczająco zbliży się do Anderithu.

Dalton choć raz był skłonny zgodzić się z Hildemarą. Była, pomijając wszelkie inne względy, znakomitym strategiem. Na pierwszy rzut oka wszystko wskazywało na to, że ludzie, a już zwłaszcza Hakeni, mając możliwość wyboru, opowiedzą się za wolnością w imperium lorda Rahla, nie zaś za tyranią Imperialnego Ładu. Lecz Campbell zdawał sobie również sprawę, że za pełnym zadowolenia uśmiechem ministra musi się coś ukrywać. Chanboor miał niesamowity talent do chłodnej, pozbawionej emocji taktycznej oceny szans osiągnięcia upragnionego celu, który to talent mógł wszystko zmienić. Skakał tylko wtedy, kiedy wiedział, że pokona przeszkodę - nigdy nie skoczyłby wyłącznie dlatego, że chciał ją pokonać. Dalton Campbell, doskonały znawca prawa, wiedział, że mało co tak osłabia przeciwnika jak zwyczajna gra na zwłokę. Miał jedynie nadzieję, że Bertrand Chanboor nie dożył oręża, które zaszkodzi im samym, a nie wrogom.

- Obawiam się, ministrze, że to może się okazać kłopotliwe. Zwodzenie lorda Rahla to dobra rzecz, lecz nie wtedy, kiedy może mu to pozwolić nastawić ludzi przeciwko Imperialnemu Ładowi i przekonać mieszkańców Anderithu do jego celu. Gdyby mu się to istotnie udało, nie moglibyśmy dotrzymać naszych umów. Znaleźlibyśmy się w samym środku wojennej zawieruchy.

- I Jagang na naszym przykładzie pokazałby innym, co spotyka tych, którzy łamią układy - dodała Hildemarą.

Bertrand Chanboor łyknął z kielicha, który zabrał do swojego gabinetu. Odstawił srebrny kielich na niewielki marmurowy blat stolika i rozkoszował się smakiem rumu, zanim go połknął.

- Droga żono i zaufany adiutancie, czyżbyście nie dostrzegali pięknej prostoty mojego pomysłu? Zajmiemy ich czymś, a Imperialny Ład zdobędzie czas na dotarcie tutaj. Odwrócimy ich uwagę do chwili, aż będzie za późno na efektywne przeciwdziałanie. A poza tym wyobraźcie sobie wdzięczność imperatora, kiedy wydamy mu jego największego wroga.

- A niby jak mamy tego dokonać? - spytała Hildemara.

- Miesiąc zwłoki na to głosowanie pozwoli Ładowi wprowadzić tu swoją straż przednią. Mogą przejąć Dominie Dirtch. Nawet jeśli lord Rahl ma w pobliżu wojska, nie będą one mogły przyjść z pomocą jemu i Matce Spowiednicze, którzy będą uczestniczyć w głosowaniu. Jagang będzie niezwyciężony. Imperator dostanie krainę wraz z ludźmi, którzy będą dla niego pracowali, a my zostaniemy za to hojnie wynagrodzeni. Otrzymamy niekwestionowaną władzę. Już nigdy nie będzie żadnych dyrektorów, z którymi trzeba się liczyć. Przez całe życie będziemy rządzić Anderithem, jak zechcemy, i to bez jakiegokolwiek opozycji.

Dalton Campbell wiedział, że życie mieszkańców Anderithu będzie trwało dalej. Dla większości będzie takie samo, choć może nieco biedniejsze, bardziej podporządkowane gromadzeniu dóbr dla Imperialnego Ładu. Nie da się uniknąć zniszczeń i śmierci. Niektórzy zostaną stąd wywiezieni, by służyć imperatorowi. Większość będzie wdzięczna za ocalenie życia. Zastanawiał się, jaki byłby jego los, gdyby nie udało mu się zostać zaufanym adiutantem ministra, który z konieczności i dzięki oddanym przysługom został dopuszczony do układów. Aż zadrżał na myśl, co mogłoby się stać Teresie.

- O ile on dotrzymuje umów - mruknęła Hildemara.

- Imperator, otrzymawszy bezpieczne schronienie dla swoich wojsk, z radością dotrzyma umów - odparł Bertrand. - Nigdy nie zdołamy wydać tego, co obiecał nam za to, że postaramy się, by mieszkańcy Anderithu pracowali tak jak dotychczas. A dla niego to ledwie odrobina tego, co zyska. Musimy jedynie dbać o to, żeby Ład miał pod dostatkiem żywności, kiedy będzie podbijał Midlandy. Z radością zapłaci uzgodnioną cenę.

Lady Chanboor parsknęła gniewnie.

- Ale to nie skończy się tak dobrze, kiedy lord Rahl przekona ludzi, żeby głosowali za przyłączeniem się do niego.

- Z pewnością żartujesz - zarechotał Bertrand. - To, moja droga, jest

najłatwiejsze ze wszystkiego.

Jego małżonka skrzyżowała ramiona, jakby pytała, co miał na myśli.

Campbell też się tym martwił.

- Czyli tak naprawdę nie zamierzasz pozwolić, żeby głosowanie się odbyło?

Bertrand Chanboor popatrzył na nich.

- Nie rozumiecie? Z łatwością wygramy w takim głosowaniu.

- Może w przypadku Anderyjczyków - powiedziała Hildemara. - Ale Hakeni? Składasz nasz los w ręce Hakenów? Tych, którzy są od nas o wiele liczniejsi? Wybiorą wolność.

- Chyba nie. Utrzymujemy Hakenów w niewiedzy. Nie potrafią pojąć, o co tu chodzi. Uważają, że wszystko: pracę, żywność, możliwość wstąpienia do wojska, mają wyłącznie dzięki naszej łaskawości. Wierzą, że jedynie Anderyjczycy mogą im zagwarantować wolność lub nadzieję na jej uzyskanie. Wolności towarzyszy odpowiedzialność, a nie beztraska swoboda, którą by woleli.

Jego żona nie wyglądała na przekonaną.

- Jak możesz być tego taki pewny?

- Roześliśmy mówców, którzy będą załamywali ręce i wylewali łzy, demonstrując przerażenie tym, co czeka ludzi zdanych na łaskę okrutnego imperium D'Hary, w drapieźnych łapach lorda Rahla, który nie ma pojęcia o potrzebach Hakenów i dba wyłącznie o swoją czarną magię. Hakeni będą tak przerażeni możliwością utraty okruchów, które im rzucamy, że odskoczą od podsuwanego im bochna chleba, jeśli przekonamy ich, że ten bochen jest zatruty.

Dalton już gorączkowo myślał o tym, jak mogliby zrealizować pomysł ministra. Dopiero zaczynały mu się objawiać możliwości, jakich dostarczał ten plan.

- Musimy się zastanowić, jak to najlepiej rozegrać - powiedział. - Właściwie nie powinniśmy się do tego w ogóle mieszać.

- Ja też tak uważam - rzekł Bertrand Chanboor.

- Taaaak - powiedziała przeciągle Hildemara, teraz już przekonana do zamiarów męża. - Musimy sprawiać wrażenie, że pytamy ludzi, jak należy postąpić.

- Inni będą mówić to, co im podsunie - dodał minister, skinąwszy



żonie głową. - My za wszelką cenę powinniśmy pozostać poza tym. Powinniśmy dawać do zrozumienia, że mamy ręce związane przez szlachetną bezstronność, że nasz los spoczywa w rękach ludzi, że zależy od ich mądrości, bo ową zasadę i ich pragnienia stawiamy ponad wszystkim.

- Mam ludzi, którzy potrafią to odpowiednio przekazać - stwierdził Dalton, skubiąc dolną wargę. - Nasi wysłannicy powinni iść w ślad za lordem Rahlem i przekazywać ułożone przez nas wieści.

- Słusznie - potwierdził Bertrand Chanboor. - Jeszcze bardziej przekonujące, bardziej zjadliwe i bardziej przerażające niż jego mowy.

Adiutant, pogrążony w myślach i starający się zaplanować właściwą strategię, wykonał przeczący gest.

- Lord Rahl i Matka Spowiedniczka zareagują szybko i nieprzyjemnie, jeśli zaczną coś takiego podejrzewać. Najlepiej byłoby, gdyby w ogóle nie wiedzieli, co się będzie mówić ludziom, przynajmniej na początku. Nasi mówcy mogą się zabrać do dzieła dopiero wtedy, kiedy tamci przeniosą się do następnej miejscowości. Pozwólmy, żeby ofiarowali nadzieję. Zjawimy się po nich i ukażemy zaofiarowaną nadzieję wolności jako kłamstwa, odstraszymy ludzi od takich myśli. - Dalton Campbell wiedział, jak łatwo można za pomocą właściwych słów manipulować ludzkimi umysłami, zwłaszcza jeśli się ludziom namiesza w głowach sprzecznościami i rozproszy ich uwagę jeszcze czymś. - Jeżeli dobrze to rozegramy, ludzie gremialnie nas poprą, a my w tym samym czasie ich zdradzimy. - W końcu się uśmiechnął. - A kiedy już wykonamy swoje zadanie, jeszcze nas wesprą radosnymi okrzykami.

Minister znów łyknął rumu.

- Nareszcie mówisz jak człowiek, którego zaangażowałem.

- Lord Rahl na pewno źle przyjmie fakt, że ludzie odrzucili jego propozycję. Może użyć siły - odezwała się Hildemara.

- Bardzo możliwe. - Bertrand odstawił kielich. - Lecz wówczas Imperialny Ład będzie już miał w garści Dominie Dirtch i lord Rahl nie zdoła nic na to poradzić. On i Matka Spowiedniczka zostaną odizolowani, bez nadziei na posiłki.

- Lord Rahl i Matka Spowiedniczka schwytni w pułapkę w Andericie... - Hildemara nareszcie się uśmiechnęła, schowała pazury. - A Jagang ich dostanie.

- I wynagrodzi nas za to. - Minister uśmiechnął się od ucha do ucha i rzekł do Dal tona: - Gdzie kwaterują dliarańscy żołnierze?

- Między posiadłością a Fairfield.

- Znakomicie. Zadbaj, by lord Rahl i Matka Spowiedniczka mieli to, czego sobie zażyczą. Niech robią, co zechcą. Niech myślą, że we wszystkim idziemy im na rękę.

Adiutant skinął głową.

- Chcą obejrzeć bibliotekę.

Bertrand Chanboor znów podniósł kielich.

- Doskonale. Niech sobie ją zwiedzą i obejrzą, co zechcą. W bibliotece nie ma niczego, co mogłoby im być pomocne.

Richard odwrócił się, usłyszawszy hałas. - A sio! - wrzasnęła Vedetta Firkin. Starsza pani machała rękami, dodając fizyczną groźbę do słownej. - Precz, złodzieju! Kruk skakał po desce przymocowanej do parapetu, machał skrzydłami i głośno wyrażał swoją niechęć do poczynań niewiasty. Vedetta rozejrzała się i złapała oparty o ścianę patyk używany do otwierania okien. Wychyliła się przez okno i trzymając kij niczym miecz, próbowała dźgnąć ptaka. Ten rozpostarł skrzydła, nastroszył pióra na karku i na łepku, aż przypominały rogi, odskoczył do tyłu i zakrakał na nią. Znów zamachnęła się na wielkie czarne ptaszysko. Tym razem kruk wolał się wycofać na pobliską gałąź. I z tego bezpiecznego miejsca wygłosił hałaśliwą, gwałtowną przemowę. Pani Firkin zatrzasnęła okno.

Vedetta Firkin odwróciła się, odstawiła kij pod ścianę i triumfalnie otrzepała ręce. Dumnie zadarła nos i wróciła do spraw czytelników.

Richard i Kahlan rozmawiali z nią, kiedy zjawili się w bibliotece, chcąc ją uspokoić. Richard wolał sobie zapewnić jej chętną współpracę, tak by nie poczuwała się do obowiązku chowania przed nimi jakichś książek. Pani Firkin żywo zareagowała na ich przyjacielskie zachowanie.

- Przepraszam - wyszeptała, jakby chciała tym zrekompensować swoje wrzaski. Przydreptała do Kahlan i Richarda. - Przywiązałam do parapetu tę deskę i sypię tam ptakom ziarno, ale te paskudne kruki kradną je im.

- Kruki również są ptakami - zauważył Richard. Vedetta zeszywniała, trochę zaskoczona.

- Tak, ale... to jednak kruki. Utrapione ptaszyska. Kradną ziarno i wtedy nie przylatują tu śliczne małe śpiewające ptaszki. Bardzo lubię ich trele.

- Rozumiem. - Richard uśmiechnął się i wrócił do swojej książki.

- Przepraszam za zamieszanie, lordzie Rahlu, Matko Spowiedniczko. Po prostu nie chcę, żeby te hałaśliwe kruki wam przeszkadzały, jak to one potrafią. Lepiej się ich od razu pozbyć. Postaram się, żebyście już mieli spokój i ciszę.

- Dziękuję, pani Firkin. - Kahlan uśmiechnęła się do niej. Vedetta stała przy nich jeszcze chwilę.

- Wybacz, że to mówię, lordzie Rahlu, ale masz uroczy uśmiech. Bardzo podobny do uśmiechu jednego z moich przyjaciół.

- Tak? A do którego? - spytał z roztargnieniem Richard.

- Do Rubena. - Zarumieniła się. - To dobrze wychowany przyjaciel.

Chłopak pozwolił Vedetcie nacieszyć się uśmiechem, który tak się jej podobał.

- Jestem pewny, pani Firkin, że dała mu pani powód do uśmiechu.

- Ruben - mruknęła Kahlan, kiedy tamta odchodziła. - To mi przypomina Zedda. Czasami posługiwał się tym imieniem.

Richard tęsknie westchnął za swoim dziadkiem.

- Tak bym chciał, żeby staruszek był tu teraz z nami - szepnął do dziewczyny.

- Nie wahajcie się powiedzieć, jeśli będziecie czegoś potrzebować - rzuciła przez ramię Vedetta Firkin. - Sporo wiem o kulturze Anderithu, o naszej historii.

- Dziękuję, chętnie skorzystamy - zawołał za nią Richard, który właśnie korzystał z tego, że kobieta była do nich odwrócona plecami, i ścisnął pod stołem nogę Kahlan.

- Richardzie, skup się na tym, co czytasz - upomniała go dziewczyna.

Uspokajająco poklepał jej udo. Łatwiej byłoby mu się skupić na czytaniu, gdyby nie czuł przy sobie jej kuszącej obecności. Zamknął książkę i przysunął drugą. Otworzył księgę dawnych miejskich raportów i przeglądał ją, szukając jakiejś pożytecznej wiadomości.

Nie znaleźli zbyt wielu informacji, ale Richardowi udało się posklejać fakty, które mogły się okazać użyteczne. Uznał, że nie zmarnował czasu w bibliotece i że zaczyna poznawać i rozumieć tę krainę. To istotnie była Biblioteka Kultury. Ze względu na ich postawy i głoszone przekonania Richard wątpił, czy wielu ludzi ma choćby blade pojęcie o leżącej przed ich

nosami, ukrytej przed ich wzrokiem zapomnianej historii. Zaczynał sobie uświadamiać, że starożytny Anderith, jeszcze przed pojawieniem się Hakenów, korzystał z dobrodziejstw przewodnictwa, które jednak odsunęły na dalszy plan ukształtowanie się społeczności. Anderyjczyków chroniła opiekuńcza dłoń. Na podstawie starożytnych pieśni i modlitw oraz późniejszych relacji o czci, jaką otaczali swojego protektora, Richard podejrzewał, że była to dłoń Josepha Andera. Taka adoracja, zgodnie z tym, co napisał o nim Kolo, z pewnością ogromnie Anderowi odpowiadała. Chłopak rozpoznał w tym nadziemskim kierownictwie dzieło czarodzieja. Kiedy Ander odszedł, tutejsi mieszkańcy, osieroceni, byli zagubieni bez pomocy swojego bożyszczka, które wciąż czcili, lecz które nie reagowało już na ich prośby. Byli dezorientowani i wydani na łaskę sił, których nie pojmowali.

Richard odchylił się do tyłu, przeciągnął i ziewnął. Stare księgi przepajały bibliotekę lekką wonią stęchlizny. Intrygującą, tajemniczą, lecz w sumie niezbyt przyjemną. Chłopak zaczynał tęsknić za świeżym, przesyconym słońcem powietrzem za oknami i za odkryciem tej długo skrywanej tajemnicy.

Du Chaillu siedziała w pobliżu, czule gładziła brzuch z mającym się narodzić dzieckiem i przeglądała księgę z licznymi ozdobnymi ilustracjami. Były tam rysunki niewielkich zwierząt: fretek, łasic, nornic, lisów i innych. Nie umiała czytać, ale z uśmiechem oglądała obrazki. Jeszcze *nigdy czegoś* takiego nie widziała. A Richard nigdy wcześniej nie widział, żeby tak jej lśniły oczy. Była zachwycona jak dziecko.

Jiaan na poły leżał obok nich, niby to drzemiąc. A przynajmniej wspaniale to markował. Richard wiedział, że mistrz miecza po prostu stara się nie zwracać na siebie uwagi, by móc wszystko obserwować. Po sali przechadzało się kilku d'haranskich żołnierzy. Przy drzwiach stali anderyjscy strażnicy.

Część czytelników natychmiast opuściła bibliotekę, bojąc się, że będą przeszkadzać Matce Spowiednicze i lordowi Rahlowi. Kilku pozostało. Szpiedzy, szepnęła Kahlau do Richarda, sugerując, żeby ich obserwować. I on był tego zdania. Nie bardziej niż dziewczyna ufał ministrowi. Wyrażna niechęć Kahlan, którą okazała, gdy tylko pojawiła się sprawa Anderithu, wpłynęła również na odczucia Richarda. Minister Spraw Duchowych nie

zrobił nic, co by je zmieniło i zaprzeczyło zarzutom Kahlan.

- O, tutaj - odezwał się Richard, stukając palcem w stronicę. - Znowu to samo.

Kahlan pochyliła się i spojrzała. Chrząknęła, zobaczywszy tę nazwę: Westbrook.

- To, co tu napisano, potwierdza to, co już wcześniej znaleźliśmy - powiedział chłopak.

- Znam to miejsce. To małe miasteczko. Niedaleko stąd, o ile sobie przypominam.

Richard uniósł rękę i dał znak starszej pani. Vedetta Firkin natychmiast pospieszyła ku nim.

- Tak, lordzie Rahlu? W czym mogę pomóc?

- Mówiła nam pani, pani Firkin, że sporo wie o historii Anderithu.

- O tak, istotnie. To mój ulubiony temat.

- Znalazłem kilka ustępów, w których wspomina się o miasteczku zwanym Westbrook. I podaje, że niegdyś mieszkał tam Joseph Ander.

- Tak, to prawda. To na podgórzu. Ponad doliną Nareef.

Kahlan mówiła to już Richardowi, lecz dobrze było się upewnić, że niewiasta nie próbowała ich oszukać czy ukryć przed nimi jakiejś informacji.

- Zostało tam coś po nim? Coś, co niegdyś do niego należało? Uśmiechnęła się radośnie, zadowolona, że gość chce się czegoś dowiedzieć o Josephie Anderze, imienniku jej krainy.

- O tak. Jest tam niewielka kapliczka poświęcona Josephowi Anderowi. Ludzie mogą do niej pójść i zobaczyć krzesło, które mu niegdyś służyło, oraz kilka innych drobiazgów. Dom, w którym mieszkał, niedawno spłonął. To był straszliwy pożar, ale niektóre rzeczy ocalały, bo wyniesiono je na czas remontu domu. Woda przeciekała do środka i niszczyła wszystko. Wiatr pozrywał gonty. Gałęzie drzew, no bo cóż innego, powybiły okna i hulał tam wiatr, nawiewając do środka deszcz, aż wszystko zawilgotniało. A potem ogień, ludzie wierzą, że to od pioruna, spalił doszczętnie dom. Jak już jednak mówiłam, trochę rzeczy ocalało, bo wyniesiono je na czas napraw. I teraz ludzie mogą je oglądać. Zobaczyć krzesło, na którym siedział. - Pani Firkin pochyliła się ku Richardowi. - Ale dla mnie najbardziej interesujące są teksty, które po nim zostały

- Teksty? - Richard aż się wyprostował na swoim krześle. Przymknęła

skinieniem siwej głowy.

- Wszystkie przeczytałam. Nic szczególnie ważnego. Po prostu jego uwagi o górach, w pobliżu których mieszkał, o mieście i o ludziach, których znał. Nic ważnego, ale i tak ciekawe.

- Rozumiem.

- A przynajmniej nie takie ważne jak to, co mamy tutaj.

- To znaczy? - Richard zamienił się w słuch.

- O, tam - wskazała dłonią - w podziemiach, mamy kilka jego tekstów. Interesy z innymi, listy, księgi o jego przekonaniach. I tym podobne. Chciałbyś je zobaczyć?

Richard robił, co mógł, by ukryć żywe zainteresowanie. Nie chciał, żeby ci ludzie wiedzieli, czego szuka. Dlatego na początku nie pytał o nic konkretnego.

- Tak, to by mogło być ciekawe. Zawsze się interesowałem... historią. Chętnie obejrzę jego pisma.

Chłopak i Vedetta Firkin zauważyli, że ktoś schodzi po schodach. To był jakiś posłaniec. Richard widział ich sporo, wszyscy byli tak samo ubrani. Rudowłose zobaczył, że pani Firkin rozmawia z Richardem i Kahlan, więc zatrzymał się z dala od nich. Stanął na rozstawionych stopach, splótł ręce za plecami i czekał.

Richard nie chciał rozmawiać o Josephie Anderze w obecności przyglądającego się im posłańca, więc skinął na Vedette.

- Może byś spytała, czego chce? Pochyleniem głowy podziękowała mu za zgodę.

- Pozwól, że cię na chwilę opuszczę.

Kahlan zatrzasnęła książkę i położyła ją na stercie już przejranych.

- Powinniśmy się zbierać, Richardzie. Mamy spotkanie z dyrektorami i kilkoma innymi ludźmi. Możemy tu wrócić.

- Słusznie - westchnął. - Przynajmniej nie musimy się ponownie spotykać z ministrem. Nie zniósłbym kolejnej uczy.

- I on z pewnością ucieszyłby się, gdybyśmy odrzucili jego zaproszenie. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale zawsze psujemy wszelkie biesiady i uroczystości.

Richard zgodził się z nią i podszedł do Du Chaillu. Właśnie podnosiła się z krzesła, kiedy wróciła pani Firkin.

- Chętnie odszukałabym te książki i przyniosła je z podziemi, lordzie Rahlu, gdybyś łaskawie chwilę zaczekał, bo najpierw muszę załatwić pewną sprawę. Jestem przekonana, że spodobają ci się teksty Josepha Andera. Niewielu ludzi ma okazję je zobaczyć, ale dla kogoś tak ważnego jak ty i Matka Spowiedniczka, chętnie...

- Istotnie, pani Firkin, chętnie bym zobaczył te książki. Ale teraz musimy się spotkać z dyrektorami. Czy mógłbym tu wrócić późnym popołudniem lub wieczorem?

- Ależ oczywiście - odparła, uśmiechając się i zacierając dłonie. - Dzięki temu będę miała czas, żeby je odszukać i przynieść tutaj. Będą na ciebie czekać, kiedy wrócisz.

- Serdecznie dziękuję. Matka Spowiedniczka i ja nie możemy się wprost doczekać, żeby obejrzeć te cenne książki, - Richard zatrzymał się i odwrócił ku niej. - A, pani Firkin, radzę, żeby dała pani temu krukowi trochę ziarna. Biedaczysko wygląda na oszalałe z głodu.

- Skoro tak sobie życzysz, lordzie Rahlu.

Wstał, kiedy jeden z jego posłańców wprowadził do komnaty starszą panią.

- Dziękuję, że pani przyszła, pani Firkin.

- No, no, no, panie Campbell, ależ pan ma wspaniały gabinet. - Rozejrzała się, jakby chciała to kupić. - Naprawdę prześliczny.

- Dziękuję, pani Firkin.

Skinieniem głowy dał znak posłańcowi, żeby wyszedł. Tamten zamknął za sobą drzwi.

- O, spójrzcie - powiedziała, przyciskając do podbródka złożone modlitewnie dłonie. - Spójrzcie tylko na te wszystkie piękne książki. Nie miałam pojęcia, że tu, na górze, jest aż tyle wspaniałych tomów.

- Przede wszystkim książki prawnicze. Zajmuję się prawem. Popatrzyła na niego.

- Piękny fach, panie Campbell. Piękny fach. Odpowiedni dla ciebie. Już się go teraz trzymaj.

- Owszem, tak właśnie zamierzam zrobić. A wspomnienie o prawie, pani Firkin, przywiodło mi na myśl sprawę, dla której panią tu poprosiłem.

Zerknęła na krzesło. Rozmyślnie nie zaproponował, żeby usiadła. Trzymał ją na stojąco.

- Doniesiono mi, że bibliotekę odwiedził człowiek, który również interesował się prawem. Podobno narobił sporo zamieszania. - Dalton oparł pięści na osadzonej w blacie biurka skórzanej podkładce i pochylił się do przodu, wbijając w panią Firkin groźne spojrzenie. - Doniesiono mi, że bez pozwolenia wyniosła pani z podziemi zakazaną książkę i pokazała ją temu człowiekowi.

W mgnieniu oka zmieniła się z gadatliwej starej damy w przerażoną starą damę.

Jej czyn, choć zdarzał się często, był przecież pogwałceniem zasad, a tym samym i prawa. Większość praw była przestrzegana wybiórczo, ich naruszenie zaś łagodnie - o ile w ogóle - karane. Niekiedy jednak ludzie, łamiąc przepisy, wpadali w tarapaty. Dalton, jako prawnik, pojmował znaczenie powszechnie ignorowanych praw. Dawały mu władzę nad ludźmi, bo niemal wszyscy wpadali w ich pułapkę. Ona zaś popełniła poważne wykroczenie, prawie równe kradzieży dóbr kultury - o ile zechciałby nadać sprawie bieg.

Pani Firkin skubała palcami guzik pod szyją.

- Ale nie pozwoliłam mu jej dotknąć, panie Campbell. Przysięgam. Cały czas trzymałam ją w ręce. Nawet sama odwracałam stronice. Tylko pozwoliłam mu popatrzeć na pismo naszego prześwietnego ojca założyciela. Nie zamierzałam...

- Ale było to niedozwolone i doniesiono mi o tym, toteż muszę podjąć odpowiednie kroki.

- Tak, panie.

Dalton wyprostował się.

- Przynieś tę książkę. - Postukał w biurko. - Przynieś mi ją natychmiast. Natychmiast, rozumiesz?

- Tak, panie. Natychmiast.

- Przynieś ją tutaj i połóż na moim biurku, żebym mógł ją przejrzeć. Jeśli nie zawiera informacji, cennych informacji, które można było zdradzić szpiegowi, to tym razem nie zalecę żadnych działań dyscyplinarnych. Lepiej jednak, pani Firkin, żeby cię już nigdy nie przyłapano na łamaniu zasad. Zrozumiałaś?

- Tak, panie. Dziękuję, panie. - Była bliska łez. - Panie Campbell, w bibliotece byli lord Rahl i Matka Spowiedniczka.



- Tak, wiem.

- Lord Rahl chciałby zobaczyć księgi i teksty Josepha Andera. Co mam zrobić?

Dalton Campbell ledwo mógł uwierzyć, że tamten tracił czas na oglądanie takich bezużytecznych księzek. Niemal współczuł lordowi Rahlowi, że jest taki niedouczony. Niemal.

- Matka Spowiedniczka i lord Rahl to czcigodni goście i ważni ludzie. Mogą zobaczyć w twojej bibliotece każdą książkę. Dla nich nie ma żadnych zakazów. Żadnych. Niniejszym upoważniam cię do pokazania wszystkiego, co mamy. - Znów postukał w biurko. - Lecz tę książkę, którą pokazywałaś owemu Rubenowi, chcę mieć na swoim biurku, i to natychmiast.

Kobieta wierciła się, jakby lada moment miała się zmoczyć.

- Tak, panie. Natychmiast, panie Campbell. - Pospiesznie wyszła z gabinetu. Jej życiowym celem stało się teraz znalezienie tamtego tomu.

Tak naprawdę adiutantowi wcale nie zależało na tej książce. Nie życzył sobie jednak, by ludzie w bibliotece zaczęli się zaniedbywać i łamać zasady. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby ludzie, którym nie ufał, czuwali nad ważnymi rzeczami.

Jego pajęczyna drżała od spraw o wiele poważniejszych niż jakaś bezużyteczna, zakurzona księga autorstwa Josepha Andera, ale Campbell musiał mieć oko na wszystko, choćby to był tylko drobiazg. Na pewno rzuci okiem na tę księgę, choć liczyło się dlań jedynie to, by pani Firkin ją przyniosła.

Od czasu do czasu należało trochę postraszyć ludzi, przypomnieć im, kto tu rządzi i od kogo zależy ich życie. O tej sprawie na pewno usłyszy reszta pracowników. Strach przywoła wszystkich do porządku. Jeżeli nie, to następnym razem winowajca zostanie dla przykładu wyrzucony z posiadłości.

Dalton Campbell opadł na krzesło i zaczął przeglądać stos pism. Najbardziej niepokojące z nich donosiło, że zdrowie Suwerena się poprawia. Znów zaczął jeść. Niezbyt dobry to znak, ale przecież nie może żyć wiecznie. Bertrand Chanboor prędzej czy później i tak zostanie Suwerenem.

Spora część raportów dotyczyła zgonów. Ludzie mieszkający poza Fairfield byli przerażeni niesamowitymi wypadkami, niezwykle powodami zgonów. Spalenia, utonięcia, upadki z wysokości. Wieśniacy,

przerażeni nocnymi dziwami, zaczęli napływać do miasta w poszukiwaniu bezpieczeństwa.

Ale i mieszkańcy miasta umierali z podobnych powodów i też byli wystraszeni. W poszukiwaniu bezpieczeństwa opuszczali miasto i uciekali na wieś.

Dalton z niesmakiem potrząsał głową, myśląc o głupich ludzkich lękach. Zebrał wszystkie te pisma. Już miał je zapalić od płomienia świecy, kiedy coś przyszło mu na myśl. Jego ręka znieruchomiała. Cofnął plik.

Coś, co kiedyś powiedziała Franca, podsunęło mu pewien pomysł. Te pisma mogły się przydać. Wrzucił je do szuflady.

- Wciąż pracujesz, kochanie?

Podniósł wzrok na dźwięk znajomego głosu. Do gabinetu wchodziła Teresa w ponętnej różowej sukni, której sobie nie przypominał.

Uśmiechnął się.

- Tess, skarbie, co cię tu sprowadza?

- Przyszłam, żeby cię przyłapać z kochanką.

- Co takiego?!

Minęła biurko, zatrzymała się i wyjrzała przez okno. Zielona aksamitna szarfa opasywała stan sukni, podkreślając kształty Teresy. Dalton wyobraził sobie swoje dłonie na miejscu szarfy.

- Bardzo byłam samotna tej nocy - powiedziała, obserwując ludzi na trawniku.

- Wiem. Przepraszam, ale były pisma, które musiałem...

- Myślałam, że byłeś z inną.

- Co takiego?! Tess, przecież napisałem do ciebie, wyjaśniając, że mam pracę.

Odwróciła się ku niemu.

- Kiedy przysłałeś słówko, że będziesz pracował do późna, zbytnio się tym nie przejęłam. Każdego wieczoru pracujesz do późna. Ale kiedy obudziłam się już prawie o świcie, a ciebie nie było przy mnie... no cóż, pomyślałam, że z pewnością jesteś w łóżu innej kobiety.

- Tess, nigdy bym...

- Chciałam iść i rzucić się na lorda Rahla, żeby wyrównać rachunki, ale on ma Matkę Spowiedniczkę, a ona jest o wiele ładniejsza ode mnie. Poza tym wiedziałam, że tylko by się roześmiał i mnie odprawił. Ubrałam się więc

i przyszedłam tutaj, by się przekonać, że naprawdę nie pracujesz, na wypadek gdybyś mnie potem okłamywał i mówił, że pracowałeś. Widziałam twoich posłańców miotających się wokół, jakby się szykowali na wojnę. Widziałam, jak stałeś, podając im pisma i wydając polecenia. Naprawdę pracowałeś. Patrzyłam przez chwilę.

- Dlaczego nie weszłaś?

Wreszcie podeszła do niego i usiadła mu na kolanach. Objęła go za szyję i spojrzała mu w oczy.

- Nie chciałam ci przeszkadzać, bo byłeś taki zajęty.

- Nigdy mi nie przeszkadzasz, Tess. W całym moim życiu ty jedna mi nie przeszkadzasz.

Wzruszyła ramionami.

- Wstydziałam się, że się domyślisz, iż ubzdurałam sobie, że mnie oszukujesz.

- To dlaczego teraz mi to mówisz?

Pocałowała go, jak tylko ona potrafiła: namiętnie, do utraty tchu. Potem odchyliła się do tyłu i z uśmiechem patrzyła, jak zagląda jej w dekolt.

- Bo cię kocham i tęsknię za tobą - szepnęła.- Dopiero co dostałam nową suknię. Pomyślałam, że może cię nią skuszę do łóżka.

- Dla mnie jesteś o wiele piękniejsza niż Matka Spowiedniczka. Uśmiechnęła się i cmoknęła go w czoło.

- No to jak, wracasz na chwilę do domu? Poklepał ją po pupie, gdy wstała.

- Za chwileczkę.

Ann zerknęła i zobaczyła, że Alessandra patrzy, jak ona się modli. Wcześniej spytała ją, czy nie będzie jej przeszkadzało, jeśli pomodli się przed posiłkiem.

Zaskoczona Siostra Mroku odpowiedziała po chwili:

- A niby dlaczego miałoby mi to przeszkadzać?

Ksieni, siedząc na gołej ziemi w swoim brudnym namiocie, pogrążyła się w żarliwej modlitwie. Pozwoliła sobie na radość obcowania ze Stwórcą, podobnie jak kiedyś otwierała się na swoją Han. Pozwoliła, by Światło wypełniło ją radością. Pozwoliła, by jej serce poczuło spokój płynący z kontaktu ze Stwórcą, by przepełniła ją wdzięczność za to wszystko, co miała, podczas gdy inni byli w o wiele gorszej sytuacji.

Modliła się, by Alessandra poczuła promień radującego Światła i

otworzyła na nie swoje serce.

Kiedy skończyła, wychyliła się na tyle, na ile pozwalały jej łańcuchy, i na znak wierności Stwórcy, któremu była symbolicznie poślubiona, pośłała pocałunek ku swojemu serdecznemu palcu. Wiedziała, że Alessandra przypomni sobie nieopisaną radość płynącą z modłów do Stwórcy, radość otwierania serca w podzięcie dla tego, który ofiarował człowiekowi duszę. W życiu każdej Siostry były takie chwile, gdy cicho i nabożnie szlochała na osobności, czując tę radość.

Ann dostrzegła przebłysk tęsknoty za tym, gdy Alessandra odruchowo uniosła do ust swój serdeczny palec.

W przypadku Siostry Mroku taki czyn równałby się zdradzie Opiekuna.

Alessandra zaprzysięgła duszę, którą otrzymała od Stwórcy, Opiekunowi zaświatów - złu. Ksieni nie potrafiła sobie wyobrazić, co też Opiekun mógłby dać w zamian za radość wyrażania w modlitwie wdzięczności dla tego, który wszystko stwarzał.

- Dziękuję, Alessandro. To miło z twojej strony, że pozwoliłaś mi się pomodlić przed posiłkiem.

- Co tam w tym miłego - odparła tamta. - Łatwiej wszystko zjesz, a ja będę się mogła zająć swoimi sprawami.

Ann przytaknęła, rada, że poczuła w swoim sercu Stwórcę.

## ROZDZIAŁ 54

- I co zrobimy? - wyszeptał Morley.

Fitch podrapał się w ucho i szepnął:

- Ciiii. Właśnie to obmyślam.

Chłopak nie miał pojęcia, co robić, ale nie chciał, żeby Morley o tym wiedział. Był pod wrażeniem, że Fitch znalazł to miejsce. I zdał się na niego, uważając, że posłaniec wie, co robić.

Choć nie bardzo było co wiedzieć. Głównie jechali co koń wyskoczy. Mieli pieniądze od Daltona Campbella, więc nie musieli zbyt wyęźać umysłu. Mogli sobie kupować żywność i nie musieli polować ani kraść. Mogli sobie kupić wszystko, czego potrzebowali - nie musieli sami niczego sporządzać. Fitch nauczył się, że złoto w znacznym stopniu kompensuje braki w wiedzy. Dorastał na ulicach Fairfield, wiedział zatem, jak pilnować pieniędzy, jak ustrzec się oszustwa, kradzieży i okpienia. Postępował rozważnie, nie kupował rzucających się w oczy strojów ani niczego podobnego, co zachęciłoby innych do uderzenia ich w głowy albo i do czego gorszego.

Największym zaskoczeniem było to, że nikogo nie obchodziło, iż są Hakenami. Inni zdawali się nawet o tym nie wiedzieć. Większość ludzi traktowała ich przyzwoicie i uważała za uprzejmich młodzianów.

Fitch nie dawał się namówić Morleyowi do kupowania napitków w gospodach. Wiedział, że to najlepszy sposób, by pokazać niewłaściwym ludziom, iż mają pieniądze, a pijani łatwo zapominają o ostrożności. Kupowali sobie butelkę i upijali się dopiero wtedy, kiedy już rozbili na uboczu obóz na noc. Początkowo dużo pili. Fitchowi pozwalało to zapomnieć, iż ludzie myślą, że to on zgwałcił Beatę.

W jednym z miast, przez które przejeżdżali, Morley chciał wydać trochę pieniędzy na dziwki, ale Fitch był temu przeciwny. Wreszcie ustąpił, bo w końcu były to również pieniądze jego kompana. Czekał na niego za miastem, z końmi i bagażami. Dobrze wiedział, co czasem spotyka w Fairfield podróżnych odwiedzających prostytutki. Później uśmiechnięty od ucha do ucha Morley zaproponował, że teraz on wszystkiego popilnuje, a Fitch pójdzie do jakiejś pani. Chłopaka nawet to kusilo, ale sama myśl o tym okropnie go zdenerwowała. Pomyślał, że gdyby nawet zdobył się na odwagę,

to ta kobieta śmiała się z niego, a jemu wtedy zaczęłyby się trząść kolana i strasznie pocić ręce. Wiedział, że by się śmiała. Morley był wielki, silny i męski. Kobiety nie naśmiewałyby się z niego. Beata zawsze śmiała się z Fitcha. Nie chciał, żeby jakaś obca kobieta zaczęła wyśmiewać jego kościstą sylwetkę, gdyby się rozebrał. W końcu uznał, że nie będzie ryzykował i że nie będzie na to marnował ich pieniędzy. Nie miał pojęcia, ile będzie kosztowało dotarcie tam, dokąd zdążali, i nie chciał, żeby pieniądze zbyt szybko się skończyły. Morley nazwał go głupkiem. Twierdził, że to lepsze od ceny, jaką się płaci. Przez cały tydzień o niczym innym nie gadał, Fitch żałował, że nie poszedł w jego ślady, bo wtedy mógłby mu zamknąć usta.

Okazało się, że nie musiał się martwić o pieniądze. Wcale dużo nie wydali. Zwłaszcza w porównaniu z sumą, jaką mieli. Dzięki pieniądzom podróż nie trwała długo. Mogli zmieniać konie i jechać, nie troszcząc się o siły wierzchowców.

Morley potrząsnął głową.

- Tyle drogi za nami, a tu nas przystopowali.

- Mówiłem, żebyś był cicho. Chcesz, żeby nas złapali? Morley zamilkł i tylko drapał się po świeżym zarostcie. Fitch żałował, że ma ledwie parę włosków na twarzy. Jego towarzyszowi rosła prawdziwa broda, więc czasem czuł się przy nim jak dzieciak. Tamten miał szerokie bary i sypiący się zarost.

Fitch patrzył na strażników. Nie było innego przejścia niż ten most. Franca mówiła mu o tym, a teraz widział to na własne oczy. Musieli przejść przez most albo zawrócić. Chłopak poczuł na karku pieszczotę dziwnego, szepczącego wiatru. Zatrząsnął się, kiedy powiew zniknął.

- Co on, według ciebie, robi? - szepnął nagle Morley. Fitch zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć. Jeden ze strażników wdrapywał się na kamienną balustradę. Chłopakowi opadła szczęka.

- Drogie duchy! Widziałeś?! Morleya aż zatkało.

- Czemu on to zrobił?

Nawet z tej odległości Fitch słyszał wrzaski żołnierzy biegnących ku balustradzie i patrzących w dół.

- Oczom nie wierzę - szeptał Morley. - Czemu skoczył? Fitch potrząsnął głową. Już miał coś powiedzieć, kiedy zobaczył, że żołnierz po drugiej stronie mostu też wspina się na kamienne obramowanie. Wskazał go ręką.

- Patrz! Jeszcze jeden!

Strażnik wyciągnął ramiona, objął powietrze i skoczył w przepaść. Inni pobiegli w tamtą stronę i trzeci skoczył w objęcia śmierci. Szaleństwo jakiegoś. Fitch leżał na brzuchu, osłupiały ze zdumienia.

Kolejni żołnierze skakali z mostu, ich dalekie krzyki brzmiały jak dźwięki dzwonów. Sięgali po broń po to tylko, żeby ją odrzucić i wspiąć się na kamienną balustradę.

Coś popychało Fitcha, napierało na jego plecy, jakby jego wyobraźnia skłaniała go do wykorzystania tej okazji. Czuł mrowienie na karku. Wstał.

- Podnieś się, Morley. Idziemy.

Morley ruszył za kolegą, który biegł ku ukrytym wśród drzew koniom. Fitch wsunął stopę w strzemień i wskoczył na siodło. Uderzył konia piętami, zmusił do galopu. Morley zrobił to samo. Szlak prowadził pod górę, zakosami o zmiennym nachyleniu, więc przez drzewa nie było widać, czy żołnierze się pozbierali. Fitch nie wiedział, czy tamci będą wystarczająco wstrząśnięci i przerażeni, by on i Morley zdołali się przedrzeć. A innej możliwości nie mieli. Nie miał pojęcia, co się działo.

Jak wiatr wypadli z za ostatniego zakrętu. Fitch uznał, że po tym spustoszeniu przemkną obok reszty strażników i pokonają most.

Most był pusty. Nigdzie nie było widać żołnierzy. Fitch sprawił, że koń przeszedł do stępa. Poczul zimny dreszcz na myśl o strażnikach, których tu niedawno widział. Teraz jedynie wiatr strzegł mostu.

- Na pewno chcesz tam pójść, Fitch?

Głos przyjaciela drżał. Chłopak spojrzał tam gdzie on i też to zobaczył. Sterczała ze stoku góry, jakby była jej częścią. Była ciemna, groźna. Najokropniejsze miejsce, jakie widział lub potrafił sobie wyobrazić. Wały obronne i mury wznosiły się ponad monumentalnym murem zewnętrznym zwieńczonym blankami.

Fitch był zadowolony, że siedzi w siodle, gdyż na ten widok z pewnością ugięłyby się pod nim nogi. Nigdy w życiu nie widział czegoś tak olbrzymiego i ponurego jak Wieża Czarodzieja.

- Za mną. Zanim się dowiedzą, co się stało, i przyślą nowych strażników - powiedział.

- A co się stało? - Morley rozejrzył się po pustym moście.

- To magiczne miejsce. Wszystko się mogło zdarzyć. Fitch przesunął się do przodu w siodle i koń ruszył. Zwierzęciu most wcale się nie podobał, więc

z radością przeszło w galop.

Przemknęli przez przejście w murze zewnętrznym, pod uniesioną masywną kratą.

W środku był ogrodzony teren dla koni. Fitch nie pozwolił Morleyowi rozsiodłać wierzchowców. Powiedział, że to na wypadek, gdyby musieli szybko uciekać. Jego kompan też nie miał ochoty zbyt długo tu tkwić. Razem wbiegli po dwunastu szerokich granitowych stopniach wygładzonych i wydeptanych przez stopy kroczących tędy przez całe wieki czarodziejów.

W środku było tak, jak opowiadała Franca, tyle że jej opis nie dorównywał wspaniałej rzeczywistości. Przez szklany dach, zawieszony sto stóp w górze, wpadał słoneczny blask. Pośrodku wyłożonej płytami posadzki znajdowała się fontanna o misach w kształcie koniczyny. Woda wzbijała się piętnaście stóp ponad górną misę, po czym spływała kolejno do coraz większych mis, by w końcu trafić do sadzawki otoczonej białym marmurowym murkiem mogącym służyć jako ławka. Czerwone marmurowe kolumny były tak wielkie, jak mówiła Franca. Podtrzymywały łuki pod balkonem okalającym owalną komnatę. Morley gwizdnął. Z oddali odpowiedziało mu echo.

- Chodźmy - rzucił Fitch, otrząsając się z podziwu.

Przebiegli przez hol, o którym opowiadała mu czarodziejka, i wypadli z drzwi na szczycie kilku kondygnacji schodów. Poszli przejściem wokół przysadzistych budynków bez okien i weszli po schodach okalających wieżę. Podążyli przejściem biegnącym pod jakąś drogą, a następnie kamiennym mostem przerzuconym ponad leżącym daleko w dole małym zielonym podwórkiem. W końcu dotarli do potężnego wału obronnego, który był równie szeroki jak droga. Fitch wyjrzał w prawo przez na tyle szerokie odstępy w krenelażu, by mógł w nich stanąć człowiek. W dole rozciągało się Aydindril. Dla chłopaka, który dorastał na płaskich terenach Anderithu, był to widok przyprawiający o zawrót głowy. W trakcie podróży wiele rzeczy wywarło na Fitchu wielkie wrażenie, lecz żadna nie dorównywała temu widokowi.

U krańca wału obronnego dwanaście olbrzymich kolumn z czerwonego marmuru podtrzymywało entablature z ciemnego kamienia. Po obu stronach zdobionych złotem drzwi stało ich sześć. Nad kolumnami widniały kamienne pasy, niektóre wyłożone mosiężnymi płytami lub metalowymi



krążkami, a jedne i drugie ozdobione dziwaczными symbolami.

Kiedy przemierzali długi wał obronny, Fitch uświadomił sobie, że drzwi musiały mieć przynajmniej dziesięć, dwanaście stóp wysokości i ze cztery stopy szerokości. Na ozdobionych złotem wrotach widać było część spośród symboli, które wyryto na płytach lub krążkach.

Fitch pchnął drzwi, a te otwarły się cicho.

- Tutaj - wyszeptał.

Chłopak nie wiedział, dlaczego szepcze - może bał się, że obudzi duchy czarodziejów nawiedzające to miejsce. Nie chciał, żeby duchy kazały mu skoczyć z wału tak jak kazały skoczyć tamtym żołnierzom z mostu. Urwisko spadało na tysiące stóp.

- Na pewno? - spytał Morley.

- Ja wchodzę. Możesz tu czekać albo iść ze mną. Jak zechcesz. Oczywiście Morleya biegały tu i tam, nie wiedząc, na czym się zatrzymać.

- Chyba pójdę z tobą.

W środku, po obu stronach, na zielonych marmurowych postumentach tkwiły szklane kule prawie tak duże jak głowa. Były niczym bezrękie rzeźby czekające, by powitać gości w wielkiej sali ozdobionej wspaniałą kamieniarską robotą. Pośrodku cztery kolumny z lśniącego czarnego marmuru o obwodzie równym co najmniej długości konia od łba do ogona tworzyły kwadrat podtrzymujący luki tuż pod zewnętrznym obrzeżem środkowej kopuły. Pełno było kinkietów z kutego żelaza, w których tkwiły świece, ale przez krąg okien w kopule wpadało tyle światła, że nie musieli ich zapalać. Fitchowi wydawało się, że znalazł się w miejscu, które mogło należeć do samego Stwórcy. Że powinien paść na kolana i się tutaj modlić.

Skrzydło, w którym byli, wyściełał czerwony dywan. Po każdej jego stronie stały rzędem wysokie na sześć stóp małe marmurowe postumenty. Każdy z nich był grubszy w obwodzie niż brzuch mistrza Drummonda. Na postumentach spoczywały jakieś przedmioty. Ładne miski, ozdobne złote łańcuchy, atramentowoczarne butelka i inne przedmioty wycięte z narośli oderwanych od pni drzew. Niektórych Fitch w ogóle nie potrafił rozpoznać. Nie poświęcił zbyt wiele uwagi rzeczom leżącym na postumentach. Popatrzył przez wielką salę na drugą stronę centralnej kopuły. Zobaczył tam stół zawalony mnóstwem najrozmaitszych rzeczy, a o niego wsparty przedmiot, po który tu przyszedł.

Między każdą parą czarnych kolumn o złotych kapitelach od rozległego centralnego westybulu odchodziło boczne skrzydło. To po lewej wyglądało jak nieporządna biblioteka: wszędzie stały wysokie sterty książek. Prawe skrzydło było ciemne.

Fitch potruchtał czerwonym dywanem. Na końcu może dwanaście szerokich stopni prowadziło na obniżoną podłogę z kremowego marmuru. Miejsce to leżało pośrodku Wieży Pierwszego Czarodzieja, pod kopułą. Wbiegł po dwa stopnie po schodach wznoszących się z drugiej strony, ku stołowi stojącemu pod wielkim, zaokrąglonym u góry oknem.

Na blacie było mnóstwo najrozmaitszych przedmiotów: misy, świece, zwoje, księgi, dzbany, kule, metalowe czworoboki i trójkąty, a nawet czaszka. Inne, większe przedmioty porozstawiano dokoła na podłodze.

Morley sięgnął po czaszkę. Fitch uderzył go w rękę.

- Niczego nie dotykaj. - Wskazał spoglądając na nich czaszkę. - To może być czaszka czarodzieja, więc jak ją dotkniesz, to ożyje. Czarodzieje to potrafią.

Chłopak gwałtownie cofnął rękę.

Fitch wyciągnął drżącą dłoń i wreszcie dotknął przedmiotu, po który tu przyszedł. Podniósł go. Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażał. Złote i srebrne ozdoby były najpiękniejsze ze wszystkich, jakie widział w życiu, a widział ich sporo w posiadłości ministra. Żaden Anderyjczyk nie miał niczego, co dorównywałoby temu pięknem.

- To to? - zapytał Morley.

Fitch powiódł palcami po wypukłych literach na rękojeści. To jedyne słowo potrafił przeczytać.

- Tak. To Miecz Prawdy.

Fitch wrósł w podłogę. Trzymał w dłoni wspaniały oręż, wodził palcami po oplecionej drutem rękojeści, po wygiętym w dół jelcu, po przepięknej złotej i srebrnej pochwie. Nawet skórzany pendent był ślicznej roboty, delikatny i miękki w dotyku.

- Jak ty to bierzesz, to co ja mogę zabrać? - spytał Morley.

- Nic - rozległ się za nimi jakiś głos.

Obaj wzdrygnęli się i wrzasnęli. Jednocześnie się obrócili.

Zamrugali powiekami, ledwo wierząc własnym oczom. Stała tam przepiękna niebieskooka blondynka w skórzanym stroju. Był obcisły jak

druga skóra. Strój modelował jej kształty w sposób, jakiego Fitch jeszcze nie widział. Mocno wycięte suknie Anderyjek ukazywały czubki ich piersi, ten strój zaś, choć wszystko zakrywał, pokazywał jednak o wiele więcej. Chłopak widział nawet, jak poruszały się jej smukłe, silne mięśnie, kiedy szła ku nim.

- To nie wasze. Oddajcie, chłopcy, zanim się pokaleczycie - powiedziała.

Morley nie lubił, gdy nazywano go chłopcem, zwłaszcza jak mówiła tak do niego jakaś samotna baba. Fitch zobaczył, że pomywacz napina krzepkie mięśnie.

Kobieta wsparła się pod boki. Jak na niewiastę stojącą przed dwoma chłopakami, którzy łatwo by sobie z nią poradzili, była bardzo odważna. Fitch stwierdził, że nie widział zbyt wiele kobiet, które potrafiły patrzeć równie groźnie jak ta, ale tak naprawdę się nie bał. Teraz był sobie panem i nikomu nie musiał się tłumaczyć.

Pamiętał, jaka bezradna była Claudine Winthrop. Jak łatwo było ją obezwładnić. To też była tylko kobieta, tak jak Claudine.

- Co tu robicie? - zapytała.

- Chyba możemy ciebie zapytać o to samo - odciął się Morley. Obrzuciła go groźnym spojrzeniem i wyciągnęła rękę do Fitcha.

- To nie należy do ciebie. - Poruszyła palcami. - Oddaj, zanim się zdenerwuję i zrobię ci krzywdę.

W tej samej chwili Fitch i Morley skoczyli w przeciwne strony. Kobieta ruszyła za Fitchem. Rzucił miecz Morleyowi. Ten złapał oręż, śmiał się, wymachiwał nim ku kobiecie, drażnił ją. Fitch przemknął za jej plecami i pobiegł ku drzwiom. Skoczyła ku Morleyowi. Przerzucił miecz ponad jej głowę i wyciągniętymi ramionami. Cała trójka pobiegła po obniżonej podłodze pośrodku komnaty. Kobieta zanurkowała ku Fitchowi, złapała go za nogę i podcięła. Padając, rzucił broń Morleyowi. Napastniczka poderwała się i pobiegła, nim Fitch zdążył się podnieść. Morley pchnął ramieniem jeden z białych postumentów i przewrócił go na czerwony dywan przed biegnącą. Misa runęła na podłogę i rozprysła się na tysiąc odłamków, które z dźwięcznym, melodyjnym brzękiem rozsypały się po dywanie i marmurze.

- Nie macie pojęcia, co robicie! - wrzasnęła. - Natychmiast przestańcie! To nie wasze! To nie jest dziecinna zabawa! Nie macie prawa czegokolwiek tu dotykać! Może właśnie powodujecie poważną szkodę! Tu chodzi o życie!

Ona i Morley tańczyli po przeciwnych stronach innego postumentu.

Skoczyła ku chłopakowi, a on pchnął na nią postument. Krzyknęła, kiedy ciężka złota waza spadła i uderzyła ją w ramię. Fitch nie wiedział, czy był to krzyk bólu, czy wściekłości.

Cała trójka posuwała się zakosami od postumentu do postumentu po obu stronach czerwonego dywanu i coraz bardziej zbliżała do drzwi. Chłopcy rzucali sobie miecz, gdy kobieta się tego nie spodziewała. Fitch przewrócił jedną z kolumnienek, by ją zatrzymać, i zdziwił się, że była aż taka ciężka. Patrząc na Morleya, myślał, że łatwo je wywrócić. Okazało się, że wcale nie, więc więcej tego nie próbował.

Kobieta krzyczała na nich, żeby przestali niszczyć bezcenne magiczne przedmioty, lecz kiedy Morley pchnął postument z atramentowoczną buteleczką, wrzasnęła przeraźliwie. Postument runął. Naczynie spadało. Kobieta skoczyła na podłogę, długi warkocz leciał za nią. Upadła i pojechała ślizgiem. Buteleczka przeleciała jej przez ręce, uderzyła w dywan i potoczyła się, ale nic się jej nie stało.

Fitch, patrząc na minę kobiety, miał wrażenie, że jej życie ocalało, bo buteleczka się nie rozbiła.

Napastniczka wstała i rzuciła się ku nim, kiedy mijali drzwi. Na zewnątrz rechoczący Morley rzucił Fitchowi miecz, kiedy biegli skrajem wału obronnego.

- Chłopcy, nie macie pojęcia, jak wysoka jest stawka. Potrzebuję tego miecza. To bardzo ważne. Nie należy do was. Oddajcie mi go, proszę, a pozwolę wam odejść.

Wyraz oczu Morleya świadczył, że ma ochotę zrobić jej krzywdę. I to porządną. Miał taki sam wzrok jak przy Claudine Winthrop.

Fitch chciał tylko zdobyć miecz, ale zaczynał pojmować, że muszą coś zrobić, aby ją powstrzymać, bo inaczej się jej nie pozbędą. Nie zamierzał oddawać oręża. Nie po tym, przez co przeszli.

- Hej, Fitch! - zawołał Morley. - Według mnie teraz twoja kolej na babę. Ta jest nawet za darmo. Mam ci ją przytrzymać?

Chłopak był zdania, że jest całkiem ładna. I sprawiała im kłopoty. To byłaby jej wina. Nie dawała im spokoju. Nie pilnowała własnego nosa. Dostanie za swoje. Wiedział, że skoro kierują nim słuszne powody, to zasługuje na to, by zostać Poszukiwaczem Prawdy. Ta kobieta nie miała prawa się do tego wtrącać.

W jaskrawym słońcu jej czerwony skórzany strój sprawiał wrażenie wścieklejszego. Bo minę miała na pewno wścieklejszą. Wyglądała, jakby ją ktoś podniósł za warkocz i zanurzył we krwi.

- Staralam się to zrobić na jego sposób - mruzczała do siebie. - Próbowałam go prosić. - Fitch pomyślał, że to pewnie wariatka, która stoi z rękami na biodrach i gada do nieba. -1 co mi to dało? Nic. Dość tego. Mam tego dość.

Odetchnęła gniewnie i wyciągnęła czerwone rękawice, do tej pory zatknięte za pas. Wsunęła w nie dłonie. Był to groźny i ostateczny gest.

- Już was nie ostrzegam! - warknęła tonem, od którego Fitchowi zjeżyły się włosy na karku. - Oddajcie to, i to natychmiast!

Patrzyła ponuro i groźnie na Fitcha, a Morley ruszył na nią. Zamachnął się wielką pięścią, chciał uderzyć ją w bok głowy. Fitch sądził, że chciał ją zabić jednym ciosem, tak mocny wziął zamach.

Kobieta nawet nie spojrzała na napastnika. Złapała jego pięść, szarpnęła i zanurkowała pod nią, wykręcając chłopakowi ramię. Zacisnęła zęby i szarpnęła ramię w górę. Wstrząśnięty Fitch usłyszał mdlący trzask. Morley krzyknął. Ból powalił go na kolana.

Fitch jeszcze nigdy nie spotkał takiej kobiety. Teraz zbliżała się do niego. Nie biegła, lecz szła tak zdecydowanie, że chłopakowi zaparło dech. Stał jak skamieniały, nie wiedział, co robić. Nie chciał porzucić przyjaciela, lecz jego stopy pragnęły uciekać. Nie chciał oddać miecza. Na ślepo wyczuwał za sobą blanki, cofał się wzdłuż muru.

Morley podniósł się. Biegł ku kobiecie. A ona spokojnie szła ku Fitchowi - po miecz. Fitch uznał, że może mógłby dobyć miecza i pchnąć ją, na przykład w nogę. Mógłby ją zranić. Ale może nie będzie musiał. - Morley był już blisko, szarżował jak rozwścieczony byk. Tym razem nikt go nie zatrzyma.

Nawet nie odwróciła się ku nadbiegającemu chłopakowi. Z gracją usunęła mu się z drogi, nie odrywając przy tym od Fitcha groźnego spojrzenia, i uniosła ramię, po czym uderzyła łokciem w twarz atakującego.

Głowę Morleya szarpnęło do tyłu. Trysnęła krew.

Oddychając miarowo, kobieta odwróciła się i chwyciła zdrową rękę pomywacza. Oparła kciuk na grzbiecie, a palce we wnętrzu jego dłoni i zgięła ją w nadgarstu, aż pod tamtym zaczęły się uginać kolana. Popychała go ku blankom.

Chłopak zawodził jak dziecko i błagał ją, żeby przestała. Drugie ramię miał bezwładne. Nos - okropnie rozplaszczony Krew spływała mu z twarzy. Musiała być i na niej, ale Fitch nie widział plam na tym jej czerwonym stroju.

Systematycznie i bezlitośnie spychała Morleya na blanki. Bez słowa złapała go za gardło drugą ręką, a następnie z zimną krwią, obojętnie wypchnęła przez odstęp w blankach w przepaść.

Fitchowi opadła szczęka. Nie spodziewał się, że ona to zrobi, że wszystko zajdzie tak daleko.

Morley wrzeszczał ile sił w płucach i spadał. Fitch stał jak skamieniały, słuchając, jak jego przyjaciel z równinnego Anderithu leci w dół wzdłuż pionowej górskiej ściany. Wrzask nagle ucichł.

Kobieta już nic nie mówiła, o nic nie prosiła. Szła ku Fitchowi, wbijając weń niebieskie oczy. Nie miał wątpliwości, że jeśli go złapie, to też zabije.

To nie była Claudine Winthrop. Ta kobieta na pewno nie powie do niego „panie”.

Stopy chłopaka wreszcie zrobiły, co chciały.

Jeżeli Fitch przewyższał w czymś Morleya i jego mięśnie, to w tym, że potrafił mknąć jak wiatr. Teraz pędził niczym burzowy wicher.

Obejrzał się przez ramię i wystraszył - ta kobieta potrafiła biec szybciej. Była wysoka i miała dłuższe nogi. Dopędzi go. A gdy to zrobi, trzaśnie go w twarz jak Morleya. I wyrzuci za blanki, w śmierć. Albo zabierze mu miecz i wytnie serce.

Chłopak czuł łzy ściekające mu po policzkach. Jeszcze nigdy nie biegł tak szybko. A ona i tak biegła szybciej.

Przebył schody, bardziej spadając z nich, niż zbiegając. Zanurkował pod końcowym odcinkiem poręczy i skoczył na niższą kondygnację. Wszystko się zlewało. Kamienne mury, okna, poręcze, stopnie - wszystko migotało w oczach jak smugi mroku i światła.

Przyciskając do piersi Miecz Prawdy, wypadł przez drzwi, złapał ich skraj wolną dłonią i zatrzasnął. Wciąż jeszcze dygotały we framudze, kiedy przewrócił za nimi duży kamienny postument. Był o wiele cięższy niż tamte marmurowe postumenty, ale panika dodała Fitchowi sił. Granitowy postument runął na podłogę i w tym samym momencie kobieta uderzyła o ciężkie dębowe drzwi. Impet uchylił wrota o kilka cali. Wzbił się kurz. Na chwilę wszystko zamarło, a potem kobieta półprzytomnie jęknęła i chłopak

wiedział, że się zraniła. Nie zmarnował tej szansy. Biegł przez Wieżę Czarodzieja, zamykając za sobą drzwi i zrzucając coś przed nie, o ile coś było pod ręką. Nawet nie wiedział, czy biegnie właściwą drogą. Płuca go paliły, ale biegł, oplakując przyjaciela. Ledwie mógł uwierzyć w to, co się stało, w to, że Morley nie żyje. Wciąż miał w pamięci jego obraz. Niemal spodziewał się, że ten wielki idiota dogoni go, roześmieje się i powie, że to był tylko żart.

Miecz, który chłopak ścisnął w ramionach, kosztował Morleya życie. Fitch musiał ocierać oczy, żeby widzieć. Rzucił okiem przez ramię i zobaczył długi, kręty, pusty korytarz. Ale usłyszał otwierające się z hukiem drzwi. Nadchodziła.

Nie zamierzał rezygnować. Była duchem zemsty, który zjawił się, by odebrać mu życie za to, że wziął Miecz Prawdy z Wieży Czarodzieja. Fitch pobiegł jeszcze szybciej.

Wyskoczył w słoneczny blask. Przez chwilę był zdezorientowany. Obrócił się i zobaczył konie. Trzy. Jego, Morleya i tej kobiety. Juki z jej rzeczami wisiały na ogrodzeniu.

Musiał mieć wolne ręce, więc przerzucił pendent przez głowę, ułożył skórzany pasek na prawym ramieniu i na ukos przez pierś. Miecz znalazł się przy lewym boku, tak jak trzeba. Fitch złapał wodze koni. Uchwycił się siodła najbliższego i wskoczył na nie. Uderzył rumaka piętami, poganiając wszystkie zwierzęta krzykiem. To był jej koń - strzemiona były zbyt nisko i nie mógł w nie wsunąć stóp, toteż przycisnął nogi do brzucha wierzchowca i trzymał się ze wszystkich sił, a wielkie zwierzę galopem wypadło z bramy padoku. Pozostałe konie pobiegły za nim.

Konie w pełnym biegu wypadły na drogę, a z Wieży Czarodzieja chwajnie wyszła kobieta w czerwieni. Całą połowę twarzy miała okrwawioną. Zaciskała w dłoni czarną buteleczkę. To była buteleczka z wieży, ta sama, która upadła, ale się nie rozbiła.

Fitch pochylił się na kark konia gnającego drogą. Obejrzał się przez ramię. Kobieta biegła za rumakami. Zabrał jej konia. Była pieszo, a innego wierzchowca nigdzie w pobliżu nie dostanie.

Chłopak starał się pozbyć myśli o Morleyu. Miał Miecz Prawdy. Teraz mógł wrócić do domu i udowodnić, że nie zgwałcił Beaty i że zrobił Claudine Winthrop to, co zrobił, by chronić ministra przed skutkami jej zgubnych kłamstw.

Jeszcze raz obejrzał się przez ramię. Kobieta odrobinę została w tyle, ale wciąż biegła. Wiedział, że za nic w świecie nie powinien się zatrzymywać. Nadchodziła. Szła jego tropem i nikt ani nic jej nie powstrzyma. Nie zrezygnuje. Nie spocznie. Nie zatrzyma się. A kiedy go złapie, wyrwie mu serce.

Fitch uderzył konia piętami, ponaglając go do jeszcze szybszego biegu.



## ROZDZIAŁ 55

Richard siedział przy małym stole. Kahlan nachyliła się nad nim i rozmasowała mu plecy.

- Znalazłeś coś? - spytała. Odgarnął włosy z czoła.

- Sam jeszcze nie wiem. - Postukał w welinowy zwój. - Ale jest coś o... To dokładniejsze informacje niż w większości anderyjskich tekstów z biblioteki w posiadłości ministra.

- Mam nadzieję. - Kahlan uśmiechnęła się. - Rozprostuję nogi i zajmę się innymi.

Richard, pogrążony w tekście zapisanym na zwoju, wyraził zgodę mruknięciem.

Spędzili dwa dni w Bibliotece Kultury i przejrzeni wszystko, co dotyczyło Josepha Andera, w tym również jego teksty. Przeważnie pisał o sobie i o tym, co uważał za nieznanne wcześniej spostrzeżenia dotyczące natury ludzkiej. Szeroko rozwodził się nad tym, że jego obserwacje o wiele trafniej oddają przebieg wydarzeń niż uwagi tych wszystkich, którzy byli przed nim.

Większość tekstów czarodzieja czytało się ze zdziwieniem. Lektura przypominała słuchanie nastolatka, który uważa, że wie wszystko, i nie dostrzega, jakim w gruncie rzeczy jest ignorantem. Można było jedynie czytać w milczeniu te wypowiedzi, bez szansy sprostowania górnolotnych deklaracji, które każdy dojrzały człowiek w jego wieku powinien już odrzucić.

Joseph Ander uważał, że znalazł idealną krainę, w której mógł urządzić ludziom idealne życie, a żadne zewnętrzne siły nie potrafiły rozstroić jego, jak to nazywał, „zrównoważonej społeczności”. Wyjaśniał, że uświadomił sobie, iż nie potrzebuje już wsparcia i rady innych - Richard uważał, że chodziło tu o czarodziejów z Wieży Czarodzieja w Aydindril - oraz że uznał nawet, iż takie zewnętrzne skażenie było wysoce szkodliwe, ponieważ budziło w ludziach z jego kolektywnej społeczności zgubną dbałość o własne interesy.

Joseph Ander wymieniał w tekstach jedynie swoje nazwisko. O innych pisał „mężczyzna”, „kobieta” albo stwierdzał, że „ludzie” budowali, siali, zbierali lub oddawali cześć.

Góra najwyraźniej znalazł idealne miejsce dla siebie - krainę, w której nikt nie miał większej mocy niż on i w której wielbili go wszyscy mieszkańcy. Richard był zdania, że Joseph Ander błędnie brał strach za uwielbienie. W każdym razie sytuacja umożliwiła czarodziejowi zajęcie pozycji szanowanego i sławionego wodza, w istocie króla mającego niekwestionowaną władzę nad społecznością, w której nikt poza nim nie miał prawa okazywać indywidualizmu i przewagi.

Joseph Ander uważał, że stworzył cudowną krainę, z której wyгнаł cierpienie, zachłanność i chciwość, gdzie współpraca zastąpiła skąpstwo. Równowagę i harmonię tej kolektywnej społeczności zapewniało oczyszczanie kultury - publiczne egzekucje. Nazywał to „spalaniem śmieci”.

Joseph Ander został tyranem. Ludzie głosili, że wierzą w niego, i żyli zgodnie z jego wskazówkami lub umierali.

Zanim Kahlan odwróciła się, by odejść, Richard uściskał jej dłoń. W małym budyneczku nie było już miejsca dla nikogo innego. Mieścił się tu jedynie mały stół i krzesło Góry, na którym - ku zgrozie staruszka opiekującego się bezcennymi pamiątkami - siedział teraz Richard. Mężczyzna nie miał odwagi odmówić jego prośbie.

A chłopak chciał usiąść na krześle Josepha Andera, by móc lepiej go poznać. Kahlan miała już dość „wyczuwania” totalitarnego despoty.

Trochę dalej na drodze zebrali się mieszkańcy Westbrook. Patrzyli z pełnym lękiem podziwem, jak Kahlan unosi rękę w geście podziękowania. Wielu przyklękło tylko dlatego, że ku nim spojrzała.

Żołnierze powiadomili ich już o zbliżającym się głosowaniu, jak to robili w wielu innych miejscowościach. Mieszkańcy spodziewali się, że Richard i Kahlan powiedzą coś o przyłączeniu się do imperium D’Hary, co uczyniła już większość Midlandów. Dla tych ludzi Midlandy były odległą i dziwną krainą, choć również ich ziemie stanowiły jej część. Całe życie spędzili w tym niewielkim miasteczku, a o otaczającym je świecie słyszeli przeważnie pogłoski.

D’Harańscy gwardziści łagodnie trzymali tłum w pewnej odległości, podczas gdy Richard przeglądał pamiątki po świetlanym założycielu i imienniku krainy. Żołnierzy wspierali mistrzowie miecza Baka Tau Mana. Richard nakazał D’Haranczykom, żeby zachowywali się przyjacielsko i byli uprzejmi.

Idąca dróżką Kahlan dostrzegła Du Chaillu. Kobieta odpoczywała samotnie na ławce z przepołowionej kłody, którą ustawiono w cieniu rozłożystego cedru. Dziewczyna zaczęła szanować niezachwianą stanowczość duchowej przewodniczki. Wyglądało na to, że istotnie przybyła jedynie po to, by pomóc Richardowi - swojemu „mężowi”, *Caharinjej* ludu. Po tym, jak Du Chaillu pomogła mu, kiedy spadł z konia, Kahlan mniej przeszkadzała jej obecność.

Co prawda duchowa przewodniczka kilka razy przypominała Richardowi, że jeśli jej zapragnie, to wypełni obowiązki żony, lecz nigdy nie czyniła mu żadnych awansów. Z jej strony był to jedynie osobliwy sposób okazywania uprzejmości. Wyglądało na to, że co prawda Du Chaillu z radością wypełniłaby wszelkie obowiązki żony, gdyby tego zażądał, lecz proponowała to bardziej z obowiązku i szacunku dla praw swojego ludu niż z pobudek osobistych.

Du Chaillu wielbiła to, co Richard reprezentował, nie zaś Richarda jako takiego. Chłopaka wprawdzie nie bardzo to pocieszało, ale Kahlan tak.

Dopóki sprawy tak właśnie się miały, między Kahlan a Du Chaillu panował niepewny rozejm. Matka Spowiedniczka wciąż nie ufała do końca tej kobiecie, a już na pewno nie wtedy, kiedy obiektem zainteresowania tamtej - czy to z obowiązku czy nie - był Richard.

Du Chaillu, ze swojej strony, postrzegała Kahlan - przywódczynię jej ludu, osobę z magicznym darem, żonę Richarda - nie jako stojącą wyżej, lecz równą sobie. Dziewczyna ze wstydem przyznawała się, że właśnie to najbardziej ją irytowało.

- Mogę usiąść obok ciebie?

Du Chaillu odchyliła się do tyłu, przeciągnęła i oparła ramiona o pień cedru. Wskazała puste miejsce obok siebie, odpowiadając na prośbę. Kahlan wygładziła z tyłu białą szatę Matki Spowiedniczki i usiadła. Schowane pośród drzew, trochę w bok od dróżki, były niewidoczne dla przechodzących. Było to tajemne miejsce, bardziej odpowiednie dla kochanków niż dla dwóch żon jednego mężczyzny.

- Dobrze się czujesz, Du Chaillu? Wyglądasz na odrobinę... zmęczoną.

Du Chaillu zdumiała troskliwość Kahlan. W końcu zrozumiała i uśmiechnęła się. Ujęła dłoń dziewczyny, położyła na swoim twardym, wypukłym brzuchu i przycisnęła ją mocno obiema rękami. Robiła się coraz

obszerniejsza.

Kahlan wyczuła w jej brzuchu leciutkie poruszenie. Wyczuła ruch dziecka.

Du Chaillu uśmiechnęła się z dumą. Kahlan cofnęła dłoń i złożyła ręce na podołku. Zapatrzyła się na zbierające się chmury. Miało być zupełnie inaczej. Zawsze myślała, że to będzie radosne.

- Nie podoba ci się to?

- Słucham? Nie... wcale nie. To cudowne.

Palce Du Chaillu ujęły podbródek Kahlan i odwróciły głowę dziewczyny.

- Płaczesz, Kahlan?

- Nie. Nie płacę.

- Jesteś nieszczęśliwa, bo mam dziecko?

- Nie, Du Chaillu, nie jestem nieszczęśliwa...

- Jesteś nieszczęśliwa, boja mam dziecko, a ty nie? Kahlan ugryzła się w język, zanim powiedziała za dużo.

- Nie powinnaś się martwić, Kahlan. I ty będziesz miała dziecko. Pewnego dnia. Na pewno.

- Du Chaillu... jestem w ciąży.

Duchowa przewodniczka przycisnęła rękę do kręgosłupa i przeciągnęła się.

- Naprawdę? Dziwi mnie to. Jiaan nie mówił, że ty i twój mąż byliście razem w ten sposób.

Kahlan zaszokowało, że Du Chaillu dostaje takie raporty. Z jednej strony cieszyła się, że nie było o czym donosić, z drugiej zaś żałowała, że nie było, bo to by tamtą zirytowało.

- Nasz mąż musi być szczęśliwy. Lubi malców. Będzie dobrym...

- Richard nie wie. Musisz mi obiecać, Du Chaillu, że mu nie powiesz.

- Czemu miałabym składać taką obietnicę? - zachmurzyła się duchowa przewodniczka.

Kahlan nachyliła się ku niej.

- Bo to ja skłoniłam Richarda, żeby pozwolił ci z nami pójść. Bo to ja powiedziałam, że możesz z nami zostać nawet wtedy, kiedy już nadeszli nasi żołnierze. Przynęcałam Richardowi, że odejdziesz, kiedy zjawi się nasza eskorta, a potem chciałam z nami zostać. To ja nakłoniłam go, by się zgodził. Pamiętasz?

Du Chaillu wzruszyła ramionami.

- Skoro tak sobie życzysz, to mu nie powiem. Możesz zatrzymać to w tajemnicy i zadziwić go w swoim czasie. - Uśmiechnęła się do Kahlan. - Żony *Caharin* powinny się trzymać razem.

- Dziękuję - wyszeptała Kahlan.

- Ale kiedy...?

- Podczas naszej nocy poślubnej. Kiedy byliśmy u Błotnych Ludzi, tuż przed twoim przybyciem.

- Aaaa. To dlatego nic o tym nie słyszałam.

Kahlan puściła to mimo uszu.

- Ale dlaczego nie chcesz, żeby Richard wiedział? Byłby szczęśliwy.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Wcale nie. To będzie olbrzymi kłopot. - Uniosła łańcuszek z małym kamieniem. - Dostaliśmy to od wiedźmy, żebyśmy nie poczęli dziecka. To długa historia, w każdym razie teraz nie możemy mieć dzieci, bo wpadniemy w tarapaty.

- To czemu jesteś w ciąży?

- Przez demony. Magia zanikła. Ale nim się tego dowiedzieliśmy... W noc po ślubie nie mieliśmy pojęcia, że ten naszyjnik nie zadziała. Jego moc miała zapobiec poczęciu dziecka, ale magia zanikła. To się nie powinno wydarzyć.

Kahlan przygryzła wewnątrz policzka, żeby powstrzymać łzy.

- Richard i tak byłby szczęśliwy - szepnęła pocieszająco Du Chaillu.

Matka Spowiedniczka potrząsnęła głową.

- Nie rozumiesz całej tej sprawy. Gdyby ludzie się dowiedzieli, jego życie znalazłoby się w wielkim niebezpieczeństwie. Wiedźma przysięgła, że zabije to dziecko, ale dobrze ją znam i wiem, że może postanowić, by dla uniknięcia kłopotów zabić mnie albo Richarda.

Du Chaillu przemyślała to sobie.

- Wkrótce będzie to głupie głosowanie, w którym ludzie powiedzą mu to, co już powinien wiedzieć. Że jest *Caharin*. Potem już wszystko będzie w porządku. Wtedy możesz ukryć, że spodziewasz się dziecka. - Duchowa przewodniczka położyła dłoń na ramieniu Kahlan. - Pójdiesz ze mną, do Baka Tau Mana. Będziemy cię strzec, dopóki nie urodzisz dziecka *Caharin*. Będziemy strzec ciebie i twojego dziecka.

Kahlan ostrożnie odetchnęła, żeby stłumić szloch.

- Dziękuję, Du Chaillu. Jesteś przemiła. Ale to by nic nie dało. Muszę się tego jakoś pozbyć. Znaleźć zielarkę albo babkę. Muszę spędzić to dziecko, zanim będzie za późno.

Du Chaillu znów położyła sobie na brzuchu rękę Kahlan. Dziewczyna mocno zacisnęła powieki, wyczuwając ruchy dziecka.

- Nie możesz tego zrobić życiu, które w sobie nosisz, Kahlan. Nie możesz. To byłoby gorsze.

Z małego budyneczku wyszedł Richard, trzymał w dłoni zwój.

- Kahlan! - zawołał.

Widziała go pomiędzy drzewami, lecz on nie widział jej na tej ławie. Popatrzyła na Du Chaillu.

- Daj słowo, że utrzymasz to w tajemnicy.

Duchowa przewodniczka uśmiechnęła się i dotknęła policzka Kahlan tak, jak babcia mogłaby współczująco pogłaskać wnuczkę. Dziewczyna wiedziała, że to nie dotknięcie Du Chaillu, pierwszej żony Richarda, lecz Du Chaillu, duchowej przewodniczki Baka Tau Mana.

Wstała, przybierając „twarz Spowiedniczki”. Richard dostrzegł ją i pospiesznie nadszedł. Patrzył to na nią, to na Du Chaillu. Zlekceważył swoje zdumienie i pokazał Kahlan zwój.

- Wiedziałem, że to się jakoś łączy ze słowem „uczyć”.

- Słucham? - zdziwiła się Kahlan.

- Dominie Dirtch. Spójrz tutaj. - Postukał w zwój. - Napisano, że nie obawiał się interwencji zazdrosnych kolegów, ponieważ był - Richard przesunął palcem pod czytany na głos słowami - „chroniony przez demony”.

Kahlan nie miała najmniejszego pojęcia, o czym on mówi.

- A to jest ważne, ponieważ... Richard znów czytał zwój.

- Słucham? A, tak. Kiedy pierwszy raz wymieniłaś nazwę Dominie Dirtch, pomyślałem, że to w gornod'haranskim, ale nie mogłem pojąć, co to znaczy. To jeden z tych wieloznacznych zwrotów, o których ci opowiadałem. W każdym razie „Dominie” ma związek ze szkoleniem, jak w nauczaniu, trenowaniu lub, co ważniejsze, kontrolowaniu. Kiedy zobaczyłem tę drugą część, wiedziałem już, jak przetłumaczyć całą nazwę. „Dominie Dirtch” znaczy „Poskromienie demonów”.

Kahlan przez chwilę trwała w milczeniu.

- Ale... co to oznacza? Richard wyrzucił ramiona w górę.

- Nie wiem, ale jestem przekonany, że to wszystko się łączy.

- No to w porządku - powiedziała dziewczyna. Przyjrzał się jej zachmurzony.

- Co z tobą? Twoja twarz jest jakaś... zabawna.

- Piękne dzięki. Poczzerwieniał.

- To wcale nie znaczy, że jest brzydka. Kahlan machnęła ręką.

- To nic złego. Po prostu jestem zmęczona. Taka długa podróż i tyle rozmów z ludźmi.

- Znasz miejsce zwane Paleniskiem?

- Palenisko... - Zmarszczyła brwi w namyśle. - Tak, pamiętam to miejsce. To niedaleko stąd. Trochę powyżej doliny Nareef.

- Jak daleko?

Kahlan poruszyła ramieniem.

- Skoro to z jakiegoś powodu ważne, możemy tam być za kilka godzin, w połowie popołudnia.

- Ander pisze o tym w tych zwojach. Wspomina o Palenisku w połączeniu z demonami, Dominie Dirtch. To ten wers pomógł mi to skojarzyć. - Chłopak spojrzał na grupę czekających cierpliwie ludzi. - Kiedy już z nimi porozmawiamy, chciałbym tam pojechać i rozejrzeć się.

Kahlan ujęła jego ramię

- To ładne miejsce. Chętnie je znów zobaczę. A teraz wytłumaczmy tym ludziom, dlaczego chcemy, żeby narysowali kółko, opowiadając się za przyłączeniem się do nas.

Wśród czekających przeważali Hakeni. Większość pracowała na farmach wokół Westbrook. Jak wszyscy ludzie, których spotykali w podróży po Andericie, oni również byli zatroskani i wystraszeni. Wyczuwali nadchodzącą zmianę. A dla większości ludzi zmiana oznacza niebezpieczeństwo.

Richard nie odnosił się do nich z chłodną wyższością, chodził pośród nich, pytał o imiona, uśmiechał się do ich dzieci, głaskał je po policzkach. Ponieważ był taki naprawdę, ponieważ nie udawał, a postępował zgodnie ze swoją naturą, już po chwili otaczały go roześmiane dzieciaki. Matki uśmiechały się, kiedy dotykał główek malców, bez względu na to, czy ciemnowłosych, czy rudowłosych. Wypogadzały się też zmarszczone z troski

czoła ojców.

- Zacni mieszkańcy Anderithu - zaczął, stojąc pośród nich - Matka Spowiedniczka i ja przybyliśmy, żeby porozmawiać z wami niejako władcy, lecz jako wasi pokorni orędownicy. Nie przybyliśmy, żeby nakazywać, lecz żeby pomóc wam zrozumieć czekający was wybór i daną wam szansę zdecydowania o tym, jaka ma być wasza przyszłość.

Skinął ręką i Kahlan ostrożnie przepchnęła się przez tłumek roześmianych dzieci. Stała u jego boku. Myślała, że będą się bać takiego wielkoluda jak Richard, który wyglądał jeszcze bardziej imponująco w czarnym i złotym stroju, lecz wiele dzieciaków tuliło się do niego, jakby był ich ukochanym wujkiem.

Bały się jej białej szaty, jak większość Midlandczyków ostrzegane od urodzenia przed Matką Spowiedniczką i jej mocą. Usuwały się jej z drogi i starały nie dotykać jej białej sukni, lecz pozostać w pobliżu Richarda. Kahlan ogromnie pragnęła, żeby i wokół niej się tak tłoczyły, ale rozumiała je. Miała całe życie, by nauczyć się to rozumieć.

- Matka Spowiedniczka i ja pobraliśmy się, bo się kochamy. Kochamy również mieszkańców Midlandów i D'Hary. Tak jak pragnęliśmy złączyć się ślubem i cieszyć wspólnym życiem, tak chcemy, by mieszkańcy Anderithu przyłączyli się do nas i do innych ludów Midlandów i poszli z nami w bezpieczną przyszłość, która daje nam i naszym dzieciom nadzieję na lepsze życie. Ze Starego Świata nadchodzi tyrania. Imperialny Ład zamieni was w niewolników. Nie zostawię wam innego wyboru, jak podporządkować się lub umrzeć. Szansę bezpieczeństwa zyskacie jedynie wtedy, kiedy przyłączycie się do nas. Matka Spowiedniczka i ja wierzymy, że jeśli połączymy ludy Midlandów i D'Hary w walce o wolność, zdołamy odeprzeć to zagrożenie naszych domów, bezpieczeństwa... i przyszłości naszych dzieci. Jeśli potulnie podporządkujemy się tyranii, nigdy nie będziemy mieć okazji, by wypróbować nasze skrzydła. Nasze duchy już nigdy nie wzniosą się dumnie na wietrze nadziei. Nikt nie będzie mógł spokojnie założyć rodziny lub marzyć, że jego dzieci będą miały lepiej i więcej osiągną. Jeśli nie przeciwstawimy się Imperialnemu Ładowi, będziemy żyć w niewoli. I na zawsze pogrzążemy się w mrokach ucisku. Dlatego właśnie przybyliśmy, żeby do was przemówić. Pragniemy, byście stanęli po naszej stronie, po stronie ludzi miłujących pokój, po stronie tych, którzy wiedzą, że przyszłość może



być jasna i pełna nadziei. Pragniemy, żebyście opowiedzieli się po naszej stronie i kółkiem potwierdzili nasz sojusz dla wolności.

Kahlan słuchała od wielu tygodni, jak Richard mówi płynącymi z serca słowami o tym, co oznacza przyłączenie się do nich, do sprawy wolności.

Najpierw ludzie byli spięci i ostrożni. Charakter chłopaka, jego sposób bycia sprawił, że wielu przeciągnął na swoją stronę. Rozśmieszał ich, a potem przywodził do łez, wydobywając na jaw ich tęsknotę za prawem do rozwoju, ukazując, ile zyskają, jeżeli i oni, i ich dzieci będą mogli czytać i uczyć się.

Początkowo budziło to ich niepokój, lecz Richard zaczął mówić o tym w sposób dla nich zrozumiały: posłużył się przykładem listu do daleko mieszkającego krewnego lub dziecka, które wyruszyło w świat w poszukiwaniu lepszego życia. Uzmysłowił im wartość wiedzy i to, że dzięki niej mogą sobie poprawić życie - znaleźć lepszą pracę, więcej dokonać w wykonywanym zawodzie.

- Lecz Imperialny Ład nie pozwoli się wam uczyć, bo wiedza jest niebezpieczna dla ciemnych. Zdaniem tych, co chcą nad wami zapanować, wiedza musi być zniszczona, bo ludzie, którzy rozumują i wyciągają wnioski, powstaną przeciwko niesprawiedliwości i nieuczciwości elity. Ja chciałbym, żeby wszyscy się uczyli i mogli dzięki temu sami decydować, czego pragną. Na tym polega różnica: pozwoliłbym wam się uczyć, rozwijać, osiągać upragnione cele, i te najprostsze, i te wielkie. Imperialny Ład na nic nie pozwoli, wszystko narzuci. Mielibyśmy jeden wspólny kraj, z powszechnie obowiązującym, jednakowym dla wszystkich prawem, dzięki któremu byłby on bezpieczny dla każdego i w którym nikt, czy to urzędnik, czy minister, czy imperator, nie stałby ponad prawem. Ludzie są dopiero wtedy wolni, kiedy każdy musi się ugiąć przed tym samym prawem. Objąłem władzę nie po to, żeby panować, lecz żeby stać na straży wolności. Mój ojciec, Rahl Posępny, był dyktatorem rządzącym za pomocą zastraszania, tortur i morderstw. Nawet on nie stał ponad prawem, któremu byśmy wszyscy podlegali. Przejąłem władzę, żeby już nigdy nie mógł ciemnić swojego ludu. Przewodzę wolnym ludziom, a nie ujarzmionym poddanym. Nie zamierzam wam mówić, jak macie żyć, lecz pragnę, byście w spokoju i bezpieczeństwie wiedli życie, jakie sami sobie wybieriecie. Niczego bardziej bym nie pragnął dla siebie i Matki Spowiedniczki, mojej żony, jak w spokoju

i bezpiecznie wieść życie rodzinne i możliwie najmniej czasu poświęcać sprawom rządu. Proszę was, byście znakiem koła potwierdzili chęć przyłączenia się do nas, przez wzgląd na was samych i na tych, co nadejdą.

Dalton oparł ramię o narożnik domu, skrzyżował ramiona i słuchał. Dyrektor Prevot z Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni przemawiał z balkonu do tłumu zgromadzonego na jednym z miejskich placów. Mówił już od jakiegoś czasu.

Tłum, składający się przeważnie z Hakenów, zebrał się tutaj, żeby posłuchać o zbliżających się wydarzeniach. Ludzie byli wystraszeni. Przyszli nie po to, by się dowiedzieć, jak uniknąć niedoli, lecz po to, by się przekonać, czy muszą się przejmować pogłoskami.

Dalton bacznie wszystko obserwował.

- Chcecie cierpieć, podczas gdy nieliczni wybrańcy zgarniają wszystko? - zawołał do tłumu dyrektor Prevot.

- Nie! - odkrzyknął jednym głosem tłum.

- Chcecie się zapracowywać na śmierć, żeby wybrańcy z D'Hary stawali się coraz bogatsi?

- Nie!

- Mamy pozwolić, by ten człowiek zniszczył naszą szlachetną pomoc, jakiej udzielamy Hakenom w przewycięzaniu ich wrodzonej natury? Mamy pozwolić, by nasz lud znów został sprowadzony na manowce przez okrutną zwodniczość edukacji?

Tłum raz jeszcze wrzaskliwie poparł dyrektora Prevota, niektórzy machali czapkami, jak nakazał im Dalton. W tłumie było blisko pięćdziesięciu jego posłańców, Hakenów przebranych w stare odzienie i wkładających wiele uczucia w odpowiedzi na pytania mówcy.

Bez wątpienia byli tu również ludzie porwani pełnymi pasji słowami, lecz większość przyglądała się wszystkiemu i w milczeniu oceniała, czy to, co tu słyszą, zmieni ich życie. Większość ludzi rozważała sprawy, kładąc na jednej szali swoje życie, a na drugiej nadchodzące wydarzenia. Większość była zadowolona z tego, co było, toteż niepokoiła się dopiero wtedy, kiedy wydarzenia na drugiej szali zagrażały zmianami w dotychczasowym życiu.

Dalton Campbell nie był zadowolony. Ci ludzie, choć zgadzali się z mówcą, nie uważali, by wydarzenia z drugiej szali aż tak bardzo miały wpłynąć na ich życie.

Adiutant zorientował się, że mieli problem.

Wieść rozgłaszano, lecz natrafiała na niemal obojętnych słuchaczy.

- Czyni mnóstwo słusznych uwag - odezwała się Teresa.

- Tak, istotnie. - Dalton objął ramieniem jej barki.

- Uważam, że ma rację. Jeśli przestaniemy dbać o ich dobro, to biedni Hakeni doznają wielkiej krzywdy. Nie są przygotowani, by samodzielnie radzić sobie z okrucieństwami życia.

Campbell powiódł wzrokiem po ludziach stojących jak posągi i słuchających pełnej pasji mowy dyrektora.

- Masz rację, kochanie. Powinniśmy bardziej dbać o lud. Dalton uświadomił sobie, czego brakowało i co musi zrobić.

## ROZDZIAŁ 56

- Nie - odparł Richard.

Du Chaillu skrzyżowała ramiona, kipiała gniewem. Sterczący brzuch sprawiał, że w tej pozie wyglądała dość zabawnie.

- Du Chaillu - Richard pochylił się ku niej i ściszył głos - nie potrafisz zrozumieć, że chciałbym choć na chwilkę zostać sam na sam z moją... z Kahlan? Hmm?

Przestała się złościć. Jej twarz złagodniała.

- Och, rozumiem. Chcesz zaznać intymności ze swoją drugą żoną. To dobrze. Już tyle czasu minęło.

- To nie... - Chłopak wsparł się pod boki. - A w ogóle, to skąd wiesz?

Nie odpowiedziała, uśmiechnęła się.

- No to zgoda. Jeśli obiecasz, że to nie potrwa zbyt długo. Chciał odpowiedzieć, że to potrwa tyle, ile trzeba, ale wystraszył się tego, co mogła na to odpalić, więc rzekł krótko:

- Obiecujemy.

Kapitan Meiffert - wysoki, jasnowłosy d'haranski oficer, który dowodził oddziałami eskortującymi Kahlan i Richarda do Anderithu - podobnie jak Du Chaillu, nie był zachwycony pozostawieniem ich samych, ale oględniej wyrażał swoje wątpliwości. Najwyraźniej generał Reibisch wyjaśnił mu, że w ważnych sprawach może przedstawiać lordowi Rahlowi swój punkt widzenia, nie lękając się kary.

- Lordzie Rahlu, będziemy zbyt daleko, żeby zareagować, gdybyś nas potrzebował... Żeby pomóc w chronieniu Matki Spowiedniczki - dodał po namyśle, sądząc, że to może wpłynąć na decyzję Richarda.

- Dziękuję, kapitanie. Wiedzie tam wyłącznie ten szlak. Ponieważ nikt nie wie, dokąd się kierowaliśmy, to z pewnością nikt też nie urządził tam zasadzki. To niedaleko i nie będziemy tam długo. Ja i Kahlan pójdziemy tam, a ty i twoi żołnierze będziecie czuwać tutaj.

- Tak jest, panie - odparł z rezygnacją kapitan Meiffert i natychmiast wydał rozkazy swoim ludziom, rozstawiając ich na warcie i wysyłając na zwiady.

- Powiedźcie generałowi - rzekł Richard do dwóch posłańców od

Reibischa - że rad jestem z szybkości, z jaką tu zmierza, i z tego, że jego zdaniem, zdąży tu przed Jagangiem. Powiedzcie mu, że rozkazy, które już ma, pozostają w mocy. Chcę, by trzymał się na uboczu.

Posłańcy zjawiali się prawie każdego dnia, wchodząc do Anderithu przez posterunki przy różnych Dominie Dirtch, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy. Richard rozkazał generałowi Reibischowi, by trzymał się dość daleko na północy, poza zasięgiem zwiadowców Jaganga, wartowników i szpiegów. Gdyby doszło do walki, zaskoczenie byłoby jednym z najcenniejszych atutów d'haranskiej armii. Generał zgodził się z tym, lecz z niechęcią zostawiał chłopaka na potencjalnie wrogim terytorium jedynie z tysiącem żołnierzy. Richard tłumaczył mu w listach, że pojmuję jego troskę, dowodził jednak, że wojska Reibischa muszą pozostać w ukryciu, dopóki nie zostaną wezwane. Wyjaśnił, nie szczędząc okrutnych szczegółów, jaka straszliwa i daremna śmierć czekałaby ich na granicy, gdyby usiłowali się przedrzeć za Dominie Dirtch.

Poza tym Richard nie ufał ministrowi Chanboorowi. Ten człowiek był zbyt ugrzeczny: mówiący prawdę nie posługuje się słodkimi słówkami, kłamca - tak.

Dominie Dirtch to pajęczyna czekająca na nieostrożnych. Pozór łatwego podboju mógł być pułapką mającą zwabić w śmierć armię D'Hary. Chłopak najbardziej obawiał się tego, że Dominie Dirtch dokonają rzezi jego dzielnych, młodych żołnierzy. Zwłaszcza że wiedział, iż takie poświęcenie na nic by się nie zdało. D'Haranczycy zginęliby, a Dominie Dirtch stałyby dalej.

Generał Reibisch odpisał, obiecując Richardowi, że kiedy już zajmą pozycje na północy, bez zwłoki uderzą na południe, gdy tylko Richard ich wezwie. Przyrzekł też jednak, że pozostanie w ukryciu, dopóki nie nadejdzie rozkaz.

- Tak jest, lordzie Rahlu, przekażę generałowi twe słowa - powiedział wyższy posłaniec, uderzając się pięścią w serce.

Obaj gońcy zawrócili konie i odjechali stępa.

Chłopak sprawdził, czy łuk i kołczan są dobrze zamocowane, i wskoczył na siodło. Gdy skierowali konie w górę szlaku, Kahlan uśmiechnęła się do niego tym swoim specjalnym uśmiechem. I ona - Richard dobrze to wiedział - cieszyła się, że wreszcie będą sami, choćby na tak krótko.

Ciągła obecność ludzi męczyła. Patrzyli na nich, kiedy trzymali się za

ręce. Kiedy robili to, stojąc przed ludźmi, do których przemawiali, po wyrazie ich oczu Richard poznawał, że wieść o tym jeszcze przed upływem kilku dni dotrze do tysiąca uszu. Że będzie się o tym mówiło przez wiele lat. Przynajmniej był to miły powód do ludzkiej paplaniny. Lepiej, żeby mówili o trzymających się za ręce, poślubionych sobie lordzie Rahlu i Matce Spowiednicze niż o czymś okropnym.

Richard patrzył, jak Kahlan kołysze się w siodle, urzeczony jej ciałem, łukiem bioder. Pomyślał, że tak ponętnych kształtów nigdy wcześniej nie widział. Czasami myślał sobie, iż to nadzwyczajne, że pokochała go taka kobieta - jego, który dorastał w małym miasteczku, w Hartlandzie.

Tęsknił za rodzinnymi stronami. Domyślał się, że te uczucia doszły do głosu, bo wiodący w górę stoku leśny trakt przypominał mu znajome okolice. Na zachód od miejsca, w którym dorastał, były wzgórza i góry, odosobnione okolice podobne do lasów i gór, w których teraz byli. Pragnął, by mogli odwiedzić Hartland. Od ubiegłej jesieni, kiedy stamtąd odszedł, widział wiele wspaniałości, lecz uważał, że serce do niczego się tak nie przywiązuje jak do miejsca, w którym się dorastało.

Trakt biegł w pobliżu stromego urwiska i Richard spojrzął ku północnemu zachodowi przez przełęcz między szczytami. Prawdopodobnie byli bliżej jego rodzinnych stron niż kiedykolwiek przedtem. Przez te same góry przedostali się do Midlandów, pokonawszy granicę, która jeszcze wtedy istniała. Skorzystali wtedy z przejścia zwanego Królewską Bramą. To nie było zbyt daleko ku północnemu zachodowi.

Jednak ze względu na ciężące na nim obowiązki i odpowiedzialność rodzinny Hartland, choćby nie wiadomo jak bliski, był jednocześnie bardzo odległy.

Chodziło nie tylko o obowiązki lorda Rahla, któremu wszyscy ufali i od którego zależeli, lecz również o Jaganga, który - gdyby miał na to choć niewielką szansę - wtrąciłby w niewolę Nowy Świat, jak to już zrobił ze Starym. Ludzie byli uzależnieni od Richarda, począwszy od więzi chroniącej ich przed Nawiedzającym Sny, aż po nadzieję, że stworzy z nich siłę zdolną przeciwstawić się ogromnym wojskom imperatora.

Kiedy chłopak czasem o tym myślał, wydawało mu się, że żyje cudzym życiem. Niekiedy czuł się jak oszust i miał wrażenie, że pewnego dnia ludzie ockną się i powiedzą: „Zaraz, zaraz, przecież ten lord Rahl to leśny

przewodnik, Richard. Mamy go słuchać? Iść za nim na wojnę?”

A poza tym były jeszcze demony. Richard i Kahlan byli z tą sprawą nieodwołalnie związani. Ponosili odpowiedzialność za to, że demony znalazły się w świecie istot żywych. Co prawda mimowolnie, ale jednak sprowadzili kuranty śmierci. Podróżując po Andericie i rozmawiając z ludźmi, słyszeli opowieści o osobliwych zgonach. Demony szeroko korzystały z pobytu w świecie istot żywych. Wspaniale się bawiły, zabijając.

Przerażeni ludzie wrócili do starych zabobonów. W niektórych okolicach zbierali się, żeby oddać cześć złym duchom grasującym po świecie. Na leśnych polanach zostawiano ofiary z wina i pożywienia, zostawiano je również na ugorach. Niektórzy sądzili, że ludzkość złamała zasady moralne, stała się zbyt zepsuta i Stwórca zesłał duchy-mścicieli, żeby ukarać świat. Inni układali kamienie ofiarne na środku traktów, szczególnie obficie pośrodku rozstajnych dróg. Nikt nie potrafił wytłumaczyć Richardowi, dlaczego tak robią; tylko irytowało ich, że kwestionuje stare obyczaje. Jeszcze inni układali o północy przed swoimi drzwiami zeschnięte kwiaty. Bardzo poszukiwane były amulety mające przynosić szczęście.

Demony i tak zabijały.

Jedynie obecność Kahlan pozwalała mu to wszystko znieść. Dzięki niej mógł udźwignąć ciężar walki. Dla niej wszystko by zniósł.

- O, tam - wskazała dziewczyna.

Zsiedli z koni. Rosły tu przeważnie świerki i sosny. Richard rozglądał się, aż wypatrzył srebrnolistny klon i przywiązał wodze do jego gałęzi. Jeśli przywiązało się cugle do sosny, świerku lub - co gorsza - do balsamicznej topoli, to jak nic były potem okropnie lepkie.

Chłopak usłyszał parsknięcie i spojrzał w tamtą stronę. Z pewnej odległości przyglądał im się koń, z nastawionymi w przód uszami. Z pyska wystawała mu trawa, ale przestał żuć.

- Hej, mała - zawołał Richard do klaczy. Zaniepokojona, potrząsnęła łbem i cofnęła się kilka kroków.

Spróbował podejść bliżej, ale znów się cofnęła, więc przystanął. Jasna kasztanka z dziwną, długonogą plamą na zadzie. Chłopak znów do niej zawołał i chciał podejść, ale odwróciła się i uciekła.

- Ciekaw jestem, skąd się tu wzięła - powiedział do Kahlan. Dziewczyna podała mu dłoń. Richard ją ujął.

- Bo ja wiem? Może komuś uciekła. Ale najwyraźniej nie chce mieć z nami nic wspólnego.

- Chyba tak - odparł, pozwalając, by prowadziła go za rękę.

- To jedyne dojście - wyjaśniła, kiedy szli brzegiem jeziora, okrążając grupkę świerków.

Cały dzień zbierały się chmury, grożąc burzą. A teraz, kiedy weszli na skałkę sterczącą u krańca płaskiego cypla, między kłębiącymi się zwałami chmur ukazało się słońce.

To był piękny widok - snop ciepłych słonecznych promieni przebił się przez bursztynowe chmury, po czym opadał w dół pomiędzy górami i muskał spokojną taflę jeziora. Po przeciwnej stronie woda spadała ze skalnej wyniosłości, wzbijając w powietrze mgiełkę, która lśniła w słońcu ponad złocistą powierzchnią jeziora. Richard głęboko zaczerpnął powietrza, rozkoszując się zapachem lasów i wody. Czuł się prawie jak w domu.

- To właśnie ta okolica - wskazała Kahlan. - A tam powyżej jest to pustkowie, na którym rosną rośliny paka i żyją ćmy gambit. Te czyste wody spływają z owego zatrutego obszaru.

Powietrze lśniło w popołudniowym słońcu.

- To jest przepiękne. Mógłbym tak stać i stać. Wydaje mi się, jakbym badał nowe szlaki.

Stali tak przez chwilę, trzymając się za ręce i ciesząc oczy wspaniałym widokiem.

- Chcę ci powiedzieć, Richardzie, że przez ostatnie kilka tygodni, kiedy przemawialiśmy do ludzi... Naprawdę byłam z ciebie dumna. Dumna ze sposobu, w jaki dałeś ludziom nadzieję na przyszłość. Chcę, byś to wiedział, bez względu na to, co się wydarzy. Chcę, byś wiedział, że jestem dumna, iż tak wspaniale to przeprowadziłeś.

- Mówisz tak, jakbyś nie wierzyła, że wygramy. - Richard zachmurzył się.

- To nie ma znaczenia. - Wzruszyła ramionami. - Będzie, co ma być. Ludzie nie zawsze robią to, co słuszne. Niekiedy nie rozpoznają zła. Czasem wybierają zło, bo im odpowiada, ze strachu albo dlatego, że myślą, iż w ten sposób coś zyskają. Najważniejsze, że zrobiliśmy co w naszej mocy i że ukazałeś ludziom prawdę. Ponad wszystko przełożyłeś ich dobro i bezpieczeństwo, więc jeśli wygramy, to z właściwych pobudek. Dałeś im szansę wykazania czystości serc.



- Wygramy. - Richard patrzył na spokojną wodę. - Ludzie rozumieją prawdę.

- Mam nadzieję, że tak się stanie.

Chłopak otoczył ramieniem szyję żony i pocałował ją w czubek głowy. Westchnął, zachwycony górskim jeziorem i spokojem.

- Głębiej w górach, na zachód od stron, w których dorastałem, są miejsca, których chyba nikt poza mną nie widział. Miejsca, w których woda spada ze skał jeszcze wyższych niż ta tutaj i łśni tęczą w popołudniowym powietrzu. A kiedy już popływasz w czystych jeziorach, możesz się ułożyć na skałach za wodospadem i obserwować świat przez wodną zasłonę. Często marzyłem, że cię tani zaprowadzę.

Dziewczyna owinęła wokół palca pukiel włosów.

- Pewnego dnia odwiedzimy twoje ulubione okolice, Richardzie.

Kiedy tak stali blisko siebie, patrząc na wodospad, Richard nie miał ochoty rozwiewać czaru tej chwili, a zwłaszcza rozmawiać o ich najważniejszym celu. W końcu jednak to zrobił.

- Dlaczego nazywają to Paleniskiem? Kahlan wskazała, unosząc brodę.

- Za wodospadem jest pieczara, bardzo ciepła. A czasem, jak mi mówiono, wręcz gorąca.

- Ciekaw jestem, dlaczego Joseph Ander wspomniał o tym miejscu.

- Może doceniał jego piękno. - Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Moooze - mruknął, wypatrując jakiegoś znaku, który wyjaśniłby, dlaczego czarodziej zainteresował się tym miejscem.

Richard nie był dobrego zdania o wrażliwości Josepha Andera i nie przypuszczał, by tamten potrafił dostrzec i docenić piękno przyrody. Jeżeli Ander rozwodził się nad pięknem natury, to zawsze w odniesieniu do uporządkowanego sztafażu społeczności.

Chłopak spostrzegł, że wszystkie otaczające ich skały miały szczególną, zielonkawoszarą barwę. Wszystkie z wyjątkiem skały, z której spływał wodospad. Tamta była ciemniejsza. Nie za bardzo, a jednak była wyraźnie inna. W jej barwie przeważała szarość, nie zieleń - może dlatego, że granit był w czarne cętki, choć z tej odległości trudno było dojrzeć szczegóły.

Richard uniósł ramię, wskazując skałę, z której wspaniałym łukiem spadała woda.

- Przyjrzyj się tej skale i powiedz, co o niej sądzisz.

Kahlan, której biała szata Matki Spowiedniczki lśniła w słonecznym blasku, przypominała wyśnionego przez Richarda dobrego ducha. Zamrugła powiekami.

- O co ci chodzi? Przecież to tylko skała.

- Wiem, ale przyjrzyj się jej. Powiedz, co cię w niej uderza. Spojrzała na skałę i znów na niego.

- To wielka skała.

- Hej, bądź poważna.

Dziewczyna westchnęła i przez chwilę badawczo przyglądała się gązom. Popatrzyła na góry, zwłaszcza te najbliższe, po lewej, wznoszące się na samym skraju wody.

- Jest ciemniejsza niż inne skały - powiedziała w końcu.

- Znakomicie. I co jeszcze?

Ponownie się jej przyjrzała, tym razem dłużej.

- To rzadko spotykana barwa. Już ją gdzieś widziałam. - Nagle spojrzała na Richarda. - Dominie Dirtch.

- I ja tak myślę. - Uśmiechnął się. - Dominie Dirtch mają ten sam odcień co tamta skała, lecz nie ma go żadna z pozostałych tutejszych skał.

Kahlan zmarszczyła z niedowierzaniem brwi.

- Czyżbyś uważał, że Dominie Dirtch zostały wycięte z tej skały, tu w górach, i zawleczone tam, gdzie tkwią dzisiaj?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Bardzo możliwe, choć nic mi nie wiadomo o przenoszeniu wyrobów kamieniarskich na taką skałę. Obejrzałem Dominie Dirtch. Wygląda na to, że wycięto je z jednego kawałka skały. Nie poskładano ich z części. Przynajmniej tego, który widzieliśmy.

- No to...?

- Joseph Ander był czarodziejem, a czarodzieje z jego czasów potrafili dokonać tego, co zadziwia nawet Zedda. Być może Góra użył tej skały jako punktu wyjściowego.

- Co masz na myśli?

- Sam dobrze nie wiem. Nie znam się tak dobrze na magii jak ty. Może właśnie ty mogłabyś mi to wyjaśnić. Ale przecież mogło być i tak, że zwyczajnie wziął stąd mały kamień na każdy Dominie Dirtch, ustawił je tam, gdzie są dzisiaj, i powiększył.

- Powiększył?

Richard wykonał gest świadczący o bezradności.

- Bo ja wiem? Posłużył się magią, żeby kamień urósł, albo nawet wykorzystał ziarnistość skały jako coś, co pozwoliło za pomocą magii addytywnej odtworzyć ją i zmienić w Dominie Dirtch.

- Bałam się, że wymyślisz jakieś głupstwo. Ale to brzmi całkiem sensownie. Przynajmniej o tyle, o ile znam się na magii - odezwała się Kahlan.

Chłopak poczuł ulgę, że się nie wygłupił.

- Chyba popłynę do pieczary i przekonam się, co tam jest.

- O ile wiem, nic tam nie ma. To po prostu gorąca pieczara. Nie jest zbyt głęboka, może na dwadzieścia stóp.

- Nie bardzo lubię pieczary, ale nie zaszkodzi rzucić okiem. - Zdjął koszulę. Odwrócił się ku wodzie.

- Nie zdejmiesz spodni?

Obejrzał się i zobaczył jej szelmowski uśmiech.

- Pomyślałem, że zmyję z nich woń konia.

- Ooooch - powiedziała Kahlan z przesadnym rozczarowaniem.

Uśmiechnięty Richard odwrócił się powtórnie ku wodzie i chciał skoczyć. Nim zdążył to zrobić, rzucił się na niego skrzeczący kruk. Chłopak musiał odskoczyć do tyłu, inaczej bowiem wielkie ptaszysko uderzyłoby go.

Wyciągnął za siebie ramię i spychał Kahlan ze skały.

Kruk zakrakał. Głośny wrzask odbił się echem pośród gór.

Ptak znów opadł przed nimi, o włos chybiając głowy Richarda. Wzniósł się i zakołował. Powietrze szumiało w jego nastroszonych piórach, kiedy na nich znurkował, odpychając ich od toni.

- Czy ten ptak oszalał? - spytała Kahlan. - Może broni swojego gniazda? A może wszystkie kruki tak się zachowują?

Richard złapał ją za ramię i wciągnął między drzewa.

- Kruki to mądre ptaki, bronią swoich gniazd, ale potrafią też być dziwne. Boję się, że ten tu to coś więcej niż kruk.

- Więcej? O co ci chodzi?

Ptak usiadł na gałęzi, gładził lśniące, czarne pióra i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, jak to zwykle kruki. Richard wziął od Kahlan swoją koszulę.

- Powiedziałbym, że to demon.

Kruk usłyszał go nawet z tej odległości. Zamachał skrzydłami, skakał po gałęzi, był ogromnie podekscytowany.

- Pamiętasz bibliotekę? A tego kruka za oknem, który robił takie zamieszanie?

- Drogie duchy - zaniepokoiła się. - Myślisz, że to ten sam? Że leciał za nami aż tutaj?

Richard obejrzał się na nią.

- A jeśli to demon, usłyszał nas wtedy i przyleciał, zęby na nas zaczekać?

Teraz Kahlan była już naprawdę wystraszona.

- Co powinniśmy zrobić?

Dotarli do koni. Richard wyszarpnął swój łuk, przymocowany do siodła. Wyjął z kołczana strzałę z metalowym grotem.

- Uważam, że powinienem go zabić.

Kruk zobaczył łuk w tej samej chwili, kiedy Poszukiwacz wyszedł z za konia. Skoczył w powietrze z głośnym wrzaskiem, jakby nie spodziewał się, że chłopak sięgnie po broń. Kiedy Richard nasadził strzałę, ptak uciekł z przeraźliwym krakaniem i skrzeczeniem.

- No, no, jakież to niesamowite - mruknął chłopak.

- Przynajmniej wiemy, że to był demon. Ten, którego postrzeliłeś w wiosce Błotnych Ludzi, ta istota podszywająca się pod kurę, musiał ostrzec pozostałe demony.

- Chyba tak. - Zaskoczony Richard potrząsnął głową.

- Nie chcę, żebyś pływał w tym jeziorze, Richardzie. Mogą się w nim czaić demony. Głupotą byłoby pływać, kiedy one grasują.

- Ale wygląda na to, że się mnie boją.

Położyła mu dłoń na szyi, żeby nie odwracał głowy.

- A jeśli tylko usypiają twoją czujność i chcą cię wyciągnąć na środek głębiny? Zastanów się. Zedd ostrzegał nas, byśmy się trzymali z dala od wody. - Roztarła ramiona, jakby nagle zmarzła. - Chodźmy stąd, Richardzie, dobrze? Jest tu coś takiego...

Chłopak wdział koszulę i przytulił Kahlan.

- Masz rację. Nie należy zbyt ryzykować, zwłaszcza po tym spotkaniu z krukiem, który nie był krukiem. Poza tym Du Chaillu tak by się rozzłościła, gdybyśmy się pozwolili zabić, że jeszcze urodziłaby przed czasem.

Kahlan zacisnęła w dłoniach jego koszulę. Miała bardzo dziwną minę.

- Richardzie... myślisz, że moglibyśmy...

- Co moglibyśmy?

Puściła jego koszulę i poklepała go po piersi.

- Moglibyśmy stąd pójść.

- No pewnie.

Pospiechali z powrotem, chcąc jak najszybciej oddalić się od jeziora. Pomógł jej dosiąść konia.

- Uważam, że znaleźliśmy to, po co tu przyszedliśmy: skałę, z której wykonano Dominie Dirtch. Myślę, że powinniśmy zmienić plany.

- To znaczy?

- Lepiej wracajmy do Fairfield i ponownie przejrzymy księgi, wykorzystując to, co już teraz wiemy.

- A głosowanie? Miejscowości, które mamy jeszcze odwiedzić?

- I tak mieliśmy rozdzielić żołnierzy i wysłać ich, by czuwali nad głosowaniem i zliczaniem głosów, a potem przywieźli do Fairfield wyniki. Możemy ich wysłać już teraz i niech najpierw w każdej z tych miejscowości przemówią do mieszkańców. Są wśród nich tacy, którym mogę to z ufnością powierzyć. Wystarczająco wiele razy słyszeli, co mówimy. Podzielimy ich już tutaj, a sami wrócimy do posiadłości. Poza tym nie popełnimy błędu, upewniając się, czy zdołamy przekonać wszystkich w Fairfield do głosowania za przyłączeniem się do nas.

Kahlan potaknęła.

- Przede wszystkim demony. Zwycięstwo w głosowaniu nic nam nie da, jeśli demony wszystkich zabiją.

Coś przyciągnęło uwagę Richarda. Zeskoczył z siodła i podał Kahlan wodze swojego konia. Wrócił do kępy świerków.

- Co to jest? - zawołała Kahlan, chcąc już odjechać. Richard podniósł usychającą gałąź.

- Siodło. Ktoś zostawił tu rzeczy i zakrył je, żeby nie zamokły.

- Może to z tego konia, którego widzieliśmy - rzekła.

- Może to jakiegoś myśliwego - powiedział Richard. - Ale wygląda, jakby tu już jakiś czas leżało.

- Znikajmy stąd, Richardzie, chyba że zamierzasz kraść czyjeś rzeczy.

Kruk krzyknął i Richard pospieszył ku swojemu koniowi.

- Po prostu dziwnie to wygląda.

Zacząli zjeżdżać szlakiem i chłopak obejrzał się przez ramię. Wysoko na niebie krążyło kilka kruków. Nie wiedział, który z nich był tym krukiem-nie-krukiem. Może wszystkie.

Zdjął łuk z mocowania przy siodle i zawiesił go sobie na ramieniu.

## ROZDZIAŁ 57

Dalton wyglądał przez okno w swoim gabinecie i słuchał Steina podającego liczebność i miejsce stacjonowania żołnierzy Imperialnego Ładu, którzy występowali jako anderyjskie oddziały specjalne. Dominie Dirtch były równie użyteczne jak w rękach Jaganga. Gdyby lord Rahl ściągał ku Anderithowi swoje oddziały - o ile miał jakieś wystarczająco blisko - to wkrótce zostałyby wodzem bez armii.

- Imperator nakazał również, bym wyraził w jego imieniu wdzięczność za udaną współpracę. Z raportów moich ludzi wynika, że minister wykonał dobrą robotę, osłabiając anderyjskie wojsko. Będą stanowili o wiele mniejszą przeszkodę, niż się spodziewaliśmy.

Dalton obejrzał się przez ramię, lecz nie zobaczył na twarzy tamtego kpiącego uśmiešku. Stein położył nogi na biurku Campbella i odchylił się do tyłu w jego krzesło. Czyścił sobie nożem paznokcie. Miał zadowoloną minę.

Adiutant wziął z biurka bezużyteczną, lecz cenną książkę, którą owa kobieta przyniosła z biblioteki. Książkę, która niegdyś należała do Josepha Andera. Przełożył ją na drugą stronę blatu, żeby Stein nie uszkodził jej swoimi butami.

Z opowieści Teresy wynikało, że wysłannik Ładu ma powody do zadowolenia - mnóstwo kobiet rozmarzonym głosem sączyło w chętnie do słuchania uszy, jakich to podniecających przeżyć doznało w łożu cudzoziemskiego dzikusa. Im skandaliczniej je traktował, z tym większym zachwytem o tym paplały.

Tyle kobiet ofiarowało Steinowi z własnej woli swe wdzięki, że Dalton był trochę zdziwiony, iż tamten tak często kieruje swe pożądanie ku tym, które go nie chcą. Domyślał się, że zdobywanie siłą bardziej satysfakcjonuje tego żołdaka.

- Tak, anderyjska armia ślicznie wygląda na posterunkach przy Dominie Dirtch. - Stein uśmiechnął się. - Lecz ich duma nie na wiele się im przyda, kiedy będą musieli spojrzeć w prawdziwe oblicze wojny.

- Dotrzyliśmy naszej części umowy.

- Wierz mi, Campbell, znam wartość twoją i ministra. Rolnictwo nie jest

może równie wspaniałe jak podboje, lecz brak żywności zatrzyma każdą armię. Nikt z nas nie ma ochoty zajmować się uprawą ziemi, ale wszyscy chcemy jeść. Cenimy cię za to, że wiesz, jak utrzymać w ruchu cały ten system. Będiesz dla nas cennym nabytkiem. Imperator Jagang chce, bym cię zapewnił, że zaraz po jego przybyciu zostaniesz nagrodzony za tak cenne usługi.

Adiutant zatrzymał kłopoty dla siebie.

- Kiedy możemy oczekiwać nadejścia imperatora?

- Wkrótce. - Dalsze szczegóły Stein zbył ruchem ramienia. - Jest zaniepokojony tą sprawą z lordem Rahlem. Podejrzliwie traktuje fakt, że zawierzyliście czemuś tak zmiennemu jak głos zwykłych ludzi.

- Muszę przyznać, że podzielam jego troskę - westchnął Dalton. Wolałby, by Bertrand Chanboor wybrał mniej ryzykowny sposób, lecz zdążył się już przekonać, że minister lubuje się w ryzykownych metodach, podobnie jak Stein w niechętnych mu partnerkach. - Lecz, jak już wyjaśniałem, dzięki takiej taktyce zdołamy schwytać w pułapkę lorda Rahla i Matkę Spowiedniczkę. Jeśli nie będą dowodzić wrogimi siłami, to wojna prędko zmieni się w ich pogrom i Midlandy same wpadną w ręce Jaganga.

- Dlatego imperator pozwala wam to rozegrać.

- Jednak towarzyszy temu pewne ryzyko.

- Ryzyko? A mogę jakoś pomóc?

Adiutant usiadł i przysunął się z krzesłem bliżej biurka.

- Uważam, że powinniśmy bardziej zdyskredytować sprawę lorda Rahla, ale wiąże się z tym niebezpieczeństwo. W końcu Matki Spowiedniczki przez tysiące lat przewodziły Midlandom. I to nie dzięki swojej urodzie i miłemu uśmiechowi. To kobiety zdecydowane, obdarzone mocą. Mówi się, że również lord Rahl jest czarodziejem. Musimy postępować ostrożnie, żeby nie zrezygnowali z tego głosowania i nie skłonili się do rozwiązań siłowych. Gdyby do tego doszło, mogłyby lec w gruzach wszelkie plany, w które tak wiele włożyliśmy.

- Przecież mamy tu swoje oddziały. Nawet jeśli gdzieś w pobliżu stacjonuje ich armia, to i tak nie dostanie się do Anderithu, nie ominie Dominie Dirtch. - Stein zarechotał urągliwie. - Ale chętnie bym im tego pozwolił popróbować.

- Ja również. Rzecz w tym, że na miejscu jest i lord Rahl, i Matka



Spowiedniczka, a to już wystarczający kłopot.

- Już ci mówiłem, Campbell, że nie powinieneś się przejmować magią. Imperator obciął jej pazury.

Adiutant splótł palce leżących na biurku dłoni.

- Dość często to powtarzasz, Stein, jednak twoje słowa nie bardzo mnie pocieszają, choć chciałbym, żeby było inaczej. I ja mógłbym wiele naobiecować, ale ty oczekujesz widocznych rezultatów.

Żołnierz machnął nożem.

- Jak ci już mówiłem, imperator zamierza skończyć z magią, żeby ludzie z wyobraźnią mogli wprowadzić świat w nową erę. I ty weźmiesz w tym udział. Czas magii minął. Magia umiera.

- Suweren też, ale jeszcze żyje.

Stein znów zaczął czyścić paznokcie i czynił to z przesadną uwagą. Najwyraźniej nie zrażały go wątpliwości Daltona, znów spróbował je rozproszyć.

- Więc pewnie z radością dowiesz się, że w przeciwieństwie do twojego ukochanego Suwerena, zwierz magii nie ma już kłów. Jest bezzębny. Magii nie trzeba się już bać. - Uniósł róg swojej peleryny z ludzkich skalpów. - Ci z magicznym darem dołożą się do mojej kolekcji. Zdieram skalpy, póki jeszcze żyją. Bardzo mnie radują wrzaski, jakie wtedy wydają.

Przechwałki Steina i próby zaszokowania go nie zrobiły na Daltonie wrażenia. Chętnie by się natomiast dowiedział, co tamten miał na myśli, kiedy wspomniał o końcu magii. Franca nie mogła już korzystać ze swojego daru, więc Campbell wiedział, że coś się dzieje, nie miał wszakże pojęcia co i - co więcej - w jakim stopniu osłabiło to magię. Nie potrafił rozeznaczyć, czy Stein przekazuje mu prawdę, czy też obskurancką wersję czczych pragnień podpartych zabobonem ze Starego Świata.

Tak czy owak, nadszedł czas działania. Nie mogli sobie pozwolić na pozostawienie spraw ich biegowi. Adiutant biedził się nad tym, w jakim stopniu mogą się ośmielić okazywać sprzeciw wobec przyłączenia się do lorda Rahla. Musieli jakoś nakłonić ludzi do odrzucenia oferty władcy D'Hary, lecz zbyt łagodne działania były równie dobre jak żadne. Z drugiej zaś strony, zbyt niebezpiecznie było wkładać rękę przez kraty i szarpać za nos niedźwiedzia, jeśli wciąż miał kły i pazury.

Dalton zastanawiał się, czy mógłby skłonić żołnierza Ładu do

konkretniejszych wypowiedzi.

- No to wygląda na to, że mamy poważny problem. Stein popatrzył na niego.

- Jak to?

Campbell rozłożył ręce w geście mającym świadczyć o jego dezorientacji.

- Skoro magia nie jest już orężem, to i Dominie Dirtch, w których pokładaliśmy taką nadzieję, też są bezużyteczne i wszystkie nasze plany się nie powiodą. Nazwałbym to poważnym problemem.

Stein zdjął nogi z biurka, wsunął nóż do pochwy. Oparł łokcie o biurko i pochylił się.

- Nie ma się o co martwić. Imperator dalej kontroluje swoje Siostry Mroku. Ich magiczny dar pracuje dla niego. Ale z tego, co nam powiedziały, wynika, że coś się stało. Coś pokręciło się w magii i zanikła moc tych, którzy są po stronie lorda Rahla. Jagang dowiedział się, że magia już nie stoi za lordem Rahlem. Jego dar też wkrótce zaniknie. Już jest, albo wkrótce będzie, wydany na naszą łaskę.

Dalton myślał intensywnie. Jeśli to prawda, to wszystko ulega zmianie. To znaczy, że może natychmiast wcielić w życie swoje plany. Może podjąć niezbędne działania i nie obawiać się ich następstw, a nawet odwetu ze strony lorda Rahla. Co więcej, lord Rahl i Matka Spowiedniczka będą bardziej liczyć na zwycięstwo w głosowaniu, Dalton zaś, nie obawiając się ich działań, zadba już, żeby przegrali.

O ile, rzecz jasna, magia naprawdę zanika. Adiutant znał sposób, żeby się o tym przekonać. Lecz najpierw złoży wizytę choremu Suwerenowi. Nadszedł czas działania. Zrobi to jeszcze tego wieczoru, przed zaplanowaną na jutro ucztą.

Ann, choć bardzo głodna, nie czekała z niecierpliwością na porę posiłku. Już tak długo tkwiła przybita do ziemi, w swoim brudnym namiocie, że wiedziała, iż ten czas się zbliża. Lada chwila do namiotu wtargnie krzepki żołnierz Imperialnego Ładu, niosąc jej chleb i wodę. Nie miała pojęcia, co się stało z Siostrą Alessandrą - nie widziała jej od ponad tygodnia.

Żołnierze nie lubili karmić starej kobiety. Podejrzewała, że zrobili sobie z tego rozrywkę. Przychodzili, łapali ją za włosy i grubymi, brudnymi paluchami wpychali jej do ust chleb, jakby tuczili gęś. A kiedy starała się połknąć suche kawałki, żeby się nie zadławić, lali jej do gardła wodę, by

splukać pieczywo.

To było obrzydliwe i Ksieni nie miała nad tym żadnej kontroli. Wiedziała, że powinna jeść, lecz zaczynała się obawiać, iż wykończają tym karmieniem.

Pewnego razu żołnierz, który przyszedł z jedzeniem, rzucił chleb na ziemię i postawił obok niego miskę wody, jakby Ann była psem. Wydawał się dumny z siebie, bo okazał jej brak szacunku i jednocześnie oszczędził sobie kłopotu. Nie zorientował się, że Siostrze bardzo to odpowiadało. Kiedy już się pośmiał i wyszedł, mogła się ułożyć na boku, przysunąć chleb i zjeść go w takim tempie, jak chciała, choć nie potrafiła oczyścić pieczywa z kurzu.

Ktoś uchylił wejście do namiotu. Ciemna postać przesłoniła blask płonących na zewnątrz ognisk. Ann zastanawiała się, co ją czeka: tuczenie gęsi czy karmienie psa z ziemi. Ku jej zdumieniu była to Siostra Alessandra z misą rozsiewającą aromat zupy na kiełbasie. Siostra przyniosła nawet świecę. Wepchnęła ją w ziemię, trochę z boku. Nie uśmiechała się. Nie patrzyła Ksieni w oczy. W słabym blasku świecy Ann dostrzegła, że twarz tamtej jest podrapana i posiniaczona. Pod lewym okiem, na kości policzkowej, widniało paskudne rozcięcie, ale już się goiło. Mniejsze skaleczenia najwyraźniej powstały w różnym czasie - jedne były stare, prawie wygojone, inne zupełnie świeże.

Ksieni nie musiała pytać, jak to się stało. Policzki Alessandry były czerwone, otarte do krwi przez zarost wielu nie ogolonych twarzy.

- Jak to dobrze, Alessandro, widzieć cię... żywą. Ogromnie się o ciebie bałam.

Siostra Mroku z pozorną obojętnością poruszyła ramieniem. Nie marnowała czasu i zbliżyła do ust Ann łyżkę dymiącej zupy. Ksieni przełknęła ją, nim zdążyła się nacieszyć smakiem, tak była głodna. Rozgrzewające żołądek ciepło stawy przyniosło jej ulgę.

- O siebie też się bałam - dodała. - Strasznie się bałam, że ci żołnierze zaduszą mnie wpychanym do gardła jedzeniem.

- Znam to uczucie - szepnęła Alessandra.

- Alessandro, czy... czy nic ci nie jest?

- Absolutnie nic. - Zdawało się, że tkwi w schronieniu pozbawionym emocji.

- Nie jesteś ciężko ranna?

- Wyszłam z tego w o wiele lepszym stanie niż inne. Jeżeli... jeżeli nas pokaleczą, złamią kość, Jagang pozwala, byśmy leczyły się nawzajem, korzystając z naszego daru.

- Leczenie to magia addytywna.

Siostra Alessandra znów przysunęła łyżkę do ust Ksieni.

- I dlatego miałam szczęście. W przeciwieństwie do niektórych mam całe kości. Próbowaliśmy im pomóc, wyleczyć je, lecz nie udało się nam i muszą cierpieć. - Spojrzała Ann w oczy. - Świat bez magii to niebezpieczne miejsce.

Ksieni miała ochotę przypomnieć Siostrze Mroku, że już jej to mówiła. Przypomnieć, iż ostrzegęła, że demony są na swobodzie i że magia, a przynajmniej magia addytywna, straci moc.

Alessandra podała jej kolejną łyżkę zupy i powiedziała:

- Przypuszczam, że właśnie to chciałaś mi powiedzieć, Ksieni. Ann wzruszyła ramionami.

- I ja z początku nie chciałam wierzyć ludziom, którzy usiłowali mnie przekonać, że demony są na swobodzie. Pod tym względem jesteśmy takie same. Powiedziałabym, Siostrze Alessandro, że odznaczasz się takim wyjątkowym uporem, iż jest bardzo prawdopodobne, że pewnego dnia zostaniesz Ksienią.

Alessandra, choć wbrew woli, jednak się uśmiechnęła. Ann patrzyła, jak łyżka z kawałkiem kiełbasy tkwi w misce.

- Czy naprawdę oczekiwałaś, Ksieni, że Siostry Światła uwierzą ci, iż magia zanikła, i że z własnej woli spróbują z tobą uciec?

Ta spojrzała jej w oczy.

- Nie do końca. Miałam nadzieję, że uwierzą moim słowom, wiedząc, iż zawsze ceniłam prawdę. Wiedziałam jednak, że istnieje możliwość, iż ich strach jest tak wielki, że nie zechcą uciec, i to bez względu na to, czy mi uwierzą czy nie. Niewolnicy - obojętnie czy kogoś, czy czegoś - czepiają się czasem swego niewolnictwa ze strachu, że jego przeciwieństwo byłoby dla nich nie do zniesienia. Spójrz na pijaków, niewolników trunków, którzy uważają nas za okrutników, bo usiłujemy ich namówić, żeby wyzwolili się ze swojej niewoli.

- A co zamierzałaś zrobić, gdyby Siostry Światła nie chciały się wyrzec swojego niewolnictwa?

- Jagang wykorzystuje je, wykorzystuje ich magię, tak samo jak waszą.

Kiedy demony zostaną przepędzone, magia powróci i Siostry odzyskają swoją moc. Wielu ludzi umrze z ich rąk, choćby nie wiem jak były temu przeciwnie. Powinny umrzeć, gdyby odrzuciły możliwość ucieczki, wyzwolenia się z niewoli.

Siostra Alessandra uniosła brew.

- No, no, Ksieni. Wcale się tak bardzo nie różnimy. Siostra Mroku rozumowałaby podobnie.

- To po prostu zdrowy rozsądek. Zagrożone jest życie wielu ludzi. - Ann była głodna i tęsknie patrzyła na tkwiącą w pobliżu miski łyżkę z kawałkiem kiełbasy.

- Więc dlaczego cię złapano? Ksieni westchnęła.

- Bo nie spodziewałam się, że mnie okłamią, i to w tak ważnej sprawie. Nie byłby to wystarczający powód do uśmiercenia ich, ale na pewno sprawi, że to uciążliwe, choć niezbędne zadanie stanie się nieco łatwiejsze.

Alessandra w końcu wsunęła jej do ust kawałek kiełbasy. Tym razem Ann wolniutko żuła, rozkoszując się smakiem.

- Możesz ze mną uciec, Alessandro - powiedziała cicho, kiedy wreszcie przełknęła.

Siostra wyłowiła coś z miski i wyrzuciła. Znow zamieszała zupę.

- Już ci mówiłam, że to byłoby niemożliwe.

- Dlaczego? Bo Jagang tak ci powiedział? Bo powiedział ci, że wciąż będzie w twoim umyśle?

- To jeden z powodów.

- Imperator obiecał ci, Alessandro, że jeśli się mną zaopiekujesz, to nie wyśle cię do namiotów, byś prostytutowała się dla jego żołnierzy. Mówiłaś mi, że ci to obiecał.

Siostra Mroku miała oczy pełne łez, łyżka znieruchomiła w powietrzu.

- Należymy do Jego Ekscelencji. - Drugą dłonią dotknęła złotego kółka w dolnej wardze: symbolu niewolnic Jaganga. - Może zrobić z nami, co zechce.

- Okłamał cię, Alessandro. Powiedział, że tego nie robi, jeśli się mną zajmiesz. Kłamał. Nie możesz ufać kłamcy. Nie w sprawie twojej przyszłości czy życia. I ja popełniłam ten błąd, lecz nie pozwoliłabym kłamcy drugi raz sobie zaszkodzić. Skoro skłamał w tej sprawie, to w ilu jeszcze kłamie?

- Co masz na myśli?

- A to, że niby nie możesz uciec, bo wciąż jest w twoim umyśle. Nie ma go

tam, Alessandro. Podobnie jak nie może wniknąć do mojego umysłu, tak teraz nie może i do twojego. Owszem, będzie mógł, gdy demony zostaną przegnane, ale teraz nie może. Jeśli przysięgniesz lojalność Richardowi, będziesz chroniona przed Jagangiem również wtedy, kiedy demony zostaną przegnane. Możesz stąd odejść, Alessandro. Możemy wypełnić nasz ponury obowiązek wobec Sióstr, które skłamały i wybrały przebywanie z innym kłamcą, a potem uciec.

- Zapominasz, Ksieni, że jestem Siostrą Mroku, która przysięgała Opiekunowi. - Głos kobiety był równie wyprany z emocji jak jej twarz.

- W zamian za co, Alessandro? Co zaofiarował ci Opiekun zaświatów? Cóż lepszego mógł ofiarować niż wieczność w Świetle Stwórcy?

- Nieśmiertelność.

Ann patrzyła w twarde oczy tamtej. Na zewnątrz śmiali się i zabawiali żołnierze, którzy wykorzystali tę bezbronną pięćdziesięcioletnią Siostrę Mroku. Przyjemne i paskudne wonie przepływały przez namiot: zapach skwierczącego czosnku, łajna, smażącego się mięsa, palącego się futra, słodki zapach płonącego drewna brzoźowego z pobliskiego ogniska, odór zastarzałego potu. Ksieni też nie odwróciła wzroku.

- Opiekun cię okłamuje, Alessandro. Oczy Siostry Mroku przestały być obojętne.

Wstała i wylała prawie pełną miskę zupy na ziemię przed namiotem. Odwróciła się - jedną stopą była jeszcze w środku, drugą już na zewnątrz.

- Dla mnie możesz sobie umrzeć z głodu, starucho. Wolę wrócić do namiotów, niż słuchać twoich bluźnierstw.

Ann - opuszczona, zboląta na ciele i duszy, otoczona głuchą ciszą - modliła się do Stwórcy, prosząc go, by dał Siostrze Alessandrze możliwość powrotu do Światła. Modliła się również za Siostry Światła, tak samo stracone jak Siostry Mroku.

Gdy patrzyła ze swojego miejsca w ciemnym i samotnym namiocie, wydawało się jej, że świat oszalał.

- Cóżś uczynił, drogi Stwórco? - łkała. - Czy to wszystko kłamstwa?

## ROZDZIAŁ 58

Dalton pospiesznie podszedł do głównego stołu i uśmiechnął się do Teresy. Sprawiała wrażenie samotnej i opuszczonej. Ucieszyła się na jego widok, choć się spóźnił. Ostatnio zbyt rzadko ją widywał. Nic nie mógł na to poradzić. Rozumiała to. Campbell pocałował ją w policzek i usiadł.

Minister powitał go przelotnym spojrzeniem. Był niezmiernie zajęty wymianą pożądlivych spojrzeń z kobietą siedzącą przy stole po prawej stronie komnaty jadalnej. Wykonywała sugestywne ruchy kawałkiem wołowiny. Bertrand Chanboor uśmiechał się.

Seksualne słabostki ministra w istocie przyciągały wiele kobiet, zamiast je od niego odpychać. Pociągały kobiety nawet wtedy, kiedy nie zamierzały im ulegać. Taki już był kaprys kobiecej natury, że na niektóre z nich nieodparcie działały dowody męskości, choćby i zdrożne. To było niczym powiew niebezpieczeństwa - coś prowokującego i zarazem odpychającego. Im skandaliczniej zachowywali się pewni mężczyźni, tym bardziej podniecało to część kobiet.

- Mam nadzieję, że się zbyt nie wynudziłaś - szepnął do żony i umilkł, uradowany, że tak rozpromieniła się na jego widok.

Campbell pozwolił sobie jedynie na przelotny uśmiech do ukochanej. Poza tym starał się utrzymać zwykłą, spokojną minę - lada moment miał zebrać owoce swoich wysiłków. Łyknął wina. Nie rozkoszował się jego smakiem, chciał, żeby podziałało.

- Tęskniłam za tobą. Bertrand opowiadał żarty. - Teresa zarumieniła się. - Ale nie mogę ich powtórzyć. Przynajmniej nie tutaj. - Na jej ustach pojawił się szelmowski uśmieszek. - Może ci opowiem, gdy wrócimy do apartamentów.

Zamarkował uśmiech, już zajęty myślami o poważnych sprawach.

- Jeśli odpowiednio wcześniej wrócę. Dziś wieczorem muszę jeszcze wysłać plik nowych wieści. Wydarzyło się - zmusił się, by przestać bębnić palcami po stole - coś ważnego, doniosłego.

- Co? - Podekscytowana Teresa pochyliła się ku niemu.

- Twoje włosy pięknie rosną, Tess. - Były już tak długie, jak pozwalała na to jej obecna pozycja. Nie mógł się powstrzymać przed aluzją: - Ale sądzę, że

będą musiały jeszcze urosnąć.

- Daltonie... - Oczy rozszerzały się jej, kiedy rozważała, co też chciał dać do zrozumienia, ale na jej twarzy odmalowało się również zmieszanie i dezorientacja, bo nie mogła sobie wyobrazić, jak w obecnych warunkach mógłby wreszcie zrealizować swoje ambicje. - Daltonie, czy to ma coś wspólnego z... z tym, o czym mi zawsze mówiłeś...?

Jego kamienna twarz sprawiła, że Tess umilkła.

- Przepraszam, kochanie, nie powinienem się tak zagalopować. Być może zbyt wiele się po tym spodziewam. Cierpliwości, za kilka minut o wszystkim usłyszysz. Najlepiej, żeby takie wieści ogłosił minister.

Lady Chanboor przelotnie spojrzała na kobietę ze zwiniętym kawałkiem mięsa. Tamta, udając, że zajmuje się wyłącznie biesiadnikami, osłoniła twarz lokami i patrzyła tylko *na* nich. Hildemara obrzuciła Bertranda krótkim, groźnym, morderczym spojrzeniem i przechyliła się za mężem ku Daltonowi.

- O czym słyszałeś?

Campbell osuszył usta z wina i położył serwetkę na kolanach. Uznał, że najlepiej będzie zacząć od blahszej wiadomości. Pozwoli to lepiej uzmysłwić sobie znaczenie tego, co należy zrobić.

- Lord Rani i Matka Spowiedniczka pracują od wschodu do zachodu słońca, odwiedzając tyle miejscowości, ile zdołają. Przemawiają do tłumów, które pragną ich słuchać. Sama Matka Spowiedniczka przyciąga mnóstwo ludzi chcących ją zobaczyć. Obawiam się, że mieszkańcy Anderithu darzą ją cieplejszymi uczuciami, niż byśmy tego pragnęli. Swoim niedawnym zamążpójściem zdobyła serca i miłość wielu osób. Ludzie radośnie witają nowożeńców wszędzie tam, gdzie ci się pojawiają. Do miasteczek, w których przemawiają Matka Spowiedniczka i lord Rahl, okoliczni wieśniacy ściągają z odległości wielu mil.

Lady Chanboor skrzyżowała ramiona i mruknęła pod adresem nowożeńców nadzwyczaj wulgarne, nawet jak na nią, przekleństwo. Dalton był ciekaw, jakimi obscenicznymi wyrazami określa jego, kiedy się jej nieświadomie narazi i nie słyszy, co o nim mówi. Znał kilka barwnych inwektyw, którymi obrzucała męża. Część pracowników posiadłości aż za dobrze znała lady Chanboor od tej strony, lecz ludzie, którzy widywali ją rzadziej, uważali, że jest tak skromna, iż żadne przekleństwo nigdy nie



skalało jej ust. Hildemara dobrze rozumiała, jakie znaczenie ma poparcie obywateli. Kiedy - jako lady Chanboor, kochająca żona Ministra Spraw Duchowych oraz orędowniczka żon i matek - objeżdżała krainę, sławiąc zasługi swego męża, by nie wspomnieć już o pielęgnowaniu kontaktów z bogatymi poplecznikami, przyjmowano ją z oznakami służalczości i lizusostwa, a nie tak, jak Matkę Spowiedniczkę. Jeśli mieli wygrać, powinna odegrać swoją rolę lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Adiutant upił kolejny łyk wina i dodał:

- Matka Spowiedniczka i lord Rahl kilka razy spotkali się z dyrektorami. Słyszałem, że dyrektorzy wyrazili im swoje zadowolenie z uczciwych warunków, jakie zaproponował lord Rahl, poparli kierujące nim motywy i doniosły ceł.

Bertrand zacisnął dłonie w pięści i zagryzł zęby.

- A przynajmniej - dorzucił Dalton - wyrażają to zadowolenie w obecności lorda Rahla. Kiedy jednak lord Rahl odjeżdża, dyrektorzy po dojrzałszym namyśle zmieniają zdanie. - Campbell spojrział w oczy ministrowi i jego żonie, sprawdzając, czy uważnie go słuchają, i dopiero wtedy powiedział: - To bardzo pomyslnie, jeśli wziąć pod uwagę to, co się właśnie wydarzyło.

Bertrand Chanboor badawczo rzucił okiem na twarz adiutanta, a potem znów zaczął się przyglądać młodej damie.

- A co się właśnie wydarzyło? Campbell ujął pod stołem dłoń Teresy.

- Ministrze Chanboor, lady Chanboor, z przykrością i żalem informuję, że Suweren zmarł.

Wstrząśnięta Teresa zachłysnęła się oddechem, a potem zakryła twarz serwetką, by ludzie nie zauważyli, że się nagle rozplakała. Nie znosiła, gdy ktoś widział, jak płacze.

Bertrand wbił wzrok w adiutanta.

- Myślałem, że mu się polepsza.

Minister nie miał nic przeciwko śmierci Suwerena. Okazał w ten sposób swą podejrzliwość, ponieważ nie był pewny, czy Dalton mógłby dokonać takiego czynu i, co więcej, dlaczego miałby dokonać czegoś tak zuchwałego, o ile naprawdę to zrobił.

Chanboor bez wątpienia byłby zachwycony, gdyby stary Suweren zwolnił stanowisko w tak dogodnym dla nich momencie, lecz nawet cień

podejrzenia, że nie stało się to z przyczyn naturalnych, mógł zrujnować to, do czego dążyli, i to w chwili, kiedy stali już u progu zwycięstwa.

Dalton Campbell, wcale nie wystraszony tą aluzją, nachylił się ku swemu zwierzchnikowi.

- Mamy kłopoty. Zbyt wielu ludzi chce narysować kółko i wyrazić w ten sposób zgodę na przyłączenie się do lorda Rahla. Musimy sprawić, by był to osobisty wybór każdego pomiędzy umiłowanym, łaskawym Suwerenem a człowiekiem, który może chować w sercu złe zamiary względem naszego ludu. Jak to już omawialiśmy, musimy być w stanie dotrzymać wcześniejszych uzgodnień z naszym... zwolennikiem. Nie możemy sobie dłużej pozwalać na ryzyko, jakie niesie ze sobą to głosowanie. Musimy zająć bardziej zdecydowane stanowisko przeciw przyłączeniu się do lorda Rahla, i to pomimo niebezpieczeństw, jakie pociąga za sobą taki krok. - Campbell jeszcze bardziej ściszył głos. - Musisz wesprzeć takie stanowisko powagą Suwerena. Musisz zostać Suwerenem i ogłosić to.

Na wargi Bertranda wypłynął pełen zadowolenia uśmiech.

- Daltonie, mój lojalny i pomysłowy adiutancie, właśnie zasłużyłeś sobie na wakujące wkrótce stanowisko Ministra Spraw Duchowych.

Wszystkie części układanki zaczęły wreszcie trafiać na właściwe miejsce.

Twarz Hildemary wyrażała niedowierzanie, choć i zadowolenie. Lady Chanboor wiedziała, ile ochronnych kręgów otacza Suwerena, wiedziała, bo bezskutecznie usiłowała przez nie przeniknąć. Jej mina świadczyła, że już wyobraża sobie siebie jako żonę Suwerena - kobietę czczoną niemal tak, jak to się należało dobremu duchowi w świecie istot żywych, kobietę, której słowa miały o wiele większe znaczenie niż zwykłej żony ministra. Status ten - jeszcze przed kilkoma chwilami wysoki - teraz wydawał się lichy i niegodny jej soby.

Hildemara przechyliła się za mężem i delikatnie uścisnęła nadgarstek Campbella.

- Dalton, chłopcze, jesteś jeszcze lepszy, niż myślałam, a miałam o tobie bardzo dobre zdanie. Nigdy nie podejrzewałabym, że to możliwe... - Nie dopowiedziała co.

- Spełniam swój obowiązek, lady Chanboor, bez względu na trudności. Wiem, że liczą się wyłącznie efekty.

Ponownie ścisnęła nadgarstek adiutanta i cofnęła rękę. Jeszcze nigdy tak

szczerze nie pochwaliła czegoś, co zrobił. Za Claudine Winthrop nie podziękowała nawet skinieniem głowy. Campbell zajął się żoną. Był ostrożny - nie słyszała tego, co szeptał do tamtych. Pograżona w żalu, nawet nie zwracała na to uwagi. Pocieszająco otoczył ramieniem jej barki.

- Nic ci nie jest, Tess?

- Och, Daltonie, ten biedak... - załkała. - Nasz biedny Suwren. Oby Stwórca otoczył opieką jego duszę w owym chwalebnym miejscu, na które sobie zasłużył.

Bertrand przechylił się za Daltonem Campbellem i współczująco dotknął ramienia jego żony.

- Dobrze powiedziane, moja droga. Dobrze powiedziane. Znakomicie wyraziłaś gorące uczucia nas wszystkich.

Chanboor przybrał najbardziej przygnębioną ze swoich min i wstał. Nie unióś ręki, jak to zwykle czynił. Stał w milczeniu, z pochyloną głową i złożonymi dłońmi. Hildemara skinęła palcem i harfa zamilkła. Powoli cichły śmiechy i rozmowy. Biesiadnicy zaczęli sobie uświadamiać, że dzieje się coś niezwykłego.

- Zacni mieszkańcy Anderithu, właśnie otrzymałem żałobne wieści. Od dzisiejszego wieczoru jesteśmy ludem pozbawionym Suwerena.

Wbrew oczekiwaniom Daltona nie rozległy się szepty, a zaległa głucha, martwa cisza. I wtedy Campbell po raz pierwszy uświadomił sobie, że urodził się i przeżył całe swoje dotychczasowe życie pod panowaniem starego Suwerena. Skończyła się pewna epoka. Wielu z obecnych musiało myśleć tak samo.

Bertrand Chanboor, w którego wpatrywały się oczy wszystkich, zamrugał, jakby powstrzymywał łzy. Głos miał zbolący i cichy.

- Pochylmy głowy i módlmy się, by Stwórca zabrał duszę naszego umiłowanego Suwerena do zaszczytnego miejsca, na które zasłużył sobie dobrymi uczynkami. Później będę was musiał opuścić, rezygnując z kolacji. Muszę zwołać dyrektorów, żeby spełnili swój obowiązek. Zważywszy na napiętą sytuację, związaną z tym, że lord Rahl i imperator Jagang zabiegają o sojusz z nami, oraz z rzucającą na nas ciemną chmurą wojny, poproszę w imieniu ludu Anderithu, by dyrektorzy jeszcze tej nocy wyznaczyli nowego Suwerena. Rankiem zostałby on wyświęcony i ponownie złączyłby nas ze Stwórcą oraz zapewnił nam przewodnictwo, którego stary Suwren ze

względu na wiek i zły stan zdrowia nie mógł już sprawować.

Teresa chwyciła męża za rękaw.

- Daltonie - wyszeptała, wpatrzona ze czcią w Bertranda Chanboora. - Czy zdajesz sobie sprawę, Daltonie, że on może być naszym przyszłym Suwerenem?

Campbell nie chciał jej zepsuć szczerości objawienia. Delikatnie położył dłoń na plecach żony.

- Możemy mieć tę nadzieję, Tess.

- Możemy się również modlić - wyszeptała z oczami lśniącymi od łez.

Bertrand Chanboor rozłożył ręce przed wilgotnymi oczami przerażonego tłumu.

- Proszę was, zacni ludzie, pochylcie wraz ze mną głowy w modlitwie.

Dalton, spacerujący w pobliżu drzwi, ujął ramię Franki, gdy tylko weszła do komnaty. Zatrzasnął drzwi.

- Jak miło cię widzieć, droga Franco. I mieć okazję do rozmowy z tobą. Długo się nie widzieliśmy. Dziękuję, że przyszłaś.

- Powiedziałeś, że to ważne.

- Bo tak jest. - Wykonał zapraszający gest. - Usiądź, proszę. Kobieta wygładziła suknię i usiadła na wyściełanym krześle przed biurkiem. Campbell oparł się o biurko. Chciał być bliżej niej, wydawać się mniej oficjalnym, niż gdyby siedział z drugiej strony mebla. Poczul coś pod siedzeniem. Sprawdził, co to, i odsunął na bok małą książeczkę Josepha Andera.

- Czy mógłbyś otworzyć okno, Daltonie? - powiedziała Franca i powachlowała twarz. - Przeróżliwie tu duszno.

Miała rację. Choć był dopiero brzask i słońce nie wyłoniło się jeszcze zza horyzontu, było już gorąco i zapowiadał się parny dzień. Dalton, obszedł z uśmiechem biurko i uniósł skrzydło okna. Obejrzał się przez ramię i - posłuszny jej nalegającemu gestowi - otworzył jeszcze dwa okna.

- Dziękuję, Daltonie. Miło, że spełniłeś moją prośbę. Więc cóż to za ważna sprawa?

Wrócił na poprzednie miejsce, oparł się o biurko i spojrzał na France.

- Czy udało ci się cokolwiek usłyszeć podczas wieczornej uczty? To było ważne spotkanie, ogłoszono na nim tragiczną wiadomość. Przydatne byłoby, gdybyś nam mogła powiedzieć, co słyszałaś.

Kobieta, zmartwiona, otworzyła małą sakiewkę przymocowaną do paska i osłoniętą fałdą z brązowej wełny. Wyjęła cztery złote monety i podała je Daltonowi.

- Proszę. Tyle mi zapłaciłeś, od kiedy... od kiedy mam trudności z darem. Nie zarobiłam tego. Nie mam prawa zatrzymywać twoich pieniędzy. Przepraszam, że musiałeś mnie tu wołać, bo szybciej nie zwróciłam zapłaty.

Adiutant wiedział, jak bardzo była jej potrzebna. Jej dar zanikł, więc nie zarabiała. Zaczynało jej brakować pieniędzy. Ponieważ w jej życiu nie było żadnego mężczyzny, musiała sama na siebie zarobić lub przymierać głodem. Zwrot zapłaty był dla niej przykrą koniecznością i poważnym wyznaniem.

- Nie, nie, Franco. Nie chcę twoich pieniędzy. - Dalton odsunął jej rękę.

- To nie moje pieniądze. Nie zrobiłam nic, by na nie zasłużyć. Nie mam do nich prawa.

Znów podała mu monety. Campbell ujął jej dłoń w obie ręce i przytrzymał z czułością.

- Jesteśmy starymi, dobrymi przyjaciółmi, Franco. Jeśli uważasz, że nie zarobiłaś tych monet, to zaraz dam ci okazję, by na nie zasłużyć.

- Mówiłam ci, że nie mogę...

- Tu nie chodzi o twój dar, a o coś innego, co możesz zaofiarować.

Cofnęła się, wstrzymała na chwilę oddech.

- Ależ, Daltonie! Masz żonę! Piękną, młodą żonę...

- Nie, nie - powiedział zaskoczony adiutant. - Nie, Franco. Przepraszam, jeśli w jakikolwiek sposób dałem do zrozumienia, że mógłbym... Przepraszam, że nie wyraziłem się jasno.

Campbell uważał France za intrygującą, pociągającą kobietę, choć była trochę starsza i dość niezwykła. Choć nie miał tego na myśli i nawet nie rozważał takiej propozycji, był jednak rozczarowany, że pomysł ten uważała za odrażający.

- Czegóż więc chcesz? - spytała, już uspokojona.

- Prawdy.

- Ach. Cóż, Daltonie, jest prawda i prawda. Jedna bardziej kłopotliwa od drugiej.

- Mądre słowa.

- Jakiej prawdy szukasz?

- Co się stało z twoim magicznym darem?

- Nie działa.

- To już wiem. Teraz chcę się dowiedzieć dlaczego.

- Chcesz zostać czarodziejem, Daltonie? Odetchnął głęboko i splótł dłonie.

- To ważne, Franco. Muszę wiedzieć, dlaczego twój dar nie działa.

- Z jakiego powodu?

- Bo muszę wiedzieć, czy to dotyczy tylko ciebie, czy też w ogóle całej magii. Magia stanowi ważny element w życiu wielu mieszkańców Anderithu. Jeżeli zanikła, to powinienem o tym wiedzieć, żeby ten urząd był na to przygotowany.

- Och. - Jej twarz złagodniała.

- Co złego dzieje się z magią i jak rozległy ma to zasięg?

- Nie mogę powiedzieć. - Znów sposepniała.

- Naprawdę muszę to wiedzieć, Franco. Powiesz? No proszę... Zerknęła na niego.

- Nie proś mnie, Daltonie...

- Proszę.

Siedziała przez chwilę, wpatrując się w podłogę. W końcu ujęła jego dłoń i wcisnęła w nią monety. Wstała i spojrzała Campbellowi w oczy.

- Powiem ci, ale nie chcę za to pieniędzy. Za to ich nie wezmę. Powiem ci tylko dlatego, że ja... że jesteś przyjacielem.

Dalton pomyślał, że kobieta wygląda, jakby ją właśnie skazał na śmierć. Wskazał jej krzesło i opadła na nie.

- Jestem za to wdzięczny, Franco. Naprawdę. Skinęła głową, nie patrząc na niego.

- Coś złego dzieje się z magią. Ponieważ nic o niej nie wiesz, pominię szczegóły. Dla ciebie najważniejsza jest wiadomość, że magia umiera. Tak jak zniknął mój dar, tak znika cała magia. Znika i umiera.

- Ale dlaczego? Nie można nic w tej sprawie zrobić? Zastanawiała się przez chwilę.

- Nie. Nie sądzę. Nie mogę mieć całkowitej pewności, lecz mogę cię poinformować, iż podejrzewam, że sam Pierwszy Czarodziej zginął, usiłując rozwiązać tę sprawę.

Dalton osłupiał ze zdumienia. To było nie do pomyślenia. Nie miał co prawda pojęcia o magii, lecz wiedział, ile dobrego przynosiła ludziom, na

przykład uzdrawiające działania Franki, które nie tylko leczyły ciało, ale przynosiły też ulgę zbolątej duszy. Uznał, że to o wiele donioślejsza sprawa niż śmierć człowieka, który był Suwerenem. Tu umierało o wiele więcej.

- Ale powróci? Czy wydarzy się coś, co... bo ja wiem... uzdrowi to wszystko?

- Nie wiem. Jak już powiedziałam, nie mógł tego procesu odwrócić człowiek dysponujący większą wiedzą niż ja, więc sądzę, że to nieodwracalne. Bardzo możliwe, że magia mogłaby powrócić, lecz boję się, że jest już na to za późno.

- A jakie będą tego skutki? Franca zbladła i powiedziała tylko:

- Wolę nie zgadywać.

- Badałaś tę sprawę? Dogłębnie?

- Zaszłam się w domu i czytałam wszystko, co zdołałam. Próbowałam wszystkiego. Wczoraj wieczorem po raz pierwszy od tygodni byłam wśród ludzi. - Spojrzała na niego i zmarszczyła brwi. - Kiedy minister ogłosił śmierć Suwerena, powiedział coś o lordzie Rahlu. Co to było?

Dalton uświadomił sobie, że Franca straciła kontakt z codziennymi sprawami Anderithu, że nie wiedziała nawet o lordzie Rahlu i o głosowaniu. Ale on musiał się teraz zająć bardziej nagłymi sprawami.

- O, wiesz, zawsze są grupy, które rywalizują o produkty Anderithu. - Ujął jej dłoń, pomógł wstać. - Dziękuję, że przyszłaś i powierzyłaś mi te wiadomości. Bardziej mi tym pomogłaś, niż sądzisz.

Wydawała się wzburzona takim pospiesznym pożegnaniem, lecz Dalton nie mógł nic na to poradzić. Musiał się zabrać do pracy.

Franca przystanęła z twarzą tuż przy twarzy Campbella i spojrzała mu prosto w oczy. To było przykuwające spojrzenie, obojętne, czy miała dar czy nie.

- Obiecuj mi, Daltonie, że nie pożałuję, iż powiedziałam ci prawdę.

- Franco, możesz liczyć...

Adiutant obrócił się, bo za nim rozległ się nagle jakiś hałas. Odciągnął France, wystraszony. Przez otwarte okno wleciał wielki, czarny ptak. Kruk, uznał, choć nigdy ich z bliska nie widział.

Ptaszysko rozciągnęło się jak długie na jego biurku, końce skrzydeł sięgały niemal krańców blatu. Podpierało się dziobem i szeroko rozpostartymi skrzydłami, żeby lepiej utrzymać się na płaskiej, gładkiej

skórce wpuszczonej w blat. Skrzeknęło z gniewu lub zdumienia, że tak tu ślisko.

Campbell spiesznie podszedł do imitującego zwój stojaka i wyciągnął miecz. Franca próbowała unieruchomić mu ramię.

- Nie, Daltonie! Zabicie kruka przynosi nieszczęście! Gwałtowny unik kruka i interwencja Franki sprawiły, że miecz chybił.

Ptaszysko ze skrzekiem i krakaniem gramoliło się ku brzegowi biurka. Dalton łagodnie, lecz zdecydowanie odsunął kobietę i znów uniósł oręż.

Kruk spostrzegł wielkim okiem, co nadciąga, i porwał w dziób małą książeczkę. Zacisnął mocno w dziobie dawną własność Josepha Andera i wzniósł się w powietrze. Dalton zatrzasnął okno za swoim biurkiem, to, przez które ptak wleciał. Kruk rzucił się na niego. Pazury drapały go po głowie, kiedy zatrzaskiwał drugie, a potem trzecie okno.

Adiutant zamachnął się na pierzastą bestię, ale ledwo musnął ją mieczem. Kruk, kracząc tak, że aż uszy pękały, runął ku oknu. Franca i Dalton osłonili ramionami twarze, kiedy szyba rozprysła się i gabinet zasypał deszcz odłamków szkła i drzazg z okiennego słupka.

Gdy Dalton odstłonił oczy, zobaczył, jak kruk spływa ku pobliskiej gałęzi. Złapał gałąź, łapy mu się ześliznęły, znów złapał - tym razem się udało. Wyglądało na to, że jest ranny.

Campbell rzucił miecz na biurko i złapał pikę ustawioną przy anderyjskich chorągwiach bojowych. Stęknął z wysiłku, ale rzucił nią w ptaka przez rozbite okno.

Kruk - widząc, co się dzieje - wzbił się w powietrze z książką w dziobie. Pika chybiła go o włos. Wzbił się jeszcze wyżej i zniknął na niebie wczesnego poranka.

- Dobrze, że go nie zabiłeś - powiedziała Franca. - To by ci przyniosło pecha.

Zaczerwieniony Campbell wskazał na biurko.

- Ukradł książkę!

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Kruki to osobliwe ptaszyska. Często kradną jakieś przedmioty, żeby je zanieść partnerce. Dobierają się w pary na całe życie.

Dalton porządkował strój.

- Ach tak.



- Lecz samiczka może oszukiwać samca. Czasem, kiedy on zbiera gałązki na wspólne gniazdo, ona oddaje się innemu samcowi.

- Tak? - zachnął się. - A cóż mnie to obchodzi? Czarodziejka wzruszyła ramionami.

- Pomyślałam, że to ciekawostka, którą chciałbyś poznać. - Podeszła bliżej okna, obejrzała uszkodzenia. - To była jakaś cenna książka?

Adiutant uważnie otrzepał z ramion odłamki szkła.

- Nie. Na szczęście to tylko stara, bezużyteczna książka napisana w od dawna już martwym języku, którego nikt dzisiaj nie zna.

- Ach - powiedziała Franca. - Całe szczęście. Ciesz się, że to nie było coś cennego.

Dalton Campbell wsparł się pod boki.

- Popatrz na ten bałagan. Tylko spójrz. - Podniósł kilka czarnych piór i wyrzucił je przez rozbite okno. Dostrzegł na biurku szkarłatną plamkę. - Przynajmniej zapłacił krwią za swój skarb.

## ROZDZIAŁ 59

- Nadszedł czas, by opowiedzieć się przeciwko nienawiści! - zawołał nowo wyznaczony i wyświęcony Suveren, Bertrand Chanboor, do ogromnego tłumu zgromadzonego pod balkonem, zajmującego plac i wlewającego się w odchodzące od niego ulice.

Dalton Campbell, wiedząc, że radosne wrzaski potrważą jakiś czas, skorzystał ze sposobności i spojrział na Teresę. Uśmiechnęła się do niego mężnie, ocierając oczy. Nie spała prawie całą noc, gdyż modliła się za duszę zmarłego Suverena i o siłę dla nowego.

Campbell też nie spał przez większość nocy, ponieważ układał plany z Bertrandem i Hildemara i zastanawiał się, co powinni mówić. Bertrand był w swoim żywiole, Hildemara zaś - w najszcześniejszym momencie życia. Dalton miał władzę.

Rozpoczęła się ofensywa.

- Jako wasz Suveren nie mogę dopuścić, żeby ludowi Anderithu narzucono tę okrutną niesprawiedliwość! Lord Rahl pochodzi z D'Hary. Cóż on wie o potrzebach naszego ludu? Jak może się tu zjawiać i oczekiwać, że zdamy nasz los na jego łaskę?

Tłum gwizdał i wrzeszczał. Bertrand Chanboor przez chwilę na to pozwalał.

- A cóż, jak myślicie, spotka was, Hakenów, jeśli stanie się zadość woli lorda Rahla? Myślicie, że się o was zatroszczy? Myślicie, że będzie go obchodziło, czy macie odzienie, żywność i pracę? Dokładaliśmy wysiłków, żebyście mogli znaleźć pracę, ustanowiliśmy Prawo Winthropa o Sprawiedliwym Zatrudnieniu, żeby każdy mógł korzystać z bogactw Anderithu. - Umilkł, by lud mógł go nagrodzić radosnymi okrzykami. - Działaliśmy przeciwko nienawiści. Walczyliśmy z ludźmi, których nie obchodziło to, że głodują dzieci. Dokładaliśmy starań, by życie wszystkich mieszkańców Anderithu stało się lepsze. A co uczynił lord Rahl? Nic! Gdzie był, kiedy nasze dzieci głodowały? Gdzie był, kiedy nasi mężczyźni nie mogli znaleźć pracy? Naprawdę chcemy, żeby nasza ciężka praca i osiągnięcia zostały nagle zmiecione przez tego pozbawionego serca człowieka i jego uprzywilejowaną żonę, Matkę Spowiedniczkę? Akurat wtedy, kiedy

znaleźliśmy się w najkrytyczniejszym punkcie naszych reform? Kiedy przed nami jeszcze tyle pracy dla dobra ludu Anderithu? Cóż Matka Spowiedniczka wie o głodujących dzieciach? Czy kiedykolwiek opiekowała się jakimś dzieckiem? Nie! - Kiedy podjął przemowę, podkreślał każde zdanie uderzeniem pięści w balustradę balkonu. - Prawdę mówiąc, lorda Rahla obchodzi wyłącznie jego magia! Sprowadziła go tutaj żądza władzy! Zjawił się, by wykorzystać naszą krainę do zaspokojenia własnych zachcianek! Ohydny zaklęciami zatrjuje nasze wody! Nie będziemy mogli łowić ryb, bo jego magia zamieni nasze jeziora, rzeki i ocean w martwe wody, budując mu drogę do stworzenia śmiertelnej broni wojennej!

Ludzie byli wstrząśnięci i rozgniewani, gdy dowiedzieli się tych rzeczy. Dalton oceniał reakcję na każde słowo, by móc to zaostrzyć w kolejnych przemowach i wykorzystać w pismach, którymi zaleje krainę.

- Stwarza potwory, żeby narzucić swoją nieusprawiedliwioną wojnę. Może słyszeliście o ludziach umierających dziwną, niewytłumaczalną śmiercią. Myślicie, że to przypadki? Nie! To magia lorda Rahla! Tworzy te ohydne magiczne istoty, a potem wypuszcza je na świat, żeby patrzeć, jak zabijają! Te bestie palą lub topią niewinnych ludzi. Ci nocni łupieżcy wciągają też niewinnych ludzi na dachy i strącają w śmierć.

Ludzie, słuchając jak zahipnotyzowani, wstrzymali oddech.

- Jego czarna magia przesyci powietrze śmiertelną mgłą, która wniknie do każdego domu! Chcecie, żeby wasze dzieci oddychały magią lorda Rahla? Kto wie, ile niewinnych dzieci umrze straszną śmiercią, wdychając jego szaleńcze czary? Kto wie, jakich deformacji doznają, pływając w stawach, które wykorzystał do rzucenia uroku? Oto, co byśmy na sobie ściągnęli, gdybyśmy nie przeciwstawili się temu gwałtowi na naszej krainie! Pozwoliłby nam umrzeć okropną śmiercią, by jego potężni przyjaciele mogli złupić nasze bogactwa. To prawdziwy powód jego pojawienia się u nas!

Ludzie byli teraz naprawdę przestraszeni. Dalton Campbell pochylił się ku Suwerenowi i szepnął kącikami ust:

- Najbardziej przerażała ich woda i powietrze. Wzmocnij to jeszcze.

Bertrand Chanboor odpowiedział niedostrzegalnym dla tłumu skinieniem głowy.

- Oto, co by się stało, gdybyśmy poddali się temu dyktatorowi. Powietrze,

którym oddychamy, skaziłaby jego ponura magia, wodę skalałoby jego czarnoksiężstwo. A on i jego kohorty śmialiby się z cierpienia uczciwych, ciężko pracujących ludzi, zarówno Hakenów, jak i Anderyjczyków. Tuczyliby się naszym kosztem. Wykorzystałby nasze czyste powietrze i świeżą wodę do hodowania swoich ohydnych magicznych potworów i przy ich pomocy narzucałby nam wojnę, której nikt nie chce!

Ludzie - słuchając, jak ich Suweren ujawnia ohydną prawdę - krzyčili z gniewu i potrząsali pięściami. Czuli strach, odrazę, ale przede wszystkim gniew. U jednych do rozczarowania lordem Rahlem i Matką Spowiedniczką dołączało wzburzenie, że pozwolili się oszukać, inni natomiast zyskali potwierdzenie swoich podejrzeń dotyczących tych potężnych, pozbawionych serca ludzi.

Bertrand Chanboor podniósł rękę.

- Imperialny Ład proponuje, że będzie kupował nasze towary po cenie wyższej niż ta, którą obecnie uzyskujemy.

Słuchacze klaskali i gwizdali.

- Lord Rahl okradałby was! Wybór należy do was, zacni ludzie. Wolicie uwierzyć kłamstwu złego czarnoksiężnika z dalekiej D'Hary, który oszustwem skłoniłby was do wyrzeczenia się waszych praw, który wykorzystałby naszą krainę do namnażania pomiotów swej czarnej magii służących mu do narzucania innym niepotrzebnej wojny, który przez swoje złe czary skazałby nasze dzieci na głód lub śmierć? A może wolicie sprzedawać Imperialnemu Ładowi to, co wyhodujecie i wyprodukujecie, i bogacić wasze rodziny jak nigdy przedtem?

Teraz tłum był naprawdę wzburzony. Ludzie, pełni dobrej woli względem nowego Suwerena, po raz pierwszy usłyszeli poważne argumenty za odrzuceniem propozycji lorda Rahla. Co więcej, poznali poważne powody, żeby się go bać. A co najważniejsze, otrzymali solidne przyczyny, żeby go nienawidzić.

Dalton Campbell wykreślał pewne pozycje ze swojej listy, jeśli stwierdził, że nie są efektywne, a zakreślał kółkiem te, które wywoływały najżywsze reakcje. Tak jak się spodziewali z Bertrandem, słowo „dziecko” prowokowało najżywsze reakcje, niemal wywołując zamieszki - zwłaszcza wzmianka o okropnościach, które miały się wydarzyć potomstwu zebranych. Samo wspomnienie o dzieciach sprawiało, że ludzie tracili resztki rozsądku.

Wojna też wywierała efekt, jakiego się spodziewali. Ludzie z przerażeniem dowiadywali się, że to lord Rahl prze do wojny, do której właściwie nie ma powodu. Słuchacze za wszelką cenę pragnęli pokoju. I zapłaciliby tę cenę, gdyby ją poznali. I tak byłoby za późno na co innego.

- Musimy przez to przejść, moi zacni ludzie, zostawić to za sobą i zająć się sprawami Anderithu. Czeka nas wiele pracy. Nadszedł czas, by odrzucić to wszystko, co sprowadziłoby nas do roli niewolniczej krainy tego czarnoksiężnika z oddali, człowieka opętanego żądzą bogactwa i władzy, człowieka, który chce nas wciągnąć w swoją idiotyczną wojnę. A mógłby panować pokój, gdyby na to pozwolił. Lecz on tego nie chce. Wiem, że taki człowiek odrzuciłby nasze tradycje i wierzenia, zostawiając was bez Suwerena, ale obawiam się o was, nie o siebie. Mam jeszcze tyle do zrobienia. Tyle miłości do ofiarowania ludziom Anderithu. Los dał mi tak wiele i tyle mam do zaoferowania społeczności. Błagam was, błagam, dumni obywatele Anderithu, okażcie wzdętych temu demonowi z D'Hary, pokażcie mu, że przejrzelście jego nikczemne podstępny. Sam Stwórca, za moim pośrednictwem, prosi, byście dali odpór lordowi Rahlowi przy głosowaniu, stawiając krzyżyk! Krzyżyk na jego zło! Krzyżyk na jego oszustwa! Krzyżyk na jego kłamstwa! Krzyżyk na niego i Matkę Spowiedniczkę!

Zgromadzeni zawyli. Okoliczne budynki trzęsły się od przeciągniętego wrzasku. Suweren uniósł przed sobą ramiona i złożył je, tworząc wielki krzyż, widoczny dla wszystkich, którzy nagradzali go pochwalnymi okrzykami.

Stojąca u boku męża Hildemara oklaskiwała go i wpatrywała się weń z uwielbieniem, jak zawsze podczas publicznych wystąpień.

Tłum wreszcie umilkł, uciszony podniesioną ręką, a Bertrand Chanboor wskazał swą żonę i przedstawił ją zgromadzonym. Krzyczeli radośnie na jej cześć prawie tak długo jak na jego.

Hildemara, niezwykle zachwycona nową rolą, poprosiła uniesieniem rąk o ciszę. I niemal natychmiast stało się zadość jej życzeniu.

- Zacni obywatele Anderithu, nie potrafię wam powiedzieć, jaką dumą napawa mnie to, że jestem żoną tego wielkiego człowieka...

Jej słowa zagłuszył ryk aplauzu. Wyciągnęła ramiona i po jakimś czasie znów udało się jej uciszyć tłum.

- Nie wiem, jakimi słowami miałabym wam opisać, jak mój mąż ciężko pracował dla dobra mieszkańców Anderithu. Nie dbając o uznanie, sławę i rozgłos, pracował do upadłego. Lekceważył przy tym własne zdrowie. Kiedy prosiłam go, żeby odpoczął, odpowiadał: „Nie spocznę, Hildemaro, dopóki dzieci głodu-ją”.

Tłum znów oszalał. Adiutant odwrócił się, żeby łyknąć wina. Teresa wczepiła się w jego ramię.

- Daltonie, Stwórca wysłuchał naszych modłów, żeby Bertrand Chanboor został Suwerenem - wyszeptała.

Campbell o mało się nie roześmiał, ale dojrzał w jej oczach lękliwy podziw. Westchnął w duchu. Bo to nie Stwórca sprawił, że Bertrand został Suwerenem, lecz on, Dalton we własnej osobie.

- Otrzyj oczy, Tess. Najlepsze dopiero przed nami.

- Dla dobra waszych dzieci - podjęła Hildemara - proszę, żeby każdy z was odrzucił nienawiść i podziały, jakie lord Rahl ściągnąłby na naszych obywateli! Odrzućcie też Matkę Spowiedniczkę, bo cóż ona wie o zwykłych ludziach? Jest kobietą zrodzoną do władzy i bogactwa. Cóż ona wie o ciężkiej pracy? Pokażcie jej, że należna jej z urodzenia dominacja dobiegła kresu! Pokażcie jej, że dobrowolnie nie podporządkujecie się temu, jak niegodziwie traktuje pracujących ludzi! Pokażcie, że odrzucamy to pełne przywilejów życie, jakie wiecie! Krzyżyk na Matkę Spowiedniczkę i jej napuszone żądania kierowane do ludu, którego nawet nie zna! Twierdzę, że lord Rahl i Matka Spowiedniczka mają już i tak wiele bogactw! Nie oddawajcie im jeszcze waszych! Nie mają do nich prawa!

Dalton ziewnął i przetarł oczy. Pochwalne wrzaski zmieniły się w skandowanie nazwiska Chanboora. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spał. Musiał wykręcić ramię jednemu z dyrektorów, żeby wybór Suwerena był jednomyślny. Taka jednomyślność wskazywała na interwencję Stwórcy na rzecz wybranego Suwerena, która umacniała jego mandat do pełnienia funkcji. Kiedy Bertrand Chanboor znów przemówił do tłumu, Dalton zaczął uważnie słuchać dopiero wtedy, gdy usłyszał swoje nazwisko.

- I właśnie dlatego, pomijając inne przyczyny, które są zbyt liczne, żeby je tu wymieniać, osobiście włączyłem się w proces wyboru. Ze szczególnym zadowoleniem przedstawiam wam nowego Ministra Spraw Duchowych, człowieka, który będzie was chronił i służył wam równie dobrze jak jego

poprzednicy - Bertrand wyciągnął ku niemu ramię - Daltona Campbella.

Teresa osunęła się na kolana i schyliła głowę przed Bertrandem.

- Suwerenie, Wasza Wysokość, dziękuję za to, że doceniłeś mojego męża. Oby cię Stwórca pobłogosławił za to, coś dla niego uczynił.

Dalton, miast dumy z mianowania na stanowisko ministra, poczuł ukłucie zawodu. Teresa dobrze wiedziała, ile pracy włożył w to, by dotrzeć aż tutaj, a mimo to przypisywała teraz wszystko szlachetności Bertranda Chanboora. Taka już była moc słowa Suwerena. Kiedy patrzył na wiwatujący tłum i rozmyślał o słowach, którymi mógłby poprzeć Bertranda i Hildemareę, doszedł do wniosku, że ludzie i tak uznaliby, iż powtarza zdania Suwerena o zbliżającym się głosowaniu.

A miało się wydarzyć jeszcze coś. Dalton musiał rozpętać ostateczny żywioł.

Otwarto ciężkie drzwi i w Ministra Spraw Duchowych uderzył zaduch wyrrywający się zza nich niczym uciekający więzień. W ciemnościach niczego nie można było dostrzec. Campbell pstryknął palcami i wysocy anderyjscy strażnicy wyszarpnęli pochodnie z porzewiałych uchwytów, po czym podeszli do niego.

- Jesteście pewni, że wciąż żyje? Sprawdziliście? - spytał Dalton.

- Żyje, ministrze.

Tytuł ten w pierwszej chwili zaskakiwał go, a potem oszałamiał. Kiedy ktoś się tak do niego zwracał, dopiero po ułamku sekundy uświadamiał sobie, że chodzi o niego. Już od samego dźwięku słów „Minister Spraw Duchowych, Dalton Campbell” wirowało mu w głowie.

Strażnik wyciągnął rękę z pochodnią.

- Tędy, ministrze Campbell.

Dalton przekraczał ludzi tak brudnych, że ledwie było ich widać na upapranej, czarnej podłodze. Z zagłębienia pośrodku poczerńiałej cegły ściekała cuchnąca woda. Przy wlocie do celi służyła jako woda pitna. Tam, gdzie wypływała z niej, była latryna. Podłoga, ściany i więźniowie roili się od robactwa.

Po przeciwnej stronie celi, za ściekającą wodą, widniało wychodzące na zaułek małe, zakratowane okienko. Wycięto je na wysokości głowy i było tak wąskie, że nikt nie przecisnąłby się przez nie. Jeśli rodzinie lub przyjacielom zależało na tym, by więzień przeżył, mogli przyjść do zaułka i dokarmiać go.

Ręce i stopy uwięzionych tkwiły w drewnianych klocach, więc nie mogli walczyć o pożywienie. Właściwie głównie leżeli. Drewniane kłocce uniemożliwiały im chodzenie - potrafili co najwyżej przebyć krótki dystans, podskakując. Jeżeli się podciągnęli, mogli przysunąć usta w pobliże okienka i dostać od kogoś strawę. Jeśli nikt ich nie karmił, umierali.

Wszyscy więźniowie byli nadzy. Blask pochodni odbijał się od brudnych, czarnych ciał. Dalton spostrzegł, że jednym z więźniów była koścista, bezzębna starucha. Nie był pewny, czy niektórzy z nich żyją. W ogóle nie reagowali na przekraczających ich mężczyzn.

- Jestem zdumiony, że jeszcze żyje - powiedział Dalton do strażnika.

- Wciąż są tacy, którzy w niego wierzą. Przychodzą codziennie i karmią go. Kiedy go już nakarmią, mówi do nich przez okno. A oni siedzą i słuchają tego bełkotu, jakby miał do przekazania coś ważnego.

Campbell nie wiedział, że ten człowiek ma wciąż popleczników. To była swego rodzaju premia. W takim razie niewiele czasu zajmie odbudowanie tego społecznego ruchu.

Strażnik kopnął leżącego na boku mężczyznę. Ten odwrócił głowę w ich stronę. Spojrzało na nich groźnie płomienne oko, kiedy Dalton spodziewał się wystraszonego wzroku.

- Serin Rajak?

- I owszem - burknął tamten. - Czego chcecie?

Dalton Campbell przykucnął obok leżącego. Dopiero za drugim razem zdołał zaczerpnąć oddech. Zaduch był przytłaczający.

- Właśnie zostałem mianowany Ministrem Spraw Duchowych, panie Rajak. I najpierw przyszedłem naprawić niesprawiedliwość, jaka pana spotkała.

Dopiero teraz Dalton Campbell zauważył, że tamtemu brakowało jednego oka. Jego miejsce zajmowała zapadnięta, brzydka wygojona blizna.

- Niesprawiedliwość. Świat jest pełny niesprawiedliwości. Magia wyrządza ludziom krzywdę. To przez magię się tu znalazłem. Ale nigdy się nie poddałem. Nie, panie, nie ustąpiłem. Nie ustąpiłem przed złem magii. Z radością straciłem oko dla sprawy. Straciłem je przez wiedźmę. Jeśli oczekujesz, że wyrzeknę się świętej wojny przeciwko tym, którzy czarują, to możesz mnie tu zostawić. Zostaw mnie, słyszysz? Zostaw! Nigdy się im nie poddam!



Minister cofnął się nieco, bo tamten rzucał się dziko na podłódze, szarpiąc okowy, choć nawet na poły szalony człowiek wiedziałby, że takie próby nigdy się nie powiodą. Rajak szarpał się, dopóki świeża krew nie zabarwiła mu przegubów.

- Nie zaprzestanę walki z magią! Słyszysz?! Nie ustąpię przed tymi, co narzucają magię czcicielom Stwórcy!

Campbell dotknął brudnego ramienia.

- Źle mnie zrozumiałeś, panie. Magia wyrządza wielką szkodę naszej krainie. Ludzie giną od ognia i toną. Bez żadnej przyczyny skaczą z budynków i mostów...

- Wiedzmy!

- Tego się właśnie obawiamy...

- Wiedzmy rzucają klątwy na ludzi! Gdybyście, głupcy, słuchali, kiedy próbowałem was ostrzec! Próbowałem pomóc! Próbowałem oczyścić z nich kraj!

- To dlatego tu jestem, Serinie. Wierzę ci. Potrzebujemy twojej pomocy. Przyszedłem cię uwolnić i błagać, żebyś nam pomógł.

Białko ocalałego oka Rajaka, który wpatrywał się w górę, było jak latarnia w atramentowoczarnym brudzie.

- Chwała ci, Stwórco. Nareszcie. Nareszcie zawołano mnie, bym czynił twoje dzieło - wyszeptał.

## ROZDZIAŁ 60

Richard osłupiał na ten widok. Cała ulica zapchana była ludźmi, prawie wszyscy mieli świece - błyszcząca rzeka twarzy płynęła główną arterią Fairfield. Otaczali drzewa i ławy w pasie rozdzielającym obie strony ulicy. Wyglądało to jak porośnięte drzewami wyspy.

Dopiero zaczynało się ściemniać. Na zachodnim niebie, za szczytami odległych gór, w niewielkiej szczelinie pomiędzy gromadzącymi się chmurami lśniła jeszcze purpura i róż. Całe popołudnie nad głowami zbierały się ołowiane chmury. Od czasu do czasu z dala słychać było grzmot. Powietrze pachniało wilgocią, a końskie podkowy wzbijały tumany kurzu. Niekiedy spadała gruba kropla deszczu, zapowiadając następne.

D'harańscy żołnierze stalowym pierścieniem otaczali Richarda, Kahlan i Du Chaillu. Otaczający ich konni przypominali chłopakowi łódź płynącą morzem twarzy. Żołnierze zręcznie trzymali się razem, nie sprawiając jednak wrażenia, że spychają ludzi na boki. A ludzie nie zwracali na nich uwagi; pragnęli dotrzeć tam, gdzie szli, lub może było już na tyle ciemno, że nie rozpoznawali ich i brali za część armii Anderithu.

Mistrzowie miecza Baka Tau Mana zniknęli. Czasami tak robili. Richard wiedział, że po prostu zajęli strategiczne pozycje na wypadek jakichś kłopotów. Du Chaillu ziewnęła. Wracali wreszcie do Fairfield po długiej, całodniowej podróży.

Chłopakowi nie podobało się to, co widział, więc sprowadził ich z głównej, zapchanej ulicy w małą, pustą uliczkę wiodącą w pobliże głównego miejskiego placu. Zsiadł z konia w gęstniejącym mroku. Chciał się temu przyjrzeć z bliska, ale wołał, by ludzie nie widzieli go z tyłoma żołnierzami. Jego gwardziści byli znakomici, lecz nie podołaliby dziesiątkom tysięcy ludzi wypełniających ulice. W końcu kolonia małych mrówek może pokonać o wiele od nich większego, lecz samotnego owada.

Richard zostawił większość żołnierzy przy koniach, a razem z Kahlan i kilkoma strażnikami poszedł zobaczyć, co się dzieje. Du Chaillu nie pytała o pozwolenie, tylko się do nich przyłączyła. Jiaan ruszył na zwiady, uznał, że jest dość bezpiecznie, i też do nich dołączył. Przyglądali się wszystkiemu z cienia pod dwupiętrowymi budynkami stojącymi po obu stronach

prowadzącej z południa na północ ulicy, która dochodziła do placu. Nikt ich nie zauważył.

Na początku placu stało murowane podwyższenie ograniczone od przodu kamienną balustradą. To z niego wygłaszano publiczne obwieszczenia. To stąd, zanim odjechali, Richard przemawiał do zaciekawionych, przejętych ludzi. Richard i Kahlan zjawili się w Fairfield w drodze do posiadłości, zamierzając znów przemówić do ludzi. Nie można już było odwlekać uciążliwego przeglądania ksiąg Josepha Andera albo tych o Anderze w poszukiwaniu informacji niezbędnej do rozwiązania problemu demonów, lecz chłopak chciał dodać coś jeszcze do dobrych wieści, które wcześniej przekazał tutejszym ludziom.

W ciągu kilku ostatnich dni demony stały się jeszcze gorsze. Miało się wrażenie, że są wszędzie. Richardowi i Kahlan udało się powstrzymać niektórych ich żołnierzy ogarniętych przemożnym zewem śmierci tuż przed tym, nim skoczyli w ogień lub rzucili się do wody. Niestety nie wszystkich udało się im uratować. Prawie nie spali.

Zebrany tłum zaczął monotonicznie śpiewać.

- Nigdy więcej wojny. Nigdy więcej wojny Nigdy więcej wojny. - Był to głuchy, niski pomruk przypominający pogłos dalekiego grzmotu.

Richard uznał, że to słuszny pogląd, do którego całym sercem się przychylił, ale zaniepokoił go gniew w oczach ludzi i ton ich głosów. Zaśpiew trwał jakiś czas, niczym dolatujący z równin grom. Coraz bardziej narastał.

Jakiś mężczyzna stojący w pobliżu podwyższenia uniósł swoją córeczkę, żeby wszyscy ją widzieli.

- Ona ma coś do powiedzenia! Pozwólcie jej mówić! Wysłuchajcie mojego dziecka!

Tłum dodawał małej odwagi okrzykami. Dziewczynka, która miała może dziesięć lub dwanaście lat, wdrapała się po stopniach, z determinacją przecięła podwyższenie i stanęła przed balustradą. Ludzie ucichli, żeby jej wysłuchać.

- Błagam, drogi Stwórco, usłysz nasze modły. Powstrzymaj lorda Rahla przed wywołaniem wojny - powiedziała głosem, któremu dodała siły młodzieńcza gorliwość. Spojrzała na ojca, skinął głową, więc dodała: - Nie chcemy jego wojny. Błagamy, drogi Stwórco, spraw, żeby lord Rahl pozwolił

na pokój.

Richardowi wydawało się, że strzała z lodu przebiła mu serce. Chciał wyjaśnić temu dziecku tysiące spraw, ale wiedział, że nie pojęłoby ani jednej z nich. Dotknięcie dłoni Kahlan przyniosło trochę ukojenia.

Po schodach weszła druga dziewczuszka, rok lub dwa lata młodsza, i przyłączyła się do tamtej.

- Błagamy, drogi Stwórco, spraw, żeby lord Rahl pozwolił na pokój.

Formowała się kolejka rodziców prowadzących ku stopniom dzieci w różnym wieku. Wszystkie miały podobne przesłanie. Większość podchodziła do balustrady i po prostu mówiła: „Pozwól na pokój”.

Niektóre dzieci wyglądały, jakby nie rozumiały słów, które wymawiały, nim powróciły do dumnych rodziców.

Richard nie miał wątpliwości, że dzieci przez cały dzień ćwiczyły wymawianie tych słów. To nie były słowa tych dzieci. Niewiele to pomagało, bo wiedział, że w to wierzyły.

Niektóre małeństwa były odporne, inne zdenerwowane, lecz większość była dumna z tego, że bierze udział w tak ważnym wydarzeniu. Uniesienie w ich głosie świadczyło, iż starsze były przekonane, że mówią znaczące słowa, które mogą zmienić historię i oddalić to, co dla nich było bezcelową utratą życia, nieszczęściem nie przynoszącym żadnej korzyści.

- Drogi Stwórco, czemu lord Rahl chce krzywdzić dzieci? - spytał mały chłopiec. - Spraw, żeby pozwolił na pokój.

Tłum nagrodził go szaleńczym aplauzem. Mały powtórzył wówczas swoją kwestię i znów nagrodzono go oklaskami. Wielu ludzi płakało.

Richard i Kahlan wymienili spojrzenie. Dla obojga było jasne, że nie jest to spontaniczny poryw uczuć - to była wyuczona, wbita do głowy wieść. Otrzymywali raporty o takich wydarzeniach,]ecz gdy ujrzeli to na własne oczy, Richard przeraził się.

W końcu wszedł na podwyższenie mężczyzna, w którym Richard rozpoznał dyrektora Prevota.

- Lordzie Rahl, Matko Spowiedniczko - krzyknął Prevot ponad głowami tłumu - gdybyście mnie teraz słyszeli, spytałbym, dlaczego chcecie sprowadzić swoją ohydłą magię na nasz miłujący pokój lud? Dlaczego próbujecie wciągnąć nas w swoją wojnę, której nie chcemy? Wysłuchajcie dzieci, bo przez ich usta przemawia mądrość! Nie ma powodu, żeby

wywoływać zatarg, nim się porozmawia. Jeśli zależy wam na życiu niewinnych dzieci, powinniście usiąść z Imperialnym Ładem i wyjaśnić dzielące was różnice. Ład się na to zgadza. Dlaczego wy nie chcecie? Czyż to prawda, że przecie do wojny, by zdobyć to, co do was nie należy? Byście mogli zamienić w niewolników tych, którzy was odrzucają? Wysłuchajcie mądrych słów wszystkich tych dzieci i, proszę w imię wszystkiego, co szlachetne, zezwólcie na pokój! Tłum podchwycił jego słowa i rozległ się zaśpiew:

- Zezwólcie na pokój. Zezwólcie na pokój. Zezwólcie na pokój. Prevot pozwolił mu na to przez jakiś czas, a potem kontynuował:

- Nowego Suwerena czeka wiele pracy dla naszego dobra. Rozpaczliwie potrzebujemy jego kierownictwa. Dlaczego lord Rahl z uporem odrywa naszego Suwerena od pracy dla dobra ludu? Dlaczego lord Rahl miałby narażać nasze dzieci na tak wielkie niebezpieczeństwo? Dla zaspokojenia swojej zachłanności! - wykrzyczał odpowiedź na własne pytanie. - Dla zaspokojenia swojej zachłanności!

Kahlan pocieszająco dotknęła ramienia męża. Niewiele to pomogło. Patrząc, jak kłamstwa niszczą to wszystko, co uzyskał.

- Drogi Stwórco - zawołał dyrektor Prevot, unosząc ku niebu złożone dłonie - dziękujemy ci za naszego nowego Suwerena! Człowieka o nie mających sobie równych talentach i takiej pobożności, najbardziej etycznego z dotychczas panujących nam Suwerenów. Błagam, dobry Stwórco, daj mu siły do walki z nikczemnością lorda Rahla! - Dyrektor Prevot rozłożył ramiona. - Proszę, zacni ludzie, byście zastanowili się nad tym człowiekiem z daleka. Człowiekiem, który wziął za żonę Matkę Spowiedniczkę całych Midlandów.

W tłumie rozległ się pomruk narastającego niezadowolenia - w końcu Matka Spowiedniczka była ich Matką Spowiedniczką.

- Przecież ten człowiek, który głośno krzyczy o swoim moralnym władztwie, o pragnieniu sprawiedliwości, ma już inną żonę! Prowadzają wszędzie, tę babę z grubym brzuchem! I choć ta jego żona wciąż nosi nie narodzone dziecko, on żeni się z Matką Spowiedniczką i włóczy ją ze sobą jako konkubinę! Ileż jeszcze kobiet weźmie ten grzesznik, by płodzić swoje ohydne potomstwo? Ileż bękartów zostanie po nim w Andericie? Ileż naszych kobiet padło ofiarą jego niepojętej chuci?

Ludzie byli szczerze wstrząśnięci. Pomijając moralne implikacje, była to hańba dla Matki Spowiedniczki.

- Ta druga kobieta z dumą przyznaje, że jest żoną lorda Rahla, i potwierdza, że to jego dziecko! Cóż z niego za człowiek?! Lady Chanboor była tak zszokowanego niecywilizowanym postępowaniem, że rozslochana, musiała się położyć, by odzyskać zmysły! Suweren nie posiada się z oburzenia, że tamten pozwolił sobie na tak skandaliczne zachowanie w Andericie. Oboje błagają, byście odrzucili tego parzącego się wieprza z D'Hary!

Du Chaillu pociągnęła Richarda za rękaw.

- To nieprawda. Pójdę i wytłumaczę im to, żeby wiedzieli, że nie ma w tym nic złego, choć ten człowiek tak twierdzi. Wyjaśnię to.

Chłopak powstrzymał ją.

- Niczego takiego nie zrobisz. Ci ludzie nie wysłuchaliby cię.

- Nasza duchowa przewodniczka nie zrobiłaby nic niemoralnego. Musi wyjaśnić, że postąpiła zgodnie z prawem - odezwał się rozgniewany Jiaan.

- Jiaanie - powiedziała Kahlan - ja i Richard znamy prawdę. Du Chaillu ją zna, ty i pozostali. Tylko to się liczy. Ci ludzie nie wysłuchaliby prawdy. Tak właśnie tyrani panują nad wolą ludzi. Posługują się kłamstwami.

Chłopak dość już zobaczył i właśnie chciał odejść, kiedy w tłumie buchnął jaskrawopomarańczowy płomień. To zapaliła się sukienka jakiejś dziewczynki, prawdopodobnie od świecy. Mała przeszywająco wrzasnęła. Zajęły się także jej włosy.

Po szybkości rozprzestrzeniania się ognia Richard poznał, że to nie był wypadek.

Demony były wśród nich.

W pobliżu zajęło się ogniem odzienie jakiegoś mężczyzny. Tłum wpadł w straszną panikę i krzyczał, że to lord Rahl posługuje się magią przeciwko nim.

To był przerażający, ściskający serce widok: dziewczynka i mężczyzna wymachujący ramionami, kiedy trzaskające płomienie ogarniały ich ubrania. Skwierczący ogień rozlewał się po nich, jakby byli pokryci smołą, jakby ogień był żywą istotą.

Tłum rozbiegał się w panice, zwalając z nóg tak starych, jak i młodych. Rodzice próbowali zdusić koszulą ogień na córeczce, ale i ta się zajęła,

wzmagając płomienie. Pałący się mężczyzna padł na ziemię. Był czarnym kształtem w żółto-pomarańczowym płomieniu.

Niebiosa otwarły się, jakby dobre duchy nie mogły tego znieść, i lunął deszcz. Grzmot uderzającego w spieczoną ziemię deszczu zagłuszył ryk ognia oraz wrzaski ludzi. Ulewa zgasiła świece i zapanowały ciemności. Na placu płonęły tylko dwa ognie: dziewczynka i mężczyzna. Na ich ciałach tańczyły płynnym ogniem demony. Niczego nie można już było zrobić dla dwóch zgubionych dusz.

Jeśli Richard czegoś nie zrobi, to dla nikogo nie będzie ratunku - demony zniszczą świat istot żywych.

Kahlan odciągnęła go stamtąd. Łatwo jej to przyszło. Pobiegli w ciemności i w deszczu, dotarli do koni i reszty żołnierzy. Chłopak, prowadząc swego wierzchowca za wodze, powiodł ich ku bocznej drodze przecinającej Fairfield.

- Raporty były ściśle - powiedział, pochylając się ku Kahlan. - To oczywiste, że tych ludzi nastawiono przeciwko nam.

- Na szczęście głosowanie już za kilka dni - odpowiedziała mu przez szum deszczu. - Tu możemy stracić głosy niektórych ludzi, ale przynajmniej mamy szansę w reszcie Anderithu.

Prowadzili konie w ulewie. Richard przełożył wodze do drugiej ręki i otoczył ramieniem barki dziewczyny

- Prawda zwycięży. Kahlan nie odpowiedziała.

- Najważniejsze są demony - odezwała się Du Chaillu, zarazem smutna i wystraszona. - Cokolwiek będzie się działo, należy je powstrzymać. Nie chcę znów przez nie umierać. Nie chcę, żeby nasze dziecko przez nie umarło. Cokolwiek się stanie, to tylko jeden obszar. A demony są wszędzie. Nie chcę wydawać dziecka na świat, w którym grasują demony. Dopóki się ich nie przepędzi, nie będzie tu bezpiecznego miejsca. To twoje prawdziwe zadanie, *Caharin*.

Richard otoczył ramieniem również jej barki.

- Wiem. Wiem. Może w bibliotece posiadłości znajdę to, czego potrzebuję.

- Minister i Suveren opowiedzieli się po stronie przeciwnika - powiedziała Kahlan. - Mogą nie być zainteresowani ponownym wpuszczeniem nas do Biblioteki Kultury.

- I tak z niej skorzystamy. Jeśli nie w ten sposób, to w inny - odparł Richard.

Prowadził ich ulicą równoległą do głównej arterii, ulicą, która za miastem skręcała i łączyła się z główną drogą wiodącą do posiadłości ministra. To przy tej drodze, bliżej posiadłości, stacjonowała ich eskorta.

Richard zauważył, że Kahlan się czemuś przygląda. Spojrzał w tym samym kierunku, przez deszcz i mrok. W świetle padającym z okna widać było znajdujący się nad nim niewielki szyld.

Szyld informował, że można tu kupić zioła i skorzystać z usług położnej.

Du Chaillu była już bardzo obszerna. Chłopak przypuszczał, że lada chwila urodzi, czy chciała wydać dziecko na taki świat czy nie.



## ROZDZIAŁ 61

To był długi dzień. Ostatnią godzinę spędzili, brnąc w ulewnym deszczu do miejsca, w którym stacjonowała reszta ich oddziałów. Ponad połowę żołnierzy rozesłali po Andericie, żeby nadzorowali zbliżające się głosowanie. Du Chaillu źle się czuła i nie mogła jechać konno - to był nużący marsz i w końcu ogarnęło ją wyczerpanie, do czego musiała się niechętnie przyznać. Richard i Jiaan nieśli ją na zmianę przez resztę drogi.

Chłopak był z pewnego powodu wdzięczny losowi za deszcz. Ulewa ostudziła wzburzony tłum w Fairfield i rozpędziła go do domów.

W innym wypadku Richard nalegałby, żeby Du Chaillu poszła prosto do swojego namiotu, lecz po wydarzeniach w mieście rozumiał jej ponury nastrój i zdawał sobie sprawę, że bardziej potrzebne jej towarzystwo niż odpoczynek. Kahlan też musiała to pojmować, bo zamiast przepędzić duchową przewodniczkę Baka Tau Mana z ich namiotu, co kilka razy uczyniła, poczęstowała ją sucharami tava, mówiąc, że to dobre na żołądek. Usadowiła Du Chaillu na pikowanym kocu, który służył za łóżko, i osuszyła jej ręcznikiem twarz i włosy, a Jiaan poszedł po suche odzienie.

Richard siedział przy małym stoliku, przy którym pisywał listy, rozkazy i pisma, przeważnie do generała Reibischa. Po tym, co zobaczył w mieście, desperacko pragnął napisać do generała i kazać mu wejść do Anderithu.

Czyjś stłumiony głos poprosił o pozwolenie wejścia do namiotu. Chłopak przyzwolił na to i kapitan Meiffert odchylił ciężką osłonę, podpierając ją tyczką, by tworzyła daszek chroniący wejście przed deszczem. Gwardzista najlepiej jak zdołał otrzepał się z wody pod tym daszkiem i dopiero wtedy wszedł.

- Kapitanie - powiedział Richard - chciałbym pochwalić ciebie i żołnierzy za raporty. Bardzo dokładnie przedstawiały to, co się dzieje w Fairfield. Duchy wiedzą, że wolałbym wrzasnąć na ciebie i wyrzucić posłańców za to, że przekręcili lub upiększyli fakty, lecz nie mogę. Byli aż za dokładni.

Kapitan Meiffert wcale nie wydawał się zadowolony z tej dokładności. Bo i sytuacja nie skłaniała do zadowolenia. Odgarnął z czoła mokre blond włosy.

- Uważam, lordzie Rahlu, że powinniśmy sprowadzić armię generała Reibischa na południe, do Anderithu. Sytuacja z dnia na dzień się pogarsza.

Mam garść doniesień o specjalnych oddziałach gwardii anderyjskiej. W niczym nie przypominają one zawodowego wojska Anderitnu, które widzieliśmy.

- Zgadzą się z kapitanem - powiedziała Kahlan, która siedziała obok Du Chaillu, - Musimy posiedzieć w bibliotece i spróbować znaleźć coś, co można by wykorzystać przeciwko demonom. Nie mamy kiedy prostować tego, co mówi się ludziom, żeby skłonić ich do odrzucenia nas.

- To już zrobione - odparł Richard.

- Jesteś pewny? A jeżeli nie? Zresztą, jak mówiłam, nie możemy na to poświęcić czasu. Musimy zatroszczyć się o poważniejsze sprawy.

- Matka Spowiedniczka ma rację - upierał się kapitan Meiffert.

- Muszę ufać, że prawda zwycięży. Bo cóż innego nam pozostaje? Okłamywać ludzi, żeby skłonić ich do wybrania nas?

- Wygląda na to, że naszym przeciwnikom dobrze to służy - przypomniała mu Kahlan.

Richard odgarnął z czoła mokre włosy.

- Niczego nie pragnąłbym bardziej, jak ściągnąć tu generała Reibischa. Naprawdę. Ale nie możemy tego zrobić.

Kapitan Meiffert otarł zmoczoną deszczem brodę. Najwyraźniej przewidział przyczynę niechęci Richarda i miał gotową odpowiedź.

- Mamy tu wystarczające siły, lordzie Rahlu. Wyślijmy pismo do generała. Zanim się pokaże, zdołamy przejąć Dominie Dirtch od anderyjskiej armii i nasi żołnierze bezpiecznie wejdą tutaj.

- Tysiące razy o tym rozmyślałem. Ale wciąż coś mnie przed tym ostrzega - odparł chłopak.

- Co takiego? - spytała Kahlan.

Richard usiadł bokiem na małym składanym krześle, żeby mówić jednocześnie i do niej, i do kapitana.

- Właściwie nie wiemy, jak działa Dominie Dirtch.

- Możemy kogoś zapytać - powiedziała.

- Oni nie posługują się tym orężem. Nie możemy liczyć na ich fachową wiedzę. Wiedzą tyle, że jeśli zostaną zaatakowani, mają uderzyć w Dominie Dirtch i ich wróg umrze.

- Lordzie Rahlu, jak nasi wrócą z głosowania, będziemy mieć tysiąc żołnierzy. Możemy za jednym zamachem przejąć kilka Dominie Dirtch i

generał Reibisch bezpiecznie przeprowadzi swe wojska przez granicę. Potem jego żołnierze opanują resztę Dominie Dirtch, wzdłuż całej granicy, i Imperialny Ład nie przedostanie się już do Anderithu. Może nawet się zbliżą, sądząc, że przejdą, a my będziemy mieć okazję wykorzystać przeciwko nim ten kamienny oręż.

Chłopak obracał w palcach stojącą na stoliku świecę i słuchał, a potem milczał.

- Jest tylko jeden szkopuł. Jak już wspomniałem, właściwie nie wiemy, jak działają Dominie Dirtch.

- Wiemy to, co najważniejsze - odezwała się Kahlan, coraz bardziej sfrustrowana.

- Ale nie wiemy wystarczająco dużo - odparł Richard. - Po pierwsze, nie możemy przejść Dominie Dirtch wzdłuż całej granicy. Jest ich zbyt wiele. Jak sam wspomniałeś, kapitanie, możemy przejść zaledwie kilka. I w tym cały problem. Pamiętasz, co się stało, gdy przeszliśmy? Jak ci ludzie zginęli, kiedy zabrzmiały Dominie Dirtch?

- Tak, lecz nie wiemy dlaczego - wtrąciła się dziewczyna. - I jakie to ma znaczenie?

- A co, jeśli opanujemy ileś tam Dominie Dirtch - mówił Richard, patrząc to na żonę, to na kapitana Meifferta - powiemy generałowi Reibischowi, że może bezpiecznie przeprowadzić wojska, a gdy jego ludzie znajdą się w pobliżu, jacyś anderyjscy żołnierze uderzą w swoje Dominie Dirtch, nad którymi zachowają kontrolę?

- No i co z tego? - zapytała Kahlan. - Będą zbyt daleko.

- Jesteś pewna? - Chłopak pochylił się ku niej, żeby podkreślić znaczenie swoich podejrzeń. - A jeżeli wtedy zabrzmią wszystkie? Jeśli oni wiedzą, co zrobić, żeby zabrzmiały wszystkie, wzdłuż całej granicy? Pamiętasz, jak mówili, kiedy się tu zjawiliśmy, że zabrzmiały wszystkie jednocześnie i zginęli ci, którzy byli przed nimi? Wszystkie zabrzmiały jak jeden.

- Ale nie wiedzieli, dlaczego tak się stało. Żołnierze nie uderzyli w nie - przypomniała mu.

- Skąd możesz wiedzieć, czy ktoś na granicy nie uderzył w swój Dominie Dirtch i nie sprawił w ten sposób, że zabrzmiały pozostałe? Może to się stało przypadkiem i teraz boją się do tego przyznać, żeby ich nie ukarano. Albo jeden z tych młodych ludzi chciał je wypróbować z nudów? A jeżeli to się

powtórzy, kiedy cała nasza armia znajdzie się przed tymi śmiercionośnymi dzwonami? Wyobrażasz to sobie? Generał Reibisch ma prawie sto tysięcy żołnierzy, teraz może nawet więcej. Pojmujesz, że oni wszyscy mogą w jednej chwili zginąć? - Chłopak przeniósł wzrok ze spokojnej twarzy Kahlan na zaniepokojoną kapitaną. - Cała nasza południowa armia zginie za jednym zamachem. Wyobraźcie to sobie.

- Ale nie sądzę... - zaczęła Kahlan.

- I na tej podstawie chcesz ryzykować życie tych wszystkich młodych żołnierzy? Taka jesteś pewna swego? Nie wiem, czy wszystkie Dominie Dirtch działają jak jeden, lecz co, jeśli tak właśnie jest? Może gniewne uderzenie w jeden uruchamia wszystkie. Możesz temu zaprzeczyć? Nie mam ochoty ryzykować życia tych dzielnych, młodych ludzi w tak groźnej rozgrywce. A ty? - Przeniósł wzrok na kapitanę Meifferta. - A ty? Jesteś hazardystką, kapitanie? Mógłbyś z taką łatwością założyć się o życie tych wszystkich żołnierzy?

Kapitan potrząsnął głową.

- Gdyby chodziło o moje życie, lordzie Rahlu, to chętnie bym je zaryzykował, ale życia tamtych... absolutnie nie.

Ulewa trochę osłabła i łomot deszczu przycichł. Przed wejściem do namiotu przechodzili żołnierze, niosąc pokarm dla koni. Większość obozu tonęła w ciemnościach, gdyż ogień wolno było rozpałać jedynie w absolutnej konieczności.

- Nie mogę się z tym nie zgodzić. - Kahlan uniosła ręce, a potem pozwoliła im opaść na podolek. - Ale Jagang nadciąga. Jeżeli nie przekonamy ludzi, by opowiedzieli się za nami i przeciwstawili mu, zajmie Anderith. Za Dominie Dirtch będzie niezwyciężony i będzie mógł według woli robić wypadki do Midlandów. Wykrwawi nas na śmierć.

Richard słuchał deszczu bębniącego w dach namiotu i chlapiącego przed otwartym wejściem. Zapowiadało się, że będzie padać całą noc.

- Według mnie, mamy tylko jedną możliwość. Musimy wrócić do biblioteki w posiadłości i spróbować znaleźć coś użytecznego - powiedział cicho.

- Jeszcze nic nie znaleźliśmy - odezwała się Kahlan.

- Ludzie władający Anderithem są teraz przeciwko nam i mogą nam odmówić wstępu - dodał kapitan Meiffert.

Richard spojrział w błękitne oczy kapitana i zacisnął dłoń. Znow pożałował, że nie ma przy sobie Miecza Prawdy.

- Jeśli się sprzeciwią, kapitanie, ty i twoi żołnierze dostaniecie rozkaz wykonania tego, do czego się nieustannie przygotowujecie. Jeśli się sprzeciwią i jeśli będziemy do tego zmuszeni, wybijemy do nogi wszystkich, którzy się nam spróbują przeciwstawić, zrównamy wszystko z ziemią. Ale najpierw wyniesiemy stamtąd książki.

Na twarzy żołnierza odmalowała się ulga. D'Haranczycy najwyraźniej obawiali się, że Richard nie zechce przejść do czynu. Meiffert uspokoił się, usłyszawszy, że tak nie jest.

- Tak jest, lordzie Rahlu. Żołnierze będą gotowi rankiem, jak tylko rozkażesz.

Chłopaka niepokoiła uwaga Kahlan o tym, że w posiadłości ministra może nie być żadnej wartościowej wiadomości. Richard przypominał sobie książki w bibliotece. Nie pamiętał szczegółów treści, lecz na tyle dobrze przypominał sobie ogólne tematy, by wiedzieć, że znalezienie potrzebnej informacji to loteria. Ale tylko to mogli zrobić.

- Zanim odejdę - kapitan Meiffert wyciągnął z kieszeni kartkę papieru - pragnę cię poinformować, że wielu ludzi prosiło o audiencję, jeżeli znajdziesz na to czas. Większość to kupcy, którzy chcą uzyskać konkretne wiadomości.

- Dziękuję, kapitanie, ale teraz nie mam czasu.

- Rozumiem, lordzie Rahlu. Pozwoliłem sobie tak właśnie im odpowiedzieć. - Przeglądał notatki. - Była też jedna kobieta. - Mrużył oczy, żeby odczytać nazwisko w słabym świetle świecy. - Franca Gowenlock. Twierdziła, że to nadzwyczaj ważne, lecz nie chciała powiedzieć, o co chodzi. Była tu prawie cały dzień. W końcu powiedziała, że musi wracać do domu, ale oznajmiła, że jutro przyjdzie ponownie.

- Jeśli to istotnie ważne, to wróci i porozmawiam z nią. Richard spojrział na Du Chaillu, sprawdzając, jak się czuje.

Starania Kahlan najwyraźniej jej pomogły. Za nim wybuchło nagle zamieszanie. Kapitan poleciał do tyłu, jak odepchnięty magicznym ciosem. Płomień świecy trzepotał dziko w nagłym porywie wiatru, ale nie zgasł. Coś głucho łupnęło i Richard gwałtownie się obrócił. Świeca przetoczyła się na prawy skraj blatu.

Na stolik spadł wielki kruk.

Richard cofnął się, zdumiony, razem z krzesłem. Wstał, dobywając miecza i ponownie żałując, że to nie magiczny Miecz Prawdy. Kahlan i Du Chaillu poderwały się.

Ptak trzymał coś w wielkim dziobie. W całym tym zamieszaniu - wiatr, niemal spadająca ze stolika świeca, chwiejący się stolik, łopoczące boki namiotu - chłopak nie od razu rozpoznał, co to było.

Kruk położył tę rzecz na stole.

Atramentowoczarny ptak z kroplami deszczu na lśniących piórach - jakby sama noc wleciała do ich namiotu - sprawiał wrażenie wyczerpanego. Zobaczywszy, jak padł na stolik, szeroko rozkładając skrzydła, Richard pomyślał, że jest chory lub ranny.

Chłopak nie wiedział, czy istota opanowana przez demona może być naprawdę poraniona. Przypomniawszy sobie, że kura-nie-kura krwawiła. Dostrzegł na blacie stolika plamę krwi.

Kiedy stwór podszywający się pod kurę był w pobliżu, to - choćby go nie widział - Richardowi jeżyły się włoski na karku. Teraz jednak tak się nie stało, choć przed nim tkwił kruk-nie-kruk.

Ptak przekrzywił głowę, patrząc Richardowi w oczy. To było celowe, roztropne spojrzenie. Kruk postukał dziobem w to, co położył na stole.

Wtedy przyskoczył kapitan Meiffert i zamachnął się mieczem. Jednocześnie Richard wyrzucił w górę ramiona i krzyknął:

- Nie!

Kruk, widząc opadający miecz, zeskoczył na ziemię i przebiegł między nogami żołnierza. Potem wzbił się w powietrze i odleciał.

- Przepraszam. Myślałem... myślałem, że atakuje cię czarami, lordzie Rahlu. Myślałem, że to stwór czarnej magii, który zjawił się, żeby cię zaatakować - powiedział Meiffert.

Richard głęboko odetchnął i dał mu znak, że wybaczają. Kapitan po prostu starał się go ochraniać.

- To nie było złe - odezwała się Du Chaillu, podchodząc wraz z Kahlan.

- Nie, nie było - potwierdził chłopak, padając na krzesło. Kahlan i Du Chaillu stały za nim, patrzyły mu przez ramię.

- Jaki znak przyniósł ci wysłaniec duchów? - spytała duchowa przewodniczka Baka Tau Mana.

- Nie myślę, żeby był ze świata duchów - sprzeciwił się Richard. Podniósł ze stolika mały, płaski przedmiot. W nikłym świetle nagle to rozpoznał. Patrzył z niedowierzaniem. To wyglądało jak książeczka, którą miała przy sobie Siostra Verna. Mnóstwo razy widział, jak się tym posługuje. - To książka podróżna. - Odchylił okładkę.

- To musi być w górnod'harańskim - stwierdziła Kahlan na widok dziwnego pisma.

- Drogie duchy - westchnął Richard, czytając dwa słowa widoczne na pierwszej karcie.

- Co to? - spytała dziewczyna. - Co to takiego? Co to znaczy?

- *Fuer Berglendsch*. Masz rację. To w górnod'harańskim.

- Wiesz, co to znaczy?

- „Góra”. - Richard odwrócił głowę i spojrzał na Kahlan w migotliwym blasku świecy. - To przydomek Josepha Andera. To jest książka podróżna Josepha Andera. Druga, zniszczona, która tworzyła z nią parę, nosiła tytuł *Bliźniaczy szczyt*.

## ROZDZIAŁ 62

Uśmiechnięty Dalton Campbell stał przy ośmiokątnym stoliku z rzadkiego czarnego orzecha w jednej z komnat Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni. Na ścianach tej komnaty rozmieszczono pamiątki po dawnych dyrektorach: szaty, niewielkie narzędzia, atrybuty ich profesji, na przykład pióra i wspaniale rzeźbione bibularze, a także teksty. Minister przeglądał bardziej współczesne teksty - raporty, których zażądał od dyrektorów.

Jeśli dyrektorzy mieli jakieś zastrzeżenia czy wątpliwości, to zachowali je dla siebie. Na pozór jednomyślnie i z zapałem rzucili się do wykonywania zadań wspierających nowego Suwerena. Jasno dano im do zrozumienia, że ich istnienie zależy teraz nie tylko od ich wiernopoddańczej lojalności, ale i od entuzjazmu, jaki w niej wykażą.

Dalton czytał spis adresów, który mieli dostarczyć dyrektorzy. Irytowały go wrzaski dobiegające zza okna wychodzącego na plac. Po krzykliwych zachętach tłumu domyślił się, że znów ktoś wygłasza mowę przeciwko lordowi Rahlowi i Matce Spowiednicze.

Zwykli ludzie poszli za przykładem wysoko postawionych, choćby dyrektorów, i głośno powtarzali to, czego ich wyuczono. Dalton spodziewał się tego, a mimo to nie przestawało go zadziwiać, że wystarczyło, by powtórzył coś odpowiednio często za pośrednictwem odpowiedniej liczby ludzi, a już stawało się to powszechnie znaną prawdą. Jej pochodzenie zostało zapomniane, a powtarzający ją prości ludzie zaczęli wierzyć, że to ich własna myśl - jakbyjakakolwiek myśl mogła się zrodzić w ich pustych głowach.

Minister prychnął lekceważąco. Byli osłami i zasłużyli na swój los. Teraz należeli do Imperialnego Ładu. A przynajmniej wkrótce się tak stanie.

Wyrzwał przez okno - tłum wlewał się na plac. Nocna ulewa zmieniła się w lekką mżawkę, więc ludzie wracali. Rzęsisty nocny deszcz nie zmył z bruku ciemnych plam w miejscach, gdzie spłonęło dwoje ludzi.

Tłum, rzecz jasna, winą za tę tragedię obarczał magię lorda Rahla i przeciwko temu kierował swój gniew. Dalton Campbell pouczył swoich ludzi, żeby z całą mocą podnosili takie zarzuty. Dobrze wiedział, że powaga oskarżenia przeważa nad brakiem dowodów, a tym bardziej nad prawdą.



Campbell nie wiedział, co się tak naprawdę stało. Wiedział jednak, że to nie był pierwszy taki wypadek. Tak czy owak, była to przerażająca tragedia, która wydarzyła się w stosownej chwili. Znakomicie zaakcentowała mowę dyrektora Prevota. Dalton był ciekaw, czy te ognie miały coś wspólnego z tym, o czym powiedziała mu Franca, z przyczyną zanikania magii. Nie pojmował ewentualnego związku, lecz podejrzewał, że i tak mu wszystkiego nie powiedziała. Ostatnio zachowywała się dość osobliwie.

Rozległo się pukanie i Campbell spojrzął na drzwi. Rowley się pokłonił.

- O co chodzi?

- Ministrze, jest tu... ta kobieta, ta, którą przysłał imperator Jagang - powiedział posłaniec.

- Gdzie?

- W holu. Pije herbatę.

Dalton poprawił pochwę miecza. Tej kobiety nie należało lekceważyć. Podobno miała większą moc niż inne kobiety tego rodzaju. Większą nawet niż moc Franki. Jagang zapewnił Daltona, że w przeciwieństwie do Franki, wciąż włada swoją mocą.

- Zaprowadź ją do posiadłości. Daj jej jedną z naszych najwspanialszych komnat. Jeżeli coś ci... - Minister przypomniał sobie talent Franki do słyszenia innych. - Jeżeli na cokolwiek się poskarży, zadbaj, by sprawy ułożyły się po jej myśli. Jest bardzo ważnym gościem i tak ma być traktowana.

- Tak jest, ministrze. - Rowley skłonił się. Dalton dostrzegł, że posłaniec uśmiecha się kącikiem ust. Rowley także wiedział, po co jest tu ta kobieta. Z niecierpliwością na to czekał.

A Campbell chciał, żeby już było po wszystkim. To wymagało wielkiej ostrożności. Musieli czekać i skorzystać z nadarzającej się okazji. Nie mogli niczego przyspieszać, bo wtedy wszystko by przepadło. Jeśli właściwie przeprowadzą całą rzecz, odniosą wspaniałą sukces. Imperator będzie bardziej niż wdzięczny.

- Doceniam twoją szczodrość.

Minister odwrócił się na dźwięk kobiecego głosu. Siostra Mroku stała w drzwiach. Rowley usunął się jej z drogi.

Wyglądała na osobę w średnim wieku, w czarnych włosach połyskiwały już siwe. Grubokościste ciało okrywała skromna, niemodna, ciemnobłękitna

suknia spływająca od szyi aż do podłogi. Na ustach niewiasty widniał lekki uśmiech, ale jej oczy się nie uśmiechały. Dalton Campbell jeszcze nigdy nie widział tak niemiłego uśmieszku. Bezwstydnie głosił jej wyższość. Linie w kącikach ust i oczu sprawiały, że ten pełen zadowolenia grymas na stałe przywarł do jej oblicza.

W dolnej wardze miała złote kółko.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Siostra Penthea. Przybyłam, by oddać mój talent na usługi Jego Ekscelencji, imperatora Jaganga. - Głos miała lodowaty.

Dalton skłonił głowę.

- Minister Spraw Duchowych, Dalton Campbell. Dziękuję, że zechciałaś przybyć, Siostrze Pentheo. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni za chęć udzielenia nam tak cennego wsparcia.

Przysłano ją, by oddała swój dar na usługi Daltona Campbella, lecz on wolał tego nie podkreślać. Nie musiał jej przypominać, że to ona miała kółko w wardze. To było oczywiste dla obojga.

Znów rozległy się wrzaski i Dalton spojrzął za okno, sądząc, że to rodzice powrócili na miejsce okropnej śmierci z ubiegłego wieczoru. Ludzie zjawiali się tu cały ranek, kładąc na miejscach obu śmierci kwiaty lub inne ofiary, aż zaczęły przypominać groteskowe ogrodowe śmietnisko. W szarość dnia unosiły się często żałobne zawodzenia.

Siostra Penthea skierowała uwagę Campbella ku sprawie, którą przybyła załatwić.

- Muszę zobaczyć tych, którzy mają dopełnić czynu.

- Obecny tu Rowley jest jednym z nich. - Dalton wskazał posłańca.

Penthea - bez słowa czy ostrzeżenia - przytknęła wewnątrz dłoni do czoła Rowleya, wsunęła palce w rude włosy chłopaka i złapała go za głowę, jakby chciała z niej zderzeć skórę niczym z dojrzałej gruszki. Oczy uciekły mu w tył. Zaczął dygotać. Siostra mruczała jakieś słowa, których Dalton nie rozumiał. Każde z tych słów zapadało w posłańca. Kiedy wymawiała niektóre z nich, ramiona chłopaka drgały. Przy ostatniej frazie, wypowiedanej ze wznoszącą intonacją, Siostra Penthea gwałtownie, krótko pchnęła głowę Rowleya. Krzyknął i padł bezwładnie. Po chwili usiadł i potrząsnął głową. Uśmiech powiedział Campbellowi, że posłańcowi nic się nie stało. Młodzian wstał i otrzepał ciemnobrązowe spodnie. Wyglądał tak samo jak przedtem,

choć Penthea wlała w niego śmiertelnościaną moc.

- A pozostali? - spytała.

- Rowley cię do nich zaprowadzi - odparł Dalton. Skłoniła się lekko.

- Miłego dnia, ministrze. Natychmiast się tym zajmę. Imperator chciał również, bym przekazała jego radość z faktu, że mógł udzielić pomocy. Los Matki Spowiedniczki jest już przypieczętowany, bez względu na krzepę czy magię.

Siostra Penthea obróciła się i energicznie wymaszerowała. Rowley wyszedł za nią. Dalton nie mógł powiedzieć, iż żałuje, że sobie poszła.

Nim zdążył na powrót zająć się raportami, znów usłyszał radosne wrzaski. Podniósł głowę, wyjrzał przez okno i zobaczył coś, czego się nie spodziewał. Kogoś wleczono w asyście tłumy, a zgromadzeni na placu rozstępowali się, witając nadchodzących pochwalnymi okrzykami. Niektórzy z nowych nieśli szczątki skrzynek, gałęzie, wiązki słomy.

Dalton podszedł do okna, oparł się oburącz o parapet i patrzył. To był Serin Rajak na czele kilkuset swoich popleczników odzianych w białe szaty.

Wreszcie zobaczył, kogo dopadli wloką na plac - i głośno zachłysnął się powietrzem. Patrzył przez okno, serce waliło mu z przerażenia. Zastanawiał się, co mógłby zrobić. Miał przy sobie gwardzistów, prawdziwych, nie żołnierzy armii Anderithu, ale zaledwie dwudziestu kilku. Natychmiast pojął, że nic z tego: choć uzbrojeni, nie daliby rady tysiącom zgromadzonym na placu. Wiedział, że lepiej nie stawać na drodze zdecydowanemu na przemoc tłumowi - zyskuje się jedynie to, że przemoc kieruje się ku przeszkadzającym.

Campbell, bez względu na swoje odczucia, nie śmiał przeciwstawiać się temu tłumowi.

Pośród odzianych w biel ludzi Serina Rajaka Dalton zobaczył kogoś w ciemnym uniformie - to był Stein. Z lodowatym przerażeniem uświadomił sobie, po co Stein był tutaj, czego chciał. Cofnął się od okna. Przemoc nie była obca Campbellowi, ale to już było nieludzkie okrucieństwo.

Dalton ruszył pędem przez korytarz, zbiegł ze schodów i pognął przez hol. Nie miał pojęcia, co robić, lecz jeśli coś można byłoby...

Dotarł do wejścia znajdującego się między smukłymi kolumnami, u szczytu schodów. Zatrzymał się w mroku przed drzwiami, oceniał sytuację.

Na zewnątrz, na znajdującym się poniżej podeście, stali strażnicy, żeby

wybić ludziom z głowy chęć dostania się do Urzędu Spraw Duchowych i Przyjaźni. Był to symboliczny gest - taki tłum z łatwością zmiotłby gwardzistów. Dalton nie śmiał dawać tak wzburzonym ludziom powodu, by zwrócili przeciwko niemu swój gniew.

Przed tłum przepychała się kobieta trzymająca za rękę małego chłopca.

- Jestem Nora - oznajmiła. - A to mój synek, Bruce. Przez wiedźmy tylko on jeden mi został! Mój mąż, Julian, utonął przez zły urok rzucony przez wiedźmę! Moja śliczna córeczka Bethany spłonęła żywcem przez czar wiedźmy.

Chłopczyk, Bruce, szlochał i mamrotał, że to prawda. Płakał za ojcem i siostrą. Serin Rajak uniósł rękę kobiety.

- Oto ofiara czarnej magii Opiekuna! - Wskazał zawodzącą kobietę stojącą blisko czoła tłumy. - A to następna! Wielu z was poniosło szkody przez klątwy i złe uroki wiedźm! Wiedźm czerpiący zło od Opiekuna zmarłych!

Tłum był w tak paskudnym nastroju, iż Dalton wiedział, że to się dobrze nie skończy, lecz nie mógł wymyślić nic, co położyłoby temu kres.

Koniec końców właśnie po to uwolnił Serina Rajaka: żeby wzniecić gniew przeciwko magii. Chciał, by podburzono ludzi przeciwko tym, którzy mają dar, by ludzie dostrzegli w nich wcielenie zła. Któż lepiej od fanatyka potrafiłby rozbudzić taką nienawiść?

- A oto i wiedźma! - Serin Rajak energicznie wskazał kobietę z rękami związanymi na plecach, kobietę, którą Stein trzymał za włosy. - Jest nikczemną służką Opiekuna! Rzuca złe uroki, żeby was wszystkich krzywdzić!

Tłum wył, wrzaskiem domagał się zemsty.

- Co mamy zrobić z tą wiedźmą? - zaskrzeczał Serin Rajak.

- Spalić ją! Spalić ją! Spalić ją! - skandował tłum, a Serin Rajak uniósł ramiona ku niebu.

- Drogi Stwórco, powierzamy tę kobietę twojej opiece w płomieniach! Oszczędź jej krzywdy, jeśli niewinna! Spal ją, jeśli winna zbrodni czarnoksiężstwa!

Ludzie stawiali pal, a Stein rzucił kobietę twarzą na ziemię. Szarpnięciem za włosy odgiął do tyłu jej głowę. Drugą ręką wyciągnął nóż. Dalton patrzył szeroko otwartymi oczami - nie mógł ani ich zamknąć, ani

oddychać - jak żołnierz Ładu wykonuje cięcie od ucha do ucha ponad czołem Franki. Zerwał skalp i krzyk kobiety rozdarł Daltonowi serce. Po twarzy Franki spływała krew, po policzkach Campbella - łzy. Podniesioną ją, krzyczącą z bólu i straszliwego przerażenia, i przywiązano do pala. Białka oczu kontrastowały z krwawą maską.

Franca nie przekonywała o swojej niewinności, nie błagała o życie. Krzyczała, straszliwie przerażona.

Otoczono ją słomą i drewnem. Tłum napierał, chcieli być blisko, wszystko widzieć. Niektórzy wyciągali rękę i maczali palce w krwi płynącej po jej twarzy. Chcieli pamiętać o krwi wiedźmy na swoich palcach, chcieli potwierdzenia swojej przewagi, zanim wyślą ją do Opiekuna.

Minister, z gardłem ściśniętym paniką, zszedł chwiejnie po części schodów.

Przez tłum przepchnęli się ludzie z pochodniami. Rzesza wyła. Serin Rajak, rozszalały gniewem, wspiął się na stos trawy i drewna u stóp Franki, żeby wykrzyczeć jej w twarz najgorsze wyzwiska, oskarżenia o najohydniejsze zbrodnie.

Dal ton, stojąc bezradnie na schodach, wiedział, że to wszystko fałsz. Franca nie była taka.

I wtedy wydarzyło się coś nieprawdopodobnego. Z szarego nieba spłynął kruk i z gniewem wczepił pazury we włosy Serina Rajaka. Mężczyzna wrzasnął, że to znajomek wiedźmy, który przybył, żeby bronić swej pani. W odpowiedzi tłum zaczął rzucać w kruka czym popadło, a fanatyk usiłował go odpędzić. Ten łopotał skrzydłami i krakał, ale krzepko trzymał się włosów Rajaka. Wielki, atramentowoczarny ptak z tak zacieklą determinacją wydziobał Serinowi jedyne oko, że Dalton *zaczai* podejrzewać, iż zarzuty fanatyka są słuszne.

Rajak, wrzeszcząc z gniewu i wściekłości, spadł ze stosu. W tym momencie tłum rzucił pochodnie. Płomienie ogarnęły suchą słomę i France, która wydała z siebie jęk, jakiego Dalton w życiu nie słyszał. Nawet w miejscu, w którym stał, czuć było swąd palącego się ciała.

I wtedy przerażona, obolała, płonąca żywcem czarodziejka odwróciła głowę i zobaczyła stojącego na schodach ministra.

Wykrzyknęła jego imię. Nie słyszał głosu kobiety przez ryk tłumu, lecz wyczytał swoje imię z jej warg.

Znów je wykrzyczała. Krzyknęła, że go kocha.

Odczytał te słowa z jej ust i złamały mu serce.

Płonące ciało Franki pękało, pokrywało się bąblami. Jej przenikliwe krzyki brzmiały jak wrzaski zgubionych dusz ze świata zmarłych.

Dalton Campbell stał oszołomiony, patrzył na to i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że i on krzyczy, ściskając głowę rękami.

Tłum przysunął się jeszcze bliżej, żeby poczuć swąd palącego się ciała, zobaczyć, jak płonie skóra wiedźmy. Byli tym niesamowicie podekscytowani, mieli oszalałe oczy. Napierający motłoch popchnął tych na przedzie tak blisko żaru, że osmaliło im brwi, ale i to sprawiło im przyjemność, bo wiedźma wrzeszczała i płonęła.

A kruk szaleńczo dziobał leżącego na ziemi, oślepionego i niemal zapomnianego Serina Rajaka. Mężczyzna machał na oślep rękami, próbując odpędzić skrzydlatego mściciela. Wielki dziób uderzał między wymachującymi ramionami i wyrywał mu z twarzy kawałki ciała.

Tłum znów zaczął rzucać w ptaka czym popadło. Kruk, który wyglądał, jakby tracił siły, bezradnie machał skrzydłami. Leciało na niego wszystko - od butów po płonące gałęzie.

Szlochający Dalton stwierdził, że z nie znanego mu powodu wiwatuje na cześć ptaka, choć mógł przez to stracić życie.

Kiedy wszystko wskazywało na to, że nadszedł kres dzielnego skrzydlatego mściciela, na plac wpadł koń bez jeźdźca. Wierzgał dziko, przebijając sobie drogę przez tłum. Okręcał się i kopał, raniąc ludzi, łamiąc im kości, rozbijając głowy. Uciekali mu z drogi, a koń o złocistokasztanowej maści, z położonymi w tył uszami, rżąc gniewnie, parł ku środkowi motłochu. Przerażeni ludzie nie mieli się gdzie odsuwać w tłoku. Zwierzę, oszalałe z gniewu, tratowało każdego, kto stanął mu na drodze. Dalton jeszcze nigdy nie słyszał o koniu gnającym w stronę ognia.

Wierzchowiec dotarł do środka zbiegowiska, a kruk z desperackim wysiłkiem uderzył wielkimi czarnymi skrzydłami i znalazł się na jego grzbiecie. Koń zawrócił i Dalton przez chwilę myślał, że jest na nim jeszcze jeden kruk, że są tam dwa czarne kruki, ale pojął, że ten drugi to po prostu czarna plama na końskim zadzie.

Kruk wczepił się w grzywę tuż nad kłębem, rumak zaś po raz ostatni wierzgnął i ruszył galopem. Ci, którzy mogli, uskoczyli z drogi. Inni zostali

stratowani przez rozwścieczone zwierzę.

Dalton, stojąc samotnie na schodach, gdy krzyki Franki szczęśliwie umilkły, salutował złocistej kasztance i krukowi mścicielowi mknącym galopem przez plac.

## ROZDZIAŁ 63

Beata zmrużonymi oczami patrzyła na równiny kąpiące się w blasku poranka. Dobrze było wiedzieć, że zaświeci słońce, które ukaże się zza horyzontu. Kończyła się kilkudniowa ulewa. Na złocistym wschodnim niebie zostało tylko kilka ciemnopurpurowych chmur, jak dziecięce maźnięcia rozrzarżonym węgielkiem. Wydawało się jej, że z kamiennej podstawy Dominie Dirtch, stojąc pod nieskończoną czaszą nieba, sięga wzrokiem w bezkres równin Dżicy.

Beata przekonała się, że Estelle Ruffin słusznie ją przywołała. Z oddali zbliżał się jeździec. Wybierał suchy pas ziemi i kierował się wprost ku nim. Był jeszcze daleko, lecz nie wyglądało na to, że ma się ochotę zatrzymać. Beata odczekała, aż jeszcze się zbliży, przyłożyła dłonie do ust i wrzasnęła:

- Stop! Stój tam, gdzie jesteś!

Nadjeżdżał. Pewnie wciąż był za daleko, żeby ją usłyszeć. Równiny wprowadzały w błąd. Czasem taki jeździec potrzebował więcej czasu, by dotrzeć do ich posterunku, niżby się zdawało.

- Co mamy zrobić? - zapytała Estelle. Jeszcze nigdy nie widziała jeźdźca zbliżającego się w takim tempie i nie zamierzającego się zatrzymać.

Beata w końcu przyzwyczała się, że Anderyjczycy zdają się na nią i proszą ją o polecenia. Nie tylko przyzwyczała się do władzy, ale znajdowała w niej upodobanie.

Jakaż w tym tkwiła ironia. Bertrand Chanboor ustanowił prawa umożliwiające Beacie wstąpienie do armii i dowodzenie Anderyjczykami, a jednocześnie Bertrand Chanboor zmusił ją, by skorzystała z tych praw. Nienawidziła go, a przecież był jej nieświadomym dobroczyńcą. Teraz zaś został Suwerenem i dziewczyna, zgodnie z obowiązkiem, dokładała wszelkich starań, żeby darzyć go wyłącznie miłością.

Poprzedniego wieczoru zjawił się kapitan Tolbert z kilkoma d'haranskimi żołnierzami. Jechali wzdłuż linii Dominie Dirtch, zbierając głosy oddziałów stacjonujących przy każdym z kamiennych dzwonów. Wszyscy o tym mówili i choć Beata nie widziała ich głosów, wiedziała, że jej oddział postawił krzyżyk.

Dziewczyna spotkała lorda Rahla i rozmawiała z nim. Była przekonana,



że to zacny człowiek. Matka Spowiedniczka również sprawiała o wiele miłsze wrażenie, niż Beata oczekiwała. Lecz zarówno sierżant, jak i jej oddział byli dumni z tego, że są w armii Anderithu, najlepszej armii na świecie, jak im powiedział kapitan Tolbert, armii niepokonanej od powstania krainy, niezwyciężonej i teraz.

Obecnie miała poważne obowiązki. Była budzącym respekt żołnierzem, jak to zalecało prawo Bertranda Chanboora. Nie chciała niczego zmieniać.

Dumnie nakreśliła krzyż, choć to było dla Bertranda Chanboora, ich nowego Suwerena.

Emmeline oparła dłoń na drzewcu młota, Karl też stał w pobliżu. Spodziewali się, że Beata kaze go wyjąć z uchwytów. A ona gestem kazała im stamtąd odejść.

- To tylko jeden jeździec - powiedziała władczym tonem, opanowując się. Estelle ciężko westchnęła.

- Ale, sierżancie...

- Jesteśmy wyszkolonymi żołnierzami. Jeden człowiek nie stanowi zagrożenia. Umiemy walczyć. Szkolono nas do walki.

Karl poprawił miecz, chcąc zasmakować prawdziwej wojaczki. Beata pstryknęła palcami, wskazała schody.

- Idź po Norrisa i Annette, Karl. Spotkacie się ze mną na przedniej linii. Emmeline, zostaniesz tu z Estelle, ale macie się trzymać z dala od młota. Nie życzę sobie, byście uderzyły w ten kamienny dzwon tylko dlatego, że zbliża się jakiś samotny jeździec. Poradzimy sobie. Zostańcie na posterunku i obserwujcie.

Obie kobiety zasalutowały, przykładając dłoń do czoła. Karl w pośpiechu zrobił to samo i zbiegł ze schodów, nie mogąc się doczekać prawdziwej akcji. Beata wyprostowała wiszący u biodra miecz i zeszła ze schodów z godnością odpowiednią dla jej rangi.

Dziewczyna stała obok wielkiego kamiennego dzwonu, „na linii”, jak to nazywali. Dalej Dominie Dirtch zabijał. Splotła dłonie za plecami. Przybiegł Karl z Norrisem i Annette. Annette kończyła wkładać kolczugę. Sierżant wreszcie zrozumiała, co wrzeszczy do nich zbliżający się jeździec. Wołał, żeby nie uderzali w Dominie Dirtch. Pomyślała, że rozpoznaje ten głos.

Karl położył dłoń na rękojeści miecza.

- Sierżancie?

Skinęła głową i cała trójka dobyła mieczy. Pierwszy raz zrobili to wobec potencjalnego zagrożenia. Wszyscy troje promienieli z ekscytacji.

Beata ponownie przyłożyła dłonie do ust i krzyknęła:

- Stój!

Tym razem jeździec ją usłyszał. Ściągnął wodze i zatrzymał spienionego konia w niewielkiej odległości od nich. Dziewczyna rozdziawiła usta.

- Fitch!

- Beata! - Uśmiechnął się. - To naprawdę ty?

Zsiadł i prowadził ku niej konia. Biedne zwierzę wyglądało żałośnie. Chłopak wcale nie był w lepszym stanie, lecz wciąż udawał chwata.

- Chodź no tutaj, Fitch! - warknęła Beata.

Karl, Norris i Annette - rozczarowani, że nie będzie okazji do pomachania mieczem, bo ich sierżant zna tamtego - schowali oręż do pochew. Otwarcie patrzyli na miecz Fitcha.

Pendent przewieszony przez prawe ramię pomagał zrównoważyć ciężar pochwy z mieczem, która wisiała po lewej stronie. Pendent był skórzany, mistrzowskiej roboty i wyglądał na bardzo stary. Beata się na tym znała i nigdy wcześniej nie widziała tak wspaniałego wyrobu ze skóry. Pochwę zdobiły ornamenty ze srebra i złota.

Sam miecz był równie wspaniały, a przynajmniej to, co z niego widziała. Miał wygięty w dół, błyszczący jelec. Rękojeść wyglądała na oplecioną srebrnym drucikiem z odrobiną złota. Lśniła w blasku poranka.

Fitch wypiął dumnie pierś i uśmiechnął się do dziewczyny.

- Miło cię widzieć, Beato. Rad jestem, że wykonujesz robotę, o której marzyłaś. Coś mi się zdaje, że nam obojgu spełniły się marzenia.

Beata wiedziała, że zasłużyła na ziszczenie swojego snu. Wątpiła, czy Fitch również, bo znała go od dłuższego czasu.

- Skąd się tu wzięłeś, Fitch, i skąd masz taki oręż?

- Jest mój. - Chłopak dumnie zadarł brodę. - Mówiłem ci, że pewnego dnia zostanę Poszukiwaczem i teraz nim jestem. To Miecz Prawdy.

Beata wpatrywała się w broń. Fitch obrócił go troszkę, żeby mogła zobaczyć rękojeść z napisem ze złotego druciku. To było słowo, które chłopak wypisał na ziemi tamtego dnia w posiadłości ministra. Pamiętała je: PRAWDA.

- Czarodzieje ci to dali? - spytała z niedowierzaniem. - Czarodzieje

mianowali cię Poszukiwaczem Prawdy?

- Nooo... - Fitch obejrzał się przez ramię na równiny Dzikicy, - r To długa historia, Beato.

- Sierzancie Beato - poprawiła go, nie chcąc, by wynosił się nad nią ktoś taki jak on.

- Sierzancie. - Wzruszył ramionami. - To wspaniale, Beato. - Znów obejrzał się przez ramię. - Hmm, mogę z tobą pogadać? - Popatrzył podejrzliwie na tych, którzy słyszeli każde słowo. - Na osobności?

- Fitch, ja nie...

Wyglądał na strapionego jak nigdy przedtem. Tylko udawał zuchwalca.

Złapała kołnierz brudnej kurty posłańca i odciągnęła go na bok, dalej od tamtych. I tak nie oderwali od nich wzroku, ale nie miała o to pretensji - było to najbardziej interesujące wydarzenie od przejazdu lorda Rahla i Matki Spowiedniczki.

- Co tu robisz z tym mieczem? Przecież nie jest twój. Twarz Fitcha przybrała dobrze znany Beacie błagalny wyraz.

- Musiałem go zabrać, Beato. Musiałem...

- Ukradłeś go? Ukradłeś Miecz Prawdy?

- Musiałem. Nie...

- Jesteś złodziejem, Fitch. Powinam cię aresztować i...

- To by było po mojej myśli. Mógłbym udowodnić, że zarzuty są fałszywe.

- Jakie zarzuty? - Zachmurzyła się.

- Że cię zgwałciłem.

Dziewczyna osłupiała. Nie potrafiła wykrztusić ani słowa.

- Oskarżyli mnie o to, co ci zrobili Stein i minister. Potrzebuję Miecza Prawdy, by dowieść, że tego nie zrobiłem i że minister jest winowajcą i...

- On jest teraz Suwerenem. Fitch oklapnął.

- To nawet ten miecz mi nie pomoże. Suweren. Kurczę, ale mętnik.

- Dobrześ to określił.

Odzyskiwał energię. Złapał Beatę za ramiona.

- Musisz mi pomóc. Ta wariatka mnie goni. Uderz w Dominie Dirtch. Zatrzymaj ją. Nie możesz jej przepuścić.

- Czemu? To jej ukradłeś miecz?

- Beato, nie rozumiesz...

- Ty ukradłeś miecz, ale to ja nie rozumiem? Rozumiem, że jesteś kłamcą.

Chłopak zapadł się w siebie.

- Ona zamordowała Morleya, Beato.

Szeroko otworzyła oczy. Wiedziała, jakim wielkoludem był Morley.

- Chcesz powiedzieć, że ona czaruje?

- Magia. - Fitch podniósł wzrok. - Tak. To musi być to. Ma magiczny dar. To wariatka, Beato. Zabiła Morleya...

- Patrzcie tylko, zabija złodzieja i już jest zwariowaną morderczynią. Jesteś bezwartościowym Hakenem, Fitch. Oto, kim jesteś: hakeńskim nicponiem, który ukradł cudzy miecz, miecz, co mu się nie należy.

- Ona mnie zabije, Beato. Nie przepuszczaj jej przez granicę, błagam.

- Zbliżają się jeźdźcy - zawołała Estelle.

Fitch o mało nie wyskoczył ze skóry. Dziewczyna spojrzała na Estelle, która wskazywała na Anderith, a nie ku Dzikcy. Beata poczuła niewielką ulgę.

- Kim są? - krzyknęła do tamtej.

- Jeszcze nie wiem, sierżancie.

- Musisz to zwrócić, Fitch. Jak ta kobieta się zjawi, musisz...

- Jeździec się zbliża - zawołała Emmeline, wskazując ku Dzikcy.

- Jak ona wygląda? - zawołał Fitch, wypłoszony jak kot, któremu podłożono ogień pod ogon.

Emmeline przez chwilę patrzyła w dal.

- Nie wiem. Jest jeszcze za daleko.

- Czerwień! - krzyknął Fitch. - Ma na sobie coś czerwonego? Strażniczka znów spojrzała na równiny.

- Włosy blond, ubrana na czerwono.

- Przepuścić ją! - rozkazała Beata.

- Tak jest, sierżancie.

Fitch, zniechęcony przerażony, wyrzucił w górę ramiona.

- Co ty wyprawiasz, Beato? Chcesz, żeby mnie zabiła?! To wariatka! To potwór, to...

- Pogadamy z nią. Nie bój się, nie damy jej skrzywdzić małego chłopczyka. Dowiemy się, czego chce, i zajmiemy się tym.

Fitch był wyraźnie obrażony. Nie sprawiło to Beacie przykrości - był przyczyną kłopotów, gdyż ukradł coś tak cennego jak Miecz Prawdy. Cenną magiczną rzecz. A ten cymbał pognął tam, wplątał w kradzież Morleyai

doprowadził do jego śmierci. Zabił swojego przyjaciela.

Pomyśleć tylko, że kiedyś uważała, iż mogłaby się w Fitchu zakochać.

- Przykro mi, Beato. - Zwiesił głowę. - Ja tylko chciałem, żebyś była dumna...

- Ze złodziejstwa nie można być dumnym, Fitch.

- Nic nie rozumiesz - wyszeptał, bliski łez. - Nic nie rozumiesz.

Beata usłyszała osobliwy hałas dobiegający od następnego Dominie Dirtch. Zabrzmiały krzyki i inne podobne odgłosy, ale nie alarm. Odwróciła się, żeby popatrzeć, i zobaczyła wjeżdżających trzech gwardzistów z anderyjskich oddziałów specjalnych - tych, których dostrzegła Estelle. Zastanawiała się, czego chcą. Usłyszała tętent galopującego konia i spojrzała w tę stronę. Stuknęła palcem w pierś Fitcha.

- Milcz i pozwól mi mówić.

Popatrzył w ziemię, nic nie odpowiedział. Dziewczyna odwróciła się, gdy koń mijał w galopie kamienną podstawę. Kobieta istotnie była w czerwonym stroju. Beata jeszcze nigdy nie widziała takiego czerwonego uniformu. Okrywał tamtą od głowy po stopy. Za kobietą płynął blond warkocz.

W Beacie zbudziła się czujność. Jeszcze nigdy nie widziała takiej determinacji jak na twarzy tej kobiety.

Tamta nawet nie trudziła się, by zatrzymać konia. Zwyczajnie skoczyła z niego na Fitcha. Beata odepchnęła go. Kobieta przetoczyła się dwukrotnie i już stała na nogach.

- Przestań! - krzyknęła dziewczyna. - Powiedziałam, że załatwimy to z tobą i odda ci, co twoje!

Z osłupieniem zobaczyła, że tamta trzyma tuż przy szyi czarną buteleczkę. Zeskoczyć z konia z buteleczką... Może Fitch jednak miał rację, może to wariatka.

Ale nie wyglądała na wariatkę. Wyglądała na osobę zdecydowaną załatwić tę sprawę w razie konieczności nawet na tamtym świecie.

Kobieta wbiła w Fitcha niebieskie jak niebo oczy i w ogóle nie zwróciła uwagi na Beatę.

- Oddaj to, a cię nie zabiję. Sprawię tylko, iż pożałujesz, żeś się urodził.

Chłopak nie ustąpił, lecz dobył miecza.

Rozległ się dźwięk, jakiego Beata, przyzwyczajona przecież do szczęku stali, jeszcze nie słyszała.

Twarz Fitcha dziwnie się odmieniła. Oczy zaczęły mu się rozszerzać, jakby miał zemdleć, albo co. Jego oczy wyglądały zdecydowanie dziwnie - była w nich lśniąca światłość, od której dziewczyna dostała gęsiej skórki. Jakby dostrzegł w sobie coś groźnego.

Kobieta wyciągnęła ku niemu dłoń z buteleczką, jak gdyby to była broń. Przebierała palcami drugiej dłoni, prowokując Fitcha, żeby podszedł bliżej i zaatakował ją.

Beata ruszyła, by powstrzymać tę kobietę, porozmawiać z nią.

Nagle uświadomiła sobie, że siedzi na ziemi. Okropnie paliła ją twarz.

- Nie mieszaj się. Nie ma powodu, by i tobie coś się stało. Nie wstawaj, dla własnego dobra - powiedziała tamta lodowatym głosem. Niebieskie oczy znów spojrzały na Fitcha. - Podejź, chłopcze. Poddaj się albo coś zrób.

Fitch coś zrobił. Zamachnął się mieczem. Beata słyszała, jak ostrze ze świstem tnie powietrze.

Kobieta płynnie cofnęła się o krok i jednocześnie rzuciła czarną buteleczkę. Klinga rozbiła ją na tysiące odłamków, które zawisły w powietrzu niczym burzowa chmura.

- Ha! - krzyknęła triumfalnie kobieta. Uśmiechnęła się paskudnie. - Teraz odbiorę ci miecz. - Poruszyła nadgarstkiem. Wiszący na złotym łańcuszku czerwony pręt znalazł się w jej dłoni. Najpierw miała radosną, pełną oczekiwania minę, która wkrótce zmieniła się jednak w zmieszanie, a chwilę później - w zdumienie. Wpatrywała się w to coś w swojej dłoni. - Powinno zadziałać - mruzczała do siebie. - Powinno zadziałać. - Podniosła wzrok i zobaczyła coś, co sprawiło, że wróciła do rzeczywistości.

Beata obejrzała się, lecz nie dostrzegła nic dziwnego. Kobieta złapała ją za ramię i postawiła na nogi.

- Zabieraj stąd swoich ludzi. Natychmiast!

- Co takiego?! Fitch ma rację. Jesteś...

- Patrz, głupia! - Tamta wskazała energicznie.

Jechali ku nim gwardziści z anderyjskich oddziałów specjalnych. Rozmawiali ze sobą.

- To nasi żołnierze. Nie ma się czego obawiać...

- Natychmiast zabierz stąd ludzi albo wszyscy umrzą.

Beata dyszała ze złości, że jakaś wariatka rozkazuje jej i traktuje ją jak dzieciaka. Zawołała do Marie Fauvel, która stała o jakieś dwadzieścia stóp

dalej. Marie wyszła zobaczyć, co to za zamieszanie.

- Kapralu Fauvel!

- Słucham, sierżancie? - odparła Anderyjka.

- Każ tym żołnierzom poczekać tam, gdzie są, dopóki nie załatwimy tej sprawy. - Wsparła się pod boki i spojrzała na kobietę w czerwieni. - Zadowolona?

Tamta zgrzytnęła zębami i znów chwyciła Beatę za ramię.

- Ty głuptasko! Uciekajcie stąd, ty i tamte dzieciaki, bo inaczej umrzecie! W dziewczynie narastał gniew.

- Jestem oficerem armii Anderithu, a ci żołnierze... - Odwróciła się, żeby na nich wskazać.

Marie Fauvel stanęła przed jeźdźcami, uniosła rękę i powiedziała, że mają zaczekać.

Jeden z żołnierzy bez żenady dobył miecza i zamachnął się niedbale, lecz mimo to z przerażającą siłą. Cios, z mdlącym trzaskiem pękających kości, przeciął dziewczynę na pół.

Beata stała jak wryta, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Pracowała dla rzeźnika, więc napatrzyła się na szlachtowanie. Czyściła jelita tylu rozmaitych zwierząt, że ich widok był dla niej czymś zwyczajnym. Widok jelit nie przerażał jej.

Marie leżąca na ziemi, z jelitami wysypującymi się z górnej połowy ciała - to była jakby tylko ciekawostka. Jelita ludzkiego zwierzęcia tak bardzo podobne do jelit innych zwierząt, lecz ludzkie.

Marie Fauvel, odcięta od bioder i nóg, traciła oddech. Wczepiała się w trawę, oczy miała szeroko otwarte, a jej mózg próbował pojąć, co właśnie stało się z jej ciałem.

Było to tak wstrząsające, że Beata nie mogła się ruszyć.

Marie ciągnęła trawę, usiłując zwlec się z drogi konnym, przyciągnąć ku Beacie. Poruszała wargami, ale wydawała jedynie ciche, chrypliwe jęki. Jej palce zwiotczały. Opadła, wijąc się jak świeżo zarżnięta owca.

Estelle i Emmeline krzyczały, stojąc na podstawie Dominie Dirtch.

Beata dobyła miecza, uniosła go.

- Żołnierze! Do ataku!

Obejrzała się na jeźdźców. Byli coraz bliżej. Szczęrzyli zęby w uśmiechu.

A potem świat oszalał.

## ROZDZIAŁ 64

Worris skoczył do przodu, jak ich uczono, mierząc w nogi jednego z tamtych. Mężczyzna kopnął go w twarz. Chłopak poleciał do tyłu, osłaniając twarz rękami. Spomiędzy palców ciekła krew. Żołnierz podniósł miecz Norrisa i wbił chłopakowi w brzuch, przyszpilając go do ziemi. Zostawił go tak, wijącego się, krzyczącego w męce i kaleczącego palce o ostrą klingę.

Nadbiegali Karl i Bryce z uniesionymi mieczami. Carine pędziła z koszar z piką. Tuż za nią biegła Annette, również z piką.

Beata poczuła przyływ nadziei. Okrążą ich. Jej żołnierze byli szkoleni do walki. Poradzą sobie z trzema ludźmi.

- Sierzancie! - krzyknęła kobieta w czerwieni. - Uciekajcie!

Dziewczyna była przerażona, ale ta kobieta wciąż ją irytowała - najwyraźniej nie miała pojęcia o żołnierskim rzemiośle. Beatę zawstydzalo również tchórzostwo tamtej. Ona i jej żołnierze dotrzymają pola i będą walczyć. Obronią tę nic nie wartą kobietę w czerwieni, która bała się stanąć przeciwko trzem wrogom.

Fitch też, co zauważyła z dumą, ruszył do ataku z uniesionym beczennym mieczem.

Zbliżali się do tamtych, a jedynie ten, który zabił Marie, trzymał w dłoni miecz. Dwaj pozostali nie dobyli jeszcze swoich. Beata była wściekła, że tak lekceważą jej oddział.

Bardziej zaznajomiona z dźganiem mięsa niż reszta jej ludzi, sierżant pewnie ruszyła na wroga. Żołnierz bez wysiłku usunął się jej spod miecza. Uświadomiła sobie z przerażeniem, że to w niczym nie przypomina atakowania słomianych kukieł czy tusz wiszących na hakach.

Klinga Beaty przecięła tylko powietrze. Annette skoczyła, żeby dźgnąć żołdaka od tyłu piką w nogę. I jej zszedł z drogi, lecz złapał dziewczynę za rude włosy. Wyciągnął nóż i spokojnie, powoli, patrząc z obrzydliwym uśmiechem Beacie w oczy, podciął tamtej gardło, jakby zarzynał świnię.

Inny wyrwał Carine pikę, złamał jedną ręką na pół i wbił kolczasty grot w brzuch dziewczyny.

Karl, chcąc mu podciąć ścięgna w kolanach, zamachnął się mieczem na tego, którego chybiła Beata - i zarobił kopniaka w twarz. Mężczyzna



zamierzał ciąć go mieczem. Sierżant przyskoczyła i zablokowała cios. Siła uderzenia wyrwała jej miecz z dłoni. Ręce tak ją bolały, że nie mogła poruszyć odrętwiałymi palcami. Uświadomiła sobie, że klęczy.

Mężczyzna znów się zamachnął. Karl osłonił twarz rękami. Klinga przecięła mu dłoń w połowie, a potem rozcięła twarz aż do podbródka.

Żołnierz obrócił się ku Beacie. Okrwawiony miecz zbliżał się do jej twarzy, a dziewczyna mogła tylko krzyczeć. Jakaś dłoń złapała ją za włosy i gwałtownie szarpnęła do tyłu. Czubek ostrza świsnął tuż przed jej twarzą i uderzył w ziemię pomiędzy nogami. To kobieta w czerwieni uratowała Beacie życie.

Coś przyciągnęło uwagę mężczyzny. Odwrócił się, żeby popatrzeć. Sierżant też spojrziała i zobaczyła zbliżających się jeźdźców. Może ze setkę. Specjalni gwardziści anderyjscy, tacy jak ci tutaj. Kobieta w czerwieni odciągnęła Bryce'a niemal w ostatniej chwili, ratując mu życie. Gdy tylko się odwróciła, chłopak wbrew jej nakazom rzucił się na wroga. Beata ujrzała wynurzającą się z jego pleców czerwoną od krwi klingę. Miecz unosił Bryce'a w powietrze.

Wielki mężczyzna, który zabił Karla, znów zainteresował się Beatą. Próbowwała się wycofać, ale był szybszy, stawiał dłuższe kroki. Była tak przerażona, że stopy jej nie słuchały. Wiedziała, że umrze. Miecz się zbliżał, a ona nie wiedziała, co robić. Zaczęła odmawiać modlitwę, choć wiedziała, że jej nie skończy. Skoczył przed nią Fitch, jego klinga zablokowała cios. Miecz wroga rozprysnął się na jego orężu. Beata zamrugła ze zdumienia. Wciąż żyła. Fitch potężnie się zamachnął. Mężczyzna zrobił unik. Miecz chłopaka o włos chybił, bo żołnierz wygiął plecy w łuk. Kiedy ostrze przechodziło bokiem, mężczyzna zręcznie odczepił od pasa nabijaną kolcami maczugę. Impet ciosu wciąż jeszcze okręcał Fitcha, gdy tamten wziął szybki, potężny zamach. Cios zdarł górną część czaszki chłopaka. Różowe kawałki mózgu poleciały na bluzę Beaty, a Fitch zwałił się na ziemię.

Dziewczyna siedziała jak sparaliżowana. Słyszała swój krzyk i płacz przypominający zawodzenie przerażonego dziecka. Nie mogła się zmusić do zamilknięcia. Jakby obserwowała kogoś innego.

Mężczyzna nie zabił jej - zainteresował się Fitchem, a raczej jego mieczem. Wyjął błyszczący oręż z bezwładnej dłoni chłopaka i szarpnięciem zdjął pendent z martwego ciała. Chował klingę do pochwy, kiedy nadjechali

inni jeźdźcy. Uśmiechnął się i mrugnął do Beaty.

- Coś mi się zdaje, że dowódca Steinowi się to spodoba. Jak myślisz?

Sierżant siedziała nieruchomo. Ciało Fitcha leżało tuż przed nią, krew chłopaka wsiąkała w ziemię, a fragmenty jego mózgu oblepiały mundur dziewczyny

- Czemu? - To jedno zdołała wykrztusić. Tamten dalej szczyrzył zęby w uśmiechu.

- Skoro już mieliście okazję głosować, to imperator Jagang dorzuca decydujący głos.

- Co tam masz? - zawołał któryś, zsiadając z konia.

- Parę niezłych dziewuszek.

- Nie zabij wszystkich - powiedział tamten dobrodusznie. - Lubię, jak moje są jeszcze ciepłe i się ruszają.

Wszyscy zaśmiali się. Beata kwiliła cichutko i odpychała się piętami, odsuwając od żołnierzy.

- Słyszałem o tym mieczu. Zabieram go dla dowódcy Steina. Ucieszy się pewnie, że będzie go mógł dać imperatorowi.

Beata zobaczyła przez ramię innego żołnierza. Stał na podstawie Dominie Dirtch i niedbale odbierał broń Estelle i Emmeline, które starały się bronić swojego posterunku. Emmeline zeskoczyła z Dominie Dirtch, żeby uciec. Złamała nogę. Stojący na dole żołdak złapał ją za rude włosy i zaczął wlec ku koszarom, jakby chwycił kurczaka.

Jego kompan na Dominie Dirtch całował Estelle, która tłukła go pięściami. Jej bojowość rozbawiła pozostałych. Wszędzie dokoła zsiadali z koni ludzie w ciemnych skórzanych napierśnikach, w pasach i rzemieniach pokrytych kolcami, w kolczugach i włochatych skórach, z ciężkimi mieczami, toporami i cepami. Inni galopowali wokół Dominie Dirtch, wrzeszcząc radośnie.

Żołnierze zwrócili się ku krzykom przerażenia i bólu Emmeline i ku rechotowi jej zdobywcy, a czyjaś ręka złapała Beatę za kołnierz i pociągnęła do tyłu, szorując siedzeniem dziewczyny po ziemi.

- Rusz się! Póki jeszcze możesz! - warknęła cicho kobieta w czerwonym skórzanym uniformie.

Beata, której przerażenie dodało sił, podniosła się i pobiegła za kobietą, korzystając z tego, że tamci nie patrzą. Obie skoczyły do zagłębienia

osłoniętego wysoką trawą.

- Przestań beczeć! - rozkazała kobieta. - Milcz, bo nas złapią. Beata zmusiła się, by zamilknąć, ale nie mogła powstrzymać łez. Cały oddział wybito. Zabito wszystkich oprócz Estelle i Emmeline, a i je pojmano.

Fitch, ten głupi Fitch, dopiero co zginął, ratując jej życie.

- Jak nie będziesz cicho, to sama podetnę ci gardło. Dziewczyna zagryzła wargi. Do tej pory zawsze potrafiła się powstrzymać od płaczu. Bo jeszcze nigdy nie było tak okropnie.

- Przepraszam - chlipnęła.

- Właśnie ocaliłam twoje tłuste cielsko. W zamian mogłabyś się przynajmniej postarać, żeby nas nie złapano.

Kobieta patrzyła, jak ten z mieczem odjeżdża ku Fairfield. Klęła pod nosem.

- Czemuś mnie tylko odciągnęła? - spytała cierpko i gniewnie Beata. - Czemu nie próbowałaś dopaść choć kilku z nich?

Kobieta poruszyła dłonią.

- A kto według ciebie to zrobił? Kto chronił twoje tyły? Te twoje dziecinne żołnierzyki?

Dziewczyna rozejrzała się i dostrzegła to, co przedtem umknęło jej uwagi. Tu i ówdzie leżeli martwi żołnierze. Znów spojrzała w niebieskie oczy tamtej.

- Idiotka - burknęła kobieta.

- Zachowujesz się, jakby to była moja wina, jakbyś mnie nienawidziła.

- Bo jesteś głupia. - Wskazała gniewnie na rzeź. - Trzech żołnierzy rozbiło w pył twój posterunek i nawet się przy tym nie zasapali.

- Ale... oni nas zaskoczyli.

- Uważasz, że to zabawa? Nie jesteś nawet na tyle bystra, by się zorientować, że wyprowadzono cię w pole. Ci na górze napompowali cię bezpodstawną odwagą i wysłali tu, żebyś zginęła. To jasne jak światło dnia, a ty nawet tego nie dostrzegasz. Setka chłopców i dziewcząt takich jak ty nie powali jednego z tych ludzi. To oddziały Imperialnego Ładu.

- Ale jeżeli oni tylko...

- Myślisz, że wróg zastosuje się do twoich zasad? Prawdziwe życie już zabiło tych młodych ludzi, a mogę cię zapewnić, że martwe dziewczyny będą miały lepiej niż żywe.

Przerażenie odjęło Beacie mowę. Gniewny głos kobiety trochę złagodniał.

- To nie tylko twoja wina. Jesteś za młoda, żeby znać pewne realia życia, żeby zmądrzeć. Trudno oczekiwać, byś potrafiła odróżnić prawdę od kłamstwa. Tylko ci się wydaje, że to potrafisz.

- Czemu ci tak zależy na tym mieczu?

- Bo należy do lorda Rahla. Wysłał mnie po niego.

- Czemu mnie uratowałaś?

Tamta spojrzała na nią. W zimnych, osądających niebieskich oczach nie było ani odrobiny lęku.

- Pewnie dlatego, że i ja byłam kiedyś głupiutką małą dziewczuszką, którą pojмали źli ludzie.

- Co ci zrobili?

Kobieta uśmiechnęła się ponuro.

- Zrobili ze mnie to, czym jestem: Mord-Sith. Ty nie miałabyś tyle szczęścia. Ci tutaj ani w połowie nie są tak dobrzy w tym, co robią.

Beata nigdy przedtem nie słyszała o Mord-Sith. Ich uwagę przyciągnęły krzyki Estelle dobiegające z Dominie Dirtch.

- Muszę ruszyć tropem miecza. Uciekaj.

- Weź mnie ze sobą.

- Nie. Nie będzie z ciebie pożytku. Tylko byś mnie wstrzymywała.

Dziewczyna wiedziała, że to prawda.

- To co mam robić?

- Zabieraj stąd swój tyłek, zanim ci żołdacy się do niego dobiorą, albo będziesz więcej niż żałować.

- Błagam - Beata znów była bliska płaczu - pomóż mi uratować Estelle i Emmeline.

Kobieta zacisnęła usta, zastanawiała się przez chwilę.

- Tę tam - chłodno wskazała Estelle - odjeżdżając, pomogę ci uratować. A potem już same uciekajcie.

Dziewczyna widziała, jak żołnierz się śmieje, chwytając piersi Estelle, a ona stara się go odepchnąć. Dobrze wiedziała, jak to jest.

- Musimy też zabrać Emmeline. - Wskazała ku koszarom, do których zawlekli biedaczkę.

- Ma złamaną nogę. Nie możecie jej zabrać. Złapaliby was.

- Ale ona jest...

- Daj sobie z nią spokój. Co zamierzasz zrobić? Nieść ją? Przestań być głupim dzieciakiem. Myśl. Chcesz spróbować uciec z tą jedną czy wolisz dać się złapać, próbując ratować obie? Spiesz się. Decyduj.

Beata z trudem oddychała. Wolałaby nie słyszeć wrzasków dobiegających z koszar. Nie chciałyby się tam znaleźć z tymi żołnierzami. Zdążyła już jednego z nich pokosztować.

- Więc tę tutaj. Ruszajmy - powiedziała zdecydowanie.

- Znakomicie, dziecko.

Beata wiedziała, że kobieta specjalnie ją tak nazywa, żeby przywołać ją do porządku i ocalić jej życie.

- A teraz posłuchaj i zrób dokładnie to, co powiem. Nie jestem pewna, czy dasz radę, ale to twoja jedyna szansa.

Sierżant potaknęła, rozpaczliwie pragnąc uniknąć koszmaru.

- Wejdę tam i zdejmę tego żołnierza. Zadbam, żebyście miały przynajmniej dwa konie. Ty łap konie, a ja przyślę tu tę dziewczynkę. Weź ją na siodło za sobą i uciekajcie. Nie zatrzymujcie się w żadnym wypadku. - Kobieta wskazywała poza Dominie Dirtch, w głąb Dzikich. - Uciekajcie, byle dalej od Anderithu, w jakieś inne okolice Midlandów.

- Jak ich powstrzymasz przed dopadnięciem nas?

- A kto powiedział, że to zrobię? Łap konie, a potem uciekajcie. Mogę wam tylko dać szansę. - Mord-Sith uniosła palec przed twarzą Beaty. - Jeśli tamta z jakiegoś powodu nie zejdzie po schodach albo nie wsiądzie na konia, zostaw ją i uciekaj.

Odrętwiała ze strachu dziewczyna tylko skinęła głową. Pragnęła jedynie uciec. Nic innego jej nie obchodziło. Chciała ujsć z życiem. Złapała czerwony rękaw.

- Jestem Beata.

- I dobrze. Idziemy.

Kobieta poderwała się, biegła skulona. Beata za nią, naśladując ją we wszystkim. Mord-Sith znalazła się za stojącym im na drodze żołnierzem i zbiła go z nóg. Gdy tylko padł na plecy, jeszcze nim zdążył krzyknąć, rzuciła się na niego i uderzeniem łokcia zgmiotła mu tchawicę. Dwa kolejne szybkie ciosy uciszyły go.

- Jak to zrobiłaś? - spytała zdumiona Beata. Tamta pchnęła ją w gęstą

kępę trawy obok leżącego.

- Lata treningu w zabijaniu. To mój zawód. - Znów przyjrzała się Dominie Dirtch. - Leż tu, aż doliczysz do dziesięciu, a potem podążaj moim śladem. Nie licz za szybko.

Ruszyła biegiem, nie czekając na odpowiedź. Niektórzy wojownicy patrzyli na to ze zdumieniem, bo nie uciekała, lecz gnała prosto w środek ich grupy. Kobieta lawirowała wśród koni galopujących dokoła Dominie Dirtch. Jeźdźcy pokrzykiwali i gwizdali.

Żołnierz koło Beaty bulgotał krwią w zmiażdżonym nosie. Może topił się w swojej krwi, bo leżał na plecach.

Odwrócił się żołdak trzymający Estelle. Kobieta w czerwieni wyszarpnęła młot z uchwytów. Pękły, dodając siły uderzeniu. Młot uderzył gwałciciela w głowę i Beata, która właśnie doliczyła do dziesięciu, usłyszała trzask pękającej czaszki. Żołnierz przeleciał przez balustradę i wpadł pod kopyta galopujących wierzchowców.

Przerażona Beata podskoczyła i ruszyła biegiem.

Kobieta zamachnęła się potężnie i uderzyła w Dominie Dirtch.

Świat zadygotał od wibracji kamiennego dzwonu. Dźwięk był przytłaczający, zdawało się, że rozsadzi Beacie czaszkę i sprawi, że zęby wypadną jej z dziąseł.

Jeźdźcy przed dzwonem wrzasnęli. Ich konie kwiczały. Krzyki gwałtownie umilkły, kiedy zwierzęta i ludzie zamieniali się w krwawą masę. Pozostali nie mogli się w porę zatrzymać. Prześlizgiwali się i toczyli przez „linię” prosto w śmierć.

Beata biegła ile sił, choć wydawało się jej, że straszliwy dźwięk Dominie Dirtch rozrywa jej stawy.

Mord-Sith uderzeniami młota zwała żołnierzy z koni. Chwyła Estelle za ramię i właściwie zrzuciła ze schodów, kiedy Beata łapała wodze dwóch przerażonych koni.

Żołnierze imperatora byli oszołomieni i przerażeni. Nie mieli pojęcia, czy dzwon znów zabrzmi i ich również zabije. Beata złapała za ramię wystraszoną Estelle.

Kobieta w czerwieni skoczyła z balustrady prosto na plecy jeźdźcy. Wciąż jeszcze miała szyjkę stłuczonej czarnej buteleczki. Złapała żołnierza w pasie i wbiła mu odłamek szkła w oczy. Spadł z konia, wrzeszcząc.

Napastniczka przesunęła się do przodu w siodle i chwyciła wodze. Dotarła do zmęczonego wierzchowca, na którym się tu zjawiała, i porwała juki. Wściekłym krzykiem zmusiła zwierzę do galopu w stronę Fairfield.

- Na koń! - krzyknęła Beata do oszołomionej, przerażonej Estelle.

Anderyjka na szczęście pojęła, że ma okazję uciec i skorzystała z niej. Beata też dosiadła konia. Oba zwierzęta, oszołomione, kręciły się w kółko.

Żołnierze gonili kobietę w czerwieni. Beata nie jeździła konno, ale wiedziała, co musi zrobić. Uderzyła piętami w zebra wierzchowca. Estelle zrobiła to samo.

Obie - Anderyjka i Hakenka - uciekały, ratując życie.

- Gdzie jedziemy, sierzancie?- zawołała Estelle.

Dziewczyna nie miała pojęcia, w którą stronę mknie. Po prostu uciekała. Chciała się pozbyć munduru. To kolejny okrutny żart Bertranda Chanboora i nic poza tym.

- Nie jestem sierżantem! - odkrzyknęła z twarzą zalaną łzami. Jestem tylko głupią Beatą, idiotką jak i ty, Estelle.

Żałowała, iż nie podziękowała kobiecie w czerwieni za to, że uratowała im życie.

## ROZDZIAŁ 65

Dalton podniósł wzroki zobaczył, jak Hildemara wpływa do jego nowego gabinetu. Odziana była w szczerze odsłaniającą wdzięki suknię ze złocistego atłasu z białą obszywką - jakby ktokolwiek był zainteresowany tym, co miała do odsłonięcia.

Minister podniósł się i stanął za swoim nowym, wielkim biurkiem. Nawet nie marzył, że kiedyś będzie miał podobne.

- Hildemaro. Jak to miło, że mnie odwiedziłaś. Uśmiechnęła się i spojrzała na niego niczym pies popatrujący na pełną miskę. Obeszła biurko i stanęła blisko Campbella, opierając pośladki o skraj blatu, żeby patrzeć przyjacielsko na ministra.

- Wspaniale wyglądasz w tym stroju. Nowy? Pewnie tak - powiedziała, przesuwając palcem po haftowanym rękawie. - I w tym gabinecie też znakomicie się prezentujesz. Lepiej niż kiedykolwiek mój nicpoń mąż. Wniosłeś tu... klasę.

- Dziękuję, Hildemaro. Muszę powiedzieć, że i ty wyglądasz zachwycająco.

Uśmiechnęła się szerzej - nie był pewny, czy kpiąco, czy z radości. Nie kryła swojego podziwu dla niego, od kiedy stary Suveren tak nieoczekiwanie odszedł z tego świata. Z drugiej strony, Dalton Campbell znał ją na tyle dobrze, żeby nie dać się uśpić i nie odwracać do niej plecami, obrazowo mówiąc. Nigdy nie wiedział, czy jest serdeczna i przyjacielska, czy chowa za plecami siekiere. Na wszelki wypadek wciąż był czujny.

- Zliczane są głosy z miasta, a wracający żołnierze przynoszą wyniki.

Pomyślał, że teraz zna powód jej uśmiechu i wyniki głosowania. Ale wciąż jeszcze nie można było być ich pewnym.

- I jak zacni mieszkańcy Anderithu odpowiadają na zaproszenie lorda Rahla?

- Obawiam się, Daltonie, że lord Rahl ci nie dorównuje. Miał ochotę się uśmiechnąć.

- Naprawdę? A do jakiego stopnia jest to przekonujące? Jeżeli nie będzie to zdecydowane odrzucenie, lord Rahl może zechcieć narzucić nam swoją wolę. Poruszyła ramieniem.



- Ludzie z miasta, rzecz jasna, nie mają ochoty wierzyć lordowi Rahlowi. Siedmiu na dziesięciu postawiło krzyżyk.

Minister uniósł głowę, zamknął oczy i odetchnął z ulgą.

- Dziękuję, Hildemaro - powiedział z uśmiechem. - A reszta?

- Wyniki dopiero zaczęły spływać. Żołnierze potrzebują czasu, żeby tu dotrzeć...

- Ale jak dotąd? Jak to wygląda? Przesunęła palcem po blacie.

- Zdumiewająco. To go zmieszało.

- Zdumiewająco? Jak to? Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- W najgorszym wypadku trzy na cztery głosy na naszą korzyść. W niektórych miejscowościach nawet ośmiu i dziewięciu na dziesięciu głosujących dało lordowi Rahlowi krzyżyk.

Dalton Campbell przyłożył dłoń do piersi i drugi raz westchnął z ulgą.

- Spodziewałem się tego, lecz w takich sprawach nigdy nie można być pewnym.

- To wprost zdumiewające, Daltonie. Jesteś cudowny. - Uniosła otwarte dłonie. - I nawet nie musiałeś oszukiwać. Pomyśl tylko.

Minister aż zacisnął dłonie z ekscytacji.

- Dziękuję, Hildemaro, Dziękuję, że przyniosłaś mi te wieści. Zechciej mi wybaczyć, muszę pójść i powtórzyć to Teresie. Byłem taki zajęty, że przez ostatnie tygodnie mało ją widywałem. Ucieszą ją te wiadomości.

Chciał odejść, lecz Hildemara położyła mu dłoń na piersi. W jej uśmiechu znów było coś niebezpiecznego.

- Jestem pewna, że Teresa już wie.

- Któż by jej to powiedział przede mną? - Dalton zachmurzył się.

- Jestem przekonana, że Bertrand jej powiedział.

- Bertrand? A czemuż miałby powtarzać Teresie takie wiadomości?

Żona Suwerena uśmiechnęła się sztucznie.

- Och, sam dobrze wiesz, jak Bertrand pape, gdy jest między nogami kobiety, która go podnieca.

Minister zamarł. W głowie zabrzmiały mu alarmowe dzwonki. Zaczął sobie przypominać, jak często zostawiał Teresę samą, od kiedy Bertrand został Suwerenem, jakie wrażenie zrobił na jego żonie Suweren. Jak spędziła całą noc na modłach po spotkaniu ze starym Suwerenem. Przypomniał sobie jej lękliwy szacunek na wieść, że Bertrand zostaje Suwerenem.

Zmusił się do zaprzestania tych spekulacji. Takie domysły to podstępny wróg, który niszczy człowieka od środka. Hildemara, wiedząc, jaki był zajęty, chciała go zapewne przestraszyć lub wpędzić w kłopoty. To byłoby do niej podobne.

- To wcale nie jest zabawne, Hildemaro.

Oparła dłoń o biurko, pochyliła się ku Daltonowi i obwiodła mu twarz palcem drugiej ręki.

- Bo i nie miało być.

Campbell stał bez słowa. Próbował unikać niewłaściwego ruchu, dopóki nie dowie się, co się naprawdę dzieje. To wciąż mogła być jedna z jej głupich sztuczek, dzięki którym miał się rozgniewać na Tess. Pewnie myślała, że to go rzuci w jej ramiona. A może to tylko plotka, którą źle zrozumiała. Wiedział jednak, że Hildemara nie dostawałaby fałszywych wieści na taki temat. Miała swoje źródła, równie wiarygodne jak źródła Daltona.

- Nie powinnaś powtarzać oszczerczych plotek, Hildemaro.

- To nie plotka, mój drogi Daltonie. To fakt. Sama widziałam twoją zasnę żonę wychodzącą z jego sypialni.

- Znasz Teresę, lubi się modlić...

- Podśluchałam, jak Bertrand przechwalał się Steinowi, że ją miał.

- Co takiego?! - Dalton omal się nie cofnął. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Z tego, co mój mąż opowiadał Steinowi, wynika, że Teresa jest pozbawioną hamulców kurtyzaną i uwielbia być w jego łóżu bardzo niegrzeczną dziewczynką.

Campbell poczuł, że się czerwieni. Miał ochotę zabić Hildemarę. Musnął palcem ręką miecza i całkiem poważnie rozważał tę możliwość. W końcu zdołał się opanować, choć czuł, jak drżą pod nim kolana.

- Uważałam, że powinieneś o tym wiedzieć, Daltonie - dorzuciła. - Zasmuciło mnie to. Mój mąż sypia z twoją żoną, a ty nie masz o tym pojęcia. To mogłoby się stać... krępujące. Nie wiedząc o tym, mógłbyś się niechcący znaleźć w kłopotliwej sytuacji.

- Dlaczego, Hildemaro? - zdołał w końcu wyszeptać. - Dlaczego sprawia ci to aż taką przyjemność?

W jej uśmiechu pojawiła się prawdziwa rozkosz.

- Bo zawsze nienawidziłam twojej kołtuńskiej wyższości z powodu tych

waszych ślubów wierności. Tego twojego patrzenia z góry, bo uważałeś siebie i swoją żonę za lepszych od nas.

Minister powstrzymał się całą siłą woli. W razie kłopotów lub nagłej potrzeby zawsze potrafił wszystko chłodno przeanalizować, żeby znaleźć najlepsze rozwiązanie problemu, na jaki się natknął.

I teraz zrobił to bezlitośnie.

- Dziękuję za informację, Hildemaro. To istotnie mogłoby być kłopotliwe.

- Wyświadcz mi tę łaskę i nie dręcz się tym, Daltonie. Masz powody do wielkiego zadowolenia. Mówimy przecież o Suwerenie. W końcu oddawać żonę postaci tak czcigodnej i pełnej majestatu jak Suweren Anderithu to zaszczyt dla każdego mężczyzny. Będiesz tym bardziej kochany i poważany, bo twoja żona daje Suwerenowi wytchnienie od trudów piastowania wysokiego urzędu. Powinieneś o tym wiedzieć, Daltonie. W końcu to ty postawiłeś go na tym urzędzie, dzięki tobie jest przedstawicielem Stwórcy na tym świecie. Twoja żona jest zaś po prostu lojalną poddanką. - Zachichotała. - Bardzo lojalną, wnosząc z tego, co podsłuchałam. Któraż kobieta potrafiłaby jej dorównać. - Nachyliła się jeszcze bardziej i pocałowała go w ucho. - Ale chciałabym spróbować, drogi Daltonie. - Spojrzała mu w oczy i wyprostowała się. - Zawsze mnie fascynowałeś. Jesteś najbardziej podstępny i niebezpieczny ze znanych mi mężczyzn, a znałam prawdziwe cacka. - Odwróciła się ku niemu od drzwi. - Kiedy się z tym wreszcie pogodzisz, Daltonie, przekonasz się, że to nie ma znaczenia. Przekonasz się. A wtedy, jak sam mi powiedziałeś, do kogóż się zwrócisz, skoro twój ślub został złamany? Obiecałeś, pamiętaj.

Dalton Campbell stał samotnie w swoim gabinecie. Rozmyślał, co ma uczynić.

Kahlan wsparła się o barki Richarda, pochyliła i przytuliła policzek do jego ucha. Było przytulnie i miło, mimo że nie jej poświęcał uwagę. Pocałowała go w skroń.

- Jak praca?

Richard przeciągnął się i ziewnął. Teraz stanowili jedno.

- Ten człowiek miał poważne odchylenia od normy.

- To znaczy?

- Jeszcze sporo zostało do przetłumaczenia, ale zaczynam pojmować, co się stało. - Chłopak potarł oczy. - Przysłano go tutaj, żeby przepędził demony.

Natychmiast zbadał całą sprawę i dostrzegł proste rozwiązanie. Czarodzieje w wieży uznali, że jest natchnionym geniuszem, i powiedzieli mu to.

- Ależ musiał być dumny - stwierdziła Kahlan, najwyraźniej mając na myśli coś przeciwnego.

Richard zrozumiał jej sarkazm. Podzielał tę opinię.

- Masz rację, nie Joseph Ander. Nie napisał tego tutaj, ale to, co wcześniej przeczytałem, pozwoliło mi zrozumieć jego tok myślenia. Rozwiązanie tej sprawy nie napełniłoby Josepha Andera dumą. Wypełniłaby go pogarda dla tych, którym się nie powiodło.

- Czyli znalazł rozwiązanie. I co wtedy?

- Czarodzieje nakazali, żeby natychmiast się tym zajął. Najwyraźniej mieli z demonami problemy podobne do naszych i chcieli, by zagrożenie natychmiast ustało. On na to, że jeśli mieli tyle rozsądku, by wysłać go tu, żeby rozwiązał sprawę, to powinni przestać go pouczać, co ma robić.

- Niezbyt miły sposób traktowania swoich zwierzchników z Wieży Czarodzieja.

- Błagali go, żeby przepędził demony, bo ludzie umierają. Widać znali go na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, że lepiej mu nie grozić, a przynajmniej nie wtedy, kiedy mieli na głowie tę wojnę. Powiedzieli mu więc, żeby kierował się własnym rozumem, lecz żeby się łaskawie pospieszył z rozwiązaniem problemu, tak by ludziom już nic nie groziło. Ta wiadomość ucieszyła go bardziej niż poprzednia, lecz wykorzystał ją jako bat do pouczenia czarodziejów z wieży.

- W jakiej sprawie?

Richard przecesał włosy palcami. Trudno mu było ubrać w słowa to, o czym myślał Joseph Ander.

- Jeszcze dużo zostało do przetłumaczenia. Powoli to idzie, a nie sędzę, żeby ta książeczka zdradziła nam, jak przepędzić demony. Joseph Ander nie wpadł na to, żeby to zapisać.

Kahlan wyprostowała się i okrążyła go. Popatrzyła mu w twarz i skrzyżowała ramiona.

- No dobrze, Richardzie. Przecież cię znam. Czego nie chcesz mi powiedzieć?

Chłopak wstał, odwrócił się do niej plecami, przycisnął palce do skroni.

- Nie ufasz mi, Richardzie? Odwrócił się ku niej. Wziął ją za rękę.

- Nie, nie, to nie to. Po prostu... po prostu czasem nie wiem, gdzie kończy się prawda, a zaczyna szaleństwo Josepha Andera. To przekracza wszystko, o czym słyszałem, czego mnie uczono, co wiem o magii.

Teraz była naprawdę zaniepokojona. Domyślał się, że niefortunnie rozbudza jej obawy. Ale przecież nie *mógi* pozwolić, by osiągnęły poziom jego własnych lęków.

- Joseph Ander - zaczął - uważał, że jest lepszy od innych czarodziejów.

- To już wiemy.

- Tak, ale on mógł mieć rację.

- Co takiego?!

- Czasami w szaleństwie skrywa się geniusz. Nie wiem, Kahlan, gdzie wytyczyć linię graniczną. Brak wiedzy na temat magii to z jednej strony niedogodność, lecz z drugiej oznacza brak obciążenia z góry powziętymi sądami, co było udziałem czarodziejów z wieży, i dlatego mogą w jego słowach dostrzegać prawdę tam, gdzie oni jej nie widzieli. Bo Joseph Ander nie postrzegał magii jako zbioru zaleceń, no wiesz... szczypta czegoś, powtórz to słowo trzy razy i obróć się dokoła na lewej stopie i tak dalej. On widział w magii formę sztuki, sposób ekspresji.

Kahlan zmarszczyła czoło.

- Nie nadążam. Albo we właściwy sposób rzucasz czar i wtedy działa, albo nic z tego. Podobnie jak przywołuję moją moc dotknięciem. Kiedy wywołaliśmy demony, dopełniliśmy wyraźnie sprecyzowanych wymagań i tym je uwolniliśmy.

Wiedział, że przez swoje magiczne zdolności, wychowanie i naukę magii Kahlan będzie miała ten sam problem co czarodzieje z wieży. Richard poczuł ukłucie tej samej frustracji, którą musiał odczuwać Joseph Ander. I pod tym względem lepiej rozumiał Górę. Rozumiał leciutkie ukłucie frustracji jako reakcję na ludzi, którzy wmawiają ci twarde fakty o czymś, choć ty wiesz lepiej, a nie możesz sprawić, żeby dostrzegli leżące tuż przed nimi abstrakcyjne wyobrażenie większej całości.

I jak kiedyś Joseph Ander, Richard spróbował raz jeszcze.

- Tak, wiem i wcale nie twierdzę, że to nieprawda, ale on wierzył, że jest w tym coś więcej. Że magię można wznieść na wyższy poziom, ponad płaszczyznę, po której porusza się większość ludzi z darem.

Teraz już naprawdę się zachmurzyła.

- To szaleństwo, Richardzie.

- Nie, wcale tak nie uważam. - Podniósł książkę podrózną. - Tu jest odpowiedź na coś nie związanego z naszą sprawą, o co pytali. Powinnaś to usłyszeć, żeby zrozumieć sposób myślenia Josepha Andera. - I przeczytał najważniejszy fragment tłumaczenia. - „Czarodziej, który nie potrafi naprawdę niszczyć, nie potrafi też naprawdę tworzyć”. - Postukał palcem w książkę. - Mówił o czarodzieju takim jak obecni ludzie z darem, czarodzieju mającym wyłącznie dar magii addytywnej, jak Zedd. Ander nawet nie uznawał, że ktoś ma dar, jeśli ten ktoś nie miał daru obu magii. Uważał takiego kogoś za anomalie, za beznadziejnie upośledzonego. - Powrócił do książki podróźnej i czytał: - „Czarodziej powinien znać siebie, bo inaczej ryzykuje uprawianie chorej magii, która niszczy jego wolną wolę”. To jego słowa o twórczych aspektach magii, które wykraczają poza jej strukturę. „Magia intensyfikuje i koncentruje uczucia, nasila nie tylko te w rodzaju radości, ale również i te niszczycielskie, które przez to mogą się stać obsesjami, i to nie do wytrzymania, jeśli się ich nie uwolni”.

- Jakby się chciał usprawiedliwić, że był taki destrukcyjny - odezwała się Kahlan.

- Nie sędzę. Raczej dążył do czegoś ważnego, wyższego stanu równowagi.

Dziewczyna potrząsnęła głową. Najwyraźniej nie dostrzegła tego, co widział Richard, a on nie mógł wymyślić żadnego sposobu, żeby jej to ukazać, więc czytał dalej.

- To jest ważne. „To wyobraźnia tworzy wielkiego czarodzieja, bo dzięki niej potrafi on przekroczyć ograniczenia narzucane przez tradycję i wznieść się ponad strukturę tego, co akurat istnieje, do wyższej dziedziny tworzenia samej istoty magii”.

- To o tym przedtem mówiłeś? Że myślał o magii... jako o formie sztuki? Sposobie ekspresji? Jakby był samym Stwórcą i z nicości wysnuwał tkaninę magii?

- Otóż to. Ale posłuchaj tego. Uważam, że to może być najważniejsza rzecz, jaką Joseph Ander miał do powiedzenia. Kiedy demony przestały grasować, pozostali czarodzieje ostrożnie zapytali go, co zrobił. Z ich słów wyraźnie przebija niepokój. A oto zwięzła odpowiedź Andera na pytanie, co uczynił z demonami: „Grace może brać początek z pomysłowego zaklęcia”.

Kahlan rozmasowała ramiona, wyraźnie zdenerwowana odpowiedzią.

- A cóż to znaczy, na drodze duchy? Richard nachylił się ku niej.

- Uważam, że oznacza to, iż Góra coś sobie wymarzył: nową magię, poza parametrami oryginalnego zaklęcia, które sprowadziło demony na ten świat. Magię odpowiadającą tej sytuacji i jemu samemu. Innymi słowy mówiąc, Joseph Ander stał się twórczy.

Kahlan wodziła zielonymi oczami to tu, to tam. Wiedział, że rozważa głębie anomalii, z którą mieli do czynienia. W końcu to szalenie narzucił im demony.

- Świat się rozpada - wyszeptała do siebie - a ty mówisz, że Joseph Ander traktował magię jak formę sztuki?

- Powtarzam tylko to, co on sam napisał. - Richard wrócił do ostatniej strony. - Przejrzałem to dalej. Chciałem sprawdzić, co napisał na końcu czarodziejom. - Znów wpatrywał się w górnoctharańskie słowa, upewniając się co do tłumaczenia, i w końcu przeczytał tekst Josepha Andera: - „Na koniec doszedłem do wniosku, że powinienem odrzucić tak Stwórcę, jak i Opiekuna. W zamian stworzyłem własne rozwiązanie, moje ponowne narodziny i śmierć, i dzięki temu zawsze będę strzegł mego ludu. Żegnajcie więc, bo złożę mego ducha na wzburzonych wodach i stąd po wsze czasy będę strzec tego, co tak starannie i misternie wykonałem i co teraz jest zabezpieczone i nietknięte”. - Spojrzał na nią. - No i? Zrozumiałaś? - Stwierdził, że nie rozumie. - Nie sądzę, Kahlan, że przegnał demony, jak to miał zrobić. Uważam, że wykorzystał je do własnych celów. Zmarszczyła nos.

- Wykorzystał je? A do czego można wykorzystać demony?

- Dominie Dirtch.

- Co takiego?! - Ścisnęła palcami grzbiet nosa. - Więc w jaki sposób mogliśmy je mimowolnie przywołać, stosując się do precyzyjnie określonych wymagań? Przecież sam twierdziłeś, że Joseph Ander wzniósł się ponad taką sztywną strukturę.

Richard właśnie na to czekał.

- To sprawa równowagi. Nie rozumiesz? Magia musi być zrównoważona. Żeby zrobić coś kreatywnego, musiał to zrównoważyć czymś niekreatywnym, bardzo surową zasadą. To, że tak precyzyjnie określono warunki uwolnienia demonów, samo w sobie dowodzi kreatywności tego, co zrobił.

Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że się z *tym* nie zgadza, ale nie miała ochoty na dyskusję. Powiedziała tylko:

- No to jak przepędzimy demony? Richard potrząsnął głową. Tu doznał zawodu.

- Nie wiem. Obawiam się, że na to pytanie brak odpowiedzi. Joseph Ander tak samo zawiódł czarodziejów ze swoich czasów. W końcu uznali, że ta kraina jest dla nich stracona. Zaczynam wierzyć, że Góra stworzył niezniszczalną magię otoczoną zagadką nie do rozwiązania.

Kahlan wyjęła mu książkę z rąk, zamknęła ją i odłożyła na niewielki stolik.

- Richardzie, chyba i tobie trochę odbiera rozum, kiedy czytasz te górnolotne tyrady szaleńca. Magia nie tak działa.

To właśnie czarodzieje z Wieży Czarodzieja powiedzieli Anderowi, że nie zdoła przemienić i kontrolować z samej swej istoty nieposkromionego żywiołu. Jednak Richard nie powiedział tego Kahlan. Nie była przygotowana, by traktować magię w ten sposób.

Tamci czarodzieje też nie byli.

Joseph Ander wcale nie był zadowolony z tego, że tak pośpiesznie odrzucono jego pomysły, stąd jego ostateczne pożegnanie.

Kahlan objęła go za szyję.

- Przepraszam. Wiem, że się starasz, jak możesz. Po prostu staję się coraz bardziej nerwowa. Wyniki głosowania powinny wkrótce nadejść.

Richard objął ją w talii.

- Ludzie dostrzegą prawdę, Kahlan. Powinni. Odwróciła wzrok.

- Kochaj się ze mną, Richardzie - szepnęła.

- Słucham? Spojrzała mu w oczy.

- To już tak dawno. Kochaj się ze mną.

- Tutaj? Teraz?

- Możemy zawiązać wejście do namiotu. I tak nikt nie wejdzie, nie pytając najpierw o pozwolenie. - Uśmiechnęła się. - Obiecuję, że będę cicho i nie będziesz się czuł zażenowany. - Uniosła mu głowę. - Przysięgam, że nic nie powiem twojej drugiej żonie.

Uśmiechnął się, ale uśmiech szybko zniknął.

- Nie możemy, Kahlan.

- Ja bym mogła. Założę się, że i ciebie bym przekonała. Chłopak uniósł



maty ciemny kamyk z jej naszyjnika.

- Magia zanikła, Kahlan. To już nie pomoże.

- Wiem. I dlatego tego chcę. - Zaciśnięła dłonie na jego koszuli. - Nie dbam o to, Richardzie. I co z tego, że spłodzimy dziecko? I co z tego?

- Dobrze wiesz, „i co z tego”.

- Czy to byłoby takie złe, Richardzie? Naprawdę? - Łzy napływały do zielonych oczu. - Czy to byłoby aż takie okropne, gdybyśmy mieli dziecko?

- Nie, nie, jasne, że nie, Kahlan. To nie to. Wiesz, że tego chcę. Ale teraz nie możemy. Nie możemy w każdym cieniu widzieć Shoty gotowej zrealizować swą groźbę. Nie możemy sobie pozwolić na oderwanie uwagi od naszego obowiązku.

- Nasz obowiązek. A co z nami? Z tym, czego chcemy? Richard odwrócił się.

- Kahlan, naprawdę chciałabyś wydać dziecko na ten świat? W szaleństwo tego świata? Szaleństwo demonów i straszliwej, zagrażającej nam wojny?

- A gdybym odparła „tak”?

Odwrócił się ku niej i uśmiechnął. Widział, że tylko ją denerwuje. Cięża Du Chaillu pewnie budziła w Kahlan chęć posiadania własnego dziecka.

- Jeśli ty chcesz, Kahlan, to ja także. W porządku? Będziemy mieć dziecko, kiedy zechcesz, a ja już sobie poradzę z Shotą. Ale czy nie moglibyśmy choć trochę poczekać i przekonać się, czy w ogóle będzie świat istot żywych, a przynajmniej wolny świat, na który sprowadzilibyśmy nasze dziecko? Wreszcie się uśmiechnęła.

- Oczywiście. Masz rację, Richardzie. Chyba... chyba mnie poniosło. Musimy sobie poradzić z tymi demonami, no i jest też Imperialny Ład...

Richard przytulił ją na pocieszenie i wtedy właśnie rozległ się głos kapitana Meifferta.

- Widzisz? - szepnął do niej, a ona się uśmiechnęła.

- Wejdz, kapitanie.

Tamten wszedł z ociąganiem. Nie patrzył chłopakowi w oczy.

- O co chodzi, kapitanie?

- Ach, lordzie Rahlu, Matko Spowiedniczko... liczy się głosy w Fairfield. Niektórzy nasi ludzie już powrócili z wynikami. Ale nie wszyscy - dodał szybko. - Część jeszcze nie dojechała. Potrwa kilka dni, zanim wszyscy

wrócą.

- I jakie są wyniki, kapitanie?

Meiffert podał mu kawałek papieru. Richard przeczytał, ale chwilę potrwało, nim to do niego dotarło.

- Siedem na dziesięć przeciwko nam - wyszeptał. Kahlan łagodnie wyjęła mu z palców kartkę i spojrzała na nią. Bez słowa położyła papier na stoliku.

- W porządku - powiedział Richard. - Wiemy, że w mieście opowiadali te wszystkie kłamstwa. Powinniśmy pamiętać, że gdzie indziej będzie to wyglądało inaczej.

- Richardzie, oni pewnie rozsiewali te same kłamstwa po całej krainie - wyszeptała Kahlan.

- Przecież mówiliśmy do tych ludzi. Spędzaliśmy z nimi czas. - Popatrzył na kapitana Meifferta. - A co z głosami z innych miejscowości?

- Cóż...

- A... - Richard pstryknął palcami - Westbrook? Tam gdzie oglądaliśmy pamiątki po Josephie Anderze. A w Westbrook? Czy są już wyniki?

Żołnierz cofnął się o krok.

- Tak, lordzie Rahlu.

- No i jak?

Kahlan położyła dłoń na ramieniu chłopaka.

- Richardzie, kapitan jest po naszej stronie - szepnęła. Chłopak przycisnął palce do skroni, głęboko odetchnął.

- Jaki jest wynik z Westbrook, kapitanie? Tamten, dość blady, odchrząknął.

- Dziewięciu na dziesięciu skreśliło krzyżyk przeciwko nam, lordzie Rahlu.

Richard osłupiał. Mówił do tych ludzi. Pamiętał nazwiska niektórych, ich śliczne dzieciaki.

Wydawało się mu, że ziemia usunęła mu się spod stóp, że zapada się w szaleństwo. Był na nogach dzień i noc, starając się pomóc tym ludziom, żeby sami decydowali o swoim życiu, żeby byli wolni - a oni to odrzucili.

- Richardzie - rzekła delikatnie, współczująco Kahlan - to nie twoja wina. Powiedzieli tym ludziom wiele kłamstw. Wystraszyli ich.

Wykonał nieokreślony gest.

- Ale... mówiłem do nich, tłumaczyłem, że to dla nich, dla ich przyszłości,

dla wolności ich dzieci...

- Wiem, Richardzie.

Kapitan Meiffert stał obok, skrępowany. Kahlan gestem dała mu znak, że może odejść. Skłonił się i cicho wyszedł z namiotu.

- Idę się przejść - wyszeptał Richard. - Muszę być sam. - Machnął dłonią ku kocom. - Połóż się, nie czekaj na mnie.

I wyszedł samotnie w ciemność.

## ROZDZIAŁ 66

Oddalił kobietę ścierającą kurz z wymyślnych drewnianych ozdób, zamknął za nią drzwi i poszedł do sypialni. Teresa odwróciła się, słysząc, że wchodzi.

- Dalton. - Uśmiechnęła się. - Jesteś, kochanie.

- Tess.

Tysiące razy przemyślał całą sprawę i wreszcie doszedł do punktu, w którym mógł stanąć z żoną twarzą w twarz i panować nad sobą.

Musiał panować nad sobą.

Odwołał się do swojej najlepiej sprawdzonej metody załatwiania spraw. Tylko wtedy mógł być pewny, że zachowa samokontrolę. Poradzi sobie z tym, jak radził sobie z tyloma innymi rzeczami.

- Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

- Usłyszałem coś, Tess.

Siedziała przed lustrem i szczotkowała swoje wspaniałe włosy.

- Tak? Jakieś ciekawe wieści?

- Dość. Słyszałem, że byłeś w łóżu Suwerena. Czy to prawda? Wiedział, że tak. Pociągnął za każdą nitkę swojej pajęczyny. Przestała szczotkować włosy i spojrzała na niego w lustrze.

Jej twarz wyrażała mieszane uczucia. Przeważał bunt.

- To nie tak jak z innym mężczyzną, Daltonie. Jest Suwerenem. - Wstała i obróciła się ku mężowi, niepewna, jak zareaguje. - Stoi zaraz po Stwórcy.

- Wolno zapytać, jak do tego doszło?

- Bertrand powiedział, że Stwórca do niego przemówił. - Zapatrzyła się w dal. - Stwórca powiedział mu, że ponieważ byłam tobie wierna i ponieważ ty również byłeś mi wierny, zostałam wybrana przez Stwórcę do uwalniania Suwerena od doczesnych napięć. - Znów spojrzała na męża. - Sam więc widzisz, że to także nagroda dla ciebie, Daltonie. Za twoją wierność wobec mnie.

- Tak, pojmuję to. - Campbell zmusił się do odpowiedzi.

- Bertrand mówi, że to mój święty obowiązek.

- Święty obowiązek.

- Kiedy z nim jestem, to jak... sama nie wiem. To takie wyjątkowe.

Pomaganie Suwerenowi na tym świecie to i zaszczyt, i obowiązek. Pomagam mu uwolnić się od straszliwego napięcia wywoływanego pełnieniem funkcji Suwerena. Bycie Suwerenem, Daltonie, to straszliwa odpowiedzialność.

Campbell skinął głową.

- Masz rację.

Przekonała się, że się nie rozzłości i nie skrzywdzi jej, więc podeszła ku niemu.

- Wciąż kocham cię tak samo, Daltonie.

- Rad to słyszę, Tess. O to się najbardziej martwiłem. Bałem się, że utraciłem twoją miłość.

Złapała go za ramiona.

- Nie, głuptasie. Nigdy. Wciąż kocham cię tak samo. Ale przywołał mnie Suweren. Musisz to zrozumieć. On mnie potrzebuje.

Dalton przełknął ślinę.

- Oczywiście, kochanie. Ale czy... czy dalej możemy... czy możemy być razem w łóżu?

- Och, Daltonie, oczywiście, że możemy. To o to się martwiłeś? Że już nie będę mieć dla ciebie czasu? Kocham cię, Daltonie, i zawsze będę cię pragnąć.

- To dobrze. - Skinął głową. - To dobrze.

- Choć do łóża, skarbie, to się przekonasz. A może nawet uznasz, że teraz jestem bardziej podniecająca. Być z Suwerenem to wielki zaszczyt, Daltonie. Wszyscy będą cię jeszcze wyżej cenić.

- Na pewno masz rację.

- No to chodź do łóża. - Pocałowała go w policzek. - Pozwól mi zademonstrować, jak potrafię cię uszczęśliwić.

Minister podrapał się w czoło.

- Och, to byłoby wspaniałe i naprawdę chciałbym tego, ale mam jeszcze mnóstwo pilnej pracy. Głosy spływają...

- Wiem. Bertrand mi powiedział.

- Bertrand. Potaknęła.

- Suweren, głuptasie. Powiedział mi. Taka jestem z ciebie dumna, Daltonie. Wiem, że masz w tym swój udział. To nie tylko robota Bertranda. Wiem, że pomagałeś mu wygrać.

- Udział. To uprzejme ze strony Suwerena, że zauważył mój wkład pracy.

- Bardzo dobrze się o tobie wyraża, Daltonie.

- Miło mi to słyszeć. - Campbell odchrząknął. - Ach, Tess, muszę... muszę wracać do pracy. Mam pilne sprawy.

- Zaczekać na ciebie?

- Nie. Nie, kochanie. Muszę pojechać do Fairfield i zająć się pewnymi rzeczami.

- Dziś wieczorem?

- Tak.

- Nie powinieneś tak ciężko pracować, Daltonie. Obiecuj, że znajdziesz trochę czasu dla siebie. Obiecujesz? Martwię się o ciebie.

- Nie musisz. Nic mi nie jest.

Obdarzyła go swoim najintymniejszym uśmiechem.

- Obiecujesz, że znajdziesz czas, by się ze mną kochać? Minister uśmiechnął się.

- Oczywiście. Obiecuję. - Pocałował ją w policzek. - Dobranoc, kochanie.

Kobieta trzymająca fiolkę zachmurzyła się.

- Czyja cię znam?

- Nie - odparła Kahlan, tak odwracając twarz, żeby znalazła się w cieniu. - Nie możesz. Jestem z daleka. Tylko po to zjawiłam się w Fairfield.

Dziewczyna włożyła codzienną odzież, w której zwykle podróżowała, i owinęła głowę szalem, kryjąc długie włosy. Głowę owinęła, gdy była już daleko od obozu. Richard wyszedł i żołnierze nalegali, że będą jej towarzyszyć na tym spacerze „dla zaczerpnięcia powietrza”. Mało uprzejmie rozkazała, by wracali na posterunki i dali jej spokój. Takie rozkazy byłyby niczym dla Cary - Mord-Sith by ich nie posłuchała. Jednak żołnierze nie byli ani tak odważni, ani tak uparci i sprytni jak ich strażniczka.

Kobieta westchnęła.

- Rozumiem, moja droga. Wiele kobiet podróżuje z tego powodu.

Wyciągnęła ku dziewczynie zakorkowaną fiolkę, wyraźnie oczekując najpierw zapłaty. Kahlan dała jej złotego suwerena.

- Weź to. W zamian oczekuję twojego milczenia. Kobieta skłoniła głowę.

- Rozumiem. Dziękuję, kochanie. Bardzo jesteś hojna. Dziękuję.

Kahlan wzięła fiolkę, ułożyła ją we wnętrzu dłoni i patrzyła przez mętnawe szkło na przejrzysty płyn. Uświadomiła sobie, że drugą dłoń przyciska do brzucha. Opuściła rękę.

- Zachowa moc w nocy - odezwała się kobieta, wskazując na niekształtną

szklaną fiolkę - bo właśnie to dla ciebie sporządziłam. Możesz zażyć, kiedy chcesz, ale jeśli będziesz zwlekać do rana, to może się już okazać za słabe. Radziłabym, żebyś to zrobiła wieczorem, nim się położysz.

- Czy to będzie bolało? Tamta się zatroskała.

- Pewnie nie bardziej niż normalny okres, kochanie. To jeszcze takie wczesne. Będzie tylko krwawienie, więc się na to przygotuj.

Dziewczyna chciała zapytać, czy to nie zaboli dziecka. Nie mogła się jednak zmusić, żeby powtórzyć pytanie.

- Wypij wszystko - powiedziała kobieta. - Wcale nie ma takiego paskudnego smaku, ale przyda się to popić herbatą.

- Dziękuję.

Kahlan odwróciła się ku drzwiom.

- Zaczekaj - odezwała się kobieta. Podeszła i wzięła dziewczynę za rękę. - Tak mi przykro, kochanie. Jesteś jeszcze taka młoda, będziesz miała inne.

Kahlan coś sobie przypomniała.

- To nie zmniejszy mojej zdolności do...

- Nie, nie, kochanie. Ani trochę. Wszystko będzie w porządku.

- Dziękuję - powtórzyła Matka Spowiedniczka, zmierzając do drzwi. Nagle zapragnęła już wyjść z małego domku w ciemność. Chciała być sama, na wypadek gdyby się rozplakała.

Kobieta złapała Kahlan za ramię i odwróciła ją ku sobie.

- Zwykle nie pouczam młodych kobiet, bo jak do mnie przychodzą, to czas na pouczenia już dawno upłynął, lecz mam nadzieję, że wydałaś się za mąż, kochanie. Pomagam w razie potrzeby, ale wolałabym ci pomóc w urodzeniu dziecka niż w spędzaniu go. Naprawdę.

Kahlan skinęła głową.

- I ja tak uważam. Dziękuję.

Ulice Fairfield były ciemne, lecz ludzie wciąż jeszcze spieszyli w swoich sprawach. Dziewczyna wiedziała, że kiedy nadejdzie Imperialny Ład, życie mieszkańców Anderithu błyskawicznie ulegnie zmianie.

Jednak w tej chwili nie potrafiła się tym przejmować.

Postanowiła, że zrobi to, zanim wróci. Bała się, że Richard znajdzie fiolkę i będzie mu musiała wszystko tłumaczyć. On nigdy by jej na to nie pozwolił, ale skoro nie wiedział nic o jej stanie, udało się jej poznać jego prawdziwe odczucia i pragnienia.

Miał rację. Powinni się troszczyć o tych wszystkich ludzi. Nie mogli pozwolić, żeby ich prywatne sprawy wyrządziły innym krzywdę. Shota dotrzymałaby słowa, a wtedy nie mogliby wypełnić swoich obowiązków. To będzie najlepsze rozwiązanie.

W pewnym momencie zobaczyła nadjeżdżającego konno Daltona Campbella. Skręciła w mroczną uliczkę. Zawsze wydawał się jej rozsądny i rozważny. Kiedy ją mijał, pomyślała, że wygląda, jakby był w innym świecie. Ciekawa była, co robi w części miasta, która miała taką złą sławę. Oczekwała, aż odjedzie, i wróciła na główną ulicę.

Dotarła do drogi wiodącej ku posiadłości ministra, gdzie stacjonowali ich ludzie, kiedy dostrzegła w oddali blask księżyca na osłonie powozu. Upłynęłoby jeszcze trochę czasu, nim powolny ekwipaż dotarłby do niej, ale wołała już teraz zboczyć z drogi. Nie miała ochoty nikogo spotkać, a zwłaszcza kogoś, kto mógłby ją rozpoznać.

Weszła w pole pszenicy. Gardło miała tak ściśnięte, że z trudem oddychała. Łzy spływały jej po policzkach. W pewnej odległości od drogi osunęła się na kolana i rozplakała. Patrzyła na trzymaną w dłoni fiolkę, a blask księżyca odbijał się w szkłe. Jeszcze nigdy nie czuła się tak okropnie. Stłumiła płacz i szloch, upomniała się, że to dla ogólnego dobra. Tak. Była o tym przekonana.

Wyjęła korek i pozwoliła, żeby wysunął się jej z palców. Uniosła fiolkę, starając się patrzeć przez łzy. Przycisnęła drugą dłoń do brzucha z ich dzieckiem, jej dzieckiem, dzieckiem Richarda.

Połykając łzy, przysunęła fiolkę do ust. Znieruchomiła, czekając, aż zapanuje nad oddechem. Nie chciała wlewać do ust zawartości fiolki, nie mogąc jej potem połknąć.

Kahlan odsunęła naczynie od ust. Znów patrzyła na nie w księżycowej poświacie i myślała o wszystkim, co to oznaczało.

A potem odwróciła fiolkę i wylała płyn na ziemię.

Natychmiast poczuła ulgę, jakby ocaliła sobie życie i przywróciła światu nadzieję.

Kiedy wstała, łzy były już odległym wspomnieniem, obsychały na jej policzkach. Kahlan uśmiechała się z ulgą, z radością. Ich dziecko było bezpieczne.

Rzuciła w pole pustą fiolkę. I wtedy zobaczyła stojącego w pszenicy



człowieka. Przyglądał się jej. Znieruchomiła.

Ruszył ku niej zdecydowanie, szybko. Spojrzała w bok i zobaczyła innych - też się zbliżali. Nadchodzili również z tyłu. Młodzi, rudowłosi mężczyźni.

Nie czekała, aż sytuacja się pogorszy. Zareagowała instynktownie i biegiem ruszyła w stronę obozu. Nie próbowała przebiec pomiędzy mężczyznami, skierowała się wprost na jednego z nich. Przysiadł, rozstawił stopy, wyciągnął ramiona i czekał.

Kahlan podbiegła do niego i złapała go za ramię. Spojrzała mu w oczy i rozpoznała: był to posłaniec Rowley. W jednej chwili uwolniła swoją moc, czekając na szok, który go porazi.

Nic się nie stało i uświadomiła sobie, że to dlatego, iż demony zniszczyły magię. Sądziła, że czuje ją w sobie jak zawsze, lecz zniknęła.

I w tej samej chwili świadomości i niepowodzenia rozpoznała magię. Rozpoznała budzący dreszcz atak magii, niepokonaną falę wślizgującą się w nią jak żmija i równie śmiertelnością.

Szarpnęła do tyłu rękę, lecz wiedziała, że było już za późno. Podchodzili z obu stron, spokojniejsi, bo była już w ich mocy. Ci z tyłu biegli ku nim.

Chwyciła Rowleya i puściła go - trwało to jedną chwilkę. I wtedy podjęła jedyną możliwą decyzję. Mogła tylko walczyć lub zginąć.

Kopnęła tego po prawej w mostek. Poczowała, jak kość pęka pod obcasem. Padł, krztusząc się powietrzem. Uderzyła Rowleya kolanem w krocze. Wbiła palce w oczy temu po lewej.

Miała wolne przejście. Pomknęła, lecz wtedy ten z tyłu złapał ją za włosy i gwałtownie szarpnął do tyłu. Obróciła się i kopnęła go w bok, uderzała łokciami otaczających ją coraz ciasniej mężczyzn.

To były jej ostatnie razy. Złapali ją za ręce. Potężny cios trafił ją w brzuch. Natychmiast wyczuła, że zrobił jej coś okropnego. Cios w twarz, jeszcze jeden i straciła przytomność. Nie mogła złapać tchu. Nie wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół. Nie mogła oddychać. Usiłowała zakryć twarz, ale trzymali ją za ręce. Pięści tłukły ją po brzuchu, zachłystywała się powietrzem. Ciosy kołysały jej głowę. Próbowała połknąć zgromadzoną w ustach krew, nim ją zadławi. Słyszała, jak warczą niczym sfora psów, jak stękają z wysiłku, bijąc ją ile sił. Ogarnęła ją panika, poczucie bezradności.

Ciosy spadały jak grad. Zwiśla bezradnie. Ból był straszliwy.

Pochłonęła ją ciemność, niczym śmierć. A potem ból odpłynął w nicość i

otuliło ją miłosierne Światło.

Oszołomiony Richard szedł przez pole pszenicy zalanej blaskiem księżyca. Wszystko było takie okropne. Wydawało mu się, że tyle się na niego zważyło i przygniotło tak, że nie może oddychać. Nie miał pojęcia, co robić. Demony, Imperialny Ład - nic nie zmierzało ku dobremu.

A przecież wszyscy byli od niego zależni, czy sobie to uświadamiali czy też nie. Mieszkańcy Midlandów liczyli, że odeprze Imperialny Ład. D'Haranczyki wierzyli, że będzie im przewodził. Demony zagrażały każdemu i z dnia na dzień rosły w siłę.

Przybijała go świadomość, że choć tyle się napracował i tyle poświęcił dla mieszkańców Anderithu, oni odwrócili się od niego.

A najgorsze było, że on i Kahlan musieli to wszystko przełożyć nad dziecko. Chętnie zaryzykowałby gniew Shoty, gdyby Kahlan tego zechciała. Wiedział, jak groźne następstwa może spowodować ich dziecko, ale zamierzał walczyć o ich prawo do przyszłości. Jak jednak mogli się teraz martwić o dziecko, skoro i demony, i Imperialny Ład bezlitośnie brali we władanie cały świat? Dodawanie do tego jeszcze Shoty byłoby czystym szaleństwem. Kahlan też to rozumiała, lecz on pojmował, jak trudno było jej przez całe życie stawiać na pierwszym miejscu obowiązek.

Jeśli wszakże nie zrobią tego, co do nich należy, nie wypełnią swojego obowiązku, świat dostanie się pod despotyczne rządy Jaganga, a ludzie zmienią się w niewolników. O ile wcześniej nie zabiją ich demony. Przede wszystkim musieli powstrzymać demony, a potem zająć się resztą. A demony są tu przez niego. I on ma obowiązek je przepędzić.

Ale jeśli nawet domyśli się, co zrobił Joseph Ander, potem przyjdzie kolej na Jaganga, a dopiero później będą mogli pomyśleć o dziecku. Kahlan to rozumiała. Dziękował dobrym duchom za tę jedną dobrą rzecz w swoim życiu - za Kahlan.

Zdał sobie sprawę, że musi być blisko Fairfield. Powinien zawrócić. Kahlan będzie niespokojna. Tak długo go nie było. Nie chciał jej martwić. I tak miała dość strapiień. Miał nadzieję, że nie będzie się zadręczać, iż właśnie teraz nie może mieć dziecka.

Zawrócił i wydało mu się, że coś usłyszał. Przystanął i słuchał. Nie wiedział, od kiedy trwa ten hałas, bo nie zwracał uwagi na otoczenie, rozmyślając o rozwiązaniu ich problemów. Teraz przechylił głowę i

nasłuchiwał. To dziwnie przypominało głuche uderzenia.

Nie tracąc czasu na namysły, pobiegł ku źródłu dźwięków. Kiedy znalazł się bliżej, usłyszał stękających z wysiłku mężczyzn. Dyszeli, trudząc się nad czymś.

Wpadł na nich - na bandę oprychów bijących kogoś leżącego na ziemi. Złapał jednego za włosy i szarpnął do tyłu. Zobaczył zakrwawione ciało.

Tłukli tę biedną istotę na śmierć.

Richard rozpoznał tego, którego trzymał za włosy. To był jeden z posłańców. Rowley, pomyślał. Tak, tak właśnie się nazywał. Rowley miał dzikie, nieprzytomne oczy.

Posłaniec poznał go i rzucił mu się do gardła, krzycząc:

- Bierzcie go!

Richard otoczył drugim ramieniem szyję Rowleya, złapał go za brodę, pochylił do przodu, a potem szarpnął do tyłu, łamiąc mu kark. Mężczyzna bezwładnie osunął się na ziemię.

Przyskoczył do niego inny napastnik. Impet rozbiegu był jego największym błędem. Richard trzasnął go w twarz nasadą dłoni.

Uderzony jeszcze padał na Rowleya, a chłopak łapał już rude włosy następnego bandyty. Odciągnął go i kopnął od dołu kolaniem w podbródek. Złamał mu szczękę i tamten zatoczył się do tyłu.

Teraz już wszyscy się podnieśli i Richard uświadomił sobie, że wkrótce może dołączyć do zakrwawionego ciała na ziemi. Przewagę dawało mu to, że byli już zmęczeni wcześniejszymi wyczynami. Na ich korzyść działała przewaga liczebna i to, że byli żądni krwi.

Już mieli się rzucić na chłopaka, kiedy coś zobaczyli i rozbiegli się. Richard obrócił się - z mroków nocy wyłaniali się mistrzowie miecza Baka Tau Mana, ich klingi ze świstem cięły powietrze.

Uświadomił sobie, że musieli iść jego śladem, kiedy wyruszył na samotny spacer. Nawet nie wiedział, że byli w pobliżu. Ruszyli za bandą, a chłopak klęknął obok ciała leżącego w stratowanej pszenicy.

Już nie żyli, bez względu na to, kim byli.

Richard wstał i westchnął ze smutkiem. Patrzył na zniekształconą postać, która nie tak dawno była żywym człowiekiem. To musiał być straszliwy koniec. Gdybyż tak był bliżej, szybciej nadbiegł. Może zdołałby temu zapobiec. Odszedł, straciwszy nagle odwagę. Nie mógł patrzeć na

leżące w pobliżu okrwawione ciało.

Uszedł kilka kroków i nagle się zatrzymał. Odwrócił się i spojrzał. Skrzywił się, ale pomyślał: a gdyby tak był to ktoś mi bliski? Czy wówczas nie chciałbym, żeby ten, kto był tutaj, zrobił co w jego mocy? On jeden tu był i tylko on mógł pomóc, o ile zdoła. Należało spróbować - ta osoba już nie żyła, nie było nic do stracenia.

Podbiegł i klęknął przy ciele. Nawet nie mógł rozpoznać, czy to kobieta, czy też mężczyzna. Zobaczył spodnie i uznał, że mężczyzna. Podłożył dłoń pod kark ofiary i otarł ile mógł krew z obrzmiałych, popękanych warg. Przytknął do nich swe usta.

Przypomniawszy sobie, co Denna robiła, kiedy był bliski śmierci. Przypomniawszy sobie, jak Cara zrobiła to samo Du Chaillu.

Tchnął oddech życia w pozbawione go ciało. Cofnął usta i słuchał, jak powietrze uchodzi z warg ofiary. Tchnął jeszcze jeden oddech i następny, i kolejny, i kolejny.

Kłęczał obok ciała całe wieki, jak mu się zdawało, choć wiedział, że były to ledwie minuty, i wsączał w nie oddech życia. Wbrew wszystkiemu miał nadzieję, że biedna dusza jeszcze tu jest. Modlił się do dobrych duchów o pomoc.

Tak bardzo pragnął, by coś dobrego wyniknęło z jego doświadczeń, z tego, czego doznał z rąk Denny, Mord-Sith. Wiedział, że Denna chciałaby, żeby jej spuścizną było życie. Cara już sprowadziła z powrotem Du Chaillu, dowodząc, że Mord-Sith potrafi nie tylko odbierać życie.

Znów pomodlił się żarliwie do dobrych duchów, prosząc o pomoc, o to, by nie zabierały duszy tej osoby.

I życie powróciło.

Ktoś nadchodził. Richard podniósł wzrok - to wracali dwaj mistrzowie miecza. Nie musiał pytać, czy im się powiodło. Banda młodych ludzi już nikogo nie zamorduje.

Nadchodził ktoś jeszcze. Starszy mężczyzna w ciemnym odzieniu. Szedł spiesźnie, wylęknięty. Widok wstrząsnął nim.

- O, drogi Stwórco, byle nikt następny.

- Następny? - spytał Richard.

Mężczyzna ukląkł, zdawało się, że nie słyszał chłopaka. Podniósł okrwawioną rękę i przyłożył ją do swego policzka.

- Dzięki ci, Stwórco - wyszeptał. Spojrzał na Richarda. - Mam powóz. - Wskazał ręką. - O tam, na drodze. Pomóż mi zanieść tego biedaka do powozu i zawieziemy go do mojego domu.

- Dokąd? - spytał chłopak.

- Fairfield - odparł tamten, patrząc, jak mistrzowie miecza łagodnie i ostrożnie podnoszą nieprzytomnego, lecz oddychającego człowieka.

- Cóż, to chyba o wiele bliżej niż obóz moich żołnierzy - powiedział Richard, ocierając krew z warg.

Chciał pomóc tamtemu, lecz mężczyzna nie przyjął pomocnego ramienia.

- Czyżbyś był lordem Rahlem?

Richard skinął głową. Mężczyzna przystanął i uścisnął mu dłoń.

- To zaszczyt dla mnie, lordzie Rahlu, choć żałuję, żeśmy się poznali w takich okolicznościach. Nazywam się Edwin Winthrop.

Richard mocno uścisnął mu dłoń.

- Mistrzu Winthrop.

- Edwin wystarczy. - Winthrop złapał Richarda za ramiona. - To okropne, lordzie Rahlu. Moja ukochana żona, Claudine...

Wybuchnął płaczem. Richard delikatnie ujął go za ramiona, bojąc się, że Edwin upadnie.

- Moją ukochaną żonę Claudine zamordowano w ten sam sposób. Pobito na śmierć obok tej drogi.

- Tak mi przykro - powiedział chłopak, pojmując reakcję mężczyzny.

- Pozwól mi pomóc temu biedakowi. Nie było tu nikogo, kto zrobiłby dla mojej Claudine to, co ty dla tej osoby. Błagam, lordzie Rahlu, pozwól mi pomóc.

- Mam na imię Richard, Edwinie. Nikogo lepszego od ciebie do pomocy nie znajdę.

Chłopak patrzył, jak Jiaan i mistrzowie miecza ostrożnie układają nieprzytomną ofiarę w powozie.

- Chcę, by trzej z was pojechali z Edwinem. Nie wiemy, czy ten, co za to odpowiada, znowu nie spróbuje.

- Nie będzie raportu o ich niepowodzeniu - powiedział Jiaan.

- Prędej czy później się domyśła. - Richard spojrział na Edwina. - Nie wolno ci nikomu o tym wspomnieć, bo znajdziesz się w niebezpieczeństwie.

Mogą się zjawić, żeby dokończyć robotę.

Wsiadający do powozu Edwin potaknął.

- Mam starego przyjaciela, uzdrowiciela. Jemu mogę ufać. Richard i dwaj mistrzowie miecza bez słowa wracali pustą drogą do obozu. Wcześniej powiedzieli mu, że całkowicie ufają, iż przepędzi demony, które chciały zabić ich duchową przewodniczkę. Richard nie miał odwagi powiedzieć im, że jest od tego równie daleki, jak był wtedy.

Kiedy wrócił, większość obozu już spała. Nie był w nastroju do rozmów z oficerami czy wartownikami. Rozmyślał o Josephie Anderze i o demonach.

Kahlan nie było w namiocie. Pewno poszła do Du Chaillu. Duchowa przewodniczka zaczęła sobie cenić obecność Kahlan, pocieszenie i opiekę drugiej kobiety. Dziecko miało się narodzić lada dzień.

Richard wziął książkę podrózną Josepha Andera i lampę i poszedł do namiotu, w którym zwykle naradzali się oficerowie. Chciał pracować nad tłumaczeniem, lecz w namiocie, który dzielili, przeszkadzałby Kahlan spać. Gdyby pracował w ich namiocie, chciałyby przy nim posiedzieć. A nie było to potrzebne.

## ROZDZIAŁ 67

Richard właśnie biedził się nad skomplikowanym tłumaczeniem, próbując odnaleźć właściwe słowo w labiryncie możliwych znaczeń, kiedy do namiotu wśliznął się Jiaan. Żołnierze poprosiliby o pozwolenie, ale mistrzowie miecza uznali, że pozwolono im chodzić, gdzie chcą. Chłopakowi, znużonemu służbistością gwardzistów, bardzo to odpowiadało.

- Musisz pójść ze mną, *Caharin*. Du Chaillu mnie przysłała. Richard skoczył na równe nogi.

- Dziecko? Dziecko się rodzi? Wezmę Kahlan. Chodźmy.

- Nie - powstrzymał go Jiaan. - Nie twoje dziecko. Przysłała mnie po ciebie i powiedziała, żebyś przyszedł sam.

- Nie chce, żebym zabrał Kahlan?

- Nie, *Caharin*. Powinieneś zrobić, jak chce nasza duchowa przewodniczka, twoja żona.

Chłopak jeszcze nigdy nie widział takiego niepokoju w ciemnych oczach Jiaana. Mistrz miecza był zawsze równie twardy jak jego klinga. Richard gestem dał znak Jiaanowi, żeby prowadził.

Ku zdziwieniu chłopaka był już prawie świt. Pracował całą noc. Miał nadzieję, że Kahlan spała. Jeżeli już się przebudziła, będzie zła, że w ogóle nie wypoczął.

Jiaan miał dwa osiodłane konie. Richard był zdumiony. O ile Du Chaillu by mu tego nie nakazała, a to było wręcz nieprawdopodobne, mistrz miecza biegłby, a nie jechał konno.

- Co się dzieje? - Chłopak wskazał ku namiotowi duchowej przewodniczki. - Sądziłem, że Du Chaillu mnie potrzebuje.

Jiaan wskoczył na siodło.

- Jest w mieście.

- A cóż ona robi w Fairfield? Wątpię, czy to bezpieczne dla niej miejsce, zwłaszcza że nastawili wszystkich przeciw nam.

- Proszę, *Caharin*. Chodź ze mną, błagam, i to szybko. Richard wskoczył na konia.

- Jasne. Przepraszam, Jiaanie. Jedziemy.

Chłopak zaczynał się martwić, że Du Chaillu już wpadła w Fairfield w

tarapaty. Tamtejsi mieszkańcy wiedzieli, że towarzyszyła Richardowi i Kahlan. No i wiedzieli, że była żoną lorda Rahla.

Puścił konia galopem. Ogarnął go niepokój.

Otworzyły się drzwi stojącego wśród drzew domu. Wyrzwał Edwin. Richard, teraz już poważnie zaniepokojony, trochę się uspokoił. Pewnie osobie, którą uratowali, nie poprawiało się i chcieli, żeby ją zobaczył, nim umrze, bo to on tchnął w nią oddech życia.

Richard nie pojmował, co robi tutaj Du Chaillu, lecz podejrzewał, że czuła więź z tą osobą, bo i ją samą w ten sposób przywrócono do życia.

Edwin, zatroskany i wystraszony, poprowadził ich przez korytarze i pokoje dużego domu. Siedziba Winthrop'a była cicha, tchnęła pustką i smutkiem. Można się było tego spodziewać, pomyślał Richard, skoro zamordowano mu żonę.

Dotarli do pokoju przy końcu krótkiego, słabo oświetlonego korytarza. Drzwi były zamknięte. Jiaan delikatnie zapukał i odszedł z przygnębionym gospodarzem.

Edwin jeszcze tylko chwycił Richarda za rękaw i powiedział:

- Gdybyś czegokolwiek potrzebował, Richardzie, to jestem tutaj.

Chłopak skinął głową i mężczyzna pozwolił się odciągnąć Jiaanowi. Drzwi się uchyliły. Wyrzała Du Chaillu. Kiedy zobaczyła, że to Richard, wyszła, oparła mu rękę o pierś i odepchnęła go. Zamknęła za sobą drzwi. Nie cofnęła dłoni z piersi chłopaka.

- Musisz mnie wysłuchać, Richardzie. Musisz mnie wysłuchać bardzo uważnie i nie szaleć.

- Szaleć? A z jakiego powodu?

- To poważna sprawa, Richardzie. Musisz mnie wysłuchać i zrobić, co powiem. Obiecuj.

Richard poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Kiwnął głową.

- Obiecuję, Du Chaillu. O co chodzi?

Podeszła bliżej. Wciąż trzymała dłoń na jego piersi, drugą położyła mu na ramieniu.

- Ta osoba, którą znalazłeś, Richardzie... to Kahlan.

- To niemożliwe. Poznałbym Kahlan. Oczy duchowej przewodniczki były pełne łez.

- Richardzie, nie wiem, czy ona wyżyje. Sprowadziłeś ją z powrotem, ale



nie wiem, czy... Chciałam, żebyś przyszedł.

Trudno mu było oddychać.

- Ale... - Nie potrafił myśleć. - Ale wiedziałbym, Du Chaillu. Musisz się mylić. Wiedziałbym, że to ona.

Kobieta ścisnęła mu ramię.

- Sama nie wiedziałam, dopóki nie oczyściliśmy trochę... Richard rzucił się ku drzwiom, lecz Du Chaillu go odepchnęła.

- Obiecałeś. Obiecałeś mnie wysłuchać.

Ledwo ją słyszał. Nie mógł myśleć. Cały czas widział to okrwawione, pokiereszowane ciało leżące na polu pszenicy. Nie potrafił uwierzyć, że to była Kahlan.

Przeczesał włosy palcami. Usiłował wydobyć z siebie głos.

- Du Chaillu, proszę, nie rób mi tego. Nie rób mi tego, proszę. Potrząsnęła jego ramieniem.

- Musisz być silny, bo inaczej ona nie ma szans. Nie złość się na mnie, proszę.

- Czego potrzebujesz? Powiedz. Powiedz, Du Chaillu. - Po twarzy chłopaka płynęły łzy. - Powiedz, czego potrzebujesz.

- Chcę, żebyś mnie wysłuchał. Słuchasz?

Skinął głową. Nie bardzo wiedział, o co pytała, ale potaknął. W jego umyśle kłębiły się myśli. Może ją uleczyć. Ma magiczną moc.

Leczenie to magia addytywna.

Demony ukradły całą magię addytywną.

Du Chaillu znów nim potrząsnęła.

- Richardzie.

- Przepraszam. Co? Słucham.

Nie mogła dłużej patrzeć mu w oczy.

- Straciła dziecko. Richard zamrugał.

- Więc się mylisz. To nie może być Kahlan.

Duchowa przewodniczka patrzyła w podłogę. Głęboko odetchnęła.

- Kahlan była w ciąży. Powiedziała mi o tym, jak byliśmy w tej miejscowości, gdzie czytałeś książki tego jakiegoś Andera.

- W Westbrook? Potaknęła.

- Tam. Powiedziała mi o tym, zanim pojechaliście nad górskie jezioro. Kazała mi obiecać, że ci nie powiem. Stwierdziła tylko, że to długa historia.

Uważam, że teraz mogłam złamać tę obietnicę. Straciła dziecko.

Richard osunął się na podłogę. Du Chaillu tuliła go, a on łkał niepoohamowanie.

- Rozumiem twoje cierpienie, Richardzie, ale to jej nie pomoże.

Chłopak zmusił się do zachowania spokoju. Oparł się o ścianę, oszołomiony i otępiały, i czekał, aż Du Chaillu powie mu, co ma zrobić.

- Musisz powstrzymać demony.

Skoczył na równe nogi.

- Co?!

- Mógłbyś ją uleczyć, gdybyś miał swoją magię. Wszystko stało się jasne. Musi powstrzymać demony. To wszystko. Powstrzymać demony, a potem uleczyć Kahlan.

- Richardzie, kiedy byliśmy w tej miejscowości, gdzie Kahlan powiedziała mi o dziecku... - Słowo „dziecko” na nowo go ukuło. Uświadomił sobie, że Kahlan miała mieć dziecko, że on o tym nie wiedział, a teraz jego dziecko już nie żyje. - ...Westbrook... Słuchaj, co mówię, Richardzie. Kiedy tam byliśmy, ludzie opowiadali, że nadszedł okropny wichur, deszcz i ogień i zniszczyły niemal wszystko, co należało do tego człowieka.

- Tak. Uważam, że to były demony.

- One go nienawidzą. Musisz znaleźć w sercu taką samą nienawiść do demonów, żeby je przepędzić. Wtedy odzyskasz magię i ulecysz Kahlan.

Chłopak gwałtownie rozmyślał. Demony nienawidziły Josepha Andera. Dlaczego? Nie dlatego, że je odesłał, bo tego nie zrobił. Za to uczynił z demonów niewolników, którzy mieli mu służyć. Dominie Dirtch miały jakiś związek z tym, co zrobił.

Kiedy Richard i Kahlan uwolnili demony, bestie zemściły się, niszcząc część pamiątek po nim. Ale dlaczego rzeczy w Westbrook, a nie te w bibliotece w posiadłości ministra?

W głowie Richarda rozbrzmiały słowa Josepha Andera: „Na koniec doszedłem do wniosku, że powinienem odrzucić tak Stwórcę, jaki Opiekuna. W zamian stworzyłem własne rozwiązanie, moje ponowne narodziny i śmierć, i dzięki temu zawsze będę strzegł mego ludu. Żegnajcie więc, bo złożę mego ducha na wzburzonych wodach i stąd po wsze czasy będę strzec tego, co tak starannie i misternie wykonałem i co teraz jest zabezpieczone i nietknięte”.

Wzburzone wody.

Richard nareszcie pojął, co zrobił Joseph Ander.

- Muszę iść, Du Chaillu. Muszę iść. - Złapał ją za ramiona. - Utrzymaj ją przy życiu, błagam, dopóki nie wrócę. Musisz!

- Zrobimy co w naszej mocy, Richardzie. Jako żona daję ci na to moje słowo.

- Edwinie!

Winthrop nadszedł z głębi korytarza.

- Tak, Richardzie? Co mogę zrobić? Powiedz tylko.

- Możesz ukryć tutaj tych ludzi? Moją żonę... - Chłopak musiał przełknąć ślinę, żeby się opanować. - Możesz tu zatrzymać Kahlan? I Du Chaillu z jej pięcioma ludźmi?

Mężczyzna zamaszystym gestem wskazał dom.

- To duży dom. Mnóstwo tu pokoi. Nikt nie będzie wiedział, kto tutaj jest. Mam niewielu przyjaciół, lecz powierzyłbym im życie.

Richard uściskał mu dłoń.

- Dziękuję, Edwinie. W zamian poproszę, żebyś opuścił swój dom, gdy już wrócę.

- Co? Dlaczego?

- Nadciąga Imperialny Ład.

- Czyż nie zamierzasz ich powstrzymać? Lord Rahl wyrzucił w górę ramiona.

- Jak? A co więcej, niby dlaczego? Tutejsi ludzie odrzucili szansę, którą im dałem. Edwinie, oni zamordowali twoją żonę tak, jak próbowali zamordować moją. A ty chciałbyś, żebym ryzykował życie porządnych ludzi, by ratować ich wygodne istnienie?

Edwin zapadł się w siebie.

- Nie, chyba nie. Ale są wśród nas tacy, którzy byli po twojej stronie, Richardzie. Próbowaliśmy.

- Wiem. I dlatego cię ostrzegam. Powiedz swoim przyjaciołom, żeby stąd wyjechali, póki jeszcze mogą. Dzisiaj odsyłam moich żołnierzy. Imperialny Ład będzie tu za jakieś dwa tygodnie.

- Jak długo cię nie będzie?

- Może dziesięć dni, najwyżej dziesięć dni. Muszę się dostać na pustkowie nad doliną Nareef.

- Paskudne miejsce. Chłopak przytaknął.
  - Nawet nie wiesz jak.
  - Zatrzymamy się o Matkę Spowiedniczkę.
  - Masz baryłki, Edwinie? Tamten się trochę zdziwił.
  - Tak, w piwnicy.
  - Napełnij je wodą. Zgromadź żywność. Za kilka dni woda i rośliny mogą być niezdrowe.
  - Dlaczego tak by się miało stać? Richard zgrzytnął zębami.
  - Jagang idzie tu po żywność. Poczuję go choć bólami brzucha.
  - Richardzie - powiedziała cicho Du Chaillu, patrząc mu w oczy - czy... czy chciałbyś ją zobaczyć, zanim odjedziesz?
- Richard zebrał się w sobie.
- Tak.

Chłopak galopował całą drogę powrotną do obozu. Wiedział, że dostanie tam wypoczętego konia, więc nie oszczędzał biednego zwierzęcia. Kiedy się zjawił, stwierdził, że kapitan Meiffert postawił oddziały w stan pogotowia. Warty były podwojone i ustawione w większej odległości od obozu niż zwykle. Bez wątpienia usłyszeli od Baka Tau Mana, że coś się wydarzyło.

Richard miał nadzieję, że kapitan nie zapyta o Kahlan. Nie sądził, że zdoła nad sobą zapanować, gdyby mu przyszło o niej opowiadać, opisywać, jak wyglądała w tym łożu.

Z trudem ją rozpoznał, choć już wiedział, że to ona.

To był straszliwy widok. Złamał mu serce. Jeszcze nigdy nie czuł się taki samotny, nie zaznał takiego bólu.

Nie załamywał się, zmuszał się do myślenia o czekającym go zadaniu. Jeśli chciał pomóc Kahlan, musiał wyrzucić ją z myśli. Wiedział, że to niemożliwe, ale starał się myśleć tylko o Josephie Anderze i o tym, co należy uczynić.

Musi potrafić ją uleczyć. Zrobi wszystko, byle ulżyć jej cierpieniu. Na szczęście była nieprzytomna.

Richard uważał, że wie, co zrobił Joseph Ander, lecz nie miał bladego pojęcia, jak mógłby to zneutralizować. Obliczył, że podróż do tego miejsca zajmie mu kilka dni, więc uznał, iż przez ten czas nad tym pomyśli.

Wciąż dysponował subtraktywną częścią swojej mocy. Korzystał z niej wcześniej i trochę to pojmował. Nathan, Prorok i przodek Richarda,

powiedział mu kiedyś, że jego dar różni się od daru innych czarodziejów, bo chłopak jest czarodziejem wojny. Moc Richarda ujawniała się w razie potrzeby. Przywoływał ją gniew.

A teraz był w naglącej potrzebie.

Jego gniewu zaś wystarczyłoby na dziesięciu czarodziejów.

Uderzyła go pewna myśl: tak właśnie Joseph Ander pisał o tym, co uczynił. Stworzył to, czego potrzebował. Richard zastanawiał się, jak ten przebłysk zrozumienia mógłby mu pomóc.

Zeskoczył z konia, a kapitan Meiffert uderzył pięścią w skórzany pancerz nad sercem.

- Potrzebny mi wypoczęty koń, kapitanie. A najlepiej trzy. Muszę wyjechać. - Przycisnął palce do czoła, starał się spokojnie myśleć. - Każ żołnierzom pakować się i odejść stąd, gdy tylko reszta wróci z głosowania. Chcę, żebyście stąd odeszli.

- Dokąd idziemy, lordzie Rahlu, o ile wolno spytać?

- Ty i żołnierze wracacie do generała Reibischa. Ja z wami nie idę.

Kapitan poszedł za Richardem, który chciał zabrać rzeczy Kahlan i swoje. Po drodze wydał rozkazy kilku podwładnym, wołając o wypoczęte wierzchowce i prowiant dla lorda Rahla. Chłopak powiedział jednemu z gwardzistów, że potrzebne mu najlepsze konie, bo czeka go trudna podróż. Wojak pobiegł się tym zająć.

Kapitan czekał na zewnątrz, a Richard wszedł do namiotu, żeby wszystko spakować. Zaczął zbierać ich rzeczy. Kiedy podniósł białą suknię Matki Spowiedniczki, ręce zaczęły mu drżeć i osunął się na kolana, przytłoczony cierpieniem.

Modlił się, błagając dobre duchy żarliwiej niż kiedykolwiek, by mu pomogły. W zamian obiecywał im, co tylko zechcą. Przypomniawszy sobie, że jedyną rzeczą, jaką powinien zrobić, by móc uleczyć Kahlan, jest przepędzenie demonów. Zaczął pospiesznie kończyć pakowanie.

Na zewnątrz czekały konie. Dopiero zaczynało świtać.

- Chcę, kapitanie, byś jak najszybciej wrócił ze swymi ludźmi do generała Reibischa.

- A Dominie Dirtch? Wnosząc z raportów o anderyjskich oddziałach specjalnych, możemy mieć kłopoty. Będziemy bezpieczni, mijając Dominie Dirtch?

- Nie. Na podstawie raportów podejrzewam, że te specjalne oddziały to żołnierze Imperialnego Ładu. Jestem zdania, że przejmą Dominie Dirtch, by trzymać w szachu Reibischa. Od tej chwili przebywacie na wrogim terytorium. Macie rozkaz stąd uciec. Jeśli ktokolwiek spróbuje was zatrzymać, to go zabijcie i nie przerywajcie marszu. Jeżeli, jak przypuszczam, Ład przejął Dominie Dirtch, to możemy wykorzystać ich jedyny słaby punkt: będą zbyt rozproszeni, żeby stawić ci opór. Przyjmij, że Imperialny Ład obstawia Dominie Dirtch. Przebij się przez ich linię szarżę konnicy. Skoro mają Dominie Dirtch, to pewnie nie będą stawiać silnego oporu, sądząc, że was zabiją, kiedy już przejedziecie.

Kapitan był zaniepokojony.

- Więc... uważasz, że wtedy już zniszczysz ten kamienny oręż, lordzie Rahlu? Zneutralizujesz jego magię?

- Mam taką nadzieję. Ale może mi się to nie udać. Chcę, na wszelki wypadek, żebyście wszyscy zatkali sobie uszy woskiem i przędzą lub płótnem. Zatkajcie je mocno, żebyście nic nie słyszeli, dopóki nie znikniecie za horyzontem.

- Uważasz, że to nas ochroni?

- Tak.

Richard sądził, że pojął sposób działania Dominie Dirtch. Du Chaillu powiedziała im, że kiedy się topiła, słyszała kuranty śmierci. Joseph Ander mógł potrzebować sposobu kontrolowania i skupiania w określonym miejscu śmiertelnej mocy demonów. Przekazał im odpowiedź za pomocą tego, co stworzył.

- Dominie Dirtch to dzwony. Są dzwonami z konkretnego powodu: żeby je słyszano. Jeśli nie będziecie ich słyszeć, to nic się wam nie stanie.

Żołnierz odchrząknął.

- Nie chcę kwestionować twojej wiedzy w sprawach magii, lordzie Rahlu, ale jak można w tak prosty sposób pokonać broń o tak destrukcyjnej mocy?

- Wydaje mi się, że już kiedyś tak się stało. Że Hakeni, którzy najechali niegdyś Anderyjczyków, musieli wpaść na ten sam pomysł co ja i dlatego zdołali przejść granicę.

- Ale, lordzie Rahlu...

- Jestem magią przeciwko magii, kapitanie. Zaufaj mi. To się powiedzie. Ja ufam, że ty jesteś stałą, ty zaufaj mi w sprawach magii.

- Tak jest, lordzie Rahlu.

- A potem prosto do Reibischa. To ważne. Przekaż mu, że chcę, by się wycofał.

- Co? Masz już sposób na przekroczenie linii Dominie Dirtch i nie chcesz, żeby z niego skorzystał?

- Dominie Dirtch zostaną zniszczone. Nie zostawię ich Jagangowi, żeby mógł się za nimi ukryć, lecz nie chcę też, by nasze wojska się tu zjawily. Jagang także tu zmierza, po żywność dla swojej armii. Mam nadzieję, że zniszczę trochę tej żywności. Przekaż generałowi, że ma bronić dróg prowadzących do Midlandów. Tu, na równinach, nie ma szans wobec przewagi liczebnej Ładu. Lepiej mu się powiedzie powstrzymanie Jaganga przed wejściem w głąb Midlandów, jeśli jego wojska będą walczyły naszymi metodami, a nie metodami imperatora.

- Tak jest, panie. Mądra rada.

- Pewnie, bo to rada generała Reibischa. Mam też nadzieję zmniejszyć liczebność Ładu. Powiedz generałowi, żeby zachował ostrożność.

- A co z tobą, lordzie Rahlu? Gdzie cię znajdzie?

- Powiedz mu, żeby martwił się o swoich żołnierzy, a nie o mnie. Ja... nie mam pojęcia, gdzie będę. Reibisch wie, co robić. Dlatego mianowali go generałem. Będzie wiedział lepiej ode mnie, jak walczyć.

- Tak jest, panie. Generał to dobry żołnierz. Richard uniósł palec, podkreślając wagę swoich słów.

- To bardzo ważne. Chcę, żebyście ty i Reibisch wykonali ten rozkaz. Mieszkańcy Anderithu dokonali wyboru. Nie chcę, żeby choć jeden z naszych żołnierzy dobył broni, by im pomóc. Nie chcę, żeby choć jeden z naszych żołnierzy przelał krew dla tych ludzi. Zrozumiano? Ani jeden!

Kapitan zbladł. Cofnął się o pół kroku.

- Ani. Jedna. Kropla. Naszej. Krwi - powiedział Richard.

- Tak jest, panie. Dokładnie powtórzę generałowi twoje słowa.

- Moje rozkazy. - Chłopak wskoczył na siodło. - Tak ma być. Jesteście zacnymi ludźmi, kapitanie Meiffert. I chcę, żebyście pewnego dnia wrócili do rodzin, a nie umierali na darmo.

Kapitan zsalutował, kładąc pięść na sercu.

- I my szczerze tego pragniemy, lordzie Rahlu.

Richard oddał honory. Ostatni raz wyjechał stępa z obozu, żeby wypełnić

swój najważniejszy obowiązek.



## ROZDZIAŁ 68

- Kochanie, już jestem! - zawołał Dalton w stronę sypialni.

Przysłał butelkę wina i ulubione danie Teresy: młodziutkie króliczki duszone w czerwonym winnym sosie. Mistrz Drummond był zachwycony, że może zatrzymać stanowisko, spełniając to niezwykle życzenie.

Komnaty oświetlały pachnące świece, kotary były zaciągnięte, służba odesłana.

Pan i pani chcieli być sami.

Teresa powitała go w drzwiach sypialni kielichem wina i uśmiechem.

- Tak się cieszę, kochanie, że tego wieczoru wcześniej wróciłeś. Cały dzień na to czekałam.

- Ja również. - Przywołał swój najlepszy uśmiech. Spojrzała na niego szelmowsko.

- Czekam też, żeby ci udowodnić, jak bardzo cię kocham, i podziękować ci, że tak wyrozumiale potraktowałeś moje obowiązki wobec Suwerena.

Minister zsunął jej z ramion srebrzysty strój, całował nagie ciało. Chichotała, kiedy całował szyję. Czyniła słabe wysiłki, żeby spowolnić jego awanse.

Pochyliła głowę ku jego twarzy.

- Napiłbyś się nieco wina, Daltonie?

- Chcę ciebie - zamruczał. - To już tak dawno.

- Wiem, Daltonie. Tak za tobą tęskniłam.

- Więc to udowodnij - prowokował ją. Znów zachichotała pod jego pocałunkami.

- Co też w ciebie wstąpiło, Daltonie? - jęknęła. - Bardzo mi się to podoba.

- Jutro też wzięłam wolny dzień, Tess. Chcę się z tobą kochać całą noc i cały dzień.

Odpowiadała na jego pieszczoty, kiedy prowadził ją ku wielkiemu łóżu z kolumnkami z kutego żelaza, które wyglądały jak kolumny przed Urzędem Spraw Duchowych i Przyjaźni. Ku łóżu, które należało do Ministra Spraw Duchowych, jak zresztą wszystko w tym wspaniałym apartamencie.

Niegdyś cały ten splendor sprawiłby mu ogromną przyjemność. Radość z tego, czego dokonał, z tego, co zdobył, jak wysoko zaszedł.

- Proszę nie bądź zawiedziony, Daltonie. Bertrand oczekuje mnie jutro. Campbell wzruszył ramionami i delikatnie położył Tess na łożu.

- Cóż, mamy noc i poranek. Dobrze? Rozpromieniła się.

- Oczywiście, kochanie. Noc i poranek. Och, Daltonie, tak się cieszę, że rozumiesz, iż Suveren mnie potrzebuje.

- Oczywiście, że rozumiem, kochanie. Może pomyślisz, że to dziwne, ale mnie to... w pewien sposób podnieca.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się występnie. - Podoba mi się to. Twoje podniecenie.

Patrzyła, jak rozpina jej szatę i całuje piersi. Przerwał, żeby złapać oddech.

- Świadomość, że sam Suveren wybrał moją żonę, moją piękną Tess, i to na dodatek dzięki poleceniu Stwórcy, to największe szczęście dla lojalnego Anderyjczyka.

- Daltonie - powiedziała, pozbawiona tchu przez jego pocałunki i pieśszoty - jeszcze nigdy taki nie byłeś. - Przyciągnęła go do siebie. - Podoba mi się to. Ogromnie. Chodź, pozwól mi pokazać, jak bardzo. - Cofnęła się, zanim zaczęła. - Bertrand też był zadowolony, Daltonie. Powiedział, że podoba mu się twoja postawa. I że jego również to podnieca.

- Wszyscy potrzebujemy Suverena, żeby nas prowadził w przyszłość i przynosił nam słowa Stwórcy. Rad jestem, że pomagasz Suverenowi rozładować napięcia takiego życia.

Była już bardzo podniecona.

- Tak, Daltonie, pomagam. Naprawdę. To takie... boja wiem, takie cudowne, być tak wysoko powołaną.

- Może byś mi o tym opowiedziała, skarbie, gdy będziemy się kochać. Chętnie to usłyszę.

- Och, jak się cieszę, Daltonie.

Po czasie spędzonym z Tess Dalton pozwolił sobie na kilka dni odpoczynku. Kiedyś uznałby to przeżycie za szczytowy punkt swojego życia. Kiedyś byłoby to źródło radości.

Teraz jednak musiał sobie odmówić Tess, żeby stanąć na wysokości zadania, jakie go czekało.

Korytarz przed jej pokojami i biurami był pusty. Bertrand przebywał w przeciwległym skrzydle, z Teresą, pozbywając się napięć, jakie wywoływała

jego wysoka funkcja. Dalton upewnił się, że Teresa na pewno będzie teraz z Bertrandem. Myśl o tym pozwoli mu skupić się na czekającym go zadaniu.

Suweren i jego żona zadbali, by się jak najrzadziej spotykać. Pomagały im w tym apartamenty położone w przeciwnych skrzydłach.

Czasami jednak go odwiedzała. Ich głośne awantury stały się już legendarne wśród służby. Pewnego dnia Bertrand zarobił ranę na oku. Zwykle uchylał się przed tym, czym w niego rzucała, lecz tym razem go zaskoczyła.

Częściowo ze względu na jej popularność, lecz głównie z powodu jej niebezpiecznych powiązań Suweren nie ośmielał się jej sprzeciwić lub z nią skończyć. Ostrzegła go, by miał nadzieję, że jego żona nie umrze nagłą naturalną śmiercią - lub mniej naturalną - bo wtedy i on nie pożyje długo.

Takiej groźby Bertrand nie lekceważył. Zazwyczaj starał się unikać żony. Czasami jednak brała górę skłonność do ryzyka i pozwalał sobie na szalone komentarze lub w inny sposób stawiał ją w kłopotliwej sytuacji. Wtedy go szukała. Nie miało znaczenia, gdzie akurat był - w łóżu, w wygodce czy na spotkaniu z bogatymi stronnikami. Zwykle unikał kłopotów, zachowując ostrożność, niekiedy jednak ją prowokował.

Taki związek trwał całymi latami i dał im córkę, o którą żadne nie dbało. Dalton zobaczył dziewczynę dopiero niedawno, kiedy sprowadzono ją ze szkoły z internatem, żeby stała u ich boku podczas publicznych przemów opisujących okropieństwa ohydneho lorda Rahla i Matki Spowiedniczki.

Teraz lud odrzucił lorda Rahla. Teraz Matka Spowiedniczka była... cóż, nie był pewny, co się z nią stało, ale miał podstawy sądzić, że była martwa. Kosztowało to Daltona kilku dobrych ludzi, ale wojna zawsze wiąże się ze stratami. W razie potrzeby zastąpi ich innymi.

Serin Rajak też umarł na okropne zakażenie, które zmieniło jego twarz ślepeca w cuchnącą masę, ale Dalton nie powiedziałby, że go to zmartwiło. Pograżeni w żałobie poplecznicy fanatyka donieśli, że była to długa i bolesna śmierć. Nie, Daltona to wcale nie zmartwiło.

Hildemara osobiście otworzyła drzwi. Dobry znak, pomyślał.

Jej suknia ukazywała jeszcze więcej niż zwykle. Kolejny dobry znak, uznał, bo wiedziała, że przyjdzie.

- Jak miło, Daltonie, że zapytałeś, czy możesz mnie odwiedzić. Ciekawa byłam, jak sobie radzisz, i uważam, że ta rozmowa dawno mi się należała.

Jak sobie radzisz od czasu, kiedy się dowiedziałeś, że twoja żona służy naszemu Suwerenowi? Wzruszył ramionami.

- Znalazłem sposób, żeby sobie z tym poradzić. Hildemara uśmiechnęła się jak kot na widok myszy.

- Ach... więc te wdzięczne talenty?

- Żeby ci podziękować. Za... Mogę wejść?

Szerzej otworzyła drzwi. Wszedł, rozejrzał się po całym tym nieokielznanym przepychu. Nigdy przedtem nie był w prywatnych apartamentach Suwerena i jego żony. Teresa, rzecz jasna, była z tym oswojona i opisała mu owe komnaty - a przynajmniej komnaty Bertranda - bardzo szczegółowo.

- O czym to mówiłeś? O dziękowaniu? Dalton splótł dłonie za plecami.

- Za otwarcie mi oczu. - Wskazał za siebie i uśmiechnął się. - I twoich drzwi.

Uśmiechnęła się uprzejmie.

- Czasami otwieram drzwi przystojnym mężczyznom. Uważam, że to... niekiedy satysfakcjonujące przeżycie.

Podszedł do niej, ujął jej dłoń i całował, patrząc w oczy. Zdawało mu się, iż to patetyczny, nieco wymuszony akt, lecz ona zareagowała tak, jakby uważała, że było to szczere, jakby uradowała ją ta oznaka szacunku.

Dalton wybadał jej upodobania. Uzyskał to za cenę wszelkich należnych mu przysług, kilku wyraźnych gróźb, a nawet jednego mianowania na stanowisko. Za to teraz wiedział, co Hildemara lubi, a czego nie. Wiedział, że nie znosi agresywnych kochanków. Wolą, żeby byli mało doświadczeni i pełni uwagi. Lubiała, gdy traktowano ją z najwyższą rewerencją. Uwielbiała, jak się przed nią płaszczono. Podchodził do tej wizyty jak do wymyślnej uczyty z precyzyjnie zaplanowanymi daniami wiodącymi ku najważniejszej atrakcji. Dzięki temu, dzięki dokładnemu planowi, łatwiej mu było to przeprowadzić.

- Boję się zachować zbyt śmiało wobec kobiety o twoim statusie, lecz muszę być szczery.

Podeszła do stołu inkrustowanego złotem i srebrem. Wzięła ze srebrnej tacy kryształową karafkę i naląła sobie kieliszek rumu. Jemu też naląła, nie pytając o zgodę, i podała mu z uśmiechem.

- Ależ, Daltonie. Tak długo się znamy. Nic nie sprawi mi większej

przyjemności niż twoja szczerść. W końcu ja bylam wobec ciebie szczerza w sprawie twojej żony.

- Tak - odparł. - Istotnie, bylaś.

Upila rumu, oparla rękę na ramieniu Campbella.

- I wciąż się tym zamartwiasz? A może zdołałeś już spojrzeć w twarz rzeczywistości?

- Muszę przyznać, Hildemaro, że byłem... samotny, bo żona tak często jest... zajęta. Nigdy się nie spodziewałem, że moja żona stanie się taka niedostępna.

Zacmokała ze współczuciem.

- Kochane biedactwo. Wiem, co czujesz. Mój mąż też jest często zajęty.

Dalton odwrócił się, jakby był zażenowany.

- Skoro moją żonę nie wiążą już nasze przysięgi, to przekonałem się... że mam pragnienia, których ona nie potrafi zaspokoić. Wstyd mi to wyznać, bo nie mam doświadczenia w tych sprawach. Większość mężczyzn, jak przypuszczam, uznalaby to za coś naturalnego. Ja nie.

Stanęła tuż za nim, przysunęła usta do jego ucha.

- Mów dalej, Daltonie. Słucham. Nie wstydź się. Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Odwrócił się ku niej, dając jej okazję pokazania dekoltu, bo uważała, że wszystkim bardzo się on podoba.

- Skoro mojej żony nie wiąże już złożona kiedyś przysięga, bo przyzwał ją do siebie Suveren, to nie widzę powodu, żebym czuł się związany moim ślubem. Zwłaszcza że mam... swoje pragnienia.

- Oczywiście, nie ma powodu.

- A ty powiedziałaś mi kiedyś, że najpierw powinienem przyjść do ciebie, jeśli coś zmieni się w sprawie moich przysięg. Hmm, jeśli wciąż cię to interesuje, to sprawy się zmieniły.

W odpowiedzi pocałowała go. Stwierdził, że to o wiele mniej odpychające, niż się obawiał. A gdy zamknął oczy, mógł nawet czerpać z tego pewną przyjemność.

Trochę się jednak zdziwił, kiedy od razu przeszła do sedna. Nie miało to jednak zbyt dużego wpływu na ostateczne efekty. Skoro chciała od razu przejść do rzeczy, to nie miał nic przeciwko temu.

## ROZDZIAŁ 69

Pogórze nad doliną Nareef było równie odpychającą okolicą, jak Richard słyszał. Rozciągało się przed nim ponure pustkowienie. Wył wicher, wzbijając tumany kurzu.

Spodziewał się, że Joseph Ander wybierze takie właśnie miejsce.

Góry otaczające jezioro były równie martwe jak jego wody. Urwiste, brunatne, pozbawione śladów życia, o pokrytych śniegiem szczytach. Po stokach spływały tysiące strumyczków błyszczących w blasku słońca jak kły.

Z posępnym pustkowiem ostro kontrastowała zieleń roślin paka, które wyglądały niemal jak lilie wodne rosnące w rozległym, otoczonym górami jeziorze.

Richard zostawił konie dużo niżej i wspiał się po wąskiej, wydeptanej ścieżynie prowadzącej ku jezioru. Wierzchowce uwiązał luźno i zdjął im uprząż, żeby mogły uciec, gdyby nie udało mu się wrócić.

Tylko jedno pchało go naprzód - miłość do Kahlan. Musiał przepędzić demony, bo tylko wtedy zdołają uleczyć. To był najważniejszy cel w życiu. Stał teraz na jałowym gruncie przy zatrutych wodach. Wiedział, co ma zrobić. Musiał odwrócić czyn Josepha Andera.

Nie było klucza do zagadki demonów, nie było odpowiedzi. Nie było czekającego na odkrycie rozwiązania. Joseph Ander nie zostawił żadnego spojenia w gobelinie swojej magii.

Richard mógł jedynie zrobić to, czego Góra nigdy by się nie spodziewał. Chłopak poznał go na tyle, że rozumiał jego sposób myślenia. Wiedział, w co Ander wierzył i jakich prób spodziewał się po ludziach. Nie mógł zrobić żadnej z tych rzeczy i oczekiwać, że mu się powiedzie. Powinien zrobić to, do czego Joseph Ander naganiał czarodziejów, lecz czego ci nie potrafili dostrzec.

Pozostawała mu nadzieja, że zdoła doprowadzić sprawę do końca. Jechał wytrwale cały dzień, zmieniając konie, żeby zdołały tu dotrzeć i jeszcze zabrać go z powrotem. A nocą prowadził je, póki sam mógł się utrzymać na nogach.

Był wyczerpany i mógł tylko mieć nadzieję, że wytrzyma dostatecznie długo. Dostatecznie długo dla Kahlan.

Ze zdobionej złotem skórzanej sakiewki wiszącej przy pasie nabrał białego piasku czarnoksiężnika. I zaczął nim precyzyjnie rysować Grace. Zaczynając od promieni symbolizujących dar, narysował symbol dokładnie odwrotnie, niż Zedd go uczył. Stał w środku, kreśląc promienie daru do wnętrza, ku sobie. Potem wyznaczył gwiazdę symbolizującą Stwórcę, później krąg życia i czworokąt zasłony, a na końcu zewnętrzny krąg, początek zaświatów.

To wyobraźnia tworzy wielkiego czarodzieja, twierdził Joseph Ander, bo tylko czarodziej z wyobraźnią potrafi wznieść się ponad ograniczenia tradycji.

Grace może brać początek z pomysłowego zaklęcia.

Richard zamierzał osiągnąć jeszcze więcej.

Stojąc pośrodku Grace, uniósł pięści ku niebu.

- Reechani! Sentrosi! Vasi! Przyzywam was!

Wiedział, czego potrzebowały. Joseph Ander mu powiedział.

- Reechani! Sentrosi! Vasi! Przyzywam was i ofiarowuję wam moją duszę!

Powiał wiatr i powierzchnia zmarszczyła się. Woda poruszała się ze świadomym zamiarem. Wiejący od jeziora wiatr przemienił się w kłęby płomieni.

Nadchodziły.

Richard, przepelniony gniewem i pchany nagłą potrzebą, opuścił ramiona i skierował pięści ku brzegowi, w miejsce, w którym jezioro spływało ze skalnego występu do doliny Nareef. Skupił w tym jednym miejscu całe swoje ja.

Przez gniew i palącą potrzebę przywołał subtraktywną część swojej mocy, tę od najmroczniejszych spraw, od zaświatów, od mroków w czarnej wieczności piekła.

Buchnęła czarna błyskawica, a tryskające z obu pięści strzały splotły się w jedną - w linię ryczącego unicestwienia kierowanego przez jego pragnienie, linię wzbudzaną i wzmaganą przez gniew.

Skraj górskiego jeziora gwałtownie wybuchł. Skąła poniżej rozpadła się pod dotknięciem czarnej błyskawicy, trysnął słup pary i kamiennych odłamków. W jednej chwili zniknął dolny brzeg jeziora. Wymazała go destrukcyjna moc magii subtraktywnej.

Jezioro zaczęło się opróżniać, towarzyszył temu grzmot zlewających się wód.

Woda pieniała się i spadała z urwiska. Skraj pokrywała gęsta piana. Rośliny paka wirowały z prądem spływającej wody, wyrwane z dna jeziora. Rozległe zlewisko zatrutej wody waliło w dół.

Idący od jeziora wiatr, ogień i pieniaca się woda były coraz bliżej, zwalniały bieg. To była sama istota demonów, występująca w ich imieniu.

- Do mnie! - rozkazał Richard. - Ofiarowuję wam moją duszę. Demony zaczęły się zbliżać, a on wziął coś innego z sakwy przy pasie.

I wtedy powietrze zaśniło tuż nad opadającą wodą, która odsłaniała błotniste dno zatrutego jeziora. Coś zaczęło się tworzyć. Przybierać kształt w świecie życia.

Zacząła się pojawiać postać falująca wraz z powietrzem nad powierzchnią wód. Postać w długiej szacie. Starzec z dymu i migotliwego blasku. Cierpiąca postać.

Richard znów wyrzucił w górę pięści.

- Reechani! Sentrosi! Vasi! Do mnie!

I przyszły. Krążyła wokół niego sama kwintesencja śmierci. Stał w samym środku wiru śmierci; to było niemal więcej, niż mógł znieść. Czegoś tak odrażającego nie doświadczył nigdy w życiu.

Demony nawoływały go kusząco z innego świata. Richard im na to pozwolił. Odpowiadał uśmiechem na ich wezwania.

Pozwolił im przyjść, tym złodziejom dusz.

A potem uniósł ramię i wskazał.

- Wasz pan.

Okrażające go demony zawyły z wściekłości. Rozpoznały tego, który pojawiał się przed nimi.

- Oto on, niewolnicy. Wasz pan.

- Kto mnie wzywa? - dobiegło znad wody wołanie.

- Richard Rahl, potomek Alrica. Jam jest ten, który się zjawił, aby być twoim panem, Josephie Anderze.

- Odnalazłeś mnie w moim sanktuarium. Jesteś pierwszy. Pochwalam cię.

- A ja cię odsyłam, Josephie Anderze, na twoje miejsce w zaświatach, dokąd wszyscy muszą odejść, kiedy upłynie dany im tutaj czas.



Nad jeziorem rozbrzmiał śmiech.

- Znalezienie mnie to jedno, a niepokojenie to drugie. Rozkazywanie mi zaś to coś całkowicie innego. Nie masz mocy, która by ci na to pozwalała. Nawet nie potrafisz pojąć, co stworzyłem.

- Wprost przeciwnie! - odkrzyknął Richard przez huk spadającej wody. - Usłysz mnie, wodo! Powietrze, zobacz, co ci ukazuję! Ogniu, zbadaj tego prawdziwość!

Wokół niego krążyły i wirowały demony, niepewne, co chce im ofiarować.

Richard znów go wskazał.

- Oto wasz pan, który nakazał wam spełniać swoje rozkazy. To jego dusza, wam przeznaczona.

Twarz postaci Josepha Andera pociemniała od troski.

- Co czynisz? Co, według ciebie, tym osiągniesz?

- Prawdę, Josephie Anderze. Obedrę cię z fałszu istnienia. Richard uniósł dłoń i otworzył ją ku Josephowi Anderowi. Otworzył dłoń z tym, co zapewniało równowagę: z czarnym piaskiem czarnoksiężnika. Pozwolił, by między nimi rozpięła się czarna błyskawica. - Oto on, Reechani. Usłysz go. Oto on, Vasi. Zobacz go. Oto on, Sentrosi. Wycuj go przez moje dotknięcie.

Joseph Ander próbował odpowiedzieć swoją magią, lecz sam zesłał się do innego, stworzonego przez siebie świata. Nie mógł przekroczyć tej pustki. Richard zaś przywołał go i mógł dosięgnąć.

- Teraz, moje demony, wybór należy do was. Moja dusza albo jego. Dusza człowieka, który nie chciał oddać swego ducha zaświatom. Który nie chciał odejść do waszego pana w zaświatach, lecz stał się waszym panem na tym świecie i przez cały ten czas miał was jako niewolników. Albo moja dusza: człowieka stojącego pośrodku Grace. Mogę was ściągnąć tu, do siebie, i będziecie mi służyć na tym świecie tak, jak służyłyście jemu. Wybierajcie więc: zemsta lub ponowna niewola.

- Kłamie! - zawołał duch Josepha Andera.

Wirujące wokół Richarda demony dokonały wyboru. Dostrzegły prawdę, którą im ukazał. Pomknęły mostem, który stworzył, próżnią w świecie życia.

Ich gwałtowność sprawiła, że świat zadrżał.

Za mostem - z wyciem wściekłości mogącej pochodzić wyłącznie z domeny śmierci - pochwyciły duszę Josepha Andera i zabrały ją ze sobą do

świata, z którego tu przybyły. Zabrały go do domu.

Przez trwającą wieczność chwilę zasłona pomiędzy światami była otwarta. W tej chwili zetknęły się życie i śmierć. W nagłej ciszy, która potem nastąpiła, Richard wyciągnął przed siebie ramiona. Znowu był harmonijną całością. Uznał, że to nadzwyczajne.

Uświadomił sobie, czego dokonał. Stworzył magię. Naprawił to, co zepsuł Joseph Ander.

Teraz musiał wracać do Kahlan, o ile wciąż jeszcze żyła. Odpędził tę myśl. Musiała żyć.

Zedd zachłysnął się powietrzem i otworzył oczy. Było ciemno. Poruszył rękami i wyczuł skalne ściany. Chwiejnie poszedł naprzód, ku światłu. Ku dźwiękowi.

Uświadomił sobie, że znowu jest w swoim ciele. Już nie był krukiem. Nie pojmował, jak to się mogło stać. A jednak tak było. Spojrzał na ręce. Nie pióra, ręce.

Dusza wróciła do ciała.

Upadł na kolana, szlochając z ulgi. Utrata duszy przekraczała wszystko, czego mógł się spodziewać. A spodziewał się najgorszego.

Nie mając duszy, potrafił się wcielić w kruka. Trochę się rozchmurzył. Czegoś takiego wcześniej nie doświadczył. Żaden czarodziej przed nim nie zdołał się wcielić w zwierzę. I pomyśleć, że trzeba było tylko oddać duszę.

Uznał, że jeden raz zupełnie wystarczy.

Poszedł ku światłu, ku grzmotowi wody. Przypomniał sobie, gdzie jest. Dotarł na skraj skały, skoczył do wody i popłynął ku przeciwległemu brzegowi.

Wydostał się na brzeg. Odruchowo przesunął dłonią po szatach, żeby je osuszyć.

I wtedy zdał sobie sprawę, że jego moc wróciła. Odzyskał siły, odzyskał dar.

Usłyszał coś i podniósł głowę. Spider trącała go łbem.

Zedd z uśmiechem pogłaskał miękki, przyjacielski nos.

- Spider, malutka. Miło cię widzieć, przyjaciółko. Miło cię widzieć.

Klacz zarżała na znak, że i ona się cieszy.

Czarodziej znalazł siodło i uprząż tam, gdzie je zostawił. Z radością przykrył grzbiet Spider derką, położył siodło. Ją też to bawiło. Była dobrym

wierzchowcem, wesołą kłaczą.

Odwrócił się, bo z góry dobiegł go jakiś dźwięk. Coś spadało ze stoku. Woda. Jezioro z jakiegoś powodu ruszyło. Spływało w dół.

Wskoczył na Spider.

- Czas stąd znikać, mała. Klacz posłuchała go.

Dalton Campbell właśnie wrócił do gabinetu, kiedy usłyszał, że ktoś za nim wchodzi. To był Stein. Kiedy tamten odwrócił się, żeby zamknąć drzwi, minister spojrział na dolny skraj peleryny i zobaczył doszyty skalp. Podszedł do bocznego stolika i nalał sobie szklankę wody. Było mu gorąco i trochę kręciło mu się w głowie. Cóż, należało się tego spodziewać.

- Czego chcesz, Stein?

- To zwykłe towarzyskie odwiedziny.

- Ach - powiedział Dalton. Napił się.

- Ładniutki nowy gabinet zdobyłeś.

Miło tu było. Wszystko było wspaniałe. Jediną rzeczą z dawnego gabinetu był srebrny stojak w kształcie zwoju. Lubił ten stojak na miecz i zabrał go ze sobą. Dotknął palcami rękojeści tkwiącego w nim oręża.

- Zasłużyłeś na to - powiedział Stein. - Z całą pewnością. Dużo zyskałeś. Dla siebie i swojej żony.

- Nowy miecz, Stein? Trochę zbyt ładniutki jak na twój gust, powiedziałbym.

Tamten wydawał się zadowolony, że Dalton zauważył broń.

- To tutaj - odparł, wysuwając klingę odrobinę z pochwy kciukiem zaczepionym o jelec - to Miecz Prawdy. Prawdziwy miecz Poszukiwacza.

Daltona wzburzył fakt, że ten oręż dostał się komuś takiemu jak Stein.

- A skąd go masz i po co?

- Przywiózł mi go jeden z moich żołnierzy. I sporo kłopotów.

- Naprawdę? - Dalton Campbell udał zainteresowanie.

- Kiedy wieźli do mnie miecz, złapali Mord-Sith. Prawdziwy Miecz Prawdy i prawdziwa Mord-Sith. Pomyśl tylko.

- Odniosłeś sukces. Imperator będzie zadowolony.

- Będzie, kiedy oddam mu miecz. Twoje wieści też go uradowały. Pokonanie lorda Rahla to wspaniałe osiągnięcie. Już niedługo będą tu nasze wojska i złapiemy go. A znalazłeś już Matkę Spowiedniczkę?

- Nie. - Dalton znów łyknął wody. - Ale wątpię, czy ma jakąś szansę, skoro

Siostra Penthea rzuciła ten czar. Pięści moich ludzi wskazywały, że wykonali robotę. - Umilkł, opuścił wzrok. - Dopóki ich nie złapano i nie zabito.

- Tak, tej utarczki Matka Spowiedniczka nie przeżyje. A jeśli wciąż jest przy życiu, to wkrótce o tym usłyszę. Jeżeli umarła - wzruszył ramionami - możemy nigdy nie odnaleźć jej ciała.

Dalton oparł się o biurko.

- Kiedy Jagang tu będzie?

- Wkrótce. Może za tydzień. Przednia straż nawet szybciej. Cieszy go perspektywa zamieszkania w twoim pięknym mieście.

Minister podrapał się po czole. Czekala go robota. Choć to właściwie nie miało znaczenia.

- Będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebował - stwierdził Stein. - Odwrócił się od drzwi. - A, Daltonie. Bertrand powiedział mi, że wykazałeś duże zrozumienie wobec niego i swojej żony.

Campbell wzruszył ramionami.

- A czemu nie? Jest tylko kobietą. Pstryknę palcami i mam ich cały tuzin. Nie ma o co być zazdrosnym.

Stein wydawał się szczerze zadowolony.

- Rad jestem, żeś do nas przystał. Ład ci się spodoba. Nie jesteśmy zazdrośni o kobiety.

Minister usiłował się domyślić, gdzie mogli pochować Matkę Spowiedniczkę.

- No to polubię Ład. Ja też nie jestem zazdrosny. Żołnierz podrapał się po zaroście.

- Cieszę się, że tak jest, Daltonie. Skoro tak, to gratuluję dziwki, jaką sobie wybrałaś na żonę.

Dalton, który odwracał się, by przejrzeć dokumenty, znieruchomiał.

- A cóż to za uwaga?

- Oooo, Bertrand pożyczka mija od czasu do czasu. Chętnie się nią i chciał, żebym i ja spróbował. Powiedział jej, że Stwórca chce, by mi dogodziła. Muszę ci powiedzieć, że to gorąca kobitka. - Odwrócił się ku drzwiom.

- Jeszcze jedna sprawa - odezwał się Dalton.

- Jaka? - spytał tamten, obracając się ku niemu.

Świsnął miecz i rozplątał żołdakowi brzuch tuż pod skórzanym pasem. Dalton postarał się, żeby cięcie nie było zbyt głębokie, ledwie na tyle, by

tamtemu jelita wypłynęły na podłogę.

Wstrząśnięty Stein zachłysnął się powietrzem, szczeka mu opadła, gapił się w dół. Padając na kolana, popatrzył na Campbella. Zaczął chrapliwie charczeć.

- Tak naprawdę - poinformował go minister - to jestem zazdrośnikiem. Dziękuj dobrym duchom, że twój koniec był tak krótki.

Stein osunął się na bok. Dalton przekroczył go i stanął za nim.

- Ale nie chcę, żeby coś cię ominęło przez ten prędko koniec ani żebyś pomyślał, że zlekceważyłem twoje dokonania. - Złapał w garść tłuste włosy żołnierza. Wykonał mieczem cięcie ponad czołem tamtego, oparł but o jego plecy i zerwał mu skalp. Przeszedł do przodu i pokazał go wrzeszczącemu mężczyźnie. - To za France, nawiasem mówiąc. Żebyś wiedział.

Stein leżał na podłożu z wyprutymi trzewiami i obficie krwawiącą głową. Dalton obojętnie podszedł do drzwi i otworzył je, zadowolony, że nowi posłańcy nie zrobi tego bez pozwolenia mimo tych wrzasków.

- Phil i Gregory, wejdźcie.

- Tak, ministrze Campbell?

- Phil, ten tam Stein zanieczyszcza mi gabinet. Usuńcie go.

- Tak jest, ministrze Campbell.

- Nie życzę sobie, żeby zniszczył dywany - rzekł Dalton, podnosząc z biurka jakieś dokumenty. Spojrzał na wrzeszczącego mężczyznę. - Podnieście go i wyrzućcie przez okno.

## ROZDZIAŁ 70

Richard wpadł przez frontowe drzwi. Zobaczył jakichś ludzi, ale spieszył prosto do Kahlan. Jiaan złapał go za ramię.

- Zaczekaj, Richardzie.
- Co? Co się dzieje? Co z nią?
- Wciąż żyje. Kryzys minął.

Richard omal nie zemdlął z ulgi. Czuł łzy spływające mu po policzkach, ale jakoś się trzymał. Był tak zmęczony, że trudność sprawiały mu najprostsze czynności. Nie mógł nacisnąć klamki, żeby otworzyć drzwi, i nie potrafił się zatrzymać.

- Teraz mogę ją uleczyć. Moja moc wróciła.

Richard skrzył w korytarz. Jiaan znów złapał go za ramię.

- Wiem. Moc Du Chaillu też wróciła. Ją musisz zobaczyć najpierw.
- Później się z nią spotkam. Najpierw muszę uleczyć Kahlan.

- Nie! - krzyknął Jiaan w twarz Richardowi. Chłopaka tak to zdumiało, że się zatrzymał.

- Dlaczego? Co się dzieje?

- Du Chaillu mówi, że teraz wie, po co do ciebie przysłała. Powiedziała, że nie wolno nam dopuścić, byś dotknął Kahlan, zanim się z nią nie zobaczysz. Kazała mi przysiąc, że podniosę na ciebie miecz, nim dopuszczę cię w pobliże Kahlan. Błagam, *Caharin*, nie zmuszaj mnie do tego. Błagam.

Richard odetchnął, starał się uspokoić.

- No dobrze. Skoro to takie ważne. Gdzie Du Chaillu?

Mistrz miecza poprowadził go korytarzem, ku drzwiom sąsiadującym z drzwiami pokoju Kahlan. Richard przeciągle popatrzył na jej drzwi, ale w końcu posłuchał Jiaana i wszedł do drugiej izby.

Duchowa przewodniczka siedziała w fotelu i tuliła dziecko. Uśmiechnęła się promiennie do Richarda. Klęknął przed nią i patrzył na zawiniątko w jej ramionach.

- Jest śliczne, Du Chaillu - wyszeptał.
- Masz córkę, mój mężu.

To, czym miał zaprzątnięte myśli, nie skłaniało chłopaka do sprzeczenia się z Du Chaillu na temat ojcostwa.

- Nazwałam ją Cara, na część tej, która ocaliła nam życie. Przytaknął.
- Cara na pewno się ucieszy. Kobieta położyła mu dłoń na ramieniu.
- Nic ci nie jest, Richardzie? Wyglądasz, jakbyś był w świecie zmarłych. Uśmiechnął się leciutko.
- Bo w pewien sposób byłem. Jiaan powiedział, że twój dar wrócił.
- Tak. I musisz mu wierzyć. Mój dar pozwala wyczuć czar i rozwiąć go.
- Muszę uleczyć Kahlan, Du Chaillu.
- Nie wolno ci.

Richard przeczesał włosy palcami.

- Wiem, że chcesz pomóc, Du Chaillu, ale to szaleństwo. Zaciśnęła w dłoni jego koszulę.

- Wysłuchaj mnie, Richardzie. Przybyłam do ciebie nie bez powodu. A teraz wreszcie wiem, co to za powód. Przybyłam, żeby oszczędzić ci męki utracenia Kahlan. Ma w sobie podstępny czar. Jeżeli dotkniesz ją swoją magią, chcąc uleczyć, uczynisz ten czar, a on ją zabije. Wybrali taki sposób, by mieć pewność, że umrze.

Richard oblizwał wargi. Starał się zachować spokój.

- Przecież masz moc rozwiewania czarów. Siostra Verna mi to powiedziała, kiedy się spotkaliśmy. Rozwiej ten czar, Du Chaillu, a ja ją ulecę.

Kobieta twardo patrzyła mu w oczy.

- Nie. Wysłuchaj mnie. Nie słuchasz, co mówię. Słyszysz tylko to, co chcesz usłyszeć. Posłuchaj, jak jest. Ten czar to magia, której nie mogę dotknąć moją magią. Nie mogę go rozwiąć, jak inne czary. Jest w niej jak wąs haczyka na ryby. Twoja uzdrawiająca magia uruchomi ten czar, a on ją zabije. Słyszysz mnie, Richardzie? Zabijesz Kahlan, jeśli dotkniesz ją swoją magią.

Chłopak przycisnął dłoń do czoła.

- Cóż więc mamy robić?

- Wciąż żyje. Ma szansę, skoro dożyła do dziś. Musisz się nią opiekować. Musi wyzdrowieć bez magii. W miarę jej powrotu do zdrowia tamta magia będzie słabła i w końcu zniknie, tak jak haczyk rozpuszcza się w rybie. Zniknie, zanim Kahlan na dobre wyzdrowieje, ale do tej pory będzie już w tak dobrym stanie, że twoja magia nie będzie potrzebna.

Richard skinął głową.

- W porządku. Dziękuję, Du Chaillu. Z całego serca. Dziękuję za... za wszystko.

Przytuliła go, choć trzymała w ramionach dziecko.

- Ale musimy stąd wyjechać. W każdej chwili może się tu zjawić Imperialny Ład. Musimy wyjechać z Anderithu.

- Edwin to zacny człowiek. Przygotował wóz, żebyś mógł zabrać Kahlan.

- Jak ona się czuje? Jest przytomna?

- Od czasu do czasu. Karmimy ją, poimy, podajemy zioła i lekarstwa. Jest bardzo poraniona, Richardzie, ale wciąż żyje. Myślę, że wyzdrowieje. Naprawdę w to wierzę.

Duchowa przewodniczka wstała, niosąc dziecko, i zaprowadziła Richarda do sąsiedniego pokoju. Chłopak był wyczerpany, ale serce tak mu waliło, że znów całkowicie oprzytomniał. Czuł się jednak tak bezradny, że pozwolił się prowadzić Du Chaillu.

Zasłony były zaciągnięte, pokój słabo oświetlony. Kahlan leżała na plecach szczelnie przykryta kocami.

Richard spojrzał na twarz, którą tak dobrze znał, lecz jej nie rozpoznał. Widok pozbawił go tchu. Walczył, by utrzymać się na nogach. Walczył, żeby powstrzymać łzy.

Była nieprzytomna. Delikatnie ujął jej bezwładną rękę - nie zareagowała.

Du Chaillu podeszła do łóżka z drugiej strony.

Chłopak dał znak. Zrozumiała i uśmiechnęła się. Ostrożnie złożyła malutką Carę w zagięciu ramienia Kahlan. Śpiące dziecko przytuliło główkę do ramienia Matki Spowiedniczki.

Kahlan się poruszyła. Przytrzymała dziecko ręką, na jej ustach pojawił się słaby uśmiech.

Ten uśmiech był pierwszą rzeczą, jaką Richard rozpoznał.

Ostrożnie złożyli Kahlan w specjalnym powozie, jaki przygotował dla niej Edwin, i w świetle wczesnego poranka zaprowadzili pojazd do wozowni. Linscott, niegdyś dyrektor i wciąż przyjaciel Edwina, pomógł zrobić osłonę i poprawił zawieszenie, żeby chorej zbyt nie trzęsło. Linscott i Edwin należeli do nielicznych ludzi sprzeciwiających się skorumpowanej anderyjskiej władzy. Bez skutku, jak się okazało. I oni wyjeżdżali, posłuszni naleganiom Richarda. Pewna liczba ludzi - niewielka, ale jednak - miała uciec.



Z boku domu, w cieniu czereśni, czekał na nich Dalton Campbell.

Richard natychmiast spał się, gotowy do walki. Ale Minister Spraw Duchowych, o dziwo, nie zamierzał atakować.

- Przyszedłem, lordzie Rahlu, pożegnać się z tobą i z Matką Spowiedniczką.

Chłopak spojrział na zdumione twarze innych. Byli równie zaskoczeni jak on.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jesteśmy? Tamten uśmiechnął się.

- To moja rola, lordzie Rahlu. Wiedzieć różne rzeczy. A przynajmniej tak było.

Linscott wyglądał, jakby chciał skoczyć Campellowi do gardła. Edwin też miał mordercze zamiary.

Wydawało się, że ministra to nie wzrusza. Richard skinął głową - Jiaan i Du Chaillu odciągnęli tamtych. W pobliżu byli mistrzowie miecza, więc żadne z nich nie przejmowało się tym samotnym mężczyzną.

- Rzekłbym, lordzie Rahlu, że w innym czasie i miejscu moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

- Nie sądzę - odparł chłopak. Tamten wzruszył ramionami.

- Może i nie. - Wyjął spod ramienia zwinięty koc. - Przyniosłem to, na wypadek gdybyś potrzebował więcej koców, żeby twoja żona nie zmarła.

Ten człowiek dezorientował Richarda - czego on chciał? Dalton Campbell włożył koc do powozu. Chłopak uznał, że minister, gdyby chciał, mógłby im narobić mnóstwo kłopotów - więc nie miał takich zamiarów.

- Chciałem wam *tyczyć* szczęścia. Mam nadzieję, że Matka Spowiedniczką wyzdrowieje, i to wkrótce. Midlandy jej potrzebują. Jest wspaniałą kobietą. Przykro mi, że próbowałem doprowadzić do jej śmierci.

- Coś ty powiedział?!

Dalton spojrział Richardowi w oczy.

- To ja naślełem tamtych ludzi. Jeśli odzyskałeś magię, lordzie Rahlu, to, proszę, nie próbuj uzdrowić Matki Spowiedniczki. Siostra Mroku rzuciła czar, który zabiłby ją czarną magią, gdyby ktoś podjął się uzdrawiania. Musisz pozwolić, by wydobrzała o własnych siłach.

Richard pomyślał, że powinien go zabić, ale z jakiegoś powodu tylko stał i przyglądał mu się.

- Jeśli chcesz mnie zabić, zrób to. Nie dbam o życie.

- Co masz na myśli?

- Masz żonę, która cię kocha. Miłuj ją.

- A twoja żona?

Dalton Campbell wzruszył ramionami.

- Cóż, obawiam się, że z tego nie wyjdzie.

- O czym ty mówisz? - Richard zmarszczył brwi.

- Wśród prostytutek w Fairfield grasuje paskudna choroba. Jakoś tak się stało, że się nią zaraziliśmy: moja żona, Suwren, jego żona i ja. Już czujemy się gorzej. To nadzwyczaj nieszczęśliwy przypadek. Mówiono mi, że to nieprzyjemna śmierć. Biedny Suwren jest niepocieszony, szłocha. Zważywszy, że czegoś takiego szczególnie się bał, należało oczekiwać, iż będzie ostrożniejszy w doborze partnerek. A, jeszcze Dominie Dirtch. Słyszałem, że rozpadły się w proch. Cała nasza praca idzie na marne. Sądzę, że imperator Jagang, kiedy już się tu zjawi, będzie bardzo niezadowolony.

- Miejmy nadzieję - powiedział Richard. Dalton uśmiechnął się.

- Cóż, mam sprawy do załatwienia, chyba że zamierzasz mnie zabić.

Chłopak uśmiechnął się do niego.

- Pewna mądra kobieta powiedziała mi, że ludzie są ochoczymi współsprawcami tyranii. Umożliwiają działanie takim jak ty. Zamierzam zrobić najgorszą rzecz, jaką mógłbym wyrządzić tobie i twojemu ludowi: to, co uczyniłby warn mój dziadek. Zamierzam pozwolić, żebyście ponieśli konsekwencje swoich czynów.

Ann była tak odrętwiała, iż bała się, że zostanie kaleką na całe życie, że już nigdy nie będzie mogła chodzić. Skrzynia, w której ją zamknięto, okropnie podskakiwała na wozie jadącym po bruku. Wydawało się jej, że ktoś ją okłada kijem.

Na pewno oszaleje, jeśli wkrótce jej nie wypuszczą.

Wóz wreszcie zwolnił, jakby jej modły zostały wysłuchane, a potem się zatrzymał. Ksieni odetchnęła z ulgą. Ból poobijanych boków i siedzenia doprowadzał ją do łez; nie mogła się zaprzec o boki skrzyni ani stopami, ani rękami.

Szarpano skoblem. Wieko się otworzyło i do środka wpadło chłodne nocne powietrze. Ann z wdzięcznością wciągnęła je do płuc, rozkoszując się jego aromatem.

Przód skrzyni opadł na dno wozu. Stała tam Siostra Alessandra i

zaglądała do środka. Ksieni rozejrzała się, ale nikogo więcej nie zauważyła. Były w małej bocznej uliczce, właściwie pustej. Obok przeszła tylko jakaś stara kobieta, ale nawet na nie nie spojrzała.

Ann zmarszczyła brwi.

- Co się dzieje, Alessandro?

Siostra Mroku złożyła modlitewnie dłonie.

- Chcę powrócić ku Światłu, Ksieni.

Ann zamrugła.

- Gdzie jesteśmy?

- W mieście, do którego podróżował imperator. W Fairfield. Zachęciłam woźnicę, żeby pozwolił mi prowadzić twój wóz.

- Zachęciłaś go? Jak?

- Kijem.

Ksieni uniosła brwi.

- Rozumiem.

- A wtedy, bo źle rozróżniam kierunki, oddzieliłyśmy się od reszty i wygląda na to, że się zgubiłyśmy.

- Jakież to dla nas niefortunne.

- Czyli powinniśmy albo odszukać jakieś oddziały Jagana i poddać się im, albo powrócić ku Światłu.

- Mówisz poważnie, Alessandro? Tamta była bliska łez. Żarty się skończyły.

- Pomóż mi Ksieni, błagam.

- Nie jestem ci potrzebna, Alessandro. Droga ku Światłu wiedzie przez twoje serce.

Siostra Alessandra uklękła obok wozu. Ann dalej siedziała w skrzyni ze skutymi stopami i rękami.

- Błagam, drogi Stwórco - zaczęła Alessandra.

Ksieni słuchała, jak tamta oczyszcza swoje serce. Na koniec Siostra ucałowała serdeczny palec. Ann wstrzymała oddech, oczekując, że piorun uśmierci Alessandrę za zdradzenie Opiekuna zaświatów.

Nic się nie stało. Siostra uśmiechnęła się do Ann.

- Czuję to, Ksieni. Mogę...

Umilkła, wydając dziwny dźwięk. Oczy wyszły jej na wierzch. Ann podsunęła się ku niej.

- Alessandro! Czy to Jagang? Czy jest w twoim umyśle? Tamta z wysiłkiem potaknęła.

- Przysięgnij wierność Richardowi! Przysięgnij całym sercem! To jedno nie pozwoli Nawiedzającemu Sny wnikać do twego umysłu!

Alessandra padła na ziemię, wiła się z bólu i mamrotała słowa, których Ann nie rozumiała. Wreszcie legła spokojnie i odetchnęła z ulgą. Usiadła, spojrzała na wóz.

- Podziałało! Ksieni, podziałało! - Przyłożyła dłonie do głowy. - Jagang zniknął z mojego umysłu. Dzięki ci, Stwórco. Dzięki ci, Stwórco.

- A może najpierw byś to ze mnie zdjęła, a modliła się potem? Siostra Alessandra rzuciła się pomagać. Ksieni już dawno zrzuciła kajdany i uleczyła się. Po raz pierwszy od, jak się jej zdawało, wieków mogła dotknąć swojego magicznego daru.

Wyprzęgły konie, włożyły im uprząż z wozu. Ann od lat nie czuła takiej radości. Obie chciały znaleźć się jak najdalej od armii Imperialnego Ładu, Jechały przez miasto, kierując się na północ. Natknęły się na plac pełen ludzi trzymających świece. Ksieni schyliła się z konia i zapytała jakąś kobietę, co się dzieje.

- To czuwanie przy świecach na rzecz pokoju - odparła zapytana.

- Co? - zdumiała się Ann.

- Czuwanie przy świecach na rzecz pokoju. Wszyscy się tu zbieramy, żeby pokazać wchodzącym do miasta żołnierzom szlachetniejszą drogę, pokazać im, że lud będzie dążył do pokoju.

Annalina spojrzała na nią groźnie.

- Na twoim miejscu schowałabym się do jakiejś dziury, bo ci żołnierze nie wierzą w pokój.

Tamta uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Kiedy zobaczą nas zgromadzonych tu dla pokoju, zrozumieją, że jesteśmy zbyt potężną siłą, by pokonał ją gniew i nienawiść.

Ann złapała Siostrę Alessandrę za rękaw.

- Znikajmy stąd. To będzie miejsce rzezi.

- Ależ, Ksieni, tym ludziom zagraża niebezpieczeństwo. Wiesz, co zrobią żołnierze Imperialnego Ładu. Kobiety... dobrze wiesz, co im zrobią. I zabiją wielu mężczyzn, którzy będą stawiać opór.

Ann potaknęła.

- Wiem. Ale nic nie możemy zrobić. Będą mieli pokój. Martwi spoczną w spokoju. Żywi też zazną spokoju: jako niewolnicy.

Minęły plac w samą porę. Kiedy zjawili się żołnierze, było jeszcze gorzej, niż Ann się spodziewała. Długo leciały w ślad za nimi krzyki. Krzyki mężczyzn i dzieci umilkły dość szybko. Wrzaski starszych dziewcząt i kobiet dopiero się rozpoczęły.

Gdy wyjechały poza miasto, Ann zapytała:

- Mówiłam ci, że powinniśmy wyeliminować Siostry Światła, które nie chciały uciec. Czy zrobiłaś, jak chciałam, Siostrze, nim ze mną uciekłaś?

- Nie, Ksieni - odparła zapatrzona przed siebie Alessandra.

- Wiedziałaś, Alessandro, że należy to zrobić.

- Chcę wrócić w Światło Stwórcy. Nie mogłam zniszczyć życia, które on stworzył.

- Oszczędzenie ich może kosztować życie wielu ludzi. Siostra Mroku mogłaby tego właśnie pragnąć. Jak mogę ufać, że mówisz prawdę?

- Bo nie zabiłam Sióstr. Zrobiłabym to, gdybym wciąż była Siostrą Mroku. Mówię prawdę. Byłoby wspaniale, gdyby Alessandra powróciła ku Światłu. Coś takiego jeszcze nigdy się nie wydarzyło. Alessandra mogłaby się stać nieocenionym źródłem informacji.

- Albo dowodzi to, że kłamiesz i wciąż jesteś zaprzysiężona Opiekunowi.

- Pomogłam ci uciec, Ksieni. Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?

Ann spojrzała na nią, kiedy tak jechały ku Dzicy, w nieznaną.

- Po tych wszystkich kłamstwach, Alessandro, już nigdy nie będę ci mogła w pełni uwierzyć i zaufać. To przekleństwo kłamstwa, Siostrze. Kiedy już raz włożysz na skronie koronę kłamcy, to choćbyś ją potem zdjęła, ślad zostanie po wsze czasy.

Richard usłyszał z tyłu tętent i odwrócił się. Popatrzył na leżącą w powozie Kahlan; sam szedł obok. Spała albo była nieprzytomna. Przynajmniej wreszcie odrobinę rozpoznawał jej twarz.

Znów się obejrzał, bo koń był bliżej, i zobaczył jeźdźca w czerwieni. Cara podjechała stępą i zsiadła. Trzymała wodze i szła obok niego. Kulą.

- Sporo czasu zajęło mi dognanie cię, lordzie Rahlu. Dokąd się wybierasz?

- Do domu.

- Do domu?

- Tak, do domu.

Cara spojrzała w górę drogi.

- A gdzie jest ten dom?

- W Hartlandzie. Na zachód stąd, w górach. Są tam piękne okolice, które zawsze chciałem pokazać Kahlan.

Zaakceptowała to i przez jakiś czas szła obok niego bez słowa, prowadząc swojego konia.

- A co z całą resztą, lordzie Rahlu? D'Hara. Midlandy. Ci wszyscy ludzie.

- A co ma być?

- Czekają na ciebie.

- Nie jestem im potrzebny. Odchodzę.

- Jak możesz tak mówić, lordzie Rahlu?

- Złamałem każde ze znanych mi praw magii. Ja... - Umilkł. Nic go to nie obchodziło.

- Gdzie Du Chaillu? - spytała Cara.

- Odesłałem ją do jej ludu. Wykonała u nas swoje zadanie. - Richard spojrzał na nią. - Urodziła dziecko. Śliczną małą dziewczuszkę. Nazwalają Cara, po tobie.

Mord-Sith rozpromieniła się.

- To się cieszę, że nie jest brzydka. Niektóre dzieciaki są brzydkie, wiesz.

- Ale ona jest śliczna.

- Jest podobna do ciebie, lordzie Rahlu?

- Nie. - Richard łypnął na nią gniewnie.

Cara zajrzała do powozu. Blond warkocz zsunął się do przodu z ramienia.

- Co się stało Matce Spowiednicze?

- O mało mi jej nie zabili. Cara zmilczała.

- Słyszałem, że cię pojmano. Nic ci nie jest? Mord-Sith odrzuciła do tyłu warkocz.

- Byli głupcami. Nie odebrali mi Agiela. Kiedy już naprawiłeś magię, sprawiłam, że wszyscy przeklinali swoje matki za to, że poznały ich ojców.

Richard uśmiechnął się. To była Cara, jaką znał.

- A potem ich zabiłam - dodała.

Pokazała odłamana sztyjkę czarnej buteleczki. Wciąż jeszcze tkwił w niej złoty koreczek.

- Zawiodłam, lordzie Rahlu. Nie przyniosłam twojego miecza. Ale... ale udało mi się rozbić mieczem czarną buteleczkę z Wieży Czarodzieja. Przynajmniej tyle. - Zatrzymała się, w niebieskich oczach lśniły łzy. - Tak mi przykro, lordzie Rahlu. Zawiodłam. Robiłam co mogłam, przysięgam, ale mi się nie udało.

Richard też się zatrzymał. Objął ją.

- Nie, Caro, nie zawiodłaś. Zbiłaś tę buteleczkę mieczem i dlatego mogliśmy przywrócić magię.

- Naprawdę?

Potaknął, patrząc jej w oczy.

- Naprawdę. Dobrze się spisałaś, Caro. Jestem z ciebie dumny. Znów ruszyli w drogę.

- Jak daleko jest ten dom, lordzie Rahlu? Rozmyślał nad tym kilka minut.

- Kahlan jest moją rodziną, więc dom jest tam, gdzie my. Dopóki jestem przy Kahlan, jestem w domu. Już po wszystkim, Caro. I ty możesz wracać do domu. Uwalniam cię.

Stanęła. Richard szedł dalej.

- Ale ja nie mam rodziny. Wszyscy nie żyją.

Obejrzał się na nią - stała na drodze, samotna, opuszczona. Chłopak zawrócił, otoczył ramieniem jej barki i poprowadził ze sobą.

- My jesteśmy twoją rodziną, Caro. Kahlan i ja. Kochamy cię. Powinnaś wrócić z nami do domu.

To jej najwyraźniej odpowiadało.

- A będą tam, w tym domu, jacyś ludzie, którzy chcieliby zabijać?

- Nie sądzę. - Richard uśmiechnął się.

- To po co mielibyśmy tam iść? Tylko się uśmiechał, więc powiedziała:

- Myślałam, że chcesz zdobyć świat. Spodziewałam się, że zostaniesz tyranem. Uważam, że powinieneś. Matka Spowiedniczka by się ze mną zgodziła. To dwie na jednego. Wygrałyśmy.

- Świat mnie nie chce. Głosowali i powiedzieli „nie”.

- Głosowanie! To ten twój problem.

- Już tego nie powtórzę.

Mord-Sith kuśtykała jakiś czas obok niego, a potem powiedziała:

- Wszyscy cię odnajdą. D'Harancykow łączy z tobą więź. Jesteś lordem Rahlem. Wszyscy cię odnajdą.

- Może tak, może nie.

- Richard? - rozległ się cichy głos.

Zebrał się w sobie i podszedł do powozu. Kahlan była przytomna. Wziął ją za rękę.

- Kto tu jest? - spytała. Pochyliła się ku niej Cara.

- Tylko ja. Musiałam wrócić. Sama widzisz, w jakie tarapaty się pakujecie, gdy tylko spuszczę was z oka.

Kahlan uśmiechnęła się słabiutko. Puściła rękę Richarda, ujęła dłoń Cary.

- Cieszę się, że wróciłaś do domu - wyszeptała.

- Lord Rahl powiedział, że uratowałam magię. Wyobrażasz sobie? Co też mi przyszło do głowy? Miałam taką okazję uwolnić się od magii, a tymczasem ją uratowałam.

Kahlan znów się uśmiechnęła.

- Jak się czujesz? - spytał Richard.

- Okropnie.

- Wcale tak źle nie wyglądasz - pocieszyła ją Mord-Sith. - Ja bywałam w o wiele gorszym stanie.

Richard delikatnie pogłaskał dłoń Kahlan.

- Wyzdrowiejesz, obiecuję. A czarodzieje zawsze dotrzymują obietnic.

- Zimno mi. - Zaczęła szczękać zębami.

Richard dostrzegł koc położony z boku przez Daltona Campbella.

Przyciągnął go.

Z koca wypadł Miecz Prawdy. Chłopak stał i wpatrywał się w niego.

- Miecz też wrócił do domu - odezwała się Cara.

- Tak. Wrócił.



# Spis treści

ROZDZIAŁ 1  
ROZDZIAŁ 2  
ROZDZIAŁ 3  
ROZDZIAŁ 4  
ROZDZIAŁ 5  
ROZDZIAŁ 6  
ROZDZIAŁ 7  
ROZDZIAŁ 8  
ROZDZIAŁ 9  
ROZDZIAŁ 10  
ROZDZIAŁ 11  
ROZDZIAŁ 12  
ROZDZIAŁ 13  
ROZDZIAŁ 14  
ROZDZIAŁ 15  
ROZDZIAŁ 16  
ROZDZIAŁ 17  
ROZDZIAŁ 18  
ROZDZIAŁ 19  
ROZDZIAŁ 20  
ROZDZIAŁ 21  
ROZDZIAŁ 22  
ROZDZIAŁ 23  
ROZDZIAŁ 24  
ROZDZIAŁ 25  
ROZDZIAŁ 26  
ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28  
ROZDZIAŁ 29  
ROZDZIAŁ 30  
ROZDZIAŁ 31  
ROZDZIAŁ 32  
ROZDZIAŁ 33  
ROZDZIAŁ 34  
ROZDZIAŁ 35  
ROZDZIAŁ 36  
ROZDZIAŁ 37  
ROZDZIAŁ 38  
ROZDZIAŁ 39  
ROZDZIAŁ 40  
ROZDZIAŁ 41  
ROZDZIAŁ 42  
ROZDZIAŁ 43  
ROZDZIAŁ 44  
ROZDZIAŁ 45  
ROZDZIAŁ 46  
ROZDZIAŁ 47  
ROZDZIAŁ 48  
ROZDZIAŁ 49  
ROZDZIAŁ 50  
ROZDZIAŁ 51  
ROZDZIAŁ 52  
ROZDZIAŁ 53  
ROZDZIAŁ 54  
ROZDZIAŁ 55  
ROZDZIAŁ 56  
ROZDZIAŁ 57  
ROZDZIAŁ 58  
ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

ROZDZIAŁ 66

ROZDZIAŁ 67

ROZDZIAŁ 68

ROZDZIAŁ 69

ROZDZIAŁ 70